

GLEN COOK

ZAGŁADA

CZARNEJ
KOMPANII

Woda śpi • Żołnierze żyją



REBIS

GLEN COOK
ZAGŁADA
CZARNEJ
KOMPANII

*Woda śpi
Żołnierze żyją*

Przełożył
Jan Karłowski



DOM WYDAWNICZY REBIS

Cykl
CZARNA KOMPANIA
obejmuje:

KRONIKI CZARNEJ KOMPANII

Czarna Kompania

Cień w ukryciu

Biała Róża

KSIĘGI POŁUDNIA

Srebrny grot

Gry cienia

Sny o stali

POWRÓT CZARNEJ KOMPANII

Ponure lata

A imię jej Ciemność

ZAGŁADA CZARNEJ KOMPANII

Woda śpi

Żołnierze żyją

WODA ŚPI

1

W owym czasie Czarna Kompania nie istniała. Tak przynajmniej należało wnosić z treści publikowanych praw i dekretów. Ja jednak nie mogłam się z tym pogodzić.

Sztandar Kompanii, jej Kapitan i Porucznik, jej chorąży oraz wszyscy żołnierze, którzy uczynili ją tak straszną w oczach wrogów, odeszli, aby spocząć pogrzebani żywcem w sercu rozległej kamiennej pustyni.

„Lśniący kamień” – szeptano na ulicach i w zaułkach Taglios. Natomiast komunikaty najwyższych władz głosiły: „Odeszli do Khatovaru”. Poważne przedstawienie, które postanowiono ciągnąć tak długo, aż przerodzi się w wielkie zwycięstwo. Kiedy Radisza albo Protektorka, albo ktokolwiek inny stwierdzi, że ludzie powinni uwierzyć w końcu, iż Kompania wypełniła swe przeznaczenie.

Jednak wszyscy na tyle starzy, aby pamiętać Kompanię, wiedzieli lepiej. Tylko pięćdziesięciu ludzi udało się na równinę Lśniącego kamienia. Połowa z nich nie należała do Kompanii. Jedynie dwoje z tych pięćdziesięciu powróciło, aby szerzyć kłamstwa o tym, co się stało. A trzeci, który mógł zaświadczyć o prawdzie, został zabity w wojnach kiauluńskich, daleko od stolicy. Jednak kłamstwa Duszołap i Wierzby Łabędzia nie zdołały zwieść nikogo. Ludzie zwyczajnie udają, że w nie wierzą, ponieważ tak jest bezpieczniej.

A mogliby przecież zapytać, dlaczego Mogaba potrzebował aż pięciu lat na pokonanie nieistniejącego wroga i czemu musiano zapłacić tysiącami młodych żywotów za podporządkowanie terytoriów Kiaulune rządowi Radiszy w królestwie pokrętnych prawd Protektorki. Mogliby wspomnieć, że ludzie mieniający się żołnierzami Czarnej Kompanii przez całe lata bronili się potem jeszcze w fortecy Przeoczenie, póki wreszcie Protektorka Duszołap ich nieprzejednanie nie rozdrażniło do tego stopnia, że zaangażowała swe najlepsze czary w trwającą dwa lata operację, po której z potężnej warowni został tylko biały pył, biały gruz i stosy białych kości.

Każdy mógłby zadać te pytania. Zamiast tego jednak ludzie woleli milczeć. Bali się. Nie bez powodu.

Imperium tagliańskie pod władzą Protektoratu jest państwem strachu.

W trakcie tych lat niewzruszonego oporu pewien bezimienny bohater zasłużył sobie na wieczystą nienawiść Duszołap, dokonując sabotażu Bramy Cienia, jedynej drogi wiodącej na lśniącą równinę. Duszołap była najpotężniejszą z żyjących magów. Mogła stać się Władczynią Cienia, której potęga przyćmi monstra pokonane przez Kompanię podczas pierwszych wojen w służbie Taglios. Skoro jednak Brama Cienia została zapieczętowana, nie była w stanie wezwać zabójczych cieni, potężniejszych od tych kilku, jakie podporządkowała sobie jeszcze wówczas, gdy samotnie knuła zagładę Kompanii.

Och, Duszołap umiałaby otworzyć Bramę Cienia. Jeden raz. Jakkolwiek nie miała pojęcia, jak zamknąć ją na powrót. A to dowodziłoby, że wszystkie żyjące za nią istoty wyrwałyby się na zewnątrz i zaczęły rozszarpać świat.

Dla Duszołap, nieznającej wielu tajemnic, równało się to z wyborem: wszystko albo bardzo niewiele. Koniec świata albo poprzestanie na tym, co ma.

Jak dotąd poprzestaje na tym, co ma. Lecz nie ustaje w badaniach i poszukiwaniach. Jest Protektorką. Imperium trzęsie się ze strachu przed nią. Nikt nie waży się zaprotestować przeciwko terrorowi, jaki zaprowadziła. Wszelako nawet ona wie, że ta era mrocznej jedności nie może trwać wiecznie.

Woda śpi ¹.

W swoich domach, w cienistych uliczkach, w dziesiątkach tysięcy świątyń miasta nawet na chwilę nie zamierają nerwowe szepty: Rok Czaszek. Rok Czaszek. To czasy, kiedy żadni bogowie nie umierają, a ci, którzy śpią, poruszają się niespokojnie w swych snach.

W domach, w ciemnych zaułkach, na uprawnych polach i ryżowych poletkach, na pastwiskach, w lasach i wasalnych miastach, kiedy tylko kometa rozbłyśnie na niebie albo niezwykła o tej porze roku burza zniszczy zasiewy, w szczególności zaś gdy ziemia się zatrząśnie, ludzie szepczą:

– Woda śpi.

I przepełnia ich lęk.

1. Tytuł, a jednocześnie zawołanie Czarnej Kompanii: „Woda śpi” jest częścią idiomatycznego sformułowania w j. angielskim: „Water sleeps, and the enemy is sleepless”. Nawiązuje ono do właściwości wody jako nieokiełznanego żywiołu, który nawet pozornie uśpiony, spokojny, nie pozwala wrogom na chwilę wytchnienia, nigdy bowiem nie wiadomo, kiedy przyjdzie zmierzyć się z jego siłą. W języku polskim najbliższym kontekstowo tłumaczeniem byłoby: „Nie śpij, wróg czuwa!”, ale „Woda śpi” znacznie lepiej wpisuje się w poetykę języka Czarnej Kompanii (przyp. red.). [\[wróć\]](#)

2

Mówią na mnie Ospała. Jako dziecko odsuwałam się od świata, uciekając przed przerażającą rzeczywistością mego dzieciństwa w wygodę i spokój marzeń snutych za dnia i podczas sennych koszmarów. Kiedy tylko nie zmuszano mnie do pracy, tam właśnie się skrywałam. Tam nie mogło osiągnąć mnie żadne zło. Nie znałam bezpieczniejszego miejsca, póki do Dżajkuru nie przybyła Czarna Kompania.

Moi bracia zarzucali mi, że cały czas śpię. W istocie zazdrościli mi umiejętności izolacji. Nic nie rozumieli. Umarli, nie zrozumiawszy. Ja przespałam wszystko. Nie obudziłam się w pełni, póki nie minęło kilka lat spędzonych w Kompanii.

Teraz ja prowadzę te Kroniki. Ktoś musi to robić, choć nigdy oficjalnie nie przekazano mi obowiązków kronikarza. Oprócz mnie nikt tego nie potrafi.

Jest to precedens.

Kroniki należy kontynuować za wszelką cenę. Prawda musi zostać utrwalona, nawet jeśli los postanowi, że żaden człowiek nigdy nie przeczyta słowa z tego, co napiszę. Te księgi stanowią duszę Czarnej Kompanii. Z nich można dowiedzieć się, kim jesteśmy. To znaczy kim byliśmy. I że wytrwamy, żadna bowiem z wszelkich zdrad, jakie nam zadano, nie dała rady dobyć z nas ostatniej krwi.

Nie ma nas już. Tak nam mówi Protektorka. Radisza przysięga, że to prawda. Mogaba, wielki generał o tysiącu mrocznych zasług, krzywi się na samą myśl o nas i plugawi naszą pamięć. W oczach ludzi na ulicach jesteśmy jedynie męczącym koszmarem przeszłości. Jednak tylko Duszołap nie ogląda się wciąż przez ramię, aby zobaczyć, czy przypadkiem któregoś z nas nie ma za plecami.

Jesteśmy upartymi duchami. Nie spoczniemy. Nie przestaniemy ich nawiedzać. Od dawna już nie przedsięwzięliśmy żadnych działań, oni

jednak wciąż nie przestają się bać. Poczucie winy każe im wciąż nas wspominać.

Zaiste, powinni się bać.

Każdego dnia na jakimś murze w Taglios pojawia się wiadomość, wypisana kredą, farbą albo nawet i zwierzęcą krwią. Nic więcej, tylko delikatne napomnienie: Woda śpi.

Każde z nich wie, co to oznacza. Powtarzają sobie szeptem przesłanie, świadomi, że gdzieś tam jest wróg bardziej niespokojny niżli rwący strumień. Wróg, który pewnego dnia wynurzy się z otchłani swego grobu i przyjdzie po tych, co przyłożyli rękę do zdrady. Nie ma żadnej mocy, która mogłaby ich przed tym uchronić. Ostrzegano ich tysiące razy, a jednak w końcu ulegli pokusie. Teraz już żaden diabeł ich nie ocali.

Mogaba się boi.

Radisza się boi.

Wierzba Łabędź boi się tak bardzo, że ledwie potrafi normalnie funkcjonować, podobnie jak wcześniej czarodziej Kopeć, którego zresztą sam wciąż oskarżał o tchórzostwo i z którego się wyśmiewał. Łabędź zna Kompanię jeszcze z dawnych czasów, z Północy, zanim dla kogokolwiek tutaj stała się czymś więcej niż tylko odległym wspomnieniem dawnej trwogi. Lata, które upłynęły, nijak nie pomogły mu oswoić się ze swym strachem.

Pjurojita Drupada się boi.

Generalny Inspektor Gokhale się boi.

Tylko Protektorka się nie boi. Duszołap nie lęka się niczego. Duszołap nic to nie obchodzi. Szydzi i drwi z demona. Ona jest kompletnie szalona. Będzie śmiać się jeszcze i tańczyć, nawet gdy jej ciało zaczną już trawić płomienie.

Ten brak strachu wywołuje jeszcze większy niepokój u jej pomocników. Dobrze wiedzą, że ich pierwszych pogna w miażdżące szczęki losu.

Od czasu do czasu na murach pojawia się inna, bardziej osobista informacja: Wszystkie ich dni są policzone.

Bywam na ulicy codziennie, idę do pracy, udaję się na przeszpiegi, słucham, podchwytuję plotki i rozpuszczam nowe, korzystając z anonimowości, jaką zapewnia mi Czor Bejgen, Ogród Złodziei, którego nawet Szarzy nie zdołali jeszcze spacyfikować. Niegdyś przebierałam się za prostytutkę, ale w końcu okazało się to zbyt niebezpieczne. W mieście żyją

ludzie, przy których Protektorka mogłaby się zdawać uosobieniem normalności. Zaiste, świat może mówić o szczęściu, że los poskąpił im władzy, pozwalającej w pełni wypróbować głębię i rozmach swego szaleństwa.

Zazwyczaj jednak wcielam się w postać młodzieńca, jak robiłam to już dawniej. Od zakończenia wojny pełno jest wokół młodych mężczyzn pozbawionych rodzin, obowiązków i pracy.

Im bardziej dziwna okazuje się kolejna plotka, tym szybciej opuszcza granice Czor Bejgen i dotkliwiej niszczy spokój sumienia naszych wrogów. Zawsze to samo Taglios – gotowe nurzać się w rozkoszach ponurych przepowiedni. A my musimy dostarczyć mu odpowiednią porcję znaków, wróżb i omenów.

Protektorka ściga nas, kiedy przyjdzie jej to do głowy, jednak zainteresowania nigdy nie starcza jej na dłużej. W ogóle na niczym nie potrafi koncentrować się przez dłuższy czas. Zresztą dlaczego miałyby się nami przejmować? Jesteśmy martwi. Nas już nie ma. Sama ogłosiła, że tak się stało. A jako Protektorka jest przecież najwyższym sędzią dla całego imperium tagliańskiego.

A jednak: Woda śpi.

3

W owym czasie fundamentem, na którym wspierała się cała Kompania, była kobieta, która nawet nigdy oficjalnie się do niej nie zaciągnęła, czarownica Ki Sahra, żona chorążego Czarnej Kompanii i mojego poprzednika na stanowisku kronikarza, Murgena. Kobieta bystra, o niezłomnej woli. Nawet Goblin i Jednooki schodzili jej z drogi. Nikt nie mógł jej nic powiedzieć, nawet paskudny stary Wujek Dodż. Protektorki, Radiszy i Szarych bała się tyle, co zwykłych śmieci. Nikczemne zakusy zła tak wielkiego jak niosący śmierć kult Oszustów, ich mesjasz, Córka Nocy oraz bogini Kina bynajmniej nie odbierały jej ducha. Spoglądała w samo jądro ciemności, której sekrety nie wzbudzały w niej śladu trwogi. Tylko jedna rzecz przenikała ją dreszczem.

Jej matka, Ki Gota, stanowiła uosobienie niezadowolenia i swarliwości. Jej zrzęczenie i połajania miały tak zdumiewającą siłę, że ona sama musiała być najpewniej wcieleniem jakiegoś kapryśnego, zbzikowanego bóstwa, nieznanego dotąd człowiekowi.

Ki Goty nie lubił nikt prócz Jednookiego. A nawet on za plecami nazywał ją Trollicą.

Sahra zadrżała na widok matki kuśtykającej powoli przez pomieszczenie zdjęte nagłą ciszą. Dzisiaj byliśmy nikim, nie dysponowaliśmy właściwie żadnymi dobrami. Musieliśmy obyć się tymi kilkoma pokojami. Parę chwil temu tłoczyli się tutaj rozmaici wałkonie, paru z Kompanii, w większości jednak pracownicy Ban Do Tranga. Teraz wszyscy patrzyliśmy na starą, pragnąc, by wyszła jak najszybciej. Żeby nie przyszło jej do głowy poprzebywać w naszym towarzystwie.

Do Trang, którego starcza słabość przykuła do wózka, podjechał do Ki Goty. Miał najwyraźniej nadzieję, że okazując jej zainteresowanie, skłoni ją do odejścia.

Wszyscy zawsze chcieli pozbyć się jej jak najszybciej.

Tym razem jego poświęcenie okazało się skuteczne. Ki Gota musiała z pewnością czuć się nie najlepiej, skoro nie poświęciła ani chwili na obsztorcowanie wszystkich młodszych od siebie.

Cisza przeciągała się, aż stary kupiec powrócił. Był właścicielem tego miejsca i pozwalał nam korzystać z niego jako kwatery głównej. Niczego nam nie zawdzięczał, mimo to, z czystej miłości do Sahry, dzielił z nami niebezpieczeństwa. We wszystkich omawianych kwestiach musieliśmy wysłuchiwać jego opinii i honorować jego życzenia.

Do Trang wrócił po krótkiej chwili, tocząc ciężko swój wózek. Przypominał szkielet obciążony skórą poznaczoną plamami wątrobowymi. Był tak kruchy, że zdawało się, iż tylko cudem potrafi poruszyć swój pojazd o własnych siłach.

Stary był zaiste, jednak w jego oczach igrały niedające się przegnać wesołe iskierki. Skinął głową. Rzadko miał wiele do powiedzenia, chyba że komuś zdarzyło się palnąć nieprawdopodobne głupstwo. Był dobrym człowiekiem.

Sahra zabrała głos jako pierwsza:

– Wszystko gotowe. Każda faza i każda ewentualność zostały po dwakroć sprawdzone. Goblin i Jednooki trzeźwi. Czas, by Kompania dała znać o swym istnieniu. – Rozejrzała się dookoła, czekając na nasze komentarze.

Nie wydawało mi się, aby rzeczywiście nadszedł już czas. Jednak wyraziłam swoją opinię wcześniej, kiedy zajmowałam się planowaniem operacji. I zostałam przegłosowana. Teraz ograniczyłam się więc do rozpaczliwego wzruszenia ramionami.

Pozostali nie mieli żadnych zastrzeżeń. Sahra powiedziała:

– Rozpoczynamy fazę pierwszą. – Skinęła na swego syna.

Tobo kiwnął głową i wymknął się z pokoju.

Przyczajony młodzieniec chudy, obdarty i brudny. Był Niueng Bao, co oznaczało, że po prostu musiał być przygarbionym brudasem i złodziejem. Należało mieć się przed nim na baczności. Nikogo właściwie nie interesowało, co dokładnie robi, póki jego ręce nie skradały się w kierunku kołyszącej się u pasa sakiewki lub jakiegoś towaru na straganie sprzedawcy. Jak zwykle ludzie nie widzieli tego, czego zobaczyć się nie spodziewali.

Póki chłopak trzymał dłonie schowane za plecami, nikt nie widział w nim zagrożenia. Tak nie sposób czegokolwiek ukraść. Nikt jednak nie zauważył małych, bezbarwnych pęcherzy na ścianie, o którą się opierał.

Dzieci Gunni patrzyły. Młodziak wyglądał tak dziwnie w czarnym kimonie. Gunni są ludem nastawionym pokojowo i wychowują swe dzieci w grzeczności. Jednak dzieci Szadar ulepione są z dużo twardszej gliny. Są znacznie śmielsze. Korzenie ich religii wyrastają przecież ze światopoglądu wojowników. Kilku młodych Szadar postanowiło dać nauczkę złodziejowi.

Oczywiście, że był złodziejem! Przecież to Niueng Bao. Wszyscy wiedzieli, że każdy Niueng Bao to złodziej.

Starszy Szadar odpędził młodzieńców. Złodziejem winni zająć się ci, do których obowiązków to należy.

W religii Szadar kryła się również odrobina biurokratycznej praworządności.

Nawet tak drobne zamieszanie przyciągnęło uwagę władz. Trzech wysokich, brodatych stróżów porządku Szadar w szarych ubraniach i białych turbanach przepychało się przez ciżbę. Bezustannie podejrzliwie oglądali się wokół, jakby nieświadomi, że cały czas otacza ich krąg pustej przestrzeni. Na ulicach Taglios zawsze panuje tłok, czy to dzień, czy noc, a jednak ludzie zawsze znajdują sposób, by usunąć się Szarym z drogi. Wszyscy Szarzy mają twarde spojrzenia, a podstawowe kryterium doboru do służby stanowi najwyraźniej brak cierpliwości i współczucia.

Tymczasem Tobo zdążył już oddalić się z miejsca zamieszania, prześlizgując się zręcznie przez tłum niczym czarny wąż wśród bagiennych traw. Kiedy Szarzy przesłuchiwali zgromadzonych, dociekając przyczyn zamieszania, nikt już nie potrafił opisać go dokładnie, a wszyscy podawali rysopis zgodny z żywionymi przesądami. Złodziej Niueng Bao. A ci stanowili w Taglios prawdziwą plagę. W owych czasach stolica mogła się poszczycić mnóstwem najrozmaitszych cudzoziemców. Jak imperium długie i szerokie, do miasta przybywał każdy próżniak, głupek i rozrabiaka. W ciągu jednego pokolenia populacja się potroiła. Gdyby nie okrutna skuteczność Szarych, Taglios zamieniłoby się w chaotyczny, morderczy rynsztok, piekielną otchłań pełną nędzy i rozpaczy.

Pałac nie pozwalał jednak, by nieład zapuścił w nim korzenie. Znakomicie dawał sobie radę z wykrywaniem wszelkich możliwych tajemnic. Kariery kryminalistów zazwyczaj nie trwały długo. Podobnie jak

żywoty tych wszystkich, którym zachciewało się spiskować przeciwko Radiszy lub Protektorce. Zwłaszcza przeciwko tej ostatniej, która pojęcie nietykalności cielesnej miała za nic.

W minionych czasach intrygi i spiski stanowiły lokalną zarazę, dotykającą żywota każdego Taglianina. Teraz się to skończyło. Protektorce się to nie podobało. Większość tubylców chciwie zaś łaknęła jej aprobaty. I nawet kapłani woleli unikać niebezpiecznego spojrzenia Duszołap.

W pewnym momencie czarne ubranie chłopca gdzieś zniknęło, a jego miejsce zajęła biodrowa przepaska na modłę Gunni, którą nosił pod spodem. Obecnie nie różnił się już niczym od pozostałych dzieci, wyjąwszy lekko żółtawy odcień skóry. Był bezpieczny. Dorastał w Taglios. Mówił bez obcego akcentu, który mógłby go zdradzić.

4

Teraz należało czekać, przyciąć się w bezruchu, w beczynności poprzedzającej zawsze każdą poważniejszą akcję. Wyszłam już z wprawy. Nie potrafiłam po prostu rozsiąść się wygodnie i albo sama zagrać w tonka, albo zwyczajnie patrzeć, jak Jednooki i Goblin próbują się nawzajem oszukiwać. Od ciągłego pisania miałam skurcze palców, tak że nie mogłam dalej pracować nad Kronikami.

– Tobo! – zawołałam. – Chcesz iść zobaczyć, co się dzieje?

Tobo miał czternaście lat. Był najmłodszy z nas. Dorastał w Czarnej Kompanii. Natura nie poskąpiła mu młodzieńczego entuzjazmu, niecierpliwości i wiary we własną nieśmiertelność oraz boską dyspensę od kary ostatecznej. Bawiły go zadania, które wykonywał dla Kompanii. Nie do końca chyba wierzył w istnienie swego ojca. Nigdy nie miał okazji go poznać. My z kolei próbowaliśmy nie dopuścić, by ktoś szczególnie go rozpieszczał. Tylko Goblin upierał się, by traktować go jak ukochanego syna. Próbował nawet uczyć chłopaka.

Pisany język tagliański Goblin opanował znacznie gorzej, niżli gotów byłby przyznać. Alfabet na co dzień używanego potocznego liczył sto liter, następnych czterdzieści zarezerwowane było dla kapłanów, piszących rozwiniętym, stanowiącym niemal drugi, niezatwierdzony oficjalnie język formalny. Dla potrzeb tych Kronik posługuję się mieszaniną obu stylów.

Kiedy tylko Tobo nauczył się czytać, „wujek” Goblin kazał mu czytać sobie na głos.

– Mogę wziąć jeszcze kilka pączków, Ospała? Mama mówi, że im więcej ich będzie, tym skuteczniej zwrócą uwagę w pałacu.

Byłam zaskoczona, że rozmawiał z nią dość długo, by tyle choć usłyszeć. Chłopcy w jego wieku potrafią bywać co najmniej niemili. On przez cały czas był jawnie niegrzeczny wobec matki. A byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie jego „wujkowie”, którzy nie tolerowali takiego zachowania. Naturalnie, w oczach Tobo był to po prostu kolejny przykład

spisku dorosłych. Tak przynajmniej twierdził oficjalnie. Prywatnie można było go przekonać, by posłuchał głosu rozsądku. Przynajmniej od czasu do czasu. I oczywiście, kiedy zwracał się do niego ktoś, kto nie był jego matką.

– Może kilka. Ale wkrótce zrobi się ciemno. A potem zaczniesz przedstawienie.

– Pójdziemy tam jako kto? Nie lubię, kiedy stajesz się kurwą.

– Będziemy bezdomnymi sierotami. – Chociaż to przebranie również pociągało za sobą ryzyko. Mogliśmy wpaść w ręce werbowników, którzy wcielą nas do armii Mogaby. W tych czasach jego żołnierze nie są niczym więcej jak niewolnikami, poddanymi okrutnej dyscyplinie. Wielu to drobni kryminaliści, którym zaproponowano wybór między surową karą a służbą. Pozostali to dzieci nędzy, niemające dokąd pójść. Co zresztą stanowiło normę powszechnie obowiązującą w armiach zawodowych, które Murgen i jego dawni towarzysze widzieli na dalekiej Północy, na długo przedtem, zanim przystałam do Kompanii.

– Dlaczego tak się martwisz przebraniem?

– Jeśli nigdy powtórnie nie ukażemy tej samej twarzy, nasi wrogowie nie będą mieli pojęcia, kogo właściwie szukają. Nigdy ich nie doceniaj. Zwłaszcza Protektorki. Już nie raz udało jej się przechytryć samą śmierć.

Tobo nie był skłonny uwierzyć ani w to, ani w niewiele więcej z naszej niezwykłej historii. Chociaż po stokroć lżej niż większość ludzi przechodził właśnie okres, w którym wiedział wszystko, co wiedzieć warto. Nic zaś, co powiedzieli starsi – zwłaszcza jeśli zawierało choćby najbledszy ślad morału – nie było warte słuchania. Nic na to nie mógł poradzić. Musiał po prostu z tego wyrosnąć.

Ja zaś miałam tyle lat, ile miałam, i nic nie mogłam poradzić na to, że mówiłam rzeczy, o których wiedziałam, iż na nic się nie przydadzą.

– Wszystko jest w Kronikach. Twój ojciec i Kapitan nie wymyślali bajeczek.

W to również nie chciał wierzyć. Nie upierałam się. Każdy z nas na własny sposób, we własnym czasie musi nauczyć się szacunku dla Kronik. Marny los, jaki przypadł teraz w udziale Kompanii, uniemożliwiał pełne uczestnictwo w tradycji. Tylko dwaj towarzysze ze Starej Gwardii wyszli cało z pułapki zastawionej przez Duszołap na kamiennej równinie i późniejszych wojen kiauluńskich – Goblin i Jednooki. Obaj są całkowicie niezdolni do przekazania mistyki Kompanii. Jednooki jest zbyt leniwy,

natomiast Goblin ma zbyt duże trudności z wysławianiem się. Ja natomiast byłam właściwie dopiero uczennicą, kiedy Stara Gwardia weszła na równinę w ślad za Kapitanem ścigającym ideę Khatovaru, którego zresztą nie odnalazł. A przynajmniej nie takiego, jakiego szukał.

To zadziwiające. Niedługo będę weteranem z dwudziestoletnią służbą. Miałam ledwie czternaście lat, gdy Ceber wziął mnie pod swoje skrzydła... Nigdy jednak nie byłam podobna do Tobo. W wieku czternastu lat od dawien dawna wiedziałam już, co to ból. W ciągu tych lat, które minęły od czasu, kiedy Ceber mnie uratował, stawałam się w istocie coraz młodsza...

– Co?

– Pytałem, dlaczego nagle zrobiłaś się taka wściekła?

– Przypominałam sobie, jak to było, kiedy miałam czternaście lat.

– Dziewczynom jest tak łatwo... – Ugryzł się w język. Twarz mu pobladła. Wyraźnie rzucało się w oczy jego północne pochodzenie. Był aroganckim i zepsutym małym gnojkiem, ale miał dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, kiedy wkracza prosto w gniazdo jadowitych węży.

Powiedziałam mu o tym, co wiedział, przemilczałem zaś to, o czym nie miał pojęcia.

– Kiedy miałam czternaście lat, Kompania i Niueng Bao zostali zamknięci w pułapce Dżajkuri. Dedzagore, jak je tutaj nazywają. – Reszta nie miała już żadnego znaczenia. Reszta spoczywała bezpiecznie pogrzebana w przeszłości. – Teraz już prawie nie mam koszmarów.

Tobo nasłuchiwał się o Dżajkurze do znudzenia już wcześniej. Jego matka, babka i Wujek Dodż też tam byli.

– Goblin twierdzi, że te pączki zrobią na nas wrażenie – wyszeptał Tobo. – I nie chodzi tylko o wielki błysk, a o to, że przemówią do sumienia.

– To doprawdy niezwykle. – Sumienie było towarem rzadkim po obu stronach barykady.

– Naprawdę znałaś mojego ojca? – Tobo słyszał przez całe życie rozmaite opowieści, ostatnio jednak najwyraźniej nabrał ochoty, by dowiedzieć się czegoś ponadto. Imię Murgena zaczęło dla niego znaczyć coś więcej niżli tylko pusty dźwięk.

Powiedziałam to, co mówiłam już wcześniej.

– Był moim szefem. Nauczył mnie czytać i pisać. Był dobrym człowiekiem. – Roześmiałam się słabo. – Na tyle dobrym, na ile można

takim być, służąc w Czarnej Kompanii.

Tobo aż przystanął. Wciągnął głęboko powietrze. Zbłądził spojrzeniem gdzieś w mrok ponad moim lewym ramieniem.

– Byliście kochankami?

– Nie, Tobo. Nie. Przyjaciółmi. Prawie. Jednak zdecydowanie nie tanto. Nie miał pojęcia, że jestem kobietą, aż do chwili poprzedzającej wymarsz na lśniąca równinę. A ja nie wiedziałam, że on wie, póki nie przeczytałam jego Kronik. Nikt nie wiedział. Myśleli, że jestem ładnym karzełkiem, który nigdy nie urośnie. Pozwoliłam im tak myśleć. Czułam się bezpieczniej, gdy uważali mnie za jednego z chłopaków.

– Aha.

Ton jego głosu był tak pozbawiony wyrazu, że nie mogłam nie zacząć się zastanawiać, o co mu właściwie chodzi.

– Dlaczego w ogóle pytasz? – Z pewnością nie miał żadnych powodów, by podejrzewać, że zanim się spotkaliśmy, zachowywałam się inaczej niż teraz.

Wzruszył ramionami.

– Tak tylko.

Coś musiało go sprowokować. Zapewne jakieś: Ciekawe czy..., które padło przypadkowo z ust Goblina lub Jednookiego podczas degustacji jednej z ich trucizn na słonie własnej roboty.

– Umieściłeś pączki za teatrykiem cieni?

– Tak mi kazano.

W teatrze cieni wykorzystuje się sylwetki kukiełek osadzone na patykach. Niektóre mają ruchome kończyny. Świeca ustawiona w tle za kukiełkami rzuca ich cienie na ekran z białego płótna. Operujący kukiełkami opowiada różnymi głosami historię. Jeśli okaże się dostatecznie zabawny, publiczność może rzucić kilka monet.

Ten lalkarz występował na tym samym miejscu już od ponad pokolenia. Spał za kulisami swej rozkładanej sceny. Dzięki temu żył znacznie lepiej niżli większość ludzkiej tłuszczy zalewającej Taglios.

Ale był donosicielem. I nie lubiliśmy go w Czarnej Kompanii.

Opowiadaną historię, jak to zazwyczaj bywa, wziął z mitologii. A konkretnie z cyklu Khadi. Występowała tam bogini o zbyt wielu ramionach, która wciąż pożerała demony.

Oczywiście cały czas chodziło o tę samą kukielkę demona. Trochę jak w prawdziwym życiu, gdzie ten sam demon zawsze niezamordowanie powraca.

Ponad dachami od zachodu majaczył jeszcze ślad koloru.

Nagle rozległ się rozdzierający skowyt. Ludzie przystanęli i zapatrzili się na jaskrawopomarańczowe światło. Jaśniejący dym chwiejnie wypełził spoza stanowiska kukielkarza. Jego pasma splatały się w dobrze znany symbol Czarnej Kompanii, zębatą czaszkę pozbawioną dolnej szczęki, ziejącą płomieniami. Szkarłatny płomień błyszczący w jej lewym oku zdawał się źrenicą, która przeszywa na wylot, poszukując tego, czego obawiasz się najbardziej.

Symbol z dymu istniał tylko przez kilka sekund. Uniósł się nie więcej niż trzy metry w górę, po czym rozwiął bez śladu. Pozostała po nim pełna lęku cisza. Powietrze zdawało się szeptać:

– Woda śpi.

Zawodzenie i rozbłysk. W powietrze uniosła się druga czaszka, tym razem srebrna z lekką nutą błękitu. Wytrzymała dłużej i uniosła się kilka metrów wyżej niż poprzednia, zanim wreszcie zniknęła. Szeptała:

– Mój brat nieodkupiony.

– Idą Szarzy! – wykrzyknął ktoś na tyle wysoki, by patrzeć ponad ludzkimi głowami. Dzięki temu, że jestem niska, łatwiej mi schować się w tłumie, równocześnie jednak zdecydowanie trudniej zorientować się, co dzieje się poza nim.

Szarzy zawsze są gdzieś blisko. Jednak wobec tego typu zająć pozostają bezradni. Takie zjawiska mogą zdarzyć się wszędzie, w każdej właściwie chwili i zazwyczaj trwają one zbyt krótko, by byli w stanie zareagować. Przyjeliśmy żelazną zasadę, w myśl której, gdy przemawiają pączki, sprawców nigdy nie powinno być w pobliżu. Szarzy doskonale zdają sobie z tego sprawę. Stąd też po prostu przespacerują się przez tłum. Protektorę należy zadowolić. Małych Szadar trzeba nakarmić.

– Teraz! – mruknął Tobo, gdy przybyli czterej Szarzy. Kukielkarz z wrzaskiem wybiegł zza sceny, zakręcił się jak fryga, spojrzął w kierunku swego teatrzyku i zamarł z szeroko otwartymi ustami. Tym razem rozbłysk nie był tak jaskrawy, ale trwał dłużej niż poprzednie. W ślad za nim dym zwinął swe sploty w bardziej skomplikowany wizerunek. Pojawił się

potwór, który popatrzył na Szadar. Jeden z Szarych bezdźwięcznie wypowiedział imię: Najassi.

Najassi był jednym z ważniejszych demonów z mitologii Szadar. Podobny, pod inną nazwą, istniał też w wierzeniach Gunni.

Najassi był wodzem wewnętrznego kręgu najpotężniejszych demonów. W religii Szadar, która stanowi herezję Vedna, jest miejsce na piekło, w którym po śmierci odbywa się kary za grzechy, jednakże opuszcza ona również istnienie piekła na ziemi w stylu Gunni, zarządzanego przez demony działające z ramienia Najassi i nasyłane na szczególnych łotrów. Mimo iż doskonale zdawali sobie sprawę, że ktoś z nich sobie szydzi, Szarzy stali niczym wrośnięci w ziemię. To było coś nowego, szczególnie dotkliwy atak z zupełnie niespodziewanej strony. A nastąpił w chwili, gdy jeszcze bardziej zjadliwe plotki kojarzyły Szarych z ohydnyymi rytuałami odprawianymi rzekomo przez Protektorę.

Dzieci znikają. Rozum podpowiada, że w mieście tak rozległym i zatłoczonym jest to rzeczą nieuchronną, nawet jeśli nie przyłoży do tego ręki żaden zły człowiek. Dzieci znikają w ten sposób, że po prostu odchodzą gdzieś i się gubią. A potworne rzeczy mogą zdarzać się nawet najlepszemu człowiekowi. Chytre, obrzydliwe plotki potrafią zmienić ślepe zło przypadku w dokonane z premedytacją zbrodnie ludzi, którym i tak nikt przecież nie ufał.

Pamięć potrafi być wybiórcza.

Cóż złego w tym, że kłamiemy trochę na temat naszych wrogów.

Tobo wykrzyknął coś obraźliwego. Zaczęłam go więc odciągać, wlokąc w stronę naszej siedziby. Pozostali przyłączyli się do niego i wkrótce już pod adresem Szarych posypały się przekleństwa i szyderstwa. Tobo zdążył jeszcze rzucić kamień, który trafił w turban jednego z Szarych.

Było zbyt ciemno, aby mogli dostrzec nasze twarze. Zaczęli sięgać po bambusowe pałki. Nastrój w tłumie powoli robił się naprawdę nieprzyjemny. Trudno było nie pomyśleć, że może naprawdę w naszym diabelskim pokazie kryło się znacznie więcej, niż można dostrzec gołym okiem. Znałam naszych oswojonych czarodziei. I wiedziałam, że Taglianie nie tracą łatwo panowania nad sobą. Potrzeba przecież mnóstwa cierpliwości i samokontroli, aby tak wielu ludzi mogło żyć razem tak nienaturalnie blisko siebie.

Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu kruków, przemykających po niebie nietoperzy, czy jakichkolwiek innych stworzeń, jakie można by uznać za szpiegów Protektorki. Po zapadnięciu zmroku ryzyko staje się jeszcze większe. Nie jesteśmy w stanie dostrzec tego, co może nas obserwować. Wzięłam Tobo pod ramię.

– Nie powinieneś tego robić. Jest już wystarczająco ciemno, aby cienie wyszły na łów.

Nie wywarło to na nim żadnego wrażenia.

– Goblin będzie zadowolony. Przesiedział nad tym dużo czasu. I wszystko tak świetnie się udało.

Szarzy dmuchnęli w gwizdki, wzywając posiłki.

Czwarty pączek oddał dymnego ducha. Ale nas już to przedstawienie ominęło. Pociągnęłam Tobo poprzez pułapki na cienie rozmieszczone pomiędzy miejscem akcji a naszą kwaterą główną. Już wkrótce będzie musiał zdrowo się tłumaczyć przed kilkoma wujkami. Tylko ci, dla których paranoja stanowi sposób na życie, dotrwają, aby zakosztować słodkiego smaku zemsty Kompanii. Tobo naprawdę potrzebował nauczki. Bystrzejszy wróg mógłby wykorzystać jego zachowanie z łatwością.

5

Natychmiast po naszym przybyciu Sahra wezwała mnie do siebie, ale nie po to, by zrugać mnie za to, że pozwoliłam Tobo podejmować głupie ryzyko, tylko abym była świadkiem realizacji kolejnego posunięcia. Być może faktycznie nadszedł czas, żeby Tobo znalazł się w sytuacji, która go przestraszy i zmusi do pójścia po rozum do głowy. Życie w podziemiu jest bezlitosne. Rzadko się zdarza, by dało ci więcej niż jedną szansę. On musi wreszcie w pełni pojąć tę prawdę.

Sahra wypytała mnie o wydarzenia w mieście, a potem zadbała również o to, by Jednooki i Goblin zaznali skutków jej niezadowolenia. Tobo nie było i nie mógł się bronić.

Czarodzieje nie przejęli się bynajmniej. Żadna czterdziestoparolatka – ot, taka dziewczynka w ich oczach – nie była w stanie onieśmielić tych żywych skamielin. Poza tym w połowie sami ponosili odpowiedzialność za psoty Tobo.

– Teraz przywołam Murgena – powiedziała Sahra. Wydawało się, że nagle zabrakło jej pewności siebie. Ostatnimi czasy rzadko z nim rozprawiała. Wszyscy zastanawialiśmy się dlaczego. Związek jej i Murgena był prawdziwym przykładem romantycznej miłości, jakby żywcem wyjętej z legendy, wraz ze wszystkimi charakterystycznymi motywami, włączywszy w to sprzeciw wobec woli bogów, rozczarowanych rodziców, rozpaczliwą rozłąkę i połączenie, intrygi wrogów i tak dalej. Pozostawała jeszcze chyba tylko wyprawa jednego na ratunek drugiemu do krainy umarłych. A w chwili obecnej Murgen, dzięki uprzejmości szalonej czarownicy, Duszołap, tkwił w całkiem niezłym lodowatym piekle. On i wszyscy Uwięzieni żyli wciąż, pogrążeni w magicznej stazie, pod powierzchnią równiny lśniącego kamienia, w miejscu i warunkach znanych nam wyłącznie dzięki temu, że Sahra była zdolna przywoływać ducha Murgena.

Może sama staza była źródłem problemu? Z każdym dniem Sahra stawała się coraz starsza. Dla Murgena czas nie płynął. Może zaczęła się obawiać, że zanim uwolnimy Uwięzionych, będzie już starsza od jego matki?

To smutne, ale po latach studiów zrozumiałam, że większość wydarzeń historycznych tak naprawdę sprowadza się do kwestii osobistych, takich jak ta, nie zaś pościgu za wzniosłymi ideami.

Dawno temu Murgen nauczył się opuszczać swe ciało podczas snu. Do teraz zachował poniekąd tę zdolność, lecz niestety, została ona ograniczona uwarunkowaniami jego pułapki. Był całkowicie pozbawiony możliwości dokonania czegokolwiek poza obszarem groty starożytnych, o ile nie został wezwany przez Sahrę albo – taka możliwość też istniała i sama myśl o niej wywoływała w nas dreszcz – przez jakiegokolwiek innego nekromantę, który wiedziałby, jak doń dotrzeć.

Duch Murgena był idealnym szpiegiem. Nikt poza naszym kręgiem, chyba tylko prócz jedynej Duszołap, nie byłby w stanie wykryć jego obecności. Murgen donosił nam o każdej intrydze naszych wrogów – a przynajmniej o tych, których istnienie jawiło nam się w sposób dostatecznie przekonujący, aby poprosić Sahrę o zbadanie sprawy. Cała procedura była kłopotliwa i miała swoje ograniczenia, jednak mimo to Murgen stanowił naszą najsilniejszą broń. Nie przeżylibyśmy bez niego.

A Sahra wzywała go z coraz większą niechęcią.

Bogowie jedni wiedzą, jak trudno jest zachować wiarę. Wielu z naszych braci utraciło ją, a potem z każdym dniem odsuwali się od nas, ginąc gdzieś w chaosie imperium. Niektórzy może odzyskają dawny zapał, jeśli odniesiemy jeden czy dwa wyraźne sukcesy.

Minione lata okazały się bolesne dla Sahry. Straciła trójkę dzieci – ból, którego żaden kochający rodzic nie powinien znosić. Ich ojca straciła również, ale nie przysporzyło jej to zbyt wielkiego cierpienia. Żaden z tych, którzy go pamiętali, nie potrafił powiedzieć o nim dobrego słowa. Cierpiała z nami wszystkimi podczas oblężenia Dżajkuru.

Może Sahra – i cały lud Niueng Bao – rozgniewali Gangeszę. A może ten bóg, mający kilka słonich głów, po prostu bawił się kosztem swych wiernych? Wiadomo, że Kina lubowała się w takich właśnie rzeczach.

Goblin i Jednooki nie uczestniczyli zazwyczaj w obrzędzie wywoływania Murgena przez Sahrę. Nie potrzebowała ich pomocy. Zakres

magicznych zdolności, jakimi dysponowała, był wąski, ale nie brakowało im siły, ci dwaj zaś potrafili narobić kłopotów nawet wówczas, gdy starali się zachowywać właściwie.

Obecność tych żywych skamielin akurat teraz, tutaj, upewniła mnie, że szykuje się coś niezwykłego. Obaj byli tak starzy, że przy życiu utrzymywały ich jedynie czarodziejskie umiejętności. Jednooki, jeśli Kroniki nie kłamały, dawno skończył dwieście lat. Jego nieodłączny towarzysz jest młodszy o niecały wiek.

Żaden nie jest szczególnie rosły. I bardzo dobrze. Obaj są niżsi ode mnie. I nigdy nie byli wyżsi. Nawet zanim zmienili się w wyschnięte stare truchła, co nastąpiło zapewne, kiedy mieli mniej więcej koło piętnastu lat. Nie potrafiłam sobie wyobrazić Jednookiego inaczej jak starego. Musiał się już stary urodzić. I nosił najwstrętniejszy i najbardziej parszywy czarny kapelusz, jaki świat kiedykolwiek oglądał.

Może Jednooki nie jest w stanie umrzeć, ponieważ ciąży na nim przekleństwo tego kapelusza? Może kapelusz używa go jako swego rumaka, od którego przetrwania zależy także jego istnienie?

Ten popękany, śmierzący kawał złachmanionego filcu trafi do najbliższego ognia, zanim zwłoki Jednookiego skończą podrygiwać. Wszyscy nienawidzą tego kapelusza.

W szczególności zaś nie znosi go Goblin. Czepia się go za każdym razem, gdy wda się w sprzeczkę z Jednookim, co przydarza się mniej więcej tak często, jak się spotykają.

Jednooki jest mały, czarnoskóry i pomarszczony. Goblin jest mały, biały i pomarszczony. Ma twarz jak zaschnięty pysk ropuchy.

Jednooki wspomina o tym w każdej kłótni, zdarzającej się zawsze, gdy tylko znajdą widownię, z której nikt nie ma tyle odwagi, by się wtrącić.

Jednak kiedy Sahra jest w pobliżu, starają się zachowywać przyzwoicie ze wszystkich sił. Ta kobieta ma jakiś dar. Potrafi wydobyć z ludzi ich najlepsze cechy. Wyjątkiem jest jej matka. Chociaż prawdę mówiąc, to Trollica bywa o wiele gorsza, kiedy córki nie ma w pobliżu.

Naprawdę jesteśmy szczęśliwi, nie musząc nazbyt często widywać Ki Goty. Okrutnie dokuczają jej stawy. Angażujemy Tobo do opieki nad nią, cynicznie wykorzystując szczególną niewrażliwość, jaką okazuje wobec jej jadu. Młodziak jest zresztą jej oczkiem w głowie – co z tego, że jego ojciec był jakąś obcą gnidą.

– Oni twierdzą, że znaleźli skuteczniejszy sposób materializacji Murgena. – Sahra zwróciła się do mnie. – Tak że będziemy mogli rozmawiać z nim bezpośrednio. – Zazwyczaj Sahra, przyzywając go, musiała komunikować się z nim sama. Mnie zupełnie brakowało spirytystycznego ucha.

– Jeśli będziecie w stanie przywołać go w postaci na tyle silnej, żeby pozostali mogli go zobaczyć i usłyszeć, to Tobo również powinien przy tym być – odparłam. – Ostatnio zaczął zadawać mi mnóstwo pytań na temat ojca.

Sahra spojrzała na mnie dziwnie. Próbowałam coś jej przekazać, ale ona w ogóle nie pojmowała, o co mi chodzi.

– Chłopak powinien poznać swego starego – wycharczał Jednooki. Spojrzał na Goblina, czekając tylko, by jego słowem zaprzeczył człowiek, który swojego ojca nie poznał w ogóle. Było to dla nich typowe. Zaczęć sprzeczkę, nie dbając o takie drobiazgi, jak fakty albo zdrowy rozsądek. Spór o to, czy warci są kłopotów, jakie sprawiają, ciągnął się od pokoleń.

Tym razem Goblin się pohamował. Swoją replikę zachował na czas, kiedy Sahry nie będzie w pobliżu i nie będzie mogła zawstydzić go apelem do rozumu.

Sahra skinęła na Jednookiego.

– Ale najpierw muszę się przekonać, czy wasz patent naprawdę zadziała. Jednooki zaczął nadymać się od razu. Ktoś ośmielił się zaproponować test połowy jego magii? Dajcie spokój! Zapomnijcie o tym, co było. Tym razem...

– Nie zaczynaj – ostrzegłam.

Czas wywarł na Jednookim swe piętno. Staruch nie do końca mógł już polegać na własnej pamięci. A ostatnio zdradzał skłonność do całkowitej dekoncentracji w samym środku wykonywanej czynności. Albo nie pamiętał powodu, dla którego właśnie wydzierał się na kogoś. Tym sposobem, niekiedy całkiem beznadziejnie, przeczył sam sobie.

Był już tylko bladym cieniem tego wyschniętego starego antyku, jakim go poznałam, choć dzięki własnej mocy wciąż jeszcze jakoś funkcjonował. Jednak w połowie każdej wyprawy zapominał, dokąd właściwie zmierzał. Co prawda niekiedy wychodziło mu to na dobre, zazwyczaj wszakże sprowadzało kłopoty. Kiedy było trzeba, Tobo dbał o to, by Jednooki dotarł do celu. On też przepadał za dzieciakiem.

Rosnąca słabość małego czarodzieja sprawiała, że łatwiej było utrzymać go w domu, z dala od pokus miasta. Jedna chwila nieuwagi mogła przecież zgubić nas wszystkich. A Jednooki nigdy właściwie nie pojął do końca, na czym polega dyskrecja.

Goblin zachichotał, gdy zobaczył, że Jednooki ustępuje.

– Czy wy dwaj moglibyście się wreszcie skoncentrować na tym, co macie zrobić? – zaproponowałam. Prześladował mnie strach, że pewnego dnia Jednooki zaśnie w środku jakiegoś śmiertelnie groźnego zaklęcia, a nas zaleje horda demonów albo lawina krwiożerczego robactwa, wściekłego, że wyrwano je z jakiegoś bagna odległego o tysiące kilometrów. – To naprawdę ważne.

– To zawsze jest ważne – gderał Goblin. – Nawet kiedy to tylko: Goblin, nie mógłbyś mi pomóc, bo jestem zbyt leniwa, żeby sama wypolerować srebra? Brzmi to tak, jakby świat się kończył. Wszystko jest niby zawsze takie ważne? Hmm!

– Widzę, że jesteś dziś wieczór w dobrym nastroju.

– Miau!

Jednooki zwlókł się z krzesła. Wsparł się na lasce, wymruczał jakąś niepochlebną uwagę pod moim adresem i powłócząc nogami, poczłapał do miejsca, gdzie stała Sahra. Zapomniał, że jestem kobietą. Kiedy o tym pamiętał, bywał znacznie mniej nieprzyjemny, chociaż nigdy przecież nie oczekiwałam wyjątkowego traktowania wyłącznie dlatego, że miałam nieszczęście się nią urodzić.

Od dnia, kiedy zaczął chodzić o lasce, Jednooki stał się groźny w zupełnie nowy sposób. Zwykł bić nią ludzi. Albo ich żgać. Bez przerwy zasypiał to tu, to tam, ale nigdy nie można było być pewnym, czy drzemka nie jest udawana. Jeśli tylko symulował, koniec laski w każdej chwili mógł zaplątać się między czyjeś nogi.

Jednak tak naprawdę baliśmy się, że Jednooki długo już nie pociągnie. Bez niego nasze szanse na uniknięcie wykrycia zmniejszyły się dramatycznie. Goblin z pewnością starałby się jak tylko potrafi, ale sam byłby po prostu niewiele znaczącym czarodziejem. Nasza sytuacja wymagała zaś pracy co najmniej dwóch takich jak oni, i to w szczytowej formie.

– Zaczynaj, kobieto – zgrzytnął zębami Jednooki. – Goblin, ty bezwartościowy worku żucznych glutów, dasz wreszcie te rzeczy tutaj? Nie

mam zamiaru sterczeć tak przez całą noc.

Sahra już rozstawiła dla nich stół. Sama nie używała żadnych instrumentów pomocniczych. W określonym momencie po prostu koncentrowała swe myśli na osobie Murgena. Kontakt nawiązywała zazwyczaj szybko. W czasie, gdy trapiły ją miesięczne dolegliwości i kiedy obniżała się jej wrażliwość, zwykła śpiewać w Niueng Bao. W przeciwieństwie do niektórych braci z Kompanii mam kiepski słuch językowy. Z Niueng Bao nie rozumiem prawie nic. Jej piosenki z pozoru brzmiały jak kołysanki. Niewykluczone jednak, że ich słowa niosły jakąś głębszą treść. Wujek Dodż przez cały czas mówił zagadkami, upierając się równocześnie, że sens jego słów byłby dla nas całkowicie jasny, gdybyśmy tylko zechcieli nadstawić ucha.

Wujek Dodż zazwyczaj przebywa gdzie indziej. Dzięki Bogu. Ma jakieś własne plany – aczkolwiek nawet on sam nie wie chyba do końca, o co mu chodzi. Jego świat powoli odchodzi w przeszłość i zmienia się w sposób, którego on chyba nie akceptuje.

Goblinowi udało się przytargać do stołu worek pełen różnych przedmiotów, nie pomstując na okropne maniere Jednookiego. Ostatnimi czasy coraz częściej odpuszczał staruszkowi, niby tylko przez wzgląd na skuteczność podejmowanych działań. Zatem gdy w grę nie wchodziła praca, nie marnował czasu na wypowiedanie swych opinii.

Nawet kiedy pracowali razem, jak teraz, rozkładając narzędzia, zaraz zaczynali się sprzeczać o właściwe położenie praktycznie każdego instrumentu. Miałam ochotę dać im klapsa, jakby byli rozdokazywanymi czterolatkami.

Sahra zaczęła śpiewać. Miała piękny głos. Nie powinna go tak zaniedbywać i używać wyłącznie w tego rodzaju celach. Chociaż w ścisłym tego słowa znaczeniu nie uprawiała bynajmniej nekromancji. Nie nakazywała Murgenowi absolutnego posłuszeństwa, nie wywoływała też jego ducha – Murgen wciąż gdzieś tam żył. Tylko jego duch, zwabiony inwokacją, opuszczał grób.

Żałowałam, że pozostałych Uwięzionych nie da się też przywołać. Zwłaszcza Kapitana. Potrzebowaliśmy odrobiny natchnienia.

W przestrzeni między Goblinem a stojącym po przeciwnej stronie stołu Jednookim zaczął formować się jakby obłoczek drobnutkiego pyłu. Nie, to

nie był pył. Ani dym. Dotknęłam palcem, posmakowałam. To była delikatna, chłodna, wodna mgiełka. Goblin rzekł do Sahry:

– Jesteśmy gotowi.

Brzmienie jej głosu zmieniło się. Zadźwięczały w nim niemalże czułe tony. Ale sens słów umykał mi jeszcze bardziej niż poprzednio.

W powietrzu między dwoma czarodziejami zmaterializowała się twarz Murgena, drżąc niczym odbicie na wzburzonej powierzchni stawu. Byłam zaskoczona, nie tyle samą magią, ile jego widokiem. Wyglądał identycznie, jak go zapamiętałam, na jego obliczu nie było ani jednej nowej zmarszczki. A przecież żadne z nas nie wyglądało już tak jak dawniej.

Sahra zaczynała powoli przypominać swoją matkę z czasów Dżajkuru. Oczywiście nie była tak masywnie zbudowana. No i nie kołysała się, chodząc, co u tamtej stanowiło efekt dokuczających stawów. Niemniej jej piękno szybko przemijało. Doprawdy cud, że ta zazwyczaj szybko zanikająca cecha kobiet Niueng Bao u niej utrzymała się tak długo. Słowem o niczym nie wspomniała, aczkolwiek takie myśli nieraz wyraźnie przychodziły jej do głowy. Miała w sobie odrobinę próżności, lecz zasługiwała na to.

Zaiste, czas jest najbardziej niegodziwym pośród wszystkich łotrów.

Murgen nie był zadowolony, że się go wzywa. Obawiałam się, że cierpi, czując niepokój dręczący Sahrę. Przemówił, a ja nie miałam najmniejszych kłopotów ze zrozumieniem go, choć jego głos był tylko eterycznym szeptem.

– Śniłem. Jest takie miejsce... – Jego irytacja rozwiewała się powoli. Zastąpiło ją najczystsze przerażenie. I ja wiedziałam, że śnił o miejscu kości, które pojawia się w Kronikach spisanych jego ręką. – Biały kruk... –

Rzeczywiście chyba mieliśmy problem, skoro wołał snuć się po sennych marach Kiny, niżli zakosztować bodaj cienia prawdziwego życia.

– Jesteśmy gotowi do działania – poinformowała go Sahra. – Radisza zwołała niedawno zebranie Tajnej Rady. Zobacz, czym się zajmują. Upewnij się, czy Łabędź jest obecny. – Oblicze Murgena rozwiało się we mgle. Sahra popatrzyła za nim smutno. Goblin i Jednooki zaczęli pomstować na chorążego, że odszedł tak szybko.

– Widziałam go – powiedziałam. – Świetnie. Słyszałam go również. Dokładnie tak, jak zawsze sobie wyobrażałam, że duch przemówi.

Goblin wyszczerzył się i odparł:

– To dlatego, że słyszałaś to, co spodziewałaś się usłyszeć. Wiesz dobrze, że tak naprawdę żaden dźwięk nie docierał do twoich uszu.

Jednooki skrzywił się. Nigdy nic nikomu nie wyjaśniał. Chyba że tłumaczył się przed Ki Gotą, kiedy przyłapała go na wślizgiwaniu się do domu w środku nocy. Wówczas potrafił stworzyć opowieść tak zawiłą jak sama historia Kompanii.

Sahra przemówiła głosem wyraźnie zdradzającym trud skrywania przepełniającej ją goryczy:

– Może wpuścić Tobo do środka? Wiemy już, że nie będzie żadnych wybuchów ani ognia, a wam udało się wypalić tylko dwie dziury w blacie stołu.

– Bezpodstawne zarzuty! – oznajmił Jednooki. – Stało się tak tylko dlatego, że ten oto Żabi Pysk...

Całkowicie zignorowała jego słowa.

– Tobo może zapisywać, co Murgen ma nam do powiedzenia. Żeby Ospała wykorzystała to później. Już czas, byśmy przekuli słowa na czyny. Wyślij posłańca, jeśli Murgen odkryje jakieś niebezpieczeństwo.

Taki był plan. Wówczas odnosiłam się doń z jeszcze mniejszym entuzjazmem niż teraz. Chciałam zostać i porozmawiać ze starym przyjacielem. Ale cała rzecz była znacznie poważniejsza niżli jakiegokolwiek spotkanie po latach. Ważniejsza niż wiedza o losach Cebra.

6

Murgen przemykał po pałacu niczym duch. Porównanie to wzbudziło w nim niejake rozbawienie, ale tak naprawdę już nic nie potrafiło go rozśmieszyć. Półtorej dekady spędzone w grobie może doszczętnie pozbawić poczucia humoru.

Pałac, który zawsze przypominał spiętrzoną stertę kamieni, w niczym nie zmienił swego charakteru. Cóż, może na korytarzach było jeszcze więcej kurzu, a budynek coraz rozpaczliwiej wymagał remontu. Wszystko dzięki Duszołap, która nie lubiła tłumów ludzi pałętających się pod nogami. Większość wcześniej zatrudnionej, etatowej służby pałacowej została odprawiona, a na jej miejsce przyjmowano od czasu do czasu przypadkowych pracowników, którym płacono dniówki.

Gmach pałacu wznosił się na szczycie sporego wzgórza. Każdy kolejny władca Taglios – pokolenie za pokoleniem – rozbudowywał go, nie dlatego, by zyskać więcej przestrzeni, ale by pozostać w pamięci potomnych i podtrzymywać tradycję. Taglianie żartowali, że za kolejne tysiąc lat nie będzie już miasta, tylko bezkresne kilometry kwadratowe pałacu. W większości zrujnowanego.

Radisza Drah, oswoiwszy się z faktem, że jej brat Prabrindrah Drah zaginął podczas wojen z Władcami Cienia, dodatkowo zmobilizowana groźbą wzbudzenia gniewu Protektorki, ogłosiła się głową państwa. Tradycjoniści ze wspólnot wyznaniowych nie chcieli kobiety u władzy, jednakże dla nikogo nie było tajemnicą, iż ta właśnie kobieta od lat już faktycznie piastowała tę funkcję. Zarzucane jej wady dawały się zasadniczo wytłumaczyć ambicjami jej krytyków. W zależności od tego, kto wygłaszał negatywną opinię, miała popełnić jeden z dwu wielkich błędów. Tudzież oba naraz. Pierwszym była zdrada Czarnej Kompanii, skoro przecież powszechnie było wiadomo, że nikt nigdy na takiej zdradzie nie zyskał. Drugim – szczególnie chętnie wypominanym przez wyższych kapłanów – sam fakt najęcia Czarnej Kompanii na służbę. Sam terror Władców Cienia,

starty w międzyczasie, za sprawą Kompanii właśnie, nie stanowił kontrargumentu dla żadnej z bieżących zasług.

Wraz z Radiszą w komnacie spotkań Rady znajdowało się kilka osób niezadowolonych z oczywistych względów. Spojrzenie obserwatora automatycznie wędrowało najpierw ku Protektorce. Duszołap wyglądała dokładnie tak samo jak zawsze: szczupła, o nieokreślonej płci, a jednak zmysłowa, w czarnej skórze, czarnej masce, czarnym hełmie i czarnych skórzanych rękawicach. Siedziała za Radiszą, nieco wysunięta w lewo, spowita kurtyną cienia. Choć nie podkreślała swej obecności w żaden szczególny sposób, jasne było, kto podejmuje ostateczne decyzje. Z każdą kolejną godziną, każdego dnia Radisza znajdowała nowe powody, by żałować, że pozwoliła akurat temu konkretnemu wielbłądowi wsadzić pysk do swego namiotu. Koszty próby uchylecia się od wywiązania się z nieszczęsnej obietnicy złożonej Czarnej Kompanii były już nie do zniesienia. Z pewnością dotrzymanie danego słowa nie byłoby tak bolesne. Cóż gorszego mogłoby się bowiem zdarzyć od cierpień, jakie musiała znosić obecnie, gdyby razem z bratem pomogła jednak Kapitanowi znaleźć drogę do Khatovaru?

Po obu jej stronach, przy pulpitych, zwróceni do siebie twarzami, w odległości czterech i pół metra stali skrybowie, usiłujący dzielnie notować wszystko, co zostało powiedziane. Jedna grupa służyła Radiszy. Drugą zatrudniała Duszołap. Od czasu do czasu, już po fakcie, wybuchały spory w kwestii treści decyzji podjętych podczas posiedzenia Tajnej Rady.

Obie kobiety miały naprzeciw siebie stół z blatem długim na trzy i pół i szerokim na metr dwadzieścia. Za tym ze wszech miar niedostatecznym szańcem zasiadali czterej mężczyźni. Wierzba Łabędź zajmował pozycję u lewego krańca. Jego wspaniałe niegdyś blond loki posiwiały i straciły połysk. Na czubku głowy wyraźnie już się przerzedzały. Łabędź był obcokrajowcem. Łabędź był jednym kłębkim nerwów. Łabędź miał robotę, której wcale nie chciał, ale z której nie potrafił zrezygnować. Łabędź jechał na grzbiecie tygrysa.

Wierzba Łabędź dowodził Szarymi. W oczach opinii publicznej. W rzeczywistości ledwie można go było określić mianem figuranta. Jeśli już zdarzało mu się otworzyć usta, wychodziły z nich słowa Duszołap. Jednak nienawiść ludu, której przedmiotem zasłużenie winna być Protektorka, skupiała się na Wierzbie Łabędziu.

Obok Łabędzia zasiadali za stołem trzej poganiacze niewolników – wyżsi kapłani, którzy swą pozycję zawdzięczali łasce Protektorki. Wszystko to byli mali ludzie do wielkich zadań. Ich obecność na zebraniach Rady była sprawą czysto formalną. Nie brali udziału w żadnych dyskusjach, chociaż mogli wysłuchiwać poleceń. Ich funkcja sprowadzała się do wyrażania zgody i poparcia dla Duszołap, jeśli tej zdarzyło się przemówić. Co ważne, wszyscy trzej wywodzili się z kultów Gunni. Chociaż Protektorka wykorzystywała Szarych jako narzędzie swej woli, Szadar nie mieli głosu w Radzie. Podobnie jak Vedna. Wierni wywodzący się spośród tej ostatniej mniejszości burzyli się nieomal bezustannie, ponieważ Duszołap uzurpowała sobie większość cech przynależnych jedynie ich bogu, Vedna zaś byli beznadziejnie monoteistyczni i uparcie nie chcieli zrezygnować z żadnego spośród swych dogmatów.

W gruncie rzeczy, rozdygotany i nerwowy Łabędź był człowiekiem dobrym. Kiedy tylko mógł, ujmował się za Szadar.

W pomieszczeniu znajdowali się jeszcze dwaj mężczyźni, ważniejsi zdecydowanie od trzech wspomnianych. Siedzieli na wysokich stołkach za wysokimi pulpitemi umieszczonymi z tyłu stołu i spoglądali na wszystkich z góry, niczym dwa wychudzone stare sępy. Swoje stanowiska piastowali jeszcze przed nastaniem Duszołap, która jak dotąd nie znalazła odpowiedniego pretekstu, by pozbyć się ich, choć nierzadko ją irytowali.

Pulpit po prawej stronie należał do Generalnego Inspektora Archiwów Czandry Gokhale. Trudno o bardziej mylący tytuł. Nie był on żadnym słynącym z sumienności urzędnikiem. Pod jego kontrolą pozostawały finanse i większość robót publicznych. Był stary, łysy, chudy jak wąż i dwakroć bardziej od niego podstępny. Swą pozycję zawdzięczał ojcu Radiszy. Jego urząd należał do mniej ważnych, póki nie nadeszły wojny z Władcami Cienia. Wówczas wpływy jego biura i posiadana władza rozrosły się niepomiernie. A Czandra Gokhale nie wahał się ani chwili przed połknięciem nowego kęsa biurokratycznej władzy, jaki trafił mu w ręce. Był lojalnym zwolennikiem Radiszy i zagorzałym wrogiem Czarnej Kompanii. Należał jednak do typu postaci, które gdy tylko dostrzegą przed sobą nowe korzyści, w jednej chwili zmieniają poglądy jak kameleon.

Człowiek zajmujący miejsce za pulpitem stojącym po lewej stronie wydawał się dużo bardziej złowrogi. Ardżana Drupada był kapłanem kultu Ravi-Lemna, ale próżno byłoby szukać w nim choć kropli braterskiej

miłości. Nazwa jego oficjalnego tytułu brzmiała Pjurojita, co oznaczało, że w mniejszym lub większym stopniu pełnił funkcję nadwornego kapelana. W rzeczywistości reprezentował na dworze prawdziwy głos kapłaństwa. Kapłani wymusili na Radiszy jego obecność w czasach, gdy czyniła rozpaczliwie ustępstwa, chcąc zdobyć wszelkie możliwe poparcie. Podobnie jak Gokhale, Drupada bardziej był zainteresowany posiadaniem władzy niżli działaniami mającymi na celu dobro Taglios. Chociaż trudno było uważać go jedynie za cynicznego manipulatora. Jego częste filipiki dawały się we znaki Protektorce bardziej niż bezustanne a niejasne protesty finansowe Generalnego Inspektora. Drupada słyszał ze zwichrzonych, wściekle białych włosów. Oplatały jego głowę niczym nawrzucony przez szaleńca stóg siana, któremu nie dane było zapoznać się z zaletami grzebienia.

Jedynie Gokhale i Drupada zdawali się nie zdawać sobie sprawy z tego, że ich dni są policzone. Protektorka Wszystkich Taglian nie kochała ich bynajmniej.

Ostatni członek Rady był akurat nieobecny, co wcale nie było rzeczą niezwykłą. Wielki Generał, Mogaba, wolał przebywać w polu, nękając tych, w których kazano mu upatrywać wrogów. Wewnętrzne walki w pałacu napawały go obrzydzeniem.

Jednak teraz uwagę wszystkich zaprzętało co innego. Pojawiły się pewne incydenty. Należało przesłuchać świadków. Protektorka była niezadowolona.

Wierzba Łabędź podniósł się z miejsca. Skinieniem dłoni przywołał sierżanta Szarych, który dotąd krył się w ciemnościach za plecami dwóch starców.

– Oto Dziopal Singh. – Nikt nie zwrócił uwagi na niezwykle imię. Zapewne jakiś konwertyta. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. – Jego oddział patroluje teren sąsiadujący z pałacem od strony północnej. Dzisiejszego popołudnia ktoś z ludzi Singha odkrył młynek modlitewny na jednym z pomników pamięci obok północnego wejścia. Do ramion młynka przyczepionych było dwanaście kopii tej oto sutry.

Łabędź zrobił prawdziwe przedstawienie, tak obracając w dłoniach małą karteczkę, aby światło padało na pokrywające ją pismo. Krój liter z pozoru przypominał styl eklezjalny. Jednak ostatecznie i tak nie udało mu się

zamaskować własnej indolencji. Trzymał kartkę do góry nogami. Wszelako, referując treść tekstu, nie popełnił błędu.

– Radzadharna. Powinność Królów. Abyście to wiedzieli: Władza królewska na zaufaniu polega. Król jest najwyżej wyniesionym, ale i najbardziej pokornym sługą ludu.

Łabędź nie rozpoznał cytatu. Tekst był tak stary, że niektórzy uczeni przypisywali jego autorstwo temu lub innemu Panu Światła, a czas powstania datowali na epokę, gdy bogowie nadawali prawa ojcom ludzkości. Jednak Radisza Drah znała go. Pjurojita również. Za murami pałacu ktoś właśnie wznosił strofujący palec.

Duszołap pojęła przesłanie. Jak również to, do kogo było adresowane.

– Tylko mnich boodyjski mógł wpaść na pomysł nękania tego domu. – Ten pacyfistyczny, moralistyczny kult był młody i wciąż miał niewielu wyznawców. Nadto ucierpiał w latach wojny niemalże równie dotkliwie, co zwolennicy Kiny. Adeptci boodyjscy wyrzekali się nawet samoobrony. – Chcę dostać człowieka, który to zrobił. – Wypowiedziała te słowa głosem swarliwego starca.

– Hm... – odparł Łabędź. Spieranie się z Protektorką nie było rzeczą rozsądną, jednak zadanie wykraczało poza kompetencje Szarych.

Jedną z najbardziej drażniących cech Duszołap była jej pozorna umiejętność czytania w myślach. Tak naprawdę, rzecz jasna, nie potrafiła tego robić, nigdy jednak nie dementowała podejrzeń zbyt zdecydowanie. Nieporównywalnie wygodniej było pozwolić ludziom wierzyć w to, co zechcą.

– Skoro jest boodystą, doprowadzimy do tego, że sam się odda w nasze ręce. Nie trzeba będzie żadnego śledztwa. – Zwróciła się do Łabędzia.

– Hę?

– Jest takie drzewo, bardzo stare i szacowne, czasami nazywane Drzewem Boodiego. Rośnie w wiosce Semczy. Oświecony Boodi zdobył sławę, próżnując w jego cieniu, i dlatego wyznawcy Boodiego uważają je za swoją najcenniejszą relikwię. Powiedz im, że zrobię z ich świętości stos drewna na podpałkę, jeśli człowiek, który wyskrobał tę modlitwę, nie stawi się przede mną. I to zaraz. – Tym razem Duszołap użyła głosu drobiazgowej, mściwej staruchy.

Murgen odnotował sobie w pamięci sugestię dla Sahry – należy zrobić wszystko, by winny nie dotarł do Protektorki. Profanacja miejsca czci

przysporzy Duszołap tysięcy dalszych wrogów.

Wierzba Łabędź chciał coś powiedzieć, ale Duszołap weszła mu w słowo.

– Nie dbam o to, czy oni mnie nienawidzą, Łabędź. Interesuje mnie tylko, żeby robili, co każę im robić i kiedy im każę. W każdym razie boodyści i tak nie będą podnosić dłoni przeciw mnie. To mogłoby poważnie zepsuć ich karmę.

Protektorka była bardzo cyniczna.

– Zajmij się tym, Łabędź.

Łabędź westchnął.

– Dziś wieczorem znowu odbyły się te imprezy z dymem. Jedna z nich była znacznie okazalsza, niż którakolwiek z dotąd widzianych. I znowu za każdym razem ukazywało się godło Czarnej Kompanii. – Przedstawił kolejnego świadka Szadar, który opowiedział o tym, jak tłum próbował go ukamienować, ale słowem nie wspomniał o demonie Najassi.

Wieści nikogo specjalnie nie zaskoczyły. Przecież to był jeden z głównych powodów zwołania Rady. Radisza prowadziła przesłuchanie dalej bez szczególnego zainteresowania.

– Jak to się stało? Dlaczego nie można było położyć kresu zajściu? Masz przecież ludzi na każdym rogu ulicy. Czandra? – Szukała poparcia u człowieka, który wiedział dokładnie, ile kosztuje utrzymanie służb porządkowych.

Gokhale iście cesarskim gestem skłonił głowę.

Póki Radisza prowadziła przesłuchanie, Łabędź z łatwością utrzymywał nerwy na wodzy. Ona nie potrafiła zadać mu bólu w sposób, którego nie zaznałby do tej pory. Nie potrafiła go skrzywdzić jak Protektorka.

– Byłaś tam, na zewnątrz? – Zapytał w pewnym momencie – Możesz przecież przebrać się i wyjść. Niczym Saragoz z bajki. Na każdej ulicy są tłumy ludzi. Tysiące tam śpią. Pasaże i zaułki zasłane są ludzkimi nieczystościami. Czasami ciżba bywa tak gęsta, że mogłabyś zamordować kogoś w odległości trzech metrów od moich strażników i nikt by niczego nie zauważył. Ci, którzy bawią się w te rzeczy, nie są przecież głupi. Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z niedobitkami Czarnej Kompanii, to o głupotę posądzać ich nie można. Przetrwali wszystko, co im zgotowaliśmy. Używają tłumów w charakterze osłony, dokładnie w taki sam sposób, jak w polu używaliby skał, drzew i krzaków. Nie noszą

mundurów. Nie wyróżniają się spośród innych. Nie są już obcy. Jeśli rzeczywiście chcesz ich przygwoździć, to najlepiej od razu ogłoś, że od dzisiaj wszyscy mają nosić śmieszne czerwone kapelusze. – Nerwy Łabędzia powoli zaczynały puszczać. Ale powodem tego nie były uwagi Radiszy. Duszołap, przemawiając wcześniej jej ustami, ogłosiła wiele podobnie absurdalnych proklamacji. – Jeśli założyć, że przyswoili sobie doktrynę wojskową Kompanii, to w momencie gdy formowały się godła z dymu, z pewnością nie było ich w pobliżu. Przypominam zresztą, że do końca nie znamy ich autorów.

Z gardła Duszołap wydobył się głęboki jęk. W ten sposób wyraziła swe poważne powątpiewanie, czy Łabędź ma w ogóle pojęcie o czymkolwiek. Jego nerwy zafalowały niczym płomień gasnącej świecy. Zaczął się pocić. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest to spacer nad przepaścią w towarzystwie zupełnej wariatki. Tolerowano go niczym rozpieszczone zwierzątko domowe, tylko z powodów znanych samej czarownicy czasami kierującej się w swych działaniach racją zwykłego kaprysu, który chwilę później mógł przybrać zupełnie inną formę.

Nie był niezastąpiony. Wielu już oddalono. Duszołap nie dbała o fakty, nieprzewyciężalne przeszkody, czy też przypadkowe zbiegi okoliczności. Interesowały ją tylko rezultaty.

– Na plus należy odnotować, że nie ma doniesień, nawet od naszych najbardziej gorliwych informatorów, z których wynikałoby, iż ta działalność stanowi coś więcej niż tylko szereg drobnych naruszeń porządku – zaczął służalczo. – Nawet jeśli miałyby stać za tym niedobitki Czarnej Kompanii... i nawet uwzględniając eskalację działań z dzisiejszego wieczoru...

– I nigdy z niczym więcej nie będziemy mieli do czynienia. – Duszołap mówiła głosem śmiałej nastolatki. – Nie stać ich na nic więcej prócz gestów. Stracili ducha, kiedy pogrzebałam ich przywódców. – Wypowiedziała to wszystko władcym, męskim głosem, najwyraźniej należącym do kogoś, kto przywykł do bezdyskusyjnego posłuszeństwa. Ale ze słów tych można było wyciągnąć wniosek, że ostatecznie nie sposób wykluczyć, iż żołnierze Kompanii mimo wszystko wciąż żyją, co zresztą znalazło odbicie w szczególnej intonacji końcowych partii zdania. W kwestii wydarzeń na równinie lśniącego kamienia istniały wątpliwości,

których sama Duszołap nie potrafiła rozproszyć. – Zacznę się martwić, kiedy tamci zmartwychwstaną.

Zatem nie wiedziała.

Prawdę mówiąc, przebiegu wydarzeń na równinie nikt wówczas nie kontrolował. Ucieczka jej i Łabędzia była kwestią czystego przypadku. Jednak Duszołap należała do tych, którzy wierzą, że łaskawa życzliwość Fortuny należy się im z mocy urodzenia.

– Zapewne masz rację. Cała sprawa zaś odgrywała rolę wyłącznie marginalną, jeśli dobrze pojąłem, co sugerujesz.

– Działają tu inne siły – powiedziała Duszołap. Był to głos wieszczki, pełen ukrytych znaczeń.

– Pojawiły się doniesienia o Oszustach – oznajmiła Radisza, zaskakując tym wszystkich, także bezcielesnego szpiega. – Otrzymałam ostatnio raporty z Dedzagore, Meldermaj, z Ghodza i Dandzil o ludziach zamordowanych wedle sposobu Dusicieli.

Najszybciej doszedł do siebie Łabędź.

– W typowej robocie Dusicieli tylko zabójcy wiedzą, co się stało. To nie są mordercy. Ciała powinny zostać pogrzebane w jakimś świętym miejscu, zgodnie z religijnym rytuałem.

Radisza zignorowała jego uwagę.

– Dzisiaj uduszono człowieka. Tutaj, w Taglios. Ofiarą był Perhjul Koodzi. Zginął w domu uciech, specjalizującym się w młodych dziewczętach. Takie miejsca wciąż istnieją, choć rzekomo miało ich już nie być. – To było oskarżenie. Szarzy otrzymali zadanie wykorzenia wszystkich przejawów tego rodzaju wyzysku. Ale Szarzy pracowali dla Protektorki, a jej cała sprawa nie obchodziła. – Wnoszę stąd, że za pieniądze dalej można mieć wszystko, co komu się przyśni.

Winą za ogólnonarodową zapaść moralną niektórzy obciążali Czarną Kompanię. Inni rodzinę rządzącą. Paru ośmieliło się oskarżyć nawet Protektorkę. Ale osoba winnego w istocie nie miała nic do rzeczy, podobnie jak fakt, że najpaskudniejsze zło istniało tu niemalże od chwili, gdy na brzegu rzeki ktoś wzniósł pierwszą chatkę z gliny – Taglios zmieniło się rzeczywiście, a zrozpaczeni ludzie zrobią wszystko, by przeżyć. W takiej sytuacji tylko głupiec oczekiwałby wielkich efektów.

– Kim był ten Perhjul Koodzi? – spytał Łabędź i z wściekłością obejrzał się przez ramię. Miał własnego skrybę, który zapisywał przebieg

posiedzenia, siedząc gdzieś tam skryty w ciemnościach. Najwyraźniej zastanawiał się, dlaczego Radisza wiedziała o morderstwie, skoro on nie miał o niczym pojęcia. – Wychodzi na to, że facet dostał tylko to, czego się dopraszał. Jesteś pewna, że nie chodzi tylko o przygodę z małą dziewczynką, która przybrała niepomysłny obrót?

– Bardzo możliwe, że Koodzi zasłużył na to, co mu się przytrafiło – przyznała Radisza z gorzkim sarkazmem. – Był wyznania Vedna, tak więc obecnie, jak przypuszczam, może całą sprawę omówić ze swoim bogiem. Jego moralność nas nie interesuje, Wierzba. Natomiast jego pozycja tak. Był jednym z ważniejszych asystentów Generalnego Inspektora. Zbierał podatki w Chekka i na wschodnim brzegu rzeki. Jego śmierć spowodowała problemy, których rozwiązanie zajmie kilka miesięcy. Podległe mu obszary dostarczały nam największych dochodów.

– Może to ktoś, kto zalegał...

– Dziewczynka przeżyła. A ponadto zdążyła zawołać pomoc. Natychmiast pojawili się ludzie, którzy zazwyczaj dbają o spokój w takich miejscach. Zrobili to Dusieciele. To było morderstwo inicjacyjne. Kandydat Dusicieli okazał się nieudolny. Niemniej, z pomocą zbrojnych, udało mu się skrócić kark Koodziego.

– A więc ich schwytano.

– Nie. Była z nimi ta, którą nazywają Córką Nocy. Doglądała inicjacji.

A chłopcy o umięśnionych karkach na jej widok potracili zmysły ze strachu. Żaden Gunni ani Szadar nie uwierzyłby, że Córka Nocy jest zwyczajną, paskudną młodą kobietą, nie zaś postacią mityczną. Niewielu Taglian wyznających którąś z tych dwu religii znalazłoby w sobie dość odwagi, aby jej przeszkodzić.

– W porządku – ustąpił Łabędź. – To wskazuje na prawdziwych Dusicieli. Ale jak rozpoznali Córkę Nocy?

Duszołap najwyraźniej straciła wreszcie cierpliwość i warknęła:

– Powiedziała im wprost, kim jest, głuptasku! „Jam jest Córka Nocy. Jam jest Dziecię Nadchodzącej Ciemności. Pójdźcie pod ochronę mej matki albo staniecie się strawą dla bestii zniszczenia w Roku Czaszek”. Typowe pompatyczne bzdury okultystów. – Głos Duszołap stał się monotonna, bezbarwną mową wykształconego sceptyka. – Nie wspominając już o tym, że była bladą niczym wampirzyca, ładniejszą kopią mojej siostry w jej wieku.

Córka Nocy nie bała się nikogo i niczego. Wiedziała doskonale, że jej duchowa rodzicielka, Kina Niszczycielka, Mroczna Matka, ochroni ją – nawet jeśli od ponad dziesięciu lat bogini ani drgnęła w swoim śnie. Plotki na temat Córki Nocy od lat krążyły potajemnie wśród społeczeństwa. Wielu wierzyło, że jest ona tą, za którą się podaje. To z kolei przyczyniało się do umocnienia jej władzy nad zbiorową wyobraźnią ludu.

Kolejna plotka, która zresztą w miarę upływu czasu coraz bardziej traciła na wartości, przypisywała Czarnej Kompanii zdławienie w zarodku projektu sprowadzenia na ziemię Roku Czaszek Kiny i odsunięcie dnia jego nadejścia do momentu, gdy państwo tagliańskie zdecydowało się zdradzić wynajętych obrońców.

Zarówno Oszuści, jak i Kompania dysponowali siłą psychicznego oddziaływania dalece przekraczającą ich liczebność. Przechodząc do sfery legend, jedni i drudzy stali się jeszcze bardziej przerażający.

Najbardziej istotne w tej informacji było to, że Córka Nocy zdecydowała się przybyć we własnej osobie do Taglios. I że odważyła się ukazać publicznie. A gdzie szła Córka Nocy, tam z pewnością podążał niczym wierny szakal wódz wszystkich Oszustów, wcielona legenda, żyjący święty Dusicieli, Narajan Singh – a jego niegodziwe dzieło wędrowało wraz z nim.

Murgen zaczął zastanawiać się nad przerwaniem misji i ostrzeżeniem Sahry, by odwołać wszystko do czasu, póki wieści nie zostaną potwierdzone. Cokolwiek jednak miało nastąpić, było już za późno.

Narajan Singh był najbardziej znienawidzonym wrogiem Czarnej Kompanii, spośród tych, którzy wciąż jeszcze cieszyli się zdrowiem. Ani Mogaby, ani nawet Duszołap, która była dawnym, pradawnym wrogiem, nie ścigano z taką zaciekłością jak jego. On ze swej strony również nie darzył Kompanii miłością. Raz udało się go złapać. Wówczas spędził długi czas w wyjątkowo nieprzyjemnej gościnie u ludzi, którzy swobodnie dawali upust swej złości. Miał długi, które z radością byłby spłacił, gdyby tylko uzyskał łaskawą aprobatę swej bogini.

Posiedzenie Tajnej Rady, jak to bywało zazwyczaj, zmieniło się wkrótce w powódź wzajemnych oskarżeń, w której zarówno Pjurojita, jak i Generalny Inspektor próbowali chytrymi posunięciami oczernić się nawzajem, a być może również osłabić pozycję Łabędzia. Pjurojita mógł liczyć na pewne poparcie trzech zaufanych kapłanów – chyba, że Duszołap miała akurat inne plany. Generalnego Inspektora popierała Radisza.

Sprzeczkę te zazwyczaj ciągnęły się w nieskończoność, aczkolwiek dotyczyły spraw trywialnych, o charakterze raczej symbolicznym niżli merytorycznym. Protektorka nie pozwoliłaby nigdy, aby wyniknęło z nich coś, czego nie aprobowała.

Kiedy Murgen zaczął już zbierać się do odejścia – jak zwykle z jego obecności nikt nie zdawał sobie sprawy – do komnaty wpadło dwóch królewskich gwardzistów. Natychmiast ruszyli w stronę Wierzy Łabędzia, chociaż to nie on dowodził ich formacją. Zapewne przyniesione przez nich wieści miały takie znaczenie, że nie chcieli ich przekazać nieprzewidywalnej Protektorce, oficjalnie pełniącej funkcję ich kapitana. Łabędź słuchał przez chwilę, potem uderzył pięścią w stół.

– Cholera! Wiedziałem, że to coś więcej niż drobne zakłócenia porządku. – Przemknął obok Pjurojity, rzucając mu w przelocie pogardliwe spojrzenia. W ich wzajemnych stosunkach nie było już śladu przyjaźni.

Zaczął się, pomyślał Murgen. Trzeba wracać do składu Do Tranga. I tak nie mógł powstrzymać już biegu spraw. Mógł natomiast zanieść słówko do pozostałych w kwaterze głównej, żeby ruszyli śladem Narajana i Córki Nocy możliwie jak najszybciej.

7

Sahra potrafiła zmieniać oblicze z równą łatwością, z jaką aktor nakłada maski. Czasami była okrutną, chytrą, na zimno wszystko kalkulującą nekromantką, która spiskowała z Uwięzionymi. Kiedy indziej bywała wdową po chorącym i oficjalnym kronikarzu Kompanii, by znów stać się czułą matką Tobo. Natomiast zawsze, gdy udawała się na miasto, zmieniała się w Min Subredil, kogoś jeszcze innego.

Min Subredil była wyrzutkiem społecznym, nieślubną córką kapłana Khusy i nierządniczy Niueng Bao. A i tak Min знаła swoich przodków lepiej niż połowa ludzi żyjących na ulicach Taglios. Nieustannie mamrotała ich imiona. Gotowa była opowiadać o nich każdemu, kogo potrafiła zmusić do słuchania.

Owdowiała Min Subredil wychowywała swoje jedyne dziecko, posługując przez cały dzień w pałacu. Teraz, każdego ranka, dobrze przed świtem dołączała do zgromadzenia nieszczęśników tłoczących się przy tylnym wejściu na północnej ścianie budowli w nadziei znalezienia pracy. Czasami towarzyszyła jej opóźniona w rozwoju siostra męża, Saua. Niekiedy Subredil przyprowadzała też swoją córkę, chociaż ostatnio coraz rzadziej. Dziewczyna była już w takim wieku, że mogła komuś wpaść w oko.

Dżaul Barundandi, młodszy pomocnik zarządcy, wychodził codziennie przed furtkę dla służby i oznajmiał, ile stanowisk pracy jest do obsadzenia tego dnia, a potem wybierał na nie ludzi. Barundandi zawsze brał Min Subredil, ponieważ, mimo że była zbyt szpetna, aby żądać od niej usług seksualnych, można było liczyć, iż za otrzymaną pensję dobrze wykona swą pracę. Min była bardzo zdesperowana.

Barundandi lubił wszechobecną postać Subredil. Zdeklarowany wyznawca Gunni, zgodnie z doktryną głoszoną przez kult Khusy, często dołączał do swych modlitw prośbę, by oszczędzono mu takiego szczęścia, jakiego zaznawała w życiu Subredil. Nigdy nie przyznałby się do tego

przed swoimi koleżkami, ale po części faworyzował Subredil ze względu na to, że miała tak kiepskiego ojca. Jak większość łotrów, okazywał swą niegodziwość tylko przez większość czasu, głównie w drobnostkach.

Subredil, podobnie jak Ki Saha, nigdy się nie modliła. Sahrze bogowie nie byli do niczego potrzebni. Nieświadoma jego nieśmiałych uczuć, w swych myślach gotowała los Dżaulowi Barundandiemu. Kiedy nadejdzie czas, będzie miał sposobność, by pożałować swych szykan.

Długo, długo będzie żałował, a jego udręka będzie wielka jak całe imperium Taglios. Kiedy tylko nadejdzie czas...

Przeszliśmy przez labirynt zaklęć mylących i odwracających uwagę. Przez wiele lat Goblin i Jednooki otaczali całe sąsiedztwo misterną siecią czarów ochronnych, tak subtelnymi, że wyłącznie Protektorka mogłaby je dostrzec. Gdyby szukała. Ale Duszołap nie wycierała bruków w poszukiwaniu kryjówek wroga. Miała Szarych i swoje cienie, i nietoperze, i kruki, które wykonywały za nią brudną robotę. One jednak były zbyt głupie, aby zauważyć, że są kierowane w inną stronę albo dyskretnie prowadzone przez dany obszar w sposób, który bynajmniej nie różnił się dla nich od swobodnej wędrówki. Dwaj mali czarodzieje większość czasu spędzili, oporządzając i poszerzając labirynt zaklęć mylących. Ludzie, którym nie ufaliśmy, nie byli w stanie dostać się bliżej niżli na dwieście metrów od naszych kwater. Przynajmniej o własnych siłach.

My nie mieliśmy takich kłopotów. Każdy nosił na lewym nadgarstku bransoletę z łyka. Zaczarowana, osłabiała wpływ zaklęć mylących. Pozwalała dostrzec prawdę.

Takim też sposobem często wiedzieliśmy, co zamierzał uczynić pałac, zanim plany te zostały zrealizowane. Min Subredil, a niekiedy i Saa, podsłuchiwały ich autorów.

– Czy nie wyszliśmy przypadkiem za wcześnie? – wymruczałam.

– Tak. Ale gdy zajmiemy nasz posterunek, inni będą już na miejscu. – W Taglios były niezliczone rzesze zdesperowanych ludzi. Niektórzy będą czatować tak blisko pałacu, jak tylko Szarzy ich dopuszczą.

Faktycznie, dotarliśmy do pałacu kilka godzin wcześniej niż zwykle. Ale trzeba było pokrażyć trochę w ciemnościach, by zmylić tropy i odwiedzić braci Kompanii w ich kryjówek. W każdym przypadku z ust

Subredil dobywał się głos wiedźmy. Saua wlokła się za nią, a ślina ściekała z kącika jej wykrzywionych ust.

Większość mężczyzn nas nie rozpoznała. Zresztą wcale nie musieli. Oczekiwali tylko wypowiedzenia hasła od tych, którzy dowodzili całą akcją. Odpowiednie słowa ujawniły w nas posłańców. Najprawdopodobniej zresztą członkowie Kompanii sami byli również zamaskowani. Każdy musiał stworzyć dla siebie kilka tożsamości, którymi posługiwał się publicznie. Jedne łatwiej mu było przybierać, inne trudniej. Z najgorszych więc zrezygnowano, aby możliwie ograniczyć ryzyko.

Subredil zerknęła na fragment tarczy księżycy przezierający przez chmury.

– Za kilka minut ruszamy.

Odmruknęłam coś niewyraźnie, zdenerwowana. Minęło już trochę czasu, odkąd ostatnio angażowałam się w sytuację grożącą bezpośrednim niebezpieczeństwem. Poważniejszym niż to, które wiązało się z włóčeniem po pałacu albo zaglądaniem do biblioteki. Tam jednak nikt nie groził mi ostrymi przedmiotami.

– Te chmury wyglądają, jakby zbliżała się pora deszczowa. – Gdyby rzeczywiście tak było, przyszlaby w tym roku wyjątkowo wcześnie. Nie była to przyjemna perspektywa. Podczas pory deszczowej leje niemal każdego dnia. Pogoda potrafi być naprawdę złośliwa; zdarzają się nagłe skoki temperatury, gradobicia i grzmoty, jakby wszyscy bogowie panteonu Gunni popili się i urządzali awantury. Mnie jednak głównie przeszkadza upał.

Taglianie znają sześć pór roku. Tylko podczas jednej z nich, którą nazywają zimą, upał bywa nieco łżejszy.

– Czy Saua kiedykolwiek zwraca uwagę na chmury? – zapytała Subredil. Zawsze była zdecydowanie przeciwna wychodzeniu z roli. W mieście, w którym rządzi mrok, nigdy nie wiesz, czyje oczy obserwują cię spośród cieni i jacy niewidzialni słuchacze strzygą uszami.

– Mhm. – Była to mniej więcej odpowiedź równie inteligentna jak pozostałe, których Saua zazwyczaj udzielała.

– Idziemy. – Subredil wzięła mnie pod ramię i poprowadziła, jak zawsze, kiedy szliśmy do pracy w pałacu. Tak zbliżyliśmy się do głównego północnego wejścia, położonego jakieś trzydzieści pięć metrów od furki dla służby. Płoneła przy nim pojedyncza pochodnia, która miała oświetlać

stojących przed bramą, by strażnicy mogli ich dojrzeć. Jednak umiejscowiono ją tak niezręcznie, że w jej blasku widać było tylko ludzi poczciwych, niemających złych zamiarów. W chwili gdy podeszliśmy bliżej, ten, który przez cały czas skradał się wzdłuż murów, podskoczył i zarzucił na pochodnię worek z niewyprawionej skóry.

W nocnej ciszy wyraźnie zabrzmiała wulgarna uwaga zaskoczonego strażnika. Czy jednak okaże się na tyle nieostrożny, by wyjść i zobaczyć, co się stało?

Było prawie pewne, że tak postąpi. Straż Królewska nie natrafiła na żadne kłopoty niemalże od pokolenia.

Srebrny pieniążek księżycy zniknął za chmurami. Wtedy się zaczęło. W wejściu do pałacu coś się poruszyło

Teraz czekała nas najtrudniejsza część zadania, choć na razie mogło wyglądać, że zepsualiśmy wszystko już na początku, pojawiając się akurat w czasie zmiany wart.

Odgłosy przepychanki. Zaskoczony krzyk. Ktoś dopytywał się, o co chodzi. Stukoty i trzaskanie, jakby ktoś biegł do bramy. Szczęk metalu. Krzyk, może dwa. Gwizdki. A potem, po jakichś piętnastu sekundach, gwizdki odpowiadające im z różnych stron. Wszystko zgodnie z planem. W ciągu kilku chwil odgłosy gwizdków dobiegające od wejścia do pałacu nabrały rozpaczliwych tonów.

Kiedy po raz pierwszy rozważaliśmy ten zamysł, rozgorzała poważna dyskusja, kwestionująca pierwotnie zakładane cele ataku. Skoro zdobycie wejścia mogło okazać się tak proste, grupa ludzi zmęczonych czekaniem zaproponowała od razu wpaść do środka i wszystkich pozabijać. O ile takie rozwiązanie mogło faktycznie przysporzyć odrobiny satysfakcji, o tyle małe były szanse, że w ten sposób wyrządzą poważniejszą krzywdę Duszołap, a nadto taka powszechna rzeź w niczym nie przyczyniłaby się do uwolnienia Uwięzionych, co przecież winno stanowić główny cel, przyświecający każdej operacji.

Udało mi się więc przekonać wszystkich, że powinniśmy rozpocząć staromodną, opisywaną w Kronikach grę zmyłek. Niech wróg pomyśli, że chodzi nam o jedną rzecz, podczas gdy w rzeczywistości chcemy osiągnąć coś zupełnie innego. Niech biegną w jedną stronę, aby powstrzymać nasze natarcie, kiedy my poprowadzimy je zupełnie inną drogą.

Manewry mylące należało dokładnie przemyśleć. Jednak Goblin i Jednooki nie mieli już dość sił i nerwów, aby tworzyć rozbudowane iluzje bojowe. A choć naprawdę gotowi byli podzielić się swymi sekretami, ostatecznie nie potrafili przygotować Sahry do udziału w bitwie. Jej talenty po prostu nie obejmowały tych dziedzin.

Pierwsi Szarzy wypadli na nas z ciemności, natychmiast pakując się w zasadzkę. Przez chwilę trwała okropna rzeź. Jednak jakimś cudem kilku udało się przedostać i wspomóc strażników ledwie utrzymujących się przy wejściu do pałacu.

Subredil i ja zajęliśmy stanowiska u stóp murów, między głównym wejściem i furtką dla służby. Min przytuliła swego Gangesę i załkała. Saa wczepiła się w Subredil, wydając ciche, pełne przerażenia jęki. Z ust ciekła jej ślina.

Chociaż atakujący położyli rzesze Szarych, ani razu nie udało im się przebić przez szeregi obrońców wejścia. Potem od środka nadeszła pomoc. Wierzba Łabędź z plutonem Gwardzistów Królewskich wypadł z bramy. Napastnicy poszli natychmiast w rozsypkę. Tak szybko, że Łabędź ochryple zawołał:

– Stać! Coś jest nie tak!

Noc pojaśniała. Powietrze wypełniły rozpędzone kule ognia. Zapewne widziano je po raz pierwszy od ciężkich walk toczonych pod koniec wojen z Władcami Cienia. Broń tę stworzyła w wielkich ilościach Pani, część udało się ocalić i troskliwie przechować. Ludzie, którzy nią operowali, nie brali udziału w ataku na bramę. Zajmowali się tylko ostrzałem, do którego wybrano wszystkich zdolnych wyłowić sylwetkę Łabędzia spośród Szarych i Gwardzistów.

Od tego zależało jego życie.

Ogień runął na tę flankę oddziału, która znajdowała się po stronie przeciwnej niż miejsce, gdzie Sahra i ja przykucnęliśmy pod murem. Wierzba wystraszył się wyraźnie. Teraz, w miarę jak ogień będzie powoli przesuwał się w stronę wejścia, odcinając go, powinien wycofać się w kierunku furki dla służby, by znaleźć się obok nas.

Dobry, stary Łabędź. Musiał chyba wcześniej przeczytać mój scenariusz. Kiedy oddział jego ludzi rozszarpywały kule ogniste, on ulotnił się i z dłonią przy ścianie pobiegł przed siebie, wyprzedzając zabójczą nawałnicę o kilka kroków. Kiedy nad jego i naszymi głowami zaczęły latać

ły stopionego kamienia oraz fragmenty płonących ciał, zdałam sobie sprawę, że niestety nie doceniłam siły własnej broni. Trzeba było użyć mniejszej liczby miotaczy.

Łabędź potknął się o wyciągniętą nogę Min Subredil. Jakoś tak się stało, że kiedy padł na kamienie bruku, jego twarz znalazła się na wprost oblicza śliniącej się idiotki. A czubek ostrza jej sztyletu ulokował się dokładnie pod jego brodą.

– Nie próbuj nawet oddychać – wyszeptała.

Kule ogniste topiły mur pałacu, w który uderzały. Drewniana brama stała w płomieniach. Było dość jasno, by towarzysze mogli zobaczyć, że mamy już naszego człowieka. Zaczęli kłaść ogień dużo celniej. Opór wobec Szarych, przybywających z pomocą, stał się mniej spójny. Kolejny atak ruszył naprzód. Kilku braci przejęło Łabędzia. Przy okazji skopali nas i sklęli. A odchodząc, zabrali ze sobą naszą broń – stanowiło to element manewru powszechnego odwrotu, po tym jak pozorowany atak załamał się, choć nie napotykał żadnego poważniejszego oporu.

Kiedy zniknęli w ciemnościach, stało się to, czego obawialiśmy się najbardziej.

Na blankach ponad nami pojawiła się Duszołap, najwyraźniej chcąc osobiście sprawdzić, co się dzieje. Subredil i ja domyśliłyśmy się jej obecności, ponieważ walki ustały natychmiast. A potem w jej stronę pomknęła ulewa ognistych kul.

Mieliśmy szczęście. Była tak całkowicie zaskoczona, że mogła się tylko uchylać. Wówczas nasi bracia zrobili to, czego należało się po nich spodziewać. Zwyczajnie zwiali. Umknęli poza zasięg jej spojrzenia i wtopili się w tłum Taglian, zanim Protektorka zdążyła spuścić swe nietoperze i kruki.

Wiedziałam, że w ciągu kilku najbliższych minut w efekcie naszych poczynań okolicę ogarnie niezłe zamieszanie. Gdyby tłum okazał się nazbyt spokojny, ludzie mieli jeszcze podgrzewać atmosferę, rozpuszczając najbardziej niewiarygodne plotki

Subredil i Saa podeszły kolejne dwadzieścia metrów w stronę furtki dla służby. Właśnie osunęłyśmy się na ziemię, aby udając rozpacz, ślinić się, obejmować i zawodzić, równocześnie obserwując płonące trupy, kiedy czyjś pełen przerażenia głos zapytał:

– Min Subredil. Co ty tu robisz?

Dżaul Barundandi. Nasz szef. Nawet nie spojrzałam w górę. A Subredil nie odpowiedziała, póki on nie szturchnął jej czubkiem buta i nie zadał powtórnie swego pytania, nawet całkiem miłym głosem. Wtedy odrzekła:

– Chciałyśmy dzisiaj przyjść wcześniej. Saua bardzo potrzebuje pracy. – Rozejrzała się dookoła. – Gdzie są pozostali?

A więc byli jeszcze inni, czworo lub pięcioro jeszcze bardziej chętnych zająć pierwsze miejsca w kolejce. Uciekli. Mogli sprowadzić kłopoty. Nie mówiąc już o tym, co byli w stanie zobaczyć, zanim uciekli. Pierwsza salwa ognistych kul miała ich śmiertelnie przerazić i rozproszyć, jeszcze zanim Łabędź dotrze do miejsca, gdzie byliśmy – jednak nie przypominałam sobie, by coś takiego miało miejsce.

Subredil skłoniła się w stronę Barundandiego. Wpiłam się w nią jeszcze mocniej i zawylałam. Poklepała mnie po ramieniu i wydała kilka nieartykułowanych dźwięków. Barundandi najwyraźniej dał się nabrać – zwłaszcza kiedy Subredil, odkrywszy, że jeden z kłów jej Gangeszy złamał się, zaczęła płakać i szukać go po omacku na ziemi.

Kilku kolegów Dżaula również wyszło na zewnątrz, teraz rozglądali się dookoła, pytając się nawzajem, co się stało. Podobnie rzecz się miała przy głównym wejściu, gdzie ogłupiali Gwardziści i przecierający ze snu oczy funkcjonariusze policji nie potrafili pojąć, o co w tym wszystkim chodziło i co powinni zrobić. Któryś krzyknął: „Jasna cholera! Te ognie przepaliły mur na wylot, a on ma dwa i pół metra grubości!” Wciąż przybywali kolejni Szadar z jednostek stacjonujących w promieniu chyba ze dwóch kilometrów, zbierając martwych i rannych Szarych i próbując zrozumieć, co się stało.

W głosie Dżaula Barundandiego zabrzmiały jeszcze łagodniejsze tony. Krzyknął na swych pomocników:

– Pomóżcie tym kobietom wejść do środka. Tylko delikatnie. Wielcy i potężni być może zechcą z nimi porozmawiać.

Moje mimowolne wzdrygnięcie chyba nie było na tyle widoczne, by nas zdradzić. Liczyłam na to, że dostanę się do środka, ale nie przyszło mi do głowy, że kogoś może zainteresować, co mają do powiedzenia dwie pariaski.

8

Niepotrzebnie się przejmowałam. Zostałyśmy przepytane przez kilku mocno wytrąconych z równowagi sierżantów Szarych, którzy najwyraźniej zajęli się nami, aby tylko zatkać usta Dżaulowi Barundandiemu. Pokojowiec chyba liczył na zbyt wiele, sądząc, że zdoła zapewnić sobie łaski przełożonych dzięki dostarczeniu naocznych świadków tragedii.

Kiedy zrozumiał, że niczego w ten sposób nie zyska, jego troska natychmiast zaczęła słabnąć. Kilka godzin po tym, jak zostałyśmy zabrane do środka, pałac wciąż jeszcze trząsł się z podniecenia i krążyło już po nim tysiąc zupełnie niestworzonych plotek. Dowódcy Gwardzistów i Szarych wciąż sprowadzali więcej i więcej godnych zaufania żołnierzy oraz ślali kolejnych szpiegów, by obserwowali zachowanie regularnej armii w koszarach – tak na wszelki wypadek, gdyby jakimś sposobem atak stanowił jej dzieło. W tym czasie Subredil i jej zidiociała szwagierka już ciężko pracowały. Barundandi kazał im sprzątnąć komnatę, w której obradowała Tajna Rada. Po posiedzeniu został nieopisany bałagan. Ktoś najwyraźniej stracił panowanie nad sobą i wyrócił wszystko do góry nogami.

– Dzisiaj czeka cię naprawdę ciężka praca, Min Subredil. Niewielu ludzi zgłosiło się od rana – poinformował nas Barundandi. W jego głosie brzmiała gorycz. Przez ten atak nie zdołał zebrać zbyt wielu popychadeł. Nie przyszło mu nawet do głowy, by wyrazić wdzięczność bogom, że wciąż jeszcze żyje. – Z nią wszystko dobrze? – Miał na myśli mnie, Sauę. Dalej całkiem wiarygodnie udawałam osobę całkowicie roztrzęsioną.

– Nic jej się nie stanie, póki będę blisko. Dzisiaj lepiej nie przydzielać jej pracy, podczas której nie będzie mnie miała w zasięgu wzroku.

Pokojowiec chrząknął.

– Niech więc tak będzie. Tu jest dość roboty. Tylko nie wchodźcie nikomu w drogę.

Min skłoniła się lekko. Świetnie potrafiła się usuwać wszystkim z drogi. Usadziła mnie za szerokim stołem długości ponad trzech i pół metra, ustawiła przede mną lampy, lichtarze i wszystko co zostało rozrzucone po sali. Przybrałam niewidzące spojrzenie Sauy i zabrałam się do ich pucowania. Subredil zaczęła czyścić posadzki i meble.

Ludzie wchodzili i wychodzili, pośród nich także wiele ważnych osobistości. Nikt jednak nie zwrócił na nas uwagi. Jedyne Generalny Inspektor Archiwów z irytacją kopnął Subredil, ponieważ akurat szorowała posadzkę w miejscu, w którym chciał po niej przejść.

Ta uniosła się nieco na kolanach, kłaniając się i prosząc o wybaczenie. Gokhale zignorował ją. Wróciła więc do ścierania rozlanej wody, maskując swe prawdziwe uczucia. Potrafiła radzić sobie z tym doskonale. Podejrzewam jednak, że Ki Sahra właśnie w tym momencie zdecydowała, który z naszych wrogów powinien w pierwszej kolejności podążyć w niewolę za Wierzbą Łabędziem.

Pojawiła się Radisza. Obok niej szła Protektorka. Zająły swoje miejsca. Dżaul Barundandi wszedł do komnaty niedługo po nich, chcąc nas z niej zabrać. Saua zdawała się niczego nie dostrzegać. Jej uwagę całkowicie pochłaniał świecznik.

Do komnaty wpadł wysoki kapitan Szadar i od progu oznajmił:

– Wasza Wysokość, ze wstępnych szacunków wynika, że mamy dziewięćdziesięciu ośmiu zabitych i stu dwudziestu sześciu rannych. Niektórzy zapewne umrą od poniesionych obrażeń. Ministra Łabędzia nie odnaleziono, jednak wiele ciał jest spalonych w stopniu, który uniemożliwia identyfikację. Wielu zostało trafionych bezpośrednio, w wyniku czego ich truchła płonęły niczym łojowe pochodnie. – Kapitan najwyraźniej miał kłopoty z zachowaniem spokoju. Był młody. Możliwe, że jeszcze nigdy dotąd nie widział na własne oczy skutków bitwy.

Z całych sił starałam się jak najbardziej utożsamić z rolą. Nie byłam tak blisko Duszołap, odkąd piętnaście lat temu trzymała mnie w niewoli pod Kiaulune. Nie były to przyjemne wspomnienia. Modliłam się, by mnie nie zapamiętała.

Wycofałam się psychicznie do mej wewnętrznej kryjówki. Od czasu tamtej niewoli nigdy jeszcze tego nie robiłam. Zawiasy zardzewiały. Ale dzięki temu, że myślałam o Sauy, udało mi się jakoś wpełznąć do środka

i umożliwić wygodnie. Ze światem łączyło mnie tylko tyle, że wiedziałam mniej więcej, co się wokół dzieje.

Nagle Protektorka zapytała:

– Kim są te kobiety?

Barundandi zaczął się płaszczyć.

– Wybacz mi, o Najwspanialsza. Wybacz. Moja wina. Nie wiedziałem, że komnata będzie potrzebna.

– Odpowiedz na pytanie, pokojowcu – rozkazała Radisza.

– Oczywiście, o Najwspanialsza. – Barundandiomalże nie dotknął czołem posadzki. – Ta kobieta, która szoruje posadzkę, to Min Subredil, wdowa. Ta druga to jej zidiociała szwagierka, Saua. Należą do siły roboczej spoza pałacu, zatrudnianej w ramach filantropijnego programu Protektorki.

Duszołap powiedziała:

– Mam wrażenie, że ją... albo nawet obie... już gdzieś widziałam.

Barundandi znowu pokłonił się głęboko. Skupiona na nim uwaga przerażała go.

– Min Subredil pracuje tu już od wielu lat, Protektorko. Saua towarzyszy jej zawsze, gdy ma dość jasności umysłu, aby dać sobie radę z prostymi zadaniami.

Niemalże czułam, jak Dżaul się zastanawia, czy powiedzieć, że byliśmy z bliska świadkami porannego ataku. Wcisnęłam się w swoje wewnętrzne schronienie tak ściśle, że później nie miałam pojęcia, co się w ciągu najbliższych kilku minut stało.

Pokojowiec najwyraźniej nie zdecydował się nas wydać. Być może wykombinował sobie, że podczas przesłuchania mogłoby wyjść na jaw, iż przywłaszczwał sobie połowę naszych mizernych pensji w zamian za prawo ścierania sobie do krwi dłoni.

Na koniec Radisza powiedziała mu:

– Odejdź, niech pracują. Nikt tu dziś nie będzie decydował o losach imperium.

Duszołap również machnęła dłonią w rękawiczce, odsyłając Barundandiego, ale zaraz znowu kazała mu się zatrzymać i spytała:

– Co to jest, co leży na posadzce obok tej kobiety? – Miała oczywiście na myśli Subredil, ponieważ ja siedziałam za stołem.

– Hm? Ach. Gangesza, o Najwspanialsza. Ta kobieta nigdzie się bez niego nie rusza. To jest jakaś obsesja. To...

– Możesz już odejść.

Stało się więc tak, że Sahra – przynajmniej ona – przez prawie dwie godziny była naocznym świadkiem reakcji władz na nasz atak.

Po jakimś czasie znowu doszłam do siebie, przynajmniej na tyle, żeby śledzić większość otaczających mnie zdarzeń. Kurierzy przybywali i odchodzili. Widać było, jak zgodnie z przypuszczeniem kształtują się odpowiednie postawy armii i ludu. Żadna z tych dwu sił nie miała obecnie najmniejszych powodów do buntu. Dla Radiszy oznaczało to tylko dobre wieści.

Jednak Protektorka wobec jednoznacznie pozytywnych danych wywiadu nabrała podejrzeń. Stara cyniczka.

– Nie wzięto żadnych jeńców – powiedziała. – Nie zostały po nich żadne ciała. Całkiem możliwe, że w ogóle nie ponieśli poważniejszych strat. Jeśli się głębiej nad tym zastanowicie, to zrozumiecie, że właściwie unikali ryzyka. Uciekli, gdy tylko zaistniała sytuacja umożliwiająca nasz kontratak. O co im chodziło? Jaki był ich prawdziwy cel?

Czandra Gokhale słusznie zauważył:

– Atak najwyraźniej rozwijał się z nadzwyczajną gwałtownością do chwili, gdy ty pojawiłaś się na blankach. Dopiero wówczas uciekli.

Kapitan Szadar zasugerował:

– Wielu ocalałych żołnierzy i świadków donosi, że bandytów wzburzyła twoja obecność, Protektorko. Wygląda na to, że oczekiwali, iż będziesz przebywać poza pałacem. Najwyraźniej do ataku by nie doszło, gdyby wiedzieli, że tu jesteś.

Jedna z wymyślonych przeze mnie zwodniczych plotek. Miałam nadzieję, że na coś się przyda.

– To nie ma sensu. Skąd mieliby to wiedzieć? – Jednak nie spodziewała się odpowiedzi, toteż nie poczekała, aż ktoś jej udzieli. – Czy zidentyfikowaliście wszystkie spalone ciała?

– Tylko trzy, Protektorko. W większości ciał trudno się w ogóle dopatrzeć ludzkich szczątków.

– Czandra, jakie są straty materialne? Macie już szacunki? – spytała Radisza.

– Tak, Radisza. Straty są bardzo poważne. Ucierpiała sama konstrukcja murów obronnych. Całkowity rozmiar szkód jest właśnie określany. Z pewnością jednak przez jakiś czas to będzie nasz słaby punkt. Być może

powinnaś wziąć pod uwagę wzniesienie drewnianego ogrodzenia, osłaniającego miejsce prac inżynierskich. Poważnie zastanawiam się nad sprowadzeniem wojska.

– Wojska? – zapytała Protektorka. – Po co wojsko? – W jej głosie, od dłuższej chwili pozbawionym już ładunku emocjonalnego, znowu zaczęły pobrzmiwać podejrzliwe tony. Kiedy nie masz żadnych przyjaciół, paranoja staje się jeszcze bardziej naturalną perspektywą niż pośród braci z Czarnej Kompanii.

– Ponieważ pałac jest zbyt wielki, by bronić go wyłącznie siłami, które w nim stacjonują. Nawet jeśli się uzbroi służbę. Wróg nie musi korzystać przecież z żadnych zwykłych wejść. Można wspiąć się na mury, kiedy nikt nie będzie patrzył, i zaatakować od wewnątrz.

– Jeśli tego spróbują, będą potrzebować planów, aby się nie zgubić – wtrąciła księżna. – W życiu nie znałam nikogo prócz Kopcia, naszego nadwornego czarodzieja z dawnych czasów, kto potrafiłby poruszać się po pałacu bez planu. Do tego potrzebna jest intuicja.

– Jeśli atak był rzeczywiście dziełem ludzi stanowiących pozostałości Czarnej Kompanii – a zastosowanie broni ognistej mogłoby sugerować istnienie pewnego związku, nawet jeśli wszyscy wiemy, iż Kompania została wybita do nogi przez Protektorkę – wówczas mogą mieć oni dostęp do planów sporządzonych w czasach, gdy Wyzwoliciel i jego sztab kwaterowali na terenie pałacu – zauważył Generalny Inspektor.

Radisza upierała się jednak przy swoim.

– Nie da się sporządzić planów tego miejsca. Wiem o tym. Sama próbowałam.

Podziękuj za to Goblinowi i Jednookiemu, księżno. Dawno, dawno temu Kapitan kazał tym dwóm starszkom rozłożyć wszędzie, bez żadnego konkretnego zamysłu, zaklęcia mylące. Nie chciał, aby niektóre rzeczy znajdujące się w środku i po dziś dzień pozostające w ukryciu wpadły w ręce Radiszy. Chodziło między innymi o starożytne tomy Kronik, mogące rzekomo rzucić światło na tajemnicze początki Kompanii, choć jak dotąd nie przyniosły nic prócz kompletnego rozczarowania. Min Subredil wiedziała, jak się do nich dostać. Kiedy tylko miała szansę, wrywała z nich po kilka stron i przemycała na zewnątrz. Potem ja przemycałam je do biblioteki i kiedy nikt nie patrzył, tłumaczyłam każdorazowo po kilka

wersów, szukając tej jednej frazy, która zdradzi nam, jak uwolnić Uwięzionych.

Saua czyściła mosiądz i srebro. Min szorowała posadzki i doprowadzała do porządku meble. Członkowie Tajnej Rady oraz ich współpracownicy wchodzili i wychodzili. Natężenie przepełniającego ich strachu powoli słabło, gdyż pomimo upływu czasu kolejny atak nie następował. Wielka szkoda, że nie mieliśmy dość ludzi, aby co kilka godzin dawać się im we znaki.

Duszołap była niespotykane cicha. Znała Kompanię dłużej niżli ktokolwiek prócz Kapitana, Goblina i Jednookiego, chociaż była to wiedza niejako z zewnątrz. Jednak niczego nie zaakceptuje, oceniając wydarzenia wyłącznie z wyglądu. Nie tak od razu.

Miałam nadzieję, że od prób rozwikłania zagadki popękają trybiki w jej mózgu, aczkolwiek można było się obawiać, iż stało się to już wcześniej, ponieważ najwyraźniej ani na chwilę nie mogła przestać myśleć o spalonych ciałach i Wierzbie Łabędziu. Czyżbym zaplanowała wszystko w sposób tak przejrzysty, że powodem jej troski stało się wyłącznie poszukiwanie odpowiedzi na to, co kryje się za samym porwaniem?

Skończyłam czyścić ostatni lichtarz. Nie podniosłam oczu, nie powiedziałam nic, tylko siedziałam bez ruchu. Kiedy miałam wolne ręce, niełatwo było nie zwracać uwagi na zagrożenie, jakie stanowiła kobieta siedząca po drugiej stronie pomieszczenia. Zaczęłam modlić się do Boga, w milczeniu. Całe szczęście że nauczono mnie tego, kiedy byłam malutka, jako rzeczy przystającej kobiecie. Równie wdzięczna byłam Sahrze, za to, że upierała się, by nigdy nie wychodzić z roli.

Obie te rzeczy przydały mi się teraz.

W pewnej chwili Dżaul Barundandi wrócił. Pod okiem Najwspanialszych nie zachowywał się niczym wredny szef. Powiedział Subredil, że czas już odejść. Subredil trąciła Sauę w ramię. Wstając, wydałam z siebie strachliwy jęk.

– Co jest? – zapytał Barundandi.

– Jest głodna. Nie jadłyśmy przez cały dzień. – Zazwyczaj służba rzucała nam jakieś ochłapy. Jedna z jaśniejszych stron całej sytuacji. Subredil i Saiu czasami udawało się zaoszczędzić co nieco i zabrać do domu. To pomagało utrwalić wizerunek kobiet wynoszących coś z pałacu i oswoić z nim Gwardzistów.

Protektorka pochyliła się w naszą stronę. Patrzyła uważnie. Cóż zrobiliśmy, że była tak czujna? A może po prostu jej paranoja była już tak wiekowa, że nie potrzebowała nic prócz przebłysku intuicji? A może ona naprawdę potrafiła czytać w myślach?

– Wobec tego zabiorę was do kuchni. Kucharze przygotowali dzisiaj aż nadto – orzekł pokojowiec.

Wywlekliśmy się stamtąd za nim, z każdym krokiem przeskakując bezmiar odległości, jakbyśmy przechodziły z zimy do wiosny czy z mroku do światła. Tuż za drzwiami komnaty Barundandi zaskoczył nas, przeczesując palcami włosy i jęcząc cicho. Potem zwrócił się do Subredil:

– Och, jak dobrze, że już stamtąd wyszliśmy. Ta kobieta przyprawia mnie o dreszcze.

Ta kobieta mnie również przyprawiała o dreszcze. I nie zdradziłam się tylko dzięki temu, że wystarczająco głęboko weszłam w rolę. Ale któż by się spodziewał tyle człowieczeństwa po Dżaulu Barundandim? Zacisnęłam mocno dłonie na ramieniu Subredil i zadrzałam.

Subredil cicho odpowiedziała Barundandiemu, że zaiste, Protektorka może wzbudzić wielki strach w człowieku.

Kuchnie, na co dzień niedostępne dla pracowników najemnych, dziś stały się smoczym sezamem pełnym jadanych skarbów, z którego wcześniej wyrzucono smoka. Subredil i Saua jadły, aż prawie nie były w stanie się ruszać. Nadto obładowały się tym, co ich zdaniem wolno było zabrać. Odebrały swoje miedziaki i skierowały się w stronę furtki dla służby, zanim ktokolwiek zdążył wymyślić im kolejną robotę i zanim któryś z zauszników Barundandiego zdał sobie sprawę, że ich popychadła gdzieś się zapodziały.

Furtki strzegli uzbrojeni strażnicy. Nowość. I to nie Szarzy, ale żołnierze. Nie wydawali się szczególnie zainteresowani wychodzącymi. I nie zadbali o zwyczajowe przeszukanie, by sprawdzić, czy kobiety nie wynoszą przypadkiem królewskich sreber.

Żałowałam, że nasze role nie przewidują okazywania większej ciekawości. Mogłabym z bliska przyjrzeć się zniszczeniom, jakie spowodowaliśmy. Robotnicy już wznosili rusztowania i drewnianą kurtynę. Jednak na widok tego, co zdołałam podejrzeć, poczułam grozę. Dotąd tylko czytałam o efektach ostrzału najnowszych wersji miotaczy kul ognistych. Pałacowe mury wyglądały tak, jakby ktoś systematycznie nakłuwiał

żelaznym prętem wykonany z ciemnego wosku model. Kamień stopił się i spłynął, a po części również wyparował.

Zwolniono nas zdecydowanie prędzej niż zazwyczaj. Było dopiero wczesne popołudnie. Próbowałam iść zbyt szybko, tak bardzo chciałam się już oddalić. Subredil jednak nie pozwoliła się popędzać. Przed sobą miałyśmy milczący tłum, który zgromadził się, aby przyjrzeć pałacowi. Subredil mamrotała coś o:

– ...dziesięciu tysiącach oczu.

9

Myliłam się. Ta masa ludzi nie przysłała tu tylko po to, by podziwiać efekty naszej nocnej roboty i oglądać martwych ludzi Protektorki. Interesowali ich głównie czterej adepci kultu boodyjskiego stojący przy pomnikach pamięci, kilkanaście metrów od zniszczonego wejścia, na zewnątrz nieprzerwanie rosnącej drewnianej kurtyny. Jeden z nich montował właśnie młynek modlitewny. Pozostali dwaj rozpościerali pięknie haftowaną ciemną, pomarańczowo-czerwoną materię na kamieniach bruku. Czwarty, z głową gładko wygoloną i lśniąca bardziej niżli wypolerowane jabłko, stał przed Szarym, który mógł mieć najwyżej szesnaście lat. Adept boodyzmu miał ręce splecione na piersiach i przeszywał wzrokiem młodzika, który najwyraźniej nie potrafił wytłumaczyć mu, by jego ludzie przestali robić to, co robią. Że Protektorka zabroniła.

To było coś, co zainteresowało nawet Min Subredil. Przystanąła. Saa zawisała na jej ramieniu, trzymając się jedną dłonią, i przekrzywiła głowę, żeby też popatrzeć.

Czułam się strasznie na widoku, stojąc tak kilkanaście metrów przed milczącymi gapiami.

Młody Szary otrzymał posiłki w postaci posiwiąłego sierżanta, który najwyraźniej osądził, że problemem boodystów jest głuchota.

– Rozejść się! – wrzasnął. – Albo was rozpędzimy.

Boodysta z zaplecionymi ramionami odrzekł:

– Protektorka po mnie posłała.

Ponieważ nie znałyśmy jeszcze treści raportu Murgena, Sahra i ja nie miałyśmy pojęcia, o co chodzi.

– He?

Adept mocujący młynek modlitewny oznajmił, że jest gotów. Sierżant warknął i wierzchem dłoni strącił młynek z postumentu. Odpowiedzialny młodzieniec pochylił się, podniósł go i zaczął znowu montować. Wyznawcy

boodyzmu nie byli gwałtowni, nie protestowali przeciwko niczemu, co z nimi wyprawiono, ale nie sposób było odmówić im uporu.

Ci dwaj, którzy rozkładali dywanik modlitewny, skończyli swoją pracę. Przemówili do człowieka, który wciąż stał ze splecionymi ramionami. Ten lekko skłonił głowę, a potem uniósł wzrok i spojrzał starszemu Szadar w oczy. Głosem donośnym, ale tak spokojnym, że było to aż przerażające, oznajmił:

– Radzadharna. Powinność Królów. Abyście to wiedzieli: Władza królewska na zaufaniu polega. Król jest najwyżej wyniesionym, ale i najbardziej pokornym sługą ludu.

Żaden ze świadków nie miał najmniejszych problemów z usłyszeniem i zrozumieniem tych słów.

Mówca usiadł na dywaniku modlitewnym. Jego szaty miały niemalże identyczną barwę. Wyglądało to tak, jakby zlał się z nim w większą całość.

Jeden z pomniejszych adeptów podał mu wielki dzban. Mówca uniósł go w górę, jakby ofiarowując niebu, potem wylał na siebie zawartość. Sierżant Szadar nieco wstrząśnięty popatrzył na młodszego. Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy.

Młynek modlitewny był z powrotem na miejscu. Odpowiedzialny zań wyznawca zakręcił nim i potem cofnął się razem z dwoma, którzy rozpościerali wcześniej dywanik.

Ten na dywaniku modlitewnym uderzył stalą w krzesiwo i w tej samej chwili, gdy do moich nozdrzy dotarł zapach nafty, otoczył go kłęb płomieni. Gwałtowna fala żaru uderzyła mnie w twarz niczym cios. Nie wypadłam jednak z roli, tylko zajęczałam i schwyciłam obiema dłońmi ramię Subredil. Ona ruszyła przed siebie, z rozszerzonymi oczyma, zupełnie ogłuszona.

Pogrążony w płomieniach człowiek nawet nie krzyknął, nawet nie drgnął, póki życie całkiem go nie opuściło, pozostawiając po sobie szerniały kadłub, przewrócony na bok.

Ponad głowami krążyły kruki, przeklinając we własnym języku. A więc Duszołap wiedziała. Albo wkrótce się dowie.

Nie zatrzymywałyśmy się już ani na chwilę, przemierzając wzburzony teraz tłum, zmierzając do domu. Wyznawcy boodyzmu, którzy pomagali w przygotowaniach do rytualnego samospalenia, dawno już zniknęli, a wszystkie oczy pozostawały nadal utkwione w płonącym człowieku.

10

Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobił! – powtarzałam wciąż, zrzucając z siebie śmierzące łachy Sauy i jej okaleczoną osobowość. Wieści wyprzedziły nas po drodze. Wszyscy chcieli mówić tylko o samobójstwie. Nasze nocne dzieło zeszło na dalszy plan. Dokonało się, nikt nie zginął.

Jedynie do Tobo cała sprawa zupełnie nie docierała. Wspomnił o niej tylko w przelocie; zamiast tego upierał się, by nam opowiedzieć, co jego ojciec widział w pałacu zeszłej nocy. Napomykał o notatkach, które sporządził z pomocą Goblina. Był bez reszty dumny z wykonanej roboty i chciał się nią wszystkim pochwalić.

– Ale tak naprawdę nie umiałem go nakłonić, żeby porozmawiał ze mną, mamó. Wszystko, o co zapytałem, tylko go irytowało. Wyglądało tak, jakby wolał mieć to już za sobą, żeby móc spokojnie odejść.

– Wiem, kochanie – odrzekła Sahra. – Wiem. Przy mnie też tak się zachowuje. Masz, to jest dobry chleb, który pozwolili nam zabrać do domu. Zjedz trochę. Goblin, co zrobili z Łabędziem? Nic mu się nie stało?

Jednooki zachichotał.

– Nic, jeśli nie liczyć połamanych żeber. Ze strachu nasrał w gacie – stwierdził i znowu zachichotał.

– Ma połamane żebra? Jak to?

– Poniosło kogoś, kto miał urazę do Szarych – odparł Goblin. – Ale nic się nie martw. Facet będzie miał mnóstwo możliwości, by odpokutować to, że pozwolił swej żarliwości zapanować nad sobą.

– Jestem kompletnie wykończona – rzekła Sahra. – Spędziłyśmy cały dzień w jednym pomieszczeniu z Duszołap. Myślałam, że wyjdę z siebie.

– Ty myślałaś? Wszystko na co mnie było stać, to starać się nie zerwać z miejsca i nie uciec z wrzaskiem. Tak bardzo się koncentrowałam na byciu Sauą, że umknęła mi połowa tego, co mówili.

– To, o czym nie mówili, może się okazać znacznie ważniejsze. Duszołap naprawdę nabrała podejrzeń w związku z atakiem.

– Mówiłem wam, od razu rzucić się do gardła! – warknął Jednooki. – Póki jeszcze nie do końca wierzą w nasze istnienie. Zabić ich wszystkich i nie trzeba będzie się skradać, zastanawiając, jak wydostać Starego. Moglibyście zmusić tych gości z biblioteki, aby przeprowadzili dla was kwerendę.

– Wszyscy byśmy zginęli – orzekła Sahra. – Duszołap już rozglądała się, komu spuścić lanie. Sprawily to wieści o Córce Nocy. Jeśli już o tym mowa, to chcę, żebyście jej również poszukali, jak i Narajana.

– Również? – dopytał Goblin.

– Spodziewam się, że Duszołap będzie ich ściagała z niemałym entuzjazmem.

– Kina pewnie znowu wierci się przez sen – zauważyłam. – Narajan i dziewczyna nie przybyliby do Taglios, gdyby nie ufali w jej ochronę. Co zapowiada, że dziewczyna zapewne wkrótce znowu zajmie się kopiowaniem Księgi Zmarłych. Sahra, powiedz Murgenowi, żeby miał ich na oku. – Te przerażające, starożytne tomy zostały pogrzebane w tej samej jaskini, co Uwięzieni. – Zastanawiałam się trochę, kiedy tak siedziałyśmy... gdy już skończyłam czyścić świeczniki i nie miałam nic do roboty. Minęło dużo czasu, odkąd czytałam Kroniki Murgena. Wydawało mi się, że niewiele mają wspólnego z tym, co próbujemy zrobić. Że są nazbyt współczesne. Ale kiedy tam byłam, nie dalej jak o parę metrów od Duszołap, miałam naprawdę nieprzyjemne przeczucie, że coś mi umknęło. Po raz ostatni zaglądałam do nich tak dawno, że nie mam pojęcia, co to może być.

– Będziesz miała dość czasu. Na kilka dni powinniśmy się przyczaić.

– Ale przecież ty pójdziesz do pracy, nieprawdaż?

– Byłoby podejrzane, gdybym nie poszła.

– Ja pójdę do biblioteki. Znalazłam kilka historii, które sięgają do początków Taglios.

– Tak? – wyskrzecztał Jednooki, budząc się z płytkiej drzemki. – A więc dowiedz się dla mnie, dlaczego rządzi tu tylko banda książąt. Terytorium, którym władają, jest większe niż wszystkie sąsiednie królestwa.

– Ta kwestia nigdy nie przyszła mi do głowy – odparłam grzecznie. – Jak też zapewne żadnemu z tubylców. Ale zapytam – jeśli nie zapomnę.

Z ciemności zalegających na tyłach magazynu doleciał nerwowy śmiech. To Wierzba Łabędź.

– Gra w tonka z kilkoma chłopakami, których znał jeszcze w dawnych czasach – rzekł Goblin.

– Musimy go wydostać z miasta – zdecydowała Sahra. – Gdzie mielibyśmy go trzymać?

– Potrzebuję go tutaj – wtrąciłam. – I muszę wypytać o równinę. Właśnie dlatego schwytaliśmy go w pierwszej kolejności. I nie zamierzam wyjeżdżać na żadną wieś, skoro wreszcie trafiłam na coś w bibliotece.

– Duszołap mogła go jakoś naznaczyć.

– Mamy dwóch własnych nieudolnych czarodziei. Niech sprawdzą go dokładnie. Razem dadzą może jednego kompetentnego...

– Uważaj, co mówisz, Dziewczynko.

– Zapomniałam się, Jednooki. Wy dwaj po zsumowaniu dajecie mniej niż którykolwiek z was pojedynczo.

– Ospała ma rację. Jeśli Duszołap go naznaczyła, powinniście być zdolni to stwierdzić.

– Pomyśl najpierw! – zachnął się Jednooki. – Gdyby go naznaczyła, już by tu była. Nie pytałaby swych lokajów, czy nie znaleźli jego kości. – Malutki człowieczek, jęcząc i skrzecząc, wygramolił się ze swego fotela. Skierował się w ciemność na tyłach magazynu, ale nie w stronę, z której dobiegał głos Łabędzia.

– Ma rację – powiedziałam i poszłam za nim. Łabędzia nie widziałam mniej więcej od piętnastu lat. Za moimi plecami Tobo zaczął znów naprzykrzać się matce pytaniami o Murgena. Obojętność ojca strasznie go zdenerwowała.

Przyszło mi na myśl, że Murgen mógł zwyczajnie nie zrozumieć, kim jest Tobo. Miał kłopoty z percepcją upływu czasu. Zresztą ten problem trapił go od oblężenia Dżajkuru. Może zdawało mu się, że wciąż jest piętnaście lat temu, a on jedynie potyka się o możliwe warianty przyszłości?

Weszłam w światło lampy wiszącej nad blatem stołu, przy którym Łabędź grał w karty z braćmi Gupta i kapralem, na którego mówiliśmy Wcześniak. Wierzba popatrzył na mnie przez kilka sekund, aż wreszcie oznajmił:

– Ospały, prawda? Nic się nie zmieniłeś. Goblin i Jednooki położyli na tobie jakieś zaklęcie?

– Bóg jest łaskawy dla tych, którzy są czystego serca. Jak twoje żebra?

Łabędź przeczesał palcami pozostałości bujnej czupryny.

– A więc to taka historia. – Przesunął dłońmi po bokach. – Jakoś przeżyję.

– Lekko to wszystko znosisz.

– Potrzebowałem wakacji. Teraz już nic ode mnie nie zależy. Mogę sobie wypoczywać, póki ona znowu mnie nie znajdzie.

– Potrafi to zrobić?

– Ty jesteś teraz Kapitanem?

– Kapitan jest Kapitanem. Ja zajmuję się projektowaniem pułapek. Czy ona jest w stanie cię znaleźć?

– Cóż, synu, na dwoje babka wróżyła. Nie mam pojęcia, na kogo postawić. Z jednej strony mamy Czarną Kompanię z czterystuletnią historią zła i podstępu. Z drugiej Duszołap z czterema wiekami podłości i szaleństwa. Przypuszczam, że równie dobrze mógłbym losować.

– Nie nazaczyła cię w żaden sposób?

– Tylko bliźniami.

Powiedział to tak, że chyba dokładnie zrozumiałam, co chciał przekazać.

– Chcesz przejść na naszą stronę?

– Chyba żartujesz. Całe to przedstawienie dzisiejszego ranka było tylko po to, żeby mnie prosić o zaciągnięcie się do Czarnej Kompanii?

– Nie. Chcieliśmy pokazać światu, że wciąż jeszcze istniejemy, że możemy zrobić, co chcemy i kiedy tylko chcemy, i żadna Protektorka w niczym nam nie przeszkodzi. A ty byłeś nam potrzebny po to, aby wypytać o równinę lśniącego kamienia.

Patrzył na mnie przez kilka sekund, potem zajrzał w karty.

– To temat, który nie powracał szczególnie w ostatnim czasie.

– Wolisz być uparty?

– Żartujesz? Mogę gadać tak długo, aż ci uszy pękną. Ale założę się, że nie dowiesz się żadnej rzeczy, której byś dotąd nie wiedział. – Zagrał czarnym waletem.

Wcześniak przebił lewę, rozłożył parę dziewiątka-dama, wyrzucił czerwoną damę i wyszczerzył się. Jego zgryzowi powinien przyjrzeć się Jednooki.

– Cholera! – jęknął Łabędź. – Przegrałem. Jak wy się ludzie tego nauczyliście? To najprostsza gra na świecie, ale nigdy nie spotkałem Taglianina, który by umiał w nią grać.

– Kiedy grasz z Jednookim, szybko się uczysz – zauważyłam. – Opuść parę rozdań, Wcześniak. Pozwól mi trochę pograć i wydobyć z niego co nieco. – Zasiadłam za stołem, ani na moment nie spuszczaając oka z Łabędzia. Facet wiedział, jak wejść w rolę. To nie był ten Wierzba Łabędź, o którym pisał Murgen, ani ten Wierzba Łabędź, którego widywała Sahra, bywając w pałacu. Wzięłam ze stołu pięć kart otrzymanych w następnym rozdaniu. – Co to za rozdanie?! Toż to dno! Jak to jest, że jesteś taki spokojny, Łabędź?

– Nie mam się czym przejmować. Nie możesz mieć gorszych ode mnie. Nie mam dwu kart, które by do siebie pasowały.

– Uważasz, że nie masz się czym przejmować?

– W tej chwili nie mam nic innego do roboty, jak leżeć do góry brzuchem i wypoczywać. Zwyczajnie grać w tonka, póki moja ukochana nie przyjdzie i nie zabierze mnie do domu.

– Nie boisz się? Raporty, które dostajemy, mówią, że trzęsiesz się bardziej niż kiedyś Kopec.

Rysy jego twarzy stwardniały. Nie było to porównanie, które mu odpowiadało.

– Najgorsze już się zdarzyło, no nie? Jestem w rękach swoich wrogów. Ale wciąż nic mi się nie stało.

– Nie ma żadnej gwarancji, że to potrwa wiecznie. Chyba że będziesz współpracował. – Psiakrew! Z taką grą będę musiała obrabować puszkę z datkami na biednych. Nie bardzo potrafiłam zwracać uwagę na przebieg rozgrywki, póki nie wyrzuciłam ostatniej karty. Nie wygrałam.

– Będę śpiewał niczym ćwiczona krowa – obiecał Łabędź. – Jak cały chór. Jednak nie na wiele się przydam. Nie byłem tak blisko centrum wydarzeń, jak może wam się wydawać.

– Może i nie. – Uważnie obserwowałam jego dłonie podczas tasowania. Wydawało mi się, że najpewniej właśnie wtedy, gdy zręcznie przekładał karty, mógł nieświadomie pokazać swe ego cwanego manipulatora. Jeśli jednak zrobił jakiś przekręt, to nic nie zauważyłam. A ja też uczyłam się grać od Jednookiego. – Dowiedz tego. Opowiedz mi najpierw, jak udało się Duszołap utrzymać was przy życiu podczas jazdy przez równinę.

– To prosta sprawa. – Skończył szybką partię. – Uciekaliśmy szybciej, niż potrafiły biec goniące nas cienie. Jechaliśmy na tych czarnych koniach, które Kompania przywiozła ze sobą z Północy.

Sama kilka razy jechałam na tych zaczarowanych bestiach. To mogła być odpowiedź. Potrafiły prześcignąć każdego normalnego wierzchowca, a na dodatek biec niemalże bez przerwy i się nie męczyć.

– Może... Może... Nie miała żadnego specjalnego talizmanu?

– Przynajmniej mi o niczym nie wspominała.

Zerknęłam na to, co dostałam na rękę w kolejnym rozdaniu. Zgroza. Wymuszanie zeznań z Łabędzia mogło okazać się kosztowne. Nie należę bynajmniej do lepszych graczy w tonka w tej całej bandzie.

– Co się stało z końmi?

– O ile wiem, wszystkie pomarły. Czas, może magia, może rany wreszcie im dojadły. Duszołap również nie była z tego powodu zadowolona. Nie lubi chodzić i nie przepada za lataniem.

– Lataniem? – Zaskoczona pokazałam kartę, którą powinnam schować. To pozwoliło jednemu z Guptów się wyłożyć i obedrzeć mnie z kolejnych kilku miedziaków.

– Myślę, że polubię grę z tobą – orzekł Łabędź. – No. Latanie. Ma kilka tych dywanów, które zrobił Wyjec. Niemniej tak naprawdę nie idzie jej najlepiej. Sam mogę zaświadczyć, wiem, jak to jest. Ty dajesz. Nic nie może się równać ze spadnięciem z takiego świrusa, kiedy nagle poderwie się w górę, nawet jeśli jesteś tylko półtora metra nad ziemią.

Obok zmaterializował się Jednooki. Wyglądał promiennie i czujnie, co ostatnio rzadko mu się zdarzało.

– Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego? – Jego oddech zionął alkoholem.

Łabędź zaczął sarkać.

– Znam ten głos. Nie. Sądziłem, że odpadłeś jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Myślałem, że dostaliśmy twój tyłek pod Kadigat. Albo może to była Boroda czy Nalanda.

– Szybko biegam.

– Możesz wejść pod warunkiem, że pokażesz pieniądze i nie będziesz rozdawał – zdecydował Wcześniak.

– I przez cały czas trzymał ręce na stole – dodałam.

– Ubodłaś mnie w samo serce, Dziewczynko. Ludzie mogą sobie pomyśleć, że nie wierzysz w moją uczciwość.

– I dobrze. To zaoszczędzi im mnóstwo czasu i bólu.

– Dziewczynko? – zdziwił się Łabędź. I nagle w jego oczach pojawiło się zupełnie inne spojrzenie.

– Jednooki cierpi na słowotok. Siadaj, stary. Łabędź właśnie opowiadał nam o magicznych dywanach Duszołap i o tym, jak nie lubi latać. A ja się zastanawiam, czy nie moglibyśmy tego jakoś wykorzystać.

Łabędź patrzył to na mnie, to na Jednookiego. Ja obserwowałam ręce Jednookiego, kiedy brał ze stołu pierwsze karty. Tak na wypadek, gdyby miał ochotę pomajstrować coś przy swoim rozdaniu.

– Dziewczynko?

– Mamy tu jakieś echo? – zapytał Wcześniak.

– Czy to nagle jakiś problem? – spytałam teraz ja.

– Nie! Nie. – Łabędź uniósł wolną rękę w pojednawczym geście. – Po prostu spotyka mnie tu mnóstwo niespodzianek. Duszołap myślała, że wie wszystko o niedobitkach Kompanii. Ale już zdążyłem spotkać tu czworo ludzi, których uznaje się z całą pewnością za martwych, włączywszy w to najpaskudniejszego czarodzieja na świecie i tę kobietę Niueng Bao, która zachowuje się, jakby dowodziła.

– Nie próbuj mówić w ten sposób o Goblinie – zaperzył się Jednooki. – To mój kumpel. Będę musiał ująć się za nim. Któregoś dnia. – Prychnął.

Łabędź nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– I ty. Brałiśmy cię za mężczyznę.

Wzruszyłam ramionami.

– Niewielu wiedziało. Poza tym to nieważne. Pijaczyna z przepaską na oku, w śmierdzącym kapeluszu powinien mieć na tyle rozumu, by nie wspominać o tym w obecności obcego. – Spojrzałam groźnie.

Jednooki wyszczerzył się, wyciągnął kartę z kupki, odrzucił ją.

– Ona jest ostra, Łabędź. Bystra też. Opracowała ten plan, przez który tu jesteś. Zabrałaś się już do następnego, Dziewczynko?

– Mam kilka. Chociaż przypuszczam, że w następnej kolejności Sahra będzie chciała Generalnego Inspektora.

– Gokhale? On nic nam nie powie.

– Powiedzmy, że to sprawa osobista. Łabędź, wiesz coś o nim? Też zabawia się z małymi dziewczynkami, jak to zwykł robić Perhjul Koodzi?

Jednooki popatrzył na mnie złym okiem. Łabędź też się zagapił. Tym razem ja sknociłam sprawę. Coś zdradziłam.

Było za późno, żeby nad tym rozpaczać.

– No co?

– W rzeczy samej, tak. – Łabędź był blady. Skupił się na swoich kartach, ale miał kłopoty z opanowaniem drżenia rąk. – Ci dwaj i jeszcze kilku w tym biurze. Przyciągnęły ich do siebie wspólne zainteresowania. Radysza nie wie o niczym. Nie chce wiedzieć. – Wyrzucił kartę, mimo iż nie była to jego kolej. Z miejsca stracił serce do gry.

Zrozumiałam, na czym polega jego problem. Doszedł do wniosku, że skoro mówię z nim otwarcie, to spodziewam się, że niedługo przeniesie się na wyższą płaszczyznę egzystencji.

– Wszystko będzie dobrze, Łabędź. Póki będziesz zachowywać się grzecznie i odpowiadać na zadane pytania. Do diabła, muszą zostawić cię przy życiu. Pod równiną lśniącego kamienia spoczywa garstka chłopaków, którzy na pewno będą chcieli z tobą pogadać, kiedy wrócą. – To może być ciekawe, popatrzeć, jak będzie omawiał całą sprawę z Murgenem.

– Oni wciąż żyją? – Wydawał się ogłuszony tym stwierdzeniem.

– I to jeszcze jak. Po prostu dla nich czas się zatrzymał. I z każdą minutą stają się coraz bardziej wściekli.

– Myślałem... Wielki Boże... cholera!

– Nie używaj takich słów, kiedy wzywasz imienia Bożego! – warknął Wcześniak.

Wcześniak również był wyznawcą Vedna z Dżajkuru. I to znacznie gorliwiej praktykującym niż ja. Jakimś sposobem udawało mu się modlić przynajmniej raz w ciągu dnia, a świątynię odwiedzał kilka razy w miesiącu. W oczach tutejszych Vedna był uciekinierem z Dedżagore, zatrudnionym przez Ban Do Tranga ze względu na pomoc, jaką miał okazać Niueng Bao podczas oblężenia. Większość braci pracowała na pełny etat, i to ciężko, aby jak najmocniej wtopić się w lokalne społeczności.

Łabędź przełknął ślinę i rzekł:

– Wy ludzie w ogóle jadacie? Nie miałem nic w ustach od wczoraj.

– Jadamy – odpowiedziałam. – Ale nie tak, jak do tego przywykłeś. Prawdą jest to, co mówią o Niueng Bao. Nie jedzą niczego prócz rybich łbów i ryżu. Osiem dni w tygodniu.

– W tej chwili ryba wystarczy mi całkowicie. Kląć będę, gdy już napełnię żołądek.

– Wcześniak – powiedziałam – musimy wysłać oddział zabójców do Semczy, żeby pilnowali Drzewa Boodiego. Prawdopodobnie Protektorka będzie próbować je ściąć. Możemy sobie zdobyć trochę zwolenników, jeśli je uratujemy. – Opowiedziałam im o adeptcie boodyzmu, który się spalił, i o tym, że Duszołap grozi porąbaniem drzewa na podpałkę. –

Pojechałabym chętnie sama, choćby po to, by przekonać się czy etyka unikania gwałtu boodystów jest naprawdę na tyle silna, by stać bezczynnie, kiedy ktoś będzie niszczyć najświętszą z ich relikwi na ich oczach. Niestety mam zbyt dużo roboty na miejscu. – Rzuciłam karty. – W rzeczy samej, mam robotę już teraz.

Byłam zmęczona, sądziłam jednak, że mogę jeszcze przez kilka godzin studiować Kroniki Murgena, zanim zmorzy mnie sen.

Kiedy odchodziłam od stołu, Łabędź szeptał:

– Skąd ona, do cholery, wie to wszystko? I czy naprawdę ona to ona?

– Osobiście nigdy nie sprawdzałem – powiedział Wcześniak. – Mam żonę. Ale zdecydowanie ma pewne kobiece nawyki.

Co ten diabeł chciał powiedzieć? Jestem po prostu jedną z chłopaków.

11

To były naprawdę ekscytujące czasy. Przepęłniało mnie pragnienie, by cały czas kręcić się po mieście, w którym tyle się działo. Echa naszego śmiałego czynu dotarły już do wszystkich krańców Taglios. Pośpiesznie przełykałam zimny ryż, wysłuchując skarg Tobo, że ojciec znowu nie zwraca nań uwagi.

– Mogę zrobić coś w tej sprawie, Tobo?

– He?

– Jeśli sądzisz, że pójde pod ten aparat, każę mu się zmaterializować i poproszę, by porozmawiał ze swoim dzieciakiem, to wściekając się, marnujesz tylko swój i mój czas. Gdzie jest twoja matka?

– Wyszła do pracy. Dawno temu. Powiedziała, że jeśli dzisiaj się nie pokaże, mogą zacząć coś podejrzewać.

– Prawdopodobnie by zaczęli. Przez jakiś czas będą nerwowi i będą zwracać uwagę na wszystko. A może tak zamiast rozwodzić się nad tym, co było, pomyślisz trochę nad tym, co zrobisz następnym razem, kiedy spotkasz się z ojcem? A w międzyczasie utrzymasz się z dala od kłopotów, robiąc dla mnie notatki za każdym razem, gdy będę przesłuchiwać więźnia?

Wściekle spojrzenie, jakim mnie zmierzył, mówiło jasno, że jest tą perspektywą równie ucieszony, jak byłby każdy chłopak w jego wieku.

– Też wychodzisz?

– Muszę iść do pracy. – Najlepsza chwila na wcześniejszą wizytę w bibliotece. Uczonych miało nie być przez większość dnia. Dziś odbywało się wielkie spotkanie badralok, grupy luźno związanych ze sobą, wykształconych mężczyzn, którzy nie przepadali za Protektorką i kwestionowali zasadność samej instytucji Protektoratu. Zwykli nazywać się żartobliwie terrorystami intelektualnymi. W istocie jednak „badralok” znaczy mniej więcej „ludzie zacni” i dokładnie tak o sobie myśleli. Wszyscy byli wykształconymi Gunni, wywodzącymi się z kasty wyższej, co oznaczało, że przytłaczająca większość populacji tagliańskiej nie żywiła

do nich śladu sympatii. Największym zmartwieniem badralok było to, że ich dumne, wręcz aroganckie poczucie własnej wyższości Protektorka traktowała z całkowitą pogardą. Jako rewolucjoniści i terroryści byli mniej żarliwi niż członkowie dowolnego klubu społecznego klas niższych, funkcjonującego niemalże w każdej dzielnicy miasta. Wątpię, by Duszołap chciało się marnować bodaj dwóch szpiegów na ich obserwację. Oni sami wszak bawili się świetnie, wygłaszając filipiki i licytując się wizjami piekła, do którego to świat rzekomo zmierza prostą drogą, na wozie zaprzężonym w kozły, którym kieruje demon w czerni. Dzięki nim większość pracowników biblioteki zniknęła mi z oczu przynajmniej raz w tygodniu.

Robiłam oczywiście co mogłam, aby ten buntowniczy zapal podjudzać.

Wystartowałam źle. Nie dalej jak trzydzieści metrów od wyjścia z magazynu wpadłam na dwóch braci wykonujących jakąś idiotyczną robotę dla Do Tranga, a równocześnie pełniących wartę. Jeden z nich wykonał gest mówiący, że mają coś pilnego do zameldowania. Westchnęłam i zwolniłam kroku.

– O co chodzi, Rzeka? – Ludzie wołali na niego Rzekołaz. Nie miałam pojęcia, czy posiada jeszcze jakieś inne imię.

– Zatrzasnęło się parę pułapek na cienie. Złapaliśmy kilka nowych zwierzączków.

– O, nie. Psiakrew! – Pokręciłam głową.

– Niedobrze?

– Niedobrze. Biegnij, powiedz to Goblinowi. Zostanę z Przeciagiem, póki nie wrócisz. Tylko szybko. Już jestem spóźniona do roboty. – Nie było to prawdą, ale Taglianie naprawdę żadnej sprawy nie traktowali jako niecierpiącej zwłoki, a pojęcie punktualności było im zupełnie obce.

Cienie w pułapkach. Niezbyt pomyślny obrót spraw. Z tego, co byliśmy w stanie ustalić, Duszołap miała w swojej mocy nie więcej niż dwadzieścia parę cieni. Przypuszczalnie drugie tyle zdziczało na dalekim Południu i zdobyło sobie sławę rakszasów, czyli odpowiedników demonów lub diabłów, jednak nie do końca przypominających te, które znali moi bracia z Północy. Z ich opowieści wynikało, że północne demony były samotnymi istotami o dużej potędze. Rakszasowie natomiast w swej egzystencji uzależnieni byli od społeczności i indywidualnie dysponowali niewielką siłą. Byli jednak śmiertelnie groźni. Sprowadzali prawdziwą śmierć.

W starożytnych mitach są rzecz jasna znacznie potężniejsi. Ciskali w siebie latającymi ponad głowami górskimi masywami, odrastały im dwie głowy na miejsce jednej uciętej przez herosa, porywali piękne żony królów, którzy chociaż tak naprawdę byli wcielonymi bogami, jakoś o tym zapominali. W pradawnych czasach wszystko musiało być o wiele bardziej fascynujące – nawet jeśli życie codzienne mogło wydawać się nieco bez sensu.

Duszołap z pewnością troskliwie dogląda swoich cieni, które stanowiły jej najbardziej wartościowe narzędzia. Jeśli więc zostały wysłane na przeszpiegi, powinna dokładnie pamiętać, który dokąd się udał. Przynajmniej ja zorganizowałabym całą rzecz w ten sposób, musząc korzystać z zasobów nieodnawialnych. I tak zresztą postępowałam z każdym człowiekiem biorącym udział w operacji pojmania Wierzby Łabędzia. Wiedziałam dokładnie, jak każdy z nich dostanie się na wyznaczone stanowisko i którędy będzie powracał do domu. Znałam wszelkie czynności podejmowane przez niego między jednym a drugim. I osobiście poszłabym ich poszukać, gdyby nie udało się im wrócić, czego spodziewałam się również po Duszołap.

Goblin, klnąc na czym świat stoi, wykuśtykał na światło dzienne wczesnego poranka. Miał na sobie okrywające go do stóp do głów dla zmyłki brązowe wdzianko wejedyńskiego derwisza. Nienawidził tego przebrania, ale było ono konieczne, gdy wychodził na zewnątrz. Nie miałam doń pretensji. Musiało mu być bardzo gorąco. Pierwotnym religijnym przeznaczeniem tego stroju było bezustanne przypominanie świętym mężom o piekle, którego unikają, krocząc ścieżką moralnej czystości, ascezy i dobroczynności.

– O co, do diabła, chodzi z tym gównem? – burknął. – Już jest tak gorąco, że można by gotować jajka w powietrzu.

– Chłopcy mówią, że coś się złapało w nasze pułapki na cienie. Przyszło mi do głowy, że może cię to zainteresuje i zrobisz coś w tej sprawie, zanim mamusia przyjdzie tu szukać swoich dzieciątek.

– Cholera. Znowu więcej roboty...

– Staruszkule, w twoich ustach właśnie zagościło coś, czego ja nie wzięłabym nawet do ręki.

– Świętoszkowatość Vedna. Zabieraj się stąd, zanim udzielę ci prawdziwej lekcji języka. A kiedy będziesz wracać, przynieś do domu

jakieś naprawdę przyzwoite żarcie. Na przykład kawał wołowiny.

Niejeden raz on i Jednooki spiskowali nad sposobem schwytania jednej ze świętych krów, włączających się po mieście. Po dziś dzień ich wysiłki spełzały na niczym, ponieważ żaden z ludzi nie chciał w tym uczestniczyć. Większość wywodziła się z tradycji Gunni.

Niemal natychmiast okazało się, że schwytane przez nas cienie nie były jedynymi, które wałęsały się po mieście przed świtem. Plotki dotarły prawie równocześnie. Pogłoski o naszym ataku na pałac i samospaleniu adepta boodyzmu zostały wyparte przez opowieści o zabitych przez cienie. Te mordy nastąpiły znacznie bliżej domów i stanowiły temat dużo świeższy. Ponadto były cokolwiek surrealistyczne. Z ciała człowieka, którego pożarły cienie, pozostaje jedynie pokręcona skorupa istoty, którą był wcześniej.

Wślizgnęłam się w tłum skupiony przy drzwiach wejściowych do domu rodziny, którą poraziła wielokrotna śmierć. Kiedy jesteś mały, zwinny i umiesz rozpychać się łokciami, nie sprawia ci to większych trudności. Przybyłam akurat na czas, by zobaczyć, jak wynoszą truchła. Miałam nadzieję, że wystawią je na widok publiczny. Nie dlatego, bym chciała nasycić oczy koszmarnym widokiem. Podczas wojen z Władcami Cienia widywałam mnóstwo tego rodzaju ofiar. Po prostu doszłam do wniosku, że dobrze, gdy ludzie zobaczą, na co stać Duszołap. Im więcej ma wrogów, tym dla nas lepiej.

Ciała zostały już wcześniej zawinięte w całuny. Niemniej zgromadzeni wokół gadali.

Powędrowałam dalej, dowiadując się po drodze, że większość zabitych stanowili ludzie żyjący na ulicy. A tych było naprawdę mnóstwo. Co więcej, nie sposób było w rozkładzie tych zgonów wysledzić żadnego planu; wyglądało to tak, jakby Duszołap zwyczajnie spuściła cienie ze smyczy tylko po to, aby pokazać wszystkim, że ma władzę nad ich życiem i śmiercią.

Zgony te nie wzbudziły żadnej wszechogarniającej trwogi. Ludzie uznali, że cała sprawa na tym się skończyła. Większość nie знаła żadnej z ofiar, a więc ich zejście również nie wzbudziło w nich gniewu. Przeważały raczej ciekawość i obrzydzenie.

Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nie zawrócić i kazać Goblinowi tak zaprogramować schwytane cienie, by zaczęły znowu zabijać

dzisiejszej nocy wszystkich kolejnych, póki Duszołap nie wyśledzi ich na powrót. Nie będzie przecież szukać tych, co zastawili pułapki, jeśli stwierdzi, że jej zwierzaczki znarowiły się same. A zanim terror dobiegnie końca, cienie przysporzą jej mnóstwa dalszych wrogów.

Z początku wydawało mi się, że Szarych zupełnie wymiotło z ulic, ale oni tylko zdecydowanie mniej niż zazwyczaj rzucali się w oczy. Kiedy minęłam Czor Bejgen, wszystko się wyjaśniło. Otoczyli blokadą dzielnicę, najwyraźniej kierując się przekonaniem, że wszystkie niedobitki Czarnej Kompanii, wyjęte spod prawa przez Protektorę jako zwykli bandyci, z pewnością poszukają schronienia wśród rodzimych złodziei i łotrów Taglios. Doprawdy, zabawne.

I Sahra, i ja upierałyśmy się, aby jak najmniej mieć do czynienia ze środowiskami kryminalnymi – wbrew sprzeciwom Jednookiego. I nie zwracałyśmy uwagi na okazjonalne odstępstwa od ustalonej przez nas zasady, jakich dopuszczał się Ban Do Trang. Kryminaliści stanowili niezdiscyplinowaną zbieraninę ludzi o co najmniej wątpliwych zasadach moralnych, którzy mogli wydać nas za cenę kilku dzbanów nielegalnie pędzonego wina. Miałam nadzieję, że tak oni, jak Szarzy świetnie się teraz bawią. Liczyłam, że ktoś zapomni o obowiązujących regułach i dzień skończy się krwawo. To mogło bardzo ułatwić życie moje i moich ludzi.

Podczas każdej podróży przez miasto stajesz oko w oko z okrutną prawdą o Taglios. Nigdzie na świecie nie ma tylu żebraków. Gdyby ktoś oczyścił miasto i zorganizował z tych ludzi regimenty, uzyskałby armię znacznie liczniejszą niżli wszystko, co Kapitan zdołał wystawić przeciwko Władcom Cienia. Jeśli choć w najmniejszym stopniu wyglądasz na człowieka obcego lub takiego, któremu lepiej się powodzi, ciągną do ciebie całymi stadami. Próbują wszystkich sposobów, aby wykorzystać twoją litość. Niedaleko od magazynu Do Tranga grasuje chłopiec pozbawiony rąk i dolnych części nóg. Jakimś sposobem w ich miejsce przymocowano mu drewniane klocki. Czołga się po okolicy, niosąc miseczkę w zębach. Każdy kaleka, który skończył piętnaście lat, twierdzi, że jest kontuzjowanym bohaterem wojennym. Dzieci są najgorsze. Często z całym rozmysłem okaleczane, o niegodziwie zniekształconych kończynach, są sprzedawane potem ludziom, którzy traktują je jak swoją własność, najwyraźniej przekonani, że daje im do tego prawo miska pieczonego ziarna rzuca co kilka dni.

Nową miejską tajemnicą stało się to, że ludzie tego pokroju podejmują duże ryzyko, iż sami staną się ofiarami okrutnych tortur, a w efekcie rozpoczną własną karierę zdeformowanych żebraków. Jeśli tylko nie będą oglądać się przez ramię bardzo, bardzo uważnie.

Przechodziłam właśnie w pobliżu jednego z takich ludzi. Miał jedną rękę, dzięki której mógł jakoś pełzać. Reszta poskręcanych kończyn stanowiła obraz nędzy i rozpacz. Jego kości zostały zgruchotane na drzazgi, jednak dołożono wszelkich starań, aby utrzymać go przy życiu. Twarz i widoczne partie skóry pokrywały blizny po oparzeniach. Zatrzymałam się, aby wrzucić miedziaka do jego miseczki.

Zawył i próbował odczołgać się na bok. Jednym okiem wciąż jeszcze widział.

Gdziekolwiek spojrzeć, życie w Taglios toczyło się w sposób jedyny w swoim rodzaju. Każdego poruszającego się pojazdu uczeplieni byli ludzie, wykorzystujący okazję darmowej przejażdżki. Nie dotyczyło to jedynie rikszy prawdziwych bogaczy, na przykład bankiera z ulicy Kowlhri, który mógł sobie pozwolić na wynajęcie forysiów z bambusowymi kijami, odpędzających tłuszcę. Handlarze siedzieli częstokroć wprost na swych skromniutkich ladach, ponieważ nie było dla nich więcej miejsca. Robotnicy truchtali w tę i w tę, gnąc karki pod przygniatającym do ziemi ciężarem i wulgarnie przeklinając wszystkich na drodze. Ludzie krzyczeli na siebie, gwałtownie wymachując rękami, a kiedy nasza ich potrzeba, zwyczajnie schodzili na skrawek ulicy, gdzie nikt akurat nie leżał, by tam się wypróżnić. Myli się w wodzie płynącej rynsztokiem, zupełnie nie zwracając uwagi na fakt, że ktoś inny właśnie oddawał mocz do tego samego potoku jakieś cztery metry dalej.

Taglios dostarcza wielu rozmaitych wrażeń, jednak żadnego ze zmysłów nie angażuje tak mocno jak węchu. Nienawidzę pory deszczowej, jednak gdyby nie przynoszona przez z nią olbrzymia powódź, miasto z pewnością okazałoby się nie do wytrzymania nawet dla szczurów. Bez opadów występujące lokalnie epidemie cholery i ospy miałyby z pewnością przebieg o wiele gwałtowniejszy – choć z kolei dłużej trwające opady prowadziły do wybuchów ognisk chorobowych żółtej febry i malarii. Wszelkiego rodzaju plagi stanowiły tu zwykłą codzienność i traktowane były przez mieszkańców miasta z całkowitym spokojem.

No i jeszcze trędowaci, których cierpienie nadawało dodatkowej głębi wszechobecnemu okropieństwu i desperacji. Moja wiara w Boga nie była poddana nigdy tak ciężkiej próbie jak wówczas, gdy próbowałam w jej świetle spojrzeć na trędowatych. Boję się ich tak samo jak wszyscy pozostali, ale na tyle znam paru z nich, żeby wiedzieć, iż naprawdę niewielu zasłużyło na takie przekleństwo. Chyba że Gunni mają rację i ci nieszczęśnicy płacą w ten sposób za zło, jakiego dopuścili się w poprzednim życiu.

A nad tym wszystkim jastrzębie i kruki, sokoły i sępy. Życie padlinożerców staje się łatwe, póki nie pojawią się wozy grabarzy i nie zbiorą martwych.

Aby spróbować szczęścia, ludzie przybywają do miasta zewsząd, nawet z miejsc odległych o osiemset kilometrów. Ale Fortuna jest podłą, dwulicową boginią.

Jeśli jednak przez pół pokolenia zdarzyło ci się żyć w świecie przez nią rządzone, ledwie ją już zauważasz. Zapominasz, że to nie tak winno toczyć się życie. Przestajesz zdumiewać się ilością zła, które człowiek przywołuje na ten świat samym swym istnieniem.

12

Biblioteka założona została i przekazana następnie miastu przez jakiegoś handlowego barona poprzedniej epoki, który wielce cenił sobie wykształcenie. W moich oczach urastała niemalże do symbolu wiedzy, wznoszącego się ponad miastem i rozświetlającego otaczające ze wszystkich stron mroki ignorancji. Najgorsze slumsy w mieście graniczyły dokładnie z murem otaczającym jej tereny. U bram prowadzących na zewnątrz żebracy naprzykrzali się wyjątkowo natarczywie, co w gruncie rzeczy było dość dziwne. Nie widziałam, by kiedykolwiek ktoś rzucił im choć jedną monetę.

Przy bramie tkwi odźwierny, ale nie pełni funkcji strażnika. Brakuje mu choćby bambusowej pałki. On jednak wcale jej nie potrzebuje. Świętości miejsca emanującego wiedzą przestrzegają wszyscy. Wszyscy prócz mnie, moglibyście rzec.

– Dzień dobry, Adu – przywitałam odźwiernego, gdy uchylał dla mnie furtkę z kutego żelaza. Chociaż w miejscu tym występowałam jako mężczyzna zajmujący się sprzątaniami i roznoszeniem przesyłek, miałam jednak pewną pozycję. Najwyraźniej cieszyłam się łaską paru członków badralok.

W miarę jak Taglios przeludniało się i ubożało pod względem zasobów, status społeczny i przynależność kastowa stawały się coraz ważniejsze. W ciągu ostatnich dziesięciu lat kasty zostały sztywniej oddzielone od siebie, a rozgraniczenia tego przestrzegano jeszcze ściślej. Ludzie rozpaczliwie chronili to, co już posiadali. Na podobnej zasadzie rosły w siłę gildie kupieckie. Niektóre wystawiały nawet niewielkie, prywatne siły zbrojne, mające zadbać o to, aby imigranci i inni obcy nie rozwłóczyli ich bogactw; siły te niekiedy wypożyczano świątyniom lub innym instytucjom chcącym dochodzić sprawiedliwości na własną rękę. Kilku naszych towarzyszy służyło w nich również. Dochody były przyzwoite, nadto pozwalało to nawiązać kontakty i choćby przelotnie zerknąć, co dzieje się

wewnątrz społeczności całkowicie niedostępnych dla nas pod każdym innym względem.

Od zewnątrz biblioteka przypomina bardziej zdobną świątynię Gunni. Jej kolumny i ściany pokrywają płaskorzeźby, upamiętniające sceny tak mitologiczne, jak historyczne. Budynek nie jest szczególnie wielki, jego dłuższy bok ma jakieś trzydzieści metrów, krótszy – blisko dwadzieścia. Jego główna kondygnacja wznosi się trzy metry ponad otaczające ogrody i pomniki położone zresztą na niewielkim wzgórzu. Bryła budowli jest dostatecznie duża, aby pomieścić pełnowymiarową wiszącą galerię, otaczającą ją dookoła od środka na wysokości, na której winno znajdować się drugie piętro. Nad nią jest jeszcze rodzaj strychu, poniżej zaś porządnie osuszona suterena. Dla mnie jednak jest tu zbyt przestronnie, bym mogła czuć się dobrze. O ile nie przyrzajem się gdzieś albo nie ukryję wyżej, wszyscy mogą widzieć, co robię.

Główne piętro stanowi rozległa przestrzeń posadzki z marmuru sprowadzonego z dalekich stron. Na niej w równych rzędach stoją biurka i stoły, przy których pracują uczeni, prowadzący własne badania lub zajmujący się kopiowaniem rozpadających ze starości manuskryptów. Klimat tych okolic niespecjalnie sprzyja trwałości ksiąg. Biblioteka ma w sobie jakiś niewyraźny smutek, otacza ją gęstniejąca powoli atmosfera zaniedbania. Z każdym rokiem odwiedza ją coraz mniej uczonych. Protektorki nie interesuje księżnica, która nie może pochwalić się starożytnymi dziełami pełnymi śmiercionośnych zaklęć. Nie sposób znaleźć w niej choćby jednego podręcznika mrocznej nekromancji. Niemniej ciekawego materiału jest pod dostatkiem – gdyby tylko zachciało się jej poszukać. Niemniej ten rodzaj bezinteresownej ciekawości z pewnością nie leży w jej charakterze.

Żaden z budynków, jakie widziałam w życiu, nie ma tylu okien co ta biblioteka. Kopiści potrzebują dużo światła. Dziś większość z nich jest już stara i wzrok nie dopisuje im jak dawniej. Santaraksita często narzeka, że nie widzi przed księżnicą żadnej przyszłości. Nikt już nie chce tu przychodzić. Podejrzewa, że ma to związek z historycznym strachem przed przeszłością, który zaczął plenić się zaraz po pojawieniu się Władców Cienia, jeszcze w czasach jego młodości. Nastroje te później umocnił dodatkowo lęk przed Czarną Kompanią, nawiedzający ludzkie umysły na długo przedtem, zanim jej żołnierze dotarli do Taglios.

Weszłam do biblioteki i rozejrzałam się. Uwielbiałam to miejsce. W innych czasach z radością zostałambym jedną z asystentek Santaraksity. Oczywiście gdyby udało mi się zdać skomplikowany egzamin, jakiemu poddawani byli kandydaci na uczonych.

Nie byłam wyznawczynią Gunni. Nie wywodziłam się z kasty wyższej. Pierwszą przeszkodę potrafiłabym pokonać. Całe życie właściwie spędziłam wśród Gunni. Jednak system kastowy znałam wyłącznie od zewnątrz. A tylko członkom kasty kapłanów i troskliwie dobieranym przedstawicielom kasty merkantylnej pozwalano na pobieranie nauk. Chociaż obznajomiona byłam zarówno z potocznym, jak i rozwiniętym, ostatecznie nie potrafiłabym z pewnością konsekwentnie udawać, że wzrastałam w domu kapłańskim, który podupadł w ciężkich czasach. W istocie przecież nie miałam nigdy żadnego domu.

Teraz miałam bibliotekę w całości dla siebie. A ponadto najwyraźniej nie było nic, co wymagałoby natychmiastowego sprzątnięcia.

Zawsze zdumiewało mnie, że w księżnicy nikt nie mieszkał. Że w oczach wszystkich była najwyraźniej miejscem bardziej uświęconym, czy też bardziej przerażającym, niż świątynia. Dla kandzali – osieroconych i bezdomnych, niebojących się niczego chłopców ulicy, którzy włóczyli się po mieście w sześćo–ośmioosobowych grupach – świątynie stanowiły tylko kolejne miejsce, w którym można zdobyć pieniądze. Ale nigdy nie naprzykrzali się bibliotece.

Analfabetom wiedza zawarta w książkach wydawała się nieomal tak przerażająca, jak wiedza mieszcząca się w mózgu istoty równie niegodziwej co Duszołap.

Wykonywałam jedną z najlepszych prac, jakie były dostępne w Taglios. Byłam głównym dozorcą największego księgozbioru i największego skryptorium w całym imperium tagliańskim. Zdobycie stanowiska, z którym wiązało się obecnie dla mnie zdecydowanie zbyt wiele przyjemności, kosztowało mnie trzy lata knowań i kilka starannie zaaranżowanych zabójstw. Nieustannie musiałam walczyć z pokusą zapomnienia o Kompanii. Gdybym dysponowała cenzusem społecznym pozwalającym na awans ze stanowiska dozorczy, który zagląda do książek, kiedy nikt go nie obserwuje, z pewnością uległabym jej.

Szybko wydobyłam narzędzia mojej oficjalnej pracy, a potem zaraz pośpieszyłam do jednego z opuszczonych pulpitów. Znajdował się nieco na

uboczu, jednak można było stąd widzieć oraz słyszeć wszystko, co dzieje się dookoła. Nikt więc nie mógł mnie zaskoczyć i złapać na robieniu tego, co w jego oczach z pewnością musiało stanowić czynność tak zakazaną, jak i całkowicie niepojętą.

Wcześniej dwukrotnie mnie nakryto, na szczęście każdorazowo z tantryczną książką, bogato iluminowaną. Pomyśleli z pewnością, że oglądałam nieprzyzwoite obrazki. Santaraksita sam zasugerował, że jeśli takie rzeczy budzą moją ciekawość, powinnam przyjrzeć się dokładniej ścianom świątyni. Ale odkąd przyłapał mnie po raz drugi, nie mogę pozbyć się przeczucia, że gdzieś w głębi serca piastuje niejasne podejrzenia.

Nikt nigdy nie zagroził mi zwolnieniem ani jakąkolwiek inną karą, jednak poinformowano mnie w sposób całkowicie niedwuznaczny, że posuwam się za daleko oraz że bogowie karzą tych, którzy nie pamiętają o swej pozycji i przynależności kastowej. Rzecz jasna, nie mieli pojęcia o moim prawdziwym pochodzeniu czy powiązaniach, o mojej niechęci do religii Gunni wraz z jej bałwochwaltwem i tolerancją dla grzechu.

Wygrzebałam książkę, w której została ponoć opisana najwcześniejsza historia Taglios. Nie miałabym pojęcia, że takie dzieło w ogóle istnieje, gdybym nie zauważyła, jak ktoś kopiował je z rękopisu tak starego, iż od razu rzucała się w oczy odmienność kaligrafii, do złudzenia przypominającej zresztą stare Kroniki, których odczytanie tyle nastęczało mi kłopotów. Baladitja, kopista, najwyraźniej nie miał najmniejszych kłopotów z przekładem tekstu na współczesny tagliański. Udało mi się ocalić zbutwiały, rozsypujący się oryginał. Ukryłam go. Przyszło mi bowiem do głowy, że porównując go z wersją współczesną, będę w stanie opanować dialekt starożytnych Kronik.

Jeśli mi się nie uda, możemy złożyć Dżiriszowi ofertę tłumaczenia dla Czarnej Kompanii, którą uzna z pewnością za propozycję nie do odrzucenia, jeśli tylko weźmie pod uwagę jej alternatywę.

Od jakiegoś czasu zdawałam już sobie sprawę, że książki, które chciałam przetłumaczyć, same były kopiami jeszcze wcześniejszych rękopisów, z których przynajmniej dwa stanowiły transkrypcje tekstów spisanych w zupełnie innym języku – zapewne w ojczystej mowie naszych pierwotnych braci, którą posługiwali się, schodząc z równiny lśniącego kamienia.

Zacęłam więc czytać od początku.

Opowieść była zaiste zajmująca.

Początki Taglios to zbiorowisko glinianych lepiarek na brzegu rzeki. Mieszkańcy tej wioski żyli albo z rybołówstwa – zajęcia ryzykownego ze względu na wszechobecność krokodyli – albo zajmowali się uprawą roli. Miasto rosło powoli, bodaj tylko z tego powodu, że stanowiło ostatnie nadające się do zamieszkania miejsce na brzegu rzeki, która zaraz za nim rozpląwała się w zabójczych bagnach swej delty, w owych czasach jeszcze niezamieszkaną przez Niueng Bao. Spływające z góry rzeki towary podążały stąd następnie drogą lądową ku „wszystkim wielkim królestwom Południa”. Żadnego z nich nie wymieniało z nazwy.

Najpierw Taglios stanowiło lenno Baladiltyli, miasta znanego z ustnych podań, które wszak czas stał z powierzchni ziemi. Niekiedy jego położenie kojarzy się ze starożytnymi ruinami znajdującymi się nieopodal wioski Videja, którą również dziejopisarstwo kojarzy z intelektualnymi osiągnięciami „imperium Kiuras” i która rozpościera się pośród zbiorowiska ruin zupełnie innego rodzaju. Baladiltyla była miejscem narodzin Radrejnika, wojowniczego króla. W starożytności nieomal udało się mu wytepić wyznawców kultu Oszustów; jedynych ocalałych pogrzebał wraz z ich świętymi pismami, Księgami Zmarłych, w tej samej jaskini, w której obecnie spoczywał Murgien wraz z tymi wszystkimi starcami, spowitymi pajęczyną lodowych sieci.

Nie wszystkie te informacje pochodziły z czytanej właśnie księgi. W miarę postępów lektury przypominały mi się i kojarzyły rzeczy, które czytałam lub słyszałam w innych miejscach. To były dla mnie naprawdę kwestie niezwykle zajmujące.

Znalazłam tu też odpowiedź na pytanie Goblina. Książęta Taglios nie mogli rościć sobie praw do tytułu królewskiego, ponieważ wciąż honorowali hołd lenny wobec królów Naanda, swych pierwotnych suwerenów. Oczywiście dynastia Naanda wygasła już dawno, toteż Goblin z pewnością zapytałby, dlaczego w takim razie książęta tagliańscy sami się nie koronowali? Nietrudno byłoby im znaleźć precedensy usprawiedliwiające takie postępowanie. Wnioskując z wydarzeń historycznych wieków poprzedzających przybycie Czarnej Kompanii, stanowiło to ulubioną rozrywkę każdego, komu udało się zebrać choćby trzech lub czterech popleczników.

Jakoś udało mi się zdławić przemożną ochotę, aby przeskoczyć dalej, od razu do epoki, gdy Wolne Kompanie z Khatovaru runęły na świat. Jednak to, co się zdarzyło przed ich nastaniem, z pewnością pomoże wyjaśnić wszystko, co przyniosła epoka inwazji.

13

Nagle poczułam przeszywający, gwałtowny dreszcz. W bibliotece nie byłam już sama. Niepostrzeżenie minęło naprawdę dużo czasu. Słońce odmierzyło dobrych kilka godzin w swej drodze przez nieboskłon. Światło w księżnicy zmieniło się – stało się znacznie bledsze niż rano. Zapewne niebo musiało się zachmurzyć.

Nie podskoczyłam jak oparzona, nawet nie drgnęłam, ale musiałam zdradzić w jakiś widoczny sposób, że zdaję sobie sprawę, iż ktoś za mną stoi. Być może zaalarmowała mnie woń jego oddechu. Curry i czosnek pachną bardzo intensywnie. Z pewnością jednak nie słyszałam wcześniej najłżejszego odgłosu.

Opanowałam jakoś przyspieszone tętno, przybrałam obojętny wyraz twarzy, odwróciłam się.

I spojrzałam prosto w oczy Kustosza Biblioteki, mojego szefa, Mistrza Surendranata Santaraksity.

– Dorabi, jak mniemam, zajmowałeś się czytaniem. – W bibliotece znali mnie jako Dorabiego Dei Banerdże. Niezwykle szacowne nazwisko. Człowiek, który je nosił, zmarł tuż obok mnie w potyczce pod Lasem Daka, bardzo dawno temu. Nie potrzebował już dłużej żadnego nazwiska, nie mogłam więc wyrzucić mu krzywdy, posługując się nim.

Nie odezwałam się. Jeśli kustosz obserwował mnie przez dłuższą chwilę, każda próba zaprzeczenia byłaby kłamstwem w żywe oczy. Zdążyłam przeczytać już połowę oprawnego tomu, bez jakiegokolwiek ilustracji czy jednego ustępu poświęconego tantrze.

– Obserwowałam cię od jakiegoś czasu, Dorabi. Nie udaje ci się ukryć twoich zainteresowań i zdolności. Jest rzeczą oczywistą, że potrafisz czytać dużo lepiej od niektórych moich kopistów. Jasne jest też, że nie wywodzisz się z kasty kapłańskiej.

Twarz miałam wciąż stępałą niczym stary ser. Wewnątrz zastanawiałam się jednak gorączkowo, czy powinnam go zabić, a jeśli tak, to w jaki sposób

pozbyć się ciała? Może dałoby się obciążyć winą Oszustów... Nie. Kustosz Santaraksita był stary, jednak wciąż dość krzepki, by nie pozwolił zadusić się bez walki. Czasami niski wzrost stanowił cechę bardzo niekorzystną. On był ode mnie wyższy o dwadzieścia centymetrów, w tej chwili jednak wydawało mi się, że to co najmniej metr. Poza tym w odległym końcu biblioteki również ktoś był. Słyszałam dobiegające stamtąd głosy.

Nie spuściłam jednak wzroku, tak, jak powinien postąpić służący. Kustosz Santaraksita wiedział już przecież, że jestem kimś więcej niż tylko ciekawskim sprzątaczem, nawet jeśli ze swoich obowiązków wywiązywałam się bardzo dobrze. W całej bibliotece nie sposób było znaleźć choćby drobinki kurzu. Taka była reguła rządząca w Kompanii. Postacie, którymi stawaliśmy się publicznie, musiały być moralnie bez zarzutu i doskonale wykonywać swą pracę. Z czego niektórzy nie byli bynajmniej zadowoleni.

Czekałam. Kustosz Santaraksita sam zdecyduje o swym losie. Sam zdecyduje o losie biblioteki, którą tak ukochał.

– Cóż więc. Nasz Dorabi jest człowiekiem o większych talentach, niżli podejrzewaliśmy. Co jeszcze potrafisz robić, o czym nie mamy pojęcia, Dorabi? Czy pisać umiesz także? – Rzecz jasna, nie odpowiedziałam. – Gdzie się tego nauczyłeś? Od dawna już wśród niektórych badralok za dogmat uchodzi przekonanie, iż ludzie niewywodzący się z kasty kapłańskiej nie dysponują władzami umysłowymi pozwalającymi im opanować język rozwinięty.

Wciąż nic nie mówiłam. W końcu będzie musiał powziąć jakąś decyzję. Zareaguję odpowiednio do tego, co postanowi. Miałam nadzieję, że uda mi się uniknąć konieczności zabicia go oraz jego towarzyszy, a następnie obrabowania księżnicy ze wszystkiego, co może okazać się przydatne. Ten plan zaproponował Jednooki już wiele lat temu. Kwestia subtelności nawet nie przyszła mu do głowy. Fakt, że zaalarmowałyby to Duszołap, iż coś dzieje się tuż pod jej nosem, również jakoś umknął jego uwagi.

– Nie masz nic do powiedzenia? Nie próbujesz się usprawiedliwić?

– Dążenie do wiedzy nie potrzebuje usprawiedliwienia. Sondel Gosz „Dżanaka” pisał, że w Ogrodzie Mądrości nie istnieje podział na kasty. – Aczkolwiek napisał to w epoce, gdy podział kastowy miał o wiele mniejsze znaczenie.

– Sondel Gosz miał na myśli Uniwersytet Vikramaski, gdzie studenci musieli najpierw przejść mordercze egzaminy, zanim pozwalano im wstąpić w jego mury.

– Czy mamy stąd wnosić, że należałoby przyjmować na uniwersytet studentów, niezależnie od ich kasty, którzy nie potrafią przeczytać Panas i Paszids? Sondela Gosza nie bez powodów nazywano „Dzanałą”. Vikramas stanowiło ośrodek teologii dzanaistycznej.

– Sprzątaacz rozeznany w dawno wygasłej religii... Zaiste, chyba wkraczamy w Erę Khadi, kiedy wszystko zostanie wywrócone do góry nogami. – Khadi to imię Kiny, najbardziej powszechnie spotykane wśród Taglian, którym nazywają jedną z jej mniej złośliwych postaci. Samo imię „Kina” wymawia się rzadko, w obawie, by Mroczna Matka nie usłyszała i nie zareagowała na wezwanie. Tylko Oszuści chcą nastania jej władzy. – Skąd zdobyłeś tę wiedzę? Kto cię uczył?

– Najpierw mój przyjaciel, bardzo dawno temu. Po jego śmierci uczyłem się sam. – Ani na moment nie spuszczałam wzroku z jego twarzy. Jak na zdziwaczałego starego jajogłowego, którego konserwatyzm stanowił przedmiot szyderstw młodszych kopistów, wykazywał zadziwiającą elastyczność umysłu. Ale dlaczego miałabym sądzić po pozorach? Być może zresztą zrozumiał, że jedno niewłaściwe słowo równoznaczne jest z podróżą w dół rzeki. Podróżą, z której nie ma powrotu.

Nie. Mistrz Surendranat Santaraksita nawet nie wyobrażał sobie świata, w którym człowiek potrafiący czytać i kochać starożytne teksty zdolny jest również do podrzynania gardeł, prowadzenia się z czarownikami, umarłymi i rakszasami. Mistrz Surendranat Santaraksita nie myślał o sobie w ten sposób, ale był w istocie rodzajem świętego pustelnika, który sam się konsekrował, aby chronić wszystko co dobre w wiedzy i kulturze. To udało mi się dostrzec w nim zdecydowanie wcześniej, drogą wnikliwej obserwacji. Udało mi się także zrozumieć, że nasze poglądy w kwestii tego, co właściwie jest dobre, nieczęsto są zgodne.

– A więc po prostu zapragnąłeś się uczyć.

– Łaknę wiedzy w taki sposób, jak niektórzy mężczyźni łakną uciech ciała. Zawsze tak to czułem. Nie potrafię nic na to poradzić. To jest jak opętanie.

Santaraksita przechylił głowę na bok, przypatrując mi się krótkowzrocznymi oczami.

– Jesteś starszy, niż wyglądasz.

Przyznałam się:

– Ludzie sądzą, że jestem młodszy, ze względu na moją drobną budowę ciała.

– Opowiedz mi o sobie, Dorabi Dei Banerdze. Kim był twój ojciec? Z jakiej rodziny pochodziła twoja matka?

– Z pewnością nie mogłeś o nich słyszeć. – Przez chwilę zastanawiałam się, czy na tym nie poprzestać. Ale Dorabi Dei Banerdze miał przecież prawdziwą historię. Przez wiele lat wprawiałam się w jej szczegółach. Jeśli tylko nie wypadnę z roli, reszta będzie najczystsza prawdą.

Utrzymać się w roli. Być Dorabim przyłapanym na czytaniu. Niech Ospała martwi się, co zrobić, kiedy przyjdzie czas, aby Ospała wróciła na scenę.

– Jesteś nazbyt niskiego mniemania o sobie – wtrącił w pewnym momencie Santaraksita. – Mogłem nawet znać twego ojca... jeśli był nim ten sam Dollal Dei Banerdze, który nie potrafił się oprzeć wezwaniu do broni, kiedy Wyzwoliciel formował pierwotny legion, który następnie odniósł zwycięstwo nad brodem Ghodza.

Zdążyłam już wymienić imię ojca zabitego Dorabiego. Teraz nie sposób było już się wycofać. A tak w ogóle, to skąd on mógł znać Dollala? Banerdze to jedno z najstarszych i najczęściej spotykanych tagliańskich nazwisk. Banerdzowie wspomniani byli w tekście, który czytałam kilka chwil temu.

– To mógł być on. Nigdy nie poznałem go dobrze. Aczkolwiek pamiętam, jak szczyił się tym, że był jednym z pierwszych, którzy się zaciągnęli. Poszedł z Wyzwolicielem na wojnę z Władcami Cienia. Nigdy nie wrócił znad brodu Ghodza. – Niewiele więcej wiedziałam o rodzinie Dorabiego. Nie znałam nawet imienia jego matki. Jak to możliwe, żebym w całym Taglios spotkała akurat kogoś, kto pamiętał jego ojca? Zaprawdę, Fortuna jest boginią niezgłębionych kaprysów. – Znałeś go dobrze? – Jeśli okaże się, że tak, wówczas być może bibliotekarz będzie musiał jednak pożegnać się z życiem, nie potrafiłam bowiem wyobrazić sobie innego sposobu na uniknięcie zdemaskowania.

– Nie. Niezbyt dobrze. Właściwie prawie go nie znałem. – Teraz z kolei kustosz Santaraksita najwyraźniej stracił ochotę na dalsze wgłębianie się

w szczegóły. Jakby zniecka naszły go jakieś niepokojące myśli. Po chwili rzekł: – Chodź ze mną, Dorabi.

– Słucham?

– Wspomniałeś w rozmowie o uniwersytecie w Vikramas. Akurat posiadam listę pytań, które odźwierni przy bramach zadają kandydatom pragnącym studiować. Czysta ciekawość pcha mnie do poddania cię temu samemu egzaminowi.

– Niewiele wiem o dżanai, Mistrzu. – Prawdę powiedziawszy, nie do końca pewnie czułam się na terenie dogmatów własnej religii, ponieważ zawsze obawiałam się przyjrzeć im dokładniej. Przy rygorystycznym zastosowaniu rozumu wszelka teologia obracała się w proch, niezależnie już od tego, że naprawdę na świecie żyły takie postulowane przez nią istoty jak Kina, zawsze jednak bałam się rozbić głowę o jakiś głaz absurdu sterczący z podłoża mojej własnej wiary.

– Pytania egzaminacyjne nie mają wcale charakteru religijnego, Dorabi. Sprawdzają moralność ewentualnego studenta, jego zmysł etyczny i umiejętność myślenia. Mnisi dżanakijscy chcieli za wszelką cenę zapobiec wychowywaniu przyszłych przywódców, którzy zachowali choćby cień mroku w swoich duszach.

Jeśli taka była prawda, to doprawdy musiałam bardzo głęboko utożsamić się z przyjętą rolą. Ospała, dziewczyna-żołnierz Vedna z Dżajkuru, miała na swej duszy plamy ciemniejsze niżli cień wszystkich nocy.

14

I co wtedy zrobiłaś? – spytał Tobo.

Z ustami pełnymi ryżu, mocno przyprawionego na modłę tagliańską, odrzekłam:

– Potem wyszłam z pokoju i zadbałam o czystość w bibliotece. –

A Surendranat Santaraksita został tam, gdzie siedział, kompletnie ogłuszony, obezwładniony wręcz odpowiedziami, jakich udzielił mu prosty sprzątac. Mogłam mu wprawdzie powiedzieć, że każdy, kto słuchał ulicznych bazarzy i kazań żebrzących mnichów, a także nietrudnych do uzyskania bezpłatnych porad pustelników oraz joginów, nie miałby kłopotów z odpowiedzią na większość pytań z Vikramas. Do licha, kobieta Vedna z Dżajkuru potrafiłaby na nie odpowiedzieć.

– Musimy go zabić – powiedział Jednooki. – Jak chcesz to zrobić?

– Ostatnimi czasy na każdy problem masz to samo rozwiązanie, nieprawdaż? – dogryzłam mu.

– Im więcej ich teraz usunę, tym mniej zostanie, żeby mi dokuczać na starość.

Nie potrafiłam orzec, czy naprawdę żartuje.

– Kiedy zaczniesz się starzeć, wtedy będziemy się tym martwić.

– Z takim facetem pójdzie łatwo, Dziewczynko. Nie będzie się niczego spodziewać. Bach! I już go nie ma. I nikogo to nie obejdzie. Zadusić jego dupę. Zostawić rumel. Niech cała wina spadnie na naszego starego kumpla, Narajana. Skoro jest już w mieście, postarajmy się, by całe gówno szło na jego konto.

– Pilnuj swego języka, staruszku. – Jednooki paplał dalej, odmieniając słowo oznaczające zwierzęce odchody w setce języków. Odwróciłam się doń plecami. – Sahra? Nic nie mówisz.

– Próbuje jakoś przetrwać to, czego się dzisiaj dowiedziałam. Tak na marginesie, Dżaul Barundandi był trochę zdziwiony tym, że zostałam w domu. Próbował odjąć opłatę za twoją pracę z mojej pensji. I tym chyba

wreszcie doprowadził Min Subredil do kresu wytrzymałości. Zagroziłam mu, że zacznę krzyczeć. Pewnie by się nawet nie przejął, gdyby gdzieś w pobliżu nie kręciła się jego żona. Pewna jesteś, że bezpiecznie będzie zostawić tego bibliotekarza przy życiu? Gdyby całą rzecz zaaranżować naturalnie, nikt by nie podejrzewał...

– Pewnie to nie jest do końca bezpieczne wyjście, ale może się opłacić. Kustosz Santaraksita chce spróbować przeprowadzić na mnie swego rodzaju eksperyment. Pragnie zobaczyć, czy sobacze nasienie z najniższej kasty można nauczyć przewracać się na grzbiet i robić „zdechł pies”. A co z Duszołap? Co z cieniami? Dowiedziałaś się czegoś?

– Spuściła wszystkie, jakie miała. Tak zwyczajnie, dla kaprysu. Bez żadnego konkretnego celu, wyjąwszy chęć przypomnienia miastu o swej władzy. Spodziewała się, że ofiarami padną przede wszystkim imigranci żyjący na ulicach. Nikogo za bardzo nie obchodzą. Tylko garstka cieni wróciła przed świtem. Nieobecność tych, które schwytaliśmy, nie zostanie dostrzeżona przed wpływem jutrzejszej nocy.

– Moglibyśmy złapać jeszcze kilka...

– Nietoperze – zauważył Goblin, dosiadając się do nas bez pytania. Jednooki zdawał się drzemać. Wciąż jednak trzymał w dłoni swoją laskę. – Nietoperze. Dzisiejszej nocy było ich na dworze mnóstwo.

Sahra przytaknęła ochoczo.

– Dawno temu, zanim wyruszyliśmy przeciwko Władcom Cienia, pozabijaliśmy wszystkie nietoperze – ciągnął dalej Goblin. – Za każdego płaciliśmy tyle, by polujący na nie myśliwi mogli z tego wygodnie żyć. A to dlatego, że Władcy Cienia wykorzystywali je do szpiegowania.

Pamiętałam czasy, gdy niez mordowanie zabijano kruki, ponieważ podejrzewano, że służą Duszołap jako jej oczy.

– Chcesz powiedzieć, że dzisiejszego wieczoru nie powinniśmy wychodzić?

– Nasza staruszka ma umysł ostry niczym kamienny topór.

– A co Duszołap sądzi o naszym ataku? – spytałam Sahrę.

– Nie słyszałam, by ktokolwiek o tym wspominał. – Przebiegła wzrokiem kilka kart starych Kronik. – Nieporównywalnie bardziej martwi ją samobójstwo tego boodysty. Obawia się, że może zapoczątkować jakiś nurt.

– Nurt? Czy to możliwe, że jest więcej mnichów na tyle szalonych, żeby dokonać samospalenia?

– Ona tak uważa.

– Mamo, czy dziś wieczorem będziemy wywoływać ducha ojca? – zapytał Tobo.

– Jeszcze nie wiem, kochanie.

– Chciałbym porozmawiać z nim trochę dłużej.

– Porozmawiasz. Jestem pewna, że on również będzie zainteresowany rozmową z tobą. – Jej głos brzmiał tak, jakby próbowała przekonać przede wszystkim samą siebie.

Zwróciłam się do Goblina.

– Gdybyście tę mgłę potrafili stale utrzymać, można by się skontaktować z Murgenem za każdym razem, gdy będziemy chcieli dowiedzieć się czegoś, i posłać go, aby sprawdził rzecz na miejscu.

– Pracujemy nad tym. – Zaczął perorować coś technicznym żargonem. Nie rozumiałam ani słowa, pozwoliłam mu jednak ciągnąć dalej. Nie zaszkodzi, jeśli ktoś czasem go doceni.

Jednooki zaczął chrapać. Jednak każdy sprytny człowiek mimo to nie podchodziłby bliżej, w zasięg jego laski.

– Tobo może przez cały czas robić notatki.... – powiedziałam i poraziła mnie nagła jak piorun wizja syna kronikarza przejmującego obowiązki ojca, jak to się działo w tagliańskich gildiach, w których interesy i narzędzia przechodziły z pokolenia na pokolenie.

– W rzeczy samej – oznajmił Jednooki, jakby nawet moment nie dzielił tej uwagi od ostatnio wypowiedzianych przezeń słów i jakby jeszcze przed chwileczką nie udawał, że śpi. – Teraz właśnie nadszedł czas, abyś rozegrała największą, nawredniejszą, a zarazem najstarszą, brudną sztuczkę Kompanii, Dziewczyńko. Wyślij kogoś na dół, do kupca. Niech ci przyniosą trochę jedwabiu, w różnych kolorach. Tylko żeby płachty były dość duże na kopie tych chust używanych przez Dusicieli. Tych rumli. A potem zaczniemy wyskubywać gości, których i tak nie lubimy. Od czasu do czasu przy trupie zostawimy szarfę. Jak z tym bibliotekarzem.

– Podoba mi się ten pomysł – powiedziałam. – Wyjawszy część z kustoszem Santaraksitą. To już kwestia zamknięta, staruszku.

Jednooki zachichotał skrzekliwie.

– Człowiek musi wytrwać w tym, w co wierzy.

– Byłoby z tego za dużo gadania i wytykania palcami – rzekł Goblin.
Jednooki zachichotał znowu.

– Wytykać będą, ale nie nas, Dziewczyńko. A ja myślę, że w obecnej chwili nie musimy ściągać na siebie więcej uwagi. Niewykluczone, że jesteśmy bliżej zrozumienia wszystkiego, niżli komukolwiek z nas przyszłoby do głowy.

– Woda śpi. Muszą traktować nas poważnie.

– To właśnie próbuję powiedzieć. Wykorzystamy te szarfy, żeby usunąć konfidentów i facetów, którzy wiedzą za dużo. Na przykład paru bibliotekarzy.

– Nie pomyłę się chyba zanadto, jeśli wyrażę przypuszczenie, iż myślisz o tym już od jakiegoś czasu i przypadkowo masz nawet pod ręką listę wszystkich, którzy dojrzeli, by opuścić ten świat? – Najprawdopodobniej każda taka lista obejmowałaby każdego z ludzi odpowiedzialnych za jego kolejne porażki w próbach zdobycia pozycji na tagliańskim czarnym rynku.

Zachichotał. Skinął laską w stronę Goblina.

– A ty powiadasz, że ona ma mózg tępy jak kamienny młotek.

– Przynies tę listę. Przy następnym spotkaniu omówię ją z Murgenem.

– Z duchem? Duchy nie mają właściwego wyczucia perspektywy, sama wiesz.

– Chcesz powiedzieć, że on za dużo widział i doskonale wie, o co chodzi ci naprawdę? Według mnie jest to jak najlepsze wyczucie perspektywy. Zastanawiam się, jak daleko mogłaby zajść Kompania, gdyby nasi dawni bracia zaangażowali jakiegoś ducha, który nie spuszczałby cię z oka.

Jednooki warknął coś o tym, jaki to świat stał się bezmyślny i niegodziwy. Odkąd go znałam, śpiewał tę samą piosenkę. I dalej tak będzie, nawet kiedy już on sam stanie się duchem.

Zaczęłam zastanawiać się na głos:

– Sądzicie, że da się nakłonić Murgena, aby zbadał źródło smrodu, który dochodzi z miejsca, gdzie Do Trang chowa swoje krokodyle skóry? Wiem na pewno, że to nie o nie chodzi. Krokodyle skóry śmierdzą na swój własny sposób.

Jednooki popatrzył wilkiem. Był już gotów zmienić temat. Smród, o którym napomknęłam, pochodził z ukrytej w piwnicy jego domowej destylarni, w której wytwarzał i piwo, i mocniejszy alkohol, w przekonaniu jego i Do Tranga, że nikt o tym nie wie. Ban Do Trang, niegdyś

dobroczynca Sahry, teraz stał się praktycznie jednym z członków zespołu, ze względu na głębokie upodobanie do produktów Jednookiego, nieposkromiony apetyt na nielegalne i podejrzane dochody oraz chęć posiadania na liście płac rozmaitych twardych gości, skłonnych pracować ciężko za niewielką pensję. Myślał, że jego nałóg stanowi tajemnicę dla wszystkich prócz Jednookiego i Ki Goty. Cała trójka upijała się razem do nieprzytomności przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Alkohol stanowił zdecydowanie jedną z głównych słabości Niueng Bao.

– Z pewnością cała sprawa niewarta jest zachodu, Dziewczyńko. To muszą być zdechłe szczury. Całe miasto ma cholerne problemy ze szczurami. Do Trang przez cały czas wyklada wszędzie trutkę, w ilościach hurtowych. Nie ma potrzeby marnować czasu Murgena i zaprzęgać go do polowania na tę zarazę. Oboje macie lepsze rzeczy do roboty.

Faktycznie mogłabym omówić z Murgeniem wiele spraw, gdyby tylko udało mi się porozmawiać z nim na osobności. Gdybym zdołała przyciągnąć jego uwagę. Na pewno chciałabym dowiedzieć się bezpośrednio o wszystkim, czego zazwyczaj musiałam wysłuchiwać od osób trzecich. Nie podejrzewałam nikogo o rozmyślną chęć wprowadzenia mnie w błąd, zwłaszcza nie podejrzewałam Sahry, ale ludzie skłonni są przeinaczać treść informacji stosownie do swych antypatii. Zapewne dotyczy to również mnie, chociaż jak dotąd mój obiektywizm nie miał sobie równych. Jednakże wszyscy moi poprzednicy.... cóż, ich przekazy trzeba było czytać naprawdę krytycznym okiem.

Rzecz jasna, większość z nich wygłaszała podobne uwagi pod adresem swoich poprzedników. W tej kwestii wszyscy zgadzaliśmy się ze sobą. Każdy jest kłamcą, prócz nas samych. Jedynie Pani posuwała się jeszcze dalej, zdradzając niekiedy zupełnie bezwstydną zadowolenie z samej siebie. Niewiele zmarnowała okazji, by przypomnieć tym, co mieli przyjść po niej, jak okazała się błyskotliwa, zdeterminowana i skuteczna, kiedy przyszło jej odwrócić los wojen z Władcami Cienia, chociaż nie dysponowała początkowo niczym prócz własnych zdolności. Z tekstu Murgena natomiast – delikatnie mówiąc – wyłania się obraz człowieka, któremu nie zawsze staje zdrowych zmysłów. Ponieważ sama żyłam w czasach, które opisywał, i uczestniczyłam w większości wydarzeń, jakie przedstawiają jego Kroniki, muszę stwierdzić, że i tak poradził sobie zupełnie nieźle. Większość jego wpisów mogłaby uchodzić za prawdę. Nie byłam w stanie znaleźć w jego

relacjach żadnych sprzeczności. Ale spora część z tego, co u niego wyczytałam, zdaje się nazbyt fantastyczna, by mogła naprawdę mieć miejsce.

Fantastyczna? A przecież ostatniej nocy sama odbyłam dłuższą pogawędkę z jego duchem. Czy też jego zbłąkaną duszą. Albo ka. Cokolwiek to było. Jeśli naprawdę był to Murgen, a nie ostateczny efekt jakiejś sztuczki stanowiącej dzieło Duszołap bądź Kiny.

Nigdy nie będziemy mieli stuprocentowej pewności, czy coś jest dokładnie tym, czym się zdaje. Kina jest Matką Oszustów. A Duszołap – by zacytować człowieka znacznie mądrzejszego i wyrażającego się dosadniej niż ja – popieprzoną wariatką.

To jest niesamowite – zachwycalam się po raz kolejny, gdy Sahra znowu wezwała Murgena. Ona sama nie zdradzała choćby odrobiny entuzjazmu. Radość i podniecenie Tobo nie przyczyniły się żadną miarą do poprawy jej nastroju. – Zanim zajmie się czymś innym, chciałabym najpierw, żeby sprawdził Surendranata Santaraksitę.

– A więc mimo wszystko nie ufasz bibliotekarzowi – stwierdził Jednooki. Potem zachichotał.

– Sądzę, że jest w porządku, jednak dlaczego ryzykować, że złamię mi serce, jeśli można tego uniknąć, nie spuszczać go z oka?

– Jak to się stało, że musi to być moje oko?

– Nie ma żadnego bystrzejszego pod ręką, nieprawdaż? A poza tym raz już odrzuciłeś szansę napisania swoich Kronik. Dzisiaj w nocy będę musiała wgłębić się w kilka tomów. Chyba wpadłam na trop czegoś.

Mały czarodziej odmruknął coś niezrozumiałe.

– Wydaje mi się, że dziś w bibliotece coś znalazłam. Jeśli Santaraksita mnie nie wyda, może przed końcem tygodnia uporam się z lekturą dotyczącą początków obecności Kompanii na tych ziemiach, napisaną przez kogoś z zewnątrz. – Odkrycie niezależnego źródła historycznego stanowiło cel naszych poszukiwań nieomal tak dawno, jak pragnienie spojrzenia na nieskażone wydania najwcześniejszych trzech tomów Kronik.

Jednak Sahrze chodziło po głowie coś innego.

– Ospała, Barundandi chce, żebym przyprowadziła Sauę do pracy.

– Nie. Saura jest na urlopie. Jest chora. Niech ma cholere, jeśli będzie tego trzeba. Wreszcie zaczęłam robić prawdziwe postępy. Nie mam zamiaru dopuścić, by teraz wszystko się zmarnowało.

– Pytał również o Sziki. – Dawno temu, kiedy jeszcze Tobo czasami towarzyszył swej matce w drodze do pałacu, wołała na niego Szikandini, co było żartobliwą aluzją do pewnej opowieści, której Dżaul Barundandi nigdy nie pojął, ponieważ nie należał do osób poświęcających historii mitów choć

odrobinę uwagi. Najstarsza żona króla legendarnego Heistinapjur zdawała się bezpłodna. Jako dobry Gunni, władca modlił się i sumiennie składał ofiary, aż w końcu jeden z bogów zstąpił z niebios i oznajmił mu, że może otrzymać syna, którego pragnie, ale cała sprawa rozstrzygnie się w najbardziej skomplikowany z możliwych sposobów, ponieważ syn ten urodzi się córką. I jako zostało obiecane, żona powiła dziewczynkę, której król nadał imię Szikandin, stanowiące męską pochodną żeńskiej formy Szikandini. Dalej opowieść jest długa i nieszczególnie interesująca; ostatecznie jednak dziewczyna wyrosła na dzielnego wojownika.

Kłopoty zaczęły się w chwili, gdy księżę musiał poszukać sobie narzeczonej.

Wiele z ról, w które wcielamy się publicznie, zawiera w sobie zawołowane aluzje albo żarty. Dzięki temu są one mniej nudne dla braci zmuszonych utożsamiać się z nimi.

– Czy mamy jakieś powody, aby porwać Barundandiego? – spytałam więc. – Inne niż jego wrodzona podłość? – Sądziłam, że najbardziej użyteczny jest na swoim dawnym miejscu. Każdy, kto go zastąpi, okaże się z pewnością skorumpowany bez reszty i najpewniej nie będzie równie miły dla Min Subredil. – I czy w ogóle jesteśmy w stanie dopaść go w odpowiednim miejscu?

Nikt nie miał najmniejszego nawet strategicznego argumentu dla porwania człowieka.

– Czemu pytasz? – chciała wiedzieć Sahra.

– Ponieważ sądzę, że możemy go zwabić w pułapkę. Jeśli ładnie ubierzemy Tobo, a potem odmówimy współpracy, póki Barundandi nie spotka się z nim na zewnątrz...

Sahra nie obraziła się. Podstęp jest koniecznym elementem wojennej sztuki. I coś najwyraźniej zaczęło chodzić jej po głowie.

– A może zamiast niego Gokhale?

– Czemu nie. Chociaż on pewnie wolałby kogoś młodszego. Możemy spytać Łabędzia. Myślałam o porwaniu Gokhale w tym samym miejscu, w którym Oszuści zabili tamtego drugiego. – Najważniejsze postacie z obozu wroga rzadko opuszczały pałac. Stanowiło to jeden z powodów, dla których wybraliśmy Wierzbę Łabędzia.

Sahra zaczęła nucić. Dzisiejszej nocy Murgen znowu ociągał się z przyjściem.

– Murgen powinien zajrzeć również do tego domu rozkoszy. Jemu najłatwiej będzie wszystko sprawdzić – powiedziałam, chociaż bez wątpienia w tym przypadku nietrudno byłoby znaleźć kilku braci chętnych zaryzykować.

Sahra skinęła głową, nie gubiąc rytmu swej kołysanki nawet na moment.

– Moglibyśmy nawet...

Nie. Nie moglibyśmy po prostu spalić tego miejsca, kiedy Gokhale rozgości się w środku na dobre. Nikt nie pojąłby, dlaczego chciałam zmarnować świetny burdel, aczkolwiek kilka osób mogło uznać morderczy ogień za wysoce zabawny.

Jednooki sprawiał wrażenie, jakby znowu zasnął, co jednak nie było prawdą. Nie otwierając oczu, zapytał:

– Ty w ogóle wiesz, dokąd zmierzasz, Dziewczynko? Masz jakiś plan strategiczny?

– Tak. – Z zaskoczeniem przekonałam się, że sama wierzę w swoje słowa. Intuicyjnie, gdzieś tam w głębi, jeszcze nie zdając sobie z tego świadomie sprawy, skonstruowałam mistrzowski plan uwolnienia Uwięzionych i wskrzeszenia Kompanii. I plan ten powoli zaczynał się urzeczywistniać. Po tak wielu latach.

Murgen zjawił się wreszcie, mamrocząc coś o białym kruku. Był kompletnie ogłupiały. Zwróciłam się do czarodziejów:

– Doszliście do tego, jak go tu zakotwiczyć na stałe?

– Zawsze chcą od ciebie czegoś nowego – zdenerwował się Jednooki. – Cokolwiek zrobisz, nigdy im nie wystarcza.

– To da się zrobić – oznajmił Goblin. – Ale dalej nie pojmuję, do czego miałyby się to przydać.

– Ostatnimi czasy był nie bardzo chętny do współpracy. Nie ma najmniejszej ochoty tu być. Powoli traci kontakt z rzeczywistością. Wolałby raczej wciąż spać i wędrować po tych jaskiniach. – Zaryzykowałam strzał w ciemno. – I machać swoimi białymi skrzydłami. Jako posłaniec Khadi.

– Białe skrzydła?

Nie czytali Kronik.

– Chodzi o tego kruka albinosa, który pojawia się tu i ówdzie. Czasami Murgen jest w jego głowie. Ponieważ Kina go tak inkarnowała. Kiedyś tak się zdarzyło, a teraz on nie potrafi już rozerwać tych więzów, podobnie jak

nie potrafił opanować wędrówek w przeszłość, od kiedy Duszołap zainicjowała ten proces.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Od czasu do czasu coś czytam. A niekiedy są to nawet Kroniki, z których próbuję zrozumieć to, czego Murgen nie przekazał, bo w istocie sam pewnie nie wiedział. Może życie białego kruka wydaje się mu atrakcyjne, ponieważ tą drogą wciela się w istotę z krwi i kości, zdolną do życia poza jaskiniami. Jednak niewykluczone też, że znowu znalazł się w zasięgu wpływów Kiny, aktywniejszej w płytszym śnie. Niemniej żadna z tych możliwości nie powinna wpływać na decyzje, jakie podejmiemy. Mamy robotę dla szpiega i chcemy, by ją dla nas wykonał. I zmuszę go do tego, nawet jeśli nie dysponuję sposobem, by wziąć go za kark.

Misja jest najważniejsza. Murgen sam mnie tego uczył.

– Ospała ma rację – odparła Sahra. – A więc spróbuję jednak zmusić go do skupienia na mnie uwagi, choćbym nawet miała skopać mu zadek. – Znienacka w jej głosie zabrzmiały tony niemalże optymistyczne, jakby takie bezpretensjonalne podejście do męża było dla niej całkowicie nowym odkryciem, brzemienym zupełnie nieoczekiwaną nadzieją.

Rzuciła się prosto w bezpośrednią konfrontację, biorąc Tobo ze sobą, dla dodania ducha.

Być może naprawdę uda się jej odbudować więzi Murgena ze światem rzeczywistym.

Odwróciłam się do pozostałych.

– Tego ranka natrafiłam na kolejną wersję legendy Kiny. W tej opowieści to nie ojciec skłonił ją podstępem do zaśnięcia. Ona umarła. Potem jednak jej mąż tak się zdenerwował...

– Mąż? – pisnął Goblin. – Jaki mąż?

– Nie mam pojęcia, Goblin. Książka nie wymienia imion. Została napisana dla ludzi wychowanych w wierze Gunni. Zakłada więc, że czytelnik wie, o kim mowa. Kiedy Kina umarła, jej męża zdjęła taka żalność, że pochwycił jej ciało i zaczął wykonywać ten taniec z przytupywaniem, o którym Murgen wspomina w sprawozdaniach ze swych wizji. Wpadł w trans tak niepoahamowany, że inni bogowie obawiali się, iż zniszczy świat. Zatem jej ojciec rzucił zaczarowanym nożem, który porznął ją na jakieś pięćdziesiąt kawałków, a każde miejsce, w które upadł odcięty kawałek ciała Kiny, stało się miejscem uświęconym dla jej wyznawców.

Czytając między wierszami i zgadując, byłabym gotowa zaryzykować hipotezę, że Khatovar jest miejscem, na które spadła głowa.

– Powoli zaczynam odnosić wrażenie, że Jednooki miał całkowitą rację, kiedy postanowił zdezerterować i wycofał się.

Jednooki zamarł z rozdziawionymi ustami. Goblin wyraził się pozytywnie o tym, co on kiedyś zrobił?

– A tam, od razu miał rację. Po prostu przeżywałem atak młodzieńczej płochliwości. Potem przewyciężyłem go jednak i odtąd znów jestem odpowiedzialny.

– Pojawiła się całkowicie nowa koncepcja – zauważyłam. – Odpowiedzialność Jednookiego.

– Najpewniej odpowiedzialność za wszelkie katastrofy i niedole – dodał Goblin.

Jednooki natomiast dodał:

– Nie łapię tej historii z Kiną. Jeżeli umarła gdzieś na początku świata, jakim sposobem sprawiała nam tyle kłopotów przez ostatnie dwadzieścia czy trzydzieści lat?

– To jest religia, tępaku – szczerkął Goblin. – Nie musi mieć sensu.

– Kina jest boginią – powiedziałam. – Przypuszczam, że bogowie nie mogą umrzeć tak do końca. Ale ostatecznie nie wiem, Jednooki. Nie wymyśliłam tego, po prostu mówię wam o tym, co przeczytałam. Posłuchaj, Gunni nie wierzą, żeby ktokolwiek miał tak naprawdę umrzeć. Dusze żyją dalej.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się Goblin. – Jeśli ci Gunni mają rację, to wdepnąłeś w niezłe gówno, karzełku. Będziesz się kręcił w Kole Żywotów, póki wszystkiego właściwie nie zrozumiesz. A masz dużo karmy do wyczyszczenia.

– Przestać. Zaraz – zachnęłam się. – Mamy pracować.

„Praca”. Nie było to ulubione przekleństwo żadnego z nich.

– Musicie przygwoździć Murgena – ciągnęłam dalej. – Albo zakuć w łańcuchy. Zrobić cokolwiek, co pozwoli zdobyć kontrolę nad nim. Potem pomożecie Sahrze jakoś do niego dotrzeć. Mam dziwne przeczucie, że nie minie dużo czasu, a zacznie się dziać naprawdę dużo. Wtedy Murgen będzie nam potrzebny, w pełni władz umysłowych i chętny do współpracy.

– Brzmi to tak, jakbyś nie zamierzała sterczeć nad nami i zaglądać nam przez ramię – zajęczał Jednooki.

Już byłam na nogach.

– Bystry staruszek. Muszę trochę poczytać i przetłumaczyć parę rzeczy. Dacie sobie radę beze mnie. Jeśli tylko się przyłożycie.

Jednooki zwrócił się do Goblina.

– Musimy wsadzić tę malutką pod kołdrę z jakimś gościem, który wypędzi z niej trochę tej przemądrzałości. – Jego lekarstwo na wszelkie choroby... i to w tym wieku!

Zatrzymałam się jeszcze tylko, by powiedzieć:

– Kiedy wszystkiemu przyjrzy się przelotnie, każcie mu poszukać Narajana i Córki Nocy. – Nie musiałam wyjaśniać, jak ważne było, aby nie dopuścić tych dwojga do realizacji ich celów.

16

Mam! – krzyknęłam, biegnąc w stronę kąta, gdzie przyjaciele i członkowie rodziny Murgena próbowali przemocą wymusić na nim odrobinę prawdziwego zainteresowania światem żywych. – Mam to!

– Mam nadzieję, że nie będziesz próbowała mnie zarazić – jęknął Jednooki.

Moje podniecenie objawiało się najwyraźniej tak gwałtownie i intensywnie, że nawet Murgen, którego pochwycili już we mgle na stałe i któremu sytuacja ta przysparzała autentycznych cierpień, przestał wiercić się na chwilę i spojrzął na mnie.

– Miałam wczoraj przebłysk intuicji, przeczucie, że odpowiedź jest w Kronikach. W Kronikach Murgena. A ja po prostu ją przeoczyłam. Może dlatego, że minęło tyle czasu, odkąd czytałam je po raz ostatni, a potem nigdy nie było już okazji do nich sięgnąć.

– I oto jest! – wykrzywił się Jednooki. – Proszę bardzo. Złotym atramentem na obsypanym mirrą papierze, opatrzony małą szkarłatną strzałką, na której widnieją słowa: „To tutaj, Dziewczynko. Sekret...”

– Wypchaj się, stary worze – odwarknął Goblin. – Chcę usłyszeć, co Ospała znalazła. – Chociaż z pewnością sam uraczyłby mnie porcją sarkazmu, gdyby Jednooki go nie ubiegł.

– To wszystko związane jest z Niueng Bao. No cóż, może nie wszystko – dodałam, gdy Sahra spojrziała na mnie chmurnie. – Ale ta część z Wujkiem Dodżem i Matką Gotą, i dlaczego wyleźli ze swoich bagien, skoro nie mieli długu honorowego jak twój brat, Sahro. Brat Sahry, Tai Dei, spoczywał wraz z Murgeniem pod powierzchnią równiny lśniącego kamienia. Wcześniej służył jako jego osobisty strażnik; w ten sposób próbował spłacić dług za to, co Murgen i Kompania zrobili, by pomóc Niueng Bao podczas oblężenia Dżajkuru. – Sahra, musisz coś o tym wiedzieć.

– Może to i prawda, Ospała. Ale najpierw musisz nam powiedzieć, o co ci właściwie chodzi.

– Chodzi mi o tę rzecz, cokolwiek to było, którą Tysiąc Głosów ukradła ze Świątyni Gangeszy w okresie dzielącym koniec oblężenia od czasów, kiedy twoja matka wprosiła się wraz z tobą na pobyt w Taglios. Murgen czyni nieustanne aluzje do tej kwestii, ale nie wydaje mi się, by ostatecznie pojął, o co chodzi. Cokolwiek ukradła Tysiąc Głosów, Wujek Dodź mówił na to „Klucz”. Wnosząc z innych, niezależnych świadectw, przypuszczam, że musi to być drugi klucz do Bramy Cienia, taki jak Lanca Cierpienia. – Tysiąc Głosów było imieniem, którym Niueng Bao określali Duszołap. – Sądzę, że gdybyśmy zdobyli ten klucz, byłibyśmy w stanie wypuścić Uwięzionych.

Jeśli zgadywałam prawidłowo, prowadziło to do całkowicie nowych wniosków i podstawowego pytania: Dlaczego właśnie Niueng Bao?

Sahra powoli pokręciła głową.

– Mylę się? Wobec tego, czym jest Klucz?

– Nie twierdzę, że się mylisz, Ospała. Chcę powiedzieć tylko, że wolałabym, abyś się myliła. Lepiej, żeby niektóre rzeczy nie były prawdą.

– Co? Dlaczego?

– Mity i legendy, Ospała. Wstrętne mity i legendy. Takie, o których właściwie nie powinnam niczego wiedzieć. Nawet nie znam ich w całości. Przypuszczalnie o najgorszych nawet nie słyszałam. Dodź był ich powiernikiem i strażnikiem. Pełnił taką funkcję jak ty w Czarnej Kompanii. Ale on nigdy z nikim nie dzielił się tajemnicami. Tobo, idź poszukać swojej babki. Przyprowadź ją tutaj. Do Tranga również, jeśli gdzieś go znajdziesz.

Nieco ogłupiały chłopak wyszedł, szurając stopami.

Od strony magicznego instrumentu, w którym czekał pochwycony duch Murgena, dobiegł nieziemski szept:

– Ospała może mieć rację. Przypominam sobie, że podejrzewałam coś w tym rodzaju i zastanawiałem się nawet, gdzie mogę znaleźć jakąś dobrą historię Niueng Bao, aby skonsultować rzecz u źródeł. Wierzbę Łabędzia powinnaś także przepytąć.

– Później się tym zajmę – odpowiedziałam. – Przy innej okazji. Łabędź nie powinien wiedzieć, co się dzieje. Rozumiesz już, co się do ciebie mówi, chorąży? Dociera do ciebie, czym się zajmujemy i o co nam chodzi?

– Dociera. – Jednak ton jego głosu przepełniała rezygnacja. Dobrze znałam to uczucie, kiedy wczesnym rankiem trzeba wstać, czy się tego chce czy nie.

– Opowiedz mi więc o tej świątyni Gangeszy. Dlaczego Klucz trzymano właśnie tam?

Sahra nie chciała o tym mówić. Z całej jej postawy wynikało jasno, że przeżywa poważne zmagania wewnętrzne.

– Dlaczego to takie trudne? – zapytałam.

– W przeszłości mego ludu mieszka pradawne zło. Mam tylko bardzo blade pojęcie o jego naturze. Dodż zna całą prawdę. Pozostali spośród nas wiedzą tylko, że nasi przodkowie popełnili wielki grzech, a póki nie uda nam się go odkupić, całe nasze plemię skazane będzie na życie w ostatecznej nędzy bagien. Świątynia była miejscem czczonym na długo przedtem, zanim pierwsi Niueng Bao przyjęli religię Gunni. Zbudowano ją po to, by strzegła czegoś. Najprawdopodobniej tego Klucza, o którym wspominałaś. Tej rzeczy, której cały czas szukał Wujek Dodż.

– Sahra, skąd przyszli Niueng Bao? – To pytanie trapiło mnie od dzieciństwa. Co kilka lat setki tych dziwnych ludzi przemierzały Dżajkur, pielgrzymując dokądś. Byli spokojni, doskonale zorganizowani i trzymali się na uboczu. A dokładnie w rok po tym, jak przybyli z Północy, wracali znowu, przemierzając tę samą drogę w drugą stronę. Nawet gdy Władcy Cienia znajdowali się u szczytu władzy, cykl ten nie uległ zakłóceniu. Nikt nie miał pojęcia, dokąd wędrują. Nikogo zresztą to nie obchodziło.

– Gdzieś z Południa, bardzo dawno temu.

– Zza Danda Presz? – Nie potrafiłam wyobrazić sobie, by w tak wyczerpującą podróż wyruszyli wraz z dziećmi i starcami. Pielgrzymka musiała być dla nich naprawdę ważna.

– Tak.

– Ale epoka pielgrzymek dobiegła kresu. – Ta, której zwieńczeniem stały się setki Niueng Bao pomarłych podczas oblężenia Dżajkuru, była ostatnią, o której wiedziałam.

– Wojny z Władcami Cienia i wojny kiauluńskie ostatecznie uniemożliwiły kilka następnych wędrówek. A jedna przypada raz na cztery lata. Każdy Niueng Bao De Duang powinien odbyć w swym dorosłym życiu przynajmniej jedną pielgrzymkę. Przez jakiś czas nie stanowiło to problemu, jednak w obecnej sytuacji Protektorka z pewnością nie pozwoli ludziom wypełniać ich religijnych obowiązków.

Ban Do Trang zacharczał coś ze swego fotela; przybył akurat w odpowiedniej chwili, by pojąć, dokąd zmierzają moje pytania:

– To są rzeczy, o których Niueng Bao nie rozmawiają z obcymi.

Miałam wrażenie, że w tym jednym stwierdzeniu zawarł dwie kwestie: informację skierowaną pod moim adresem i przestrożę dla Sahry. Przypuszczalnie więc całą sprawę należy załatwić najdelikatniej jak tylko można. Nie ośmielaliśmy się obrazić Ban Do Tranga, którego przyjaźni tak bardzo potrzebowaliśmy. Jeśli on nas opuści, ryzykujemy również, że i Sahara odejdzie, a jej wartość dla Kompanii była wręcz nieoceniona.

Nic nigdy nie jest łatwe.

Opowiedziałam więc staremu o wszystkim, co odkryłam. Akurat gdy zaczęłam, do środka wkuśtykała Ki Gota. Z szeroko otwartymi oczyma obserwowałam, jak Jednooki ustąpił jej miejsca. Żyjemy w świecie pełnym nadzwyczajnych cudów. Mały czarodziej wstał i przyniósł sobie inny stołek, który ustawił tuż obok miejsca zajmowanego wcześniej. Oboje siedzieli teraz, wsparci na swoich laskach, niczym para świątynnych gargulców. Zza gniewnego marsa, którego Ki Gota używała jako twarzy, wyjrzał na moment cień dawnego piękna.

Wyjaśniłam, jaka jest sytuacja.

– Niemniej w całej tej sprawie tkwi jedna tajemnica. Gdzie dzisiaj jest Klucz?

Nikt nawet nie spróbował odpowiedzieć na pytanie.

– Zakładam, że gdyby Tysiąc Głosów wciąż go posiadała, co miesiąc jeździłaby do Kiaulune, aby zgromadzić nowe stadko cieni morderców. Oczywiście jeśli prawdą jest, że dzięki jego pomocy mogła bezpiecznie otworzyć Bramę Cienia. Natomiast gdyby miał go Wujek Dodż, nie włóczyłby się wszędzie, wciąż go szukając. Zapadłby gdzieś na bagnach, radośnie przyglądając się, jak wszyscy idziemy z wózcikiem do al-Sziel. Może się mylę, Matko Gota? Znasz go przecież. Powinnaś wiedzieć, o co tu chodzi.

Może i powinna. Z pewnością jednak nie chciała. Głównym czynnikiem określającym atmosferę towarzyszącą peregrynacjom Kompanii po ziemiach Południa jest w mojej opinii uparta zmowa milczenia na temat tych ludzi, obejmująca praktycznie wszystko. Jakby poznanie choćby daty ich narodzin było czymś, co moglibyśmy wykorzystać przeciw nim. Nie pomogło to, że obecnie Kompania składała się właściwie wyłącznie z tubylczych żołnierzy. Życie, jakie wiedliśmy, nie przyciągało wykształciuchów, uczonej części społeczeństwa. Gdyby jakiś kapłan

zechciał się zaciągnąć, natychmiast spłynąłby w dół rzeki, ponieważ w sposób oczywisty nie mógłby być nikim innym jak szpiegiem.

– Ty masz tę cholerną zabawkę? – zapytał Jednooki.

– Kto?

– Ty, Dziewczynko. Ty, paskudna kobietko. Nie zapomniałem przecież, że przez czas jakiś byłeś w gościnie u Duszołap, która złapała cię, gdy wracałaś po przekazaniu tej wiadomości od Murgena. Nie zapomniałem, że kiedy nasz słodki Wujek Dodż cię uwolnił, nie stało się to przez przypadek. On przecież szukał tej swojej błyskotki, tego Klucza. No nie?

– Wszystko prawda, lecz po tym spotkaniu nie pozostało mi nic, oprócz kilku nowych blizn i łachmanów na grzbiecie.

– A więc musimy dowiedzieć się przede wszystkim, czy Duszołap naprawdę szukała właśnie Klucza?

– Tego nie dowiemy się nigdy z całą pewnością. Niemniej pamiętajmy, że ona faktycznie często lata na Południe i przemierza te dawne tereny, jakby chciała coś odnaleźć. – Wiedzieliśmy to dzięki Murgenowi, chociaż aż do teraz nie potrafiliśmy domyśleć się celu tych wypraw.

– No więc kto jeszcze mógł zgarnąć główną wygraną? – Jednooki nie naciskał Goty. Sposobem na wydobywanie od niej informacji było jej całkowite ignorowanie. Po upływie określonego czasu sama będzie próbowała zwrócić na siebie uwagę.

Przypomniałam sobie bladą, obszarpaną dziewczynkę, która, choć miała dopiero cztery lata, już wydawała się jakby ponadczasowa, milcząca i cierpliwa, z głęboką wiarą znosząc niewygody swej niewoli. Córka Nocy. Ani razu nie odezwała się do mnie sama. Dopuszczała do swej świadomości fakt mego istnienia tylko wtedy, gdy musiała, ponieważ jeśli zdenerwowała mnie za bardzo, mogłam zabrać jej tę odrobinę pożywienia, którą dawała nam Duszołap. Powinnam ją wówczas udusić. Tyle że nie miałam pojęcia, kim jest.

W owym czasie miałam kłopoty z przypomnieniem sobie, kim sama jestem. Duszołap podała mi narkotyki, weszła w głąb mojego umysłu i wygrzebała przynajmniej połowę tych rzeczy, które mnie czyniły mną, a potem spróbowała stać się mną i dostać się w szeregi Kompanii. Do dziś nie mogłam przestać się zastanawiać, ile naprawdę o mnie wie. Z pewnością nie chciałabym, aby odkryła, iż ocalałam z wojen

kiauluńskich. Niewykluczone, że była w posiadaniu środków, które bez trudu mogły złamać mnie emocjonalnie.

– Narajan przyszedł, aby uratować Córkę Nocy – myślałam głośno. – Ale widziałam go tylko przelotnie. Potwornie wychudzony mały człowiek, w brudnej przepasce na biodrach, który w niczym nie przypominał straszliwego potwora, jakim rzekomo miał być. Nie przyszło mi nawet do głowy, że to on, póki nie zrozumiałam, że nie zostanę uwolniona. Ponieważ jednak nie widziałam co robili, nie mam pojęcia, czy wzięli coś ze sobą. Murgen, ty ich wtedy widziałeś. Mam zapisane czarno na białym. Czy wzięli ze sobą coś, co mogłoby okazać się Kluczem?

– Nie wiem. Wierz mi albo nie, przebywając tutaj, naprawdę zapominasz o wielu rzeczach. – W jego głosie zabrzmiało zdenerwowanie.

Zrozumiałam, że zapomniałam najpierw spytać o to, co ma nam do przekazania. Zaraz naprawiłam swój błąd.

– Nic szczególnie pożytecznego – poinformowała mnie Sahra, wchodząc Murgenowi w słowo, nim zdążył przedstawić wszystko od początku.

– Możesz ich teraz poszukać? – Przewidywałam kłopoty. W grę wchodził jego mimowolny związek z Kiną. Jeśli sen mrocznej bogini znowu staje się płytszy, będzie musiał bardzo uważać, żeby nie ściągnąć na siebie jej boskiej uwagi. – W kwestii Córkę Nocy nasze priorytety są następujące: zabić ją. Jeśli nie uda się: zabić jej pomagiera. Jeśli to się nie powiedzie: zadbać o to, by nie zdołała sporządzić następnej kopii Księgi Zmarłych, czym, jestem pewna, zajmie się natychmiast, gdy tylko ustanowi trwałą więź z Kiną. I na koniec: odzyskać wszystko, co ona i Singh mogli zabrać ze sobą, kiedy Narajan ją uwolnił.

Jednooki przerwał swą drzemkę, by leniwie zaklaskać w dłonie.

– Rozedrzyj ich na strzępy, Dziewczynko. Rozedrzyj na strzępy.

– Sarkastyczny stary zboczeniec.

Jednooki zaśmiał się szyderczo.

– Jeśli chcesz mieć jeszcze jeden ślad, idź do swoich kumpli z biblioteki, którzy zajmują się wytwarzaniem pustych oprawnych tomów – rzekł Goblin. – Dowiedz się, kto ostatnio takie zamawiał. Albo przekup ich jakoś, by donieśli ci, kiedy to nastąpi.

– Cholera – powiedziałam. – Nareszcie ktoś, kto naprawdę używa mózgu do myślenia. Szczęściem świata jest to, że temu cudowi nigdy nie ma końca. Dokąd, u diabła, poszedł Murgen?

– Przed chwilą właśnie kazałaś mu znaleźć Narajana Singha i Córkę Nocy – odparła Sahra.

– Przecież nie miałam na myśli dokładnie tej sekundy. Chciałam dowiedzieć się jeszcze, czy nie znalazł czegoś przydatnego dla nas na temat Czandry Gokhale?

– Dopada cię stres, co, Dziewczyńko? – Ton głosu Jednookiego był tak przepełniony słodyczą, że niemal byłam gotowa go polizać. – Uspokój się. Teraz nie wolno robić niczego na siłę.

Kilku ludzi z aktualnej warty, Popłoch Singh i człowiek z Ziemi Cienia, którego kumple z oddziału nazwali Kendo Rębacz, sami wprosilili się na naradę.

– Dziś w nocy wszędzie będzie płacz i zgrzytanie zębów – doniósł Kendo. – Rozpuściłem słówko, by każdy zamknął się w miejscu, gdzie jest dużo światła.

– Cienie polują – stwierdziła Sahra.

– My wszyscy zostajemy tutaj – zarządziłam. – Ale tak na wszelki wypadek, Goblin, może wzięłbyś wartę razem z Kendo i Popłochem? Nie chcemy żadnych niespodzianek. Sahra, czy Duszołap pozwoli cieniem na całkowitą swobodę?

– Aby do wszystkich dotarło bez najmniejszych wątpliwości? Ty jesteś kronikarzem. Co mówią o niej księgi?

– Mówią, że jest zdolna do wszystkiego. Nie poczuwa się do żadnych związków z człowieczeństwem innych ludzi. Musi być bardzo samotna.

– Co?

– Zgodziliśmy się, że naszym następnym celem winien być Czandra Gokhale?

Sahra zmierzyła mnie osobliwym spojrzeniem. To zostało postanowione już wcześniej. O ile przypadkowo nie trafi nam się lepsza sposobność, wyeliminujemy Generalnego Inspektora, bez którego machina ściągania podatków i biurokratycznego zaplecza administracji z pewnością zacznie zacinać się i zgrzytać. Ponadto wydawał się najbardziej bezbronny ze wszystkich naszych wrogów. Kiedy zniknie, Radisza będzie jeszcze bardziej osamotniona niż dotąd. Z jednej strony osaczona przez Protektorę, z drugiej przez kapłanów i niezdolna zwrócić się dokądkolwiek właśnie przez to, że była Radiszą, niedotykalną księżną, pod pewnymi względami – półboginią.

Ona również będzie bardzo samotna.

Subtelność i finezja.

– Cóż uczyniliśmy dzisiaj, aby przerazić świat? – spytałam i zdałam sobie sprawę, że przecież kto jak kto, ale ja powinnam znać odpowiedź. Stanowiła część planu schwytania Łabędzia. Całe bractwo uniknęło wszelkiego ryzyka. Dziś w nocy odbędzie się więc przedstawienie z udziałem wcześniej rozmieszczonych pączków. A jutro w nocy kolejne. Widowiska z rodzaju „światło i dym”, proklamacje głoszące: „Woda śpi” lub „Mój brat nieodkupiony” czy „Wszystkie ich dni są policzone”. Będzie tego więcej, za każdym razem w innym miejscu, każdego wieczoru, począwszy od dziś.

Sahra zamyśliła się.

– Ktoś, choć to nikt z nas, przyniósł kolejny młynek modlitewny i osadził go na obelisku pamięci przy północnym wejściu. Kiedy opuszczałam pałac, nikt jeszcze nic nie zauważył.

– Ta sama wiadomość?

– Tak przypuszczam.

– Niepokojące. Tym bardziej że mocne. Radzadharna.

– Radisza już nie potrafi przestać o tym myśleć. Samospalenie mnicha z pewnością nie uszło jej uwagi.

Historia mojego życia. Oto spędzam miesiące, dopracowując najdrobniejsze szczegóły wspianiałego planu, a na scenie zakasuje mnie jakiś szaleniec z piromańską smyką.

– A więc te boodyjskie oszołomy znalazły świetny sposób na przekazanie swej wiadomości. Myślicie, że możemy przyłączyć się jakoś do lawiny, jaką wywołała?

Jednooki złośliwie zachichotał.

– Co jest? – odwróciłam się ku niemu.

– Czasami zadziwiam sam siebie.

Goblin, który zbierał się do wyjścia z Popłochem i Kendo, zauważył:

– Przez dwieście lat bezustannie zadziwiałeś sam siebie. Głównie dlatego, że żadnego z pozostałych braci nie obchodzi robactwo.

– Ty lepiej uważaj, żeby nie chwycił cię znów jakiś kurcz, Żabi Pysku...

– Panowie? – wtrąciła Sahra delikatnie. A jednak natychmiast obaj czarodzieje zamilkli. – Czy możemy przystąpić do dzieła? Naprawdę potrzebuję nieco snu.

– W rzeczy samej! – powiedział Goblin. – W rzeczy samej! Jeśli stary pierdziel wpadł na jakiś pomysł, niech go wykrztusi z siebie, zanim ten umrze z samotności.

– Ty możesz zająć się swoimi zadaniami.

Goblin wywalił jęzor, niemniej posłusznie wyszedł.

– Rozbaw więc również i nas, Jednooki – zaproponowałam. Nie chciałam, by zasnął, nim podzieli się z nami swoją mądrością.

– Następnym razem, kiedy jeden z tych głupoli boodystów zamieni się w żywą pochodnię, powinniśmy zrobić to tak, by dym i płomień ułożyły się w wiadomość: „Woda śpi”. I jeszcze jedną, nową, którą właśnie wymyśliłem: „Nawet śmierć nie zniszczy”. Musicie przyznać, że ma w sobie przyjemnie religijny ton.

– Zaiste – zgodziłam się. – A co, u diabła, ma znaczyć?

– Dziewczynko, nie zaczynaj ze mną....

Duch zła, które przeminęło, wyszeptał:

– Znalazłem ich.

Murgen wrócił.

Nie pytałam, kogo.

– Gdzie?

– Ogród Złodziei.

– Czor Bejgen? Szarzy go oblegają.

I jak poinformował nas Murgen, dalej starają się go oczyścić całkiem na poważnie.

Sahra obudziła mnie dobrze przed świtem. Nie jest to absolutnie moja ulubiona pora dnia. Kiedy zdecydowałam się na karierę w wojsku, byliśmy oblegani w moim rodzinnym mieście. Wówczas wyobrażałam sobie, że gdy się zeń wydostaniemy, będziemy sypiać do południa, jeść zawsze świeże jedzenie, którego ciągle będzie pod dostatkiem, i nigdy, przenigdy, nie będziemy musieli wychodzić na deszcz. A tymczasem dokonałam najlepszego wyboru, jaki mi się nadarzył, czyli przystąpiłam do Czarnej Kompanii, obleganej w mieście zalanym na piętnaście metrów wodą. W owych czasach jedyną rzeczą przypominającą świeże pożywienie choćby z dala była... ludzina, którą raczyli się Mogaba i jego Nar. Jeśli nie liczyć okazjonalnego kulejącego szczura czy niezbyt rozgarniętego kruka.

– Co? – poskarżyłam się. Podejrzewam, że nawet od kapłanów beztroskiego i szczęśliwego starego Gangeszy nie wymaga się okazywania zadowolenia o godzinie tak odległej od południa jak ta, która właśnie wybiła.

– Muszę iść do pałacu. Ty powinnaś pojawić się w bibliotece. Jeśli chcemy zgarnąć Narajana i dziewczynę tuż sprzed nosa Szarym, musimy od razu zacząć planować, jak to zrobić.

Miała rację. Co nie świadczyło, że musi mi się to podobać.

Wszyscy żołnierze Kompanii znajdujący się w posiadłości Do Tranga, jak również sam Ban, zebrali się przy lichym śniadaniu. Nie było tylko Tobo i Matki Goty. Ale oni nie będą brać udziału w akcji. Tak przynajmniej myślałam.

Teraz nie sposób było włączyć w nią nikogo z zewnątrz, ponieważ cienie nadal polowały.

– Mamy przygotowany dokładny plan – z dumą oznajmił Jednooki.

– Pewna jestem, że składa się wyłącznie z samych przebłysków geniuszu – odparłam, próbując nałożyć sobie na talerz zimny ryż, mango i nalać miseczkę herbaty.

– Pierwszy ruch, Goblin idzie tam w przebraniu derwisza. Potem dołącza do niego Tobo...

– Dzień dobry, Adu – wymamrotałam, kompletnie nie zwracając uwagi, co mówię, gdy odzwierny wpuścił mnie na teren biblioteki. Zamartwiałam się tym, że muszę pozwolić Jednookiemu i Goblinowi działać na własną rękę. Instynkt macierzyński, powiedzieli i szczerząc poczerwiałe zęby, dodali, że pewnego dnia każda kwoka musi pozwolić swym kurczątkom pójść własną drogą. Celny strzał. Aczkolwiek niewiele kwok musi się martwić, by ich kurczęta nie upiły się do nieprzytomności, zapomniały, co robią, i powędrowały na poszukiwanie przygód w miasto, gdzie wśród mieszkańców nie ma ani jednego chudego czarnego karła i ani jednego wstrętnego białego typka.

Adu skinął głową na powitanie. Nigdy nic nie mówił.

W pomieszczeniu biblioteki natychmiast zabrałam się do pracy, chociaż jedynie paru kopistów zdążyło przybyć na miejsce przede mną. Czasami Dorabi potrafił zapamiętać się w sobie równie mocno jak Saua. To pomagało odpędzić zmartwienia.

– Dorabi? Dorabi Dei Banerdze!

Drgnęłam, budząc się i równocześnie zdumiewając, że zasnęłam. Przysiadłam w kącie na piętach, na sposób powszechny wśród Gunni i Niueng Bao, ale nieczęsto spotykany u Vedna, Szadar lub wielu jeszcze innych mniejszości etnicznych. My, Vedna, preferujemy siadanie na poduszce, ze skrzyżowanymi nogami. Szadar wolą niskie krzesła lub stołki. Brak choćby najbardziej nieporządnego stołka stanowi wśród nich widoczny znak ubóstwa.

Potrafiłam utożsamić się z rolą nawet we śnie.

– Mistrz Santaraksita?

– Jesteś chory? – W jego głosie zabrzmiała troska.

– Zmęczony. Nie spałem dobrze. Ostatniej nocy skildirsza polowały. – Użyłam słowa określającego cienie z języka mieszkańców Ziemi Cienia. Santaraksita nie miał jednak kłopotów ze zrozumieniem. Pod panowaniem Protektoratu słowo weszło do języka potocznego. – Nie mogłem zasnąć, słysząc krzyki.

– Rozumiem. Ja również nie spałem dobrze, chociaż z innego powodu. Nie zdawałem sobie sprawy z tej makabry, póki dziś rano nie zobaczyłem śladów.

– Skildirsza okazują więc stosowny szacunek kaście kapłanów.

Leciutkie wygięcie warg powiedziało mi, że doskonale pojął ironię.

– Jestem naprawdę przerażony, Dorabi. To zło w niczym nie przypomina żadnego, z jakim mieliśmy do czynienia przedtem. Ślepy los, który przynosi powódź, zarazę czy inną katastrofę, musimy znieść ze spokojem. A przeciwko ciemności niekiedy nawet sami bogowie walczą na próżno. Jednak wysyłanie stada cieni, aby na ślepo mordowały ludzi, tak wielu ludzi, i to z powodów, których nawet szaleniec pojąć nie jest w stanie, to zło z rodzaju tych, które zwykli głosić ludzie z Północy.

Dorabiemu udało się przekonująco odegrać bezmierne zdziwienie.

– Przepraszam. Jestem naprawdę zmęczony. Ty zapewne nigdy w życiu nie widziałeś nikogo z tych cudzoziemców. – Na słowo „cudzoziemcy” położył taki akcent, jakim zazwyczaj posługiwali się Taglianie, zwłaszcza gdy mieli na myśli Czarną Kompanię.

– Widziałem. Kiedy byłem mały, widziałem raz samego Wyzwolicielea. I widziałem też tę, którą nazywali Porucznikiem, gdy wróciła spod Dedzagore. Stałem bardzo daleko, jednak pamiętam wszystko, ponieważ to było tego samego dnia, gdy zabiła wszystkich kapłanów. I Protektorę również. Widziałem ją kilka razy. – Wszystko wymyślałam, w miarę jak słowa wylewały mi się z ust, jednak o takich właśnie rzeczach mówiłby każdy rodowity Taglianin. Kompania wchodziła i wychodziła z miasta przez całe lata, zanim wreszcie przystąpiła do ostatecznej kampanii przeciwko Długiemu Cieniowi i fortecy Przeoczenie. Podniosłam się. – Muszę już wracać do pracy.

– Dobrze wykonujesz swoją pracę, Dorabi.

– Dziękuję, Mistrzu Santaraksita. Staram się.

– W rzeczy samej. – Najwyraźniej chciał mi coś powiedzieć i nie wiedział, jak to zrobić. – Zdecydowałem, że będziesz miał dostęp do wszystkich książek poza tymi, które znajdują się w dziale specjalnym. – W dziale zastrzeżonym znajdowały się książki dostępne tylko w pojedynczych egzemplarzach. Tylko najbardziej uprzywilejowani uczeni byli dopuszczani do tej części zbiorów. Jak dotąd udało mi się zidentyfikować tylko kilka tytułów spośród tych książek. – Oczywiście

kiedy nie będziesz miał innych obowiązków. – Część każdego dnia upływała mi zwyczajnie na oczekiwaniu, aż ktoś powie, co trzeba zrobić.

– Dziękuję, Mistrzu Santaraksita!

– Spodziewam się, że będziemy mogli o nich porozmawiać.

– Tak, Mistrzu Santaraksita.

– Uczyniliśmy właśnie pierwszy krok zupełnie nieznaną drogą, Dorabi. Przed nami ekscytująca i nieco przerażająca podróż. – Przesady do tego stopnia wrosły w jego duszę, że widziałam, iż naprawdę myślał to, co wynikało z jego słów. Fakt, że potrafiłam czytać, zniekształcił mu wypieszczony obraz wszechświata i teraz pragnął konspirować ze mną pośród zaułków jego wypaczonych form.

Wzięłam do ręki szczotkę. Ekscytujące i nieco przerażające rzeczy będą dziać się gdzie indziej w moim świecie. I nienawidziłam każdej sekundy, w której nie mogłam być tam, by je kontrolować.

Mały derwisz w brązowym wdzianku zdawał się całkowicie pogrążony we własnym świecie. Nieustannie mamrotał coś pod nosem, nie zwracając najmniejszej uwagi na otaczający go świat. Najprawdopodobniej powtarzał frazy świętych pism Vedna, tak jak pojmowała je jego heretycka sekta. Chociaż zmęczeni już i poirytowani, Szarzy nie od razu zabronili mu wstępu na strzeżony teren. Nauczono ich, by szanowali wszystkich świętych mężów, nie tylko tych, którzy bezpiecznie trwali za murami prawd Szadar. Ostatecznie każdy wytrwały poszukiwacz mądrości znajdzie ścieżkę wiodącą ku oświeceniu.

Tolerancja dla takich ludzi stanowiła rzecz powszechną wśród mieszkańców Taglios. Dobro duszy stanowiło przedmiot najpoważniejszych zabiegów większości z nich. Gunni uznawali poszukiwanie oświecenia za jeden z czterech kluczowych elementów życia idealnego. Kiedy mężczyźni udało się już wychować i wyposażyć swoje dzieci, powinien odrzucić wszystkie dobra materialne, wszystkie ambicje i przyjemności. Powinien udać się do lasu, aby żyć w nim jak pustelnik, bądź zostać wędrownym żebrakiem, wreszcie w inny jeszcze sposób przeżyć ostatnie lata swego życia, poszukując prawdy i oczyszczając duszę. Wiele słynnych imion w tagliańskiej i południowej historii należało do królów i bogaczy, którzy poszli taką właśnie drogą.

Jednak natura ludzka pozostaje naturą ludzką...

Szarzy nie mogli przecież pozwolić derwiszowi poszukiwać prawdy w Czor Bejgen. Sierżant zatrzymał go w końcu. Jego podwładni otoczyli świątobliwego człowieka. Sierżant rzekł:

– Ojczy, nie możesz udać się w tę stronę. Ulica została zamknięta dla ruchu z rozkazu ministra Łabędzia. – Nawet zmarły Łabędź musiał wciąż brać na siebie odpowiedzialność za politykę uprawianą przez Duszołap.

Wydawało się, że derwisz z pozoru w ogóle nie dostrzegł Szarych, póki nie wpadł bezpośrednio na sierżanta.

– He?

Młodszy Szarzy zaśmiali się. Ludzi zazwyczaj cieszy, kiedy na własne oczy mogą zobaczyć, jak sprawdzają się ich przesady. Sierżant powtórzył, co rzekł wcześniej. Dodał jeszcze:

– Musisz skrócić w prawo lub w lewo. My tutaj wykorzeniamy zło, które skaziło obszary leżące na wprost. – Posiadał jednak odrobinę oleju w głowie.

Derwiz spojrział najpierw w prawo, potem w lewo. Zadrżał, wreszcie zgrzytliwym cichym głosem oznajmił:

– Wszelkie zło jest tylko wynikiem metafizycznego zbłąkania. – I ruszył ulicą wiodącą w prawo. To była bardzo dziwna ulica. Niemal zupełnie bezлюдna. W Taglios rzadko widywano coś takiego.

Chwilę później sierżant Szadar zaczął nieoczekiwanie kwiczeć z bólu. Wściekle klepał się po boku.

– O co chodzi? – spytał któryś z Szarych.

– Coś mnie ugryzło... – Kwiknął znowu, co oznaczało, że ból rzeczywiście musi być dokuczliwy, Szadar chlubił się bowiem swą zdolnością znoszenia cierpień bez jednego choćby jęku czy też skrzywienia.

Dwaj ludzie sierżanta próbowali unieść poły jego koszuli, podczas gdy trzeci schwycił go za rękę, aby stał spokojnie. Ten znowu krzyknął.

Z jego boku zaczęły wydobywać się kłęby dymu.

Szarych ten widok tak zaskoczył, że aż się cofnęli. Sierżant osunął się na ziemię. Dostał drgawek. Dym wciąż się kłębił. Zaczął wreszcie przybierać formę, której żaden z Szarych wolałby nie oglądać.

– Najassi!

Demon Najassi zaczął szeptem objawiać tajemnice, których żaden Szadar nie chciałby znać.

Uśmiechając się pod nosem, Goblin wślizgnął się do Czor Bejgen. Zniknął na długo przedtem, zanim ktokolwiek zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie istnieje jakiś związek między dolegliwością sierżanta a wejedyńskim derwiszem.

Szarzy zbiegli się ze wszystkich stron naraz. Oficerowie wykrzykiwali rozkazy, przeklinali i gnali ich z powrotem na posterunki, zanim mieszkańcy Czor Bejgen skorzystają z okazji do ucieczki. W oczach oficerów musiało to wyglądać na świadomie podjęte działanie mylące, obliczone na to, by dać im zwierzynie szansę wydostania się z dzielnicy.

W pobliżu zaczął gromadzić się tłum. W ciżbie był chłopak Niueng Bao, który wykorzystując zaistniałą sytuację, odciął komuś sakiewkę i przemknął obok Szarych – a wtedy jeden z nich przypomniał sobie jego twarz z tamtego wieczoru, gdy omal nie zostali ukamienowani. Dyscyplina zaczęła pękać.

Oficerowie Szarych próbowali ją przywrócić. Szło im nawet niezłe, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Tylko kilku ludziom udało się uciec z Czor Bejgen. Ale przynajmniej pół tuzina prześlizgnęło się do wnętrza, wśród nich wychudzony, mały człowieczek, całkowicie spowity żółtą barwą trędowatych.

Jednooki nie był bynajmniej uszczęśliwiony tym przebraniem. Do końca upierał się, że strategia ogólna nie wymaga wcale, aby udawał jednego z osobników, którym nakazywano przywdziewać żółte szaty. To pewnie kolejny paskudny żart Goblina.

Niezorganizowanymi grupkami, po trzech z tyłu i z przodu, sześciu napastników zbliżyło się do wyznaczonego celu, którym była ponura rudera. Jednooki szedł na przedzie. Ludzie szybko ustępowali mu drogi, gdy tylko dostrzegali żółć. Trędowaci przejmowali wszystkich ogromnym przerażeniem.

Nikt z ludzi nie chciał atakować przy świetle dziennym. To nie mieściło się w stylu walki Kompanii. Jednak całkowite ciemności także nie były dla nas, przynajmniej póki Duszołap nie odwoła cieni z ulic. Nadto kronikarze i czarodzieje doszli zgodnie do wniosku, iż jest znacznie mniej prawdopodobne, by Córka Nocy zdołała uzyskać pomoc Kiny za dnia. Światło dnia dawało także większą szansę wzięcia jej z zaskoczenia.

Każdy zespół zatrzymywał się na chwilę dla sprawdzenia, czy wszyscy mają na rękach bransolety z łyka, a potem wpadły do wnętrza. Obaj czarodzieje natychmiast uwolnili szereg wcześniej przygotowanych zaklęć mylących niskiej mocy, które teraz rozpierzchły się po walącej się budowli niczym rój pijanych komarów. Napastnicy wdarli się do środka, przeskakując i omijając przerażone, drżące rodziny, które dotąd uważały się raczej za wybrańców losu, skoro miały zapewniony dach nad głową, nawet jeśli był to jedynie skrawek podłogi w korytarzu. Każdy z oddziałów postawił na warcie jednego człowieka, który miał zadbać, by nikt nie wyszedł na zewnątrz. Kolejnych dwu ludzi spotkało się u szczytu rozklekotanych schodów, aby zapobiec ruchom w górę i w dół. Goblin

i Jednooki zaś spotkali się u wejścia do piwnicy, chwilę ponarzekali na karygodne braki w stanie osobowym, a potem wymienili kilka przesadzonych komplementów, gdy każdy ustępował drugiemu pierwszeństwa wejścia do nory wroga.

Goblin zgodził się, że ostatecznie może to być on, choćby dlatego, że jest dużo młodszy, szybszy i inteligentniejszy. Wrzucił kilka błędnych ogników w szczelinę, za którą panowały ciemności gęstsze niżli w samym sercu Kiny.

– Tutaj! – powiedział Goblin. – Ha! Mamy...

Jakby znikąd wyskoczył na nich płonący tygrys. Rzucił się na Goblina. Z boku podpełznął cień. Machnął czymś długim i cienkim, co owinął wokół szyi czarodzieja.

Jednooki opuścił koniec swej laski na nadgarstek Narajana dostatecznie mocno, by strzaskać mu kość. Chodzącej legendzie Dusicieli rumel wypadł z ręki i przeleciał na drugą stronę piwnicy.

Potem Jednooki wziął zamach i z całej siły cisnął czymś ponad głową Goblina w kierunku miejsca, skąd wyłonił się tygrys. Widmowe światło popłynęło w górę niczym smuga świetlistych oparów znad bagien. Nagle przemieściło się, spowijając młodą kobietę. Ta zaczęła rozpaczliwie otrzępywać się, próbując strząsnąć z siebie drobinki poświaty.

Wykorzystując to, że jej uwaga była zajęta, Goblin wykonał szybki gest. Padła bez zmysłów na ziemię.

– Cholera! Jasna cholera! To działa. Jestem geniuszem. Przyznaj to. Jestem pierdolonym geniuszem.

– Kto tu jest geniuszem? Kto wymyślił ten plan?

– Plan? Jaki plan? Sukces zależy od szczegółów, karzełku. A kto wymyślił szczegóły? Każdy głupiec mógłby powiedzieć: chodźmy złapać tę dwójkę.

Obaj zapletli dłonie na piersiach i zaczęli sprzeczać się w najlepsze.

Wreszcie Jednooki powiedział:

– To proszę bardzo, teraz zaplanuj wszystkie szczegóły. Musimy jakoś się stąd wydostać z tymi ludźmi. I przejść przez chyba wszystkich Szarych, jacy łążą po świecie.

– Sprawa już załatwiona. Mają teraz tyle kłopotów, że nie będą się przejmować żadnymi przeklętymi trędowatymi. – Jednooki zabrał się niezdarne do próby wciągnięcia złotego ubioru przez głowę Córki Nocy. –

Przypomnij mi, abym ostrzegł ludzi w naszym sklepie, że ona potrafi sklecić jedną czy dwie iluzje.

– Wiem, że w taki właśnie sposób mamy się stąd wydostać. – Jednooki zaczął ubierać Narajana Singha w następny kostium. Za kilka chwil Goblin również zmieni swe brzozy na żółcie. U szczytu schodów czterej towarzysze z Kompanii, wszyscy wywodzący się z Szadar, przebierali się za Szarych. – Mówię tylko, że nie trzeba było się modlić, aby zadziało.

– Dlatego, że ja wszystko zaplanowałem?

– Oczywiście. Zaczynasz powoli łapać. Witamy w rzeczywistym świecie.

– Jeśli z tej sprawy wyjdziemy z gównem na rękach, to możesz sobie winić Ospałą, a nie mnie. To był jej pomysł.

– Musimy coś zrobić z tą dziewczyną. Zbyt dużo, cholera, myśli. Przystaniesz się opieprzać? Ci zasrani Szarzy, co tam stoją, mają iść do domu na obiad.

– Nie bij go tak mocno. Chcemy, żeby szedł o własnych siłach.

– Do mnie mówisz? Co ty, u diabła, robisz z... Zabierz stąd swoje łapy, stary zbokolu.

– Kładę jej na sercu amulet, który ją będzie kontrolował, ty zaschnięty bobku. Żeby nie narobiła nam wstydu, zanim ją doprowadzimy do domu.

– Ach, tak. Prosta sprawa. W sumie, dlaczego nie spojrzeć na jaśniejszą stronę całej sprawy? Przynajmniej znowu zaczęły cię interesować dziewczyny. Zbudowana jest tak ładnie jak mamusia?

– Lepiej.

– Uważaj, co mówisz. To miejsce może być nawiedzone. A ja podejrzewam, że niektóre z tych duchów lubią pogadać sobie z innymi, nieważne co tam twierdzi Murgen. – Jednooki zaczął poganiać oszołomionego Narajana Singha po schodach w górę.

– Powoli zaczynam wierzyć, że się uda – krakał Jednooki.

Oddział Szarych i grupa trędowatych stanowiły najwyraźniej znakomitą kombinację dla wydostania się z Ogrodu Złodziei, zwłaszcza gdy prawdziwi Szarzy, potraciwszy głowy, biegali bezładnie we wszystkie strony.

– Nie chciałbym ci złamać serca, staruszku – oznajmił Goblin. – Ale chyba ktoś nas przyuważył. – Wciąż oglądał się przez ramię.

Jednooki też się obejrzał.

– Cholera!

W ich stronę zmierzał niewielki latający dywan, któremu towarzyszyły kruki niewydające bodaj pojedynczego odgłosu. Duszołap. Już sama jej postawa mówiła o psotnej radości, jaka ją rozsadza.

Cisnęła czymś w ich stronę.

– Rozproszyc się! – krzyknął Goblin. – Nie pozwólcie tym dwóm uciec. – Sam stawiał czoło opadającemu dywanowi, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. W bezpośrednim starciu nie zostałyby z niego nawet mokra plama, Duszołap rozdeptałaby go równie łatwo jak robaka. Wyciągnął przed siebie chronioną rękawicą dłoń, schwycił opadającą czarną kulę, zamachnął się i odesłał pocisk z powrotem w niebo.

Duszołap wrzasnęła, wściekła się. Ludzie z Taglios zazwyczaj nie dysponowali takim opanowaniem. Skręciła dywanem w bok, omijając tor lotu pocisku. I dobrze zrobiła.

Znowu dopisało jej szczęście. Wyjąca kula ognista rozdarła przestrzeń, którą przed chwilą opuściła. Pocisk był tego samego rodzaju jak te, co wyżarły dziury w murach pałacu i stopiły ciała tylu ludzi niczym kiepskie łożowe świece. I po chwili nie mogła już robić nic innego, jak tylko wciąż się uchylać. Omalże nie trafiły jej dwie kolejne kule ogniste. Schowała się za dachem jakiejś szopy, która dopiero oddzieliła ją od strzelców wyborowych. Doprowadzili ją do skrajnej wściekłości, nie pozwoliła jednak, by gniew przytłumił jasność umysłu.

Nad jej głową kruki eksplodowały jak bezgłośnie fajerwerki. Krew, ciało i lotki opadały w dół niczym deszcz.

W ciągu kilku sekund zrozumiała, co się dzieje, i już zaczęła naradzać się sama ze sobą gromadą głosów.

Zatem nie ukrywali się w granicach Czor Bejgen. Nie mogłaby pochwycić nikogo, kto próbował wysliznąć się stamtąd, jeśli nie przyszliby sami, chcąc odzyskać coś, co miało nie wpaść w inne ręce.

– Są gdzieś w mieście. Ale nie udało się ich znaleźć. Nie natrafiliśmy na najlżejszy ślad, nie usłyszeliśmy bodaj jednej plotki, która – zgodnie z tym, co chcieli – nie miała dotrzeć do naszych uszu. Aż do teraz. To wymaga magii. Ten odważny maluch. To był ten ich człowiek-ropucha. Goblin. Chociaż Wielki Generał Armii Mogaba zapewniał nas, że osobiście widział

jego ciało. Kto jeszcze przeżył? Czy to możliwe, że sam Wielki Generał jest znacznie mniej wiarygodny, niżli każe nam o sobie myśleć?

To niemożliwe. Mogaba nie ma żadnych innych przyjaciół. Oddał tej sprawie wszystko.

Duszołap wylądowała, zeszła z dywanu, złożyła lekką bambusową ramę, potem owinęła materię wokół niej i rozejrzała się po ulicy. Poszli w tamtą stronę. Przyszli stąd. Czego tak bardzo chcieli, żeby się całkiem odsłonić? Wszystko, co uznawali za tak ważne, powinno zainteresować z pewnością również ją samą.

Wystarczyło wyszeptać tylko jedno słowo mocy, aby piwnica rozbłysła światłem. Brud i nędza, jakie w niej panowały, były doprawdy zatrważające. Duszołap powoli rozejrzała się dookoła. Najwyraźniej mężczyzna i jego córka. Jedna lampa. Rozrzucone ubrania. Kilka garści ryżu. Jakiś rybny gulasz. Po co przybory do pisania i inkaust? Co to jest? Księga. Ktoś właśnie zaczął ją spisywać, nadto w zupełnie nieznanym alfabecie. Kątem oka pochwyciła plamę poruszającej się czerni. Odwróciła się, przykucnęła, obawiając się ataku zdziczałego cienia. Skildirsza żywiły szczególnie zapalczywą nienawiść do tych, którzy ośmielali się im rozkazywać.

Szczur uciekł, porzucając to, co wcześniej go zainteresowało. Duszołap uklękła, podniosła z klepiska długi pas czarnego jedwabiu z zaszytą w jednym rogu antyczną srebrną monetą.

– Ach. Rozumiem. – Zaczęła śmiać się niczym młoda dziewczyna, która dopiero po pewnym czasie zrozumiała sens żartu wątpliwej przyzwoitości. Zabrała książkę i zanim wyszła, jeszcze raz obejrzała sobie wszystko. – Poświęcenie z pewnością się nie opłaca.

Kiedy znalazła się z powrotem na ulicy, znowu zmontowała dywan, nie dbając już o snajperów. Ci ludzie poszli sobie już dawno i teraz są daleko stąd. Znali się na swojej robocie. Ale kruki powinny ich wysledzić.

Zamarła, patrząc w górę, ale nie bardzo dostrzegając białego kruka, który przycupnął na szczycie dachu.

– Skąd wiedzieli, gdzie tamci się kryją?

19

Co się stało? – zapytała Sahra, zanim zdjęła z siebie łąchy Subredil, gdy tylko weszła do środka.

Sama wciąż jeszcze pozostawałam jako Dorabi Dei Banerdze.

– Jakimś sposobem straciliśmy Murgena. Goblin sądzi, że przytrzymali go mocno w miejscu, ale kiedy żadnego z nas nie było, wymknął się jakoś i nie mam pojęcia, jak sprowadzić go teraz z powrotem.

– Muszę wiedzieć, co się stało w Ogrodzie Złodziei. Duszołap tam była. Cokolwiek próbowała osiągnąć, nie powiodło jej się, ale wróciła zupełnie odmieniona. Nie udało mi się podsłuchać wszystkiego, co mówiła do Radiszy, wiem jednak, że coś znalazła albo coś zrozumiała, coś, co zupełnie odmieniło jej nastawienie. Jakby zniecka wszystko przestało być zabawne.

– Och, nie mam pojęcia – odrzekłam. – Może Murgen rzeczywiście potrafiłby nam powiedzieć. Jeśli będziemy w stanie ściągnąć go z powrotem.

Dołączył do nas Goblin. Popychał przed sobą Jednookiego, drzemiącego w zapasowym fotelu na kółkach Ban Do Tranga.

– Spoczywają w pokoju. Naćpani – oznajmił. – Narajan trochę się szarpał. Dziewczyna przyjęła wszystko z lodowatym spokojem. Ale to nią trzeba się przejmować przede wszystkim.

– Co jest z nim? – Wskazałam na Jednookiego.

– Zmęczył się. To już stary człowiek. Chętnie zobaczyłbym, czy kiedy będziesz miała choćby połowę jego lat, uda ci się znaleźć w sobie bodaj część jego energii.

– Dlaczego powinniśmy się przejmować dziewczyną? – spytała Sahra

– Ponieważ jest córką swej matki. Nie dysponuje szczególnymi umiejętnościami, gdyż nie miała nikogo, kto wyuczyłby ją porządnie, ma jednak naturalne predyspozycje do tego, aby zostać wielką wiedźmą.

Pewnie jest nawet równie potężna jak matka, niemniej brakuje jej choćby szczątkowego poczucia etyki, jakie miała Pani. To aż z niej bije...

– I nie jest to jedyna rzecz, która od niej bije – zaszcebiotał Jednooki. –

Pierwsze, co powinniście zrobić z naszą słodziutką, to wsadzić ją do balii z gorącą wodą. Potem wrzucić do środka kilka, co najmniej cztery, kostek mydła i pozwolić moczyć się przez tydzień.

Sahra i ja wymieniliśmy spojrzenia. Jeśli z małą było aż tak źle, że Jednookiego to poruszyło, to musiało być to naprawdę coś.

Goblin wyszczerzył się od ucha do ucha, ale zdławił w sobie pokusę.

– Słyszałam, że wpadliście na Protektorkę – rzuciłam.

– Siedziała na jakimś dachu, czy gdzieś, czekając tylko, co się wydarzy. Nie dostała tego, czego chciała. Kilka kul ognistych i musiała się schować, a potem nie wyściubiła nosa z ukrycia.

– Dotarliście do domu i nikt was nie śledził? – Znałam odpowiedź, ponieważ wiedziałam, że zdają sobie sprawę z ryzyka. Nie zbliżyliby się nawet do tego miejsca, gdyby istniała najmniejsza obawa, że nie jest bezpieczne.

Musiałam spytać, nawet wiedząc, że gdyby im się nie powiodło, skład byłby już w tej chwili pełen Szarych.

– Byliśmy przygotowani na rozprawę z krukami.

– Ze wszystkimi prócz jednego – warknął Jednooki.

– Co?

– Widziałem tam tego białego. Jednak nie poleciał za nami.

Sahra i ja znowu popatrzyłyśmy po sobie.

– Mam zamiar teraz przebrać się, odpocząć trochę i zjeść coś. Spotkamy się za godzinę – stwierdziła Sahra. – Jeśli znajdziesz siły, Goblin, możesz spróbować sprowadzić Murgena z powrotem.

– Ty jesteś nekromantką.

– Ty jesteś tym, który twierdził, że udało się go osadzić na stałe.

Goblin zaczął coś mruzczyć pod nosem. Jednooki zachichotał, ale bynajmniej nie zaofiarował się z pomocą.

– Jesteś już gotowa zabić swojego bibliotekarza? – zwrócił się do mnie.

Nie powiedziałam mu tego, jednakże dziś wieczorem ta propozycja wydała mi się już nieco bardziej przekonująca. Surendranat Santaraksita najwyraźniej podejrzewał, że Dorabi Dei Banerdze był kimś więcej niż ten,

którego udawał. Albo mną trzęsła może taka paranoja, że słyszałam rzeczy, jakich Santaraksita nawet nie zamierzał powiedzieć.

– Nie martw się kustoszem Santaraksitą. Jest dla mnie bardzo dobry. Dzisiaj pozwolił mi zajrzeć do każdej książki, do jakiej tylko zechcę. Wyjąwszy zbiory zastrzeżone.

– Oho! – Jednookiemu zaparło dech. – W końcu komuś udało się znaleźć drogę do jej serca. I któż by pomyślał, że wystarczy do tego tylko książka? Pierwszemu daj imię po mnie, Dziewczynko.

Pomachałam mu pięścią przed nosem.

– Wybiłabym ci ostatniego zęba i nazwała sentymentalnym pierdzielem, gdyby nie wychowano mnie w szacunku dla starszych... nawet upierdliwych, odmóżdżonych i stetryczalnych. – Mimo iż skonstruowana wokół dogmatu Jedyne Prawdziwego Boga, moja religia zawiera silny element kultu przodków. Każdy Vedna wierzy, że jego ojcowie słyszą wznoszone do nich modły i mogą orędować za nim u świętych oraz u samego Boga. Jeśli uznają, że właściwie czci się ich pamięć. – Mam zamiar pójść za przykładem Sahry.

– Zawołaj, jeśli będziesz potrzebowała trochę praktyki przed karesami z nowym chłopakiem. – Jego chichot zamarł jak ucięty nożem, gdy obok mnie przekuśtykała Gota. Kiedy obejrzała się, Jednooki pozornie znów spał głęboko. Jakiś inny stary głupek musiał chrzanić głupoty jego głosem.

Podczas oblężenia Dżajkuru ogłosiłam wszem wobec, że już nigdy w życiu nie będę wybrzydzać na to, co jem. Że na wszystko, czym zostanę poczęstowana, reagować będę uśmiechem pełnym wdzięczności i wyraźnym, głośnym: „dziękuję”. Ale czas ma swoje sposoby, by obezwładnić siłę takich przysięg. Miałam już dosyć ryżu i wędzonej ryby, podobnie jak Goblin i Jednooki. Przełamanie tej rutyny kolacją złożoną z ryżu i świeżej ryby w niczym nie pomagało. Jestem pewna, że to właśnie przez tę dietę Niueng Bao są ludem bardzo wyzutym z poczucia humoru.

Wpadłam na Sahrę, która wykąpana i wypoczęta, z rozpuszczonymi włosami wyglądała o dziesięć lat młodziej. Nietrudno było dostrzec, jakim sposobem dziesięć lat temu mogła stanowić naprawdę ucieleśnienie snów młodego mężczyzny.

– Wciąż mam jeszcze trochę pieniędzy, które zabrałam komuś, kto na Południu stanął po niewłaściwej stronie – powiedziałam, wymachując

kawałkiem ryby trzymanym w bambusowych pałeczkach. Niueng Bao z uporem odmawiali posługiwania się bardziej nowoczesnymi sztuczkami, które już od wieków były w powszechnym użyciu pośród niemalże wszystkich narodów tej części świata. Tyle że w posiadłości Do Tranga gotowaniem zajmowali się wyłącznie Niueng Bao.

– Co? – Sahra nie mogła pojąć, o co mi chodzi.

– Wydam je. Jeśli da się kupić za nie wieprzowinę. – Religia Vedna zakazuje spożywania wieprzowiny, ale ja już wcześniej popełniłam tę pomyłkę, że urodziłam się kobietą, a więc przypuszczalnie i tak nie czeka mnie miejsce zarezerwowane w rajku. – Tudzież cokolwiek, co tylko nie żyje w wodzie i nie porusza się w taki sposób. – Jedną ręką zaczęłam naśladować falujące ruchy.

Sahra nie potrafiła mnie zrozumieć. Dla niej jedzenie było rzeczą całkowicie obojętną – póki miała co jeść. Ryba i ryż przez całą wieczność, to brzmiało dla niej zupełnie nieźle. I prawdopodobnie miała rację. Wszędzie dookoła było mnóstwo ludzi, którzy musieli jeść czhatu, ponieważ nie stać ich było na ryż. I jeszcze inni, których w ogóle nie stać było na jedzenie. Chociaż ostatnio Duszołap postarała się przerzedzić nieco ich szeregi.

Sahra zaczęła mi opowiadać o plotkach, wedle których kolejny adept boodyzmu miał stanąć wkrótce przed wejściem do pałacu i domagać się audiencji u Radiszy. Jednak zbliżyliśmy się do lepiej oświetlonego obszaru, gdzie przepracowywaliśmy niegodziwości knute wieczorami, i wtedy ona zobaczyła coś, co kazało jej przystanąć.

Zaczęłam już mówić:

– A więc będziemy potrzebowały, kogoś, kto stanie obok...

Sahra warknęła:

– A co on, u diabła, tutaj robi?

Teraz też zobaczyłam. Wujek Dodż wrócił, przypuszczalnie zdecydowany ponownie wprosić się w nasze życie. Jego wyczucie czasu wydawało się ze wszech miar interesujące i co najmniej podejrzanę.

Ciekawe zdało mi się również, że Sahra mówi po tagliańsku, kiedy jest zdenerwowana. Zdecydowanie miała powody do pretensji wobec własnego ludu, nadto nikt w składzie nie używał Niueng Bao, oprócz Matki Goty, powodowanej zresztą wyłącznie czystą złościwością.

Wujek Dodż był barczystym niskim mężczyzną i chociaż zbliżał się do siedemdziesiątki, w jego ciele dalej trudno byłoby znaleźć cokolwiek prócz mięśni i ścięgien, w duszy zaś – szczególnie ostatnio – paskudnych nastrojów. Zawsze nosił przy sobie długi, lekko zakrzywiony miecz, któremu nadał imię Spopielająca Różdżka. Stanowił on jego duszę. Tak mi kiedyś powiedział. Wujek Dodż był swego rodzaju kapłanem, ale nigdy nie zatroszczył się, aby dokładniej wyjaśnić, na czym polega jego posługa. Najwyraźniej jednak wyznawana przezeń religia obejmowała sztuki walki i święte miecze. W rzeczywistości nie był niczym wujkiem. Wujek to wśród Niueng Bao tytuł wyrażający szacunek, a najwyraźniej wszyscy uważali go za człowieka godnego najwyższego szacunku.

Od czasu oblężenia Dżajkuru los Wujka Dodża splótł się z naszymi, zawsze wprowadzając więcej zamieszania niż korzyści. Wujek mógł pałętać się nam pod nogami całymi latami, a potem zniknąć na tygodnie, miesiące czy całe lata. Ostatnio nie było go przez ponad rok. Kiedy się pokazał, nawet przez myśl mu nie przeszło, aby opowiedzieć, co robił przez ten cały czas albo gdzie był; sądząc jednak tak z obserwacji Murgena, jak i własnych, wciąż pilnie poszukiwał swego Klucza.

Doprawdy interesujące, że zmaterializował się tak szybko po tym, jak mnie oświeciło.

– Czy twoja matka opuszczała dzisiaj skład? – spytałam Sahrę.

– Mnie również przyszło na myśl to pytanie. Może warto by to sprawdzić.

Niewiele ciepła zachowało się we wzajemnych stosunkach matki i córki. Murgen z pewnością nie był przyczyną tego stanu. Stał się jedynie jego symbolem.

Wujek Dodż miał być rzekomo pomniejszym czarodziejem. Nigdy nie natrafiłam na przekonujące świadectwa tej hipotezy, wyjąwszy może tylko jego prawie nadnaturalne umiejętności szermiercze. Był stary i jego stawy powoli sztywniały. Odruchów nie miał już tak szybkich. Wciąż jednak nie potrafiłam wyobrazić sobie nikogo, kto choćby zbliżał się do jego poziomu. Ani też nie słyszałam nigdy o kimś, kto poświęciłby swe życie kawałkowi stali w ten sposób, w jaki uczynił to on.

Po krótkim namyśle doszłam do wniosku, że być może dysponuję jednak dowodami jego czarodziejskich zdolności. Nigdy nie miał najmniejszych kłopotów z przedostaniem się przez labirynty, jakie tworzyli Jednooki

i Goblin, aby ustrzec nas przed wizytami niespodziewanych gości i mogącym wyniknąć z tego zamieszaniem. Ci dwaj powinni związać go, póki nie wyjaśni im, jak tego dokonał.

– Jak chcesz to załatwić? – zwróciłam się do Sahry.

Jej głos pobrzmiwał tonami ostrymi niczym krzesanie odłamków krzemienia:

– Jeśli o mnie chodzi, to wrzucicie go do ciemnicy, razem z Singhiem i Córką Nocy.

– Wróg mojego wroga jest moim wrogiem, co?

– Nigdy za bardzo nie lubiłam Dodża. Wedle zasad Niueng Bao jest on wielkim i honorowym człowiekiem, bohaterem, któremu należy oddać wszelki szacunek. I równocześnie jest wcieleniem wszystkiego, co w moim ludzkie przepełniało mnie niesmakiem.

– Tajemniczość, co?

Na jej ustach zaigrał drobny uśmiezek. Pod tym względem była taka sama jak pozostali Niueng Bao.

– To mamy we krwi.

Tobo zauważył, że patrzymy i rozmawiamy. Podskoczył w naszą stronę. Był na tyle podekscytowany, że zapomniał już o tym, iż jest zawiedzionym młodym człowiekiem.

– Mamo, Wujek Dodż wrócił.

– Też go widziałam. Powiedział, czego chce tym razem?

Delikatnie przykryłam jej dłoń swoją ręką w ostrzegawczym geście. Nie warto wszczynać sporów.

Dodż, rzecz jasna, zdawał sobie doskonale sprawę z naszej obecności. Nigdy dotąd nie spotkałam człowieka tak wyśmienicie świadomego tego, co dzieje się w całym otoczeniu. Niewykluczone, że słyszał również każde słowo, jakie wyszeptaliśmy. Nie postawiłabym złamanego grosza na to, że czas osłabił jego słuch. Żuł ryż i nie zwracał na nas żadnej uwagi.

– Idź i powiedz mu cześć – powiedziałam do Sahry. – Ja potrzebuję chwili, żeby zrobić sobie twarz.

– Powinnam posłać po Szarych. Niech zrobią najazd na to miejsce. Jestem już tym wszystkim zbyt zmęczona. – Nawet nie zatroszczyła się, aby mówić ciszej.

– Mamo!

20

Wytrzymałam spojrzenie Dodża bez mrugnięcia okiem. Moja twarz pozostała chłodna i opanowana. W głosie nie pobrzmiwał nawet odległy ton emocji, gdy zapytałam:

– Co to jest Klucz? – Narajan Singh oraz Córka Nocy, związani i zakneblowani, patrzyli, czekając na swoją kolej.

W oczach Dodża zaigrała ledwie widoczna iskierka zaskoczenia. Nie byłam tą, po której spodziewałby się zapędów inkwizytorskich.

Znowu podjęłam nie swoją rolę. Tym razem wcieliłam się w postać zapożyczoną od egzekutora jednego z gangów o imieniu Vedźra Naga, który naraził się nam kilka lat temu. Gang wypadł z interesu, a on sam przeniósł się do lepszego świata. Niemniej jego spuścizna okazywała się niekiedy użyteczna.

Dodż mógł czerpać pociechę z uzasadnionego przypuszczenia, że nie będzie torturowany. Nie miałam zamiaru posunąć się aż tak daleko. Przynajmniej w jego przypadku. Losy Kompanii i Niueng Bao splotły się z sobą do tego stopnia, że nie mogłabym potraktować go naprawdę brutalnie, równocześnie nie czyniąc sobie wrogów z naszych najlepszych sprzymierzeńców.

Wujek nie odpowiedział nic. Nie oczekiwałam zresztą po nim wymowności odrobinę choćby większej niż ta, jakiej można spodziewać się po kamieniu. Ciągnęłam zatem dalej:

– Musimy otworzyć przejście na równinę lśniącego kamienia. Wiemy, że ty nie posiadasz Klucza. Wiemy też, gdzie należy zacząć poszukiwania. Z największą radością zwrócimy ci go, kiedy już uwolnimy naszych braci.
– Przerwałam, dając mu czas, aby zaskoczył mnie odpowiedzią. Nie zrobił tego.

– Ty zapewne masz swoje filozoficzne racje przemawiające za tym, by nie otwierać drogi. W tej kwestii musimy cię rozczarować. Droga zostanie

otwarta. Tak czy inaczej. Przed tobą stoi tylko wybór, czy weźmiesz w tym udział czy nie.

Wzrok Dodża umknął w bok dokładnie na ułamek sekundy. Chciał coś wyczytać z postawy Sahry.

Stanowisko Sahry było całkowicie jasne. Jej mąż spoczywał pogrzebany pod równiną lśniącego kamienia. Życzenia samotnego kapłana, tudzież jakieś niejasne, nigdy niewyjaśnione do końca kwestie okultystyczne, nie miały dla niej żadnego znaczenia.

Nawet Ban Do Trang czy Ki Gota nie oferowali mu wyraźnego poparcia, aczkolwiek ostatecznie z pewnością zdecydują opowiedzieć się za nim, choćby mocą inercji dziesiątków lat.

– Jeśli nie będziesz z nami współpracował, wówczas nawet kiedy zrobimy już co trzeba, nie zwrócimy ci Klucza. Poza tym to my decydujemy, jaki będzie charakter tej współpracy. Pierwszym jej krokiem jest położenie kresu wieloznaczności cechującej zazwyczaj rozmowę z Niueng Bao, wymijającym odpowiedziami i selektywnej głuchocie.

Vedzra Naga nie był kimś, kogo lubiłabym szczególnie. Nagi były mitycznymi węzami wiodącymi żywot głęboko pod ziemią, bez cienia sympatii dla czegokolwiek, co ludzkie. Problem z tą postacią polegał na tym, że potrafiłam wślizgnąć się w nią tak łatwo, jakby została na mnie skrojona. Aby stać się Varją Wężem, musiałam tylko trochę zniekształcić własne emocje.

– Masz coś, czego potrzebujemy. Księgę. – Teraz już poruszałam się po omacku, mając nadzieję, że poprawnie wydedukowałam lub wręcz intuicyjnie wyczułam tok rozmaitych niejasnych wydarzeń, opierając się na tym, co wydobyłam z Murgena i lektury jego Kronik. – Ma mniej więcej tyle na tyle i jest gdzieś taka gruba, oprawiona w garbowaną skórę. Jej karty zapełniono niewyćwiczonym charakterem pisma w języku, którym nikt nie mówi od siedmiu stuleci. Jednym słowem, mowa o pierwszym tomie Księgi Zmarłych, zagubionego świętego tekstu Dzieci Kiny. Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Natomiast Narajan i nawet Córka Nocy wyraźnie zareagowali na moje słowa.

– Księga została wykradziona z fortecy Przeoczenie – ciągnęłam dalej – przez czarownika o imieniu Wyjec. Ukrył ją, ponieważ nie chciał, aby wpadła w ręce Duszołap, i nie chciał też, żeby ten dzieciak ją zatrzymał. Ty

albo widziałeś, gdzie on ją schował, albo natknąłeś się na nią zaraz po tym, gdy to zrobił. Później także ukryłeś ją w miejscu wiadomym tylko sobie, niepomny faktu, że nic nie może pozostać w ukryciu na zawsze. Wszystko w końcu natrafi na swego odkrywcę.

Znów dałam Dodżowi czas, by powiedział coś od siebie, i znów z tego nie skorzystał.

– Możesz więc wybierać. Powiadam ci wszak – stajesz się coraz starszy, a następca, którego sobie wybrałeś, pogrzebany jest pod równiną wraz z moimi braćmi i nie masz sprzymierzeńców bardziej oddanych ci niż Gota, której entuzjizm wszelako budzi ostatnimi czasy pewne podejrzenia. Możesz zdecydować, że nic nigdy nie powiesz, wówczas prawda powędruje za tobą w mrok. Klucz jednak zostanie tutaj. W cudzych dłoniach. Dano ci jeść? Czy Do Trang okazał się dobrym gospodarzem? Czy ktoś nie zechciałby naszemu gościowi podać czegoś do picia? Nie chcielibyśmy przecież, aby zarzucono nam brak gościnności.

– Nie wydobędziesz z niego ani słowa – poskarżył się Jednooki, gdy tylko znalazł się tam, gdzie Dodż nie mógł już go usłyszeć.

– Nie oczekiwałam tego. Chciałam tylko, żeby miał o czym myśleć przez jakiś czas. Porozmawiajmy teraz z tą dwójką. Daj tu Singha, wyjmij mu knebel i odwróć tak, aby nie mógł odbierać znaków od dziewczyny. –

Była naprawdę przerażająca. Nawet związana i zakneblowana, wręcz promieniowała niepokojącą siłą osobowości. Umieść ją wśród ludzi gotowych uwierzyć, że została muśnięta dłonią mrocznej boskości, a zrozumiesz, dlaczego kult Oszustów przeżywa tak gwałtowne odrodzenie. Ciekawe jednak, że było to zjawisko ostatnich lat. Że przez ponad dekadę ona i Narajan byli uciekinierami rozpaczliwie próbującymi zachować kontrolę nad nielicznymi ocalałymi Dusicielami i unikającymi agentów Protektorki. Jednak teraz, dokładnie w chwili gdy my mamy zamiar poszarpać kilka bród, oni również oznajmniają wszem wobec, że przetrwali.

Nie miałam najmniejszych kłopotów z wyobrazeniem sobie, jak umysł Gunni skojarzy te zjawiska, dopatrując się w nich omenów i złowróżbnych znaków zwiastujących nadejście Roku Czaszek.

– Narajan Singh – powiedziałam głosem wziętym od Vedzry Nagi. – Jesteś naprawdę upartym starcem. Dawno już powinienes umrzeć. Być może żyjesz wciąż tylko z łaski Kiny. Ale może i z jej poręki trafiłeś w moje ręce. – My, Vedna, jesteśmy dobrzy w zrzucaniu wszelkiej winy na

Boga. Nie może wydarzyć się nic, co pozostanie w niezgodzie z wolą boską. Wiadomo więc, że odmierzył już głębokość gówna, zanim postanowił cię w nie cisnąć. – A żebyś nie miał wątpliwości, są to dłonie umazane krwią.

Singh spojrział na mnie. Nieszczególnie się bał. Nie rozpoznał mnie. Jeśli nawet nasze ścieżki skrzyżowały się kiedyś, byłam dla niego zbyt mało ważna, aby mnie zapamiętał.

Córka Nocy jednak mnie pamiętała. Pomyślała pewnie, że jestem pomyłką, której więcej już by nie popełniła. Ja pomyślałam z kolei, że to ona jest pomyłką, której my nie powinniśmy popełniać w ogóle, obojętnie jak użytecznym narzędziem mogłaby się okazać. Omal nie przeraziła Vedzry Nagi, który był przecież zbyt tępy, by pojmować strach w kategoriach osobistych.

– Czujesz się zakłopotany wydarzeniami, a jednak się nie boisz. Pokładasz wiarę w swej bogini. Dobrze. Oto moje gwarancje. Jeśli będziesz współpracował, nie wyrządzimy ci krzywdy. Niezależnie od tego, co jesteś nam winien.

Nie uwierzył w ani jedno z moich słów i nie mogłam go za to winić. To była zwykła gadanina z rodzaju: „dać komuś iskierkę nadziei”, do której uciekali się śledczy, aby wymusić na skazanych kolaborację.

– W takim razie ból dotknie kogo innego.

Próbował odwrócić się, by spojrzeć na dziewczynę.

– Nie tylko ją, Narajan. Nie tylko. Chociaż od niej zaczniemy. Masz coś, czego chcemy. My z kolei mamy wiele rzeczy, które mogą okazać się cenne dla ciebie. Jestem upoważniona dokonać wymiany, w obliczu przysięgi złożonej wszystkim naszym bogom.

Singh nie miał nic do powiedzenia. Na razie. Ale zaczynałam wyczuwać, że może nadstawić uszu na właściwie dobrane słowa.

Córka Nocy również to wyczuła. Zaczęła wiercić się nerwowo w więzach. Próbowała wydobyć z siebie jakiś odgłos. Będzie równie uparta jak jej matka i ciotka. To musi być coś we krwi.

– Narajanie Singhu, w poprzednim życiu byłeś sprzedawcą warzyw w mieście zwanym Gondowar. Każdego kolejnego lata wyruszałeś w drogę, by prowadzić oddział swoich *tooga*. – Singh wydawał się zmieszany i zbity z tropu. Czegoś takiego się nie spodziewał. – Miałeś żonę, imieniem Jaszodara, którą na osobności nazywałeś Lilią. Miałeś córkę, Kaaditję,

która okazała się zbyt bystra na to imię. Miałeś też trzech synów: Valmiki, Surgivę i Aridatę. Aridaty nigdy nie zobaczyłeś na oczy, ponieważ urodził się dopiero po tym, jak Władcy Cienia pognali do niewoli wszystkich mężczyzn Gondowaru zdolnych do noszenia broni.

Z każdą chwilą Narajan wydawał się coraz bardziej zakłopotany i zmieszany. Swoje życie przed najazdem Władców Cienia uważał za rozdział zamknięty. Od czasu nieoczekiwanego wybawienia poświęcił się bez reszty swej bogini i jej córce.

– Czasy, w których przyszło ci żyć, są tak niespokojne, że później zaczęłeś kierować się całkowicie zrozumiałym założeniem, iż z twego poprzedniego życia nic nie przetrwało nadejścia Władców Cienia. Ale jest to założenie fałszywe, Narajanie Singhu. Jaszodara powiła ci trzeciego syna, Aridatę, i żyła dostatecznie długo, by widzieć, jak zmienił się w dorosłego mężczyznę. Choć musiała znosić wielką nędzę i niedolę, twoja Lilia zmarła dopiero dwa lata temu. – W rzeczy samej, dokładnie wtedy, gdy ją odnaleźliśmy. Wciąż nie miałam pewności, czy niektórzy z moich braci w swej gorliwości zlokalizowania Narajana nie posunęli się przypadkiem za daleko. – Dwaj twoi synowie, Aridata i Sugriva, wciąż żyją, podobnie jak twoja córka, Kaaditja, chociaż używa obecnie imienia Amba, ponieważ ku swemu przerażeniu dowiedziała się, iż jej własny ojciec jest tym Narajanem Singhiem, którego otacza tak wielka niesława.

Kradnąc dziecko Pani, Singh sam zadbał o to, by jego imię trafiło w poczet największych łotrów. Każdy, kto ukończył swoje lata, znał to imię i liczne złe opowieści, jakie się z nim wiązały – większość stanowiła zresztą przekłamanie i przypowieści przeniesione z historii wcześniej przypisywanych jakimś innym ludzkim diabłom, których hańbę zatarł czas.

Udało mi się przyciągnąć jego zainteresowanie, choć starał się demonstrować obojętność. Rodzina jest najważniejsza dla wszystkich, może poza garstką nas.

– Sugriva wciąż pracuje w interesie warzywnym, aczkolwiek jego pragnienie ucieczki przed twoją reputacją zaprowadziło go najpierw do Ajodank, a potem do Dżajkuru, kiedy Protektorka zdecydowała się na powrót zasiedlić miasto. Uznał, że tam wszyscy będą obcy, więc będzie mógł stworzyć dla siebie bardziej dogodną przeszłość.

Żadnemu ze schwytych nie umknęło moje nieszczęsne użycie słowa „Dżajkur”. Nie przyda im się to wprawdzie na nic, jednak będą już

wiedzieć, że nie pochodzę z Taglios. Żaden Taglianin nie powie inaczej niż: Dedzagore.

Ciągnęłam dalej:

– Aridata wyrósł na wspaniałego młodego mężczyznę, silnego i przystojnego. Teraz jest żołnierzem, sierżantem w jednym z Batalionów Miejskich. Awansował szybko. Poznano się na jego talentach. Ma duże szanse wejść do grona oficerów do specjalnych poruczeń, za pomocą których Wielki Generał zarządza armią.

Umilkłam. Nikt inny nie odezwał się ani słowem. Niektórzy słyszeli to wszystko po raz pierwszy, chociaż Sahra i ja zaczęłyśmy szukać tych ludzi już dawno temu.

Podniosłam się i wyszłam z pomieszczenia, by nalać sobie filiżankę herbaty. Nie potrafiłam przestrzegać każdorazowo reguł herbacianych ceremonii Niueng Bao. Oczywiście w ich oczach jestem barbarzyńcą. Nie lubię również tych ich maleńkich filiżanek. Kiedy już postanowię napić się herbaty, chcę zrobić to na całego. Sparzyć ją mocną i wrzucić do środka mnóstwo miodu.

Znowu zajęłam miejsce przed Narajanem. Podczas mej nieobecności nikt nie odezwał się ani słowem.

– A więc, żywy święty Dusicieli, czy naprawdę wyzwoliłeś się ze wszelkich okowów ziemskiego życia? Czy może chciałbyś znowu zobaczyć swą Kaaditję? Była taka mała, gdy odszedłeś. Czy chciałbyś zobaczyć swoje wnuki? Jest ich pięcioro. Wystarczy, że powiem słowo, a będą tu w ciągu tygodnia. – Upiłam łyk herbaty, spojrzałam Singhowi głęboko w oczy i pozwoliłam, by jego wyobraźnia zaczęła pracować. – I tobie też nic się nie stanie, Narajan. Mam zamiar dopilnować tego osobiście. –

Uraczyłam go uśmiechem Vedzry Nagi. – Czy ktoś zechce zaprowadzić tych dwoje do pokojów gościnnych?

– Nie masz zamiaru zrobić nic więcej? – zapytał Goblin, kiedy zostali już wprowadzeni.

– Mam zamiar pozwolić Singhowi pomyśleć o życiu, którym nie dane było mu żyć. Niech rozważy utratę tego, co jeszcze zeń pozostało. Niech zdejmie go strach o los jego mesjasza. A przecież może uniknąć tego wszystkiego, mówiąc nam po prostu, gdzie znaleźć ów drobiazg, który zabrał ze sobą z kryjówki Duszołap przy Kiaulune.

– On nawet głębiej nie odetchnie bez pozwolenia dziewczyny.

– Zobaczymy, jak radzi sobie z podejmowaniem decyzji na własną rękę. Jeśli będzie upierać się zbyt długo, a nas zacznie gonić czas, możesz położyć na mnie zaklęcie, aby myślał, że ja to ona.

– A co z nią? – zapytał Jednooki. – Też chcesz apelować do jej życia osobistego?

– Tak. I zacznę od razu. Nałóż jej kilka tych zaklęć dławiących. Po jednym na każdy nadgarstek i kostkę. I podwójne wokół szyi. – Różne rzeczy robiliśmy, między innymi wypasaliśmy stada, a Jednooki i Goblin, z natury niewiarygodnie leniwi, opracowali dławiące zaklęcia, które zaciskały się, w miarę jak zwierzę odchodziło coraz dalej od zaznaczonego punktu. – To niezwykle zdolna kobieta, a na dodatek ma po swojej stronie boginię. Wolałabym zabić ją i mieć z tym spokój, lecz jeśli to zrobię, nie wyciągniemy od Singha nic. Gdyby jednak zdołała uciec, chcę, aby okazało się to dla niej fatalne w skutkach. Gdyby powiodło się jej częściowo, chcę, by padła bez zmysłów z braku powietrza. Nie chcę natomiast, aby miała regularne kontakty z kimkolwiek z naszych ludzi. Pamiętaj, co jej ciotka, Duszołap, zrobiła z Wierzbą Łabędziem. Tobo, czy Łabędź powiedział coś, co może okazać się dla nas interesujące?

– On tylko gra w karty, Ospała. Przez cały czas gada, ale nic nie mówi. Trochę tak jak Wujek Jednooki.

– Ty go do tego namówiłeś, Żabi Pysku, co? – rozległ się nieprzyjemny szept.

– Cały Łabędź – stwierdziłam. Przymknęłam oczy, masując czoło kciukami i palcami wskazującymi, próbując odpędzić od siebie Vedżrę Nagę. Jego gadzi brak empatii był naprawdę pełen pokus. – Jestem taka zmęczona...

– Wobec tego, czemu, do diabła, wszyscy nie odejdziemy na emeryturę? – zaskrzeczał Jednooki. – Najpierw przez całe pokolenie mieliśmy Kapitana i to jego gówno o „przyszłym roku w Khatovarze”, które wbijał nam do łba. Teraz jesteście wy, dwie kobiety, i wasza święta krucjata wyzwolenia Uwięzionych. Znajdź sobie faceta, Dziewczynko. Spędź rok na pieprzeniu się z nim do utraty zmysłów. Nie uda nam się wyciągnąć tych ludzi. Zrozum wreszcie. Zaczynaj uważać ich za nieżywych.

Jego słowa brzmiały dokładnie jak głos zdrajcy, którego słyszę w moich myślach każdej nocy przed pójściem spać. W każdym razie ta część mnie, która wie, że Uwięzieni nie wrócą już nigdy.

– Czy możemy wywołać naszego ulubionego umarlaka? – zapytałam Sahrę. – Jednooki, zapytaj go, co myśli o naszym planie.

– Ba! Żabi Pysk się nim zajmie. Ja potrzebuję trochę lekarstwa na poprawienie kondycji.

Uśmiechając się nieomal, mimo bolących stawów, Gota wykuśtykała z pomieszczenia w ślad za Jednookim. Przez jakiś czas nie będziemy oglądać tych dwojga. Jeśli dopisze nam szczęście, Jednooki upije się szybko i straci świadomość. Jeśli nie, będzie łąził, zataczając się i szukając zwady z Goblinem, i będziemy musieli go uspokajać. Co może zmienić się w niezłą przygodę.

– No dobrze. A oto nasz złoty chłopak. – Sahrze udało się w końcu sprowadzić Murgena z powrotem do szkatułki z mgłą.

– Opowiedz mi o białym kruku – zaczęłam bez dalszych wstępów.

Zmieszał się.

– Czasami się w niego wcielam. To nie zależy ode mnie.

– Dzisiaj wyciągnęliśmy Narajana Singha i Córkę Nocy z Czor Bejgen. Był tam biały kruk. Ciebie zaś nie było tutaj.

– Nie było mnie też tam. – Jeszcze większe zakłopotanie. – Nie pamiętam, abym tam był.

– Sądzę, że Duszołap to spostrzegła. A ona zna swoje kruki.

– Nie było mnie tam – ciągnął Murgen dalej – ale pamiętam, co się wydarzyło. To przecież nie może znów mi się dzieć.

– Tylko się nie denerwuj. Opowiedz nam, co wiesz.

Murgen przystąpił do opowiadania wszystkiego, co Duszołap powiedziała i zrobiła, od momentu gdy zniknęła z oczu naszym snajperom. Nie chciał nam wyznać, skąd to wie. Nie przypuszczam, by potrafił.

– Ona wie, że mamy Singha i dziewczynę – orzekła Sahra.

– Ale czy wie, po co nam oni? Kompania ma zadawnione porachunki z tą dwójką.

– Będzie musiała zobaczyć ciała, żeby uwierzyć, iż nie chodziło o nic innego. Wciąż nie potrafi do końca uwierzyć, że Łabędź nie żyje. Bardzo podejrzliwa kobieta, ta Protektorka.

– Z trupem Narajana rzecz będzie łatwa... jeśli potrafimy zrobić tak, by wszystko wyglądało wiarygodnie. Wszędzie dookoła są miliony chudych, brudnych, małych staruchów ze spleśniałymi zębami. Ale z pewnością

brakuje nam dwudziestoletnich piękności z błękitnymi oczami i skórą bledszą niż kość słoniowa.

– Szarzy zdecydowanie zaktywizowali się ostatnio – powiedziała Sahra.
– Cokolwiek Protektorka podejrzewa i czegokolwiek się domyśla, nie chce, żeby w jej mieście ktoś bawił się w jakieś sztuczki.

– To kwestia, z którą Radisza mogłaby polemizować. Co przypomina mi o sprawie, która już od dawna kołacze się gdzieś w głębi mej pamięci. Posłuchaj i powiedz mi, co o tym myślisz.

21

W miarę jak adepci boodyzmu przeciskali się przez tłum, gapie – z początku jeden, dwóch, potem coraz więcej – sięgali, by poklepać ich po plecach. Ci znosili to z wyraźną niechęcią. Takie zachowanie mówiło im, jak wielu świadków przybyło tu tylko dla rozrywki.

Cały rytuał przebiegał jak przedtem, jednak w zdecydowanie szybszym tempie; jasne również było, że Szarzy spodziewali się kłopotów i z góry opracowali plan działania.

Kłęczący kapłan w pomarańczowych szatach wybuchnął płomieniem dokładnie w tej samej chwili, gdy Szarzy zaczęli usuwać pomocników zagrażających doń drogę.

Kłęb dymu wystrzelił w górę. Wewnątrz uformowała się czaszka Czarnej Kompanii, złe oko zdawało się spoglądać głęboko w dusze wszystkich świadków. Powietrze poranka wypełnił głos:

– Wszystkie ich dni są policzone.

A drewniana kurtyna osłaniająca prace nad odbudową jakby ożyła. Płonące cytrynową żółcią litery wielkości człowieka głośno: „Woda śpi” i „Mój brat nieodkupiony”. Pełzały powoli w tył i w przód.

Ponad głowami, na parapecie murów, zmaterializowała się sama Duszołap. Jej sylwetka aż zastygła z gniewu.

Nie minęła sekunda i od płonącego adepta uniosła się jeszcze większa chmura dymu. Rozbłysła w niej twarz – najlepsze przedstawienie oblicza Kapitana, na jakie było stać Goblina i Jednookiego – i oznajmiła tysiącom zdjętym trwogą i pogrążonym w milczeniu:

– „Radzadharm. Powinność Królów. Abyście to wiedzieli: Władza królewska na zaufaniu polega. Król jest najwyżej wyniesionym, ale i najbardziej pokornym sługą ludu”.

Zdecydowałam się wymknąć z tłumy. To z pewnością rozgniewa Protektorę do tego stopnia, że może zareagować jakimś impulsywnym i niszczycielskim czynem.

A może i nie. Nie sposób było przewidzieć, co zrobi. Chwilę później poczułam jednak nagły powiew wiatru. Rozgonił chmurę dymu. Rozniecił jednak równocześnie płomienie trawiące boodystę. Dookoła rozszedł się zapach palonego mięsa.

22

Kiedy Mistrz Santaraksita chciał wiedzieć, dlaczego się spóźniłam, powiedziałam mu prawdę.

– Następny uczeń Boodiego dokonał samospalenia przed bramą pałacu. Poszedłem to zobaczyć. Nie potrafiłem się powstrzymać. W całej sprawie były też jakieś czary. – Opisałam to, co widziałam. Podobnie jak wcześniej wielu naocznych świadków, Santaraksita zdawał się równocześnie zaintrygowany i odstręczony.

– Dorabi, jak ci się wydaje, dlaczego ci wyznawcy to robią?

Doskonale wiedziałam, dlaczego to robią. Nie trzeba było geniusza, by przedstawić sobie ich motywację. Jedyne ich determinacja mogła stanowić zagadkę.

– Próbują przekazać Radiszy, że nie wywiązuje się ze swych zobowiązań wobec ludu Taglios. Uznali sytuację za tak rozpaczliwą, że postanowili uciec się do środków, których nie sposób zignorować.

– Ja również sądzę, że tak właśnie rzecz wygląda. Pozostaje jednak pytanie: Co może zrobić Radisza? Protektorka nie ustąpi tylko dlatego, że kilku ludzi uważa, iż jej rządy stanowią zagrożenie dla Taglios.

– Mam dzisiaj dużo do zrobienia, Sri, a czasu zostało niewiele.

– Idź, idź. Ja muszę zwołać zebranie badralok. Może uda nam się dostarczyć Radiszy środków, które pozwolą złagodzić nacisk twardego buta, pod którym trzyma nas Protektorka.

– Powodzenia, Sri. – Będzie mu potrzebne. Tylko najbardziej okropny uśmiech losu ze wszystkich, jakie zdarzyły się od początku czasu, może dostarczyć jemu i jego przyjaciółom narzędzi do załatwienia Duszołap. Poza tym istniały spore szanse, że badralok nie mają zielonego pojęcia, jak niebezpiecznego przeciwnika sobie wybrali.

Zamiotłam, wytarłam wszystko na mokro, sprawdziłam pułapki na szczury i dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że niemalże wszyscy opuścili bibliotekę. Zapytałam więc starego kopistę, Baladitję,

dokąd poszli. Poinformował mnie, że pozostali kopiści umknęli, gdy tylko starsi bibliotekarze udali się na swoje spotkanie badralok. Wiedzieli, że tamci do niczego nie dojdą, lecz jedynie spędzą całe godziny na narzekaniach, bezsensownym gadaniu i kłótniach, postanowili więc wziąć sobie wolne.

Była to sposobność, której nie mogłam przegapić. Zaczęłam przeglądać książki, posunęłam się nawet do tego, by zajrzeć do zastrzeżonego działu. Baladitja nie miał o niczym pojęcia. Nie potrafiłby dostrzec nic, co znajdowało się dalej niż metr od jego nosa.

23

Dżaul Barundandi przydał Min do pomocy dziewczynę o imieniu Rahini, a potem posłał je, by posprzątały prywatne apartamenty Radisy pod kierunkiem kobiety o imieniu Narita, tłustej, wstrętnej jędzy owładniętej przesadnym przekonaniem o własnej ważności. Narita skarżyła się Barundandiemu:

– Potrzebuję jeszcze co najmniej sześciu kobiet. Gdy skończę z pokojami królewskimi, muszę jeszcze posprzątać komnatę Rady.

– A więc proponuję, byś sama chwyciła za miotłę. Wrócę za kilka godzin. Spodziewam się zobaczyć znaczny postęp robót. Dałem ci najlepsze pracownice, jakie miałem pod ręką. – I Barundandi poszedł sobie, aby dokuczać kumuś innemu.

Gruba baba ruszyła na Subredil i Rahini. Subredil nie miała pojęcia, kim była Narita. Nie pracowała nigdy przedtem w komnatach królewskich. Kiedy Subredil krążyła dookoła ze ścierką, wyszeptała:

– Kim jest ta kobieta, taka złośliwa? – Musnęła palcami swojego Gangeszę.

Rahini zerknęła w prawo i w lewo, ale nie odważyła się unieść spojrzenia.

– Z pewnością nietrudno byłoby ci ją zrozumieć. Ona jest żoną Barundandiego.

– Wy dwie tam! Nie płaci się wam za plotkowanie.

– Wybacz, pani – powiedziała Sahra. – Nie wiedziałam, co mam teraz robić, a nie chciałam cię kłopotać.

Tłusta kobieta nachmurzyła się na moment, ale potem swoje niezadowolenie skierowała w inną stronę. Rahini uśmiechnęła się nieznacznie i wyszeptała:

– Dzisiaj jest w dobrym nastroju.

W miarę jak mijały godziny, a kolana, dłonie i wszystkie mięśnie zaczynały coraz bardziej boleć, Sahra powoli pojmowała, że ona i Rahini

zostały przydzielone żonie Barundandiego bardziej z powodu tego, kim były, niżli dla pracy, którą potrafiły wykonywać. Nie były nazbyt bystre i nie należały też do pracownic szczególnie atrakcyjnych. Barundandi chciał, aby Narita uwierzyła, że takie właśnie kobiety zawsze zatrudnia. We wszystkich innych przypadkach niewątpliwie on i jego pomocnicy bez skrupułów skorzystaliby z przewagi, jaką nad skrzywdzonymi i poniżonymi dawała im część posiadanej władzy.

Nie był to dzień szczególnie sprzyjający poszukiwaniom. Pracy do wykonania było więcej niżli dla trzech kobiet. Sahra nie miała więc żadnych szans zabrać kolejnych stronik ukrytych Kronik. A potem w jednej chwili, ledwie kilka godzin po świcie, atmosfera w pałacu zrobiła się nagle swobodniejsza. Tu i ówdzie można było dostrzec wielkich i możnych, jak przemieszczają się tu i tam. Powoli zaczynały też docierać plotki, przenikające widocznie kamienne mury. Kolejny boodysta znalazł śmierć w ogniu u bram pałacu, co wytrąciło Radiszę kompletnie z równowagi. Sama Narita doniosła im:

– Jest bardzo przestraszona. Dzieją się rzeczy, nad którymi nie ma żadnej kontroli. Udała się do Komnaty Gniewu. Ostatnio czyni to nieomal codziennie.

– Do Komnaty Gniewu? – wymruczała Sahra. Nigdy przedtem o niej nie słyszała, ale nieczęsto przecież zdarzało jej się pracować w komnatach położonych tak blisko serca pałacu. – Co to jest, proszę pani?

– Położone na uboczu pomieszczenie, w którym może wrywać sobie włosy i rozdzierać szaty, wściekać się i płakać, a jej uczucia nie zatrują otoczenia. Nie wyjdzie stamtąd, póki nie będzie w stanie ukazać światu całkowicie spokojnego oblicza.

Subredil zrozumiała: To była rzecz Gunni. Tylko Gunni potrafiliby wpaść na taki pomysł. Ich religia personifikowała wszystkie elementy ludzkiego otoczenia. Miała boga, boginię, demona, czy dewę, rakszase, wreszcie jakszę, czy kogo tam jeszcze, dla każdego przedmiotu i czynności, a ci zazwyczaj byli nadto wyposażeni w kilka wyglądów, wcieleń oraz imion. W takiej sytuacji wielu spośród nich straciło ostatnio na znaczeniu, co nie zmienia faktu, że naprawdę rządzą światem od dawna.

Jedynie skrajnie bogaty Gunni mógł sobie pozwolić na kaprys w rodzaju Komnaty Gniewu – Gunni obciążona przekleństwem tysiąca pomieszczeń, dla których nie znajdowała żadnego zastosowania.

Później tego samego dnia Subredil znalazła sposób, by ją przydzielono do służby w świeżo opustoszałej Komnacie Gniewu. Pomieszczenie było niewielkie i nie zawierało nic prócz maty spoczywającej bezpośrednio na wypolerowanej drewnianej podłodze i małej kapliczki poświęconej przodkom. Pełno w niej było dymu, a zapach kadzideł wręcz powalał.

24

Dobrze się stało, że nie miałam przy sobie ani jednej stronicy z Kronik – powiedziała mi później Sahra. – Szarzy przeszukiwali nas, kiedy wychodziłyśmy. Kobieta o imieniu Wancza próbowała ukraść maleńki srebrny kaganek. Cały jutrzejszy ranek spędzi na odbywaniu „kary” wymierzonej jej przez Barundandiego.

– Czy szef Barundandiego wie, co on robi?

– Nie przypuszczam. Czemu?

– Mogłybyśmy go tak zmanipulować, aby się zdradził. A potem go wydać.

– Nie. Barundandi jest diabłem, którego znamy. Manipulować człowiekiem uczciwym byłoby trudniej.

– Gardzę nim.

– Dlatego że jest godny pogardy. Czym nie różni się szczególnie od innych ludzi na podobnych stanowiskach zapewniających im znaczną władzę. Ale nie jesteśmy tu po to aby reformować Taglios, Ospala. Naszym celem jest znalezienie sposobu na uwolnienie Uwięzionych. I nękanie naszych wrogów, kiedy nie stoi to w sprzeczności z celami misji głównej. A dziś udało się nam odwalić kawał porządnej roboty. Nasz przekaz zdruzgotał Radiszę zupełnie.

Sahra powiedziała mi, co odkryła. Potem ja opowiedziałam jej o własnym drobnym zwycięstwie.

– Dzisiaj dostałam się między regały zbiorów zastrzeżonych. I znalazłam coś, co może być oryginałem jednego z tomów Kronik, których kopie ukryliśmy w pałacu. Znajduje się w opłakanym stanie, ale w sumie jest tam i wciąż nadaje się do czytania. Ponadto być może są gdzieś pozostałe tomy. Zdołałam przejrzeć tylko część prohibitów, bo potem musiałam pomóc Baladitji w szukaniu pantofli, żeby jego wnuk mógł odprowadzić go do domu.

Książka leżała na blacie stołu, poklepałam ją z dumą. Sahra zapytała:

– Czy nikt nie zorientuje się w braku?
– Mam nadzieję, że nie. Zastąpiłam ją jednym ze spleśniałych odrzutów, które ocalałam przed śmietnikiem.

Sahra uścisnęła moją dłoń.

– Dobrze. Dobrze. Ostatnio wszystko zaczyna iść coraz lepiej. Tobo, może poszedłbyś poszukać Goblina? Mam pewien pomysł, o którym chciałabym z nim porozmawiać.

– Sprawdź, jak się miewają nasi goście – oznajmiłam. – Być może któryś gotów jest wyszeptać mi na ucho jakieś słodkie wyznanie.

Jednakże moje uszy okazały się potrzebne tylko Łabędziowi, na dodatek bynajmniej nie dlatego, że chciał mi szeptać jakiegokolwiek wyznania. Na swój sposób był równie niepoprawny jak Jednooki, chociaż w jego stylu bycia trudno było znaleźć coś jednoznacznie obraźliwego. Nie sądziłam, aby Łabędź był człowiekiem z gruntu zepsutym. Podobnie jak wielu innych padł ofiarą zbiegu okoliczności, a potem już tylko ze wszystkich sił starał się trzymać głowę ponad wirami nurtu wydarzeń.

Wujek Dodź najwyraźniej nie był zadowolony z warunków, jakie mu zapewniliśmy, chociaż nikt nie uważał go za więźnia.

– Z pewnością damy sobie radę również bez tej książki – poinformowałam go. – W każdym razie i tak wątpię, abym była w stanie ją przeczytać. Głównie chodzi mi o to, żeby się upewnić, że nie trafi z powrotem w ręce Oszustów. Tym, czego naprawdę potrzebujemy, jest twoja wiedza.

Dodź był upartym staruchem. Nie odkrył w sobie jeszcze śladu gotowości na żadne układy czy szukanie sprzymierzeńców.

Zanim pożegnałam się z nim, zapytałam jeszcze:

– Czy wszystko musi umrzeć wraz z tobą? Czy będziesz ostatnim Niueng Bao, który przestrzega zasad Drogi? Tai Dei nie zostanie twoim następcą, jeśli na zawsze utkwi pogrzebany pod lśniąca równiną. –

Mrugnęłam doń. Rozumiałam Dodźa lepiej, niż mu się wydawało. Jego problem nie polegał na wewnętrznym konflikcie wyznawanych zasad moralnych, lecz stanowił kwestię kontroli. On chciał po prostu robić wszystko na swój sposób i zwyczajnie nie dać sobą manipulować.

Jeśli nieustannie będę mu przypominała o jego moralności, o braku syna czy choćby ucznia, w końcu przyjdzie do mnie sam. Niueng Bao słyną ze

swego uporu, jednak nawet oni nie postawią własnej niechęci do przystosowania się ponad wszelkie swe nadzieje i marzenia.

U Narajana byłam dość długo, by przypomnieć mu, iż wyrządzenie mu krzywdy nie leży w naszym interesie. Ale że jedynym powodem, dla którego wciąż jeszcze Córce Nocy nic się nie stało, jest nadzieja zapewnienia sobie jego współpracy.

– Jeszcze przez jakiś czas możesz trwać w swym uporze. Zanim zajmimy się tylko tobą, musimy jeszcze załatwić kilka spraw, jednak potem skupimy się na zniszczeniu wszystkich twoich marzeń.

Do tego mniej więcej sprowadzała się moja praca z każdym z więźniów. Zmusić ich, by położyli na szali wszystkie swoje marzenia i nadzieje. Tym sposobem być może znajdę nawet jakąś boczną furtkę do historii, zyskując taką sławę, czy niesławę, jak Duszołap i Stwórca Wdów, jak Cień Burzy i Długi Cień – zostanę zapamiętana na zawsze jako Zabójca Marzeń.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam siebie samą dryfującą poprzez noc jak Murgen; bez ciała, wlokłam za sobą bezdenny worek ciemnej nocy, do którego upchałam wszystkie sny, jakie udało mi się skraść niespokojnym śpiącym. W tej wizji byłam prawdziwym starożytnym rakszasa.

Córka Nocy nawet nie podniosła wzroku, kiedy przyszłam zobaczyć, co porabia. Siedziała zamknięta w klatce, której Ban Do Trang używał do trzymania najbardziej niebezpiecznych dzikich zwierząt. Czasami były to pantery, zazwyczaj jednak tygrysy; w pełni wyrośnięty samiec tygrysa wart był fortunę na rynku środków farmakologicznych. Ona została zakuta w łańcuchy. Kotom nigdy ich nie zakładano. Poza tym, jak podejrzewam, w jej żyłach krążyło sporo opium i wilczej jagody, którymi przyprawiano jedzenie. Nikt nie chciał potem żałować, że nie doceniono jej możliwości. Historia jej rodziny stanowiła jeden wielki katalog potworności. Poza tym przy jej boku stała bogini.

Rozum podpowiadał, abym zabiła ją do razu, zanim Kina znów otrząśnie się po części ze snu. Dzięki temu przez resztę mego życia mogłabym chodzić po ziemi, nie obawiając się końca świata. Spłodzenie Córki Nocy zajęłoby mrocznej bogini pokolenia.

Rozum jednakże konstatował równocześnie chłodno, że gdy dziewczyna umrze, Uwięzieni spędzą resztę życia w jaskiniach pod lśniąca równiną.

Po dłuższej obserwacji dziewczyny pojęłam, że bynajmniej nie jestem zwyczajnie ignorowana. Tak w ogóle miała pojęcie o mojej obecności. Jej

umysł błąkał się jednak gdzie indziej. Co bynajmniej nie rodziło miłych przeczuć. Jeśli Kina potrafiła oddzielić jej duszę od ciała, podobnie jak zrobiła z Murgeniem...

Mistrz Santaraksita zatrzymał się, żeby powiedzieć do mnie:

– To bardzo ładnie z twojej strony, że zatroszczyłeś się wczoraj o Baladitję, Dorabi. Zupełnie o nim zapomniałem, tak bardzo spieszyło mi się na zebranie badralok. Jednak powinieneś w tej sprawie zachować pewien umiar, inaczej jego wnuk będzie oczekiwał, że zamiast niego odprowadzisz starego do domu. Ze mną tego też próbował.

Nie spojrzałam mu w oczy, chociaż dużo bym dała, żeby widzieć, co w nich było. W jego głosie wyczuwałam pewne napięcie, zdradzające, że coś chodzi mu po głowie. Jednak już i tak zbyt swobodnie traktowałam reguły konstrukcyjne postaci Dorabiego. On z pewnością nie potrafiłby spokojnie spojrzeć w oczy przedstawicielowi kasty kapłańskiej.

– Zrobiłam tylko to, co należało, Mistrzu. Czy nie uczy się nas, byśmy okazywali szacunek i pomagali starszym? Jeśli nie będziemy tak postępować za młodu, kto nas będzie szanował i pomagał nam, kiedy stracimy siły?

– W rzeczy samej. Niemniej wciąż zdumiewasz mnie i intrygujesz, Dorabi.

Próbowałam uciec od niewygodnego dla mnie tematu, więc zainteresowałam się:

– Czy spotkanie badralok okazało się konstruktywne, Mistrzu?

Santaraksita zmarszczył czoło, po chwili jednak się uśmiechnął.

– Jesteś bardzo subtelny, Dorabi. Nie. Oczywiście, że nie. Jesteśmy badralok. Rozmawiamy. Nie działamy. – Przez chwilę w jego tonie pobrzmiało szyderstwo skierowane pod adresem własnej klasy. – Wciąż jeszcze będziemy debatować na formę, jaką winien przybrać opór, gdy Protektorka umrze już ze starości.

– Czy to prawda, co mówią, Mistrzu? Że ona liczy sobie już czterysta lat i jest wciąż świeża niczym panna młoda? – Nie potrzebowałam jego

wiedzy, po prostu chciałam tą konwersacją podtrzymać zaskakujące zainteresowanie Santaraksity moją osobą.

– Taka jest chyba powszechna wiara, głoszona przez północnych najemników i tych, których Radisza przyjęła do siebie.

– Zapewne więc musi być wielką czarownicą.

– Czy słyszę w twoim głosie nutkę zazdrości?

– Czyż nie wszyscy będziemy żyć wiecznie?

Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

– Zaiste będziemy, Dorabi. To życie jest jedynie etapem przejściowym.

Niewłaściwie się wyraziłeś, Dorabi Dei.

– Chodziło mi o życie na tym świecie. Ja jestem zasadniczo zadowolony z bycia Dorabim Dei Banerdze.

Santaraksita zmarszczył lekko czoło, ale puścił me słowa mimo uszu.

– Jak postępują twoje studia?

– Wspaniale, Mistrzu. Szczególnie podobają mi się teksty historyczne. Odkrywam w nich tak wiele interesujących opowieści o przeszłych wydarzeniach.

– Cudownie. Cudownie. Jeśli mogę ci w jakiś sposób pomóc...

– Czy istnieje pisany język Niueng Bao? – zapytałam więc. – Albo czy może kiedyś istniał?

Tym pytaniem chyba zabiłam mu ćwieka.

– Niueng Bao? Nie mam pojęcia. Dlaczegoż, na wszystkie nieba, miałbyś...

– Chodzi o coś, co widziałem kilkakrotnie w pobliżu miejsca, gdzie mieszkam. Nikt nie ma pojęcia, co to oznacza. Niueng Bao, którzy tam żyją, nie chcą nic powiedzieć. Ale nigdy nie słyszałem, żeby posługiwali się pismem.

Na chwilę oparł dłoń na moim ramieniu.

– Dowiem się dla ciebie. – Czułam, jak jego palce drżą. Wymruczał coś niezrozumiałego i szybko odszedł.

Doszły nas plotki, że wyznawcy boodyzmu nie byli szczególnie uradowani, iż wtrąciliśmy się w ich przedstawienie pod bramą pałacu. Zastanawiałam się, co sobie pomyślą, gdy do ich uszu dotrą wieści o naszym przedsięwzięciu w Semczy. Wszystko razem układało się jak najlepiej. Chyba, że Duszołap myślała znacznie dalej w przód, niżli ktokolwiek z nas podejrzewał w najśmielszych snach.

Murgen odnalazł oddział Wcześniaka już daleko na drodze do wioski. Jechali znacznie szybciej niż grupa, którą Protektorka wysłała dla zrąbania Drzewa Boodiego. Tamci byli liczniejsi od naszych towarzyszy, jednak nie spodziewali się oporu. Za kilka dni przekonają się, jaki świat potrafi być paskudny.

Paskudna była też pogoda w mieście. Nadeszła pora burz. Nie zdążyłam do domu na czas, ponieważ zatrzymała mnie rozszalała nawałnica z piorunami, która zalała nadto parę ulic, inne zaś pokryła warstwą gradu o średnicy dwóch i pół centymetra. Kandzali i inne dzieciaki wyległy na zewnątrz, próbując zbierać lód i piszcząc z bólu za każdym razem, gdy gradowa kula uderzała w nieosłoniętą skórę. Przez krótką chwilę powietrze było tak chłodne, że ledwo dawało się wytrzymać. Potem jednak burza poszła dalej i powrócił upał, jeszcze gorszy niż wcześniej. Odór miasta wzmógł się jeszcze. Jedna burza nie wystarczy, żeby je oczyścić, powoduje tylko, że wszystko zaczyna wypływać na wierzch. Przez następnych kilka dni owady będą naprzykrzać się bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Przycisnęłam swój ciężar do piersi i powiedziałam sobie, że przecież nie muszę tkwić w tym szambie ani chwili dłużej.

– Znajdę jeszcze jedną i będę miała już wszystko, co biblioteka może mi ofiarować. – Moja nowa zdobycz leżała otwarta wprost na widoku. Rzecz jasna, nikt nie potrafił jej przeczytać. Nawet ja. Byłam jednak przekonana, że posiadam właśnie kolejny oryginalny tom z trzech pierwotnie

zaginionych Kronik. Może nawet pierwszy, taką miał obcością. Drugi, który znalazłam, najwyraźniej zapisany został tym samym alfabetem, aczkolwiek istotnie zmodyfikowanym i nieco przypominającym używany w woluminie przeznaczonym do wyrzucenia, który udało mi się ocalić. Jeśli język był ten sam, ostatecznie będę w stanie go rozszyfrować.

Jednooki zachichotał.

– No. Masz więc wszystko oprócz kogoś, kto by to dla ciebie przetłumaczył. Wszystko oprócz nowego chłopaka. – Upierał się przy tym, że kustosz Santaraksita z pewnością chce mnie uwieść. I że złamię mu serce, kiedy uda mu się w końcu i odkryje, że jestem kobietą.

– Dostyc już tego gadania, ty obleśny staruchu.

– Poświęcenie dla sprawy, Dziewczynko. – I gestami próbował mi zasugerować, co mam zrobić. Znowu pił. A może wciąż.

Weszła Sahra. Cisnęła w moim kierunku gruby zwitek stronic.

– Możesz, Jednooki? Znajdź Goblina. Jest robota do wykonania. – Mnie zaś spytała – Dlaczego sobie na coś takiego pozwalasz?

– On jest niegroźny. I z pewnością już zbyt stary, żeby się zmienić. A jeżeli akurat mi dokuczają, wiadomo przynajmniej, że nie pakuje się w coś, co może spowodować śmierć na nas wszystkich.

– A więc jednak poświęcasz się dla sprawy.

– Coś w tym rodzaju. To akurat było łatwe. – Pojawił się Goblin. – Co się stało Jednookiemu?

– Spuszcza z kija. Co mam teraz zrobić?

– Mogę się dostać do Komnaty Gniewu. Reszta zależy od ciebie – powiedziała Sahra.

– Zrób to, a nigdy już nie będziesz mogła wrócić do pałacu. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

– O czym wy mówicie? – zapytałam.

– Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy uprowadzić Radiszę. – odparła Sahra. – Przy odrobinie szczęścia i sporej pomocy ze strony Goblina oraz Jednookiego.

– Goblin ma rację. Jeśli to zrobisz, wszystko wyjdzie na jaw i wtedy lepiej, żebyśmy znajdowali się setki kilometrów stąd. Mam lepszy pomysł. Jeśli już musimy zdradzić to, że potrafimy wedle woli wchodzić i wychodzić z pałacu, zrobmy to, sabotując jakoś Duszołap. Znajdziemy

jeden z jej dywanów i zrobimy coś takiego, by rozleciał się pod nią, kiedy będzie pędziła sześćdziesiąt metrów ponad ziemią.

– Dobrze kombinujesz, Ospała. Wpisz to na swoją listę, Sahra. Naprawdę chciałbym przy tym być. Widok pewnie byłby taki jak wówczas, gdy Wyjec wpakował się prosto w ścianę Wieży w Uroku. Człowieku, musiał zasuwać ze trzy razy szybciej niż pędzący koń, kiedy walnął w ścianę. Łup! Włosy, zęby i gałki oczne rozsmarowane po całej...

– Przecież wyszedł z tego, ty idioto. – Wrócił Jednooki. – W tej chwili spoczywa pod równiną razem z naszymi chłopcami. – Charakterystyczny smród jednoznacznie zdradzał, że Jednooki skorzystał z chwili przerwy, by zaaplikować sobie dawkę leczniczą.

– Przestańcie. Już. – Dzisiejszego wieczoru Sahra była bardzo drażliwa. – Naszym następnym krokiem będzie neutralizacja Czandry Gokhale. Już zdecydowaliśmy. Innymi rzeczami możemy martwić się potem.

– Będziemy musieli odświeżyć nasze procedury ewakuacyjne, na wypadek gdyby trzeba było szybko wynosić się z Taglios – zauważyłam. – Im większa aktywność, tym większe szanse, że coś pójdzie źle. A w takim wypadku Duszołap wsładzie nam na kark natychmiast.

– Ona nie jest głupia, tylko zwyczajnie leniwa – stwierdził Goblin.

– Odwołała już swoje cienie? – zapytałam Sahrę.

– Nie mam pojęcia. Nic nie słyszałam.

– Tym, czego naprawdę potrzebujemy, jest recepta na obywanie się bez snu – zaczął narzekać Goblin. – Przez jakiś rok. Pozwól mi obejrzeć Gangeszę Min Subredil.

Sahra posłała Tobo, by przyniósł posążek. Chłopak potrafił być znacznie mniej nieprzyjemny, jeśli znajdował się wśród ludzi.

Gdy do środka wjechał Ban Do Trang, popychany przez jednego ze swoich ludzi, zapadło milczenie. Przybysz uśmiechnął się, jakby z prywatnego żartu. Uwielbiał nas zaskakiwać.

– Jeden z moich ludzi doniósł mi, że paru obcych schwytało się w sieci mylące. Z pozoru są zupełnie niegroźni. Starzec i niemowa. Ktoś powinien wyprowadzić ich w jakiś niebudzący podejrzeń sposób i skierować na właściwą drogę.

Słyszając te wieści, poczułam przeszywający mnie lekki dreszcz, jednak moja świadomość nie chciała dopuścić do siebie prawdy, póki biedni, przepracowani Tobo i Goblin – ten drugi też poszedł, ale trzymał się z dala,

kiedy chłopiec odprowadzał intruzów w bezpieczne miejsce – nie wrócili i Goblin nie doniósł:

– Wydaje mi się, że twój chłopak poszedł za tobą do domu, Ospała.

– Co?

– Otóż był to przerażony stary człowiek, który próbował wyrzucić na Tobo wrażenie faktem, iż jest bibliotekarzem. – Wielu Taglian byłoby zaiste pod wrażeniem. Umiejętność czytania sama w sobie stanowiła tutaj rodzaj czarów – Na swego pomagiera mówił Adu. A wcześniej powiedziałaś...

Jednookiego niemalże skreśliło ze śmiechu.

– Dziewczynka jest prawdziwym pozeraczem męskich serc! Cholera, oddałbym wszystko, żeby tam być, kiedy stary głupiec wsunie swoje łapy w jej spodnie i nie znajdzie tam tego, czego szukał.

Poczułam, że rumienię się ze wstydu. Nie sądzę, aby przydarzyło mi się to kiedykolwiek od czasu, jak mój wujek Rafi po raz pierwszy wsunął rękę pod moje sari i znalazł tam to, czego szukał. Ten cholerny głupiec, Santaraksita! Dlaczego musiał komplikować wszystko w ten sposób?

– Dość już tego! – warknęła Sahra. – Jutro ma się odbyć posiedzenie Tajnej Rady. Myślę, że możemy skorzystać z niego, aby dopaść Gokhale. Jednak będę musiała zabrać ze sobą Sauę i Szikandini.

– Dlaczego? – zapytałam. Nie miałam najmniejszej ochoty wracać do pałacu.

– To świetnie – uradował się Jednooki. – Nie pokażesz się jutro w bibliotece, a stary kozioł gotów jest zacząć jęczeć i skowytać, i zastanawiać się, co się stało, czy to wszystko przypadkiem nie jest jego wina, nawet jeśli doskonale będzie wiedział, że nie ma sposobu, byś mogła się dowiedzieć, że śledził cię w drodze do domu. On już połknął haczyk, Dziewczynko. Wszystko, co musisz teraz zrobić, to wyciągnąć go na brzeg.

Sahra warknęła po raz wtóry:

– Powiedziałam...

– Poczekaj chwilę. Może on ma rację. Załóżmy, że zagram w grę Santaraksity? Aż do chwili, gdy zrobi dla mnie moje tłumaczenia? Możemy nawet włączyć go do naszej kolekcji. Nie przypuszczam, by miał liczną rodzinę. Dlaczego nie przyjrzymy się bliżej całej sprawie, nie stwierdzimy, ile czasu musi minąć, by ludzie zaczęli się zastanawiać, gdzie zniknął?

– Och, ależ ty jesteś paskudna, Dziewczynko – orzekł Jednooki. – Jesteś naprawdę podła.

– Jeśli dalej będziesz na mnie włąził, możesz sam się o tym przekonać któregoś dnia.

– A co z Gokhale? – zapytała Sahra.

– W porządku. Dlaczego zabierasz i mnie, i Tobo?

– Tobo po to, by w pewnym momencie zaczęło go swędzieć i poczuł, że musi się podrapać. Ty nas będziesz osłaniać. Tak na wszelki wypadek. Niech Tobo zabierze flet. – Flet Tobo stanowił zminiaturyzowany model miotających ogniste kule bambusów. – Może przekazać go tobie, gdy tylko wejdziemy do środka. – Tobo brał ten instrument za każdym razem, gdy towarzyszył matce w pałacu. Próbowaliśmy zawsze uprzedzać ewentualne kłopoty. – I chcę też, żeby wspomnienia o tobie były świeże w pamięci Dzaula Barundandiego. A na pewno już będę musiała cię mieć ze sobą, kiedy porwę Radiszę. Goblin, co możesz zrobić z moim Gangeszą?

Nikt inny na całym świecie nie odważyłby się w tak bezpośredni sposób kierować małym czarodziejem. Ale Sahra to była Sahra. Nie musiała bać się niczego.

Zacząłam zbierać się do wyjścia. Miałam jeszcze inne rzeczy do załatwienia. Tobo zapytał:

– Czy mogę pokazać twoje Kroniki Murgenowi? Powiedział, że chce je przeczytać.

– Między wami zaczęło się jakoś układać?

– Tak myślę.

– Dobrze. Niech je obejrzy. Powiedz mu tylko, żeby nie patrzył na nie zbyt krytycznym okiem. Jeśli mu się nie spodobają, na pewno nigdzie nie pójdę i nie wykopię go spod ziemi.

Narajan wydawał się cokolwiek zbity z tropu moim nieustającym zainteresowaniem. Nie wydawało mi się, aby był w stanie przypomnieć mi siebie. Teraz jednak wiedział już, że byłem kobietą, udającą mężczyznę zwanego Ospałym, którego spotykał, choć raczej rzadko, całe wieki temu.

– Miałeś już czas, aby się zastanowić. Zdecydowałeś się nam pomóc?

Spojrzał na mnie z nieskrywaną wściekłością, aczkolwiek nie było w tym żadnej osobistej nienawiści. Byłam przecież tylko szczególnie nieprzyjemną przeszkodą dzielącą go od nieuchronnego triumfu bogini. Jego myśli z powrotem powróciły w utarte koleiny.

– W porządku. Przyjdę do ciebie jutro w nocy. Zbliży się czas przepustki twojego syna, Aridaty. Przyprowadzimy go z wizytą.

Córki Nocy strzegł strażnik.

– Co ty tu robisz, Kendo?

– Nie spuszczam oka z...

– Odejdź. I nie wracaj. I przekaz to innym. Nikt nie pilnuje Córki Nocy. Jest zbyt niebezpieczna. Nikt nawet nie zbliży się do niej, o ile ja lub Sahra mu nie każemy. A wtedy na pewno nie robi tego sam jeden.

– Nie wygląda...

– Wcale nie musi, nieprawdaż? Zmykaj. – Podeszłam do klatki. – Jak dużo czasu będzie musiało upłynąć, zanim bogini znowu stworzy odpowiednie warunki dla narodzin następnej takiej jak ty? Jeśli zdecyduję się ciebie zabić?

Dziewczynka powoli uniosła wzrok. W jej oczach lśniła taka moc, że miałam ochotę skulić się pod jej wejrzeniem, jakoś się jednak opanowałam. Może powinniśmy podawać jej nawet więcej opium, niż dostaje w tej chwili.

– Zastanów się nad tym, ile jesteś warta. I nad tym, że mam władzę to zniszczyć. – Czułam się naprawdę dowartościowana. To były właśnie takie słowa, jakie ciskali sobie w twarz dewowie lub pomniejsi bogowie, egzystujący na marginesach epickich opowieści snutych przez zawodowych bazarzy.

Spojrzała na mnie z wściekłością. W oczach znowu miała tyle siły, że postanowiłam, iż Kendo będzie musiał spędzić trochę czasu na osobności z Goblinem i Jednookim, którzy upewnią się, czy już przypadkiem nie został opętany.

– Myślę, że bez ciebie Rok Czaszek nigdy nie nadejdzie. I wiedz, że żyjesz wciąż tylko dlatego, że chcę czegoś od Narajana, który kocha cię niczym ojciec. – Singh naprawdę był jej ojcem, praktycznie pod każdym względem. Konowałowi okrutna Fortuna odmówiła tej szansy. Albo, by być bardziej precyzyjnym, nie Fortuna, lecz wola Kiny.

– Trzymaj się ciepło, kochana.

Odeszłam. Miałam mnóstwo do przeczytania. I trzeba było również coś napisać, jeśli dam radę. Zajęcia wypełniały moje plany po brzegi i zbyt wiele wkładało się w nie zamieszania. Postanawiałam coś zrobić, a potem o tym zapomniałam. Kazałam innym coś zrobić, a potem też o tym nie pamiętałam. Naprawdę z utęsknieniem zaczynałam już wyglądać czasów, kiedy sukces – lub odpowiednio spektakularna porażka – zmusi nas do wyjazdu z miasta. Najchętniej wyniosłabym się dokądś, gdzie nikt mnie nie znał, i nie robiła nic przez parę miesięcy.

Albo przez resztę życia, gdyby przyszła mi na to ochota.

Tak, dobrze rozumiałam, dlaczego wraz z każdym mijającym rokiem coraz więcej naszych braci poddawało się i znikało. Miałam jednak nadzieję, że odrobina sławy sprowadzi ich z powrotem.

Próbowałam czytać stronicę, które Sahra wyniosła dla mnie z pałacu, jednak tłumaczenie nastęczało mi tylu trudności, tematyka zaś była tak mało interesująca, a ja zmęczona, że miałam kłopoty ze skupieniem uwagi. Zaczęłam ni z tego, ni z owego myśleć o Mistrzu Santaraksicie. Myślałam o tym, że powinnam się uzbroić, kiedy wrócę do pałacu. Zastanawiałam się, co Duszołap robi teraz, gdy wie już, że nie odcięła nas w Ogrodzie Złodziei. Wreszcie wybiegłam myślą w przyszłość, do czasów, gdy będę już stara i nie będę miała nikogo, zaczynając nabierać podejrzeń, że niektórzy

bracia trzymają się Kompanii niezależnie od tego, co by się działo, ze strachu przed samotnością. Nie mieli po prostu żadnej innej rodziny.

Ja też nie miałam żadnej innej rodziny.

Nie będę oglądała się za siebie. Nie jestem taka słaba. Nie rozluźnię więzów samokontroli nawet na chwilę. Wytrwam. Zwycięzę samą siebie i zatriumfuję nad wszystkimi przeszkodami.

Zasnęłam, czytając po raz kolejny własne zapiski z relacji Murgena o przygodach Kompanii na lśniącej równinie. Śniłam o istotach, które tam spotkał. Gdzie byli mityczni rakszasowie i nagi? Czy mieli cokolwiek wspólnego z cieniami albo z ludźmi, którzy stworzyli je z ofiar nieszczęsnych jeńców wojennych?

Mam w związku z tym złe przeczucia – oznajmiłam Sahrze, kiedy ona, Tobo i ja wyruszyliśmy na nasz długi spacer. – Pewna jesteś, że na ulicach nie ma cieni?

– Przestań tyle gadać, Ospala. Powoli zamieniasz się w starą babę. Ulice są bezpieczne. Jedyne potwory, jakie po nich chodzą, to ludzie. A z nimi potrafimy sobie poradzić. W pałacu będziesz bezpieczna, jeśli tylko nie wypadniesz ze swojej roli. Tobo też nic się nie stanie, póki będzie pamiętał, że tak naprawdę wcale nie jest Szikandini i że zależy mu ogromnie, by jego matka utrzymała pracę. W naturze mężczyzn takich jak Dżaul Barundandi leży to, iż zastraszają cię mentalnie, a nie fizycznie. „Nie” stanowi dla nich odpowiedź. A ja przez to nie stracę pracy. Moje starania docenili również inni. Szczególnie zaś żona Barundandiego. Teraz już czas wejść w rolę. Tobo, ty również. Ty zwłaszcza. Wiem, że Ospala potrafi to zrobić, kiedy dostatecznie się skoncentruje.

Tobo odział się jak przystało rozkwitającej młodej dziewczynie, córce Min Subredil – miałam nadzieję, że uda się nam przemycić go z powrotem do magazynu niepostrzeżenie, w przeciwnym bowiem razie Goblin i Jednooki będą potem szydzić z niego bezlitośnie. Przy odrobinie matczynej pomocy z Tobo zrobiła się bardzo atrakcyjna młoda kobieta.

Dżaul Barundandi również tak pomyślał. Min była dzisiejszego dnia pierwszą, którą wezwano, a sam Barundandi tym razem zrezygnował ze zwyczajowego narzekania na fakt, iż Saura stanowi część transakcji związanej.

Chwilę później Saura miała problemy z utrzymaniem beznamiętnego oblicza, kiedy natrafiliśmy na żonę Barundandiego, Naritę, czekającą na kobiety, mające pracować dla niej. Jeden rzut oka na Sziki wystarczył. Rodzina Subredil od razu znalazła się pod jej bezpośrednim nadzorem.

Min wykonała kawał dobrej roboty, wkupując się w łaski Narity. Kierowała się zresztą całkowicie zrozumiałą przesłanką, kobieta zarządzała

bowiem sprzątaniem w tych częściach pałacu, które interesowały nas najbardziej.

W przeszłości Saua nie pracowała dla Narity zbyt często. Subredil wyjaśniła więc przełożonej, jak to z nią jest. Najwyraźniej tym razem Narita potrafiła okazać więcej cierpliwości biednej kobiecie, niż miewała jej wcześniej, gdy się spotykały.

– Rozumiem. Jest mnóstwo prostych rzeczy, które także trzeba zrobić – rzuciła. – Ostatniej nocy Radisza była szczególnie niespokojna. Kiedy ma kłopoty z zaśnięciem, często niszczy przedmioty i robi dużo bałaganu.

W jej głosie rozbrzmiało prawdziwe współczucie. Ostatecznie lud Taglios kochał władającą nim rodzinę i najwyraźniej uznawał, że należy się jej większe pobłażanie i troska niżli byle komu z ulicy. Być może ze względu na ciężar, jaki musieli dźwigać, stosując się, przynajmniej dotychczas, do ustaleń Radzadharmy.

Subredil usadowiła mnie w miejscu, z którego mogłam wszystko widzieć, sama nie będąc zauważana. Ona i Narita przyniosły mi kilka mosiężnych precjozów, które wymagały wyczyszczenia. Najwyraźniej rządząca rodzina przepadała za mosiądzem. Saua wyczyściła go już chyba całe tony. Ale było wiadomo, że niczego nie zniszczy.

Sziki podeszła do mnie i zapytała:

– Zaopiekujesz się moim fletem, ciociu Sauo? – Wzięłam więc od niej instrument, obejrzałam nieuważnie, wykrzywiłam twarz w uśmiechu idiotki i wydobyłam parę kakofonicznych tonów. Tak aby każdy widział, że jest to prawdziwy flet, a nie bynajmniej miniaturowy miotacz ognistych kul, zdolnych uczynić życie pierwszej piątki ludzi, którzy zanadto zbliżą się do zdenerwowanej flecistki, równocześnie krótkim i bolesnym.

Żona Barundandiego zapytała Sziki:

– Grasz na flecie?

– Tak, proszę pani. Ale niezbyt dobrze.

– W młodości uważano mnie nawet za utalentowaną flecistkę... –

Dostrzegła męża, który już po raz drugi tego ranka zaglądał do sali, i najwyraźniej nabrała podejrzeń, iż nie interesują go wyłącznie postępy dziennej pracy. – Subredil, nie sądzę, aby przyprowadzanie tu twojej córki było mądre. – A chwilę później warknęła: – Za chwileczkę wracam. Muszę porozmawiać z tym mężczyzną. Należy mu wyjaśnić kilka rzeczy.

W momencie gdy zniknęła za drzwiami, Min Subredil zaczęła poruszać się z zaskakującą szybkością. Zniknęła w Komnacie Gniewu Radiszy. Nie mogłam jej nie podziwiać. Nigdy nie myślała jaśniej niż wówczas, kiedy znajdowała się w niebezpieczeństwie. Podejrzywałam, że naprawdę lubiła swoją rolę najpodlejszej służącej w pałacu. A im bardziej ryzykowne zadanie wykonywała, tym bardziej potrafiła działać efektywnie.

Mimo ogromnej ilości pracy i częstych wycieczek Narity, ze wszystkich sił próbującej przeszkodzić wysiłkom męża pragnącego znaleźć się w pobliżu Szikandini, albo przenieść ją do innej grupy pracowników, wczesnym popołudniem opuściłyśmy prywatne apartamenty Radiszy i zaczęłyśmy pracę w ponurej komnacie, w której obradowała Tajna Rada. Według plotek krążących po mieście, uczniowie Boodiego mieli wysłać kolejnego samobójczego naiwniaka pod bramę pałacu. Radisza zdecydowana była nie dopuścić do tego za wszelką cenę.

Miałyśmy przygotować miejsce na posiedzenie Rady.

Plotka na temat boodysty zrodziła się w umyśle Ki Sahry. Celem jej rozpowszechnienia było sprokurowanie spotkania twarzą w twarz Szikandini z Czandrą Gokhale.

Minęły co najmniej dwie godziny, nim pojawili się urzędnicy, mali, cisi ludzie, którzy wszystko notowali. Potem przybył Pjurojita w towarzystwie kapłanów-członków Tajnej Rady. Pjurojita nie raczył zniżyć się do zauważenia naszego istnienia, nawet mimo tego, iż Sziki początkowo pomyliła go z Gokhale i zatrzepotała rzęsami, aż Sahra dała jej znak, że ma przestać. Już słyszałam nawet wymówkę, którą będzie się później tłumaczyć: Wszyscy starzy ludzie wyglądają tak samo.

Ani Arjuna Drupada, ani Czandra Gokhale nie uważali się za starych.

Pracowałyśmy dalej wytrwale, całkowicie ignorowane przez wszystkich. Ludzie zamieszkujący pałac, zwłaszcza zaś jego wewnętrzny krąg, mieli szczęście, że było wiele innych rzeczy, które chcieliśmy zrobić z własnym życiem. Gdyby nie chodziło o nie, moglibyśmy naprawdę rzezać ich masami. Ale pozbycie się Pjurojity wniosłoby niewiele w ogólnym planie strategicznym. Starsi kapłani zastąpiliby go następnym mężczyzną, równie paskudnym i ograniczonym, zanim jeszcze ciało Drupady ostygłoby ostatecznie.

Czandra Gokhale wszedł do środka i oczywiście nie przeoczył pomocnicy sprzątaczek. Sahra musiała wyciągnąć z Wierzby Łabędzia kilka

sugestii odnośnie do tego, co stary zboczeniec lubił najbardziej, ponieważ zatrzymał się jak wryty, patrząc na Szikandini jakby ktoś zdzielił go pałą między oczy. Sziki odegrała swoją rolę znakomicie. Była równocześnie i nieśmiałą dziewczyną, i zalotną dziewczyną, jakby jej panięskie serceomalże chciało wyskoczyć z piersi. Bóg najwyraźniej tak ukształtował mężczyzn, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu razach na sto nie potrafili nie połknąć takiej przynęty.

Barundandi miał najwyraźniej świetne wycucie czasu. Przyszedł, aby zabrać nas z komnaty, dokładnie w chwili, gdy Protektorka zstąpiła do niej niczym mroczny, rozzłoszczony orzeł. Gokhale obserwował nasze odejście oczyma okrągłymi jak dwa księżycy. Zanim zdążyliśmy opuścić pomieszczenie na dobre, już szeptał coś jednemu ze swych skrybów.

Dżaul Barundandi miał niestety oko do pewnych spraw.

– Min Subredil, wydaje mi się, że twoja córka oczarowała Generalnego Inspektora Archiwów.

Subredil wydawała się zaskoczona.

– Panie? Nie. Tak nie może być. Nie pozwolę, by moja córka wpadła w tę samą pułapkę, która zniszczyła życie mej matki i skazała mnie na tak okrutne życie.

Saua złapała Subredil za rękę. Najwyraźniej przeraził ją ten gwałtowny wybuch, ale w rzeczywistości uściskiem ostrzegła ją tylko, by nie powiedziała niczego, co Barundandi mógłby przypomnieć sobie, gdy rozejdzie się wieść o zniknięciu Czandry Gokhale.

Być może powinniśmy rozważyć zmianę planów. Nie chcieliśmy, by ktokolwiek miał choćby najmniejsze powody do skojarzenia zdarzeń, jakie się rozegrają w mieście, z którąkolwiek z nas.

Subredil powoli się uspokajała. Teraz już, zawstydzona i zalękniona, chciała tylko wyjść jak najszybciej.

– Sziki. Idziemy.

Gotowa byłam sama skopać tyłek Szikandini. Zmieniała się w prawdziwą dziwkę. Ale zareagowała na polecenie matki.

Zmagając się z ostatnim brudnym mosiądзем, Saua obrała sobie miejsce na uboczu w nadziei, że nikt nie zwróci na nią uwagi podczas posiedzenia Tajnej Rady, ale Dżaul Barundandi był czujny.

– Min Subredil. Przyrowadź swoją szwagierkę. – Tymczasem próbował flirtować z Szikandini. W zamian za swe starania otrzymał spojrzenie pełne

niesmaku.

Subredil puściła mnie przodem, a potem sama ruszyła za swą córką.

– Jak ci się wydaje, co niby tutaj robisz?

– Po prostu się bawię. Ten człowiek jest odrażającym starym zboczeńcem.

Cicho, jakby wcale nie kierowała tych słów dla uszu Barundandiego, podczas gdy było inaczej, Subredil powiedziała.

– Nigdy więcej nie baw się w taki sposób. Ci mężczyźni zrobią z tobą, co im się spodoba, i nikt w tej sprawie nie będzie mógł nic poradzić.

To ostrzeżenie nie było bynajmniej całkiem zmyślane. Ostatnią rzeczą, jakiej nam było trzeba to, aby jeden z władców tego miejsca zaciągnął Szikandini do ciemnego kąta na małe macanko.

Czegoś takiego nie było w planach. Zresztą to w ogóle nie do pomyslenia. I dla większości zwykłych ludzi było to oczywiste. Jednak nie dla tych, którzy zaczynają wierzyć, że ogólnie przyjęte zasady ich nie dotyczą.

– Narita! – zawołał Barundandi. – Gdzie ty się podziewasz? Ta przekłeta kobieta. Znowu wymknęła się do kuchni albo gdzieś się zawieruszyła i teraz drzemie.

Słyszałam za naszymi plecami głos Radiszy rozbrzmiewający w komnacie posiedzeń, ale nie potrafiłam rozróżnić pojedynczych słów. Ktoś odpowiedział jej gniewnie. To musiała być Duszołap. Wołałam być nieco dalej od niej. Ruszyłam więc do wyjścia.

Saua, rzecz jasna, robiła rozmaite rzeczy, których inni ludzie nie potrafili pojąć. Subredil schwyciła ją i zaczęła sztorcować. Barundandi zwrócił się do niej:

– Zabierz to swoje stadko do kuchni, dostaniecie coś do zjedzenia. Jeśli Narita tam będzie, powiedz jej, że chcę się z nią zobaczyć.

W chwili, gdy zniknął nam z oczu, oznajmiłam:

– Saua ma zamiar się przejść. – Saua wcale nie była zadowolona z tych kartek, które Subredil przynosiła Ospalej. Subredil nie potrafiła ich przeczytać, nadto spieszyła się i najwyraźniej nie potrafiła znaleźć nic interesującego.

Miałam nadzieję, że zapamiętałam drogę. Nawet kiedy nosisz bransoletę z łyka, pałac jest niezwykle skomplikowanym miejscem, a nie wędrowałam po nim od dni, w których kapitan był Wyzwolicielem i wielkim bohaterem

tagliańskiego ludu. I nawet wówczas bywałam tu wyłącznie przypadkowym gościem.

Kiedy tylko traciłam pewność co do obranej drogi, wyciągałam mały kawałek kredy i zostawiałam za sobą drobne znaki w alfabecie Sendzel. Chociaż z ogromnym trudem, jednak udało mi się trochę opanować ten język podczas lat spędzonych na dalekim Południu. Miałam nadzieję, że ktokolwiek odkryje te litery, nie będzie miał pojęcia, czym są.

Znalazłam wreszcie pomieszczenie, w którym spoczywały ukryte stare księgi. Od razu było widać, że ktoś przychodził tu często. W kurzu zalegającym wszystko można było wyraźnie zauważyć ślady ludzkiej obecności, co samo w sobie mogło wywołać mnóstwo pytań, gdyby odkryto to miejsce. Spróbowałam wyciągnąć ze stosu księgę, która wyglądała na najstarszą. Cholera, ależ była ciężka. Kiedy ją otworzyłam, przekonałam się, że niełatwo wyrwać z niej stronicę. To w ogóle nie był papier, którego zresztą nigdy zbyt często nie używano w tej części świata. Potrafiłam wydzierać tylko po jednej. Co być może wyjaśniało, dlaczego Subredil chwyciła za te, z którymi łatwo było jej sobie poradzić. Nie miała czasu na wybieranie i mordowanie się potem z nimi.

Martwiłam się, że być może ja też zniknęłam na zbyt długo, przekonana, iż Barundandi albo jego żona zdają sobie sprawę z mojej nieobecności. Miałam nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy zastanawiać się, dlaczego, straciwszy mnie z oczu, Subredil nie wpada w histerię.

Mimo to wciąż wrywałam stronicę, póki nie miałam tylu, ile moim zdaniem nasza trójka była w stanie wynieść.

Schowałam wszystko w nieużywanym pomieszczeniu, niezbyt odległym od furki dla służby, nie mając pojęcia, jak odzyskamy je wychodząc z pałacu, a potem przycupnęłam głęboko wewnątrz Sauy, omalże nie ocierając się o kompletny autyzm i zagubienie.

Inni służący pracujący na dniówki znaleźli mnie brudną i zalaną łzami, wciąż próbującą znaleźć drogę z powrotem do komnaty posiedzeń. Wczepiłam się w moją szwagierkę jak tonący chwytający się słomki i rozpaczliwie próbujący wyrwać się z objęć szalejącej powodzi.

Dżaul Barundandi nie był bynajmniej zadowolony.

– Min Subredil, pozwalałam tutaj na obecność tej kobiety tylko przez wzgląd na ciebie, kierowany uprzejmością i miłosierdziem. Ale tego rodzaju zaniedbania są niedopuszczalne. My szukamy jej wszędzie, a praca

nie jest wykonana... – Głos powoli zamierał mu w gardle. W naszą stronę zmierzały Radisza i Protektorka, wybierając dzisiaj niezwykłą dla siebie drogę. To była przecież kraina tylnych schodów. Co oczywiście nie znaczyło nic, jeśli brać pod uwagę Duszołap. Ta kobieta nie miała choćby śladu wyczucia klasy bądź kasty. Na szczycie była Protektorka, a pod nią wszyscy pozostali.

Saua skuliła się pod ścianą i przykucnęła, chowając twarz w kolana. Subredil, Szikandini i Dżaul Barundandi próbowali po części zejść tamtym z drogi, po części zaś gapili się bezwstydnie. Sziki nie widziała żadnej z tych kobiet wcześniej.

Saua zacisnęła pięści, tak żeby nikt tego nie widział. Subredil szeptała modlitwę do Gangeszy. Dżaul Barundandi trząsł się zdjęty trwogą. Szikandini patrzyła, zdradzając typowo młodzieńczą niezdolność do odczuwania stosownego lęku.

Radisza nie zwróciła na nas uwagi. Przeszła obok, mówiąc równocześnie o wypruwaniu flaków boodystom. W jej głosie nie było znać choćby śladu emocjonalnego zaangażowania. Protektorka wszakże zwolniła kroku i przyjrzała się nam uważnie. Przez chwilę omal nie zwyciężył we mnie lęk, że naprawdę potrafi czytać w myślach. Potem poszła dalej, a Dżaul Barundandi potruchtął za nią, zapominając w jednej chwili zarówno o nas, jak i Naricie, ponieważ Radisza warknęła mu przez ramię jakieś polecenie.

Saua podniosła się i załkała:

– Chcę do domu.

Subredil zgodziła się, że na dzisiaj wystarczy.

Ani Szarzy, ani Gwardziści Królewscy nie przeszukiwali nikogo. Tu również los nam sprzyjał. Miałam bieliznę do tego stopnia wypchaną papierem, że potrafiłam symulować normalny chód tylko przez jakieś kilkanaście metrów.

Na wieczornym spotkaniu szybko przedstawiłam swoje sprawy, a potem zaszyłam się we własnym kąciku, chcąc porównać świeżo zdobyte stronicę z odpowiadającymi im w książce, którą ukradłam z biblioteki i o której sądziłam, że stanowi dokładną kopię – jeśli nie wręcz źródłowy oryginał – pierwszego tomu Kronik Czarnej Kompanii. Byłam tak radosna, że Jednooki musiał zapewne niezłe się bawić, przygadując mi za plecami.

Nawet nie przyszło mi do głowy, by rozpytać się, jak też wyszło nam kuszenie Czandry Gokhale.

Historia, która dotarła do mnie później, brzmiała następująco: Gokhale posłał człowieka, by śledził Sziki do domu. Kiedy tamten nie wrócił o w miarę stosownej porze – z tego względu, że wpadł na Popłocha i Iqbala Singha w miejscu, w którym absolutnie nie powinien przebywać; skończył tak, że popłynął w dół rzeki – Gokhale wybrał się do domu uciech, specjalizującego się w dostarczaniu usług jemu, jego kolegom i tym wszystkim, których cechowały szczególne, ale bynajmniej wcale nie tak rzadkie gusty. Rzekołaż i kilku innych braci przejęli go, gdy opuścił pałac; wraz z nim ujęto jeszcze dwóch ludzi, którzy mieli pożałować, że zapragnęli wkraść się w łaski Generalnego Inspektora, towarzysząc mu podczas wieczoru zmysłowych rozkoszy.

Murgen obserwował wydarzenia z bliska. Wiedząc, że tak będzie, spokojnie mogłam oddać się studiowaniu nowych zdobyczy.

Ponad godzinę zabrało mi dojście do wniosku, że to, co przyniosłam do domu dzisiaj, rzeczywiście stanowi późniejszą wersję pierwszego ze wszystkich napisanych tomów Kronik, a większą część następnej godziny zrozumienie, iż nic nie pojmę z sekretów tej książki bez sprawnego pomocnika. Albo że przynajmniej zabrałoby mi to znacznie więcej czasu, niż miałam.

Czandra Gokhale z pozoru zmarł w domu rozpusty. Podobnie jak jego dwaj towarzysze. Byli świadkowie zajścia. Ludzie widzieli, jak ich

zaduszono. Zabójcy w trakcie pośpiesznej ucieczki zgubili jeden czerwony rumel.

Szarzy przybyli na miejsce nieomal natychmiast. Załadowali trupy na wóz, mówiąc, że Protektorka chce mieć ciało Gokhale natychmiast z powrotem w pałacu. Ale w kilka chwil po opuszczeniu domu rozkoszy Szarzy przestali być sobą. Ruszyli w stronę rzeki zamiast do pałacu. Nadprogramowe ciała zabrał odpływ.

Kiedy ruszyli w dół wzgórza, biały kruk drzemiący na dachu pobliskiego domu otworzył oczy. Zatrzepotał skrzydłami i poleciał za nimi.

30

Murgen był na miejscu, kiedy pierwsze wieści dotarły do Duszołap. Raport potrzebował niewiarygodnie krótkiego czasu na pokonanie drogi do pałacu i był zdumiewająco dokładny. Szarzy trudzili się na całego, aby zadowolić swą panią.

Oddział niosący Gokhale do magazynu nie zdążył nawet jeszcze dotrzeć na miejsce.

Murgena poproszono, aby rozejrzał się trochę po apartamentach Protektorki. Pojęcia nie mieliśmy, jak ona mieszka. Nikt nigdy nie został zaproszony do jej komnat. Przynajmniej od czasu, gdy Wierzba Łabędź otrzymał swą nagrodę.

Murgena należało potem dokładnie wypytać, jak ona żyje na co dzień.

Duszołap nie wycofała się jednak do swoich komnat. Natychmiast udała się na poszukiwanie Radiszy.

Księżna wiedziała, że coś się przydarzyło Gokhale, ale nie otrzymała dokładnego meldunku. Kobiety zasiadły w komnacie audiencyjnej dosyć surowych apartamentów Radiszy. Duszołap opowiedziała wszystko, o czym jej doniesiono. Mówiła głosem trzeźwym i rzeczowym. Powiadano niekiedy, że Protektorka była najbardziej niebezpieczna i najłatwiej dawała się wyprowadzić z równowagi, kiedy porzucała swoje kaprysy i zdawała się najspokojniejsza oraz najbardziej poważna.

– Wychodzi na to, że Generalny Inspektor podzielał niektóre obyczaje Perhjula Koodźiego. W rzeczy samej, zapewniono mnie przed chwilą, że ta specyficzna słabość jest bardzo rozpowszechniona wśród wyższych urzędników jego ministerstwa.

– Krążyły różne plotki.

– I nic nie zrobiłaś?

– Prywatne przyjemności Czandry Gokhale, jakkolwiek godne pogardy w moich oczach, nie przeszkadzały mu doskonale wypełniać obowiązków

Generalnego Inspektora Archiwów. Szczególnie dobrze radził sobie z tworzeniem nowych źródeł dochodów.

– Rzeczywiście. – Głos Duszołap, który przed chwilą jeszcze był chłodny i rzeczowy, jakby zawahał się trochę. Murgen miał potem donieść o rozbawieniu, jakie go ogarnęło, kiedy pomyślał, że być może ona naprawdę miała jakieś moralne zastrzeżenia. – Napadnięto go w ten sam sposób jak Koodziego.

– Sugerujesz więc, że być może ktoś żywi urazę do ministerstwa jako całości? Albo że Oszuści za swój cel wybierają ludzi cechujących się tą akurat słabością?

– Gokhale nie zamordowali Oszuści. Tego akurat jestem pewna. Zrobili to ci sami ludzie, którzy wywabili Łabędzia na zewnątrz i tam go zabili. Jeśli naprawdę go zabili.

– Jeśli? – Radiszę najwyraźniej zaskoczyło to podejrzenie.

– Nie znaleźliśmy ciała. Zwróć uwagę, że tym razem również nie ma ciała. Ludzie przebrani za naszych żołnierzy pojawili się natychmiast na miejscu i zabrali trupy. Dwóch członków Tajnej Rady zaginęło w ciągu mniej niż tygodnia. Biorąc pod uwagę kwestie organizacyjne, należeli do najważniejszych. Dzięki nim cała maszyna działała. Gdyby Wielki Generał znajdował się gdzieś tutaj, można by założyć bez większych obaw pomyłki, że stałby się następnym celem. Ta banda kapłanów nic nie znaczy. Nic nie robią. Nie panują nad niczym. Moja siostra dowiodła, że jeśli się ich pozabija, w ciągu kilku chwil mogą zostać zastąpieni innymi nierobami. A nikt nie zastąpi ani Łabędzia, ani Gokhale. W szeregi Szarych już zaczyna wkradać się rozprężenie.

Murgen odnotował sobie w pamięci, aby wspomnieć, że Wierzba Łabędź wcale nie musiał być takim figurantem, za jakiego chciał uchodzić w oczach świata.

– Dlaczego nie mieliby to być Dusciele? – dopytywała Radisza.

– Ponieważ ci ludzie odcinali już łeb temu wężowi wcześniej. – Przedstawiła jej relację z wydarzeń w Ogrodzie Złodziei. Najwyraźniej nie zadała sobie trudu, by wcześniej poinformować księżną o czymkolwiek. Jasne było, że Protektorka uważa ją za niezbędną, lecz pomniejszą partnerkę swego przedsięwzięcia. – W ciągu kilku dni ci ludzie, o których myślałyśmy, że zostali zniszczeni na dobre, odcięli łeb jednemu wrogowi,

a drugiego poważnie okaleczyli. Stoi za tym wszystkim jakiś naprawdę niebezpieczny intelekt.

Wcale nie był niebezpieczny. Jego posiadaczka nie miała nawet tyle szczęścia, o ile ją posądzano. Niemniej umysł owładnięty stosowną dawką szaleństwa odkryje wzory i powiązania tam, gdzie tak naprawdę spiskował tylko los. A Duszołap zawsze czujnie rozglądała się w poszukiwaniu zła równie wielkiego jak ona sama.

– Wiedzieliśmy przecież, że nie pozostaną na zawsze w cieniu – powiedziała Radisza. I szybko się poprawiła: – Przynajmniej ja wiedziałam. Kapitan przypominał mi o tym dostatecznie często. – Nie powinna ekshumować przeszłości i otwarcie żałować błędów jakie popełniła. Diabeł został pogrzebany głęboko, setki kilometrów stąd. Kobieta uosabiająca bardziej bezpośrednie zagrożenie siedziała tu i teraz, tuż obok niej.

Protektorka stanowiła błąd, na którego naprawienie, jak podejrzewała już od dawna, nie starczy jej życia. Ślepa na konsekwencje, zdecydowała się w swoim czasie dosiąść tygrysa. Teraz mogła jedynie mocno się trzymać, póki nie nastąpi koniec jazdy.

– Musimy wezwać Wielkiego Generała – oznajmiła Duszołap. – Jeśli uda się nam obsadzić miasto jego żołnierzami, zanim wróg wykona następne posunięcie, będziemy dysponować siłą ludzką, która pozwoli nam ich wyśledzić. Powinnaś wysłać rozkazy natychmiast. I gdy tylko kurier bezpiecznie opuści miasto, obwieścimy, że Wielki Generał wraca. Wyjątkowa nienawiść, jaką żywią wobec Mogaby, każe im odroczyć wykonanie wszystkich innych planów, póki nie uda się im porwać także jego.

– Wydaje ci się, że potrafisz przewidzieć, co zrobią?

– Wiem, co ja bym zrobiła, gdyby znienacka opanował mnie ten rodzaj gwałtownego przypływu wybujałej ambicji, którą najwyraźniej się zarazili. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie jest wstęp do jakiegoś zamachu stanu albo czegoś takiego.

Radisza, zniecierpliwiona tymi rozważaniami, wtrąciła pytanie:

– Co zrobią w następnej kolejności?

– Na razie informację o tym zatrzymam dla siebie. Nie chodzi o to, że ci nie ufam. – Duszołap prawdopodobnie podejrzewała bezustannie również samą siebie. – Po prostu chcę się upewnić, że zdołałam właściwie pojąć

wzorzec działań i jestem zdolna przewidzieć, jak funkcjonuje ten nowy umysł. Sama wiesz, że dysponuję pewnymi talentami w tym kierunku.

Niestety, Radisza wiedziała doskonale. Nie odpowiedziała nic. Duszołap również siedziała w milczeniu, jakby czekając, aż księżna odezwie się pierwsza. Ta jednak nie miała nic do powiedzenia.

Wreszcie Protektorka zaczęła myśleć na głos:

– Zastanawiam się, kto to może być? Czarodziejów znam jeszcze z dawnych czasów. Żaden nie miał dość ambicji, wyobraźni czy woli, aczkolwiek twardzi byli obaj wystarczająco.

Radisza wydała z siebie słaby pisk.

– Czarodzieje?

– Ci dwaj mali ludkowie. Ta para z cyklu „dzień i noc”. Niewiele mają mocy, ale szczęścia nie sposób im odmówić.

– Oni przeżyli?

– Powiedziałam, że mieli szczęście. Czy przypominasz sobie kogoś, kto nie poszedł na równinę, a zdradzałby zadatki na potencjalnego przywódcę? Bo ja nie.

– Myślałam, że wszyscy ci ludzie nie żyją.

– Ja sądziłam podobnie, przynajmniej w większości przypadków. Nasz Wielki Generał twierdził, że większość ciał widział na własne oczy. Ale Wielki Generał dokonał identyfikacji, opierając się na złożeniu, że czarodzieje zostali zabici najpierw. Hm. A już zaczynałam go podejrzewać. Być może jedyną jego zbrodnią jest zwykła głupota. Czy przychodzi ci do głowy jeszcze ktoś inny?

– Nikogo takiego nie było w Kompanii, którą znałam. Ale był jeden taki Niueng Bao, który miał coś wspólnego z żoną chorążego. Rodzaj kapłana. Wydawał się całkowicie ogarnięty obsesją na punkcie broni i sztuk walki. Kilka razy zdarzyło mi się go spotkać. I nigdy nie uwzględnił go żaden meldunek.

– Mistrz Drogi Miecza? To by wiele wyjaśniało. Ale przecież wszystkich ich pozabijałam, kiedy... Zauważyłaś, że wciąż okazuje się, iż żyją właśnie ci, którzy wedle wszelkich przesłanek powinni byli zginąć?

Usta Radiszy jakby mimowolnie wygięły się w uśmiechu. Kobiętę mówiącą te słowa, można było uznać za matkę wszystkich, których śmierć celebrowano przedwcześnie.

– W grę wchodzi tu jakieś czary. A więc nie powinno być to dla nas szczególnym zaskoczeniem.

– Masz rację. Masz całkowitą rację. I zaangażowany jest w to miecz, który może mieć więcej niż jedno ostrze. – Duszołap podniosła się, najwyraźniej zamierzając wyjść. Jej głos zmienił się, nabrał okrutnych tonów. – Więcej niż jedno ostrze. Mistrz Drogi Miecza. Minęło już dużo czasu, odkąd złożyłam wizytę tym ludziom. Może będą w stanie powiedzieć mi coś, co okaże się pomocne. – Wyszła z pomieszczenia energicznym krokiem.

Przez następnych kilka minut Radisza siedziała zupełnie bez ruchu, poważnie strapiona. Potem wstała i poszła do swej Komnaty Gniewu. Najwyraźniej wizyta miała potrwać dłużej. Niewidzialny szpieg podążył więc za Protektorką. Ona zaś, jak przekonał się wkrótce, zmierzała prosto na mury obronne. Po drodze wzięła jeden ze swoich małych, jednoosobowych latających dywanów, przez cały czas kłócąc się ze sobą kilkunastoma swarliwymi głosami.

Murgen ledwie słuchał. Był zbyt zaskoczony i wstrząśnięty. W górze można było dostrzec białego kruka. Obserwował Protektorkę, która pozostawała całkowicie nieświadoma obecności Murgena, chociaż była wrażliwa na nią bardziej niż ktokolwiek z żyjących, wyjąwszy jej siostrę. Jednak ptak bez problemów go zauważył. Przyjrzał mu się najpierw jednym okiem, potem przekrzywił łebek i spojrział drugim. Wreszcie, po namyśle, mrugnął. A potem wzleciał w noc, w chwili gdy stado Protektorki poderwało się, by towarzyszyć jej podczas następnej podróży.

„Ale przecież to ja jestem białym krukiem!”

Utrata orientacji trwała jedynie moment, niemniej okazała się równie przerażająca, jak to bywało wiele lat temu, kiedy Murgen opuścił własne ciało po raz pierwszy.

31

Tobo, lepiej sprowadź Wujka Dodża, zanim zaczniemy rozmawiać o tym dalej – powiedziałam. Potem zobaczyłam Kendo i Popłocha. – Wreszcie wróciliście, chłopcy. Jak poszło?

– Doskonale. Dokładnie tak, jak zaplanowałam.

– Otrzymałaś moją przesyłkę? – zapytała Sahra.

– Właśnie go wloką do środka. Nadal jest nieprzytomny.

– Rzućcie go gdzieś niedaleko, chciałabym z nim porozmawiać, jak tylko dojdzie do siebie. – W oczach Sahry rozbłysły złe ogniki.

Zachichotałam.

– Duszołap sądzi, że postępujemy dokładnie według jakiegoś wspaniałego, dopracowanego we wszystkich szczegółach planu, ułożonego z najwyższą subtelnością przez jakiegoś mędrca strategii. Gdyby tylko wiedziała, że zwyczajnie błąkami się w ciemnościach, mając nadzieję, że szczęście będzie nam dopisywać do czasu, aż uda się uwolnić Uwięzionych...

– Chcesz mi powiedzieć, że nasi geniusze strategii nie mają opracowanego następnego kroku, Dziewczynko? – obruszył się Jednooki.

– Mamy kilka możliwości. – Ja miałam. – I jestem pewna, że żadna z nich nie przysłała Duszołap do głowy, jako najbardziej nawet odległa hipoteza. Teraz zamierzam zaprosić kustosza Santaraksitę na kolację do domu i zaproponować mu uczestnictwo w przygodzie jego życia.

– Hej-hej! Od początku wiedziałem.

Dołączył do nas Wujek Dodż. Był nie na żarty zirytowany sposobem, w jaki go ostatnio traktowano.

– Jeden z naszych przyjaciół doniósł nam właśnie o treści rozmowy, którą Tysiąc Głosów odbyła z Radiszą – poinformowałam go od razu. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jak doszła do tego wniosku, ale uznała, że za wszystkie kłopoty, jakie przytrafiają się jej ostatnimi czasy, odpowiada jeden z Mistrzów Drogi Miecza, których rzekomo miała zabić już dawno

temu. Kiedy widziano ją po raz ostatni, wybierała się właśnie do świątyni Win Gao Gang, aby tam wypytać o tego człowieka. Być może ta świątynia nie jest ci obca.

Twarz Dodża zmieniła się w maskę śmierci. Dłoń od miecza na moment zadrżała. Tik szarpnął prawą powieką. Odwrócił się do Sahry.

Sahra potwierdziła moje słowa:

– To prawda. Czego może dowiedzieć się na miejscu?

– Mów językiem Ludu.

– Nie.

Mistrz Drogi Miecza akceptował to, czego nie był w stanie kontrolować. Jeśli jednak chciałoby się powiedzieć całą prawdę, należałoby stwierdzić, że wyraz jego twarzy świadczył co najmniej o niezadowoleniu.

– Wciąż masz księgę, której potrzebujemy – stwierdziłam. – Ponadto sądzę, że możesz nam powiedzieć wiele rzeczy, które mogą się przydać.

Był upartym starcem. Już postanowił, że nie pozwoli, abym zapędziła go w kozi róg.

– Tysiąc Głosów posłała po Mogabę – ciągnęłam zatem dalej. – Chodzi jej o to, by armia pomogła wykurzyć nas z kryjówki. Jeśli mam być szczerą, wolałabym wyjechać z Taglios, zanim to się zacznie. Najpierw jednak trzeba jeszcze dużo zrobić i odnaleźć wiele różnych rzeczy. Twoja pomoc mogłaby się okazać nieoceniona. Przypominam ci po raz kolejny, że twoi ludzie również spoczywają pod równiną... Hę?

– Co? Ospała? – zapytała Sahra. – Goblin, zobacz, czy jej się nic nie stało!

– Ze mną wszystko dobrze. Czuję się świetnie. Po prostu wydaje mi się, że miałam to, co nazywacie objawieniem. Posłuchajcie. Wszystko wskazuje na to, że Duszołap myśli, iż Uwięzieni pomarli. Co świadczy z kolei, że Długiego Cienia również uważa za martwego. My wiemy, że jest inaczej, dlatego się tym obecnie nie przejmujemy. Skoro jednak ona nie wie, dlaczego nie zastanawia się wciąż, co chroni świat przed nawałą cieni?

Nagrodą za moje wysiłki były zupełnie puste spojrzenia, nawet ze strony czarodziejów.

Oznajmiłam więc:

– Posłuchajcie, to oznacza, że pomimo wszystko nie ma wpływu, czy Długi Cień żyje, czy nie, dopóki pozostaje za Bramą Cienia. Nad światem

nie wisi miecz zagłady, który opadnie na skrzek jakiegoś szaleńca. Oprócz najbystrzejszych czarodziei przetrwa ktoś jeszcze.

Dopiero wtedy mniej bystrzy czarodzieje załapali, o co chodzi. Oblicza pojaśniały im raptownie. I wcale nie chodziło o to, że któryś dbał szczególnie o to, co się stanie ze światem, gdy go już chwiejnym krokiem opuszczą.

Pytanie, co zrobić z Władcą Cienia, nigdy nie stanowiło dla nas istotnego problemu. Zawsze mieliśmy bardziej palące przeszkody do pokonania, zanim on stał się głównym przedmiotem naszego zainteresowania.

Sahra poszła dalej:

– Jeśli nie jesteśmy w stanie otworzyć bramy, nie ma sensu martwić się, w jaki sposób mamy ją zamknąć przed tymi, których nie lubimy.

– Zastanawiam się po prostu, w jaki sposób dokonywali tego Władcy Cienia? Przy pomocy brutalnej siły? Czarna Kompania była wówczas wciąż daleko na północy, a Lanca Cierpienia razem z nią. – Popatrzyłam na Wujka Dodża. Pozostali również kolejno przenosili nań swe spojrzenia. Zaczęłam rozważać na głos: – Czy to możliwe, że wielka hańba, która ciąży na Niueng Bao, bynajmniej nie jest tak pradawna, jak początkowo sądziłam? Czy może sięga dopiero kilku pokoleń wstecz? Czasów, kiedy po raz pierwszy, praktycznie rzecz biorąc z dnia na dzień, pojawili się Władcy Cienia?

Wujek Dodż zamknął oczy. Przez jakiś czas trwał w ten sposób. Kiedy na powrót uniósł powieki, wyzierała spod nich wściekłość.

– Chodź, przejdziemy się, Kamienny Żołnierzu.

Czandra Gokhale, Generalny Inspektor Archiwów i koneser bardzo młodych dziewczynek w jednej osobie zajęczał właśnie w tej chwili. Zwróciłam się zatem do Dodża:

– Daj mi jeszcze kilka chwil, Wujku. Muszę zabawić gościa. Obiecuję, że nie potrwa to długo.

Goblin klęczał już obok ministra, teraz poklepał go delikatnie po twarzy i pomógł usiąść.

Inspektor wciągnął już powietrze w płuca, chcąc najwyraźniej bluznąć stekiem przekleństw. Już, już otwierał usta, kiedy pochyliłam się nad nim i wyszeptalam:

– Woda śpi.

Głowa Gokhale odwróciła się jakby szarpnięta. W jednej chwili przypomniał sobie, gdzie mnie wcześniej widział.

– Wszystkie ich dni są policzone, chłopie – oznajmił Goblin. – I wygląda na to, że niektórym z was policzono ich nieco mniej niż innym. – Jego również Gokhale rozpoznał, choć miał być przecież rzekomo martwy. A kiedy przypomniał sobie wreszcie, gdzie przedtem widział Sahrę, zaczął się trząść.

– Przypominasz sobie, jak przy rozmaitych okazjach wyrządzałeś krzywdę Min Subredil? – zapytała Sahra – Subredil z pewnością pamięta. Myślę więc odpłacić ci się po pięciokroć. Za chwilę bracia umieszczą cię w klatce na tygrysy. Poza tym zostaniesz potraktowany dobrze. A za kilka dni być może sprowadzimy Pjurojite, żeby dotrzymywał ci towarzystwa. Zaśmiała się tak wrednie, że mnie samą przeszył dreszcz. – Przez resztę swoich dni, wzywając Niebiosa i Ziemię, i Dzień, i Noc, jak bracia, Czandra Gokhale i Arjuna Drupada.

Część tego przekleństwa stanowił zwrot Niueng Bao, którego nie zrozumiałam. Ale ogólny przekaz był jasny. Gokhale też nie miał kłopotów ze zrozumieniem. Będzie zamknięty przez resztę swoich dni w jednej klatce z człowiekiem, którego nienawidził najbardziej ze wszystkich.

Sahra znowu zachichotała.

Kiedy robiła się tak wredna, potrafiła nastraszyć każdego.

Gdy prześlizgiwaliśmy się przez sieć zaklęć otaczających magazyn, uważnie obserwowałam starego kapłana. Nie miał żadnego amuletu z łyka. Ale ciągle kręcił głową w lewo i prawo, a niekiedy szarpnięciem odchyłał ją do tyłu. Jego stopy wyraźnie chciały iść w inną stronę, jednak wola przepychała go przez iluzje. Najprawdopodobniej był to rezultat ćwiczeń na Drodze Miecza. Pamiętałam jednak, że Pani twierdziła, iż jest on pomniejszym czarodziejem.

– Dokąd idziemy, Wujku? I po co mnie tam zabierasz?

– Idziemy tam, gdzie żadne ucho Niueng Bao nie usłyszy, co mam ci do powiedzenia. Po tym wszystkim starzy, dobrzy Niueng Bao przyczepiliby mi etykietę zdrajcy. Młodzi nazwaliby mnie kłamliwym głupcem. Albo jeszcze gorzej.

A ja? Zasadniczo opowiadałam się po stronie tego ostatniego poglądu, kiedy tylko słyszałam, jak wygłasza kazania o swej ścieżce do wewnętrznego spokoju poprzez obsesyjnie ponawiane przygotowania do walki. Jego filozofia trafiała tylko do bardzo nielicznych pracowników Ban Do Tranga, z których wszyscy byli Niueng Bao i wszyscy zbyt młodzi, by wziąć udział w prawdziwej wojnie. Ja pojmowałam, że Droga Miecza nie jest przejawem militarizmu, inni wszak mieli kłopoty ze zrozumieniem tego faktu.

– Chcesz za wszelką cenę zachować swój wizerunek starego upartego skurczybyka, który nigdy nie da się przyłapać na gorącym uczynku, pomagając podludzkiemu dżengali upaść i roztrzaskać sobie nos.

Było zbyt ciemno, żeby stwierdzić z całą pewnością, ale wydało mi się, że się uśmiechnął.

– Jest to z pewnością dosadne stwierdzenie faktu, ale niezbyt dalekie od prawdy. – Jego tagliański, zawsze dosyć płynny, teraz, kiedy nie miał innej publiczności, stał się jeszcze lepszy.

– Nie zapominasz chyba o tym, że w każdej cząstce otaczającej nas ciemności może kryć się nietoperz, kruk, szczur lub nawet jeden z cieni Protektorki?

– Nie ma się czego obawiać ze strony tych istot. Tysiąc Głosów wie już o wszystkim, co mam zamiar ci opowiedzieć.

Może jednak nie chciałyby, abym ja również wiedziała.

Szliśmy jakiś czas w milczeniu.

Taglios zadziwia mnie nieustannie. Dodż przeszedł przez bogatą dzielnicę, gdzie całe rodziny pozamykały się w posiadłościach otoczonych przez mury obsadzone strażnikami. Młodzi z tych domów przebywali właśnie na Drodze Salara, która już od wieków dostarczała im rozrywki. Rozum podpowiadał, że tam gdzie skupiało się bogactwo, winno być również mnóstwo żebraków, ale okazało się inaczej. Nędzaczkom nie pozwalano swoją obecnością kalać widoku, jaki mieli przed sobą moiżni tego świata.

Tutaj, jak wszędzie indziej, w nozdrza wciskały się ostre wonie, ale tym razem były to zapachy drzewa sandałowego, goździków i perfum.

Następnie Dodż wprowadził mnie w płataninę ciemnych, zatłoczonych uliczek dzielnicy świątyni. W pewnej chwili musieliśmy usunąć się na bok, aby przepuścić bandę wyznawców Gunni. Chłopcy ci nękali ludzi żyjących na ulicach. Przyszło mi do głowy, że mogą narobić nam kłopotów, które skończą się dla nich bardzo boleśnie, jednak ich niewłaściwe zachowanie nie było zupełnie pozbawione hamulców, co oszczędziło im rzeczonych konsekwencji. Hamulcem tym okazała się obecność trzech Szarych.

Szadar nie negowali systemu kastowego jako takiego, jednak uważali, że najwyższa kasta powinna obejmować nie tylko kapłanów i ludzi predestynowanych do zostawania nimi na mocy urodzenia, lecz również każdego wyznawcę wiary Szadar. A wiara ta, która jest skrajnie heretyckim i przesiąkniętym wpływami Gunni odłamem mojej własnej Jedynie Prawdziwej Wiary, wyraźnie nakazuje okazywać miłosierdzie słabym i nieszczęśliwym.

Szarzy zrobili więc użytek ze swoich bambusowych pałek i poinformowali młodzieńców, że jeśli chcą się poskarżyć, to mogą się udać bezpośrednio do Protektorki. Akolici okazali się sprytniejsi, niż można przypuszczać. Zmykali aż się za nimi kurzyło, zanim Szarzy zdołali użyć gwizdków do wezwania swoich przyjaciół, by wzięli udział w pałowaniu.

Zwykła historia nocnego życia w wielkim mieście. Dodż i ja powędrowaliśmy dalej.

W końcu przyprowadził mnie do miejsca zwanego Parkiem Jelenia – dziczy położonej tuż obok centrum miasta. Założony został przez jakiegoś despotę z minionych wieków.

– Naprawdę nie potrzebowałam tej całej przebieżki – zwróciłam się do Dodża. Przyszło mi nawet do głowy, czy przypadkiem nie powziął jakiegoś szatańskiego planu zamordowania mnie i porzucenia mego ciała pod drzewami. Ale jaki byłby w tym sens?

Dodż był Dodżem. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

– Tutaj czuję się o wiele lepiej – powiedział. – Ale nigdy nie zostaję na długo. Teren patroluje kompania strażników, wynajętych, by trzymać dzikich lokatorów z dala. A dzikim lokatorem jest w ich oczach każdy, kto nie pochodzi z Taglios i nie należy do najwyższej kasty. To dobrze. Na tym pniu drzewa odcisnął się już chyba kształt moich pośladków.

O rzeczony pień właśnie się potknęłam. Powstałam i rzekłam:

– Słucham cię.

– Siadaj. To zajmie jakiś czas.

– Omiń wszystkie wstępy. – Był to kolokwializm Vedna z Dżajkuru na określenie kłopotów z zapamiętaniem treści świętych pism, do którego to zajęcia zmuszano wszystkie dzieciaki. Chciałam powiedzieć: „Nie kłopotz się opowiadaniem mi, czyją to było winą i dlaczego zrobiwszy to, okazali się takimi krwiożerczymi niegodziwcami. Po prostu opowiedz mi, co się zdarzyło”.

– Próba nakłonienia bajarza, by unikał upiększania opowieści, to jak proszenie ryby, aby żyła bez wody.

– Naprawdę muszę jutro rano wstać do pracy.

– Jak chcesz. Zdajesz sobie sprawę, że Wolne Kompanie Khatovaru i włączące się po kraju bandy Dusicieli, mordujących w imię chwały Kiny, wywodzą się od wspólnych przodków, prawda?

– W ostatnio pozyskanych Kronikach jest wystarczająco dużo sugestii pozwalających przyjąć tę interpretację – przyznałam. Ostrożność wydała mi się wskazana.

– Moja pozycja wśród Niueng Bao odpowiada mniej więcej twojej, jako kronikarza Czarnej Kompanii. Obejmuje jednak również rolę, jaką pełni kapłan w oddziale Dusicieli, którego zresztą wtórnym obowiązkiem jest

troska o przekazywanie ustnej historii oddziału. Przez wieki *tooga* zatracili swój szacunek dla wykształcenia.

Ze studiów, jakie prowadziłam, wynika, że w tych samych wiekach moja Kompania również znacząco się zmieniała. Zapewne w dużo większym stopniu, niż miało to miejsce w przypadku oddziałów Oszustów. Oni pozostali w rodzimej kulturze, która miała na dodatek charakter bardziej statyczny. Tymczasem Czarna Kompania trafiała do coraz to bardziej obcych krain, starych żołnierzy zastępowali młodzi rekrutowani spośród ludów tubylczych, którzy nie mieli żadnych związków z przeszłością ani nawet pojęcia o istnieniu Khatowaru.

Myśli Dodża najwyraźniej biegły tym samym torem.

– Oddziały Dusicieli stanowią kiepską imitację pierwotnych Wolnych Kompanii. Czarna Kompania zachowała nazwę i garść wspomnień, jednak jeśli chodzi o filozofię, stokrotnie bardziej odbiegłście od pierwowzoru niżli Dusiciele. Wasz oddział jest całkowicie nieświadom swych prawdziwych początków i celowo byliście utrzymywani w tej niewiedzy, głównie przez działania bogini Kiny, lecz również – w mniejszym stopniu – innych, którzy nie chcieli, aby Kompania stała się tym, czym była za dawnych czasów.

Czekałam w milczeniu. On jednak najwyraźniej nie miał zamiaru wyjaśniać mi nic więcej. W takich sprawach z Dodżem postępowało się nadzwyczaj trudno.

Zamiast tego zrobił coś, co jak przypuszczam, było dlań jeszcze trudniejsze. Opowiedział mi prawdę o swym ludzie.

– Niueng Bao są praktycznie czystej krwi potomkami żołnierzy jednej z Wolnych Kompanii. Jednej z tych, które postanowiły nie wracać.

– Ale to Czarna Kompania miała być rzekomo jedyną, która nie powróciła. Kroniki mówią...

– Mówią ci tylko tyle, ile wiedzieli ci, którzy je spisywali. Moi przodkowie przybyli tutaj już po tym, jak Czarna Kompania skończyła zamieniać kraj w bezludne pustkowie i ruszyła na północ, zatraciwszy pamięć o swym boskim posłannictwie. Zdezerterowała, porzuciwszy przeznaczoną jej drogę, powodowana głównie ignorancją w kwestii tego, na czym miałyby ona polegać. Ale w owym czasie walczyło w niej już trzecie pokolenie wojowników, niedbających o czystość krwi. Po prostu walczyła na wojnie, która była pierwszą, jaką zapamiętał wasz kronikarz, i w trakcie

którejomalże nie została wycięta w pień. Taki chyba los został przypisany Czarnej Kompanii. Na przemian, a to zredukowana do garstki ludzi, a to odtwarzająca się znowu. I tak wciąż. Za każdym razem oczywiście musiała tracić część swej pierwotnej tożsamości.

– A los twojej Kompanii? – Zauważyłam, że nie wymienił jej nazwy. Po prawdzie nie odgrywało to żadnej roli. Żadna z nazw nic dla mnie by nie znaczyła.

– Również pogrążyła się w coraz głębszej ignorancji. Ja znam prawdę. Ja znam tajemnice i dawne rytuały. Ale jestem ostatni. W przeciwieństwie do reszty Kompanii, myśmy przyprowadzili ze sobą rodziny. Byliśmy późno poczętym eksperymentem. Mieliśmy zbyt wiele do stracenia. Zdezercerowaliśmy. Uciekliśmy i ukryliśmy się na bagnach. Ale nasze dziedzictwo zachowywaliśmy w czystości. Prawie.

– A pielgrzymki? Starzy ludzie, umierający w Dżajkurze? Hong Trej? I ten wielki, mroczny, przerażający sekret Niueng Bao, którym tak się przejmuje Sahra?

– Niueng Bao mają wiele mrocznych sekretów. Wszystkie Wolne Kompanie miały mroczne sekrety. Byliśmy narzędziami mroku. Żołnierzami Ciemności. Kościanymi Wojownikami, na których spoczywał obowiązek przetarcia Kinie drogi na świat. Kamiennymi Żołnierzami walczącymi o zaszczyt upamiętnienia się na wieczność, przez to że nasze imiona zostaną wypisane złotymi literami w lśniącym kamieniu. Zawiedliśmy, ponieważ wiara naszych przodków okazała się niedoskonała. We wszystkich Kompaniach byli tacy, którzy okazali się zbyt słabi, aby sprowadzić Rok Czaszek na ziemię.

– Starzy ludzie?

– Ki Dam i Hong Trej. Ki Dam był ostatnim pochodzącym z wyboru kapitanem Niueng Bao. Nie było nikogo, kto chciałby zająć jego miejsce. Hong Trej była wiedźmą dotkniętą przekleństwem widzenia przyszłości. Była ostatnim prawdziwym kapłanem. Kapłanką.

– Przekleństwo widzenia przyszłości?

– Nigdy nie przewidziała nic dobrego.

Wyczułam, że nie ma ochoty zagłębiać się bardziej w te kwestie. Przypomniałam sobie, że ostatnie proroctwo Hong Trej dotyczące Murgena i Sahry musiało z pewnością stanowić obelgę dla prawomyślnych Niueng Bao – a dodatkowo najprawdopodobniej nie wypełniło się wciąż do końca.

– Wielki grzech Niueng Bao?

– Oczywiście zaczerpnęłaś ten pomysł od Sahry. A ona, jak wszyscy ci, którzy urodzili się już po nastaniu Władców Cienia, wierzy, że „grzech” był tym, co skłoniło Niueng Bao do ucieczki na bagna. Ale jej wiara jest błędna. Ucieczka nie była spowodowana grzechem, lecz miała na celu przetrwanie. Prawdziwy najczarniejszy grzech nastąpił za mojego życia. – W jego głosie pojawiło się wyraźne napięcie. W głębi duszy szalały zapewne emocje.

Czekałam.

– Byłem małym chłopcem, który stawiał właśnie pierwsze kroki na Drodze Miecza, kiedy obcy przybył do naszego ludu. Okazał się bardzo miłym mężczyzną w średnim wieku. Nazywał się Aszjutosz Jaksza. W starszym dialekcie naszego języka Aszjutosz znaczyło tyle, co Rozpacz Niegodziwych. Jaksza oznaczało zaś mniej więcej to samo, co we współczesnym tagliańskim, czyli „dobrego ducha”. Ludzie byli już prawie gotowi uwierzyć, że jest on istotą nadprzyrodzoną, ponieważ miał białą skórę. Bardzo bladą, białą skórę, jaśniejszą niż Goblin czy Wierzba Łabędź, który czasami jednak trochę się opala. Jednak nie był przecież albinosem. Miał normalne oczy. Jego włosy były zaś równie jasne jak u Łabędzia. Jednym słowem, w oczach większości Niueng Bao był postacią magiczną. Mówił naszym językiem, z dziwnym akcentem, ale dość płynnie. Powiedział, że chciałby studiować w świątyni Win Gao Gang, której sława dotarła aż w jego dalekie strony.

Kiedy dopytywano się o jego pochodzenie, upierał się, że wywodzi się z „Krainy Nierozpoznanych Cieni” pod gwiazdami Pętli.

– Twierdził, że przybył z równiny lśniącego kamienia?

– Nie całkiem. Nigdy nie było to do końca jasne. Stamtąd lub z jeszcze dalszych krajów. Nikt nie naciskał go za bardzo. Nawet Ki Dam ani Hong Trej, chociaż jego obecność martwiła ich. Bardzo szybko przekonaliśmy się, że Aszjutosz jest potężnym czarownikiem. A w owych czasach wielu starszych ludzi wciąż pamiętało o początkach Niueng Bao. Obawiano się, że być może został przysłany, aby wezwać nas do ojczyzny. Jednak przypuszczenie to okazało się błędne. Przez długi czas Aszjutosz najwyraźniej nie robił nic więcej jak to, po co rzekomo przybył, mianowicie studiował, chcąc przyswoić sobie wszelką wiedzę zgromadzoną w świątyni

Gangeszy, która była świętym miejscem od czasu, gdy Niueng Bao przybyli na bagna po raz pierwszy.

– Ale zawsze jest jakieś „ale”, prawda? Ten człowiek mimo wszystko okazał się łotrem?

– Zaiste, okazał się. Aszjutosz był tym człowiekiem, którego później znaliście pod imieniem Kręcącego Cienia. Przybył do nas, aby odnaleźć Klucz, a wysłany został przez swego nauczyciela i mentora, którego wy poznaliście jako Długiego Cienia. W młodości człowiek ten usłyszał przypadkowo, że nie wszystkie Wolne Kompanie wróciły do Khatowaru. Z wiadomości tej wyciągnął wniosek, który nikomu innemu do głowy nie przyszedł, a mianowicie, że każda Kompania, która dotąd nie wróciła, musi posiadać talizman zdolny do otwierania i zamykania Bramy Cienia. Przepęnlony ambicjami człowiek mógłby użyć go, aby zawezwać rakszasów, a potem wysłać ich, by czynili zło dla niego. Władza zabijania staje się władzą ostateczną w rękach człowieka, który nie ma żadnych zahamowań, aby jej używać.

– A więc ten Aszjutosz Jaksza znalazł Klucz?

– Upewnił się tylko, że on istnieje. Chytrze zdobył sobie zaufanie starszych kapłanów. Pewnego dnia ktoś się z czymś zdradził. Wkrótce potem Aszjutosz oznajmił nam, że otrzymał wiadomość, iż jego nauczyciel, mentor i duchowy ojciec, Maricza Mantara Dumraksza, przejęty jego doniesieniami na temat świątyni, zdecydował się sam złożyć w niej wizytę. Dumraksza okazał się wysokim, niewiarygodnie chudym człowiekiem, który zawsze nosił na twarzy maskę, najwyraźniej z powodu piętnujących ją deformacji.

– Usłyszałeś imię w rodzaju Maricza Mantara Dumraksza i niczego nie podejrzewałeś?

W ciemnościach nie potrafiłam dojrzeć twarzy Dodza, jednak wyczuwałam nieomal nieszczęśliwego marsa tnącego czoło.

– Byłem małym chłopcem – powiedział.

– A Niueng Bao nie interesowali się niczym, tylko swoimi własnymi sprawami. Tak. Ja jestem Vedna, Wujku, ale rozpoznaję w imionach Mantara i Dumraksza legendarne demony Gunni. Nawet jeśli przebywasz pośród ludzi, których uznajesz za niegodnych, możesz używać uszu do słuchania. W ten sposób, kiedy paskudny czarownik dzengali podłoży ci nogę, będziesz przynajmniej miał jakąś wskazówkę.

Dodź chrząknął zmieszany.

– Ten Dumraksza to był złotousty człowiek. Kiedy się przekonał, że co każde dziesięć lat, jak to było wówczas w zwyczaju, grupa przewodzących naszemu ludowi podejmowała pielgrzymkę na Południe...

– Przyłączył się do niej, a potem jakoś nabrał kogoś, by ten pozwolił mu obejrzeć Klucz.

– Prawie. Ale nie do końca. Tak. Odgadłaś prawidłowo. Pielgrzymki dochodziły do samej Bramy Cienia. Pątnicy spędzali tam dziesięć dni, czekając na znak. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek jeszcze wiedział, co miałoby nim być. Jednak tradycji trzeba przestrzegać. Pielgrzymi wszelako nigdy nie brali ze sobą prawdziwego Klucza. Nieśli tylko jego dokładną replikę, obłożoną kilkoma prostymi zaklęciami, aby oszukać ewentualnego złodzieja. Prawdziwy Klucz pozostawał w domu. Starzy ludzie tak naprawdę wcale nie chcieli otrzymać znaku z tamtej strony.

– Długi Cień ukradł go więc w pośpiechu.

– Tak właśnie się stało. Kiedy pielgrzymi przybyli do Bramy Cienia, zastali tam czekającego już na nich Aszjutosza Jakszę wraz z sześcioma innymi czarownikami. Kilku z nich było uciekinierami z północnej domeny mroku, której służyła w owym czasie Czarna Kompania. Kiedy Dumraksza użył fałszywego klucza, nastąpił nagły atak z drugiej strony Bramy Cienia. Zanim bramę dało się zaślepić, do czego zresztą Długi Cień wykorzystał moc swego prawdziwego imienia, zginęli trzej niedoszli Władcy Cienia. Ten, na którego mówiono Wyjec, choć srodze poraniony, zdołał uciec. Ci, którzy przeżyli, wkrótce przemienili się w skłócone, walczące ze sobą potwory, jakie zastali twoi bracia, przybywszy tutaj. Efektem tej samej katastrofy było ponowne przebudzenie Matki Nocy, która zaczęła snuć plany sprowadzenia na ziemię następnego Roku Czaszek.

– I na tym polega wielki grzech Niueng Bao? Że pozwoliliście, aby czarownicy was nabrali?

– W owych czasach nie mieliśmy szczególnie licznych kontaktów ze światem zewnętrznym. Rodzina Ban Do Tranga zajmowała się całością handlu z innymi krajami. Raz na dziesięć lat garstka starych ludzi pielgrzymowała do Bramy Cienia. Niemalże równie często asceci Gunni wkraczali na bagna w nadziei oczyszczenia swych dusz. Ci pustelnicy Gunni byli w oczywisty sposób szaleni, inaczej nie wybieraliby przecież

bagien. Zawsze traktowano ich z daleko idącą tolerancją. I tak oto Gangesza odnalazł swój dom.

– Jakie miejsce w tej opowieści przypada Tysiącu Głosów?

– Całą historię poznała z ust Wyjca mniej więcej w tym czasie, gdy zostaliśmy odcięci w Dedżagore. Albo niedługo po tym. Zaraz jak wróciliśmy, przybyła do świątyni; najlepsi z nas byli wówczas zupełnie wycieńczeni, wszyscy starzy pomarli, również nasz Kapitan i Mówca, także wiedźma Hong Trej. Prócz mnie nie został już nikt, kto wiedziałby o wszystkim – aczkolwiek Gota i Tai Dei znali część prawdy, Sahra troszeczkę, jako że wszyscy troje pochodzili z rodziny Ki Dama i Hong Trej. Tysiąc Głosów przysłała do świątyni pod moją nieobecność. Użyła swych mocy, aby zastraszyć i torturować kapłanów, póki nie wydali jej tajemniczego przedmiotu, powierzonego im na przechowanie całe wieki temu. Nawet nie pamiętali już, co to właściwie jest. Naprawdę nie sposób ich winić, ja jednak nie potrafię im wybaczyć. No i na tym właściwie koniec. Oto wszystkie sekrety Niueng Bao.

Co do tej ostatniej kwestii, to miałam poważne wątpliwości.

– Wątpię. Niemniej jest to już jakaś płaszczyzna, na której możemy budować dalsze porozumienie. Zamierzasz z nami współpracować? Jeśli skłonimy Narajana Singha do wyznania, co zrobił z Kluczem?

– Jeśli złożysz obietnicę nigdy nikomu nie mówić tego, co powiedziałem ci dziś w nocy.

– Przysięgam na Kroniki. – To było zbyt łatwe. – Nie powiem słowa żadnemu stworzeniu. – Ale nie nadmieniałam nic o tym, że nie napiszę.

Od niego nie udało mi się wydobyć żadnej przysięgi.

Któregoś dnia w końcu i tak będzie musiał zmierzyć się z dylematem moralnym, z którym nie poradziła sobie Radisza, kiedy wydawało się, że oto Kompania wypełniła swoje zobowiązania wobec niej i nadchodził czas, gdy ona miała wywiązać się ze swoich. Kiedy Wujek Dodż wydobędzie własnych ludzi spod równiny lśniącego kamienia, jego wiarygodność rozwieje się niczym dym.

Uznałam, że będę się nad tym zastanawiać dopiero, kiedy przyjdzie czas. Zwróciłam się do Dodża:

– Wciąż muszę wstać rano do pracy. A jest już znacznie później, niż było godzinę temu.

Podniósł się, najwyraźniej zadowolony, że nie zadawałam mu zbyt wielu pytań. Miałam wprawdzie ochotę poruszyć parę spraw, jak choćby to, dlaczego Niueng Bao ryzykowali częstsze pielgrzymki do Bramy Cienia, odkąd Władcy Cienia zdobyli panowanie nad tymi terenami, zabierając nadto do towarzystwa kobiety, dzieci i starców. A więc i tak zapytałam, kiedy wracaliśmy.

Odrzekł wówczas:

– Władcy Cienia udzielili na nie zgody. Przyczyniało się to dodatkowo do wzmocnienia ich poczucia wyższości. I dzięki temu mogliśmy utrzymywać ich w przekonaniu, że nie posiadamy prawdziwego Klucza, że wciąż go poszukujemy. Nasz lud wierzył, że to właśnie robimy. Tylko Ki Dam i Hong Trej znali całą prawdę. Władcy Cienia mieli może też nadzieję, że w końcu go dla nich znajdziemy.

– Tysiąc Głosów was rozszyfrowała.

– Tak. Jej kruki były wszędzie i wszystko słyszały.

– I w owych czasach miała bardzo sprytnego demona, gotowego służyć jej na każde skinienie. – Nie przestawałam dręczyć go przez całą drogę do magazynu, próbując chytrymi pytaniami wyciągnąć z niego resztę tajemnic, krążąc wokół kwestii otaczających białe plamy na mapie mojej wiedzy.

Nie udało mi się go nabrać w najmniejszym stopniu.

Zanim powlokłam się do łóżka, złożyłam jeszcze ostatnią wizytę Sahrze, Murgenowi i Goblinowi.

– Słyszeliście wszystko?

– Większość – powiedział Murgen. – Zagoniony, stary niewolnik musiał zająć się również innymi obowiązkami.

– Myślisz, że mówił prawdę?

– Zasadniczo – przyznała Sahra. – Nie wypowiedział żadnych kłamstw, na których bym go przyłapała, ale nie wydaje mi się, żeby to była cała prawda.

– Cóż, oczywiście, że nie jest. On jest przecież Niueng Bao od czubka głowy aż do swych poskręcanych palców u stóp. I poza tym jest czarodziejem.

Zanim Sahra zdążyła się obrazić, Goblin poinformował mnie:

– Razem z wami był tam biały kruk.

– Widziałam go – odrzekłam. – Jak rozumiem, to był Murgen.

– To nie byłem ja – rzekł Murgen. – Ja byłem tam bezcieleśnie. Tak samo jak teraz.

– A więc co to było? Kto to był?

– Nie mam pojęcia – odparł.

Nie do końca mu wierzyłam. Może to fałszywa intuicja, niemniej czułam przez skórę, że kogoś mocno podejrzewa.

Kustosz Santaraksita czekał tylko, aby nikt nie mógł nas usłyszeć, a potem podszedł do mnie:

– Dorabi, twoja karta spóźnień zaczyna wyglądać już niedobrze. Dwa dni temu się spóźniłeś. Wczoraj nie pokazałeś się wcale. Tego ranka również nie wyglądasz na zwartego i gotowego do pracy.

Faktycznie nie byłam. Każdego innego potraktowałabym ostro. W tym jednak wypadku ledwie zwróciłam uwagę, że jego słowa wypowiedziane zostały tonem zupełnie nielicującym z ich treścią. Wyczułam ulgę, którą zareagował na mój powrót, w jej tle zaś tchnienie strachu na myśl, że nigdy już nie przyjdę. Skłamałam więc:

– Miałem gorączkę. Za każdą próbą nie potrafiłem utrzymać się na nogach dłużej niż po kilka minut. Próbowałem przyjść, ale byłem tak słaby, że w pewnym momencie zgubiłem się, a gdy w końcu oprzytomniałem, okazało się, że i tak idę do domu.

– Czy wobec tego powinieneś dzisiaj przychodzić do pracy? – Zmienił temat, w jego głosie rozbrzmiała niespodziewana troska.

– Dzisiaj czuję się już dużo silniejszy. Poza tym nazbierało się mnóstwo zaległości. Naprawdę bardzo mi zależy na tej pracy, Sri. Nigdzie indziej nie będę tak blisko takiej ilości wiedzy.

– Gdzie jest twój dom, Dorabi?

Podniosłam miotłę. Śledził mnie. A nas śledziły spojrzenia. Niektóre tak wymowne, że pojęłam, iż Santaraksita mógł uganiać się za innymi młodymi mężczyznami już w przeszłości.

Na to pytanie byłam jednak przygotowana, ponieważ wiedziałem przecież, że za mną szedł.

– Z kilkoma przyjaciółmi z armii dzielę niewielki pokój na nabrzeżu w dzielnicy Sirada. – Sytuacja powszechnie spotykana w całym Taglios, gdzie mężczyźni przewyższali liczebnie kobiety w stosunku niemalże dwa

do jednego, gdyż wielu, zwabionych nadzieją odmiany losu, przybywało tutaj z Terytoriów.

– Dlaczego kiedy wróciłeś, nie zamieszkałeś w domu, Dorabi?

Ho-ho.

– Sri?

– Twoja matka, twój brat, twoje siostry, ich mężowie, żony i dzieci, wszyscy wciąż mieszkają w tym samym miejscu, w którym wychowywałeś się jako dziecko. Sądziłeś, że nie żyjesz.

Jasna cholera! Poszedł, aby się z nimi zobaczyć? Co za wścibski facet.

– Nie układało mi się z tymi ludźmi, Sri. – Było to kłamstwo w żywe oczy, jeśli chodzi o Dorabiego Dei Banerdze. Człowiek, którego znałam, był bardzo blisko ze swoją rodziną. – Kiedy wróciłem z wojen kiauluńskich, zmieniłem się tak strasznie, że nawet by mnie nie rozpoznali. Gdybym wrócił do domu, wkrótce dowiedzieliby się o mnie takich rzeczy, które kazałyby im mnie wydziedziczyć. Wolę, aby myśleli, że Dorabi zginął. Tak czy siak, chłopaka, jakiego pamiętają, już nie ma.

Miałam nadzieję, że moje słowa zinterpretuje zgodnie z własnym myśleniem życzeniowym.

Wszedł w to.

– Rozumiem.

– Wdzięczny ci jestem za twoją troskę, Sri. Pozwolisz teraz, że cię zostawię? – Zabrałam się do roboty.

Pracowałam energicznie, głęboko zatopiona w myślach. To, co zamierałam zrobić, wymagało, abym pozwoliła się uwieść. Ale w tych kwestiach nie miałam żadnego doświadczenia, jakkolwiek by patrzeć na całą sytuację. Jednak starzy ludzie wciąż mi powtarzają, że jestem bystra, toteż po jakimś czasie doszłam do wniosku, że chyba widzę sposób, dzięki któremu wydarzenia potoczą się pożądanym torem, a równocześnie Surendranat Santaraksita nie będzie wystawiony na większe emocjonalne czy moralne ryzyko niż wówczas, gdy podążył za mną do domu i musiałam wysłać mu Tobo na ratunek. O czym, rzecz jasna, nie miał pojęcia.

Późnym rankiem miałam słaby atak, w miejscu, które pozwalało staremu Baladitji spłacić swój dług przez okazanie należytej troski. Zanim jednak kustosz Santaraksita zdołał znaleźć odpowiednią wymówkę, aby zbliżyć się do mnie, doszłam do siebie i wróciłam do pracy.

Kilka godzin później wsadziłam sobie palec do gardła, żeby wymiotować obiad, a potem zrobiłam wielkie przedstawienie ze sprzątaniami. Odtąd bezustannie już miałam lekkie napady zawrotów głowy. Ostatni przytrafił mi się już po tym, jak większość bibliotekarzy i kopistów poszła do domów, nie przejmując się zupełnie groźbą dalszych opadów. Popołudniowa burza nie była tak straszna jak wiele wcześniejszych. W oczach Taglian stanowiło to zły znak.

Santaraksita doskonale odegrał swoją rolę. Zanim jeszcze minęły zawroty głowy, już był przy mnie.

– Może lepiej dałbyś już sobie spokój, Dorabi – zaproponował nerwowo. Zrobiłeś dzisiaj więcej, niż wynosi twoja dniówka. Reszta poczeka na ciebie do jutra. Odprowadzę cię, żeby nic ci się nie stało.

Cała sprawa mogła się zawalić, gdybym zaczęła protestować, że nie jest to konieczne. Powiedziałam więc tylko:

– Dziękuję, Sri. Twoje dobro nie zna granic. A co z Baladitją? – Wnuk starego kopisty znowu się nie pokazał.

– Właściwie mieszka po drodze. Po prostu najpierw odprowadzimy jego.
– Próbowałam wymyślić jakiś gest, jakiś fragment roli, który rozbudziłby fantazję Santaraksity, ale nie potrafiłam. I tak okazało się to niepotrzebne. Ten człowiek był zdecydowany połknąć haczyk. A wszystko dlatego, że umiałam pisać.

Osobliwe.

Rzekołaż znalazł się w pobliżu biblioteki, kiedy Mistrz Santaraksita, Baladitja i ja opuściliśmy jej tereny. Wykonałam nieznaczny gest, aby go upewnić, że zrobimy jak zostało postanowione. Następne znaki, które przekazałam mu, gdy szliśmy dalej, mówiły, że starego też trzeba zgarnąć, kiedy tylko Santaraksita i ja zostawimy go. Był świadkiem, z którego nietrudno będzie wyciągnąć zeznanie, że Kustosz Biblioteki ostatni raz widziany był w moim towarzystwie. Poza tym on też może się przydać.

Gdy znajdowaliśmy się już niedaleko magazynu, dostałam następnego lekkiego ataku. Santaraksita otoczył mnie ramieniem, abym nie upadła. Odpłynęłam w moje wewnętrzne schronienie i pozwoliłam się nieść nurtowi wydarzeń. W tej chwili byliśmy już otoczeni, z oddali, przez towarzyszy broni z Kompanii.

– Cały czas prosto – zwróciłam się do Santaraksity, na którego powoli zaczynały działać zewnętrzne zaklęcia mylące. – Chwyć mnie za rękę.

Kilka chwil później delikatne uderzenie w podstawę czaszki Mistrza Santaraksity umożliwiło mi porzucenie tej niemiłej roli.

– Mówią na mnie Ospała. Jestem kronikarzem Czarnej Kompanii. Zostałeś tutaj sprowadzony, aby pomóc w tłumaczeniu materiałów napisanych przez kilku z moich najwcześniejszych poprzedników.

Santaraksita zaczął coś gniewnie mamrotać. Kendo Rębacz zakrył mu dłonią usta oraz nos, tak że nie mógł oddychać. Sytuacja taka powtórzyła się kilka razy, póki do członka kasty kapłańskiej nie dotarło, że istnieje jakiś związek między milczeniem a brakiem trudności z oddychaniem.

Wreszcie mogłam powiedzieć:

– Otacza nas naprawdę paskudna sława, Sri. I całkowicie sobie na nią zasłużyliśmy. Nie, nie jestem Dorabi Dei Banerdze. Dorabi rzeczywiście zginął podczas wojen kiauluńskich. Walcząc po naszej stronie.

– Ho, ho! – krzyknął Jednooki, pojawiwszy się kilka chwil wcześniej. – Zdarzyło ci się niuchać pod niewłaściwym drzewem. Moja słodziutka tutaj jest dziewczynką i mówimy na nią Ospała.

Uśmiechnęłam się krzywo.

– Cholera! No i musimy znowu zacząć od początku, Sri. Teraz jakoś będziesz musiał pogodzić się z faktem, że kobieta potrafi czytać. Aha. Oto i Baladitja. Będziecie pracować razem. Dzięki, Rzeka. Miałeś jakieś kłopoty?

– Czego chcesz? – Głos mu drżał.

– Jak już powiedziałam, potrzebujemy tłumacza starych ksiąg. Tobo, przynieś książki z mojego stołu.

Chłopak poszedł, mamrocząc coś pod nosem na temat tego, kto tu zawsze musi przynosić i podawać.

Mistrz Santaraksita wykazał się daleko idącym opanowaniem, gdy odkrył, że tomy, na których tłumaczeniu mi zależało, zostały podprowadzone z jego własnych zbiorów zastrzeżonych. Tak naprawdę, to kiedy powiedziałam:

– Chcę, żebyś zaczął od tego – i pokazałam mu to, co uważałam za pierwszy tom Kronik, wyraźnie pobladł.

– Koniec ze mną, Dorabi... Przepraszam, młoda panno. Ospała, tak to było?

Ale chwilę później znowu zaczął protestować:

– Nie...

I Kendo uciszył go ponownie.

– Będziesz tłumaczył i będziesz przykładał się do pracy, Sri. W przeciwnym razie nie będziemy cię karmić. My nie jesteśmy badralok. Już dawno temu przestaliśmy gadać. Robimy co trzeba bez gadania. Miałeś po prostu pecha, że przypadkiem trafiło na ciebie.

Pojawiła się Sahra. Zupełnie przemoczona.

– Znowu pada. Widzę, że ryba już w saku. – Opadła na krzesło, przyjrzała się uważnie Surendranatowi Santaraksicie. – Jestem wykończona. Przez cały dzień w nerwowym napięciu. W południe Protektorka wróciła z bagien. Była w naprawdę podłym nastroju. Pokłóciła się potwornie z Radiszą w obecności nas wszystkich.

– Radisza się jej postawiła?

– No właśnie. Powoli dochodzi do granic wytrzymałości. Tego ranka pojawił się kolejny uczeń boodiego, jednak Szarzy nie pozwolili na samospalenie. Potem Protektorka ogłosiła, że ma zamiar odebrać nam nocę, szcując nas cieniami od zaraz. Wtedy właśnie Radisza zaczęła krzyczeć.

Santaraksita zdawał się tak bezmiernie zdumiony wnioskami wynikającymi z rewelacji Sahry, że wręcz nie potrafiłam powstrzymać śmiechu.

– Nie – upierał się. – To nie jest śmieszne. – Ale w chwilę później przekonaliśmy się, że wcale nie chodzi mu o cienie. – Protektorka obetnie mi uszy. Co najmniej. Tych książek w ogóle nie powinno być w bibliotece. Miałem zniszczyć je już całe wieki temu, ale nie potrafiłem zdobyć się na zrobienie czegoś takiego z jakąkolwiek książką. A potem o nich zapomniałem. Powinienem je gdzieś zamknąć.

– Czemu? – szcęknęła Sahra. Nie uzyskała odpowiedzi.

Zamiast tego zapytałam ją:

– Dokonałaś jakichś postępów?

– Nie miałam możliwości zabrania choć jednej stronicy. Za to dostałam się do apartamentów Radiszy. Podsłuchiwałam ją i Duszołap. I zdobyłam nieco informacji innego rodzaju.

– Na przykład?

– Na przykład, że Pjurojita i wszyscy pozostali namaszczeni członkowie Tajnej Rady opuszczają jutro pałac, aby uczestniczyć w synodzie starszych kapłanów poprzedzającym przygotowania do tegorocznego Druga Pavi.

Druga Pavi stanowi największe święto Gunni w całym tagliańskim roku. Taglios, wraz ze wszystkimi swoimi różnymi kultami i niezliczonymi mniejszościami religijnymi, może poszczycić się obchodzonym właśnie świętem niemalże każdego dnia, jednak Druga Pavi przyćmiewa wszystkie pozostałe.

– Ale przecież nie obchodzi się go, zanim pora deszczowa nie dobiegnie końca. – Zaczynałam mieć w tej kwestii śmieszne przeczucia.

– Moja intuicja też się odzywa – przyznała Sahra.

– Rzeka, weź Mistrza i kopistę, a potem zadbaj, żeby mieli tyle wygod, ile tylko możemy im tu zapewnić. Niech Goblin nałoży im kneble, a potem upewni się, że zrozumieli ich działanie. – Zapytałam Sahrę: – Czy zdarzyło ci się słyszeć o tym wcześniej, zanim Duszołap wróciła z bagien, czy po tym?

– Oczywiście, że po.

– Oczywiście. Ona coś podejrzewa. Kendo, kiedy tylko jutro będzie dość światła, chcę, żebyś natychmiast poszedł do Kernmi Łat. Spróbuj coś znaleźć na temat tego spotkania, nie zdradzając równocześnie, jak bardzo jesteś nim zainteresowany. Jeśli dokoła zauważysz więcej Szarych albo Szadar, nie zajmuj się sprawą. Po prostu wróć tu i powiedz, jak jest.

– Zakładasz, że to prawdziwa okazja? – zapytała Sahra.

– Będzie prawdziwa tak długo, jak pozostają poza pałacem. No nie?

– Może najlepiej byłoby ich zwyczajnie pozabijać? Przyczepić trochę rozbłyskowych pączków do ciał. Wtedy Duszołap naprawdę się wścieknie.

– Czekaj. Mam myśl. Być może zresztą przyszła mi do głowy wprost z al-Sziel. – Pomachałam palcem w powietrzu, jakbym odmierzała muzyczny takt. – Tak. Właśnie tak. Byłoby naprawdę po naszej myśli, gdyby Protektorka rzeczywiście zastawiła pułapkę z Pjurojita w roli przynęty. – Wyjaśniłam dokładnie, o co mi chodzi.

– To jest naprawdę niezłe – skomentowała Sahra. – Ale jeśli ma działać, ty i Tobo będziecie musieli wejść do środka razem ze mną.

– Ale ja nie mogę. Niemożliwe, bym nie przyszła do pracy nazajutrz po zniknięciu Mistrza Santaraksity. Wezwij Murgena. Zobacz, czy dzisiaj nie kręcił się po pałacu. Niech sprawdzi, czy jest pułapka, a jeśli tak, niech ją znajdzie. Gdyby Duszołap miała być nieobecna, może ty i Tobo poradzilibyście sobie we dwójkę.

– Nie chcę pomniejszać twojego geniuszu, Ospala, ale to jest coś, o czym od dawna dużo myślałam. Właściwie przez całe lata. Możliwość, że coś takiego nastąpi, stanowiła zasadniczy motyw, dla którego podkradałam się coraz bliżej centrum spraw. Prawda jest taka, że nie uda się z mniejszą liczbą ludzi niżli troje. Potrzebuję Sziki i potrzebuję Sauy.

– Pozwól mi pomyśleć.

Sahra zajęła się Murgeniem, ja natomiast myślałam. Murgen zdawał się nader ożywiony i zainteresowany sprawami tego świata, zwłaszcza że w grę wchodziła jego żona i syn. Najpewniej zaczynał już powoli rozumieć, o co chodzi. – Wymyśliłam, Sahra! Możemy Goblina przebrać za Sauę.

– Nie ma, kurwa, mowy – powiedział Goblin. Potem powtórzył te słowa cztery czy pięć razy i w tyłuż językach, na wypadek gdyby ktoś jednak nie zrozumiał. – O co ci, kurwa, kobieto, chodzi?

– Jesteś tak mały jak ja. Rozsmarujemy trochę soku z orzecha betelu na twojej twarzy i dłoniach, przebierzemy cię w mój strój Sauy, a potem Sahra zaszyje ci usta, żebyś nie klął za każdym razem, gdy najdzie cię ochota. Wówczas nikt nie zauważy różnicy. Póki będziesz trzymał wzrok wbity w ziemię, jak czyni to Saura przez większość czasu.

– Może to jest jakiś pomysł – orzekła Sahra, nie zwracając uwagi na niemilkące protesty Goblina. – Szczerze mówiąc, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mi się podoba. Bez urazy, ale w razie czego Goblin z pewnością przyda się bardziej niż ty.

– Wiem. A więc idziecie we trójkę. A ja mogę się zająć swoimi sprawami i prócz tego być jeszcze Dorabim Dei. Czy to nie cudowne?

– Kobiety – narzekał Goblin. – Nie potrafię z nimi wytrzymać, a one jednak nie chcą odejść.

– Lepiej zacznij się od razu uczyć od Ospalej dziwactw Sauy – powiedziała Sahra. Do mnie zaś rzekła: – Dla Sauy będzie mnóstwo roboty. Zadbam o to. Narita też chętnie zobaczyłaby ją z powrotem. Tobo, będziesz musiał przespać się trochę. Nikt cię nie łączy z Gokhale, wciąż jednak musisz być czujny.

– Naprawdę nie mam ochoty tam iść, mamó.

– A myślisz, że ja mam? Wszyscy musimy...

– Tak. Myślę, że ty masz. Myślę, że dlatego wciąż tam chodzisz, ponieważ lubisz niebezpieczeństwo. Myślę, że może się to dla ciebie okazać naprawdę trudne, kiedy trzeba będzie zrezygnować z ryzyka. Myślę,

że gdy się to stanie, będziemy musieli cię wszyscy uważnie obserwować, abyś nie zrobiła czegoś, w wyniku czego pozabijają nas razem z tobą.

Oto był dzieciak, który dużo myślał. Być może z odrobiną pomocy ze strony tego czy tamtego wujka. Jednak dla mnie brzmiało to tak, jakby przez jego usta przemówiła najczystsza prawda.

34

Usadowiłam się na krześle przed klatką, gdzie trzymaliśmy Narajana Singha. Nie spał już, ale nie zwracał też na mnie uwagi. Zaczęłam więc:

– Córka Nocy wciąż żyje.

– Wiem o tym.

– Naprawdę? Skąd?

– Wiedziałbym, gdybyście zrobili jej coś złego.

– Wobec tego powinienes wiedzieć także to. Niedługo już potrwa, zanim stanie się jej coś złego. Jedyńm powodem, dla którego jeszcze to nie nastąpiło, jest fakt, że zależy nam na twojej współpracy. Jeśli nie uda się nam jej uzyskać, wówczas nie ma powodu dalej jej karmić. Ani ciebie. Chociaż wciąż zamierzam dotrzymać słowa i zadbać o ciebie. Ponieważ chcę, abyś, nim będzie dane ci umrzeć, zobaczył, jak wszystko co cenisz, obraca się w proch. No właśnie. Aridata nie mógł być dziś wieczorem z nami. Jego dowódca obawia się niepokojów na mieście. Kolejny boodysta postanowił się spalić. A więc będziemy musieli poczekać do jutrzejszego wieczoru.

Narajan wydobył z siebie coś pośredniego między szeptem a jękiem. Nie chciał dopuścić do siebie świadomości mego istnienia, ponieważ istnienie, a moje w szczególności, przyprawiało go o głębokie poczucie nieszczęścia. Co z kolei sprawiało, iż ja czułam się szczęśliwa, chociaż nie miałam do niego żadnej osobistej urazy. Moja wrogość wobec niego była zaiste bardzo aseptyczna, bardzo instytucjonalna i bardzo zaoczna, występowałam tu bowiem w imieniu moich braci, którym zaszkodził bezpośrednio. W imieniu moich braci, którzy spoczywali uwięzieni pod ziemią.

– Może powinienes poprosić Kinę o przewodnictwo – zaproponowałam.

Ale też obrzucił mnie spojrzeniem! Narajan Singh nie miał śladu poczucia humoru i nie potrafił rozpoznać sarkazmu, nawet wówczas, gdy ten wyskakiwał z trawy pod jego nogami, zatapiając zęby w łydce.

Ciągnęłam więc dalej:

– Pozwól, że streszczę wszystko po raz ostatni. Nie zostało mi wiele cierpliwości. Nie zostało mi dużo czasu. Już wskoczyliśmy na grzbiet tygrysa. Zbliża się wielka awantura.

Awantura. Uniwersalne określenie w męskim slangu na sprzeczkę między kobietami.

Czy rzeczywiście?

Właśnie przyszło mi to do głowy. W tej walce wszystkie byłyśmy kobietami. Sahra i ja. Radisza i Duszołap. Kina i Córka Nocy. Wujek Dodż był równie daleko od patriarchalnej władzy jak którykolwiek z mężczyzn obecnie. Podobnie Narajan, który był głównie cieniem Córki Nocy.

Dziwne. Dziwne.

– Narajan, kiedy zaczną się sypać pióra, nie będę już dłużej zainteresowana opieką nad twoją przyjaciółką. Ale możesz być pewien, znajdę czas, aby zająć się tobą.

Podniosłam się, chcąc odejść.

– Nie mogę tego zrobić. – Głos Singha był nieomal niesłyszalny.

– Popracuj nad tym, Narajan. Jeśli kochasz dziewczynę. Jeśli nie chcesz, aby twoja bogini musiała zaczynać znowu wszystko od zera. – Naprawdę sądziłam, że dysponuję taką władzą. Jeśli pozabijam odpowiednich ludzi, ułożę Kinę do snu na następny wiek. I tak też ostatecznie zrobię, jeśli nie będę w stanie wyciągnąć moich braci spod ziemi.

Ban Do Trang czekał na mnie w niewielkim kantorku, gdzie pracował i spał. Nie wyglądał dobrze, co wcale nie było dziwne. Nie był dużo młodszy od Goblina i nie dysponował też cudownymi mocami czarodzieja.

– Czym mogę służyć, Wujku?

– Jak rozumiem, Dodż opowiedział ci historię naszego ludu. – Było go już stać tylko na ochrypły szept.

– Jakąś historię mi faktycznie opowiedział. Za każdym razem, gdy jakiś Niueng Bao dzieli się ze mną swoimi tajemnicami, zawsze pozostają pewne wątpliwości.

– He, he, he. Jesteś bystra, Ospala. Kilka złudzeń i żadnych widocznych obsesji. Sądzę, że Dodż był z tobą na tyle szczery, na ile potrafił się zmusić. Zakładając oczywiście, że ze mną również był szczery, gdy później przyszedł się naradzić. Ale przynajmniej usłyszał wreszcie, jak mówiłem mu, że to jest już nowy wiek. To właśnie chciała pokazać nam wszystkim Hong Trej, kiedy zdecydowała, że dzengal ma być mężem Sahry. Wszyscy

jesteśmy jak zagubione dzieci. Musimy podać sobie ręce. Hong Trej chciała, abyśmy to też zrozumieli.

– Mogła to powiedzieć.

– To była Hong Trej. Prorokini. Prorokini Niueng Bao. Chciałabyś, żeby wydawała głupie proklamacje jak Radisza albo Protektorka?

– Właśnie tak.

Do Trang zachichotał. A potem wyglądało, jakby zasnął.

O co tu chodziło? Myślałam.

– Wujku?

– Och? Co? Przepraszam, młoda damo. Posłuchaj. Nie wydaje mi się, aby ktoś jeszcze o tym wspominał. Być może nie widział tego nikt prócz Goty i mnie. Ale miejsce to nawiedza duch. Widzieliśmy go kilka razy w ciągu ostatnich dwu nocy.

– Duch? – Czy Murgen zaczynał stawać się powoli tak silny, że widywali go również inni ludzie?

– To jest zimna i zła istota, Ospała. Przypomina coś, co jest najszcześliwsze, gdy może czaić się w wejściach do grobowców albo ślizgać po kopcach czaszek. Jak ten dzieciak wampir w klatce na tygrysa. Powinnaś bardzo z nią uważać. A ja chyba powinienem położyć się do łóżka. Zanim zasnę tutaj i twoi przyjaciele będą gadać.

– Jeśli mają zamiar o mnie plotkować, nie potrafię wyobrazić sobie nikogo, z kim mogliby mnie połączyć.

– Któregoś dnia, kiedy znowu będę młody. Podczas następnego obrotu Koła.

– Dobranoc, Wujku.

Pomyślałam sobie, że mogłabym mu trochę poczytać, ale niemalże natychmiast zasnęłam. W pewnej chwili, otworzywszy oczy pośród nocy, przekonałam się, że duch Do Tranga naprawdę istnieje. Obudziłam się, od razu całkiem przytomna, i zobaczyłam stojącą w pobliżu drżącą sylwetkę przypominającą mniej więcej ludzką. Najwyraźniej obserwowała mnie. Stary wykonał dobrą robotę, opisując ją. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie śmierć we własnej osobie.

Zniknęła, gdy tylko wyczuła, że nie śpię.

Leżałam przez jakiś czas, starając się wszystko zebrać w jedną całość. Murgen? Duszołap na przespiegach? Ktoś zupełnie nieznany? Albo, co

wydawało się najbardziej prawdopodobne, dziewczyna w tygrysiej klatce na ektoplazmatycznej przechadzce?

Próbowałam rozmyślać o tym, lecz byłam zanadto zmęczona, by zajmować się tym zbyt długo.

Z miastem było coś nie tak. I nie chodziło tu tylko o unoszącą się nad nim zupełnie niezwykłą woń czystości. Deszcz padał przez większą część nocy. Ani nie tylko o ogłupiałe spojrzenia ludzi żyjących na ulicach, którzy właśnie mieli za sobą najgorszą noc w życiu. Chodziło o coś jeszcze. Czuło się, jakby miasto wstrzymywało oddech, i wrażenie to nasilało się w miarę zbliżania do biblioteki. Może chodziło o jakiś rodzaj reakcji czysto psychicznej.

Przystanąłam. Kapitan mawiał, że powinno się ufać swoim instynktom. Jeśli z pozoru coś jest nie tak, wówczas należy zastanowić się nad genezą tego wrażenia. Powoli obróciłam się dookoła.

Wokół nie było żadnego z ulicznych nędzarzy. To jednak można było jeszcze zrozumieć. Śmierć zebrała wśród nich swoje żniwo, a ci, co przeżyli, z pewnością trzymali się kurczowo wszelkiego schronienia, jakie mogli znaleźć, obawiając się, że za dnia Szarzy przejmą robotę cieni. Ale Szarych również nie było nigdzie w zasięgu wzroku. I ruch uliczny był zdecydowanie mniej intensywny niż zazwyczaj. A spośród większości małych, jednoosobowych straganów, gdzie wystawiano wszelkie możliwe towary, dziś rano tylko nieliczne podjęły pracę.

W powietrzu czuło się woń strachu. Ludzie czekali, aż coś się wydarzy. Jakby wcześniej widzieli coś, co nie wróżyło najlepiej nadchodzącemu dniowi. Nie sposób było się jednak domyśleć, o co właściwie chodzi. Kiedy zapytałam o to jednego z handlarzy, na tyle odważnego, by w ogóle znaleźć się na ulicy, on zignorował moje pytanie i zamiast odpowiedzieć, próbował przekonać, że żadną miarą nie przeżyję następnego dnia bez grzebienia z kutego mosiądzu.

Coś mnie tknęło; przyszło mi do głowy, że może przynajmniej po części ma rację. Zatrzymałam się, by wypytać kolejnego handlującego mosiądzem, którego stragan znajdował się w miejscu, skąd było już widać bibliotekę.

– Gdzie się dzisiaj wszyscy podziali? – zapytałam, oglądając równocześnie coś w rodzaju łyżeczki do herbaty o wydłużonej rączce, rzecz właściwie całkowicie bezużyteczną.

Gdy spojrzenie handlarza na moment umknęło w stronę biblioteki, zaczęłam się domyślać, że moje podejrzenia nie są bezpodstawne. I cokolwiek go tak nastraszyło, musiało to mieć miejsce zupełnie niedawno. Żadne miejsce w Taglios nie bywa ciche i puste na długo.

Rzadko noszę przy sobie pieniądze, ale tego ranka miałam parę monet. Kupiłam więc bezużyteczną łyżeczkę.

– Podarunek dla żony. Za to, że w końcu dała mi syna.

– Nie pochodzisz z tych okolic, nieprawdaż? – zapytał mosiężny jubiler.

– Nie. Jestem z... Dedżagore.

Tamten pokiwał w milczeniu głową, jakby to wszystko wyjaśniało. Kiedy zbierałam się już do odejścia, wymamrotał:

– Nie spodoba ci się droga w tamtą stronę, Dedżagoraninie.

– Aha?

– Nie spiesz się. Spróbuj ominąć ten pałac.

Zerknęłam w kierunku biblioteki. Nie zobaczyłam nic niezwykłego. Tereny wokół wyglądały całkiem normalnie, chociaż w ogrodzie pracowali jacyś mężczyźni.

– Aha. – Poszłam dalej naprzód, póki nie natrafiłam na wejście w boczny zaułek.

Skąd tutaj ogrodnicy? Przecież zatrudnić mógłby ich tylko Kustosz Biblioteki.

Ponad dachem budynku dostrzegłam jakieś regularne poruszenia. Kołujący wcześniej nad nim ptak sfrunął w dół i przysiadł na kutym żelazie bramy, ponad głową Adu. Z początku wzięłam go za samotnego gołębia, kiedy jednak zwinął skrzydła, ujrzałam białego kruka patrzącego oczyma znacznie bystrzejszymi niż Adu. Ale ten przywykł już do ciągłego wystawiania w bramie.

Kolejny znak ostrzegawczy.

Biały kruk spojrzał prosto na mnie. I mrugnął. Albo może tylko przymrużył oczy, jednak bardziej podobała mi się interpretacja sugerująca jego inteligencję i współudział w spisku.

Kruk sfrunął na ramię Adu. Zaskoczony odźwiernyomalże nie wyskoczył z sandałów. Ptak najwyraźniej musiał coś powiedzieć. Adu

podskoczył znowu, tym razem próbując go złapać. Nie udało mu się, wbiegł do biblioteki. Kilka chwil później banda Szadar przebranych za bibliotekarzy wypadła z budynku, zaczęli rzucać kamieniami w kruki. W końcu ptak słusznie zauważył, że nic tu po nim.

Poszłam za jego przykładem, obierając wszelako inny kierunek. Miałam się na baczności o wiele bardziej, niż zdarzało mi się to ostatnimi laty. Co się działo? Dlaczego tu byli? Najwyraźniej przyczaili się w zasadzce. Na mnie? A na kogo innego? Ale dlaczego? Co zrobiłam nie tak, że się zdradziłam?

Może nic. Chociaż jeśli się nie pokażę w pracy i w ten sposób uniknę przesłuchania, może to stanowić bardzo poważny dowód świadczący przeciwko mnie. Niemniej nie byłam szalona na tyle, by licząc na czysty bluff, pakować się prosto do kotła Szarych.

Co się stało, już się nie odstanie. Nie ma powrotu. Żałować można tylko tego ostatniego tomu starożytnych Kronik, którego nie udało mi się zlokalizować i wynieść.

Przez całą drogę do domu próbowałam zrozumieć, co też wzbudziło podejrzenia Szarych. Nieobecność Surendranata Santaraksity nie trwała przecież dostatecznie długo, by spowodować zainteresowanie czynników oficjalnych. Bywały poranki, gdy Kustosz Biblioteki pojawiał się znacznie później. W końcu przestałam się nad tym zastanawiać, w obawie, że wywichnę sobie umysł. Murgen będzie mógł tutaj trochę powęszyć. Podśluchując ich, na pewno znajdzie odpowiedź.

36

Murgen był zajęty szpiegowaniem, mimo że na świecie był środek dnia. Martwił się o Sahrę i Tobo. A może nawet trochę i o Goblina. Wróciwszy do domu, zastałam Jednookiego, skacowanego, ale czujnego, przy stole, na którym stała machina wytwarzająca mgłę. Matka Gota i Wujek Dodż byli z nim, oboje skupieni i spięci. Bez trudu wywnioskowałam z tego, że Sahra zdecydowała się przeprowadzić najśmielszą z naszych dotychczasowych operacji. Ku memu zdumieniu, Jednooki pośpieszył w moją stronę – jeśli takim słowem można określić ociężałe szuranie stopami – i poklepał mnie po plecach.

– Słyszeliśmy, jak wchodzisz, Dziewczynko. Baliśmy się jak cholera, że mogłaś wpaść.

– Co?

– Murgen ostrzegł nas, że zastawiono pułapkę. Kiedy poszedł sprawdzić, w co Sahra się pakuje, usłyszał, jak kilku szefów Szarych rozmawiało o tym. Ta stara suka Duszołap była na miejscu i czekała na ciebie. Cóż, może nie konkretnie na ciebie, ale po prostu na kogoś, kto się tam kręci i kradnie książki, których zresztą w ogóle nie powinno tam być.

– Zgubiłam się, kochany staruszk. Jeszcze raz, powoli, od początku, żebym coś zrozumiała.

– Ktoś szedł wczoraj za tobą i twoim chłopakiem. Przypuszczalnie podejrzewał raczej jego niż ciebie. Pewnie jakiś szpieg amator na usługach Protektorki.

Doskonale wiedzieliśmy, że miasto pełne jest konfidentów, którym płacono zależnie od jakości dostarczonego towaru. Próbowaliśmy jakoś z nimi walczyć.

– Najwyraźniej jemu również musiał stawać na widok twego chłopaka.

– Jednooki!

– Dobrze, już dobrze. Na widok twojego szefa. W mniej lub bardziej dosłownym sensie. Poszedł więc i powiedział Szarym, że ten wstrętny,

brudny staruch zamierza zmuszać do perwersji jednego z młodzieńców, którzy dlań pracują. Kilku Szarych udało się więc do biblioteki, zaczęli węszyć, zadawać pytania i szybko odkryli, że brakuje zaksięgowanych pieniędzy, ale również Santaraksity, o czym jednak dowiedzieli się dopiero, gdy zaczęli wyciągać ludzi z łóżek i aresztować. Potem przekonali się też, że i kilku książek brakuje, włączywszy w to wielkie rarytasy, a nawet parę takich, które już całe lata temu miały zostać usunięte z księgozbioru i nie zostały. Wtedy cała sprawa dotarła wreszcie do Duszołap. W ciągu dziesięciu sekund zatargała swój śliczny mały tyłeczek na miejsce, gdzie zaczęła grozić ludziom, że pożre ich żywcem, i męczyć każdego, kogo tylko wygląd jej się nie spodobał.

– A ja omalże nie weszłam w sam środek tego wszystkiego. – Zadumałam się. – Skąd oni wiedzieli, że księgi zniknęły? Zastąpiłam je odrzutami. – Ale może Mistrz Santaraksita, mając takiego bzika na ich punkcie, robił to samo?

Jeśli był do tego stopnia nieuczciwy, to udało mu się mnie oszukać.

Będziemy musieli poważnie porozmawiać.

– Z tego, co Murgen był w stanie się dowiedzieć, Dorabi Dei Banerdze nie jest podejrzewany o nic gorszego prócz naiwności. Surendranat Santaraksita wszelako tkwi głęboko w gównie. Duszołap pewnie go zabije, odrywając mu po kolei wszystkie członki i każąc mu patrzeć, jak pożerają je kruki. A potem z pewnością zrobi się jeszcze bardziej niemila. – Jednooki wyszczerzył się w uśmiechu, w którym majaczył pojedynczy ząb. Nie stanowiło to szczególnie dobrej rekomendacji usług dentysty Kompanii. – Mów sobie, co chcesz o Duszołap, ale ona nie toleruje żadnej korupcji.

To stanowiło zresztą, przynajmniej w oczach Jednookiego, kolejną plamę w jej aktach.

– Uszłam cało – powiedziałam. – A oto kolejny temat do rozważań. Biały kruk czekał przy bramie, zapewne po to, aby mnie ostrzec. W każdym razie podjął wyraźną próbę porozumienia. Więc co słyhać u Sahry?

– Wszystko idzie, jak zaplanowała. Ten Dżaul Barundandi to prawdziwy przygłup. Kupił kiepską imitację twojej Sauy wykonaną przez Goblina. Potem próbował odciągnąć Tobo od Sahry. Ta zagroziła, że powie jego żonie.

Min z pewnością może mieć coraz większe kłopoty ze znalezieniem pracy, jeśli będzie dalej trwać przy tak niewłaściwym nastawieniu.

– Odwody na miejscu?

– Dziewczynko, kto się tym głównym zajmuje od czasów poprzedzających jeszcze narodziny twojej babki?

– Nie zaszkodzi dwa razy sprawdzić. I ciągle sprawdzać. Ponieważ prędzej czy później będziesz musiał ratować kogoś, kto coś przeoczył. Oddział ewakuacyjny gotów do działania? – Było całkiem prawdopodobne, że trzeba będzie opuścić Taglios zdecydowanie wcześniej, niż tego chciałam. Duszołap już wkrótce zacznie ścigać nas bez litości.

– Zapytaj Do Tranga – rzekł Jednooki. – Powiedział, że się wszystkim zajmie. Być może cię zainteresuje, że Duszołap przestała obserwować Ardżanę Drupadę, kiedy biblioteka stała się dla niej najważniejsza i potrzebowała na miejscu ludzi godnych zaufania.

– Brakuje jej ludzi nawet do tych kilku spraw?

– Brakuje jej takich, którym ufa. Większość tych, których miała, obserwuje teraz uczniów Boodiego, aby mogła uprzedzić ich za każdym razem, kiedy zechcą pokazać światu człowieka-pochodnię.

– A więc musimy uderzyć w Drupadę...

– Idź uczyć babcię wysysać jaja, Dziewczynko. Jak powiedziałem, gram już w tę grę od czasu, gdy mama twojej babci wciąż jeszcze moczyła pieluchy!

– A więc kto będzie pilnował magazynu? – Uruchamianie tyłu operacji naraz oznaczało, że każdy z braci będzie miał jakieś zajęcie. Nie tylko Duszołap cierpiała na braki kadrowe.

– Ty i ja, Dziewczynko. Poza tym Kejter i Elegant gdzieś się tu kręcą, udając wartowników i kurierów.

– Jesteś pewien, że Drupada jest czysty?

– Murgen sprawdza go co pół godziny. I tak często, skoro pewnie wolałby pilnować swojej ukochanej. Przyjaciel Ardżana jest czysty. Na razie. Ale jak długo to potrwa? Poza tym Murgen również nie spuszcza z oka Wcześniaka w Semczy. Sprawdza go co kilka godzin. Wychodzi na to, że tam również dziś będzie się działo. Duszołap chyba się posra. Kamieniami będzie srała. Brakuje wszak jeszcze tylko tego, żeby któryś z nas podszedł i ugryzł ją w cycek.

– Uważaj na słowa, staruszku. Słowa.

Wujek Dodż wymruczał coś niezrozumiale.
Jednooki pochylił się nad projektorem mgły.

Mimo iż jeszcze wczoraj wieczorem myśl ta napełniała ją takim entuzjazmem, dzisiaj Sahra nie mogła przestać zamartwiać się Goblinem w roli Sauy. Na tym małym człowieczku nie można było polegać. Zawsze gotów był z czymś wyskoczyć...

Nie doceniała go. Nie przeżyłby tak długo, gdyby lubił wygłupiać się w poważnych sytuacjach. Od początku był bardziej zdecydowany stać się Sauą, niżli ja potrafiłam wejść w tę rolę kiedykolwiek. Nie robił nic na własną rękę. Min Subredil musiała prowadzić go naprawdę. Ostrożnie odgrywaną rolę Sauy wyposażył dodatkowo w urok niepozorności, tak że w ogóle nie rzucała się w oczy. Dżaul Barundandi i wszyscy pozostali obrzucali tylko idiotkę przelotnym spojrzeniem i skupiali się na Sziki, która tego ranka zdawała się szczególnie atrakcyjna. Na rzemyku okalającym jej szyję kołysał się flet. Jednak każdego, kto chciałby siłą uszczknąć jej wdzięków, czekała przykra niespodzianka.

Flet nie był nowy, natomiast posążek Gangeszy, który niosła Sziki, jak najbardziej. Dzisiaj nawet Saua miała przy sobie statuetkę boga. Zwróciło to uwagę Dżaula Barundandiego, który drwił z Subredil:

– Kiedy zaczniesz nosić po jednym Gangeszy w każdym ręku? – Podczas poprzedniej wizyty miał nieprzyjemności przez Sziki i teraz chciał odegrać się za to przynajmniej częściowo.

Subredil pochyliła się i wyszeptała coś do swego Gangeszy, coś o wybaczeniu grzesznikowi, który w głębi serca jest przecież dobrym człowiekiem i któremu potrzeba tylko, aby znalazł przystań w światłości. Barundandi zdołał podsłuchać po części jej słowa. Rozbroiła go na jakiś czas.

Przekazał więc kobietę niespełna rozumu i jej dwie towarzyszki swej żonie, która ostatnimi czasy traktowała je niemal jak swoją własność. Rozpromieniała się zwłaszcza na widok Subredil, miała bowiem mnóstwo roboty do wykonania.

Narita również dostrzegła Gangeszę.

– Jeśli siła wiary jest zdolna zapewnić ci lepsze życie podczas następnego obrotu Koła, Subredil, z pewnością czeka cię odrodzenie w kaście kapłańskiej. – Potem grubaska zmarszczyła brwi. – Ale nie zostawiłaś tu przypadkiem wczoraj swojego Gangeszy?

– Co? Ach! Aha! Naprawdę zostawiłam? Myślałam, że zgubiłam go już na zawsze. Nie miałam pojęcia, co się z nim stało. Gdzie jest? Gdzie on jest? – Dokładnie przygotowała sobie sposób odegrania tego epizodu, chociaż wcześniej rzecz jasna Gangeszę zostawiła umyślnie.

– Spokojnie. Spokojnie. – Miłosny związek Subredil z jej Gangeszą stanowił przedmiot żartów niemalże wszystkich w pałacu. – Zaopiekowaliśmy się nim dobrze.

Na ten dzień zaplanowano mnóstwo pracy, co pod pewnym względem było korzystne. Pomagało jakoś zabić czas. Przez ładnych parę godzin bowiem i tak nic nie będzie można zrobić, a czy w ogóle cokolwiek się uda, zależało w sporej mierze od szczęścia. A tam, gdzie wszystko zależało od szczęścia, pewnie nie od rzeczy byłoby kilkunastu dalszych Gangeszów.

Podczas przerwy obiadowej do grupy, w której resztki z kuchni jadła też Subredil, dotarły plotki o gniewie Protektorki wywołanym kradzieżą jakichś ksiąg z królewskiej biblioteki. W tej chwili Protektorka była na miejscu zbrodni, osobiście prowadząc śledztwo.

Subredil rzuciła ostrzegawcze spojrzenie w stronę towarzyszek. Żadnych pytań. Żadnego martwienia się o ludzi, którym zapewne i tak nie można nijak pomóc.

Później, tego samego dnia, dotarły do pałacu kolejne wieści. Pjurojita i kilku innych członków Tajnej Rady, wraz ze swoimi osobistymi strażnikami i garścią pochlebców, zostali zarżnięci na samych stopniach Kernmi Łat podczas akcji, która wyglądała jak w pełni zaplanowana operacja militarna wspomagana ciężkimi czarami. Raporty z miejsca zajścia były niejasne i często sprzeczne ze sobą, ponieważ spośród wszystkich jego uczestników bodaj tylko napastnikom nie zależało na natychmiastowym znalezieniu bezpiecznej kryjówki.

Subredil próbowała wziąć to pod uwagę, jednak nie udało jej się całkowicie skryć gniewu. Kendo Rębacz był naprawdę człowiekiem zbyt gwałtownym, by powierzać mu dowodzenie. A poza tym był zaprzysięgłym

wyznawcą Vedna. Gunni z pewnością nie będą uszczęśliwieni rozlewem krwi na stopniach swej głównej świątyni.

Wiele było gadania o znakach i omenach, które wykorzystano jako osłonę dla operacji, oraz o pułapkach, które wycofujący się zastawili za sobą. Nie było najmniejszych wątpliwości, ani kto jest odpowiedzialny za atak, ani kto zajmuje następne miejsce na liście skazańców. Każdą chmurę dymu, która nie głosiła: „Woda śpi”, znaczyło przesłanie: „Mój brat nieodkupiony”.

Dopiero od wczoraj krążyły plotki o wezwaniu Wielkiego Generała do Taglios, aby rozprawił się z umarłymi, którzy nie chcieli spokojnie spoczywać w grobach. W oczach ulicy wszystko wskazywało na to, że Kompania czeka na niego w pełni gotowa.

Sahra zaczynała się martwić. W takiej sytuacji Duszołap, gdy tylko usłyszy o ataku, z pewnością natychmiast opuści bibliotekę. Gdyby wróciła do pałacu skrajnie roztrzęsiona, należałoby chyba zrezygnować z całej operacji – czarodziejka będzie z pewnością nazbyt czujna, by rozsądnie było próbować czegokolwiek tuż pod jej nosem.

Niedługo po tym, jak wieści zaczęły krążyć po pałacu, do pomieszczenia wpadła Radisza. Była zupełnie wytrącona z równowagi. Skierowała się prosto do Komnaty Gniewu. Saua na moment uniosła spojrzenie znad czyszczonego właśnie mosiądzu, zdenerwowana najwyraźniej nie na żarty. Subredil odłożyła na bok ścierkę i poszła zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Niedługo po pojawieniu się Radiszy – kiedy do pomieszczenia zerknął Dżaul Barundandi, aby zobaczyć, jak idzie praca, i jakimś sposobem wdał się w sprzeczkę z Naritą – gdy nikt na nią nie patrzył, Saua odeszła na bok. Nikt zrazu nie zauważył tego, co zrobiła, ponieważ właściwie nigdy nie postępowała w sposób rzucający się w oczy, a dzisiaj tę jej cechę wzmacniał nadto drobny czar.

Sziki podeszła bliżej do matki. Twarz miała bladą i ściętą zmartwieniem, nieustannie muskała palcami flet. Wreszcie wyszeptała:

– Czy nie powinniśmy już pójść poszukać?

– Jeszcze nie czas. Zostaw swego Gangeszę. – Sziki miała zrobić to już parę godzin temu.

Plotka przemierzająca błyskawicznie pałac dotarła do ich uszu, chwilę później druga, jeszcze bardziej niemiła. Wróciła Protektorka, całkowicie

wyprowadzona z równowagi. Teraz składała wizytę swoim ceniom. Szykowała się kolejna noc terroru na ulicach Taglios.

Kobiety zaczęły się naradzać, czy aby przypadkiem nie należałoby skończyć pracy, zanim Protektorka zdecyduje, że musi złożyć wizytę Radiszy. Duszołap z pewnością nie uszanuje prywatności księżnej. Nigdy nie robiła tajemnicy ze swej pogardy dla tagliańskich obyczajów. Nawet Narita zdawała się gotowa zgodzić, że kiedy Protektorka miała swoje nastroje, najlepiej było zejść jej z oczu.

W tej chwili Sziki odkryła, że jej ciocia zniknęła.

– Cholera jasna, Subredil – wściekła się Narita. – Obiecałaś, że po ostatnim razie będziesz na nią jeszcze bardziej uważać.

– Strasznie przepraszam, pani. Tak się wystraszyłam. Przypuszczalnie postanowiła tylko pójść do kuchni. Kiedy zgubiła się ostatnim razem, tam właśnie szła.

Sziki już biegła na poszukiwania. Nie trwało nawet minutę, kiedy rozległ się jej głos:

– Znalazłam ją, mamó.

Kiedy obie kobiety przybyły na miejsce, zobaczyły Sauę siedzącą bez zmysłów na posadzce i wspartą plecami o ścianę – na jej podołku spoczywała mosięzna lampa, a wszystko dookoła było brudne od wymiotów.

– Och, nie! – wykrzyknęła Subredil. – Tylko nie to! – I wśród bełkotu i bezskutecznych usiłowań doprowadzenia Sauy do przytomności, jakoś zdołała zdradzić swe obawy, że być może jest ona ciężarna, gdyż została wykorzystana przez mężczyznę na stałe zatrudnionego w pałacu.

W ciągu kilku sekund Narity już nie było, rozwścieczona pobiegła szukać męża. Subredil i Sziki poszły zaraz za nią, podtrzymując Sauę między sobą. Kierowały się w stronę furki dla służby. Nikt nie zwrócił uwagi, że kobiety nie zabrały swoich Gangeszów, że nie mają nawet tego, którego Subredil zapomniała wczoraj.

Przez wzgląd na stan, w jakim znajdowała się Saua, oraz emocje targające Naritą, a wreszcie spodziewany wybuch niezadowolenia Protektorki, kobiety odebrały zarobione pieniądze, a potem odeszły, bez konieczności spotkania twarzą w twarz z którymś z pomocników Barundandiego. Znowu się udało.

Gdy zagłębiły się w kręte ulice otaczające pałac, niemal natychmiast złożyły Saue do krytego wozu ciągniętego przez woły. Subredil musiała wciąż napominać Sziki, by nie świętowała zwycięstwa nazbyt otwarcie.

38

Wszystko, co zrobiliśmy, i tak pewnie ktoś widział – zwróciłam się do zgromadzonych żołnierzy. – Kiedy rozejdzie się wieść, że Radisza zniknęła, każdy z tych ludzi coś sobie przypomni i będzie próbował pomóc. A Duszołap słynie z tego, że potrafi oddzielić ziarno od plew.

– Jak również z tego, że ma na posyłki nadprzyrodzone moce, zdolne wyłowić ten jeden konkretny ślad spośród tysiąca błędnych tropów – zadeklarował sam z siebie Wierzba Łabędź. Był obecny podczas narady, ponieważ zgodził się zaopiekować Radiszą. Kiedy się obudzi i odkryje, że na koniec jednak wpadła w ręce prześladowającego ją demona, z pewnością przyda się jej znajoma twarz.

– Macie zamiar się ewakuować czy nie? – chciał się dowiedzieć Ban Do Trang. Stary znajdował się na skraju załamania. Pracował cały czas, a wstał dobrze przed świtem.

– A możemy? – zapytałam.

– Możecie uciekać w każdej chwili, gdy sytuacja stanie się beznadziejna. Jednak minie jeszcze ładnych parę godzin, zanim barki zostaną w pełni wyposażone.

Nikt jednak nie miał ochoty uciekać. Przynajmniej nie od razu. Ludzie żyli się z sąsiadami, pożenili z ich córkami. Każdy miał jakieś niedokończone sprawy. Na tym polega życie. Ta sama sytuacja trapiła Kompanię nieustannie na całej przestrzeni jej dziejów.

– Wciąż nie udało ci się zmusić Narajana do wydania Klucza – zmieniła temat Sahra.

– Porozmawiam z nim. Rzeka już wrócił? Nie? A co z Kendo? Gdzie Kejter i Elegant?

Wszyscy nasi ludzie zajmowali się jakimiś specjalnymi zadaniami. Dobry stary Jednooki wysłał ostatnich dwu, ledwie zresztą kompetentnych, Kejtra i Eleganta, aby zabili odźwiernego Adu, Murgenowi bowiem udało

się ustalić, że to przez niego wybuchło całe zamieszanie w bibliotece. Co więcej, Adu wiedział z grubsza, gdzie mieszkam.

– Kendo Rębacz właśnie przechodzi przez sieć – poinformował mnie Jednooki. – Ardzana Drupada wygląda całkiem nieźle, jak na człowieka, który dostał kilkanaście razy nożem. Cicho.

Murgen próbował coś wyszeptać. Na zewnątrz grzmiało, z nieba sypał się grad. Nie byłam w stanie usłyszeć ani słowa.

– Murgen mówi, że zaczęło się w Semczy. Wcześniak uderzył na nich w chwili, gdy zaczęli rozbijać obóz. Dopadł ich bezbronnych.

– Cholera! – zakląłam. – Cholera, cholera, cholera!

– O co chodzi, Dziewczynko?

– Powinien poczekać, aż tamci zabiorą się do Drzewa Boodiego. W ten sposób nikt nie będzie wiedział, dlaczego ich załatwiliśmy.

– Właśnie dlatego nie masz jeszcze mężczyzny.

– Co?

– Za dużo wymagasz. Wysłałaś Wcześniaka aby zabił paru ludzi. Jeżeli nie powiedziałaś mu na wstępie, że ma to być przedstawienie, że wszyscy nasi chłopcy mają walczyć tylko lewą ręką albo co tam, to on oczywiście zrobi wszystko tak szybko, w sposób tak brudny i przy jak najmniejszym ryzyku dla naszych ludzi, jak to tylko będzie możliwe.

– Myślałam, że się domyśli...

– Myślałaś, Dziewczynko? Na tym, niewczesnym przecież, etapie swej kariery? Ty, gotowa w każdej chwili ogłosić zapisy na listę oczekujących, by móc zawiązać ci buty?

Rozgryzł mnie. I trafił w dziesiątkę. Spróbowałam zmienić temat.

– Jeśli zdecydujemy się ewakuować, będziemy musieli wysłać kogoś, aby ostrzegł Wcześniaka i ustalił miejsce spotkania.

– Nie zmieniaj tematu.

Odwrociłam się.

– Kendo. Potrzebuje pomocy medycznej?

– Drupada? Już tak bardzo nie krwawi.

– To weźcie go i przedstawcie nowemu współlokatorowi. – Fakt, że akurat Jednooki mnie załatwił, wprowadził mnie w szczególnie paskudny nastrój. Chwila wydawała się najlepsza, aby wróg zaznał go na własnej skórze. – Reszta niech zajmie się godnie Radiszą. Nie chcemy, by ludzie mogli nas oskarżyć, że złamaliśmy jej choćby paznokieć.

Rębacz pokiwał głową i wymamrotał coś po nosem.

– Hej, zbrojeńcu! – zawołałam do Generalnego Inspektora Archiwów. – Nawet nie chcę słyszeć, jak mówisz, że Czarna Kompania nie dba o swoich gości, przygotowaliśmy ci więc prywatną ludzką zabawkę. Może ma nieco dłuższe ząbki, niż lubisz, ale potrwa to tylko do czasu, aż przyjdzie Protektorka i was wypuści.

Kendo wsparł but na plecach Drupady i kopnął go. Pjurojita wtoczył się do klatki. On i Gokhale skoczyli jak oparzeni w przeciwległe jej krańce i popatrzyli na siebie z wściekłością. Ponieważ ludzka natura jest, jaka jest, każdy z nich pewnie winił drugiego za swoją sytuację.

– Teraz możesz się wyluzować – zwróciłam się do Kendo. – Zjedz coś. Prześpij się. Ale nie podchodź do dziewczyny.

– Hej, zrozumiałem od razu, Ospala. A potem jak zaczęła lunatykować, straciłem resztę wątpliwości. A więc nie przejmuj się.

– Daj mi powód, żebym nie musiała się przejmować.

– Dlaczego zwyczajnie nie ukręcimy jej łba?

– Ponieważ potrzebujemy Singha, aby otworzyć drogę przez Bramę Cienia. A on nam nie pomoże, jeżeli nie będzie miał pewności, że dobrze traktujemy Córkę Nocy.

– Właściwie nigdy dobrze nie znałem żadnego z Uwięzionych. Jeśli o mnie chodzi, nie musisz ich wyciągać.

– Musimy ich wydostać ze względu na Kompanię, Kendo. Tak samo byśmy zrobili, gdybyś to ty tam został.

– Jasne. Racja. – Kendo Rębacz był jednym z tych ludzi, którzy niezależnie od wszystkiego widzieli tylko ciemniejszą stronę każdej sprawy.

– Odpocznij trochę. – W oczekiwaniu na raport Murgena o aktualnej sytuacji w pałacu, poszłam porozmawiać z Narajanem.

Nie miałam najmniejszej ochoty uciekać, ale wiedziałam, że czas najwyższy, by Kompania ruszyła się z miejsca. Musieliśmy tylko wiedzieć, jak Duszołap zareagowała na porwanie. No i trzeba było wyciągnąć Goblina z pałacu.

Jeżeli Duszołap nie ruszy za nami w pościg niczym wyjąca tropikalna burza, naprawdę zaczną martwić się o jej zamiary.

– Dzień upłynął doprawdy miło, dziękuję, panie Singh. Niezliczone godziny planowania i odrobina natchnienia złożyły się na naprawdę

przyjemne dzieło. Jeszcze tylko jedna rzecz i ten dzień będzie można uznać za skończenie doskonały. – Wciągnęłam powietrze w nozdrza. Pachniało, jakby Jednooki i przyjaciele znowu coś pędzili. Przypuszczalnie po to, by móc zabrać trochę z sobą, gdy przyjdzie uciekać.

Kopniakiem zebrałam do kupy kilka skór z jakiegoś zwierza leżących obok prętów klatki Singha i usiadłam. Nakarmiłam go odrobiną ostatnich plotek. Powiedziałam też:

– Żaden w waszych ludzi chyba nie przejmuje się wami dwojgiem. Być może okazaliście się odrobinę zbyt tajemniczy. Żałosne, jeśli cały kult zginie tylko dlatego, że wszyscy będą po prostu siedzieć i czekać, aż ktoś im powie, co dalej robić.

– Powiedziano mi, że mogę układać się z tobą wedle własnej woli. –

Dziś wieczór nie było śladu płaszczenia się i lęku. Otrzymał skądś wsparcie. – Jestem gotów omówić z tobą kwestię posiadanego przedmiotu, jeśli otrzymam bezwzględne gwarancje, że Czarna Kompania nigdy nie wyrządzi żadnej krzywdy Córce Nocy.

– Nigdy to jest strasznie dużo czasu. Nie miałeś szczęścia. – Wstałam. – Goblin właściwie od zawsze chciał nad nią trochę popracować. Pozwolę mu chyba odciąć jej parę palców, choćby po to, żeby ci pokazać, iż wobec dawnych wrogów nie mamy nawet śladu wyrzutów sumienia czy litości.

– Zaproponowałam ci to, o co prosiłaś.

– Zaproponowałaś mi wyrok śmierci z opóźnieniem. Jeśli zgodzę się na taką bzdurę, za dziesięć lat ta wiedźma o czarnym sercu zacznie nas po kolei truć i staniemy przed tragicznym wyborem, czy dotrzymać słowa i zaakceptować śmierć, czy też złamać słowo i patrzeć, jak nasza sława wali się w gruzy. Pewna jestem, że nie znasz zbyt dobrze północnej mitologii. W jednej z ich starszych religii pewien główny bóg dał się zabić, aby uwolnić rodzinę od obietnicy, którą pochopnie złożył wrogowi, noszącemu ją później niczym żółw skorupę.

Narajan patrzył na mnie, zimny niczym kobra, czekając, aż zacznę pękać. I faktycznie zaczynałam, choćby przez to, że próbowałam wszystko wyjaśniać. Jednooki po sto razy mi powtarzał, że nie trzeba za dużo gadać.

– Po prostu nie zależy mi na tym artefakcie aż tak bardzo, by wystawiać mych ludzi na tak wielkie ryzyko, o jakie prosisz. Szczególnie zaś nie chcę podejmować żadnych zobowiązań w imieniu tych, którzy zostali pogrzebani. Z drugiej jednak strony, może ty zechcesz wziąć na siebie

jakieś zobowiązanie, zakładając oczywiście, że wyjdiesz żywy z całej sytuacji – na przykład, że nigdy odtąd nie będziesz naprzykrzał się Kompanii. Że zgodzisz się pójść do Kapitana i Porucznik i błagać o przebaczenie za porwanie ich dziecka.

Sama sugestia przejęła grozą żywą legendę Oszustów.

– Ona jest Dziecięciem Kiny. Córką Nocy. Tamci dwoje są nieważni.

– Najwyraźniej nie mamy jeszcze o czym rozmawiać. Do śniadania dostaniesz kilka paluszków.

Poszłam sprawdzić, czy Surendranat Santaraksita okazał się dobrym chłopcem i przyłożył do zadań, których realizacja – jak dałam mu do zrozumienia – mogłaby przyczynić się znacznie do złagodzenia niewygód niewoli. Ku memu zaskoczeniu zastałam go pogrążonego w pracy – z pomocą starego Baladitji tłumaczył zawzięcie to, co uważałam za pierwszy tom zagubionych Kronik. We dwójkę zapełnili już porządny stosik kartek.

– Dorabi! – powiedział Mistrz Santaraksita. – Cudownie. Twój przyjaciel z obcych krain wciąż nam powtarza, że kiedy zapełnimy tych kilka stron, nie dostaniemy więcej welinu. Chce, żebyśmy używali tego obrzydliwego zrobionego z kory materiału, jakim wciąż posługują się na bagnach.

Zanim na świecie pojawił się papier we współczesnym tego słowa znaczeniu, a także welin i pergamin, najpierw była kora. Nie mam pojęcia, z jakiego rodzaju drzewa pochodzi, wiem tylko, że delikatnie zdejmowano z niej wewnętrzne warstwy, potem suszono je i prasowano, aż otrzymywano materiał, na którym można było pisać. Aby powstała książka, składało się puste stronicie, wierciło dziurę w górnym lewym rogu stosu, a potem wiązało wszystko razem rzemykiem albo wstążką tudzież kawałkiem lekkiego łańcuszka. Ban Do Trang rzecz jasna preferował korę, ponieważ była zarówno tańsza, jak i bardziej tradycyjna i twardsza niż produkty zwierzęce.

– Porozmawiam z nim.

– Aż tak bardzo nam się nie spieszy, Dorabi.

– Mam na imię Ospała.

– Ospała to nie imię. To znamię choroby albo nieszczęścia. Wolę Dorabi. I będę mówił Dorabi.

– Mów, jak chcesz. Będę wiedziała, do kogo się zwracasz. – Przeczytałam parę stron. Miał rację. – To są jakieś nudne bzdury. Wygląda jak księga rachunkowa.

– Ponieważ głównie tym właśnie jest. Rzeczy, których chciałybyś się dowiedzieć, piszący te słowa uznawał za wiadome każdemu współczesnemu czytelnikowi. Autor nie pisał dla przyszłych pokoleń ani nawet dla tego, co miało przyjść po nim. Zapisywał zużyte hufnale, groty lanc i siodła. Wszystko, co miał do powiedzenia o stoczony bitwie, to tyle, że młodszy oficerowie oraz podoficerowie nie odnieśli się z oczekiwanym entuzjazmem do pomysłu zbierania broni zgubionej bądź porzuconej przez pokonanego wroga, woląc z tą robotą poczekać do następnego świtu. W efekcie maruderzy i okoliczni chłopcy zdołali rozgrażyć najlepsze części uzbrojenia.

– Zwróć uwagę, że autor nie zadbał nawet o to, by wymienić choćby jedno imię, osobę albo miejsce. – Zaczęłam czytać, nie czekając, aż Mistrz przerwie. Potrafiłam słuchać i czytać równocześnie, mimo iż byłam tylko kobietą.

– Podaje przebytą marszrutę i daty. Kontekst jednoznacznie sugeruje przyjęty system miar. Nietrudno go zrekonstruować. Ale co mnie najbardziej zadziwia, Dorabi, to kwestia, dlaczego przez całe nasze życie kazano nam się śmiertelnie bać tych ludzi. Nie znalazłem żadnego powodu do obaw. Księga jest kroniką oddziału rozdrażnionych małych ludzi, którym kazano wymaszerować skądś, skąd wcale nie chcieli się ruszać, dla powodów, jakich nie potrafili pojąć, w pełni przekonani, że ich nieoficjalna misja potrwa kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy. A potem będą mogli wrócić do domu. Jednak miesiące piętrzyły się w lata, a lata w pokolenia. I nigdy tak naprawdę nie zrozumieli dlaczego.

Z przetłumaczonego materiału wynikało również, że powinniśmy zrewidować nasze utrwalone przekonanie, w myśl którego Wolne Kompanie równocześnie runęły na świat w przemożnej orgii ognia i krwi. Jedyna inna kompania, o której wspominał tekst, zdążyła wrócić całe lata przed wyruszeniem Czarnej Kompanii, a po prawdzie, to wielu starszych podoficerów Kompanii służyło w stopniu szeregowego w tamtym bezimiennym oddziale.

– Powoli do mnie dociera – jęknęłam. – Przetłumaczmy to wszystko, przeczytamy wszystko, co zostało tam zapisane, i dalej nie będziemy nic

rozumieli.

– Niemniej to jest znacznie bardziej ekscytujące niżli posiedzenie badralok, Dorabi – odparł Santaraksita.

Wówczas Baladitja odezwał się po raz pierwszy:

– Czy będziemy tu musieli umrzeć z głodu, Dorabi?

– Nikt nie przyniósł wam nic do jedzenia?

– Nie.

– Zadbam o to. Nie przestraszcie się, jeśli usłyszycie, jak krzyczę. Mam nadzieję, że zasmakuje wam ryż z rybą.

Zadbałam, by ich nakarmiono, potem zaszyłam się w swoim kącie na jakiś czas. Zapoznawszy się z treścią pracy Mistrza Santaraksity, poczułam, jak ogarnia mnie przygnębienie. Niestety, niekiedy angażuję w swoje cele zbyt wiele emocji, a potem, kiedy nic nie układa się po mojej myśli, cierpię potworne rozczarowanie.

Obudził mnie Tobo.

- Jak możesz spać, Ospala?
- Chyba musiałam być zmęczona. Czego chcesz?
- Protektorka zaczęła wreszcie wkurzać się z powodu Radiszy. Ojciec chce, żebyś przyszła i zobaczyła, co się dzieje. Wtedy nie będziesz musiała dowiadywać się wszystkiego z drugiej ręki.

W tej chwili moje imię wydało mi się szczególnie stosownie dobrane. Chciałam tylko leżeć na sienniku i śnić o jakimś innym życiu.

Kłopot ze mną był taki, że niczym innym nie zajmowałam się od ukończenia czternastego roku życia. Nie potrafiłam nic innego. Chyba, że Mistrz Santaraksita gotów byłby zapomnieć urazy i z powrotem przyjąć mnie do biblioteki. Zaraz po tym, jak uda się pogrzebać Duszołap w dole głębokości piętnastu metrów, wypełnionym wrzącym ołowiem.

Przyciągnęłam sobie stołek, usiadłam między Sahrą i Jednookim, wsparłam łokcie na stole i wpatrzyłam się w mgłę, z której Murgen najwyraźniej odzywał się tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę. Jednooki wściekał się, mimo że tamten nie mógł go usłyszeć. Powiedziałam więc:

- Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że się martwisz o Goblina.
- Oczywiście, że martwię się o Goblina, Dziewczynko. Zanim poszedł tam rano, kurdupel pożyczył ode mnie lokuter transejdetyczny. Nie wspominając, że jest mi wciąż winien kilka tysięcy pai za... no nieważne, w każdym razie wisi mi mnóstwo pieniędzy.

Wedle mojej wiedzy było raczej na odwrót. To Jednooki był zawsze komuś coś winien, nawet wtedy, gdy wiodło mu się dobrze. A kilka tysięcy pai nie stanowiło bynajmniej żadnej fortuny, skoro pai stanowił ledwie ułamek jednolitej miary używanej do wyceniania klejnotów i metali szlachetnych. Potrzeba ich co najmniej dwa tysiące, aby dać równowartość północnej uncji. Ponieważ Jednooki nie wyszczególnił, czy chodzi o złoto,

czy srebro, prawdopodobnie myślał raczej o nisko cenionej miedzi. Innymi słowy, nie było tego wiele.

Tak naprawdę martwił się o swego najlepszego przyjaciela, ale nie mógł tego powiedzieć na głos, ponieważ miał za sobą stuletnią historię obrażania go publicznie.

Gdyby zaś nawet istniał taki magiczny instrument jak transejdetyczny lokuter, to Jednooki wynalazł go na godzinę przed pożyczeniem Goblinowi.

– Jeśli ten mały, brzydki gówniarz pozwoli się zabić, to chyba go uduszę – wymamrotał. – Nie może mnie zostawić samego, żebym targał ten tobół... – W tym momencie zdał sobie sprawę, że myśli na głos.

Sahra i ja odnotowałyśmy w pamięci uwagę, by sprawdzić, o co chodzi z tą metaforą toboła. Brzmiało to jak plan znakomitego interesu będącego właśnie w toku. Tajemnicze plany. Niespodzianka, niespodzianka...

Oblicze Murgena zmaterializowało się niemalże tuż przed moją twarzą.

– Duszołap straciła cierpliwość. Stado kruków właśnie przyniosło wieści z Semczy. Wściekła się. Mówi, że wywlecze Radiszę z Komnaty Gniewu, jeśli tamta nie wyjdzie za dwie minuty.

– Co z Goblinem? – warknął Jednooki.

– Ukrywa się – odparł Murgen. – Czeka na wschód słońca.

Nie chciał opuszczać pałacu w nocy, jak to zaplanowaliśmy pierwotnie. Duszołap spuściła cienie, tylko po to, by dać posmakować Taglios swego gniewu. Wystawiliśmy już kilka pułapek, przypadkowo rozsianych po prawdopodobnych dzielnicach, jednak nie oczekiwałam, że coś się złapie. Nabrzmiwało we mnie coraz silniejsze przecucie, że nieszczęście jest tuż-tuż.

Goblin miał wprawdzie przy sobie amulet odstraszący cienie, który jakoś uchował się z czasów wojen z Władcami Cienia, ale nie miał pojęcia, czy w ogóle jeszcze działa. Jako że jesteśmy tak bardzo błyskotliwi i przewidujący, nawet do głowy nam nie przyszło, żeby go wypróbować na prawdziwych cieniach, których skromnym zapasem przez jakiś czas dysponowaliśmy.

Nie można myśleć o wszystkim.

Ale trzeba się starać.

Kiedy cierpliwość Protektorki się wyczerpała i wściekła kobieta ruszyła, by wywlec Radiszę z jej kryjówki, jeden ze Strażników Królewskich

spróbował ją powstrzymać. Padł bez zmysłów pod lekkim dotknięciem. W końcu dojdzie do siebie. Protektorka nie była szczególnie mściwa. Przynajmniej dotąd.

Rozbiła drzwi wiodące do Komnaty Gniewu. I zawyła z rozpacz, zanim jeszcze kawałki drzwi spadły na posadzkę.

– Gdzie ona jest? – Siła jej gniewu zdjęła trwogą przyglądających się tej scenie.

Młodszy pomocnik podkomorzego, kłaniając się w pas i kiwając żywo głową, jęknął:

– Była tam, o Najwspanialsza!

Jeszcze ktoś inny upierał się:

– Nie widzieliśmy, żeby wychodziła. Musi tam być.

Odbijając się echem, skądś, jakby z oddali zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, dobiegł czyjś krótki śmiech.

Duszołap odwróciła się powoli, jej wzrok był niczym okrutna włócznia.

– Podejdźcie bliżej. Powtórzcie mi to. – Jej głos był rozkazujący, lodowaty, straszny. Zaglądała w jedną parę oczu po drugiej, wykorzystywała lęk, jaki wielu żywiło, myśląc, iż potrafi wyczytać najgłębsze tajemnice ludzkich myśli.

Żaden z ludzi Radisy nie zmienił swojej opowieści.

– Jazda stąd. Wynocha z apartamentów. Coś tu się stało. Nie chcę, żeby mi który przeszkadzał. Muszę się skoncentrować. – Odwróciła się znowu, powoli, wyostrzając zmysły czarownicy, aby dostrzec kształt rzeczy minionych. Okazało się to znacznie trudniejsze, niż oczekiwała. Zbyt długo leniuchowała, nie dbała o trening i straciła formę.

Odległy śmiech znowu rozbrzmiał na krótką chwilę, zdając się tym razem odrobinę bliższy.

– Ty! – warknęła Duszołap na grubą kobietę, jedną ze sprzątaczek. – Czym się zajmujesz?

– Pani? – Narita ledwie była w stanie wyskrzeczć odpowiedź. Jeszcze chwila, a straci panowanie nad pęcherzem.

– Właśnie wsunęłaś coś do lewego rękawa. Coś z ołtarza. – Pojedyncza biała świeca, niemalże już ogarek, wciąż płonęła w małej kapliczce poświęconej przodkom. – Chodź tutaj. – Duszołap wyciągnęła prawą dłoń skrytą pod rękawiczką.

Narita nie potrafiła się oprzeć. Podeszła do mrocznej kobiety, tak kształtnej i złowrogo kobiecej w swych czarnych skórach. Przyłapała się na tym, że głupio zazdrości jej tak szczupłej figury.

– Daj mi to.

Narita niechętnie wyjęła Gangeszę z rękawa. Zaczęła coś bełkotać o tym, jak to nie chciała, żeby jej przyjaciółka miała kłopoty; plotła zupełnie bez sensu, nie rozumiejąc, że gdyby nie próbowała schować Gangeszy, Protektorka niczego by nie zauważyła.

Duszołap popatrzyła na małą glinianą figurkę.

– Sprzątaczką. To należy do sprzątaczkki. Gdzie ona jest?

Odległy, szyderczy śmiech.

– Ona jest najmowana na dniówki, pani. Mieszka w mieście.

– Gdzie?

– Nie wiem, pani. Nie wydaje mi się, aby ktoś wiedział. Nikt nigdy nie pytał. To nigdy nie miało znaczenia.

Jeden z pozostałych służących odważył się powiedzieć:

– Dobrze wykonywała swoją pracę.

Duszołap nie przestawała przyglądać się Gangeszy.

– Jest w tym coś dziwnego... Teraz to już ma znaczenie. Dla mnie. Dowiedzcie się.

– Jak?

– Nie obchodzi mnie to! Wymyślcie coś oryginalnego! Ale znajdźcie ją.

– Duszołap cisnęła glinianą figurką o posadzkę. Odłamki posypały się na wszystkie strony.

Ponad podłogą zwinęło się pasemko widmowego dymu, skręciło niczym atakująca zniecka kobra, wysoka na trzydzieści centymetrów. Potem uderzyło Protektorkę.

Służący zawyli i zaczęli tratować się wzajem, próbując uciec. Nigdy wcześniej nie widzieli cienia, ale doskonale wiedzieli, do czego jest zdolny.

Śmiech był już bliższy, głośniejszy, trwał dłużej.

Duszołap sama zadziwiła wszystkich gwałtownym piskiem zaskoczenia i przerażenia, niczym młoda kobieta, która niespodzianie nastąpiła na węża. Tylko jej ubiór, a przede wszystkim zawsze otaczająca ją garść zaklęć ochronnych, sprawiły, że nie padła ofiarą własnej najokrutniejszej broni.

Ale nawet w takiej sytuacji, przez jakąś minutę, niby dziecko odganiające się od komarów, odpędzała cień z entuzjazmem starający się

położyć kres łączącemu ich związkowi. Kiedy nie udało się jej odzyskać nad nim kontroli, Duszołap w końcu go zniszczyła. Sądząc z konieczności zastosowania tak radykalnego środka, całą sprawę przygotował zaiste bystry umysł, przypuszczalnie w nadziei, że będzie zbyt rozzłoszczona, by zwracać uwagę przez ten ułamek sekundy potrzebny...

– Kobieto! Wracaj tu zaraz! – Protektorka wyciągnęła dłoń w kierunku, w którym uciekała Narita. Jakimś sposobem pojedyncze pasmo włosów kobiety przeplotło się przez palce Duszołap. W jednej chwili palce załśniły. Powietrze zaskwierczało od elektrostatyki. Pozostali służący zajęczeli i pożałowali, że nie starczyło im nerwów choćby na próbę ucieczki.

Narita pojawiła się ponownie, drobiąc krótkimi kroczkami zombi.

– Tutaj! – rzuciła Duszołap. Wskazała punkt na posadzce Komnaty Gniewu. – Pozostali... Wynocha. Szybko. – Nie musiała ich dodatkowo zachęcać. – Grubasko, opowiedz mi wszystko o istocie, która zawsze nosiła tego Gangeszę ze sobą.

– Powiedziałam ci wszystko, co wiem – zapiszczała Narita.

– Nie. Nie powiedziałaś. Zaczynaj więc mówić. Być może to ona porwała Radiszę.

Duszołap pożałowała tego, co powiedziała, w momencie gdy słowa opuściły otwór w jej hełmie.

Śmiech zabrzmiał jak diabelski rechot, dochodzący już wprost z korytarza. Głowa Protektorki, jakby szarpnięta, zwróciła się w tym kierunku. Nie wyczuła żadnego zagrożenia. Więc cała sprawa mogła chwilę poczekać.

– Nazywa się Min Subredil. – Jedyne trzydzieści sekund zajęło następnie Naricie opowiedzenie wszystkiego, co wiedziała na temat Subredil, jej córki Szikandini i jej szwagierki Sauy.

– Dzięki – warknęła Duszołap. – Nie bardzo mi pomogłaś. I za to wynagrodzę cię w odpowiedni sposób. – Prawą dłonią schwyciła grubaskę za gardło, ścisnęła.

Kiedy ciało Narity obwiło w jej uścisku, śmiech zabrzmiał raz jeszcze. Towarzyszyło mu też jakieś słowo. Ardat? A może to było Silat? A może mogło to być...? Nieważne. Duszołap nie miała zamiaru tego słuchać, nie pozwoli szydzić z siebie. Pomknęła w kierunku źródła dźwięku, ale kiedy wypadła na korytarz, w zasięgu wzroku nie było nikogo.

Zacząła wzywać strażę, Szarych, ale przypomniała sobie, że właśnie uśmierciła jedyną osobę, która prócz niej wiedziała na pewno, iż Radisza zniknęła.

Radisza zamknęła się na głucho przed światem. Tyle tylko wszyscy powinni wiedzieć. Księżna mogła żyć sobie na zawsze tuż obok, w Komnacie Gniewu. Nie musiała przecież wtrącać się w sprawy świata. Miała przecież swoją dobrą przyjaciółkę, Protektorkę, która zajmie się dla niej zarządzaniem sprawami imperium.

Kolejny wybuch śmiechu, docierającego najwyraźniej zewsząd i znikąd. Duszołap ruszyła energicznym krokiem. To jeszcze nie koniec.

Biały kruk sfrunął z mroku zalegającego pod sufitem korytarza i ciężko łopocząc skrzydłami, wylądował obok ciała grubej kobiety. Na chwilę podsunął swój dziób pod jej nozdrza, jakby szukając oddechu. Potem zniemacka odfrunął na bok, gdy jego wrażliwe uszy pochwyciły odgłos skradających się kroków.

Do komnaty wsunął się roztrzęsiony Dżaul Barundandi. Ukląkł obok kobiety. Schwycił ją za rękę. I tak zastygł, ze strumieniami łez spływającymi po policzkach, póki nie usłyszał, że Protektorka wraca, kłócąc się ze sobą chórem głosów.

40

I co o tym powiesz? – zapytałam Sahrę. – Narita próbowała cię kryć. A potem Barundandi prawie się załamał, gdy zobaczył, co się z nią stało.

Sahra uniosła palec. Myślała.

– Murgen. Co wiesz o tym białym kruku?

Murgen wahał się przez moment, nim odpowiedział.

– Nic. – Co zapewne było prawdą, aczkolwiek powinno być rozumiane również tak, że ma określone podejrzenia. Znałyśmy go dostatecznie dobrze, by to wiedzieć.

– Przypuśćmy więc, że powiesz mi, co twoim zdaniem się dzieje – ciągnęła dalej Sahra.

Murgen zniknął.

– O co tu, do diaska, chodzi? – warknęłam na Jednookiego. – Miałeś tak nastawić tę rzecz, żeby robił, co mu się powie.

– Tak też jest. Przez większość czasu. Być może po prostu zajął się realizacją wcześniejszych poleceń.

Ale w głosie starego głupca brzmiało coś, co kazało podejrzewać, iż nie ma pojęcia, co Murgen właściwie robi.

Duszołap pracowała szybko, potem wezwała wszystkich służących, obecnych przy tym, jak wtargnęła do Komnaty Gniewu.

– Nieustanne zdenerwowanie okazało się ponad siły tej nieszczęsnej kobiety. Próbowałam ją wskrzesić, ale jej dusza nie chce wrócić. Z pewnością jest bardzo szczęśliwa tam, gdzie teraz przebywa. – Nie było świadków mogących zarzucić jej kłamstwo, niemniej drwiący śmiech urągał tym słowom. – Znalazłam też Radiszę. Śpi. Wycofała się do Komnaty Gniewu i nie chce, żeby jej znowu przeszkadzano. Przez dłuższy czas woli pozostać w samotności. Powinnam wcześniej uszanować jej życzenia. Uniknęlibyśmy tego nieszczęścia. – Wskazała na ciało grubej kobiety.

Nawet służący, którzy wcześniej zaglądali do Komnaty Gniewu i nikogo nie widzieli, teraz musieli przyznać, że najwyraźniej w środku ktoś jest, ktoś, kto gniewnie chodzi w kółko, mrużąc pod nosem w sposób charakterystyczny dla Radiszy i poprzez szczeliny nieporządnie odnowionych drzwi wyglądający zupełnie tak samo jak ona.

Protektorka zaproponowała:

– Niech wszyscy w nocy odpoczną. Jutro zaczniemy naprawiać zamieszanie, jakie wywołałam. – Uważnie obserwowała swoich słuchaczy, próbując wyczuć, który z nich może narobić kłopotów.

Służba rozeszła się. Nie czuli nic prócz ulgi, że mogą znaleźć się jak najdalej od niej.

Duszołap usiadła i pogrążyła się w myślach. Nie było sposobu, aby stwierdzić, co się dzieje w jej głowie, póki nie zaczęła mamrotać szmerem mnogich głosów. Wówczas stało się jasne, że próbowała zrozumieć anatomię porwania. Jedną z ciekawszych jej zdaniem hipotez była ta, zgodnie z którą Radisza zaaranżowała wszystko sama.

Protektorka była bardzo podejrzliwa.

Po kolei odszukała i wypytała wszystkich ludzi, którzy mieli do czynienia z Min Subredil, Sauą i Szikandini, poczynając od Dżaula Barundandiego, a kończąc na Delu Mukhardzim, człowieku, któremu Barundandi zazwyczaj zlecał wybieranie popychadeł spośród pracowników najmowanych na dniówki.

– Ukróciś to – poinformowała Mukhardziego Protektorka. – Ty i ktokolwiek jeszcze w tym tkwi. Jeśli zdarzy się to jeszcze raz, wsadzę cię do szklanej kuli i powieszę nad furtką dla służby, wyróciwszy przedtem twe ciało na nice. Dodam też kilka chochlików, które pożyją na twoich wnętrznościach przez sześć miesięcy, bo tyle czasu zajmie ci umieranie. Zrozumiałeś?

Del Mukhardzi znakomicie zrozumiał groźbę. Ale dalej nie pojmował, dlaczego Protektorka chce wtrącać się w zakres jego obowiązków.

Protektorka szczerze nienawidziła korupcji.

Po jakimś czasie doszła wreszcie do tego, że trzy kobiety weszły do pałacu i że trzy kobiety zeń wyszły. Wydawało się nadzwyczaj prawdopodobne, że te trzy, które weszły, nie były tymi trzema, które wyszły. Jednak nikt wzrostu Radiszy od tego czasu nie wychodził na zewnątrz.

Co oznaczało, że człowiek znający parę odpowiedzi wciąż znajduje się w środku.

Chichocząc złośliwie, Duszołap zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu świadectw obecności dzikiego lokatora w niezamieszkanym dziczy pałacu.

Goblin spał na starym zakurzonej łóżku. Kiedy nozdrza zasysały porcję kurzu, jego chrapanie zamieniało się od czasu do czasu w parskanie i kasłanie.

Ptasi skrzek zbudził go tak gwałtownie, że aż podskoczył i omal nie stracił przytomności, tak zakręciło mu się w głowie. Rozejrzał się dookoła. Nie dostrzegł niczego. Usłyszał cichy śmiech, a potem dziwaczny, kraczący głos, który zabrzmiał niemal znajomo.

– Obudź się. Obudź. Ona nadchodzi.

– Kto nadchodzi? Kto mówi?

Nie było odpowiedzi. Nie wyczuł też obecności działania żadnej silnej magii. Ot, zagadka.

Jednak Goblin zdawał sobie doskonale sprawę, kóż może nadchodzić. Niewiele kobiet znalazłoby dość odwagi, by ścigać go tutaj pośród nocy.

Był gotów. W niewielkim plecaku miał dwie książki, które Ospała chciała ocalić najbardziej. Zabranie wszystkich trzech było fizyczną niemożliwością. Pułapki były już zastawione. Wszystko co musiał zrobić, to przejść do pustej obecnie części pałacu, którą dawno temu zajmowała Czarna Kompania, kiedy kwaterował tutaj jej sztab i kadra oficerska. Były sposoby na niezauważone wydostanie się z budowli. On i Jednooki wykryli je jeszcze w dawnych czasach. Kłopot polegał na tym, że nieszczęśliwie uśmiechało mu się przebywanie po zmroku na ulicach, nieważne czy z amuletem, czy bez.

Decydując się zakuć swe ciało w skórę i hełm, Duszołap zrezygnowała z większości wrażeń dotykowych. Nigdy nie zaznała dotknięcia, czy też oporu, jaki stawia nić pajęcza rozpięta w poprzek korytarza. Dysponowała natomiast cudownie rozwiniętym zmysłem wyczuwania grożącego niebezpieczeństwa. Zanim Gangesza uderzył o posadzkę, już wykonywała pierwsze gesty obronne. To właśnie tak czułe odruchy pozwalały istotom takim jak ona, jej siostra Pani oraz Wyjec przeżyć tak długo. Tym razem

miała już na podorędziu zaklęcia kontrolujące, wiszące wokół niej i błyszczące niczym zestaw narzędzi prosto spod igły.

Cień zamknięty wewnątrz figurki ledwie zdołał pojąć, co się dzieje, kiedy sam został zaatakowany, schwytany i poskromiony, a potem zwinięty i stłamszony w piszczącą, rozedrganą kulkę, zamkniętą w jednej z dłoni Protektorki okrytych rękawiczkami. Wesoły, młody głosik zawołał:

– Musisz lepiej się postarać.

Duszołap dalej szła przed siebie, rozbawiona pomysłem ciśnięcia cienia komuś w twarz. Ślad powoli zaczynał tracić wyrazistość, potem stał się mylący. Kolejne eksperymenty zdradziły, że przyczyn należy szukać w otoczeniu.

Korytarz obłożony został pajęczymi sieciami zaklęć tak subtelnych, że nawet ona mogła nic nie spostrzec, gdyby się bardziej spieszyła.

– Och, wy sprytne diabły. Od jak dawna to już tu jest? Aha. Widzę, że od bardzo dawna. Wciąż jeszcze byliście w łaskach. Przez cały czas się tutaj ukrywaliście? Z pewnością nie mogłam znaleźć was w mieście, jeśli nigdy stąd nie wyszliście.

I całkowicie innym głosem zapytała:

– Co my tu mamy? Pachnie, jakby za tymi drzwiami ukrywał się ktoś naprawdę bardzo przerażony. I nawet nie kłopotał się ich zamknąć. Myśli, że ja niby jestem głupia?

Czubkiem stopy pchnęła drzwi.

Gliniany Gangesza spadł w dół z miejsca między skrzydłem drzwi a ościeżnicą. Duszołap zachichotała. Ten cień złapała jeszcze szybciej i wcisnęła w drugą dłoń. Potem pchnęła drzwi do pomieszczenia.

W środku oczywiście nie było już nikogo, co łatwo dawało się wyczuć. Niemniej panowała w nim osobliwa atmosfera. Domagająca się zbadania.

Stworzyła niewielki ognik, zawiesiła go nieruchomo, a potem odwracała się powoli, odczytując przeszłość pokoiku z subtelnych wskazówek. Wiele tu się działo. Większość najnowszej historii Czarnej Kompanii ukształtowała się w tym pomieszczeniu. Dalej dominował w nim silny zapach zastarzałego strachu, którego źródło zidentyfikowała ostatecznie jako dawno zmarłego tagliańskiego nadwornego czarodzieja, Kopcia.

Wszystkie te kwestie omówiła sama ze sobą, grupą kłótliwych głosów. Pod koniec debaty wydawała się rozbawiona. Życie zazwyczaj dostarczało Duszołap wielkiej rozrywki.

– A co my tutaj mamy? – Spod zakurzonego, starego łóżka, na którym ktoś leżał jeszcze kilka minut temu, wystawało coś z literami wypisanymi atramentem na okładce. Bezmyślnie sięgnęła po przedmiot, otwierając dłoń, by go pochwycić. – Cholera! Co za głupota! – Zmarnowała kilka minut, aby odzyskać kontrolę nad cieniem. Ten okazał się bardzo żywotny. Upchnęła go w garści, w której powściągała już jednego. Oba były tam niesłychanie nieszczęśliwe. Jediną rzeczą, której cienie zdawały się nienawidzić bardziej niż żywych, były inne cienie.

Ostatecznie Duszołap znalazła księgę z połową wydartych stronic. Tylko jedną.

– A więc tutaj wylądowały. Nigdy się nie dowiedziałam, kto je zabrał. Ciekawe, po co im one?

Kiedy już miała odejść, jeszcze raz rzuciła okiem na zdewastowaną książkę.

– Zabierali te stronice po kilka za każdym razem. To musiało zająć mnóstwo czasu. Co świadczy, iż od bardzo dawna wchodzi i wychodzi swobodnie z pałacu. Skąd dalej wynika, że Radisza jednak nie stoi za własnym zniknięciem. No, dobrze. Nie ma jej. Wychodzi na jedno. Złapmy szcurka i pozwólmy mu poigrać z naszymi małymi przyjaciółmi.

W przeciwieństwie do Duszołap, Goblin nie widział w ciemnościach. Ale miał nad nią tę przewagę, że wiedział, dokąd idzie. Udawało mu się więc jakoś umykać przed pościgiem, póki nie wyslizgnął się na zewnątrz przez jedno z ukrytych wyjść. Nieco światła dawał fragment księżycowej tarczy, prześwitującej to tu, to tam, pomiędzy spieszącymi po niebie chmurami, próbującymi dogonić Matkę Burzę. Goblin położył ostatniego Gangeszę na widoku, na kamieniach bruku, potem pobiegł. Książki w plecaku boleśnie obijały mu się o plecy, pozbawiając go tchu. Wymruczał coś o dobrej wiadomości, że teraz już tylko z górki. Złe wiadomości natomiast były takie, że wokół panowały kompletne ciemności, cienie polowały swobodnie, a on nie był pewien skuteczności piętnastoletniego amuletu. Musiał trwać w nadziei, że miasto jest ogromne i garstka nocnych myśliwych wcale nie musi natknąć się na niego – tymczasem zaś dyszał ciężko, próbując zachować przewagę, jaką miał nad Duszołap.

Nie przyszło mu do głowy, że mogła odzyskać cienie, które zasadził na nią w glinianych figurkach, i że one również mogą go ścigać.

Duszołap wkroczyła w noc dostatecznie szybko, by pochwycić jeszcze ślad swej zwierzyny, zmykającej wśród cieni zalegających między budynkami położonymi po drugiej stronie otwartego terenu otaczającego pałac. Dostrzegła Gangeszę i inne drobne przedmioty, które wyglądały jak porzucone w pośpiechu. Wyrzuciła dwa swoje cienie w powietrze, a równocześnie rozgniotła obcasem glinianą figurkę. To powinno sprawić, że po piętach małego człowieczka będzie deptać stadko drobnych śmierci.

Teraz była już prawie pewna, że ściga czarodzieja zwanego Goblinem.

Wrzasnęła. Ból w stopie przekraczał wszystko, czego dotąd zaznała. Kiedy osunęła się na bruk, próbując całą siłą woli zmusić gardło do milczenia, zobaczyła trzy wściekle płonące kule światła, które smugami pomknęły w noc, ścigając cienie, które posłała za Goblinem. Wciąż zmagając się z niewiarygodnym bólem, wydobyła sztylet i czubkiem ostrza wyjęła z obcasa kolejną ognistą kulę. Mina zdołała tymczasem przegryźć ciało aż do kości i uszkodzić je prawie na wysokość kostki – pomimo normalnej ochrony, jaką miała na sobie.

– Będę kaleką – warknęła. – Oszukał mnie. Tak wszystko przygotował, żebym myślała, że będzie to kolejna łatwa pułapka z cieniem. – Teraz już w żadnym z głosów, którymi mówiła, nie było śladu rozbawienia. – Jeszcze mi za to zapłaci, mały chytry bękart.

Ognista kula odrzucona na bok przepalała się przez kamienie bruku. Dalej nie zwracając uwagi na ból, Duszołap spróbowała wstać. Przekonała się, że nie będzie w stanie iść normalnie. Mimo to jednak zupełnie nie krwawiła. Kula ognista wypaliła ranę.

– Moja ukochana siostró, jeśli nie jesteś jeszcze martwa, zabiję cię za wynalezienie tych przeklętych rzeczy.

Odpowiedział jej śmiech, odbijający się echem wśród umocnień pałacu.

Biała smuga podążyła w ślad za Goblinem.

– Myślę, że tak czy siak kogoś zabiję. – Duszołap na czworakach ruszyła w stronę wejścia, nie przestając mamrotać. Targający nią ból zamknęła w odległym zakątku umysłu, a skoncentrowała się teraz już tylko na jątrzącej wściekłości, którą spowodowały uszkodzenia jej spodni i rękawiczek powstałe w wyniku tej przygody.

41

Potrafisz w to uwierzyć? – zapytałam. – Jednakowo wkurzyło ją to, że niszczy sobie swój strój, jak to, że zgubiła Goblina i odniosła poważną ranę.

Jednooki zachichotał; odkąd Goblinowi udało się uciec, odczuwał ogromną ulgę.

– Potrafię.

– Co? Ty też?

– To są rzeczy z Północy. Wszystko, co ma na sobie, to skóra. Wy ludzie jesteście kompletnie głupi, jeśli chodzi o takie rzeczy. Musi przypuszczalnie lecieć osiem tysięcy kilometrów, gdy tylko zachce jej się nowej pary spodni. Co oznacza, że naprawdę musi uważać na talię i tyłeczek. Nie jak niektórzy... hej! Tylko bez bicia! Jesteśmy po tej samej stronie.

– Słyszysz, co ten mały zboczeniec mówi? – zapytałam Sahrę.

– Idź, zapytaj Łabędzia. – Jednooki wyszczerzył ząb. Ten, który wkrótce miał mu wypaść. – On ci powie, że ta baba ma również zalety.

Sahra była skrajnie rzeczowa.

– Co zrobimy, jeśli ona będzie zwyczajnie udawać, że z Radiszą jest wszystko dobrze? Jak wielu ludzi normalnie ogląda księżną na własne oczy? Niewielu, jak wiadomo. I nie ma już Tajnej Rady. O to zadbaliśmy. Mamy wszystkich prócz Mogaby.

– Nim również będziemy musieli się zająć – mruknął Jednooki.

– Żebyśmy nie przesadzili. Wielkiego Generała będzie trudniej dopaść niż kogokolwiek z pozostałych.

Zamyśliłam się na głos:

– Tak naprawdę wcale nie będzie musiała długo trzymać Radiszy w ukryciu. Może ze dwa tygodnie, póki nie zwoła nowej Rady, dobranej według tego, kto głośniej potrafi krzyknąć: „Tak, pani!” oraz „Jak wysoko?“, kiedy każe im skakać.

Jednooki westchnął głęboko.

– Ona ma rację. Może wcześniej powinniśmy wziąć to pod uwagę.

– Wzięłam to pod uwagę – wyjaśniłam. – Uwięzienie Radiszy wydawało mi się najlepszym wyjściem. Możemy ją wypuścić na miasto w każdej chwili, gdy Duszołap zacznie za bardzo szaleć. I ona musi zdawać sobie z tego sprawę. Nie pozwoli, by pokusa zaprowadziła ją za daleko. Przynajmniej dopóki nie wymyśli, jak sobie z nami poradzić.

– Zrobi wszystko, co będzie mogła, aby odnaleźć i odzyskać Radiszę – orzekła Sahra. – Tego akurat jestem pewna. Co mówi nam, że naprawdę musimy się pospieszyć i wydostać z miasta.

– Mam jeszcze jedną drobnostkę do załatwienia, zanim wyjedziemy – odparowałam. – Niech nikt na mnie nie czeka. Murgen, bądź kolegą i postaraj się wyjaśnić, jak to jest z tym drugim białym krukiem?

Nie czekałam na reakcję. Teraz, kiedy Goblin był już bezpieczny, miałam wielką ochotę porozmawiać z naszym nowym więźniem.

Ktoś zaiste przyłożył się i zadbał o wygody Radiszy. Nie zmuszono jej, aby weszła do klatki. Niemniej Jednooki z pewnością wyposażył ją w próbki zaklęć dławiących.

Przypatrywałam się jej przez jakiś czas, nie zdradzając własnej obecności. Kiedy Kompania przybyła za pierwszym razem do Taglios, Radisza już cieszyła się w nim znaczną reputacją. Walczyła również dobrze, jednak lata wywarły na niej swe piętno. Wyglądała teraz na starą, zmęczoną i pokonaną.

Zrobiłam krok naprzód.

– Traktowali cię dobrze, Radisza?

Obdarzyła mnie słabym uśmiechem. W jej oczach rozbłysły iskierki znamionujące równocześnie gniew i sarkazm.

– Wiem. To nie pałac. Ale bywało gorzej. Włączywszy w to łańcuchy i w ogóle brak dachu nad głową.

– I skóry zwierząt?

– Żyłam tu przez ostatnie sześć lat. Można się przyzwyczaić. – Trwało to dłużej, jednak musiałam być całkowicie precyzyjna.

– Dlaczego?

– Woda śpi, Radisza. Woda śpi. Spodziewałaś się nas. Musieliśmy wrócić.

W tej chwili wszystko stało się dla niej całkowicie rzeczywiste. Oczy rozszerzyły się.

– Widziałam cię już przedtem.

– Wiele razy. Ostatnio na terenie pałacu. A pewnego razu, dawno temu, również na terenie pałacu, z chorążym.

– Jesteś idiotką.

– Naprawdę? Możemy się przekonać, która z nas...

Wtedy rozzłościła się nie na żarty.

– To w niczym nie pomoże – poinformowałam ją. – Ale jeśli musisz się wściekać, aby poczuć się lepiej, zastanów się nad jednym. Protektorka już zdołała zataić fakt twego zniknięcia. Jedyna osoba, która wiedziała o nim z całą pewnością... nie licząc oczywiście nas, bandytów... już nie żyje. Umrą następni ludzie. A ty będziesz wydawać coraz bardziej niesłychane proklamacje, skryta pośród anonimowości swej Komnaty Gniewu. A za sześć miesięcy władza Protektorki, oparta na Szarych i tych, którym będzie wydawać się, że mogą skorzystać na przymierzu z nią, okrzepnie dostatecznie, by twoja osoba przestała się już liczyć. – Przynajmniej dopóki Duszołap będzie dogadywać się jakoś z Mogabą.

Nie wspomniałam o tym.

Radisza zaczęła mówić bardzo nieprzyjemne rzeczy o swej sojuszniczce.

Pozwoliłam jej tak ciągnąć przez chwilę, potem zaoferowałam inny slogan:

– Wszystkie ich dni są policzone.

– Co to, u diabła, ma znaczyć?

– Wcześniej czy później dopadniemy każdego, kto nam coś zrobił. Masz rację. To nie jest do końca normalne. Ale tacy właśnie jesteśmy. Wiesz, co się ostatnio działo. Tylko Protektorka i Wielki Generał pozostają jeszcze na wolności. Jednak wszystkie ich dni są policzone.

Coraz lepiej zdawała sobie sprawę z otaczającej rzeczywistości. Była jeńcem. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Nie wiedziała, jaki czeka ją los. Wiedziała tylko, że ci, którzy ją schwytali, będą mścić doznane urazy z szaleńczą zaciekłością, dokładnie tak jak obiecali, zanim popełniła pomyłkę i dała się uwieść śmiertelnym obietnicom Duszołap.

– Nie posiadasz oficjalnie uznanego potomka, nieprawdaż?

Zaskoczyła ją ta zmiana tematu rozmowy.

– Co?

– Nie istnieje żadna niekwestionowalna linia dziedziczenia.

I znowu:

– Co?

– Obecnie nie tylko ciebie trzymam w niewoli, mam tu w dłoni całą przyszłość Taglios oraz Terytoriów Tagliańskich. Nie masz dziecka. Twój brat również pozostał bezpotomny.

– Jestem już na to zbyt stara.

– Twój brat nie jest. A on wciąż żyje.

I tak ją zostawiłam, żeby miała czas pomyśleć. Z otwartymi ze zdumienia ustami.

Zastanawiałam się, czy nie odwiedzić Narajana Singha, w ten sposób zdradziłabym jednak, że nazbyt mi zależy. Poza tym też byłam zmęczona. Nie paktuje się z Oszustem, nie dysponując pełnią władz umysłowych. Sen był jedynym kochankiem, w którego ramionach naprawdę bardzo chciałam spocząć.

Grałam w tonka z Elegantem, DżoDżo i Kendo Rębaczem – bardzo ciekawa gromadka. Przynajmniej troje z nas brało swoją religię cokolwiek na poważnie. DżoDżo naprawdę nazywał się Czo Dai Czo. Był Niueng Bao i, przynajmniej teoretycznie, osobistym strażnikiem Jednookiego. Jednooki nie chciał strażnika, a DżoDżo nie chciał być strażnikiem. Zatem nie wchodzili sobie w drogę szczególnie często. Reszta z nas widywała DżoDżo równie rzadko jak Wujka Dodża.

– Cały czas kombinujecie razem, jak wyrolować biednego, głupiego chłopaka z bagien. Wiem o tym – skarżył się DżoDżo.

– Myślisz, że idę ręką w rękę z heretykiem i niewierzącym? – odparłam.

– Na nich też się zasadzisz, kiedy skończysz już ogryzać moje kości.

Miałam właśnie niesłychanie dobrą passę.

Wszyscy się wściekają, gdy ich ulubiona ofiara ma nagle szczęście.

– Pewnie przyzwyczaję się do tego, że nie będę musiała chodzić do roboty – powiedziałam. DżoDżo wyłożył szóstkę, której potrzebowałam do uzupełnienia środka pięciokartowego sekwensu. – Może to jest mój dzień.

– Zatem najwyższy czas wyjść na miasto i poszukać ci mężczyzny.

– Goblin. Wciąż żyjesz. Duszołap była tak wściekła ostatniej nocy, że pomyślałam, iż to efekt późnej kolacji, jaką zrobiła sobie z ciebie w połowie drogi do domu.

Goblin poczęstował mnie swoim szerokim, żabim uśmiechem.

– Przez jakiś czas będzie śmiesznie chodzić. Do teraz nie potrafię uwierzyć, że naprawdę na to wlaźła. – Jego uśmiech zniknął. – Myślałem trochę. Może załatwienie jej w ten sposób było błędem. Mogłem zaprowadzić ją w miejsce, gdzie trafiłaby pod krzyżowy ogień...

– Nie dałaby się na to nabrać. Prawdę mówiąc, to nie ścigała cię dalej przypuszczalnie dlatego, że coś takiego podejrzewała. Chcesz się przysiąść?

Wszyscy trzej moi partnerzy popatrzyli złowrogo. Goblin to nie był Jednooki, ale i tak nie ufali mu za grosz. Wiedzieli, z pełnym przekonaniem, jakie rodzi ignorancja, że Goblin po prostu sprytniej oszukuje. A to, że – co łatwo było stwierdzić – przegrywał więcej, niż wygrywał, stanowiło tylko część zmyłki.

Być może udało się wam zrozumieć już tyle z życia, że człowiek uwielbia tworzyć sobie przesady, których potem się trzyma i które stanowią dlań najbardziej niewzruszony autorytet w obliczu wszelkiej kontrargumentacji czy sprzeciwu.

– Nie tym razem. – Goblin potrafił zrozumieć, co się dzieje. Ale on również pewnego dnia ich dopadnie, śmiejąc się do siebie jak głupek za swymi kartami. I dobrze im tak. – Mam robotę. Wszyscy skarżą mi się na ducha, który zeszłej nocy włóczył się po magazynie. Trzeba go będzie wyrwać z korzeniami.

Dostałam do ręki przegraną z góry. Albo raczej do dupy. Rzuciłam karty.

– On sprawia, że czuję się głupio, nic nie robiąc. – Zebrałam wygraną ze stołu.

– Teraz mogłem cię skasować – zaczął narzekać Kendo.

– Dowiodłeś swej tezy. Kobiety nie potrafią grać w karty. Gdybym została dłużej przy stole, nie miałabym nawet miedziaka. A wtedy wy byście nie dostali w tym roku prezentów urodzinowych.

– W zeszłym roku też nie dostaliśmy.

– Pewnie dlatego, że musiałam grać z wami w tonka. Tak wam to rażno idzie, że naprawdę nie potrafię spamiętać, którzy z was, chłopcy, ciągle spuszczaają mi baty.

Teraz wszyscy zaczęli narzekać.

– Może mógłbym usiąść, rozegrać partyjkę lub dwie – stwierdził Goblin.

– Dobra, dobra. Lepiej pomóż Ospalej. Albo niech ona pomoże tobie. – Przestali narzekać do czasu, aż wyszliśmy poza zasięg ich głosów.

Goblin zachichotał. Ja również.

– Powinniśmy wziąć ślub – powiedział.

– Jestem dla ciebie za stara. Może Czandra Gokhale ci się spodoba.

– Czy oni doprawdy nie przypominają ci pary wygłodniałych szczurów?
– Gokhale i Drupada nie przestawali się wadzić. Ich sprzeczki nie przeszły jeszcze w żadne poważniejsze fizyczne starcia, ale tylko dlatego, że zostali

ostrzeżeni w sposób jasno określający, iż zwycięzca takiego starcia poniesie straszliwą karę.

– Może jeden zabije i zje drugiego – powiedziałam. – Jeśli będziemy mieć szczęście.

– Próżne marzenia.

– Co sądzisz o tym duchu?

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, że to dziewczyna, nie?

– Raczej nie mam wątpliwości.

– Myślisz, że ona przechodzi przez to samo co Murgen, kiedy zaczynał? Obsuwanie się w głąb czasu i te rzeczy?

– Nie mam pojęcia. Jest między nimi różnica. Nikt nigdy nie widział, co działo się z Murgenem.

– Możesz ją powstrzymać?

– Przestraszyła cię?

– Boję się, że wyjdzie na zewnątrz i przyprowadzi pomoc – więc tak.

– Oho. O tym nie pomyślałem.

– Zatem pomyśl, Goblin. Co z białym krukiem? Czy ona może być białym krukiem?

– Sądziłem, że Murgen jest białym krukiem.

Wiedział lepiej.

– Murgen jest tutaj, jest niewolnikiem od wywiadu Sahry.

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy Murgen był w tym samym miejscu i oglądał rzeczy z dwu odmiennych punktów widzenia.

– Mówi mi, że nie przypomina sobie tego, że był krukiem.

– Może dlatego, że jeszcze tego nie robił. Może to Murgen z przyszłego roku, albo skąd tam jeszcze.

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć. Taka ewentualność nie przyszła mi do głowy. A Murgen robił już wcześniej takie rzeczy.

– Z drugiej strony, osobiście nie sądzę, by to był Murgen albo ten bachor. – Wyszczrzył się w swym szerokim żabim uśmiechu. Wiedział, że tym mnie trafi.

I tak też się stało.

– Co? Ty mały szcurze. A więc kto to jest?

Wzruszył ramionami.

– Mam parę pomysłów, ale jeszcze nie jestem gotów o nich mówić. Masz Kroniki. W nich znajduje się wszystko, czego trzeba, aby odtworzyć moje rozumowanie. – Zaczął zanosić się niepowstrzymanym chichotem, zadowolony, że – można tak powiedzieć – udało mu się pobić kronikarza na jego własnym polu. – Ha, ha! – Zawirował dookoła, jakby tańczył. – Chodź, pozנעamy się trochę nad Narajanem Singhiem. Ojoj! Popatrz, kogo tu mamy. Łabędź, jesteś już, cholera, za stary, żeby nosić takie długie włosy. Chyba że masz zamiar je zaczesywać wysoko, aż przykryją łysinę na ciemieniu.

Trzymałam palec nad głową Goblina, wskazując nim w dół. Przez całe swe życie nie widziałam na niej jednego włoska.

– Miło widzieć, że twoje zakola również trochę się pogłębiają – oznajmił Łabędź. – Przypuszczalnie zbyt często bijesz głową w blat od spodu. – Wierzba popatrzył na mnie, uniósł brwi. – Wziął gandzię, czy co?

– Nic. Właśnie w końcu dotarło do niego, że wyszedł na ring z twoją dziewczyną i zwyciężył na punkty. – Jednak Łabędź zasugerował niezły pomysł, chociaż niebezpośrednio. Skoro konopie były zielskiem tak popularnym w tej części świata, byłoby dziwne, gdyby Goblin i Jednooki nie skorzystali z tej rozrywki.

Goblin zrozumiał, o czym myślę, mimo iż nie wypowiedziałam ani słowa.

– Nie mamy z tym nic wspólnego, ponieważ od tego chrzani się w głowie – poinformował mnie.

– A od moczu rzecznego bawołu, który pędzicie tam z tyłu, się nie chrzani?

– To tylko lekarstwo, Ospala. Sama powinnaś spróbować. Na pewno ci posłuży.

– Moja dieta akurat mi wystarczy, Goblin. Gdyby tylko nie było w niej ryżu i ryby.

– To właśnie próbuję powiedzieć. Zrobimy zbiórkę, kupimy sobie świnię... mniejsza co powie Saha. Nie ma nic wspanialszego niżli boczek z odrobiną fasoli...

Łabędź wprosił się do towarzystwa na naszą dwudziestodwumetrową przechadzkę do klatki Narajana.

– Ja bym się też chętnie przyłączył. Nie jadłem boczku od ponad dwudziestu lat – stwierdził.

– Cholera – rzucił Goblin. – Ty chcesz się przyłączyć? Człowieku, ty już nawet imienia nie masz. Jesteś trupem.

– Mogę pobiec do pałacu i pogrzebać pod materacem. Ostatnimi czasy nie powodziło mi się znowu aż tak źle.

– Nie chcesz za mnie wyjść, Ospała – oznajmił Goblin. – Wobec tego powinnaś wziąć ślub z Łabędziem. Pod materacem ma schowany skarb i jest, cholera, już zbyt stary, żeby cię męczyć tymi męskimi sprawami. Narajan Singh, podnieś swą kościstą, śmierdzącą gównem dupę z ziemi i gadaj ze mną.

– Ucieczka z łap śmierci musi być naprawdę mocnym dragiem – szepnęła Łabędź.

– Spodziewam się, że z tobą nie będzie inaczej, gdy osiągniesz wiek Goblina – zgodziłam się.

– Sądziłem, że tak jest w każdym wieku.

– To znaczy? – zapytałam.

– To znaczy, jak mi nie mam, że już dawno temu powinienem wyruszyć na Północ. Nic tu już dla mnie nie zostało. Powinienem był odejść, kiedy Brzeszczot i Kordek zginęli. Ale nie umiałem. I to nie tylko dlatego, że Duszołap trzymała mnie za kark.

– Hm?

– Jestem przegrany. Wszyscy byliśmy. Wszyscy trzej. Nie sprawdziliśmy się nawet jako żołnierze w starym imperium. Zdezercerowaliśmy. Dupę Brzeszczota rzucili na pożarcie krokodylom, kiedy w rodzinnym kraju odszczekiwał się kapłanom. Nigdy nie udało nam się zrealizować żadnego projektu, żadnemu z nas. Ja i Kordek przybyliśmy tutaj, ponieważ kiedy zaczęliśmy uciekać, trzeba było dużo czasu, nim się zatrzymaliśmy. Teraz nie mam już żadnych przyjaciół ani nikogo, kto by mnie zachęcił do robienia różnych rzeczy.

Nie oświeciłam go w kwestii stanu zdrowia Brzeszczota i Mafera, którzy znaleźli się pośród Uwięzionych, ale z okazji nie zrezygnowałam:

– Nie możesz nie nadawać się zupełnie do niczego. Praktycznie rzecz biorąc, od czasu jak tu przybyłeś, ciągle masz jakieś zlecenia od tagliańskich władców.

– Jestem outsiderem. Wielki, niezgrabny facet. Każdy wie, kim jestem, i każdy mnie pozna. Dlatego Protektorka czy Radisza wypychają mnie

naprzód tam, gdzie mogę zbierać baty za wszystkie ich niepopularne decyzje.

– Teraz będą musiały znaleźć sobie kogoś innego.

– Nie patrz tak na mnie. Nie zaciągnę się do Czarnej Kompanii, nawet jeśli obiecasz, że wyjdiesz za mnie i zrobisz mnie Kapitanem. Wy, chłopcy, macie los wypisany na czołach.

– To czego chcesz?

– Ja? Ponieważ nie mam jaj albo chociaż tyle młodości, by wracać do domu... a poza tym, kiedy tam trafię, domu i tak już nie będzie... A chciałbym robić to, do czego się zabraliśmy, po raz pierwszy przybywszy na miejsce. Daj mi mały browar, abym mógł spędzić resztę czasu na ułatwianiu nieco ludziom życia.

– Jestem pewna, że Goblin i Jednooki byliby szczęśliwi, mając wspólnika.

– Ci dwaj? Nie ma mowy. Wypijają połowę produktu. Upiją się, posprzeczną, a potem zaczną rzucać w siebie baryłkami...

Miał rację.

– Masz rację. Chociaż ostatnimi czasy wykazują znaczny wzrost samokontroli.

– Akurat to coś pomoże, jeśli zostaniesz zabita przez takiego pierdolca. Ten facet zawsze mnie zaskakiwał. – Miał na myśli Narajana Singha. – Wygląda jak nieważny, mały wypierdek. Na ulicach są tysiące takich samych i żaden z nich nigdy nie zrobi nic ważniejszego oprócz skonania śmiercią głodową.

– Gdybym uznała, że coś z tego będzie, jego też bym zagłodziła na śmierć. Narajan, jestem. Będziesz dzisiaj ze mną rozmawiać?

Singh uniósł wzrok. Wydawał się spokojny, nieomal pogodny. To trzeba było Dusicielom oddać – nie miewali problemów z sumieniem.

– Dzień dobry, młoda damo. Tak. Możemy porozmawiać. Postanowiłem wziąć sobie do serca twoją radę. Uciekłem się do mej bogini. I ona wyraziła zgodę na twoją suplikację. Mówiąc szczerze, zaskoczyło mnie to. Nie domagała się żadnej specjalnej klauzuli naszej umowy. W każdym razie innej niż życie i pomyślność jej głównych orędowników.

Łabędź był jeszcze bardziej zdumiony niż ja.

– Jesteś pewna, że masz tu właściwego faceta, Ospala?

– Pojęcia nie mam. Myślałam, że dalej będą się wykręcać, nawet gdy nie da się odwlekać już nic dłużej. – To wymagało odrobiny namysłu. Albo mnóstwa namysłu. I zapewne wcale niekoniecznie pozwalało ufnie spoglądać w przyszłość. – Jestem całkowicie zadowolona, Łabędź. Całkowicie. Gdzie jest Klucz?

Narajan uśmiechnął się nieomal równie paskudnie, jak czasami potrafił Jednooki.

– Zaprowadzę cię.

– Aha – mruknęłam. – Rozumiem. Komu w drogę, temu czas. Świetnie, kiedy będziesz gotów?

– Kiedy tylko dziewczyna dojdzie do siebie. Zapewne zauważyłaś, że jest chora.

– Tak, zaiste. Sądzę, że to musi być czas jej miesięcznej dolegliwości. –

Do głowy przyszła mi straszna, naprawdę potworna myśl. – Ona nie jest w ciąży, co?

Z wyrazu twarzy Singha zrozumiałam, że coś takiego w ogóle nie mieści mu się w głowie.

– To dobrze. Jednak ostatecznie nic się nie zmienia, Narajan. Póki Oszuści i Czarna Kompania spiskują razem, wy dwoje nie spotkacie się. Smutna prawda, Narajanie Singh, ale zwyczajnie ci nie ufam. A jej zaufam, gdy spocznie w grobie.

Uśmiechnął się w taki sposób, jakby posiadał jakąś tajemnicę.

– A jednak spodziewasz się, że my zaufamy tobie.

– Opierając się na powszechnie znanym fakcie, że Kompania zawsze dotrzymywała słowa. – Oczywiście to była lekka przesada.

Narajan zerknął przelotnie na Wierzbę Łabędzia. Uśmiechnął się znowu.

– Przypuszczam, że to będzie musiało mi wystarczyć.

Rozciągnęłam usta w żywym, aczkolwiek zupełnie sztucznym uśmiechu.

– Cudownie. Wchodzimy w to razem. Każę ludziom przygotować się do drogi. Daleko pojedziemy?

Uśmiech.

– Niedaleko. Kilka dni na południe od miasta.

– Ha! Gaj Zagłady. Powinnam się domyśleć.

Odprowadziłam Łabędzia na bok i przysiadłam się do chłopaków przy stole karcianym.

– Chcę, żeby syn Singha trafił tu jak najszybciej. – Nie zaszkodzi odrobina dodatkowej amunicji.

43

Od kiedy nie ma nic do roboty, nie wiem, co z sobą począć – powiedziała do mnie Sahra. Wraz z Tobo zasiadła przed szkatułką pełną mgły, wymieniając z Murgeniem posiadane informacje. Byłam zadowolona, widząc, że między matką a synem wreszcie zaczyna się układać.

– Zawsze jest robota dla tych, co zechcą zająć się pączkami, które przypomniałam wszystkim o naszym istnieniu, gdy już odejdziemy – zaproponowałam. – Zawsze należy coś spławić z prądem rzeki.

– Parafrazując Goblina: aż tak bardzo nie tęsknię za robotą, żeby naprawdę zgłaszać się na ochotnika. Coś się stało?

– Chłopcy właśnie przyprowadzili syna Singha. Facet wygląda nieźle. Przynieśli też kilka pisemnych obwieszczeń, które znaleźli na oficjalnych słupach ogłoszeniowych. Wywieszono już po odsunięciu się Radiszy.

– Co mówią?

– Głównie proponują naprawdę wysokie nagrody za każdą informację prowadzącą do ustalenia tożsamości dowolnego członka bandy wandalów, podszywających się pod żołnierzy dawno już nieistniejącej Czarnej Kompanii i wywołujących publiczne zamieszki.

– Czy ktokolwiek w to uwierzy?

– Jeśli ona będzie powtarzać to dostatecznie często. Nieważne, że opowiada bajki. Istotna jest tylko wysokość proponowanych nagród. Dookoła przecież pełno ludzi, którzy z chęcią sprzedaliby własne matki. Rozstawi na ulicy paru gnojzków rozrzucających pieniądze i chwalcących się, jak je zarobili, i ktoś, kto rzeczywiście coś wie, może się zdecydować, by obstawić zwycięski numer.

– A więc dlaczego po prostu nie wyjedziemy? Tak czy siak tutaj nie jesteśmy w stanie już wiele dokonać, nieprawdaż?

– Możemy dostać Mogabę.

– Niech świat tak myśli. Rozpuść plotkę, rozpuść serię plotek na temat Wielkiego Generała i Radiszy. Gdy będziemy się ewakuować. Kiedy

wyruszasz po Klucz?

– Nie mam pojęcia. Teraz staram się zyskać na czasie. Żeby zdążyć zawiadomić Wcześniaka.

Sahra pokiwała głową.

– Dobrze kombinujesz. Singh na pewno będzie miał coś w zanadru.

Wierzba Łabędź przyłączył się do nas z nienacka.

– Dziewczyna ma jakiś problem.

Spojrzałam na niego ponuro. Sahra również, jednak miała dość grzeczności, by zapytać:

– Córka Nocy? Jaki problem?

– Myślę, że ma napad. Znaczy się coś w rodzaju ataku.

– Świetne wyczucie czasu – warknęłam. Równocześnie Sahra krzyknęła na Tobo i Goblina. Skrzywiłam się. – A co ty robiłeś koło niej, Łabędź?

Zarumienił się trochę i powiedział:

– Hm...

– Aha, ty debilny popaprańcu! Zgubiłeś Panią. Wzdychałeś do niej przez całe lata. Potem pozwoliłeś, by jej siostrzyczka nagadała ci sprośności do uszka, przez co wydymałeś kilkanaście milionów ludzi. A teraz najwyraźniej masz zamiar pozwolić, by szczenię Pani wsadziło ci kółko do nosa, robiąc z ciebie jeszcze większego idiotę? Łabędź, jesteś naprawdę głupi i żałosny!

– Ja tylko...

– Ty tylko próbowałeś myśleć za pomocą czegoś, co na pewno nie nosi szlachetnej nazwy „mózgu”. Jakbyś był jakimś odmóżdżonym piętnastolatkiem. Ta kobieta nie jest jakąś tam milutką dziewicą, Łabędź! Ona jest gorsza niż twoje najgorsze koszmary. Chodź tu.

Podszedł. Skoczyłam z nienacka, gwałtownie, tak, jak zawsze chciałam zaskoczyć moich wujków. Czubek ostrza sztyletu wbił się odrobinę w skórę pod jego brodą.

– Naprawdę chcesz umrzeć całkiem głupią, poniżającą i bezsensowną śmiercią? To daj mi znać. Zajmę się wszystkim, tak żeby pozostali nie musieli tym razem za to płacić.

Chichot Jednookiego wypełnił przestrzeń.

– Czy ona nie jest cudowna, Łabędź? Naprawdę powinieneś wziąć ją pod uwagę i zapomnieć o tych wszystkich swoich czarnych wdowach. –

Znowu przywłaszczył sobie zapasowy wózek na kółkach Do Tranga, tym razem jednak napędzał go o własnych siłach.

– Dla ciebie również mogę zorganizować coś bezsensownego i poniżającego, starcze.

Roześmiał mi się tylko w twarz.

– Zaprosiłaś tutaj tego żołnierza, Aridatę, aby spotkał się z dawno utraconym ojcem, Ospała. Więc się nim zajmij, zamiast stać i flirtować z Łabędziem.

Czasami potrafił być naprawdę wkurzający. I uwielbiał siebie samego w tej roli. Wystarczyło dać mu punkt zaczepienia...

– Wyjaśnisz Jednookiemu, o co ci chodziło z dziewczynką – zwróciłam się do Łabędzia. – Jednooki, zajmij się wszystkim. Rozwiąż problem. Dowolną metodą oprócz zabijania jej. Singh nigdy nie da mi Klucza, jeśli zabijemy tę chudą małą... wiedźmę.

Niech to diabli. Na widok Aridaty Singha omal nie porzuciłam swego niezłomnego zamiaru odstraszenia wszystkich mężczyzn. Był wspaniały. Wysoki, proporcjonalnie zbudowany, z pięknym uśmiechem, ukazującym cudowne zęby, chociaż wyraźnie pełnym napięcia. Miał doskonałe maniery. Był dżentelmenem pod każdym względem; zarzucić mu można było jedynie pochodzenie.

– Twoja matka musiała być cudowna – powiedziałam doń.

– Słucham?

– Nic, nic. Tutaj mówią na mnie Ospała. Ty jesteś Aridata. Tyle powinno wystarczyć nam tytułem zawarcia znajomości.

– Kim wy jesteście, ludzie? Dlaczego mnie tu przyprowadziliście? – Nie wściekał się ani nie groził. Zabawne. Niewielu Taglian rozumiało, że w naszym przypadku jest to marnowanie czasu.

– Nie musisz wiedzieć, kim jesteśmy. Trafiłeś tutaj, aby spotkać się z człowiekiem, który również jest naszym więźniem. Różnica polega na tym, że ciebie wypuścimy po tym spotkaniu. Jego nie. Chodźmy.

Kilka chwil później Aridata Singh zauważył:

– Jesteś kobietą, nieprawdaż?

– Byłam, kiedy ostatni raz sprawdzałam. Jesteśmy na miejscu. To jest Narajan. Narajan! Wstawaj! Masz gościa. Narajan, to jest Aridata. Zgodnie z obietnicą.

Aridata spojrział na mnie, próbując zrozumieć. Narajan gapił się na syna, którego nie widział w życiu na oczy, i dostrzegł w nim coś, co sprawiło, że nagle zmiękł, choć tylko na moment. Ale odtąd wiedziałam już, że mam na niego haka, póki tylko będę umiała postępować tak, by rzecz nie wyglądała na próbę namawiania do zdrady Kiny.

Cofnęłam się kilka kroków i czekałam, co się stanie. Nic się nie stało. Aridata nie przestawał oglądać się na mnie. Narajan patrzył tylko. W końcu straciłam cierpliwość i zapytałam:

– Mam wysłać ludzi, żeby tu przyprowadzili również Kaaditję i Sugrivę? Oraz ich dzieci?

Narajan trochę się wystraszył, Aridata natomiast zrozumiał, dlaczego go porwano. Chodziło o rodzinę. Myślał jeszcze przez chwilę, aż wreszcie do niego dotarło. Kiedy znowu na mnie spojrzał, w jego oczach pojawiły się zupełnie inne błyski.

Odezwałam się więc:

– Nieważne, jak by się chciało, nie da się powiedzieć dużo dobrego o tym człowieku, ale nie możesz nazwać go złym ojcem. Los nigdy nie dał mu szansy na bycie ani dobrym, ani złym. – Wyjąwszy jego postępowanie względem dziewczynki, dla której zrobił wszystko, co możliwe, a która odplącała mu kompletną obojętnością. – Jest bardzo lojalny.

Aridata zdał sobie sprawę, że w ogóle nie chodziło o niego. Był tylko przynętą na Narajana Singha. Tego Narajana Singha, niesławnego przywódcę kultu Dusicieli.

Przybyły wyprostował się, podszedł naprzód i przywitał ojca w sposób oficjalny – czym całkowicie zawojował moje serce. Nie było w tym odrobiny uczucia, ale niczego też nie można było mu zarzucić

Obserwowałam ich, jak próbują znaleźć wspólny język, miejsce, od którego mogliby zacząć. I udało im się nadspodziewanie łatwo. Nigdy nie natrafiliśmy na żadne świadectwa przeczące uczuciom, jakimi Narajan Singh obdarzał swoją Lilię. Aridata również bardzo poważał matkę.

– Ten facet jest naprawdę niezły, co?

Drgnęłam zaskoczona. Nie usłyszałam żadnego odgłosu, ale tuż za mną stał Rzekołaz. Nie miał szczególnego talentu do cichego skradania się, co upewniło mnie tylko w alarmującym przeczuciu, że Aridata Singh naprawdę wywarł na mnie wrażenie.

– Tak. Zaiste. Ale do końca nie łapię czemu.

– Cóż, ja ci powiem. Przypomina mi Wierzbę Łabędzia. Facet z gruntu przyzwoity. Tylko bystrzejszy. I wciąż na tyle młody, żeby życie nie zdążyło go zbrukać.

– Rzeka! Powinieneś sam siebie posłuchać. Mówisz prawie inteligentnie.

– Nie wspominaj o tym w obecności chłopaków. Jednooki zrozumie, dlaczego nie udaje mu się oszukać mnie w tonka częściej niż co drugi raz. –

Znowu przyjrzał się Aridacie. – I przystojny jest również. Lepiej nie dopuszczaj go w pobliże twojego bibliotekarza. Zdradzi cię.

Kolejne złamane serce.

– Myślisz? Skąd...

– Nie mam pojęcia. Mogę się mylić.

– Kiedy będzie musiał wracać? Możemy go zatrzymać na całą noc?

– Przyszło ci do głowy, żeby samej sprawdzić?

Zazwyczaj Rzeką nie czepia się mnie szczególnie, wiedziałam więc, że sama musiałam się prosić.

– Nie. Nie w ten sposób. To tylko jędra we mnie wpadła na pewien pomysł. Zanim wyjdzie na wolność, przedstawimy go Radiszy.

– Teraz próbujesz się zemścić?

– Nie. Teraz pokazuję wiernemu poddanemu, że jego władczyni bynajmniej nie przebywa w pałacu. On może potwierdzić plotki, ponieważ umie powiedzieć prawdę.

– Nie zaszkodzi spróbować.

– Ty będziesz miał na oku tych dwóch. Ja pójdę pogadać z Kobieta.

Rzekołaż zmarszczył czoło. Oprócz Łabędzia nikt nie określał Radiszy tym mianem już od dawna.

– Łatwo podchwytujesz niedobre nawyki.

– Może.

45

Zastałam Radiszę pogrążoną głęboko w myślach. Nie spała, nie medytowała nawet, zwyczajnie chodziła w kółko, najprawdopodobniej dręczona bezmierną winą, wyzwoloną przez beczynność, na jaką została ostatnio skazana. Poczułam lekkie drgnienie współczucia. Ona i jej brat mogli być naszymi wrogami, jednak w głębi serca byli porządnymi ludźmi. Radzadharmę mieli we krwi.

– Proszę pani? – Rzeczywiście była godna szacunku, mimo to nie potrafiłam zmusić się do używania tytułów książęcych. – Muszę z panią porozmawiać.

Powoli uniosła wzrok. Jej oczy, nawet gdy trwała pogrążona w rozpacz, pełne były wiedzy i zainteresowania.

– Czy wszyscy członkowie mego dworu są moimi wrogami?

– Nie chcieliśmy widzieć w tobie wroga. I nawet dzisiaj honorujemy i respektujemy urząd władcy.

– Z pewnością, nie inaczej. Aby wciąż przypominać mi o moim szaleństwie. Jak ci boodyści i ich samospalenia.

– Spór między tobą a nami nie osiągnie takiego stopnia napięcia jak waśń między nami a Protektorką. Z nią nigdy nie dojdziemy do zgody. Przecież nie spuściłabyś na miasto skildirsza. Ona gotowa zrobić to w każdej chwili. A głębia trawiącego ją zła jest przeolbrzymia, ona nawet nie dostrzega niegodziwości swych czynów.

– Nie mylisz się. Masz jakieś imię? Gdyby żyła dawno temu, oddzielona od nas kilkoma setkami lat, dziś pewnie uważalibyśmy ją za boginię. Posiada moc zdolną dla kaprysu niszczyć królestwa z łatwością dziecka rozrzucającego mrowisko po to tylko, by zobaczyć panikę owadów.

– Wołają na mnie Ospala. Jestem kronikarzem Czarnej Kompanii. Jestem też tym łotrem, który stoi za większością waszych kłopotów. To, że się tu spotykamy, nie stanowi części żadnego większego planu, lecz jest

rezultatem wykorzystania nadarzającej się sposobności. Chyba jednak wyszło na to, że przechrztyliśmy samych siebie.

Radisza zaczęła wsłuchiwać się uważniej w to, co mówiłam.

– Mów dalej.

– Protektorka postanowiła, że nikt się nie dowie o twoim zniknięciu. Oficjalnie wciąż jesteś w swojej Komnacie Gniewu, gdzie oczyszczasz duszę i błagasz przodków o spokój serca oraz mądrość na nadchodzące trudne lata. Od czasu do czasu jednak robisz sobie przerwę, by ogłosić jakąś naprawdę kłopotliwą proklamację. Moi towarzysze przynieśli kilka takich. Nie potrafią czytać, więc nie kierowali się treścią. Przykłady są jednak jak najbardziej reprezentacyjne. Postaram się o więcej, jeśli ci zależy.

Radisza przeczytała najpierw proklamację o nagrodach. Była prosta i sensowna.

– Z pewnością musiała was zaniepokoić.

– Jasne.

– Ona nie ma pieniędzy. Co to jest? Dziesięcioprocentowa redukcja przydziału ryżu? Przecież nie racjonujemy ryżu. Nie musimy racjonować ryżu.

– Nie, wy nie musicie. Ale nie każdy, kto ma ochotę na ryż, może sobie nań pozwolić. A inni, którzy chętnie przestaliby go już jeść, nie mają widoków na nic innego.

– Wiesz, o co chodzi? – Radisza uderzyła w proklamację palcem wskazującym prawej ręki, jakby chciała przedziurawić ją na wylot. – Gotowa jestem się założyć. Wszystkie te obce osobowości. Przecież to tylko głosy. Możliwe też, że dyktując obwieszczenie, była w szczególnym nastroju. Te jej ataki. Kiedy głosy bez reszty chyba przejmują panowanie nad nią. Ale to nigdy nie trwa długo.

„Aha!”, powiedziała do siebie w duchu. Ciekawy trop, godny tego, by pójść za nim później.

– Masz ochotę jakoś na nie zareagować? Nie dysponuję ludźmi, którzy obeszliby całe miasto, ale potrafię zadbać, by nowe proklamacje rozwieszane zostały w najważniejszych punktach miasta.

– Jak dowiedziesz, że są prawdziwe? Każdy może wziąć kawałek wyprawionego naada i napisać coś na nim.

– Pracuję nad tym. Mamy obecnie gościa, wysoce szanowanego żołnierza z Batalionów Miejskich. Sprowadziliśmy go tutaj, żeby się spotkał z innym więźniem. Myślę, że może rozpuścić informację o tym, iż również pozostajesz u nas w niewoli.

– Interesujące. Dobrze wiesz, co ona zrobi, nieprawdaż? Dowiedzie, że blefujesz. Stworzy kopię lub iluzoryczną imitację i każe ci pokazać prawdziwą Radiszę. Czego nie zrobisz, ponieważ wcale nie chcesz zostać zabita. Zgadza się?

– Poradzimy sobie z tym. Protektorka jest w gorszej sytuacji. Nikt nie wierzy w ani jedno jej słowo. O tobie zaczęli powoli również myśleć w ten sposób, w miarę jak stawałaś się zwykłą figurantką w jej rękach. Skąd u ciebie taka nienawistna i zdradziecka postawa wobec Czarnej Kompanii?

– Nie byłam figurantką w jej rękach. Nie masz w ogóle pojęcia, ile jej zupełnie szaleńczych pomysłów zdołałam zniweczyć.

Nie powiedziałam jej, że doskonale wiem. Już rozdrażniłam ją do tego stopnia, by zaczęła mówić, ale postanowiłam jeszcze parę razy żgnąć.

– Czemu nienawidziłaś moich braci, zanim w ogóle jeszcze przyplłynęli rzeką?

– Nie nienawidziłam...

– Może wybrałam złe słowo. Niemniej podobną rzecz mam na myśli. Wszyscy kronikarze przede mną wyczuwali to doskonale i zdawali sobie sprawę, że zwrócisz się przeciwko Kompanii, gdy tylko poczujesz, iż zniknęło zagrożenie ze strony Władców Cienia. Nie miałaś na naszym punkcie takiej obsesji jak Kopeć, ale zaraziłaś się tą samą chorobą.

– Nie wiem. Przez ostatnie dziesięć lat dużo zastanawiałam się nad tym. Wszystko zaczęło się, kiedy wydałam rozkaz, aby was zaangażować. Ale Kopeć i ja nie byliśmy jedyni. Lud całego księstwa czuł to samo. Te wspomnienia z dawnej epoki, kiedy Kompania...

– Nie było takiej epoki. Problem nawet w tym, że nikt nie postarał się zapisać prawdziwej historii i ocalić dokumentów z tamtych czasów. Z naszych własnych Kronik z owych czasów udało mi się odszyfrować tylko głupie zapiski służbowe. Jedyna bardziej przerażająca bitwa, na jakiej opis natrafiłam, miała miejsce, gdy Kompania liczyła sobie już trzy pokolenia. Stoczono ją nie tak znowu daleko stąd i na dodatek Kompania poniosła klęskę. Omalże została wycięta w pień. Trzy pierwsze tomy

Kronik wpadły w ręce wroga. Od tego czasu pokrywały się kurzem na półkach w bibliotekach Taglios. Kiedy Kompania powróciła tutaj, uniemożliwiono nam dostęp do nich. Popełniano wszelkiego rodzaju szaleńcze wręcz czyny, aby księgi te nie wpadły w nasze ręce. Przez te książki ginęli ludzie. A z tego co dotąd widzę, jedynym sekretem, jaki krył się w tej całej sprawie i którego najwyraźniej trzeba było za wszelką cenę dochować, był fakt, że podczas tych pierwszych lat nie wydarzyło się nic szczególnego. Że żadną miarą nie był to wiek gwałtu i niekończącego się rozlewu krwi.

– Jak to możliwe więc, że wszyscy ludzie zamieszkujący kilkanaście księstw pamiętali coś, co nigdy nie miało miejsca, i bali się, aby nie wydarzyło się znowu?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Zapytamy Kinę, jak udało się jej tego dokonać. Na chwilę przedtem, nim ją zabijemy.

Z wyrazu twarzy Radiszy wywnioskowałam, że uważa ten pomysł za mrzonkę, podobną do tych, którymi żywiła się ona sama.

Ciągnęłam więc dalej:

– Chcesz może pozbyć się swej opętanej przyjaciółki? Chcesz razem z nami zejść z haczyka? Chcesz doprowadzić do tego, by wrócił twój brat?

– Prawdopodobnie możliwość, że Prabrindrah Drah wciąż żyje, powoli zaczynała docierać do jej umysłu.

Radisza otworzyła i zamknęła usta kilkakrotnie, nie wydając żadnego dźwięku. Nigdy nie była szczególnie atrakcyjna, a teraz wiek i obecne położenie uczyniły ją wręcz odrażającą.

Ale czy powinnam ją oceniać? Czas dla mnie również nie był szczególnie łaskawy.

– Da się to zrobić. Wszystkie te rzeczy – zapewniłam ją.

– Mój brat nie żyje.

– Nie, to nieprawda. O tym nie wie nikt spoza Kompanii. Nawet Duszołap. Ale ludzie pochyceni w pułapkę pod powierzchnią równiny lśniącego kamienia, trwają zastygli w czasie. Przynajmniej jakoś tak to wygląda. Nie rozumiem nawet podstaw zaangażowanej w to teorii mistycznej. Cała rzecz sprowadza się wszakże do tego, że wciąż tam są, że żyją i że można ich wydostać. Właśnie dobiłam targu, który zapewni posiadanie Klucza, potrzebnego do otwarcia drogi.

– Możesz sprowadzić mojego brata z powrotem.

– Kordka Mafera również.

Światło było słabe, niemniej dostrzegłam, jak jej szyja pokraśniała troszeczkę.

– Żadne tajemnice przed wami się nie uchowają, ludzie?

– Niewiele.

– Czego chcesz ode mnie?

Nigdy nie oczekiwałam, że w rozmowie z Kobieta zajdę tak daleko. Mimo reputacji, jaką się cieszyła – osoby rozsądnej, rzeczowej i niepoświęcającej uwagi mrzonkom. Tak więc, chociaż nie miałam z góry przygotowanej odpowiedzi, udało mi się szybko zaimprovizować listę życzeń.

– Możesz pokazać się w jakimś miejscu publicznym, gdzie zobaczy cię i rozpozna mnóstwo ludzi i gdzie będziesz mogła zaprzeć się Protektorki. Możesz amnestionować Czarną Kompanię. Możesz wyrzucić Wielkiego Generała. Możesz ogłosić, że przez piętnaście lat pozostawałaś we władzy złego czaru Duszołap, a teraz w końcu udało ci się uciec. Możesz znowu zrobić z nas dobrych facetów.

– Nie mam pojęcia, czy stać mnie na to. Zbyt długo bałam się Czarnej Kompanii. Wciąż się boję.

– Woda śpi – zacytowałam. – Co zrobiła dla ciebie Protektorka?

Na to Radisza nie znalazła odpowiedzi.

– Możemy sprowadzić twojego brata z powrotem. Pomyśl, jak się dzięki temu poczujesz. Radzadharna.

Ledwie panując nad swoim głosem, Radisza warknęła przez ściśnięte gardło:

– Nie wspominaj o tym! Czuję się tak, jakby wywlekano mi żywcem wnętrzności i duszono mnie nimi.

Czyli dokładnie tak, jak życzyłam jej nie raz i nie dwa, gdy znajdowałam się w mniej łaskawym nastroju.

Aridata Singh spojrział na mnie dziwnym wzrokiem.

– W ogóle nie przypomina Narajana Singha jakiego sobie wyobrazałam.

– Wizyta u jego władczyni nie wywarła na nim nawet w połowie takiego wrażenia jak spotkanie z ojcem.

– Zazwyczaj tak jest, kiedy się kogoś bliżej pozna. Rzeka, odprowadzisz go do miejsca, gdzie go znalazłeś? – Była noc, to prawda, ale wciąż dysponowaliśmy dwoma ochronnymi amuletami, które pozostały z wojen z Władcami Cienia. Ich wygląd nie budził najmniejszych zastrzeżeń. Żałowałam, że nie dysponujemy kolejną setką, ale Goblin i Jednooki nie potrafili ich już wytwarzać. Nie wiedziałam dlaczego. Nigdy nie dopuszczali mnie do swych tajemnic zawodowych. Przypuszczam, że po prostu zestarzelili się za bardzo.

Nie potrafię się nie martwić, gdy myślę o przyszłości, w której ich już nie będzie. A przyszłość bez Jednookiego nie jest bynajmniej tak odległa.

O Panie Zastępów, zachowaj go, póki Uwięzieni nie wyjdą na wolność, a wszystkie nasze boje się nie zakończą.

46

Ludzie biegali w tę i z powrotem po całym magazynie. Jedni wciąż zajmowali się szaleńczymi przygotowaniami do ewakuacji Kompanii, inni szykowali, by towarzyszyć mi oraz Narajanowi do Gaju Zagłady, skąd mieliśmy zabrać Klucz Niueng Bao. Sami Niueng Bao – wspólnicy Do Tranga oraz garstka ludzi jakoś tam powiązanych z Kompanią – zdenerwowani zajmowali się przeróżnymi rzeczami, ale najwyraźniej tylko po to, by czymś zająć ręce. Byli przerażeni i skonsternowani.

Ban Do Trang przeszedł w nocy zawał. Prognozy Jednookiego nie rokowały szczególnie pomyślnie.

– Nie twierdzę, że ona miała cokolwiek z tym wspólnego, niemniej Do Trang był pierwszym, który zrozumiał, że to dziewczyna włóczy się po nocy jako duch – zwróciłam się do Goblina.

– Po prostu był stary, Ospała. Nikt mu nic nie zrobił. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to i tak trwa to już zbyt długo. Wciąż nie chce odejść, ponieważ martwi się o Sahrę. Ale z nią już wszystko dobrze. Wygląda na to, że jej mąż naprawdę wróci wreszcie na świat. Z drugiej strony, jest zbyt stary, żeby uciekać. Duszołap znajdzie w końcu to miejsce, z pewnością niedługo po tym, jak Mogaba wróci i naprawdę zacznie szukać. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że Do Trang zwyczajnie postanowił, iż śmierć jest najlepszą rzeczą, jaką w zaistniałej sytuacji może zrobić dla wszystkich.

Myśl o odejściu Do Tranga przejmowała mnie głębokim smutkiem, przede wszystkim dlatego, że nie lubimy przecież patrzeć, gdy umierają ludzie nam bliscy, ale także ponieważ na swój cichy sposób był najlepszym przyjacielem, jakiego Kompania nie miała już od wielu pokoleń.

Jak wszyscy pozostali, próbowałam zatracić się w pracy. Dalej więc przekonywałam:

– Goblin, nawet jeśli dziewczyna jest całkowicie bez winy, chcę, żebyś uniemożliwił jej włóczenie się po nocy. Zrób wszystko, co będziesz musiał,

oprócz czegoś, co trwale ją okaleczy albo zabije.

Goblin westchnął. Ostatnio tak właśnie reagował, gdy ktoś próbował obciążyć go dodatkową pracą. Przypuszczam, że był już zbyt zmęczony żeby narzekać.

– Gdzie Jednooki?

– Hmm... – Ukradkowe spojrzenie dookoła i szept. – Nikomu nic nie mów. Myślę, że próbuje wykombinować, jak zabrać ze sobą sprzęt.

Pokręciłam głową i odeszłam na bok.

Zaraz zawołali mnie Santaraksita i Baladitja. Pogodzili się już ze swoją sytuacją i chętnie oddawali wyznaczonej pracy. Kustosz wydawał się szczególnie podekscytowany prawdziwym akademickim wyzwaniem, jakie nie przydarzyło mu się od lat.

– Dorabi, w całym tym zamieszaniu zapomniałem powiedzieć, że znalazłem odpowiedź na twoje pytanie o język pisany Niueng Bao – oznajmił. – Był kiedyś takowy. Najstarsza z tych ksiąg napisana jest antycznym dialektem tegoż języka. Pozostałe to już tylko przykłady wczesnych narzeczy tagliańskich, aczkolwiek oryginał trzeciego tomu zapisano przy użyciu obcego alfabetu, w miejsce istniejącego naonczas liternictwa rodzimego.

– Skąd wynika, że alfabet najeźdźców miał ściśle przyporządkowane jednostki fonetyczne, które w owym czasie musiały być znacznie bardziej precyzyjne od pisma tubylców. Racja?

Santaraksita zagapił się na mnie.

– Dorabi, nawet na moment nie przestajesz mnie zaskakiwać – rzekł po chwili. – Masz całkowitą rację.

– A więc odkryłeś coś ciekawego?

– Czarna Kompania przysłała z miejsca, które już w owych czasach nosiło miano równiny lśniącego kamienia, a potem przez jakiś czas błąkała się po okolicznych księstwach, pogrążona w wewnętrznych sporach na temat tego, czy konieczne jest złożenie żywotów jej żołnierzy na ołtarzu przyszłego Roku Czaszek. Wśród kapłanów towarzyszących Kompanii nastroje były niemal entuzjastyczne, lecz wśród żołnierzy była to opinia niespecjalnie popularna. Wielu z nich zaciągnęło się najwyraźniej tylko po to, by uciec z ziem zwanych Krainą Nierozpoznanych Cieni, a nie dlatego, że zależało im na bliskim końcu świata.

– Kraina Nierozpoznanych Cieni, tak? Coś jeszcze?

– Udało mi się zdobyć dużo wiarygodnych informacji na temat ceny hufnali do końskich podków cztery wieki temu oraz skąpego występowania kilku gatunków roślin o znaczeniu medycznym, które obecnie można znaleźć w każdym ogródku zielnym.

– Zaiste wstrząsający materiał. Próbuje dalej, Sri.

Z początku chciałam mu powiedzieć, że zostanie ewakuowany razem z nami, ale potem postanowiłam go nie denerwować. Najwyraźniej świetnie się bawił. Po co uświadamiać mu konieczność wyboru między uprowadzeniem a natychmiastową śmiercią.

Pojawił się Wujek Dodż.

– Do Trang chce się z tobą widzieć.

Poszłam za nim do maleńkiego kantorku, który stary stworzył dla siebie, odgradzając odległy kąt magazynu. Po drodze Dodż ostrzegł mnie, że Do Trang nie jest już w stanie mówić.

– Sahra i Tobo już go odwiedzili. Do ciebie chyba też czuje sympatię.

– W następnym życiu chcemy się pobrać. Jeśli Gunni mają rację.

– Jestem już gotów do podróży.

Przystanąłam.

– Co?

– Jadę z tobą do Gaju Zagłady.

– Ale lepiej od razu zapomnij o jakichkolwiek pomysłach na porwanie Klucza.

– Zgodziłem się pomóc. Pomogę. Chcę tam być i zadbać, żeby Oszust również dotrzymał słowa. Oszust, droga pani Ospała. Oszust. Zgodziłem się też oddać posiadany tom Ksiąg Zmarłych. Jest ukryty po drodze w tamto miejsce.

– Bardzo dobrze. Obecność Spopielającej Różdżki stanowić będzie rękojmię dla mnie i utrapienie dla wrogów.

Dodż zachichotał.

– Zaiste będzie.

– Nie wrócimy już tutaj.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Kiedy odjedziemy, zabiorę ze sobą wszystko, co chciałbym zachować. Nie musisz udawać wobec Do Tranga. Zna swą ścieżkę. Uszanuj go i uhonoruj uczciwym pożegnaniem.

Zrobiłam coś więcej. Po raz pierwszy w moim dorosłym życiu rozplakałam się. Przez całą minutę trwałam z twarzą wtuloną w pierś

starego i szeptałam podziękowania za jego przyjaźń, potem złożyłam mu zupełnie szczerą obietnicę spotkania w następnym życiu. Oczywiście w oczach mego Boga była to lekka herezja, nie sądzę jednak, by On cały czas patrzył mi na ręce.

Ban uniósł dłoń słabym gestem i gładził mnie po włosach. A potem wstałam i poszukałam miejsca, gdzie mogłam być całkiem sama ze swoim smutkiem i żalem po człowieku, z którym – jak się wydawało – nigdy nie byłam szczególnie blisko, a który jednak miał wywrzeć zdecydowany wpływ na resztę mojego życia. Wtedy też pojęłam, że kiedy me łązy przestaną płynąć, nie będę już nigdy na powrót tą samą Ospałą. I że w istocie był to jedyny testament, jaki Do Trang chciał po sobie zostawić.

Największy problem towarzyszący ewakuacji trafił Kompanię każdorazowo, kiedy po dłuższym pobycie na jednym z miejsc trzeba było zebrać manatki i ruszać w drogę. Należało wyrwać korzenie. Rozerwać więzi. Ludzie musieli porzucić żywoty, które dla siebie stworzyli.

Niektórzy zwyczajnie nie odejdą.

Inni, którzy pójdą, powiedzą komuś, dokąd się udają.

Nominalna siła Kompanii wynosiła obecnie nieco ponad dwie setki ludzi, z których jedna trzecia w ogóle nie mieszkała w Taglios, ale stworzyła dla siebie tożsamości na terenach je otaczających, aby w razie czego wspierać braci realizujących jakąś misję poza murami miasta. Z grubsza rzecz biorąc, strukturą organizacyjną przypominaliśmy konspirację Oszustów. Po części było to zamierzone, ponieważ ludzie ci spędzili dosłownie wieki na uczeniu się najbezpieczniejszych sposobów przetrwania.

Kurierzy wyruszyli wcześniej, niosąc zakodowane hasła do wszystkich naszych najdalej mieszkających towarzyszy, aby ostrzec ich, że zbliżają się kłopoty. Nikt się nie dowie, co się dokładnie dzieje, lecz tylko że coś się szykuje i że to większa sprawa. Kiedy hasła dotrą do właściwych uszu, będzie już za późno, by wszystko odkręcić.

W ślad za kurierami ruszą w końcu pozostali, grupkami na tyle małymi, by nie zwracały uwagi, rozmaicie przebrani, opuszczając Taglios w porządku, który uznałam za dopuszczalnie ryzykowny. Ostatni wyjdą z miasta ci, których znano w nim najlepiej. Wszyscy będą mijać szereg punktów kontrolnych, trafiając na kolejne miejsca zbiórki, gdzie poinformuje się ich tylko o najbliższym celu marszruty. Zasadniczo liczyliśmy jednak głównie na to, że Duszołap nie rzuci się w pościg, dopóki ci, którzy postanowili odejść, nie znajdą się dostatecznie daleko.

Ci, którzy postanowili nie odchodzić, otrzymali na to pozwolenie – pod warunkiem że dalej będą dbać o interesy Kompanii w danym miejscu.

Nieźle jest posiadać kilku agentów w mieście, które Kompania, wedle wszelkich wskazań, opuściła.

To również była taktyka stosowana przez Oszustów od pokoleń.

Dalej będą się odbywać przedstawienia z cyklu światło i dym. Działalność demona Najassi wzmoże się nawet, skupiając na sobie aktywność Szarych. Od ludzi, którzy zostawali – nie dowiem się, którzy to, ponieważ wyruszę jako jedna z pierwszych – oczekiwano, że dopilnują, aby wszystko wyglądało jak szereg przypadkowych akcji, włamań i aktów wandalizmu, które dopiero potem nabiorą charakteru przemyślanej kampanii terroru, mającej osiągnąć swój szczyt na Druga Pavi. Jeśli Duszołap połknie przynętę, zajmie się zastawianiem pułapki na ten właśnie dzień.

Jeśli nie, każda zyskana godzina, zanim Protektorka zorientuje się, że znowu postąpiliśmy w sposób całkowicie nieoczekiwany, będzie przekładać się dla mych braci na kolejne kilometry przewagi nad pościgiem. Pościgiem, który jak ufałam, przynajmniej z początku pójdzie w zupełnie niewłaściwą stronę.

Mój oddział opuszczał Taglios jako pierwszy. Wyruszyliśmy tego ranka, którego umarł Ban Do Trang. Towarzyszyli mi: Narajan Singh, Wierzba Łabędź, Radisza Drah, Matka Gota i Wujek Dodź, Rzekołaz, Iqbal Singh ze swą żoną Sjuruwidzą, dwójką starszych dzieci i niemowlęciem, a wreszcie jego brat Popłoch. Nadto wzięliśmy ze sobą kilka lekko objuczonych kóz oraz kury przytroczone do ich grzbietów, dwa osły, by Gota mogła na jednym lub drugim przejechać większość drogi, oraz wóz, ciągnięty przez woły, którym ze wszystkich sił staraliśmy się nadać wygląd przeczący ich kondycji, znacznie smutniejszy i bardziej złachmaniony. Niemalże wszyscy jakoś się przebrali. Szadar przyszygli włosy i brody, a cała rodzina włożyła ubiory Vedna. Ja pozostałam Vedna, ale stałam się kobietą. Radisza natomiast zamieniła się w mężczyznę. Wujek Dodź i Wierzba Łabędź ogolili głowy i ustroili w piórka adeptów boodyzmu. Łabędź przyciemnił skórę farbą, nic jednak nie dało się zrobić z jego niebieskimi oczyma. Gota musiała się obejść bez ozdób Niueng Bao.

Narajan Singh w niczym nie zmienił wyglądu, upodabniającego go bez reszty do tysięcy takich jak on.

Wyglądaliśmy na dziwną gromadkę, ale przecież jeszcze dziwniejsze grupy zbierały się, aby razem stawić czoło trudom podróży. Zresztą razem czas spędzać będziemy tylko wtedy, gdy przyjdzie pora na nocny spoczynek. Po drodze poruszaliśmy się rozciągnięci na przestrzeni prawie kilometra, jeden z braci Singh prowadził, drugi trzymał się z tyłu, podczas gdy Rzekołaz jechał najbliżej mnie. Bracia nieśli ze sobą instrumenty otrzymane od Goblina i Jednookiego. Jeśli Narajan, Radisza lub Łabędź oddalą się za bardzo od niewidzialnej linii łączącej jednego z drugim, na ich gardłach zaczną zaciskać się zaklęcia dławiące.

Oczywiście nikogo z tej trójki o niczym nie poinformowano. Rzekomo teraz wszyscy byliśmy już tylko sprzymierzeńcami i przyjaciółmi. Jednak niektórym z moich przyjaciół ufam bardziej niż innym.

Na Kamiennej Drodze, którą między Taglios i Dżajkurem położył jeszcze Kapitan, nikt nie zwrócił na nas uwagi. Jednak taka gromadka, z niemowlęciem, wozem zaprzężonym w woły, regularnymi kapłanami Vedny i czym tam jeszcze, to nie szpilka. Pora roku też była niezbyt właściwa. Deszcz sprawiał, że czułam się chora.

Ostatnim razem, gdy przemierzałam Kamienną Drogę, dosiadałam ogromnego czarnego ogiera, który bez pośpiechu potrafił pokonać dystans dzielący Taglios i Ghodza w ciągu jednego dnia i jednej nocy.

Cztery dni po opuszczeniu miasta od brodu Ghodza, stanowiącego pierwsze wąskie gardło naszej ucieczki, wciąż dzieliła nas odległość niepozwalająca na spokojny sen. Po południu Wujek Dodż oznajmił, że główna droga nie zaprowadzi nas już bliżej miejsca, w którym ukrył egzemplarz Księgi Zmarłych.

– O, cholera – taka była moja reakcja. – Miałam nadzieję, że to będzie chociaż trochę dalej. Jeśli ktoś nas zatrzyma, jak wyjaśnimy posiadanie woluminu?

Dodż podniósł ręce do góry w uspokajającym geście i uśmiechnął się.

– Jestem kapłanem. Misjonarzem. Wszystko zrzuć na mnie. – Mimo trudów podróży najwyraźniej był szczęśliwy. – Chodź, pomożesz mi ją wykopać.

– Co to jest? – zapytałam jakieś dwie godziny później. Dotarliśmy do miejsca, które mogło znakomicie odgrywać rolę scenografii dawnych koszmarów Murgena na temat Kiny. Wokół niego wznosiła się kilkunastometrowa drewniana palisada.

– To cmentarz. Podczas chaosu, który towarzyszył pierwszej inwazji z Ziemi Cienia, zanim jeszcze przybyła Czarna Kompania, być może także zanim jeszcze przyszłaś na świat, jedna z Armii Cienia wykorzystywała go jako obóz, a potem nekropolię. Posadzili drzewa, aby skryć groby i pomniki przed oczyma wrogów. – Zauważywszy pełen przerażenia wyraz na mojej twarzy, dodał jeszcze: – Na Południu mają zupełnie inne obyczaje grzebania zmarłych.

Wiedziałam o tym. Byłam tam przecież. Widziałam wszystko na własne oczy. Nigdy jednak w takim natężeniu, promieniującym wręcz atmosferą przygnębienia.

– To takie ponure...

– Dzięki zaklęciu, jakim zostało obłożone. Uznali, że jak już wygrają wojnę, wrócą tu i zmienią to miejsce w mauzoleum. A tymczasem chcieli trzymać ludzi z daleka.

– Mam ochotę zastosować się do ich pragnień. Dla mnie jest tu zbyt strasznie.

– Nie jest tak źle. Chodź. To nie powinno zabrać nam więcej niż kilka minut.

Zabrało trochę więcej, ale w istocie niewiele. Trzeba było tylko wyważyć drzwi jednego z bardziej cudacznym grobowców i wykopać tobolek zawinięty w kilka warstw natłuszczonej skóry.

– To miejsce warte zapamiętania – stwierdził Dodż, kiedy już wydostaliśmy się stamtąd. – Okoliczni mieszkańcy nie zbliżą się tu za nic. Ludzie z dalszych rejonów o nim nie wiedzą. Znakomita kryjówka.

– Wręcz nie mogę się doczekać okazji.

– W Gaju Zagłady również ci się spodoba.

– Byłam już tam. Też mi się nie podobało, ale wtedy za bardzo przejmowałam się Dusicielami, żeby bać się duchów czy starożytnych bogiń.

– Kolejne dobre miejsce na kryjówkę.

Nie jestem chorobliwie podejrzliwa jak Duszołap, czasami jednak mi się to zdarza. A szczególną podejrzliwość budzi we mnie małomówny stary Niueng Bao, któremu zniechęca zbiera się na pogaduszki i okazywanie życzliwości.

– Kapitan kiedyś spędził tam trochę czasu – powiedziałam. – I również nie czuł się najlepiej. O co ci właściwie chodzi?

– O co mi chodzi? Nie rozumiem.

– Doskonale rozumiesz, staruszk. Wczoraj byłam tylko kolejną dzengali, choć taką, którą musisz tolerować. Dzisiaj, zupełnie zniechęca, nieproszony dajesz mi rady. Oto dopuszczasz mnie do skarbcza zgromadzonej przez siebie wiedzy, jakbym była jakimś adeptem. Chcesz, żebym cię zastąpiła w twym dziele? – Mimo wszystko był starym człowiekiem.

– W miarę zaś jak tempo i napięcie wydarzeń zaczęły narastać, same wydarzenia toczyć się w niespodziewanym... aczkolwiek zasadniczo korzystnym... kierunku, coraz częściej i głębiej zastanawiałem się nad mądrością Hong Trej, nad zdolnością przewidywania przyszłości, jaką

zdradzała, a nawet nad jej diabelskim poczuciem humoru, i wierzę, że ostatecznie dotarło do mnie pełne znaczenie jej prorocत्व.

– Które równie dobrze mogą okazać się stekiem bzdur. Powiedz to Sahrze i Murgenowi, kiedy następnym razem ich zobaczysz. I postaraj się włożyć nieco szczerości w swe przeprosiny.

Moja próba bycia niemłą nie zbiła go bynajmniej z tropu. Trzeba było dopiero nadejścia popołudniowego deszczu, nieco wcześniejszego niżli zwykle, bardziej ulewnego, któremu towarzyszyła naprawdę wściekła burza gradowa. Niektórzy z podróżujących drogą próbowali zbierać gradowe kulki, nim zdążą stopnieć, wyskakując spośród drzew, pod którymi zostawiliśmy resztę naszej gromady, Taglianie nigdy nie widywali śniegu, a burze pory deszczowej stanowiły jedyną okazję, przy której mogli podziwiać lód – wyjąwszy tych, którzy podróżowali znacznie dalej na południe, w głąb ziem stanowiących niegdyś Ziemię Cienia, na wyżej położone obszary Danda Presz.

Zabawa kulkami gradu stanowiła zajęcie stosowne dla młodzieży. Starsi, okutani w ubiory przeciwdeszczowe, chowali się pod drzewami tak głęboko, jak tylko mogli się wcisnąć. Niemowlę płakało bezustannie. Przerażały je odgłosy grzmotów. Popłoch i Iqbal próbowali równocześnie nie spuszczać dzieciaków z oczu i obserwować obcych. Byli przekonani, że każdy spotkany na drodze może być szpiegiem wroga. Co uważałam za nastawienie jak najbardziej sensowne.

Rzekołaż przechadzał się czujnie w tę i tamtą stronę, przeklinając deszcz. To również wydało mi się całkiem sensowne.

Wujek Dodż wykonał wspaniałą robotę zręcznie przemycając swój bagaż. Usiadł obok Goty. Od razu zaczęła zrzędzić, ale bez zwykłego entuzjazmu.

Spoczęłam obok Radiszy. Teraz miała na imię Taddzik.

– Zaczynasz powoli rozumieć, dlaczego twojemu bratu życie w drodze wydało się tak atrakcyjne? – powiedziałam.

– Zakładam, że żartujesz?

– Nie do końca. Jakie były najgorsze przejścia dzisiejszego dnia? To, że zamoczyłaś stopy?

Mruknęła coś potakująco. Zrozumiała, o co mi chodzi.

– Przypuszczam, że to polityki najbardziej nie znosił. Tego, że niezależnie co sobie zamierzył, zawsze znalazło się stu egoistów chętnych

podporządkować jego wizję osobistym korzyściom.

– Poznałaś go? – zapytała.

– Niezbyt dobrze. Nie na tyle, by w rozmowie poruszać kwestie podstawowe. Ale nie był człowiekiem ukrywającym swoje poglądy.

– Mój brat? Pobyt z dala od miasta musiał zmienić go bardziej, niż sądziłam. Kiedy mieszkał w pałacu, nigdy nie obnażał swego wnętrza przed nikim. Byłoby to zbyt ryzykowne.

– W polu jego władza była zdecydowanie bardziej jednoznaczna. Nie musiał starać się o zadowolenie nikogo prócz Wyzwoliciele. Ludzie zaczęli powoli naprawdę go kochać. Poszliby za nim wszędzie. I dlatego też, gdy zwróciłaś się przeciwko Kompanii, większość z nich zginęła.

– On naprawdę żyje? Nie manipulujesz mną dla jakichś swoich własnych celów?

– Oczywiście, że tak. To znaczy manipuluję tobą. Ale równocześnie prawdą jest, że on żyje. Wszyscy Uwięzieni żyją. Właśnie dlatego opuściliśmy Taglios, mimo że zdołaliśmy wam już zdrowo zaleźć za skórę. Chcieliśmy uwolnić naszych braci, zanim przedsięwzięmiemy coś więcej.

Usłyszałam szept:

– Siostró. Siostró.

– Co?

Radisza nie odezwała się. Spojrzała na mnie badawczo.

– Ja tego nie powiedziałam.

Rozejrzałam się bacznie dookoła, niczego nie zauważyłam.

– Pewnie to szelest deszczu wśród liści.

– Mhm. – Radisza również nie była przekonana.

Trudno uwierzyć, ale naprawdę zatęskniłam za Goblinem i Jednookim.

Znowu poszukałam Wujka Dodża.

– Pani twierdziła, że jesteś pomniejszym czarodziejem. Jeżeli dysponujesz choćby iskrą talentu, wykorzystaj go, proszę, do sprawdzenia, czy nikt nas nie śledzi albo za nami nie jedzie. – Gdy tylko Duszołap zacznie nas szukać poza Taglios, ceniom i krukowi odnalezienie nas nie zabierze dużo czasu.

Wujek Dodż mruknął coś niezobowiązująco.

Przestraszyliśmy się nie na żarty dopiero rankiem kolejnego dnia, czyli dokładnie w chwili gdy mogłoby się zdawać, że mamy wszelkie powody, by patrzeć w przyszłość bardziej optymistycznie. Poprzedniego dnia udało się nam pokonać potężny kawał drogi, wokół nie dostrzegliśmy dotąd żadnych kruków, a wszystko wskazywało na to, że dotrzemy do Gaju Zagłady, zanim spadną popołudniowe ulewy. To oznaczało z kolei, iż przed zmrokiem uda nam się zakończyć nasze sprawy i wydostać stamtąd. Czułam już przepelniające mnie zadowolenie.

W perspektywie drogi wiodącej na południe pojawiła się grupa jeźdźców, kierujących się prosto na nas. Kiedy znaleźli się bliżej, wyraźnie można było dostrzec jednakowe mundury.

– Co mamy robić? – zapytał Rzeka.

– Mieć nadzieję, że to nie nas szukają. Nie przystawać. – Żołnierze w ogóle nie interesowali się podróżnymi jadącymi przed nami, aczkolwiek zmuszali wszystkich do ustąpienia im drogi. Nie poruszali się galopem, ale też nie ociągali.

Wujek Dodż podszedł do osła, który akurat nie niósł nikogo na grzbiecie. Spopielająca Różdzka spoczywała ukryta wśród gmatwaniny płótna i namiotowych kijków, składających się na bagaż zwierzęcia. Wśród bambusowych tyczek można by odnaleźć również kilka bezcennych miotaczy kul ognistych.

Zostało nam ich już naprawdę niewiele. I nigdzie nie zdobędziemy następnych, póki nie ekshumujemy Pani spod ziemi. Goblin i Jednooki sami nie potrafili ich wytwarzać – aczkolwiek Goblin przyznawał, że jeszcze choćby dziesięć lat temu nie mieliby z tym kłopotu.

Byli już zbyt starzy na wszystko, co wymagało elastyczności myślenia oraz – przede wszystkim – sprawności fizycznej. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa projektor mgły stanowił ich ostatni poważny wkład

w naszą sprawę. A i tak większość niemagicznej pracy przy jego budowie wykonały młode dłonie Tobo.

Od strony oddziału jeźdźców wypatrzyłam błysk polerowanej stali.

– Lewa strona drogi – powedziałam do Rzeki. – Wszyscy mają być po lewej stronie, kiedy trzeba będzie usunąć się im z drogi.

Ale zdecydowałam się zbyt późno. Idący w szpicie Iqbal już zdążył odskoczyć na prawo.

– Mam nadzieję, że starczy mu pomysłu, aby przeskoczyć, kiedy go miną.

– On nie jest głupi, Ospała.

– No nie wiem, przecież poszedł z nami.

– Fakt.

Oddział jeźdźców okazał się tym, czego oczekiwałam: strażą przednią większej jednostki, która z kolei była awangardą 3. Dywizji Lokalnej Armii Tagliańskiej.

3. Dywizja Lokalna stanowiła formację dowodzoną osobiście przez Wielkiego Generała. Co oznaczało, że Bóg zdecydował się postawić nas twarzą w twarz z Mogabą.

Próbowałam odpędzić myśli krążące wokół kolejnego paskudnego żartu, jaki wyciął nam Bóg. Tylko On jeden zna własne zamiary. Ja ze swej strony mogłam zadbać tylko, aby całość mego oddziału znalazła się po lewej stronie drogi. Rozluźniłam szyk jeszcze bardziej. Potem pozostało już tylko martwić się, kto z nas może zostać rozpoznany przez Mogabę bądź innych weteranów służących dostatecznie długo, by pamiętać Kiaulune albo wojny z Władcami Cienia.

Żadne z nas nie było szczególnie łatwe do zapamiętania. Kilkoro tylko służyło dostatecznie długo, by przecięły się ścieżki ich i Wielkiego Generała. To jest oprócz Wujka Dodża, Matki Goty, Wierzby Łabędzia... racja! I Narajana Singha! Narajan był bliskim sprzymierzeńcem Wielkiego Generała w czasach poprzedzających wojnę z ostatnim Władcą Cienia. Ci dwaj niezliczenie wiele razy nachylali ku sobie głowy, by knuć swe niegodziwe plany.

– Muszę zmienić swój wygląd.

– Co? – Chudy, mały Oszust zmaterializował się tuż obok, zaskakując mnie całkowicie. Jeśli potrafił tak się skradać...

– To będzie Wielki Generał Mogaba. Nieprawdaż? A on może mnie rozpoznać, mimo iż minęły lata, odkąd staliśmy twarzą w twarz po raz ostatni.

– Zdumiewasz mnie – przyznałam.

– Robię to, czego żąda bogini.

– Oczywiście. – Nie ma Boga oprócz Boga. A jednak codziennie mam do czynienia z boginią, która wywiera na moje życie wpływ znacznie bardziej namacalny. Bywały chwile, gdy musiałam wyęteżać wszystkie siły, aby nie myśleć za wiele. A w przebaczeniu swym bezmierny jest niczym ziemia. – Załóżmy, że zdobędziesz skądś jakieś inne rzeczy i zrezygnujesz z turbana? – Chociaż w jego przypadku brak jakichkolwiek zmian wydawał się rozwiązaniem idealnym. Jak już wcześniej wspominałam, Narajan Singh przypominał do złudzenia przeciętnego przedstawiciela większości mężczyzn Gunni. Przypuszczałam, że Mogaba miałby kłopoty z rozpoznanie go, nawet gdyby wcześniej byli kochankami. Chyba że Narajan czymś się zdradzi. Ale jak by się to miało stać? Był Mistrzem Oszustów, żywą legendą kultu.

– To może wystarczyć.

Singh wycofał się. Obserwowałam go, nagle pełna podejrzeń. Nie mógł być nieświadom przynależnej mu z natury anonimowości. A więc może próbował zmusić me myśli, aby krążyły po wytyczonych przez niego torach.

Żałowałam, że nie mogę po prostu poderżnąć mu gardła. Wcale nie podobało mi się to, co robił z moimi myślami. Łatwo mogłam nabawić się obsesji na punkcie tego, co naprawdę zamierza. Niemniej potrzebowaliśmy go. Bez niego nie zdobędziemy Klucza. Nawet Wujek Dodż nie wiedział do końca, czego właściwie szukamy. Nigdy nie widział go na oczy ani też nie słyszał o Kluczu, nim ten został skradziony. Miałam nadzieję, że kiedy już go zobaczy, będzie w stanie go rozpoznać.

Przez chwilę zastanawiałam się, jak to się stało, że wystarczyły mi moje gwarancje, by zdecydował się pojechać z nami, ufając, iż nie zamordujemy Córki Nocy, kiedy będą rozdzieleni.

Oddział kawalerii minął nas. Ponieważ nie wchodziliśmy im w drogę, nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi. Za nimi w odległości kilkuset metrów maszerował pierwszy batalion piechoty, wyglądający tak czysto, schludnie i imponująco, jak tylko Mogaba potrafił zmusić swych żołnierzy

podczas marszu. Usłyszałam kilka propozycji tymczasowego małżeństwa, poza tym jednak żołnierze potraktowali naszą obecność obojętnie. 3. Lokalna była zdyscyplinowaną, zawodową dywizją, niejako przedłużeniem woli i osobowości Mogaby – w niczym nie przypominała bandy obszarpanych łotrzyków, z których składała się Kompania.

Byliśmy militarnym zerem. Nie potrafilibyśmy dziś zebrać się do kupy i pokonać równorzędnej siły kalek, a co dopiero stawić czoło formacjom takim jak 3. Lokalna. Kiedy wyciągniemy Konowała spod ziemi, chyba pęknie mu serce.

Mój optymizm powoli zaczynał się rozwiewać. Podróżowaliśmy teraz znacznie wolniej, ponieważ drogę tarasowali żołnierze. Można było dostrzec już znaki przydrożne wskazujące drogę do Gaju Zagłady, wciąż jednak dzieliły nas od niego całe godziny marszu. Wóz i zwierzęta nie będą w stanie poruszać się szybko w błotnistym terenie.

Zaczęłam rozglądać się już za miejscem, gdzie moglibyśmy przeczekać deszcz, chociaż z wcześniejszych wizyt tutaj nie potrafiłam przypomnieć sobie niczego takiego. Kiedy zapytałam Wujka Dodża, ten nie okazał się w niczym pomocny.

– Przez całą drogą do Gaju nie ma żadnego poważniejszego schronienia – powiedział tylko.

– Ktoś powinien to sprawdzić.

– Masz jakieś powody, aby się martwić?

– Mamy do czynienia z Oszustami. – Nie wspomniałam, że tutaj właśnie wyznaczyłam miejsce spotkania Wcześniakowi i oddziałowi wysłanemu do Semczy. Dodż nie musiał o tym wiedzieć. Zresztą Wcześniak być może wcale jeszcze nie dotarł, jeśli musiał kryć się przed armią i patrolami Mogaby.

– Ja pójdę. Kiedy będzie to możliwe bez wzbudzania podejrzeń.

– Weź Łabędzia. Jeśli wpadniemy, to najpewniej przez niego. – Osoba Radiszy również stanowiła ryzyko, chociaż jak dotąd nie zachowywała się, jakby miała zaraz zacząć wzywać pomocy. Jednak Rzekołąz przebywał cały czas dostatecznie blisko niej, aby ścisnąć ją za gardło, gdyby choć pomyślała o głębszym oddechu.

Nie jest głupia. Jeśli postanowiła nas zdradzić, z pewnością zaczeka do chwili, gdy będzie miała jakąś szansę przeżycia tej próby.

Dodż i Wierzba Łabędź oddzielili się jakoś od kolumny na drodze, nie zwracając niczyjej uwagi, chociaż Wujek musiał zostawić Spopielającą Różdżkę. Przyłączyłam się do Rzeki i Radiszy.

– Te ziemie porządnie zagospodarowano od czasu, gdy widziałam je ostatnio – zauważyłam. – Kiedy byłam młoda, większość ziem pomiędzy Taglios a Ghodza była zupełnie opuszczona. Wioski małe i biedne, ludzie żyli dosłownie na skrawkach ziemi. W owych czasach nie było żadnych samodzielnych farm. Teraz można było dostrzec je wszędzie. Zakładali je pewni siebie i zaradni weterani albo uciekinierzy z umęczonych krain, które ongiś jęczały pod butem Władców Cienia. Wiele nowych gospodarstw skupiało się zaraz przy drodze i dlatego zejście z niej stawało się niekiedy niemożliwe.

Siły maszerujące na północ liczyły ponad dziesięć tysięcy żołnierzy, rozciągniętych na wielu kilometrach drogi, nie licząc dekonników i markietanek, którzy musieli podążać jeszcze dalej za nimi. Wkrótce stało się jasne, że nie dotrzemy do Gaju Zagłady przed deszczem, a być może nie zdążymy nawet przed zmrokiem.

Jeśli mogłabym wybierać, wolałabym nie znajdować się w pobliżu tego miejsca po zmroku. Wiele lat temu, raz jeden dotarłam tam nocą, wraz z oddziałem komandosów Kompanii wysłanych, by schwytać Narajana Singha i Córkę Nocy. Udało się nam wówczas pozabijać wielu ich przyjaciół, ta dwójka jednak uciekła. Pamiętam tylko strach i zimno, wrażenie wywoływane przez Gaj – jakby miał własną duszę, bardziej jeszcze obcą niż dusza pająka. Murgen powiedział kiedyś, że znalezienie się w tym miejscu po zmroku było równie nieprzyjemne jak wędrowanie po snach Kiny. Chociaż Gaj należał do tego świata, miał w sobie coś niesamowitego.

Próbowałam wypytać Narajana, dlaczego jego poprzednicy wybrali właśnie ten gaj na swoje najświętsze miejsce? Czym różnił się od innych w czasach, gdy ziemia nie poddawała się tak łatwo ludzkim wpływom?

– Dlaczego chcesz wiedzieć, kronikarzu? – Singh odniósł się do mojego zainteresowania podejrzliwie.

– Ponieważ jestem ciekawa z natury. Czy nigdy nie interesowało cię, skąd się biorą rozmaite rzeczy i dlaczego ludzie robią to, co robią?

– Służę bogini.

Czekałam w milczeniu. Najwyraźniej uznał, że w ten sposób zamyka sprawę, a ponieważ sama jestem poniekąd również religijna, potrafiłam zrozumieć, co przyświecało jego odpowiedzi, chociaż nie uznałam jej za satysfakcjonującą.

Parsknęłam z niesmakiem. Narajan odpowiedział chytrym uśmiechem.

– Ona naprawdę istnieje – powiedział.

– A imię jej ciemność.

– Każdego dnia możesz dostrzec skutki jej działań wokół siebie.

Nieprawda.

– Łgarstwo, mały człowieczku. Ale jeśli kiedykolwiek wyrwie się na wolność, myślę, że twoje słowa okażą się prawdziwe. – Nagle ta dyskusja zdała mi się nieznośna. Stanowisko, jakie w niej zajmowałam, zmuszało mnie do zgody na istnienie innego boga niżli mój, co zgodnie z dogmatami mojej religii miało być niemożliwe. – Nie ma Boga oprócz Boga.

Narajan znowu uśmiechnął się paskudnie.

I wtedy Mogaba zrobił jedyną dobrą rzecz, za jaką kiedykolwiek miałam mu być wdzięczna. Pojawiwszy się we własnej osobie, oszczędził mi ekwilibrystycznej i kłopotliwej gimnastyki myślowej, którą musiałabym skutecznie, aby w jakiś sposób nadać Kinie status upadłego anioła strąconego w otchłań. Wiedziałam, że da się to zrobić. Konstytutywne elementy mitologii Kiny można było na siłę uzgodnić z dogmatami jedynie słusznej wiary, nawet jeśli tylko wtórnie i nieco kosmetycznie, a ja skończyłam przecież kurs akrobatyki religijnej na tyle elegancki, by wzbudzić ukłucie dumy w sercach moich nauczycieli z lat dzieciństwa.

Mogaba i jego sztab znajdowali się mniej więcej w trzech czwartych długości kolumny. Wielki Generał jechał wierzchem, co było niespodzianką. Nigdy przedtem nie widziałam go na grzbiecie zwierzęcia. Jeszcze większe zaskoczenie wzbudzał jego wierzchowiec.

Był to jeden z czarnych ogierów czarodziejskiego chowu, które Kompania przywiozła ze sobą z Północy. Do niedawna sądziłam, że wszystkie dawno padły. A przynajmniej nie widziałam żadnego od czasów wojen o Kiaulune. A ten nie tylko nie był martwy, ale najwyraźniej cieszył się nadzwyczajnym zdrowiem. Mimo swego wieku. Wydawał się też najwyraźniej znudzony sposobem podróży.

– Nie gap się – zwrócił mi uwagę Rzeka. – Ludzie interesują się tymi, którzy nimi się interesują.

– Myślę, że możemy sobie pozwolić na kilka spojrzeń. Mogaba z pewnością uważa, że na nie zasłużył. – Mogaba wyglądał pod każdym względem jak Wielki Generał i potężny wojownik. Był wysoki i idealnie proporcjonalnie zbudowany, dobrze umięśniony, pięknie odziany, na błysk wyczesany. Niemniej włosy przyprószone siwizną nadawały mu wygląd starszy niż wówczas, gdy ujrzałam go pierwszy raz, zaraz po tym, jak Kompania przechwyciła Dżajkur z rąk Cienia Burzy. W owym czasie w ogóle nie miał włosów na głowie, którą wolał golić tuż przy samej skórze. Wydawał się mieć dobry humor, co w przeszłości zdarzało się raczej rzadko, skoro wszystkie jego plany brały w łeb, gdyż Kapitan – z pozoru najzupełniej przypadkowo i chaotycznie – robił zawsze tę jedną jedyną rzecz, która mogła pokrzyżować mu szyki.

Kiedy Wielki Generał zrównał się z nami, jego wierzchowiec znenacka parsknął i szarpnął głową, a potem lekko przysiadł na zadzie, jakby właśnie wypłoszył węża spod kopyt. Mogaba zaklął, mimo iż nawet na moment nie stracił równowagi w siodle.

Z nieba rozległ się śmiech. A zaraz za nim sfrunął biały kruk i przysiadł dokładnie na szczycie drzewca niesionego przez osobistego chorążego Wielkiego Generała.

Wciąż przeklinając, Mogaba nie zauważył, że jego wierzchowiec mijając mnie, odwrócił głowę, aby mi się przyjrzeć.

Ten cholerny zwierzak mrugnął do mnie.

Zostałam rozpoznana. Bestia musiała być tą właśnie, na której jechałam tak dawno temu, przez tyle setek kilometrów.

Zaczynałam powoli stawać się nerwowa.

Ktoś ze straży przybocznej Mogaby posłał ptakowi strzałę. Nie trafił. Strzała spadła niedaleko Popłocha, który krzyknął gniewnie, zanim zdążył pomyśleć. A Wielki Generał zwrócił swe niezadowolenie na łucznika.

Koń nie przestawał patrzeć na mnie. Zdławiłam w sobie pragnienie natychmiastowego rzucenia się do ucieczki. Może uda mi się jeszcze jakoś wykaraskać...

Biały kruk wyskrzeczwał coś, co mogło być szeregiem słów, niemniej w moich uszach brzmiało niczym zwykły jazgot. Wierzchowiec Mogaby podskoczył, próbując strząsnąć z siebie doznaną obrazę. Spojrzał przed siebie i ruszył truchtem. Dzięki temu przestali zwracać uwagę na nas – nędzników wędrujących na południe.

Wszyscy oprócz Sjuruwidży Iqbala wbili wzrok w ziemię i starali się maszerować nieco szybciej. Wkrótce najgorsze niebezpieczeństwo mieliśmy za sobą. Zajęłam miejsce obok Łabędzia. Wciąż był tak zdenerwowany, że jąkał się, próbując mi opowiedzieć dowcip o gołębiach, które przybyły obsiąć Wielkiego Generała, mimo iż ten wciąż żył.

Ponad naszymi głowami rozległ się śmiech. Kruk, wysoko na niebie, był niemal niedostrzegalny na tle zbierających się chmur. Żałowałam, że nie mam obok siebie kogoś, kto wyjaśniłby mi jego poczynania.

Od lat kruki nie były dla Kompanii znakiem pomyślnym. Ale ten najwyraźniej wyświadczył nam przysługę.

Czy to może być Murgen z jakiegoś innego czasu?

Murgen obserwował nas z pewnością, ale z tym krukiem nie sposób było się porozumieć. A więc może tak...

Jeśli tak, to spotkanie, które właśnie się zdarzyło, również dla niego było zapewne przygodą i musiał zdawać sobie sprawę, że gdyby nas schwytano, jego szanse na wydostanie się malały do zera.

50

Ta krótka przygoda z Wielkim Generałem spowodowała, że nie udało się nam niepostrzeżenie zejść z drogi, póki deszcz nie zaczął padać tak ulewnie, iż skrył nas przed wszystkimi prócz znajdujących się całkiem blisko. I dopiero dzięki temu mogliśmy zrobić to, co chcieliśmy. Nasz zorganizowany marsz zmienił się w żalosną, nieskładną ucieczkę. Tylko Narajan Singh zdradzał pragnienie dotarcia do Gaju. Ale i on się nie spieszył. Mimo iż nieczęsto zdarzało mi się poszczycić empatyczną wrażliwością, już zaczynałam żałować dzieci Iqbala.

Łabędź zauważył rzecz oczywistą:

– Singh będzie miał przewagę, jeśli doprowadzi nas na miejsce wkrótce po nastaniu nocy.

– Ciemność zawsze nadchodzi.

– Hę?

– Mądrość Oszustów. Ciemność to ich czas. A ciemność zawsze nadchodzi.

– Nie wydajesz się tym specjalnie zmartwiona. – Trudno było dosłyszeć, co mówi. Deszcz lał jak z cebra.

– Martwię się, chłopie. Byłam tu już przedtem. Nie jest to miejsce, które określiłbyś jako miłe. – Nie potrafiłam przekazać mu tego w sposób dostatecznie dobitny. Gaj Zagłady był jądrem ciemności, łęgowskim wszelkiej beznadziei i rozpacz. Wpijał się w duszę. Chyba że było się wierzącym. Ci, dla których stanowił miejsce święte, nie miewali takich kłopotów.

– Miejsca to tylko materialne konfiguracje przedmiotów, Ospala. To ludzie bywają dobrzy lub źli.

– Zmienisz zdanie, kiedy dotrzemy na miejsce.

– Powoli zaczynam podejrzewać, że chyba najpierw utonę. Musimy to znosić?

– Jeśli znajdziesz gdzieś jakiś dach, będę szczęśliwa, mogąc się pod nim schronić. – Potężna nawałnica zaczęła właśnie szermować grotami błyskawic. Nie minie dużo czasu, a spadnie grad. Żałowałam, że nie mam porządniejszego nakrycia głowy. Choćby jednego z tych szerokich bambusowych kapeluszy, które rolnicy Niueng Bao noszą podczas pracy na poletkach ryżowych.

Nie potrafiłam dostrzec już nikogo prócz Rzekołaza i Radiszy. Jechałam więc za nimi, w nadziei, że oni z kolei podążają za kimś innym. Ufając, że nikt nie straci głowy i się nie zgubi. Przynajmniej nie dziś w nocy. Pozostawało przeświadczenie, że chłopcy z Semczy znajdowali się tam, gdzie się ich spodziewałam.

Kiedy zaczął padać grad, z ciemności wyłonił się Iqbal. Pochylił się, próbując unikać żądał pocisków. Ja zrobiłam to samo. Pomogło niewiele.

– Na lewo, w dół zbrocza – krzyknął Iqbal. – Jest tam zagajnik jakichś roślin wiecznie zielonych. Lepsze to niż nic.

Łabędź i ja rzuciliśmy się w tę stronę. Kule gradu zaczynały się stawać coraz większe i były gęściej, w miarę jak głośniej grzmiało, a błyskawice były bliżej. Przynajmniej jednak temperatura powietrza spadała.

We wszystkim istnieje jaśniejsza strona.

Ślizgałam się, przewracałam, toczyłam, lecz w końcu wpadłam z impetem między drzewa. Wujek Dodź i Gota oraz Rzeko i Radisza byli już na miejscu. Iqbal okazał się optymistą. Nie nazwałabym tych przeklętych ogigli drzewami. Zwykle krzaczki cierpiące na przerost ambicji. Żaden nie miał nawet trzech metrów wysokości; aby schronić się pod nimi, trzeba było położyć się w kałużach i mokrej, kłującej ściółce. Jednak ich gałęzie osłabiały najgorsze uderzenia gradowej burzy, które z trzaskaniem i wyciem przedzierały się przez igły. Otworzyłam już usta, aby spytać o zwierzęta, ale wtedy usłyszałam beczenie kóz.

Poczułam się winna. Nie przepadam za zwierzętami. Jak tylko mogłam, unikałam wywiązywania się z przypadającej na mnie kolejności opieki nad nimi. Grad wpadał pod gałęzie i zacinał z boku. Łabędź schwycił jedną szczególnie okazałą kulkę, otrzepał z ziemi, pokazał mi, uśmiechnął się i wsadził do ust.

– To jest życie – powiedziałam. – Kiedy jesteś z Czarną Kompanią, każdy dzień zamienia się w raj na ziemi.

– To by mogło być znakomite hasło werbunkowe – odparł.

Jak zwykle bywa, burza poszła w końcu dalej. Wypełzliśmy z kryjówki, policzyliśmy obecnych i okazało się, że nie brakuje nawet Narajana Singha. Żywy święty Dusicieli naprawdę nie chciał nas opuścić. Księga musiała być dla niego rzeczywiście ważna.

Deszcz przeszedł w lekką mżawkę. Wygramoliliśmy się z błota. Kiedy formowaliśmy szyk, wielu miało parę rzeczy do zakomunikowania swoim ulubionym bogom. Teraz nie rozciągaliśmy się już zanadto, wyjąwszy Wujka Dodża, któremu udało się zniknąć w terenie pozbawionym prawie osłony.

Przez następną godzinę natrafialiśmy na kolejne znaki, które rozpoznawałam z opisu w Kronikach Konowała i Murgena. Nie przestawałam wypatrywać Wcześniaka oraz jego towarzyszy. Ani śladu. Miałam nadzieję, że to raczej dobry znak.

Najwyraźniej im później się robiło, tym otoczenie stawało się w oczach Narajana Singha coraz miłsze. Obawiałam się już, że uśmiechnie się naprawdę i tym sposobem ściągnie na nas klątwę. Zastanawiałam się nawet nad wspomnieniem imion jego dzieci, aby wiedział, że nie przestaję o nim myśleć.

Moje umiejętności wróżebne okazały się niezawodne. Do Gaju dotarliśmy o zmierzchu. Wszyscy byliśmy w żalonym stanie. Niemowlę nie mogło przestać płakać. Ja nabawiłam się pęcherzy od chodzenia w przemoczonych butach. Nikt z wyjątkiem Narajana nie miał zamiaru już nic robić. Każdy chciał tylko paść gdzieś na ziemię, podczas gdy ktoś inny rozpali ogień, przy którym można się wysuszyć i przygotować ciepły posiłek.

Narajan nalegał, abyśmy dotarli do świątyni Oszustów położonej pośrodku Gaju.

– Tam będzie sucho – namawiał.

Jego propozycja nie wzbudziła szczególnego entuzjazmu. Chociaż ledwie przekroczyliśmy granice Gaju, już otaczała nas jego woń. Nie był to miły zapach. Zastanawiałam się, o ileż musiał być gorszy w czasach największego rozkwitu kultu Oszustów, kiedy często i licznie mordowali tu ludzi.

Miejsce miało swój niepowtarzalny charakter, było niesamowite, przeraźliwe. Gunni winą za to z pewnością obciążyliby Kinę, ponieważ

wedle ich legend tu spadł jeden z fragmentów jej rozczłonkowanego ciała, czy coś w tym stylu. A równocześnie rzekomo pozostawała uwięziona w zaczarowanym śnie, w jakimś miejscu równiny lśniącego kamienia, na lub pod jej powierzchnią. W religii Gunni duchy nie istniały. Inaczej niż w naszej, Vedna. Albo u Niueng Bao. Dla mnie ten las nawiedzały dusze wszystkich ofiar, które pomarły tutaj dla uciechy Kiny, dla jej chwały, czy też dla jakiegoś innego powodu, z którego Oszuści zabijali.

Gdybym tylko o tym wspomniała, Narajan albo jeden z głębiej wierzących Gunni z pewnością poruszyłby kwestię rakszasów, tych złośliwych demonów, tych paskudnych jeźdźców nocy, zazdroszczących i bogom, i ludziom. Rakszasowie mogli udawać, że są duchami tych, którzy odeszli, choćby tylko po to, by przysporzyć więcej udręki żyjącym.

– Niezależnie czy nam się to podoba czy nie, Narajan ma rację – rzekł Wujek Dodż. – Powinniśmy zająć najlepsze dostępne schronienie. Tam nie będziemy mniej bezpieczni niż tutaj. A przynajmniej nie będzie nam dokuczać ta wstrętna mżawka. – Deszcz po prostu nie chciał przestać padać.

Spojrzałam na niego uważnie. Był stary, zmęczony i z pewnością miał mniej powodów, by namawiać do dalszej drogi, aniżeli któryś z młodszych. A więc musiał mieć jakieś inne racje. Musiał coś wiedzieć.

Z Dodżem było tak zawsze. Skłonić go, żeby się tą wiedzą podzielił – oto sztuka!

To jednak ja dowodziłam. Nadszedł czas, by podjąć niepopularną decyzję.

– Ruszamy dalej.

Narzekania, narzekania, narzekania.

Bliskość świątyni dawała się we znaki jeszcze bardziej niżli atmosfera panująca w Gaju. Nie miałam najmniejszych kłopotów ze zlokalizowaniem jej, mimo iż w ciemnościach nie można było nic dostrzec. Łabędź podszedł bliżej i zapytał:

– Jak to się stało, że nigdy nie zniszczyliście tego miejsca, póki byliście u szczytu?

Nie rozumiałam pytania. Jednak Narajan, który szedł tuż przede mną usłyszał i zrozumiał.

– Próbowali. Nie raz. Odbudowywaliśmy je, kiedy nikt nie patrzył. – I zaczął deklamować bełkotliwie jakąś pochwałę swej bogini, która zawsze

strzegła budowniczych. Brzmiało to niczym przemówienie werbownika. Nie potrafił przestać, póki Popłoch nie trzepnął go bambusowym kijem.

To był jeden z tych kijów, chociaż Narajan nie mógł o tym wiedzieć. Gaj stanowił miejsce niezwykle mroczne, doskonałe na zasadzkę cieni. Popłoch postanowił zadbać o ciszę w naszych szeregach.

Ciągle zastanawiałam się, jakie też niegodziwości obmyśla obecnie Duszołap, mając Taglios zupełnie bezbronne u swych stóp.

Miałam nadzieję, że ludzie, którzy zdecydowali się pozostać, zrealizowali wyznaczone im zadania, zwłaszcza to polegające na ponownym przeniknięciu do pałacu. Należało zjednać sobie Dżaula Barundandiego i wciągnąć w całą sprawę dostatecznie głęboko, by nie mógł się wycofać, gdy gniew ustąpi miejsca rozsądkowi.

51

Niemowlę nie przestawało płakać, wtulając twarzyczkę w piersi matki, bynajmniej nie po to by się najeść. Ten głos denerwował wszystkich. Każdy, kto życzył nam źle, nie miałby najmniejszych kłopotów ze znalezieniem nas. My z kolei nie usłyszelibyśmy nic przez odgłosy płaczu i szum wody ściekającej z obciążonych gałęzi drzew. Rzeka i Singhowie z Kompanii nie wypuszczali broni z rąk. Wujek Dodź wydobyl Spopielającą Różdżkę i obnażył stal, nie dbając o to, że może zardzewieć.

Zwierzęta były równie przerażone jak dziecko. Kozy beczwały i nie chciały iść dalej. Osły robiły się coraz bardziej uparte, jednak Matka Gota знаła kilka sztuczek skłaniających odporne juczne bydlęta do marszu. Sztuczki te głównie opierały się na zadawaniu bólu.

Deszcz nawet na chwilę nie przestawał padać.

Narajan Singh objął prowadzenie. Znał drogę. To był jego dom.

Wyczuwałam przed nami obecność świątyni grozy, chociaż nawet nie potrafiłam jej dojrzeć. Sandały Narajana poświstywały na liściach nasączonych wodą. Wsłuchiwałam się z uwagą w otaczające odgłosy, ale nie usłyszałam żadnych obcych dźwięków, póki Wierzba Łabędź nie zaczął mamrotać pod nosem, łajając siebie samego za pójście za jedynym oryginalnym pomysłem, jaki kiedykolwiek wpadł mu do głowy. Gdyby go zlekceważył, siedziałby teraz przy kominku w swoim domu, słuchając płaczu rodzonych wnuków, zamiast znosić trudy cechujące wszystkie tajemnicze wyprawy, podczas których najlepszą rzeczą, jakiej można się spodziewać, jest utrzymanie się przy życiu dłużej niż pozostali. Potem zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Ospała, brałaś kiedyś pod uwagę przyłączenie się do tego małego gówniarza?

Gdzieś w oddali zahukała sowa.

– Którego? I dlaczego?

– Narajana. Po to, by sprowadzić Rok Czaszek. Wtedy moglibyśmy w końcu się wygodnie i odpocząć, zamiast włóczyć się po deszczu i wśród całego tego gówna.

– Nie. Nie brałam.

Sowa zahukała ponownie. W jej głosie brzmiał zawód.

Odpowiedział jej szyderczy głos przypominający kruczy śmiech.

– Ale po to przecież Kompania w ogóle przyszła tutaj, no nie? Aby sprowadzić koniec świata?

– Najwyraźniej dotyczyło to tylko starszych rangą oficerów. Ale nie gości, którzy musieli wykonać całą robotę. Ci, nie mieli może nawet zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. A wymaszerowali z wojskiem, ponieważ pozostanie w domu stanowiło wybór zdecydowanie mniej przyjemny.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nauczyłem się tego na własnej skórze. Ostrożnie. Te schody są bardziej śliskie niż natłuszczone sowie gówno.

On również słyszał naradzające się ptaki. To było przysłowie z Północy, które gubiło nieco sensu w tłumaczeniu.

Padało czy nie, kozy i osły jednoznacznie odmówiły podejścia choć odrobinę bliżej do świątyni Oszustów, przynajmniej do czasu, aż w jej wejściu rozbłysło światło. Pochodziło od pojedynczej starej lampy oliwnej, ale w tych ciemnościach zdawało się nieomal jaskrawe.

– Narajan wiedział od razu, gdzie szukać, no nie? – zauważył Łabędź.

– Obserwuję go. Ani na chwilę nie spuszczam z niego oka. – Cokolwiek dobrego mogło przyjść z obserwowania Oszusta.

Szczerze mówiąc, najbardziej liczyłam na Wujka Dodża. Oszukać jego będzie dużo trudniej. Sam był starym oszustem. Ja w swej roli sztukmistrza musiałam trzymać się tylko tego, co umiem, a więc wymyślania paskudnych podstępów i pisanie o tym, jak przebiegała ich realizacja.

Kiedy wchodziłam do świątyni, coś zatrzepotało ponad moją głową. Sowa albo kruk, nie spojrzałam dość szybko, by się przekonać.

– Rozglądajcie się uważnie dookoła, póki wszystkiego nie sprawdzę – zwróciłam się do Popłocha i Iqbala. – Dodż, Łabędź, chodźcie ze mną. I tak wicie więcej o tym miejscu niż reszta.

Nieco z boku Rzeka i Gota przeklinali na czym świat stoi, próbując odzyskać panowanie nad kozami. Synowie Iqbala zasnęli jak stali, obojętni

na siąpiący wciąż deszcz.

Narajan zagroził mi drogę, zanim zdążyłam dać więcej niż kilka kroków do wnętrza.

– Najpierw muszę dopełnić rytuału konsekracji. W przeciwnym razie sprofanujesz święte miejsce.

To nie było moje święte miejsce. Nie dbałam więc o jego profanację. W istocie sam pomysł wydawał mi się interesującą rozrywką – zanim znowu zburzę to miejsce, tym razem zrównując je z powierzchnią ziemi. Jednak musiałam przecież ustąpić przed jego życzeniami. Przynajmniej na jakiś czas.

– Dodż, nie spuszczaaj z niego oka. Popłoch, ty też. – Gdyby żywy święty Oszustów zdecydował się coś kombinować, mógł potraktować go odpowiednio w każdej chwili swoim bambusem.

– Zawarliśmy porozumienie – przypomniał mi Narajan. Wydawał się lekko zbity z tropu. I to bynajmniej nie moim zachowaniem. Wciąż wszędzie wtykał nos, jakby szukał czegoś, co powinno tu być, czego jednak nie potrafił znaleźć.

– Ty zajmij się wypełnieniem swojej części umowy, człowieczku. – Wysłałam na zewnątrz, w mżawkę, która zmieniła się w coś w rodzaju gęstej mgły osiadającej grubymi kroplami.

– Ospała – wyszeptał Iqbal ze swego miejsca u podstawy schodów. – Zobacz, co znalazłem.

Ledwie go usłyszałam. Dziecko nie przestawało zawodzić. Cierpliwa Sjuruwidza tuliła je i nuciła kołysankę. Sama ledwie wyszła z wieku dziewczęcego i podejrzewałam, że nie była zbyt bystra. Nie potrafiłam sobie wyobrazić szczęścia kobiety żyjącej takim życiem, jednak Sjuruwidza zdawała się zadowolona, mogąc iść tam, dokąd uda się Iqbal. Lekki wiatr poruszał gałęziami drzew Gaju.

– Co? – Oczywiście nie potrafiłam dostrzec niczego. Zeszłam po stopniach świątyni w wilgotną, mokrą ciemność.

– Tutaj. – Wepchnął coś w moje ręce.

Fragmenty materii. Świetnej materii, niczym jedwab, sześć czy siedem skrawków, każdy obciążony na jednym z rogów.

Uśmiechnęłam się prosto w oblicze nocy. Prychnęłam cicho. Moja wiara w Boga odzyskała swą moc. Demonica znowu zdradziła swe dzieci. Wcześniak dotarł do Gaju na czas. Teraz znajdował się gdzieś tam pośród

ciemności, kryjąc nas, gotów sprawić Narajanowi kolejną okropną niespodziankę. Czułam się znacznie bardziej pewna siebie, kiedy wróciłam do środka i krzyknęłam na Narajana:

– Dawaj tu swoją kościstą dupę, Singh. Kobiety i dzieci marzną na zewnątrz.

Narajana trudno byłoby określić szczęśliwym świętym. Czegokolwiek szukał, ukrywając to pod pozorami chronienia świątyni przed bezczeszczącą obecnością niewiernych, najzwyczajniej nie potrafił znaleźć.

Kusiło mnie, by cisnąć mu zdobyte rumle. Powstrzymałam się. Tylko by się rozżłościł, a może nawet zechciał wycofać z umowy.

– Miałeś dość czasu, aby konsekrować cały ten przeklęty las na wypadek obecności niewiernych, nie uważasz? – zapytałam tylko. – Zapominasz, jak okropnie jest tu na zewnątrz?

– Powinnaś ćwiczyć się w cnocie cierpliwości, kronikarzu. To cecha niezwykle przydatna zarówno w twoim, jak i moim zawodzie. – Powstrzymałam się przed poinformowaniem go, że byliśmy dość cierpliwi, by go znowu nabrać. Wtedy na moment zdradził swoje rozdrażnienie. Rzucił coś na posadzkę. Trudno powiedzieć, żeby naprawdę stracił panowanie nad sobą, jednak po raz pierwszy widziałam go w stanie innym niż całkowity spokój, w chwili gdy przecież powinien być panem sytuacji. Skinął na mnie i wyszeptał coś pod nosem. I wierzę, że wzywał imienia bogini swej nadaremno.

Obecna świątynia stanowiła ledwie cień miejsca, które niegdyś odwiedzili Konował i Pani. Posąg bóstwa był drewniany, nie wyższy niż półtora metra i nadto niedokończony. Leżące przed nim dary wotywnie stare i nędzne. Budynek nie roztaczał już wokół siebie tej złowieszczej, ponurej atmosfery miejsca, w którym poświęcono wiele żywotów ludzkich. Dla Oszustów nastąpiły ciężkie czasy.

Narajan nie ustawał w swych poszukiwaniach. Nie potrafiłam się zmusić, by złamać mu serce i powiedzieć, że przyjaciele, których oczekiwał, pewnie trafili na przyjaciół, których ja się spodziewałam. W każdym związku należy zadbać o odrobinę tajemnicy.

– Powiedz mi, gdzie możemy się swobodnie ulokować, a gdzie wolałbyś, żebyśmy nie wchodzili, a ja zadbam, by inni honorowali twoje życzenia.

Singh spojrział na mnie tak, jakby właśnie wyrosła mi dodatkowa głowa.

– Ostatnimi czasy dużo myślałam – wyjaśniłam. – Przez jakiś czas będziemy najprawdopodobniej współpracować. Będzie dla wszystkich łatwiej, jeśli wzajemnie podejmiemy wysiłek szanowania obyczajów i filozofii drugiego.

Oszust zmył się jak niepyszny. Zabrał się do rozpalania ognia i wskazywania ludziom, gdzie mogą się rozłożyć. Wnętrze świątyni nie było wcale aż takie obszerne. Niewiele miejsca zostanie dla nas.

Singh nie odwracał się do mnie plecami ani na moment.

– Przestraszyłaś go na dobre – poinformował mnie Rzekołąz. – Teraz resztę nocy spędzi plecami do ściany, starając się nie spać.

– Mam nadzieję, że pomoże mu w tym moje chrapanie. Iqbal, nie rób tego. – Głupiec naprawdę zaczął pomagać Matce Gocie zabierającej się do gotowania. Stara przy garnkach to była prawdziwa katastrofa. Już miała zakaz gotowania dla kogokolwiek z Kompanii. Potrafiła zagotować wodę i nadać jej taki smak, że mogło zemdląć.

Iqbal uśmiechnął się i cały świat mógł wyczytać, że powinien rychło zwrócić się do Jednookiego w sprawie bolącego zęba.

– Ogień będzie dla mnie.

– W porządku. – Znacznie lepiej. Znacznie, znacznie lepiej.

Stara pomogła Iqbalowi, a potem zabrała się do dojenia kóz. Zaczynałam powoli rozumieć Narajana. Może ja również powinnam spać plecami do ściany i starać się nie chrapać.

Gota nawet nie zrzędziła.

A Wujek Dodż pozostał na zewnątrz, najpewniej by radować się odświeżającą pogodą i miłym leśnym otoczeniem.

W tej paskudnej świątyni było sucho, ale jej wnętrza nie dawało się nagrzać. Wątpiłam, by cokolwiek prócz pożaru lasu zdolne było wygnać chłód panujący w tym miejscu; chłód, który wpijał się w kości i duszę niczym starożytny i okropny duchowy reumatyzm. Nawet Narajan Singh to czuł. Przykucnął przy ogniu, napięty, jakby w każdej chwili oczekiwał ciosu w plecy. Mruczał coś o zmęczeniu próbami, na jakie wystawiano jego wiarę.

Nie należę do współczujących i pełnych empatii braciszków. Ci, którzy nas obrazili, powinni się spodziewać nadejścia chwil bardzo niemiłych, jeśli tylko Bóg w swej wielkoduszności pozwoli nam o to zadbać. Nasza zaś antypatia dla Narajana Singha miała już dość lat, żeby nabrać charakteru wręcz rytualnego. Dlatego też bynajmniej nie z sympatii powiedziałam:

– Jesteśmy przygotowani do przeprowadzenia wymiany. Posiadana przez nas Pierwsza Księga Zmarłych za Klucz.

Uniósł głowę. Spojrzał mi prosto w oczy – prawdziwy Narajan, za Narajanem stanowiącym tylko maskę, na zimno rozważał me słowa. W kącikach jego oczu obudziła się czujność.

– W jaki sposób...

– Nieważne. Mamy ją. Umowa dotyczy wymiany. I jesteśmy gotowi jej dokonać.

Miejsce ostrożności zaczynało powoli zajmować wyrachowanie. Gotowa byłabym założyć się o przyzwoitą sumkę, że oceniał szanse na wymordowanie nas wszystkich we śnie – dzięki temu nie musiałby wywiązywać się ze swojej części umowy.

– Być może w twoich oczach, Narajan, rozwiązanie to będzie o wiele mniej eleganckie od zbiorowego morderstwa, ale czy nie moglibyśmy załatwić wszystkiego, jak pierwotnie ustaliliśmy? – Zadrżałam. W świątyni zrobiło się jeszcze zimniej, jeśli to w ogóle było możliwe. – W istocie, gotowa jestem przyznać ci premię. Gdy tylko oddasz nam Klucz, możesz

odejść. Dokąd chcesz. Wolny. Jeśli przysięgniesz, że więcej nie będziesz się wpieprzał w sprawy Czarnej Kompanii. – Przysięga, którą wedle mnie powinien złożyć bez namysłu, ponieważ w ustach Oszusta byłaby ona warta nie więcej od kory, na której ją spisano. Kina przecież nie będzie oczekiwać dochowania słowa danego niewiernej.

– Zaiste szczodra to propozycja, kronikarzu – odparł Singh. Co samo w sobie już było podejrzane. – Pozwól, niech się z nią prześpię.

– Nie ma sprawy. – Strzeliłam palcami. Iqbal i Popłoch przygotowywali już pęta. – Jemu też przyczepcie dzwonek do obróżki na dzisiejszą noc. – Mieliśmy ich kilka, dla kóz. Przymocowane do pęt Narajana, podniosą wściekły hałas, gdy tylko się poruszy. Był wprawdzie mistrzem zręcznego skradania się, ale nie dosyć doskonałym, by zwierzęce dzwonki go nie zdradziły. – Jednak nie zdziw się, kiedy wraz z powrotem światła i ciepła na świat moja szczodroblowość rozwieje się bez śladu. Ciemność zawsze zapada, jednak słońce też wschodzi.

Zdążyłam już owinąć się w koc. Otuliłam się nim ściślej, położyłam na posadzce i wierciłam przez chwilę w próżnej nadziei znalezienia wygodniejszej pozycji, a potem zapadłam w jeden z tych znękanym złem koszmarów, jakich może niechybnie spodziewać się każdy, kto spędza noc w Gaju Zagłady.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, że śnię. I znałam nawiedzone krajobrazy, mimo iż nigdy dotąd nie widziałam ich na własne oczy. Pisała o nich Pani, pisał Murgen. Wizualny wymiar koszmarów nie męczył mnie zbyt. Nic jednak nie przygotowało mnie na tak obrzydliwy smród; smród, który pochodzić mógł tylko z tysiąca bitewnych pól, gdzie przed tygodniem skończył się bój, smród gorszy niżli cokolwiek, co zapamiętałam z oblężenia Dżajkuru. Niezliczone kruki musiały ucztować na tym miejscu.

Po jakimś czasie zaczęłam też odczuwać czyjaś obecność, jeszcze odległą, ale coraz bliższą, i wtedy zdjął mnie strach, wcale bowiem nie chciałam stanąć twarzą w twarz z przerażającą boginią Narajana. Pragnęłam uciec, ale nie wiedziałam jak. Murgen, wymykając się Kinie, miał za sobą całe lata doświadczeń.

Wtedy zrozumiałam jednak, że nic mnie nie ściga. Wraz ze świadomością tamtej obecności nie nadciągnęło odczucie wrogości. Tak

naprawdę tamten ktoś znacznie lepiej zdawał sobie sprawę z tego, że ja tu jestem, niż na odwrót. I był wyraźnie rozbawiony moim niepokojem.

„Murgen?”

„To ja, moja uczennico. Przyszło mi do głowy, że dzisiaj zanocujecie właśnie tutaj. Miałem rację. Lubię mieć rację. To jedna z radości stanu kawalerskiego, o których zupełnie nie pamiętałem, do czasu aż zostałem duchem”.

„Nie wydaje mi się, aby Sahra doceniła...”

„Oczywiście, że nie. Zapomnij o tym. Nie mam czasu. Są rzeczy, o których powinnaś wiedzieć, a ja nie będę w stanie skontaktować się z tobą bezpośrednio, póki nie wjedziesz na mroczne drogi równiny lśniącego kamienia. Słuchaj”.

Słuchałam.

Życie w Taglios biegło naprzód bez większych niespodzianek. Skandal w królewskiej bibliotece oraz zniknięcie jej kustosza zostały przez Protektorkę wykorzystane dla odwrócenia uwagi od innych kłopotów. Duszołap była najwyraźniej bardziej zainteresowana obecnie umocnieniem swej pozycji niżli ściganiem niedobitków Czarnej Kompanii. Po wszystkich tych latach dalej nie traktowała nas z powagą, na jaką zasługiwaliśmy. Albo też była całkowicie przekonana, że może nas znaleźć i wykończyć w każdej chwili, gdy tylko zaczniemy się jej naprzykrzać.

Ponieważ nie sposób było wykluczyć takiej możliwości, rada Murgena wydawała się oczywista. Uciekać jak najszybciej, póki mamy szansę.

Dobre wieści brzmiały następująco: Dżaul Barundandi z prawdziwą radością zdecydował się przyłączyć do naszej sprawy, w nadziei pomszczenia żony. Zadanie, jakie mu wstępnie przydzielono – i które zrealizować miał tylko wówczas, gdy przekonany będzie, iż go nie złapią oraz że nie zostawi żadnych śladów – polegało na przedostaniu się do apartamentów Protektorki, a następnie kradzieży, zniszczeniu bądź uszkodzeniu magicznych dywanów, które ona skradła Wyjcowi. Jeśli uda się nam pozbawić ją środka transportu, nasze szanse gwałtownie wzrosną. Miał także werbować sprzymierzeńców, nie informując ich o tym, że w istocie pracują dla Czarnej Kompanii. Starożytnie przesady były wciąż żywe i narzucały się z ogromną siłą.

Brzmiało to świetnie, niemniej wolałam zachować ostrożność. Ludzie pchani wyłącznie pragnieniem zemsty stanowili w najlepszym wypadku

narzędzia wadliwe. Jeśli Dżaul pozwoli, aby obsesja pochłonięła go całkowicie, stracimy go, zanim wykona dla nas choćby jedno z tych cichych, długoterminowych zadań, czyniących człowieka w szeregach wroga takim skarbem.

Złe wieści naprawdę były złe.

Główny oddział, podążający drogą wodną, minął właśnie deltę i obecnie poruszał się pod prąd rzeki Nagir, co dowodziło, że znacznie nas wyprzedzi, zważywszy na czas, jakiego wciąż jeszcze potrzebowaliśmy, by dotrzeć do Bramy Cienia.

Jednooki doznał dwa dni temu udaru podczas wyczerpującego ochlejtwa ze swym najlepszym przyjacielem Goblinem.

Śmierć nie dosięgła go tylko dlatego, że Goblin zareagował dość szybko. Teraz cierpiał na lekki paraliż oraz zaburzenia mowy, jakie często towarzyszą powikłaniom poudarowym. I nawet nie potrafił przekazać Goblinowi tego, co tamten powinien wiedzieć, aby uporać się z problemem. Słowa, które Jednooki chciał wypowiedzieć bądź napisać, nie były tymi, o które mu chodziło.

To kwestia, która potrafi doprowadzić do szału kronikarza, zmagającego się wszak wyłącznie z barierą czasu i wrodzoną głupotą.

Nigdy nie jesteś w stanie przygotować się na wszystkie ewentualności. To, co nieuniknione, zawsze stanowi szok, kiedy muśnię cię swym złym skrzydłem.

Jakby w odpowiedzi na świetny dowcip, kołujące nad nami kruki wybuchnęły posępnym, szyderczym śmiechem. Czaszki na polu szkieletów wyszczerzyły się, najwyraźniej również rozbawione.

Wysłuchałam jeszcze trochę pomniejszych wieści. Kiedy Murgen powiedział wszystko, co miał do przekazania, zapytałam:

„Czy możesz skontaktować się z Wcześniakiem, jeśli jest w pobliżu? I wsunąć myśl do jego pustej łepetyny?”

„Może”.

„Spróbuj. To”.

Mój pomysł najwyraźniej Murgena rozbawił. Pośpieszył zaraz, by nawiedzać niezwykle z pewnością sny Wcześniaka. Stado kruków rozproszyło się, jakby już nic ciekawego nie trzymało ich na miejscu.

Dalej więc korzystałam z przywilejów, jakie daje obywatelstwo tej krainy koszmarów, mając równocześnie nadzieję, że tytuł ten nie zostanie

mi przyznany na stałe, jak to się przydarzyło Pani i Murgenowi. Zastanawiałam się, czy Pani wędruje wciąż gdzieś tędy i czy te wędrówki czynią jej pobyt w grobie męczarnią w piekle.

Wysoko, na zupełnie nagim drzewie, wylądował kruk, machnął dziobem w kierunku tego, co uchodziło tutaj za słońce. Nie potrafiłam zrozumieć zrazu, o co chodzi, wydawał się jednak inny niż wszystkie pozostałe kruki.

„Siostró, siostró, zawsze będę z tobą”.

Poczułam, jak do wnętrza mej istoty wdziera się przerażenie, ściskając serce żelazną pięścią. Usiadłam wyprostowana jak struna. Chwyciłam za broń i w tej chwili poczułam przypływ trwogi oraz całkowitego ogłupienia.

Dodż popatrzył na mnie z drugiej strony ogniska.

– Koszmary?

Zadrżałam od przeszywającego zimna.

– Tak.

– To zła strona nocowania w tym miejscu. Ale można nauczyć się nie dopuszczać ich do siebie.

– Wiem, jak sobie z nimi poradzić. Jak najszybciej wynieść się z tego zapomnianego przez Boga miejsca. Jutro. Wcześniej rano. Zaraz po tym, jak Oszust przekaze nam Klucz, a ty potwierdzisz jego autentyczność.

Wydawało mi się, że pośród nocy słyszę słaby kruczy śmiech.

Kiedy przyszła moja kolej, by objąć warte, przekonałam się, że nie tylko ja miałam dziwaczne sny. Wszyscy źle spali, z Narajanem włącznie. Niemowlę Iqbala nie przestało pojękiwać nawet na chwilę. Kozy i woły, chociaż nie wpuszczono ich do środka, również beczały, parskały i posapywały przez całą noc.

Gaj Zagłady był po prostu Złym Miejscem. I nic nie da się na to poradzić. Niektóre rzeczy po prostu takie są – czarne albo białe.

Ranek nie okazał się wiele przyjemniejszy od nocy. A już przed śniadaniem Narajan spróbował się wymknąć. Rzekołaż wykazał się niemałym opanowaniem, sprowadzając go do nas w stanie wciąż pozwalającym chodzić o własnych siłach.

– A teraz chcesz mnie jeszcze wykiwać? – zapytałam. Dobrze więc odgadłam, co mu chodzi po głowie, nie chciałam jednak, aby się domyślił, że wiem, co się stało z przyjaciółmi, po których oczekiwał ratunku. – Myślałam, że chcesz dostać tę książkę z powrotem.

Wzruszył ramionami.

– Ostatniej nocy miałam sen. I nie był to dobry sen. Odwiedzałam w nim miejsca, do których bynajmniej nie miałam ochoty się udać, i spotykałam istoty, których nie chciałam widzieć. Ale to był prawdziwy sen. Obudziłam się pewna, że żadne z nas nie będzie miało szansy zdobycia tego, czego chce, jeśli nie wywiążemy się ze swoich części naszej umowy. A więc przyszłam, żeby powiedzieć ci, iż mam zamiar postąpić uczciwie: Księga Zmarłych za Klucz.

Kiedy wspomniałam o śnie, w oczach Narajana zamigotała iskierka rozdrażnienia. Bez wątplenia on sam ostatniej nocy liczył na boskie oświecenie i zawiódł się.

– Chciałem tylko poszukać czegoś, co zostawiłem tu ostatnim razem.

– Klucza?

– Nie. Chodzi o osobisty drobiazg. – Przykucnął przy ognisku, na którym gotowało się śniadanie złożone z ryżu przygotowanego przez Matkę Gotę i Sjuruwidzę. Ku kompletnemu zdumieniu wszystkich, Radisza również próbowała pomagać. Albo, żeby rzecz ująć bardziej precyzyjnie, próbowała nauczyć się, co trzeba w takiej sytuacji robić, aby pomóc następnym razem. Żadna z kobiet nie darzyła statusu księżnej szczególnym respektem. Gota krzywiła się i mamrotała coś pod jej adresem, zupełnie tak samo, jakby postępowała z którymś z nas.

Obserwowałam, jak Narajan się posila. Używał pałeczek. Wcześniej tego nie zauważyłam. Chcąc zadośćuczynić paranoi, która mną rządziła, zaczęłam przypominać sobie gorączkowo, czy przypadkiem w przeszłości nie jadł drewnianą łyżką. Wujek Dodź używał pałeczek jak wszyscy Niueg Bao, twierdząc równocześnie, że mogą służyć jako jedna z najbardziej śmiertelnych broni.

Jeśli choć na chwilę nie wypędzę Narajana ze swoich myśli, oszaleję.

Uśmiechnął się, jakby doskonale wiedział, co chodzi mi po głowie. Chyba trochę za bardzo wierzył w moje przyrzeczenia złożone w imieniu Kompanii.

– Pokaż mi księgę, kronikarzu.

Rozejrzałam się dookoła.

– Dodź?

Tamten pojawił się w drzwiach świątyni. Czegóż znowu tam szukał?

– Tak?

– Pan Oszust chce zobaczyć Księgę Zmarłych.

– Wedle życzenia. – Wyszedł na zewnętrzne schody świątyni zaścielane opadłymi liśćmi, pogrzebał trochę w jednym z tobołów przytroczonych do oślich grzbietów i wyciągnął paczkę zawiniętą w naoliwione płótno, wydobytą z grobu żołnierza z Ziem Cienia. Z ukłonem podał ją Oszustowi afektowanym gestem, cofnął się kilka kroków i stanął z rękoma zaplecionymi na piersiach. Zauważyłam, że ramiona splótł w nieco mistyczny sposób. Spopielająca Różdżka trafiła już na swoje miejsce na jego plecach. Przypomniałam sobie, że rodzina, która przyjęła Dodźa jako członka, żywiła wobec Narajana Singha i kultu Oszustów niegasnącą nienawiść. Oszuści zamordowali To Tana, syna brata Sahry, Tai Deia. Tai Dei leżał pogrzebany pod powierzchnią równiny wraz z resztą Uwięzionych.

Wujek Dodż niczego nie obiecywał Narajanowi Singhowi.

Zastanawiałam się, czy tamtemu w ogóle przyszło to do głowy. Zapewne tak, mimo iż temat ten nigdy nie pojawił się w jego obecności.

Zauważyłam również, że bez żadnego planu czy choć jednego znaku moi towarzysze rozstawili się tak, iż ze wszystkich stron otaczali nas uzbrojeni mężczyźni. Jedynie Łabędź nie bardzo potrafił zrozumieć, gdzie jest jego miejsce.

– Usiądź i zjedz trochę ryżu – zachęciłam go.

– Nienawidzę ryżu, Ospała.

– Zmierzamy do miejsca, gdzie, obawiam się, nic innego do jedzenia raczej nie dostaniesz. Mnie też już wychodzi on uszami.

Narajan z szacunkiem rozwinął naoliwione skóry, odłożył uważnie na bok, gotowe do ponownego wykorzystania. Księga, którą z nich wydobył, okazała się ogromna i brzydka. Jednak niczym właściwie nie różniła się od tomów, jakie oglądałam każdego dnia, gdy byłam Dorabim Dei Banerdze. Żadne zewnętrzne oznaki nie zdradzały, że oto mamy przed sobą najświętszą i najcenniejszą liturgicznie księgę najmroczniejszego kultu świata.

Singh otworzył tom. Pismo wypełniające stronice było nierówne, nieporządne i rozchwiane. Córka Nocy przystąpiła do wypełniania kart książki, gdy miała zaledwie cztery lata. W miarę jednak jak Narajan przewracał stronice, przekonywałam się, że najwyraźniej potrafiła szybko się uczyć. Charakter jej pisma stawał się coraz ładniejszy. Zobaczyłam również, że posługiwała się tym samym alfabetem, którego użyto do spisania pierwszego tomu Kronik. Czy obie te książki napisano w tym samym języku?

Gdzie był Mistrz Santaraksita, kiedy go potrzebowałam?

Gdzieś tam na rzece Nagir, wraz z Sahrą i Jednookim. Bez wątpienia narzekał na przydział i brak dobrych kolacji. Naprawdę kiepska sprawa, stary. Ja miałam tutaj podobne zmartwienia.

– Potwierdzasz autentyczność? – zapytałam.

Nie potrafił zaprzeczyć.

– A więc udało mi się wywiązać z mojej części umowy. Dołożyłam wszelkich starań, by doszło do jej realizacji. Teraz twoja kolej.

– Nie masz niczego do stracenia, kronikarzu. Wciąż nie mogę przestać się zastanawiać, jak niby mam wynieść stąd cało moją głowę.

– Nie zrobię nic, żeby powstrzymać cię przed odejściem. Jeśli zemsta okaże się konieczna, będzie słodsza, gdy jej smaku przyjdzie zaznać później. – Narajan próbował odczytać moje prawdziwe zamiary. Zwyczajnie nie potrafił przyjąć niczego na wiarę. – Z drugiej jednak strony nie ma sposobu, żebyś odszedł dokądkolwiek, nie dając nam Klucza. Będziemy wiedzieć, jeśli spróbujesz wcisnąć nam kopię. – Zerknęłam na Dodża.

Oszust postąpił tak samo. Potem zdecydował się pogrążyć w modlitwie i zamknął oczy.

Może Kina zareaguje. W Gaju robiło się powoli zimno jak w lodowni. Nagły poryw wiatru przyniósł cień zapachu z miejsca kości.

Singh zadrżał, uniósł powieki.

– Muszę udać się natychmiast do świątyni. Sam.

– Nie ma z niej przypadkiem tylnego wyjścia, co?

Singh uśmiechnął się nieznacznie.

– A nawet gdyby było, przydałoby się na coś?

– Nie tym razem. Twoja jedyna droga wyjścia z tej sytuacji polega na zapomnieniu o tym, że jesteś Oszustem.

– Niech się więc tak stanie. Nie będzie Roku Czaszek, jeśli nie wykorzystam tej szansy.

– Pozwólcie mu iść – zwróciłam się do Dodża stojącego między Narajanem a świątynią oraz do Rzeki i Popłocha, którzy czekali z bambusami w dłoniach, na wypadek gdyby małemu człowieczkowi udało się jakoś wyrwać.

– Coś długo go nie ma – poskarżył się Rzeka.

– Ale wciąż jest w środku – zapewnił nas Dodż. – Klucz został z pewnością dobrze ukryty.

Albo go nie było. Nie potrafiłam zachować spokoju.

– Czego my właściwie tutaj szukamy? – spytałam Dodża. – Nie mam nawet pojęcia, czym ten Klucz jest. Kolejnym grotem Lancy? – Lanca Cierpienia otworzyła przed Konowalem równinę, a potem powiodła wszystkich Uwięzionych ku ich przeznaczeniu.

– Znam tylko jego opis. Jest to młot o dziwnym kształcie. Narajan z pewnością zaraz wyjdzie.

Pojawił się. Wydawał się odmieniony, ożywiony, nieco przestraszony. Rzekołaż dał znak swoim bambusem. Popłoch powoli uniósł swój. Singh doskonale wiedział, do czego zdolne są te tuby. Gdyby spróbował teraz uciekać, nie miałyby żadnych szans.

W dłoni niósł coś, co wyglądało niczym wykuty w żelazie młot bojowy, stary, zardzewiały i paskudny, z głowicą pokrytą odpryskami i pęknięciami. Narajan niósł go tak, że musiał być chyba cięższy, niż się zdawało.

– Dodż? – zapytałam. – Co myślisz?

– Pasuje do opisu, kronikarzu. Wyjąwszy popękaną głownię.

– Upuściłem go – powiedział Singh. – Popękał, kiedy uderzył w posadzkę świątyni.

– Spróbuj coś wyczuć, Dodż. Jeśli jest w nim jakaś moc, powinieneś ją dostrzec.

Wujek zrobił tak, jak go prosiłam. Kiedy Singh podawał mu młot, Niueng Bao wydał się zaskoczony jego ciężarem.

– To musi być to, kronikarzu.

– Bierz swoją księgę i uciekaj, Oszuście. Zanim pokusa każe mi zapomnieć o obietnicach.

Narajan schwycił księgę, ale nawet nie drgnął. Patrzył na Sjuruwidzę i na dziecko.

Sjuruwidza rogiem jedwabnej, czerwonej chusty ocierała ślinę z ust dziecka.

Głupcy! Idioci!

Kiedy przygotowywaliśmy się do drogi, jeden z dzieciaków Iqbala – starszy chłopak – zauważył szczególnie głębokie pęknięcie w głowicy młota. Reszta z nas zbyt była zajęta gratulowaniem sobie nawzajem i głośnym zastanawianiem się, co zrobi Kompania, gdy tylko wydobędziemy Uwięzionych spod równiny. Młodziak powiedział o swym odkryciu ojcu. Iqbal zaraz wezwał Popłocha i mnie.

Ponieważ jesteśmy już starszawi, dopiero po chwili zrozumieliśmy, o co mu chodzi. Osłabiony wzrok i inne takie.

– Wygląda jakby w środku była ze złota.

– To wyjaśniałoby ciężar. Dodź, chodź tu. Czy słyszałeś kiedykolwiek, aby młot był w środku złoty?

Iqbal zaczął skrobać czubkiem noża. Kawalek żelaza odpadł.

– Nie rób tego – zaproponował Dodź. – Możesz go zniszczyć.

– Niech wszyscy się uspokoją. To wciąż jest Klucz. Dodź, przyjrzyj mu się uważniej. Ostrożnie. Nie chcę, aby te wszystkie lata i całe gówno, przez które przeszliśmy, teraz okazało się zupełnie na nic. I co?

Powoli zaczynała błyskać broń.

– Zobaczcie, kogo tu mamy – powiedział Łabędź. – Skąd się wzięliście, chłopaki?

Pojawił się Wcześniak ze swoim oddziałem. Wymieniliśmy spojrzenia. Wzruszył ramionami.

– Wyślizgnął się nam.

– Nie jestem zaskoczona. Spieprzyliśmy sprawę. On wiedział, że ktoś tu jest. – Sjuruwidza wciąż miała jedwabną szarfę udrapowaną na ramionach.

– Dobra, ludzie. Ruszamy w drogę. Przecież chcemy przejechać przez most w Ghodza, zanim Protektorka zacznie nas szukać. – Od początku usiłowałam ich przekonać, że pokonanie mostu da nam wyraźną przewagę.

– Zrobiliście dobrą robotę w Semczy, chłopcy – zwróciłam się do Wcześniaka.

– Mogło być lepiej. Gdybym się nad tym zastanowił, poczekałbym, aż zaczną niszczyć Drzewo Boodiego. Wtedy bylibyśmy bohaterami, a nie zwykłymi mordercami.

Wzruszyłam ramionami.

– Może następnym razem. Łabędź, powiedz tym kozom, że zostaną zjedzone, jeśli nie będą współpracować.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, że najemy się porządnie, kiedy dotrzemy do Dżajkuru.

Dla tych, którzy spodziewali się nie wiadomo czego, przeprawa przez bród Ghodża była kolejnym wielkim rozczarowaniem.

Zanim znaleźliśmy się w tym kolejnym wąskim gardle, wszyscy zdołali osiągnąć stan lekkiego roztrzęsienia. Wysłałam Wcześniaka na zwiady, a kiedy wrócił i doniósł, że uwagę zwracają tam jedynie na tych nielicznych podróżnych, którzy nie chcą zapłacić dwóch miedziaków myta za przejechanie mostu, tak naprawdę nie uwierzyłam w ani jedno jego słowo. Tych oszczędnych kierowano zresztą do starego brodu, znajdującego się poniżej mostu. Ze względu na porę deszczową bród był obecnie nieprzechodni, ruch na drodze gęsty, a żołnierze przydzieleni do straży na moście zbyt zajęci łupieniem podróżnych i grą w karty, by nękać kogokolwiek innego.

Coś kazało mi jednak spodziewać się najgorszego.

Ghodża rozrosło się do rozmiarów małego miasteczka, służącego za przystanek tym, którzy podróżowali po Drodze Skalistej, stanowiącej kolejną trwałą spuściznę po Czarnej Kompanii. W ramach przygotowań do inwazji na Ziemię Cienia Kapitan kazał poprowadzić brukowany trakt od Taglios do Dżajkuru. Całość robót wykonali jeńcy wojenni. Ostatnimi czasy Mogaba wykorzystywał skazańców oraz zmuszonych do świadczenia pańszczyzny w robociźnie, chcąc wydłużyć trakt na południowy zachód, aż do miasta i terytoriów niedawno włączonych do tagliańskiego protektoratu.

Kiedy już bezpiecznie przekroczyliśmy rzekę Główną, zaczęłam zastanawiać się nad następnymi krokami. Zwołałam naradę.

– Czy istnieje sposób na sfalszowanie nakazu aresztowania, który sprawiłby, że zatrzymają Narajana podczas pokonywania mostu?

– Jesteś zbyt wielką optymistką – rzekł Dodż. – Jeśli wyruszył na południe, dawno nas wyprzedził.

– Nie wspominając już o tym, że jeśli wpadnie w ręce Protektorki, ta dowie się wszystkiego, co on wie o was – dodał Łabędź.

– Odezwał się specjalista.
– Nie zgłaszałem się na ochotnika do tej roboty.
– Dobrze już. Dowie się, prawda. On zaś wie, dokąd zmierzamy. I po co. A także, że mamy Klucz. Ale co wie o drugim oddziale? Jeśli nie zostanie złapany, może próbować ich dogonić i jakimś sposobem wyrwać im Córkę Nocy?

Nikt nie znalazł argumentu pozwalającego podważyć to rozumowanie.

– Proponuję zatem, byśmy od czasu do czasu poruszali tę kwestię w rozmowach, na wypadek gdyby Murgen był kiedyś w pobliżu i mógł usłyszeć. – Sahra nigdy nie obiecywała, że oszczędzi starą, pomarszczoną skórę Narajana. Może uda się jej zwabić go w zasadzkę i odzyskać ten niedokończony pierwszy tom Księgi Zmarłych.

Łabędź wskazał dłonią.

– Ten kruk wciąż za nami leci.

Na południowym brzegu mostu i brodu strzegła mała, lecz wyniosła fortyfikacja. Ptak siedział na szczycie jej murów i obserwował nas. Od kiedy rozpoczęliśmy przeprawę, nawet nie drgnął. Może on również zapragnął rozprostować kości.

– Wciąż mamy jedną tubę bambusową z ognistymi kulami przeznaczonymi na kruki – wyszeptał Rzeką.

– Zostaw go w spokoju. Nie wygląda, jakby knuł coś złego. Przynajmniej na razie. – Byłam pewna, że już kilkakrotnie wcześniej usiłował się z nami porozumieć. – Zawsze możemy go zdjąć, kiedy to się zmieni.

Na moście Ghodza nie usłyszeliśmy nic nowego, prócz tradycyjnych narzekań na władzę. Plotki dotyczące wydarzeń w Taglios wydawały się wszystkim tak przesadzone, że nikt nie wierzył nawet w jedną dziesiątą tego, co słyszał. Później, kiedy dotarliśmy już do Dżajkuru i na jakiś czas zatrzymaliśmy się w mieście, nastrój towarzyszący plotkom zaczął przybierać inny charakter. Teraz dawało się wyczuć w nim delikatne napięcie, zdradzające, że wielki pajak siedzący w środku sieci, zaczął się poruszać. Miało minąć jeszcze wiele czasu, zanim dotarły do nas jakieś konkretne wieści, ale to, co słyszeliśmy, nasuwało każdemu jeden wniosek – ruszać natychmiast i nie ociągać się po drodze.

Popłoch odkrył, że widziano człowieka odpowiadającego rysopisowi Narajana, jak czał się w pobliżu sklepu prowadzonego przez jego syna Sugrivę pod przybranym imieniem.

– Ten człowiek ma jednak swoje słabości. Czy powinniśmy zabić Sugrivę, skoro już tu jesteśmy?

– Nigdy nic nam nie zrobił.

– Ale jego ojciec zrobił. W ten sposób przypomnimy mu o nas.

– On nie potrzebuje przypomnienia. Jeżeli Narajan jest na tyle głupi, by uważać, że już z nim skończyliśmy, proszę bardzo. Ale w takiej sytuacji naprawdę chciałabym zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy go złapiemy.

Singh wyróżniał się w tłumie mieszkańców Dżajkuru, ponieważ miasto wciąż zachowało po części charakter warownej twierdzy. Przez następnych kilka tygodni nas również ludzie będą dobrze pamiętać.

Kilka razy wybrałam się na włóczęgę po ulicach w poszukiwaniu śladów dzieciństwa, ale nic z niego nie zostało – ani ludzie, ani miejsca, ani dobre, ani złe rzeczy. Przeszłość istniała już tylko w mojej pamięci. Czyli tam, gdzie najbardziej chciałam ją pogrzebać.

Reguły rządzące polowymi operacjami Kompanii przypominają zasady, jakimi kieruje się w swej pracy prestidigitator. Rzecz jasna, wolelibyśmy, aby nasza publiczność nie widziała w ogóle niczego, jednak zdawaliśmy sobie sprawę, iż niewidzialność jest niepraktyczna. A więc próbowaliśmy pokazywać widzom coś zupełnie innego niżli widok oczekiwany. Stąd kozy i osły. Na południe zaś od Dżajkuru – całkowicie nowy wygląd i tożsamość dla każdego; rozbicie powiększonego oddziału na dwie niezależnie podróżujące „rodziny” oraz grupkę zawiedzionych poszukiwaczy szczęścia z Południa, wracających do domu w rozpacz i poczuciu porażki, po tym jak ich duch został złamany przez doświadczenia w Taglios. Całkiem sporo takich ludzi podróżowało ostatnio drogą. Należało ich obserwować. Wielu zapewne chętnie skorzystałoby z przewagi nad słabszymi, gdyby tylko pojawiła się szansa. Na drogach nie było już właściwie żadnych patroli. Protektorki nie obchodziło ich bezpieczeństwo.

Dodż, Łabędź, Gota i ja tworzyliśmy oddział awangardy. Wyglądaliśmy na niezbyt silnych, ale ten starzec wart był czterech czy pięciu zwykłych śmiertelników. Ostatecznie zmuszono nas tylko do jednej walki. Trwała dosłownie sekundy. Zostało po niej kilka śladów krwi wiodących w krzaki. Dodż zdecydował, że zwłoki mogą przyciągnąć uwagę.

Teren wznosił się powoli, stając coraz mniej gościnny. Czyste powietrze zapewniało dobrą widoczność, pozwalając dostrzec nawet odległe błyski szczytów Danda Presz. Przed nami wciąż wiele dni drogi na południe. Brukowana droga kończyła się porzuconym obozem pracy.

– Musieli skończyć się im więźniowie – zauważył Łabędź. Obóz ogołocony został ze wszystkiego, co można było zabrać ze sobą.

– To, co im się skończyło, to wrogowie, których Duszołap uważała za wartych zainwestowania w drogę. Zawsze może przecież znaleźć ludzi, którzy jej się nie spodobają, i wykorzystać ich w jakimś projekcie budowlanym. – A tak właśnie zrobiła na zachodniej trasie, po której

podążała reszta Kompanii. Wybrukowaliby nawierzchnię aż do samego Czarandapresz. Ich droga oraz wspomagające ją kanały kilka lat temu wciąż jeszcze były w budowie, aż Protektorka ostatecznie zdecydowała, iż skoro wojny kiauluńskie naprawdę dobiegły końca, nie ma sensu ułatwiać życia Wielkiemu Generałowi oraz jego żołnierzom, i wymusiła na Radiszy zablokowanie funduszy.

Zastanawiałam się też nad perspektywami stającymi przed Radiszą. Podejrzywałam, że do chwili gdy spowodowaliśmy jej zniknięcie, wierzyła, iż naprawdę rządzi. Dopiero przebywając wśród swych wiernych poddanych, zaczęła się uczyć.

Dotarliśmy nad jezioro Tandzi, do miejsca, które naprawdę uwielbiam. Jezioro to wielka tafla lodowato błękitnego piękna. Kiedy byłam dużo młodsza, stoczyliśmy tutaj jedną z najgroźniejszych potyczek z istotami, którym Władcy Cienia zawdzięczali swe miano. Ponad dziesięć lat później wciąż łatwo było rozpoznać miejsca, gdzie topiła się skała, a w wąskich parowach przecinających zbocza wzgórz bez trudu można było odnaleźć stosy ludzkich kości, które czas wypchnął na powierzchnię ziemi.

– To miejsce, z którym wiążą się mroczne wspomnienia – zauważył Dodż. On również był tu podczas bitwy. Gota zresztą także, co chyba kazało jej się zatrzymać i pohamować narzekania, póki nie dojdzie do ładu z własnymi wspomnieniami.

W owych czasach przeżyła dość bólu.

Kruk przemknął białą smugą nad naszymi głowami. Opadł na powierzchnię zbocza przed nami, po czym zniknął z oczu wśród postrzępionych koron wysokich górskich sosen. Bez najmniejszych wątpliwości podążał za nami. Łabędź przysięgał, że pewnego razu próbował wdać się z nim w rozmowę, akurat gdy odszedł na bok w krzaki, by sobie ulżyć.

Kiedy zapytałam, czego chciał, odparł:

– Hej, i tak już wystarczająco dostaję w kość, Ospała. Mam dosyć problemów. Nie chcę, żeby na dodatek wszyscy uważali mnie za faceta plotkującego z ptakami.

– Mógł mieć coś ciekawego do powiedzenia.

– Bez wątpienia. Ale jeśli naprawdę tak cholernie będzie chciał komuś coś powiedzieć, to przyjdzie do ciebie.

Popatrzył w dół stoku.

– Chowa się przed kimś – rzekł.

– Ale nie przed nami. – Zerknęłam za siebie, w górę zbocza. Ziemia wydawała się tam nietknięta. Żadnych śladów po innych podróżnych. Poniżej miejsca, gdzie stałam, trakt wił się to brzegiem jeziora, to górskim zboczem, ale wszędzie, jak okiem sięgnąć, było zupełnie pusto. Najwyraźniej nikt nie przepadał za tą trasą. – Chętnie spędziłabym emeryturę na brzegu tego jeziora – zwróciłam się do Łabędzia.

– Miejsce z pewnością nie jest po temu najlepsze, inaczej dawno ktoś by cię uprzedził.

Miał rację. Teraz te tereny były znacznie bardziej opustoszałe niż dwadzieścia lat temu. Wówczas jezioro otaczały wioski.

– Oto i mamy – oznajmił Łabędź, oglądając się za siebie.

– Co? – Też spojrzałam. Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, na co patrzy. – Aha. Ptak?

– To nie jest zwykły ptak. Kruk. Czarny kruk.

– Masz lepsze oczy ode mnie. Nie zwracaj na niego uwagi. Jeśli nie będziemy go zauważać, nie powinien mieć powodów, by się nami zajmować. – A jednak poczułam, jak puls mi przyspiesza.

To mógł być zwyczajny ptak, który nie ma nic wspólnego z Duszołap. Kruki nie są szczególnie wybredne, jeśli chodzi o posiłek.

Ale mogło być też i tak, że Protektorka zaczęła wreszcie szukać nas poza Taglios.

Biały kruk się chowa, czarny kruk lata w powietrzu i szuka. Co to oznacza?

Niezależnie co oznacza, i tak nie mogliśmy zrobić nic w tej sprawie. Aczkolwiek Wujek Dodż, ilekroć patrzył na czarnego kruka, miał w oku ten swój wyrachowany błysk.

Po jakimś czasie ptak stracił zainteresowanie nami. Odfrunął.

– To nie powinno stanowić poważniejszego problemu. Kruki są bystre jak na ptaki, ale samotny kruk zwyczajnie nie potrafi zapamiętać bardziej skomplikowanych poleceń ani też zanieść swej pani wielu informacji. Jeśli w ogóle należał do niej – powiedziałam do pozostałych. Powinniśmy jednak zakładać, że tak właśnie jest. Kruki występowały ostatnimi czasy zdecydowanie rzadziej niż dawniej. Ostatnio widywane były bodaj zawsze pod kontrolą Duszołap. Prawdopodobnie taka była właśnie przyczyna ich wymierania.

Jeśli ten był szpiegiem Protektorki, i tak minie wiele dni, zanim dostarczy swój raport.

– Jeśli poweźmie jakieś podejrzenia, za kilka dni możemy spodziewać się cieni w okolicy – zauważył Dodż.

Duszołap nie dysponowała lepszymi szpiegami zdolnymi nas wysledzić. Cienie podróżowały szybciej niż kruki, można było przekazywać im bardziej złożone polecenia, przynosiły z powrotem znacznie więcej informacji. Ale czy Duszołap była zdolna kontrolować je na taką odległość? Pierwotni Władcy Cienia mieli wielkie problemy z panowaniem nad swoimi zwierzętami, w miarę jak dzieląca ich odległość rosła.

Ominęliśmy jezioro Tandzi. Nikt nie zrezygnował z okazji wykąpania się w lodowatej wodzie. Stara droga zawiodła nas następnie na równinę Czarandapresz, gdzie Czarna Kompania odniosła jedno ze swych największych zwycięstw, a Wielki Generał poniósł jedną ze swych najbardziej sromotnych klęsk – chociaż nie z własnej winy. Niemniej kapryśna historia nie przypisywała winy jego tchórzliwemu panu, Dłугоmu Cieniowi. Pozostałości po bitwie wciąż wały się na zboczach. Niewielki garnizon pilnował podejścia na przełęcz od strony Danda Presz. Jego żołnierze nie byli najwyraźniej w ogóle zainteresowani uprzątnięciem czegokolwiek albo choćby przyglądaniem się podróżnym. Nikt nie skontrolował członków mego oddziału. Nikt nie zadawał żadnych pytań. Pobrano od nas całkowicie nieoficjalną opłatę za przejście przełęczy i ostrzeżono, że w wysokich jej partiach teren może się okazać zdradliwy dla osłów, ponieważ na skałach wciąż jeszcze zalegał śnieg. Dowiedzieliśmy się także, że ostatnimi czasy ruch na drodze jest wzmożony. Wynikało stąd, że grupa Sahry również nie napotkała istotnych przeszkód i zgodnie z planem znajdowała się przed nami, mimo iż towarzyszyli jej starcy i niezbyt chętni do współpracy kompani.

Góry okazały się dużo chłodniejsze i bardziej pozbawione życia od wyżyn, które pokonaliśmy wcześniej. Zastanawiałam się, jak też radzi sobie Radisza, co myśli o Imperium, które dla siebie wywalczyła, głównie rękoma Czarnej Kompanii? Zapewne powinna się zdziwić. Choć odrobinę.

I bardzo dobrze. Większość swego życia spędziła zamknięta w złotej klatce pałacu.

Biały kruk pokazał się po kilku dniach, natomiast jego ciemniejszy krewniak już nie. Może Protektorka była zajęta gdzie indziej.

Żałowałam, że nie dysponuję talentem Murgena, pozwalającym na opuszczanie ciała. Od wyjazdu z Gaju Zagłady nie przyśnił mi się żaden sen, który bodaj w najbardziej odległy sposób można by uznać za proroczy. Wiedziałam równie mało jak wszyscy pozostali. Było to bardzo denerwujące – niemiła odmiana po długim czasie nieskrępowanego dostępu do tylu informacji.

Noce w górach bywają naprawdę chłodne. Powiedziałam Łabędziowi, że zaczyna mnie kusić, aby na poważnie wziąć jego propozycję odłączenia się od pozostałych i uwicia gdzieś tutaj razem gniazdka wraz z tawerną oraz browarem. Kiedy stawało się naprawdę zimno, kilka pomniejszych grzechów naprawdę nie grało roli.

Chronologia kolejnych wydarzeń w Taglios nie jest do końca pewna, ponieważ nasz główny agent, Murgen, przez ostatnie półtorej dekady miał dość swobodny stosunek do pojęcia następstwa czasowego. Jednak jego szkicowe raporty na temat zdarzeń mających miejsce w mieście po naszym wyjeździe domagają się czegoś więcej niżli tylko przelotnej uwagi.

Z początku Protektorka niczego nie podejrzewała. Nasi towarzysze pozostali w Taglios rozmieścili swoje dymne pączki i rozpuszczali plotki, jednak z wyraźnie malejącym entuzjazmem, co ludzie natychmiast wyczuli. Równocześnie wszak wśród mieszkańców szerzyły się podejrzenia, iż Protektorka pozbyła się rządzącej księżnej. Natychmiast zaczęły się piętrzyć trudności Duszołap.

Przybycie Wielkiego Generała wraz z jego siłami okazało się gwarancją spokoju. Ponadto uwolniło Protektorkę od konieczności polowania na nieprzyjaciół. Umożliwiło to jej w zamian poświęcenie większej ilości czasu na upewnianie się co do poziomu zastraszenia przyjaciół, niezbędnego, by dalej udzielali jej swego wsparcia. W ciągu kilku dni odkryła magazyn Niueng Bao na nabrzeżu, teraz już zupełnie pusty, nie licząc kilku klatek zajmowanych przez zaginionych członków Tajnej Rady, z których żaden wszak nie był w stanie podjąć na powrót swych obowiązków. Na miejscu znajdował się oczywiście również cały arsenał pułapek na głupców, aczkolwiek żadna z nich nie była na tyle chytra, by stanowić choćby drobną przeszkodę dla Duszołap. Wielu Szarych nie miało jednak tyle szczęścia. Protektorka bez odrobiny miłosierdzia traktowała tych, którzy nie umieli zadbać o siebie sami.

– Lepiej pozbyć się tępaków teraz, kiedy zasadnicze ryzyko jest niewielkie – powiedziała Mogabie. Nastawienie Wielkiego Generała idealnie pasowało do jej słów.

Śledztwo prowadzone w sąsiedztwie nie przyniosło żadnych istotnych informacji, niezależnie do jak brutalnych środków się uciekano. Kupców

Niueng Bao oraz ich interesy skutecznie skrywała zasłona tajemnicy. Aby pozostać w całkowitej anonimowości, używali nawet magii. Aż do teraz przetrwała garstka zaklęć mylących.

– Czuję w tym rękę tych dwóch czarodziejów – mruzczała Duszołap. – A przysięgałeś mi, że obaj nie żyją, nieprawdaż, Wielki Generale?

– Widziałem ich śmierć na własne oczy.

– A więc lepiej uważaj i nie denerwuj mnie za bardzo, żebyś dotrwał, by widzieć, jak umierają znowu, tym razem naprawdę. – Przemawiała głosem rozpieszczonego dziecka.

Wielki Generał nie zareagował. Nawet jeśli słowa Duszołap przstraszyły go, nic po sobie nie pokazał. Nie zdradzał też nawet śladu gniewu. Cekał, całkiem słusznie ufając, iż jest zbyt wartościowy, aby poświęcić go dla złośliwego kaprysu. Być może w głębi serca uważał nawet, że sama Protektorka nie jest tyle warta.

– Ani śladu po nich – mamrotała pod nosem parę chwil później Duszołap głosem chłodnego akademika. – Zniknęli. Jednak wrażenie ich obecności pozostało, równie wyraźne jak kubeł krwi ciśnięty na białą ścianę.

– Złudzenie – powiedział Mogaba. – Jestem pewien, że w Kronikach Czarnej Kompanii znajdziesz setki przypadków, kiedy to udało im się skierować spojrzenie wroga w jedną stronę, podczas gdy prawdziwy ruch nastąpił w zupełnie innym kierunku. Albo skłonili kogoś, by wierzył, że ich liczebność jest znacznie wyższa, niżli była naprawdę.

– Równie wiele przykładów mógłbyś znaleźć w moich dziennikach. Gdyby chciało mi się jakieś prowadzić. A nie chce mi się, ponieważ książki nie są niczym innym jak zbieraniną kłamstw, które autor chciałby wmówić czytelnikowi. – Głos, jakiego obecnie używała, był pełnym przeciwieństwem akademika sprzed chwili. Należał on do człowieka, który z bolesnego doświadczenia dowiedział się, iż szkolnictwo tylko uczy ludzi bardziej oszukańczych metod, jak by cię tu ograbić. – Nie ma ich, ale mogli zostawić szpiegów.

– Oczywiście, że zostawili. Taka jest podstawowa zasada doktryny wojennej. Niemniej będziesz miała naprawdę sporo kłopotów z ich znalezieniem. To zapewne ludzie, których nikt, ale to nikt, przenigdy by nie podejrzewał.

Gdy Protektorka rozmawiała ze swym czempionem, Dżaul Barundandi oraz jego dwaj asystenci podawali właśnie obiad. Ich obecność nie zwróciła

uwagi żadnego z tej dwójki. Niezależnie od targającej nią paranoi, Duszołap zwracała na otoczenie niewiele uwagi. Każdy z członków pałacowej służby został poddany dokładnemu przesłuchaniu już w kilka godzin po zniknięciu Radiszy, ale w wyniku tych działań nie odkryto żadnych współników porywaczy w murach pałacu.

Protektorka doskonale zdawała sobie sprawę, że służba bynajmniej nie darzy jej choćby w połowie takim uczuciem jak Radiszę. Ale nie martwiła się tym. Żaden posługujący się wyłącznie naturalnymi środkami skrytobójca nie mógł nawet marzyć o przeniknięciu jej osobistych magicznych szzańców. A w owych czasach pod tym względem nie miała sobie równych na świecie. Czysta perwersja i uporczywa zdolność wymykania się cudzym zakusom zapewniły jej pozycję pozwalającą koronować się na królową świata. Gdyby tylko jej się chciało.

Któregoś dnia, kiedy wreszcie zaprowadzi porządek w swojej głowie, z pewnością będzie musiała się nad tym zastanowić.

W połowie jednego z nieczęsto jadanych posiłków Duszołap zastygła nieruchomo z nieprzeżutym kęsem w ustach.

– Znajdź mi Niueng Bao – powiedziała do Mogaby. – Jakiegokolwiek Niueng Bao. Zaraz. Natychmiast.

Szczupły, czarny olbrzym wstał, nie okazując nawet śladu emocji.

– Mogę zapytać po co?

– Ich główna kwatera znajdowała się w magazynie Niueng Bao. Ci związani byli z Kompanią od czasu oblężenia Dedzagore. Ostatni kronikarz ożenił się z jedną z nich. Miał z nią dziecko. Ten związek może być czymś więcej niżli tylko historycznym zbiegiem okoliczności. – Oczywiście wiedziała zdecydowanie więcej o Niueng Bao, niż była skłonna zdradzić.

Mogaba zamarkował jedynie cień ukłonu. Zasadniczo był zadowolony, mogąc pracować z Duszołap. Aprobował jej sposób myślenia. Poszedł więc poszukać kogoś, kto mógł dlań złapać kilka bagiennych małp.

Służący krążyli wokół Protektorki, nadstawiając uszu na jej najcichsze słowo. Przez głowę przemknęła jej leniwa myśl, że ta trójka należy do nielicznej grupki starających się uprzyjemnić jej życie, gdy tylko gościła w pałacu. Na wypadek gdyby czegoś potrzebowała, jeden lub kilkoro sług towarzyszyło jej zawsze podczas wyprawy w labirynt opuszczonych korytarzy, które składały się po większej części na masyw pałacu.

Wprowadzali też odrobinę życia do jej osobistych apartamentów, które od dawna już były równie zimne, opustoszałe i zakurzone jak puste kwartały.

Taka była ich natura. Mieli to we krwi. Musieli służyć. Bez Radiszy, która zaspokajała ich potrzebę posiadania pana, zwrócili się ku niej.

Mogabie jak zawsze wszystko zajęło znacznie więcej czasu niż powinno. Nie podobało jej się to. Kiedy wreszcie łaskawie się zjawił, jej wypowiedź była skargą rozpieszczonego bachora.

– Gdzie byłeś? Dlaczego zabrało ci to tak dużo czasu?

– Przekonałem się, jak trudno schwytać wiatr. Nigdzie w mieście nie ma żadnego Niueng Bao. Ostatnim razem widziano któregoś przedwczoraj rano. Wsiadali na pokład barki, która kierowała się w dół rzeki, na bagna. Najwyraźniej ludzie z bagien zaczęli opuszczać Taglios, jeszcze zanim Radisza zniknęła, a ty skaleczyłaś się w piętę.

Duszołap warknęła coś nieartykułowanego. Nie lubiła, gdy jej przypominano, że dała się podejść. Sama pięta stanowiła wystarczające przypomnienie.

– Niueng Bao to uparty ludek.

– Słyną z tego – zgodził się Mogaba.

– Dwukrotnie dotąd składałam im wizytę. Za każdym razem najwyraźniej nie potrafili zrozumieć, co im chciałam przekazać. Przypuszczam, że będę musiała przemówić do nich znowu. I zabrać im wszystkich uciekinierów, jakim udzielili schronienia. – Doszła do oczywistego wniosku, że ocalali z Kompanii wycofali się na bagna. Niueng Bao przyjmowali uciekinierów już wcześniej. Gdyby tylko Protektorze zechciało się pogrzebać w bibliotece, znalazłaby świadectwa tej praktyki. Barki wiozące większą część stanu Kompanii popłynęły w dół rzeki. Tam właśnie trzeba się udać, żeby dostać się do delty, a poprzez nią na rzekę Nagir, która stanowiła główny żeglowny szlak wodny wiodący na Południe.

Duszołap poderwała się z krzesła. Wybiegła z komnaty, zdradzając ożywienie i entuzjazm nastolatki. Mogaba rozsiadł się i wbił wzrok w resztki swego posiłku, którego nikt nie usunął jeszcze ze stołu. Jeden ze służących wyszeptał:

– Myśleliśmy, że może zechcesz dalej jeść, panie. Jeśli zdecydowałaś inaczej, wszystko zostanie natychmiast posprzątane.

Mogaba spojrział prosto w pustą twarz, na której chęć służenia zastygła jak maska. Niemniej odniósł przelotne wrażenie, że człowiek ten

przypatruje się jego plecom, zastanawiając się, jak też wyglądałyby z wbitym sztyltem.

– Zabierz. Nie jestem już głodny.

– Jak pan sobie życzy. Dżirisz, zanieś resztki do furtki, gdzie gromadzą się żebracy. Dopilnuj, by ich poinformowano, że Protektorka dba o nich.

Mogaba obserwował wychodzących służących. Zastanawiał się, skąd wrażenie nieszczerości u tego człowieka. Źródłem musiało być zapewne jego postępowanie, ale nie potrafił zarzucić mu zachowania niegodnego dla w pełni oddanego służącego.

Duszołap weszła w amfiladę swych prywatnych pokoi. Im dłużej zastanawiała się nad Niueng Bao, tym bardziej rozpierała ją złość. Czego trzeba, aby ci ludzie wreszcie coś pojęli? Doszła do wniosku, że na to pytanie da się znaleźć odpowiedź jeszcze przed wschodem słońca. Noc terroru cieni powinna skłonić ich w końcu do zwracania uwagi.

Duszołap rozumiała samą siebie lepiej, aniżeli podejrzewali ją o to inni ludzie. Zastanawiała się zatem, skąd się bierze jej paskudny nastrój, dalece wykraczający poza zwyczajową kapryśność i łatwe uleganie irytacji. Odbiło jej się, uderzyła pięścią w piersi i beknęła po raz drugi. Może to przyprawione jedzenie... Poczwała, jak zaczyna ją znowu piec w żołądku. Miała też lekkie zawroty głowy.

Wspięła się na parapet, gdzie trzymała ostatnie dwa latające dywany, jakie jeszcze zostały na świecie. Można było dostać się do nich tylko drogą, którą właśnie obrała. Poleci na południe i zadba o to, by te bagienne małpy zapłaciły również za jej zgagę. Obiad był bowiem narodową specjalnością Niueng Bao i składały się nań wielkie, ohydne grzyby, jeszcze paskudniejsze węgorki i nieokreślone zupełnie warzywa w paląco-ostrym przyprawowym sosie, podawane na ryżowym talerzu. Było to ulubione danie Radiszy, dlatego tak często je serwowano. Kuchnie nie miały zamiaru rezygnować z rutyny tylko dlatego, że Protektorka nie dbała o jadłospis.

Protektorce tymczasem znowu się odbiło. Coraz silniejsze pieczenie w żołądku wypalało jej wnętrze.

Wskoczyła na większy dywan. Zaskrzypiał pod jej ciężarem. Rozkazała podróż w dół rzeki. Szybka.

Kilka kilometrów od pałacu, sto dwadzieścia metrów ponad dachami, kiedy pędziła szybciej niż gołąb wyścigowy, uszkodzone przez nas części ramy podtrzymującej dywan zaczęły pękać. Gdy pierwsza puściła,

naprężenia stały się natychmiast zbyt wielkie dla pozostałych. Dywan rozpadł się w ciągu kilku sekund.

Rozbłysk światła był tak jaskrawy, że z pewnością można było go zobaczyć na obszarze połowy miasta. Ostatnią rzeczą, którą lecąc w kierunku powierzchni rzeki, zobaczyła Duszołap, był wielki krąg liter, głoszących: „Woda śpi”.

Na chwilę przedtem, zanim przez okno dał się dojrzeć rozbłysk, zamyślony Mogaba odkrył na swym spartańskim posłaniu zwinięty, zapieczętowany list. Odbiło mu się. Pomyślał, że dobrze, iż nie zjadł więcej tego mocno przyprawionego jedzenia, a potem zerwał woskową pieczęć i przeczytał: „Mój brat nieodkupiony”. Później jego uwagę przyciągnęła nieoczekiwana błyskawica. On również ujrzał slogan wypisany na niebie. Cała praca, jaką włożył ostatnimi laty w naukę czytania, miała przydać się tylko do tego?

Co teraz? Jeśli nie ma już Protektorki? Udawać, że również wycofała się w odosobnienie, i tym samym skryć kłamstwo podwójną zasłoną?

Znowu mu się odbiło, usiadł na posłaniu. Nie czuł się dobrze. To było dla niego zupełnie nowe, denerwujące odczucie. Nigdy wcześniej nie chorował.

W punkcie wojskowej kontroli granicznej, na który trafiliśmy przy południowym krańcu przełęczy, przesłuchiwał nas gadatliwy, niesłychanie ambitny młodzik wywodzący się z lokalnych plemion. Nie był jeszcze dość stary, by traktować nas z nadętą oficjalnością, niemniej wcześniej czy później na pewno się tego nauczy. Poza tym jednak wydawał się bardziej zainteresowany wieściami z Północy niżli ewentualną kontrabandą czy rozpoznawaniem twarzy z listów gończych.

– Co się dzieje na Północy? – koniecznie chciał wiedzieć. – Ostatnimi czasy widzimy tu mnóstwo uchodźców. – Obejrzał nasz lichego dobytek, nawet nie próbując zaglądać do środka.

Gota i Dodż zatrajkotali do siebie w języku Niueng Bao, udając, że nie rozumieją silnie akcentowanego tagliańskiego młodego żołnierza. Ja wzruszyłam ramionami i odpowiedziałam z początku w dząjkuriańskim, który w dostatecznym stopniu przypomina tagliański, aby dwoje ludzi nie miało zasadniczych kłopotów z porozumiewaniem się, tym sposobem jednak tylko rozdrażniłam młodego biurwę. Nie miałam najmniejszej ochoty stać tu dłużej i plotkować z urzędasem.

– Nic nie wiem o pozostałych. My zostawiamy za sobą tylko dziesięciolecia nieszczęść i cierpienia. Słyszeliśmy, że na Południu są większe możliwości, dlatego też porzuciliśmy Ziemię Zgryzoty i przyszliśmy tutaj.

Urzędnik założył, że bardziej mam na myśli ściśle określony kraj, na co też miałam nadzieję, aniżeli fakt, iż mianem Ziemia Zgryzoty Vedna określamy miejsce, stan, w którym przebywa noefita, zanim pozna Boga.

– Powiadasz, że wielu wpadło na ten sam pomysł co my? – zmusiłam się, aby w mym głosie zabrzmiało zmartwienie.

– Ostatnio zaiste. Dlatego właśnie boję się, że coś się dzieje.

Obawiał się o stabilność imperium, z którym związał swój los.

– Słyszałam plotki, że w Taglios Czarna Kompania wyszła z podziemia i teraz prowadzi otwartą wojnę z Protektorką. – Nie potrafiłam się powstrzymać przed złośliwym żartem. – Ale o Czarnej Kompanii właściwie zawsze krążyły jakieś zwariowane opowieści. I nigdy nic z nich nie wynikało. I nie wpłynęły w żadnym stopniu na naszą decyzję.

Wyraz twarzy młodzieńca stał się jeszcze nieszczęśliwszy. Przepuścił nas już bez dalszych pytań. Nie wspominałabym o nim wcale, ale był jedynym urzędnikiem państwowym, którego spotkaliśmy od czasu wyjazdu z Taglios, który dokładał realnych starań, by wykonywać swe obowiązki. I czynił to tylko w nadziei przyspieszenia awansu.

Właściwie ani razu nie pojawiła się potrzeba przywoływania skomplikowanej opowieści, którą wymyśliłam na użytek naszej czwórki, a wedle której Łabędź był moim drugim mężem, Gota matką mego świętej pamięci pierwszego małżonka, Dodż zaś jej kuzynem, a wszyscy razem – uchodźcami wojennymi. Historia ta mogłaby się sprawdzić na każdym obszarze, który wcześniej zaznał poważniejszych walk. Taka zupełnie nieprawdopodobna rodzina, połączona dla celów przetrwania, bynajmniej nie stanowiła zjawiska odosobnionego.

– Przez całą drogę tutaj pracowałam nad konsekwentną historią dla każdego z nas, a nigdy jeszcze nie musiałam się do niej odwoływać. Ani razu – poskarżyłam się. – Nikt tu nie wywiązuje się ze swoich obowiązków.

Dodż uśmiechnął się i mrugnął do mnie, a potem zniknął na nierównym terenie obok drogi, aby odzyskać broń, którą ukrył wcześniej, gdy zbliżaliśmy się do punktu kontrolnego.

– Ktoś powinien coś zrobić w tej sprawie – oznajmił Łabędź. – Kiedy zobaczę następnego królewskiego zausznika, podejść wprost do niego i pokażę mu, gdzie raki zimują. Wszyscy płacimy podatki. Mamy prawo oczekiwać więcej wysiłku od naszych urzędników.

Gota przebudziła się na tyle, by wyzwać Łabędzia od idiotów, po tagliańsku i w Niueng Bao. Powiedziała mu jeszcze, że powinien się zamknąć, zanim nawet Bogu Głupców znudzi się opieka nad nim. Potem zamknęła oczy i znowu zaczęła chrapać. Gota zaczynała mnie martwić. Przez ostatnich kilka miesięcy z każdym dniem było w niej jakby mniej życia. Dodż sądził, że chyba uznała, iż nie ma po co dłużej żyć.

Może dzięki Sahrze odzyska dawny animusz. Niedługo już powinniśmy dołączyć do pozostałych. Może Sahra jakoś ożywi ją pragnieniem

uratowaniu Tai Deia oraz Uwięzionych.

Zamartwiałam się ewentualnymi konsekwencjami. Przez wszystkie te lata dokładałam wszelkich starań, by zapewnić powodzenie przedsięwzięciu, które rychło rozpoczniemy, a teraz po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, co tak naprawdę może mi przynieść ten sukces. Ludzie, których tam pogrzebano, nigdy nie byli wzorami prawości i zdrowego rozsądku. Krew powoli wrzała im w żyłach od niemal dwóch dziesięcioleci. Istniały małe szanse, że kiedy wyjdą na świat, będą chcieli okazać mu przede wszystkim braterską miłość.

Był też jeszcze demon – strażnik Sziwetja i gdzieś tam, zaczarowana i skowana istota, którą czcili Narajan i Córka Nocy. Nie wspominając o niebezpieczeństwach i tajemnicach samej równiny lśniącego kamienia i nie licząc innych zagrożeń, których nie zdążyliśmy jeszcze poznać.

Jedynie Łabędź miał niejaki doświadczenia. Jednak nie potrafił mi przekazać żadnej istotnej informacji. Podobnie zresztą jak Murgen przez te wszystkie lata, aczkolwiek jego przeżycia radykalnie różniły się od doświadczeń Łabędzia. Murgen oglądał lśniąca równinę równocześnie w dwu światach. Łabędź zdawał się dużo lepiej poruszać w jej postaci należącej do naszego świata. Nawet po tak wielu latach potrafił z wyborną dokładnością opisać poszczególne znaki w terenie.

– Jak to się stało, że nigdy wcześniej o tym nie mówiłeś?

– Nigdy niczego nie ukrywałem, Ospala. Ale ten świat najwyraźniej jest tak skonstruowany, że ze zgłaszania się na ochotnika nie wynikają żadne korzyści. Gdybym przyznał się, że cokolwiek wiem o tym miejscu, już w następnej chwili stary dobry Wierzba Łabędź wracałby tam jako przewodnik oddziału najeźdźców pewnych, że uda im się napędzić śmiertelnego stracha wszystkim duchom, jakie nawiedzają to miejsce. Nie mam racji? Czy może właśnie mam?

– Nie jesteś taki głupi, jak każesz wszystkim o sobie myśleć. Sądzę, że nie widziałeś tam żadnych duchów.

– Nie w taki sposób, w jaki widzi je Murgen, ale to nie oznacza, że nie czułem, jak czają się wszędzie wokół. Sama się przekonasz. Jak będziesz próbowała zasnąć w nocy, słysząc równocześnie głodne cienie wzywające cię z odległości kilku metrów. To jak wizyta w zoo, gdzie od wszystkich drapieżników świata dzieli cię tylko grubość krat. Krat, których nie widzisz, a nawet nie wyczuwasz ich obecności, a więc nie masz jak sprawdzić, czy

w ogóle są godne zaufania. A cały ten diabelski bełkot również nie przyczynił się w niczym do uspokojenia moich nerwów, Ospała.

– Być może okaże się, że w ogóle nie pójdziemy tam, na górę, Łabędź... jeśli Klucz, który posiadamy, został podrobiony, albo na przykład stracił swoją użyteczność. Wówczas nie pozostanie nam nic innego do zrobienia, jak może tylko założyć browar i udawać, że w życiu nie słyszeliśmy o Protektorze, Radiszy ani Czarnej Kompanii.

– Uspokój się, moje dziecko. Wiesz przecież doskonale, że ta rzecz okaże się na pewno prawdziwym Kluczem. Twój Bóg, moi bogowie, czyiś bogowie mają słabość do Wierzby Łabędzia i już zadbają o to, aby ostatecznie przydarzyło mi się to, co najgorsze z możliwych. Powiniennem teraz uciekać jak najdalej od ciebie. Powiniennem wydać cię w ręce najbliższego urzędnika królewskiego. Tylko że dzięki temu Duszołap dowiedziałyby się, że wciąż żyję. A wtedy zrobiłaby się naprawdę niemila i chciałyby wiedzieć, dlaczego nie wydałem cię trzy, cztery miesiące temu.

– Nie wspominając już o tym, że prawdopodobnie posiwiiałbyś, szukając urzędnika na tyle zainteresowanego, że chciałby cię wysłuchać.

– To też.

Pojawił się Dodż z bronią. Każdy wziął swoją i ruszyliśmy dalej. Łabędź nadal elokwentnie przedstawiał siebie w roli pierwotnego syna Złego Losu.

Od czasu do czasu zdarzały mu się napady wielkiego talentu dramatycznego.

Prawie kilometr dalej trafiliśmy na niewielki wiejski rynek. Kilku starych i młodych, którzy nie na wiele mogli się przydać na farmie, wyczekiwało z nadzieją podróżnych wciąż jeszcze roztrzęsionych przejściem przez góry. Na sprzedaż mieli głównie świeże płody, jakie aktualnie rodziła ziemia, ale plotkami dzielili się za darmo, zwłaszcza jeśli było cię stać na dorzucenie paru kawałków od siebie. W ich oczach działania wokół Danda Presz wydawały się szczególnie intrygujące.

Zapytałam młodą dziewczynę, która wyglądała, jakby była młodszą siostrą celnika stojącego na drodze.

– Pamiętasz dobrze ludzi, którzy ostatnio tędy przechodzili? Mój ojciec miał podążać przed nami, aby znaleźć miejsce na osiedlenie się. – Zaczęłam szczegółowo opisywać Narajana Singha.

Dzieciak okazał się płochą istotą, której nic nie obchodziło i która o nic nie dbała. Być może nie pamiętała nawet, co jadła na śniadanie. Nie przypominała sobie Narajana, ale poszła poszukać kogoś, kto mógł go pamiętać.

– Gdzie ona była, kiedy miałem jeszcze tyle lat, by poważnie myśleć o małżeństwie? – jęknął Łabędź. – Kiedy się trochę zestarzeje będzie jeszcze piękniejsza, a nie ma dość bystrości, by wszystko skomplikować.

– Kup ją. Weź ze sobą. Wychowaj sobie.

– Nie jestem już taki ładny jak kiedyś.

Próbowałam pomyśleć, czy ktoś jest. Nawet Sahra się nie łapała.

Czekałam. Łabędź mruczał coś pod nosem. Dodź i Gota chodzili w kółko, Wujek podchwytywał plotki, a Matka przyglądała się towarom. Oprócz rosnących na tych ziemiach warzyw i owoców było tego niewiele. Jakimś sposobem zdobyła jednak wynędzniałą kurę. Jedną z zalet naszej całej podróżującej gromadki był fakt, że ani Gunni, ani Szadar nie komplikowali sobie posiłków. Dotyczyło to tylko Goty, która próbowała nam gotować. Może jednak, gdy będzie spała, uda mi się zamordować kurę, a potem upiec, zanim Matka się obudzi.

Dziewczyna przyprowadziła bardzo starego człowieka. Ale on również nie potrafił nam w niczym pomóc. Próbował najwyraźniej tylko powiedzieć mi to, co jego zdaniem chciałam usłyszeć. Jednak nie sposób było wykluczyć, że Narajan rzeczywiście przechodził przez przełęcz jakiś czas temu.

Miałam nadzieję, że Murgen trwa na posterunku, i uczuliłam innych na wynikające stąd możliwości.

Dodź i Gota ruszyli już w dalszą drogę, zanim ja zdążyłam skończyć z tubylcami. Zaskoczyło ich, że władam językiem na tyle biegle, żeby poradzić sobie z komunikacją. Gota była już wyraźnie zmęczona jazdą. Osiołkowi z pewnością też przyda się chwila wytchnienia.

– To twoje zwierzątko? – zapytała dziewczyna.

– To jest osioł – odpowiedziałam, naprawdę zdziwiona, że komunikacja nastęrcza mi tak niewielu problemów. Przecież tam, w dole, mieli osły, nieprawdaż?

– To wiem. Chodziło mi o ptaka.

– Hm. No cóż... – Na szczycie oślich juków przycupnął biały kruk. Mrugnął do mnie. Roześmiał się.

– Siostró, siostró – powiedział i trzepocząc skrzydłami, poderwał się w powietrze, by po chwili sfrunąć w dół górskiego zbocza.

– A właśnie sobie myślałem, że odkryłem jaśniejszą stronę tej podróży. Tutaj nie pada – zauważył Łabędź.

– Być może zorientuję się, czy nie pozwolą mi zatrzymać dzieciaka. W zamian za twój silny grzbiet.

– Za bardzo się tu zadomawiamy, moja dobra żono... Ospała? Miałaś kiedyś prawdziwe imię?

– Anjanjadir, Zaginiona Księżniczka Dżajkuru. Ale właśnie teraz moja zła macocha odkryła, że wciąż żyję, i wezwała wszystkich książąt rakszasów, aby targować się z nimi o zamordowanie mnie. Hej! Żartowałam. Jestem Ospała. A ty znasz mnie, praktycznie rzecz biorąc, od momentu kiedy się nią stałam, koniec i kropka. A więc niech tak zostanie.

Po zejściu z gór przestała być to podróż do miejsca, gdzie niegdyś było Kiaulune. Podczas wojen z Władcami Cienia, jak i później podczas wojen kiauluńskich między Radiszą a tymi, którzy postanowili dochować wierności Czarnej Kompanii, kraina ta zaznała niewiarygodnych wręcz zniszczeń. Nieszczęśliwie się złożyło, że większość szczątków została usunięta, zanim nawet Duszołap uznała, że może ogłosić już zwycięstwo i udać się na Północ z roszczeniami do tytułu Protektorki Wszystkich Taglian. Radisza powinna zobaczyć, jak ziemie te wyglądały w najgorszym dla nich czasie, może wtedy zrozumiałaby, do czego doprowadziła, nie dotrzymując umowy z Kompanią. Ale najgorsze istniało już teraz tylko w pamięci tych, co przeżyli. Hałaśliwa niegdyś dolina mogła poszczycić się obecnie dość dużym miastem i szachownicą nowych farm, zaludnionych przez mieszankę narodowości, byłych jeńców wojennych i dezertersów z każdej możliwej frakcji. Pokój nastąpił zupełnie niespodziewanie i był dziarsko eksploatowany, jakby w przeczuciu, że niemożliwością jest, aby potrwał długo.

Przeobrażenie starego Kiaulune, nazywanego niegdyś Uściskiem Cienia, w nowe, noszące zwyczajne miano Nowego Miasta nie objęło jednej rzeczy. W górze, na przeciwnym stoku doliny, w odległości wielu kilometrów, za spiętrzonymi, porośniętymi zielskimi ruinami potężnej niegdyś twierdzy Przeoczenie, gdzie ziemia szybko przechodziła od żywych zieleni w niemalże całkowitą nagość brązów, znajdowała się przerażająca konstrukcja zwana Bramą Cienia. Nie mogłam jej dojrzeć, czułam wszelako jej zew.

– Teraz musimy uważać, by w pośpiechu wszystkiego nie zniszczyć. – Zwróciłam się do moich towarzyszy. – Może okazać się on naszym najgorszym wrogiem.

Brama Cienia była nie tylko jedyną drogą, którą mogliśmy dostać się na równinę, by wyzwolić Uwięzionych. Stanowiła także jedyne miejsce, przez

które zamknięte na niej cienie mogły się wydostać i sprowadzić na cały świat taką samą biedę, jak ich kuzyni w Taglios. A sama brama znajdowała się w kiepskim stanie. Władcy Cienia poważnie osłabili i naruszyli jej konstrukcję, kiedy sięgali po cienie, które potem wzięli.

– W tej kwestii zgadzamy się całkowicie – odparł Wujek Dodż. – Cała tradycja kładzie nacisk na potrzebę ostrożności.

Ostatnimi czasy przestaliśmy się zgadzać. On zaczął na powrót flirtować z pomysłem, że kronikarz Kompanii stanie się jego osobistym uczniem i w końcu przyjmie na siebie tę osobliwą rolę, jaką on sam odgrywał wśród Niueng Bao. Kronikarza Kompanii ta praca bynajmniej nie interesowała, niemniej Dodż był jednym z tych ludzi, którzy natrafiają na potworne wręcz trudności, kiedy próbują zmusić swój umysł do zrozumienia słowa: „Nie!”

– To coś nowego – powiedziałam, wskazując niewielką budowlę, położoną niecałe pięćset metrów poniżej Bramy Cienia, nieco z boku drogi. – I nie podoba mi się jej wygląd. – Z tak daleka trudno było jednoznacznie stwierdzić, ale wyglądała jak niewielka forteca wzniesiona z kamienia, wyszabrowanego z ruin Przeoczenia.

Dodż chrząknął.

– Potencjalne komplikacje.

– Jeśli dalej będziemy tak stać i się gapić, ktoś może się na nas zdenerwować – zauważył Łabędź.

Uwaga nie całkiem pozbawiona słuszności, aczkolwiek wydawało się, że władza znajdowała się w stanie potwornego rozprężenia. Było oczywiste, że już od dłuższego czasu miasto nie miało żadnych kłopotów. Najprawdopodobniej od momentu, gdy opuściła je Czarna Kompania.

– Ktoś... prawdopodobnie ja, ponieważ jestem tu jedyną, której wygląd zgadza się z tym, za kogo się podaje... będzie musiał dokładnie się tu rozejrzeć. – Wedle pierwotnego planu wszyscy mieli rozbić obóz niedaleko miejsca, gdzie stała obecnie nowa budowla.

Nie bardzo wiedziałam, co teraz zrobić. Ktoś powinien czekać, aż zejdziemy z gór. Miałam nadzieję, że chodzi tu tylko o niedopatrzenie Sahry. Od wieków była już poślubiona Kompanii, nigdy jednak nie nauczyła się myśleć jak żołnierz. Albo nikt nie pospieszył jej z dobrą radą, albo postanowiła zignorować otrzymaną radę, ponieważ jak wielu cywilów, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego należy dopatrzyć nawet najmniejszych

drobiazgów – w efekcie być może nie uznała za stosowne wystawić wart oczekujących na nasze przybycie.

Modliłam się, aby tylko o to chodziło.

Nikt jakoś nie zgłaszał się na ochotnika do roli zwiadowcy. Moja strata. Kolejne pęcherze na stopach, podczas gdy oni będą leniuchować sobie w cieniu młodych pinii.

Biały kruk zmaterializował się w kilka chwil po tym, jak pokonałam załom górskiego grzbietu i straciłam towarzyszy z oczu. Zanurkował w moją stronę i zakrakał. Potem zrobił to znowu. Próbowaliśmy się od niego oganiać, jakby był jakimś wielkim, naprawdę dokuczliwym owadem. Zaśmiał się i po chwili był z powrotem, a w jego krakaniu można było już rozróżnić słowa.

Zrozumiałam. Nareszcie. Ptak chciał, żebym poszła za nim.

– Prowadź, zwiastunie zagłady, ale pamiętaj, że nie jestem Gunni i nie powstrzymują mnie żadne święte tabu zabraniające jedzenia mięsa. Kilkakrotnie podczas najgorszych okresów mojej służby wojskowej zdarzało mi się kosztować, jeśli to jest właściwe słowo, kruczego gulaszu.

Jednak ten konkretny kruk miał na względzie wyłącznie moje dobro. Zaprowadził mnie prosto do istnego miasteczka namiotów, położonego na zboczu wzgórza tuż za przedmieściami Nowego Miasta. Nasi ludzie musieli udawać tutaj tylko zwykłych uchodźców, niemniej we wszystkim znać było rękę Sahry. Obóz był schludny, uporządkowany i czysty. Dokładnie zgodnie z wymogami Kapitana, chociaż pod jego nieobecność stosowano się do nich wyłącznie nominalnie.

Poczułam rodzący się w duszy wewnętrzny konflikt. Natychmiast pobiec przed siebie, aby spotkać wszystkich, których nie widziałam już od miesięcy? Czy wrócić po moich towarzyszy podróży? Kiedy zacznę się ze wszystkimi ścisnąć, mogą minąć godziny, zanim...

Oszczędzono mi tego wyboru. Dostrzegł mnie Tobo.

Pierwszym ostrzeżeniem był okrzyk:

– Ospała! – A potem z lewej strony wpadł na mnie kłęb rozedrganych ramion i nóg, ogarniając mnie zupełnie nieoczekiwaną masą uścisków.

Jakoś się wywinęłam.

– Ale urosłeś. – Faktycznie sporo. Był już wyższy ode mnie. I jego głos nabrał głębszych tonów. – Nie mógłbyś stać się już Sziki. Wielkim mężom tagliańskiej polityki chyba popękają serca.

– Goblin mówi, że nastał czas, abym złamał kilka dziewczęcych serc. – Nie należało żywić szczególnych wątpliwości, że dysponuje takimi możliwościami. Zapowiadał się na przystojnego mężczyznę, któremu nie brakowało pewności siebie.

Co zupełnie niezwykle, otoczyłam go ramieniem w pasie i zaczęliśmy schodzić tam, gdzie pojawiała się coraz więcej znajomych twarzy.

– Jak minęła podróż?

– W większości zabawnie, wyjąwszy chwile, gdy zmuszali mnie do nauki, co działo się przez mniej więcej cały czas. Sri Surendranat jest jeszcze gorszy niż Goblin, ale mówi, że kiedyś zostanę uczonym. A Matka zawsze się zgadza, kiedy tylko ktoś chce mnie zagnać do nauki. Jednak udało nam się zobaczyć parę niezłych rzeczy. Ta świątynia w Praipiurbed, cała pokryta rzeźbami ludzi robiących to na wszystkie możliwe sposoby... och, przepraszam. – Zaczerwienił się.

Tobo miał w głowie zakodowany obraz mnie jako swego rodzaju cnotliwej mniszki. I większość mego dorosłego życia mogła go tylko utwierdzić w tym przekonaniu. Ale bynajmniej nie mam nic przeciwko międzyludzkiemu przygodom, choć po prostu sama nie jestem tym zainteresowana. Przypuszczalnie dlatego że, jak upierał się Łabędź, nigdy nie natrafiłam na człowieka, którego zwierzęcy magnetyzm potrafiłaby całkowicie zdominować moje intelektualne zastrzeżenia. We własnym mniemaniu Łabędź był wiodącym autorytetem w tych sprawach.

W każdym razie nie ustawał w propozycjach. Kto wie? Może kiedyś z ciekawości spróbuję, choćby tylko po to, żeby się przekonać, czy to możliwe, aby ktoś dotknął mnie, nie wywołując we mnie ochoty na natychmiastowe ukrycie się w mojej wewnętrznej kryjówce.

Teraz już inni wyszli mnie powitać, ze szczerością, która rozgrzała inne miejsce w moim wnętrzu – ciepłe, maleńkie miejsca, rozjarzone teraz żarem. Moi towarzysze. Moi bracia. Utonęłam w powodzi znajomych głosów. Teraz z pewnością uda się nam coś osiągnąć. Teraz musimy dokąś dojść. Teraz możemy naprawdę skopać komuś dupę, kiedy będzie trzeba. Ospała była już na miejscu, zaraz wszystko ogarnie, a potem powie każdemu, gdzie i kiedy ma dźgnąć nożem.

– Bóg jeden zna wszystkie tajemnice i wszystkie żarty – powiedziałam – a ja mogę tylko pragnąć, by podzielił się ze mną tajemnicą żartu, który by wyjaśniał, dlaczego postanowił stworzyć niemiłą gromadkę najemnych

morderców. – Małym palcem otarłam łzę, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć, że przecież nie pada. – Wy, chłopcy, wyglądacie raczej tłustawo jak na kogoś, kto od dawna jest w drodze.

Ktoś odrzekł:

– Cholera, czekamy tu na was przez cały pieprzony miesiąc. Przynajmniej niektórzy z nas. Najwolniejsi dotarli w zeszłym tygodniu.

– Co z Jednookim? – zapytałam, widząc Sahrę przeciskającą się przez ciżbę.

– Pojechało go – zabrzmiał jakiś głos. – Skąd mogłaś wiedzieć...?

Uściskałyśmy się z Sahrą.

– Zaczynaliśmy się już martwić. – W jej stwierdzeniu pobrzmiewał odległy akcent pytania.

– Tobo, twoja babcia i Wujek Dodż czekają w lesie przy drodze do miasta. Pobiegnij do nich i powiedz, że mogą zejść na dół.

– Gdzie pozostali? – zapytał ktoś.

– Łabędź jest z nimi. Są trochę z tyłu. Po dotarciu na wyżyny podzieliliśmy się na trzy grupy. Wszędzie było pełno kruków. Nie chcieliśmy robić im zbyt oczywistego widowiska.

– Postąpiliśmy tak samo, gdy zeszliśmy z barki – poinformowała mnie Sahra. – Widzieliście dużo kruków? My tylko kilka. Nie musiały wcale należeć do Protektorki.

– Cały czas towarzyszy nam ten biały.

– My widzieliśmy go również. Jesteś głodna?

– Bez żartów. Od opuszczenia Dżajkuru jadłam jedzenie twojej matki. – Rozejrzałam się dokoła. Przyglądali się nam ludzie nienależący do Czarnej Kompanii. Mogli być również uciekinierami, ale entuzjazm towarzyszący mojemu pojawieniu się z pewnością wywoła dużo gadania.

Sahra roześmiała się. Brzmiało to jak wyraz ulgi, nie zaś dobrego humoru.

– Jak czuje się matka?

– Wydaje mi się, że nie jest z nią najlepiej, Sahra. Zniknęła gdzieś wstrętna, zgorzkniała, stara Ki Gota. Większość czasu spędza pogrążona we własnych myślach, a kiedy odzyskuje świadomość, zachowuje się, jakby prawie wiedziała, na czym polega grzeczność.

– Chodź tutaj. – Sahra uniosła klapę namiotu. Był to największy namiot w całym obozowisku. – A Wujek Dodż?

– Odrobinę bardziej powolny, ale to wciąż on. Chce, żebym zmieniła się w Niung Bao i została jego uczennicą. Jakbym miała dość czasu, będąc aktualnie uczennicą Murgena. Powiada, że to dlatego, iż nie ma komu przekazać swoich obowiązków. Na czymkolwiek miałyby polegać. Najwyraźniej sądzi, że najpierw powinnam się zdecydować, a może potem on cokolwiek łaskawie mi wyjaśni.

– Macie Klucz?

– Mamy. Jedzie w jukach Wujka Dodza. Ale Singh uciekł. Czego zresztą należało się spodziewać. Nie pokazał się tutaj? Przez całą drogę towarzyszyły nam plotki, z których można wywnioskować, że wyprzedzał nas i powoli was doganiał. Wciąż masz dziewczynę?

Sahra pokiwała głową.

– Ale ona jest zupełnie grzeczna. Myślę, że podróż powrotna na Południe przybliży ją tylko do Kiny. Rozsądek mi podpowiada, że powinniśmy złamać obietnicę i ją zabić. – Umościła się na poduszkach. –

Dobrze, że wreszcie dotarłaś. Jestem zupełnie wykończona. Użeranie się z tymi wszystkimi ludźmi, kiedy nie ma nic do roboty... to cud, że nie wydarzyło się nic naprawdę poważnego... Kupiłam farmę.

– Co zrobiłaś?

– Kupiłam farmę. Niedaleko Bramy Cienia. Powiedzieli mi, że gleba jest luźna, niemniej jest to miejsce, gdzie większość ludzi może trzymać się z dala od widoku, od kłopotów, a nawet mieć jakieś zajęcie przy budowie domu czy też uprawianiu ziemi, dzięki czemu w końcu może nawet staniemy się samowystarczalni. Połowa oddziału przebywa tam obecnie. Większość tych, którzy są tutaj, również pracowałyby na miejscu, jednak Murgen powiedział, że dzisiaj dotrzecie na miejsce. Śliczny czas. Nie spodziewaliśmy się was przez najbliższych kilka godzin.

– Chcesz powiedzieć, że dokładnie wiecie, co się dzieje w dalekim świecie?

– Mam szczególnie utalentowanego męża, który jednak nie zawsze dzieli się ze mną wszystkimi informacjami. Z drugiej strony, ja nie zawsze dzielę się tym, co wiem, z pozostałymi. Niemniej liczę na to, że z tobą będzie to wyglądać inaczej. Są tysiące rzeczy, o których musimy porozmawiać, Ospała. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Dlaczego więc nie od: jak się masz?

Bractwo powinno ruszać w drogę.

Goblin niezaproszony wpadł do namiotu i wydyszał, że zgodnie ze słowami Murgena świąteczny nastrój wywołany moim przybyciem przyciągnął uwagę policyjnych informatorów i wzbudził podejrzenia lokalnych władz. Dotąd przed dokładnym zbadaniem spraw obozu dla uchodźców powstrzymywał je całkowity brak jakichkolwiek ambicji. Wysłałam Kendo oraz tuzin innych ludzi, aby zabezpieczyli południowe wyjście z przełęczy przez Danda Presz, zarówno po to, by zagwarantować miłe powitanie dla tych, co mieli przyjść po mnie, jak i po to, by nikt nie pobiął natychmiast na północ z wieścią o tym, gdzie można nas znaleźć. Kilka nielicznych drużyn posłałam z zadaniem aresztowania starszych oficerów oraz urzędników, zanim uda się im cokolwiek zorganizować. Na miejscu nie było żadnej prawdziwej, ustalonej, solidnej struktury władzy, ponieważ Protektorka sprzyjała rządowi ograniczonej anarchii.

Od razu stało się oczywiste, że tym niegdysiejszym Ziemiom Cienia, mimo bliskości równiny lśniącego kamienia, centralna władza w Taglios poświęca jedynie marginalną uwagę. Kłopoty w tym regionie raz na zawsze utopiono w powodzi krwi. Wielki Generał cieszył się tu reputacją, na którą jak najbardziej zasługiwał. W mieście stacjonowała garstka żołnierzy i właściwie nie było żadnych urzędników cieszących się jakimkolwiek autorytetem poza ścianami swych biur. Przypominało to więc do złudzenia cichą prowincję, idealną dla zsyłki ludzi, mogących sprawić kłopoty, a których nie chce się likwidować.

Mimo to na całym obszarze było ich znacznie więcej niżli nas, a my wyszliśmy z żołnierskiej wprawy. Będziemy musieli opierać się na naszej inteligencji, szybkości, zajadłości, póki cały klan nie zbierze się razem i nie dobiegną końca przygotowania do podróży drogą na południe, ku krańcowi doliny.

– Dobra, a teraz, kiedy już ustanowiłaś na powrót swą władzę i masz chwilę czasu, by pogadać, jak się, u diabła, miewasz, Ospała? – zapytał Goblin. Wyglądał na wyczerpanego.

– Śmiertelnie zmęczona podróżą, ale wciąż pełna ducha. Miło pogadać z kimś, przy kim nie trzeba wciąż przechylać się do tyłu, aby spojrzeć mu w oczy.

– Wchodzisz przez te cholerne drzwi i walisz taką kupą. Wiedziałem, że musiał istnieć jakiś powód, dla którego za tobą nie tęskniłem.

– Słodszych rzeczy już chyba nie sposób powiedzieć. Co z Jednookim?

– Coraz lepiej. Skoro Gota już tu jest, pewnie będzie jeszcze lepiej. Ale całkiem dobrze nie będzie już nigdy. Będzie coraz wolniejszy, będzie się trząsł i miał ataki, podczas których zapomni, co właśnie robił. I na zawsze już zostaną mu kłopoty z mówieniem, zwłaszcza gdy się zdenerwuje.

Pokiwałam głową, wzięłam głęboki oddech.

– I to się znowu powtórzy, prawda? – spytałam.

– Może. Często tak się dzieje. Jednakowoż nie musi. – Potarł dłonią czoło. – Ból głowy. Potrzebuję trochę snu. Można doprowadzić się do szaleństwa, próbując dać radę czemuś takiemu.

– Jeśli potrzebujesz snu, spróbuj wyspać się teraz. Wszystko zaczyna powoli ruszać z miejsca. Kiedy zaczniesz się na dobre, będziesz nam potrzebny.

– Wiedziałem, że musi być jeszcze jakiś powód, dla którego za tobą nie tęskniłem. Nie jesteś na miejscu jeszcze dość długo, by wysmarkać nos, a już ludzie latają dookoła, gotowi walić się wzajem po głowach.

– Taki już mam wesoły charakter. Myślisz, że powinnam odwiedzić Jednookiego?

– Jak chcesz. Ale jeśli o nim zapomnisz, pęknie mu serce. Prawdopodobnie już wychodzi z siebie, ponieważ ze mną zobaczyłaś się najpierw.

Zapytałam, gdzie znajdę Jednookiego, i wyszłam z namiotu. Zauważyłam, że uciekinierzy niezwiązani z Kompanią zaczynają się powoli wyślizgiwać z obozu. Teraz już nawet w Nowym Mieście dawało się dostrzec znaki ogarniającego je podniecenia.

Gota, Dodż i Łabędź zmierzali do obozu, schodząc z górskiego zbocza. Tobo krążył wokół nich jak podekscytowany psiak. Zastanawiałam się przez moment, po której stronie stanie Łabędź, kiedy zaczniesz się prawdziwa

zabawa. Najpewniej, tak długo jak to tylko możliwe, będzie się starał zachować neutralność.

– Wyglądasz lepiej, niż oczekiwałam – poinformowałam Jednookiego, który naprawdę coś robił, gdy wsadziłam głowę do namiotu. – To ta włócznia? Myślałam, że zgubiłeś ją już całe wieki temu. – Rieczona broń była pięknie zdobionym śmiertelnościami narzędziem o potężnej mocy magicznej, które zaczął rzeźbić jeszcze podczas oblężenia Dżajkuru. Pierwotnie zamierzał użyć jej przeciwko Władcy Cienia, Kręcącemu Cieniowi. Później wciąż ją ulepszał, aby zmierzyć się z Długim Cieniem. Włócznia promieniowała takim mrocznym pięknem, że wydawało się grzechem wykorzystać ją do zabicia kogoś.

Chwilę trwało, zanim Jednooki powrócił do rzeczywistości. Wreszcie spojrzał na mnie. Skurczył się jeszcze bardziej od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni, a przecież nawet wówczas był już tylko szczątkiem Jednookiego, jakiego pamiętałam z czasów mej młodości.

– Nie zgubiłem.

Tylko dwa lakoniczne słowa. Żadnych zwyczajowych kreatywnych inwektyw, oskarżeń, obrażania się. Nie chciał zawstydząć samego siebie. Konsekwencje ataku musiały być wyraźnie dotkliwsze emocjonalnie niżli cielesnie. Przez dwieście lat całkowicie panował nad swym otoczeniem – wiek dalece przekraczający marzenia większości ludzi – a teraz nie mógł już sobie ufać, że uda się mu wypowiedzieć poprawnie jedno pełne zdanie.

– Wróciłam. Mam Klucz. Wszystko wreszcie ruszyło z miejsca.

Jednooki powoli pokiwał głową. Mam nadzieję, że zrozumiał. W Dżajkurze mieszkała kiedyś pewna kobieta, powiadali, że miała sto dziewiętnaście lat, kiedy umarła. Przez całe moje życie nie widziałam, by robiła coś innego, jak tylko siedziała w fotelu i śliniła się. Nie rozumiała niczego, co do niej mówiono. Trzeba było jej zmieniać pieluszki jak niemowlęciu. Trzeba było ją karmić jak dziecko. Nie chciałam, żeby coś takiego stało się z Jednookim. Przez większość swego czasu był stary, kłócił się ze wszystkimi, dokuczał wszystkim, ale stanowił fundament mego świata. Był moim bratem.

– Ta druga kobieta. Ta zamężna. Nie ma w sobie dość ognia. – Jego słowa stanowiły cień normalnej mowy. Kiedy mówił, ręce trzęsły się zbyt mocno, aby utrzymać narzędzia.

– Ona boi się osiągnąć to, czego chce.

– I boi się tego nie osiągnąć. Masz dużo pracy, Dziewczynko. – Cała twarz mu się rozjaśniła, ponieważ zdołał powiedzieć aż tyle bez większych kłopotów. – Robisz, co trzeba. Ale będę musiał porozmawiać z tobą znów niedługo. Wkrótce. Ponieważ znowu mi się to dzieje. – Mówił powoli i z ogromną ostrożnością dobierał słowa. – Ty jesteś jedyna. – Jego wysiłek umysłowy był tak wielki, że cała rzecz sprawiała przykre wrażenie. Skinął dłonią, bym podeszła bliżej. – Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego.

Ktoś odrzucił gwałtownie klapę namiotu. Do wnętrza wlały się potoki jaskrawego światła. Wiedziałam, że to Gota, nawet jeśli nie mogłam jej zobaczyć. Można to było wyczuć po zapachu.

– Spróbuj nie zmuszać go zbyt do mówienia. Jest bardzo słaby.

– Już wcześniej zetknęłam się z takim przypadkiem. – Chłodna, aczkolwiek uprzejma. Znacznie bardziej ożywiona, niżli zdarzało się jej od dawna, wciąż jednak to nie ta kostyczna, często całkiem irracjonalna Gota z ostatniego roku. – Bardziej przydam się tutaj. – Jej akcent był słyszalny dużo bardziej niż zazwyczaj. – Idź, zabij kogoś, Kamienny Żołnierzu.

– Minęło już trochę czasu, odkąd ktoś tak mnie nazywał.

Gota skłoniła mi się szyderczo, kiedy przechodziłam koło niej.

– Wojownikowi Kości. Żołnierzu Ciemności, idź naprzód i wezwij Dzieci Zmarłych z Krainy Nierozpoznanych Cieni. Gdzie wszelkie zło umiera niekończącą się śmiercią.

Wyszłam na zewnątrz, całkiem zbита z tropu. O co w tym znów chodziło?

I usłyszałam za sobą:

– Wzywając Niebiosa i Ziemię, i Dzień, i Noc.

Pomyślałam sobie, że słyszałam tę frazę już gdzieś wcześniej, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć ani gdzie, ani w jakim kontekście. Pewnie kiedyś, gdy któryś z wyznawców Niueng Bao starał się być szczególnie skryty.

Rozgorączkowanie powoli narastało. Ktoś ukradł jakieś konie... *załatwił* konie. Nie ulegajmy nadto pochopnym wnioskom. Kilkunastu jeźdźców pętało się dookoła, bez żadnego racjonalnego planu. Przecież coś powinno być przygotowane z góry na taką sytuację.

– Tak się właśnie dzieje, gdy nikt nie chce objąć dowództwa – zaczęłam narzekać. – Wy trzej, tam! Zaraz do mnie! W imię Boże, co wy robicie?

Po wysłuchaniu ich wymijających odpowiedzi wydałam wreszcie pierwsze rozkazy. Pogałopowali, roznosząc je do innych.

– Nie ma Boga prócz Boga. Bóg jest Wszechmogący, Niezmierzona Łaska Jego. Zmij się nade mną, o Władco Czasów. Spraw, by wśród moich wrogów zapanowało większe zamieszanie niżli wśród mych przyjaciół – wymruczałam do siebie. Czułam się jak w oku cyklonu niekompetencji.

Moja wina? Przecież dotarłam tylko na miejsce zbiórki. Skoro należało się tego spodziewać, ktoś powinien spotkać się ze mną w miejscu, gdzie nie było żadnych świadków, i w tajemnicy zaprowadzić na farmę Sahry. Dzięki temu zyskalibyśmy czas, aby jakoś dojść do siebie, i nikt by się nie wymądrzał.

Tak naprawdę nie mogliśmy poszczycić się żadną formalną organizacją, nie istniała ustalona struktura dowodzenia, nie dokonano podziału obszarów odpowiedzialności. Nie mieliśmy innych celów politycznych prócz zadawnionych waśni i głęboko zakorzonego przekonania, że powinniśmy oswobodzić Uwięzionych. Staliśmy się czymś niewiele więcej ponad osławioną bandę łotrów i to mnie martwiło. Po części była to bowiem moja wina.

Rozmasowałam kark. Nie potrafiłam odpędzić natrętnego przeczucia, że Kapitan będzie musiał nadrobić całe lata ochrzaniania nas. Niezależnie od wymówek, jakie przychodziły mi do głowy – byłam tylko zastępczynią Murgena, podczas gdy on spoczywał pogrzebany – to przecież oficjalnie zostałamznaczona na jego uczennicę. Kronikarz często bywa chorążym, a chorąży ma przed sobą otwartą drogę awansu, ponieważ dowodzący uznają go za zasadniczo zdolnego do wykonywania obowiązków Porucznika, a w końcu zapewne również Kapitana. Co dowodziło, że Murgen musiał dostrzec coś we mnie już dawno temu, a Stary nie znalazł powodu, by zaprotestować. A ja nic nie robiłam, tylko bawiłam się świetnie, wymyślając kolejne stadia udręki dla naszych wrogów, podczas gdy kobieta, która wcale nie była zaprzysiężonym żołnierzem Kompanii, zaocznie niejako przejęła większość obowiązków dowódcy. Inteligencja, odwaga i determinacja Sahry nie pozostawiały nic do życzenia, jednak jej umiejętności jako żołnierza i dowódcy to była już nieco inna sprawa. Chciała dobrze, ale nie rozumiała strategii, które nie zostały utkane wokół jej osobistych celów i pragnień. Oczywiście zamierzała doprowadzić do

wskrzeszenia Uwięzionych, ale kierowała się nie tylko dobrem Czarnej Kompanii. Chciała odzyskać męża. Dla Sahry Kompania była tylko środkiem do realizacji własnych celów.

Teraz mieliśmy zapłacić cenę mojej niechęci, aby uczynić ten ostatni krok i w całości poświęcić się realizacji celów Kompanii.

Tak naprawdę stanowiliśmy istotnie niewiele więcej nad bandę rzezimieszków, którymi byliśmy wedle Protektorki. Gotowa byłam się założyć, że jakikolwiek zdecydowany opór, na który natrafilibyśmy tutaj, zniszczyłby resztkę swoistego ducha Kompanii, jaka dotąd w nas pozostała. Mieliśmy jeszcze zapłacić za zapomnienie, kim i czym byliśmy. A mój gniew, skierowany zresztą głównie przeciw sobie samej, sprawił, że musiałam wydawać się naprawdę wszystkim jakimś nadnaturalnym zjawiskiem. Biegałam dookoła, wrzeszcząc i tocząc pianę z ust. Nie minęło więc dużo czasu, a już zagnałam każdego do jakiejś pożytecznej roboty.

A wtedy żalosna garstka łachmaniarzy wynurzyła się z Nowego Miasta, zmierzając w stronę obozu dla uchodźców niczym stado upartych gęsi, gęgając i kołysząc się na boki. Było ich mniej więcej pięćdziesięciu. Nieśli broń. Stał była w zdecydowanie lepszym stanie niżli wymachujący nią żołnierze. Lokalny zbrojmistrz najwyraźniej znał się na swej pracy. Ktokolwiek jednak wyćwiczył rekrutów, nie miał o swojej pojęcia. Byli jeszcze bardziej żałośni niż moja banda. Poza tym moi chłopcy mieli tę przewagę, że już wcześniej rozwalali innym łby, a przez to mieli niewielkie opory przed zrobieniem tego znowu. Zwłaszcza jeśli ktoś im zagrażał.

– Tobo. Idź, znajdź Goblina.

Chłopak zerknął na zbliżający się motłoch.

– Potrafię sobie poradzić z tą żalosną zbieraniną, Ospała. Jednooki i Goblin nauczyli mnie swoich sztuczek.

Trochę przerażający pomysł: historyczny nastolatek z ich umiejętnościami i wariackim brakiem odpowiedzialności.

– Niewykluczone. Możliwe też, że jesteś bogiem udającym śmiertelnika. Ale nie rozkazuję ci, żebyś sobie z nimi poradził. Rozkazałam ci, żebyś poszedł poszukać Goblina. Ruszaj.

Jego twarz pokryła się rumieńcem gniewu, ale poszedł. Gdybym była jego matką, kłóciłby się ze mną, póki banda południowców nie zalałaby nas dokładnie.

Ruszyłam w kierunku nadciągających żołnierzy, boleśnie świadoma, że wciąż mam na sobie te łachmany, które przywdziałam w dniu, gdy skrycie opuszczaliśmy Taglios. Jeśli chodzi o broń, to również nie nosiłam przy sobie nic, o czym w ogóle warto by wspominać. Do pasa miałam przytroczony krótki, szeroki miecz, którego nigdy nie wykorzystywałam do niczego prócz rąbania drewna. Zresztą nawet w swoim najlepszym okresie należałam do żołnierzy, którzy stojąc w oddali, strzałami powalają niespodziewającego się ataku wroga.

Znalazłam sobie odpowiednie miejsce, stanęłam z rękami zaplecionymi na piersiach i czekałam.

Na pierwszy rzut oka było widać, że nikt nie włożył szczególnego wysiłku w wyćwiczenie tych żołnierzy lub bodaj przyzwoite ich umundurowanie. Co idealnie odzwierciedlało pogardę Protektorki dla takich drobnych szczegółów. Zresztą co niby mogłoby grozić tagliańskiemu imperium tutaj, na najdalszych jego kresach? Nad granicą, której już nikt nie przekroczy?

Oficer dowodzący tą bandą miał poważną nadwagę, z czego mogłam wyciągnąć określone wnioski odnośnie do całej lokalnej milicji. Pokój trwał już od ponad dziesięciu lat, jednak czasy nie były przecież wcale tak pomyślne, aby wyżywić licznych grubasów.

Oficer zdyszał się tak ciężko, że z początku nie potrafił wykrztusić słowa. Postanowiłam więc zacząć:

– Dziękuję za wasze przybycie. Zdradza ono decyzję umysłu zdolnego przewidzieć nieuchronny tok wydarzeń i wykazać inicjatywę. Niech twoi ludzie złożą broń na tym miejscu. Zakładając, że wszystko potoczy się przewidzianym torem, zapewne w ciągu dwóch, trzech dni pozwolimy im wrócić do domów.

Oficer łapczywie nabrał powietrza w płuca, równocześnie próbując zrozumieć to, co właśnie usłyszał. Najwyraźniej ta mała istotka żywi jakieś szaleńcze przekonania odnośnie do swego panowania nad sytuacją.

Pozwoliłam, by moje łachmany rozchyliły się na tyle, aby zobaczyć medalion Czarnej Kompanii, który niczym wisiołek nosiłam na szyi na srebrnym łańcuszku.

– Woda śpi – oznajmiłam mu, pewna że plotki miały dość czasu, by roznieść nasz slogan aż do najdalszych krańców imperium.

Chociaż nie udało mi się onieśmielić jego ludzi do tego stopnia, by sami natychmiast złożyli broń, zyskałam kilka chwil na to, by zebrała się reszta mojej ekipy. A zaiste przypominali nadzwyczaj ponurą bandę rzeźników. Goblin i Tobo podeszli bliżej i stanęli obok mnie. Sahra krzyknęła na swego syna, gdzieś z tyłu, ale nie zwrócił na nią uwagi. Zdecydował, że odtąd jest

już jednym z dużych chłopców, a ten śmierdziel Goblin tylko umacniał go w jego fantazjach.

– Proponuję, abyście złożyli broń – powtórzyłam więc. – Jak się nazywasz? Jaką masz szarżę? Jeśli nie oddacie broni, wielu ludziom może stać się krzywda, a w większości będą to twoi ludzie. Jednak nie musi się to tak skończyć. Jeśli będziecie współpracować.

Młody grubas dyszał w milczeniu. Nie miałam pojęcia, czego właściwie oczekiwał. W każdym razie miało to wyglądać inaczej. Przypuszczam, że przyzwyczał się do skutecznego zastraszania uciekinierów, zbyt wyczerpanych, by protestować przeciwko kolejnemu poniżeniu.

Goblin zachichotał.

– To twoja szansa, chłopcze. Pokaż, co potrafisz.

– Ćwiczyłem, kiedy nikt nie patrzył. – I Tobo zaczął coś szeptać, ale głosem zbyt cichym, żebym mogła rozróżnić słowa. Zresztą nie minęło parę sekund, a nie miałam już głowy do wsłuchiwania się w żadne słowa. Tobo zaczął zmieniać się w coś, co bynajmniej nie przypominało chudego, nastoletniego młodzieńca. Tobo zaczął zmieniać się w coś, obok czego z pewnością nie chciałam stać blisko.

Dzieciak był zmiennokształtnym? Niemożliwe. Tej sztuki uczysz się przez całe wieki.

Początkowo uznałam, że zaraz stanie się jakimś mitycznym stworzeniem, trollem, orkiem czy też inną zdeformowaną i obdarzoną długimi kłami istotą, dalej z grubsza przypominającą człowieka – on jednak nie ustawał w wysiłku przemiany, uzyskując efekt owadopodobny, modliszkowaty, ale równocześnie wielki i naprawdę paskudny, a nadto śmierdzący. Rósł coraz bardziej i z każdą chwilą stawał się coraz wstrętniejszy, coraz bardziej śmierdzący.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że sama też nie pachnę najpiękniej. Tego zazwyczaj dowiadujemy się pośrednio, po wyraźnej reakcji otoczenia, ponieważ sami nie czujemy.

Zgodnie z tym, czego się nauczył od swych mentorów, Tobo rozwijał przed naszymi oczami iluzję, nie przechodząc prawdziwego przekształcenia. Jednak południowcy nie mogli o tym wiedzieć.

Sama również byłam jej częścią. Z szerokiego uśmiechu Goblina łatwo mogłam wywnioskować, kto stał za tym szczególnym żartem. Jego wpływ

był zresztą z pewnością tak subtelny, że mogłam niczego nie zauważyć, gdyby nie zaalarmowało mnie to, co działo się z Tobo.

Najwyraźniej byłam istotą wziętą z jakiegoś bardziej tradycyjnego koszmaru. Czymś, co spodziewasz się ujrzeć, jeśli ci od pokoleń powtarzają, że Czarna Kompania składa się z facetów, którzy jedzą własne dzieci, kiedy z różnych względów nie mogą już upiec twoich.

– Niech twoi ludzie złożą broń. Zanim on wyrwie mi się spod kontroli.

Tobo zaszczękał narządami aparatu gębowego. Posuwistym ruchem dał krok naprzód, kręcąc dziwnie owadnim łbem, jakby zastanawiał się, od kogo zacząć ucztę. Oficer chyba natychmiast instynktownie wyczuł, że drapieżniki zawsze zaczynają od najgrubszych. Tak jak stał, rzucił broń na ziemię, bojąc się podejść choćby na krok w stronę Tobo.

– Żołnierze, może pomożecie tych chłopcom pozbyć się ich zabawek – powiedziałam. Moi ludzie patrzyli równie ogłupiałym wzrokiem jak tubylcy. Ja sama byłam lekko oszołomiona, ale wciąż jeszcze skłonna do konfrontacji, by skorzystać z okazji, póki mieliśmy psychologiczną przewagę. Przeszłam i stanęłam po drugiej stronie grupki żołnierzy, by poczuli się osaczeni z obu stron przez potwory, o których nie mogli przecież do końca wiedzieć, iż stanowią wyłącznie iluzję. Sztuka czarowników potrafi przywołać na świat niekiedy naprawdę paskudne istoty. Przynajmniej tak słyszałam.

Musiała być to prawda. Moi bracia opowiadali mi o tych, które sami widzieli. Z Kronik dowiedziałam się o innych.

Południowcy zaczęli składać broń. Elegant, Prysycz i ktoś jeszcze, pamiętali, by położyć ich na ziemi. W miarę jak kolejni robili, co im kazaliśmy, pozostali znajdowali w sobie coraz mniej ochoty, by nam się przeciwstawiać.

Sahra nie potrafiła trzymać się dłużej z boku. Naskoczyła na Goblina.

– Co zrobiłeś z moim synem, ty szalony staruchu! Mówiłam ci, że nie chcę, aby igrał z...

Z otworu gębowego Tobo wydobył się syk, zaraz potem zaszczękał. W kierunku twarzy Sahry powędrowało bardzo długie odnóże zakończone szponem.

Chłopak pożałuje później tych zabaw.

Wujek Dodż wtrącił się w samą porę.

– Nie teraz, Sahra. Nie tutaj. – Odciągnął ją do tyłu. Jego uścisk z pewnością nie był szczególnie delikatny. Gniew Sahry nie osłabł, jednak głos zmienił brzmienie. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam, nim odeszła dość daleko, było złorzeczenie pamięci babki, Hong Trej.

– Goblin, dosyć już tego przedstawienia – zdecydowałam. – Nie dogadam się z tym facetem, jeśli będę wyglądać jak matka wszystkich rakszasów.

– To nie ja, Ospała. Ja jestem tu tylko po to, by się przyglądać. Załatw to z Tobo. – Sądząc z głosu, był niewinny niczym dziecko.

Tobo jednak był nie do gadania, najwyraźniej zbyt wiele radości przysparzało mu odgrywanie straszego potwora.

– Jeśli już zamierzasz uczyć go takich rzeczy, spróbuj poświęcić trochę czasu na lekcje samodyscypliny – powiedziałam więc znów do Goblina. – Nie wspominając już o tym, że musisz go nauczyć, aby nie oszukiwać ludzi. Doskonale wiem, kto tu komu co robi, Goblin. Zaraz przestań.

Bynajmniej nie zdziwiło mnie, że Tobo ma talent. Właściwie było to w pewnym stopniu nieuniknione. Miał to we krwi. Martwiło mnie natomiast, że Goblin oraz najprawdopodobniej również Jednooki postanowili zdradzić mu sekrety swej sztuki. Moim zdaniem Tobo był akurat w wieku jak najbardziej niestosownym, by wkraczać na ścieżkę wszechmocy. Jeśli nikt nie będzie kontrolował go w okresie, kiedy należy uczyć się panowania nad sobą, może zmienić się w kolejne dorosłe dziecko, równie chaotyczne wewnętrznie jak Duszołap.

– Wszystko jest przewidziane w programie nauczania, Ospała. Ale musisz też zdać sobie sprawę, że on jest znacznie dojrzały i odpowiedzialniejszy, niż ty lub jego matka byłybyście gotowe przyznać. Nie jest już dzieckiem. Musisz pamiętać, że większość tego, co w nim dostrzegacie, to rzeczy, które wam pokazuje, ponieważ myśli, że tego właśnie po nim oczekujecie. To dobry dzieciak, Ospała. Wszystko będzie dobrze, jeśli ty albo Sahra nie zamatkujecie go na śmierć. On jest w takim wieku, że powinnyście wycofać się i pozwolić, by sam się potykał, albo później wszystkiego pożałujecie.

– Rady odnośnie do wychowywania dzieci w ustach kawalera?

– Nawet kawaler może być dość bystry, by wiedzieć, kiedy wychowanie dziecka dobiega końca. Ospała, ten chłopak ma wielki talent, w którym krzyżują się różne umiejętności. Bądź dla niego dobra. On jest przyszłością

Czarnej Kompanii. I to właśnie przewidziała ta babcia Niueng Bao, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Sahrę i Murgena razem, jeszcze podczas oblężenia.

– Cudowna dedukcja, staruszku. A ty akurat wybrałeś sobie tę niewłaściwą chwilę, żeby mi o tym powiedzieć, co zresztą jest dla ciebie typowe. Mam tu właśnie pięćdziesięciu jeńców, z którymi muszę coś zrobić. Mam tu pulchnego i malutkiego nowego chłopaka i muszę go przekonać, że w jego interesie jest skłonienie kolegów dowódców, by z nami współpracowali. Nie mam natomiast czasu na zajmowanie się kłopotami związanymi z dojrzwaniem Tobo. Chciałabym, żebyś coś zrozumiał. Gdyby to jeszcze do ciebie nie dotarło: nasza obecność tutaj przestała być tajemnicą. Oto na nowo rozpoczęły się wojny kiauluńskie. Będę doprawdy zaskoczona, jeśli pewnego dnia nie pojawi się tutaj Duszołap we własnej osobie. A teraz zdejmij ze mnie to odrażające przebranie, abym mogła zrobić to, co trzeba.

– Ach, ależ ty jesteś uparta! – Goblin sprawił, że iluzja zniknęła. Aura otaczająca chłopca również się rozwiązała. Tobo wydawał się zaskoczony, że tak łatwo można sobie z nim poradzić, ale mały czarodziej złagodził nieco cios, jakim musiało być to dla niego, natychmiast rozpoczynając fachową krytykę tego, co osiągnął.

Byłam pod głębokim wrażeniem tego, co przed chwilą widziałam. Ale Tobo jako przyszłość Kompanii? To naprawdę budziło we mnie niepokój, nawet jeśli zgodzić się z nie do końca niekwestionowalnym założeniem, że Kompania ma przed sobą w ogóle jakąś przyszłość.

Kopnęłam grubego oficera czubkiem buta.

– Chodź. Wstawaj. Musimy pogadać. Elegant, kiedy już sprzątniesz ich broń, pozostali też mogą usiąść. Niedługo i tak pewnie puszczę ich do domów. Goblin, masz ochotę porozmawiać z Sahrą? Raz na zawsze załatwić tę sprawę, żeby potem nie wybuchła nam w twarz w najgorszym momencie?

Gruby oficer jakoś się podniósł. Wyglądał bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwie, co akurat potrafiłam pojąć. Nie był to z pewnością najlepszy dzień w jego życiu. Wzięłam go pod ramię.

– Chodź, pójdziemy sobie na spacer.

– Jesteś kobietą.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Masz jakieś imię? Albo rangę czy tytuł?

Uraczył mnie swym regionalnym imieniem, długim na kilkanaście wersów, pełnym niemożliwych do opanowania mlaśnień i gardłowych akcentów, które dodatkowo zanieczyszczały język i tak z góry już zupełnie niedostosowany do normalnego ludzkiego aparatu mowy. Na dowód przypomnę, że sama nie byłam w stanie opanować go na poziomie wyższym niż zupełnie łamany, mimo iż całe lata spędziłam na tym obszarze.

Wybrałam więc z długiej listy słowo, które wydawało się określać jego miejsce w genealogii narodu.

– A więc będę mówić na ciebie Sjuwrin, dobrze? – Zamrugął. Po chwili zrozumiałam, o co chodzi. „Sjuwrin” to było zdrobnienie. Zapewne od dwudziestu lat nikt oprócz własnej matki się do niego tak nie zwracał.

No cóż. Ja miałam miecz. On nie.

– Sjuwrin, zapewne słyszałeś plotki, wedle których nie jesteśmy szczególnie miłymi ludźmi. Chciałabym cię uspokoić. Wszystko co kiedykolwiek słyszałeś, to czysta prawda. Ale tym razem nie przyszedł tu

po to, aby plądrować, rabować i gwałcić wszystkich, na których się natkniemy, jak to było ostatnim razem. Po prostu zdarzyło się nam tędy przechodzić i mamy nadzieję wywołać najmniejsze z możliwych zakłócenie normalnego toku życia, zarówno waszego, jak i naszego. Czego chcę od ciebie... zakładając, że zdecydujesz się współpracować, woląc to niż grób i zastępstwo kogoś, kto myśli inaczej... to tylko odrobina oficjalnej pomocy, dzięki której będziemy mogli nieco szybciej powędrować dalej. Mówię za szybko jak dla ciebie?

– Nie. Dobrze opanowałem twój język.

– Nie to miałam... nieważne. O co chodzi. Zamierzamy pójść wyżej, na równinę lśniącego kamienia...

– Po co? – W jego głosie zabrzmiało najczystsze przerażenie. Od czasu nastania Władców Cienia zarówno, on jak i jego przodkowie żyli w nieustannym strachu przed równiną.

Przecież nie będę mu tłumaczyć.

– Z tego samego powodu, dla którego kurczak przeszedł przez drogę. Aby dostać się na drugą stronę.

Dla Sjuwrina to wyjaśnienie najwyraźniej było na tyle nowe, że nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi.

Ciągnęłam więc dalej:

– Przygotowania zajmą nam trochę czasu. Musimy zgromadzić zapasy i ekwipunek. Musimy najpierw wyjaśnić kilka rzeczy. Poza tym nie wszyscy nasi ludzie przybyli już na miejsce. Zajmując się tym wszystkim, nie mam ochoty toczyć wojny. Chcę, abyś powiedział mi, jak jej uniknąć.

Sjuwrina stać było tylko na nieartykułowany jęk.

– Jak mam to rozumieć?

– Nigdy nie chciałem iść do wojska. To wszystko przez ojca. Pragnął mnie oddalić od rodziny, wysłać gdzieś, gdzie nie przynosiłbym mu wstydu, ale równocześnie chciał, żebym robił coś, co w jego opinii nie naruszało rodzinnej godności. Uznał, że jeśli zostanę żołnierzem, niczego nie zepsuję. Nie mam przecież żadnych wrogów, przed którymi mógłbym najeść się wstydu.

– Różne rzeczy się zdarzają. Z tego twój ojciec powinien zdawać sobie sprawę. Żyje na tym świecie dość długo, by dochować się dorosłego syna.

– Nie znasz mojego ojca.

– Byłbyś zaskoczony. Spotkałam w życiu mnóstwo takich jak on. Przypuszczalnie wielu było dużo gorszych. To nic nowego, Sjuwrin. I odnosi się to do rozmaitych ludzi. Ilu żołnierzy tu macie? Jak wielu, dajmy na to, po tej stronie gór? Czy ktoś z nich darzy Taglios szczególną lojalnością? Czy porzucą służbę dla Taglios, jeśli teraz okaże się, że przełęcz jest zamknięta? – Terytoria położone na południe od Danda Presz były rozległe, ale osłabione. Długi Cień eksploatował je bezlitośnie przez czas dłuższy niż żywot jednego pokolenia, a późniejsze wojny z Władcami Cienia i wojny kiauluńskie zniszczyły je doszczętnie.

– Hm... – Wykręcał się, ale niezbyt mocno. Tylko na tyle, żeby nie ponieść szczególnej ujmy we własnych oczach.

Resztę dnia spędziłam razem. Sjuwrin przeszedł stosowną drogę – od niechętnego jeńca, poprzez nerwowego pomocnika, aż do pomocnego sprzymierzeńca. Nietrudno było sobie z nim radzić, aż nazbyt chętnie reagował na skromne pochwały i wyrazy wdzięczności. Doszłam do wniosku, że przez całe jego młodzieńcze życie wszyscy musieli szczerzyć mu dobrego słowa. I umierał ze strachu, że zniszczę go w chwili, gdy tylko odmówi współpracy.

Resztę żołnierzy puściliśmy do domów zaraz po tym, jak nasi opróżnili zbrojownię Nowego Miasta. Większość zgromadzonej w niej broni wyglądała, jakby została zebrana ze starych pól bitewnych i traktowana później z całkowitą pogardą przez tego samego zbrojmistrza, którego robotę podziwiałam nie tak dawno temu.

Znalazłam zresztą tego człowieka i powołałam w nasze szeregi. Był kimś w rodzaju primadonny, mistrzem o kapryśnym, artystycznym nastawieniu. Pomyślałam, że to coś akurat dla Jednookiego, ten da sobie z nim radę.

Sjuwrin towarzyszył mi, kiedy poszłam odwiedzić farmę zakupioną przez Sahrę. Jakkolwiek był kiepskim dowódcą, stał jednak na czele wszystkich sił zbrojnych stacjonujących w regionie Kiaulune. Nie świadczyło to dobrze o wartości jego żołnierzy, albo o mądrości czy oddaniu jego przełożonych. Postanowiłam jednak mieć go pod ręką. Był użyteczny jako swego rodzaju symbol, nawet jeśli nie nadawał się na nic więcej.

Zanim wyruszyliśmy, zadbałam, by pozostali mieli również coś do roboty. Każdemu przydzieliłam posterunek albo służbę w patrolu, niemniej

nie rozśrodkowałam naszych sił, abyśmy mogli zareagować natychmiast całą dostępną siłą na każde zagrożenie.

– Zneutralizowałam całą prowincję, wyjąwszy ten mały fort pod Bramą Cienia. Co? – zwróciłam się do Sjuwrina. Warownia zamknęła przed nami swe bramy. Ludzie wewnątrz nie zareagowali na wiadomość, jaką im wysłałam.

Sjuwrin pokiwał głową. Jemu również przychodziły do głowy rozmaite myśli. Za późno.

– Wyjdą, jeśli ty im rozkażesz?

– Nie. Nie są z tych stron. Zostawił ich Wielki Generał, aby strzegli dostępu do Bramy Cienia.

– Ilu ich jest?

– Czternastu.

– Dobrzy żołnierze?

– O wiele lepsi od moich – odrzekł zakłopotany, co mogło wszak znaczyć jedynie tyle, że potrafili równo maszerować.

– Opowiedz mi o tym forcie. W jaki sposób gromadzą wodę i zapasy?

Sjuwrin zaczął mamrotać coś wymijająco.

– Sjuwrin, Sjuwrin. Trzeba było się wcześniej zastanowić.

– Hm...

– Głębiej już nie ugrzęźniesz. Nie pozostało ci teraz nic innego, jak znaleźć sposób wyjścia z całej sytuacji. Zbyt wielu ludzi było dotąd świadkami twojej kolaboracji. Przykro mi, chłopie. Wpadłeś. – Walczyłam jak mogłam, aby nie osunąć się w rolę Vedzry Nagi, z całą jej uwodzicielską siłą. Była naprawdę ogromnym błogosławieństwem.

– Odwagi, kuzynie Sjuwrin. Żyjemy z tym na co dzień. Wszystko, co możesz zrobić, to przywdziać grymas trupiej główki, ciągnąć ich za brody i rwać pióra z ogonów. No, jesteśmy. Wygląda, że to tutaj.

W ciemnościach zamajaczyła jakaś kiepsko sklecona buda. Światło sączyło się przez szczeliny w dachu i ścianach. Zastanawiałam się, po co tyle zachodu. A może budowa wciąż nie dobiegła końca? Z tyłu dostrzegłam mgliste zarysy namiotów.

Kiedy pchnęłam kotarę zastępującą drzwi, żeby wpuścić Sjuwrina do środka, na kalenicy dachu coś się poruszyło. Biały kruk. Usłyszałam cichy chichot.

– Siostró, siostró. Taglios się budzi. – Potem rozpostarł skrzydła. Obserwowałam, jak znika w poświęcie skrawka księżyca. Słowa były całkowicie zrozumiałe.

Wzruszyłam ramionami i weszłam do środka. Białym krukiem będę przejmować się może w przyszłym tygodniu, gdy znajdę wreszcie chwilę na przytulenie głowy do poduszki.

– Czy ktoś z was, chłopcy, zdaje sobie sprawę, że prowadzimy wojnę? Że w takich okolicznościach każda armia, jaką świat znał od początku dziejów, wystawia warty wypatrujące tych, którzy może zechcą się podkraść?

Kilkadziesiąt twarzy bez wyrazu wpatrzyło się we mnie.

– Nikogo nie widziałas? – zapytał Goblin.

– Nikogo tam nie ma, więc jak mogłam kogoś zobaczyć, staruszkuro?

– Doprawdy. A jednak dotarłaś tutaj żywa. – Wynikało z tego dobitnie, że tam na zewnątrz były naprawdę paskudne pułapki, dezaktywowane wyłącznie mocą szybkich decyzji wartowników, których nie tylko nie widziałam, ale których obecności nawet nie podejrzewałam.

– Pragnę jeszcze dodać, że przynajmniej parę razy na każde stulecie trzeba wziąć kąpiel. – Nie można było tego powiedzieć o większości przedstawicieli tłumu wbitego w ciasne wnętrza kryjówek. Pewnie dlatego zostawili tyle szczelin w dachu i ścianach. – To mój nowy przyjaciel, Sjuwrin. Był kapitanem lokalnego garnizonu. Poszeptałam mu chwilę do uszka i zdecydował, że nam pomoże, ponieważ zależy mu, abyśmy odeszli stąd, zanim Protektorka zechce się pokazać i uprzykrzyć wszystkim życie.

– W moje też możesz trochę poszeptać... – powiedział ktoś w tyle. – Au! Za co mnie, kurwa, walnąłeś, Łabędź?

– Skończcie z tym – odezwał się Vedzra Naga. – Łabędź, trzymaj łapy przy sobie. Vigan, nie chcę słyszeć, jak otwierasz gębę po raz drugi. Powinieneś być mądrzejszy. A więc, co wy, chłopcy, zrobiliście w celu obalenia tej wieży przy Bramie Cienia?

Nikt nie powiedział ani słowa.

– Z pewnością musieliście coś zrobić, kiedy tak sobie siedzieliście. – Gestem objęłam otoczenie. – Udało się wam zbudować dom. Kiepsko. Może powinnam raczej użyć słowa: barak. I na nic więcej nie było was stać? Nie ma żadnych zwiadowców? Nikt nie wymyślił żadnego planu? Nie

przedsięwziął żadnych przygotowań? Może działo się coś takiego, o czym nie mam pojęcia?

Goblin niepostrzeżenie stanął obok mnie. Całkowicie niezwykle dla siebie tonem wyszeptał:

– Nie poruszaj tych kwestii. To nie jest właściwa chwila. Po prostu powiedz ludziom, co mają robić, i niech to robią.

Od czasu do czasu potrafię jednak zaufać mądrości małego czarodzieja.

– Siadaj. Oto, co zrobimy. Zgromadźcie wszystkie miotacze kul ognistych, jakie uda się znaleźć. Vigan, wybierz dziesięciu ludzi. Sam będziesz niósł najcięższy miotacz. Pozostali niech wezmą lżejsze. Jeśli nie znajdzie się dość dla wszystkich, weźcie łuki. Od razu zajmiemy się tą sprawą. Vigan, zrób zbiórkę swojej drużyny.

Wstał człowiek, który wcześniej popełnił ten błąd, że mnie zdenerwował. Kwaśnym tonem wymienił swoich ludzi. Najprawdopodobniej tych, którzy ostatnimi czasy zdenerwowali jego. I tak się to wszystko toczy.

W ciągu kilku minut, podczas których Vigan zebrał ludzi, skłoniłam pozostałych do powiedzenia mi wszystkiego, co powinnam wiedzieć.

Kazałam ludziom otoczyć fort. Nieśliśmy zapalone pochodnie i nie czyniliśmy żadnych wysiłków, aby ukryć swą obecność. Zgodnie z rozkazem Vigan niósł najcięższą bambusową tubę o wewnętrznej średnicy siedmiu i pół centymetra.

– Nie ma ich już więcej jak parę sztuk, w tej zostały trzy kule – powiedział do mnie.

– Powinno wystarczyć. O, tutaj będzie dobrze. – Dobry snajper z mocnym łukiem mógł nam sprawić kłopoty, ale takowi we współczesnej armii tagliańskiej byli bardzo nieliczni. Mogaba był wojownikiem. Wierzył, że prawdziwi mężczyźni walczą pierś w pierś, zbryzgani przelewaną krwią wroga. Był to jego słaby punkt, który wykorzystywaliśmy parę razy podczas wojen kiauluńskich i wykorzystamy jeszcze nie raz, póki się nie połapie.

Goblin podczołgał się i zajął pozycję za nami. Tobo był z nim. Nie odezwali się słowem, co dla chłopaka musiało stanowić prawdziwą próbę. Potrafił gadać nawet przez sen.

– Co mam zrobić? – zapytał Vigan.

– Poczęstuj ich jednym. Na wskroś kamiennego ornamentu nad bramą. – Głośniej zaś powiedziałam: – Zostać na miejscach. Nikt nic nie robi, póki nie powiem.

Vigan próbował dwukrotnie zwolnić kurek, ale nic się nie stało.

– Jest pusta? – zapytałam.

– Podobno wcale nie.

– A więc spróbuj jeszcze raz – poradził Goblin. – Minęło ponad dziesięć lat, odkąd używano jej ostatnio. Może potrzebuje trochę dotarcia?

Zamyśliłam się.

– Założę się, że nikt nie dbał o czyszczenie mechanizmu. A wy, chłopcy, deliberowaliście, czemu chce wynająć zbrojmistrza. Ruszaj. Zakręć znowu. Ostrożnie, żeby nie stracić celu z oczu.

„Łup! Szu-Szu-Szu-wziuu!” – w dal. Kula ognista przebiła się równo przez dwa zewnętrzne mury niezbyt okazałych umocnień oraz to, czym wypełniono przestrzeń między nimi. Kamień zaczął parować i rozpływać się. Szkarłatna kula mknęła łukiem w powietrzu jeszcze przez kilka kilometrów, wytracając siłę pędu. Stopniowo ciemniejąc, opadła ku ziemi za ruinami Przeoczenia.

– Przesuń się kilka metrów w lewo, obniż celownik o półtora metra, a potem zrób to znowu.

Vigan zaczynał powoli niezle się bawić. Skocznym krokiem udał się na nowe stanowisko. Tym razem potrzebny był tylko jeden dodatkowy obrót kurka, żeby wypuścić ognisty pocisk.

Pałaca kula w kolorze cytryny przebiła umocnienia na wylot. Musiała zahaczyć po drodze o coś ważnego. Kiedy pojawiła się po drugiej stronie, nie miała już prawie wcale energii.

Ponad szczytem wieży wykwitł pióropusz pary.

– Musieliśmy chyba trafić w beczkę z wodą – powiedziałam. Woda tworzyła z kulami ognistymi naprawdę nieprzyjemną kombinację, rodzącą istne eksplozje przegrzanej pary. – Sjuwrin, gdzie jesteś? – Dwie kule ogniste powinny przyciągnąć uwagę tych w środku i zmusić do myślenia tych, co przeżyli. Teraz należało skupić się na celności ognia. – Sjuwrin, czy kiedykolwiek byłeś w środku tej sterty kamieni?

Grubas ruszył się niechętnie. Gdy znajdował się już niedaleko, blask padł na jego twarz. Żołnierze broniącego się garnizonu z pewnością go zapamiętają. Wyraźnie dostrzegałam, że mnie też miałyby ochotę okłamać. Ale zabrakło mu odwagi.

– Tak.

– Jaki jest układ wnętrza? Z pewnością nie może być szczególnie skomplikowany...

– Nie jest. Zwierzęta i magazyny na parterze. Bramę można wesprzeć wszystkim, co będzie pod ręką, żeby nie dała się wbić do środka. Mieszkają na pierwszym piętrze. Jest tam po prostu jedna wielka sala. Palenisko, na którym przyrządza się posiłki, sienniki i stojaki z bronią, to wszystko.

– A dach stanowi zasadniczo teren przeznaczony do walki, prawda? Poczekaj chwilę, Vigan. Nie marnujmy więcej kul ognistych, niż to konieczne. Niech teraz pomyślą chwilę nad tym, co się stało. Może postanowią skapitulować. Wiedzą, że nie zrobiłam nic złego ludziom

Sjuwrina. Tobo, przejdź się dookoła i powiedz wszystkim, że jeśli już chcą wystrzelić kulę ognistą, niech tak celują, aby przeszła przez drugie piętro. Najlepiej jak najniżej. Prawdopodobnie padną na podłogę, kiedy poczują nadchodzącą śmierć.

– Mogę strzelić z jednej z tych rzeczy, Ospała?

– Najpierw zanieś wiadomość. – Obserwowałam, jak odchodzi. Zręcznie mu to szło, nie narażał się niepotrzebnie. Przez szczeliny łucznicze prześwitywały twarze ukrytych za nimi obrońców. Kilka strzał poleciało w naszą stronę i nie trafiwszy w nic, spadły na ziemię. – Gdyby ktoś pytał, to mamy dokładne mapy tego miejsca aż do ostatniego siennika i stołu, wiemy też dokładnie, gdzie wycelować każdą kulę ognistą, aby uzyskać najlepszy efekt.

– Znowu masz całkowitą rację. Jak zawsze zresztą. Nie mów nic przez moment. Coś się dzieje. Ci ludzie wcale nie są tak wystraszeni jak powinni.

Jeszcze mówiłam, kiedy zobaczyłam twarz wychylającą się ponad parapetem. A spośród nocy wyfrunął biały kruk. Strącił żołnierzowi skórzany hełm z głowy.

– Wszyscy wstawać! – zawołałam. – Coś kombinują!

Goblin już zaczął mrużyć pod nosem. Palcami wyczyniał jakieś dziwne rzeczy.

Na dachu małego fortu pojawili się żołnierze. Każdy trzymał coś w dłoni, gotowe do rzutu. Bez mojego przyzwolenia kilka kul ognistych pomknęło w ich stronę. Jeden grenadier padł, ale wcześniej zdążył jeszcze cisnąć swój granat w powietrze.

Zobaczyłam błysk szkła. Takiego samego, jakiego wiele lat temu Jednooki używał do budowania bomb ognistych. Kilka jeszcze wciąż mieliśmy. Ale rzucanie przeciwko nam bomb ognistych mijało się z celem. Byliśmy poza zasięgiem rzutu.

– Celuj nisko! – krzyknęłam. – Cienie idą! – Był to okrzyk, którego nie słyszano od lat, ale weterani pamiętali go i zareagowali bez wahania.

Goblin już biegł kołyszącym się krokiem w poprzek zbocza, tak szybko jak tylko pozwalały mu stare kości, wciąż mrużąc i kręcąc młynki palcami, między którymi przeskakiwały różowe iskry, obsypując resztki włosów. Wyrwał z rąk jednego z ludzi cienką, małą tubę bambusową. Oznakowana czarnymi pasami, została skonstruowana właśnie do zwalczania cieni.

Pofrunęły kule ogniste. Kilka przedziurawiło forteczkę. Inne pomknęły za cieniami wylewającymi się z pękniętych szklanych pojemników. Za moimi plecami Sjuwrin zaczął jęczeć.

– Nie uciekaj – zwróciłam się do niego. – Wtedy na pewno cię dopadną. Uwielbiają gonić ofiarę.

Z wnętrza fortecy dobiegały teraz liczne wrzaski. Ogniste kule przebijające się przez jej mury trafiały w załogę. Na swój sposób były one równie paskudne jak mordercze cienie.

Jeden z moich ludzi zaczął wrzeszczeć, kiedy dopadł go cień. Ale tylko on miał pecha. Zakłęcie Goblina również trochę pomogło. Szybka reakcja strzelców z miotaczami okazała się najskuteczniejsza.

Goblin strzelał ognistymi kulami z tuby, którą przed chwilą porwał, ale celował na północ zamiast w stronę upartego małego fortu. Przestał po zaledwie kilku próbach i wrócił do mnie.

– Ci dzielni chłopcy, tam w forcie, wykonali swoją robotę. Przekazali ostrzeżenie. – Mówił tonem kwaśnym jak plasterek cytryny pod językiem.

– Tak więc, jak rozumiem, Duszołap nie zginęła, wpadając do wody? – Wydarzenia w Taglios poznałam do momentu, gdy dywan Protektorki rozpadł się w powietrzu, a ona spadła z impetem sto dwadzieścia metrów w dół do rzeki. Relację przerwano w tym momencie nie dlatego, żeby całe wydarzenie uczynić szczególnie dramatycznym, ale ponieważ działo się zbyt wiele, aby starczyło czasu na opowiedzenie reszty. Zwłaszcza że w grę wchodziła osoba Murgena. Murgen najwyraźniej pracował przez cały czas, kojąc lęki i troski Sahry.

– Ona jest jedną z Dziesięciu Których Schwytano, Ospala. Tym ludziom niełatwo zrobić krzywdę. Do diabła, ona przeżyła, kiedy obcięto jej głowę. Przez jakieś piętnaście lat nosiła ją ze sobą w skrzynce.

Jęknęłam. Czasami naprawdę łatwo było zapomnieć, że Duszołap była kimś więcej niżli tylko niemłą, odległą, podstarzałą władczynią.

– Mają tam jeszcze jakieś niespodzianki? – Pytanie skierowane było do Sjuwrina, ale odpowiedział Goblin:

– Gdyby mieli, już by ich użyli. Masz zamiar iść tam po nich?

– O, do diaska, nie! Komuś może stać się krzywda. Oprócz nich, oczywiście. Sjuwrin, idź tam i powiedz im, że jeśli się poddadzą w ciągu najbliższej półgodziny, pozwolę im odejść. Jeśli nie, pozabijam wszystkich, nim minie godzina.

Grubas zaczął już protestować. Vigan dźgnął go czubkiem sztyletu w zadek.

– Jeśli coś ci zrobią, pomszczę cię – zapewniłam Sjuwrina.

– Zdjęłaś mi wielki ciężar z serca.

– Jak masz zamiar kogokolwiek pomścić? – dociekał Goblin. – Biorąc pod uwagę, że nie zamierzasz wchodzić po nich do środka?

– Właśnie po to ma się czarodziei. Wygląda to na wspaniałą sposobność udzielenia Tobo lekcji w warunkach polowych.

– Czyż jestem zaskoczony? Nie bardzo. Od czterystu lat zawsze to samo: „Co teraz zrobimy? Nie mam pojęcia. Niech Goblin się tym zajmie”. Powinienem pójść na spacer, a ty sama wymyślaj sobie, co robić.

– Jestem zmęczona. Mam zamiar siedzieć tutaj i dać odpocząć moim oczom, póki Sjuwrin nie wróci.

Słyszałam, jak Goblin mówi do Vigana, żeby wystrzelił jeszcze jedną ognistą kulę ciężkiego kalibru w róg umocnień, celując wzdłuż ściany, tak aby całą energię zużyła na przeżarcie się przez wapień, z którego ją zbudowano. Potem było solidne „łup!”, po którym doszła mnie zaraz woń przegrzanego wapienia. Kiedy odpływałam w sen, słyszałam, jak Goblin mówi coś o wykurzeniu ich stamtąd.

Powierzchnia rzeki, w którą uderzyła Duszołap, nie zapewniała bynajmniej miękkiego lądowania, jednak oczywiście nie było to równoznaczne z upadkiem z tej samej wysokości na kamień. Zresztą lot trwał dostatecznie długo, by Protektorka zdążyła przygotować się na lądowanie.

Niemniej nawet wówczas zderzenie okazało się na tyle gwałtowne, by na jakiś czas pozbawić ją przytomności. W przerwach między przekleństwami zdołała rzucić odpowiednie czary. Kiedy odzyskała świadomość, dryfowała w dół rzeki z falą powodzi, z głową ponad powierzchnią wody. Trwała deszczowa pora roku i poziom wody był wysoki, a nurt bystry. Dużo wysiłku kosztowało ją dopłynięcie do południowego brzegu. Kiedy wreszcie wygramoliła się z odmętów, znajdowała się dobre osiem kilometrów w dół rzeki od miejsca, gdzie do niej wpadła, czyli już poza granicami właściwego miasta, w regionie słynącym z szakali, zarówno z cztero-, jak i dwunożnej odmiany. Powiadano również, że w nocy można tu spotkać polującą panterę, przy brzegu zaś od czasu do czasu krokodyla, i nie minęło znów tak wiele lat, od kiedy po raz ostatni zawitał tu tygrys z dolnego biegu rzeki.

Oczywiście żadna ogarnięta szalem bądź żądzą krwi istota nie mogła sprawić Protektorce najmniejszych kłopotów. Wokół niej skupiło się stado kruków liczące setkę osobników; trzymały straż. Pozostałe fruwały w ciemnościach, póki nie zebrały się szeregi nietoperzy. Ptaki i nietoperze potrafiły razem odstraszyć wszystkich padlinożerców i drapieżców, póki Duszołap nie obudziła się i w napadzie nagłego rozdrażnienia nie odpędziła krążącego wokół stada szakali.

Chwiejnie poszła w stronę pobliskiego domu, mrużąc coś o starzeniu się i braku odporności. Odzyskiwała siły powoli. W głosie, którym obrzuciła inwektywami okrutny czas, pojawiło się drzenie.

W końcu dotarła do domku lichwiarza, gdzie zażądała transportu z powrotem do pałacu. Na miejscu znalazła się tuż przed śniadaniem, w nastroju tak paskudnym, że cała służba za punkt honoru natychmiast przyjęła stanie się niewidzialną. Tylko Wielki Generał przyszedł zapytać o jej samopoczucie. I natychmiast odszedł, gdy zaczęła pluć śliną i warczeć na niego.

Choć tak bardzo lubiła nurzać się w paranoi, Duszołap nie podejrzewała, że jej wypadek był czymś więcej niżli wynikiem zbiegu okoliczności, póki podczas przygotowań do kolejnego lotu, aby zabawić Niueng Bao, nie zbadała dokładnie swego drugiego dywanu. Wówczas odkryła, że części lekkiej drewnianej ramy, na której był rozpięty, zostały osłabione przez podpiłowanie w najważniejszych miejscach.

W ciągu kilku sekund pojęła, kto i dlaczego to zrobił. Natychmiast posłała po Dzaula Barundandiego i jego współpracowników.

Niespodzianka. Barundandiego nigdzie nie można było znaleźć. Odwołała go z pałacu trudna sytuacja rodzinna, jak powiedział, dokładnie na kilka chwil przed jej powrotem. Tyle donieśli jej Szarzy, gdy kazała im całą rzecz zbadać.

– Cóż za zdumiewający zbieg okoliczności. Znajdźcie go. Znajdźcie ludzi, z którymi zazwyczaj pracował. Mam wiele rzeczy do omówienia z nimi.

Szarzy rozproszyli się. Wszakże jeden szczególnie śmiały kapitan został z nią, by złożyć raport dotyczący innej sprawy:

– Plotki w mieście głoszą, że boodyści mają zamiar podjąć na nowo próby samospalenia. Chcą, by Radisza wyszła do nich i osobiście zajęła się skargami.

Te wieści w żaden sposób nie wpłynęły na poprawę nastroju Duszołap.

– Zapytaj ich, czy chcą, abym dostarczyła im nafty potrzebnej do tego. Dzisiaj czuję szczególny przypływ miłosierdzia. Zapytaj ich też, czy mogą się powstrzymać do czasu, aż cieśle wzniosą trybuny, aby więcej wiernych poddanych Radiszy mogło cieszyć się tym widowiskiem. Nie dbam o czyny szaleńców. Wynoś się stąd! Znajdź tego robaka, Barundandiego! – Głos, którym mówiła te słowa, znamionował potężną dawkę szaleństwa.

Dzaul Barundandi miał szczęście w nieszczęściu. Udało mu się uniknąć zwracania uwagi nietoperzy, kruków i cieni, które Protektorka spuściła ze

smyczy, gdy tylko Szarzy donieśli o niepowodzeniu poszukiwań. Ostatecznie jednak, kiedy nagroda za jego złapanie dostatecznie wzrosła, padł ofiarą donosiciela. Oficjalne kłamstwo głosiło, że zaatakował i poważnie poranił Radiszę oraz że jedynie szybka interwencja Protektorki i udział jej najpotężniejszych zaklęć uratowały życie księżnej. Wedle doniesień stan Radiszy był bardzo poważny.

Lud Taglios kochał swą władczynię.

Dżaul Barundandi przekonał się wkrótce, że nie ma żadnych przyjaciół oprócz swych wspólników i to właśnie jeden z nich zdradził go w zamian za częściowy udział w nagrodzie (większość przywłaszczyli sobie oficerowie Szarych) oraz chwilową nietykalność.

Barundandi cierpiał straszliwie na mękach i chcąc jak najszybciej pozbyć się bólu, ze wszystkich sił starał się współpracować – po prostu jednak nie potrafił powiedzieć Protektorce nic z tego, co chciała wiedzieć. Ostatecznie więc kazała go zamknąć w klatce zawieszanej dokładnie cztery i pół metra ponad miejscem, które uczniowie Boodiego zazwyczaj wybierali dla poświęcenia swych żywotów, i wydała obwieszczenie zachęcające przechodniów do rzucania weń kamieniami. Miał tak wisieć w nieskończoność, nękany nieustającą udręką, jednak już podczas pierwszej nocy ktoś zdołał podrzucić mu zatruty kawałek owocu, równocześnie kładąc poniżej trupy zdrajcy i jednego z Szarych i każdemu wsadzając w usta papier, który głosił: „Woda śpi”. Zanim ich odnaleziono, kruki zdążyły już mocno poszarpać ciało.

Wtedy też po raz ostatni widziano godła Czarnej Kompanii, aczkolwiek samo ich pojawienie się wystarczyło, aby doprowadzić Protektorkę nieomal do utraty zmysłów. Przez wiele dni resztki Szarych dochowujące jej wciąż lojalności zajęte były aresztowaniami, przy czym większość pojmanych stanowili ludzie, którzy naprawdę nie mieli zielonego pojęcia, czym mogli zdenerwować Duszołap.

Ostatecznie więc nigdy nie dotarła na bagna Niueng Bao, mimo iż oczywiście dokonała niezbędnych napraw ostatniego dywanu. Z każdą godziną Taglios stawało się coraz bardziej podzielone. Całą uwagę musiała poświęcać tłumieniu niepokojów nabrzmiewających w mieście.

Potem dotarł do niej wierny, zszargany, mały cień, który przebył całą drogę przez góry i lasy, rzeki i jeziora oraz równiny, aby przynieść wieści o tym, co stało się na dalekim Południu.

Duszołap wrzasnęła krzykiem tak straszliwym, że całe miasto natychmiast dowiedziało się o aktualnym stanie jej uczuć. Imigranci zaczęli powtórnie się zastanawiać, czy przypadkiem nie wracać do domów.

Wielki Generał i dwaj oficerowie jego sztabu wyłamali drzwi do apartamentów Protektorki, pewni, że potrzebna jej będzie pomoc. Zastali ją jednak przechadzającą się wściekle po komnacie i debatującą ze sobą pół tuzinem głosów.

– Mają Klucz. Muszą mieć Klucz. Musieli zamordować Oszusta. Być może zawarli sojusz z Kiną. Dlaczego mieliby tam pójść? Dlaczego mieliby pójść na równinę po tym, co się stało poprzednim razem? Co ich tam wciąż ciągnie? Czytałam ich Kroniki. Nic w nich nie ma. Co mogą wiedzieć? O Krainie Nierozpoznanych Cieni? Nie mogli przecież stworzyć całkowicie nowej i niezależnej tradycji ustnej od czasu, kiedy służyli mi na Północy. Gdyby było to coś ważnego, jeden z nich zapisałby wszystko. Po co? Po co? Co oni wiedzą, a czego nie wiem ja?

Duszołap zdała sobie sprawę z obecności Mogaby i jego ludzi. Ci ostatni nerwowo rozglądali się dookoła, próbując pojąć, skąd dobiegają głosy. Kiedy Duszołap była porządnie zdenerwowana, głosy dochodziły jakby ze wszystkich stron naraz.

– Ty. Złapałeś mi już jakichś terrorystów?

– Nie. I nie złapię, póki nie zgłosi się jakiś obrażony członek rodziny, który uzna to za znakomity sposób na wyrównanie rachunków. Zapewne i tak nie zostało ich więcej niż garstka i prawdopodobnie nie znają się nawzajem. Z tego, co udało mi się usłyszeć, wnoszę, że wrócili do Uścisku Cienia. – On sam pracował kiedyś dla Władcy Cienia o imieniu Długi Cień. Nie potrafił pozbyć się nawyku określania Kiaulune mianem, jakie nadał mu były pracodawca.

– Dokładnie. Wracamy do miejsca, w którym byliśmy piętnaście lat temu. Tylko że teraz mają Radiszę i Klucz. – Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że całkowitą winą obarcza właśnie jego.

Mogaba nie przejął się tym szczególnie. Przynajmniej nie od razu. Był przyzwyczajony, że obwinia się go o błędy innych, nadto nie wierzył, by niedobitki Czarnej Kompanii mogły stanowić jakieś realne zagrożenie w najbliższym czasie. Zostali pobici zbyt dogłębnie i zbyt długo nie było ich na scenie. Tylko we własnych fantazjach bardziej przypominali żołnierzy niżli Oszustów. Nawet członkowie sił porządkowych z Południa,

podobni w istocie do postaci z opery komicznej, powinni być w stanie pokonać ich i pogrzebać ostatecznie. Na Ziemiach Cienia nie znajdą choćby odrobiny sympatii dla siebie. Tamci ludzie naprawdę dobrze zapamiętali ostatnią wizytę Czarnej Kompanii.

– Ten Klucz? Co to takiego?

– Środek umożliwiający pokonanie bez uszczerbku Bramy Cienia. Talizman, dzięki któremu możliwe jest podróżowanie przez równinę. – Jej głos przedtem brzmiał pedantycznie. Teraz zabarwił go gniew. – Kiedyś był w moim posiadaniu. Dawno temu. Dzięki niemu mogłam pójść tam, na górę, i przyrzeć się wszystkiemu. Gdyby Długi Cień wówczas o tym wiedział, chyba wyszedłby z siebie. W jeszcze większym stopniu niżli to się temu eunuchowi zdarzało. Ale przedmiot zaginął podczas pierwszych zamieszek wokół Kiaulune. Podejrzewam, że Kina zasnuła mój umysł siecią złudzeń, podczas gdy Oszust Singh ukradł zarówno Klucz, jak i drogą córeczkę mojej siostry. Nie potrafię wyobrazić sobie, dlaczego ta hałastra miałaoby ochotę pójść na pustynię po ostatniej katastrofie, ale jeśli oni czegoś chcą, to jest to dostateczny powód, abym im w tym przeszkodziła. Przygotuj się do podróży.

– Nie możemy zostawić Taglios bez nadzoru na czas wystarczający, by dotrzeć do Uścisku Cienia. Nie mamy już ogiera, a gdyby nawet, nie byłby zdolny ponieść dwóch jeźdźców.

Duszołap poczuła się zupełnie zbita z tropu.

– Co?

– Czarny ogier z Północy. Ten, na którym jeździłem przez te wszystkie lata. Zniknął. Rozbił swój boks w stajni i uciekł. Mówiłem ci w zeszłym miesiącu. – Najwyraźniej nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Polecimy.

– Ale... – Mogaba nienawidził latania. W czasach, kiedy był generałem Długiego Cienia, niemalże codziennie musiał latać razem z Wyjcem. Wciąż źle wspominał te czasy. – Sądziłem, że większy dywan został właśnie zniszczony.

– Mały też uniesie nas dwoje. Ale to będzie ciężka przeprawa. Będę musiała często odpoczywać. Mimo to jesteśmy w stanie dostać się na miejsce i wrócić, zanim ci ludzie zorientują się, że nas nie ma, i spróbują wykorzystać sytuację. Tydzień na podróż w obie strony. Dziesięć dni na miejscu.

Wielki Generał mógłby przedstawić kilkanaście zastrzeżeń od ręki, jednak ugryzł się w język. Gdy w grę wchodziły opinie, których nie miała zamiaru wysłuchiwać, Protektorka była jeszcze gorsza niż Długi Cień.

– Kiedy już będziemy na miejscu, przeberzemy się i przenikniemy w ich szeregi – ciągnęła dalej Duszołap. – Chcę, żebyś zwracał uwagę na młot, mniej więcej taki i taki, zrobiony z kutego żelaza, ale o wiele cięższy, niż powinien być.

Mogaba skłonił się lekko. Nie powiedział nic na temat tego, jak trudne może okazać się dla nich obojga zmieszanie z tłumem, który ścigali.

– Przygotuj swoich ludzi – rozkazała. – Przez kilka tygodni będą musieli utrzymać miasto pod kontrolą.

Mogaba wyszedł, nie wspominając, że proponowany czas nieobecności już się wydłużył. Na zajmowanym przezeń stanowisku często trzeba było przemilczeć własne odczucia.

Rozbawiona Protektorka obserwowała, jak odchodzi. Nawet w połowie nie udało się mu ukryć swych uczuć tak dobrze, jak sądził. Ale ona od tylu już wieków zaprawiała się w swej niegodziwości i zbadała wewnętrzne sanktuaria ludzkich dusz tak dokładnie, że naprawdę potrafiła niemal czytać w myślach.

Mała forteca przechylała się powoli jak lekko podgrzany woskowy model. Gdy tylko zasnąłam i nie mogłam się wtrącać, Goblin przekazał magiczne roboty obłąknicze w ręce Tobo, który wykonał zupełnie niezłą robotę, wykurzając wroga z kryjówek. Mały paskud najwyraźniej brał lekcje od znacznie dłuższego czasu, aniżeli on lub jego mentorzy skłonni byli przyznać.

Żołnierze garnizonu wynosili właśnie swych zabitych i rannych, kiedy obudził mnie krzyk. Usiadłam wyprostowana. Powoli wstawał świt. I cały świat się zmienił.

– Jakiś problem, Elegant? – zapytałam.

Jeden z moich weteranów rozpoznał jednego z tamtych.

Diabeł sam przyszedł, żeby wszystko wyjaśnić.

– Ten facet, który dowodzi. To jest Kuszawar Pit, Ospala. Pamiętasz, myśleliśmy, że zginął, kiedy batalion Barata został wycięty w pień w zasadzce pod Kiuszkoszi.

– Pamiętam. – I przypomniałam sobie również coś, o czym Elegant nie wiedział; fakt, którego znajomość dzieliłam wyłącznie z Murgeniem, przechodzącym wówczas jako duch obok miejsca rzezi. Kuszawar Pit, w owym czasie zaprzysiężony brat z Kompanii, poprowadził największą siłę, jaką jeszcze wtedy dysponowaliśmy, prosto w pułapkę, która na dobre odebrała nam szansę odegrania większej roli podczas wojen kiauluńskich. Kuszawar Pit dobił targu. Kuszawar Pit zdradził swoich braci. Kuszawar Pit zajmował wysoką pozycję na mojej liście ludzi, których chciałam choć raz jeszcze w życiu spotkać, aczkolwiek do tej pory byłam jedyną, która wiedziała, że on sam przeżył i że za zdradę został nagrodzony wysokim stanowiskiem, pieniędzmi i nowym nazwiskiem. Widząc go jednak, niektórzy ludzie szybko skojarzyli fakty.

– Trzeba było ją poprosić, żeby zmieniła ci również twarz – powiedziałam, kiedy zakrwawionego cisnęli mi pod nogi. – Chociaż i tak

pewnie lepiej udało ci się, niż się spodziewałeś, gdy ona nakłoniła cię do zdrady. – Popatrzyłam mu w oczy. To, co zobaczył w moich, przekonało go, że nie ma sensu czemukolwiek zaprzeczać. Vedzra Naga wyszedł ze mnie, aby się zabawić.

Coraz więcej ludzi zbierało się wokół nas, większość nie wiedziała, o co chodzi, dopóki im nie wyjaśniłam, jak Duszołap skusiła Kuszawara Pita, aby zdradził i pomógł zgładzić ponad pięciuset naszych braci i sprzymierzeńców. Słowa powitania, z którymi przyszli, szybko zmieniły się w wyszukane sugestie sposobów zredukowania oczekiwanej długości życia zdrajcy. Pozwoliłam mu słuchać, póki ręce naprawdę nie poszły w ruch. Potem rozkazałam Goblinowi:

– Schowaj go gdzieś. Może się jeszcze przydać.

Podniecenie powoli opadało. Pozwoliłam sobie na przyzwoity posiłek. Mój nastrój poprawił się mocno, skorzystałam więc z okazji, aby spędzić trochę czasu w towarzystwie Mistrza Surendranata Santaraksity.

– Życie, jakie prowadzisz, najwyraźniej ci służy – powiedziałam mu na wstępie. – Wyglądasz teraz znacznie lepiej, niż gdy opuszczaliśmy miasto. – I była to szczerza prawda.

– Dorabi? Chłopcze, myślałem, że nie żyjesz. Mimo wszystkich niekończących się zapewnień. – Pochylił się nieco w moją stronę i wyznał: – Nie wszyscy twoi towarzysze są całkiem uczciwi.

– Może jakimś cudem Goblin i Jednooki zaproponowali, że nauczą cię grać w tonka?

Bibliotekarzowi udało się przybrać niewinny wyraz twarzy.

– Nie grać z nimi to lekcja, którą każdy musi sobie przyswoić.

Niewinność przemieniła się w diabelski błysk.

– Myślę, że mi też udało się czegoś ich nauczyć. Kiedy byłem młodszy, jednym z moich hobby były sztuczki karciane.

Nie potrafiłam się nie roześmiać na myśl, że te łotry dostały to, na co zasłużyły.

– Odkryłeś może coś, co będzie dla mnie użyteczne?

– Przeczytałem każde słowo w każdej książce, którą zabraliśmy ze sobą, włączywszy w to całość współczesnych Kronik twojej kompanii spisanych w znanych mi językach. Nie znalazłem nic godnego uwagi. Próbowałem

nawet wydedukować treści Kronik, których nie umiałem odczytać, porównując materiał przepisany w więcej niż jednym języku.

Murgen też poświęcił temu mnóstwo pracy. Miał naprawdę bzika, jeśli chodzi o ciągle przepisywanie materiału w jaśniejszy sposób, a jednym z jego wielkich projektów było przejrzanie Kronik Pani i Kapitana w celu znalezienia nieścisłości i skonfrontowania ich ze świadectwami dostarczonymi przez innych uczestników zdarzeń oraz równoczesna transkrypcja ich na współczesny tagliański. Wszyscy robiliśmy to naszym poprzednikom, do pewnego stopnia przynajmniej, tak że każdy ostatni tom Kronik stanowił w rzeczywistości wynik niezamierzonej współpracy wielu.

Spytałam zatem:

– Wleczymy ze sobą mnóstwo książek, nieprawdaż?
– Jak ślimaki niosące historię własnego życia na grzbietach.
– Tym właśnie jesteśmy. W każdym razie ładna metafora. Czy te wszystkie studia nie stają się po jakimś czasie ogłupiające?

– Chłopak nie pozwala mi na otepnięcie.
– Chłopak?
– Tobo. Jest naprawdę bystrym studentem. Jeszcze bardziej nawet zdumiewającym niż ty swego czasu.

– Tobo?
– Wiem. Któż spodziewałby się tego po Niueng Bao? Niszczycie wszystkie tradycyjnie utrwalone pojęcia, Dorabi.

– Moje również trzęsą się w posiadach. – Tobo? Albo Santaraksita miał ukryty talent wzbudzania w uczniach inspiracji, albo Tobo przeszedł objawienie i zrządzenie boskie wyposażyło go w nowe motywacje. – Pewien jesteś, że to Tobo, a nie jakiś podrzutek?

Demon we własnej osobie wsadził głowę do środka.

– Ospała. Popłoch, Rzekołaż i reszta już tu idą. Dzień dobry, Mistrzu Santaraksita. – Tobo naprawdę wydawał się uszczęśliwiony, że może tu przebywać. – Akurat nie mam żadnych innych obowiązków. Aha, Ospała, ojciec chce z tobą rozmawiać.

– Gdzie? – Wszystko działo się trochę zbyt szybko. Nie było nawet chwili, aby porozmawiać z Murgenem o najważniejszych wydarzeniach.

– W namiocie Goblina. Wszyscy prócz matki uznali, że to będzie dla niego najbezpieczniejsze miejsce.

Nie miałam kłopotu z wyobrażeniem sobie irytacji Sahry, której odebrano w ten sposób nawet nieliczne chwile sam na sam z mężem.

Kiedy wychodziłam z namiotu, młodziwiec i stary mężczyzna siedzieli już nad książką. Ostrzegłam Santaraksitę znaczącym spojrzeniem, które okazało się jednak niepotrzebne.

Goblina nie było w domu. To jasne. Wykonywał właśnie kolejne zadanie z długiej listy wręczonej mu przeze mnie. Zachichotałam.

Nie bardzo byłam w stanie uwierzyć, że jedna istota ludzka potrafi narobić tyle bałaganu w tak ograniczonej przestrzeni. Wnętrze namiotu Goblina nie było wiele szersze, niż wynosił wzrost któregoś z nas, a długości miało dwa razy tyle. W najwyższym miejscu od sklepienia dzieliło mnie pięć centymetrów wolnej przestrzeni. Umeblowanie składało się właściwie wyłącznie z czegoś, co wyglądało jak stołek mlecarki. Góra złachmanionych koców zdradzała miejsce, w którym spał. Resztę wolnego miejsca zajmował całkowity chaos wszelkich przedmiotów, zasadniczo wyglądających na śmietnik wielu poprzednich lokatorów. Znalezienie wiodącego motywu w tym zbiorze było niemożliwe.

Wszystko to musiały być towary zgromadzone już po przybyciu na miejsce. Sahra nigdy nie pozwoliłaby zabrać takich śmieci na barce.

Projektor mgielny stał u wezglowia woniejącego posłania Goblina. Z nieporządnie przekrzywionego instrumentu wyciekała woda.

– Jeśli to jest najbezpieczniejsze miejsce na trzymanie tej cholernej rzeczy, to wynika stąd, że cała Kompania cierpi na iluzję własnej wielkości.

Z mgielnego projektora dobiegł mnie szept. Usiadłam nisko, tuż przy nim, dzięki czemu mogłam dokładniej zapoznać się z zapachami na trwałe otaczającymi łóżko Goblina. Kilka z nich musiało wywodzić się zapewne jeszcze z czasów, gdy nosił pieluszki.

– Co?

Nawet wtedy, kiedy Murgen wysiłał się najbardziej, był ledwie słyszalny.

– Więcej wody. Musisz dolać więcej wody do urządzenia, w przeciwnym razie za chwilę nie będzie już żadnej mgły.

Zacęłam wyciągać aparat z namiotu.

Murgen tak się rozżłościł, że przez chwilę nawet mówił głośniej:

– Cholera, nie! Przynies do mnie wodę, a nie zanoś mnie do wody. Jeśli musisz wlec mnie dookoła, to przynajmniej poczekaj, aż uzupełnisz we mnie wodę. I nie trać czasu. Za kilka chwil stracę zakotwiczenie w tym świecie.

Znalezienie galona wody zmieniło się w prawdziwe wyzwanie.

– Co ci zabrało tyle czasu?

– Szukanie wody zamieniło się w drobną przygodę. Wychodzi na to, że żadnemu z tych idiotów nie przyszło do głowy, że należałoby mieć jej trochę pod ręką. Gdyby na przykład armia królewska zdecydowała się rozbić obóz między nami a strumieniem, z którego ją czerpiemy, a który znajduje się półtora kilometra stąd. Jak mam ją wlać do środka?

– Z tyłu jest korek. Jeśli chcesz żeby się poprawiło, spróbuj poczytać im trochę z Kronik. Jak to robią w świątyniach. I jak ja robiłem to czasami. Wybierz coś stosownego dla sytuacji, w jakiej się znajdujecie. „W owych czasach Kompania pozostawała w służbie...” i tak dalej, aby mieli przed oczyma przykłady, dlaczego naniesienie na wzgórze więcej wody, niż na bieżąco potrzeba, może okazać się przydatne i tak dalej. To są dorośli ludzie. Nie możesz po prostu wydzieraniem się zmuszać ich do robienia właściwych rzeczy. Ale kiedy zaczniesz im czytać, usłyszą opowieści o czymś, co jakiś kronikarz zrobił kiedyś indziej, i sami zrozumieją, że zawsze należy uprzedzać uderzenie fali gówna. W ten sposób przyciągniesz ich uwagę.

– Tobo mówił, że chciałeś ze mną porozmawiać.

– Muszę cię poinformować, co dzieje się gdzie indziej. I chcę ci podać sugestie odnośnie do przygotowań do wejścia na równinę. Pierwszą jest postulat uważnego wysłuchania Wierzby Łabędzia, najważniejszą však konieczność zdecydowanego poprawienia dyscypliny. Równina jest miejscem śmiertelnie niebezpiecznym. Gorszym nawet niż Równina Strachu, której nie możesz pamiętać. Tam nie da się zignorować reguł i pozostać przy życiu. Jedną z sugestii, mogących pomóc, to ta, aby nie palić ani nie grzebać człowieka zabitego wczoraj przez cień. Niech ci, którzy uniknęli tego losu, patrzą na niego i myślą o tym, co się stanie z wami wszystkimi, jeśli choć jeden spieprzy sprawę tam, na górze. Przeczytaj im ustępy zawierające opis naszych przejść. Niech Łabędź poświadczy.

– Mogłabym wziąć tylko kilka godnych zaufania osób i wydobyć was z nimi.

– Mogłabyś. Ale reszta świata nie okaże szczególnej sympatii ludziom, których zostawisz. Obecnie cień zmierza na północ, aby powiadomić Duszołap, gdzie ma was szukać. Być może ona już wie dosyć, aby domyślić się, co próbujecie zrobić. Nie zależy jej bynajmniej na ponownym spotkaniu z Konowalem i siostrą, mającymi na dodatek wszelkie podstawy do żywienia poważnych pretensji. Przybędzie tutaj najszybciej jak się da. A oprócz Duszołap jest jeszcze Narajan Singh. Wspiera go Kina, a więc niesamowicie trudno go wyśledzić, od czasu do czasu potrafię jednak na mgnienie oka dostrzec jego obecność. Przebywa po tej stronie Danda Presz, przypuszczalnie gdzieś niedaleko. Chce odbić Córkę Nocy i udostępnić jej księgę, którą przehandlowałaś za Klucz. Tak na marginesie, powinnaś odebrać go Wujkowi Dodżowi, zanim skusi go pomysł przedsięwzięcia czegoś na własną rękę. I niech Goblin go zbada.

– Hm? – Tego ranka był prawdziwą skarbnicą wiedzy; najwyraźniej wszystko miał z góry poukładane.

– W tym Kluczu jest coś więcej niż tylko to, co da się dostrzec na pierwszy rzut oka. Mam przeczucie, że Oszust czegoś nie zauważył. Dodż nieustannie skrobie go, próbując odkryć, co skrywa się pod żelazem. Musimy dowiedzieć się o nim więcej, zanim mu zaufamy. A dowiedzieć się musimy szybko. Nie minie wiele czasu, nim cień dotrze do Taglios.

– Rzeka i Popłoch już przybyli. To są ludzie, którym przynajmniej w połowie można zaufać. Gdy tylko wypoczną, przekażę im część roboty. Potem będę się martwić...

– Martw się już teraz. Niech Łabędź zostanie twoim sierżantem. Jest doświadczony i nie ma już innego wyboru, jak tylko iść za nami. Duszka nigdy nie uwierzy, że jej nie zdradził.

– O tym nie pomyślałam.

– Nie musisz wszystkiego robić sama, Ospała. Jeśli chcesz zostać dowódcą, będziesz musiała nauczyć się, jak mówić ludziom, co ma być zrobione, a potem usuwać się im z drogi i pozwalać to robić. Jeśli będziesz cały czas patrzeć im przez ramię, jak nie przymierzając matka, nigdy nie uzyskasz wiele. Uwiodłaś już tego grubasa?

– Co?

– Tego lokalnego buraka i żołnierzyka. Tego, który nie potrafiłby maszerować krok w krok, nawet gdyby mu pomalować stopy na różne kolory. Pogrzyłaś go już?

– Ty o jednym, kiedy ja o drugim. Zupełnie się już zgubiłam.

– Pozwól, że nakreślę ci, jak wygląda sytuacja. Zapomniałaś mu powiedzieć, że Duszka z pewnością tu wpadnie. Musisz nakłonić go do zawarcia umowy. On robi dalej swoją robotę. Pomaga nam stąd odejść, aby jak najprędzej mieć nas z głowy. Kiedy nie uważa, ty ustawiasz go w takiej pozycji, że kiedy uderza fala główna, nie będzie miał innego wyboru, jak tylko poszukać szczęścia z nami.

– W takim sensie go pogrzyłam. Na siedemdziesiąt procent.

– Hej. Poszepcz mu trochę do uszka. Weź do buzi jego miłosny mięsień. Zrób wszystko, co musisz. Jeśli Duszka go straci, nie zaufa już nigdy nikomu innemu w tych okolicach.

Kiedy wpadłam odwiedzić ich znowu, Goblin używał niemalże tego samego języka, co Murgen. Radę tamtego najwyraźniej uznał za idealną.

– Złap grubaska za jego fujarkę i nie puszczaj nawet na moment. Od czasu do czasu ściśnij go trochę, żeby nie przestał się uśmiechać.

– Zapewne już ci to mówiłam, ale jesteś zwykłym cynicznym błotojadem.

– To przez wszystkie te lata czekania, aż Jednooki znowu zacznie. Byłam słodką, niewinną istotą, zanim przystałem do tego oddziału. Co się odnosi również do ciebie.

– Urodziłeś się już cyniczny i zepsuty.

Goblin zachichotał.

– Jak sądzisz, co jeszcze trzeba załatwić, zanim pójdziemy w górę zbocza? Ile twoim zdaniem zajmie to czasu?

– Jeśli Sjuwrin będzie współpracował, z pewnością nie potrwa to wieczność.

– Nigdy, nawet na chwilę nie zapominaj, że nie masz dużo czasu. Ile jeszcze mam o tym gadać. Duszołap nadchodzi. Nie widziałaś, jak to wygląda, gdy ona skoncentruje się na czymś bez reszty.

– Wojny kiauluńskie się nie liczą? – Chyba rzeczywiście musiał zobaczyć coś zupełnie przerażającego. Był zdecydowany postawić na swoim.

– Wojny kiauluńskie się nie liczą. Dla niej była to tylko rozrywka.

Zmusiłam się do złożenia wizyty, której dotąd unikałam.

Córka Nocy miała spętane kostki. Zamknięto ją w żelaznej klatce, której pręty pokrywała gruba warstwa zakłęb, powodujących tym większy ból, im dalej od nich znalazła się nieszczęsna ofiara. Mogła oczywiście uciec, ale to będzie ją bolało. Jeśli przesadzi i posunie się za daleko, umrze.

Wyglądało na to, że dołożono wszelkich starań, aby ją zneutralizować. Wyjąwszy rozwiązanie ostateczne, do którego nakłaniał mnie rozum. Nie miałam żadnych powodów, by zachować ją przy życiu – oprócz tego, że dałam słowo.

Podczas posiłków i temu podobnych ludzie zmieniali się po kolei przy jej klatce, pełniąc służbę parami. Sahra nie zanieczywała swych obowiązków. Doskonale zdawała sobie sprawę z zagrożenia, jakie stanowi dziewczyna.

Od pierwszego spojrzeniaomalże nie skręciło mnie z zazdrości. Mimo niekorzystnej sytuacji w jakiej się znalazła, wciąż była piękna. Przypominała swoją matkę, której ktoś ofiarował nowsze ciało. Lecz zza ślicznych błękitnych oczu wyglądało coś nieskończenie starszego i bardziej mrocznego. Przez chwilę czułam się nie jak w obecności Córki Nocy, ale ciemności wcielonej.

Miała mnóstwo czasu na nawiązanie najbardziej intymnego kontaktu ze swą duchową matką.

Uśmiechnęła się, jakby doskonale świadoma węży mrocznej pokusy pełzających po czarnych korytarzach mej duszy. Miałam ochotę wziąć ją do łóżka. Miałam ochotę ją zamordować. Miałam ochotę uciekać, błagając o litość. Sporego wysiłku woli i gimnastyki umysłu wymagało przypomnienie sobie, że Kina oraz jej córka nie były złem w sensie, jaki ludzie z Północy, albo chociaż moi współwyznawcy Vedna, nadawali temu pojęciu.

Aczkolwiek... imię jej ciemność.

Cofnęłam się parę kroków, odrzuciłam klapę namiotu, aby mój sprzymierzeniec, blask dnia, mógł przeniknąć do wnętrza. Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny. Cofnęła się pod najdalszą ścianę klatki. Nie potrafiłam wymyślić, co mam powiedzieć. Tak naprawdę to nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia. Niby po co miałam z nią plotkować

i przekazywać mniej istotne wieści z zewnętrznego świata? Chyba tylko po to, by skłonić ją do zrobienia czegoś innego prócz czekania.

Bez wątpienia natomiast dysponowała cierpliwością swej duchowej matki.

Coś uderzyło mnie w plecy. Schwyciłam za rękojeść krótkiego mieczyka.

Trzepot białych skrzydeł zniszczył moją starannie ułożoną fryzurę. Szpony wczepiły się w moje ramię. Córka Nocy patrzyła na białego kruka i po raz pierwszy od długiego czasu na jej twarzy odbiły się prawdziwe emocje. Pewność siebie jakby nieco osłabła. Przez szczeliny w masce sączył się strach. Wcisnęła się w kraty za plecami.

– Spotkaliście się wcześniej? – zapytałam.

Kruk wyskrzecztał coś, co brzmiało jak:

– Kra! Wiranda!

Dziewczyna zaczęła drzeć w sposób widoczny. Gdyby było to możliwe, zapewne zbladłaby jeszcze bardziej. Szczęki zaciskała tak mocno, że chyba popękało jej szkliwo na zębach. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby omówić tę sprawę z Murgenem. On wiedział coś o tym kruku.

Co mogło tak dogłębnie wstrząsnąć dziewczyną?

Kruk zaśmiał się.

– Siostró, siostró – wyszeptał i wyfrunął z powrotem na światło dnia, gdzie przestraszył jednego z żołnierzy, za co ten obrzucił go stekiem wyzwisk.

Patrzyłam na dziewczynę, obserwując, jak z powrotem chowa się w głębi stalowego kokonu otaczającego jej wnętrze. Wreszcie odpowiedziała mi spojrzeniem. Czułam, jak strach obecny w niej jeszcze chwilę temu ulatnia się. W jej oczach byłam niczym, mniej niż robakiem, z pewnością czymś zdecydowanie mniej istotnym niż naderwany paznokieć na początku długiej drogi przez wieki.

Zadrżałam i uciekłam spojrzeniem.

To był naprawdę przerażający dzieciak.

Wstawaliśmy przed świtem. Kładliśmy się po zachodzie słońca. W ciągu dnia wykonywaliśmy mnóstwo ćwiczeń, z rodzaju tych, których zaniechano już od zbyt dawna. Tobo pracował nad usprawnieniem swych zdolności iluzjonisty z niemalże fanatycznym poświęceniem. W ramach wysiłków zmierzających do pogłębienia i wzmocnienia poczucia wspólnoty naszego bractwa, odgrywającego tak wielką rolę w tym, czym była Kompania, wprowadziłam zwyczaj codziennego czytania Kronik. Z początku natrafiłam rzecz jasna na opór, jednak sama idea chwyciła, zyskując z czasem coraz większą popularność, w miarę jak narastało przekonanie, że – naprawdę! – wyruszymy na lśniąca równinę albo zginiemy tutaj, przed Bramą Cienia, kiedy Duszołap przybędzie napisać ostatni rozdział naszej historii.

Odnowiony rygor ćwiczeń natychmiast zaczął odplacać się z nawiązką. Osiem dni po tym jak zdobyliśmy fort pod Bramą Cienia, kolejna hałastra, do złudzenia przypominająca tę, którą wcześniej przyprowadził Sjuwrin, tyle że liczniejsza, nadjechała z terenów otaczających Nowe Miasto od zachodu. Dzięki Murgenowi zostaliśmy uprzedzeni dostatecznie wcześniej. Z pomocą Tobo oraz asystującego mu Goblina założyliśmy klasyczną zasadzkę Kompanii, opartą na iluzjach i zaklęciach nękających, które wprowadziły zamieszanie i dezorganizowały szeregi członków oddziału, którzy mieli zresztą już wcześniej kłopoty ze zrozumieniem, o co właściwie w tym wszystkim chodzi. Uderzyliśmy szybko, z całej siły, bezlitośnie, i w ciągu kilku minut zagrożenie przestało istnieć. W rzeczywistości odwody rozpadły się tak szybko, że nie udało się nam wziąć tylu jeńców, ilu bym chciała, chociaż większość oficerów zmusiliśmy do złożenia broni. Sjuwrin bez wahania zidentyfikował tych, których znał.

Sjuwrin był już obecnie praktycznie rzecz biorąc rekrutem Kompanii, tak wielkie było jego pragnienie przynależności do większej całości

i zasłużenia sobie na akceptację tych, którzy go otaczali. Odczuwałam coś na kształt poczucia winy, wykorzystując go w ten sposób.

Jeńcy, których wzięliśmy, zostali wykorzystani jako przymusowa siła robocza kładąca podwaliny naszej przyszłości. Większość poddała się temu z radością, ponieważ obiecałam, że tych, którzy będą ciężko pracować, uwolnię przed naszym wkroczeniem na równinę. Ci natomiast, którzy pracować nie będą, posłużą nam za tragarzy. Swoją rolę odegrały też plotki rozpuszczane wśród naszych więźniów, że po drugiej stronie Bramy Cienia przewidujemy konieczność składania ofiar z ludzi.

Goblina znalazłam w towarzystwie Jednookiego, który jak się zdawało, dochodził do siebie w obecności Goty znacznie szybciej. Pewnie dlatego, że potrzebował więcej sił, aby zmykać przed nią i potrawami, jakie weń wpychała. Nie wiem. Klucz leżał na małym stoliczku między nimi. Dodż, Tobo i Gota przyglądali się z boku. Nawet Gota zamknęła buzię na kłódkę.

Rzecz dziwna, ale Sahry nie było wśród nich.

Posuwała się za daleko w okazywaniu Tobo swego niezadowolenia. Podejrzewałam wszak, iż chodzi tu o coś więcej, niż gotowa była przyznać. Jej nastroje warunkowały w sporej części obawy przed najbliższą przyszłością.

– Dokładnie tutaj – powiedział Jednooki, kiedy pochyliłam się naprzód, aby zobaczyć, co robi Goblin. Mały łysy człowieczek miał w dłoniach lekki młoteczek i dłuto. Delikatnie uderzył jednym w drugie. Od Klucza odpadł kawałek żelaza. I tak najwyraźniej działo się już od jakiegoś czasu, ponieważ mniej więcej połowa żelaza została już usunięta, obnażając przedmiot wykonany ze złota. Tak byłam zaskoczona brakiem choćby śladu chciwości u czarodzieja, że omal nie zapomniałam się zaniepokoić, co też wyprawiają z Kluczem.

Otworzyłam właśnie usta, by coś powiedzieć, lecz Jednooki, nie podnosząc wzroku, poinformował mnie:

– Nie nasraj w gacie, Dziewczyńko. Niczego nie zepsujemy. Klucz to ta rzecz w środku. Ten złoty młot. Zechcesz nachylić się trochę bliżej? Być może ty potrafisz odczytać, co na nim napisano.

Pochyliłam się. Objęłam wzrokiem litery odsłonięte po zdjęciu żelaza.

– Wygląda jak ten sam alfabet, którym napisano pierwszy tom Kronik. – Nie wspominając już o pierwszej Księdze Zmarłych, o której nie wspominałam.

Goblin wskazał końcem dłuta wyraźny symbol widoczny w kilku miejscach.

– Dodż mówi, że widział ten znak w świątyni Gaju Zagłady.

– I tam też jest jego miejsce. – Nie był mi obcy. Mistrz Santaraksita zapoznał mnie z jego znaczeniem. – To osobiste godło bogini. Jej własnoręczny podpis, jeśli wolicie takie określenie. – Nie wspomniałam o imieniu. – Nie wymawiajcie imienia. W żadnej z jego form. W obecności tego przedmiotu z absolutną pewnością przyciągnie to jej uwagę. – Wszyscy zagapili się na mnie. – Nie zrobiliście tego dotąd, prawda? Nie? Wujku, nie wiedziałeś, czym ta rzecz może okazać się tak naprawdę, co? – Miałam wrażenie, iż Narajan Singh nie oddałby go nam nigdy, gdyby tylko wiedział, co posiada. Podejrzywałam nawet, że przedmiot ten istniał wyłącznie po to, aby opiekujący się nim kapłan mógł w każdej chwili zwrócić uwagę swej bogini. Nawet w mojej religii w dawnych czasach ludzie nawiązywali znacznie bardziej bezpośrednie i przerażające związki z boskością. Tak przynajmniej utrzymywały pisma. Ale nigdzie w mitologii Kiny nie pojawiał się żaden złoty młot, przynajmniej na ile potrafiłam sobie przypomnieć. Może Mistrz Santaraksita będzie w stanie powiedzieć mi coś więcej.

Goblin skuwał dalej. Ja dalej patrzyłam. W miarę jak odpadały kolejne fragmenty, wszystko szło coraz szybciej.

– To nie jest żaden młot – powiedziałam. – To rodzaj kilofa. To przedmiot rodem z kultu Oszustów. Stary jak świat. To musi być coś o ogromnym znaczeniu religijnym – orzekłam. – Pokażcie to dziewczynie. Zobaczcie, jak zareaguje.

– Jesteś najlepszym ekspertem od Kiny, jakiego mamy, Ospala. Co to może być?

– Istnieje jakaś nazwa dla tego narzędzia, ale nie mogę przypomnieć sobie, jak brzmi. Każda grupa Oszustów dzierżyła taki kilof jak ten. Oczywiście nie były one wykonane ze złota. Używali ich podczas obrzędów pogrzebowych po rytualnym morderstwie. Aby skruszyć kości swych ofiar i upchnąć je w mniejsze truchło. Czasami korzystali z nich także przy kopaniu grobów. Wszystko, rzecz jasna, z towarzyszeniem odpowiednich ceremonii, mających radować Kinę. Naprawdę uważam, że ktoś powinien pokazać to Córce Nocy i zobaczyć, co powie.

Zdało mi się, że wpatrują się we mnie tysiące oczu, czekających tylko, aż zgłoszę się na ochotnika.

– Ja nie mam zamiaru. Idę się położyć – poinformowałam ich.

Jednak tamci nie przestawali patrzeć. Sama przyznałam sobie dowództwo. A takim czymś nie powinien zajmować się nikt inny prócz dowódcy.

– W porządku. Wujku, Tobo, Goblin będziecie mnie ubezpieczać. Ten dzieciak dysponuje talentami, które możemy tylko zgadywać. – Ostrzeżono mnie, że nocą wciąż próbuje opuszczać swe ciało, mimo ograniczeń, jakie na nią nałożono. Była zarazem nieodrodną córką swej matki, zatem nie sposób stwierdzić, co mogłoby się stać, kiedy znajdzie się pod zbyt wielką presją.

Tobo zaprotestował.

– Nie lubię się do niej zbliżać. Od tego dostaję gęsiej skórki.

Goblin jednak poparł mnie w tej sprawie.

– Chłopcze, każdemu ciarki chodzą po plecach na jej widok. Ona jest najbardziej przerażającą istotą, na jaką natrafiłem podczas stu pięćdziesięciu lat życia. Musisz się do tego przyzwyczaić. Jakoś sobie z tym poradzić. To część tej roboty, do której, jak mówią, zostałeś stworzony i o którą zresztą sam prosiłeś.

Ciekawe. Goblin jako mentor i nauczyciel wydawał się dużo bardziej racjonalny i przekonujący od Goblina lesera i dekownika.

– Poniesiesz Klucz. Jesteś młody i silny – zaproponował mały czarodziej.

Kiedy weszliśmy do namiotu, Córka Nocy nawet nie uniosła wzroku. Być może nie zdawała sobie sprawy z naszej obecności. Na pozór pogrążona była w medytacji. A może komunikowała się z Mroczną Matką. Goblin kopnął pręty jej klatki, które miło zagrzechotały, roniąc deszcz rdzy.

– No proszę, tylko spójrzcie. Słodziutka?

– Co jest? – zapytałam.

– Opracowała jakieś zaklęcie, które rzuciła na kratę. Rdzewieje w tempie sto razy szybszym, niż powinna. Bystra dziewczynka. Tylko że...

Bystra dziewczynka popatrzyła na nas. Znowu spojrzaliśmy sobie w oczy. To, co się w nich kryło, przejęło mnie chłodem do szpiku kości.

– Tylko co? – zapytałam.

– Tylko że wszystkie niewolące i kontrolujące ją zaklęcia zakotwiczone są w klatce. Wszystko, co się stanie z klatką, stanie się też z nią. Spójrz na jej skórę.

Natychmiast zrozumiałam, co ma na myśli. Córka Nocy nie zardzewiała oczywiście w ścisłym sensie tego słowa, jednak jej skóra wydawała się równie zniszczona i pokryta plamami jak powierzchnia żelaza.

Powoli przeniosła wzrok na Wujka, Goblina, Tobo... i aż dech jej zapało, jakby widziała chłopaka po raz pierwszy w życiu. Podniosła się powoli, przysunęła bliżej krat, wciąż patrząc mu w oczy. Potem przelotny mars przeciął jej czoło. Spojrzenie przeskoczyło na przedmiot, który chłopak trzymał w dłoniach.

Otworzyła usta, z których, gotowam przysiąc, wydobył się odgłos przypominający ryk rozzłoszczonego słonia. Oczy powiększyły się. Pochyliła się naprzód. Pęta spadły z nóg. Pręty klatki zatrzeszczały i uroniły kolejny deszcz rdzy. Ugięły się, ale nie pękły. Wyrzuciła ręce przed siebie w rozpaczliwym wysiłku osiągnięcia Klucza. Drobne płatki skóry poczerniały i opadły z jej dłoni. Niemniej wciąż była piękna.

– Sądę, że spokojnie możemy uznać, iż ten przedmiot posiada wielkie znaczenie dla Oszustów – zauważyłam.

– Możesz spokojnie uznać – zgodził się Goblin. Całe ramię dziewczyny powoli zaczynało wyglądać jak porządnie poparzone.

– A więc zabierzmy go stąd i zobaczmy, co jeszcze odkryjemy. I niech klatka zostanie wzmocniona, jej pęta zaś zmienione. Tobo! – Chłopak patrzył na dziewczynę, jakby po raz pierwszy dostrzegł w niej kobietę. – Nie mówcie mi tylko, że właśnie się zakochał. Załamie się, jeśli na dodatek będzie trzeba przejmować się jeszcze tym.

– Nie – zapewnił mnie Wujek Dodż. – To nie miłość, jak sądę. Ale może to mgnienie przyszłości.

Chociaż próbowałam naciskać, nie powiedział już nic więcej. Wciąż był przecież Wujkiem Dodżem, tajemniczym kapłanem Niueng Bao.

Zaraz po porażce ostatniej kolumny wsparcia dla miejscowych wszystko zaczęło pięknie się układać. Murgen powiedział, że nikt już nie jest w stanie nam się przeciwstawić, przynajmniej bez pomocy zza gór. Niestety, pomoc ta była już w drodze. Duszołap przemieszczała się na południe drogą powietrzną, krótkimi, nierównymi skokami, które jednak przybliżały ją do celu dużo szybciej, niż byłoby zdolne jakiegokolwiek zwierzę – nawet jeden z magicznych ogierów pochodzących z Wieży w Uroku – jednak dalej zdecydowanie wolniej niż należało oczekiwać po magicznym dywanie. Dawno, dawno temu Wyjec potrafił pokonać odległość między Przeoczeniem a Taglios w ciągu jednej nocy.

Duszołap musiała odpoczywać przez kilka godzin na każdą godzinę spędzoną w powietrzu. Mimo to uparcie dążyła naprzód. A wpływ, jaki te wieści wywarły na żołnierzy, okazał się iście elektryzujący. Skoro zostały tylko dni, albo może wręcz godziny, wszyscy zakasali rękawy i wzięli się do roboty. Prawie nikt się nie obijał, nikt nie marnował sił na darmo, lecz wszyscy naprawdę porządnie przykładali się do szlifowania wojskowych umiejętności.

Sjuwrin był na miejscu wraz z żołnierzami i musztrował ich, aż biły nań siódme poty. Choć był z nami od niedawna, zaczął już tracić wagę i wyraźnie było widać, że łąpie formę. Wkrótce po tym, jak Murgen i Goblin zaczęli wydawać do spótki regularne raporty o postępach Duszołap, podszedł do mnie.

– Chciałbym zostać z wami, proszę pani – poprosił.

– Czego chciałbyś? – byłam zaskoczona.

– Nie jestem do końca pewien, czy chciałbym zostać żołnierzem Czarnej Kompanii, ale wiem na pewno, że nie chcę tu być, kiedy przybędzie Protektorka. Słynie z tego, że rzadko poddaje się wymowie faktów. Daremność mego oporu wobec was nie robi na niej wrażenia.

– Co do tego z pewnością się nie mylisz. Skoro zdezerterowałaś – ponieważ wykonując zleconą ci przez nią pracę, zostałabyś zabity – ona ustawi wszystko tak, że i tak będziesz martwy. A jeśli się da, będzie to śmierć dużo mniej przyjemna. W porządku, Sjuwrin. Dotrzymałaś słowa i dobrze pracowałaś.

Zamrugła.

– Wiesz, co naprawdę znaczy słowo „Sjuwrin”?

– Mniej więcej tyle co: „junior”. Ale teraz jesteś już z nim związany. Większość żołnierzy Kompanii nie posługuje się imionami nadanymi im po urodzeniu. A nawet jeśli używają imion, to i tak nie posługują się własnymi. W ten sposób odrzucają swoją przeszłość. I z tobą będzie tak samo.

Skrzywił się.

– Zamelduj się u Mistrza Santaraksity. Póki nie znajdę ci czegoś do roboty, twoim zadaniem będzie asystowanie mu. Ze starego Baladitji nie ma już wielkiego pożytku. Jest jeszcze gorszy niż Santaraksita, który już spóźnia się z pakowaniem, ponieważ książki wciąż odwracają jego uwagę.

– Santaraksita zdobył na miejscu kilka antycznych woluminów, które cudownym sposobem przetrwały niezliczone katastrofy nawiedzające te obszary w ciągu ostatnich paru dekad.

Sjuwrin skłonił się.

– Dziękuję. – Kiedy odchodził, jego kroki zdradzały przypływ świeżej energii.

Podejrzywałam, że on i Mistrz Santaraksita mają wiele wspólnego ze sobą. Cholera, Sjuwrin potrafił nawet czytać!

Przedemną zmaterializował się Tobo.

– Ojciec kazał ci powiedzieć, że Duszołap dotarła już do Czarandapresz. I postanowiła tam chwilę odpocząć przed pokonaniem Danda Presz.

– Kolejnych kilka godzin łaski. Świetnie. Zatem są szanse, iż nie znajdzie tu już nic prócz naszych śladów. Jak ci się układa z matką? Zrobiłaś cokolwiek w tej sprawie?

– Ojciec mówi też, że masz ustawić kogoś z rogiem alarmowym, kto zadmie, w momencie gdy Protektorka znajdzie się niebezpiecznie blisko. I że powinnaś już odwołać patrole obserwujące przełęcz, na wypadek gdyby Duszołap odechciało się jednak odpoczywać.

To był faktycznie dobry pomysł.

Popłoch i Rzekołaz mieli pecha, że znaleźli się blisko, kiedy akurat spojrzałam w tę stronę. Wysłałam ich, żeby ścignęli wartowników.

– Tobo, nie możesz ignorować swej matki. Skończy się na tym, że będzie między wami gorzej, niż było między nią a twoją babką.

– Ospała... dlaczego nie pozwolisz mi po prostu dorosnąć?

– Ponieważ jesteś jej dzieckiem, ty idioto! Nie rozumiesz tego? Nawet kiedy będziesz miał dwa razy tyle lat co Jednooki, wciąż będziesz jej dzieckiem. Jedynym dzieckiem, którego nie zabrał okrutny los. Pamiętasz przecież, że twoja matka miała jeszcze inne dzieci i straciła je?

– No... tak.

– Nigdy nie miałam dzieci. Nigdy nie chciałam ich mieć. Po części dlatego, że wiem, jaką potwornością byłoby oglądanie śmierci ciała z mego ciała i krwi z mojej krwi, nie mogąc temu zapobiec. Dla was, Niueng Bao, rodzina jest rzekomo nadzwyczaj ważna. Chcę, żebyś odłożył na bok to, co teraz robisz. Już. A teraz idź i usiądź na tamtym głazie. I przez najbliższe dwie godziny spróbuj nie myśleć o niczym innym jak tylko o tym, ile dla twojej matki znaczyło przyglądanie się, jak umierają twój brat i siostra. Pomyśl o tym, jak bardzo musiało jej zależeć, żeby nigdy więcej nie przechodzić przez to samo. Pomyśl o tym, jak to jest być nią, po tym wszystkim, czego doświadczyła. Jesteś bystry dzieciak. Potrafisz to sobie wyobrazić.

Kiedy dostatecznie długo przebywasz z pewnymi ludźmi, intuicyjnie potrafisz wyczuć ich reakcję. Nie miałam więc kłopotów z wyobrazeniem sobie, jak początkowo obrusza się, chcąc mi przypomnieć, że byłam młodsza, niż on jest teraz, gdy przystałam do Cebra i Kompanii – co rzecz jasna miałoby niewiele wspólnego z meritum argumentacji, ale co stanowi narzędzie, za jakie często chwyta się w jego wieku.

– Jeśli chcesz coś powiedzieć, najpierw zastanów się, czy ma to sens. Ponieważ jeśli nie potrafisz myśleć logicznie i logicznie argumentować, wówczas próżne nadzieje abyś odniósł poważniejszy sukces na polu magii, niezależnie od twoich talentów. Wiem, wiem. Wszystko, co dotąd zobaczyłeś, utwierdza cię w przekonaniu, że im większy czarodziej, tym bardziej zwariowany. Ale w granicach zakreślonych przez ich szaleństwo każdy z nich pozostaje rygorystycznie, wręcz matematycznie racjonalny. Cała potęga ich umysłów służy ich szaleństwu. Kiedy popełniają błąd,

dzieje się tak dlatego, że pozwalają emocjom lub pragnieniom zastąpić miejsce rozumu.

– W porządku. Wygrałaś. Będę siedział na tej cholernej skale, póki nie urodzę. Och, ojciec kazał jeszcze powiedzieć, że Narajan Singh jest gdzieś niedaleko. Może go wyczuć, ale nie potrafi zlokalizować dokładnego miejsca pobytu. Kina chroni go swymi snami. Ojciec mówi, że powinnaś poprosić białego kruka, aby go poszukał. Jeśli dasz radę go znaleźć i zmusić do słuchania przez wystarczająco długi czas.

– Łowczyni Kruków. Może tak się nazwę? Brzmi to dużo dostojniej niż Ospała.

– Nawet Tobo brzmi dostojniej niż Ospała. – Tobo podszedł do głazu i usadowił się na nim w stosownej pozycji. Miałam nadzieję, że zasiałam ziarna, które wzejdą, nawet kiedy będzie starał się ze wszystkich sił myśleć o czymś innym.

– Przynajmniej ty możesz zmienić imię, kiedy dorośniesz... – Głupia. Kiedy tylko mi się spodoba, mogę kazać wszystkim, żeby wołali na mnie wówczas tak, jak będę mieć ochotę.

Łowczyni Kruków musiała zrezygnować ze swego imienia. Okazała się kompletną niezgułą. Biała poczwara zniknęła gdzieś i nie sposób było jej znaleźć. Poszłam zatem posiedzieć trochę z Sahrą, aczkolwiek przyjęcie, jakie mi zgotowała, trudno nazwać entuzjastycznym. Wspominałyśmy dawne dni – ciężkie czasy, niedostatki jej męża – póki nie uznałam, że doszła do siebie na tyle, aby wysłuchać tego, co mam do powiedzenia o Tobo.

On sam zaś, łotr, zarobił kilka punktów, pokazując się o właściwiej porze z gałązką oliwną. Zdecydowałam się opuścić towarzystwo, póki rzeczy szły ku dobremu. Miałam nadzieję, iż zapanuje pokój, choć nie wierzyłam, że przetrwa wieki.

Oddałabym duszę za jeden spokojny tydzień. Przez tydzień można by się dowiedzieć, czy uda się wskrzesić Uwięzionych. Za tydzień albo będziemy martwi na lśniącej równinie, albo powrócimy niczym potęga ostatecznej zagłady. Albo może...

Ciemną nocą, kiedy nawet wartownicy prawie spali, rozbrzmiał róg alarmowy. Ale człowiek, któremu powierzono tę funkcję, chyba zakochał się w swej robocie. Dął i dął. W ciągu kilku chwil w obozie zawrzało. I ja też stałam pod nocnym niebem, z sercem w gardle, wciąż upewniając się, że chaos jest tylko pozorny, a nie rzeczywisty. Wszyscy byli spokojni i skoncentrowani. Nie dostrzegłam śladów paniki. Byłam zadowolona. Każda odrobina ćwiczeń i dyscypliny to lepiej niż nic.

Zajrzałam do namiotu Goblina. Sahra i Tobo już w nim byli, bynajmniej nie skłóceni. Chyba jakoś udało mi się dotrzeć do dzieciaka. Powinam zwracać większą uwagę na oboje. W wolnym czasie, którego jak wiadomo mam nadmiar. Pochyliłam się nisko nad projektorem mgły.

– Jakie wieści?

– Duszołap jest w powietrzu i leci na południe – wyszeptał Murgen. – Planuje przybyć tu wkrótce po wschodzie słońca. Doskonale wie, gdzie jesteście. Podczas ostatniego wypoczynku wysłała cień, aby rozpoznał wasze pozycje. Wiele się jednak nie dowiedziała. Cień nie ośmielił się podejść na tyle blisko, by podsłuchać, o czym mówicie. Jej plan polega na tym, by przywdziać jedno ze swoich przebrań i przeniknąć do waszego obozu, gdzie dowie się, co naprawdę zamierzacie. Od początku działa, opierając się na założeniu, że my wszyscy jesteśmy martwi. Mimo iż przecież nie pozabijała nas własnoręcznie, po tym jak wpadliśmy w jej pułapkę. Uciekła, wierząc, że umrzemy za kilka dni. Przypuszczam, iż wiedza o tym, że Konował i Pani wciąż żyją, będzie dla niej wstrząsem, który zrujnuje jej plany na najbliższy wiek.

– Jak szybko leci? Przepraszam. Powiedziałaś, że będzie tu o świcie. Mogaba jest z nią? – To mogło stanowić wielką różnicę dla tego w jakiej kondycji przybędzie. Co z kolei wpływało na postać tego, co zaczęłam robić obecnie.

– Nie. Jeśli uda się jej dostać między was, znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania, wtedy dopiero uderzy, zmiażdży jednym ciosem, zdobędzie Klucz i potem wróci po Wielkiego Generała. – Murgen wykrzywił się, wypowiadając ten tytuł. Fakt, że ostatecznie ani razu nie pobiliśmy go w otwartym starciu podczas wojen kiauluńskich, nie umniejszał naszej pogardy dlań jako dezertera i zdrajcy.

– Ostrzeż nas, jeśli zrobi coś nieoczekiwanego. Sahra, sprawdzałaś co u twojej matki?

– Przelotnie. Dodż i DżoDżo pomagają jej oraz Jednookiemu. Sądzę, że zaczęła bredzić. Wciąż mamrocze coś pod nosem o jakiejś krainie nierozpoznanych cieni i wzywa niebiosą i ziemię oraz dzień i noc.

– Wszelkie zło umiera tam niekończącą się śmiercią.

– To też. O co chodzi?

– Nie mam pojęcia. Gdzieś usłyszałam ten wers. Ma coś wspólnego z równiną, ale dokładnie nie wiem, o co chodzi. Może Dodż będzie w stanie ci wyjaśnić. Obiecał współpracę i większą otwartość, ale gdy odrzuciłam propozycję zostania jego uczennicą, nic z tego nie wyszło. Przypuszczalnie wina leży w takim samym stopniu po jego, jak po mojej stronie. Nie znalazłam czasu, żeby nacisnąć go choć trochę. Miałam robotę do wykonania. – Wyszłam z namiotu.

Cały chaos zaczynał powoli przybierać formy coraz bardziej zorganizowane. Przygotowaliśmy pochodnie i latarnie wzdłuż całej drogi do Bramy Cienia. Oddział naszych najodważniejszych ludzi czekał już w pobliżu bramy, oświetlając ją jeszcze wyraźniej i rozsypując kolorową kredę, która miała nam posłużyć do oznaczenia przejścia. Juczne zwierzęta stały w szyku. Podobnie tabor wozów. Niemowlęta płakały, dzieci zawodziły, a psy szczekały bez wytchnienia. Zewsząd, spoza zasięgu światła dochodziły odgłosy, jakie zazwyczaj wydają ludzie błądzący w nieprzeniknionych ciemnościach. Więźniów, całkowicie już przekonanych, że weźmiemy ich ze sobą na równinę, by tam złożyć w ofierze, wygnano z obozu w stronę Nowego Miasta. Niektórzy twardsi towarzysze chcieli wykorzystać ich jako tragarzy, a kiedy przestaną być użyteczni, pozbyć się ich. Zgłosiłam sprzeciw. Po zabiciu kilku pierwszych zaczęliby się opierać i buntować, poza tym nie moglibyśmy ich zjeść po skonsumowaniu ładunku, jaki by nieśli. Nie chodziło nawet o to, czy

większość z nas w ogóle bierze mięso do ust, ale o tych, którym zachciałoby się go od samego początku.

Wypatrzyłam przeciskającego się przez tłum Wierzbę Łabędzia. Wydawał rozkazy na prawo i lewo, jak urodzony instruktor musztry. Podeszłam bliżej.

– Ogarnęła cię nostalgia za dawnymi, dobrymi czasami, kiedy byłeś szefem Szarych?

– Prawdziwy geniusz taktyki, którego imienia nie będziemy wymieniać w obecnym towarzystwie, odesłał wszystkich starszych sierżantów pod Bramę Cienia, a nie wyznaczył nikogo, kto zajmowałby się sprawami tu, na dole.

Niewymieniony z imienia geniusz musiał przyznać mu rację. Rzeka, Popłoch, Elegant, wszyscy ludzie, których znałam dłużej i którym ufałam najbardziej, byli na górze, lub gdzieś indziej w ciemnościach. Myślę, że po prostu uznałam, iż Sahra i ja poradzimy sobie same, zapominając, że w istocie będę biegać wszędzie, podejmując decyzje za wszystkich, którzy nie potrafią sami zdecydować, co począć.

– Dzięki. Jeśli nie otrzymam lepszej propozycji do dnia czterdziestych urodzin, może jeszcze za ciebie wyjdę.

Łabędź zamarkował stuknięcie obcasami.

– Tak. A ile masz dzisiaj?

– Siedemnaście.

– Tak jak sądziłem. Oraz może dwadzieścia lat doświadczeń plus zmęczenie materiału.

– Niełatwo być dzisiaj nastolatką. Spytaj takiego Tobo. Nikt nigdy nie miał tak ciężko jak on.

Zachichotał.

– Jeśli już o dzieciach mowa, kto się opiekuje Córką Nocy? Zastrzegam, że tym kimś nie chcę być ja.

– O rany! Myślałam, że Goblin i Dodż wezmą to na siebie. Ale Goblin jest zajęty, pomaga śledzić Duszołap, a Wujek musi martwić się o Gotę i Jednookiego. Dzięki, że mi przypomniałeś. – Ruszyłam z powrotem ku namiotowi Goblina. – Hej, Mały Pryszczu! Zostaw wszystko Sahrze i Tobo. Musimy załadować Córkę Nocy.

Goblin wyłonił się z namiotu, mrużąc coś pod nosem, ogarnął wzrokiem zamieszanie, jęknął.

– W porządku. Weźmy się do tego. Tylko, jak to się, kurwa, stało, że nigdy nie nadaliśmy jej imienia? Co z tego, że żadnego nie chce. W klatce też żyć nie chce. Nawet Pierdu Pierdu byłoby łatwiejsze niż nazywanie jej przez cały czas Córka Nocą. Ożeż! A co to, kurwa, jest? – Spojrzał ponad moim ramieniem, w dół zбочa.

Odwróciłam się i zobaczyłam świecącą pośród ciemności parę szkarłatnych oczu, które zbliżały się coraz szybciej. Schwyciłam za miecz. Potem, usłyszawszy tętent kopyt, zamarłam ze zmarszczonym czołem. Wreszcie powiedziałam:

– Hej, stary! To ty? Co, do diaska, tutaj robisz? Myślałam, że znalazłeś sobie robotę u zdrajcy.

Wielki czarny ogier podszedł bliżej, skłonił głowę, aby prychnąć w moje włosy za lewym uchem. Objęłam jego kark. Kiedyś, dawno temu byliśmy przyjaciółmi, ale nie sądziłam, że związek był na tyle bliski, by ogier zechciał opuścić Mogabę i podążać za mną przez setki kilometrów, gdy tylko zrozumiał, że wciąż żyję. Stworzenia te wyhodowano magicznym sposobem do służby Pani z Wieży, zasadniczo jednak nie powinny mieć nic przeciwko przechodzeniu z rąk jednego pana w drugie. Ten należał do Murgena, zanim trafił się mnie. Potem go straciłam.

– Powinieneś zmykać stąd jak najszybciej – powiedziałam mu. – Wybrałeś sobie naprawdę nie najlepszą chwilę. Jeśli nie znajdziemy się wszyscy na równinie w ciągu kilku godzin, Duszołap wsiądzie tu na nas.

Koń przyjrzał się moim towarzyszom oraz tej części Kompanii, którą mógł dostrzec, i zadrzał. Potem, przeniósłszy spojrzenie na Łabędzia, wydał z siebie aż nazbyt ludzkie prychnięcie.

Poklepałam go po karku.

– Nie jestem pewna, czy przypadkiem nie masz racji, ale Wierzba potrafi odkupić swe grzechy. Tylko dobrze się z tym kryje. Ruszaj, zabieramy cię z nami. Nie pojedę wierzchem. Przynajmniej nie bez siodła.

Łabędź zachichotał.

– To tyle, jeśli chodzi o tryumfujących jeźdźców Vedna, którzy z dumą gardzą siodłem i strzemieniem.

– Nie uznając tego za swą wadę, muszę jednak zauważyć, że większość z tych dumnych jeźdźców miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Poszukam ci drabiny. I obiecuję, więcej ani słowa na temat tego, jak powiodło się tym jeźdźcom, kiedy spotkali się z kawalerią znającą i siodła,

i strzemiona.

– Ugryź go, stary.

Ku memu zdumieniu ogier pochylił łeb i skubnął rękę Wierzby. Łabędź aż odskoczył.

– Zawsze miałeś paskudny charakter i złe maniery, dupku.

– Towarzystwo akurat odpowiednie dla ciebie.

– Nie chciałbym przerywać miłosnych pogaduszek, Łowczyni Kruków – wtrącił Goblin – ale wydawało mi się, że mieliśmy coś zrobić z Pierdu Pierdu.

– Sarkastyczny, podsłuchujący błotojad. To ja miałam, nieprawdaż? I przeoczyłam jeszcze naszego starego kumpla Kuszawara Pita, co? Ostatnimi czasy jakoś nie miałam okazji zajrzeć do niego. Nadal żyje? –

Koń dmuchnął mi znowu we włosy. Może on o wiele bardziej tęsknił za dawnymi dobrymi czasami niż ja.

– Mogę sprawdzić. Zupełnie zapomniałaś o nim, układając ramowy plan.

– Och, nie zapomniałam. Wcale a wcale. Dla Kuszawara Pita mam misję specjalną. A jeśli mu się powiedzie, to nie tylko zostanę przy życiu, ale zapomnę mu wszystko, co zrobił pod Kiuszkoszi.

Ktoś krzyknął. Szkarłatna kula ognista przeszła mroki nocy. Nie trafiła w cel. Trafiła natomiast w namiot. Potem w następny, aż wreszcie uderzyła w niedbale ustawione pomieszczenia koszarowe, wzniesione przez ludzi podczas oczekiwania na moje przybycie. Każde z tych trzech miejsc zaczęło kopcić.

– To był Narajan Singh – powiedział Wierzba Łabędź, streszczając w jednym zdaniu to, co kilkudziesięciu ludzi widziało w chwili karminowego rozbłysku. – I miał Pierdu Pierdu...

– Możesz się tym zająć, Łabędź? – Zaczęłam krzyczeć na tych, którzy byli najbliżej, próbując zorganizować pościg.

– Uspokój się, Ospała. Wszystko, co należy zrobić, to poczekać aż zaczniesz krzyczeć, a potem pójść i zabrać ją stamtąd – zauważył Goblin.

Zapomniałam zupełnie o niesamowitej sieci zaklęć dozorujących, którymi związanej Córce Nocy. Im dalej będzie od klatki, tym bardziej wzrośnie jej ból. W postępie geometrycznym. A potem, w odległości znanej tylko Goblinowi i Jednookiemu, dławiące zaklęcia zareagują gwałtownie i zacisną się od razu do końca. Narajan może ją uprowadzić, ale wyłącznie kosztem jej śmierci. Chyba że...

Zapytałam o to.

– Zaklęcia można zdjąć tylko z zewnątrz. Mogłaby sobie być swoją matką i siostrą naraz, wszystkimi Władcami Cienia oraz Dziesięcioma Których Schwytano w jednej osobie i dalej ktoś musiałby pomóc jej się uwolnić.

– W porządku. A więc poczekamy na krzyki.

Nie było żadnych krzyków. Ani wtedy, ani później.

Murgen szukał jak potrafił. Nie znalazł po nich śladu. Kina śniła potężnym snem, chroniąc swoich wybranych. Goblin upierał się, że muszą być gdzieś w pobliżu, że nie ma sposobu, aby Córka Nocy rozerwała więź ze swoją klatką.

– Wobec tego weź kilku ludzi i zatargaj tę klatkę do Bramy Cienia – zwróciłam się do Łabędzia. – Zmusimy ją, aby podążała za nami.

Ostrzegawczy róg odezwał się znowu. Duszołap pokonała przełęcz. Była już po naszej stronie Danda Presz. Na wschodzie można było dostrzec już pierwszy brzask.

Czas ruszać.

W miarę jak Duszołap zbliżała się do celu, omijając zręcznie skały, na jej dywanie gorzał coraz bardziej gwałtowny spór. Słońce płonęło oślepiającym ogniem za jej plecami. Jakaś jej część chciała zapomnieć o przyjętym wcześniej planie przebrania się i przeniknięcia do obozu wroga. Ta cząstka chciała pojawić się niczym mordercza burza, niszcząca wszystko i wszystkich, którzy nie byli nią samą. Ale takim czynem wystawi się na kontratak ludzi, którzy w przeszłości nie raz dowiedli swych umiejętności bojowych. Kreatywność była jednym z najbardziej drażniących wymiarów tradycji Czarnej Kompanii.

Posadziła dywan na ziemi i zeszła zeń, a potem ukryła się pod drobnym zaklęciem i zaczęła skradać w kierunku obozu Kompanii. Przemierzała ostrożnie za każdym razem po kilka metrów, póki nie znalazła dobrego miejsca na kryjówkę, która da jej możliwość spokojnego stworzenia iluzji i przeprowadzenia drobnych zmian kształtu, zapewniających nierozpoznawalność. Praca wymagała całkowitego skupienia.

Z tyłu, przez krzaki, niedaleko od miejsca, gdzie wylądowała, pełzył naprzód Wujek Dodż – odwołał się do swych niewielkich magicznych mocy, aby się upewnić, że nigdzie nie ma zastawionych sideł, a potem za pomocą toporka, nie wykonując żadnych zbędnych ruchów, zniszczył latający dywan Duszołap. Może był już stary i nie potrafił szybko maszerować, ale wciąż był szybki i zręczny. Zdążył wrócić już niemal pod samą Bramę Cienia, kiedy Duszołap pojawiła się, wyglądając jak wzorcowy przykład niechlujnej nastoletniej męskości.

Biały kruk, usadowiony niepewnie na łaknącym deszczu krzaku, obserwował jej przejście. W chwili gdy nie mogła już nic zobaczyć, nawet gdyby akurat się obejrzała, ptak podleciał z trzepotem skrzydeł do miejsca, gdzie zmieniała swą postać, i zaczął przetrząsać ubranie oraz wszystko, co po sobie zostawiła. Nie przestawał równocześnie wydawać takich odgłosów, jakby naprawdę mówił do siebie.

Duszołap weszła na teren obozu, gdzie spodziewała się zastać niedobitki Czarnej Kompanii. Obóz był pusty. Unosząc głowę, dostrzegła długą kolumnę, która zdążyła już pokonać Bramę Cienia. Tylko jeden mężczyzna z mieczem na plecach wciąż jeszcze był po tej stronie, ale i on poruszał się szybko; kilku ludzi czekało nań po drugiej stronie.

Jednak zdobyli Klucz! I wykorzystali go! Powinna była przybyć na miejsce szybciej! Powinna zaatakować! Cholera, każdy dobrze wiedział, że subtelnością nic się z tymi ludźmi nie działa. Hej! Musieli skądś wiedzieć, że ona się zbliża. Trudno to inaczej wyjaśnić. Wiedzieli, że tu leci, i wiedzieli, gdzie się znajduje w danej chwili i...

Pierwsza kula ognista była tak precyzyjnie wymierzona, że urwałaby jej głowę, gdyby Duszołap właśnie nie przysiadła na ziemi. W następnej chwili poleciały kolejne, z wielu różnych miejsc. Zapaliły krzaki i rozbiły skały. Protektorka padła na brzuch i zaczęła pełznąć. Zanim zatroszczy się o urażoną godność, trzeba wydostać się spod ześrodkowanego ognia. Niestety, cokolwiek zrobiła, nie zdawało się na nic. Zabójcy najwyraźniej dokładnie znali miejsce jej pobytu, a jej przebranie nie zmyliło ich nawet na moment.

Kiedy zapora kul ognistych zaczęła powoli ogarniać ją ze wszystkich stron, udało się jej schować w głęboką dziurę, która jeszcze do niedawna najwyraźniej służyła jako dół na odpadki. Nieważne. Obecnie każde schronienie było bezcenne. Teraz snajperzy już jej nie dostaną, chyba że wyjdą z ukrycia i sami po nią przyjdą.

Skorzystała z tej chwili zwłoki, by wymyślić, przygotować i przeprowadzić kontratak. Obejmował on mnóstwo barw, ognia i wrzących, oleistych eksplozji, które wszak odniosły niewielki skutek, ocalali napastnicy uciekli bowiem poza Bramę Cienia, w momencie gdy skryła się w dziurze.

Wyszła na powierzchnię. Nic się nie stało. Spojrzała wściekłym wzrokiem w górę stoku. A więc to tak. Już nawet snajperzy znaleźli się po drugiej stronie Bramy Cienia. Stało tam mniej więcej dziesięciu ludzi, czekając, aby zobaczyć, co pocnie. Próbowała odzyskać spokój. Tylko nie dać się sprowokować i nie zrobić nic głupiego. Ponadto Brama Cienia była już naprawdę w kiepskim stanie. Jeden wściekły, bezmyślny ruch i można ją zniszczyć tak, że nie da się już tego naprawić.

Zdusiła w sobie dławiącą ją wściekłość. Była tak stara w swej niegodziwości. Czas był jej najbliższym sprzymierzeńcem. Wiedziała, co to cierpliwość.

Kuśtykając, udała się w górę, zmuszając gniew, by wykrwawił się w ruchu, ze spokojem, którego żadna normalna istota ludzka zachować by nie potrafiła.

Stok tuż pod Bramą Cienia pokryty był łatami i paskami różnobarwnej kredy. Środkiem biegła wyraźnie zaznaczona bezpieczna ścieżka. Duszołap nie uległa pokusie, by po niej pójść. Być może zapomnieli, że już raz przeszła tę drogę. A może nie przyjmowali do wiadomości, że potrafi sobie przypomnieć, iż w owych czasach bezpieczna ścieżka wchodziła pod Bramę Cienia dwa i pół metra dalej na zachód, dokładnie obok zardzewiałej, poskręcanej żelaznej klatki, która leżała przewrócona na bok, jakby była całkiem wyzutą z sił, umierającą istotą. Pogroziła palcem.

– Nieładnie, nieładnie.

Wierzba Łabędź – niech diabli wezmą jego zdradzieckie gnaty, co dawno już winny gryźć ziemię! – i rodzina Niueng Bao patrzyli się za siebie obojętnie. Mały czarodziej o bladym obliczu, Goblin, uśmiechał się pod nosem, najwyraźniej pamiętając, komu Duszołap zawdzięcza to, iż nie może obecnie normalnie chodzić. A paskudna mała kobieta śmiała się, śmiechem pełnym nieskrywanego zła.

– Nie chodzi o to, że próbowałam cię wydymać, Słodka Pupciu – powiedziała jeszcze. – Ja cię wydymałam. – Uniosła dłoń i wystawiła środkowy palec w geście najwyraźniej wyuczonym od ludzi z Północy.

– Woda śpi, Protektorko.

A co to, u diabła, miało znaczyć?

Żadna istota ludzka nie potrafi skakać tak wysoko, jak udało się to Duszołap. Poderwała stopy trzy metry nad powierzchnię ziemi, dosłownie ułamek sekundy wcześniej, nim kula ognista rozerwała powietrze w miejscu, gdzie przed momentem stała. Zaiste, nie powinnam mleć swoim przeklętym ozorem. Pobłażanie sobie zawsze tak się kończy. Ile istnieje opowieści i sag, w których bohaterowi udaje się ocaleć, ponieważ jego wróg marnuje czas na przechwałki i pobłażanie sobie przed ostatecznym zabiciem go? A więc dodajcie do tej listy kolejną pozycję, kiedy to kronikarz Kompanii Ospala dopuściła się właśnie takiego nieprawdopodobnie głupiego czynu i wzbudziła niepotrzebną czujność u swej niedoszłej ofiary.

Oczywiście nie sposób zaprzeczyć, że była szybka. Legendarnie szybka. Biedny stary Kuszawar Pit zdołał wystrzelić jeszcze tylko dwie ogniste kule, zanim Duszołap dorwała go tam, gdzie trwał przykuty łańcuchami.

Nie wszystko potoczyło się w taki sposób, na jaki liczyłam. Teraz Kuszawar Pit miał przed sobą parę ciężkich chwil, którymi spłaci zaciągnięty u nas dług.

Kątem oka pochwyciłam jakiś ruch – biały kruk sfrunął z nieba niczym pikujący jastrząb. Skręcił jednak w ostatniej chwili i odleciał na bok.

– Sostro, sostro – wymruczałam pod nosem. Powoli uczyłam się chyba odczytywać takie wiadomości.

– Chodź tu, Tobo. – W tej chwili on niósł Klucz. Miał maszerować z przodu, na czele kolumny, zmarnował jednak trochę czasu, chcąc zobaczyć fajerwerki. Był jedynym spośród nas, któremu nie dostawało na tyle rozsądku, aby się bać. Ponieważ jednak nie szedł na czele kolumny, gdzie być powinien, procesja stanęła. Gdy podchodził do mnie, na jego twarzy malowało się poczucie winy. Spodziewał się porządnego złażania, które też go nie ominie, tyle że później.

– Unieś Klucz w górę.

– Ale czy to nie...

– Kompania to nie klub dyskusyjny, Tobo. Pokaż jej Klucz. Zaraz.

Gniewnym gestem wznosił Klucz do góry. Światło poranka rozjarzyło jego złoty kieł.

Duszołap nie zareagowała w sposób widoczny. Ale tak naprawdę ten pokaz nie był zamierzony dla niej. Chciałam, żeby Narajan Singh dowiedział się, co wypuścił z rąk.

Rzecz jasna był to Klucz, ale prócz tego była to również jakaś starożytna i święta relikwia kultu Kiny, Dusicieli. W czasach jego świetności każdy kapłan oddziału Dusicieli nosił jego replikę.

– Raz się wgrywa, raz przegrywa, Narajan – wymamrotałam. –

W zamieszaniu udało ci się odbić dziewczynę. Ale ja zachowałam to. I noszę go bez przeszkód. Ty masz Córkę Nocy i możesz ją zabrać, dokąd chcesz. Jeśli będziesz w stanie nieść i ją, i jej klatkę. – Goblin i Jednooki zmajstrowali arcydzieło paskudnej magii. Nie byłaby w stanie uciec, nawet gdyby zniszczyła klatkę. Cokolwiek stanie się z jej więzieniem, stanie się również z nią.

Nie byłam wszak zadowolona, że klatkę muszę zostawić, jednak po prostu nie chciała przejść przez Bramę Cienia. Można by temu zaradzić, używając dostatecznie dużo siły fizycznej, jednak zanim zaczęły latać ogniste kule, nie zgromadziłam przy sobie dość ludzi.

Życzę ci szczęścia, Dzidzia Mroczek, kiedy będziesz musiała podczas swych niegodziwych knowań wszędzie wlec za sobą całe to żelastwo.

Miałam nadzieję, że Singh zostawił Księgę Zmarłych schowaną gdzieś po drugiej stronie Danda Presz, tak że minie dużo czasu, zanim dziewczyna będzie mogła dostać ją w swe ręce. Wystarczająco dużo, abym dotarła tam, gdzie chciałam dotrzeć, i osiągnąć, co zamierzyłam.

– Już dobrze, Tobo. Teraz wracaj na czoło i każ ruszać tej hałastrze. Łabędź, opowiedz mi o tych kręgach, gdzie można rozbić się obozem. I postaraj się jak najdokładniej ocenić, kiedy możemy spodziewać się kłopotów spowodowanych uszkodzeniem ochrony drogi.

– Najbliższe znajdują się kilka godzin stąd. I chociaż my wykorzystywaliśmy je jako miejsce na obozowisko, przypuszczam, że tak naprawdę stanowiły skrzyżowania szlaków. W nocy łatwiej zobaczyć, co mam na myśli. – I złowieszczo dodał: – Sama zobaczysz. Wtedy wszystko się zmienia.

Nie podobało mi się brzmienie tych słów.

Wciąż trzymałam się straży tylnej, która znajdowała się w połowie drogi na grzbiet, kiedy Duszołap odkryła najwyraźniej, co się stało z jej latającym dywanem. Odgłosy jej gniewu dotarły do nas, mimo wygłuszającej bariery, jaka oddzielała równinę od reszty świata. W tej samej chwili zadrżała ziemia.

Wujek Dodż stał akurat niedaleko, na samym skraju drogi, czekając na jakiś znak odniesionego sukcesu.

– Najwyraźniej nie podoba się jej perspektywa pieszego powrotu do domu – rzekłam. Mój przyjaciel koń stał za mną, spoglądając mi przez ramię. Wydał z siebie odgłos, który swobodnie można by uznać za stłumiony śmiech, gdyby nie dobywał się z pyska konia.

Dodż pozwolił sobie na rzadko pojawiający się u niego uśmiech. Najwyraźniej był bez reszty zadowolony z siebie.

– Co znowu zrobiłaś? – zapytał Wierzba Łabędź.

– To nie ja. To Dodż. Zniszczył jej ostatni środek transportu. Teraz musi odbyć całą drogę na własnych nóżkach. A znajduje się w odległości setek kilometrów od swego przyjaciela. Prócz tego Goblin już wcześniej zajął się jedną z jej stóp, tak że nie może ani biegać, ani tańczyć.

– Chcesz mi powiedzieć, że stworzyliście następnego Kulawca?

Był dosyć stary, aby pamiętać tę nemezys Kompanii. Nie potrafiłam zaprzeczyć jego słowom. Śmiech zamarł na moich ustach. Często czytałam te Kroniki, ponieważ napisał je sam Kapitan, gdy był młodszy.

– Nie, nie przypuszczam. Duszołap nie ma w sobie tyle zapiekłego jadu i boskiej niemalże złośliwości, jakie targały Kulawcem. Nie popada w takie obsesje jak on. Ona przypomina bardziej chaos wcielony, podczas gdy on był czystą podłością.

Pokazałam Łabędziowi zaciśnięte kciuki.

– Lepiej zajmę miejsce na przodzie i będę udawać, że wiem, co dalej robić. Tobo?

– Poszedł naprzód, nie czekając na ciebie – powiedział Dodż. – Obraził się.

Zdałam sobie sprawę, że kolumna znów ruszyła, co wskazywało, iż Tobo dotarł już na równinę, niosąc przed sobą Klucz niczym talizman ochronny.

Musiałam się naprawdę poważnie zastanowić nad tym, że ten artefakt, najwyraźniej uznawany przez Dusicieli za świętość nad świętościami, został zniesiony z równiny do mojego świata przez przodków Niueng Bao. Powinnam pomyśleć też, ile Klucz może znaczyć dla ich ostatniego w pełni uformowanego kapłana.

Coś przyciągnęło moją uwagę chwilę przedtem, zanim dotarłam na grzbiet wzniesienia, skąd mogłam po raz pierwszy objąć spojrzeniem lśniąca równinę. Mała żabka, umaszczona na czarno, lecz paskowana i poznaczona skrętami ciemnej zieleni na grzbiecie. Jej oczy miały barwę świeżej krwi. Przywarła do blado nakrapianej płaszczyzny szaro-czarnej skały. Rozpaczliwie próbowała uciec, odskoczyć, jednak miała uszkodzoną prawą tylną nogę, przez co tylko kręciła się bezradnie w miejscu.

– A skąd, do diaska, ona się tu wzięła? Przecież tutaj nic nie może żyć. –

Spodziewałam się, że już niedługo chmary much podążające za zwierzętami zaczną się coraz bardziej przeredzać, w miarę jak przypadkowe ruchy roju wynosić je będą za strefę ochronną, gdzie czyhały zabójcze cienie.

– Nie przetrwa długo. Upuścił ją biały kruk – wyjaśnił Łabędź. – Przypuszczam, że miała mu posłużyć jako przekąska. – Wskazał dłonią na białego kruka.

Ptak, śmielszy niż kiedykolwiek dotąd, wił sobie gniazdko na grzbiecie mojego przyjaciela, mistycznego ogiera. Koń zdawał się całkowicie ukontentowany. Może tylko, patrząc na mnie, uśmiechał się nieco ironicznie.

– Właśnie sobie przypominałem... – zaczął Łabędź. – Niezależnie jaki z tego pożytek. Ostatnim razem, kiedy tędy wędrowaliśmy, Konował kazał wszystkim żołnierzom Kompanii dotknąć odznakami i amuletami czarnego pasa biegnącego środkiem drogi. Zaraz po tym, jak przytknął do niego grot lancy będącej drzewcem sztandaru. Może to tylko próżny gest. Jednak ja jestem przesądnym facetem i czułbym się o wiele spokojniejszy...

– Masz rację. A więc nie wywołuj wilka z lasu. Ostatnimi czasy przeczytałam na nowo wszystko, co Murgen miał do powiedzenia o tej podróży, i on również uznał to za dobry pomysł. Tobo, stój! – Chłopak raczej nie był w stanie usłyszeć mnie przez hałas, jaki powodowała

maszerująca kolumna, miałam jednak nadzieję, że ludzie przekażą mu moje słowa. Jeszcze raz obrzuciłam wzrokiem nieszczęsną żabę i zdumiałam się, że kruk był na tyle bystry, aby z niej zrezygnować. Potem przyspieszyłam kroku, by dogonić naszego nieopierzonego czarodzieja.

Kolumna przystanęła. Tobo otrzymał moją wiadomość. Zdecydował się do niej zastosować. Może usłyszał coś od białego kruka.

Jego matka i babka były razem z nim w miejscu, gdzie na mnie czekał, dbając, by nie popełniał żadnych głupstw. Był rozdrażniony zwłoką. Znalazł się już daleko w przedzie przed wszystkimi prócz Sahry i Goty...

Ach! Przypomniałam sobie, że Murgen miał identyczne kłopoty z Lancą Cierpienia.

Gdy po raz pierwszy ogarnęłam wzrokiem równinę, zdjęła mnie groza. Jej bezmiar był nieopisany. Aż do linii horyzontu była płaska niczym stół. Trudno mieć wątpliwości, iż oto patrzy się na twór gigantyczny, niemniej całkowicie sztucznego pochodzenia.

– Opanuj się, Tobo. Ani kroku dalej – zawołałam. – Prawie o czymś zapomnieliśmy. Musimy wziąć Klucz i dotknąć nim czarnego pasa, który biegnie środkiem drogi.

– Jakiego czarnego pasa?

– Tym razem nie widać go nawet w połowie tak dobrze. Ale jak się przyjrzyysz, z pewnością zobaczysz – odpowiedział Łabędź.

Był. Znalazłam.

– Chodź tutaj. Z tego miejsca na pewno go zobaczysz.

Tobo cofnął się niechętnie. Może powinnam kazać Gocie nieść Klucz. Z czysto fizycznych powodów – nie potrafiłaby poruszać się tak szybko, aby wyprzedzić resztę.

Zagapiłam się w przestrzeń za jego plecami, czując lekkie muśnięcie tej pasji każącej iść przed siebie, coraz szybciej. Teraz z każdą chwilą znajdowałam się bliżej mych braci... Ciemnoszare chmury zaczęły zbierać się nad naszymi głowami. Murgen wspominał w którymś miejscu o permanentnej powłoce chmur, których jednak próżno byłoby szukać w nocy. Nie potrafiłam wypatrzeć nawet najlżejszego śladu zrujnowanej fortecy, znajdującej się rzekomo kilka dni drogi przed nami. Widziałam natomiast liczne kamienne kolumny, jedyne struktury zakłócające idealną gładź równiny.

– Widzę go! – krzyknął Tobo, wskazując palcem w dół. Mały idiota zamachnął się kilofem, wbijając jego czubek w powierzchnię drogi.

Ziemia zadrżała.

Nie było to wprawdzie żadne potężne trzęsienie ziemi, jak te, pamiętane przez wielu z nas sprzed lat, które obróciły w zgliszcza połowę Ziemi Cienia. Wstrząs był jednak na tyle silny, że ludzie zaczęli gadać, a zwierzęta zaprotestowały.

Promienie wschodzącego słońca musiały jakimś sposobem choć musnąć równinę, bowiem wszystkie kamienne kolumny roziskrzyły się zniecka. Ludzie zaczęli głośno się zachwycać.

– Przypuszczalnie dlatego właśnie nazywają ją równiną lśniącego kamienia – stwierdziłam.

– Nie wydaje mi się, ale mogę się mylić – zaproponował Łabędź. – Pamiętaj, co powiedziałem o odznakach Kompanii.

– Nie zapomniałam.

Tobo wydobył kilof z powierzchni drogi. Ziemia poruszyła się znowu, równie delikatnie jak poprzednio. Kiedy podeszłam bliżej, stał z oczyma wbitymi w powierzchnię drogi, zupełnie skonfundowany.

– Sama się zaleczyła, Ospała.

– Co?

– Kiedy uderzyłem, ostrze weszło tak, jakby powierzchnia była zupełnie miękka. A kiedy wyciągnąłem go, droga sama zaleczyła swoje skaleczenie.

– Teraz znacznie łatwiej można dostrzec środkowy pas – zauważył Łabędź.

Miał rację. Może to przez blask świecącego słońca.

Ziemia zadrżała ponownie. W głosy rozprawiających za moimi plecami wkradł się inny ton, dawało się wyczuć głównie przerażenie i odrobinę prawie mistycznej zgrozy. Obejrzałam się.

Przed moimi oczyma, na miejscu, z którego przyszedliśmy, kłębił się ku niebu wielki grzyb ciemnoczerwonego dymu, nakrapiany delikatnymi czarnymi rozbłyskami. Górna powierzchnia zdawała się na pozór całkiem zestalona, jednak w miarę jak wznosił się i kołysał, odpadały odeń fragmenty jakichś śmieci.

Goblin wybuchnął śmiechem tak donośnym i pełnym złośliwości, że musiał być chyba słyszalny w promieniu wielu kilometrów.

– Ktoś znalazł mój ukryty skarb. Miałem nadzieję, że wreszcie kiedyś udzielię jej naprawdę bolesnej lekcji. – Znajdowałam się na tyle blisko, by słyszeć, jak dodał szeptem: – Naprawdę chciałbym, żeby ten wypadek okazał się śmiertelny, jednak to pewnie próżne nadzieje.

– Zapewne masz rację.

– Wystarczyłoby, gdyby okulała na drugą nogę.

Powiedziałam:

– Sahra, jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić. Pamiętasz, jak Murgen opowiadał, że wciąż gnało go naprzód przed innymi, kiedy tu przyszedł? Z Tobo dzieje się to samo. Spróbuj go nieco kontrolować.

Sahra wydała z siebie zmęczone westchnienie. Pokiwała głową.

– Zatrzymam go, kiedy będzie trzeba. – Wydawała się jednak dziwnie apatyczna.

– Nie chcę, żebyś go zatrzymywała. Chcę tylko, żeby szedł dostatecznie powoli, aby inni mogli za nim nadążyć. To może okazać się później ważne.

– Zdecydowałam, że my dwie będziemy chyba musiały trochę porozmawiać na osobności. Tak jak to kiedyś miałyśmy w zwyczaju, zanim nagle okazało się, że jest tyle spraw do załatwienia. Gołym okiem można było dostrzec, że Sahra najwyraźniej musi wyrzucić z siebie parę rzeczy i że ktoś powinien pomóc jej w uporządkowaniu ich, przewietrzeniu, ewentualnie odłożeniu na bok, dopóki jej serce nie zdoła uleczyć się samo.

Naprawdę tego potrzebowała. Jednak za zaistniałą sytuację nie mogła winić nikogo prócz samej siebie. Nie chciała zaakceptować świata takim, jaki był. I wydawała się już skrajnie zmęczona nieustanną walką z nim. Przez to wszystko zaczynała coraz bardziej przypominać swoją matkę.

– Załóż mu smycz, jeśli będzie to konieczne – odpowiedziałam jej.

Tobo spojrział na mnie wściekłym wzrokiem. Zignorowałam jego reakcję. Wygłosiłam krótką mowę, podczas której zasugerowałam, by każdy, kto ma przy sobie odznakę Czarnej Kompanii, przycisnął ją do powierzchni drogi dokładnie w tym miejscu, w którym Tobo ją skaleczył. Potem odbyło się głośne czytanie dla zgromadzonych, w którym przedstawiłam przygody Murgena na równinie. Nikt nie podważył moich sugestii ani nie protestował, kiedy kazałam się do nich stosować. Kolumna ruszyła znowu, powoli, w tempie naprędce improwizowanych sposobów pośredniej choćby konsekracji zwierząt i tych, którzy nie dysponowali odznakami Kompanii. Pozostałam na swoim miejscu i dla każdego, kto

przechodził obok mnie, miałam parę krzepiących słów. Ostatecznie zdumiała mnie liczba kobiet i dzieci, i ogólnie rzecz biorąc wszystkich, którzy nie brali udziału w walce, a którzy znaleźli jakiś sposób na zabranie się z oddziałem. Kapitan byłby przerażony nie na żarty.

Ostatni minął mnie Wujek Dodż, co było nieco niepokojące. Jeden Niueng Bao z tyłu, kolejni Niueng Bao z przodu, prowadzący kolumnę zaś pół krwi... Ale przecież cała Kompania stanowiła rodzaj mieszanego małżeństwa. W tym tłumie znajdowali się tylko dwaj ludzie, którzy wchodzili w jej skład, kiedy przybyła z Północy. Goblin i Jednooki. Z Jednookim był już niemalże koniec, a Goblin starał się niepostrzeżenie przekazać Tobo jak najwięcej magicznych umiejętności, zanim i jego dosięgnie nieunikniony los.

Ruszyłam wzdłuż wolno pełzającej, pojedynczej kolumny ludzi i zwierząt, wciąż patrząc w przód, ku jej szpicowi, abym, gdyby wydarzyło się coś nowego, mogła natychmiast znaleźć się na miejscu. W twarzach ludzi, których mijałam, nie dostrzegałam żadnego uniesienia wywołanego poczuciem misji. Wyglądały raczej, jakby poraziła je cicha rozpacz. Nie były to dobre objawy. Dowodziły, że euforia naszych pomniejszych zwycięstw rozwiała się gdzieś zupełnie. Większość zdała sobie sprawę, że teraz są tylko zwyczajnymi uchodźcami.

– Na Północy mamy takie wyrażenie: „Z deszczu pod rynnę” – zagadnął mnie Łabędź. – Wygląda na to, że właśnie coś takiego tutaj zrobiliśmy.

– Naprawdę?

– Uciekliśmy przed Duszołap. Ale co teraz?

– Teraz pomaszujemy przed siebie, póki nie znajdziemy naszych pogrzebanych braci. A potem wyzwolimy ich z uwięzienia.

– Nie jesteś taką idiotką, jaką udajesz, nieprawdaż?

– Nie, nie jestem. Ale lubię udawaniać ludziom, że rzeczy nie zawsze są takie trudne, jakimi chcą je widzieć. – Przelotnie rozejrzałam się dookoła, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje. – Mam te same wątpliwości, które żywią pozostali, Łabędź. Wstąpiłam na tę drogę głównie dlatego, że podobnie jak inni nie wiedziałam, co z sobą począć; wzniosłe ideały były mniej ważne. Czasami spoglądam na swoje życie i wydaje mi się ono naprawdę żałosne. Straciłam ponad dziesięć lat na konspirowaniu i dopuszczaniu się zbrodni, wszystko po to, bym mogła wykopać spod

ziemi czyjeś stare kości i by ten ktoś z kolei powiedział mi, co mam dalej robić.

– Poddaj się Woli Nocy.

– Co?

– Brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć Narajan Singh, nieprawdaż? W czasach mego pradziadka był to slogan zwolenników Pani. Wierzyli, że gdy tylko cała władza skupiona zostanie w ręku właściwej osoby o dostatecznie silnej woli, zrodzi to pokój, dobrobyt i bezpieczeństwo. I w mniejszym lub większym stopniu rzeczywiście tak się stało. Księstwa, które „Poddają się Woli Nocy”, zwłaszcza te położone bliżej centrum imperium, przez całe pokolenia były pełne pokoju i dobrobytu. Zarazy, epidemie i głód odeszły w przeszłość. Wojna stała się ciekawostką z dalekich, bardzo dalekich stron. Przestępców ścigano z zaciekłością, która odstraszała praktycznie rzecz biorąc wszystkich, prócz zupełnych szaleńców. Ale na granicach imperium zawsze działo się niedobrze. Słudzy Pani, Dziesięciu Których Schwytano, wszyscy dążyli do budowania odpryskowych imperiów własnych, którym nigdy nie brakowało zewnętrznych wrogów. Poza tym wciąż żywe pozostawały dzielące ich starożytne waśnie. Do diabła, nawet pokój i dobrobyt tworzą sobie wrogów. Jeśli wiesz ci się dobrze, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał ci wszystko odebrać.

– Nigdy dotąd nie widziałam w tobie filozofa, Łabędź.

– Cóż, okazuję się zupełnie niesamowity, jeśli tylko włożyć trochę trudu w bliższe poznanie mnie.

– Nie wątpię. Ale co chcesz właściwie przez to powiedzieć?

– Sam nie wiem. Zabijam czas, kłapiąc szczęką. Może dzięki temu podróż szybciej zleci. A może po prostu chciałem ci przypomnieć, żebyś nie przejmowała się znanymi wybrykami natury ludzkiej. Od niepamiętnych czasów moje życie zostaje co chwilę wywrócone na nice, a los bezwzględnie wyrывa korzenie, gdziekolwiek je zapuszczę, ciskając na ślepo w nieznaną przyszłość. I na dodatek nie mogę spodziewać się od niego nic więcej jak tylko kopa w dupę... A więc naprawdę nie mogę podchodzić do tego inaczej jak z filozoficznym spokojem. Cieszę się chwilą. W zupełnie innym kontekście, jednak naprawdę Poddaję się Woli Nocy.

Religia, w jakiej mnie wychowano, nigdy jakoś nie potrafiła skazać mnie fatalistycznym stosunkiem do świata. Poddaj się Woli Nocy? Złóż swój żywot w Boskie dłonie? Bóg jest Wielki, Bóg jest Dobrem. Bóg jest Litościwy, nie ma Boga prócz Boga. Tego nas uczono. Ale filozofowie boodyjscy mogą mieć rację, kiedy mówią nam, że najlepiej służyć bogom, służąc po prostu swoim bliźnim.

– Niedługo zapadnie noc – przypomniał mi Łabędź.

– To jest jedna z tych rzeczy, o których staram się nie myśleć – wyznałam. – Ale Narajan Singh miał rację. Ciemność przychodzi zawsze.

I kiedy nadeszła, przekonaliśmy się, jakim niesamowitym talizmanem jest Klucz.

– Zauważyłaś, że kolumny lśnią nawet wówczas, gdy niebo wygląda, jakby zaraz miało zacząć padać?

– Zauważyłam. – Murgen ani razu nie wspomina tego zjawiska. Zastanawiałam się, czy nie zrobiliśmy przypadkiem czegoś, czego nikt przed nami nie dokonał. – Czy jak tu byłś ostatnim razem, też się tak działo?

– Nie. Kiedy promienie słońca padały bezpośrednio na równinę, wówczas wszystko błyszczało, ale ani razu nie było tak, jakby świeciła własnym światłem.

– Mhm. A zimno było tak samo? – W miarę przemijania dnia robiło się coraz chłodniej.

– Pamiętam coś jakby górski chłód. Ale nic niemożliwego do zniesienia. Stać. Brzmi jak odgłosy niezłej zabawy.

U czoła kolumny podniosły się krzyk i wrzawa. Z miejsca gdzie się znajdowałam, nie potrafiłam nawet odkryć przyczyny zamieszania, a co dopiero odpowiednio zareagować.

– Co jest?

– Dzieciak się zatrzymał. Wygląda na to, że coś znalazł.

Otóż Tobo znalazł szczątki jednego z Nar, Sindawe, niegdyś wybitnego oficera Kompanii, a niewykluczone, że również brata łotra Mogaby. Pewne było tylko, że ci dwaj aż do oblężenia Dżajkuru – kiedy to Mogaba zdecydował się uzurpować sobie dowództwo Kompanii – byli ze sobą blisko niczym bracia.

– Ludzie, odsuńcie się – warknęłam. – Pozwólcie specjalistom rzucić okiem na sytuację. – Specjalistą był Goblin, który opadł na kolana i powoli badał miejsce wokół zwłok, kiwając głową w górę i w dół, mamrocząc pod nosem jakieś zaklęcia i starając się niczego nie dotykać, póki nie zdobył pewności, że nie istnieje żadne niebezpieczeństwo. Ja przyklękłam obok.

– Dotarł dużo dalej, niż należałoby oczekiwać – powiedział Goblin.

– Był twardszy niż niewyprawiona skóra. To cienie? – Ciało tak właśnie wyglądało.

– Tak. – Goblin popchnął je delikatnie. Potoczyło się odrobinę. – W środku nic już nie zostało. To tylko mumia wyschnięta na kość.

Ktoś za moimi plecami zapytał:

– Przeszukałeś go, ty imbecyłu? Może niósł jakąś wiadomość.

Obejrzałam się za siebie. Tuż za mną stał Jednooki, opierając się na wstrętnej czarnej lasce. Z wysiłku aż trząśł się cały. Chociaż może to tylko wpływ panującego chłodu. Przedtem jechał na jednym z osiołków, przywiązany do siodła, żeby nie spadł, gdyby zdarzyło mu się zdrzemnąć, co ostatnimi czasy było niemalże regułą.

– Przesuńmy go na skraj drogi – zaproponowałam. – Nie możemy zatrzymywać tego tłumu na dłużej. Nim dotrzemy do miejsca, gdzie będzie można zanoćować, mamy jeszcze do przejścia trzynaście kilometrów. – Te trzynaście kilometrów wzięłam zupełnie z kapelusza, faktem jednak pozostawało, iż musieliśmy ruszać bez zwłoki. Byliśmy lepiej przygotowani na ten marsz od naszych poprzedników, jednak nawet nasze

zapasy były ograniczone. – Łabędź, kiedy będzie przechodził obok ciebie muł z namiotem, odetnij go z szeregu.

– He?

– Będzie nam potrzebny tobogan. Aby zabrać ciało.

Twarze tych, którzy byli w stanie dosłyszeć moje słowa, pobladły jak na komendę.

– Wciąż jesteśmy Czarną Kompanią. Nie zostawiamy naszych poległych. – Co nie było, ściśle mówiąc, prawdą, ale przecież trzeba dążyć ze wszystkich sił do realizacji ideału, w przeciwnym razie nic nie uchroni go przed deprecjacją. Prawo równie stare jak sam wynalazek waluty głosi, że gorszy pieniądz wypiera z rynku lepszy. To samo odnosi się do zasad etycznych, moralności i reguł rządzących postępowaniem. Jeśli zawsze wybierasz drogę łatwiejszą, wówczas zapewne zabraknie ci zdecydowania, kiedy konieczne okaże się zajęcie stanowiska trudniejszego. Należy zawsze robić to, co uznaje się za słuszne. A zazwyczaj doskonale wiadomo, co takie jest. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto kwestia nie pozostawia większych wątpliwości, a jednak wszyscy zajmują się głównie wynajdywaniem wymówek pozwalających uniknąć zrobienia tego, co trudne albo bodaj niewygodne.

– Tu jest jego odznaka – powiedział Goblin, pokazując wszystkim zręcznie odrobioną srebrną czaszkę, w której oczodole osadzony był szkarłatny rubin zdający się świecić własnym światłem. Sindawe zrobił ją sobie sam. To było wspaniałe dzieło jubilerskiej roboty, pochodzące spod niewątpliwie utalentowanej ręki. – Chcesz ją wziąć?

Taki był obyczaj, który utrwał się stopniowo od momentu przyjęcia odznak, jeszcze w czasach, gdy kompania pozostawała w służbie Duszołap, a Kapitan był po prostu młodym żołnierzem bez własnego zdania, z gęsim piórem w ręku. Odznaki poległych przekazywano nowym ochotnikom, od których następnie oczekiwano, że dowiedzą się wszystkiego o tych, którzy je nosili, i w ten sposób podtrzymywali pamięć o imionach.

To pewnego rodzaju nieśmiertelność.

Podskoczyłam. Z ust Sahry wydobył się odgłos znamionujący zaskoczenie. Przypomniałam sobie, że coś podobnego zdarzyło się również ostatnim razem Murgenowi. Chociaż wówczas tylko on cokolwiek zauważył. Należało się zastanowić. Może powinnam się z nim skonsultować. Cała drużyna dbała o tak ostrożny transport projektora mgły,

jak to tylko było w ludzkiej mocy. Nawet Tobo musiał stosować się do rozkazów dostosowujących tempo marszu do szybkości, na jaką było stać obsługę naszego najcenniejszego z instrumentów.

Jednak Tobo radził sobie z wypełnianiem rozkazów nieszczęśliwie dobrze.

Wozy przejechały obok, skrzypiąc osiami. Juczne zwierzęta wzdrygały się przed szczątkami Sindawe, ale nigdy na tyle żywo, by w grę wchodziło ryzyko opuszczenia bezpiecznej przestrzeni drogi. Zaczynałam już podejrzewać, że lepiej ode mnie potrafią wyczuć niebezpieczeństwo, ponieważ ja w kwestii ocalenia życia musiałam polegać bez reszty na samym intelekcie. Jedynie czarny ogier zdawał się nieporuszony losem Sindawe.

Biały kruk zdradzał natomiast nadzwyczajne zainteresowanie zwłokami. Odnosiłam wrażenie, że musiał znać wcześniej Sindawe i teraz go oplakiwał. Bez sensu. Chyba że, jak to ktoś kiedyś zasugerował, Murgen był tam, w środku, wyrzucony poza obręb własnego czasu.

Pojawił się Mistrz Santaraksita, prowadząc za sobą osiołka. Na grzbiecie zwierzęcia siedział okrakiem kopista Baladitja. Jadąc, nie odrywał wzroku od kart książki, całkiem nieobecny duchem. Być może dlatego, że słabymi oczyma nie potrafił zobaczyć nawet najbliższego otoczenia. Albo nie wierzył w istnienie świata poza swymi księgami. Linę, na której szedł następny osioł, uwiązaną miał do nadgarstka. Biedne zwierzę chwiała się wręcz pod ciężarem ładunku, obejmującego głównie opasłe tomy i narzędzia bibliotekarskiego fachu. Wśród ksiąg znajdowały się także użyczone mu Kroniki, w tym również te, które wcześniej ocalałam z biblioteki.

Santaraksita wyłamał się z szeregu.

– To jest tak niezwykle ekscytujące, Dorabi. W moim wieku mieć jeszcze takie przygody. Ucieczka przed przerażającą czarownicą i nieziemskimi potęgami drogą wiodącą przez starożytny, magiczny twór. To jak wejście między karty starych Wed.

– Cieszę się, że ci się podoba. Ten człowiek był jednym z naszych braci. Przygoda dogoniła go mniej więcej czternaście lat temu.

– I wciąż jest w jednym kawałku?

– Na równinie nie żyje nic, co nie ma prawa tu żyć. Uwzględniając nawet muchy czy zwierzęta padlinożerne, które w każdym innym miejscu

zająłoby się ciałem.

– Ale są tu kruki. – Wskazał ptaki kołujące w oddali. Wcześniej ich nie zauważyłam, ponieważ nie wydawały żadnych odgłosów, a nadto było ich tylko kilka. Kolejnych kilkanaście przysiadło na kapitelach kamiennych kolumn. Najbliższe, o kilkaset metrów przed nami.

– One nie przybyły tutaj na ucztę – powiedziałam. – Są oczami Protektorki. Potem wracają do niej i opowiadają o wszystkim, co robimy. Jeśli jednak po zmroku dotkną powierzchni kamienia, skończą jak Sindawe. Hej, Łabędź, natychmiast rozpuść słówko w przód i w tył kolumny. Niech nikt nie niepokoi tych ptaków. Cokolwiek byśmy zrobili, możemy wyrwać dziury w osłonie przeciw cieniom, jaką daje droga.

– Zdecydowanie chcesz abym jednak trafił na czarną listę Duszki, czyż nie?

– Co?

– Ona jeszcze nie wie, że przeżyłem, tak? Te kruki wskażą jej mnie palcem.

Roześmiałam się.

– Akurat w tej chwili niezadowolenie Duszołap nie powinno cię martwić. Nie dostanie cię, choćby nie wiem co.

– Nigdy nie wiadomo. – Odszedł, aby powiedzieć pozostałym, że chcę, by te obserwujące nas kruki traktowano niczym ulubione zwierzątka.

– Dziwny i intrygujący człowiek – zauważył Santaraksita.

– Dziwny na pewno. Ale on jest obcy.

– W tym miejscu wszyscy jesteśmy obcy, Dorabi.

Trudno zaprzeczyć. Rzeczywiście. Mogłam zamknąć oczy, a i tak nie potrafiłam zapomnieć o przerażającym wrażeniu, jakie wywoływała na mnie otaczająca równina. W istocie im bardziej próbowałam odegnać je od siebie, tym silniej je odczuwałam. Kiedy na nią nie patrzyłam, równina zdawała się tak samo świadoma mojej obecności, jak ja zdawałam sobie sprawę z jej istnienia.

Kiedy już zadbałam o zwłoki Sindawe, podjęłam dalszą wędrówkę u boku Mistrza Santaraksity. Bibliotekarz był naprawdę tak pobudzony, jak twierdził. Wszystko zdawało mu się cudowne. Z wyjątkiem pogody.

– Zawsze jest tu tak zimno, Dorabi?

– To jeszcze nawet nie jest zima. – Śnieg znał jedynie z opowieści. O lodzie wiedział, że jest to coś, co spada z nieba podczas gwałtownych

burz pory deszczowej. – Z pewnością może być jeszcze zimniej. Nie wiem. Łabędź mówi, że nie pamięta, aby poprzednim razem było tak zimno, ale pora roku była wówczas inna i okoliczności wejścia na wyżynę również. – Gotowa byłam się założyć, iż nieczęsto nad równiną rozlegał się uporczywy płacz niemowlaka albo szczekanie psa. Jeden z dzieciaków jakoś przemycił ze sobą zwierzę i teraz było już za późno, aby zrobić z tym cokolwiek.

– Jak długo potrwa cała wyprawa?

– Ach, to jest pytanie, którego jak dotąd nikt nie odważył się zadać. Obecnie i tak znasz wczesne Kroniki lepiej ode mnie. Miałaś całe miesiące na ich studiowanie, podczas gdy mnie nie starczyło nawet czasu na zaktualizowania tej, którą sama piszę. Co mówią o równinie?

– Nic.

– Ani słowa o tym, kto ją stworzył? Ani dlaczego? Można domniemywać, że Kina miała jakiś związek z jej powstaniem. Podobnie jak Wolne Kompanie Khatovaru oraz demon Sziwetja. Sądzymy, że istota uwięziona w fortecy, ku której zmierzamy, jest właśnie tym demonem, pilnującym miejsca spoczynku Kiny. Z mizernym skutkiem jak widać, ponieważ starożytnemu królowi Radrejnakowi udało się zapędzić Oszustów jego epoki do tych samych jaskiń, w których Duszołap zamknęła Uwięzionych. Ponadto doskonale wiemy, że gdzieś tam pogrzebane są Księgi Zmarłych. Dodż twierdzi – nie przedstawiając wszakże żadnych przekonujących dowodów – iż Niueng Bao są potomkami kolejnej Wolnej Kompanii, ale równocześnie Wujek i Matka Gota wspominają niekiedy o rzeczach, które bynajmniej nie stanowią fragmentów zwyczajowej wiedzy.

– Dorabi?

Na twarzy Mistrza Santaraksity pojawił się tymczasem grymas, który widziałam zawsze, gdy udawało mi się go zaskoczyć. Uśmiechnęłam się i poinformowałam go:

– Powtarzam to sobie każdego dnia, dwadzieścia razy dziennie. Tylko zazwyczaj nie robię tego na głos. Chyba miałam nadzieję, że możesz coś do tego dodać. Potrafisz? Z doświadczenia wiemy, że dotarcie do fortecy zajmuje trzy dni. Zakładam, że warownia usytuowana jest pośrodku równiny. Całą jej przestrzeń pokrywa sieć chronionych dróg i kręgów, w których te drogi się przecinają. A tam, gdzie istnieją drogi, musi również być miejsce, do którego prowadzą. Stąd wniosek, że gdzieś musi istnieć

przynajmniej jeszcze jedna Brama Cienia. – Uniosłam wzrok. – Co o tym sądzisz?

– Całą kwestię naszego przetrwania uzależniłaś od spekulacji na temat istnienia innego wyjścia z równiny?

– No. Tam, skąd przyszliśmy, nie można już wrócić.

Znowu to spojrzenie.

Sjuwrin idący obok mnie w całkowitym milczeniu i tylko się przysłuchujący, też patrzył podobnym wzrokiem.

– Chociaż większość życia spędziłam wśród Gunni, wciąż nie do końca oswoiłam się z bardziej ezoterycznymi fragmentami ich legend – powiedziałam. – A jeszcze mniej wiem na temat starszych, mniej znanych kultów, nienastawionych na nawracanie innych. Wiecie może coś o Krainie Nierozpoznanych Cieni? To ona najwyraźniej przywoływana jest w aforyzmach: „Wszelkie Zło Umiera Tam Niekończącą się Śmiercią” oraz „Wzywanie Niebios i Ziemi, Dnia i Nocy”.

– Ta ostatnie kwestia jest łatwa, Dorabi. Jest to inwokacja Najwyższej Istoty. Możesz również usłyszeć ją jako: „Wzywanie Ziemi i Wiatru, Morza i Niebios”, albo nawet: „Wzywanie Wczoraj i Dziś, Jutra i Dzisiejszej Nocy”. Określenia te nie są skomplikowane, a skoro każdego dnia trzeba odmówić określoną liczbę modlitw, nietrudno odwoływać się do nich całkiem bez namysłu. Pewien jestem, że ci Vedna, którzy naprawdę poważnie traktują swe obowiązki religijne, wykorzystują te same skróty.

Poczułam ukłucie winy. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy moje obowiązki religijne ucierpiały wręcz makabrycznie.

– Jesteś pewien?

– Nie. Ale brzmi to przekonująco, nieprawdaż? Spokojnie! Pytałaś o Gunni. W kontekście innej religii mogę całkowicie się mylić.

– Oczywiście. A co z Kościanym Wojownikiem, Kamiennym Żołnierzem albo Żołnierzem Ciemności?

– Przepraszam? Dorabi?

– Nieważne. Chyba że coś ci przyjdzie do głowy. Lepiej pobiegnę na czoło kolumny i trochę przyhamuję Tobo.

Kiedy mijałam czarnego ogiera i białego kruka, ten ostatni zachichotał i wyszeptał znowu swoje:

– Siostró, siostró.

Ptak najwyraźniej słyszał całą rozmowę. Wcale nie musiał to być Murgen ani też jakiś stwór Duszołap, wciąż jednak nie sposób było odmówić jej nadzwyczajnego wprost zainteresowania sprawami Czarnej Kompanii, skłaniającego do angażowania się w jej kłopoty. Wydawał się ukontentowany tym, że zmierzamy wciąż na południe i najwyraźniej nie mamy możliwości powrotu.

Idąca za mną grupa, w której maszerował Mistrz Santaraksita, zatrzymała się. On i Baladitja wbili spojrzenia w lico pierwszej kamiennej kolumny, na którym wciąż gdzieś rozbłyskiwały złote litery.

To pewnego rodzaju nieśmiertelność.

Mieszkańcy niegdysiejszych Ziem Cienia kryli się gdzie popadło, kiedy przez ich kraj wędrowała Nemezis, wolno, lecz niepowstrzymanie zmierzając ku przełęczy w górach Danda Presz. W niejednym miejscu pojawienie się Duszołap dało początek plotce o odrodzeniu Khadi, która znowu przyszła poigrać ze światem.

Przepadała wręcz za dobrym żartem sytuacyjnym.

Świadkowie widzieli na własne oczy boginię w jednym z jej najbardziej przerażających wcieleń. Była całkowicie naga, wyjąwszy pasek z wysuszonych penisów i naszyjnik z dziecięcych czaszek. Jej skóra była czarna niczym wypolerowany mahoń. Nie miała na ciele choćby jednego włoska. W jej ustach szczyrzyły się wampirze kły, a z ramion wyrastała dodatkowa para rąk. Wydawała się wysoka na trzy metry. Jeśli kogo nie dostrzegła, mógł mówić o szczęściu. Ludzie uciekali przed nią gdzie pieprz rośnie.

Nie była sama. Za nią szła również naga kobieta o skórze białej tak jaskrawą bielą, jak głęboka była czerń karnacji iluzorycznej postaci Duszołap. Miała metr siedemdziesiąt wzrostu. Nawet unurzana w brudzie, pokryta siniakami i skaleczeniami, wciąż zdawała się atrakcyjna. Jej oblicze było całkowicie pozbawione wyrazu, jednak w oczach nie gasła nienawiść. Jeśli chodzi o ozdoby, mogła poszczycić się tylko jednym elementem – jarzmem na ramionach, do którego przymocowano trzymetrowy łańcuch. Łączył ją z zardzewiałą żelazną klatką, unoszącą się za nią w powietrzu. W klatce siedział zamknięty kościsty, stary mężczyzna, który najwyraźniej niedawno odniósł poważne obrażenia, włączywszy w to złamaną nogę i kilka kiepsko wyglądających oparzelin. Dziewczyna wlokła klatkę za sobą. Od początku męczarni nie odezwała się ani słowem, nawet wówczas, gdy potwór poganiał ją smagnięciami. Być może w ogóle zatraciła zdolność mówienia.

Narajan Singh miał to nieszczęście, że wszedł na minę założoną przez Goblina, co z pewnością nie bardzo zgadzało się z pieczołowicie opracowanym planem tamtego.

Oszust miał w klatce wielką oprawną księgę. Był zbyt słaby, aby wciąż ją zamykać. Wiatr igrał z jej kartami. Od czasu do czasu kolejny podmuch wyrywał którąś ze stronic, akurat słabiej przytrzymywaną przez nadwerężone szwy grzbietu, dając upust swej psotnej naturze.

Zapadając się raz po raz w stan całkowitego delirium, Narajan roił, iż oto wreszcie wpadł w ręce swej bogini, która albo karała go właśnie za jakieś zapomniane wykroczenia, albo przeniosła wprost do raju. I niewykluczone, że miał rację. Duszołap nie myślała jeszcze o tym, jaki pożytek może mieć z żywego Singha. Zatem nie troszczyła się szczególnie, by go w tym stanie utrzymać. Córkę Nocy też niespecjalnie obchodziło, co z nim będzie.

Udało mi się dogonić Tobo, zanim w rozpędzie minął krąg na skrzyżowaniu dróg.

– Tu się zatrzymamy – powiedziałam, uwiesiwszy się na jego ramieniu.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby próbował przypomnieć sobie, kim jestem.

– Cofnij się do kręgu.

– W porządku. Nie musisz zaraz się tak rządzić.

– Dobrze. Nareszcie znowu jesteś sobą. Tak. Właśnie, że muszę. Najwyraźniej nikt inny nie potrafi cię powstrzymać. – Kiedy weszliśmy z powrotem na obszar kręgu, powiedziałam jeszcze: – Tutaj powinien być... tak. Dokładnie w tym miejscu. – W powierzchni drogi znajdował się otwór, głęboki na dziesięć centymetrów i szeroki jak średnica mego nadgarstka. – Włóż tutaj rękojeść kilofa.

– Po co?

– Żeby dostać się w chroniony obszar, cienie muszą nadejść właśnie z tej strony. No już. Zrób to. Czeka nas jeszcze dużo pracy, jeśli mamy rozbić w miarę bezpieczny obóz. – Zbyt wielu nas było, aby wszyscy zmieścili się wewnątrz kręgu. Oznaczało to, że niektórzy będą musieli spędzić noc na drodze, co Murgen zdecydowanie odradzał.

W każdym razie chciałam, aby znaleźli się tam tylko najspokojniejsi. Murgen gwarantował, że każda noc na równinie stanowi przygodę jedyną w swoim rodzaju.

Sjuwrin odnalazł mnie, kiedy próbowałam zmusić Iqbala i jego rodzinę, aby przemieścili się bliżej środka kręgu. Zwierzęta już zostały tam zagnane. Ja zaś nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że równina naprawdę nie lubi, gdy depczą po niej tak twarde kopyta.

– Co jest, Sjuwrin?

– Mistrz Santaraksita chętnie się z tobą zobaczy, gdy tylko znajdziesz czas. – Wyszczrzył zęby, jakby nie bawił się tak dobrze jeszcze nigdy

w życiu.

– Sjuwrin, wrzucasz gandzię, czy co?

– Po prostu jestem szczęśliwy. Udało mi się uniknąć konieczności wzięcia udziału w uroczystościach państwowych na cześć odwiedzin Protektorki. Dzięki temu nic mi się nie stało i pewnie, póki co, nie stanie. Przeżywam właśnie największą przygodę mojego życia, odwiedzam miejsca, których istnienie jeszcze kilka tygodni temu nikomu w moim pokoleniu nie przyszłoby do głowy. To nie potrwa długo. To po prostu nie może dłużej trwać. Ciągła passa nieustającego szczęścia. Niemniej obecnie bawię się świetnie. Oprócz tego, że bołą mnie stopy.

– Witamy w Czarnej Kompanii. Przyzwyczaisz się do tego. Naszym godłem powinny być pęcherze, a nie czaszka ziejąca płomieniem. Czy zdarzyło się dzisiaj coś istotnego?

– Wydaje mi się, że może Mistrz Santaraksita wpadł na coś. W przeciwnym razie dlaczego kłopotałby się posyłaniem po ciebie?

– Im dłużej z nami przebywasz, robisz się coraz śmielszy i bardziej sarkastyczny.

– Zawsze mi się wydawało, że kiedy się nie boję, jestem dużo zabawniejszy.

Rozejrzałam się dookoła. Zastanawiałam się, czy dla tego głupca również nie znaleźć miejsca gdzieś w środku.

– Zaprowadź mnie do staruszka.

Nie mógł przestać kłapać dziobem. To mogło skończyć się tylko w jeden sposób.

– On jest niesamowity, nieprawdaż?

– Santaraksita? Nic o tym nie wiem. Ale normalny z pewnością nie jest. Nie zdziw się, jeśli nagle poczujesz jego rękę w swoich spodniach.

Sjuwrin umiejscowił siebie i starego dokładnie na skraju kręgu, od wschodu. Z pewnością sam Santaraksita musiał wybrać to miejsce. Znajdowało się akurat naprzeciw najbliższej z kamiennych kolumn. Bibliotekarz siedział na modłę Gunni ze skrzyżowanymi nogami, tak blisko krawędzi, jak tylko się odważył, obserwując obelisk.

– To ty, Dorabi? Chodź i posiedź ze mną.

Zdławiłam nagły przypływ niecierpliwości, usiadłam. Nie potrafiłam wytrzymać dłużej w tej pozycji. W Kompanii, mimo iż ze Starej Gwardii

zostało nas już tylko dwóch, dalej stosowaliśmy się do północnych obyczajów – używaliśmy krzesel, stołków i tak dalej. Cóż daje inercja.

– Na co patrzymy, Mistrzu? – Oczywiście było, że obserwuje pionowy kamień.

– Przekonajmy się, czy jesteś tak bystry, za jakiego siebie uważasz.

To było wyzwanie, którego nie mogłam zignorować. Wbiłam wzrok w kolumnę i czekałam, aż prawda objawi się sama.

Zestaw liter rozjarzył się na chwilę. Bez związku z promieniami zachodzącego słońca, które właśnie wpełzło za osłonę chmur i malowało otoczenie czerwienią. Po chwili powiedziałam do Santaraksity:

– Wygląda na to, że grupy liter wyświetlane są wedle jakiegoś porządku.

– Sądzę, że zasadniczo chodzi tu o porządek, w jakim należy je czytać.

– Z góry na dół? I z prawa w lewo?

– Czytanie z góry na dół w kolumnach nie jest niczym niezwykłym w starożytnej literaturze świątynnej. Niektóre atramenty schły naprawdę wolno. Jeśli pisałeś w liniach poziomych, czasami zdarzało się, że rozmazywałeś wcześniejszą pracę. Pisanie z góry na dół w kolumnach z prawej do lewej według mnie sugeruje leworęczność. Być może ci, którzy umieszcili te stele, byli w przeważającej części mańkutami.

Uderzyło mnie, że pisanie w dowolny sposób, jaki tylko okaże się najwygodniejszy, może prowadzić do sporego zamieszania. Wyraziłam swoją opinię.

– Absolutnie, Dorabi. Odszyfrowanie starożytnego pisma zawsze stanowi wyzwanie. Szczególnie jeśli kopista miał mnóstwo czasu i nadto skłonność do żartów. Widziałem rękopisy tak sporządzone, że można je było czytać zarówno poziomo, jak pionowo, a za każdym razem opowiadały inną historię. Bez wątpienia to robota kogoś, kto nie musiał się troszczyć o swój następny posiłek. Dzisiejsze reguły zapisu upowszechniły się nie dalej jak kilka pokoleń temu. Powszechna zgoda na nie wynikała po prostu z pragnienia zagwarantowania, by zawsze dawało się odczytać cudze dzieło. A mimo to zasady te właściwie w ogóle nie przeniknęły do populacji świeckiej.

Większość tego wiedziałam już wcześniej. Nie protestowałam jednak, ponieważ jemu potrzebne były te chwile intelektualnej pedanterii. Bez nich czuł się chyba niekompletny. Poza tym nic mnie to nie kosztowało.

– A co tu mamy?

– Nie jestem do końca pewien. Moje oczy nie są tak dobre, aby wyłapać wszystko. Niemniej litery na kamieniu przypominają bardzo te, którymi została napisana najstarsza z twoich ksiąg; nawet udało mi się odczytać kilka słów. – Pokazał mi swoje zapiski. Nie było tego dość, aby stworzyć sensowny przekaz.

– Wydaje mi się, że zasadniczo mamy tu imiona. Zapewne ułożone w sposób stosowany w świętych pismach. Może to coś w rodzaju apelu przodków.

– To pewnego rodzaju nieśmiertelność.

– Z pewnością. W każdym wielkim mieście znajdziesz podobne pomniki. Ci, którzy uznawali siebie za prawdziwie bogatych i nie wątpili we własną historyczną doniosłość, zawsze mogli pozwolić sobie na żelazo. Zazwyczaj jednak wznoszono je, aby uczcić wybitnych królów i zdobywców, którzy chcieli, by nadchodzące pokolenia nie zapomniały o nich.

– I każdy z tych, jakie kiedykolwiek widziałam, stanowił całkowitą zagadkę dla ludzi żyjących właśnie wokół niego. Tym samym jest to chyba szczególnie kiepski rodzaj nieśmiertelności.

– I o to właśnie chodzi. Wszyscy osiągamy należną nam nieśmiertelność na tamtym świecie, niezależnie jak byśmy ją pojmowali, ale wszyscy chcemy być pamiętani na tym. Przypuszczam więc, że kiedy kolejny zmarły przybywa do nieba, z góry już wszystko o nim wiedzą. Mimo iż jestem praktykującym Gunni, nie potrafię pozbyć się cynizmu, kiedy myślę o tym, co ludzkość wniosła do doświadczenia religijnego.

– Zawsze intrygował mnie twój sposób myślenia, Mistrzu Santaraksito, ale w obecnych okolicznościach zwyczajnie nie mam czasu, by siedzieć tutaj i dumać o niezliczonych słabościach ludzkiej natury. Ani bodaj natury Boga. Czy też bogów, jak wolisz.

Santaraksita zachichotał.

– Czy nie wydaje ci się zabawne, jak odwróciły się nasze role? – Kilka miesięcy spędzonych w prawdziwym świecie uczyniło dla niego prawdziwe cuda. Zaakceptował sytuację, w której się znalazł, i próbował nauczyć się z niej czegoś. Byłam bliska temu, by posądzić go o sympatyzowanie z boodystami.

– Obawiam się, że znacznie mniej we mnie z myśliciela, niżli ci się wydaje, Mistrzu. Nigdy nie starcza mi na to czasu. Najpewniej po prostu

tylko powtarzam, czego nauczyłam się od innych.

– Ja zaś podejrzewam, że zdolność przetrwania w twoim fachu ostatecznie nastraja każdego o wiele bardziej filozoficznie, niż gotowy byłbyś przyznać, Dorabi.

– Albo czyni zeń jeszcze większego brutala. Żaden z tych ludzi nie był nigdy wzorowym poddanym.

Santaraksita wzruszył ramionami.

– Zaiste, jesteś niesamowity, niezależnie czy tego chcesz, czy nie. – Wykonał gest w kierunku stojącego kamienia. – Cóż, oto stoi. Być może chce nam coś przekazać. A być może stanowi tylko ostatni ślad po nieznanym, których prochy dawno użyźniły glebę. Niewykluczone wręcz, że próbuje się z nami porozumieć, ponieważ niektóre litery chyba się zmieniają. – Koniec ostatniego zdania wypowiedział z jakimś szczególnym napięciem. – Dorabi, te napisy nie pozostają przez cały czas identyczne. Muszę przyjrzeć się z bliska jednej z tych steli.

– Nawet o tym nie myśl. Prawdopodobnie będziesz martwy, zanim dojdiesz na miejsce. A przez ciebie mogą zginąć też pozostali.

Wydął wargi.

– To jest najniebezpieczniejsza część całej przygody – ciągnęłam dalej. – W tej partii nie ma miejsca na żadne innowacje i odchylenia od ustalonego toku spraw, czy też ekspresję własnej osobowości. Widziałeś ciało Sindawe. Po ziemi nigdy dotąd nie chodził człowiek lepszy czy silniejszy od niego. I nie zasłużył sobie na taki los. Kiedy tylko poczujesz napływ twórczych pomysłów, zwyczajnie popatrz na ten tobogan. A potem popatrz po raz drugi. Pfe! Już pachnie jak wewnątrz stajni. Odrobina wiatru z pewnością by nie zaszkodziła. – Póki nie będzie wiał w moją stronę.

Zwierzęta stały stłoczone razem i otoczone przez ludzi, żeby nie mogły zrobić nic głupiego, na przykład wyjść poza obszar ochronny kręgu. A roślinożercy mają skłonności do wytwarzania znacznych ilości produktów ubocznych.

– W porządku. W porządku. Postaram się, by robienie głupstw nie weszło mi w nawyk, Dorabi. – Uśmiechnął się.

– Naprawdę? A co sądzisz o sposobie, w jaki tu trafiłeś?

– Może to tylko hobby. – Potrafił się śmiać z samego siebie. – Jest głupota i głupota. Widok żadnego z tych głazów nie zmieni mego kamyczka w menhir.

– Nie jestem pewna, czy to komplement, czy obraza. Obserwuj więc lepiej skałę i daj mi znać, kiedy powie coś interesującego. – Przyszło mi do głowy, że być może te kolumny są w jakiś sposób powiązane z menhirami, na jakie Kompania natrafiła w miejscu zwanym Równiną Strachu, na długo zanim zaciągnęłam się w jej szeregi. Tamte kamienie nawet chodziły i mówiły... chyba że Kapitan przesadzał dużo bardziej, niż go o to podejrzewałam. – Stać! Popatrzcie tam. Dokładnie na samej krawędzi drogi. To jest cień, więc zachowajcie ostrożność. Noc już dość późna, żeby zaczęły wypełzać z kryjówek.

Nadszedł czas, abym obeszła wszystko dookoła, upewniając się, że wszędzie panuje spokój. Cienie nie dostaną nas, jeśli nikt nie zrobi nic głupiego. Mogą jednak spróbować wywołać panikę, w tym samym celu, w którym myśliwi płoszą zwierzynę nagonką.

Mimo naszej liczebności, zwierząt, jakie ze sobą zabraliśmy, oraz moich pesymistycznych rokowań, wszystko szło dobrze. Goblin i ja robiliśmy na zmianę obchód kręgu oraz korzystającej z osłony drogi, wysuniętej na północ reduty naszych stanowisk. Ludzi wręcz przepelniały dobre chęci. Przypuszczam, że sporo wspólnego miały z tym cienie przylegające do powierzchni naszej niewidzialnej osłony i kłębiące się przy niej niczym złe pijawki. Nic tak dobrze nie wpływa na ludzkie nastawienie jak bliskość paskudnej śmierci.

– Z tego kręgu wychodzą i wchodzą doń jeszcze inne drogi prócz tej, którą przyszlismy, i tej, którą jutro wyruszymy – poinformowałam Goblina.
– Dlaczego nie możemy ich zobaczyć?

– Nie mam pojęcia. Może chodzi o magię. Może powinnaś spytać Jednookiego.

– Czemu jego?

– Byłaś z nami dość długo, by poznać prawdę. On wie wszystko. Po prostu zapytaj. A on ci powie. – Najwyraźniej martwił się już mniej o przyjaciela. Wrócił czas zwykłych docinków.

– Wiesz, chyba masz rację. Ostatnio nie nadarzało się zbyt wiele okazji do rozmowy z nim, ale zauważyłam, że dokłada wszelkich starań, by znowu zmienić się w zręдлиwego starucha. Dlaczego więc nie pójdziemy go obudzić, by przekazać mu dowodzenie, a sami przyłożylibyśmy na chwilę głowy do poduszki? – Tak też uczyniliśmy, z drobnymi zmianami tego planu, najpierw upewniwszy się, że rozdzielono kolejność wart przy każdym ewentualnym wejściu na obszar kręgu, niezależnie od tego czy dawało się je dostrzec, czy nie. Z pomocą Goty i Wujka Dodża Jednooki był wciąż zdolny wzmocnić nieco własną osłonę. Tylko że nie bardzo chciał się do tego przyznać.

Przypuszczam, że gdy rozeszliśmy się każde w swoją stronę, Goblin również poszedł i wyszeptał do Toba parę słów.

Ułożyłam się właśnie wygodnie na moim wspaniałym kamiennym łożu, kiedy Sahra wprosiła się na pogawędkę. Byłam naprawdę zmęczona i nie potrafiłam okazać choć odrobiny życzliwości. Od samego początku pragnęłam tylko, żeby sobie poszła. Toteż nie została długo.

Powiedziała tylko:

– Murgen chciał z tobą porozmawiać, ale powiedziałam mu, że jesteś wyczerpana i musisz odpocząć. Kazał mi cię ostrzec, że dziś w nocy możesz mieć szczególnie żywe, niepokojące sny. Ale nie przejmuj się, nigdzie nie ruszaj i nie panikuj. Muszę iść przekazać Goblinowi, Jednookiemu, Wujkowi i innym, żeby ostrzegli pozostałych. Spróbuj odpocząć. – Poklepała grzbiet mojej dłoni, dając do zrozumienia, że wciąż jesteśmy przyjaciółkami. Mruknęłam coś i zamknęłam oczy.

Murgen miał rację. Noc na lśniącej równinie stanowiła przygodę nieporównywalną z niczym innym. Wszystkie znaki orientacyjne zostały na swych miejscach, jednak zdawały się widmowymi odbiciami tego, czym były za dnia. I nie należało ufać niebu.

Równina była nadal gęstwiną wszelkich odcieni szarości. Teraz jednak wyglądała jak rozjarzona ukrytym źródłem światła, które powodowało, że kąty i krawędzie odznaczały się ostrzej. Raz uniosłam wzrok i zobaczyłam księżyc w pełni na niebie usłanym gwiazdami, a dosłownie kilka chwil później chmury z powrotem zaciągnęły je nieprzeniknioną powłoką. Słowa wypisane na stojących kamieniach wydawały się nie znać spoczynku, o czym Murgen nie wspominał ani razu w relacji ze swej wizyty. Obserwowałam je przez moment, rozpoznając poszczególne litery, ale żadnych słów. Niemniej zobaczyłam coś, o czym będę musiała powiedzieć Mistrzowi Santaraksicie następnego ranka. Inskrypcje na kolumnach rzeczywiście zaczynały się w górnym prawym rogu i należało je czytać w dół. Ale tylko w pierwszej kolumnie. W drugiej kolumnie trzeba już było czytać z dołu do góry. A potem w trzeciej znowu na dół. I tak dalej.

Moją uwagę przykuwały jednak głównie istoty przemykające między słupami. Widziałam naprawdę wielkie cienie, stwory, których obecność wywierała dostateczne wrażenie, by przstraszyć i spłoszyć mniejsze, tchnące głodem na powierzchni naszej osłony. Te wielkie nie miały zamiaru podchodzić bliżej. Otaczała je aura nieskończonej, niegodziwej cierpliwości, z której promieniowała pewność, że gotowe są czekać nawet

tysiąc lat, póki ktoś z nas nie spieszy sprawy, otwierając szczelinę w murze naszej tarczy.

We śnie wszystkie drogi wiodące do naszego kręgu były jednakowo widoczne. Lśniące linie siatki kartograficznej biegły ku rozjarzonym kopułom w oddali. Jedynie nasza trasa północ-południe wyglądała na w pełni nadającą się do użytku. Jakby droga wiedziała, o co nam chodzi, albo wiedziała, czego sama chce od nas.

W jednej chwili ogarnęło mnie uczucie przemożnego zdumienia, zadziwienia, trwogi i uniesienia – zrozumiałam, że aby zobaczyć to, co właśnie widzę, muszę znajdować się przynajmniej kilka metrów ponad poziomem, na którym normalnie znajdują się oczy. Skąd dalej wniosek, że musiałam opuścić własne ciało tak samo, jak zdarzało się to Murgenowi, a chociaż wcześniej po tysiącokroć żałowałam, że nie dysponuję tą umiejętnością, natomiast aktualny widok okazał się zupełnie porażający, kiedy zaoferowano mi taką sposobność, ryzyko zdało mi się zbyt wielkie, by mu ulec. Wzniosłam modły do nieba. Bogu trzeba przypominać o własnym istnieniu. Wyraziłam całkowite i ekstatyczne, najzupełniej szczerze zadowolenie z bycia Ospałą pozbawioną choćby iskry talentu mistycznego. Jeśli ktoś w mojej bandzie musi zajmować się takimi rzeczami, niech przekleństwo magicznego talentu przypadnie Goblinowi, Jednookiemu czy Wujkowi Dodżowi, komukolwiek innemu, wyłączwszy może Tobo, chociaż to on właśnie był przepowiedzianą przyszłością Kompanii. Tobo wciąż zbyt kiepsko radził sobie z samodyscypliną, aby obdarzać go kolejnymi zdolnościami.

Małe cienie trzepotały w pobliżu niby stadko gołębi. Na tym szczeblu bytu, na którym żyły duchy, bynajmniej nie były milczące, jednak nie próbowały się komunikować między sobą. Kilka chwil zabrało mi zamknięcie uszu na ich głosy.

Drastycznie bardziej niepokojące były niebiosa ponad moją głowę. Kiedykolwiek spoglądałam w górę, mój wzrok napotykał zachodzące tam dramatyczne odmiany. Raz widziałam nieprzeniknioną warstwę chmur, innym razem rozjarzone dziko pole gwiazd i księżyc w pełni. Potem gwiazd było znacznie mniej, za to świecił dodatkowy księżyc. Jeszcze innym razem ponad drogą wiodącą na południe lśniły gwiazdy wyraźnie układające się w jakąś konstelację. Jej kształt zgadzał się dokładnie z opisem

gwiazdozbioru nazywanego przez Murgena Pętłą. Jak dotąd zawsze podejrzewałam, że Pętła stanowiła wymysł Matki Goty.

A potem, tuż przed złotym kilofem, dostrzegłam skupioną trójkę szkarad, o spotkaniu z którymi Murgen donosił w relacji ze swej pierwszej nocy na równinie. Byli jakszasami? Rakszasami? Próbowałam znaleźć dla nich miejsce w mitologii Gunni lub choćby nawet Kiny, ale najzwyczajniej w świecie nie pasowali do żadnej. Aczkolwiek bez wątpienia nie potrafiłam wyczerpać wszystkich możliwości. Gunni są o wiele bardziej elastyczni w kwestiach doktrynalnych niżli moi rodzimi Vedna. Uczy się nas, że nietolerancja stanowi przywilej naszej wiary. Swoboda teologii Gunni natomiast ma być jednym z powodów, dla których wszyscy oni cierpieć będą pośmiertne męki wiecznego ognia. Jako bałwochwalcy.

Bóg jest Wielki. Bóg jest Miłosierny. W Łaskawości Swej jest Niczym Ziemia. Ale dla niewierzących może stać się kapryśnym, złośliwym dzieckiem.

Rozpaczliwie próbowałam przypomnieć sobie szczegóły doniesienia Murgena o spotkaniu z tymi widmowymi istotami. Nic nie przychodziło mi do głowy, mimo iż własnoręcznie spisywałam jego wspomnienia. Nie umiałam nawet określić z całą pewnością, czy jego nocni goście byli identyczni z tymi, których miałam właśnie przed sobą. Ci z wyglądu przypominali ludzi, z pewnością jednak brakowało im ludzkich cech. Być może ich twarze to były maski, odrobione w pyski bestii. Sądząc z szaleńczych gestów, chcieli, abym dokądś za nimi poszła. Coś podobnego – tak mi się zdawało – wydarzyło się chyba podczas wyprawy, w której uczestniczył Murgen. On nie pozwolił się nigdzie odciągnąć. Ja również, aczkolwiek zbliżyłam się do nich i próbowałam nawiązać rozmowę.

Oczywiście w obecnym stanie, bez ciała i zdolności operowania materialnymi przedmiotami, nie potrafiłam tworzyć dźwięków, a oni nie znali żadnego z języków, jakimi mówiłam. Całą sprawę należało więc uznać za przedsięwzięcie z góry skazane na porażkę.

Najwyraźniej strasznie ich to zdenerwowało. Sądziłi chyba, że szydę z nich sobie. W końcu odwrócili się i odeszli, pogrążeni w wielkim gniewie.

– Murgen, nie mam pojęcia, gdzie jesteś. Aczkolwiek będziesz musiał spędzić trochę czasu na poinstruowaniu mnie w paru sprawach.

Paskudne sylwetki zniknęły. Kłopot z głowy. Może teraz uda mi się trochę przespać. Naprawdę przespać, bez tych wszystkich nazbyt rzeczywistych snów i straszliwych, niesamowitych znaków na niebie.

Zaczęło padać, z czego domyśliłam się w końcu, które niebo jest prawdziwe i pod którego osłoną spoczywam ja, wiercząca się niespokojnie pod dotykiem pierwszych zimnych kropli na twarzy. Nic nie można było na to poradzić. Na równinie nie da się wznieść namiotów ani zbudować schronienia. W istocie, kwestia pogody w ogóle się nie pojawiła podczas narad, na których układaliśmy plany ekspedycji. Nie mam pojęcia dlaczego, przypuszczalnie zawsze była do omówienia jakaś większa, ważniejsza sprawa, która właśnie się przypominała, a która wcześniej umknęła strategom mego zespołu. I jak zawsze, dopiero stając oko w oko z katastrofą lub porażką, rodzi się zdumienie, że można było przeoczyć rzecz oczywistą.

Jakimś sposobem musieliśmy dojść do wniosku, że na równinie kwestia pogody w ogóle się nie pojawia. Może dlatego, że Kroniki Murgena nie wspominały o niej. Niemniej ktoś musiał zdawać sobie przecież sprawę, że taki problem się pojawi. Ktoś najpewniej nawet o tym wspomniał.

Już wcześniej zrobiło się chłodno, zanim jeszcze zaczął padać deszcz. Teraz z każdą chwilą było coraz zimniej. Wstałam wściekła i zaczęłam pomagać w rozpakowywaniu rzeczy, pod którymi można będzie się schronić, oraz zbiorników do gromadzenia wody. Wreszcie skonfiskowałam kawałek płachty namiotowej i dodatkowy koc, zawinęłam się w nie i położyłam znowu, postanowiwszy ignorować deszcz, padający obecnie z nieba pod postacią uporczywej mżawki. Kiedy jest się zmęczonym, nie liczy się nic oprócz snu.

Gdy trafiłam z powrotem do krainy snów, Murgen już tam na mnie czekał.

– Wydajesz się zaskoczona. Mówiłem, że spotkamy się na równinie.
– Mówiłeś. Ale ja nie mam teraz na to najmniejszej ochoty. Teraz powinnam tylko spać.

– Śpisz. Obudzisz się równie świeża, jakbyś w ogóle nie śniła.

– Nie podoba mi się również to bezcielesne snucie się dookoła.

– Nie rób tego.

– Nie potrafię nad tym zapanować.

– Potrafisz. Po prostu musisz chcieć. To kwestia podstawowa. Większość osób instynktownie daje sobie z nią radę. Popytaj jutro wśród ludzi, a przekonasz się, jak niewielu spośród nich potrafi bodaj przypomnieć sobie, że wyzwolili się z ciała.

– Każdy to potrafi zrobić?

– W tym miejscu każdy potrafi. Musi tylko tego pragnąć. Większość nie chce tego w sposób tak zdecydowany, że nawet nie zdaje sobie sprawy z istnienia samej możliwości. Co zresztą nie ma znaczenia. I nie po to tu jestem.

– Dla mnie raczej ma znaczenie. To trochę przerażające. Jestem tylko prostym ciemniakiem ze społecznych nizin...

– Podaruj sobie zwyczajowe narzekania, Ospala. Marnujesz czas. Przypuszczalnie wiem o tobie dokładnie tyle, ile ty sama. Ale są inne rzeczy, o których powinnaś usłyszeć.

– Słucham.

– Jak dotąd radziłaś sobie z równiną nieźle, stosując się do zaleceń Kronik. Trzymaj się zasad, które wypracowaliśmy, a nie czekają was żadne poważniejsze kłopoty. Nie ociągajcie się. Nie wystarczy wam wody... nawet jeśli zarzniecie zwierzęta, jak zaplanowaliście. Tu, gdzie jestem, będziecie mogli stopić lód, ale jeśli podróż potrwa zbyt długo, skończy się na zabiciu większej liczby zwierząt, niż trzeba. I dbajcie o nie, póki jeszcze

żyją. Nie dopuście, by z pragnienia zaczęły szaleć, bo wtedy zniszczą tarczę ochronną. Potrafi odnowić się sama, ale na to potrzeba czasu. Cienie wam go nie dadzą.

– Zatem uszkodzenie tarczy, które zabiło Sindawe i pozostałych, nie stanowi zagrożenia?

– Nie. Jutro znajdziecie Cebra. Ostrzegam cię teraz, żebyś miała czas się przygotować.

Byłam przygotowana. Byłam przygotowana już od dawna. Widok ciała zmarłego Cebra będzie dla mnie z pewnością trudny, ale jakoś sobie z tym poradzę.

– Skoro tu już jestem, powiedz mi, co powinnam zrobić.

– Wszystko robisz dobrze. Tylko się nie ociągaj.

– Powinnam podzielić oddział? Wysłać straż przednią?

– To nie byłoby szczególnie roztropne. Nie byłabyś w stanie nadzorować poczynań oddziału, z którym nie miałabyś kontaktu. A to właśnie ktoś spośród nich z pewnością schrzaniłby wszystko i spowodował naszą śmierć.

– Waszą również?

– Jeśli ty zawiedziesz, nikt inny nas nie wydobędzie. Poza wami nikt nie wie, że jeszcze żyjemy.

– Córka Nocy i Narajan Singh wiedzą. Najprawdopodobniej. – Z pewnością podsłuchali dość, aby się domyślić.

– Co nam mówi, że teraz Duszołap również wie. Ale sama rozumiesz, nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, aby któreś z nich miało szczególną ochotę wskrzeszać umarłych z grobu. Nie wspominając już o tym, że obecnie Bramę Cienia da się otworzyć tylko od tej strony. To jest ostatnie rozdanie, Ospala. A stawką jest wszystko.

Nie przypomniałam Murgenowi, że Narajanowi Singhowi i jego podopiecznej jak najbardziej zależy na wskrzeszeniu kogoś, kogo można by praktycznie rzecz biorąc uznać za współmieszkańca ich grobu. Miał jednak rację w kwestii Bramy Cienia, oczywiście przy założeniu, że na zewnątrz naprawdę nie został już żaden Klucz.

– No i jak to się stało, że wiedziałam z góry, co będziesz miał mi do powiedzenia?

Obdarzył mnie uśmiechem, jakim przypuszczalnie zdobył ongiś serce Sahry, toteż stwierdziłam:

- Powinieneś zobaczyć się z Sahrą.
- Już się z nią widziałem. Dlatego właśnie tyle czasu minęło, zanim się wreszcie spotkaliśmy.
- Cóż mogę jeszcze rzec? Och. Widziałam te istoty... te... – Nie miałam pojęcia, jak się nazywają, więc spróbowałam je opisać.
- Łaszan, Łaszen i Łaszon, zbiorowo traktowani jako Nef. Oni również spacerują po snach.
- Również?
- Ja spaceruję po snach. Można dostrzec mnie tylko oczyma swego ducha. I tylko wówczas, kiedy potrafisz mnie rozpoznać. Nef nie są tam przez cały czas. Albo zostali uwięzieni, albo nie mają już ciał, do których mogliby wrócić. Nie byłem w stanie się dowiedzieć. Tak strasznie chcą się porozumieć, ponieważ najwyraźniej na czymś bardzo im zależy... ale nie są w stanie nauczyć się, jak to robić. Pochodzą z jednego z pozostałych światów. Jeśli jednak nie mają już własnych ciał, mogą potrafić opanować cudze, więc uważaj z nimi.
- Ee... hm... Co ty chrzaniasz?
- Och. Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, nieprawdaż?
- O czym?
- Naprawdę sądziłem, że większości się domyślisz, czytając między wierszami. Kompanie musiały skądś przybyć, a chyba nie sądzisz, że naprawdę można wyżyć na gładkim blacie nagiego kamienia. A więc przyszły tutaj skądinąd. Z jakiegoś zupełnie innego miejsca, ponieważ równina jest na tyle mała, że można ją bez trudu obejść i przekonać się, że nigdzie na niej nie mogłyby powstać armie. Za nią ziemia po prostu staje się coraz mniej gościnna i robi się coraz zimniej.
- Jestem naprawdę ciężka w pomyślunku, szefie. Powinieneś chyba narysować mi to na obrazku.
- Niespecjalnie zależało mi, by inni wiedzieli o moich odkryciach. Nie chciałem, żebyście przestraszyli się do tego stopnia, by w ogóle zrezygnować z akcji ratunkowej.
- Jesteś moim bratem.
- Zignorował moje zapewnienie.
- W ogóle tu nie śpię, więc miałem dość czasu, aby obejrzeć sobie wszystko. Przeprowadziłem dokładne rozpoznanie. Jest szesnaście Bram Cienia, Ospała. I piętnaście z nich prowadzi w miejsca nienależące do

naszego świata. A przynajmniej kiedyś tak było. Obecnie większość jest nieczynna, a w takim stanie istnienia, jaki mi przypadł w udziale, nie potrafię dostrzec, co znajduje się po drugiej stronie, jeśli faktycznie się tam nie znajduje. A nie mam na tyle nerwów, żeby próbować, ponieważ mój świat raczej mi się podoba i nie chcę ryzykować, że gdzieś ugrzęzę, jeszcze dalej odeń niż obecnie.

Tylko cztery bramy są wciąż aktywne. Prowadząca na nasz świat jest tak bardzo uszkodzona, że przypuszczalnie nie przetrwa już dłużej niż kilka pokoleń.

Zgubiłam się. Zupełnie. Na coś takiego nie byłam przygotowana. A jednak przecież miał rację, wspominając o czytaniu między wierszami.

– Co to wszystko ma wspólnego z Kiną? Próżno szukać w jej legendzie choć słowa na ten temat. Tak właściwie, co to ma w ogóle wspólnego z nami? W naszej legendzie też tego nie ma.

– Niestety jest, Ospała. Prawda jest po prostu tak archaiczna, że z czasem uległa całkowitemu wypaczeniu. Przyjrzyj się uważniej mitologii Gunni. Mnóstwo w niej wzmianek o innych płaszczyznach bytu, innych domenach rzeczywistości, rozmaitych niebiosach i tak dalej. Źródła tych opowieści datują się na czasy sprzed przyjścia Wolnych Kompanii, tysiąc lat wstecz, albo i więcej. Udało mi się odkryć, że kiedy pierwsza Wolna Kompania zeszła z równiny, mniej więcej sześćset lat temu, użyto naszej Bramy Cienia po raz pierwszy od co najmniej ośmiu wieków. To dość czasu, żeby odmienić kształt prawdy.

– Hola, hola! Z tego, co mówisz, wynikają rzeczy, z którymi nie do końca chyba potrafię się pogodzić.

– A więc lepiej otwórz oczy i nadstaw uszu, Ospała, ponieważ to nie wszystko. A wątpię, bym odkrył bodaj dziesiątą część prawdy.

Moja dusza ma swoją ciemną, cyniczną, nieufną stronę, skłaniającą mnie niekiedy do kwestionowania motywacji najlepszych nawet przyjaciół.

– Jak to się stało, że aż do teraz nikt o tym nie wspomniał? Przecież dla ciebie to nie żadna nowość?

– Nie. Niemniej powiadam ci, chciałem się stąd wydostać. Jak cholera. Zdecydowałem się więc nie przekazywać wam żadnej informacji, która mogłaby was zniechęcić.

– Zniechęcić? O czym ty, do diaska, mówisz?

– Kina i Uwięzieni nie są jedynymi istotami śpiącymi pod równiną. Można się tam dogrzebać wielu prawd, które wstrząsnęłyby podstawami naszego świata. Prawd, którym, jak sobie wyobrażam, nie pozwolono by wyjść na jaw, nawet gdyby trzeba w tym celu wzniecać święte wojny i dopuszczać się masowych rzezi. Prawd, które tak są przerażające, że z łatwością mogłyby doprowadzić do zagłady i mojej rodziny, i Kompanii.

– Próbuję otworzyć oczy i nadstawić uszu, ale mam z tym kłopoty. Czuję się, jakby mi kazano zaglądać w otchłań.

– Staraj się dalej. Przebywam w tym miejscu już chyba od wieków i wciąż nie potrafię się z tym do końca oswoić. Najlepiej będzie, jeśli nakreślę ci zarys dziejów równiny.

– Zaiste. Czemuż by nie? To może okazać się nawet interesujące.

– Wciąż nie potrafisz wyzbyć się tej złośliwości, prawda? Może Łabędź ma rację i naprawdę wszystkim, czego ci trzeba, jest... nieważne. Nieważne. Słuchaj uważnie. Równina powstała tak dawno temu, że nikt, z żadnego świata, nie ma pojęcia, kto ją stworzył, jak ani po co, chociaż należy sądzić, że została pomyślana jako droga między światami.

– Skąd więc cienie, kamienne kolumny i...

– Nie dam rady wyjaśnić wszystkiego, jeśli mi będziesz wciąż przerywać.

– Przepraszam.

– Na początku była więc równina. Tylko równina, z siecią dróg, które należało przemierzać w określonym porządku, aby dostać się do innych światów. Ogólnie rzecz biorąc, aby móc znowu ją opuścić, każdy podróżnik musiał przejść przez wielki krąg pośrodku równiny. W owych czasach nie było żadnych cieni ani Bram Cienia, żadnych wyniosłych kolumn, potężnej fortecy w wielkim kręgu, jaskiń pod powierzchnią kamienia, śpiących bogów; żadnych Uwięzionych, Ksiąg Zmarłych. Nie było nic prócz równiny. Rozstajów dróg do różnych światów. Albo może czasów. Jedna z nieortodoksyjnych szkół myślenia twierdzi, że wszystkie bramy otwierają się na ten sam świat, ale w odstępach niekiedy dziesiątków tysięcy lat.

Pewnego razu, ale wciąż głęboko w niewyobrażalnej starożytności, natura ludzka dała znać o sobie i kandydaci na zdobywców zaczęli hulać w tę i we w tę po równinie. W okresie zawieszenia walk, spowodowanego wyczerpaniem wojujących stron, mędrcy kilkunastu światów połączyli swe siły dla dokonania pierwszych modyfikacji równiny. Zbudowali fortecę

pośrodku wielkiego kręgu i obsadzili ją garnizonem wywodzącym się z rasy stworzonych do tego celu nieśmiertelnych strażników, których zadaniem miało być uniemożliwienie przemarszu armii z jednego świata do drugiego.

I teraz dopiero powoli dochodzimy do okresu, który można określić mianem protohistorii równiny i który stanowi epokę znajdującą swe kiepskie i zniekształcone odbicie w mitologii Gunni.

Niezależnie od przeszkód na swej drodze, ludzie gnani pasją podboju nie dadzą się łatwo zniechęcić. Kina początkowo była najwyraźniej jednym z tych przeciętnych, mrocznych i okrutnych władców, jacy pojawiają się co kilka stuleci, jak na przykład pierwszy mąż Pani, tyle że w odróżnieniu od niego była kolejną w szeregu tych, których obecnie wspomina się jako bogów, ze względu na wpływ, jaki wywarli na swoje czasy. Cały ten sabat postanowił wzmocnić trochę Kinę, by potrafiła pokonać „demony” na równinie. Podtuczona mocą zmieniła się w istotę, którą z braku lepszego określenia należałoby nazwać boginią. I zachowywała się tak brzydko, jak winni oczekiwać jej sprzymierzeńcy, czego skutki w mniejszym lub większym stopniu znamy z mitologii. Kiedy jednak Kina zasnęła, jej alianci otworzyli pod równiną labirynt jaskiń i pogrzebali ją gdzieś w jego otchłani. Potem stworzyli Sziwetję, Niezłomnego Strażnika, aby jej strzegł. Niewykluczone zresztą, że powołali do służby demona o tym imieniu ocalałego z rzezi dokonanej przez Kinę, wzmocnili go trochę i kazali wykonywać tę robotę – jeśli wolisz rzadziej spotykaną wersję legendy. Potem, najwyraźniej zbyt wyczerpani by odzyskać dawną wielkość, rozplynęli się we mgle. A Kina ostatecznie i tak skończyła na pierwszym miejscu, pomimo że została uwięziona.

Dlaczego jej po prostu nie zabili? Jest to coś, czego nigdy nie rozumiałem, czytając opowieści o waśniach bogów. Istnieje tylko jedna wersja mitu Kiny, w której jej wrogowie ośmielają się zrobić coś więcej, niż wyłącznie ułożyć ją do snu. Według tej opowieści, rozrzucone po świecie kawałki porąbanego ciała bogini dalej żyły, próbując same złożyć się w jedną całość.

Przypuszczam, że dysponowała jakimś rodzajem zaklęcia, uruchamianego w momencie jej śmierci, które splatało losy innych bogów z jej losem. Żaden z tych ludzi nawet na moment nie zaufały drugiemu. Wszyscy zapewne mieli z góry przygotowane rozmaite systemy chroniące

ich, podobnie jak Długi Cień, który związał swój los ze stanem Bramy Cienia.

– Ależ Brama Cienia nie zależy już od tego, co się z nim stanie. Przynajmniej póki on pozostaje wewnątrz.

– To był tylko przykład, Ospała. Trzymajmy się historii równiny. O tym, co nastąpiło po upadku Kiny, dokumenty milczą, najwyraźniej jednak przybyli i przeminęli kolejni zdobywcy. Zrodziło to dalsze wysiłki, mające na celu ich zniechęcenie, przy równoczesnym utrzymaniu funkcji komunikacyjnej równiny. Stworzono wówczas bramy i Klucze. Na jednym ze światów zebrali się czarownicy i wydarli dusze milionom jeńców wojennych, tworząc cienie szalejące z nienawiści wobec wszystkiego, co żyje. Było to równoznaczne z całkowitym zamknięciem równiny jako takiej. To oczywiście skłoniło inną jeszcze rasę do stworzenia tarczy chroniących kręgi i drogi. Nikt nie wie na pewno, jak ani kiedy pojawiły się kamienne kolumny. Są one najnowszym uzupełnieniem wyglądu równiny, przypuszczalnym dziełem prekursorów ruchu religijnego obejmującego wiele światów, który zrodził Wolne Kompanie. Jak rozumiem, kamieni tych nie wydobywa się w kamieniołomach. Zostały one wytworzone. Niewrażliwe na działalność cieni i obojętne wobec tarcz ochronnych, zostały dostrojone do rozmaitych Kluczy, znanych w erze Wolnych Kompanii.

– To już jest dla mnie zbyt wiele. Dużo czasu zabierze mi przetrwanie tego wszystkiego. Kina jest jednak zupełnie realna?

– Całkowicie. Leży pogrzebana gdzieś pode mną. Nigdy jakoś mnie nie kusiło, żeby jej poszukać. Nie chciałbym przypadkiem jej uwolnić. Nie wyobrażam sobie wprowadzić, jak miałbym tego dokonać, jednak wolę nie przekonywać się w najbardziej nieprzyjemny sposób.

– Co z Radrejnakiem i Księgą Zmarłych? Jak oni pasują do całej łamigłówki? – Wojny Radrejnaka z wiernymi Kiny miały o kilka wieków poprzedzać pojawienie się Wolnych Kompanii, jednak osobliwe podobieństwa między jednymi a drugimi zdawały się sugerować istnienie wspólnych korzeni.

– Okoliczności powstania Wolnych Kompanii należą w istocie do wydarzeń raczej kiepsko poznanych, mimo iż miały miejsce stosunkowo niedawno. Na przestrzeni kilkuset lat stworzono wiele Kompanii. Wymaszerowały z kilku rozmaitych światów, kierując się w rozmaite

miejsca, nadto w ich skład wchodziłi przedstawiciele różnych sekt wyznawców Kiny. Celem większości najwyraźniej była misja o charakterze raczej badawczym, nie zaś podbój albo służba najemna w obcych krainach, czy wreszcie Rok Czaszek. Z rozmaitych przesłanek wnioskuję, że ostatecznie chodziło przede wszystkim o to, by znaleźć świat godny zaszczytu poświęcenia go jako ofiary na ołtarzu Roku Czaszek.

– A więc pewna grupa światów zdecydowała się sprzymierzyć przeciwko nam?

– Władza Kiny objęła wiele światów. Jej diaboliczność najwidoczniej się upowszechniła.

– A my wyciągnęliśmy krótszą zapałkę i dlatego musieliśmy pogrzebać ją w naszym świecie?

– Nie jesteś już w naszym świecie, Ospala. Obecnie znajdujesz się pomiędzy. To, gdzie trafisz, zależy od bramy, przez którą wyjdiesz. A teraz masz przed sobą tylko jedno wyjście. Brama Cienia do tego świata leży na wprost, po drugiej stronie równiny. Wygląda to trochę tak, jakby sama równina zawężyła liczbę dostępnych możliwości.

– Nie łapię tego. Dlaczego miałyby tak być?

– Czasami wydaje się, jakby równina sama była żywa, Ospala. Albo przynajmniej jakby potrafiła myśleć.

– Stamtąd pochodzimy? Tam Kapitan próbował wrócić przez większość swego życia?

– Nie. Ta Kompania nie może wrócić do Khatovaru. Konował nie dotrze nigdy do ziemi obiecanej. Wiodąca doń Brama Cienia jest nieczynna. Świat, do którego zmierzacie, w znacznej mierze przypomina nasz własny. Inne światy znają go pod nazwą, którą na tagliański można przetłumaczyć mniej więcej jako „Kraina Nierozpoznanych Cieni”.

Nie namyślając się wiele, odpowiedziałam:

– Wszelkie Zło Umiera Tam Niekończącą się Śmiercią.

– Co? – Najwyraźniej go zaskoczyłam. – Tak. Skąd wiedziałaś? Tam żyli ludzie, którzy dokonali tych wszystkich morderstw, dających początek ceniom.

– Słyszałam to gdzieś. Od Niueng Bao.

– Tak. Niueng Bao De Duang. We współczesnym Niueng Bao zwrot tłumaczący się kolokwialnie na coś w rodzaju „Dzieci Wybrane” właściwie pozostaje niezrozumiały w sensie literalnym. W dniach, kiedy ich

przodkowie zostali wysłani z Krainy Nierozpoznanych Cieni, przekładano go z grubsza jako „Dzieci Zmarłych”.

– Niemało się dowiedziałeś – zauważyłam.

– Nie ma się czym chwalić, biorąc pod uwagę to, od jak dawna tu tkwię. Spróbuj chociaż przez dziesięć lat, Ospala. Nic nie rozprasza twojej uwagi, nie ma na kogoś zwalić winy za każdym razem, gdy wszystko idzie nie po twojej myśli.

– Nie żartuj. Teraz zanosi się na to, że będę musiała pracować nawet przez sen.

– Już niedługo. Ktokolwiek siedzi teraz przy instrumencie wytwarzającym mgłę, najwyraźniej próbuje zmusić mnie, żebym się z nim skontaktował. Dlaczego nie zakradniesz się tam i nie przyłożysz gnojowi, żeby mnie nie ściągali za każdym razem, gdy ktoś nie wie, jak rozłupać orzeszek, czy też jeszcze co tam innego.

– Mowy nie ma, były szefie. Sama targam worek pełen orzeszków.

– Powinnaś... – Murgen zniknął jak zdmuchnięty.

Mogłabym przysiąc, że słyszę śmiech podsłuchującego wszystko białego kruka.

Jak to się stało, że jesteś taka drażliwa? – Zapytał Wierzba Łabędź, kiedy warknęłam na niego właściwie bez powodu. – Spodziewasz się znowu babskich dolegliwości?

Zarumieniłam się. Ja, po dwudziestu latach spędzonych wśród najbardziej nieokrzesanych mężczyzn, jacy kiedykolwiek chodzili na dwóch łapach. – Nie, głupku. Po prostu nie spałam szczególnie dobrze ostatniej nocy.

– Co?

Słowo wyrwało mu się z gardła jak ostatni wrzask z piersi umierającego szczura.

– Nie spałam dobrze ostatniej nocy.

– Ach, tak. Nie spała nasza mała Ospała. Chłopaki, ludzie, Ru, Rzeka, kto jeszcze... może ktoś zechce otworzyć gębę i przypomnieć nam o zesłanocnym ryku pośród deszczu?

Dopiero Rzekołaz mnie oświecił:

– Szefowa, ostatniej nocy twoje chrapanie było niczym odgłosy tygrysa w rui. Ludzie wstawali i przenosili się na drogę, aby być jak najdalej od tych hałasów. Inni chcieli cię zadusić albo przynajmniej wsadzić ci worek na głowę. Założę się, że gdyby ktoś prócz ciebie wiedział, co, u diabła, robimy i dokąd zmierzamy, wylądowałabyś na tym toboganie obok generała Sindawe.

– Przecież jestem takim słodkim, delikatnym kwiatuszkiem. W ogóle nie robię takich rzeczy jak chrapanie. – Już wcześniej oskarżano mnie o tę zbrodnię, ale tylko żartem, nigdy z taką pasją.

Rzeka parsknął.

– Łabędź postanowił się z tobą nie żenić.

– Jestem przerażona. Pogadam z Jednookim, może znajdzie jakieś lekarstwo.

– Lekarstwo? Ten facet nie potrafi wyleczyć nawet samego siebie.

Powędrowałam poszukać czegoś do zjedzenia. To, co znalazłam, było ledwie warte włożonego wysiłku i zdecydowanie nie gwarantowało poczucia sytości. Jeszcze długi czas przyjdzie nam ograniczać się do skąpych racji. Nim ukończyłam poranne obrządki, czoło kolumny zdążyło już ruszyć. Humory były nieco lepsze niż wieczorem. Przeżyliśmy noc. A wczoraj naprawdę nieźle dokopaliśmy Protektorce.

Nastroje zmieniły się, kiedy natrafiliśmy na szczątki Cebra.

Wielki Ceber, właściwe nazwisko Kato Dalia, niegdyś złodziej, później oficer Czarnej Kompanii, był dla mnie kimś na kształt ojca. Nigdy nic nie mówił, ja zaś nie pytałam, podejrzewam jednak, że przez cały czas wiedział, iż jestem kobietą. W swoim czasie zdarzało mu się być bardzo niemiłym dla moich męskich krewniaków.

Bycie przedmiotem gniewu Cebra nie należało do szczególnych przyjemności.

Udało mi się jednak nie załamać. W końcu miałam dość czasu, aby przyzwyczaić się do myśli, że już go nie ma, chociaż w moim sercu zawsze tliła się iskierka irracjonalnej nadziei, że Murgen się myli, że śmierć przeoczyła Cebra i leży teraz zagrzebany razem z Uwięzionymi.

Ludzie sami, bez rozkazu położyli jego ciało na toboganie obok Sindawe.

Powlokłam się dalej w kolumnie, zagubiona w jednym z tych niewytłumaczalnie bezładnych ciągów myślowych, które często nawiedzają głowę w takich chwilach.

W miejscu gdzie spędziliśmy noc, został po nas okropny bałagan, zwłaszcza mnóstwo zwierzęcych odchodów. Uwięzieni też chyba nie sprząkali po sobie, wędrując po tej samej drodze. Jednakże oprócz osobliwie spreparowanych zwłok, nie było nawet śladu po tych, co znaleźli się tu wcześniej. Żadnych stosów odchodów, żadnych ogryzionych i odrzuconych kości, żadnych odpadków roślinnych, żadnych węgli z piecyków, nic. Przetrwwały tylko ludzkie ciała – wyschnięte truchła.

Trzeba będzie poruszyć tę kwestię w rozmowie z Murgeniem. Tymczasem uczyniłam sobie z niej przedmiot umysłowego ćwiczenia, mający odwrócić moją uwagę od rozpamiętywania losu Cebra.

Wlekliśmy się na południe. Chmury przyniosły deszcz, potem poszły dalej, zresztą deszcz okazał się tylko mżawką, a i wiatr zawiewał z rzadka. Drżałam na całym ciele i powoli zaczynałam martwić się, by chłód nie

przyniósł śniegu z deszczem bądź nawet wręcz śniegu. Nie spotkało nas nic złego. Na koniec w oddali wypatrzyłam nasz cel – rozmytą sylwetkę tajemniczej fortecy pośrodku równiny.

Od pewnego czasu wiatr wiał już nieprzerwanie.

Ludzie zaczęli uskarżać się na zimno. Inni narzekali na wilgoć. Prawie wszyscy na jedzenie, a byli też tacy, którzy narzekali na narzekających. Czułam, że niewiele już widzi przed nami świetlaną przyszłość.

Przez cały dzień, mimo wysiłków Łabędzia, Sahry i jeszcze kilku osób, czułam straszliwą samotność, graniczącąomalże z poczuciem beznadziejnego opuszczenia. Tylko Wujek Dodż okazywał mi obojętność, ponieważ wciąż jeszcze gniewał się, że nie chciałam zostać jego uczennicą. Nie ustawał w swych manipulacjach emocjonalnych. Kilka razy złapałam się na tym, że próbuję wycofać się do sekretnego miejsca we własnym wnętrzu, i musiałam sobie powtarzać, że przecież teraz nie ma po temu potrzeby. Żaden z tamtych ludzi nie mógł obecnie wyrządzić mi krzywdy. Zresztą i tak bym na to nie pozwoliła. Całkowicie panowałam nad nimi. Przetrwali tylko w mej pamięci...

Nawet to jest pewnego rodzaju nieśmiertelność.

My, Vedna, wierzymy w duchy. I wierzymy w zło. Zastanawiałam się czasami, czy Gunni przypadkiem nie mają choćby po części racji. Dla nich ból wywołany odejściem ukochanych osób ma charakter znacznie mniej osobisty, bardziej fatalistyczny, a nadto akceptowany jest jako konieczna faza życia, które wszak nie kończy się na tej jednej przemianie.

Jeśli Gunni, mocą jakiegoś dziwnego i niezrozumiałego boskiego żartu, rzeczywiście weszli w posiadanie najbardziej trafnej teologii, w poprzednim życiu musiałam być złą, naprawdę niedobrą dziewczynką. Pozostawało mieć nadzieję, że przynajmniej zabawiłam się... Wybacz mi, o Panie Czasu, Któryś Jest Litościwy i Miłosierny. Zgrzeszyłam w moim sercu. Tyś Jest Jedynym Bogiem. Nie Ma Żadnych Innych Przed Tobą.

Za każdym razem, gdy wiatr postanawiał nieco zelżeć, w powietrzu wirowały płatki śniegu. Gdy zaś odkrywał w sobie nowe pokłady ambicji, ciskał w nas drobinami lodu, kłującymi w skórę twarzy i dłoni. Narzekania ludzi, chociaż czasami brzmiały doprawdy niepokojąco, nigdy nie osiągnęły poziomu nawet cienia buntu. Wierzba Łabędź biegał bezustannie wzdłuż kolumny, gadając ze wszystkimi i przypominając, że i tak nie mamy dokąd iść, jak tylko dalej naprzód. Aura najwyraźniej nie miała wpływu na jego usposobienie. Chyba tylko dodawała mu wigoru. Powtarzał wciąż wszystkim, jak to będzie cudownie, gdy spadnie prawdziwy śnieg i przykryje świat powłoką, powiedzmy, półtora do dwóch metrów. Wówczas doprawdy wszystko nareszcie zacznie wyglądać lepiej, tak jest! Gwarantowane! Sam wychowywał się w takich warunkach i tylko one potrafiły z człowieka zrobić prawdziwego mężczyznę.

Równie często docierały do moich uszu określone sugestie – fizycznie niemożliwe do wykonania dla wszystkich, prócz ściśle określonego gatunku robaków – wraz z krzykami ludzi, kierującymi błagalne jęki pod adresem Jednookiego, Goblina, czy nawet Tobo, aby zatkali Łabędziowi usta kneblem z murarskiej zaprawy.

– Dobrze się bawisz? – zapytałam go.

– O, tak. A ciebie przynajmniej nikt za nic nie obwinia.

Z jego chłopięcego uśmiechu łatwo wywnioskowałam, że bynajmniej nie bawi się w żadnego niepożądanego bohatera. Ze mną również grał w swoje gierki.

Wszyscy ludzie z Północy dysponowali chyba tą umiejętnością. Nawet Kapitan i Pani czasami zachowywali się tak wobec siebie. A Jednooki i Goblin... może rzeczywiście atak, jaki poraził małego czarnego czarodzieja, został zesłany przez bogów. Nie potrafiłam sobie wręcz wyobrazić, żeby któryś z tych dwóch w pełni sił zrezygnował z okazji równie wspaniałej jak ta.

Kiedy zasugerowałam coś w tym stylu Łabędziowi, początkowo nie potrafił zrozumieć, o co mi chodzi. Gdy wyjaśniłam, zauważył:

– Nie o to chodzi, Ospala. Wyjąwszy chwile, gdy są zalani w trupa, ci dwaj nie robią nic, co by zagrażało komukolwiek prócz nich samych. Ja patrzę na to z zewnątrz, ale już dwadzieścia lat temu zrozumiałem w czym rzecz. Jak ty mogłaś nie pojąć?

– Masz rację. Ja też o tym wiem. Po prostu na siłę szukam spraw, które mogą źle pójść. A kiedy przygotowuję się na najgorsze, opadają mnie ponure nastroje. Jak to możliwe, że ty jesteś tak wesoły?

– Przyczyna leży przed nami. Jeszcze dzień, najwyżej dwa i powiem „cześć!” moim starym kumplom, Kordkowi i Brzeszczotowi.

Zerknęłam na niego z ukosa. Czy to możliwe, że jako jedyny z nas bardziej cieszył się, niżli obawiał ewentualności wynikających z uwolnienia Uwięzionych? Wszyscy ci ludzie prócz jednego spędzili ostatnich piętnaście lat zamknięci w pułapkach własnych umysłów. A bynajmniej nie miałam pewności, czy Murgen przypadkiem nie dokładał wszelkich starań, aby wmówić nam pozory swej normalności. Pozostali zaś... pewna sprawa, że co najmniej kilku z nich wyjdzie na świat w stanie kompletnej, rozszalałej furii. Reszta mych towarzyszy również nie miała w tej kwestii szczególnych wątpliwości.

Nikomu obawy te nie dawały się we znaki bardziej niż Radiszy.

„Taddzik” był nieomal całkowicie niewidzialny po tej stronie Danda Presz. Chociaż Rzekołaz i Popłoch trzymali się blisko, księżna nie potrzebowała strażników, niewielkie miała też żądania. Skupiona na sobie, schowana za własnymi myślami. Im dalej znajdowaliśmy się od Taglios, im bliżej była swego brata, tym bardziej zatapiała się w sobie. W drodze, po opuszczeniu Gaju Zagłady, byłyśmy dla siebie nieomal jak siostry. Jednak po Dżajkurze wahadło zaczęło się wychylać w drugą stronę, a w ciągu tygodnia spędzonego po tej stronie gór nie zamieniłyśmy nawet stu słów. Nie byłam z tego zadowolona. Lubiłam jej towarzystwo, konwersacyjną zręczność i ostry dowcip.

Nawet Mistrzowi Santaraksicie ostatnimi czasy nie udawało się nawiązać z nią kontaktu, chociaż wcześniej naprawdę bawiła ją jego uczona afektacja. W ich rozmowach głupota jakiegoś argumentu potrafiła obnażyć się szybciej, aniżeli zręczny rzeźnik patroszy kure.

Rozmawiając z Wierzbą Łabędziem, wspomniałam o tym problemie.

– Założę się, że to nie myśli o bracie napawają ją lękiem. W każdym razie nie może chodzić głównie o niego. Przypuszczam, że martwi się brakiem możliwości powrotu. Gdy zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie jest to wycieczka w jedną stronę, wówczas ogarnęła ją czarna rozpacz.

– Hm?

– To chodzi o Radzadharmę. Dla niej to nie tylko poręczny slogan propagandowy, Ospala. Ona bierze rządzenie Taglios całkiem na poważnie. A ty kazałaś jej przez całe miesiące przemierzać kraj i oglądać, co Protektorka zrobiła z nim w jej imieniu. Musisz zrozumieć, że zdenerwowało ją, jak została wykorzystana. A jeszcze musi pogodzić się z tym, że przypuszczalnie nigdy nie będzie miała szansy nic w tej sprawie zmienić. To wcale nie tak trudno zrozumieć.

Tyle że on przebywał blisko niej przez trzydzieści lat.

– Wrócimy przecież.

– Och, jasne. Nawet jeśli spełni się ta jedna szansa na milion i naprawdę wrócimy, jak sądzisz, czyja armia będzie na nas czekać? Może wojska Duszołap?

– Jasne. Ale mówię ci, że zapomni o nas w ciągu sześciu miesięcy. Znajdzie sobie jakąś bardziej interesującą rozgrywkę.

– I ty powiadasz: „Woda śpi”? Czemu nie zastosować tego powiedzenia do Duszołap, Ospala? Nie znasz jej. Nikt jej nie zna... może Pani, choć i ona tylko odrobinę. Ale ja byłem z nią bliżej niżli ktokolwiek inny... przez jakiś czas. Nie był to w ścisłym słowa znaczeniu mój wybór, niemniej tak się stało. Próbowiałem przyglądać się jej uważnie, mniejsza już, co z tego miałem. Ona nie jest do końca nieludzka i nie jest również tak próżna ani beztroska, jak chciałaby, aby o niej myślano. Ostatecznie, kiedy myślisz o Duszołap, nie wolno ci zapominać o jednej istotnej kwestii. A mianowicie, że przetrwała w świecie, w którym najgroźniejszym jej wrogiem była Pani z Wieży. Pamiętaj, że przy Pani Władcy Cienia wyglądali w swoim czasie na niedouczonego rozrabiaków.

– Jesteś dzisiaj naprawdę męczący, co?

– Stwierdzam tylko fakty.

– Proszę bardzo, oto jeden z nich. Woda śpi. Kobieta, która niegdyś była Panią z Wieży, powróci do obiegu za kilka dni.

– Lepiej wypytaj Murgena, czy w ogóle będzie chciało się jej wstawać. Założę się, że tam, gdzie leży, nie jest nawet w połowie tak zimno. – Wicher

wiejący nad równiną zaczynał już kasać przeszywająco i nieustępliwie.

Nie powiedziałam, że przecież musi znać prawdę. Nawet gdyby nic nie pamiętał, to wszak własnoręcznie pomagał Duszołap zatargać Uwięzionych do jaskiń, w których spoczywali.

Na północnym niebie pojawiły się umęczone kruki, walczące z podmuchami wiatru. Mało już miały sobie do powiedzenia. Okrążyły nas kilkakrotnie, potem z wysiłkiem nabrały wysokości i na skrzydłach wichury pofrunęły do mamy. Niewiele będą jej mogły przekazać.

Natrafialiśmy na kolejne ciała, czasem po dwa, po trzy razem. Okazuje się, że spora liczba Uwięzionych w ogóle nie została pochwycona. Przypomniam sobie doniesienia Murgena, zgodnie z którymi po ucieczce Duszołap prawie połowie oddziału udało się wydostać na świat. I oto byli. Większości nie potrafiłam sobie przypomnieć. Pochodzili przede wszystkim z Taglios lub Dżajkuru, nie zaś ze Starej Gwardii, co dowodziło, że zaciągnęli się, kiedy na Północy załatwiałam sprawę zleconą mi przez Murgena.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie spoczął Sujen Din Djuk, osobisty strażnik Niueng Bao przydzielony Cebrowi. Ciało Djuka zostało starannie przygotowane do ceremonialnego pożegnania. To, że Ceber przystanął pośrodku tej całej grozy, aby uczcić jednego z najcichszych i najbardziej niepozornych towarzyszy Niueng Bao, wiele mówiło na temat charakteru mego przybranego ojca – oraz samego Djuka. Ceber zrezygnował z ochrony. Nie chciał osobistego strażnika. A Sujen Din Djuk nie chciał go opuścić. Czuł, że zmusza go do pozostania siła potężniejsza od woli Cebr. Przypuszczam, że kiedy nikt nie patrzył, zachowywali się wobec siebie jak przyjaciele.

Do oczu napłynęły mi łzy, których nie musiałam ocierać, kiedy znaleźliśmy samego Cebr.

Wierzba Łabędź i Sjuwrin próbowali mnie pocieszać. Obaj nie bardzo sobie z tym radzili, nie wiedząc do końca, czy wolno im mnie przytulić. Z pewnością nie zareagowałabym, ale nie miałam pojęcia, jak przekazać im to bez słów. Słowa wprawiłyby mnie w zbyt wielkie zmieszanie.

W końcu, kiedy wszyscy Niueng Bao zebrali się, oddając cześć jednemu ze swoich, Sahra podeszła, by mnie pocieszyć.

Łabędź zaczął coś burczeć. Biały kruk wylądował mu na lewym ramieniu i zaczął skubać jego ucho. Jednym okiem mierzył ciało zmarłego,

drugim resztę z nas.

– Twój przyjaciel był widać całkowicie przekonany, że ktoś kiedyś jeszcze pójdzie tą drogą, kronikarzu – zauważył Wujek Dodż. – Zostawił ciało Djuka ułożone w sposób, który nazywamy: „Z Szacunkiem dla Cierpliwego Spoczynku”, jak to zawsze czynimy, kiedy właściwy pogrzeb z różnych względów musi się odwlec. Ani bogowie, ani diabły nie nękają zmarłego, który spoczywa w takiej pozycji.

Siąknęłam nosem.

– Woda śpi, Wujku. Ceber wierzył. Wiedział, że wrócimy.

Wiara Cebra była z pewnością silniejsza od mojej. Moja ledwie wyszła obronną ręką z wojen kiauluńskich. Bez niegasnącego pragnienia Sahry, aby wskrzesić Murgena, nie przetrwałabym czasów rozpacz. Nie stałabym się na tyle silna, by wytrwać, kiedy Sahrę z kolei opadały wątpliwości.

A teraz byliśmy już tutaj, nie mogąc pójść już nigdzie indziej jak tylko przed siebie. Otarłam oczy.

– Nie mamy czasu, żeby tak stać tutaj i gadać. Nasze zapasy są na wyczerpaniu. Załadujmy go więc...

Dodż wszedł mi w słowo.

– Wolelibyśmy zostawić go tak jak jest, w miejscu gdzie spoczywa, póki nie będzie czasu na odprawienie stosownych ceremonii.

– A te miałyby polegać...

– Co?

– Od czasu oblężenia Dżajkuru nieczęsto bywałam świadkiem zgonów Niueng Bao. Twój lud dobrze sobie radzi z omijaniem śmierci. Niemniej widziałam pogrzeby kilku ludzi z twego plemienia i ich odejściu nie towarzyszył żaden szczególny rytuał. Jednych palono na stosach, jakby należeli do Gunni. Innych grzebano w ziemi, podle obyczaju Vedna. Widziałam nawet zwłoki namaszczone paskudnie pachnącymi olejkami, a potem zawinięte niczym mumia i zawieszane głową w dół na gałęzi.

Dodż powiedział:

– Każdy pogrzeb z pewnością był dostosowany do osoby i sytuacji. To, co czyni się z ciałem, nie jest najważniejsze. Ceremonie są po to, aby ułatwić przejście duszy do jej nowego stadium istnienia. I to one są decydujące. Jeśli się ich zaniedba, dusza zmarłego może w nieskończoność błąkać się po świecie.

– Jako duch? Czy spacerujący po snach?

Dodż zdawał się zaskoczony.

– Hę? Duch? Jako nieznająca ukojenia dusza, która pragnie dokończyć dzieła przerwanej przez śmierć. A ponieważ jest to niemożliwe, po prostu wędruje przed siebie.

Chociaż wedle Vedna duchami zostają niegodziwe dusze skazane na błąkanie się po świecie przez Boga we Własnej Osobie, nie miałam kłopotów ze zrozumieniem, o co chodzi Dodżowi.

– A więc zostawimy go tutaj. Chcesz postać obok niego? Aby upewnić się, że nic mu się nie stanie podczas przemarszu kolumny? – Ceber ułożył Djuka na samym skraju drogi, aby jego spokoju nie zakłócili przerażeni uciekinierzy idący za nim.

– W jaki sposób zginął? – zapytał Łabędź. Potem jęknął, zaskoczony. Biały kruk znowu uszczypnął go w ucho.

Wszyscy odwrócili się, aby nań spojrzeć.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

– Pomyśl. Skoro cień dostał Djuka, warstwa ochronna musiała być w tym miejscu dezaktywowana, jak więc ktoś mógł ułożyć jego ciało w stosownej pozycji? Racja? A więc umarł w jakiś inny sposób, nim... – W jego głowie jakby otwierały się kolejne klapki.

– Duszka to zrobiła! – zakrakał kruk. Głos był skrzekliwy, ale słowa wyraźnie rozumiałe. – Kra! Kra! Duszka to zrobiła!

Niueng Bao zaczęli napierać na Łabędzia.

– Duszołap to zrobiła – przypomniałam im. – Prawdopodobnie za pomocą magicznej miny-pułapki. Zanim Djuk dotarł do tego miejsca, ona była już piętnaście kilometrów dalej. Pamiętajcie, że jechała na koniu. Z tego co pamiętam Djuka, przypuszczalnie zobaczył, jak Ceber wchodzi w pułapkę, i zagroził mu drogę.

– Protektorka nie byłaby w stanie zastawić żadnej magicznej miny-pułapki, gdyby nie została uwolniona. – Gota wskazała na oczywisty fakt. Jej tagliański zniecka zrobił się najlepszy, jaki kiedykolwiek w jej ustach słyszałam. Ogień płonący w oczach jednoznacznie świadczył, że chciała być dobrze rozumiana.

– Sujen Din Djuk i mój ojciec byli kuzynami w drugim stopniu – wyszeptała Sahra.

– Już raz przez to przechodziliśmy, ludzie. Nie możemy oczyścić z winy Wierzy Łabędzia, ale możemy mu wybaczyć, uwzględniając okoliczności

jego zbrodni – odezwałam się. – Czy ktokolwiek z was naprawdę myśli, że poradziłyby sobie, stając twarzą w twarz z Protektorką? Nikt? Ale niektórzy z was w głębi serca tak uważają. – Kilku Niueng Bao straciło gdzieś swą arogancję. – Macie możliwość się sprawdzić. Wracajcie i spróbujcie dowieść własnej wartości. Brama Cienia was wypuści. Duszołap z pewnością nie mogła odejść daleko. Utyka. Szybko ją dogonicie. O cóż więcej można prosić? – Urwałam. – Co? Nie ma chętnych? Wobec tego zejdzcie z Łabędzia.

Biały kruk zakrakał szyderczo.

Zobaczyłam kilka pełnych namysłu, pozbawionych wyrazu twarzy, jednak Goty wśród nich nie było. Gota w całym swoim życiu nie pomyliła się ani razu – wyjąwszy ten jeden, kiedy sądziła, że się myli.

Łabędź postanowił zostawić sprawę własnemu biegowi. Robił tak już od wielu lat. Uczył się u najsurowszej nauczycielki. Wreszcie stwierdził:

– Tak jak powiedziałaś, musimy brnąć naprzód, Ospala. Aczkolwiek sądzę, że tkwiący w nas mięsożercy mogą zacząć brać górę nad wegetarianami, kiedy tym skończą się zgrabne historyjki.

– Weź Klucz, Tobo. Dzięki, Sahra.

Sahra odwróciła się.

– Matko, zostań z Tobo. Nie pozwól mu iść szybciej, niż sama jesteś w stanie.

Ki Gota, odwracając się od nas, mruzczała coś jeszcze pod nosem. Poszła jednak w ślad za Tobo. Kiedy się spieszyła, jej kołyszący się chód potrafił wprowadzić w błąd. Dogoniła chłopaka, schwyciła za koszulę. I tak poszli razem, a jej usta nawet na chwilę się nie zamykały. Chociaż z natury nie jestem hazardzistką, założyłabym się, że wściekała się na żalonych śmiertelników, jakimi wszyscy byliśmy w jej oczach.

– Ki Gota najwyraźniej doszła już do siebie – zauważyłam.

Żaden z Niueng Bao nie znalazł powodów, aby świętować tę okoliczność.

Półtora kilometra dalej dotarliśmy do jedynych zwierzęcych szczątków, jakie pozostały po wcześniejszej ekspedycji. Kości i pasma wyschniętego mięsa zwalone na stos, tak splątane, że nie sposób było orzec, od ilu zwierząt pochodziły i czy zostały zebrane razem jeszcze za ich życia, czy dopiero po śmierci. Całe to ponure kłębowisko zdawało się powoli zapadać

pod powierzchnię równiny. Za następne dziesięć lat nie zostanie po nim śladu.

Ohydni wędrowcy po krainie snów powrócili po zmierzchu. Dzisiaj wkładali w swoje wysiłki znacznie więcej przekonania. Powrócił również deszcz. Był intensywniejszy, a nadto towarzyszyły mu błyskawice i grzmoty, utrudniające zaśnięcie. Podobnie jak zimna deszczówka. Wszystkie te zjawiska zdawały się kumulować z dziwną determinacją na kręgu, w którym akurat obozowaliśmy. Jego powierzchnia wcale nie była nachylona, jednak wydawało się, że woda wpada do niecki. Zwierzęta napiły się do woli. Żołnierze z mego oddziału również. Popłoch i Rzekołaż każdemu mówili, aby zadbał o napełnienie worków na wodę i manierek. Kiedy wreszcie ktoś na głos począł błogosławić nasz szczęśliwy los, zaczął padać śnieg.

Udało mi się trochę przespać, ale nie miałam miłych snów. W świecie duchów panowało niesamowite zamieszanie i część z niego przesączała się w moje mary. Potem córka Iqbała doszła do wniosku, że świetnym pomysłem może się okazać przepłakanie całej nocy. Przez jej płacz zaczął wyc pies. A może było na odwrót.

Cienie roiły się na tarczy naszej osłony. Wywoływałyśmy w nich o wiele większe zainteresowanie niżli intruzi z wyprawy Murgena. Sam mnie o tym powiadomił.

Cienie pamiętały wieki dawno już minione. Docierały do mnie strzępki ich snów.

Lub raczej koszmarów. Wszystko, co potrafiły sobie przypomnieć, to okropności z czasów, gdy ludzie podobni jak dwie krople wody do Niueng Bao całymi grupami zamęczali je na śmierć, podczas gdy wielcy i mali czarownicy nekali oszalałe dusze, które, kiedy nadchodził czas porzucenia ciała, były już tak przepełnione nienawiścią wobec wszystkich istot żywych, że nawet stworzenia tyleż nieznaczące co karaluch wzbudzały w nich natychmiastową, zacieklą żądzę mordy. Niektóre cienie, mające już

wcześniej we krwi drapieżność i zło, stały się tak niegodziwe, że atakowały i pożerały nawet inne cienie.

Ofiary tego procederu szły w miliony. A jedynym usprawiedliwieniem odpowiedzialnych za niego był fakt, że stworzyli te potwory posługując się jeńcami najeźdźców, niekończącymi się falami napływających ze świata, w którym szalony król-czarownik osiągnął pozycję niemalże boską, a potem postanowił podporządkować sobie bez reszty wszystkie pozostałe szesnaście światów.

Zanim cienie położyły kres temu napływowi, równinę zasłały dziesiątki tysięcy ciał. Liczne monstra uciekły do sąsiednich światów. Wszędzie, gdzie się znalazły, szerzyły terror i zniszczenie, póki bram nie zmodyfikowano w taki sposób, aby uniemożliwić ich przejście. Równina opustoszała na wieki. Potem przyszła epoka, gdy bez większego entuzjazmu wznowiono wymianę handlową, póki jakiś geniusz nie opracował barier ochronnych, osłaniających obecnie drogi i kręgi.

Cienie widziały wszystko. Nic nie zapominały. Widziały i pamiętały misjonarzy Kiny, którzy uciekli z mojego świata w momencie największej furii Radrejnika. W każdym ze światów, do którego zdołali dotrzeć, zawsze znalazło się paru gotowych nadstawić ucha na mroczną pieśń bogini, byli wśród nich nawet synowie twórców cieni.

Trudno przypuszczać, by w obliczu takich ograniczeń i niebezpieczeństw handel był szczególnie prężny. Trzeba było naprawdę stanowczych ludzi, aby brać na siebie ryzyko pokonania równiny. Szczyt wymiany przypadał na czasy, gdy ze świata, który my znaleźmy pod nazwą Khatovaru, wyruszyły kolejne ekspedycje, aby zdecydować, który ze światów najlepiej nadaje się na gospodarza kosmicznego obrządku, nazwanego Rokiem Czaszek.

Wyznawcy Kiny z innych światów przyłączyli się do tych poszukiwań. Kompanie maszerowały i wracały. Nie sposób było zaprowadzić zgody w szeregach wiernych. Osiągnięto w istocie bardzo niewiele. Na koniec jednak wypracowano ugodę. Poświęcony powinien zostać przede wszystkim świat, który w tak odrażający sposób potraktował Dzieci Kiny. Potomkowie Radrejnika zbiorą plony tego, co on zasiał.

Wysłane kompanie bynajmniej nie składały się z rzesz fanatyków. Równina była niebezpieczna. Niewielu ludzi miało ochotę na podróż przez nią. Większość żołnierzy rekrutowała się więc z przymusowego poboru

albo z szeregów drobnych przestępców pod dowództwem nielicznych fanatycznych kapłanów. Nie oczekiwano ich powrotu. Rodziny wyruszających odprawiały ceremonie pogrzebowe, zanim ich synowie, zwani Kościanymi Wojownikami albo Kamiennymi Żołnierzami, dali choć jeden krok na równinie – mimo iż kapłani obiecywali każdorazowo, że ich nieobecność nie potrwa dłużej niż kilka miesięcy.

Nieliczni, którzy powrócili, docierali do domów zazwyczaj w stanie całkowitego wyczerpania, tak odmienieni, zgorzkniali i nieprzystępni, że otrzymywali miano Żołnierzy Ciemności.

Nigdzie tam, gdzie zapuściła korzenie, religia Kiny nie zdobyła sobie ogromnych rzesz wyznawców. Zawsze liczona w poczet mniejszości, wraz z przemijającymi pokoleniami traciła nawet tę siłę, jaką cieszyła się pierwotnie, ponieważ jej dawna żarliwość gasła w nieuniknionej urzędniczej rutynie. Jeden świat po drugim odwracał się od Kiny i od ambicji związanych z równiną. Nastaly Mroczne Czasy. Bramy rozpadały się jedna po drugiej i nikt ich nie naprawiał. Z tych, które spotkał inny los, i tak nikt nie korzystał. Światy starzały się, wyczerpane, zmęczone, rozpaczliwie poszukiwały dróg do odrodzenia. Niewykluczone, że przodkowie Niueng Bao byli ostatnim wielkim oddziałem, który przeszedł z jednego świata do drugiego. Nadto w jego skład weszli czciciele Kiny uciekający przed prześladowaniami, jakie nastąpiły w czasach, gdy większość ludów ich świata opanowała szaleńcza wręcz ksenofobia i z determinacją wzięły się do eksterminacji wszelkich obcych wpływów. Przodkowie Niueng Bao, Dzieci Zmarłych, przysięgali powrócić do swej Krainy Nierozpoznanych Cieni w glorii zwycięstwa. Jednak skoro ich potomkowie poczuli się bezpieczni po drugiej stronie równiny, szybko zapomnieli, rzecz jasna, kim są i po co przybyli. Tylko garstka kapłanów pamiętała – i to w wersji nie do końca poprawnej – historię własnego ludu.

Cichy głos ledwo przedostał się do mojej świadomości.

„Siostró, siostró” – powiedział. Nie zobaczyłam nic, poczułam tylko pierzasty dotyk. Ale to wystarczyło, aby dusza ma skrzyła się, sprężyła i przeskoczyła w zupełnie inne miejsce, w którym, kiedy mój duch nabrał wreszcie oddechu, nozdrza wypełnił zaraz smród rozkładających się ciał. Stałam pośrodku morza kości. Jego powierzchnia poruszała się w rytm jakichś niepoznanych pływów.

Coś się stało z moimi oczami. Pole widzenia było zniekształcone, a obecne w nim przedmioty – rozdwojone. Uniosłam dłoń, by przetrzeć powieki... i zobaczyłam białe lotki.

Nie! Niemożliwe! Przecież nie mogę podążyć za Murgenem jego ścieżką. Nie mogę pozwolić, by zerwały się więzi kotwiczące mnie w moim czasie. Wcale tego nie chciałam! Chciałam tylko...

„Kra!” – Ale dźwięk ten nie dochodził z mojego dzioba.

Przed moimi oczami przemknęła czarna sylwetka, rozłożyła skrzydła, zaczęła zwalniać. Szpony sięgnęły w moją stronę.

Odwróciłam się gwałtownie, sfrunęłam z martwej gałęzi, na której siedziałam przed momentem. I natychmiast tego pożałowałam.

Znalazłam się w odległości paru metrów od oblicza szerokiego na półtora metra. Miała więcej kłów niżli rekin zębów. Była bardziej mroczna niż środek nocy. Jej oddech niósł ze sobą smród rozkładającego się ciała.

Udało mi się jakoś umknąć przed machnięciem gigantycznej, szponiastej dłoni, a triumfalny uśmiech zamarł na potwornych hebanowych wargach. I wtedy ja, Ospała, znalazłam się na skraju przerażenia, od którego naprawdę można zmoczyć się w spodnie – jednak prócz mnie i mojego strachu w kuku było coś jeszcze. I to coś świetnie się bawiło.

„Siostró, siostró, tym razem było blisko. Ta suka robi się coraz bardziej chytra. Ale mnie nie zaskoczy. Nie jest w stanie. Ani nigdy nie zrozumie, dlaczego nie jest”.

Do kogo odnosi się „mnie”?

Ćwiczenie dobiegło końca. Znowu znajdowałam się we własnym ciele na równinie, deszcz padał mi na głowę, wstrząsały mną dreszcze. Równocześnie oczyma duszy obserwowałam igraszki spacerujących w krainie snów. Przez chwilę układałam sobie w głowie to, czego doświadczyłam, dochodząc ostatecznie do wniosku, iż celem było przekazanie mi wiadomości: Kina wiedziała, że nadchodzimy. Śniąca bogini tylko markowała spokój przez ostatnie dziesięciolecia. Cierpliwość znała przecież od podszewki. Poza tym, być może, przekazano mi też inną wiadomość.

Kina dalej jest Matką Oszustów. Niewykluczone, że nic z tego, o czym dowiedziałam się ostatnio, nie było w całości lub choćby po części prawdą. Jeśli tylko Kina znalazła sposób na wniknięcie w ocienione ścieżki moich myśli. Nie wątpiłam, że potrafi. Przed nastaniem Starej Gwardii udało się

jej zainfekować całe pokolenia i całe kraje historycznym strachem przed Czarną Kompanią.

Gotowam przysiąc, że wyczułam jej rozbawienie, gdy zdała sobie sprawę, że zasiała we mnie ziarno głębszej i trwalszej nieufności wobec tego, co mnie otacza.

Sjuwrin obudził mnie wcześniej. Głos miał ponury. W ciemnościach nie potrafiłam dojrzeć jego twarzy.

– Kłopoty, Ospała – wyszeptał. I musiałam przyznać mu rację. Pierwszy zdał sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogą pociągnąć za sobą opady śniegu. Z drugiej jednak strony, widział dużo więcej tego białego świństwa aniżeli którekolwiek z nas, prócz Łabędzia. A i Wierzba przebywał z dala od stron, gdzie padał śnieg, dostatecznie długo, aby zdążyć się zestarzeć.

Chciało mi się jęczeć i zawodzić, ale zdałoby się to przecież na nic, a sytuację trzeba było opanować natychmiast.

– Dobrze kombinujesz – pochwaliłam go. – Dzięki. Obejdz wszystkich w tę stronę i obudź sierżantów. Ja pójdę w drugą. – Mimo dręczących koszmarów czułam się wypoczęta.

Obecność tarczy chroniącej obozowisko nie miała najmniejszego wpływu na padający śnieg. A to znaczyło, że granice bezpiecznego obszaru przestały być widoczne. Wśród cieni wyczuwałam narastającą żądzę mordy. Już wcześniej miały okazję być świadkami czegoś takiego. Jeśli wszyscy zaczną nerwowo biegać dookoła, znaczy, że zbliża się czas przekąski.

Po naszej stronie mieliśmy Goblina i Jednookiego. I jeszcze Tobo. Powinni być w stanie wytyczyć linię, po której przebiega granica.

Ale do wykonania swej roboty potrzebowali choć promyka światła.

Osobiście upewniałam się, że wszyscy zostali obudzeni i że zdawali sobie sprawę z groźby sytuacji, zwłaszcza matki. Zadbłam, by do wszystkich dotarło, że przed nadejściem świtu nikomu nie wolno ruszyć się z miejsca.

Dziw nad dziwy, nikt nie zrobił nic głupiego. Kiedy światła było już dość, czarodzieje zaczęli kreślić linie na śniegu.

Wyznaczyłam drużyny, które miały wytyczyć dodatkowo granice bezpiecznej przestrzeni.

Wszystko szło tak dobrze, że kiedy nadszedł czas ruszać, poczułam przepełniającą mnie pychę. Wtedy przekonałam się, że dzień zapowiada się długi – z czego oczywiście powinnam wcześniej, choćby tylko instynktownie, zdawać sobie sprawę.

Następny etap podróży Uwięzionym zabrał tylko kilka godzin. Nam zabierze dużo więcej. Zniszczona forteca zniknęła w tumanach padającego śniegu. Ci bardzo starzy ludzie będą musieli dokładnie oznaczać kierunek każdego następnego kroku, wędrując po obu stronach Tobo niosącego Klucz i uważając, aby nie wysforować się przed niego. Na wszelki wypadek.

Pierwsze pół kilometra przebyliśmy w tempie, które rokowało niezbyt dobrze. Mieliśmy zbyt wiele gąb do wykarmienia i zbyt skąpe zapasy. Żywność była już surowo racjonowana. Ludzi należało przeprowadzić jak najszybciej na drugą stronę równiny, wybrawszy wpierw mniej liczny oddział, który zajmie się uwolnieniem Uwięzionych.

– Sytuacja powoli wymyka się spod kontroli! – krzyknął Goblin. – Jeśli zrobi się gorzej, to wylądujemy w strumyku gówna.

Miał rację. Jeśli śnieg przejdzie w zadymkę, możliwe, że nie będziemy musieli martwić się już niczym. Gdy pogoda pogorszy się bardziej, pomrzemy tu wszyscy, czyniąc Duszołap najszcześniejszą dziewczynką na świecie.

Którą i tak zapewne już była, mając dość czasu, by pojąć, że w tej chwili nikt jej nie przeszkodzi i może ulegać wszystkim zachciankom, jakie jej przyjdą do głowy. Woda śpi? Co z tego. Te dni minęły.

Nie minęły, przynajmniej dopóki mam jeszcze siłę utrzymać się na nogach.

Łabędź przyłączył się do mnie przy śniadaniu.

– Jak samopoczucie mojej żonki dziś rano?

– Dominuje w nim oziębłość. – Cholera! Ledwie otworzę usta, a już wychodzą ze mnie stajenne maniery.

Łabędź uśmiechnął się.

– Wiem o tym od lat. Ale czy to nie jest już coś? To więcej niż mały kroczek naprzód.

– To faktycznie już coś, w porządku. Niestety, nie kusi mnie używanie języka, którym mogłabym to opisać. Większość tych ludzi nigdy nie widziała śniegu. Patrz, czy nikt nie robi nic głupiego. Rzuć okiem na

Radiszę. Nie chcę, żeby coś jej się stało, ponieważ ktoś nie potrafi zrobić użytku z własnej głowy.

– Dobra. Śniłaś ostatniej nocy?

– Oczywiście, że tak. Udało mi się też spotkać z Kiną, praktycznie rzecz biorąc, twarzą w twarz.

– Na wschód od nas widziałem światła na drodze.

Udało mu się mnie zainteresować.

– Naprawdę?

– We śnie. To były tylko zwykłe błędne ogniki. Może jakieś wspomnienia równiny, albo co. Kiedy poszedłem zobaczyć, nic nie znalazłem.

– Z wiekiem robisz się coraz odważniejszy, nie?

– To wszystko stało się tak jakoś samo. Gdybym się zastanowił, nigdy bym tego nie zrobił.

– Chrapałam ostatniej nocy?

– Umocniłaś się na pozycji kobiecego mistrza wszech czasów. Jesteś już gotowa do konkurencji na wyższym poziomie.

– To musi mieć coś wspólnego ze snami.

Pojawiła się Sahra. Wyglądała skrajnie ponuro. To, co się działo, nie podobało jej się w najmniejszym stopniu – ani śnieg, ani sposób, w jaki próbowaliśmy z nim sobie poradzić. Jednak nie powiedziała słowa na ten temat. Rozumiała, że jest już trochę za późno, by robić z siebie zatroskaną mamusię. Niezależnie od tego, czy się to jej podoba, czy nie, to dzięki jej chłopakowi jakoś dawaliśmy sobie dotąd radę.

Jednooki przekuśtykał obok, posiłkując się laską, którą ktoś zrobił dla niego z bambusowej tuby pomniejszego miotacza. Nie miałam pojęcia, czy przypadkiem nie jest dalej uzbrojony. Ponieważ miało się do czynienia z Jednookim, podejrzania były jak najbardziej na miejscu.

– Nie dam rady przez cały czas, Dziewczynko – poinformował mnie. – Ale póki będę mógł, nie zrezygnuję.

– Pokaż Tobo, co należy robić, i niech zajmie twoje miejsce, kiedy tylko się nauczy. Gota poniesie kilof, a ty siadaj na konia. Z grzbietu będziesz doradzał im, co robić.

Stary pokiwał tylko głową, nawet nie chciało mu się wynajdywać powodu do kłótni, co wiele mówiło o jego osłabieniu. Goblin jednak

spojrzał na mnie wilkiem, zakładając z góry, że na niego spadnie większość roboty. Ale tylko wzruszył ramionami, tłumiąc pokusę dyskusji.

– Tobo, stój. Zdajesz sobie sprawę, co nas dzisiaj czeka?

– Tak, Ospała.

– A więc oddaj Klucz swojej babce. Gdzie jest ten mój koński kumpel? Dawać go tutaj. Podсадźcie Jednookiego. – Zauważyłam, że biały kruk zrezygnował ze swego miejsca na grzbiecie rumaka. W istocie, ptaka nie było nigdzie widać. – Hop, staruszk.

– Kogo nazywasz starym, Dziewczyńko? – Jednooki znalazł się równie wysoko jak przedtem jego głowa.

– Ciebie, bo zestarzałeś się tak, że jesteś już niższy ode mnie. Dawaj tu swój zadek. Naprawdę chcę jeszcze dzisiaj dotrzeć na miejsce. – Skarciłam Goblina twardym spojrzeniem, na wypadek gdyby jednak przyszło mu do głowy wkładać kij w szprychy. Odpowiedział pozbawionym wyrazu spojrzeniem. A może tylko przepełnionym arogancją?

Zepsuty ze mnie szczeniak. Wszystko musi iść po mojej myśli. Mniej więcej koło południa w lekko sypiącym śniegu zamajaczył przed nami niewyraźny zarys fortecy. Kiedy tylko Tobo załapał sposób wyznaczania granic drogi dostatecznie biegle, by nadążyć za Goblinem, oddział ruszył naprzód w tempie ograniczonym wyłącznie krokami Matki Goty. A ją najwyraźniej gnał niepoohamowany pęd, każący mknąć ku przeznaczeniu, jakie zawsze odnajdywał w sobie ten, który akurat niósł Klucz.

Mój wrodzony pesymizm nie potrafił znaleźć pożywki dla siebie. Gdyby chłopcy Iqbala nie odkryli przyjemności zabawy w śnieżki, w ogóle nie miałabym na co się skarżyć. A i to tylko by mnie rozbawiło, gdyby kilka chybionych pocisków nie pomknęło w moją stronę.

Dotarliśmy wreszcie do wspomianej przez Murgena rozpadliny – rozdarcia w powierzchni równiny, za które odpowiedzialna musiała być niewyobrazalna potęga. Skutki trzęsienia ziemi, które to sprawiło, odczuwano w samym Taglios. Po tej stronie Danda Presz zrównało z ziemią całe miasta. Zastanawiałam się, czy podobne zniszczenia przyniosło innym światom połączonym z równiną.

Zastanawiałam się też, czy trzęsienie wywołały przyczyny naturalne. A może zostało spowodowane przedwczesnymi próbami Kiny otworzenia oczu i obudzenia się ze snu?

– Łabędź! Wierzba Łabędź! Dawaj tutaj.

Matka Gota zatrzymała się na krawędzi rozpadliny tylko dlatego, że nie potrafiła iść dalej. Reszta tłoczyła się ciasno za plecami idących w szpicy, każdy bowiem chciał popatrzeć.

– Rozstąpcie się, ludzie! – warknęłam. – Rozstąpcie. Dajcie przejść człowiekowi. – Zapatrzyłam się na zrujnowaną fortecę. Ruina to zapewne zbyt mocne słowo, niemniej budowla znajdowała się w stanie postępującego rozpadu, którego już nie sposób określić pojęciem zaniedbania. Podejrzywałam, że gdyby pierwotnie stacjonujący w niej garnizon golemów przebywał wciąż gdzieś w pobliżu, stan budowli byłby doskonały i nawet w tej chwili można by dostrzec całą załogę na zewnątrz, pilnie otrzepującą łaty śniegu przywarłe do wszystkich nierówności murów.

– Musisz się w końcu zdecydować, kochanie. Albo chcesz, żebym opiekował się Radiszą, albo... – zaczął narzekać Łabędź.

– Dobra, przestań. Nie mam czasu. Jest mi zimno, jestem wściekła i chcę, żeby to się wreszcie skończyło. Przyjrzyj się tej szczelinie. Jest taka sama jak wcześniej? Mimo iż wciąż wywiera spore wrażenie, nawet w połowie nie jest tak szeroka, jak wywnioskowałam z opowieści Murgena. Każdy, prócz może tylko niemowlęcia Iqbała, jest w stanie ją przekroczyć.

Łabędź przyjrzał się rozpadlinie.

Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że jej krawędzie są nieostre. Kamień wydawał się w tych miejscach zmiękczony i półpłynny niczym toffi.

– Nie. Była zupełnie inna. Wychodzi na to, że powoli się goi. Nawet w ćwierci nie jest tak szeroka, jak była. Założę się, że następne pokolenia nie zauważą nawet blizny.

– A więc równina potrafi jednak sama leczyć swoje uszkodzenia. Ale nie działa na rzeczy, które przydano jej później. – Gestem wskazałam fortecę. – Wyjątkiem są znowu zakłęcia chroniące drogi.

– Najwyraźniej.

– Zacznijmy więc przechodzić. Łabędź, trzymaj się z Tobo i Gotą. Nikt inny nie wie, dokąd pójść dalej. A, tutaj jesteś – zareagowałam na niecierpliwe „kra!” ponad głowami. Jeśli przekrzywiłam nieco głowę i przymrużyłam oczy, mogłam dostrzec białego kruka przycupniętego na blankach. Patrzył w naszą stronę.

Nie przestając mamrotać wciąż pod nosem, aczkolwiek teraz już raczej dobroduszenie, Łabędź przeszedł przez szczelinę, poślizgnął się, upadł,

podparł dłonią i powstał, wyrzucając z siebie stek zupełnie nieprawdopodobnych północnych inwektyw. Ludzie zaśmiali się jak jeden mąż.

Wezwałam Popłocha i Rzekołąza.

– Chcę, żebyście wymyślili, jak przeprowadzić zwierzęta i wozy. Jeśli trzeba, zapędźcie też Sjuwrina do roboty. Twierdzi, że ma trochę saperskiego doświadczenia. I nie przestawajcie wszystkim powtarzać, że jeśli dalej zachowają spokój i będą ze sobą współpracować, dzisiejszą noc prześpimy w ciepłym i suchym miejscu. – Dobra, może tylko suchym. Ciepło to już byłoby chyba zbyt wiele szczęścia.

Wujek Dodż i Tobo pomogli Matce Gocie przekroczyć szczelinę. Sahra poszła w ślad za nimi. A potem kilku następnych Niueng Bao. Zmienacka w jednym miejscu zebrało się strasznie dużo Niueng Bao. Moja paranoja zaczęła wiercić się niespokojnie i mrużyć podejrzliwie oczy.

– Goblin, Jednooki, chodźcie tu. Wcześniak? Gdzie jesteś? Chodź z nami – zarządziłam. – Na Wcześniaka mogłam liczyć. Kiedy wskażę dłonią i powiem: „Zabij!”, okaże się równie szybki i pozbawiony moralnych rozterek, co trzymana w dłoni włócznia.

Wujek Dodż nie przegapił moich działań, a musiał zdawać sobie sprawę, że nawet teraz ufam mu jedynie częściowo. Wydawał się równocześnie zirytowany i rozbawiony.

– Nie ma tu nic, co mogłoby zainteresować moich ludzi, kronikarzu. Wszystko, żeby ułatwić robotę Tobo – powiedział.

– To pięknie. To pięknie. Nie chciałabym wystawiać przyszłości Kompanii na najmniejsze nawet ryzyko.

Dodż zmarszczył czoło, rozczarowany moim sarkazmem.

– Nadal jeszcze nie zdobyłem twego serca, Kamienny Żołnierzu?

– A starałeś się? Wciąż zwracasz się do mnie dziwnymi imionami i ani razu nie wyjaśniłeś ich znaczenia.

– Wszystko się wkrótce wyjaśni. Obawiam się.

– Oczywiście. Kiedy tylko dotrzemy do Krainy Nierozpoznanych Cieni. Prawda? Lepiej módl się, żeby w twojej doktrynie nie było żadnych półprawd tudzież jawnych podstępów. „Wszelkie Zło Umiera Tam Niekończącą się Śmiercią”. To wciąż może okazać się prawdą.

Wujek odpowiedział mi złym spojrzeniem, ale poza tym nie wyglądał, jakby miał się złościć czy coś knuć.

– Łabędź, pokaż drogę – nakazałam.

Sądę, że dalej nie potrafię was już zaprowadzić – oznajmił Łabędź. Mówił, powoli cedząc słowa, jakby nie potrafiąc dojść do ładu z własnymi myślami. – Nie do końca to łapię. Rzeczy wypadają mi z pamięci. Wiem, że poprzednim razem dotarliśmy dalej niż do tego miejsca. Pamiętam wszystko, co wówczas robiliśmy. Kiedy jednak próbuję sobie przypomnieć coś konkretnego, natychmiast zapominam o wszystkim, co dzieliło pobyt tutaj i ucieczkę galopem przez równinę. Jakbym miał to w pamięci, ale tylko do chwili, gdy nie spróbuję sobie przypomnieć. Tyle pamiętam. Może Duszołap namieszała mi w głowie.

– To dopiero eufemizm wszech czasów – wymamrotał Goblin.

Łabędź nie zwrócił na niego uwagi.

– Tak naprawdę zjechaliśmy już z równiny i wtedy dopiero zrozumiałem, że inni nie jadą za nami – skarżył się dalej.

Nie byłam pewna, czy chcę mu wierzyć, teraz wszak nie miało to większego znaczenia. Odkaszlnęłam i zasugerowałam:

– A może spróbowałbyś zgadnąć na ślepo? Może twoja dusza pamięta to, czego nie przypomina sobie umysł?

– Najpierw musicie mi tu poświecić.

– I po co mam czarodziejów? – rzuciłam pytanie w mrok. – Z pewnością nie po to, by zniżali się do tak przyziemnych czynności jak oświetlenie drogi. Im to nie jest potrzebne. Widzą w ciemnościach.

Goblin mruknął coś niepoehlebnego o kobietach, które pozwalają sobie na sarkazm. Głośno zaś rzekł do Łabędzia:

– Siadaj tutaj i niech się przyjrzą twojej głowie.

– Mi pozwól! – rozdarł się w tej samej chwili Tobo. – Pozwól mi zrobić światło! To akurat potrafię. – Nawet nie czekał na pozwolenie. Żółte i srebrne iskierki biegały po jego uniesionych dłoniach, żywe i rącze. Otaczająca nas ciemność ustępowała, jakkolwiek niechętnie, jak zauważyłam.

– No, no! – powiedziałam. – Popatrzcie tylko na niego.

– Dysponuje siłą i entuzjazmem młodości – zgodził się Jednooki.

Zerknęłam przez ramię. Wciąż siedział na grzbiecie czarnego ogiera, z szyderym uśmiechem, także wyraźnie wyczerpany. Biały kruk przycupnął przed nim. Patrzył jednym okiem na Tobo, drugim zaś przyglądał się naszemu otoczeniu. Wyglądał na rozbawioną. Potem Jednooki też zaczął chichotać.

Tobo aż pisał z zaskoczenia.

– Czekaj! Stój! Goblin! Co się dzieje?

Robaczki światła wspinały się po jego rękach. Nie reagowały na coraz bardziej natarczywe rozkazy do odwrotu. Tobo nie wytrzymał i zaczął się otrzępywać. Jednooki i Goblin wybuchnęli gromkim śmiechem.

Tymczasem obu udało się zrobić coś, co przywróciło Łabędziowi jasność myśli. Wyglądał teraz jak człowiek, który właśnie przełknął wielki, zimny kufel wspomnień przywracających wiarę w siebie.

Sahra nie widziała nic śmiesznego w sytuacji, w której znalazł się Tobo. Wrzasnęła na czarodziejów, aby coś zrobili. Omalże nie wyszła z siebie, co wyraźnie zdradzało napięcie, w jakim żyła ostatnimi czasy.

– Nic mu nie grozi, Sahra. Po prostu na chwilę pozwolił sobie na utratę koncentracji – poinformował ją Dodż. – To się zdarza. To stanowi część nauki. – Musiał te lub podobne słowa powtarzać kilkakrotnie, zanim Sahra uspokoiła się wreszcie, a na jej twarz wypełził grymas wyzywający i wstydlivy równocześnie.

Goblin zwrócił się do Tobo.

– Minie trochę czasu, zanim z powrotem odzyskasz konieczny poziom koncentracji. – Za chwilę było już dosyć światła, żeby zobaczyć ściany ogromnej komnaty. Człowiek zręczny w jakiejś dziedzinie zawsze sprawia wrażenie, że wszystko przychodzi mu łatwo. Mały łysy czarodziej nie był wyjątkiem od tej reguły. – Pomóż Łabędziowi zachować jasność myśli – powiedział do Jednookiego.

Uznałam, że wewnątrz zapowiada przyjemną odmianę po noclegu w miejscu zdanym na kaprysy aury. Żałowałam tylko, że brak nam paliwa, by je porządnie ogrzać.

– Dokąd teraz? – zapytałam Łabędzia. Od jakiegoś czasu żałowałam w myślach, że nie złapałam Murgena podczas snu i nie zdobyłam od niego wiarygodnych wskazówek.

Biały kruk zakrakał i poderwał się w powietrze, siedzący na grzbiecie konia Jednooki kłął, ponieważ oberwał skrzydłami po twarzy.

Zaczynałam powoli rozumieć tego stwora.

– Niech ktoś zaobserwuje, dokąd on poleci. Czy któryś z czarowników-geniuszy nie mógłby posłać za nim odrobiny światła? – Tobo odzyskał już kontrolę nad swoimi ognikami i teraz działały jak należy, jednak pochłaniały całą jego uwagę. Miałam nadzieję, że wyrośnie z fazy „więcej-wiary-we-własne-siły-niż-rozumu”, zanim spowoduje jakąś naprawdę poważną katastrofę.

Wujek Dodż poszedł za krukiem krokiem pełnym godności. Uznałam, że powinnam przyłożyć się do sprawy inaczej niż tylko poprzez wykrzykiwanie rozkazów, toteż ruszyłam za nim. Kula zielonego światła, którego barwa z jakichś powodów kojarzyła mi się z trądem, nadpłynęła z tyłu nad moją głowę i rozgościła się w splątanej czuprynie. Skóra na głowie zaczęła mnie swędzieć. Niewykluczone, że Jednooki wyrażał w ten sposób swoją opinię na temat poziomu mojej higieny, którą faktycznie, przyznaję, zaniedbałam nieco ostatnimi czasy.

– To nauczysz mnie zdejmować mój cholerny hełm – jęknęłam, Ale nie chcąc dawać mu satysfakcji i patrzeć na pełen samozadowolenia bezzębny uśmieszek, nie obejrzałam się za siebie.

Tak naprawdę nigdy nie nosiłam hełmu. Niech Bóg broni, dopiero byłoby mi zimno. Na głowie miałam tylko skórzaną wyściółkę pod hełm, która ledwie ratowała moje uszy przed ukąszeniami mrozu. Zima była jedną z tych rzeczy, których grupa planowania nie przewidziała.

Przeszłam szybko obok Dodża, którego całkowicie zaskoczył widok moich włosów. Ale już po krótkiej chwili wyszczerzył się w uśmiechu tak szerokim, jakiego jeszcze u niego nie widziałam. Rzuciłam mu krwiożercze spojrzenie. Na nieszczęście, aby to zrobić, musiałam się odwrócić; wówczas przyłapałam Jednookiego oraz Goblina, jak wymieniali ukradkowe uśmieszki i przyklepywali dłonie. Nawet Sahra delikatnie odwróciła głowę, by skryć swe rozbawienie. W porządku. A więc zupełnie niespodziewanie stałam się księżniczką błaznów Kompanii, co? Zobaczymy. Ci dwaj jeszcze...

Nagle zdałam sobie sprawę, że w ten sposób zmusili mnie do zaakceptowania ich sposobu myślenia. Niedługo zacznę zastawiać na nich pułapki, żeby odpłacić im zawiązką.

Kruk zakrakał ochryple. Siedział już na zimnej kamiennej posadzce. Przechadzał się w tę i we w tę, nagle bez reszty zniecierpliwiony. Szpony cicho zgrzytały na kamieniach. Opadłam na kolana. Pozwolił podejść mi tak blisko, że niemal mogłam go dotknąć, a potem w podskokach oddalił się w ciemność.

Kiedy ludzie i zwierzęta weszli w ślad za nami do środka, wnieśli dodatkowe światła i mnóstwo hałasu. Każdy z nowo przybyłych chciał wiedzieć, co się dzieje.

Przykucnęłam i przytuliłam policzek do posadzki, a wtedy odległa poświata wydobyła z mroku sylwetkę kruka.

– Skądś tam dochodzi światło. Tędy Uwięzieni przedostali się do wewnętrznej fortecy – zwróciłam się do Dodża i położyłam na brzuchu. W ścianie kamienia łatwo było dostrzec szczelinę tak ciemną, że zdawała się niewidzialna nawet przy tym świetle, którym dysponowaliśmy. Nie potrafiłam dostrzec, co jest po drugiej stronie.

Dodż podszedł bliżej i też przytulił policzek do posadzki.

– Rzeczywiście.

– Potrzebujemy tutaj więcej światła – zawołałam. – I może jakieś narzędzia. Rzeką, niech ci ludzie złączą tu rozbijać coś w rodzaju obozu. I zastanówcie się, co można zrobić dla ochrony przed zimnem. – To będzie trudne. W zewnętrznych murach ziały liczne szczeliny.

Goblin i Jednooki przestali wreszcie śmiać się jak głupi do sera i ruszyli w moją stronę, przybierając miny zawodowców. Wzięli również ze sobą Tobo, trzymając się postanowienia, by uczyć go fachu bezpośrednio w działaniu i z pierwszej ręki.

Dysponując większą ilością światła, łatwiej mogłam dostrzec to, na co próbował zwrócić moją uwagę ptak – szczelinę, którą Duszołap zapieczętowała zaraz po rzuceniu swego podłego zaklęcia na Uwięzionych.

– Są tu jakieś zaklęcia albo magiczne miny-pułapki? – zapytałam.

– Dziewczynka jest geniuszem – mruknął Jednooki. Jego mowa stawała się powoli coraz bardziej bełkotliwa. Rozpaczliwie potrzebował odpoczynku. – Ptaszek przecież przeleciał przez nią i nie zmienił się w obłoczek dymu. Prawda? Coś stąd wynika?

– Żadnych zaklęć – powiedział Goblin. – Nie zwracaj na niego uwagi. Po prostu jest wściekły, bo od tygodnia nie mieli z Gotą ani odrobiny prywatności.

– Mam zamiar załatwić ci całą prywatność, jakiej będziesz potrzebował przez kilka eonów, karzełku. Mam zamiar wsadzić twoją pomarszczoną starą dupę...

– Dosyć! Zobaczmy, czy nie uda nam się powiększyć trochę tej dziury.

Po drugiej stronie kruk wydawał zniecierpliwione odgłosy. Szczelina musiała być powiązana z Uwięzionymi, nawet jeśli nie siedział w niej Murgen, działający z jakiegoś zapadłego kąta czasu. Na pewno wolałabym, żeby nie był to Murgen z przyszłości. Łatwy stąd bowiem wniosek, że rezultatu naszych obecnych wysiłków raczej nie sposób byłoby nazwać pomyslnym.

Narzekałam i warczałam. Przechadzałam się w tę i z powrotem, podczas gdy pół tuzina ludzi poszerzało dziurę, a każdy z nich pomstował na brak światła. W niewielkim stopniu przyczyniałam się do wsparcia ich wysiłków. Być może ta rzecz w moich włosach stanowiła powód komentarzy Goblina i Jednookiego na temat mojej błyskotliwości. Chociaż wątpiłam, by po ledwie dwustu latach potrafili rozwinąć u siebie dosyć bystrości i subtelności uzasadniającej takie komentarze.

Wokół mnie gromadził się coraz większy tłum.

– Rzeka – burknęłam – mówiłam przecież, żebyś znalazł tym ludziom jakieś zajęcie. Tobo, gdzie się pchasz. Chcesz, żeby głąz spadł ci na łeb?

Czyjś głos za moimi plecami zaproponował:

– Trzeba będzie lepiej poświecić i wtedy dopiero zdecydujemy, czy potrzebuje stemplowania.

Odwrociłam się.

– Wcześniak?

– Miałem górników w rodzinie.

– A więc jesteś kimś najbardziej zbliżonym do zawodowca z całej gromadki.

Jednooki wskazał kciukiem Goblina.

– Ten tu karzełek też ma doświadczenie saperskie. Pomagał podkopywać mury obronne Temberu. – Twarz rozciął mu paskudny uśmiech.

Goblin pisnął, jednoznacznie dając do zrozumienia, że „Tember” nie jest epizodem jego życia, który wspominałby miło. Nie potrafiłam przypomnieć sobie, abym natrafiła na wzmiankę o nim w Kronikach. Rozum podpowiadał więc, że wydarzenia te musiały mieć miejsce na długo

przedtem, nim Konował został kronikarzem, a to nastąpiło, kiedy był bardzo młody.

Dwaj bezpośredni poprzednicy Konowała, Młynarz Ladora i Kanuas Blizna, żywili taką niechęć do swych obowiązków, że o ich czasach niewiele wiadomo – prócz tego, co ich następcy zrekonstruowali na podstawie tradycji ustnej oraz ocalałych wspomnień. Właśnie w tym czasie Konował, Otto i Wypieracz zaciągnęli się do oddziału. Sam Konował niewiele miał do powiedzenia na temat tamtych czasów.

– Mam więc stąd wnosić, że nie powinnam święcie wierzyć w zdolności inżynieryjne Goblina?

Jednooki zakrakał niczym kruk.

– W roli inżyniera nasz mały kolega spisuje się niczym drwal. Gdzie idzie on, tam wszystko pada pokotem.

Warknięcie Goblina było niczym ostrzegawczy odgłos wydany przez gardło brytana.

– Rozumiesz, ten tutaj chudy, mały, łysogłowy geniusz sprzedał Staremu pomysł, że można wślizgnąć się do fortecy Temberu tunelem wydrążonym pod jego murami. Głębokim tunelem. Ponieważ ziemia jest miękka. To miało być łatwe. – Jednooki krztusił się; mówiąc te słowa, nie potrafił opanować śmiechu. – I miał rację. Cała sprawa rzeczywiście była łatwa. Kiedy jego tunel dotarł do murów, fragment ściany się zapadł. A pozostali wtargnęli do środka przez szczelinę i wycięli Temberian w pień.

– A jakieś pięć dni później ktoś przypomniał sobie wreszcie o górnikach – fuknął Goblin.

– A innemu ktosiowi dopisało cholerne szczęście, że miał tak dobrego przyjaciela jak ja, któremu chciało się kopać. Stary chciał zwyczajnie postawić nagrobek.

Goblin rozżłościł się jeszcze bardziej.

– Wcale tak nie było. A prawda jest taka, że tunel nigdy by się nie zawalił, gdyby ten dwunogi, przejrzały psi rzyg nie grał w jedną ze swoich głupich gier. Widzisz, prawie zapomniałem. Nigdy nie odpłaciłem ci za tanto. Nigdy nie powinieneś wyciągać tej sprawy, ty ludzka suszona śliwko. Cholera! Prawie ci się udało uciec i umrzeć, zanim ci odpłaciłem. Wiedziałem, że o nic dobrego ci nie chodzi. Ten atak miałeś celowo, co?

– Oczywiście, że tak, pomyleńcu. Skorzystam z każdej szansy, jaka się trafi, by umrzeć. Po to tylko, żebyś nie zgał mnie więcej w plecy. Chcesz

spróbować tego samego? Uratowałem twoją dupę, a ty do mnie w ten sposób? Nie masz głupca nad starego głupca. Proszę bardzo, zaczynaj, ty łyśa mała ropucho. Może w ciągu ostatnich paru lat zrobiłem się trochę wolniejszy, ale wciąż jestem o trzy kroki szybszy i dziesięć światła pochodni bardziej błyskotliwy niż jakiś biały jak robak...

– Chłopcy! – zachnęłam się. – Dzieci! Mamy robotę do wykonania. – Kiedy byli młodzi i mieli dość energii, żeby kłócić się przez cały czas, musieli doprowadzać całą Kompanię do szaleństwa. – Od tej chwili wymazaniu ulegają rejestry wszystkiego, co wydarzyło się przed moimi narodzinami. Chodzi tylko o to, żebyście otworzyli mi tę dziurę, a ja potem przejdę na drugą stronę i zobaczę, co robić dalej.

Dwaj czarodzieje nie przestali warczeć na siebie, mruzczyć pod nosem, grozić sobie nawzajem i podejmować drobnych prób sabotowania pracy drugiego, jednak ostatecznie zaprzęgli swe olbrzymie doświadczenie do poszerzania szczeliny.

Kiedy szczelina została poszerzona dość, aby można było przez nią przejść, rozpętał się krótki spór, kto ma skorzystać z niej pierwszy. Co do jednego zapanowała zgoda: „nie ja”. Ale kiedy wreszcie przykucnęłam, aby ruszyć pomiędzy cienie, w nadziei, że chociaż zdołam zobaczyć, co mnie pożera, na kilka sekund przed zatrzaśnięciem się szczęk, kilku panów wykazało się nagle szlachetnością i rycerskością. Podejrzewam, że nie bez znaczenia był fakt, iż dwu spośród nich, a mianowicie Łabędź i Sjuwrin, nie wywodziło się z szeregów Kompanii.

– Dobrze. Dobrze. Teraz sprawiacie, że wychodzimy na jakieś świnię – jęknął Goblin. – Zejdźcie mi z drogi, wszyscy. – Ruszył naprzód.

W sumie nawet nie musiał się schylać.

Ja natomiast pochyliłam odrobinę głowę, kiedy ruszyłam w ślad za nim.

Nie potrzebowałam nikogo, kto byłby szlachetny i rycerski i kto poszedłby tam przede mną.

– Nie ma Boga ponad Boga – wymruczałam. – Ogromne i Tajemne są Jego Dzieła. – Weszłam już na półtora metra w głąb i wpadłam na Goblina, który też się zatrzymał, aby popatrzeć. – Zakładam, że to jest ten golem-demon Sziwetja.

– Albo jego wstrętny młodszy braciszek.

Murgen nie informował mnie na bieżąco o stanie golema. Z ostatniego raportu na jego temat wynikało, że znajdował się dokładnie o jedno trzęsienie ziemi od obsunięcia w bezdenną otchłań, wciąż przyszpilony do wielkiego drewnianego tronu licznymi srebrnymi sztyletami.

– Wychodzi na to, że tu również równina potrafi sama leczyć swe rany – zauważyłam, pochylając się.

Zawrotna otchłań wciąż była na swoim miejscu. Łapiąc równowagę, musiałam na chwilę przymknąć oczy. Sziwetja wciąż trwał ponad nią, jednak średnica szczeliny nie dorównywała opisom Murgena. Zbliżniające się krawędzie zdołały nawet nieco wyprostować drewniany tron. Sziwetji

nie groziło już bezpośrednio niebezpieczeństwo obsunięcia. Teraz jego pozycja pozwalała domniemywać, że za kilka dziesięcioleci zaryje nosem w kamienie posadzki, a drewniany tron przygniecie go od góry.

Wierzba Łabędź przyłączył się do mnie.

– Ta rzecz nie poruszyła się nawet odrobinę od ostatniego razu – stwierdził natychmiast.

– Myślałam, że nic sobie nie potrafisz przypomnieć – wytknęłam mu.

– Cokolwiek zrobili ci mali pierdziele, najwyraźniej działa. Potrafię rozpoznać rzeczy, kiedy na nie patrzę.

Goblin zwrócił się do Łabędzia:

– Biorąc pod uwagę, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Sziwetja zaczął hasać sobie swobodnie, jego bezruch wydaje się całkiem niezłym rozwiązaniem. Nie uważasz?

– Potrafiłbyś trwać bez ruchu przez piętnaście lat?

– On trwa w bezruchu o wiele dłużej, Łabędź – wtrąciłam się. – Jest przykuty do tego tronu na setki lat. Albo nawet na tysiące. Musiał zostać przyszpilony, zanim jeszcze uciekający przed Radrejnakiem Oszuści przybyli tu w drodze do innych światów i ukryli gdzieś Księgi Zmarłych. –

Tą uwagę ściągnęłam na siebie kilka spojrzeń; szczególnie uważnym obdarzył mnie Mistrz Santaraksita. Nie podzieliłam się jeszcze z nimi opowieściami, którymi uraczył mnie Murgen. – W przeciwnym razie w swoim czasie załatwiłby się z nimi na dobre. Wszystko bowiem wskazuje na to, że usadzono go tutaj, aby strzegł tego miejsca przed takimi jak oni. Tak myślę.

– Kto go przyszpilił? – zapytał Goblin.

– Nie mam pojęcia.

– Taka informacja mogłaby się przydać. Nie wolno spuszczać oka z faceta, który potrafi dokonać czegoś takiego.

– Zapewne – zgodził się Łabędź. Uśmiechał się nerwowo.

– On słucha – powiedziałam. Przeszłam kilka kroków wzdłuż krawędzi otchłani, przykucnęłam. Z tego miejsca mogłam dojrzeć oczy demona. W powiekach ziała wąska szczelina. Zorientowałam się także, że zamiast dwojga oczu ma troje, trzecie osadzone było ponad normalną parą, pośrodku czoła. Tej kwestii nigdy nikt wcześniej nie poruszał, chociaż dokładnie czegoś takiego należałoby oczekiwać po demonie stworzonym na modłę Gunni.

Przeoczenie wyjaśniło się samo, gdy tylko demon zdał sobie sprawę z mego zainteresowania. Trzecie oko zamknęło się i zniknęło.

– Czy ten tron wygląda na solidnie zaklinowany? – zwróciłam się do Łabędzia.

– Tia. Czemu?

– Po prostu zastanawiam się, czy nie można by go nieco przesunąć, nie wpychając równocześnie do tej dziury.

– Nie jestem inżynierem, ale wygląda na to, że trzeba cholernie dużo roboty, aby go postawić. Oczywiście, że da się przesunąć. Ale jeden głupi ruch... to jest diabelnie głęboka dziura. Jednak...

Ciekawscy wciąż się gromadzili za naszymi plecami. Gwar ich pogaduszek zaczynał działać mi powoli na nerwy. Każdy pojedynczy nawet szept zmieniał się tu w bełkot licznych ech, nadających całemu miejscu charakter jeszcze bardziej przerażający.

– Proszę wszystkich o ciszę. Nie słyszę własnych myśli. – Mój głos musiał zabrzmieć bardziej nieprzyjemnie, niż to zamierzyłam. Ludzie uspokoili się. I zagapili na mnie. – Czy ktoś ma koncepcję, jak odwrócić tę rzecz we właściwą stronę i odsunąć ją od szczeliny?

– Skąd w ogóle ten pomysł? – zapytał Jednooki. – Przestań się pchać, Junior.

– Przy wykorzystaniu sprzętu, jaki mamy pod ręką? – zapytał Sjuwrin.

– Tak. I trzeba to zrobić dzisiaj. Chcę, by wraz z pierwszym brzaskiem większość ludzi była już w drodze na południe.

– To oznacza zastosowanie brutalnej siły. Część z nas powinna stanąć po drugiej stronie szczeliny i zrównoważyć szczyt tronu, tak by ludzie i zwierzęta po tej stronie mogli wykorzystać dźwignię do przywrócenia mu pozycji pionowej. Z zastosowaniem lin.

– Jeżeli będziesz chciała wyprostować go tak jak stoi, tylny koniec ześlizgnie się przez krawędź. A do wnętrza ziemi droga daleka – zauważył Łabędź.

– Skąd w ogóle ten pomysł? – dalej dopytywał się Jednooki.

I znowu zignorowałam jego słowa.

Skupiłam uwagę na dyskusji, jaka rozgorzała między Łabędziem a Sjuwrinem. Pozwoliłam jej toczyć się swobodnie przez kilka minut, a potem oznajmiłam:

– Wygląda na to, że Sjuwrin jest tu jedynym myślącym pozytywnie. A więc on dowodzi. Sjuwrin, weź, kogo tylko chcesz. Wykorzystaj wszystko, co przyjdzie ci do głowy. Usadź dla mnie Sziwetję z powrotem. Słyszałeś, Niezłomny Strażniku? Panowie, jeśli macie jakieś pomysły, podzielcie się nimi z panem Sjuwrinem.

Sjuwrin powiedział:

– Nie mogę... Nie chciałem... Nie powinienem... Sądzę, że najpierw powinniśmy porządnie oszacować ciężar, z jakim będziemy mieli do czynienia. I musimy zrobić jakiś pomost nad szczeliną. Panie Łabędź, pan się tym zajmie. Młody pan Tobo natomiast, jak rozumiem, jest wykształcony matematycznie. Zakładam, że możesz mi pomóc obliczyć, z jaką masą mamy się borykać?

Tobo uśmiechnął się i ruszył w kierunku tronu, wcale nie zdradzając onieśmielenia obecnością demona.

– Jedna poprawka – wtrąciłam. – Łabędź będzie mi potrzebny. Był tu już wcześniej. Popłoch, ty i Iqbal wymyślcie, jak przechodzić na drugą stronę. Wierzba, chodź ze mną.

Gdy znaleźliśmy się w miejscu, z którego pozostali nie mogli nas usłyszeć, Łabędź zapytał:

– Co jest grane?

– Nie chciałam nikomu przypominać, że Kompania doszła tutaj już wcześniej. Ktoś mógłby żywić urazę do człowieka, który uniemożliwił naszym poprzednikom dostanie się dalej.

– Och, dzięki. Pewnie. – Zerknął za siebie na grupkę Niueng Bao. Matka Gota wciąż żywiła urazę. Gdzieś pod tym kamieniem spoczywał jej syn.

– Być może patrzę na świat pod dziwnym kątem. Wierzę, że każdy z nas winien ponosić odpowiedzialność za swoje czyny, ale nie do końca jestem pewna, czy zawsze rozumiemy, dlaczego coś robimy. Czy ty właściwie wiesz, dlaczego uwolniłeś Duszołap? Założę się, że niejedną chwilę, tu czy tam, zajęło ci zastanawianie się nad tą kwestią.

– Wygrałabyś. Z tym, że nie o chwilę chodziło, lecz raczej niejeden rok. I wciąż nie potrafię tego wyjaśnić. Zrobiła mi coś, zupełnie nie wiem jakim sposobem. Posługiwała się tylko oczyma. To trwało przez całą drogę po równinie. Przypuszczałam manipulowała uczuciami, jakie żywiłem wobec jej siostry. Kiedy nadszedł wreszcie czas, wydawało mi się, że robię rzecz

całkiem właściwą. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, dopóki nie było już po wszystkim, a my pędziliśmy przed siebie.

– I dotrzymała słowa.

Zrozumiał, o co mi chodziło.

– Dała mi wszystko, co obiecywały jej oczy. Wszystko, czego nigdy nie mogłem dostać od jej siostry, której naprawdę pragnąłem. Można zarzucić jej wiele, ale Duszołap zawsze dotrzymuje danego słowa.

– Czasami dostajemy tego, czego chcemy, i przekonujemy się, że na nic nam to było.

– Jasna sprawa. Historia mojego życia, Ospala.

– Na równinę weszło mniej więcej pięćdziesięciu ludzi. Wam dwojgu udało się wydostać. Trzynastu zginęło po drodze. Reszta wciąż gdzieś tu jest. A znaleźli się tam między innymi przez ciebie. A więc będziesz potrzebny, żeby pokazać mi, gdzie są. Wciąż masz luki w pamięci czy zacząłeś już sobie przypominać?

– Och, te zaklęcia działają. Wszystko do mnie wraca. Ale wcale niekoniecznie zorganizowane w ten sam sposób jak wówczas, gdy to się działo. A więc okaż cierpliwość, gdy czasem coś mi się pomiesza.

– Rozumiem. – Gdy rozmawialiśmy, nie spuszczałam oka z pozostałych. Sahra wyglądała, jakby sama fundowała sobie zupełnie niepotrzebne konflikty wewnętrzne. Dodż zdawał się bardzo chętny do skorzystania z okazji, gdy tylko takowa się pojawi. Gota łajała za coś Jednookiego, równocześnie ponurym okiem zerkając w stronę Łabędzia. Goblin próbował ustawić projektor mgły pośród kłębiącego się tłumu. – Wygląda na to, że jest tu więcej światła, niżby wynikało z doniesień Murgena.

– Znacznie więcej. I jest również cieplej. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ma to związek z procesem zdrowienia, który trwa cały czas.

Poczułam, że jak na temperaturę panującą we wnętrzu, mam na sobie za dużo rzeczy. Nie było ciepło, ale z pewnością dużo cieplej niż na równinie, a nadto wiatr nie dawał się we znaki.

– Gdzie są Uwięzieni?

– Tam są schody. Musimy zejść półtora kilometra w głąb ziemi.

– Zniosłeś po nich trzydziestu pięciu nieprzytomnych ludzi i zdążyłeś wrócić na czas, aby zdążyć przed cieniami wychodzącymi o zmierzchu?

– Duszołap wykonała większość roboty. Miała na podorędziu zakłęcie, które sprawia, że wszystko unosi się w powietrzu. Związaliśmy ich razem liną, a potem ciągnęliśmy jak sznur serdelków. Właściwie to ona ciągnęła. Ja byłem z drugiego końca. Mieliśmy kłopoty z przepchaniem ich przez zakręty. Ale poszło znacznie łatwiej, niż gdybyśmy musieli targać ich po jednym.

Pokiwałam głową. Znałam inne przypadki, gdy Duszołap używała tego samego zaklęcia. Wyglądało na bardzo przydatne. Moglibyśmy na przykład użyć go tu i teraz, aby wyprostować tron mego przyszłego kumpla, Sziwetji.

Ciekawe. Pewnego razu Murgen wspomniał, że imię to oznacza „Bezśmiertny”, aczkolwiek ostatnio podano mi inny sens: „Niezlomny Strażnik”. Wraz z całkowicie nowym zestawem mitów stworzenia i czego tam jeszcze.

Poczułam w sobie potrzebę rzucenia się naprzód i natychmiastowego ruszenia w dół, po schodach. Wróciłam jednak, żeby porozmawiać z pozostałymi. Większość naszej gromady zajęła się próbami odwrócenia tronu Sziwetji na prawą stronę mocą samych słów użytych do rozmowy o przedsięwzięciu.

– To sposób na to, żeby nie marznąć – poinformował mnie Sjuwrin. I pewnie na to, by nieco rozładować napięcie. Słyszałam liczne narzekania kwestionujące inteligencję dowódcy, któremu zachciało się zabawić z czymś takim jak ta wielka, potworna istota na tym obrzydliwym tronie.

Zebrałam wszystkich zainteresowanych.

– Łabędź zna drogę na dół, do jaskiń. Jego pamięć z każdą chwilą jest coraz lepsza. – Goblin i Jednooki omal nie popękali z dumy. Nie dałam im szansy, żeby mogli złożyć sobie gratulacje przy wszystkich. – Idziemy na zwiady. Chcę, żeby pozostali rozbili tu obóz. Przede wszystkim jednak macie ustalić, jak się jutro podzielimy, by większość mogła ruszyć przez równinę w bezpieczne miejsce. – Sprawę tę wałkowaliśmy bezustannie: jak podzielić oddział, zostawiając minimalną liczbę ludzi z maksymalną ilością zapasów, by wydobyli Uwięzionych, podczas gdy reszta powędruje dalej, ku – miałam nadzieję – bardziej sprzyjającemu otoczeniu.

W myśl opinii Dodża, całkiem zresztą racjonalnej, powinniśmy zupełnie zignorować Uwięzionych, póki nie przekroczymy równiny, nie zdobędziemy przyczółka w Krainie Nierozpoznanych Cieni i nie będziemy

w stanie zorganizować lepiej przygotowanej i wyposażonej ekspedycji. Jednak żadne z nas nie miało pojęcia, co też napotkamy po drugiej stronie przejścia, nazbyt wielu zaś zwyczajnie nie potrafiło porzucić naszych braci właśnie teraz, gdy byliśmy już tak blisko.

Powinnam wydobyć z Murgena więcej informacji, kiedy jeszcze dysponowaliśmy jakąś swobodą działania. Pozostały czas bezwzględnie ograniczał możliwości wyboru.

Kiedy Dodż powtórzył swą propozycję, Sahra zareagowała tak gorąco, że ołów gotów byłby się stopić. Pomysł wskrzeszenia męża mógł napawać ją niepokojem, lecz nie zamierzała opóźnić momentu przesilenia.

Łabędź pochylił się nad moim ramieniem i wyszeptał:

– Jeśli chcesz stać tu i czekać, aż ci wszyscy ludzie dojdą ze sobą do ładu w jakiegokolwiek kwestii, to wiedz, że zanim to nastąpi, będziemy już bardzo starzy i wygłodniali.

Miał rację. Zdecydowaną.

Nim jeszcze dotarliśmy do schodów, uznałam, że codzienną porcję gimnastyki mam już za sobą. Powoli zaczynały do mnie docierać rozmiary komnaty w sercu fortecy. Sylwetki moich ludzi zmalowały w oddali.

– Musi mieć przynajmniej półtora kilometra średnicy – zauważyłam.

– Dokładnie prawie tyle. Kilka metrów mniej, wedle Duszołap. Nie mam pojęcia dlaczego. Żałuję, że nie wzięliśmy pochodni. Ostatnim razem, gdy tu byłem i nie było tyle pyłu, widziałem na posadzce jakieś wzory, ale Protektorka nie pozwoliła mi marnować czasu na przyglądanie się im.

Pył faktycznie zalegał wszystko grubą warstwą. Na zewnątrz nie było go prawie wcale. Najwyraźniej równina nie tolerowała nic obcego, prócz ciał najeźdźców. Nawet tutaj trudno było odnaleźć jakiegokolwiek ślady po zwierzętach czy ekwipunku, który Uwięzieni zabrali w drogę na Południe.

– Jak daleko jeszcze?

– Już prawie dotarliśmy. Rozglądaj się za uskokiem.

– Uskokiem?

– Schodkiem wiodącym na dół. Ma tylko czterdzieści pięć centymetrów, jednak możesz złamać nogę, jeśli wejdiesz na niego nieuważnie. Ostatnim razem skręciłem kostkę.

Znaleźliśmy uskok. Zanim zesłam na dół, zatrzymałam się jeszcze, by obejrzeć się za siebie. Wszyscy geniusze zajmowali się zadaniami, jakie im przydzieliłam. Nieco bliżej zobaczyłam Sahrę, Radiszę oraz kilkoro pozostałych, którzy nie otrzymali żadnych konkretnych poleceń i którzy najwyraźniej zdecydowali się pójść za mną.

– Masz rację. To wygląda jak rodzaj intarsji – przyznałam. – Jeśli starczy czasu, może uda nam się bliżej temu przyjrzeć. – Obejrzałam krawędź kamienia. – Jest łagodnie zaokrąglona i wypolerowana.

– Ta część posadzki ma kształt koła. I wymiary równe nieomal dokładnie jednej osiemdziesiątej średnicy równiny. Wedle Duszołap. Wyniesiony

fragment, na którym stoi tron demona, jest z kolei pomniejszonym osiemdziesięciokrotnie odpowiednikiem tej części posadzki.

– Przypuszczalnie musi być w tym jakiś sens. Czy ma to coś wspólnego z Uwięzionymi?

– O niczym takim nie wiem.

– Wobec tego później będziemy się nad tym zastanawiać.

– Schody zaczynają się tutaj.

Zaczynały się tuż pod ścianą. Pęknięcie posadzki naruszyło jej konstrukcję. Ściana, zawaliwszy się, częściowo zasypała szczelinę, potem, w miarę jak rozpadlina zasklepiła się, gruz powoli był z niej wypychany.

Początek schodów wyznaczał po prostu prostokątny otwór ziejący w posadzce. Potem stopnie wiodły w dół, mniej więcej równoległe do zewnętrznej ściany, z dala od szczeliny w podłodze, która w tym miejscu zabliźniła się zresztą nieomal całkowicie. Nie było poręczy.

Po dwudziestu schodkach dotarliśmy na kwadratowy podest o boku blisko dwóch metrów. Po prawej stronie dalsze zejście prowadziło w dół. Wyglądało jak niekończąca się droga do wnętrza ziemi. Słabe światło jakoś docierało do środka, wystarczająco by widzieć, gdzie stawia się stopy.

Sahra i Radisza zbliżyły się do nas na tyle, bym mogła posłyszeć, jak rozmawiają, nie potrafiłam jednak odróżnić poszczególnych słów. Obie kobiety najwyraźniej przerażała najbliższa przyszłość.

Potrafiłam zrozumieć, co czują. U zarania realizacji własnych ambicji sama byłam nerwowa. Przynajmniej odrobinę.

– Chcesz iść pierwsza? – zapytał Łabędź. Głosowi, jakim złożył swą propozycję, wyraźnie brakowało entuzjazmu.

– Są tu jakieś magiczne miny-pułapki, albo coś?

– Nie. Prawdopodobnie chciała coś założyć, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś szedł tą drogą któregoś dnia, albo zwyczajnie dla złośliwej uciechy, ale nie starczyło jej czasu. Zbyt dużo i zbyt długo się ociągała. Tak naprawdę to nie wierzyłem, że w ogóle uda się nam uciec. Pewien jestem, że by się nie udało, gdyby nie była tym, kim jest. Rzuciła czar, który odpędził cienie. Zresztą była tu już wcześniej. Miała praktykę.

– No przecież!

– Co?

– Nic. Właśnie sobie coś przypomniałam. – O, ja głupia! Przez te wszystkie lata zastanawiałam się, jak Łabędź i Duszołap znaleźli czas, żeby

pogrzebać Uwięzionych, unikając równocześnie pożarcia przez cienie, i przeoczyłam rzecz oczywistą, mianowicie fakt, że Duszołap jest wielką czarownicą i już wcześniej nabyła doświadczenia w manipulowaniu cieniami. Możesz przegapić rzeczy oczywiste, jeśli nie zdajesz sobie sprawy, że nie otworzyłeś dostatecznie szeroko oczu swego umysłu.

Wybacz mi, o Panie Czasu. Bądź Litościwy. Okaż Łaskę. Zamknę granice mojej duszy, gdy tylko uwolnię mych braci.

W tej chwili Łabędź z pewnością nie miał zamiaru narażać mnie na niebezpieczeństwo. Ruszyłam w dół.

Odpowiedzialni za wykonanie roboty architekci, inżynierowie i kamieniarze bynajmniej nie dążyli do osiągnięcia geometrycznej perfekcji. Chociaż ta część klatki schodowej biegła równo w dół mniej więcej cały czas, to tu, to tam miała skłonność do odchyłania się odrobinę od linii prostej. Stopnie nie miały również identycznej wysokości. Budowniczości okazali się przynajmniej na tyle przewidujący, aby co kawałek umieścić podest. Miałam wrażenie, że kiedy znowu zaczniemy się wspinać, będą dzielić je kilometry.

– Jeśli obecność Jednookiego okaże się konieczna, będziemy musieli go nieść z powrotem. Inaczej nie przeżyje wspinaczki.

– Lepiej zacznij się zastanawiać, co zrobisz, kiedy dotrzemy na dół.

– Nie potrafię zdecydować, co zrobię, dopóki nie zobaczę, z czym mamy do czynienia.

– Trzeba było wezwać waszego dzinna z lampy. On by ci powiedział.

– Nigdy nie mówił wiele o miejscu, w którym się teraz znajduje. Przynajmniej od czasu, kiedy sam tam trafił. Jakby coś mu nie pozwalało. Sama śniłam o nim kilka razy, ale nie mam pojęcia, jak precyzyjne są moje sny.

Łabędź jęknął.

– Naprawdę nie prosiłem się na tę włączkę.

– Będzie aż tak źle?

– Nie chodzi o schodzenie. Ale kiedy pójdziemy w drugą stronę, z pewnością zmienisz nastawienie.

– Nie wiem. Już trochę się zdyszałam.

– Wobec tego zwolnij. Kilka minut nie robi różnicy. Po tych wszystkich latach.

Miał rację, lecz równocześnie nie miał. Jeśli patrzeć z pozycji Uwięzionych, nie było pośpiechu. Ale z naszego punktu widzenia, przy kurczących się zapasach, czas mógł odegrać decydującą rolę.

– Musisz zwolnić, Ospała. Naprawdę. Za chwilę zrobi się ostro – ciągnął dalej Łabędź.

Miał ze wszech miar rację. Co więcej, było to koszarne niedomówienie.

Klatka schodowa skręciła lekko w prawo. Powoli zbliżała się do przepaści szczeliny, otwartej przez trzęsienie ziemi, które miało miejsce jeszcze za czasów Władców Cienia.

W tym miejscu ocalała jedynie połowa przestrzeni schodów. Wisiały w ścianie urwiska. A po mojej prawej ręce ziała przepaść. Głębia aż nazbyt dobrze oświetlona czerwonopomarańczowym światłem, którego źródłem musiał być sam kamień, ponieważ najwyraźniej dobiegało zewsząd równocześnie. Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, chociaż miałam problemy z odemknięciem powiek dostatecznie szeroko, by coś przez nie zobaczyć. Skądś pełzły w górę smugi oparów. Powietrze zdawało się jeszcze cieplejsze.

– Nie zmierzamy przypadkiem wprost do piekła, co? – spytałam. Niektórzy Vedna wierzyli, że al-Sziel jest miejscem, gdzie dusze łotrów będą płonąć przez wieczność.

Łabędź zrozumiał.

– Nie do twojego piekła. Ale przypuszczam, że dla zamkniętych w dole jest to piekło nie gorsze od innych.

Zatrzymałam się na resztkach podestu. Tuż pode mną stopnie miały dwie stopy szerokości. Wychylając się trochę, mogłam łatwo zauważyć, że klatka schodowa została skonstruowana wewnątrz większego szybu, o przekroju przynajmniej sześciu metrów. Wypełniono go następnie kamieniem ciemniejszym od tego, w którym go wydrążono. Może musiał być tak wielki, żeby dało się zaciągnąć na dół ciało Kiny.

– Potrafisz sobie wyobrazić rozmiary tego projektu? – zapytałam.

– Ludzi dysponujących rzeszami niewolników nie onieśmielają wielkie projekty. O co chodzi?

– Mam lęk wysokości. Dalej będę potrzebowała mnóstwa modlitw i nieco otuchy. Chciałabym, żebyś poszedł pierwszy. I żebyś szedł wolno. I chcę, żebyś trzymał się blisko, bym mogła cię dosięgnąć. Wyznaję zasadę,

że swoim lękiem należy patrzeć prosto w oczy, ale jeśli zrobi mi się niedobrze i strach sparaliżuje mnie zupełnie, chcę móc iść dalej z zamkniętymi oczyma. – Byłam zdumiona spokojnym i racjonalnym brzmieniem własnego głosu.

– Rozumiem. Prawdziwy problem polega na tym, kto będzie moimi oczami? Hola! Nie panikuj, Ospała. Żartowałam! Dam radę. Naprawdę.

Z pewnością nie była to najgorsza rzecz, z jaką miałam w życiu do czynienia. Panika nie ogarnęła mnie ani razu. Ale było to trudne. Nawet kiedy Łabędź przysiągł mi, że przepaść zabezpieczona jest niewidzialną barierą ochronną, a potem zademonstrował jej istnienie, zwierzę wewnątrz mnie chciało tylko wydostać się tam, gdzie ziemia jest płaska i zielona, nad głową rozpościera się niebo i gdzie może nawet rośnie kilka drzew.

Łabędź zapewniał, że tracę niesamowite widoki, zwłaszcza z najniższego poziomu otwartej klatki, z którego wciąż jeszcze można było dostrzec otchłań – gdzie światło było jaśniejsze, a spienione mgły lizały stopy, skrywając prawdziwą głębię. Ani razu nie otworzyłam oczu, póki znowu nie znaleźliśmy się w przestrzeni ograniczonej ścianami.

Na samej górze zaczęłam liczyć schody, aby uzyskać pewne pojęcie, jak głęboko zejdziemy, niemniej straciłam rachubę, udając muchę pełzającą po ścianie. Moją uwagę w całości pochłonął własny strach. Niemniej wyglądało, że pokonaliśmy spory kawałek drogi zarówno w pionie, jak i w poziomie.

Niemalże natychmiast po tym, jak ta myśl przysłała mi do głowy, schody skręciły w lewo, a potem jeszcze raz w lewo. Pomarańczowoczerwone światło zniknęło. Kilka ostrych zakrętów, a później całkowita ciemność, która pochwyliła mnie za gardło zupełnie nowym rodzajem lęku. Nic jednak mnie nie ukąsiło i nic nie przyszło zabrać mej duszy.

Wreszcie światło zapełgało znowu, rozjaśniając mrok tak powoli, że nie sposób było stwierdzić, kiedy pojawiło się po raz pierwszy. Przesycała je jakaś złota poświata, było jednak strasznie zimne. A wkrótce po tym, jak zdałam sobie sprawę z jego istnienia, zrozumiałam, że niedługo dojdziemy do celu.

Klatka schodowa wychodziła wprost na naturalną jaskinię. W swoim czasie była zamknięta, jednak trzęsienia ziemi zwały ściany, którymi ją odgradzono.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Uważaj, jak stawiasz stopę. Kamienie nie są tu szczególnie stabilne.

– Co to jest?

– Co?

– Ten dźwięk.

Nasłuchiwałam. Po chwili Łabędź powiedział:

– Sądzę, że to wiatr. Kiedy byliśmy tu w dole, czasami można było wyczuć podmuch wiatru.

– Wiatr? Półtora kilometra pod ziemią?

– Nie proszę mnie, żebym ci to wyjaśnił. Po prostu jest. Chcesz dla odmiany iść pierwsza?

– Tak.

– Tak sobie właśnie pomyślałam, że będziesz chciała.

Złotawe jaskinie, gdzie obok drogi siedzieli starcy, zakłęci w czasie, żywi, lecz niezdolni poruszyć choćby rzęsą. Tkwili w obłędzie pokryci lśniącymi lodowymi siateczkami; jakby milion bezcielesnych jedwabników usnuł nici ze zamarzniętej wody. Powyżej zaczarowany las sopli wyrastał w dół ze stropu jaskini.

W taki właśnie sposób Murgen opisał je kilkadziesiąt lat temu. Opis zachował aktualność, chociaż obecnie światło nie było tak złote, jak oczekiwałam, a delikatne koronki lodu wydawały się drobniejsze i bardziej skomplikowane. Starcy siedzący pod ścianami, pochwyceni w sieci, nie mieli jednak w sobie nic z szaleńców o szeroko rozwartych oczach, którzy występowali w wizjach Murgena. Nie żyli. Lub spali. Nie dostrzegłam ani jednej odemkniętej powieki. Ani twarzy, którą bym rozpoznała.

– Wierzba, kim są ci wszyscy ludzie? – We wnętrzu jaskini nadal dął ostry wiatr. Od jednego końca do drugiego jej wysokość wynosiła jakieś trzy i pół metra. Podobnie szerokość. Podłoże było względnie równe, lekko pochylone na całej długości. Jego faktura przypominała starodawną, zamarzniętą glinę, pokrytą skórą delikatnego, oszronionego futra.

– Ci? Nie mam pojęcia. Byli już tutaj, kiedy zeszliśmy na dół.

Nachyliłam się, uważając jednak, by niczego nie dotknąć.

– Te jaskinie powstały w sposób naturalny.

– Na to przynajmniej wygląda.

– A więc były tutaj przez cały czas. Były, zanim stworzono równinę.

– Może. Prawdopodobnie.

– I ktokolwiek pogrzebał Kinę, wiedział o nich. Wiedzieli Oszuści, ścigani aż tutaj przez Radrejnika. Hm. Ten na przykład jest zdecydowanie martwy. Zmumifikowany, niemniej życia nie ma w nim ani iskiejki. – Ciało było zupełnie wyschnięte. W zagięciu kolana i rozdartej materii na łokciu prześwitywały obnażone kości. – Tamci? Kto wie? Może odpowiedni czar

byłby zdolny postawić ich na nogi i w jednej chwili zaczęliby biegać dookoła niczym dzieci Iqbala?

– Dlaczego mielibyśmy ich budzić? Musimy wydostać naszych chłopców, których pogrzebałem wraz z Duszką. Są tam. – Wskazał w stronę, gdzie podłoga wznosiła się łagodnie. Światło stawało się tam mniej złotawe, przechodząc w lodowy niemal błękit.

Światła w ogóle nie było dużo. Nawet w połowie nie tyle, ile w widzeniu, jakiego doświadczyłam. Być może wtedy chodziło raczej o zakorzeniony w psychice błędny ognik, bardziej odpowiedni dla oczu spacerującego po snach, nie zaś światło czysto przestrzenne. Zadumałam się.

– Może potrafiliby powiedzieć nam coś interesującego.

– Już ja ci powiem coś interesującego – wymamrotał pod nosem Łabędź. A potem normalnym już głosem dodał: – Nie sądzę. A przynajmniej nie wierzę, aby było to coś, co któreś z nas chciałoby usłyszeć. Duszołap robiła wszystko, aby ich nawet nie dotknąć. Przeniesienie naszych jeńców obok, bez dotykania któregoś, stanowiło najtrudniejszą część zadania.

Pochyliłam się, aby przyjrzeć kolejnemu spośród starców. Nie przypominał przedstawiciela żadnej ze znanych mi ras.

– Muszą pochodzić z któregoś z tych pozostałych światów.

– Może. Tam, gdzie się wychowałem, jest takie powiedzenie: „Nie budźcie śpiącego licha”. Brzmi jak rada idealnie dostosowana do naszej sytuacji. Nie dowiemy się, jak tu trafili.

– Nie mam zamiaru uwalniać żadnego diabelstwa, poza naszym własnym. Ci tutaj różnią się od tamtych.

– Ostatnim razem widziałem tu ludzi różnych ras. Wątpię, aby coś się od tego czasu zmieniło. Mam wrażenie, że wrzucono ich tutaj w zupełnie różnych epokach. Widzisz, jak wiele lodu nagromadziło się wokół tych facetów? A najwyraźniej potrzeba na to wieków.

– Au!

– Co?

– Uderzyłam głową w ten cholerny sopel.

– Hmm. Ciekawe, jak udało mi się je ominąć...

– Bądź dalej taki mądry, a kopnę cię w kolano, dryblasie. Nie wydaje ci się, że tu jest zimniej, niż być powinno? – Nie był to wytwór mojej wyobraźni ani także efekt ukąszeń lodowatego wiatru.

– Jak zawsze. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – To oni. Tak myślę. Zaczynają sobie zdawać sprawę, że ktoś tu jest. To staje się coraz bardziej wyczuwalne z każdą chwilą. Jeśli za bardzo będziesz zwracać na to uwagę, może dać ci się nieźle we znaki.

Potrafiłam wyczuć powolne narastanie tego... cokolwiek to było. Szaleństwo zdolne do materializacji, jak miemam. Przynajmniej takie sprawiało wrażenie.

– Jak to się dzieje, że możemy sobie tak tutaj chodzić? – myślałam na głos. – Dlaczego my nie zamarzniemy?

– Gdybyśmy zostali tu dość długo, aby zasnąć, prawdopodobnie tak właśnie by się wszystko skończyło. Ci ludzie musieli stracić przytomność, zanim ich tutaj zniesiono.

– Naprawdę? – Dotarliśmy do miejsca, gdzie lodu było nieporównywalnie mniej. W zamrożonej warstewce na posadzce wciąż można było dostrzec ślady zostawione wiele lat temu przez Duszołap i Wierzbę Łabędzia. Twarze siedzących tu starców były inne. Przypominali Niueng Bao, wyjąwszy jednego, który był wysoki, chudy i blady jak śmierć. – Ale nie śpią przecież? – Kilka par otwartych oczu zdawało się mnie śledzić. Wolałam wierzyć, że to tylko moja wyobraźnia, pobudzona przerażającą atmosferą jaskini. Ani razu nie udało mi się dostrzec nawet drgnienia.

Odgłos kroków.

Podskoczyłam bardzo wysoko, pewnie gdzieś na wysokość wzrostu niskiego słońca, zanim zrozumiałam, że to muszą być Sahra, Radisza i ktokolwiek, kto tam jeszcze zdecydował się nie brać udziału w podniecających przedsięwzięciach trwających właśnie na górze.

– Idź, powstrzymaj tych ludzi, żeby tu nie wchodzili i nie wywracali wszystkiego do góry nogami. Zorientuj się w rozkładzie tego miejsca i spróbuj wykombinować, co powinniśmy zrobić.

Łabędź zmarszczył czoło, warknął i chrząknął, a następnie powoli, drobnymi kroczkami, przemieścił się po lekko pochyłej podłodze ku studni klatki schodowej. Przez całą drogę mamrotał do siebie i nie mogłam go za to winić. Nawet ja widziałam, że właściwie nic nigdy nie szło po jego myśli.

Dałam krok w stronę, w którą wiodły stare ślady. I poczułam, jakby ktoś wyrwał ziemię spod mych stóp. Twardo uderzyłam w podłoże, a potem

ześlizgiwałam się po nim, póki nie zatrzymałam się tam, gdzie stał Łabędź. Kiedy mnie zatrzymał, nawet przekonująco udawał, że go to bawi.

– Nic ci się nie stało?

– Uderzyłam się w bok. I jeszcze boli mnie nadgarstek.

– Powinienem cię uprzedzić. W oszronionych miejscach ta podłoga może się okazać bardzo zdradziecka.

– Masz szczęście, że nie przeklinam.

– Hę?

– Specjalnie zapomniałeś. Jesteś równie paskudny jak Jednooki czy Goblin.

– Czy ktoś tu właśnie nie wzywał imienia mego nadaremno? – Z miejsca gdzie schody uchodziły do jaskini, dobiegał głos Jednookiego, przerywany rozpaczliwym rżeniem charakterystycznym dla gruźlików.

– Bóg jest Wielki, Bóg jest Dobrem, Bóg jest Wszechwiedzący i Wszechłaskawy. Ukryte są Jego Zamiary, ale Czyny Sprawiedliwe. –

I niech oszczędzi mi Tajemnicy Swego Planu, albowiem to, czego doświadczam za każdym razem, jest bardziej Traumą Jego Planu. – Co on tu robi? – zapytałam Łabędzia. – Wszystko jedno. Już wiem. Zostawię go tutaj. Na pewno nie będę wynosiła go stąd na własnych plecach, tylko po to, by od wysiłku nie dostał następnego ataku. Walnij go w głowę, kiedy nie będzie patrzył. – Na nowo podjęłam wędrówkę w głąb jaskini. – Spróbuję jeszcze raz. – Głosem niesłyszalnym dla nikogo innego wiodłam dalej moją rozmowę z Bogiem. Jak zwykle On ani razu nie podjął trudu obrony przede mną swoich Dziej. Moja wina, że jestem kobietą.

Omam nie przegapiłam przejścia od starożytnych Niueng Bao do ludzi Kompanii, ponieważ pierwsze ciała z czasów nowszych należały do strażników osobistych także wywodzących się z tego ludu. Zatrzymałam się dopiero wówczas, gdy rozpoznałam człowieka o imieniu Fam Kuang. Przez chwilę przyglądałam mu się uważnie.

Potem ostrożnie się wycofałam.

Jeśli patrzyło się uważnie, nietrudno było dostrzec granicę. Moi bracia i ich sprzymierzeńcy mieli na sobie tyleż mniej lodu, ile potrafi zebrać się w ciągu wieków. Wokół nich zaczynały dopiero kształtować się kokony delikatnych pajęczyn, spowijających starsze ciała. Wydawały się natomiast strasznie mocno opinać uwięzionych, zwłaszcza porównując je z niektórymi innymi z pozostałych pogrzebanych tu dużo wcześniej ciał.

Prawdopodobnie Duszołap uległa nagłej potrzebie artyzmu podczas swej wizyty.

Pomiędzy moimi braćmi znajdowało się kilkanaście postaci tak pradawnych, że nie było ich widać spod lodowych kokonów. Obecności ciał w ich wnętrzu domyśliłam się po pozycjach przygiętych nieco ku ziemi, identycznych jak w przypadku Uwięzionych.

Nagle olśniło mnie. Być może obecność Jednookiego mimo wszystko przyda się na coś. Tutaj, na dole, Duszołap mogła poświęcić odrobinę czasu na zastawienie jednej czy dwóch pułapek, ot tak, powodowana kaprysem.

Generałowie Nar, Ajsi i Ocziba, siedzieli oparci o ścianę jaskini po przeciwnej stronie niż Fam Kuang. Oczy Ocziby pozostawały otwarte. Gałki nie poruszały się, lecz ich wzrok również nie skupiał się na mnie. Przykucnęłam, uważając jednak, żeby go nie dotknąć.

Brązowe kałuże jego oczu pokrywała wilgoć. Na ich powierzchni nie było znać najdrobniejszego pyłku czy nawet kryształka lodu. Otworzył je parę chwil temu.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Nawiedziło mnie bardzo dziwne przeczucie. Oto poczułam, jakbym spacerowała pośród umarłych. Według niektórych religii dalekiej Północy, skąd przybył Łabędź, przywożąc ze sobą podróźnicze opowieści, piekło było krainą lodu. Moja fantazja, karmiona przerażeniem, jakie wzbudziło we mnie położenie mych braci, bez większego trudu potrafiła dostrzec w tym miejscu kruchą piekła.

Podniosłam się ostrożnie i odsunęłam od Ocziby. W tym miejscu podłoże jaskini było niemal zupełnie płaskie. Moi bracia nie siedzieli słóceniem razem. Najwyraźniej rozproszono ich na przestrzeni następnych kilkudziesięciu metrów, a ze względu na zakręt jaskini nie byłam w stanie zobaczyć ich z miejsca, w którym się znajdowałam. Wśród nich majaczyły kolejne kokony przedwiecznych starców.

– Widzę Lancę! – oznajmiłam. Naprawdę cudownie. Teraz będziemy mogli podzielić się na dwa pododdziały, a każdy z nich zachowa możliwość wejścia na równinę.

Mój głos odbił się echem i zabrzmiał, jakby było nas wiele i wszystkie mówiłybyśmy w tym samym czasie. Jak dotąd i Łabędź, i ja staraliśmy się mówić cicho. Echa wzniesione naszymi głosami nie były głośniejsze niżli widmowe szepty, aczkolwiek mamrotały właściwie bez ustanku.

– Nie dotykaj jej! – krzyknął Jednooki. – Co ty wyprawiasz, Dziewczynko? Nie masz pojęcia, z czym mamy tu do czynienia? – Jakimś sposobem udało mu się wyminąć Łabędzia i teraz zmierzał prosto w moją stronę. Był, cholera jasna, strasznie żywotny jak na dwustuletnią ofiarę ataku. Ta sprawa najwyraźniej bardzo go pobudziła.

Zasiało to we mnie pewne podejrzenia. Ale nie miałam teraz czasu na domyślanie się, o co też może mu chodzić.

Zajrzałam w oczy następnego spośród tych, których powieki były odemknięte – wysoki, kościsty, blady mężczyzna, który musiał być czarownikiem o imieniu Długi Cień. Był jeńcem Kompanii. Z ekspedycją wybrał się dlatego, że ani Konował, ani Pani nie ufali wystarczająco żadnemu z jego ewentualnych strażników, a zabić go nie było można ze względu na kondycję Bramy Cienia, której trwanie – z czego zdawali sobie sprawę – zależało od jego życia. I dobrze, że okazali się tak nieufni. Gdyby zostawili Władcę Cienia, tym samym dając mu swobodę knucia wszelkich niegodziwości, jakie mogła zrodzić jego wyobraźnia, nasz świat byłby zupełnie innym, dalece straszniejszym miejscem. Zło Duszołap było kapryśne i zmienne. Złośliwość oraz szaleństwo Długiego Cienia – głębokie i nieznające wytchnienia.

I teraz właśnie owo szaleństwo wyglądało mu z oczu. Na liście w mej pamięci pojawił się haczyk przy jego imieniu, świadczący, że jego właściciel z pewnością pozostanie tam, gdzie jest. Inni mogli mieć jakieś plany względem niego, ale teraz nie oni dowodzili. Jeśli uda się nam wymyśleć sposób wzmocnienia Bramy Cienia wiodącej do naszego świata, pewnie nawet stracimy go na miejscu.

Wędrowałam dalej, sortując ofiary w milczeniu, co chwilę zadziwiona tym, że tak wielu twarzy nie potrafię rozpoznać. Wielu ludzi zaciągnęło się w okresie, gdy pozostawałam z dala od głównego nurtu wydarzeń.

– O, cholera!

– Co? – Jednooki znajdował się już tylko parę kroków za mną i był coraz bliżej. Jego głos odbijał się dziwnie zgrzytliwym echem.

– To Charkot. Staza go nie objęła.

Jednooki chrząknął, najwyraźniej nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Stary Charkot pochodził z tego samego plemienia co on, aczkolwiek był przynajmniej o sto lat młodszy. Nigdy za sobą nie przepadali.

– I tak żył dłużej, niż powinien. – Charkot, kiedy wiele lat temu przyłączył się do Kompanii podczas jej marszu na Południe, był już stary i umierał na suchoty. Ale jakoś dotarł do tego miejsca, mimo słabości i trudów, jakie musiał znosić.

– Tu są Świece i Klet. Oni również nie żyją. Oraz kilku Niueng Bao i dwaj Szadar, których nie znam. Coś się stało. Razem czyni to siedmiu martwych, wszyscy na jednej kupie.

– Niczego nie ruszaj, Dziewczynko! Nie dotykaj niczego, na co wpiery nie spojrzę.

Zamarłam bez ruchu. Nadszedł czas, by zdać się na jego umiejętności.

Jeszcze ich nie znalazłam! – odszczeknęłam Radiszy i Sahrze. – Nie mam zamiaru dać ani kroku dalej, póki Jednooki nie powie, że samą swoją obecnością kogoś nie zabiję. – Wbrew wszelkim poradom, będą pchać się tak daleko, jak tylko im na to pozwolić. Potrafiłam zrozumieć, że chcą zobaczyć swych mężów, braci i chłopaków, ale powinny mieć dość rozumu, by się powstrzymać, póki nie dowiemy się, co można, a czego nie można zrobić, nie ryzykując wyrządzenia żadnej krzywdy rzeczonym mężom, braciom i chłopakom.

Sahra obrzuciła mnie ostrym spojrzeniem, pełnym poczucia krzywdy.

– Przepraszam – oznajmiłam nieszczerze. – Daj spokój. Pomyśl. Sama widzisz, że w tym miejscu staza nie objęła wszystkich. Łabędź, jak daleko jeszcze trzeba zapuścić się tym tunelem? – Z miejsca, gdzie stałam, można było dostrzec osiem nieruchomych kształtów, żaden jednak nie nasuwał skojarzeń z Kapitanem, Panią, Murgenem, Tai Dejem, Kordkiem Maferem czy Brzeszczotem; dalsza część jaskini niknęła za zakrętem. – Jak dotąd nie mogę doliczyć się jeszcze mniej więcej jedenastu ludzi.

– Nie pamiętam – poskarżył się Łabędź. Basowe echa jego głosu zaczęły ścigać się po jaskini. Mój głos, operujący w górnych rejestrach, wywoływał znacznie gorsze efekty.

– Zakłęcie pamięci przestaje działać?

– Nie sądzę. Wydaje mi się po prostu, jakbym w tej sytuacji nigdy nie uczestniczył. Wciąż nie bardzo umiem zrekonstruować, co się tu na dole w ogóle zdarzyło.

Jeden z głównych problemów polegał na tym, że nikt z nas tak naprawdę nie wiedział, ilu dokładnie było Uwięzionych. Łabędź mógł okazać się najlepszym świadkiem, ponieważ jechał z nimi całą drogę, z drugiej wszak strony nie zwracał na to uwagi, a rozmawiał tylko z najważniejszymi osobami. Po Murgenie nigdy nie można było spodziewać się wydatniejszej pomocy, ponieważ po tym, jak sam został jednym z Uwięzionych,

najwyraźniej nie był w stanie badać bezpośredniego otoczenia w miejscu swego pojmania.

– Najpierw powinniśmy obudzić Murgena. Nikt inny nie będzie znał wszystkich imion i twarzy. – Nieznane mi oblicza mogły w ogóle nie należeć do żołnierzy Kompanii. – Jednooki, spróbuj wymyślić, jak można obudzić tych ludzi. Gdy tylko znajdę Murgena, chcę, aby jak najszybciej doprowadzono go do stanu pozwalającego na rozmowę. Mogę ruszać dalej? – Kłótlive echa zaraz przypomniały mi, że muszę mówić cicho.

– Tak. Tylko nikogo nie dotykaj – odparł zirytowany Jednooki. – A także niczego, co wyda ci się nieznane. I przestań mnie popędzać.

– Potrafisz ich wyciągnąć z tej stazy?

– Jeszcze nie wiem, dobra? Byłem zbyt zajęty odpowiadaniem na głupie pytania. Jednak jak mnie zostawisz w spokoju choć na chwilę, może będę w stanie się dowiedzieć.

Wszyscy robili się coraz bardziej drażliwi i nikt już prawie nie zwracał uwagi na maniery. Westchnęłam, potarłam czoło i skronie, ponieważ zaczynałam powoli odczuwać narastający ból głowy, a następnie wsłuchiłam się w odgłosy wydawane przez kolejnych ludzi schodzących po schodach.

– Wierzba, postaraj się trzymać tych głupców z dala, póki Jednooki nie będzie gotów. – Spojrzałam przed siebie bez szczególnego entuzjazmu. Jaskinia nie tylko zakręcała w prawo, lecz jej podłoże robiło się coraz bardziej strome. Wypolerowane w ciągu wieków wodną erozją, pokryte zostało cienką warstwą lodu. Każdy krok mógł się okazać zdradziecki.

– Kra!

Gdzieś tu musiał być biały kruk. Właściwie bez przerwy dawał znać o swym istnieniu, a za każdym razem w jego krakaniu było więcej niecierpliwości.

Ostrożnie ruszyłam naprzód. Kiedy dotarłam do bardziej stromego miejsca, uklęknęłam i odgarnęłam szron na bok, aby łatwiej było mi iść na czworakach. Zwróciłam się do Sahry i Radiszy:

– Jeśli już naprawdę musicie iść za mną, bądźcie jeszcze ostrożniejsze niż ja.

Uparły się. Były ostrożne. Żadna z nas nie poślizgnęła się i nie zjechała z całej długości stromizny.

– To Długi Cień i Błysk – powiedziałam. – A ten kłębek łachmanów to z pewnością Wyjec.

W istocie, ten kłębek bez najmniejszych wątpliwości był kalekim Mistrzem Czarów. Daleko na Północy był kiedyś jednym z popleczników Pani, a potem naszym wrogiem tu, na Południu. W niewolę dostał się w tym samym czasie co jego sprzymierzeniec Długi Cień, a Pani musiała mieć w głowie jakiś pomysł na wykorzystanie go, w przeciwnym razie nie zostawiłaby go przecież przy życiu. Z pewnością jednak, póki ja dowodzę, nie wyjdzie na wolność. Na swój sposób był jeszcze bardziej szalony niż Długi Cień.

Kruk złażał mnie, że się ociągam.

Wyjec nie spał. Dysponował wolą tak potężną, że potrafił poruszać gałkami ocznymi, aczkolwiek nie było go stać na nic więcej. Jedno spojrzenie na szaleństwo w tych ciemnych oczach i wiedziałam od razu, że temu człowiekowi nie wolno pozwolić powrócić na świat.

– Zachowajcie przy nim skrajną ostrożność – przestrzegłam. – Albo was załatwi z równą łatwością, jak Duszołap załatwiła Łabędzia. Wyjec nie śpi. Może ruszać oczami.

Jednooki powtórzył moje ostrzeżenie, nie bardzo zwracając uwagę na jego treść.

– Nie zbliżajcie się do niego.

Kruk zaczął skarżyć się w głos. Po jaskini od razu rozległ się wyjątkowo nieprzyjemny pogłos.

– Ach, Radisza. Tu jest twój brat. I wygląda na to, że w całkiem niezłym stanie. Nie! Nie dotykaj! Przypuszczalnie właśnie przypadkowy dotyk zanieczyścił zaklęcia stazy chroniące tych, którzy są teraz martwi. Musisz zachować cierpliwość, tak samo jak wszyscy pozostali.

Wydała z siebie odgłos przypominający głębokie warknięcie.

Pokryty lodem strop jaskini nad naszymi głowami wydał z siebie szereg trzasków, które wplotły się w kolejne salwy ech.

– To trudne. Wiem. Ale obecnie cierpliwość jest najlepszą drogą, aby wydostać ich stąd bez większego ryzyka – ciągnęłam dalej, póki się nie upewniłam, że zdoła się powstrzymać. Potem ruszyłam dalej, centymetr po centymetrze. Biały kruk krakał zniecierpliwiony. – Ufam, że kiedyś dane mi będzie skrócić kark temu stworzeniu – pomyślałam na głos.

– Doprowadzisz do tego, że będziesz miała złą karmę – przypomniała mi Radisza. – W następnym życiu możesz się wcielić w kruka albo w papugę.

– Jednym z uroków bycia Vedna jest to, że nie musisz martwić się następnym życiem. A Bóg, Wszechpotężny, Miłosierny, w ogóle nie dba o kruki. Chyba że chce zesłać plagę na nieprawych. Ktoś wie może, czy Mistrz Santaraksita wybiera się na dół? – Moje zdolności organizacyjne jakby gdzieś zniknęły, zdławione pragnieniem odnalezienia wszystkich Uwięzionych jak najszybciej. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że wiedza uczonego może okazać się użyteczna zwłaszcza tutaj, jeśli mu się uda skojarzyć cokolwiek z otoczenia z jakimś fragmentem znanej mitologii.

Nikt nie odpowiedział.

– Jeśli będzie trzeba, poślę po niego. Aha, Sahra, to twój ukochany. Nie dotykaj! – Powiedziałam to odrobinę zbyt głośno. Nad naszymi głowami załomotały echa. Kilka drobniejszych stalaktytów odpadło od stropu. Uderzając w podłogę, roztrzaskały się z niemal metalicznym odgłosem.

Kruk przemówił bardzo wyraźnie:

– Chodźcie tutaj!

Ja natomiast, dostrzegając go wreszcie, powiedziałam:

– Jeśli twoje maniere nie zmienią się natychmiast, możesz w ogóle się stąd nie wydostać.

Ptak przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem przed miejscem, gdzie siedzieli Konował i Pani. Duszołap zostawiła ich przytulonych do siebie, ułożywszy ciała w taki sposób, że Kapitan jednym ramieniem otaczał kibić Pani, ona zaś drugą jego rękę tuliła obiema dłońmi na podołku. Kilka innych delikatnych sugestii zawartych w ich postawach pozwalało domniemywać, że w tej martwej naturze Duszołap wspięła się na szczyty swego złośliwego poczucia humoru.

Jeśli Duszołap zastawiła jakieś pułapki, z pewnością będą właśnie tutaj.

– Jednooki, potrzebuję pomocy. – Natura wszelkich pułapek, jakie mogły tu się znaleźć, znajdowała się poza obszarem moich kompetencji.

Oczy Pani były otwarte. Jej wzrok zupełnie czysty. Była wściekła. A biały kruk chciał opowiedzieć mi wszystko na ten temat.

– Cierpliwości – doradziłam, samaomalże nie tracąc jej ze szczeniem. – Łabędź, Jednooki, chodźcie tutaj. – Łabędź pojawił się pierwszy, mimo że miał dalej. – Przypominasz sobie, co takiego specjalnego z nimi robiła? Może jakieś drobne, chytne sztuczki?

– Nie. Nie przejmowałbym się tym. Kiedy się nimi zajmowała, już myślała o tym, co zrobi w następnej kolejności. Ona taka właśnie jest. Gdy coś zaczyna, to jest to jej cały świat i robi wszystko bez namysłu. Ale im bliżej końca, tym bardziej traci przekonanie.

– Miło usłyszeć, że ma jakieś ludzkie cechy. – Nie myślałam o tym w ogóle. – Jednooki, rozejrzyj się, czy nie ma tu jakichś magicznych minipułapek. I w końcu się zdecyduj. Powiedz mi, czy jesteś w stanie wydostać tych ludzi z powrotem, do cholery! – Ból głowy nie chciał jakoś przejść. Ale, dzięki Bogu, nie stał się też bardziej dokuczliwy.

Spadł kolejny soplel.

– Wiem. Wiem. Słyszałem za pierwszym razem, jak pytałaś. – A potem warknął, że już wie, jak mi wyczarować lepsze życie erotyczne.

Spojrzałam w dal za Konowalem i Panią. Jaskinia ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Blade światło ledwie rozpraszało jej mrok. W tym miejscu poświata traciła już resztę złotego blasku. Muśnięcie srebra, dotyk szarości, trochę lodowatego błękitu. Przed nami skała osadowa ustępowała chyba prawdziwym pokładom lodu.

– Wierzba, czy Duszołap w ogóle tam poszła, gdy tu byliście?

Podążył spojrzeniem za moim wzrokiem.

– Nie. Ale mogła to zrobić podczas jednej ze swoich wcześniejszych wizyt.

Widać było, że ktoś niedawno, w skali czasu właściwej tym jaskiniom, szedł w tamtą stronę. W szronie pozostały wyraźne ślady. Podejrzewałam jednak, że gdybym zechciała pójść za nimi, ta wycieczka nie spodobałaby mi się za bardzo. Niemniej właśnie tak postąpię. Nie mam wyboru. Zawiodłam już raz, pozwalając na ucieczkę Narajanowi i Córce Nocy. I próżno mi było szukać usprawiedliwień w fakcie – cóż z tego, iż zapewne prawdziwym – że Kina musiała przecież służyć im swoją pomocą. Powinnam była lepiej się przygotować.

– Jednooki, porozmawiaj ze mną. Możesz wskrzesić tych ludzi czy nie?

– Zajmij się swoimi sprawami, słodziutka. Minie jeszcze trochę czasu, zanim zaczniemy głodować. – To ten lód musiał mieć Łabędź na myśli, gdy wspominał o nim na równinie.

– Zmarnowałaś już dosyć czasu, więcej nie będziesz miał – poinformowałam Jednookiego. – Potrafisz to zrobić? Tak czy nie. Mów zaraz.

– Nie jestem w najlepszej formie, potrzebuję więcej odpoczynku. – Mówił powoli. Niewyraźne słowa zlewały się, układając w dziwny rytm utrudniający nadążanie za ich treścią. Rzecz jasna, miał rację. Wszyscy potrzebowaliśmy odpoczynku. Ale musieliśmy również załatwić nasze sprawy i wydostać się z równiny. Widmo głodu powoli stawało się rzeczywistością. I nie zamierzało odejść. Obawiałam się, że ostatecznie zmieni się w towarzysza tak bliskiego i przerażającego, jak to się stało podczas oblężenia Dżajkuru.

Z góry postanowiłam, że przyjmę strategię zaproponowaną przez Wujka Dodża. Teraz wydobędziemy jedynie kilku ludzi. Później zaś wrócimy po resztę. Oznaczało to jednak dokonanie paru okrutnych wyborów. Niezależnie od tego, co zrobię, i tak ktoś mnie znienawidzi. Gdybym była naprawdę sprytna, wymyśliłabym jakiś dobry, staromodnie-goblinowy sposób na obarczenie winą wszystkich wokoło. Przecież ci, którym kazano czekać, nie mogliby znienawidzić wszystkich.

I oto jestem – dobra, staromodna, pełna pobożnych życzeń Ospała. Mówimy przecież o istotach ludzkich. Jeśli istnieje jakiś sposób na to, aby okazać się niewdzięcznym, niemiłym czy wyzbytym ze zdrowego rozsądku, to istoty ludzkie na pewno go znajdą i zastosują w praktyce. Z werwą i entuzjazmem, jak również w chwili, która z pewnością okaże się najmniej stosowna.

Czy ktoś w ogóle został na górze? – zapytałam. Jakiś czas temu, kiedy oczy kleiły mi się już zupełnie, postanowiłam uciąć sobie krótką drzemkę, która trwała nieco dłużej, niż zamierzyłam, i która z kolei mogłaby się zmienić w prawdziwy sen, gdyby nie ci wszyscy ludzie kręcący się wokół i niepozwalający zasnąć naprawdę. Pamiętałam, że śniłam, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć o czym. W nozdrzach czułam jeszcze silny odór Kiny, nietrudno więc się domyślić, dokąd powędrowała moja dusza.

Jednooki siedział obok, najwyraźniej dotrzymując mi towarzystwa w chrapaniu. Pojawił się zmartwiony Goblin, by sprawdzić, czy jego najlepszy przyjaciel przypadkiem nie osunął się zbyt głęboko w sen, który mógł stać się dlań snem wiecznym. Za moimi plecami Matka Gota prowadziła przewlekły spór z białym krukiem. Klasyczny dialog dwojga niezainteresowanych słuchaczy.

– Od tej chwili nie rób nic na siłę, Ospala. Zawsze sprawdź najpierw, czy przypadkiem nie zrobisz krzywdy któremuś ze swych przyjaciół – mruknął Goblin.

Słyszałam, jak Tobo mówi coś pośpiesznie, cicho, tonem całkowicie rzeczowym. W innym miejscu mocno hałasował Wujek Dodź.

– Co się dzieje?

– Zaczęliśmy ich budzić. Nie jest to tak skomplikowane, jak się obawialiśmy, ale wymaga trochę czasu i ostrożności, a ludzie, których wydostaniemy ze stazy, po przebudzeniu nie będą nadawać się do niczego... mówię ci to na wypadek, gdybyś przewidywała dla nich jakieś miejsce w swoich planach. Jednooki opracował wszystko, zanim stracił przytomność. – Mały czarodziej zrobił się nagle jakby bardziej ponury.

– Stracił przytomność? Jednooki stracił przytomność? Z wyczerpania? – Taką miałam nadzieję.

– Nie mam pojęcia. Nie chcę wiedzieć. Przynajmniej na razie. Pozwolę mu trochę odpocząć. Najlepiej tutaj, na krawędzi stazy. Może nawet nieco

głębiej w polu, jeśli okaże się to konieczne. Gdy odzyska trochę sił, wyciągnę go i zbadam. – W jego głosie trudno byłoby doszukać się optymistycznych tonów.

– Jeśli będzie trzeba, możemy go zostawić w stazie, póki nie będziemy w stanie zapewnić mu właściwej kuracji – powiedziałam, co z kolei przypomniało mi o innej kwestii – Nie chcesz chyba obudzić wszystkich naraz, prawda? Nie damy rady niańczyć i wykarmić tego całego tłumu. –

Po piętnastu latach, spędzonych nieruchomo w pozycji siedzącej, Uwięzieni z pewnością nie będą w stanie zadbać sami o siebie, niezależnie jakie były ewentualne właściwości stazy. Niewykluczone, że wyjdą z niej słabi i bezradni jak dzieci, zmuszeni uczyć się wszystkiego od początku.

– Nie, Ospała. Obudzimy pięcioro. To wszystko.

– Hm. Dobrze. Hej! A co, do diaska, stało się ze sztandarem? Był tutaj obok. Jestem chorąży. Muszę wiedzieć, gdzie...

– Wyniosłem go na schody. Ktoś może zabrać go przy okazji, w drodze na górę. Przystaniesz się wreszcie wściekać? To przecież specjalność Sahry.

– Mówiąc o Sahrze... Tobo! A ty dokąd się wybierasz? – Gdy rozmawiałam z Goblinem, chłopak przeszedł obok nas i ruszył ku dalszej części jaskini.

– Chcę tylko zobaczyć, co tam jest.

– Nie. Zostaniesz tutaj i pomożesz swojemu wujkowi oraz Goblinowi zadbać o twego ojca, Kapitana i Porucznika.

Obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem. Od czasu do czasu wychodził z niego wciąż zwykły chłopiec. Na widok jego wydętych ust zachciało mi się śmiać.

Wierzba Łabędź podszedł do nas i stanął obok.

– Mam problem, Ospała.

– Mianowicie?

– Nie mogę znaleźć Kordka. Kordka Mafera. Nigdzie go nie ma.

Kątem oka dostrzegłam, że Radisza klęcząca obok ciała brata słucha, co mówimy. Wstała powoli i spojrzała w naszą stronę. Nie powiedziała ani nie zrobiła niczego, co mogłoby zdradzić choćby ślad zainteresowania. Jej intymne związki z Maferem nie były bynajmniej powszechnie znane.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien.

– A ściągnąłeś go na dół?

– Oczywiście.

Odkasznęłam. Zdawałam sobie sprawę z jeszcze jednej nieobecności, którą wszak postanowiłam ignorować, póki nie znajdzie się dla niej jakieś racjonalne wyjaśnienie. Zakłęta pod postacią czarnej pantery zmiennokształtna Liza Bomarsz również pojechała na równinę jako jeniec Kompanii, teraz wszak nie było jej ani wśród martwych na górze, ani Uwięzionych na dole.

Liza Bomarsz darzyła Czarną Kompanię niedającą się wręcz opisać nienawiścią, a zwłaszcza Jednookiego, którego winiła za uwięzienie w ciele kota. Musiałam więc zapytać:

– A co z panterą? Wierzba? Jej również nigdzie nie ma.

– Z jaką panterą? Ach. Pamiętam. Nie wiem. – Rozglądał się dookoła, jakby sądził, że zaraz wypatrzy gdzieś swego przyjaciela Mafera, ukrytego za stalagmitem. – Pamiętam, że musieliśmy ją zostawić na górze, ponieważ klatka nie chciała przejść przez pierwszy zakręt schodów. To znaczy przeszłaby, gdybyśmy z Duszołap nie mieli pozostałych na głowie, ale równocześnie nie mogliśmy zajmować się i jednym, i drugim. A więc Duszołap zdecydowała zostawić klatkę na później. Nie mam jednak pojęcia, co się z nią później stało. Niewiele pamiętam z tego, co działo się od momentu, gdy zesliśmy tu, na dół. Może Jednooki mógłby mnie poczęstować kolejną dawką zaklęcia przywracającego pamięć? –

Spoglądając w kierunku wejścia do jaskini, gładził pasma swoich włosów i nawijał na palce, zupełnie jak dziewczyna. – Pamiętam, że zostawiłem Kordka dokładnie tutaj, odrobinę wyżej niż Brzeszczota, gdzie, jak mi się wydawało, mogło być nieco wygodniej.

„Dokładnie tutaj” dotyczyło miejsca na skraju grupy siedmiu zmarłych. Musiał być jakiś związek.

– Goblin, co jest grane? Budzimy tych ludzi czy nie? – Jakbym nie słyszała ani słowa z tego, co powiedział wcześniej.

Goblin zareagował grymasem, który zaraz zmienił się w jeden z jego szerokich, żabich uśmiechów.

– Już wyciągnąłem Murgena.

– Wyciągnąłeś na górę? Potrzebny mi tutaj, żeby odpowiadał na pytania.

– Mówię, że wydobyłem go ze stazy, kretynko. Nigdzie dalej go nie ruszałem. Teraz pracuję nad Panią i Kapitanem. Tobo i Dodż zaczęli się przymierzać do Tai Deja i Prabrindraha Draha.

Sama nie zrobiłabym tego lepiej. Obudzenie dwu ostatnich miało posłużyć wyłącznie celom politycznym. Mało prawdopodobne, by któremuś zależało szczególnie na chwale czy przetrwaniu Kompanii.

Poszłam do miejsca, gdzie leżał Murgen i chrapał. Jedyne zmiany, jakie zauważyłam we wnętrzu jaskini, sprowadzały się do panującego zamieszania i topniejących lodowych sieci. Przykucnęłam.

– Czy ktoś pomyślał o zabraniu na dół koców? – Ja nie pomyślałam. Z pewnością zasłużyłam na miano osoby całkowicie niezorganizowanej, przynajmniej jeśli chodzi o planowanie operacji w czasie rzeczywistym. Nie pamiętałam ani o zapasowych ubraniach, ani kocach, ani żadnym innym sprzęcie. Tylko rozlew krwi i ogólny chaos potrafię zaplanować naprawdę świetnie.

Jednak gdzieś tu na dole powinny znajdować się komnaty pełne skarbów. Widziałam kilka przelotnie w moich snach. Może da się znaleźć w nich coś pożytecznego – o ile w ogóle do nich dotrzemy.

Zaburczało mi w brzuchu. Powoli robiłam się głodna. To przypomniało mi, iż zapewne niedługo sytuacja stanie się rozpaczliwa.

Murgen otworzył oczy. Wyraźnie próbował zdobyć się na coś więcej, choćby nieznacznym grymas czy uśmiechem dla Sahry, jednak okazało się to ponad jego siły. Spojrzał na mnie.

– Księgi. Weźcie... Córka... – wyszeptał i znowu zamknął powieki.

Goblin miał rację. Uwięzieni raczej nie będą żwawo podskakiwać i nie ruszą w tany.

Wiadomość od Murgena była jasna. Gdzieś tutaj były Księgi Zmarłych. Należało się nimi opiekować, nim Córka Nocy otrzyma następną szansę ich skopięwania. A ja nie miałam najmniejszych wątpliwości, że ta się pojawi, mimo że obecnie dziewczyna znalazła się w rękach Duszołap. Kina jej przecież nie opuści.

– Zajmę się nimi. – Nie miałam jednak zielonego pojęcia, jak niby to zrobić.

Operacja ratunkowa toczyła się gładko, niczym dobrze naoliwiona machina obłącznicza, której brakuje tylko kilku mniej ważnych części. Goblin wysłał już Murgena i Konowała na powierzchnię w zrobionych naprędce noszach.

Konował nie odezwał się nawet słowem, nie podjął też żadnych innych wysiłków porozumienia, mimo iż został obudzony i był świadomy. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Nie miałam pojęcia, co może dziać się w jego głowie. Pozostawało wierzyć, że jednak zachował zdrowe zmysły.

Zanim go wynieśli, Murgen zdołał jeszcze delikatnie uścisnąć moją dłoń. Potraktowałam to jako wyraz wdzięczności i próbę dodania otuchy.

Wcale nie podobało mi się, że jego stan uniemożliwia wspomóżenie nas informacjami albo radą. Dotąd niewiele myślałam, co zrobię, gdy Uwięzieni już się zbudzą. Działalam, opierając się na założeniu, że chyba wolno mi będzie wrócić do moich Kronik – a gdyby Murgen sam chciał zostać kronikarzem, może zatrzymam funkcję chorążego.

Mimo iż próbowałam wysłać na górę ostrzeżenie, że wspinaczka w drugą stronę jest okropna, coraz więcej ludzi schodziło na dół.

Przekleństwa białego kruka chwilami zamieniały się w na pół zrozumiałe bełkot, póki całkiem nie stracił głosu. Myślałam o Pani. Od dawna przebywała w ciele tego pierzastego szpiega i ani na moment nie zdradziła swojej tożsamości, nawet kiedy razem znalazłyśmy się w jednym mózgu, jednak teraz najwyraźniej traciła kontrolę. Samokontrolę. Zapewniałam ją nieustannie, że trafi na górę zaraz, gdy tylko znajdą się tragarze zdolni ją tam zanieść. Dodż, Sahra i Gota przygotowywali do transportu Tai Deia. Pozwoliłam im wyruszyć. Potem przyjdzie kolej na Jednookiego, następnie Pani. Prabrindrah Drah tym razem będzie ostatni.

Tobo zdawał się głęboko zafascynowany spotkaniem twarzą w twarz z ojcem, dotąd najwyraźniej chyba nie bardzo potrafił uwierzyć w jego

namacalne istnienie. Okoliczności rozłączyły rodziców właściwie prawie zaraz po jego poczęciu.

Chłopak ruszył za resztą swojej rodziny.

– Tobo, zostań tutaj. Masz robotę. Z ojcem zobaczysz się, kiedy już wyślemy na górę Panią i Księcia – zawołałam. – Cześć, Sjuwrin. Co cię tu sprowadza?

– Ciekawość. Ciekawość Sri Santaraksity. Upierał się, że musi zobaczyć jaskinie. Doprowadzał mnie do szaleństwa, wciąż wynajdując nowe odwołania do nich w legendach różnych religii. Nie wybaczyłby sobie, gdyby znalazł się tak blisko i nie zobaczył ich na własne oczy.

– Pojmuję. – Teraz zauważyłam już starego bibliotekarza. Szedł powoli wzdłuż szeregów starców, przyglądając się każdemu i mrucząc coś pod nosem. Prawie podskakiwał z podniecenia. Łabędź szedł za nim, uważając na każdy jego ruch. Bibliotekarz aż się rwał, by dotknąć, wręcz powąchać, każdy kawałek starożytnego metalu czy ubrania. Najwyraźniej nie potrafił pojąć, że ci starcy wciąż żyją, chociaż ich ciała tak łatwo mogą ulec zniszczeniu.

– Łabędź, dawaj go tutaj. – Nie tak dawno przecież pragnęłam skorzystać z jego ekspertyzy. Cichszym głosem powiedziałam Sjuwrinowi: – Jeśli nie da rady sam iść, poniesiesz go na własnym grzbiecie. A ja będę szła zaraz za tobą, dodając ci energii ostrym grotem włóczni.

Sjuwrin zastanowił się nad tym najwyraźniej już wcześniej. I ta perspektywa nie pociągała go bynajmniej.

– Ten człowiek nie ma pojęcia...

Przerwałam.

– Co z Sziwetją?

– Tron stoi prosto, z dala od szczeliny. Jednak nie mogę powiedzieć, aby Sziwetja był szczególnie wdzięczny.

– Powiedział coś albo zrobił?

– Nie. Wnioskuje to z wyrazu jego twarzy. Raz go upuściliśmy. Sam pewnie również nie byłbym nikomu wdzięczny, gdyby tak mnie traktowano.

Santaraksita dyszał ciężko, kiedy dotarł do nas. Był podekscytowany.

– Wędrujemy prawdziwymi śladami mitu, Dorabi! Zacząłem już błagać Pana Światłości, aby pozwolił mi żyć dość długo na zdanie sprawy z moich przygód przed badralok!

– Którzy nazwą cię kłamcą, zanim zdążysz powiedzieć więcej niż kilka zdań. Sri, doskonale wiesz, że Zacznych Ludzi nie interesują prawdziwe przygody. A teraz chodźcie wszyscy ze mną. Czeka na nas kolejna przygoda w podróży do krainy mitu. – Skierowałam się w głąb jaskini.

Wkrótce okazało się, że ktoś szedł tą drogą przede mną. Z początku podejrzewałam, że Tobo dotarł dalej, niżli pierwotnie mi się zdawało. Potem zrozumiałam, iż ślady w warstwie szronu są dużo starsze, co przypuszczalnie świadczyło, że musiała zapuścić się tutaj w swoich poszukiwaniach Duszołap.

A tam otwierały się przejścia do małych bocznych jaskiń, niektóre tylko dość szerokie, aby mógł się nimi przecisnąć dorosły. Przewór głównej jaskini stawał się coraz węższy. Najpierw musieliśmy się pochylić, potem zaczęliśmy iść na czworaka. Ktokolwiek szedł tędy wcześniej, najwyraźniej postępował tak samo.

– Wiesz, co robisz? – zapytał Łabędź. – Wiesz, dokąd właściwie idziemy?

– Oczywiście, że wiem. – Jedna z zasad dowodzenia: Zawsze sprawiać wrażenie, że panuje się nad sytuacją, nawet jeśli w istocie jest zupełnie inaczej. Należy tylko uważać, żeby nie weszło to w nawyk. W końcu ludzie zawsze się zorientują.

Byłam tu już w moich snach. Ale najwyraźniej nie tak do końca, ponieważ co kilkadziesiąt centymetrów odkrywałam szczegóły, których nie zapamiętałam z koszmarów. A potem natrafiliśmy na coś, czego już nie sposób było określić mianem szczegółu ze snu.

Omiał nie nadziałam się nosem na podeszwę buta, gdyż moją uwagę całkowicie pochłonęło odczytywanie śladów utrwalonych w powłoce szronu pokrywającego podłogę jaskini. Opowiadały historię kogoś, kto zdjęty paniką, próbował za wszelką cenę się stąd wydostać. Nie tylko powłoka lodu została zdarta, w niektórych miejscach również kamień był zarysowany bądź odłupany.

– Sądzę, że znaleźliśmy Mafera, Wierzba. – To był jeden z tych dziwnych momentów, kiedy zwraca się uwagę na zupełnie trywialne szczegóły. Pomyślałam tylko, że Kordek Mafer dawno powinien oddać buty do naprawy. Nie przyszło mi od razu do głowy zastanawiać się, jak noga leżącego na brzuchu człowieka może wykręcić się palcami ku górze. –

Lepiej przystańmy na moment i dokładnie wszystko sprawdzmy. Nie przypuszczam, by ktoś sam mógł sobie coś takiego zrobić.

– Ściągnę Goblina – orzekł Łabędź. – Zaczekajcie, póki nie wrócimy.

– Spokojna głowa. Jeszcze nie przestało mi zależeć na mojej skórze. Gdybym ją straciła, miałabym czego żałować podczas naszego miodowego miesiąca. – Wyciągnęłam miecz, a potem podniosłam się powoli, póki nie dotknęłam głową stropu.

Kordek Mafer wczuł się na wybrzuszenie w podłożu. I śmiertelna przygoda spotkała go, zanim zdążył przejść na drugą stronę.

Sjuwrin wsunął się obok mnie. W sposób całkowicie niewytłumaczalny jego bliskość, jako mężczyzny, stała się dla mnie krępująca. Na szczęście on wykazywał jeszcze większą indolencję w sprawach damsko-męskich niż ja. Przypuszczalnie więc zupełnie nie zauważył mojej nerwowej, skrępowanej reakcji.

Dziwne. Poczułam napływ emocji, które jednak z pewnością nie stanowiły zachęty do czynu. Od czasu do czasu odczuwałam takie nagłe, przypadkowe z pozoru podniety, niektóre naprawdę skrajnie trudne do opanowania. Jednak przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu nawet nie *myślę* o możliwości przygody w łóżku z mężczyzną.

Być może nie powinnam droczyć się z Łabędziem.

– Z pewnością nie wygląda to dobrze – stwierdził Sjuwrin. – Jak myślisz, co się stało?

– Nie zamierzam nawet zgadywać. Mam zamiar siedzieć tu i poczekać na specjalistę.

– Mogę zerknąć? – zapytał Santaraksita.

Sjuwrin ruszył wstecz, ale zaraz się przekonał, że staruszek jest zbyt gruby, aby można było przepchnąć się obok niego. Tak więc musieliśmy wszyscy cofnąć się o dwadzieścia metrów, aby Santaraksita mógł z kolei nas wyminąć. Nieustannie napominałam go, aby nie posuwał się dalej niż ja przed chwilą.

– Nie mam najmniejszej ochoty cię stamtąd wyciągać. – Jednak nie sposób nie przyznać, że mocno wyszczuplał od czasu, gdy dla niego pracowałam. – Poza tym przecież chcesz wrócić do domu i opowiedzieć o wszystkim badralok.

– Jeśli o nich chodzi, to niestety zapewne masz rację, Dorabi. Nie uwierzą w ani jedno słowo. I nie tylko dlatego, że są Zacnymi Ludźmi, ale

także ze względu na to, że Surendranat Santaraksita nigdy w życiu nie przeżył choćby jednej przygody. I nigdy nie czuł takiej potrzeby, póki przygoda nie przyszła do niego.

– Bogaci mogą sobie pozwolić na marzenia. Biedni umierają, aby mogły się spełniać.

– Nie przestajesz mnie zdumiewać, Dorabi. Kogo cytowałaś?

– V.T.C. Gosz. Był zwolennikiem B.B. Mjukerdziego, jednego z sześciu bomparańskich uczniów Sondela Gosza „Dżanaki”.

Oblicze Santaraksity aż pojaśniało.

– Dorabi! Jesteś doprawdy cudowny. Dziw nad dziwy. Uczeń zaczyna prześcigać mistrza. Z jakiego źródła korzystałaś? Nie przypominam sobie, abym wśród dzieł ze szkoły dżanakańskiej czytał coś o Goszu albo Mjukerdzim.

Uśmiechnęłam się jak dzieciak, któremu udała się psota.

– To dlatego, że cię nabrałam. Wymyśliłam ten cytat, Sri. – Ale teraz zdumiał się chyba jeszcze bardziej.

Naszą rozmowę przerwało pojawienie się Goblina.

– Łabędź mówi, że macie truposza.

– Tak. Z tej strony wygląda jak Kordek Mafer. Jednak nie widziałam twarzy. Postanowiłam niczego ruszać, póki nie dowiemy się, co się stało. Nie chcę, aby to samo przydarzyło się mnie.

Goblin chrząknął.

– Tłuscioszku, może cofniesz się trochę, żebym mógł tam przejść? Ten tunel robi się strasznie ciasny, no nie? Uważaj, żeby twój pulchny tyłeczek gdzieś go nie zakorkował. A w ogóle, jak wpadłaś na pomysł, żeby się tu wczołgać, Ospała?

– Gdzieś na końcu tej drogi Oszuści ukryli swoje Księgi Zmarłych.

Goblin obrzucił mnie osobliwym spojrzeniem, jednak najwyraźniej postanowił na tym poprzestać. Rozmawiałam z duchami w aparatach wytwarzających mgłę. Ptaki do mnie mówiły. Nawet teraz, w pewnej odległości, podążał za mną mówiący ptak. Obecnie nie miał wprawdzie wiele do powiedzenia, ponieważ całkowicie ochrypl, jednak od czasu do czasu potrafił wydusić z siebie jeszcze jedno czy dwa przekleństwa, uchylając się przed czymś kopniakiem.

– To ciekawe.

– Też tak sobie pomyślałam.

– Och, tia... A jednak to nie czary. Pułapka czysto mechaniczna. Uruchamiana sprężyną. Ukłucie zatrutą igłą. Przypuszczalnie czeka cię jeszcze dwadzieścia takich, zanim dotrzesz na miejsce. Jak myślisz, po co Mafer tu wlaźł?

– Może się obudził, zobaczył, że trafił tu na dół, i nie wiedział, gdzie jest ani co się stało? Spanikował i próbował uciec, tyle tylko, że wybrał zły kierunek. Założę się, że to przez niego ci goście tam nie żyją. Pewnie próbował ich obudzić.

Goblin chrząknął znowu.

– Dobra. Tę rozbroiłem. Lepiej będzie, jak pójdę przodem i zobaczę, czego tu jeszcze nie ma. Najpierw jednak musimy wyciągnąć Mafera, żeby szło precyzyjnie obok niego.

– Jeśli ty potrafisz się precyzyjnie obok niego, ja też dam radę.

– Tak, dasz radę. Ale co z twoim narzeczonym i twoim gachem? Trochę za bardzo obrośli w tłuszcz. – Mruknął coś i zaklął cicho, próbując przeciągnąć szczątki Mafera ponad wybrzuszeniem w podłożu. Po raz pierwszy zauważyłam, że w tej zdecydowanie bardziej ograniczonej i zatłoczonej przestrzeni echa są zupełnie inne. Umilkły prawie całkowicie.

Wcale nie uważam, byśmy wędrowali naprawdę całymi kilometrami do miejsca, gdzie starożytni Oszuści ukryli swe skarby i relikwie. Aczkolwiek kiedy tam dotarliśmy, moje ciało było innego zdania. Goblin rozbroił następnych kilkanaście pułapek, a co najmniej drugie tyle nie przetrwało próby czasu. Podziemny wiatr jęczał i zawodził w ciasnych przejściach obok nas. Pozbawiał resztek ciepła, lecz nie potrafił mnie zniechęcić. Doszłam w końcu tam, dokąd dojść chciałam. A kiedy już się tam znalazłam, z głodu byłam gotowa schrupać wielbłąda.

Od śniadania minęło naprawdę sporo czasu. Miałam przerażające przeczucie, że jeszcze więcej dzieli mnie od kolacji.

– Atmosfera niczym w świątyni, nieprawdaż? – spytał Sjuwrin. Wydawał się dużo bardziej opanowany niż nasza trójka. Chociaż wychował się bliżej tego miejsca niż którekolwiek z nas, znacznie gorzej znał mitologię Mrocznej Matki. Zatrzymał się, objął wzrokiem trzy pulpity i trzy spoczywające na nich wielkie księgi, potem odwrócił się do mnie i wyszeptał: – Proszę. – Z worka na plecach wyciągnął kawałek kruchego ciasta z nasion lnu i podał mi.

– Musisz chyba czytać w moich myślach.

– Mówisz do siebie. Nie sądzę, abyś do końca zdawała sobie z tego sprawę. – Miał rację. To był kiepski nawyk, którego winnam pozbyć się natychmiast. – Słyszałem, co mówiłaś, kiedy czołgaliśmy się tunelem.

To były prywatne rozmowy z moim Bogiem. Sądziłam, że wszystko ogranicza się do dialogu wewnętrznego. Ale oto pojawiła się kwestia jedzenia. I proszę bardzo, jest jedzenie. A więc może Wszechmogący wywiązuje się ze swych obowiązków?

– Dziękuję, Goblin. Wyczuwasz tu jakąś magię albo pułapki?

Echa powróciły, lecz zabrzmiały już inaczej. Znajdowaliśmy się wewnątrz wielkiej komnaty. Podłoga i ściany były z litego lodu, wypłukanego i wypolerowanego przez strumień zimnej wody. Zakładam, że

niewidzialny sufit powstał w ten sam sposób. Faktycznie panowała tu atmosfera świętości. Cóż z tego, że mrocznej?

– Nie ma tu żadnych pułapek, które byłbym w stanie wyczuć. Ale takie rzeczy znajdowałyby się chyba tylko na zewnątrz, co myślicie? – Mówił takim głosem, jakby próbował przekonać samego siebie.

– Prosisz mnie, abym nakreśliła ci portret psychologiczny czcicieli diabłów i rakszasów? Kapłani Vedna gwarantują, że nie ma takiego zła lub hańby, do którego nie byliby zdolni ci najbardziej wyklęci z niewiernych. –

Przynajmniej sądziłam, że takie byłoby ich zdanie, gdyby usłyszeli o Dusicielach. Ja sama nie wiedziałam o ich istnieniu, póki nie przystałam do Kompanii.

– Sri, nie sądzę, abyś powinien... – zaczął Sjuwrin.

Mistrzowi Santaraksicie od razu wpadły w oko niezwykle, starożytne księgi i po prostu nie mógł się powstrzymać, by nie podejść bliżej i przyjrzeć się im dokładniej. Zgadzałam się ze Sjuwrinem całkowicie.

– Mistrzu! Nie szarżuj...

Przez pierwsze pół sekundy odgłos przypominał rozrywanie płótna namiotu, skończył się czymś w rodzaju trzaśnięcia z bata. Mistrza Santaraksitę podrzuciło ponad posadzkę grzesznej kaplicy, skrzyło w górę, a potem cisnęło w naszą stronę, po torze tylko w niewielkiej mierze podlegającym wpływom grawitacji. Sjuwrin próbował go jeszcze łapać, Goblin zaś – się uchylić. Santaraksita odbił się bokiem od Sjuwrina i rykoszetem poleciał w moją stronę. Ostatecznie wszyscy leżeliśmy razem, zbici w jedną płataninę rąk i nóg.

Biały kruk miał nam do powiedzenia parę bardzo obraźliwych rzeczy.

– Ty i ja, i garnek do gulaszu, zwierzaczkę – wyszeptalam, kiedy byłam w stanie zaczerpnąć tchu. Szarpnęłam Goblina za nogę. – Żadnych pułapek więcej, co? Takie rzeczy zostawiliby poza jaskinią, tak? A więc co to, u diabła, było?

– To była magiczna mina-pułapka, kobieto. I na dodatek cholernie subtelna, jeśli już przy tym jesteśmy. Nie do wykrycia, póki Santaraksita w nią nie wszedł.

– Sri? Stało ci się coś? – zapytałam.

– Tylko moja duma ucierpiała, Dorabi – wydyszał. – Tylko moja duma. I jeszcze... chyba tydzień minie, zanim odzyskam oddech. – Stoczył się ze

Sjuwrina, podniósł odrobinę, stając na czworakach. Jego skóra przybrała odcień zdecydowanie zielonkawy.

– Czyli lekcja nic nas nie kosztowała – pocieszyłam go. – Nie pakuj się w nic, póki nie wiesz, co to jest.

– Pomyślałby kto, że przeżywszy ostatni rok, powinienem o tym pamiętać, nieprawdaż?

– Zaiste, można by tak pomyśleć.

– I niech nikt nie pyta przypadkiem, jak się czuje Junior – jęknął Sjuwrin. – Jemu na pewno nic się nie mogło stać.

– Oczywiście, że nic nie mogło ci się stać – poinformował go Goblin. – Skoro to on wylądował na twojej głowie. – Mały czarodziej pokuśtykał przed siebie. Kiedy dotarł do miejsca, w którym Santaraksitę poderwało z ziemi, jego ruchy stały się nagle bardzo ostrożne. Wystawił paluch, wysuwając go przed siebie w żółwym tempie, centymetr po centymetrze.

Odgłos rozrywania o wiele mniejszego kawałka płótna. Goblin zakręcił się wokół własnej osi, ramiona odrzucił do tyłu. Chwiejnie przeszedł kilka kroków, zanim osunął się na kolana tuż obok mnie.

– Po całym tym czasie zrozumiał w końcu, na czym polega naturalny porządek rzeczy.

Goblin potrzęsał dłonią w taki sposób, jak to się robi, oparzywszy palec.

– Jasna cholera, ci spryciarze. To jest naprawdę dobre zaklęcie. Nieźle strzela. Nie rób tego!

Sjuwrin rzucił kawałkiem lodu.

Odbity pocisk, lecąc w naszą stronę, minął jego głowę dosłownie o włos. A potem uderzył w ścianę jaskini, obsypując białego kruka okruchami lodu. Ptak miał na ten temat sporo do powiedzenia. A potem jeszcze puścił parę wiązanek. Zaczynałam się zastanawiać, czy Pani przypadkiem nie zapomniała, że przecież sama nie jest białym krukiem, a jedynie pasażerką korzystającą z oczu albinosa.

Goblin wsadził kontuzjowany palec do ust, przykucnął i przez dłuższą chwilę rozglądał się po komnacie. Ja przycupnęłam obok niego, ale dopiero po dłuższej chwili, którą poświęciłam na upewnienie się, że Mistrz Santaraksita i Sjuwrin nie zrobią czegoś jeszcze gorszego.

Do komnaty wślizgnął się Łabędź, płosząc kruka. Tym razem ptak zmilczał. Usadowił się na stronie, wyglądając jak król wszelkiego stworzenia. Łabędź usadowił się obok mnie.

- No, no. Mimo zamierzonej prostoty wywiera spore wrażenie.
- To są oryginały Ksiąg Zmarłych. Ponoć równie wiekowe jak sama Kina.
- A więc dlaczego siedzicie, nic nie robiąc?
- Goblin próbuje wykombinować, jak się do nich dostać. – Opowiedziałam, co się wydarzyło.
- Cholera. Najlepsze zawsze mnie omija. Hej, Junior! Idź tam i pokaż nam jeszcze raz tę sztuczkę z lataniem.
- To Mistrz Santaraksita latał, panie Łabędź. – Sjuwrin najwyraźniej musiał jeszcze popracować nad swoim poczuciem humoru. Brakowało mu nastawienia właściwego Czarnej Kompanii.
- Dlaczego sam nie spróbujesz, Wierzba? – spytałam – Idź po książkę.
- Obiecujesz, że pozwolisz mi na sobie wylądować?
- Nie. Ale prześlę ci buziaka, gdy będziesz przelatywał obok.
- Nie zaszkodziłoby, gdybyście się zamknęli na chwilę – podsumował Goblin. Wstał. – Ale dzięki temu, że jestem oszałamiająco, niewiarygodnie wręcz błyskotliwy, i tak całą rzecz rozpracowałem, pomimo waszego gadania. Dostaniemy się do pulpitów, używając jako wytrycha złotego kilofa. Pewnie dlatego Narajan Singh był tak zdenerwowany, kiedy zobaczył, co dostaliśmy.
- Tobo ma kilof – powiedziałam. Chwilę później dodałam: – Tylko się nie podepczcie, targając go na wyścigi.
- Wobec tego chodźmy razem i wtedy każdy będzie cierpiał po równo – zaproponował Goblin. – O to przecież chodzi w tej całej Czarnej Kompanii. Dzielimy razem i dobre, i złe chwile.
- Próbujesz mnie podstępem skłonić do uwierzenia, że to jest jedna z tych dobrych? – zapytałam, wypełzając z jaskini w ślad za nim.
- Nikt nie chciał nas dzisiaj zabić. Nikt nawet nie próbował. To brzmi dla mnie jak definicja dobrej chwili.
- Miał rację. Zdecydowanie.
- Być może moje nastawienie jako żołnierza Kompanii również domaga się nieco uwagi.
- Za mną Sjuwrin jęczał, że powoli czuje się jak suseł. Obejrzałam się za siebie. Łabędzia najwyraźniej poraził atak zdrowego rozsądku, każąc mu zająć miejsce z tyłu, co gwarantowało, że Mistrz Santaraksita nie będzie się

ociągał i zabawiał rzeczami mogącymi jeszcze zmienić opinię Goblina na temat dzisiejszego dnia.

– Dokąd on polazł? – zastanawiałam się na głos. Ludzie nadal pracowali w jaskini starożytnych, przygotowując Panią i Prabrindraha Draha do transportu po schodach. Toba jednak wśród nich nie było. – Nie pobiegł przypadkiem na górę, nieprawdaż? – Wprawdzie dysponował energią młodości, lecz nikt nie posiadał jej aż tyle, aby wspinać się po tych schodach na zawołanie.

Kiedy spacerowałam wokół, mrużąc do siebie i szukając dzieciaka, Goblin zrobił rzecz oczywistą – przepytał świadków. I uzyskał odpowiedź, zanim jeszcze zdążyłam zebrać w sobie solidną dawkę wściekłości.

– Ospała, poszedł sobie.

– Niespodzianka, niespodzianka... co? – Ale to nie koniec. Mały czarodziej był wyraźnie zdenerwowany.

– Poszedł w prawo, Ospała.

– On... och. – Teraz dopiero poczułam wzbierającą we mnie pasję. Krew mnie zalała, trzeszczało mi w głowie, w uszach rozbrzmiewało jednostajne: ktoś-za-to-zapłaci. – Ten idiota! Ten kretyn! Ten przeklęty głupiec! Obetnę mu nogi! Zobaczymy, może uda się go dogonić.

W prawo oznaczało: w dół. W prawo oznaczało: głębiej do wnętrzości ziemi i wstecz czasu, jeszcze niżej w rozpacz i mrok. W prawo mogła wieść tylko droga do miejsca spoczynku Matki Kłamstw.

Stąd też, kiedy wyszłam z jaskini z zamiarem pójścia w prawo, wzięłam ze sobą sztandar. Z ust białego kruka dobyło się krakanie pełne aprobaty.

– Pożalujesz, zanim przejdziesz sto stopni, Ospała – warknął Goblin.

Uszłam nawet mniej, a już kusiło mnie, by porzucić to cholerstwo. Drzewce było zbyt długie, aby targać je w ograniczonej przestrzeni klatki schodowej.

Te schody nie mają chyba końca – zwróciłam się do Goblina. Dyszeliśmy ciężko, mimo iż droga wiodła przecież w dół. Mijaliśmy wyloty innych jaskiń, otwierające się na klatkę schodową. Wszędzie napotykaliliśmy ślady wizyt istot ludzkich, które miały miejsce w odległej przeszłości. Skarbce i cmentarzyska. Podejrzewałam, że Sri Santaraksicie, Baladitji i mnie nie starczyłoby życia, aby chociaż skatalogować wszystkie tajemnice pogrzebane pod powierzchnią równiny. A każda cholerna starożytna rzecz, którą mijaliśmy, wołała do mnie syrenim głosem.

Tobo był jednak wciąż przed nami i wydawał się głuchy na nasze wołanie. Być może po prostu nie chciał marnować czasu i oddechu, odpowiadając, podobnie jak my nie reagowaliśmy na dochodzące z coraz większej dali okrzyki Sjuwrina i Santaraksity. Miałam naprawdę wielką nadzieję, że porazi ich przebłysk zdrowego rozsądku i zrezygnują.

Goblin ignorował moje uwagi. Nie miał siły mówić.

– Nie masz jakiegoś zaklęcia, przez które będzie szedł wolniej albo które pozbawi go przytomności? – dociekałam. – Martwię się. Nie mógł zejść tak daleko, by nas nie słyszeć. Cholera! – Zaplątałam się w drzewce sztandaru. Znowu.

Goblin tylko pokręcił głową i nie ustawał w marszu.

– Nie słyszy nas. – „Puf”. „Puf”. – Ale nie zdaje sobie z tego sprawy.

Dostatecznie jasno powiedziane. Schody miały gdzieś swój koniec. A tam drzemała Królowa Oszustów, przytomna wszak na tyle, by zwieść pewnego siebie chłopaka, przekonanego o własnej nieomyślności, który dysponował śladem talentu i który wszedł w posiadanie narzędzia mogącego stanowić paskudną broń w dłoniach ludzi pragnących obezwładnić ją i zagwarantować, by jej sen trwał wiecznie.

Po chwili musieliśmy zwolnić. Nienaturalne światło osłabło na tyle, że nie można było dostrzec podłoża pod stopami. Chwilowe podmuchy wiatru

głaszczącego nasze policzki nie były już zimne. Niosły ślad znanego, wstrętnego odoru.

Kiedy Goblin to poczuł, zwolnił i rozpaczliwie próbował odzyskać oddech, wreszcie jednak musiał wciągnąć smród pełną piersią.

– Minęło już trochę czasu, odkąd ostatni raz stawałem twarzą w twarz z bogiem – powiedział. – Nie mam pojęcia, czy dysponuję jeszcze tym, czego trzeba, żeby wszczynać z nim awanturę.

– Czego ja się dowiaduję? Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że mam za towarzysza doświadczonego adwersarza bogów.

– Do tego trzeba młodości. Do tego trzeba wiary we własne siły. Trzeba zuchwałości. A przede wszystkim trzeba mnóstwa głupoty i sporo szczęścia.

– Wobec tego, dlaczego po prostu nie usiądziemy i nie zaczekamy, aż wszystkie cechy, których Tobo ma aż w nadmiarze, pozwolą mu wykaraskać się z oparów? Choć muszę wyznać, że obawiałabym się, czy wystarczy mu szczęścia.

– Też mi to przyszło do głowy, Ospala. Uroczyście i szczerze cię zapewniam. On musi dostać swoją lekcję. – Zakłopotany, może nawet odrobinę przestraszony, ciągnął dalej: – Ale on ma kilof. Kompania go potrzebuje. On jest przyszłością. Ja i Jednooki to dziś i wczoraj. – Znowu zaczął iść szybciej, co przemieniało się natychmiast w nasilenie intensywności moich zmagania ze sztandarem.

– Co to znaczy, że on jest przyszłością?

– Nikt nie żyje wiecznie, Ospala.

Nie zwolnił ani na moment. Weszliśmy we mgłę, która dodatkowo utrudniała i tak już ryzykowny marsz w półmroku. Widoczność spadła do zera, a kolejne kroki stały się tym bardziej zdradzieckie dla niskiej osoby próbującej targać długą tyczkę w dół ciasnych i nieprzewidywalnych schodów. Wilgotne powietrze było aż ciężkie od smrodu. Nie dawało się go porównać z niczym, chyba tylko prócz mgieł gromadzących się nad niosącą trupy falą powodzi, która zalała Dżajkur podczas oblężenia.

Wysoko na schodach rozległ się przeszywający pisk. Przed oczyma przemknęły mi obrazy rozmaitych monstrów radośnie rozszarpujących Sjuwrina i Mistrza Santaraksitę.

Pisk nie chciał ścichnąć, zbliżając się szybciej, niżli istota ludzka byłaby w stanie schodzić po tych stopniach.

– Co to jest, do diabła? – sapnął Goblin.

– Nie... – Wrzask ucichł. Równocześnie spróbowałam dać kolejny krok w dół i zorientowałam się, że to niemożliwe. Zachwiałam się, oszukana przez ciemność. Lanca uderzyła w strop nad głową, potem w ścianę. Początkowo pomyślałam, że dotarliśmy do następnego podestu, póki nie zmaciałam wokoło gruntu czubkiem stopy i nie znalazłam żadnej krawędzi.

– Co tam masz? – spytałam.

– Za mną są schody. Ściana po prawej biegnie naprzód jakieś dwa metry, potem się kończy. Wszystko na poziomie parteru.

– U mnie jest ściana po lewej stronie, która się ciągnie nie wiadomo jak daleko i też parter. Ba! – Coś uderzyło mnie w plecy. Chwilę przedtem, zanim się to stało, ostrzegł mnie łopot ptasich skrzydeł, bijących rozpaczliwie, aby uniknąć zderzenia.

Biały kruk zaklął szpetnie, lądując na podłodze. Przez chwilę łąził tu i tam, a potem zaczął wspinać się na mnie. Widok musiał być niezły, zapewne, gdyby tylko było światło, dzięki któremu moglibyśmy go podziwiać.

Zwalczyłam w sobie pokusę kazającą oderwać stwora i cisnąć nim w ciemność. Należało zakładać, że przybył tu na pomoc.

– Tobo!

Przestrzeń poniosła mój głos, powracający szeregiem ech. W powietrzu ciężkim od oparów słowa pobrzmiwały tonem rozpacz.

Chłopak nie odpowiedział, ale chyba się poruszył. W każdym razie coś się poruszyło. Słyszałam szelest w odległości nie większej niżli sześć metrów.

– Goblin. Wytłumacz mi.

– Zostaliśmy oślepieni. Przez czary. Tak naprawdę tutaj jest światło. Pracuję nad odzyskaniem wzroku. Podaj mi rękę. Nie rozłączajmy się.

Kruk wymamrotał:

– Siostró, siostró. Idź prosto przed siebie. Patrz śmiało. Przejdziesz przez ciemność. – W ciągu ostatniego roku jego dykcja poprawiła się niewiarygodnie. Być może zresztą wpływ na to miała bliskość sił powodujących ptakiem.

Zacęłam macać wokół siebie, znalazłam Goblina, chwyciłam kurczowo, upuściłam sztandar, podniosłam i znowu kurczowo wpiłam się w małego czarodzieja.

– W porządku, jestem gotowa.

Kruk wiedział, o czym mówi. Po kilkunastu krokach dotarliśmy do oświetlonej jaskini w lodzie. To jest w miarę oświetlonej. Przyćmione, szarobłękitne światło sączyło się do wnętrza przez przejrzyste ściany, jakby tuż, pod kilkoma stopami lodu, właśnie było samo południe. Dużo więcej blasku roztaczała wokół siebie kobieta śpiąca na katafalku pośrodku wielkiej komnaty, ponad dwadzieścia metrów od nas. Tobo stał w pół drogi między nami a nią i oglądał się za siebie, całkowicie zaskoczony naszym widokiem, nie potrafiąc równocześnie pojąć, ani co tu robi, ani gdzie właściwie jest.

– Ani kroku, chłopcze – rzucił Goblin. – Nie waż się nawet głębiej odetchnąć, póki nie powiem ci, że to bezpieczne.

Sylwetka postaci na katafalku pozostawała nieco rozmyta, jakby spowijało ją drżące od gorąca powietrze. A mimo to wiedziałam, że mam przed sobą istotę najpiękniejszą na całym świecie. Wiedziałam, że kocham ją nad życie, że pragnę tylko podbiec do niej i pić bez tchu z jej cudownych ust.

Biały kruk kichnął mi w ucho.

Cały nastrój prysł.

– No i gdzie my to już wcześniej widzieliśmy? – zapytał Goblin głosem wręcz ociekającym sarkazmem. – Ona musi być straszliwie słaba, w przeciwnym razie wydobyłaby z naszych umysłów coś zasadniczo lepszego niż tę starą bajkę o Śpiącej Królownie. Nigdzie na południe od Morza Udrek nie pobudowano ani jednego stosownego zamku.

– Zamku? Co? Jakiego zamku? – Słowo oznaczające zamek w ogóle nie występuje w tagliańskim czy dzajkuriańskim. Tylko dzięki temu, że spędziłam mnóstwo czasu, wertując stare Kroniki, wiedziałam, iż chodzi mu o coś w rodzaju fortecy.

– Wedle tego, co widzę, znajdujemy się w wieży opuszczonego zamku. Wszędzie dookoła wiją się bezlistne pnącza dzikiej róży. Zalegają chyba całe tony pajęczych sieci. W środku zaś piękna blondynka, spoczywająca w otwartej trumnie. Aż się prosi, by ją ktoś pocałował i zbudził do życia. Jednak drugie dno tej historii, o którym zazwyczaj się nie wspomina i z którego istnienia nasza niewdzięczna gospodyni najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, stanowi fakt, iż jędrza z opowieści niemalże na pewno była wampirzycą.

– Ja widzę coś zupełnie innego. – Pieczołowicie, szczegół za szczegółem opisałam lodową komnatę i spoczywającą pośrodku na katafalku kobietę, która na pewno nie była blondynką. Podczas gdy mówiłam, Goblin rzucił wreszcie na Tobo subtelne zakłęcie, które zupełnie oszołomiło chłopaka, tak że nie był w stanie się poruszyć.

– Pamiętasz swoją matkę, Ospała? – spytał Goblin.

– Niejasno przypominam sobie kobietę, która mogła nią być. Umarła, kiedy byłam mała. Nikt nigdy nie mówił mi o niej. – Chwilowo nie musieliśmy tego przerabiać. Tu i teraz mieliśmy robotę do wykonania. Miałam nadzieję, że ton mego głosu i wyraz twarzy jednoznacznie dają do zrozumienia, co myślę.

– O co chcesz się założyć, że to, co widzisz, jest wyidealizowanym obrazem twojej matki, naładowanym dodatkowo mnóstwem prowokującej seksualności?

Nie kłóciłam się z nim. Mogło być i tak. Znał się na dziełach ciemności. Nadal wszakże szłam powoli naprzód, póki nie zrównałam się z Tobo.

– Stąd wniosek, że jeśli podejść ją dostatecznie szybko i zręcznie, nie połapie się w tym, co dzieje się wokół niej. – Dwadzieścia lat temu okazało się już, że Kinie ani myślenie, ani działanie nie wychodzą najlepiej, gdy trzeba poruszać się w czasie rzeczywistym, a największe sukcesy odnosi, rozciągając swe działania na całe lata. – Ja jestem już zbyt stary na takie kuszenie, ty zaś masz w sobie za mało erotyzmu i nazbyt niejasną tożsamość seksualną. – Uśmiechnął się słabo. – Natomiast dzieciak jest akurat we właściwym wieku. Oddałbym palec u stopy, albo dwa, żeby zobaczyć to, co on widzi. Już! – Machnął dłonią. Tobo osunął się na posadzkę bezwładnie jak szmaciana lalka. – Łap młotek. Chwyć go mocno. Nie zbliżaj się do niej bardziej aniżeli to konieczne. Weź Tobo z powrotem do drzwi. – W jego głosie wyraźnie było słychać świadomość starości i pustki oraz rozpacz, której nie chciał z nikim dzielić.

– Co się dzieje, Goblin? Powiedz mi. – Była to sytuacja, w której nikt nie powinien brać na siebie całego niebezpieczeństwa.

– Oto stoimy twarzą w twarz z wielką manipulatką, która od dwudziestu pięciu lat wtrąca się w nasze sprawy. Jest bardzo powolna, ale równocześnie znacznie bardziej niebezpieczna, niż wszystko, co napotkaliśmy dotąd.

– Wiem o tym. – Jednak czułam tylko uniesienie. Duch we mnie gorzał. Wszystkie moje ukryte wątpliwości, od tak dawna już tłumione, teraz wydały się trywialne, wręcz nawet głupie. Ta śliczna istotka nie była bogiem. Nie w taki sposób jak mój Bóg jest Bogiem. Wybacz mi moją słabość i me wątpliwości, o Panie Zastępów. Ciemność jest wszędzie i mieszka w nas wszystkich. Odpuść mi więc teraz, gdy bije godzina mej śmierci.

W Łaskowości Swej Jest On Niby Ziemia.

Schwyciłam Tobo za ramię i podniosłam siłą. Trzymałam go równie mocno jak sztandar. Nie miał ochoty łatwo ulec. Zdezorientowany, nie walczył jednak, kiedy odciągnęłam go od śpiącej postaci.

Odwróciłam oczy. Była zaiste pięknym wcielonym. Spojrzeć na nią równało się pokochać ją. A pokochać znaczyło poddać się bez reszty jej woli, zatracić w niej. O Panie Czasu wejrzyj na mnie i ustrzeż w obecności pomiotu al-Sziel.

– Tobo, daj mi kilof. – Próbowałam nie myśleć o tym, do czego mogę wykorzystać to diabelskie narzędzie. Z tak bliska Kina mogła wyrwać mi tę myśl z głowy.

Poruszając się wolno, Tobo wyjął kilof spod koszuli i podał mi.

– Mam! – powiedziałam Goblinowi.

– A więc idźcie już!

Kiedy już zaczęłam się wycofywać, na oświetloną przestrzeń wypadli Sjuwrin i Santaraksita, dysząc ciężko. Obaj zamarli, patrząc na Kinę. Zdjęty nieco trwogą, Sjuwrin oznajmił:

– Cholera! Ona jest wspaniała!

W oczach Mistrza Santaraksity wyraźnie odbijały się wewnętrzne zmagania.

Sjuwrin ruszył naprzód. Ślinił się. Tępym końcem kilofa uderzyłam go w to czułe miejsce na łokciu. Nie tylko przyciągnęłam jego uwagę, ale również wytrąciłam go z zauroczenia Kiną.

– Matka Oszustów – powiedziałam mu. – Pani Ułudy. Odwróć się. Wyprowadź stąd chłopaka. Zaprowadź go do matki. Sri, nie zmuszaj mnie, żebym robiła krzywdę także tobie.

Z ust śpiącej kobiety wydobyło się coś jakby pasmo mgły i zawisło ponad nami. Na chwilę przybrało kształt z grubsza przypominający człowieka, przywodząc mi na myśl efryty, nieszczęsne duchy

pomordowanych. Miliony takich diabłów mogły czekać na jeden tylko gest Kiny.

– Uciekajcie, do cholery! – powiedział Goblin.

– Uciekajcie – powtórzył biały kruk.

Nie uciekłam. Schwyciłam Santaraksitę i zaczęłam go wlec.

Goblin mówił coś do siebie, o tym, że żałuje, iż nie miał na tyle zdrowego rozsądku, by ukraść włócznie Jednookiego, jeśli już musiał pakować się w takie coś.

– Goblin! – Rzuciłam w jego stronę drzewce sztandaru. Zupełnie niezamierzenie upadło, odbiło się od posadzki, podskoczyło kilkakrotnie, a potem pochyliło i wsunęło prosto w wyciągniętą dłoń małego czarodzieja. On sam odwrócił się, kiedy iluzje otaczające Kinę zniknęły.

Nawet jeśli Kina miała kiedyś cechy ludzkie; jeśli któraś z niezliczonych postaci mitów o jej stworzeniu zawierała w sobie choć ziarno prawdy, to mnóstwo pracy włożono później w uczynienie jej paskudną.

Ona jest Matką Oszustów, Ospala. Matką Oszustów. Ta wielka, odrażająca postać z krostami, z których niemowlęce czaszki wypływają niczym ropa, może być prawdziwym wcieleniem Kiny w takim samym sopniu jak śpiąca piękność.

Odór zastarzałej śmierci stał się nie do zniesienia.

Patrzyłam na ciało, spoczywające teraz na lodowej podłodze. Miała ciemną, purpurowo-czarną skórę tancerki śmierci z moich snów, ale Sziwetja przy niej wydawał się mały. Jej ciało było nagie. Wrażeniu wywieranemu przez idealne kobiece proporcje przeczyły tysiące blizn znaczących skórę. Nie poruszała się, nawet nie oddychała.

Kolejna smużka oparu uniosła się z ogromnego nozdrza.

– Zwiewajcie stąd! – wrzasnął Goblin. Znienacka skoczył gdzieś w prawą stronę, Lanca Cierpienia uderzyła w cel, którego nie byłam w stanie dostrzec. Jej grot zapłonął, pokryły go niebieskie płomyki, jak od zapalonego alkoholu.

Przerażający, niesamowity krzyk wdarł się w mój umysł. Sjuwrin i Mistrz Santaraksita jęknęli jak jeden mąż. Tobo pisnął. A z dzioba białego kruka wydobył się stek zupełnie niepowiązanych ze sobą obscenicznych słów. Jestem pewna, że też musiałam mieć swój udział w tym chórze. Kiedy, ponaglając, kopałam i popychałam pozostałych, zdałam sobie sprawę, że gardło mam całe obolałe.

Goblin zakręcił się w lewą stronę, pchnął grotem Lancy w pasmo mgły, które dokładnie przed momentem opuściło nozdrze Kiny.

I znowu bladoniebieskie światło spowiło grot Lancy. Tym razem, zanim zniknęło, objęło również dobre trzydzieści centymetrów drzewca. A na ostrych krawędziach grotu zalśniły maźnięcia ciemnorubinowej poświaty.

Kolejne pasmo esencji wydostało się z nosa Kiny.

Wejścia do komnaty już nie skrywała mgła ani mrok. Kina całą swą uwagę musiała skupić w innym miejscu. Sjuwrin i Santaraksita ruszyli po schodach, marnując oddech na paplaninę o tym, co właśnie przeżyli. Uderzyłam głową w Tobo z całą siłą, na jaką było mnie jeszcze stać.

– Wynosimy się stąd!

Kiedy otworzył usta, aby zaprotestować, uderzyłam go znowu. Nie chciałam słuchać jego wyjaśnień. Niczego nie chciałam słuchać. Nawet boskiego objawienia. To mogło poczekać.

– Goblin! Zabieraj stamtąd swoją smutną dupę. Już nas tu nie ma.

Grot Lancy przebił trzecie pasmo. Tym razem ogień wspiał się dwa metry po drzewcu i z pozoru nie wyrządził drewnu żadnych szkód. Jednakże tym razem grot rozgrzał się tak, że na styku trzonu zaczęło dymić.

Goblin zaczął się wycofywać, ale kolejna smuga dymu uniosła się w powietrze i podryfowała szybciej, niż poruszał się on sam, blokując wejście na schody. Kilkakrotnie próbował je przebić, jednak za każdym razem odsuwało się poza zasięg broni. Wciąż odcinało jedyną drogę ucieczki.

Nie jestem żadną czarownicą. I choć całe życie spędziłam w bezpośredniej bliskości czarodziejów, wiem i im podobnych, nie mam pojęcia, jak funkcjonuje ich umysł, kiedy oddają się swej profesji. Stąd też nigdy dowiem się na pewno, jaki proces myślowy doprowadził Goblina do jego decyzji. Ale ponieważ znałam go przez większość mojego życia, musiałam wyciągnąć wniosek, że zrobił to, co zrobił, ponieważ wierzył, że jest to najlepsza rzecz, jaką zrobić można.

Ponieważ nie potrafił dać sobie rady z nawleczeniem mglistej istoty na Lancę, a równocześnie zauważył, że pojawiła się druga, oskrzydłając z drugiej strony, mały człowieczek o żabiej twarzyczce po prostu odwrócił się, opuścił grot Lancy i ruszył w kierunku Kiny. Wydał z siebie gromki, pełen wściekłości okrzyk i wbił broń przez mięsień ramienia prosto w klatkę piersiową poniżej jej prawej piersi. Na moment przedtem, nim grot wszedł w ciało, jedna ze smużek dymu ustawiła się tak, by zablokować cios. Grot Lancy płonął, wbijając się w demoniczne cielsko.

Atak drugiej widmowej istoty zmienił Goblina w żywą pochodnię.

Mimo to przez wrzask bólu wciąż można było słyszeć słowa nakazujące się nam wynosić. Goblin dalej napierał na Lancę, zagłębiając ją coraz

bardziej w ciało Kiny, zapewne kierowany jakąś szaleńczą, dziką nadzieją przebicia jej czarnego serca.

Błękitne płomienie pożerały ciało Goblina. Puścił Lancę, rzucił się na lodowatą podłogę. Tarzał się, próbował zgasić płomienie uderzeniami dłoni. Na nic. W pewnej chwili jego ciało zaczęło topić się niczym świeca ciśnięta w ogień.

Krzyczał i krzyczał.

Na tym psychicznym poziomie egzystencji, na którym wyczułam jej obecność parę chwil wcześniej, Kina krzyczała również i nie mogła przestać. Tobo wrzasnął. Ja wrzasnęłam także i chwiejnie ruszyłam po schodach, rejterując, mimo iż jakaś szalona część mej duszy chciała wracać i pomóc Goblinowi. A nie byłoby większego szaleństwa. Niszczycielka władała jaskinią wedle swej woli.

Goblin zadał jej cios ze wszystkich sił, jednak tak naprawdę nie mógł on wyrzucić poważniejszych skutków niżli skubnięcie ucha śpiącego tygrysa, na jakie stać wilcze szczenię. Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. I wiedziałam, że przyłapany wilczek próbował tylko zyskać na czasie, by reszta stada mogła uciec.

– Tobo, idź naprzód tak szybko, jak tylko potrafisz. Powiedz pozostałym – wydyszałam. Był młodszy, szybszy, dojdzie na górę po stokroć prędzej niż ja.

Był przyszłością.

Postaram się zatrzymać wszystko, co będzie próbowało iść po schodach za nim.

Na dole nie ustawały krzyki wyrywające się z obu gardeł. Goblin wykazał się daleko większym uporem aniżeli podczas któregośkolwiek sporu z Jednookim.

Wspinaliśmy się tak szybko, jak tylko potrafił Mistrz Santaraksita. Trzymałam się z tyłu, w każdej chwili gotowa odwrócić się i zasłonić przeklętym kilofem przed czymkolwiek, co mogło nas ścigać. Wierzyłam, że moc talizmanu osłoni nas.

Schody nie tonęły już w mroku. Widzialność była o wiele lepsza niż wówczas, gdy schodziliśmy na dół. Była w istocie tak dobra, że gdyby nie podesty, przełamujące ciąg, moglibyśmy widzieć na półtora kilometra w górę.

Zanim jeszcze wrzaski ucichły, ledwie chwyciłam oddech i musiałam walczyć z kurczami w nogach. Sjuwrin zdążył już raz upaść, wymiotując te żałosne resztki, które zawierał jego żołądek. Mistrz Santaraksita musiał wydawać się obecnie chyba najtwardszy z nas, trzeba przyznać, że nie poskarżył się ani razu, chociaż był tak blady, iż należało się poważnie obawiać, czy jego serce wytrzyma.

Kiedy wszyscy razem zatrzymaliśmy się dla złapania oddechu, spojrzałam w dół, wsłuchując się w złowieszczą ciszę.

– Bóg jest Wielki. – Rozpaczliwy wdech. – Nie ma Boga ponad Boga. – Wdech. – W Łaskawości Swej Jest Niczym Ziemia. – Wdech. – On Nie Opuści Nas w Najgorszej Godzinie. – Wdech. – O Panie Stworzenia, Zaiste Jestem Twym Dzieckiem.

Mistrz Santaraksita najwyraźniej miał jeszcze dość tchu w płucach, by mnie złąjać:

– Znudzi się i znajdzie sobie coś innego do roboty, Dorabi, jeśli nie przejdiesz do rzeczy.

– Jak to idzie? – Wdech. – Pomocy!

– Lepiej. Znacznie lepiej. Sjuwrin! Wstawaj.

Biały kruk przemknął w tunelu klatki schodowej niczym strzała iomal mnie nie przewrócił, lądując na moim ramieniu. Sama dodatkowo utrudniłam wszystko, próbując uchylić się przed nadlatującym ptaszyskiem. Za co dostałam po twarzy roztrzepotanymi skrzydłami.

– Wspinajcie się – powiedział. – Powoli, bez paniki. Równym tempem. Ja będę strzec tyłów.

Wspinaliśmy się więc przez następne pięć lub dziesięć dni. Czułam, jak doskwiera mi głód. Przerazenie i brak snu sprawiały, że widziałam rzeczy, których tak naprawdę wcale nie było. Nie oglądałam się za siebie, w obawie, że zobaczę jakiegoś ścigającego nas potwora. Szliśmy coraz wolniej, w miarę jak wysiłek wyczerpywał naszą energię i wolę oraz zdolność regeneracji. Przejście z jednego podestu na drugi zmieniało się w poważną wyprawę, wymagającą zupełnie skrajnego natężenia siły woli. Potem zaczęliśmy robić odpoczynki między podestami, chociaż ani Sjuwrin, ani Santaraksita nigdy tego nie zaproponowali.

– Zatrzymajcie się i prześpijcie – poradził mi kruk.

Nikt się z nim nie sprzeczał. Są granice tego, jak daleko może kogoś zaprowadzić przerażenie i jak wiele można zeń zaczerpnąć. My właśnie

osiągnęliśmy nasze granice. Przytomność straciłam tak szybko, że później twierdziłam, iż usłyszałam pierwsze swoje chrapnięcie, zanim jeszcze moja głowa dotknęła kamieni podestu. Zасыpiając, zdałam sobie sprawę, że kruk poderwał się w ciemność i znowu poleciał w dół.

Ospała?

Moja dusza chciała podskakiwać i miotać się w przerażeniu. Moje ciało było do tego niezdolne i całkiem możliwe, iż przyjęłoby najgorszy nawet los z zupełną obojętnością. Byłam tak zeszywniała i obolała, że zwyczajnie nie potrafiłam się ruszyć.

Mój umysł pracował jednak wciąż nieźle. Myśli biegły rączo niczym górski strumień.

– He? – Wciąż próbowałam w jakiś sposób zmusić do ruchu choćby jeden mięsień.

– Spokojnie. To ja, Wierzba. Otwórz oczy. Jesteś bezpieczna.

– Co ty robisz tu, na dole?

– Gdzie na dole?

– Hmm...

– Znajdujecie się na podeście poprzedzającym wejście do groty starożytnych.

Wciąż próbowałam się podnieść. Powoli, mięsień za mięśniem, ciało stopniowo podporządkowało się woli. Rozejrzałam się dookoła, ale obraz świata docierał do mnie niby przez mgłę. Sjuwrin i Mistrz Santaraksita nadal spali.

– Są zmęczeni i nie ma co się dziwić – stwierdził Łabędź. – Twoje chrapanie usłyszałem aż w jaskini na górze.

Uklucie strachu.

– Gdzie jest Tobo?

– Poszedł na samą górę. Wszyscy poszli. Kazałem im iść. Zostałem na wypadek... Kruk zabronił mi schodzić w dół. Ale co znaczy jeden podest. Myślisz, że dasz radę iść? Nie poniosę wszystkich. Ledwie sam podołam wejść na górę.

– Uda mi się przejść jedno piętro. Do jaskini. Na razie powinno wystarczyć.

- Do jaskini?
- Mam tam jeszcze coś do zrobienia.
- Jesteś pewna, że nie chcesz pójść od razu na górę?
- Jestem pewna, Wierzba. – O ile wiedziałam, mogła to być sprawa życia lub śmierci. Całego świata. Wielu światów. Ale po co dramatyzować?
- Możesz przywrócić tych dwu do stanu używalności? I skierować na górę?
- Nie wydawało mi się, aby Mistrz Santaraksita zniósł widok tego, co zamierzałam zrobić w następnej kolejności.
- Wyprawię ich na górę. Niemniej ja sam zostanę z tobą.
- To nie będzie konieczne.
- Mylisz się, będzie. Ledwie trzymasz się na nogach.
- Dam sobie radę.
- Ty pójdziesz przodem i będziesz gadać, a ja będę czuwać, żebyś nie wpadła w tarapaty. Zatem zostaję.

Patrzyłam na niego twardym wzrokiem przez dłuższą chwilę. Nie umknął spojrzeniem. Nie zdradził też żadnej pobudki stojącej za jego decyzją, prócz troski o towarzysza broni, którego podejrzewał o wyraźne oznaki słabości na umyśle. Przymknęłam powieki, a potem, po jakiejś półminucie, otworzyłam i spojrzałam w głąb schodów.

– Bóg usłyszał.

Łabędź właśnie męczył się ze Sjuwrinem. Oficer z Ziemi Cienia miał oczy otwarte, ale wydawał się niezdolny poruszać.

– Muszę być żywy – wymamrotał. – W przeciwnym razie tak by nie bolało. – W jego oczach rozblęskło przerażenie. – Wydostaliśmy się?

– Wydostajemy – odparłam. – Wciąż jeszcze mamy długą drogę do przejścia.

– Goblin nie żyje – stwierdził Łabędź. – Usłyszałem od kruka, kiedy przyleciał na górę się posilić.

– Gdzie jest ten stwór?

– Na dole. Pilnuje.

Poczułam przeszywający dreszcz. Znowu muśnięcie paranoi. Między Panią a Kiną istniał związek już od czasu, gdy Narajan Singh i Kina wykorzystali ją w roli naczynia, w którym poczęta została Córka Nocy. Tym samym stworzyli połączenie, które Pani dodatkowo chytrze ugruntowała i uczyniła nierozrywalnym, aby tym sposobem czerpać moc od bogini w nieskończoność.

– Wybacz mi, o Panie. Przegnaj te bezbożne myśli z mego serca.
– Hę? – zdumiał się Łabędź.
– Nic, to część niekończącego się dialogu między mną a moim Bogiem. Sjuwrin! Słodziutki. Jesteś gotów wykonać dla mnie kilka wymachów i podskoków?

Sjuwrin odpowiedział mi marsem na czole ponurym jak burza, do którego zdążyłam się już jednak przyzwyczaić.

– Walnij ją, Łabędź. W chwilach takich jak ta wesołość powinna być uznana za zbrodnię przeciwko prawom ziemi i niebios.

– Za chwilę tobie również zrobi się wesoło. Gdy tylko zrozumiesz, że wciąż jeszcze żyjesz.

– Uff! – Zabrałam się wraz z Łabędziem do budzenia Mistrza Santaraksity.

Skoro już udało mi się wstać, postanowiłam zrobić kilka prostych ćwiczeń na rozluźnienie.

– Ach, Dorabi – cicho odezwał się Santaraksita. – Przeżyliśmy razem kolejną przygodę.

– Bóg nam sprzyja.

– Wspaniale. Nie zniechęcaj Go. Nie przypuszczam, aby bez boskiej pomocy udało mi się przeżyć następną.

– Przeżyjesz mnie, Sri.

– Niewykluczone. Zwłaszcza kiedy uda mi się ocalić życie z tej przygody i już nigdy więcej nie kusić losu.

– Sri?

– Postanowiłem. Już więcej nie chcę być poszukiwaczem przygód, Dorabi. Jestem na to za stary. Nastał czas, aby znowu zamknąć się w bezpiecznym schronieniu biblioteki. To po prostu zbyt bolesne. Au! Młody człowieku...

Łabędź wyszczerzył się.

Wcale nie był dużo młodszy od bibliotekarza.

– Wstawaj i ruszamy, staruszk. Jeżeli będziesz tak tu leżał, to ta przygoda, co ją znalazłeś w dole, złapie cię i robi ci krzywdę.

Ta możliwość dostarczyła bodźca nam wszystkim.

Kiedy w końcu udało się nam wyruszyć, zajęłam miejsce na tyłach. Łabędź poganiał moich towarzyszy. Schwyciłam złoty kilof tak mocno, że aż rozboleły mnie kłykcie.

Goblin nie żył.

To wydawało się zupełnie niemożliwe.

Goblin był stałym elementem mego życia. Był niezniszczalny. Jak kamień węgielny. Bez Goblina nie będzie Czarnej Kompanii... Chyba oszalałaś, Ospała. Rodzina nie przestaje istnieć tylko dlatego, że jednego z jej członków, zupełnie niespodzianie, spotkał zły los. Życie nie skończy się pod nieobecność Goblina. Po prostu stanie się nieco cięższe. W tym momencie wydało mi się, że słyszę znowu szept Goblina: „On jest przyszłością”.

– Ospała, obudź się.

– Co?

– Jesteśmy w jaskini – odparł Łabędź. – Wy dwaj wspinać się dalej. Później was dogonimy.

Sjuwrin już chciał o coś spytać. Pokręciłam głową, wskazałam palcem w górę.

– Idźcie. Już. I nie oglądajcie się za siebie. – Czekałam, póki nie zobaczyłam, że Sjuwrin naprawdę prowadzi Mistrza Santaraksitę wokół spiętrzonych głazów, ku schodom. – Dogonimy was.

– Co to jest? – zapytał Łabędź. Przyłożył do ucha zwiniętą dłoń.

– Nic nie słyszę.

Wzruszył ramionami.

– Teraz przestało. Gdzieś w górze schodów.

Weszliśmy do groty starożytnych. Jej cudowność całkowicie zadeptały hordy ciekawskich żołnierzy Kompanii. Byłam zdumiona, jak im się to udało, bez wyrządzenia poważniejszej krzywdy śpiącym. A wszystko wyglądało, jakby wspaniałe, delikatne sieci i kokony lodowe zostały porozrywane. Kilka stalaktytów spadło ze stropu.

– Jak to się stało?

Łabędź zmarszczył brwi.

– Podczas trzęsienia ziemi.

– Trzęsienia ziemi? Jakiego trzęsienia ziemi?

– Ty nic nie... było trzęsienie jak cholera. Nie powiem ci dokładnie jak dawno. Pewnie jak wszyscy byliście na dole. Tutaj trudno wyczuć upływ czasu.

– Żartujesz. A fe! – Odkryłam, skąd biały kruk czerpie całą swoją energię. Zrobił sobie ucztę na ciele jednego z moich martwych braci.

Jakaś najbardziej niegodziwa część mnie samej zaczęła igrać z myślą, żeby pójść za jego przykładem. Inna część zastanawiała się, co będzie, jeśli Konował się dowie. Ten facet miał prawdziwą obsesję na punkcie świętości kompanijnego braterstwa.

– Nigdy się nie dowiesz, do czego jesteś zdolna, póki nie staniesz oko w oko z bykiem na arenie, co?

– Co?

– Przysłowie z rodzinnych stron. Mówi, że kiedy naprawdę trzeba stawić czoło rzeczywistości, wszystko wygląda inaczej niż podczas przygotowań. Tak naprawdę nigdy nie wiesz, co zrobisz, dopóki nie znajdziesz się w danej sytuacji.

Minęłam pozostałych Uwięzionych i ani razu nie musiałam patrzeć w niczyje otwarte oczy. Zastanawiałam się przez moment, czy mogą mnie usłyszeć. Na wszelki wypadek powiedziałam im parę słów pocieszenia, które wszakże nawet w moich uszach brzmiały słabo. Tymczasem jaskinia zaczęła się kurczyć. Kiedy nadszedł czas, zaczęłam się czołgać.

– Chyba jednak lepiej, że mimo wszystko poszedłeś ze mną – powiedziałam do Łabędzia – Zaczynam mieć lekkie ataki nudności.

– Słyszałaś?

Nasłuchiwałam. Tym razem rzeczywiście coś usłyszałam.

– Brzmi, jakby ktoś śpiewał. Piosenkę marszową? Coś pełnego różnych „ju-hu-hu”. Ki diabeł?

– Tutaj na dole? Krasnoludy też tu są?

– Krasnoludy?

– Istoty mityczne. Przypominające niewysokich ludzi z długimi brodami, właściwie stale w złym humorze. Żyją pod ziemią, jak nagi, mają tylko być rzekomo świetne w górnictwie i metalurgii. Jeśli kiedykolwiek istnieli, wymarły dawno temu.

Śpiew stawał się coraz głośniejszy

– Zróbmy, co mamy do zrobienia, zanim ktoś nam przeszkodzi.

Pesymistka we mnie była pewna, że nie uda się nam załatwić tej sprawy. Jeśli już nic innego nie stanie na przeszkodzie, to z pewnością trzęsienie, o którym Łabędź napomykał, odcięło w jakiś sposób komnatę bezbożnych ksiąg od reszty świata. A jeśli wejście do niej nie zostało jednak odcięte, wówczas z pewnością wpakuję się prosto w jedyną pułapkę, którą Goblin przeoczył. A jeśli Goblin nie przeoczył żadnych pułapek, wówczas okaże się, że kilof wcale nie jest Kluczem wyposażonym w moc ochronną, ale zapalnikiem wyzwalającym tysiąc ukrytych czarów chroniących księgi.

– Ospała, wiesz, że kiedy zaczynasz się czymś martwić, mówisz do siebie?

– Co?

– Pełniesz tu i nie przestajesz mamrotać pod nosem, wymieniając wszystkie najgorsze rzeczy, które mogą się wydarzyć. Rób tak dalej, a w końcu mnie przekonasz.

To już drugi raz. Powinnam naprawdę jakoś się opanować. Nie przywykłam, by zwracano mi na to uwagę.

Komnata, w której ukryto Księgi Zmarłych, nie zmieniła się z pozoru wcale. Pesymistka we mnie starała się wszak ze wszystkich sił wypatrzeć jakąś złowieszczą różnicę.

Na koniec Łabędź zapytał:

– Masz zamiar wpatrywać się w to miejsce, póki nie pomrzemy z głodu? Czy może ruszysz się wreszcie i coś zrobisz?

– Zawsze lepiej szło mi z planowaniem niż z działaniem, Wierzba. – Wciągnęłam w płuca łyk lodowatego powietrza, wydobyłam kilof z pasa i zaintonowałam: – O Panie Niebios i Ziemi, spraw, aby nie było hasła, które trzeba znać, nawet mając kilof.

– Panie przodem, szefowo – zażartował Łabędź, równocześnie popychając mnie naprzód. – Nie łam się teraz.

Oczywiście, że się nie załamie. To byłaby obraza dla ofiary i pamięci Goblina.

Kiedy doszłam do miejsca, gdzie Mistrz Santaraksita uczył się latać, zdałam sobie sprawę, że oddycham gwałtownie i płytko. Obiema dłońmi trzymałam kilof przed sobą, aż zeszywniałe mięśnie zaprotestowały bólem. Ściskałam go tak mocno, że można się było obawiać, iż skóra z palców przywrze doń na stałe.

Mrowienie zaczęłam odczuwać najpierw w dłoniach. W miarę jak szłam naprzód, ogarnęło również przedramiona. Armie mrówek zaczęły wędrować po mojej skórze.

– Lepiej trzymaj się blisko mnie, Wierzba – powiedziałam na wypadek, gdyby ktoś musiał odciągnąć mnie do tyłu. – Na wypadek, gdybyś musiał mieć bezpośredni kontakt z kilofem. – Tarcza ochronna nie odrzuciła mnie. Jak na razie.

Łabędź położył obie dłonie na moich ramionach na moment przedtem, nim mrowienie objęło resztę ciała. Zaczęłam drzeć niepowstrzymanie. Nagle dopadł mnie chłód i dreszcze, jakbym znalazła się u progu jesieni swego życia.

– Och! – szepnął Łabędź. – To jest niesamowite.

– I stanie się jeszcze niesamowitsze – obiecałam. – Mam właśnie jeden z tych ataków malarycznych, kiedy dreszcze przeszywają aż do szpiku kości.

– Hm... no tak. Ja również to czuję. Oprócz tego jeszcze strasznie łupie w stawach. Chodźmy. Jak rozpalimy ogień, zrobi się cieplej.

Czy ogień wystarczy?

Kiedy pokonaliśmy kolejne trzy metry, dolegliwości przestały narastać. Gęsia skórka zniknęła. Odwróciłam się do Łabędzia

– Myślę, że można go już bezpiecznie odłożyć.

– Powinnaś zobaczyć swoje włosy. Gdzieś w połowie drogi każdy chyba postanowił pójść w swoją stronę. Trwało to tylko parę kroków, ale widok był przedni.

– Zapewne. – Tak czy siak, moje włosy zazwyczaj stanowiły przedni widok. Nie poświęcałam im nawet po części tyle uwagi, ile powinnam, i potrafiłam nie czesać się miesiącami. – Masz coś do skrzesania ognia?

– A ty nie? Nie przygotowałaś się na to? Wiedziałaś, że trzeba będzie to zrobić, i nie wzięłaś...

– W porządku, użyjemy mojego krzesiwa. Po prostu nie zostało mi zbyt dużo hubki. Nie chciałam używać mojej, skoro mogłam najpierw skorzystać z twojej.

– Wielkie dzięki. Stajesz się równie paskudna jak tych dwóch odrażających starców. – Skonsternowany, umilkł nagle, przypomniawszy sobie, że jeden z tych dwóch odrażających starców właśnie zakończył swą służbę w Kompanii.

– Uczyłam się od najlepszych. Posłuchaj. Myślałam nad tym trochę. Nawet jeśli przeszliśmy przez wszystkie pułapki, może się okazać, że księgi same w sobie są niebezpieczne. Wnioskując ze sposobu, w jaki działa umysł czarodziejów, najprawdopodobniej nie byłoby rzeczą szczególnie bezpieczną zaglądać w karty ksiąg. Jedno spojrzenie na tekst może się skończyć tak, że przez resztę życia będziesz tu sterczał i czytał... nie potrafiąc zrozumieć choćby słowa... na głos. Pamiętam, że kiedyś czytałam o zaklęciu, które działa w ten sposób.

– A więc co zrobimy?

– Zauważyłeś, że wszystkie trzy księgi są otwarte? Musimy podejść do nich i spróbować zamknąć je od dołu. W ten sposób pierwsza okładka znajdzie się na spodzie. A nawet wtedy, gdy będziemy je palić, powinniśmy trzymać powieki zupełnie zamknięte. Czytałam o tajemnych księgach, do których okładek przykuci byli rakszasowie. – Aczkolwiek w bibliotece, w której pracowałam, nie znalazłam nigdy nic równie ekscytującego.

– Mówiąca książka, która sama się dla mnie przeczyta. Oto czego mi trzeba.

– Sądziłam, że Duszołap zmusiła cię do nauki czytania, kiedy byłeś królem Szarych.

– Zrobiła to. Ale to nie znaczy wcale, że lubię czytać. To cholernie ciężka praca.

– Sądziłam, że prowadzenie browaru to ciężka praca. A tej nigdy jakoś nie unikałeś. – Ponieważ byłam niższa, sama przydzielłam sobie zadanie wślizgnięcia się pod każdy z trzech pulpity. Zachowywałam skrajną ostrożność. Być może z ksiąg były wielkie aktorki, wkrótce jednak zdobyłam pewność, że nie widziały, jak się zbliżam.

– Lubię warzyć piwo. Nie lubię czytać.

Wobec tego nie powinien mieć zasadniczych oporów przed spalaniem ksiązek. Ja natomiast cierpiałam na kryzys sumienia równie dogłębny jak

każdy z moich kryzysów wiary. Kochałam książki. Wierzyłam im. Wyznawałam żelazną zasadę, że nie wolno niszczyć książek tylko dlatego, iż się nie zgadza z ich treścią. Jednak te zawierały mroczne, tajemne recepty na sprowadzenie końca świata. A tak naprawdę, końca wielu światów, gdyby bowiem Rok Czaszek pochłoniął mój, pozostałe przyłączone do lśniącej równiny musiałyby podzielić jego los.

Nie był to jednak kryzys domagający się natychmiastowego rozwiązania. Podjęłam decyzję już wcześniej, dlatego właśnie sterczałam pod pulpitemi na czworakach, znosząc werbalne molestowanie ze strony niewiernego, który za nic miał tak mojego Boga, jak i bezlitosną Niszczycielkę Oszustów. Zatrzasnęłam okładki książek, nie przestając się równocześnie zastanawiać, czy istnieje jeszcze inny sposób, w jaki Dzieci Nocy mogłyby mnie dopaść.

– Okładki są chyba zupełnie puste – zauważył Łabędź.

– Patrzysz na tylne okładki książek. Zamknęłam je tak, że leżą licem w dół. Pamiętasz?

– Przestań na chwilę. – Uniósł palec w górę, przekrzywił głowę, nasłuchiwał.

– Echa.

– Mhm. Ktoś tam jest.

Wyteżyłam słuch, jak tylko potrafiłam najmocniej.

– Znowu śpiewają. Wolałabym, żeby nie śpiewali. Nikt w całej bandzie, oprócz Sahry, nie potrafiłby utrzymać się w tonacji. Możesz teraz tu podejść. Myślę, że jest już bezpiecznie.

– Myślisz?

– Wciąż jeszcze żyję.

– Nie jestem przekonany, czy to właściwa rekomendacja. Jesteś zbyt zgorzkniała i pełna złości, aby jakiś potwór zechciał cię schrupać. Ja natomiast...

– Ty natomiast po prostu masz szczęście, że mój Bóg zabrania wyjawiać, iż jedyną istotą zainteresowaną zjedzeniem ciebie byłby jeden z tych żuków, które karmią się produktami ubocznymi powstającymi w procesie chowu trzody chlewnej. To chyba najlepsze miejsce do rozpalenia ognia.

Łabędź stał już obok mnie. Natomiast „to” było rzeczą przypominającą z grubsza piecyk, w którym zostało nawet nieco popiołu. Został wykonany

z kutego mosiądzu w stylu powszechnie spotykanym w większości kultur zamieszkujących ten kraniec świata.

– Chcesz, żebym wydarł kilka kart na podpałkę?

– Nie, chcę, żebyś nic nie wydzierał. Nie słuchałeś, jak ci mówiłam, że te książki mogą cię zmusić, żebyś je czytał?

– Słuchałem. Czasami jednak nie słyszę zbyt dobrze.

– Jak większość ludzkiej rasy. – Ja natomiast byłam przygotowana. Po kilku chwilach płonął już niewielki ogień. Ostrożnie uniosłam jedną z książek, dbając, by ani Łabędziowi, ani mnie okładka nie rzuciła się w oczy. Lekko rozłożyłam jej stronicę i położyłam na płomieniach, grzbietem ku górze. Najpierw spaliłam ostatni tom. Tak na wszelki wypadek.

Coś mogło nam jeszcze przeszkodzić. Chciałam w pierwszej kolejności zniszczyć tom, którego nie widziała Córka Nocy. Pierwszą księgę, której partię skopiowała przynajmniej kilkakrotnie i której fragmenty z pewnością mogła zapamiętać, spalę na końcu.

Ostatecznie książkę udało się podpalić, ale nie płonęła dobrze. Wydzielała paskudnie śmierdzący czarny dym, który natychmiast wypełnił jaskinię, zmuszając Łabędzia i mnie do położenia się wprost na lodowym podłożu.

Podziemny wiatr w końcu częściowo rozegnał dym. To, co z niego zostało, nie było już tak przytłaczające, kiedy powierzyłam drugą księgę płomieniom.

Czekając na chwilę, gdy będę mogła włożyć do ognia ostatni tom, dumałam, dlaczego Kina nie robi nic dla odparcia ciosu zadanego jej nadziejom na wskrzeszenie. Mogłam jednak tylko modlić się, by wynikiem ofiary Goblina była rana na tyle poważna, że uniemożliwi jej zrozumienie od razu, co dzieje się wokół. Mogłam tylko modlić się, że oto sama nie padam ofiarą jakiegoś większego oszustwa. Może te księgi były tylko przynętą? Może postępowałam dokładnie tak, jak Kina chciała?

Nigdy nie można mieć pewności. Nigdy.

– Znowu mruczysz coś do siebie.

– Mhm. – Nie posiadałam nic poza bledziuchną nadzieją, że śmierć Goblina przyczyniła się do trwałego usunięcia Kiny poza obszar trosk tego świata.

– Powoli zaczyna się tu robić przyjemnie – stwierdziłam. – Mogłabym położyć się i zasnąć. – I tak właśnie natychmiast uczyniłam.

Dobry stary Wierzba – jego poczucie obowiązku, instynkt samozachowawczy, czy też co tam jeszcze, pozwalały mu dalej funkcjonować. Zdołał jeszcze spalić za mnie ostatnią Księgę Zmarłych, zanim sen zmorzył również jego.

Śpiewającymi żołnierzami okazali się Popłoch, Iqbal i Rzekołaz. Kiedy tylko Tobo dotarł do nich z wieściami o katastrofie, która wydarzyła się na samym dnie jaskiń, natychmiast ruszyli nam na ratunek. Znaleźli nas, szukając źródła dymu.

– Ryzykując, iż skończy się na tym, że będę musiała użyć zupełnie niesłychanego języka, zapytam jednak, dlaczego w ogóle ktokolwiek tu śpiewa? Jak to się stało, że bynajmniej nie jesteście w drodze do Krainy Nierozpoznanych Cieni? Wydaje mi się, że wyraźnie poinformowałam was o konieczności natychmiastowego wyruszenia.

Popłoch i Iqbal zachichotali, jakby zniecierpliwieni zrobili się młodsi niż Tobo, a ktoś opowiedział im nieprzyzwoity dowcip. Rzekołaz zachował jakoś więcej trzeźwości. Wóda.

– Jesteś zmęczona i głodna, Ospała, nic dziwnego, że się wściekasz. Zaradzimy temu jakoś. Usiądziemy i zrobimy sobie piknik. – Nie potrafiąc opanować szerokiego, głupawego uśmiechu, grzebał równocześnie w worku.

Wymieniłam spojrzenia z Łabędziem.

– Masz jakieś pomysły, o co tu chodzi? – zapytałam.

– Może istnieje takie stadium wygłodzenia, którego objawami są zawroty głowy i głupota.

– W takim razie przypadek Dżajkuru stanowiłby wyjątek.

Rzekołaz wydobył z worka rodzaj grzyba, kształtem i barwą przypominającego purchawkę, ale o średnicy dobrych dwudziestu centymetrów. Wyglądał, jakby ważył dużo więcej, niż powinien grzyb tych rozmiarów.

– Co to jest, u diabła? – zapytał Łabędź.

Podejrzałam, że Rzekołaz miał jeszcze kilka takich w worku. A jego przybocznicy również nie przyszedli bez bagażu.

Rzekołaz wydobył nóż i zaczął odkrawać płaty grzyba.

– Prezent od naszego demonicznego przyjaciela, Sziwetji. Najwyraźniej po całym dniu namysłu zdecydował, że zasłużyliśmy sobie na rekompensatę za uratowanie jego wielkiego, wstrętnego tyłka. Jedz. – Podał mi piętke grubości mniej więcej dwóch i pół centymetra. – Zasmakuję ci.

Łabędź zaczął jeść, zanim ja posmakowałam choćby kęs. We mnie została jeszcze kropla paranoi. Pochylił się w moją stronę.

– Smakuje jak wieprzowina. He-he-he. – Ale już chwilę później odechciało mu się żartować. Z istic wilczym apetytem pałaszował coś, co cały czas ani trochę nie zmieniło wyglądu.

W ustach było lepkie, niemal jak ser. Kiedy postanowiłam ugiąć się przed nieuniknionym losem i wgryzłam się w grzyb, moje ślinianki zareagowały natychmiast powodzią. Przeżycie smaku było tak ostre, że niemal bolesne. Nieporównywalne z niczym, czego zdarzyło mi się kosztować dotąd w życiu. Odrobina imbiru, odrobina cynamonu, cytryny, słodyczy, woń kandyzowanych fiołków... Po pierwszym szoku, jakim uraczyłam swój zmysł smaku, powoli zaczynał mnie ogarniać błogostan, rozpoczynający się wokół ust, a potem schodzący do żołądka, w miarę jak pierwsze kęsy znajdowały doń drogę.

– Jeszcze – powiedział Łabędź.

Rzekołaż poczęstował go następnym płatem.

– Jeszcze – powtórzyłam za nim i chwilę później wgryzłam się w kolejny kawałek. Może to trucizna, ale w takim wypadku jest to najśłodsza trucizna na całym bożym świecie. – Naprawdę Sziwetja dał wam to?

– Mniej więcej tonę. Dosłownie. Wystarczy dla ludzi i zwierząt. Nawet dziecku smakuje.

Iqbal i Popłoch znaleźli w tych słowach coś śmiesznego. Łabędź również lekko się wyszczerzył, aczkolwiek przecież nie mógł wiedzieć, na czym polega dowcip. W rzeczy samej, mnie stwierdzenie to również wydało się zabawne. Do diaska, wszystko było całkiem śmieszne. Zaczęłam odczuwać przepełniający mnie spokój i swobodę. Wszystkie bóle i dolegliwości straciły swój dojmujący charakter. Stały się zwykłymi niedogodnościami, które łatwo zepchnąć na skraj świadomości.

– Mówcie.

Iqbal poinformował mnie:

– On je wyhodował. Wszędzie wokół niego wyrosły takie wstrętne kluchy, niczym ogromniaste wrzody, ale kiedy pękły, pojawiły się te rzeczy.

W nieco bardziej normalnych okolicznościach obraz ten z pewnością wywołałby u mnie mdłości. Teraz tylko mruknąłam coś, ugryzłam kolejny cudowny kęs, pomyślałam chwilę o procesie jego wytwarzania, a potem zorientowałam się, że niepowstrzymanie chichoczę. Opanowałam się jakoś, chociaż kosztowało mnie to sporo wysiłku.

– A więc w końcu postanowił się dogadać?

– Coś w tym stylu. Kiedy odchodziliśmy, próbował dojść jakoś do porozumienia z Dodżem. Chociaż trzeba przyznać, że nieszczególnie im to wychodziło.

Łabędź westchnął.

– Nie czułem się tak rozluźniony i pozytywnie nastrojony wobec świata od czasów, kiedy jako dzieciaki chodziliśmy z Kordkiem na ryby. Tak nam właśnie było, gdy leżeliśmy w cieniu nad strumieniem, w istocie nie troszcząc się wcale, czy ryba bierze, dzieliliśmy marzenia albo zwyczajnie obserwowaliśmy chmury pełznące po niebie.

Nawet wspomnienie losu, jaki spotkał jego przyjaciela, nie rozproszyło do końca dobrego nastroju.

Zrozumiałam, co próbował przekazać, mimo iż sama nie miałam nigdy jedyne przyjaciela, z którym mogłabym dzielić rzadkie, świetliste chwile dzieciństwa. W ogóle nie miałam dzieciństwa. Teraz jednak również czułam się świetnie.

– To... co-to-tam-jest... to naprawdę niezły towar. Są jakieś efekty uboczne? – zapytałam.

– Śmiechawki, kiedy cię już chwyci, prawie nie można opanować.

– Wobec tego nie zaczynajmy. Ho-ho! Czuję się tak, jakbym była w stanie spuścić baty wilczemu stadu dwakroć cięższemu ode mnie. Dlaczego nie ruszamy?

Nikt nie skorzystał z okazji, aby zauważyć, że gdybym chciała stłuc wilki ważące w sumie dwakroć tyle co ja, mogłoby się to skończyć na walce z tylną połową jednego z potworów. Iqbal i Popłoch wciąż śmiali się z jakiegoś żaru, który usłyszeli dawno temu.

– Chłopcy – powiedziała, wskazując. – Tędy. Niczego nie dotykajcie. Ruszamy. Wracamy na górę.

Niech mnie licho, jakieś głupie pomysły zaczynały plątać mi się po głowie. I każdy sprawiał, że chciało mi się niepowstrzymanie chichotać.

– Przekonaliśmy się, że gdy śpiewamy, łatwiej jest skupić uwagę na wykonywanym zadaniu – rzekł do mnie Rzekołaz. Szeroki uśmiech rozlał się na jego twarzy. Zaczął nucić jedną z bardziej nieprzyzwoitych piosenek marszowych. Dotyczyła spraw, wokół których myśli większości mężczyzn krążyły najwyraźniej przez większość czasu.

Zanuciłam z nimi i zmusiłam wszystkich do wymarszu.

Paskudnie śmierdzący dym zwęglonych książek wypełniał jaskinię. Na schodach wydawał się nawet gęstszy. Część dryfowała w dół.

Byłam pewna, że Kina nie może zdawać sobie jeszcze z niczego sprawy. Gdyby wiedziała, na pewno by coś przedsięwzięła. Ale przecież jej nieświadomość nie potrwa wiecznie.

Miałam nadzieję, że pokonamy już sporą część drogi, zanim dojdzie do siebie na tyle, by przyswoić sobie prawdę. Sny, jakie zsyłała, były omalże zabójcze same w sobie.

Usadowiłam się wygodnie na wzniesieniu podłogi niedaleko klatki schodowej. Siedziałam przez jakiś czas, zastanawiając się tępo, dlaczego tunel pod klatkę schodową zaczęto kopać tak daleko od środka komnaty, właściwie na jej brzegu. Jednak nie bardzo potrafiłam skupić myśli na tej kwestii. Pojadłam znowu.

– Od tego żarcia można się uzależnić. – I to nie dlatego, że wywoływało głupkowate zadowolenie, ale ponieważ likwidowało ból i poczucie niewygody oraz tłumilo senność. Mogłam tak sobie siedzieć, wiedząc, że moje ciało osiągnęło granicę swych fizycznych możliwości, niezmuszone równocześnie do znoszenia całego cierpienia związanego z tymże stanem. A mój umysł był szczególnie czujny i gotowy do pracy, ponieważ niedole ciała nie odwracały uwagi.

Łabędź przytaknął mruknięciem. Najwyraźniej jemu wesoły nastrój nie udzielał się w stopniu, który opanował nas wszystkich. Aczkolwiek, kiedy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że sama również specjalnie nie mam ochoty gwizdać i śpiewać.

Niemniej mój humor poprawił się, kiedy znowu trochę zjadłam.

Podczas jednego z przebłysków przytomności Rzekołąz zaproponował:

– Nie powinniśmy marnować czasu, Ospała. Reszta pokonała już pewnie dotychczas kawałek drogi, ale spodziewają się, że wkrótce ich dogonisz ze sztandarem.

– Jeśli Tobo nic jeszcze nie powiedział, to mam do przekazania kilka złych wieści.

– Chłopak nie mówił nic o sztandarze. Być może po prostu nie dopuścili go do głosu. Wszyscy byli tak wstrząśnięci wiadomością o Goblinie i wymyślaniem sposobów, aby Jednooki się nie dowiedział...

– Goblin wbił Lancę w ciało Kiny. Wciąż tam jest. Znacnie mnie. Wierzę bez reszty w mit Kompanii. Wierzę, że oprócz Kronik, była najważniejszym symbolem, jaki posiadaliśmy. Pochodziła w końcu z Khatovaru. Stanowiła

łącznik między kolejnymi pokoleniami. Zrozumiem, jeśli ktoś będzie chciał po nią wrócić. Ale tym kimś nie będę ja. Przynajmniej nie w najbliższym dziesięcioleciu.

Znowu poczułam, jak przepełnia mnie pozytywne nastawienie. Wstałam. Łabędź pomógł mi przejść na wyższy poziom posadzki.

– Cześć!

– Zastanawiałem się, po jakim czasie to zauważysz – zachichotał Rzekoład.

Szczelina w posadzce niemal zniknęła.

Podeszłam i przyjrzałam się bliżej. Wydawała się równie głęboka jak przedtem, ale teraz w najszerszym miejscu miała nie więcej niż trzydzieści centymetrów.

– Jak to się stało, że zaleczyła się tak szybko? – Musiałam przyjąć, że katalizatorem okazała się nasza obecność. Zerknęłam ponad szczeliną ku tronowi demona i zauważyłam spieszących w naszą stronę Tobo i Dodża. Oczy Sziwetji były otwarte. Patrzył. – Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż wszyscy odeszli.

– Sprawilo to trzęsienie. – Rzekoład ignorował obecność Dodża i Tobo.

– To ostatnia nowość w dziedzinie remontu domów – oznajmił Łabędź. – Idźcie tam na dół jeszcze raz i dźgnijcie tego stwora, a może równina całkowicie ozdrowieje.

– Może maszynaria znowu zacznie funkcjonować – dodał Dodż, który przybył akurat na czas, by usłyszeć naszą rozmowę.

– Maszynaria?

Dodż lekko podskoczył.

– Ta posadzka ma kształt wielkiego kręgu. Stanowi reprezentację całej równiny w skali jeden do osiemdziesięciu, z inkrustowaną pełną mapą dróg. Przemieszczała się na kamiennych łożyskach i była zdolna do obracania, zanim ciekawość Tysiąca Głosów nie uszkodziła mechanizmu.

– Ciekawe. Jak rozumiem, twoja pogawędka z demonem okazała się owocna.

Dodż mruknął coś twierdząco.

– Niemniej nieznośnie powolna. Na tym polegał największy problem. Na zrozumieniu, że proces komunikowania się musi przebiegać niezwykle wolno. Sądzę, że do procesów fizycznych również się to odnosi. To znaczy, że gdyby postanowił wstać – oczywiście pod warunkiem, że byłby w stanie

– trwałoby to pewnie całe godziny. Wszelako rola Niezłomnego Strażnika nie wymaga szczególnej rącości. Z tego miejsca kontrolował całą równinę, wykorzystując mapy na posadzce i maszynię.

Nigdy w życiu jeszcze nie widziałam Dodża tak otwartego i ożywionego. Najwyraźniej połknął bakcyła wiedzy oraz jego najbliższego krewniaka, który nakazuje neofitom natychmiast oświecać także innych. W ogóle nie przypominał dawnego Dodża. Ani też żadnego z Niueng Bao, jakich zdarzyło mi się spotkać w życiu. Tylko Matka Gota i Tobo gadali ze sobą cały czas, a zwykle mówili do siebie mniej niż Dodż w jego najbardziej milczących dniach.

Ten zaś ciągnął dalej:

– Powiedział, że pierwotnie stworzono go, aby kierował maszynią, która pilnowała, aby podróżni docierali tam, gdzie chcą. Potem przez równinę przetaczały się wojny pomiędzy poszczególnymi światami, dlatego pobudowano wokół niego fortecę, a każda epoka dziejów przynosiła mu nowe obowiązki. Ospała, ta istota jest prawie tak stara jak sam czas. Była naocznym świadkiem walki między Kiną a demonami, kiedy Panowie Światła starli się z Panami Ciemności. A nastąpiło to za czasów pierwszej wielkiej wojny światów, miało to miejsce na tej właśnie równinie, a żaden mit nawet w przybliżeniu nie relacjonuje tego, co się wówczas zdarzyło.

Brzmiało to nadzwyczaj interesująco, co też mu oznajmiłam. Nie mogłam jednak pozwolić sobie, by wciągnęły mnie teraz legendy przeszłości.

– Muszę wyznać, że kusi mnie, aby rozbić tu stały obóz – zachwycał się Dodż. – Potrzeba by całego ludzkiego życia, aby wydobyć od niego i zapisać wszystko. Widział tak wiele! Pamięta Dzieci Zmarłych, Ospała. Dla niego przemarsz Niueng Bao De Duang nastąpił ledwie wczoraj. Musimy przekonać go tylko, że zasługujemy na jego pomoc.

Po kolei przyjrzałam się pytająco każdemu z moich towarzyszy. Na koniec Rzekołaż zgłosił się na ochotnika.

– On również napychał się pożywieniem demona. – Należało stąd wnioskować, iż sądzi, że Dodż też nie do końca jest sobą. – Kilku innych także zaczęło zdradzać spore zmiany w zachowaniu. Kiedy przedawkowali.

– Tyle zdołałam już zauważyć. Tobo, po tobie też mam oczekiwać całkowitej przemiany osobowości? – Nie odrzekł ani słowa. Co było

nadzwyczaj godne uwagi. Wcześniej miał własne zdanie na właściwie każdy temat.

– On mi napędził takiego stracha, że omal nie zrobiłem w gacie.

– On? Kto?

– Demon. Potwór. Sziwetja. Zajrzał do mojej głowy. I tam mówił do mnie. Sądzę, że mojemu ojcu też coś takiego robił. Może przez całe lata. Czy jest o tym w Kronikach? Może tam, gdzie ojciec sądził, że jest manipulowany przez Kinę lub Protektorkę? Założę się, że przez większość czasu tak naprawdę był to Sziwetja.

– Niewykluczone. Całkiem możliwe.

Świat jest wręcz zarażony nadludzkimi istotami, które igrają losami jednostek i narodów. Kapłani Gunni twierdzą tak od setek pokoleń. Bogowie biją się wzajemnie po głowach i dolewają oliwy do ognia. Ale żaden z nich nie jest moim Bogiem, Prawdziwym Bogiem, Wszechmogącym, który najwyraźniej postanowił wznieść się ponad te kłótnie.

Potrzebowałam pocieszenia od kapłana wyznającego moją wiarę. A w promieniu ośmiuset kilometrów nie sposób było takowego znaleźć.

– Czy istnieje wiele opowieści o tym miejscu? – zapytałam Dodza. – I ile z nich jest prawdziwych?

– Podejrzewam, że jak dotąd nie usłyszeliśmy nawet jednej na dziesięć – odparł stary szermierz. Uśmiechnął się. Najwyraźniej bawił się przednio. –

I nie byłbym zaskoczony, gdyby większość okazała się prawdą. Nie potrafisz tego wyczuć? Ta forteca, ta równina, występują równocześnie pod wieloma postaciami. Aż do niedawna wierzyłem, że to musi być Kraina Nierozpoznanych Cieni. A twój Kapitan widział w niej Khatovar. A to jest tylko przejście do innych światów. Także Sziwetja, Niezłomny Strażnik, niejedno ma imię. I zapewne jest już nieskończenie zmęczony tym wszystkim, co mu się przypisuje.

Tobo chciał wtrącić swoje dwa słowa tak bardzo, że tańczył wokół niczym mały chłopiec, któremu strasznie chce się siusiu.

– Sziwetja chce umrzeć, Ospała – oznajmił wreszcie – ale nie może. Przynajmniej dopóki Kina wciąż żyje. A ona jest nieśmiertelna.

– Ma więc poważny problem, nieprawdaż?

Łabędź wpadł na pomysł.

– Mógłby wziąć to swoje życie i podzielić między nas. Podsunę mu tę myśl. Przydałoby mi się kilka tysięcy dodatkowych lat. Pod warunkiem, że będzie to życie odmienne od tego, które aktualnie prowadzę.

Kiedy rozmawialiśmy, podeszłam bliżej do miejsca, gdzie siedział demon. Mój wrodzony pesymizm i ponure usposobienie najwyraźniej w końcu wzięły górę, aczkolwiek cały czas czułam się młodsza, szczęśliwsza i bardziej energiczna, niż zdarzało mi się to od wieków. Właśnie przestałam chichotać do wtóru pozostałym.

– Gdzie jest twoja matka, Tobo? – zapytałam.

Jego dobry humor ulotnił się jak zdmuchnięty.

– Poszła gdzieś z Babcią Gotą.

Szybkie spojrzenie na Dodża upewniło mnie, że doszło do ostrego starcia między Sahrą w roli matki a ludźmi pragnącymi uznać jej syna za jednego ze swoich. Znowu doszedł do głosu upór Niueng Bao, i to po obu stronach sporu. W tym Trollica musiała opowiedzieć się po stronie wnuka i Dodża.

Zmieniłam temat.

– W porządku. Wy dwaj twierdzicie, że byliście w jego głowie. Czy też, że on był w waszych głowach. Nieważne. Powiedzcie mi, czego chciał? – Nie potrafiłam uwierzyć, że demon stara się nam pomóc, kierowany czystą dobrocią swego sędziwego serca. To po prostu nie mieściło się w głowie. Był przecież demonem, przeklętym przez Boga, niezależnie czy jako stwór światła, czy ciemności. Dla niego my wszyscy, awanturnicy, jakich widział w życiu wielu, musieliśmy być równie ulotni i przemijający jak pojedyncze pszczoły w naszych oczach. Aczkolwiek, podobnie jak pszczoły, mogliśmy też okazać się dokuczliwi.

– On chce tego, czego by chciał każdy na jego miejscu – odparł Dodż. – To oczywiste.

– Chce też wyrwać się na wolność, Ospała – zaprotestował Tobo. –

Siedzi tu przyszpilony od nie wiadomo jak dawna. Równina obraca się coraz bardziej w ruinę, ponieważ on nie może nawet drgnąć, by powstrzymać niszczycieli.

– Co by zrobił, gdybyśmy wyciągnęli te sztylety z jego kończyn? Dalej byłby naszym kumplem? Czy zaraz zacząłby rozbijać nam łby?

Dodż i Tobo wymienili niepewne spojrzenia. A więc tak. Niewiele czasu poświęcili rozważaniom nad tym problemem.

– Rozumiem – oznajmiłam. – Cóż, być może okazałby się najśłodszy facetem na bożych pastwiskach ziemi, ale na razie zostanie tam, gdzie jest. Kilka tygodni czy miesięcy dłużej nie powinno zrobić mu żadnej różnicy. Jakim sposobem, do diaska, pozwolił, aby przygwożdżono go do tego krzesła?

– Ktoś go zwabił w pułapkę – powiedział Tobo.

Co za niespodzianka.

– Tak myślisz?

Wokół zrobiło się chyba nieco jaśniej niżli wówczas, gdy szłam z Łabędziem w drugą stronę. A może tylko moje oczy przyzwyczajały się do natężenia światła wypełniającego wnętrze fortecy. Wyraźnie widziałam wzory na posadzce. Przedstawiono na niej wszystkie cechy równiny, wyjąwszy tylko kamienne obeliski ze znakami lśniącymi złotem. Zresztą ich odzwierciedleniem mogły być cieniste odbarwienia, których nie byłam w stanie dostrzec dokładniej. Widziałam nawet drobne kropki, które z pozoru się poruszały i na pewno miały jakiś odpowiednik w rzeczywistości, jeśli tylko wiedziało się, jak je odczytać.

Tron Sziwetji stał na szczycie okrągłego podium, usytuowanego w samym środku wyniesionego kręgu o średnicy nieco ponad dwudziestu metrów. Dodż zapewniał mnie, że liczył on mniej więcej jedną osiemdziesiątą średnicy największego koła, które z kolei odpowiadało samej równinie w tej samej proporcji. Najmniejsze koło, jak zauważyłam, również mogło poszczycić się tym, że było odbiciem równiny – aczkolwiek jeszcze uboższym w szczegóły. Najpewniej więc Sziwetja mógł siedzieć na swym tronie i obracając się, obejmować wzrokiem całość swego królestwa. Jeśli potrzebne mu było więcej informacji, mógł zejść niżej na następny poziom, gdzie wszystko odwzorowane było w skali osiemdziesiąt razy dokładniejszej.

Powoli zaczynały do mnie docierać wnioski, jakie można było wyciągnąć z doskonałości magicznej inżynierii zaangażowanej w stworzenie tego wszystkiego. Czułam narastające onieśmienie. Budowniczości musieli dysponować niemal boską mocą. I o tyle z pewnością wyprzedzali największych znanych mi czarodziejów, o ile dzieliło tychże od beztalenci podobnych mnie. Pewna byłam, że Pani, Długi Cień, Duszołap czy Wyjec dysponowali niewiele większym pojęciem o siłach i prawach, na których oparta była ta konstrukcja, niżli ja.

Stałam na wprost przed Sziwetją. Oczy demona pozostawały otwarte. Czułam, jak jego myśl muska mnie delikatnie we wnętrzu mej głowy. Z jakiegoś powodu przed oczyma stanęły mi górskie wyżyny i szczyty, na których śnieg nigdy nie topnieje. Stare rzeczy, rzeczy zmieniające się powoli. Cisza i kamień. Mój mózg nie dysponował lepszym sposobem interpretacji natury tego, czym był Sziwetja.

Powtarzałam sobie wciąż, że demon jest starszy od najstarszych zapisów dziejów mego świata. I czułam też to, o czym wspominał Tobo: ciche, niewzruszone pragnienie, aby nie postarzeć się więcej ani trochę. Odnajdywałam w umyśle demona dążność bardzo przypominającą poryw religijny Gunni – odnalezienia drogi do nirwany, która jako jedyna może stanowić lekarstwo na zmęczenie i udrękę istnienia.

Próbowałam przemówić do niego. Próbowałam wymienić z nim myśli. Było to doświadczenie dosyć przerażające, mimo iż jego efekty w sposób istotny łagodziła wiara we własne siły i dobre samopoczucie, biorące się z darów kulinarnych, jakimi obsypał nas Sziwetja. Jednak tak naprawdę nie miałam ochoty na wspólnotę myśli nawet z nieśmiertelnym golemem, który przecież i tak nie pojmie ich treści i zmartwień, jakich mi przysparzały.

– Ospała?

– Uch? – Aż podskoczyłam. Czułam się wystarczająco dobrze, aby to uczynić. Czułam się tak dobrze, jak powinnam czuć się dawno temu w nastoletniej wiosnie mego życia, gdybym nie miała wówczas dość powodów, aby żałować, że przyszłam na świat. Uzdrowiające własności darów demona wciąż nie ustawały w swej magii.

– Wszystkich zmorzył sen. Nie mam pojęcia, jak długo spaliśmy. Nawet nie wiem, jak się to stało – powiedział Łabędź.

Spojrzałam na demona. Ani drgnął. Nic dziwnego zresztą. Ale na jego ramieniu siedział biały kruk. Gdy tylko zdał sobie sprawę, że odzyskałam świadomość, pomknął zaraz w moją stronę. Wyciągnęłam ramię przed siebie. Ptak wylądował na moim nadgarstku, jakbym była sokolniczką. Głosem niemal zbyt wolnym, by za nim podążać, oznajmił:

– Odtąd to będzie mój głos. Gardło tego ptaka jest wyćwiczone, umysłu zaś nie zaśmiecają myśli i przekonania utrudniające komunikację.

Zdumiewające. Zastanawiałam się, co na to Pani. Jeśli Sziwetja przejął panowanie nad umysłem ptaka, będzie odtąd całkowicie ślepa i głucha,

póki nie obudzimy jej z zaczarowanego snu.

– Odtąd będzie to mój głos.

Pojęłam, że słowa powtórzone zostały w odpowiedzi na wzbudzoną we mnie, choć niewypowiedzianą ciekawość.

– Rozumiem.

– Pomogę wam w waszych poszukiwaniach. W zamian wy zniszczycie Drin, czyli Kinę. Wówczas uwolnicie mnie.

Z podtekstu rozumiałam, że chodzi mu o uwolnienie od życia i ciężaru obowiązku, nie zaś tylko od niewygody jego tronu.

– Uczynię tak, jeśli to tylko w mojej mocy.

– To jest w twojej mocy. Zawsze było.

– A co to ma znaczyć? – Kiedy słyszałam taki tekst, natychmiast rozpoznawałam typowy dla czarowników, mglisty wydźwięk.

– Zrozumiesz, kiedy nadejdzie czas, by zrozumieć. Wszak teraz nadszedł czas, abyście stąd odeszli, Kamienny Żołnierzu. Idź. Stań się Zwiastunem Śmierci.

– A cóż to niby, u diabła, ma znaczyć? – jęknęłam. Podobne odgłosy dobyły się z ust moich towarzyszy, którzy w większości również już nie spali i pożerali teraz demoniczne pożywienie, równocześnie nadstawiając uszu.

Posadzka zaczęła się poruszać, z początku zupełnie niepostrzeżenie. Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że ruch obejmuje jedynie te partie najbliższe tronu, które objęło całkowite uzdrowienie. Teraz wiedziałam, że wszelkie uszkodzenia, włączywszy w to trzęsienie ziemi tak potężne, by jego skutki dotknęły również Taglios, zostało spowodowane w całości przez Duszołap, podczas jej całkiem błędnie wykoncypowanego eksperymentu. Odkryła „maszynię” i tknięta charakterystycznym dla siebie impulsem, każącym lekceważyć konsekwencje czynu, zaczęła majstrować przy mechanizmie tylko po to, by zobaczyć, co się stanie. Potrafiłam sobie to wyobrazić z taką jaskrawością, jakbym była naocznym świadkiem całego wydarzenia, a to dlatego, że prawdziwy świadek podzielił się ze mną swoimi wspomnieniami.

Dowiedziałam się o wszystkim, co Duszołap robiła podczas swoich kilku wizyt w fortecy, w czasach, gdy Długi Cień wierzył, że jest wyłącznym panem Bramy Cienia, i nie dopuszczał w ogóle możliwości, by

pozostali próbowali zbliżyć się do niej, nawet gdyby dysponowali działającym Kluczem.

Dowiedziałam się teraz wielu rzeczy w taki sposób, jakbym uczestniczyła w tych wydarzeniach. Niektórych bynajmniej nie chciałam poznać. Kilka obejmowało odpowiedzi na pytania dręczące mnie od lat, odpowiedzi, którymi będę mogła podzielić się później z Mistrzem Santaraksitą. Głównie były to kwestie, które z pewnością mi się przydadzą, jeśli postanowię zostać tym, kim Sziwetja chciał, abym została.

Ul zaskoczonych myśli rozbrzęczał się w mojej głowie. Musiałam zastanowić się, czy znam odpowiedź. Ale żadne wspomnienia nie pozwalały stwierdzić, co mogło stać się z Kluczem, koniecznym, jeśli rzeczywiście Długi Cień alias Maricza Mantara Dumraksza, wraz ze swym uczniem, Aszjutoszem Jakszą, przybyli do naszego świata z Krainy Nierozpoznanych Cieni.

I z pewnością nie pomagał mi mój lęk wysokości.

Chwilę po tym, jak posadzka przestała się obracać, biały kruk poderwał się w górę. I niech mnie cholera, jeśli sama nie poderwałam się w ślad za nim – aczkolwiek bynajmniej tego nie chciałam.

Moich towarzyszy uniosło w powietrze zaraz po mnie. Niektórzy zaskoczeni i w strachu upuścili broń oraz swój dobytek, a przypuszczalnie również opróżnili żołądki. Tylko w oczach Tobo ten niespodziewany lot stanowił doświadczenie najwyraźniej przyjemne.

Popłoch i Iqbal zacisnęli mocno powieki i gwałtownie wykrzykiwali modły błagalne, wznoszone do fałszywych wizerunków Boga, w które wierzyli. Ja wzniosłam swe myśli do Boga, Który Jest Bogiem, prosząc Go, by okazał miłosierdzie. Rzekołaż beznamiętnie modlił się do swoich pogańskich bóstw. Dodż i Łabędź nie odezwali się ani słowem. Łabędź dlatego, że zemdłał.

Tobo paplał coś w zachwycie, informując każdego, kto chciał go słuchać, jak to cudownie jest latać; patrzcie tutaj, patrzcie tam – a pod nami rozległa przestrzeń komnaty rozciągała się niczym powierzchnia samej równiny...

Potem wylecieliśmy przez dziurę w stropie, w twarze uderzył nas powiew chłodnego powietrza prawdziwej równiny. Zapadał zmierzch, na zachodnim horyzoncie niebo wciąż jeszcze płonęło szkarłatem, jednak nad głowami dominował już granat. Gwiazdy Pętli lśniły blado na wprost

naszych oczu. Kiedy opadaliśmy ku powierzchni, znalazłam w sobie dość odwagi, by spojrzeć za siebie. Sylwetka fortecy majaczyła na tle północnego nieba, jej stan wydawał się zasadniczo gorszy niż wówczas, gdy przybyliśmy. Wszystkie nasze rzeczy – to, co upuściliśmy albo czego nie mieliśmy czasu złapać podczas wznoszenia – leciały w ślad za nami.

Przez chwilę czekałam, czy sztandar też dołączy do strumienia przedmiotów. Moje nadzieje spełzły na niczym. Nie pojawił się.

Kiedy zastanawiałam się nad tym później, nie bardzo potrafiłam pojąć, skąd brały się te próżne oczekiwania.

Tobo zaczął udawać, że jest ptakiem. Eksperymentując, odkrył, że dzięki ruchom ramion może wpływać nieco na tor swego lotu, wznosić się lub opadać, przyspieszać lub trochę zwalniać. Buzia nie zamykała mu się nawet na moment, kolejne chwile przynosiły następujące po sobie wybuchy zachwytu i ponaglenia, abyśmy my również dzielili z nim tę radość, ponieważ z pewnością żadne z nas już nigdy w życiu nie będzie miało drugiej szansy na przeżycie podobnej przygody.

– Mądrość płynąca z ust dzieci – oznajmił Dodż. Potem zwymiotował.

Obaj mieli rację.

Nasz lot dobiegł końca w miejscu, gdzie pozostała część oddziału rozbiła obóz, a więc w ostatnim kręgu przed bramą stanowiącą nasz cel na drodze wiodącej ku południowemu zachodowi. Lot zdecydowanie pozwalał na rozwinięcie lepszego tempa. Wyprzedziliśmy białego kruka i przybyliśmy na miejsce po dwóch godzinach od chwili, gdy nasze stopy utraciły kontakt z solidnym kamieniem posadzki. Warto było mieć takiego przyjaciela jak ten demoniczny facet.

Próbowałam dostrzec, co znajduje się za krawędzią równiny, ale było zbyt ciemno. W oddali zauważyłam słabo migoczące światełko, może było ich kilka. Trudno jednoznacznie stwierdzić.

Na ziemię opadliśmy stopami do przodu, najwyraźniej niewrażliwi na zakusy cieni. Wyczułam, jak kilka z nich mija nas, żaden jednak nie zdradził ochoty podejścia bliżej. Co sprawiło, że jeszcze bardziej podziwiałam moc Sziwetji, ponieważ te istoty nie były naprawdę niczym więcej jak tylko kłębkami nienawiści i żądzy mordy.

Przelecieliśmy przez górną część osłony chroniącej naszych braci, nie powodując w niej żadnych szkód. Cały oddział obserwował nasz przylot z kompletnym niedowierzaniem. Toba nadał jakimś sposobem swojemu torowi lotu taki kierunek, że zmierzał wprost w stronę swojej matki, a zanim dotknął stopami ziemi, zdołał jeszcze wykonać salto. Nie mogę powiedzieć, abym dosłownie padła na ziemię i ucałowała ją, byłam jednak zadowolona z zakończenia próby, na jaką mnie wystawiono. Bracia Singh zaraz ruszyli na poszukiwanie swej rodziny. Podobnie uczynił Dodź, który nie zwracając uwagi na Sahrę, podbiegł do Goty. Ta nie była w szczególnie dobrym nastroju – prawdopodobnie dokuczał jej reumatyzm. W słabym świetle zmiennego księżyca o innych nie potrafiłam powiedzieć nic więcej. Gota zaś ani nie skarżyła się, ani niczego nie krytykowała.

Łabędź dołączył do mnie.

Rzekołaż, gdy tylko zdołał się przekonać, że może bezpiecznie otworzyć oczy, zaczął miotać się dookoła, wtrącając we wszystko, co robili inni, zdecydowany każdemu człowiekowi i każdemu działaniu narzucić zasady, jakie akurat wpadły mu do głowy. Zmarszczyłam brwi, pokręciłam głową, ale postanowiłam nie ingerować. Wszyscy potrzebowaliśmy jakichś rytuałów, aby dojść do siebie.

– Sahra – zapytałam. – Co z nimi? – Miałam na myśli tych, których wydobyliśmy z jaskiń, ponieważ przyszło mi do głowy, że zachowanie Goty pozwala podejrzewać najgorsze, ale nie sprecyzowałam swych obaw, ponieważ nie chciałam słyszeć ich potwierdzenia.

Sahra nie była nastrojona szczególnie przyjaźnie. Widząc swoje dziecko krążące po niebie, postanowiła obciążyć mnie całą winą. Mniejsza już o to, że Tobo wylądował bezpiecznie i nie przestawał zachwycać się niedawnymi przeżyciami.

Nawet nie przyszło mu do głowy, jakie konsekwencje dla ciała może mieć upadek z dużej wysokości. Sahra jednak o tym pomyślała z pewnością.

– W stanie Uwięzionych nie nastąpiły żadne zmiany. Jednooki popadł w najczarniejszą rozpacz, kiedy usłyszał o Goblinie, i od tego czasu nie odezwał się ani słowem. Matka nie jest do końca pewna, czy to objaw wycofania emocjonalnego, czy też kolejnego ataku. Najbardziej martwi ją, że są to symptomy utraty chęci do życia.

– Z kim będzie się kłócił? – Nie chciałam bagatelizować sprawy, chociaż tak właśnie to zabrzmiało.

Sahra na moment najeżyła się, jednak nic nie powiedziała.

– Matka może okazać się pomocna.

– Oraz to, co zbliża ich do siebie. – Nie wspomniałam, że obawiam się, iż Gota może również wkrótce nas opuścić. Trollica musiała mieć koło osiemdziesiątki. – Pójdę z nim pogadać.

– Śpi. To może poczekać.

– A więc rano. Wciąż mamy kontakt z Murgeniem?

Światła było dosyć, abym mogła zobaczyć gniew malujący się na obliczu Sahry. Być może miała rację. Ledwie od dwóch minut dotykałam pewnie stopami ziemi, a już chciałam wykorzystać jej męża. Jednak znowu udało się jej opanować. Przecież od tak dawna już pracowałyśmy razem i z początku ona była dużo silniejsza, a ja tylko czasami przejmowałam

dowodzenie. I zawsze udawało nam się uniknąć ostrych słów, ponieważ wiedziałyśmy, dokąd zmierzamy oraz że musimy współpracować, aby nasz cel osiągnąć. Ostatnio wszakże zdecydowanie to ja wydawałam rozkazy, chociaż nic nie stało na przeszkodzie, by i ona to robiła, kiedy tylko okoliczności będą stosowne.

Tylko że ona właśnie zrealizowała swój cel, nieprawdaz? Wydobyła Murgena spod ziemi. Gdy on dojdzie do siebie i przejmie dawne obowiązki, Sahra nie będzie musiała odgrywać narzuconej sobie roli. Chyba że Murgen nie okaże się takim mężczyzną, jakiego w nim widziała. Wówczas będzie musiała dalej jakoś radzić sobie z byciem nową Sahrą.

Nie miałam wątpliwości, że teraz ta kwestia męczy ją bardziej niżli kiedykolwiek dotąd. Ani ona, ani Murgen nie byli już tacy sami jak niegdyś. Żadne z nas nie było takie samo. Czekały nas więc trudności, jakie zawsze towarzyszą adaptacji, może nawet bardzo poważne trudności.

Przewidywałam wielkie problemy z Panią i Kapitanem.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam, aby projektor mgły dalej działał, jednak od czasu opuszczenia fortecy nie potrafię nawiązać kontaktu z Murgenem – rzekła Sahra. – Najwyraźniej nie ma już ochoty na opuszczanie ciała. A ja nie potrafię zmienić tego stanu rzeczy. – Zatem bała się też, że operacja ratunkowa może okazać się pomyłką, że wyrządziliśmy Murgenowi krzywdę, zamiast go uratować. Z nadzieją, trochę weselszym tonem dodała: – Może Tobo będzie potrafił pomóc.

Ciekawe, gdzie się podziała twarda, skoncentrowana, pełna poświęcenia Sahra, która była niegdyś Min Subredil. Spróbowałam przemówić właśnie do niej.

– Z Murgenem będzie wszystko dobrze. – Sziwetja przekazał mi wiedzę potrzebną do reanimowania Uwięzionych. – Ale zanim go obudzimy, musimy wydostać go z równiny. Podobnie rzecz się ma z pozostałymi.

Rzekołaz wrócił z obchodu.

– Demoniczne jedzenie kończy się, Ospała. Wystarczy na wydostanie się z równiny i może jeszcze kilka posiłków, ale potem będziemy zdani na siebie. Albo szybko zdobędziemy coś od tubylców, albo będziemy musieli jeść psy i konie.

– Aha, dobra. Wiedzieliśmy, że tak będzie. I tak poszło lepiej, niż oczekiwaliśmy. Czy ktoś pomyślał, żeby ukraść coś cennego z miejsca, w którym byliśmy?

Ta uwaga ściągnęła na mnie szereg pozbawionych wyrazu spojrzeń. Wtedy zrozumiałam, że zapewne nikt inny nie zdawał sobie sprawy z istnienia skarbów, jakie odkryłam, podążając za Tobo w głębiny ziemi. Chłopak pewnie rozgadałby wszystkim, gdyby to zapamiętał. Usta i tak nie zamykały mu się nawet na chwilę.

– Kiedy dotrzemy na miejsce, będzie akurat pora żniw – poinformował mnie Łabędź.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu wiem.

Niewykluczone, że miał rację.

– Niech wszyscy posłuchają. Odpocznijcie w nocy najlepiej jak się da. Chcę, żebyśmy wyruszyli w drogę wcześniej rano. A nie wiadomo, co czeka nas na krańcu drogi.

Ktoś warknął, że jeśli chcę, aby spał, dlaczego się nie zamknę i nie pozwolę mu zabrać się do roboty.

Sama ledwie potrafiłam stłumić ziewanie, chociaż nie minęło wcale dużo czasu, odkąd obudziłam się przy tronie Sziwetji. Czułam, jak myśli wymykają mi się spod kontroli.

– Zapomnijcie o wszystkim innym – oznajmiłam. – Zamierzam pierwsza skorzystać z własnej rady. Gdzie jest miejsce, w którym mogę owinąć się kocami i lec, zanim stracę przytomność?

Jedyne wolne znajdowało się na samym końcu obozu Kompanii. Wszyscy towarzysze mojej podniebnej przygody, oprócz Tobo, musieli przenocować właśnie tam. Wcześniej postanowiłam, że zjem jeszcze coś przed snem, jednak wyczerpanie wzięło górę, zanim przełknęłam choć trzy kęsy demonicznego jedzenia. Ostatnia moja myśl krążyła wokół kwestii, jak też Bóg mógł przeoczyć, że oto jedna z Wiernych przyjęła dar od jednego z Przeklętych.

Interesujące ćwiczenie. Bóg wie wszystko. Stąd też Bóg z góry musiał wiedzieć, co zrobi Sziwetja, i pozwolił mu na to. Zatem to, byśmy skorzystali ze szczodroblewości demona, musiało być zgodne z wolą Boga. A sprzeciwianie się boskiej woli byłoby grzechem.

Miałam dziwne sny.

Jakże mogłoby być inaczej. Czyż Sziwetja nie gościł w mojej głowie? Czy nie znajdowałam się na nawiedzanej lśniącej równinie?

Kamień pamięta. I kamień zechciał, abym się dowiedziała.

Przebywałam wówczas w innym miejscu, w czasie, który nie był moim czasem. Byłam Sziwetją, a przynajmniej tak odbierałam świat. Byłam wszędzie naraz, niczym błada imitacja Boga. Mogłam przebywać wszędzie równocześnie, gdyż spojrzenie na posadzkę otaczającą tron zapewniało kontakt z całością mej dziedziny. Tak więc stawaliśmy się jednością w naszej wiedzy – pieśniarz i pieśń.

Liczny oddział wędrował wskroś mego oblicza. Postrzegałam czas inaczej niż śmiertelnicy, ale rozumiałam, że minęły wieki od czasu, kiedy miało to miejsce po raz ostatni. W pewnej chwili śmiertelnicy przestali przychodzić. A przynajmniej nie działo się to tak często jak ongiś. I nigdy nie było ich już tak wielu.

We śnie zostało ze mnie dość Ospalej, bym zidentyfikowała wspomnienia Sziwetji z nadejścia Uwięzionych, zanim jeszcze wpadli w pułapkę zastawioną przez Duszołap. Dlaczego demon chciał, abym oglądała te właśnie sceny? Znałam tę historię. Murgen opowiadał mi ją kilkakrotnie, chcąc koniecznie, aby trafiła do Kronik dokładnie w takiej formie, jakiej sobie zażyczył.

Nie potrafiłam wyraźnie wyczuć osobowości, w której zostałam zanurzona, jednak zdawałam sobie sprawę z delikatnej sugestii każącej mi porzucić ciekawość, zrezygnować z pytań, przestać identyfikować się z jednym punktem widzenia, pozwolić, by z pąka rozwinął się kwiat. Powinnam z większą uwagą traktować Wujka Dodża. W czasach takich jak te umiejętność odrzucenia własnego ja mogła okazać się niezwykle użyteczna.

Czas płynął dla demona zdecydowanie inaczej. Niemniej próbował dostosować swą wizję do umysłowości efemerycznego śmiertelnika, aby przekazać to, o co mu chodzi, i dostarczyć informację, która okaże się dla mnie użyteczna.

Obserwowałam więc całą przygodę aż po wielką i rozpaczliwą ucieczkę, w której życie stracił Ceber, Wierzba zaś otrzymał szansę przejścia do historii jako pionek w rękach zła. Ale nie potrafiłam zrazu tego pojąć, ponieważ wszystko to były wyłącznie bliższe szczegóły wydarzeń znanych mi wcześniej w ogólnym zarysie.

Nie byłam jednak kompletnie głupia. Wreszcie załapałam. Pytanie to przyszło mi do głowy już wcześniej, nie sądziłam jednak, że ma fundamentalne znaczenie. Teraz musiałam wycofać się w siebie na tyle, żeby stwierdzić, czy zadałam je głośno.

Pytanie brzmiało następująco: co stało się z jedynym członkiem wyprawy, o którego losach nie mieliśmy pojęcia? Niewiarygodnie niebezpieczną zmiennokształtną uczennicą, Lizą Delą Bomarsz, zaklętą w postaci czarnej pantery, którą wwieziono na równinę w klatce, podobnie jak więźniów Długiego Cienia i Wyjca. W całym zamieszaniu gdzieś się rozplynęła. Murgen nigdy nie odkrył, co się z nią stało. O czym zresztą wspominał.

Poznałam prawdę. Prawdę wedle Sziwetji.

Nie wszystkie mniej istotne szczegóły stały się dla mnie całkowicie jasne. Sziwetja miał kłopoty z dostatecznie precyzyjną koncentracją na konkretnych momentach, ale wychodziło na to, że klatka Bomarsz została uszkodzona podczas panicznej ucieczki braci Kompanii, którzy nie mieli dość szczęścia, by trafić do pola stazy wraz z Uwięzionymi.

Strach rodzi strach. Wielkiego, paskudnego kota również ogarnęła panika. Starczyło jej siły i gwałtowności, by do końca zniszczyć klatkę. Wyrwała się na wolność, równocześnie jednak mocno kalecząc ciało. Uciekła na trzech łapach, z podkurczoną lewą przednią, którą opuszczała na kamienie jedynie w przypadku najwyższej konieczności. Wtedy przeraźliwie wyła. Niemniej i tak potrafiła biec szybko. Przed zmrokiem pokonała prawie pięćdziesiąt kilometrów – aczkolwiek kierunek wybrała raczej przypadkowo, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, iż nie zmierza w stronę domu, póki nie było już za późno.

Wówczas po prostu wybrała jedną z dróg i pobiegła nią. A nocą pewien niewielki, bystry cień dogonił ją tuż przed końcem drogi. I zrobił to, co zazwyczaj robią nieoswojone cienie. Zaatakował. Kiedy zobaczyłam, co się wówczas stało, prawie nie potrafiłam uwierzyć. Cień zranił panterę, ale nie zabił jej. Walczyła i zwyciężyła. Pokuśtykała dalej. A zanim potężniejsze cienie zdecydowały się dogonić ją i dobić, przeszła chwiejnie przez zrujnowaną Bramę Cienia, znikając z oczu Sziwetji. Co oznaczało, że ostatni raz widziano ją żywą, kiedy wchodziła do świata niebędącego ani naszym światem, ani Krainą Nierozpoznanych Cieni. Pozostawało mieć nadzieję, że ta uszkodzona brama wydarła z niej resztki życia albo przynajmniej poraniła do tego stopnia, by nie mogła odzyskać pełni sił, płonęła w niej bowiem nienawiść równie mroczna jak ta, która z cieni czyniła to, czym były, jednak ukierunkowana zdecydowanie precyzyjniej. Jej przedmiot stanowiła Kompania.

Ta część „ja” Ospalej, która nigdy nie złała się ostatecznie z poglądem Sziwetji, zastanawiała się, co też pomyśli Kapitan, kiedy mu powiem, że Bomarsz dotarła przez przypadek tam, gdzie zamierzała, lecz najwyraźniej nie była w stanie dojść Kompania, a mianowicie do Khatovaru.

„Ja” Ospalej nie potrafiło pojąć, dlaczego wieści te miałyby być na tyle istotne dla Sziwetji, by musiał nawiedzać moje sny, jednak widocznie musiały takowymi być.

Znaczący musieli być także Nef, wędrowcy w krainie snów, których Murgen nazwał imionami: Łaszan, Łaszen i Łaszon.

Zanurzyłam się więc głębiej w umysł Sziwetji, odsuwając na bok przeżycia, jakie wzbudziło we mnie podążanie za zmiennokształtną. W większym stopniu zjednoczyłam się z demonem, ten zaś zjednoczył się jeszcze głębiej z równiną; stał się jeszcze bardziej czystą manifestacją woli wielkiej maszyny. Przed oczyma przemykały mi mgnienia obrazów, wspomnień złotych wieków pokoju, pomyślności i oświecenia, które przekraczając milczący kamień, dotarły do wielu światów. Byłam świadkiem przemijania dziesiątków zdobywców. Widziałam odsłony najbardziej starożytnych wojen, obecnie pamiętanych tylko w mitologiach religii Gunni i Oszustów, czy nawet mojej własnej – ponieważ będąc Sziwetją i w jednej chwili mając przed oczyma wszystkie czasy, nie potrafiłam zamknąć oczu na fakt, że wojna w Niebiosach, która wedle mej religii rzekomo miała nastąpić wkrótce po tym, jak Bóg stworzył ziemię

i niebo, i która skończyła się strąceniem Przeciwnika do otchłani, zapewne stanowi echo tego samego boskiego boju, który inne mitologie zapamiętały zgodnie z własnymi upodobaniami światopoglądowymi.

Przed wojną bogów była równina. A przed równiną był Nef. Równina, wielka maszyna, która ostatecznie powołała na świat Sziwetję, Niezlomnego Strażnika i swego sługę. Następnie wyobraźnia demona nadała Łaszanowi, Łaszenowi i Łaszonowi kształt na podobieństwo Nef. Te wędrujące po snach duchy budowniczych stały się dla Sziwetji bogami. Istniały niezależnie od jego umysłu, ale zależne były od jego istnienia. Rozpłyną się w nicłość, gdy on zniknie. A przecież nigdy nie chciały, aby powoływano je do istnienia.

Dziwne. Znalazłam się między żywymi wcieleniami rozmaitych figur religii, w które przecież nie wierzyłam. Oto miałam przed oczyma fakty, które moja wiara nakazywała mi uznać za fałsz. Jeśli zgodzę się na nie, czeka mnie wieczne potępienie.

Jakże okrutne sztuczki potrafi płać nam Przeciwnik. Obdarzona zostałam inteligencją skłoną do poszukiwań, do odkrywania świata, zdobywania wiedzy. I obdarzona zostałam wiarą. A teraz weszłam w posiadanie informacji, które nie pozwalały pogodzić faktów z wiarą. Nie dysponowałam natomiast wątpliwą moralnie zręcznością kapłanów, pozwalającą im jednać ze sobą kwestie filozoficznie nieprzystające.

Być może jednak nie okaże się to konieczne. Prawda i rzeczywistość na równinie zdawały się niejednolite. Zbyt wiele było rozmaitych opowieści, w których występowali Kina, Sziwetja oraz forteca w centrum równiny kamienia. Być może każda z opowieści była prawdziwa, każda jednak w innym czasie.

Przemyślenie te kwestii stanowiło zadanie na miarę kładzenia fundamentów teologii. A co, jeśli moje przekonania były całkowicie prawdziwe – ale jedynie w określonym czasie i tylko tam, gdzie sama się znajdowałam? Co wtedy? Jak to możliwe? Co miałoby z tego wynikać?

Mogłyby stąd wynikać doprawdy przykre chwile w życiu przyszłym – kara za osłabienie czujności, strzegącej przed herezją. Kobieta może mieć wielkie trudności w dotarciu do rajy, ale z największą łatwością może zgotować sobie miejsce w al-Sziel.

To musiał być niezły dający w tyłek koszmar – stwierdził Wierzba Łabędź, który klęczał obok mnie i potrząsał za ramię, mimo że już się obudziłam. – Nie tylko chrapałaś, ale jeszcze warczałaś, jęczałaś i próbowałaś rozmawiać ze sobą w trzech różnych językach.

– Jestem kobietą rozlicznych talentów. Każdy ci to powie. – W otępieniu pokręciłam głową. – Która godzina? Wciąż jest ciemno.

– Oto pokaz kolejnego talentu. Niczego nie da się ukryć przed naszą staruszką.

Warknęłam:

– Kapłani i święte księgi mówią nam, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz, ja jednak czytałam wiele świętych ksiąg... włączywszy dzieła bałwochwalców... i ani razu nie znalazłam w nich świadectwa, by posiadał On poczucie humoru, a co dopiero był chętny żartować sobie, zanim na niebie rozbłyśnie choć rąbek tarczy słońca. Jesteś zupełnie chorym facetem, Wierzba Łabędź. Co się dzieje?

– Ostatniego wieczoru powiedziałaś, że powinniśmy wyruszyć wcześniej. Sahra doszła więc do wniosku, że przygotowania najlepiej rozpocząć, gdy tylko światła będzie dość, by cokolwiek widzieć. Abyśmy zeszli z równiny, mając jeszcze sporo dnia przed sobą.

– Sahra jest mądrą kobietą. Obudź mnie, kiedy przyjdzie pora ruszać.

– Wobec tego mamy właśnie najlepszy moment, by wstawać.

Uniosłam dłonie do oczu. Światła był akurat tyle, abym mogła je dostrzec.

– Zbierać się, ludzie. – Kiedy już spora część mego oddziału była na nogach, zgromadziłam wszystkich, żeby wyjaśnić im, iż każdemu, który został w forticy, ofiarowano wiedzę przydatną w nadchodzących czasach. – Sziwetja wydawał się bardzo zainteresowany naszym sukcesem. Próbował dać nam to, co jego zdaniem może nam się przydać. Niemniej on myśli strasznie wolno, a nadto tkwi w swym demonicznym światopoglądzie i nie

bardzo pojmuje, co mówi jasne tłumaczenie. Najprawdopodobniej przekazał nam wiele takich rzeczy, z których zdamy sobie sprawę dopiero wówczas, gdy trzeba będzie o nich pomyśleć. Bądźcie więc dla nas cierpliwi. Przez jakiś czas możemy zachowywać się nieco dziwnie. Ja już mam problemy z przyzwyczajaniem się do mojej nowej osobowości. Gdziekolwiek spojrzę, widzę zupełnie nowe rzeczy. W tej chwili jednak najważniejsze jest wydostanie się z równiny. Naszych zapasów nie sposób określać dalej słowem innym jak „ograniczone”. Musimy stać się samowystarczalni jak najszybciej.

Twarze, które potrafiłam dostrzec w bladym świetle, zdradzały obawę o przyszłość. Gdzieś zawył pies. Niemowlę Iqbała załkało na chwilę, gdy Sjuruwidza odsunęła je od jednej piersi, by przystawić do drugiej. Moim zdaniem dziecko trzeba było przewinąć, ale przecież ja nie miałam żadnych podstaw do wygłaszania tego rodzaju opinii. Jak dotąd żadne z moich dzieci nie przyszło jeszcze na świat. A poza tym zrobiło się już trochę późno, by o to zadbać.

Ludzie czekali, abym powiedziała im coś konkretnego. Bardziej skłonni do rozmyślań zastanawiali się z pewnością, jakich też nowych kłopotów należy się spodziewać, po tym jak dotarliśmy tak daleko. Łabędź mógł mieć rację. Może w Krainie Nierozpoznanych Cieni przypada właśnie pora zniw. A być może pora skalpowania obcych.

Mnie też martwiło wiele spraw, lecz tak często musiałam stawiać czoło nieznanemu, że pokryły się one ochronnymi zgrubieniami zrodzonymi przez strach. Wiedziałam aż za dobrze, że nic mi nie przyjdzie z niewczesnego zamartwiania się i uskarżania, skoro i tak nie miałam zielonego pojęcia, co nas czeka. Ale i tak się martwiłam. Mimo iż wedle wiedzy nabytej podczas snu zejście z równiny bynajmniej nie musi oznaczać natychmiastowej katastrofy.

Z początku chciałam wygłosić mowę podnoszącą na duchu, potem jednak zrezygnowałam z tego pomysłu. Nikomu na tym nie zależało. Nawet mnie samej.

– Wszyscy gotowi? A więc ruszamy.

Wymarsz zabrał mniej czasu, niż sądziłam. Większość moich braci w ogóle nie zatrzymała się, aby mnie wysłuchać do końca, przewidując, że oprócz starej bajeczki nie będę miała nic więcej do powiedzenia. Odeszli zając się przygotowaniem do wymarszu. Zwróciłam się do Łabędzia:

– Sądzę, że opowieści zaczynające się od słów: „W owym czasie Kompania...” sprawdzają się zasadniczo lepiej po kolacji i całym dniu ciężkiej pracy.

– W moim przypadku na pewno. Jeszcze lepiej, kiedy mam pod ręką coś do picia. A już zupełnie potrafią mnie poruszyć, gdy mogę się położyć do łóżka.

Przez jakiś czas wędrowałam razem z Sahrą, próbując odświeżyć naszą przyjaźń i złagodzić narastające między nami napięcie. Ona jednak nie pozwoliła sobie nawet na odrobinę swobody. Nie minie przecież wiele czasu, nim będzie musiała spojrzeć w oczy swego męża po raz pierwszy od piętnastu lat. Nie miałam pojęcia, jak całą rzecz uczynić dla niej łatwiejszą.

Potem przez godzinę maszerowałam z Radiszą. Ją również trawiła niepewność. Upłynęło jeszcze więcej czasu, od kiedy jej styczność z bratem wychodziła poza coś więcej aniżeli zdawkowe kontakty oficjalne. Jednakowoż zachowała poczucie rzeczywistości.

– Nie mam nic, co mógłby mi odebrać, nieprawdaż? Straciłam już wszystko. Najpierw na rzecz Protektorki, przez moją własną ślepotę. Potem ty porwałeś mnie z Taglios i ograbiłeś nawet z nadziei na odzyskanie należnego mi miejsca.

– Założę się z tobą o coś, księżno. Założę się, że już wspomnianą jesteś jako matka złotego wieku. – To z pewnością rozsądne proroctwo. Przeszłość zawsze wygląda dobrze, kiedy terażniejszość tworzy zatęchłą nędza. – Nawet jeśli Protektorka nie dotarła jeszcze do stolicy. Kiedy już osiedlimy się, zadaniem pierwszej misji, jaką wyprawię z powrotem, będzie zanieśenie Taglios wiadomości, że ty i twój brat żyjecie, jesteście naprawdę wściekli i wracacie.

– Wszyscy chyba śnicie – odrzekła Radisza.

– Nie chcesz wrócić?

– Czy pamiętasz obelgi, jakimi dręczyłaś mnie każdego dnia? Radżadharm?

– Jasne.

– To, czego ja chcę, nie ma znaczenia. To, czego mógłby zechcieć mój brat, jest również nieważne. On miał swoje przygody. Teraz ja będę miała moje. Radżadharm ogranicza nas mocniej, niż byłyby zdolne najcięższe okowy. Radżadharm będzie wzywać nas z powrotem przez niezliczone

kilometry, póki wciąż jeszcze będziemy oddychać, we wszelkich, najbardziej niemożliwych miejscach, obok tych wszystkich śmiertelnych niebezpieczeństw i nieprawdopodobnych bytów. Ty nieustannie przypominając mi o moich zobowiązaniach. Może dzięki temu udało ci się stworzyć potwora zdolnego do walki z tą, która pozbawiła mnie władzy. Reguły radzadharmy stały się ściskającym mnie imadłem, Ospala. Stały się dla mnie podświadomym przymusem. Idę za tobą dalej tylko dlatego, że rozum nalega, a mimo iż w ten sposób z każdą chwilą oddalam się od Taglios, wiem, że jest to ostatecznie najkrótsza droga ku memu przeznaczeniu.

– Pomogę ci jak tylko będę mogła. – Jednak nie poświęcę Kompanii. Wciąż musiałam obudzić Kapitana i Porucznika, i musiałam spojrzeć im w oczy. Ruszyłam dalej ku przodowi kolumny. Pragnęłam jeszcze raz zobaczyć się z Mistrzem Santaraksitą, na jakąś chwilę zatracić się w grze intelektualnych spekulacji. Ostatnimi czasy horyzonty myślowe bibliotekarza ogromnie się poszerzyły.

– Ospala...

– Radisza?

– Czy Czarna Kompania uznaje swą zemstę za dostateczną?

Zabraliśmy jej wszystko prócz miłości ludu. A nie była złą kobietą.

– W moich oczach do odkupienia brakuje jeszcze jednego drobnego gestu. Chcę, żebyś przeprosiła Kapitana, gdy tylko dojdzie do siebie na tyle, by wiedzieć, co się dzieje.

Zobaczyłam, jak jej usta się zacisnęły. Ona i jej brat nie pozwolili uczynić z siebie niewolników wymogów własnej pozycji bądź kasty, pomimo tego... przeprosić obcego najemnika?

– Jeśli to konieczne, niech tak będzie. Mam ograniczone możliwości wyboru.

– Woda śpi, Radisza. – Przyłączyłam się do Sjuwrina i Mistrza Santaraksity, po drodze poświęcając kilka minut czarnemu ogierowi. Niósł Jednookiego, który wprawdzie oddychał, ale poza tym nie bardzo przypominał żywego człowieka. Miałam nadzieję, że to tylko starczy sen nadaje mu ten wygląd. Koń wydawał się śmiertelnie znudzony. Przypuszczam, że też miał już dość przygód.

– Mistrzu, Sjuwrin, może któregoś z was dwóch dręczą jakieś skojarzenia, których nie mieliście, wkraczając na równinę?

Tak właśnie było. U Santaraksity było ich więcej niż u Sjuwrina. Dary Sziwetji zdawały się dostosowane do indywidualnych potrzeb. Mistrz Santaraksita zaczął opowiadać mi kolejną wersję mitu Kiny oraz tłumaczyć związki łączące Sziwetję z Królową Śmierci i Grozy. Ta legenda przedstawiona była z punktu widzenia demona. Niewiele nowego można się było z niej dowiedzieć, po prostu proponowała odmienną interpretację wpływu, jaki różne postaci miały na znane wydarzenia, ostatecznie obciążając Kinę winą za wyginięcie ostatnich budowniczych.

W tej wersji Kinie przypadła rola łotra o czarnym sercu, podczas gdy Sziwetja mienił się jednym z wielkich nieznanym bohaterów, zasługujących na miejsce w mitycznej hierarchii dalece bardziej poczesne niż to, jakie mu przypadło. Co oczywiście mogło być prawdą. Ponieważ w innych mitologiach nie zostawiono dlań właściwie żadnego miejsca. Nikt poza równiną nigdy o nim nawet nie słyszał.

– Kiedy wrócisz już do Taglios, Mistrzu, możesz zdobyć sobie niemałą sławę, interpretując mity słowami istoty, która żyła w czasach, kiedy je tworzone – podsunęłam.

Santaraksita uśmiechnął się ponuro.

– Sam wiesz przecież lepiej, Dorabi. Mitologia jest jedyną dziedziną, w której nikt nie dąży do poznania prawdy absolutnej, ponieważ czas fałszuje jej wielkie symbole ukute z surowych treści dostarczanych przez bardzo dawne wydarzenia. Prozaiczne fakty przemieniają się, zniekształcone, w prawdy dostępne oczom duszy.

Miał rację. W religii literalna prawda jest niemal pozbawiona wartości. Prawdziwi wierzący będą zabijać i niszczyć, byle tylko uchronić swe fałszywe wierzenia.

I taka jest prawda, na której można zawsze polegać.

Powoli uniosłam głowę, aby spojrzeć przez krawędź równiny na Krainę Nierozpoznanych Cieni. Wierzba Łabędź podpełzł od mojej prawej strony. Też patrzył. Po lewej Rzekołąz.

– Niech mnie diabli wezmą – stwierdził Rzeką.

Przytaknęłam.

– Możesz na to liczyć. Dodź, Gota, chodźcie i popatrzcie. Może ktoś sprowadzi Jednookiego? – Mały człowieczek odezwał się po raz pierwszy mniej więcej godzinę temu. Odzyskał chyba przynajmniej częściowy kontakt ze światem rzeczywistym.

Przywołałam gestem białego kruka. Ten cholerny stwór wyda nas, jeśli będzie sobie tak beztrosko krążył nad naszymi głowami.

– Komu wyda? – zapytał Łabędź. – Nie widzę tu nikogo. – Najwyraźniej znowu myślałam na głos. Łabędź odsunął się, żeby Dodź mógł popatrzeć z miejsca obok mnie.

Wujek uniósł głowę. Zamarł. Po jakichś piętnastu sekundach odchrząknął znacząco.

Dopiero Gota powiedziała na głos:

– To jest to samo miejsce, z którego wyszliśmy. Poprowadziłaś nas dookoła, ty głupi Kamienny Żołnierzu.

Na pierwszy rzut oka faktycznie wydawało się, że ma rację. Tylko...

– Spójrzcie na prawo. Nie zobaczycie śladu Przeoczenia. Bo nigdy go tu nie było. A Kiaulune niczym nie przypomina Nowego Miasta. – Nigdy nie widziałam Kiaulune, zanim stało się Uściskiem Cienia, wątpiłam jednak, by te ruiny przypominały bodaj stare miasto. – Dajcie tu Sjuwrina. On może wiedzieć.

Nie przestawałam się rozglądać. Im dłużej patrzyłam, tym więcej różnic rzucało się w oczy.

– Tutaj widać nieporównywalnie mniej śladów ludzkiej ręki – odezwał się wreszcie Dodź. – I ludzie odeszli stąd dawno temu. – Tylko

uksztaltowanie terenu było identyczne.

– Jakby sprzed wszystkich trzęsień ziemi, nie sądzisz? – To, co w moim świecie było krainą rolników z trudem wrywających ziemi plony, tutaj zdawało się zdecydowanie lepszą glebą, a jednak opuszczoną od co najmniej dwudziestu lat. Porastały ją krzaki, dzikie jeżyny i cedry i w zasięgu wzroku nie sposób było znaleźć większych drzew, wyjąwszy rosnące w równych rzędach oraz te oddalone na tyle, że barwiły podnóża Danda Presz ciemną, niemal czarną zielenią.

Przybył Sjuwrin. Zadałam mu kilka pytań.

– Naprawdę wygląda tak samo, jak wedle ludzkiego gadania wyglądało Kiaulune przed przybyciem Władców Cienia. Gdy moi dziadkowie byli jeszcze dziećmi – odparł. – Miasto zaczęło rozrastać się dopiero wówczas, kiedy Długi Cień postanowił wznieść Przeoczenie. Tylko że tutaj w dole nie ma nic prócz ruin.

– Spójrz na Bramę Cienia. Jest w lepszym stanie niż nasza. – Aczkolwiek wcale nie wyglądała, jakby ktoś o nią szczególnie dbał. Trzęsienia ziemi wywarły wpływ także na nią. – Nietrudno ustalić jej położenie. A już się bałam, że zanim za pomocą sznurów i kolorowej kredy wyznaczymy trasę bezpiecznie pozwalającą przez nią przejść, zaczniemy głodować.

Kilku ludzi przyniosło Jednookiego i usadziło między nami. Ich sylwetki odcinały się na tle nieba. Moje narzekania nie zdały się na nic. Z drugiej jednak strony, pod Bramą Cienia nie zmaterializowały się jakieś żadne krwi hordy, zatem może ostatecznie nie zdradzili przed nikim naszej obecności.

– Jednooki. Wyczuwasz coś tam w dole?

Nie miałam pojęcia, czy w ogóle zechce odpowiedzieć. Wyglądał, jakby znowu spał. Policzek skłonił na pierś. Ludzie ustąpili mu miejsca, ponieważ w takich właśnie chwilach zwykł dokazywać swą laską w nieprzyjemny sposób. Jednak po kilku sekundach uniósł głowę, otworzył oczy i wymamrotał:

– Miejsce, gdzie będę mógł spocząć w spokoju. – Wiatr, który nieprzerwanie towarzyszył nam na równinie, omal nie porwał jego słów. – Miejsce, gdzie wszelkie zło umiera niekończącą się śmiercią. Żadne paskudztwo nie kręci się tam w dole, Dziewczynko.

Uwaga Jednookiego podekscytowała wszystkich, którzy towarzyszyli mu podczas jednego z ostatnich jego występów. Kolejni ludzie swobodnie

pokazywali się wszystkim, którzy chcieliby zobaczyć ich z dołu. Jeszcze inni uznali wyraźnie, że nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy od razu popędzili na dół wielką, nieuporządkowaną hałastrą.

– Kendo! – zawołałam. – Wcześniak! Niech każdy weźmie sześciu ludzi. Przejdźcie przez bramę. W pełnym rynsztunku, bambusy również. Wcześniak, ty po prawej stronie drogi. Kendo, weźmiesz lewą. Będziecie nas osłaniać, kiedy wszyscy przekroczymy bramę. Rzeka, zostajesz w odwodzie. Wybierz dziesięciu ludzi i zaczekaj przy Bramie Cienia. Jeśli nie wydarzy się nic niepokojącego, pozostaniesz tam jako tylna straż.

Wyszkolenie i wpojona dyscyplina wzięły górę. Najwyższe ich normy stanowią najsilniejszą broń Kompanii. Właściwie użyte, stają się również najbardziej śmiertelnością. Dyscyplinę próbujemy zaszczebiać rekrutom od pierwszych dni po zaciągnięciu, wraz ze zdrowym brakiem zaufania do całej reszty świata. Po to, aby instynktownie wiedzieli, jak postępować w takiej sytuacji.

Zbocze dzielące skraj powierzchni równiny od Bramy Cienia wydawało się ciągnąć całymi kilometrami. Schodząc po nim bez sztandaru, czułam się, jakbym była zupełnie naga. Musiał zastąpić mnie Tobo, który niósł złoty kilof.

– Nie przyzwyczajaj się za bardzo do tej roboty, chłopcze – powiedziała jednak. – Być może, kiedy już obudzimy Kapitana i Porucznika, ledwie dla mnie jej zostanie. Albo nawet i nie, jeśli twój ojciec zechce objąć z powrotem wszystkie swe funkcje.

Kolejne próby dowiodły szybko, że aby zejść z równiny, niepotrzebny jest żaden klucz. Jednak podczas pokonywania bramy czuło się łaskotanie i mrowienie.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła mnie na zewnątrz, była ostra mieszanina woni sosny i szałwi. Na równinie prawie nie czuło się zapachów. Potem zdałam sobie sprawę, jak bardzo jest ciepło. Świat był wydatnie gorętszy od równiny. Tutaj była wczesna jesień... jak obiecano, Wierzba. Jak obiecano.

Kendo i Wcześniak dalej szli na czele swych pododdziałów, osłaniając nasz pochód. Kolejni ludzie przechodzili przez bramę. Kazałam usadzić się na grzbiecie czarnego ogiera, aby mieć lepszy widok. Co oznaczało z kolei, że ktoś musiał nieść Jednookiego.

– Obejrzyjmy te ruiny – powiedziałam do Sahry. – Chciałam dodać coś jeszcze na temat tego, że dostarczą pewniejszego schronienia, kiedy Kendo Rębacz coś krzyknął.

Spojrzałam w stronę, którą wskazywał. Trzeba było ostrego wzroku, by ich zobaczyć. Starcy powoli wspinający się pod górę mieli na sobie szaty niemal dokładnie tej samej barwy co powierzchnia drogi i ziemia za nimi. Było ich pięciu. Przygięci do ziemi, poruszali się niezwykle mozolnie.

– A jednak zdradziliśmy swoją obecność. I ktoś patrzył. Dodź!

Marnowanie słów. Mistrz Miecza już kierował się w dół stoku. Toba i Gota szli tuż za nim, co nieszczęśliwie poprawiło stan nerwów Sahry. Pobiegałam za nimi, schwyciłam chłopaka.

– Ty zostajesz.

– Ale, Ospala!

– Chcesz się kłócić z Popłochem i Iqbalem?

Nie miał ochoty na kłótnię z potężnie zbudowanymi Szadar.

A ja nie chciałam kłócić się z Trollicą. Pozwoliłam jej pójść. Tak czy siak, jej obecność może wywrzeć większe wrażenie niż Dodź. On był tylko zwykłym staruszką z mieczem. Ona zaś paskudną staruchą o jadowitym jezorze.

Poprawiłam poszczerbiony, stary miecz przytroczony do pasa. Z pewnością będzie musiał dokonać prawdziwych cudów, jeśli tamtym uda się pobić Wujka Dodź. Potem sama ruszyłam w dół zbocza. Sahra szła obok mnie.

Starcy w brązach patrzyli na Dodźa i Gotę. Dodź i Gota patrzyli na nich. Tych pięciu wyglądało jak ulepionych z tej samej gliny: przysadziści, krępi i niesamowicie wiekowi.

Jeden z tubylców powiedział wreszcie coś bardzo szybko, jego słowa zlewały się ze sobą. Rytm był dość niezwykły, jednak niektóre wyrazy brzmiały w odległy sposób znajomo. Podchwyciłam frazę: „Dzieci Zmarłych”. Dodź odpowiedział długą przemową w Niueng Bao, włączając do niej wyrażenia: „Kraina Nierozpoznanych Cieni” oraz „Wszelkie Zło Umiera Tam Niekończącą się Śmiercią”. Starcy wydawali się niezwykle skonsternowani jego wymową, najwyraźniej jednak potrafili bez trudu rozpoznać te wyrażenia, natychmiast bowiem zapanowało wśród nich wyraźne wzburzenie. Nie potrafiłam tylko stwierdzić, czy należy je rozumieć jako objaw dla nas korzystny czy wręcz przeciwnie.

Matka Gota zaczęła mamrotać jakąś inkantację, która obejmowała między innymi „Wzywanie Ziemi i Niebios, Dnia i Nocy”, co jeszcze bardziej podekscytowało tamtych.

– Najwyraźniej język bardzo zmienił się od czasu, kiedy Dzieci Zmarłych opuściły te strony – zauważyła Sahra.

Starcy zaczęli teraz gadać bezładnie jeden przez drugiego, wszyscy chyba zadawali kolejne pytania, na które Dodż nie umiał jednak odpowiedzieć.

Sahra ciągnęła dalej:

– Najwyraźniej martwią się bardzo o kogoś, kogo określają mianem „ten diabelski pies Merika Montera”. Jak również o ucznia potwora, domniemanego przyszłego Wielkiego Mistrza. Najwyraźniej ich dwóch równocześnie wypędzono na wygnanie.

– Merika Montera to może być Długi Cień. Wiemy, że był czas, kiedy posługiwał się imieniem Maricza Mantara Dumraksza. To on wysłał emisariusza, Aszjutosza Jakszę, aby ten żył wśród Niueng Bao, co ostatecznie miało zaowocować zdobyciem tego Klucza, który przynieśliśmy ze sobą. Tego złotego kilofa.

Wujek Dodż złażał mnie.

– Ospała, ci starzy ludzie nie mówią ani po tagliańsku, ani po dedżagorańsku, niemniej mogą rozpoznać nasze wersje imion, których boją się i nienawidzą jak cholera. W tej chwili próbują wydusić ze mnie, co wiem na temat niejakiego Aczoesa Tosiak-szaha. Brzmi to trochę, jakby chodziło o Długiego Cienia i Kręcącego Cienia. Przed wygnaniem byli chyba ostatnimi z rasy obcych czarowników, którzy niewolili przodków tych ludzi tutaj... dzięki swym zdolnościom wzywania morderczych cieni z równiny.

– Dziwisz się? Wzięli swoje kramiki ze sobą. Powiedz tym facetom wszystko, co chcą wiedzieć. Powiedz im prawdę. Powiedz im, kim jesteśmy i o co nam chodzi. I co już zdążyliśmy zrobić ich kumplom, Dłугоmu oraz Kręcącemu Cieniowi.

– Lepiej zdobyć trochę więcej informacji na ich temat, zanim staniemy się zupełnie słodziutcy. Mądrzej.

– Nie oczekuję od ciebie, byś łamał nawyki całego życia.

Dodż skinął lekko głową, równocześnie uśmiechając się delikatnie. Odwrócił się do starych ludzi i zaczął mówić. W trakcie przekonałam się,

że mój Niueng Bao istotnie się poprawił. Nie miałam żadnych kłopotów z wyłowieniem w tym monologu ani „Kamiennego Żołnierza”, ani „Żołnierza Ciemności”. Twarze tubylców co raz zwracały się w moją stronę, zdradzając rosnące zaskoczenie.

– Oni są czymś w rodzaju mnichów – odezwała się Sahra. – Czekają na przybycie Dzieci Zmarłych. Na oczekiwaniu opiera się reguła ich zakonu. Nasi przodkowie mieli wrócić całe wieki temu, prowadząc ze sobą pomoc. Dawno już stracili nadzieję, że ktoś wreszcie przyjdzie.

– A tym bardziej nie spodziewali się kobiet, co?

– To ich zdumiewa. A widok Łabędzia zadziwia ich jeszcze bardziej. Ich doświadczenia z białymi diabłami nie okazały się szczególnie budujące.

Dokładnie w tej samej chwili biały kruk musiał oczywiście zacząć kołować nad głowami i po chwili wylądować na moim ramieniu. Wielki czarny ogier z pomarszczonym i skurczonym jeźdźcem na grzbiecie też podszedł, chcąc we wszystko wsadzić swój nos. W miarę jak pogaduszki, w których wciąż przewijały się słowa: „Kamienny Żołnierz”, „Żołnierz Ciemności” i „Niezlomny Strażnik”, nabierały rozpędu, reszta oddziału gnana ciekawością podchodziła coraz bliżej. Zanim się zorientowałam, zobaczyłam już Tobo, Popłocha, Iqbala i Sjuruwidzę oraz ich przychówek, psa... i nagle w uszach rozbrzmiewały mi już tylko pytania, gdzie rozbijemy obóz i co mamy zrobić z Uwięzionymi...

– Słyszysz te pytania? – zapytałam Dodża.

– Słyszę. Wydaje mi się, że możemy zająć całą dolinę. Przynajmniej na jakiś czas. Póki nie wyprawią posłańców do władz tego świata. W końcu i tak muszą do nas przybyć ważniejsi goście. Do tego czasu, przynajmniej na ile ich rozumiem, możemy rozbić sobie obóz, gdziekolwiek zechcemy. Ten dialekt jest nieco zwodniczy, lepiej więc uważać.

Kilkanaście par oczu należących do weteranów śledziło dolinę, poszukując stanowisk najlepiej nadających się do obrony. Nie trzeba było wielkiego wysiłku, aby je zidentyfikować. Były takie same jak te, które zapamiętaliśmy z wojen kiauluńskich.

Nie mogłam nie zastanawiać się, czy wszystkie połączone ze sobą światy będą tak samo znajome, jeśli chodzi o rzeźbę terenu.

Wskazałam wybrane miejsce. Nikt nie protestował. Popłoch i Singhowie pośpieszyli obejrzeć je z bliska. Towarzyszyło im kilkunastu ludzi

uzbrojonych po zęby. Żaden z pięciu starych mnichów nie zaprotestował. Wydawali się tylko zamyśleni i zdumieni.

Takim to sposobem Czarna Kompania, zamiast do legendarnego Khatovaru, dotarła do Krainy Nierozpoznanych Cieni. Tam osiadła i zaczęła odzyskiwać siły. Tam też słowami zapełniałam karty kolejnych ksiąg, kiedy tylko nie planowałam lub nie dowodziłam ekspedycją wysłaną dla uwolnienia reszty moich uwięzionych braci – a nawet diabelskiego psa, Meriki Montera, którego należało powtórnie postawić przed obliczem sprawiedliwości. Tym razem winna być mniej łaskawa niż wówczas, kiedy skazano go na wygnanie. Prawniki jego byłych niewolników nie obawiały się go już obecnie w ogóle.

Na wyraźne żądanie Pani uzyskałam dla niego odroczenie wykonania kary, aby pomógł w szkoleniu Tobo. Zawieszenie miało trwać tak długo, póki zadowolająco wywiązuje się ze swoich obowiązków, i ani chwili dłużej. Starzy mnisi, równie małomówni jak ich kuzyn Dodż, zgodzili się, że Tobo powinien otrzymać stosowne nauki, jednak nigdy mi nie zdradzili racji kierujących ich decyzją.

W którejś z minionych epok Krainę Nierozpoznanych Cieni nawiedziła istna plaga wychudzonych, białych indywiduów z rasy Długiego Cienia. Byli to najeźdźcy z innego świata. Nie przyprowadzili ze sobą swoich żon. Czas nie okazał się dla nich łaskawy.

I tak to było. Tak to było.

Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego.

Jednooki przeżył jeszcze trzy lata, nękany kolejnymi atakami, po każdym dochodząc powoli do siebie. Rzadko kiedy jednak opuszczał dom, który wznieśliśmy dla niego i Goty. Zazwyczaj pracował uporczywie nad swoją czarną włócznią, podczas gdy Gota krzątała się po domostwie i zrzędziła. On jej odszczekiwał. Nawet na moment nie przestał troszczyć się o wykształcenie Tobo.

Po raz kolejny Tobo miał aż nadto rodziców wokół siebie, zarówno prawdziwych, jak i przybranych.

Uczył się u Jednookiego, uczył się u Pani, uczył się u Długiego Cienia i Mistrza Santaraksity, u Radiszy i Prabrindraha Draha, a także u mistrzów ze świata, który go przygarnął. Studiował ciężko, dobrze i wytrwale,

znacznie więcej, niż miałyby na to ochotę. Okazał się jednak bardzo utalentowany. Miał w sobie to, co ujrzała w wizji jego prababka Hong Trej.

Wszyscy uwięzieni powrócili do nas, wyjąwszy tych, którzy stracili życie pod równiną, jednak nawet najlepsi z nich – Murgen, Pani, Kapitan – stali się jacyś dziwni, głęboko odmienieni. Naznaczeni. Ale nas również życie zmieniło nie na żarty. Toteż nawet ci z nas, których tamci zapamiętali, zdawali się w ich oczach prawie obcy.

Do głosu doszły nowe porządki.

Tak być musi.

Któregoś dnia znowu pokonamy równinę.

Woda śpi.

Jak na razie po prostu odpoczywam. I folguję potrzebie pisania, wspominając tych, co polegli, zastanawiając się, jakimi też dziwnymi drogami toczy się świat. Próbując wydedukować, wedle jakich też osobliwych zamysłów Boga dobrzy muszą umierać młodo, podczas gdy niegodziwcom wiedzie się świetnie; prawi ludzie potrafią dopuszczać się największego zła, źli zaś ukazują niekiedy zupełnie niespodzianie oblicze pełne człowieczeństwa.

Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego.

Wielki Generał wyruszył na Południe przez Danda Presz w kilka chwil po tym, jak Protektorka zostawiła go, by samej poruszać się szybciej. W konsekwencji dokładnie tydzień później spotkał Duszołap na południowym stoku przełęczy. Nieustannie mówiła do siebie rozgwarem głosów, przynajmniej kiedy była przytomna, natomiast bełkotała niewyraźnie wieloma językami podczas snu. Mogabie wydawało się, że na obliczu Córki Nocy pojawiło się zadowolenie podszyte ironią, na moment przedtem nim straciła przytomność z wyczerpania.

– Zabij ich – nalegał Mogaba w chwilach, kiedy udawało mu się porozmawiać z Duszołap na osobności i miał wrażenie, że ona go słucha. – Nic ci z nich nie przyjdzie, prócz kłopotów, i nic nie zyskasz, trzymając ich przy życiu.

– Może masz rację. – Głos Protektorki był teraz chytry. – Ale jeśli będę dostatecznie bystra, to może uda mi się dzięki dziewczynie podłączyć do mocy Kiny tak, jak to zrobiła moja siostra.

– Jeśli istnieje choć jedna rzecz, jakiej nauczyłem się w życiu: rzecz warta znoju i rozczarowań, to fakt, iż nie należy polegać na własnej bystrości. Teraz jesteś u szczytu potęgi. Zabij ich, póki jeszcze możesz. Zabij ich, nim znajdą sposób, by przechylić szalę wagi. Niepotrzebna ci żadna dodatkowa moc. Nie ma nikogo na tym świecie, kto mógłby rzucić ci wyzwanie.

– Zawsze jest ktoś taki, Mogaba.

– Zabij ich. Z pewnością nie wahałoby się ani sekundy, gdyby chodziło o ciebie.

Duszołap podeszła bliżej do Córki Nocy, która nawet nie drgnęła od czasu, gdy straciła świadomość.

– Moja kochana, słodziutka siostrzenica na pewno nie zrobi mi nic złego. – Głos, który teraz wybrała, mógłby należeć do naiwnej czternastolatki odpowiadającej na zarzut, że jej dwudziestopięcioletniego

kochanka interesuje w niej tylko jedna rzecz. Potem roześmiała się z okrucieństwem i złośliwie kopnęła Córkę Nocy. – Pomyśl tylko o tym, suko, a upiekę cię i zjem, po kawałku. A mimo to zadbam, byś żyła dostatecznie długo, aby obserwować najpierw śmierć twojej matki.

Wielki Generał ani drgnął, nie poczynił też żadnej uwagi. Z jego twarzy nie sposób było nic wyczytać, nie było w stanie dokonać tego nawet bystre spojrzenie Duszołap. Jednak w głębi serca, które powoli ogarniała rozpacz, pojawił się, że znowu sprzymierzył się z istotą ostatecznie i nieprzewidywalnie szaloną. I znowu nie miał przed sobą żadnej innej możliwości, jak tylko trzymać się grzbietu tygrysa. Zauważył więc tylko:

– Może powinniśmy jakoś zabezpieczyć nasze umysły przed wizytą Królowej Trwogi i Mroku.

– Jestem z tobą, Generale. Jestem przecież profesjonalistką. – Tym razem przemawiała niczym mała myszka na urzędzie, pełna poczucia własnej ważności. Potem jej głos zabrzmiał niczym zwyczajna wypowiedź pewnej siebie młodej kobiety. Jak podejrzewał Mogaba, mógł to być prawdziwy głos Duszołap, przypominał bowiem do złudzenia tembr jej siostry, Pani. – Przez ostatni tydzień nie robiłam nic innego, jak tylko opatrywałam moje pęcherze i myślałam. Wymyśliłam cudowne nowe udreki, jakie mogłam zadać Czarnej Kompanii... ale teraz jest już za późno, by ucieszyły me oczy. Czyż wszystko nie dzieje się zawsze właśnie tak? Zawsze udaje ci się wymyślić najcelniejszą ripostę mniej więcej godzinę po tym, kiedy mogłaby jeszcze czemuś posłużyć. Jak przypuszczam, znajdę sobie innych wrogów, tak więc moje pomysły się nie zmarnują. Jednak większość czasu poświęciłam na zastanawianie się, jak ukraść część mocy Kiny. – Nie czuła śladu strachu przed otwartym wzywaniem imienia bogini. – To się da zrobić.

Córka Nocy poruszyła się lekko. Mięśnie jej ramion napięły się. Na krótką chwilę uniosła wzrok. Na jej twarzy odmalował się wyraz niepewności, wręcz zmartwienia.

Po raz pierwszy w życiu pozbawiono ją kontaktu z duchową matką. Trwało to już od kilku dni. Działo się coś złego. Działo się coś nieopisanie złego.

Duszołap zmierzyła wzrokiem Narajana Singha. Z tego starca nie będzie już więcej pożytku. Dostarczywszy go do Taglios, będzie mogła

wypróbować tam na nim nowe męczarnie przed stosownie dobraną publicznością.

– Generale, jeśli wdam się w jedną z tych niekończących się dygresji myślowych, które tak często mnie trapią, chcę, żebyś przywołał mnie do rzeczywistości i uświadomił stan spraw niecierpiących zwłoki. Najważniejsza jest budowa imperium. W wolnym czasie zaś – nowe dywany latające. Wiem dość o sekretach Wyjca, żeby dać temu radę. W ciągu ostatniego tygodnia uświadomiłam sobie, że nie mam w sobie wrodzonego upodobania do ćwiczeń fizycznych.

Duszołap znowu szturchnęła Córkę Nocy, potem usiadła na spróchniałej kłodzie i zsunęła buty.

– Mogaba, nie mów nigdy nikomu, że widziałeś największą czarownicę świata kulejącą przez jakiś czas, bo nie umiała poradzić sobie z czymś tak banalnym jak pęcherze na stopach.

Narajan Singh, który chrapał dotąd nieregularnymi spazmami, wstał nagle, wpił się w pręty swej klatki i z twarzą wykrzywioną przerażeniem, całkiem niemalże pobladłą, krzyknął:

– Woda śpi! – wydarł się. – Ti Kim! Ti Kim nadchodzi! – A potem, znów nieświadomy, zapadł w odrętwienie, chociaż jego ciałem wciąż targały niekontrolowane drgawki.

– Woda śpi? Jeszcze zobaczymy, na co stać umarłych – Duszołap syknęła cicho. Przecież wszyscy już odeszli. Teraz ten świat należał już tylko do niej. – Co jeszcze powiedział?

– Coś, co brzmiało jak imię Niueng Bao.

– Mhm. Ale to nie było imię. To było coś o śmierci. Albo o morderstwie. Ti Kim. Nadchodzi. Hm. Może to jakiś pseudonim? Wędrowny morderca? Powinnam lepiej poznać ten język.

Zauważyła nadto, że Córka Nocy wstrząsają dreszcze jeszcze bardziej przemożne niż drgawki dręczące Narajana Singha.

Wiatr zawodzi i wyje, przewiewając przez lodowe kły. Owiewa z wściekłością bezimienną fortecę, do której jednak tej nocy ani grom, ani burza nie mają dostępu. Istota na drewnianym tronie jest odprężona. Będzie spoczywać tak wygodnie przez noc trwającą całe lata, po raz pierwszy od długich tysiącleci. Srebrne sztylety nie przeszkadzają już wcale.

Sziwetja śpi i śni sny o końcu nieśmiertelności.

Wściekłość zgrzyta pośród kamiennych kolumn. Cienie umykają. Cienie kryją się. Cienie zbijają się w przerażone gromady.
Nieśmiertelność została zagrożona.

ŻOŁNIERZE ŻYJĄ

*Dla Russell Galen, lat czterdzieści, na
ćwierćwiecze małżeństwa. Nie jest to
małżeństwo doskonałe, niemniej dostatecznie
bliskie ideału, by zachować mnie w dobrym
humorze. Zobaczmy, czy może uda nam się
wytrzymać do srebrnych godów (diamentowych,
czy jak tam zwą 50. rocznicę)?*

1

Siedlisko Kruków: KIEDY NIKT NIE ZGINAŁ

Cztery lata minęły i nikt nie zginął.

Przynajmniej nie z powodu przemocy czy innych niebezpieczeństw związanych z naszym zawodem. Zeszłego roku odeszli w odstępie kilku dni Otto i Wypieracz, z przyczyn całkowicie naturalnych, związanych z wiekiem. Kilka tygodni temu taki jeden Tam Diuk, rekrut w trakcie szkolenia, stracił życie na skutek cechującej młodość nadmiernej brawury. Wpadł do szczeliny, kiedy zjeżdżał z towarzyszami na derkach w dół długiego, gładkiego stoku lodowca Tien Mjuen. Było też paru innych, ale żaden nie padł z ręki wroga.

Cztery lata stanowią swoisty rekord, aczkolwiek z rodzaju tych nieczęsto wspomnianych w Kronikach.

Tak długi okres pokoju stanowi rzecz omalże niewiarygodną.

Pokój, który się przedłuża, staje się coraz bardziej kuszący.

Wielu z nas to zmęczeni starcy, których trzewi nie trawi już młodzieńczy żar. Ale my, stare pierniki, nie stoimy już u steru. I pomimo że byliśmy gotowi zapomnieć o dawnej grozie, ona jakoś nie chciała wyjść nam w tym względzie naprzeciw.

W owym czasie Czarna Kompania pozostawała w służbie własnego sztandaru. Nikt nie wydawał nam rozkazów. W wojownikach-władcach Hsien mieliśmy sprzymierzeńców. Zresztą obawiali się nas. Byliśmy niczym siła nadprzyrodzona, wielu z nas powstało przecież z martwych – prawdziwi Kamienni Żołnierze. Lękano się, że ostatecznie możemy opowiedzieć się po którejś ze stron wadzących się nad szczątkami Hsien,

potężnego ongiś imperium, które Niueng Bao wspominali jako Krainę Nierozpoznanych Cieni.

Nastrojeni bardziej idealistycznie wojownicy-władcy wiązali z nami pewne nadzieje. Tajemniczy Szereg Dziewięciu dostarczał nam broń, pieniądze i udzielał pozwolenia na szkolenie rekrutów, mając w planach wmanewrowanie nas do udziału w przedsięwzięciu restauracji złotego wieku. Był to czas, zanim Władcy Cienia zniewolili ich świat z takim okrucieństwem, że zamieszkujące go ludy po dziś dzień nazywają siebie Dziećmi Zmarłych.

Nie ma najmniejszej szansy, byśmy na to przystali. Ale nie odbieramy im resztek nadziei, pozwalamy piastować złudzenia. Musimy urosnąć w siłę. Mamy własne zadanie do wykonania.

Stacjonując przez cały czas w jednym miejscu, sprawiliśmy, że rozkwitło tu miasto. Pogrążone początkowo w chaosie obozowisko nabrało z czasem porządku i dorobiło się nazwy – Placówka lub Przedmoście, jak określają je ci, którzy przybyli z za równiny, bądź też Siedlisko Kruków, co stanowi najlepsze tłumaczenie miana nadanego mu przez Dzieci Zmarłych. Miasto wciąż rośnie. Szczyli się szeregiem stałych budowli. Właśnie otacza się murem. Na głównej ulicy kładą bruk.

Ospała nie lubi patrzeć, jak ktoś się nudzi. Nie może wprost znieść wałkoni. Kiedy w końcu odejdziemy, Dzieci Zmarłych odziedziczą po nas prawdziwy skarb.

2

Siedlisko Kruków: KIEDY ZAŚPIEWAŁ BAOBHAS

Bum! Bum! Ktoś załomotał do moich drzwi. Zerknąłem na Panią. Zeszłej nocy pracowała do późna, dlatego też tego wieczoru zasnęła w trakcie badań. Zdecydowana była odkryć za wszelką cenę wszystkie sekrety magii Hsien i pomóc Tobo okiełznać zaskakująco obfite nadprzyrodzone objawy występujące na tej ziemi. Choć w istocie Tobo najwyraźniej wcale nie potrzebował niczyjej pomocy.

Ten świat roił się większą liczbą prawdziwych widm i zdumiewających istot, skrytych w krzakach i za skałami, pośród drzew oraz na skraju nocy, niż nasi chłopcy byliby w stanie sobie wyobrazić nawet w dwudziestym pokoleniu. Ciągnęły do Tobo, niby do jakiegoś mesjasza ze źródeł nocy. A może jak do zabawnego zwierzątka.

Bum! Bum! Sam będę musiał zwlec tyłek z wyrka. Droga do drzwi zdała się długą, męczącą wyprawą.

– No już, Konował! Budź się! – Skrzydło drzwi uchyliło się, mój gość postanowił sam zaprosić się do środka. No i o wilku mowa.

– Tobo...

– Nie słyszałeś, jak baobhas śpiewał?

– Słyszałem jakieś wrzaski. Twoi przyjaciele wciąż czymś się podniecają. Dawno przestałem zwracać na to uwagę.

– Kiedy baobhas śpiewa, oznacza to, że ktoś umrze. Poza tym przez cały dzień z równiny dał zimny wicher, a Wielkie Ucho i Złote Oko były strasznie zdenerwowane i... Chodzi o Jednookiego. Poszedłem tylko z nim porozmawiać. Wygląda na to, że miał kolejny atak.

– Cholera. Daj mi moją torbę. – Nic dziwnego, że Jednooki miał atak. Ten stary piernik od lat robił wszystko, żeby nas opuścić. Resztki wigoru

opuściły go, gdy straciliśmy Goblina.

– Pośpiesz się!

Dzieciak kochał tego starego mąciwodę. Czasami wyglądało to wręcz tak, jakby uparł się, że gdy dorośnie, sam stanie się Jednookim. Po prawdzie to nikt nie mógł narzekać na brak szacunku ze strony Tobo, chyba tylko oprócz jego matki. Niemniej tarcia między nimi słabły, w miarę jak chłopak był coraz starszy. Bardzo dojrzał od chwili mego ostatniego wskrzeszenia.

– Śpieszę się, jak tylko mogę, Wasza Miłość. To stare ciało nie ma już w sobie takiej sprężystości, jaką miawało zawsze.

– Medyku, ulecz sam siebie.

– Uwierz mi, chłopcze, gdybym tylko potrafił... Jeśliby to ode mnie zależało, przez całą resztę życia miałbym dwadzieścia trzy lata. Życia, które trwałoby trzy tysiąclecia.

– Te sygnały z równiny. Zaniepokoiły również wujka.

– Dodź wciąż musi się czymś przejmować. Co powiedział ojciec?

– On i mama wciąż jeszcze są w Kang Fi, odwiedzają Mistrza Santaraksitę.

Ukończywszy ledwie dwadzieścia lat, Tobo jest już najpotężniejszym czarodziejem w całym tym świecie. Pani twierdzi, że niewykluczone, iż będzie równie silny jak ona u szczytu swej kariery. Sama myśl o tym jest lekko przerażająca. Wciąż jednak ma rodziców, do których mówi „mamo” i „tato”. Ma przyjaciół, których traktuje jak ludzi, nie jak przedmioty. Stara się zasłużyć na szacunek i pochwały swych nauczycieli, a nie zbić ich z tropu tylko po to, by dowieść, że jest od nich silniejszy. Matka wychowała go dobrze, mimo iż był skazany na dorastanie w środowisku Czarnej Kompanii i miał w sobie żyłkę buntownika. Mam nadzieję, że pozostanie przyzwoitym człowiekiem, nawet gdy osiągnie już szczyt swych mocy.

Moja żona nie wierzy w taką możliwość. Jest pesymistką, jeśli chodzi o ludzkie charaktery. Twierdzi, że władza deprawuje. Nieodwołalnie. Jednak formułując taki sąd, ma na względzie jedynie własną historię. I dostrzega wyłącznie ciemną stronę wszystkich rzeczy. Mimo to nie zrezygnowała przecież z nauczania Tobo, gdyż oprócz czarnowidztwa posiada również żyłkę do głupiego romantyzmu, który przywiódł ją tu ze mną.

Nie próbowałem nadążyć za chłopakiem. Czas spowolnił mnie zdecydowanie. A do tego pozostawił mi ból każdego z tysięcy kilometrów, jakie to posiniaczone ciało musiało przebrnąć. Wyposażył mnie nadto w starczy talent do zbaczania z tematu.

Chłopak nawet na moment nie przestał paplać o Czarnych Ogarach, famulusach, hobgoblinach i hobiachach oraz innych stworzeniach nocy, których nigdy nawet na oczy nie widziałem. I bardzo dobrze. Te nieliczne, które zechciał nam pokazać, były co do jednego paskudne, śmierdzące, niemile i jakoś nazbyt chętne, by kopulować z ludźmi, niezależnie od ich płci i preferencji seksualnych. Dzieci Zmarłych zgodnie twierdziły, że uleganie kaprysom potworów bynajmniej nie jest dobrym pomysłem. Jak dotąd jednak udawało się utrzymać dyscyplinę.

Wieczór był naprawdę chłodny. Oba księżycy świeciły na niebie. Chłopczyk był w pełni. W czystych i jasnych przestworzach krążyła sowa, niepokojona przez ciemne kształty wyglądające niczym para szemranych gawronów. Jeden z nich z kolei miał na ogonie mniejszego czarnego ptaka, który dolatywał, atakował go i uskakiwał, jakby biorąc odwet za jakieś krucze grzechy. Albo po prostu miał takie widzimisię, podobnie jak miewała moja szwagierka.

Najprawdopodobniej żaden z nich tak naprawdę nie był ptakiem.

Za najbliższym domem zamajaczyła jakaś ogromna sylwetka. Wydała z siebie parę chrapliwych odgłosów i o ciężale usunęła się z drogi. Udało mi się wypatrzeć zarys kształtu przypominający może najbardziej łeb gigantycznej kaczki. Pierwsi Władcy Cienia, ci, którzy podbili te ziemie, musieli dysponować osobliwym poczuciem humoru. Ta wielka, powolna, zupełnie absurdalna istota była zabójcą. Oprócz niej zastępy groźnych paskud obejmowały między innymi olbrzymiego borsuka, krokodyla na ośmiu nogach i z parą ramion oraz niezliczone mutacje krów-morderców, koni-morderców i kucyków-morderców, z których większość przeczekiwała dzień ukryta pod wodą.

Najbardziej dziwaczne istoty stworzone zostały przez bezimiennego Władcę Cienia, obecnie znanego już tylko pod przydomkami: Pierwszy lub Władca Czasu. Za tworzywo posłużyły mu cienie z lśniącej równiny, które w Hsien znane są jako Gromada Nieodkupionych Zmarłych. Trudno się więc dziwić, że Hsien nosi miano Krainy Nierozpoznanych Cieni.

Przeciągły ryk wielkiego kota rozdarł noc. To z pewnością musiał być Wielkie Ucho albo jego siostra Kocica Sith. Zanim dotarłem do domu Jednookiego, Czarne Ogary również dały o sobie znać.

Dom Jednookiego wzniesiony został zaledwie rok temu. Przyjaciele małego czarodzieja przystąpili do budowy dopiero wówczas, gdy wykończyli własne siedziby. Wcześniej Jednooki wraz ze swoją kobietą, babką Tobo, Gotą, mieszkał w paskudnej, śmierdzącej lepiance. Nowy dom zbudowano z kamienia. Pierwszorzędna strzecha kryła cztery wielkie pomieszczenia, w jednym z nich musiała mieścić się destylatornia. Jednooki mógł być zbyt już stary i słaby, aby wywalczyć sobie pozycję na lokalnym czarnym rynku, jestem jednak pewien, że nie zaprzestanie destylowania mocnej gorzały, póki jego duch goreje w sfatygowanej powłoce. Ten człowiek jest prawdziwym fanatykiem.

Gota utrzymywała dom w nieskazitelnym stanie, posługując się znaną od starożytności metodą – mianowicie gnała nielitościwie swą córkę Sahrę do prac domowych. Nadal przezywana Trollicą przez starych towarzyszy, była obecnie równie słaba jak Jednooki. Stanowili zaiste dobraną parę, jeśli wziąć pod uwagę upodobanie do mocnych trunków. Kiedy Jednooki wyzionie wreszcie ducha, zostawi jeszcze całe jezioro napojów wyskokowych dla swej najdroższej.

Tobo wystawił głowę przez szczelinę w drzwiach.

– Pośpiesz się!

– Zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz, chłopcze? Do byłego dyktatora wojskowego wszystkich Taglian.

Chłopak wyszczerzył zęby. Nie przejął się bardziej, niż zrobiłby to ktokolwiek inny na jego miejscu – takie czasy. Uwagi „kim to ja nie byłem” nie są warte materii oddechu, która je przenosi.

Ostatnio troszkę zbyt często zdradzałem skłonności do filozofowania na ten temat. Dawno, dawno temu byłem nikim i nie miałem żadnych ambicji stania się kimś więcej. Okoliczności sprzysięgły się, żeby złożyć w me ręce ogromną władzę. Gdybym wówczas zechciał, mogłem wypruć flaki połowie świata. Pozwoliłem jednak, by oładnęła mną inna obsesja. I tym sposobem znalazłem się tu, gdzie jestem teraz – zatoczywszy pełny krąg od miejsca, z którego wyszedłem – rozdrapując rany, nastawiając złamane kości i pisząc historie, których nikt zapewne nie przeczyta. Tylko że

obecnie jestem znacznie starszy i bardziej zbzikowany. Pogrzebałem wszystkich przyjaciół mej młodości prócz Jednookiego...

Wszedłem do domu czarodzieja.

Upał był przemożny. Jednooki i Gota nawet latem trzęśli się z zimna, chociaż lata w południowym Hsien rzadko kiedy bywały naprawdę gorące.

Rozejrzałem się po wnętrzu.

– Jesteś pewien, że naprawdę coś się stało?

Tobo odrzekł:

– Próbował mi coś powiedzieć. Nie byłem w stanie go zrozumieć, dlatego poszedłem po ciebie. Bałem się.

On. Bał się.

Jednooki siedział na koślawym krześle, które sam dla siebie zbił. Trwał w całkowitym bezruchu, jednak w kątach pomieszczenia kotłowało się coś, co pozostawało zazwyczaj widoczne jedynie kątem oka. Podłogę zaścieniały ślimacze muszle. Ojciec Tobo, Murgen, mówił na te stwory „smagli”, przez pamięć o małym ludku, który znał w młodości. W okolicy zamieszkiwało dwadzieścia odmian „smagłych”, od nie większych niż kciuk do sięgających połowy wysokości człowieka. Naprawdę pomagały w domu, kiedy nikt nie patrzył, co doprowadzało Ospałą do szaleństwa. Oznaczało bowiem, że musiała dodatkowo wysilać mózgownicę, aby wymyślać kolejne obowiązki, które utrzymałyby łobuzów z Kompanii z dala od kłopotów.

Całe domostwo Jednookiego wypełniał przytłaczający smród. Jego źródłem był fermentujący zacier.

Sam czort wyglądał jak efekt zabiegów preparatora głów, który nie kłopotał się na dodatek oddzieleniem czerepu od reszty ciała. Był obecnie dosłownie strzępem człowieka. Nawet w najlepszym okresie trudno byłoby określić jego posturę mianem szczególnie okazałej. W wieku dwustu i coś tam lat, stojąc nie jedną, ale obiema nogami w grobie i jeszcze sięgając doń ręką, bardziej przypominał wysuszone truchło małpki niżli żywą istotę ludzką.

– Słyszałem, że znowu próbujesz zaleźć komuś za skórę, staruszk. – Uklęknałem. Oczy Jednookiego otworzyły się. Utkwił we mnie spojrzenie. Pod tym względem czas okazał się dla niego łaskawy. Nie miał kłopotów ze wzrokiem.

Otworzył bezzębne usta. Z początku nie potrafił dobyć z nich żadnego dźwięku. Spróbował unieść dłoń przypominającą mahoniowego pająka. Nie starczyło mu sił.

Tobo zaszurał nogami i mruknął coś do stworów w kątach. Hsien roіło się dziesiątkami tysięcy dziwacznych istot, a on znał każdą z imienia. I wszystkie go czciły. W moich oczach to przenikanie z ukrytym światem stanowiło najbardziej kłopotliwy skutek naszego przedłużającego się pobytu w Krainie Nierozpoznanych Cieni.

Lubiłem je bardziej, gdy pozostawały wciąż nierozpoznane.

Na zewnątrz Skrajker albo Czarna Łuska, a może jakiś inny Czarny Ogar zaczął szczekać. Pozostałe podchwyciły ujadanie. Wrzawa niosła się powoli na południe, w kierunku Bramy Cienia. Zażyczyłem sobie, aby Tobo poszedł sprawdzić, co się dzieje.

Został jednak na miejscu, pełen pytań i urazy. Powoli stawał się jak dokuczliwa zadra.

– Jak się miewa twoja babcia? – zapytałem. Uderzenie wyprzedzające. – Dlaczego nie sprawdzisz, co z nią? – Goty nie było w pokoju. Zazwyczaj warowała przy starym czarodzieju, starając się nim opiekować, mimo iż była równie słabowita.

Jednooki dobył wreszcie z siebie głos, poruszył głową, spróbował znowu unieść dłoń. Zobaczył, że chłopak wyszedł z pokoju. Otworzył usta. Słowa dobywały się z nich z wysiłkiem, spazmami pojedynczych szeptów:

– Konował. To jest... koniec... Poradziła sobie. Czuję to. Nadchodzi. Wreszcie.

Nie kłóciłem się z nim, nie zadałem dodatkowych pytań. Mój błąd. Przez podobne sceny przechodziliśmy wcześniej mnóstwo razy. Jego ataki nigdy nie kończyły się zejściem. Wyglądało, że los miał jeszcze jakąś ostatnią rolę do odegrania dla niego w swoim wielkim planie.

O cokolwiek chodziło, i tym razem należało wysłuchać zwyczajowego monologu. Musiał ostrzec mnie przed nadmierną pewnością siebie, bo nie potrafił wbić sobie do głowy, że nie tylko nie jestem już więcej Wyzwolicielem, dyktatorem wojskowym wszystkich Taglian, ale również zrezygnowałem z pretensji do przywództwa w Czarnej Kompanii. Po Zniewoleniu nie zostało mi dość władzy rozumu, bym mógł wypełnić to zadanie. Podobnie mój uczeń, Murgen, nie wyszedł z tego całkiem bez

szwanku. Ciężar obowiązku spoczywał obecnie na nieugiętych, acz drobnych barkach Ospalej.

Musiałem też wysłuchać próśb Jednookiego, bym opiekował się Gotą i Tobo. Nieustannie napominał mnie, bym nie dał się nabrać na paskudne sztuczki Goblina, choć tego straciliśmy już całe lata temu.

Podaję, że jeśli w ogóle istnieje życie po śmierci, ci dwaj spotkają się sześć sekund po tym, jak Jednooki wykituje, i podejmą swoją waśń dokładnie w punkcie, w którym przerwali ją za życia. Po prawdzie, poczułem niejaki zaskoczenie faktem, że Goblin nie nawiedzał tego świata, by dręczyć Jednookiego. Dostatecznie często się odgrażał.

Być może po prostu nie potrafił go odnaleźć. Niektórzy z Niueng Bao skarżyli się na poczucie zagubienia, na brak duchów przodków, ich opiekuńczej obecności oraz rad otrzymywanych od nich we śnie.

Kina najwyraźniej również nie potrafiła nas odnaleźć. Pani już od lat nie miała żadnego złego snu.

A może Goblinowi udało się ją zabić?

Jednooki skinął na mnie wysuszonym palcem.

– Bliżej.

Kłęcząc przed nimi i grzebiąc w torbie lekarskiej, byłem tak blisko, jak to tylko możliwe. Schwyciłem jego nadgarstek. Puls był słaby, szybki, nieregularny. Nic nie wskazywało na to, jakoby Jednooki przeszedł kolejny udar.

– Nie jestem. Głupcem. Który nie wie. Kiedy jego czas. I co. Się zdarzyło – mamrotał. – Słuchaj! Strzeż się. Goblina. Dziewczynki. I Tobo. Nie widziałem jego ciała. Zostawiłem go. Z Matką Oszustów

– Cholera! – Wcześniej jakoś nie przyszło mi to do głowy. Nie było mnie tam. Wciąż byłem jednym ze Zniewolonych, kiedy Goblin ugodził śpiącą boginię drzewcem sztandaru. Tylko Tobo i Ospala widzieli to na własne oczy. Zresztą cokolwiek widzieli, nie należało temu dawać wiary bezkrytycznie. Kina była przecież Królową Oszustów. – Dobry pomysł, staruszk. A teraz: co powinienem zrobić, abyś stanął na nogach i napił się ze mną?

Potem zagapiłem się na istotę, która wyglądała niczym mały czarny królik i popatrywała na mnie spod krzesła Jednookiego. To było coś nowego. Powinienem zawołać Tobo. On wiedziałby, co to jest. Istniały niezliczone odmiany tych stworzeń, wielkie i małe, jedne łagodne, inne –

bynajmniej. Ciągnęły do Tobo, jakby pchane niewidzialną siłą. Jedynie w kilku przypadkach, wszelako obejmujących zasadniczo najbardziej niebezpieczne typy, chłopak posłuchał rady Pani i związał je ze sobą, uczyniwszy z nich osobiste służki.

Tobo niepokoił Dzieci Zmarłych. Kilka stuleci pod butem Władców Cienia sprawiło, że wręcz paranoicznie reagowali na obcych czarowników.

Jak dotąd wojownicy-władcy zachowywali zdrowy rozsądek. Żaden z nich nie miał ochoty drażnić Żołnierzy Ciemności. Mogłoby to bowiem doprowadzić do przymierza Kompanii z rywalem. Szereg Dziewięciu pieczołowicie i zazdrośnie strzegł *status quo* oraz równowagi sił. Wypędzenie ostatniego z Władców Cienia zaowocowało potwornym chaosem. Żaden z wojowników-władców za nic nie chce powtórzenia tamtej sytuacji, choć i tak aktualnego systemu społecznego Hsien nie sposób określić innym mianem niżli nieznacznie zorganizowanej anarchii. Niemniej żaden z nich nie zechce również zrzec się nawet części posiadanej władzy na rzecz innego.

Jednooki uśmiechnął się, odsłaniając poczerwiałe dziąsła.

– Nie uda ci się. Mnie oszukać. Kapitanie.

– Nie jestem już Kapitanem. Odszedłem na emeryturę. Jestem starym człowiekiem, który przekłada jakieś papiery, by mieć pretekst do trzymania z żywymi. Ospała jest szefową.

– Mimo to. Zarządzanie.

– Ja ci zaraz zarządzę twoją pomarszczoną, starą dupą... – Urwałem. Jego oczy były już zamknięte. Chrapanie, które rozległo się po chwili, zabrzmiało jednoznacznie.

Na zewnątrz znów podniósł się rejwach i wrzawa, po części zupełnie blisko, po części zaś w oddali, od strony Bramy Cienia. Muszle ślimaków zagrzechotały i zaszeleściły, a choć nie widziałem, by cokolwiek ich dotknęło, zakołysały się i zawirowały. I wtedy usłyszałem odległy głos rogu.

Wstałem i wyszedłem z domu, nie odwracając się plecami do Jednookiego. Jedną z niewielu dostępnych mu przyjemności – oczywiście poza upijaniem się – było szturchanie nieostrożnych laską.

Pojawił się Tobo. Wyglądał na wstrząśniętego.

– Kapitanie... Konował. Proszę pana. Źle zrozumiałem to, co próbował mi powiedzieć.

– Co mianowicie?

– Nie chodziło o niego. Tylko o babunię Gotę.

3

Siedlisko Kruków: DZIEŁO MIŁOŚCI

Babka Tobo, Ki Gota, umarła szczęśliwa. Tak szczęśliwa, jak tylko może być Trollica bardziej pijana niżli trzy sowy utopione w baryłce wina. Zanim odeszła, zdążyła przyjąć sporą porcję skrajnie wysokoprocentowego destylatu. Powiedziałem więc chłopakowi:

– Jeśli może to stanowić dla ciebie jakieś pocieszenie, wiedz, że najprawdopodobniej nie zdawała sobie z niczego sprawy. – Niemniej jednak wszystko wskazywało na to, iż dokładnie wiedziała, co się dzieje.

Nie udało mi się go oszukać.

– Wiedziała, co ma się zdarzyć. Fifolki tu były. – Na dźwięk jego głosu zza aparatu do destylacji coś zaświergotało cicho w odpowiedzi. Podobnie jak baobhas, fifolki były zwiastunami śmierci. Jednymi z mnóstwa podobnych w Hsien. Niektóre z istot wyjących niedawno pośród dziczy zapewne również do nich należały.

Z moich ust dobiegły się słowa, którymi zazwyczaj karmimy młodych.

– Prawdopodobnie było to dla niej błogosławieństwo. Bolało ją już właściwie bezustannie, ja zaś nic nie mogłem zrobić. – Ciało starej kobiety stanowiło dla niej źródło ciągłej udręki już od czasu, kiedy ją poznałem. Ostatnie miesiące były prawdziwym piekłem.

Przez chwilę Tobo wyglądał jak mały, smutny chłopiec, który chciałby wtulić twarz w matczyną spódnicę i zapłakać. Szybko jednak zastąpił go młodzieniec całkowicie panujący nad sytuacją.

– Przeżyła długie życie i dostąpiła spełnienia, niezależnie od tego, jak by się nie uskarżała. Rodzina powinna być za to wdzięczna Jednookiemu.

A uskarżała się faktycznie, często i głośno, każdemu na każdego i wszystko. Mogę mówić o szczęściu choćby pod tym względem, że

omineła mnie większa część epoki Goty, ponieważ na półtorej dekady dałem się pogrzebać pod ziemią. Oto jaki bystry ze mnie facet.

– Skro mowa o rodzinie... musisz odszukać Dodża. I lepiej będzie, jak zawiadomisz matkę. I tak szybko, jak to tylko możliwe daj znać nam znać, jak przebiegają przygotowania do pogrzebu. – Obyczaje grzebalne Niueng Bao wydają sięomalże zbiorem fanaberii. Czasami chowa się zmarłych w ziemi, niekiedy pali się ich ciała, a kiedy indziej owija w materię i wiesz na drzewach.

– Dodż zajmie się przygotowaniami. Jestem pewien, że Wspólnota będzie oczekiwać czegoś tradycyjnego. W takim wypadku stanie się lepiej, jeśli będę trzymać się z boku.

W skład Wspólnoty wchodzili ci spośród Niueng Bao związanych z Kompanią, którzy nie zaciągnęli się oficjalnie i którzy jeszcze nie rozplynęli się w tajemniczych ostępach Krainy Nierozpoznanych Cieni.

– Zapewne. – Wspólnota dumna była z Tobo, jednak obyczaj wymagał, aby spoglądano nań z góry, przez wzgląd na mieszane pochodzenia i brak szacunku dla tradycji. – Pozostali również będą chcieli wiedzieć. Tym razem zapewne będzie to okazja do wielkiej ceremonii. Twoja babka jest pierwszą kobietą z naszego świata, która wyzionęła tutaj ducha. Chyba że policzyć również białego kruka. – Po śmierci stara Gota wydawała się znacznie mniej straszna.

Myśli Tobo biegly torem zupełnie dla mnie niezrozumiałym.

– Będzie następny kruk, Kapitanie. Zawsze jest następny kruk. W towarzystwie Czarnej Kompanii one czują się jak w domu. I dlatego właśnie Dzieci Zmarłych nazywają nasze miasteczko Siedliskiem Kruków. W jego pobliżu wciąż jest pełno kruków, prawdziwych bądź nierozpoznanych.

– Przyzwyczyły się do obfitości pożywienia.

Teraz wszędzie wokół nas kłębiły się nieznane cienie. Nawet ja nie miałem trudności z ich dostrzeżeniem, chociaż rzadko wyraźnie i dłużej niż na mgnienie oka. Chwile silnych emocji skłaniały je do wyłazenia ze skorup, w których Tobo nauczył się je ukrywać.

Na zewnątrz znowu podniosła się wrzawa. Drobne, ciemne plamy poruszyły się w podnieceniu, a potem rozproszyły i jakimś sposobem zniknęły, nie zdradzając swej natury.

– Pewnie znowu wędrowcy w krainie snów kręcą się za Bramą Cienia – stwierdził Tobo.

Nie sądziłem, aby o to chodziło. Dzisiejszej nocy natura tego zamieszania była jakby inna.

Z pokoju, w którym zostawiliśmy Jednookiego, dobiegł wyraźny krzyk. A więc stary znowu tylko udawał, że drzemie.

– Lepiej zobaczę, o co mu chodzi. Ty znajdź Dodża.

– Nie uwierzysz mi. – Stary był teraz wyraźnie podniecony. Dostatecznie wściekły, żeby mówić jasno, bez obrażania się i rozpaczliwego łapania oddechu. Wyciągnął przed siebie dłoń. Pojedynczy, pomarszczony i poskręcany hebanowy palec wskazywał coś, co tylko on potrafił dostrzec. – Przeznaczenie nadchodzi, Konował. Już wkrótce. Może nawet dzisiejszej nocy. – Na zewnątrz coś zawyło, jakby na potwierdzenie jego słów, on jednak tego nie dosłyszał.

Ręka opadła. Przez kilka sekund spoczywała bez ruchu. Potem wzniosła się znowu, a wyprostowany palec wskazywał tym razem misternie zdobioną czarną włócznię zawieszoną ponad drzwiami.

– Jest ukończona. – Przemineło całe pokolenie od czasu, jak zaczął tworzyć to śmiertcionośne narzędzie. Ilość pomieszczonej w nim mocy magicznej była dostatecznie duża, bym nawet ja coś czuł, kiedy tylko dostatecznie skupiłem uwagę. A zwykle, jeśli chodzi o te kwestie, jestem głuchy, ślepy i durny. Wziąłem za to ślub z kompetentną osobistą doradczynią. – Natkniesz się. Na Goblina. Daj mu. Tę włócznię.

– Po prostu mam mu ją wręczyć?

– Razem z moim kapeluszem. – Jednooki poczęstował mnie bezzębnym uśmiechem. Przez cały czas mej służby w Kompanii nosił największy, najbardziej wstrętny, brudny i odrażający kapelusz, jaki tylko można sobie wyobrazić. – Ale musisz. Zrobić to. Właściwie. – A więc to tak! Wciąż miał w zanadrzu jeszcze jeden żarcik do zrobienia nawet pomimo tego, że dotyczył trupa, a i on sam będzie trupem, na długo zanim ów gag się uda.

Ktoś zaskrobał cicho w drzwi, a następnie wszedł, nie czekając na zaproszenie. Uniosłem wzrok. Dodż, stary mistrz miecza i kapłan wspólnoty Niueng Bao, uznawany za sojusznika Kompanii – po dwudziestu pięciu latach trudno byłoby go traktować inaczej. Ja jednak nie ufałem mu

nawet teraz. Wszak wydawałem się jedynym, który miał jeszcze jakieś wątpliwości.

– Chłopak powiedział, że Gota... – zaczął.

Machnąłem ręką.

– Tam.

Skinął głową ze zrozumieniem. Zajmowałem się Jednookim, ponieważ dla zmarłych nie mogłem już nic zrobić. Obawiałem się jednak, że dla czarodzieja byłem w stanie uczynić równie niewiele.

– Gdzie Tai Dei? – spytał Dodż.

– Przypuszczam, że w Kang Fi. Z Murgenem i Sahrą.

– Poślę kogoś – mruknął.

– Niech Tobo wyśle któreś ze swych zwierzaczków. – Dzięki temu mniej ich będzie się pałętać pod nogami... a na dodatek przypomną Szeregowi Dziewięciu, naczelnej radzie wojowników-władców, że Kamienni Żołnierze dysponują tak niezwykłym wsparciem. Jeśli tamci w ogóle potrafią zdać sobie sprawę z obecności tych stworzeń.

Dodż zatrzymał się jeszcze w drzwiach wiodących na tyły.

– Dzisiejszej nocy coś złego dzieje się z tymi stworami. Zachowują się jak mały na widok skradającej się pantery.

Mały znaliśmy dobrze. Skalne mały odwiedzały ruiny znajdujące się w miejscu, gdzie w naszym świecie wznosi się Kiaulune, dokuczliwe i liczne jak plaga szarańczy. Dostatecznie bystre i zręczne, aby wtargnąć wszędzie tam, gdzie zabrakło ochrony, magicznego zaklęcia. Nadto zupełnie nieznające strachu. A Tobo miał serce zbyt miękkie, by nakazać swym dziwacznym przyjaciołom spuścić im krótkie, wychowawcze lanie.

Dodż zniknął za drzwiami. Wciąż ruszał się żwawo, mimo iż był starszy od Goty. Nadal każdego ranka odprawiał swój poranny rytuał szermierczy. Z bezpośredniego doświadczenia wiedziałem, że w walce na miecze ćwiczebne był w stanie pokonać każdego, prócz garstki własnych uczniów. Podejrzywałem nadto, że owa garstka przeżyłaby niemiłą niespodziankę, gdyby pojedynek toczył się z użyciem prawdziwej stali.

Trudno znaleźć kogoś równie hojnie obdarzonego przez naturę; tylko Tobo przychodzi mi na myśl. Ale on potrafi zrobić właściwie wszystko, na dodatek zawsze z gracją i zazwyczaj absurdalną wręcz łatwością. Jest dzieciakiem, na którego każdy z nas, w swoim mniemaniu, zasługuje.

Zachichotałem.

– Co? – mruknął Jednooki.
– Po prostu pomyślałem sobie, co wyrosło z mego dziecka.
– To jest śmieszne?
– Jak miotła złamana przez mieszanie wewnątrz kibla.
– Powinieneś. Nauczyć się doceniać. Kosmiczne. Żarty zdatne do zrobienia.

– Ja...

Kosmosowi oszczędzono mej zgryźliwości. Zewnętrzne drzwi otwały się przed kimś jeszcze mniej dbającym o zachowanie form grzecznościowych niż Dodż. Do środka wszedł Wierzba Łabędź.

– Szybko, zamykaj! – warknąłem. – Księżyc błyszczący na twoim czerepie oślepia mnie. – Nie potrafiłem się powstrzymać. Pamiętałem go z czasów, gdy był młodym mężczyzną z długimi, pięknymi blond włosami i śliczną twarzą, na której malowało się kiepsko ukrywane pożądanie mojej kobiety.

– Przyszyła mnie Ospala. Pojawiły się plotki – odrzekł.

– Zostań z Jednookim. Ja sam zaniosę wieści.

Łabędź nachylił się w moją stronę:

– Dycha jeszcze?

Z zamkniętymi oczyma Jednooki wyglądał na martwego. Co oznaczało, że prawdopodobnie przyczaił się, mając nadzieję osiągnąć kogoś swoją laską. Do chwili, gdy naprawdę już przestanie oddychać, pozostanie wstrętnym, małym gnojkiem.

– Ma się dobrze. Jak dotąd. Po prostu zostań z nim. I krzycz, jeśli coś się zmieni. – Wsadziłem instrumenty z powrotem do torby. Kiedy wstawałem, chrupnęło mi w kolanach. Podnosząc się, musiałem oprzeć się o krzesło Jednookiego. Bogowie są okrutni. Powinni urządzić wszystko tak, by ciało starzało się w tym samym tempie co duch. Jasne, wówczas niektórzy umarliby ze starości w ciągu tygodnia. Ale ci, którym by zależało, żyliby wiecznie. A mnie oszczędzono by tych wszystkich kłuc i strzykania. I takie tam.

Opuszczając dom Jednookiego, trochę kulałem. Bolały mnie zeszywniałe stopy.

Wszędzie wrzało jakieś poruszenie. Tylko nie tam, gdzie kierowałem wzrok. Księżycowa poświata nie przydawała się na nic.

4

Gaj Zagłady: NOCNE PIEŚNI

Bębny rozbrzmiały o zachodzie słońca. Łagodnie. Była w tym mroczna szemrząca obietnica cienia nadciągającego zmierzchu. Aktualnie ryczały zuchwale. Zapadła prawdziwa noc. Nieba nie srebrzył nawet okruch księżycy. Cienie tańczyły w migocących płomieniach stu ognisk. Setka ogarniętych szalem wyznawców Matki Nocy szła za nimi w tany, powoli ogarniał ich amok.

Setka skrepowanych więźniów drżała ze strachu, płacząc i do końca oszukując samych siebie; strach odbierał męstwo nawet tym, którzy lubili widzieć w sobie prawdziwych bohaterów. Uszy tamtych zamknięte były na ich błagania.

Z mroku nocy wychynęła majająca bryła ciemności, ciągnięta przez więźniów wysilających się przy linach w beznadziejnym przekonaniu, że zadowolając panów swego życia i śmierci, mogą jeszcze ocaleć. Wysoka na sześć metrów sylwetka okazała się posągiem kobiety o skórze równie czarnej i lśniącej co wypolerowany heban. Miała cztery ręce. Rubiny zastępowały oczy, kryształowe kły – zęby. Kark otaczał naszyjnik z czaszek. Klejnoty drugiego naszyjnika stanowiły odcięte penisy. W każdej ze szponiastych dłoni ścisnęła atrybut swej władzy nad ludzkością. Więźniowie widzieli jednak tylko stryczek.

Rytm bębnów stał się szybszy. Natężenie dźwięków rosło. Dzieci Kiny zaintonowały mroczny hymn. Ci z więźniów, którzy wierzyli, zaczęli wznosić modły do swych bogów.

Wszystko to ze schodów świątyni położonej w samym środku Gaju Zagłady obserwował stary człowiek. Siedział. W miarę możliwości starał się już nie wstawać. Złamał niegdyś prawą nogę, która została źle złożona.

Chodzenie sprawiało mu trudności i przysparzało bólu. Nawet stanie było przykrym obowiązkiem.

Za jego plecami wznosiła się płatanina rusztowań. Świątynię remontowano. Znowu.

Nieco wyżej, niezdolna zachować spokój, stała piękna młoda kobieta. Starzec obawiał się, że jej podniecenie jest czysto zmysłowe, omalże seksualne. Tak nie powinno być. Była Córką Nocy. Istniała nie po to, by folgować swym zmysłom.

– Czuję to, Narajan! – wydyszała. – Czuję bliskość. Dzięki temu uda mi się wreszcie połączyć z moją matką.

– Może. – Stary nie był przekonany. Od czterech lat nie udało im się nawiązać kontaktu z boginią. Martwił się. Jego wiarę wystawiono na próbę. Znowu. A to dziecko wyrosło na kobietę zdecydowanie zbyt upartą i niezależną. – A może tylko ściągniemy w ten sposób na nasze głowy gniew Protektorki. – Dalej nie odważył się posunąć. Spór ten ciągnął się od czasu, gdy wykorzystwała część swego naturalnego, całkowicie niewyćwiczonego talentu, aby oślepić strażników na chwilę potrzebną im do ucieczki z aresztu Protektorki. To było trzy lata temu.

Rysy dziewczyny stwardniały. Na chwilę wykrzywiła je przerażająca bezwzględność podobna do tej malującej się na twarzy idola. Jak zawsze, gdy pojawiała się kwestia Protektorki.

– Ona jeszcze pożałuje tego, co z nami zrobiła, Narajan. Kara, jaką poniesie, pozostanie niezapomniana przez tysiąc lat – stwierdziła.

Narajan żył w świecie wypełnionym prześladowaniami od zawsze. Taki był według niego naturalny porządek rzeczy. Starał się tylko, by jego kult przetrwał kolejne nawały gniewu swoich wrogów. Córka Nocy była zaś młoda i potężna, a nadto cechowała ją typowa dla młodości porywczość i niewiara we własną śmiertelność. Była przecież dzieckiem bogini! A na świecie wkrótce miała zapanować epoka władzy bogini, zmieniając wszystko. W nowym porządku, który nastanie, Córka Nocy sama stanie się boginią. Czego miała się więc obawiać? Ta szalona kobieta w Taglios była nikim!

Poczucie bycia niepokonanym i ostrożność od zawsze miały ze sobą na pieńku, ale też od zawsze były nierozzerwalne.

Córka Nocy całym swoim sercem i duszą wierzyła, że jest duchowym dzieckiem bogini. Nie mogła inaczej. Ale przecież została zrodzona

z mężczyzny i kobiety. Okruch człowieczeństwa znaczył jej duszę niczym plamka rdzy. Musiała mieć *kogoś*.

Jej ruchy stały się bardziej wymowne, bardziej zmysłowe, panowała nad sobą coraz mniej. Narajan skrzywił się. Nie powinna łączyć w swej duszy przyjemności i śmierci. W jednym ze swych wcieleń bogini była niszczycielką, ale w jej imię nie odbierano żywotów z powodów tak błahych. Kina z pewnością nie zaaprobowałaby hedonistycznych skłonności swej córki. Gdyby jednak okazało się, że jest inaczej, wówczas z pewnością należało oczekiwać kar, a bez wątplenia najcięższe spadłyby na Narajana Singha.

Kapłani byli gotowi. Powlekli płaczących więźniów na przód zgromadzenia, by dopełnić ukoronowania ich żywotów, aby odegrali swą rolę w rytuale ponownej konsekracji świątyni Kiny. Drugi rytuał zamierzono jako próbę komunii z boginią, zaklętą w magicznym śnie; komunii, dzięki której Córka Nocy znów zostanie pobłogosławiona mądrością i obdarzona dalekosięzną wizją Mrocznej Matki.

Wszystko to było jak najbardziej słuszne. Jednak Narajan Singh, żyjący święty Oszustów, wielki bohater kultu Dusicieli, nie czuł się szczęśliwy. Jego władza nad ruchem stanowiła już tylko wspomnienie. Dziewczyna zmieniała kult tak, aby stanowił odbicie topografii jej uczuć. Przez cały czas lękał się możliwości, że któraś z ich kolejnych kłótni nie zakończy się zgodą. Podobnie jak było to z jego prawdziwymi dziećmi. Złożył Kinie przysięgę, że dobrze wychowa dziewczynę, że oboje doczekają czasu, gdy sprowadzi ona na ziemię Rok Czaszek. Jeśli jednak Córka Nocy z każdą chwilą będzie stawać się coraz bardziej uparta i samolubna...

Nie potrafiła już dłużej się powstrzymać. Zbiegła po schodach. Wyrwała szarfę Dusiciela z rąk któregoś kapłana.

To, co Narajan zobaczył na jej obliczu, widział dotąd w swym życiu tylko raz – na twarzy swej żony, u szczytu spazmu namiętności, tak dawno temu, że zdało mu się, iż było to podczas wcześniejszego obrotu Koła Żywotów.

Nagle posmutniał; zrozumiał, że kiedy rozpocznie się drugi rytuał, ona rzuci się torturować więźniów. W stanie umysłu, który ją ogarnął, może zbyt pochopnie rozlać krew któregoś z nich, co stanowić będzie obrazę, jakiej bogini nigdy nie wybaczy.

Narajan Singh martwił się coraz bardziej.

A potem jego przygnębienie jeszcze się pogłębiło, gdy wzrok błądzący bez celu po otoczeniu natknął się na kruka przycupniętego w rozwidleniu gałęzi, tuż obok miejsca rytualnej kaźni. Co gorsza, kruk najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że go zauważono. Z szyderczym okrzykiem poderwał się w powietrze. Natychmiast odpowiedziała mu setka kruczych głosów, dobiegających ze wszystkich części gaju.

Protektorka *wiedziała!*

Narajan zawołał dziewczynę. Nie usłyszała go, zanadto pochłonięta tym, co robiła.

Ostry ból przeszył jego nogę, kiedy z wysiłkiem wspiął się do pionu. Kiedy przybędą żołnierze? Czy i tym razem uda mu się uciec? Jak miał wciąż karmić w swym sercu nadzieję na przyjście bogini, skoro jego ciało stało się tak kruche, a wiara tak nadwerężona i słaba?

5

Siedlisko Kruków: KWATERA GŁÓWNA

Placówka był cichym miastem o szerokich ulicach i białych murach. Przejęliśmy lokalny zwyczaj bielenia wapnem wszystkiego prócz strzech i roślin ozdobnych.

Podczas niektórych świąt tubylcy barwili na białą również swe ciała. Biel stanowiła pojemny symbol oporu wobec Władców Cienia w latach minionych.

Nasze miasto zostało zaprojektowane na modłę wojskową; panowały w nim linie proste, czystość i spokój, wyjąwszy noce, kiedy przyjaciele Tobo wdawali się w hałaśliwe burdy. Za dnia jednak zgiełk ograniczał się do placów ćwiczeń, na których kolejne grupki lokalnych kandydatów na awanturników przyswajały sobie zasady uprawiania rzemiosła właściwe Czarnej Kompanii. Miałem z tym niewiele wspólnego prócz okazjonalnego łatania szkolonych nieszczęśników. Nikomu spośród Starej Gwardii nie przydzielono żadnych poważniejszych obowiązków. Podobnie jak Jednooki, jestem reliktem epoki dawno minionej, żyjącym emblematem historii, która jednak stanowi źródło unikatowych więzi międzyludzkich po dziś dzień zapewniających jedność Kompanii. Na specjalne okazje wyjmowali mnie z szafy i kazali wygłaszać kazania zaczynające się od słów: „W owym czasie Kompania pozostawała na służbie...”

Ta noc była dziwnie straszna: oba księżycy świeciły jasno, pokrywając ziemię prawdziwą gmatwaniną cieni, a zwierzaczki Tobo coś nad wyraz niepokoiło. Zaczynałem już widywać je tuż przed nosem, ponieważ niektóre najwyraźniej były tak poruszone, że zapominały o ukrywaniu się. W większości przypadków było mi tylko przykro z ich powodu.

Pod Bramą Cienia podniosła się wrzawa, a po chwili zamarła. Teraz można było również dostrzec światła. Kilka kul ognistych przeszło noc na chwilę przedtem, zanim dotarłem do celu mej wędrówki. Powoli również zaczynałem czuć się nieswojo.

Kwatera główna mieściła się w jednopiętrowej ruderze pośrodku miasta. Ospala wypełniła ją różnej maści adiutantami, współpracownikami i funkcjonariuszami, śledzącymi los każdego hufna od końskiej podkowy oraz każdego ziarnka ryżu. Przemieniła wydawanie rozkazów w praktyki biurokratyczne. Nie bardzo mi się to podobało. Oczywiście, byłem zbzikowanym staruchem, który pamiętał, jak rzeczy wyglądały za dawnych dobrych czasów, kiedy robiliśmy wszystko tak, jak robić się powinno. To znaczy po mojemu.

Nie sądzę jednak, abym do reszty stracił poczucie humoru. Potrafię dostrzec ironię losu w tym, że stałem się własnym dziadkiem.

Usunąłem się. Przekazałem pochodnię komuś młodszemu, bardziej energicznemu i błyskotliwemu taktycznie, niżli ja byłem kiedykolwiek. Ale nie zrezygnowałem ze swego prawa angażowania się w sprawy, wnoszenia swego udziału, krytyki, a w szczególności, uskarżania się. To robota, którą ktoś musi wykonywać. Dlatego też niekiedy wyprowadzałem młodszych z równowagi. To tylko dla ich dobra. To kształtuje charakter.

Pokonałem parter, którego pokazową krzątanicą Ospala separowała się od świata. Noc czy dzień, oddział dyżurnych pełnił tu swoją służbę, licząc te groty strzał i ziarnka ryżu. Powinienem jej przypomnieć, aby od czasu do czasu wychodziła na prawdziwy świat. Stawianie kolejnych barykad nie ochroni jej przed demonami, ponieważ te już zdążyły zagnieździć się w jej wnętrzu.

Byłem nieomal dość stary, żeby takie gadanie uszło mi na sucho.

Kiedy wszedłem do środka, na jej ściągniętej, szarej, prawie zupełnie niekobiecej twarzy pojawiła się irytacja. Akurat się modliła. Tego już zupełnie nie potrafiłem pojąć. Nie bacząc na wszystko, przez co musiała przejść, a co po większej części zadawało kłam doktrynie Vedna, wciąż trwała przy swej wierze.

– Poczekam, aż skończysz.

Powodem irytacji był fakt, że ją przyłapałem. Fakt, że nawet w obliczu twardej dowodów nadal odczuwała potrzebę wiary, wprowadził ją w konsternację.

Wstała i zwinęła dywanik modlitewny.

– Jak kiepsko jest tym razem?

– Plotka okazała się fałszywa. Nie chodziło o Jednookiego. Tym razem to Gota. Nie żyje. Ale Jednooki marudzi o czymś innym, co jego zdaniem ma się wydarzyć. Jednak zupełnie, nawet w najbardziej mętny sposób nie potrafi powiedzieć, co to ma być. A ponieważ przyjaciele Tobo zachowują się jeszcze dziwniej niż zwykle, jest całkiem prawdopodobne, że to nie tylko gra wyobraźni staruszka.

– Lepiej wyślę kogoś do Sahry.

– Tobo już się tym zajął.

Ospała spojrzała na mnie twardym wzrokiem. Była niska, ale trzymała się prosto i pewnie.

– Co masz na myśli?

– Obawiam się, że myślę podobnie jak Jednooki. Albo po prostu nie potrafię wytrzymać przeciągającego się pokoju.

– Pani znowu suszy ci głowę, żeby wracać do domu?

– Nie. Ostatnia komunia duchowa Murgena z Sziwetją zdecydowanie nie przypadła jej do gustu. – Najłagodniej mówiąc. W naszym rodzimym świecie historia znalazła się na okrutnym zakręcie. Pod naszą nieobecność kult Oszustów znowu urósł w siłę, ludzie nawracali się setkami. A równocześnie Duszołap dręczyła Terytoria Tagliańskie szaleńczymi i zazwyczaj bezowocnymi próbami wybicia swych wrogów, którzy po większej części byli całkowicie wydumani. Przynajmniej do momentu, gdy zapał jej i Mogaby nie powołał ich naprawdę do istnienia. – Nie powiedziała tego wyraźnie, jestem jednak raczej pewien, iż obawia się, że Pierdu Pierdu jakimś sposobem manipuluje Duszołap.

Ospała nie potrafiła ukryć uśmiechu.

– Pierdu Pierdu?

– To był twój pomysł. Znalazłem go gdzieś w tym, co napisałaś.

– To jest twoja córka.

– Jakoś musimy na nią mówić.

– Wręcz nie potrafię uwierzyć, że nigdy nie wybraliście dla niej imienia.

– Urodziła się, zanim... – Mnie podobało się „Gana”. Moja babka miała tak na imię. Pani jednak z pewnością by się sprzeciwiła. Brzmiało zbyt podobnie do „Kina”.

A chociaż Pierdu Pierdu mogła być nocnym koszmarem spacerującym po świecie, jednak była córką Pani, a w krajach, w których Pani dorastała, to matki nadawały córkom imiona. Zawsze. Kiedy nadchodził właściwy czas.

Ale czas nigdy nie będzie po temu właściwy. Dziecko wypiera się nas obojga. Zagwarantowano jej poczęcie z naszej krwi i kości, jednak wierzy niewzruszenie tylko w to, że jest duchową córką bogini Kiny. Córką Nocy. Wyłącznym celem jej istnienia jest przyspieszenie nadejścia Roku Czaszek, prawdziwej katastrofy dla ludzkości, która przebudzi z drzemki jej duchową matkę i rzuci cały świat pod jej niegodziwe stopy. Czy też w istocie wiele światów, co odkryliśmy, kiedy moja pielgrzymka do miejsca narodzin Kompanii zaprowadziła nas do nadgryzionej zębem czasu fortecy na równinie lśniącego kamienia, leżącej między naszym światem a Krainą Nierozpoznanych Cieni.

Cisza przeciągała się. Ospala przez długi czas była kronikarzem. Do Kompanii zaciągnęła się w młodym wieku. Tradycja wiele dla niej znaczyła, co owocowało nienaganną uprzejmością wobec poprzedników. Jednak w głębi ducha, byłem tego pewien, traciła już powoli cierpliwość do nas, starych pierników. A szczególnie do mnie. Nigdy nie starała się lepiej mnie poznać. A mnie na dodatek jakoś nigdy nie brakowało ochoty, by marnować czas, dowiadując się o biegu spraw. Zwłaszcza zaś teraz, kiedy nie miałem do roboty właściwie nic prócz pisania, bywałem aż nazbyt skłonny czepiać się szczegółów.

Poinformowałem ją więc:

– Nie zaoferuję ci rady, póki nie zapytasz.

To ją zaskoczyło.

– Sztuczka, której nauczyłem się od Duszołap. Skłania ludzi do podejrzeń, że czytasz w ich myślach. Ona jest w tym jednak znacznie lepsza.

– Na pewno. Miała przecież całą wieczność na ćwiczenia. – Wydeła policzki i prychnęła. – Minał tydzień od czasu, kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni. Zobaczmy. Żadnych doniesień od Sziwetji. Murgen przebywa w Kang Fi z Sahrą, tak więc nie mógł nawiązać kontaktu z golemem. Raporty od ludzi pracujących na równinie świadczą, że trapi ich natrętne przecucie nadciągającej katastrofy.

– Naprawdę? W ten sposób to ujęli? – Miewała momenty nieznośnie pompatyczne.

– Z grubsza.

– Jak sytuacja w ruchu na równinie?

– Nie ma żadnego ruchu. – Wyglądała na skonsternowaną. Od czasu pamiętnej wyprawy Kompanii równina przez wiele pokoleń nie zaznała dotyku ludzkiej stopy. Ostatnimi przed nami byli Władcy Cienia, którzy uciekli z Krainy Nierozpoznanych Cieni do naszego świata, zanim się urodziłem.

– Niewłaściwe pytanie. Najwyraźniej. Jak ci idzie z przygotowaniem do powrotu?

– Jest to pytanie osobiste czy zawodowe? – Dla Ospalej wszystko wiązało się z pracą. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział, jak odpoczywa. Czasami mnie to martwiło. Coś w jej przeszłości, do czego zresztą aluzje zawierały napisane przez nią Kroniki, zrodziło w jej głowie przekonanie, iż to jedyny sposób zapewnienia sobie poczucia bezpieczeństwa.

– I takie, i takie. – Chciałbym móc jak najszybciej powiedzieć Pani, że wkrótce wrócimy do domu. Nie darzyła miłością Krainy Nierozpoznanych Cieni.

Pewien wszelako byłem, że gdziekolwiek byśmy się udali, przyszłość zawsze przyniesie jej rozczarowanie, ponieważ czasy, które nadejdą, nie będą dobre. Chyba jeszcze nie zdążyła tego pojąć. A przynajmniej nie w głębi duszy.

Nawet ona potrafiła być w pewnych sprawach całkowicie naiwna.

– Najkrótsza odpowiedź brzmi, że prawdopodobnie w ciągu sześciu miesięcy będziemy w stanie pchnąć na drugą stronę wzmocnioną kompanię. Jeśli wejdziemy w posiadanie wiedzy na temat Bramy Cienia.

Przekroczenie równiny stanowi poważną operację, ponieważ trzeba zabrać ze sobą całotygodniowe wyposażenie. Tam w górze nie ma nic, tylko lśniący kamień. Kamień wprowadzie pamięta, ale ma niewielkie wartości odżywcze.

– Też jedziesz?

– Niezależnie od wszystkiego mam zamiar wysłać zwiadowców i szpiegów. Możemy korzystać z rodzimej Bramy Cienia, póki ograniczymy się do puszczania po kilku ludzi naraz.

- Nie wierzysz słowu Sziwetji?
- Demon ma swoje własne plany.

Pewnie wiedziała najlepiej. W swoim czasie przeżyła bezpośredni duchowy kontakt z Niezłomnym Strażnikiem.

Natomiast to, co ja wiedziałem o planach golema, sprawiało, że dodatkowo martwiłem się o Panią. Sziwetja, ten starożytny byt stworzony do zarządzania i opieki nad równiną – która sama w sobie była sztucznie stworzonym artefaktem – chciał umrzeć. A nie mógł tego zrobić, póki żyła Kina. Jednym z jego zadań było dbanie o to, by śpiąca bogini nie zbudziła się i nie uciekła z więzienia.

Kiedy los Kiny dopełni się, słaba nitka łącząca moją żonę z magią, decydująca o jej poczuciu tożsamości i własnej wartości, odejdzie wraz z boginią w przeszłość. Wszelką moc, którą tak się szczyciła, Pani posiadała wyłącznie dlatego, że odkryła, jak ukraść ją bogini. Była stuprocentowym pasożytem.

– Ty natomiast, całkowicie akceptując maksymę Kompanii, zgodnie z którą nie mamy żadnych przyjaciół poza towarzyszami broni, nie cenisz sobie jego przyjaźni – stwierdziłem.

– Och, on jest bez reszty wspaniały, Konował. Uratował mi życie. Ale nie zrobił tego, ponieważ jestem milutka, a kiedy biegnę, kołyszą mi się właściwe części ciała.

Nie była milutka. I nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jak coś jej się kołysze. To była kobieta, której przez całe lata wychodziło udawanie chłopaka. Nie było w niej nic kobiecego. Nic męskiego również. W ogóle nie była istotą seksualną, chociaż przez jakiś czas krążyły plotki, że ona i Łabędź wspólnie spędzają noc.

Okazało się, że cała sprawa jest czysto platoniczna.

– Powstrzymam się od komentarza. Już wcześniej udawało ci się mnie zaskoczyć.

– Kapitanie!

Czasami zabierało jej dość dużo czasu, zanim zrozumiała, że ktoś żartuje. Albo chociaż zorientowała się w cudzym sarkazmie, choć sama miała przecież język ostry niczym brzytwa.

Teraz zdała sobie sprawę, że rozmyśliła się z nią drażnię.

– Rozumiem. Wobec tego pozwól, że jeszcze raz cię zaskoczę i poproszę o twoją radę.

- Ho, ho! Przyszła koza do woza.
- Wyjec i Długi Cień. Muszę podjąć wiążące decyzje.
- Szereg Dziewięciu znowu daje ci się we znaki?

Tożsamość członków rady wojowników-władców zwanej Szeregiem Dziewięciu – nazwa „szereg” wzięta została ze słownictwa wojskowego – pozostawała tajemnicą, tworzyła jednakże ciało najbardziej może zbliżone charakterem do ośrodka władzy centralnej w Hsien. Istniejąca monarchia i arystokracja miały charakter raczej fasadowy. Na ogół były zbyt przeżarte ubóstwem, aby sięgać po zbyt wiele. Jeśli w ogóle takie skłonności by się pojawiły.

Szereg Dziewięciu dysponował ograniczoną władzą. Jego istnienie ledwie gwarantowało, że balansujący na krawędzi anarchii system polityczny nie rozplynie się w całkowitym chaosie. Dziewięciu byłoby zresztą znacznie skuteczniejszych, gdyby nie cenili własnej anonimowości wyżej od sprawowanej niejawnie władzy.

– Oni oraz Trybunał Wszech Czasów. Sędziom szlacheckim naprawdę zależy na Długim Cieniu.

Imperialny sąd Hsien – złożony z arystokratów dysponujących jeszcze mniejszą realną władzą niż Szereg Dziewięciu, jednak z pewnością cieszących się bardziej widocznym autorytetem moralnym – obsesyjnie zainteresowany był ekstradycją Długiego Cienia. Jako stary cynik skłaniałem się ku podejrzeniom, że kierowały nimi nie tylko ambicje uczynienia zadość sprawiedliwości. Ale i tak mieliśmy z nimi niewiele do czynienia. Siedziba sądu – miasto stołeczne Kuang Nin – znajdowała się zbyt daleko.

Wszystkich mieszkańców Hsien, od szlachty po prostych chłopów, każdego kapłana i każdego wojownika-władcę, łączyła niewzruszona i paskudna żądza wzięcia odwetu na niegdysiejszych najeźdźcach. Długi Cień, wciąż uwięziony w stazie pod równiną lśniącego kamienia, stanowił ostatnią szansę realizacji tej oczyszczającej pomsty. Wartość, jaką przedstawiała jego osoba w naszych targach z Dziećmi Zmarłych, była więc absurdalnie wysoka.

Nienawiść rzadko daje się zmierzyć racjonalną miarą.

– I rzadkie są dni, żebym nie słyszała od jakiegoś pomniejszego wojownika-władcy prywatnych błagań o sprowadzenie Długiego Cienia – ciągnęła dalej Ospała. – Wszyscy najwyraźniej aż palą się do wzięcia go

pod swe skrzydła. Mnie zaś trudno pozbyć się podejrzeń, że nie każdym kierują równie idealistyczne motywacje, jak Szeregiem Dziewięciu czy Trybunałem Wszech Czasów.

– Bez wątpienia. Okazałby się nieocenionym narzędziem dla każdego, kto chciałby trochę zmodyfikować istniejącą równowagę sił. Gdyby, rzecz jasna, ów ktoś był na tyle głupi, by wierzyć, że może Władcą Cienia powodować niczym marionetką. – W żadnym świecie nie brakuje pewnych siebie łotrów, którym się wydaje, iż są w stanie dyktować warunki swych konszachtów z ciemnością. Moja żona była kiedyś jednym z nich. I wcale nie jestem pewien, czy otrzymaną nauzkę zrozumiała w pełni. – Czy ktoś złożył ofertę naprawienia naszej Bramy Cienia?

– Trybunał chce nam kogoś dać. Kłopot polega na tym, że tak naprawdę chyba nie mają nikogo, kto potrafiłby przeprowadzić wymagany remont. Wedle wszelkich danych, potrzebne do tego umiejętności zostały zapomniane. Niemniej wiedza jako taka istnieje, zamknięta w archiwach Kang Fi.

– A więc dlaczego nie?...

– Pracujemy nad tym. Tymczasem Trybunał najwyraźniej nam ufa. Jednakże jego bezdyskusyjnym warunkiem jest uzyskanie jakiegoś rodzaju ekspiacji, zanim ostatecznie ofiary Długiego Cienia umrą ze starości.

– A co z Wyjcem?

– Tobo go chce. Powiada, że teraz da sobie z nim już radę.

– Czy ktoś jeszcze podziela jego opinię? – Miałem na myśli Panią. – Czy też po prostu rozpiera go nadmierna pewność siebie?

Ospała wzruszyła ramionami.

– Ciągłe mi powtarza, że nikt nie nauczy go już niczego więcej. – To był przytyk pod adresem Pani, nie zaś aluzja do ewentualnych przechwałek Tobo. Chłopak zawsze gotów był przyjąć radę bądź pouczenie, pod warunkiem że nie pochodziły od jego matki.

Mimo wszystko zapytałem:

– Nawet Pani?

– Ona, jak przypuszczam, może coś przed nim ukrywać.

– Możesz się założyć. – Ożeniłem się z tą kobietą, ale nie miałem co do niej złudzeń. Byłaby uszczęśliwiona, mogąc powrócić do dawnego, paskudnego stylu życia. Czasu spędzonego ze mną i Kompanią nie opisałaby słowami: „i odtąd żyli długo i szczęśliwie”. Rzeczywistość

niekiedy przypomina romans powoli zmieniający się w żart. Chociaż między nami układało się dobrze. – Ona po prostu nie potrafi być inna. Poproś ją, żeby ci opowiedziała o swoim pierwszym mężu. Zdziwisz się, jak normalna jest po tym wszystkim. – Ja każdego dnia nie posiadałem się ze zdumienia. I trwało to od dnia, gdy wreszcie zrozumiałem, że ta kobieta naprawdę zostawiła wszystko i pojechała ze mną. Wszystko... cóż, przynajmniej co nieco. W owym czasie tak naprawdę wiele nie miała, prócz roztaczających się przed nią ponurych perspektyw. – A co to, u diabła, jest?

– Rogi alarmowe. – Ospała poderwała się z krzesła. Naprawdę miała dużo energii jak na kobietę wkraczającą już w wiek mocno średni. Z drugiej jednak strony, jakby nie patrzeć, była tak niska, że wstając, nie miała zbyt daleko do podłogi. – Nie zarządziłam musztry.

Miała taki paskudny zwyczaj. Tylko zdrajcę Mogabę, póki jeszcze był z nami, cechowała równie przerażająca skłonność do nieustannej gotowości.

Ospała wszystko traktowała zbyt poważnie.

Nieznane cienie Tobo podniosły największy dzisiejszego wieczoru harmider.

– No, chodź! – warknęła. – Dlaczego nie jesteś uzbrojony? – Ona była. Zawsze. Aczkolwiek nigdy nie widziałem, by posługiwała się orężem bardziej konkretnym niż przebiegłość.

– Jestem na emeryturze. Zajmuję się tylko przekładaniem papierów.

– Jakoś nie dostrzegłam, żebyś miał na głowie kamień nagrobny zamiast kapelusza.

– Sam niegdyś miewałem problemy z właściwą postawą, jednak...

– Jeśli już o tym mowa. Chcę, żebyś przed capstrzykiem odbył z ludźmi czytanie w mesie oficerskiej. Wybierz coś, co objawi nam całą prawdę o kosztach niekompetencji i braku gotowości. Albo coś o losie zwykłych najemników. – I już energicznie kierowała się w stronę głównego wyjścia, zgarniając pod drodze obijających się członków sztabu. – Rozstąpcie się, ludzie. Dajcie przejść. Idę.

Na zewnątrz ludzie wskazywali na coś i rozmawiali w podnieceniu. W księżycowej poświacie i świetle licznych ognisk wznosił się ku niebu słup tłustego dymu, którego podstawę stanowiła Brama wychodząca na równinę lśniącego kamienia. Zdobyłem się na stwierdzenie oczywistości:

– Coś się stało. – Bystry ze mnie facet.

– Sjuwrin tam jest. On ma trzeźwą głowę.

Sjuwrin był solidnym młodym oficerem, grzeszącym jedynie nieco zbyt bałwochwalczym stosunkiem do swego dowódcy. Można było mieć pewność, że podczas jego służby nie zdarzą się żadne wypadki ani głupie pomyłki.

Pojawili się łącznicy, gotowi pędzić z rozkazami Ospalej. Wydała jedyny rozkaz, jaki wydać mogła, póki nie dowie się czegoś więcej: „Zachowajcie czujność”. Choć przecież jak jeden mąż wierzyliśmy, że żadne poważniejsze kłopoty nie mogą spaść na nas od strony równiny.

Absolutna wiara często opiera się na kłamstwie, które zabija.

6

Siedlisko Kruków: WIEŚCI OD SJUWRINA

Sjuwrin pojawił się dopiero po północy. Wówczas nawet najwięksi durnie zrozumieli już, że w tym podnieceniu ukrytego ludu oraz kruków, których obecności nasza osada zawdzięczała swą nazwę, coś jednak się kryło. Wydano broń. W chwili obecnej na każdym dachu czaili się żołnierze z bambusowymi tubami. Tobo ostrzegł swych małych przyjaciół, aby trzymali się z dala od miasta, gdyż w przeciwnym razie komuś mogą puścić nerwy i nieszczęście gotowe.

Wszyscy liczący się ludzie Kompanii zebrali się, oczekując na raport Sjuwrina. Kilku niższych rangą biegało na zmianę na dach kwatery głównej, aby kontrolować postępy szeregu niosącego pochodnie, wędrującego w naszą stronę po długim zboczu od Bramy Cienia. Byli to miejscowi chłopcy – najwyraźniej uważali, że właśnie zaczęła się ich wielka przygoda.

Głupcy.

O przygodzie mówi się wówczas, gdy to ktoś inny przedziera się przez błota i śniegi z popękanymi stopami, cierpiąc na grzybicę, dyzenterię i głód, na dodatek ścigany przez zdecydowanych go zabić ludzi albo jakieś gorsze stwory. Ja robiłem te rzeczy. Byłem i ścigającym, i ściganym. Nikomu tego nie polecam. Niech każdy zadowoli się miłą farmą na uboczu albo sklepikiem. Niech spłodzi mnóstwo dzieci i wychowa je na porządnych ludzi.

Jeśli nasz świeży narybek pozostanie równie ślepy na rzeczywistość, gdy już wyruszymy, gwarantuję, że jego naiwność nie przetrwa pierwszego spotkania z moją szwagierką Duszołap.

Sjuwrin przybył w końcu, w towarzystwie łącznika, którego Ospała posłała mu na spotkanie. Wydawał się zaskoczony rozmiarami oczekującego go zgromadzenia.

– Gadaj, jak jest – rozkazała Ospała. Zawsze bezpośrednio i do rzeczy ta moja następczyni.

Zapadła cisza. Przybyły rozejrzał się nerwowo dookoła. Był niski, smagły, lekko otyły. Pochodził z drobniejszej szlachty. Ospała wzięła go do niewoli cztery lata temu, tuż przed tym, jak Kompania weszła na równinę lśniącego kamienia, kierując się w tę stronę. Teraz dowodził batalionem piechoty i najwyraźniej, w miarę jak Kompania będzie się rozrastać, zostaną mu przeznaczone poważniejsze zadania.

– Coś przeszło przez Bramę Cienia – poinformował nas.

Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, padały kolejne pytania.

– Nie mam pojęcia, co to było. Jeden z moich ludzi przyszedł powiedzieć, że zdawało mu się, iż coś pełźnie wśród skał po przeciwnej stronie. Poszedłem zobaczyć. Po czterech latach spokoju zakładałem, że to tylko cień albo któryś z Nef. Wędrowcy w krainie snów nawiedzają nas bez przerwy. Myliłem się. Nie udało mi się dobrze temu przyjrzeć, jednak najwyraźniej było to jakieś wielkie zwierzę, czarne i bardzo szybkie. Nie tak wielkie jak Wielkie Ucho albo Kocica Sith, jednak zdecydowanie szybsze. Było w stanie przedostać się przez Bramę bez niczyjej pomocy.

Poczułem przeszywający dreszcz. Próbowałem jakoś ignorować narzucające się podejrzenia. Okazało się to niemożliwe. Oznajmiłem więc:

– Forwalaka.

– Tobo, gdzie jesteś? – zapytała Ospała.

– Tutaj. – Siedział z kilkoma Dziećmi Zmarłych, oficerami w trakcie szkolenia.

– Znajdź tego stwora. Złap go. Jeśli jest tak, jak mówi Konował, chcę, żebyś go zabił.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Już zdołał pożreć się z Czarnymi Ogarami. Zmusił je do odwrotu. Teraz próbują tylko iść jego tropem.

– A więc po prostu zabij go, Tobo. – W przypadku tego Kapitana nie było żadnego gadania w rodzaju: „spróbuj” albo „dołóż wszelkich starań”.

– Poproś Panią, żeby ci pomogła – odezwałem się. – Ona zna te stworzenia. Zanim jednak ktokolwiek coś zrobi, musimy zadbać o zapewnienie ochrony Jednookiemu. – Jeśli faktycznie mieliśmy do

czynienia ze zmiennokształtnym, ludożerczym kotołakiem z naszego rodzimego świata, to mógł to być tylko jeden potwór. Istota, która darzyła czarodzieja nienawiścią tak namiętną, jak tylko można sobie wyobrazić, ponieważ to z jego ręki padł inny czarodziej, zdolny przywrócić ją do ludzkiej postaci.

– Naprawdę sądzisz, że to Liza Bomarsz? – zapytała Ospała.

– Mam takie przeczucie. Ale ty wcześniej twierdziłaś, że uciekła z równiny przez Bramę wiodącą do Khatovaru. I że nie potrafiła wrócić.

Ospała wzruszyła ramionami.

– Tyle pokazał mi Sziwetja. Możliwe zatem, że i ja po prostu przyjąłam takie założenie.

– A może nawiązała tam jakieś nowe przyjaźnie?

Drobna kobietka odwróciła się i warknęła:

– Sjuwrin.

Sjuwrin zrozumiał.

– Kazałem im zachować najdalej posuniętą czujność.

– Tobo będzie musiał sprawdzić stan pieczęci na Bramie – stwierdziłem. Nie chcemy przecież, żeby z powodu przerwania zabezpieczeń cienie przedostały się do tego świata. – Chociaż chłopak z pewnością nie był w stanie zrobić wiele, żeby powstrzymać prawdziwy przeciek. Ten zaszczyt musiał spaść na barki jego przyjaciół z ukrytego ludu. Brak technicznej wiedzy na temat Bram Cienia stanowił główny powód, dla którego wciąż stacjonowaliśmy w Krainie Nierozpoznanych Cieni.

– Tyle wiem sama, Konował. Mogę już wrócić do pracy?

Zawadzałem więc. Poczucie, że jest się uważanym za bezużytecznego, bywa denerwujące. Ale taki był los nas wszystkich, których Duszołap zwiodła, uwięziła i zamknęła w grobie na piętnaście lat. Kompania zmieniła się podczas naszej drzemki. Nawet Pani i Murgen, którzy podtrzymywali słabe związki ze światem zewnętrznym, czuli obecnie, że są spychani na margines. Murgena to nie obchodziło.

Kultura Kompanii stała się zupełnie obca. Nie pozostał w niej prawie żaden posmak Północy. Może jedynie kilka dziwactw w podejściu do tego czy tamtego. No i moja dumna spuścizna – dbałość o higienę – coś kompletnie obcego na tych obszarach.

Ci południowcy nie potrafili rozbudzić w sobie właściwego strachu przed forwalaką. Uparcie widzieli w nim tylko kolejnego zwykłego, lekko

przerazającego nocnego myśliwego, niczym Wielkie Ucho albo Płetwonogi, których uważali zasadniczo za nieszkodliwych. Na ile jednak się orientuję, źródłem owego wrażenia jest fakt, iż ich ofiary zbyt rzadko uchodzą z życiem, aby zdać sprawę z mylących pozorów.

– Czytanie z Pierwszej Księgi Konowała – oznajmiłem zgromadzonym. Było już po północy. Od jakiegoś czasu panowała całkowita cisza. Przez Bramę Cienia nie sączyli się Nieodkupieni Zmarli. Toba próbował znaleźć intruza, ale natrafiał na mnożące się trudności. Stwór ciągle zmieniał miejsce pobytu, wężąc, najwyraźniej niepewny, jak powinien zareagować na fakt, że wpadł prosto na nas. – W owym czasie Kompania pozostawała na służbie Syndyka Berylu...

Przeczytałem im o spotkaniu z forwalaką w odległym czasie i miejscu, z forwalaką znacznie okrutniejszym, niżli nasz może okazać się kiedykolwiek. Chciałem, żeby się bali.

Siedlisko Kruków:
NOCNY GOŚĆ

Pani i ja siedzieliśmy z Jednookim. Ciało Goty złożono w tym samym pokoju. Otaczały je zapalone świece.

- Nie potrafię dostrzec, by śmierć zmieniła ją choć odrobinę.
- Konował, cicho!
- Jednak słyszać różnicę. Od czasu, jak tu jesteśmy, ani razu na nic się nie uskarżała.

Udając całkowitą głuchotę, Jednooki pociągnął łyk swego destylatu, zamknął oczy, skłonił głowę na piersi.

- Lepiej by było, gdyby zdołał się zdrzemnąć – wyszeptała Pani.
- Przynęta powinna być raczej żywa i ruchliwa.
- Padlina wystarczyłaby, żeby znieść tego stwora. To, co ona naprawdę chce zabić, istnieje tylko w jej umyśle. Jednooki jest wyłącznie symbolem.
- Potarła oczy.

Zamrugalem. Moja ukochana wyglądała tak staro. Siwe włosy. Zmarszczki. Drobne fałdki skóry pod brodą. Talia powoli traciła linię. Od czasu, kiedy Ospała nas uratowała, Pani widocznie posunęła się w latach.

Moje szczęście, że nie miałem pod ręką lusterka. Naprawdę nie lubiłem patrzeć na tego grubego, starego, łysego faceta, który łaził sobie, głosząc wszem i wobec, że jest Konowalem.

Cienie w pomieszczeniu nie mogły zaznać spokoju. Powoli sam robiłem się od tego nerwowy. Przez cały czas naszej służby w Taglios stanowiły one powód do strachu. Poruszający się cień oznaczał śmierć, która w każdej chwili mogła pochwycić cię swymi łapskami. Te smutne, lecz okrutne monstra z równiny stanowiły śmiertelne narzędzia, którym Władcy Cienia zawdzięczali swą ponurą sławę. Przymuszali je do pełnienia swej woli.

Jednakże tutaj, w Krainie Nierozpoznanych Cieni, ukryty lud czający się w ciemnościach bywał dosyć wstydlivy i raczej nie okazywał otwartej wrogości – jeśli tylko traktowało się go z szacunkiem. Nawet te zjawy, które miały za sobą przeszłość pełną niegodziwości i złośliwości, teraz czciły Tobo i nie wyrządzały krzywdy żadnemu śmiertelnikowi związanemu z Kompanią. Chyba że rzeczony śmiertelnik okazał się na tyle niepojętny, żeby zdenerwować chłopaka.

Tobo żył w równej mierze w świecie ukrytego ludu, co w naszym.

W oddali widmowy kot, Wielkie Ucho, znowu dobył z gardła niepowtarzalny odgłos. Tubylcze legendy powiadały, że to przesywające wycie dane jest słyszeć tylko tym, którzy mają paść ofiarą stwora. Kilka Czarnych Ogarów zaczęło ujadać. Wedle legendarnych ustaleń, ich głosy również nie stanowiły powodu do radości. Rozmowy z rdzennymi mieszkańcami doprowadziły mnie do stwierdzenia, że zanim pojawił się Tobo, jedynie ciemni wieśniacy naprawdę dawali wiarę legendom o stworach nocy i pustkowia. Wykształceni ludzie w Kang Fi i Kuang Nin byli zupełnie oszołomieni, widząc, co chłopakowi udało się przywołać ze skrywających to cieni.

Zerknąłem na włócznie wiszącą ponad drzwiami. Jednooki pracował nad nią od dziesięcioleci. Stanowiła bardziej dzieło sztuki niżli broń.

– Kochanie, czy Jednooki nie zaczął tworzyć tej włóczni właśnie na Bomarsz?

Przerwała dzierganie, spojrzała na broń, zadumała się:

– Wydaje mi się, że według słów Murgena, pierwotnie Jednooki przeznaczył ją dla któregoś z Władców Cienia, jednak skończyło się na tym, że to Bomarsz została nią zraniona. Podczas oblężenia. A może to było?...

Zachrobotąło mi w kolanach, gdy wstawałem.

– Nieważne. Tylko na wszelki wypadek. – Zdjąłem włócznie. – Cholera. Jest ciężka.

– Jeśli potwór podejdzie dostatecznie blisko, pamiętaj, że powinniśmy raczej schwytać go, niż zabić.

– Wiem. To był mój błyskotliwy pomysł. – W którego mądrość zresztą zaczynałem już poważnie wątpić. Ciekawiło mnie, co się stanie, jeśli zmusimy Bomarsz do przemiany w kobietę, którą była, zanim została uwięziona w postaci kota. Chciałem zadać jej pytania na temat Khatovaru.

Przez cały czas zakładałem, że napastnikiem jest śmiercionośny forwalaka, Liza Dela Bomarsz.

Usiadłem ponownie.

– Ospała twierdzi, że jest gotowa przesłać na drugą stronę równiny zwiadowców i szpiegów.

– Hm?

– Od dawna już unikamy spojrzenia prawdzie w oczy. – To było trudne. Cały wiek zabrało mi znalezienie odpowiednich słów. – Dziewczyna... Nasze dziecko...

– Pierdu Pierdu?

– Ty też?

– Jakoś musimy na nią mówić. Córka Nocy jest zbyt pompatyczna. Może więc być Pierdu Pierdu, jeśli tylko pozbawimy te słowa szyderczych treści.

– Będziemy musieli podjąć określone decyzje.

– Ona...

Czarne Ogary, Kocica Sith, Wielkie Ucho i liczne inne istoty z ukrytego ludu zajazgotały rozpaczliwie.

– Jest już w mieście – oznajmiłem.

– Kieruje się w tę stronę. – Odłożyła robótkę.

Jednooki uniósł głowę.

Drzwi rozprysnęły się w drzazgi, zanim na dobre zwróciłem się twarzą w ich stronę.

Niczym w zwolnionym tempie widziałem, jak wyrwana z nich deska frunie w moją stronę, a potem trafia mnie w brzuch, dostatecznie mocno, bym usiadł na podłodze. Coś wielkiego, czarnego, pałającego wściekłością runęło w ślad za deską, ale w pół skoku straciło zainteresowanie mną. Wciąż jeszcze padając, pchnąłem to coś w bok włócznią Jednookiego. Poczulem, jak ciało ustępuje. Pokazały się białe zebra. Próbowałem wbić włócznię głębiej w brzuch bestii, ale nie miałem dostatecznego podparcia. Forwalaka wrzasnął, jednak impet poniósł go dalej.

Poczulem, jak lewe ramię, z osiem centymetrów od szyi, rozszarpuje mi palący ból. Jednak nie były to pazury forwalaki. Oparzył mnie ogień sprzymierzeńca. Moja słodka żona wypaliła z miotacza kul ognistych w chwili, gdy znajdowałem się między nią a celem. Pierwsza kula, której

tor lotu zmieniłem, odcięła ogon pantery pięć centymetrów od miejsca, w którym wyrastał z ciała, a potem zaproszyła ogień w izbie.

Potwór nie przestawał ryczeć. Wciąż jeszcze w powietrzu, zadarł łeb do tyłu, przyjmując pozycję, którą w heraldyce nazywa się „wyprostowaną”.

Natarł na Jednookiego.

Stary nie podjął żadnego wysiłku, żeby się bronić. Krzesło, na którym siedział, przewróciło się i rozpadło na pojedyncze szczapy. Ciało czarodzieja potoczyło się po brudnej podłodze. Forwalaka zaś zderzył się z Gotą, przewracając stół, na którym spoczywała. Pani wypuściła następną kulę. Nie trafiła. Rozpaczliwie próbowałem się podnieść, choćby na czworaka, i unieść grot włóczni, zasłaniając się przed potworem. Zwierz walczył o odzyskanie równowagi, jednocześnie próbując się odwrócić. Uderzył w przeciwległą ścianę. Ja tymczasem jakoś wstałem i też zacząłem się odwracać.

Pani chybiła ponownie.

– Nie! – krzyknąłem. Stopy splątały mi się. Omal znowu nie runąłem na twarz. Próbowałem zrobić trzy rzeczy naraz i, oczywiście, żadnej nie udało mi się wykonać właściwie. Chciałem złapać Jednookiego, chciałem odzyskać włócznię i chciałem uciec w cholerę z tego domu.

Tym razem Pani jednak nie chybiła. Ale ta kula ognista była słabiutka, omalże niewypał. Trafiła potwora dokładnie między oczy. I zwyczajnie zrykoszetowała, zabierając ze sobą kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych skóry i odsłaniając skrawek kości.

Forwalaka znowu zawył.

Wtedy wybuchła destylatornia Jednookiego. Oczekiwałem tego od chwili, gdy ognista kula Pani przebiła ścianę.

8

Taglios: SZYKUJĄ SIĘ KŁOPOTY

Mogaba wiedział, że szykują się kłopoty, w kilka sekund po tym, jak opuścił swe pokoje, umeblowane surowo niczym cela pokutna. Służba pałacowa kuliła się na jego widok pod ścianami. Wszyscy bez wyjątku uciekali od Komnaty Tajnej Rady. Musieli słyszeć jakieś plotki, które nie dotarły jeszcze do jego uszu. Plotki, co do których byli pewni, że nie spodobają się Protektorce, co z kolei oznaczało, iż już wkrótce komuś przyjdzie odczuć na własnej skórze skutki tego niezadowolenia – każdy chciał być jak najdalej, kiedy wszystko się zacznie.

– Duma – powiedział tonem towarzyskiej pogawędki do młodego Szadar, próbującego przemknąć obok bez ściągania na siebie uwagi. – To duma uczyniła mnie tym, czym jestem.

– Tak, proszę pana. – Twarz młodego Szadar straciła wszystkie kolory. Jeszcze nie miał nawet brody, za którą mógłby skryć oblicze. – To znaczy, chciałem powiedzieć, nie, proszę pana. Przepraszam...

Mogaba jednak już odszedł, nie zwracając uwagi na młodego żołnierza. Podobne incydenty zdarzały się za każdym razem, gdy przemierzał pałac. Rozmawiał niemalże z każdym. Ci, którzy byli świadkami kształtowania się tego nawyku, rozumieli, że mówi do siebie i nie oczekuje odpowiedzi. Kontynuował po prostu niekończącą się dyskusję ze swymi wyrzutami sumienia i duchami – chyba że akurat recytował przysłowia i aforyzmy, zazwyczaj banalnie oczywiste, czasami jednak skomplikowane i niejasne. Szczególnie upodobał sobie następującą maksymę: „Los uśmiecha się do ludzi. A potem ich zdradza”. Po prostu nie potrafił przyjąć spokojnie do wiadomości, że jak sobie pościelił, tak się wyśpi. Wciąż miał kłopoty

z odróżnieniem tego, jak być powinno, od tego, jak zazwyczaj bywa. Nie był wszak głupcem. Zdawał sobie sprawę, że ma poważne problemy.

Nadto pewien był jednej rzeczy: że i tak zachował znacznie lepszy kontakt ze światem niż jego pracodawcy.

Duszołap wszelako kierowała się filozofią, wedle której była duchem prawdziwie wolnym, i odmawiała mariażu z jakąkolwiek konkretną rzeczywistością. Wierzyła w tworzenie własnej, drogą realizacji swych wizji.

Niektóre z tych wizji były do szczętu szalone. Kilku jednakże udało się jakoś przetrwać krytyczny moment poczucia.

Mogaba słyszał dobiegające z góry odgłosy sprzeczki kruków. W owym czasie kruki stanowiły prawdziwe utrapienie pałacu. Duszołap uwielbiała je. Nie pozwalała ich krzywdzić ani przeganiać. Ostatnimi czasy podobnymi łaskami zaczynały cieszyć się nietoperze.

Słyszając wrzaski kruków, nieliczni ze znajdujących się jeszcze w okolicy służących przyspieszyli kroku. Nieszczęsne ptaki zwiastowały złe wieści. Złe wieści gwarantowały niezadowolenie Protektorki. A kiedy Duszołap była niezadowolona, nie dbała o to, komu przyjdzie ponieść konsekwencje. Z pewnością i tym razem jednak kogoś to spotka.

Mogaba wszedł do komnaty rady i zatrzymał się zaraz za progiem. Zacznie rozmowę z nim, kiedy będzie gotowa. Gopal Singh z Szarych i Aridata Singh z Batalionów Miejskich – żadnego pokrewieństwa, gdyż Singh stanowiło najpopularniejsze nazwisko w Taglios – już byli na miejscu. Nim nadeszły złe wieści, Duszołap pewnie znów łajała ich za niedostateczne wysiłki w dziele eksterminacji jej wrogów.

Mogaba wymienił spojrzenia z obu mężczyznami. Podobnie jak siebie samego, uważał ich za przyzwoitych ludzi złapanych w pułapkę okoliczności niemożliwych do przewyciężenia. Gopal miał wrodzony talent do egzekwowania prawa. Aridata był równie utalentowany w pacyfikowaniu burzącej się ludności. Obaj jakoś dawali sobie radę w służbie Duszołap, choć ta przecież kochała równocześnie i chaos, i despotyzm. Rozsiewała je wokół siebie z nadzwyczajną werwą oraz zapałem, kierowana wyłącznie dyktatem kaprysów.

Wtem Duszołap zmaterializowała się. To był jeden z talentów, których używała, by zbijać z tropu gorszych od siebie. Człowiek formatu mniejszego niż Mogaba mógłby zgłupieć na sam jej widok. Kobieta miała

ciało, którego walory raczej uwydatniały, niżli skrywały zwyczajowe, obcisłe czarne skóry. Natura obdarowała ją szczerze. Próżność kazała jej doskonalić to, co otrzymała, metodą czarodziejskiego makijażu przez całe wieki.

– Nie jestem zadowolona – oznajmiła Duszołap. W jej głosie brzmiało rozdrażnienie; był to głos rozpieszczonego dziecka. Dziś wyglądała jeszcze młodziej niż zazwyczaj, jakby świadomie postawiła sobie za cel rozpalenie wyobraźni każdego młodego mężczyzny. Aczkolwiek kruk na wysokim oparciu fotela ponad jej ramieniem stanowił ostry dysonans w tym obrazie.

– Mogę zapytać dlaczego? – odezwał się Mogaba. Jego głos był spokojny,omalże beztroski. Życie w pałacu w Taglios polegało na bezładnym pędzie z kryzysu w kryzys. Dawno już przestał brać to sobie do serca. Któregoś dnia Duszołap zwróci się przeciwko niemu. Zdołał się już pogodzić z tą myślą. Kiedy koniec nadejdzie, ze spokojem stawi mu czoło. Na nic lepszego nie zasłużył.

– W Gaju Zagłady trwa wielkie święto Oszustów. Właśnie teraz. Dzisiejszej nocy. – Ten głos był dla odmiany chłodny, spokojny, racjonalny. Męski. Po jakimś czasie można było przyzwyczaić się do tych zmian. Mogaba w każdym razie już ledwie je zauważał. Aridatę Singha, niedawno dopiero awansowanego, kapryśny chór wciąż zbijał z tropu. Był on zdolnym oficerem i dobrym żołnierzem. Mogaba miał nadzieję, że na stanowisku uda mu się przetrwać dość długo, by zdołał przywyknąć do kaprysów Protektorki. Zasługiwał na lepszy los niżli ten, jaki wedle wszelkiego prawdopodobieństwa czekał jego samego.

– To zdecydowanie nie są dobre wieści – zgodził się Mogaba. – Ale przypominam sobie, że chciałaś ściąć ten cały las na podpałkę, tak aby wszelki ślad po tym świętym miejscu zaginał. Selvas Gupta ci to wyperswadował. Powiedział, że w ten sposób stworzymy niebezpieczny precedens. – Gupta zaś w tajemnicy zachęcił do tego Wielki Generał, który nie miał ochoty marnować sił ludzkich i czasu na oczyszczanie jakiejś puszczy. Ponadto Mogaba nie znosił Selvasa oraz jego przesiąkniętego świętoszkowatą pychą korzystania z władzy.

Gupta był aktualnym Pjurojita, czyli oficjalnym nadwornym kapłanem i doradcą do spraw religii. Powołanie urzędu Pjurojity wymusili na Radiszy Drah kapłani dwadzieścia lat temu, w czasie, gdy księżna była zbyt słaba,

aby im się przeciwstawić. Duszołap nie zniosła go jeszcze. Ale niewiele cierpliwości okazywała ludziom, którzy go piastowali.

Selvas był Pjurojitą od roku – dłużej niżli wszyscy jego poprzednicy od czasu ustanowienia Protektoratu.

Teraz Mogaba był pewny, że ten śliski, mały wąż nie przetrwa już nawet tygodnia.

Duszołap obrzuciła go wzrokiem, pod którym człowiek czuł się tak, jakby zaglądała głęboko do wnętrza, przeglądając jego pobudki i tajemnice. Po chwili dostatecznie długiej, by zrozumiał, że nie udało mu się jej oszukać, rzekła:

– Daj mi nowego Pjurojite. Zabij starego, jeśli będzie protestował. – Stosowała się do starożytnego zwyczaju karania kapłanów, którzy ją rozczarowywali, co chyba stanowiło cechę rodzinną. Pokolenie wcześniej jej siostra zabiła ich setki podczas jednej masakry. Przykłady obu siostr wszelako najwyraźniej nigdy nie okazały się dostatecznie wymowne, aby przekonać ocalałych do porzucenia knowań. Byli uparci. Wydawało się z pozoru, że w Taglios prędzej zabraknie kapłanów niżli spisków.

Kruk zeskoczył na ramię Duszołap. Ta uniosła dłoń w rękawiczce, aby podać mu przekąskę.

– Zdecydowałaś się już, jak zareagować? Operacja z udziałem moich kolegów? – Mogaba skinął głową obu Singhom. Trochę im zazdrościł, a równocześnie szanował ich talenty. Czas i przeciągające się animozje zatarły ostre kontury jego ongiś niezachwianej wiary we własną doskonałość.

– Ci panowie przybyli tu w innej sprawie, zanim otrzymałam wieści z Gaju. – Podała ptakowi kolejny strzęp mięsa.

Oczy Mogaby zwęziły się odrobinę. Sprawy, do których nie chciano go dopuścić?

Mylił się. Duszołap posłużyła się głosem rozchichotanej staruchy:

– Dzisiaj Szarzy natknęli się na kilka haseł wypisanych na murach. – Kruk zakrakał. Pozostałe wznowiły swą sprzeczkę.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – odparł Mogaba. – Każdy idiota z pędzlem, kubełkiem farby i wykształceniem dostatecznym, aby zlepić razem pięć liter, może na widok kawałka nietkniętego muru poczuć potrzebę wypowiedzenia się.

– To były hasła z przeszłości. – Tym razem Protektorka posłużyła się głosem, którego używała, kiedy chciała wydać się rzeczowa. Męskim głosem, brzmiącym tak, jak Mogaba wyobrażał sobie brzmienie własnego.
– Na trzech napisane było „Radzadharna”.

– Słyszałem, że kult Boodiego znowu się odradza.

– Na dwóch pozostałych napisano: „Woda śpi” – dodał Gopal Singh. – To nie należy do symboliki Boodi. I nie były to też jakieś wypłowiałe graffiti sprzed czterech lat.

Mogabę przeszył dreszcz, na poły przerażenia, na poły podniecenia. Zapatrzył się na Protektorkę. Ona zaś rzekła:

– Chcę wiedzieć, kto jest ich autorem. Chcę wiedzieć, dlaczego postanowili zrobić to właśnie teraz.

Wydało mu się, że obaj Singhowie wyglądają na poniekąd zadowolonych, jakby cieszyła ich myśl, że nareszcie posiadają prawdziwych wrogów zamiast zdesperowanych ludzi, którzy nie niepokojeni prawdopodobnie zachowywaliby całkowitą obojętność wobec pałacu.

Gaj Zagłady znajdował się za miastem. Wszystkie sprawy na tym terenie pozostawały w gestii Mogaby, zapytał więc:

– Czy chcesz, żebym podjął jakieś określone działania przeciwko Oszustom?

Duszołap uśmiechnęła się. Kiedy tak robiła, dokładnie w ten sposób, widać było na jej twarzy każdą minutę przeżytych stuleci.

– Żadnych. Nawet najmniejszych. Już poszli w rozsypkę. Powiem ci kiedy. Wtedy, gdy nie będą przygotowani. – Ten głos też był chłodny, jednak pobrzmiwały w nim tony pasujące do złego uśmiechu. Mogaba zastanawiał się, czy Singhowie wiedzą, jak rzadko zdarzało się komukolwiek oglądać Protektorkę bez jej maski. Należało bowiem z tego wnosić, iż chce uwikłać ich w swe intrygi tak głęboko, że nigdy już nie uda się im zerwać więzi, jakie ich z nią łączyły.

Mogaba skłonił się niczym wierny sługa. Dla Protektorki wszystko było tylko grą. Albo może wielością gier. Niewykluczone, że takie podejście stanowiło sposób na zachowanie wewnętrznej równowagi w świecie, gdzie wszyscy inni przemijali tak szybko.

– Chcę, żebyś pomógł łapać szczury – rzekła jeszcze. – Brakuje mi padliny. Moje dzieciątka robią się głodne. – Podała swemu

czarnoskrzydłemu szpiegowi kolejny kęs. Bardzo podejrzanie przypominał on ludzką gałkę oczną.

9

Siedlisko Kruków: INWALIDA

Wciąż jeszcze żyję? – Nie musiałem pytać. Żyłem. Ból uświadomił mi to z absolutną pewnością. Bolał mnie każdy skrawek ciała.

– Nie ruszaj się. – To był głos Tobo. – Albo pożałujesz, że nie umarłeś. Już żałowałem, że muszę oddychać.

– Oparzenia?

– Mnóstwo oparzeń. Poza tym liczne stłuczenia.

– Wyglądasz, jakby ktoś sprzął ci dupsko paskudną dwudziestokilową lagą, a potem piekł to, co zostało, na wolnym ogniu – oznajmił głos Murgena.

– Sądziłem, że jesteś w Kang Fi.

– Już wróciliśmy.

– Nie odzyskiwałeś przytomności przez cztery dni – rzekł Tobo.

– Co z Panią?

– Leży w drugim łóżku. Jest w znacznie lepszym stanie niż ty – odparł Murgen.

– Nic dziwnego. Ja do niej nie strzelałem. Kot odgryzł jej język?

– Śpi.

– Co z Jednookim?

Odpowiedź Tobo była ledwie słyszalna:

– Konował, Jednookiemu się nie udało.

– Wszystko w porządku? – zapytał Murgen po chwili.

– On był ostatnim.

– Ostatnim? Jakim ostatnim?

– Ostatnim, którego znałem z czasów, gdy się zaciągnąłem. Do Kompanii. – Teraz byłem już naprawdę Starym. Człowiekiem. – Co się

stało z jego włócznią? Muszę mieć tę włócznię, żeby doprowadzić całą sprawę do końca.

– Jaką włócznię? – zapytał Murgen.

Tobo wiedział, o jaką włócznię chodzi.

– Mam ją u siebie.

– Ogień ją uszkodził?

– Nie bardzo. Dlaczego?

– Mam zamiar zabić tego stwora. Powinniśmy to zrobić już wiele lat temu. Nie spuszczaaj tej broni z oka. Będzie mi potrzebna. Ale teraz mam zamiar pospać sobie jeszcze trochę. – Chociaż na parę chwil musiałem udać się w miejsce, do którego ból nie ma dostępu. Wiedziałem przecież, że Jednooki któregoś dnia nas opuści. Sądziłem, że jestem na to przygotowany. Myliłem się.

Jego odejście oznaczało coś więcej niż tylko śmierć starego przyjaciela. Stanowiło koniec epoki.

Tobo powiedział coś na temat włóczni. Nie dosłyszałem. A ciemność ogarnęła mnie, zanim przypomniałem sobie, że muszę zapytać, co się stało z forwalaką. Jeśli Pani udało się go schwytać albo zabić, wówczas niepotrzebnie się podniecałem... Sądziłem jednak, że to nie może być takie proste.

Zacząłem śnić. Wspominałem wszystkich, którzy odeszli przede mną. Wspominałem miejsca i czasy. Zimne miejsca, upalne miejsca, dziwne miejsca, zawsze męczące czasy, napęczniałe nieszczęściami, bólem i strachem. Niektórzy umierają. Inni żyją dalej. Żadnego sensu, kiedy próbuje się to zrozumieć. Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego.

Och, ten żołnierski żywot! Och, te przygody i chwała!

Powrót do zdrowia zabrał mi więcej czasu niż wówczas, gdy omal nie zostałem zabity pod Dedzagore. I to pomimo wsparcia Tobo, który rzucał na mnie wyuczone u Jednookiego najlepsze medyczne zaklęcia, jak również pędził do pomocy swych widzianych-kątem-oka przyjaciół. Niektórzy z nich rzekomo byliby w stanie ożywić nawet i skamielinę. A faktycznie czułem się jak skamielina, jakby ominęły mnie korzyści stazy, która tylko pozostałych pochwyciła w pułapkę pod równiną. Teraz mam kłopoty z osiągnięciem wewnętrznej równowagi. Nie bardzo potrafię

wyczuć, ile naprawdę mam lat. Wydaje mi się, że pięćdziesiąt sześć, plus minus kilka lat, oraz cały czas spędzony pod ziemią. A pięćdziesiąt sześć lat, bracia, to cholernie dobry wynik – zwłaszcza dla człowieka w moim szemranym zawodzie. Powinienem być wdzięczny za każdą sekundę, włączywszy w to wszelkie niedole.

Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego.

10

Siedlisko Kruków: REKONWALESCENCJA

Minęły dwa miesiące. Czułem się wprawdzie o dziesięć lat starszy, jednak byłem już na nogach i znowu wtrącałem się do wszystkiego – choć chodziłem niczym zombi. Zostałem naprawdę niezłe przypieczony przez płonący jezor czystego omalże alkoholu, który eksplodował do wnętrza izby dziurą wybitą wcześniej pociskiem Pani. Wszyscy bez przerwy powtarzali mi, jak wielką muszę cieszyć się miłością bogów, ponieważ wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinno mnie już być wśród żywych. Gdybym nie znajdował się dokładnie w tym miejscu, w którym byłem, czyli za forwalaką, który przyjął główną siłę uderzenia, nie zostałyby po mnie wiele więcej niż nagie kości.

Nie miałem ostatecznej pewności, czy tak nie byłoby lepiej.

Uporczywy ból raczej nie skłania do optymistycznych myśli, tudzież nie przyczynia się do zbudowania dobrego nastroju. Powoli zaczynałem rozwijać w sobie zrozumienie dla perspektywy Matki Goty.

Udało mi się nawet uśmiechnąć, gdy Pani zaczęła mnie nacierać leczniczymi maściami.

- Po burzy zawsze świeci słońce – stwierdziła.
- Och, tak, zaiste. Och, tak.
- Co my tu widzimy? Może nie jesteś wcale taki stary, jak ci się wydaje.
- To przez ciebie, dziewczyno.
- Ospała martwi się twoimi planami pomszczenia Jednookiego.
- Wiem. – Nie było potrzeby wspominać mi o tym. Miałem spore przejścia z takimi jak ja, kiedy sam byłem Kapitanem.
- Może powinieneś trochę odpuścić.

– To trzeba zrobić. Ktoś będzie musiał. Ospała powinna to zrozumieć. – Ospała jest rzeczowa jak mało kto. W jej świecie nie ma wiele miejsca na pobłażliwość i emocje.

Ona podejrzewa, że po prostu chcę skorzystać z pretekstu, jakim jest śmierć Jednookiego, aby odwiedzić Bramę Cienia Khatovaru, i trudno jej się dziwić, skoro przez dziesięć lat maszerowałem przez piekło, chcąc dotrzeć do tego miejsca.

Tę kobietę niełatwo zwieść. Ale ona sama również potrafi przemienić jedną ideę w prawdziwą obsesję, spychając z pola widzenia wszystko pozostałe.

– Ona nie chce robić sobie kolejnych wrogów.

– Kolejnych? Przecież nie mamy żadnych. Przynajmniej tutaj. Być może nie przepadają za nami, ale będą całować nasze tyłki. Śmiertelnie się nas boją. A ich strach się pogłębia za każdym razem, gdy Biała Dama albo Pan Astralny, inny *licztlin*, czy co tam jeszcze, wypęłza z ludowych bajek i dołącza do orszaku Tobo.

– Hm. I w tym rzecz? Wczoraj widziałam coś, co Tobo nazywał *łółsej*, w towarzystwie Czarnych Ogarów. – Oto moja najdroższa w całej swej krasie. Może całkiem wyraźnie widzieć te istoty, nawet tutaj. – Jest wielki jak hipopotam, ale kształtem przypomina insekta o głowie jaszczurki. Jaszczurki z bardzo wielkimi zębami. Żeby zacytować Łabędzia: „Wygląda, jakby spadł z bardzo wysokiego drzewa i po drodze uderzał w każdą gałąź”.

Wierzba Łabędź najwyraźniej konsekwentnie kultywował swój nowy wizerunek swarliwego, ale barwnego starca.

Ktoś musiał wkroczyć i zająć miejsce Jednookiego. Zastanawiałem się już nawet, czy samemu nie wdziać czapki z dzwoneczkami.

– Co wiemy o forwalace? – zapytałem. Wcześniej unikałem pytań o szczegóły. Powiedziano mi tylko, że diabeł jakoś uciekł. Tego wystarczyło, by zacząć przygotowywać się duchowo do zakończenia tej historii.

– Zostawił za sobą ślad. Odniósł kilka głębokich ran, został porządnie poparzony, a ja jeszcze oślepiłam go częściowo moją ostatnią kulą ognistą. Stracił kilka zębów. Wykorzystując je oraz fragmenty skóry oderwanej przez Czarne Ogary podczas jego ucieczki do Bramy Cienia, Tobo stworzył parę fetyszów.

– Ale nie przeszkodziło mu to w ucieczce do Khatovaru?

– Prawda.
– Wobec tego będzie go tak trudno zabić jak Kulawca.
– Już nie. Dzięki fetyszom Tobo.
– Pomogłaś mu?
– Jestem istotą wprawioną w starożytnych niegodziwościach. No nie? Nie napisałeś czegoś takiego raz czy dwa?

– Zwłaszcza po tym, jak się bliżej poznaliśmy... Au! Dobrze... póki jesteś tak niegrzeczną dziewczynką jak teraz, możesz sobie... – Nie pamiętałem, czy ująłem rzecz dokładnie tak, jak twierdziła, jednak prawdą było, że wiele lat temu zanotowałem w Kronikach taką uwagę. I wcale nie przesadziłem. – Mam zamiar pójść za nim.

– Wiem. – Nie protestowała. Wszyscy byli bardzo mili w mojej obecności. Chcieli, żebym siedział cicho. Ospała zaangażowała się właśnie w drażliwe negocjacje z Szeregiem Dziewięciu. Trybunał Wszech Czasów oraz mnisi z Kang Fi już trzymali naszą stronę. Wojownicy-władcy z Szeregu pozostawali wszak nieprzekonani, czy nie popełnią błędu, dając nam to, czego chcieliśmy, skoro Kompania już urosła do rozmiarów, które stanowiły poważne obciążenie dla gospodarki Hsien. A także poważne zagrożenie, zakładając, że idea podboju jakimś sposobem zagnieździ się w naszych sercach. Jeśli o mnie chodzi, nie widziałem żadnego wojownika-władcy – czy choćby przymierza wojowników-władców – który miałby choć cień szansy, gdyby wpadł nam do głowy taki pomysł. Większość z nich ma co do tego również całkowitą jasność.

Cały czas rozpaczliwie pragną dostać w swe ręce Mariczę Mantarę Dumrakszę – czyli Władcę Cienia, którego my znaleźliśmy pod imieniem Długi Cień. Ich żądza zemsty graniczy z obsesją na tle rasowym. Jeśli chodzi o zbrodnie, jakich dopuścił się Długi Cień na ich przodkach, zachowują powściągliwość, jednak my dysponujemy własnymi źródłami w Kang Fi. Jego okrucieństwa były równie kapryśne jak niegodziwości Duszołap, jednak w skutkach dla ofiar znacznie bardziej przerażające. Pragnienie przywleczenia Władcy Cienia przed trybunał nadawało ton każdej sprawie rozpatrywanej przez wojowników-władców, sądy ustawowe i szlacheckie, a nawet poszczególnym tradycjom duchowym Hsien. Kwestia Mariczy Mantary Dumrakszy była jedyną, co do której wszyscy się zgadzali. Ani razu też nie udało mi się wyczuć choćby śladu łotrowskiej

chęci zdobycia kontroli nad Długim Cieniem w celu powiększenia zakresu własnej władzy.

Ospała nie chciała, aby popędliwy, wulgarny, lecz wciąż wpływowy były Kapitan kręcił się dookoła, wygłaszając sarkastyczne uwagi, kiedy ona próbowała uzyskać ostatnią koncesję, jakiej potrzebowała od Szeregu Dziewięciu. Była przekonana, że całe lata naszego przyzwoitego zachowania mogą stanowić jęczyzek u wagi. A jeśli okaże się, że tak nie jest – no cóż, należała do tych strategów, którzy zawsze mają pod ręką intrygę zastępczą. Po prawdzie, był z niej cudowny łotr tego rodzaju, dla którego powszechnie przyjęty i utarty porządek rzeczy mógł stać się jedynie wybiegiem, pomyślanym zasadniczo jako zasłona dymna. Nasza Ospala była małą, wredną dziewczynką.

Krainie Nierozpoznanych Cieni brakuje wielkich czarowników. Maksymę „Wszelkie Zło Umiera Tam Niekończącą Się Śmiercią” należy rozumieć w ten sposób, że po ucieczce Władców Cienia jej mieszkańcy wymordowali wszystkich obdarzonych talentem. Jednak Hsien nie gardzi wiedzą ani jej nie odrzuca. Istnieje tu kilka wielkich monastyrów – z których Kang Fi jest największym – stawiających sobie za cel przechowywanie wiedzy. Mnisi nie dzielą jej na dobrą i złą, powstrzymują się też od osądów moralnych. Wyznają pogląd, iż żadna wiedza nie jest zła, póki ktoś nie uczyni z niej złego użytku.

Mimo że wykuty w celu kaleczenia ludzkiego ciała, miecz jest tylko bezwładnym kawałkiem metalu, póki ktoś nie zechce ująć go w dłoń i zada ciosu. Albo się odeń powstrzyma.

Istnieją rzecz jasna tysiące sofizmatów usprawiedliwiających odebranie jednostkom możliwości wolnego wyboru. Wszystkie one wyrastają z przesłanek aroganckich na skalę iście boską.

To właśnie dzieje się z człowiekiem, kiedy się starzeje. Zaczyna myśleć. Co gorsza zaś, zaczyna informować każdego o tym, co wymyślił.

Ospała bała się, żebym jednego z Dziewięciu nie poczęstował którąś z mych nieszczęsnych opinii. Mogłoby to doprowadzić do tego, że zdjęte gniewem, obrażone stronnictwo porzuciłoby wszelkie zasady racjonalnego postępowania oraz świadomość własnego interesu i na zawsze pozbawiło nas wiedzy potrzebnej do zreperowania Bramy Cienia wiodącej do naszego świata. Zdecydowanie przecenia moją zdolność do drażnienia rozmówców.

Przed wizytą panterolaka faktycznie mógłbym popełnić taki błąd – otwarcie wygłosić swoją opinię w obecności członka Szeregu. A niektórych spośród nich zaliczyłbym do grona najpodlejszych przywódców, jakich zdarzyło mi się w życiu spotkać. Wątpiłem, aby mając możliwość nieskrępowanego rządzenia, wielu z nich okazało się władcami bardziej oświeconymi niżli znienawidzeni przez nich Władcy Cienia.

Ludzie są dziwni. Dzieci Zmarłych zaliczają się do najdziwniejszych.

Nie mam zamiaru nikogo denerwować. Obiecałem sobie, że będę skwapliwie wspierał każdą linię polityczną, jaką wyznaczy Ospała. Chciałem już opuścić tę Krainę Nierozpoznanych Cieni. Miałem parę rzeczy do zrobienia, zanim ostatecznie przekażę komuś te Kroniki. Rozwiązanie problemu Lizy Deli Bomarsz było tylko jedną z nich. Pozostaje jeszcze przecież Wielki Generał, Mogaba, którego czarne imię zdraycy plami historię Kompanii. Jest Narajan Singh. Dla Pani zaś liczą się przede wszystkim Narajan Singh i Duszołap. Dla nas obojga ważna jest nadto sprawa naszego dziecka. Naszego paskudnego, złego dzieciaka.

– Czy oprócz Długiego Cienia jest coś jeszcze, co moglibyśmy zaoferować Szeregowi Dziewięciu? – zapytałem. – Co sprawi, że rzecz wyda się im dostatecznie atrakcyjna, aby poszli za przykładem Kang Fi i Trybunału Wszech Czasów?

Moja ukochana tylko wzruszyła ramionami.

– Nie potrafię nawet wyobrazić sobie czegoś takiego. – Uśmiechnęła się lekko. – Ale niewykluczone, że wkrótce to i tak nie będzie mieć znaczenia.

Nie wsłuchałem się z dostateczną uwagą w jej słowa. Czasami zdarza mi się puścić nowe prawdy mimo uszu. W tych dniach moją Kompanią dowodzą nieśmiałe dzieciaki i diaboliczne staruchy, nie zaś prostoduszne osiłki, jak ja sam oraz ludzie z mojej epoki.

11

Siedlisko Kruków: SESJA ĆWICZEŃ

Kiedy tylko doszedłem w miarę do siebie, zapytałem Wujka Dodża, czy pozwoli mi wznowić ćwiczenia ze sztuk walki, które zarzuciłem wiele lat temu.

– Dlaczego właśnie teraz przyszło ci to do głowy? – padło pytanie. Czasami wydaje mi się, że jest jeszcze bardziej podejrzliwy w stosunku do mnie niż ja wobec niego.

– Ponieważ teraz mam czas. I odczuwam potrzebę. Jestem słaby jak szczeniak. Chcę odzyskać siły.

– Przepędziłeś mnie, kiedy ci to proponowałem.

– Wtedy nie miałem czasu. A ty byłeś zbyt szorstki.

– Ha. – Uśmiechnął się. – Chyba jesteś nazbyt uprzejmy.

– Masz rację. To przywilej książąt.

– Książę Ciemności, Kamienny Żołnierzu. – Wiedział, że w ten sposób zalezie mi za skórę. – Niemniej książę ma szczęście. – Stary piernik obdarzył mnie pełnym wyższości uśmiechem. – Kilku innych również zwróciło się do mnie ostatnio z podobną prośbą, zapewne także w przewidywaniu trudów, które są może nawet nie tak bardzo już odległe.

– Dobrze. – Czy wiedział coś, o czym ja nie wiedziałem? Prawdopodobnie było tego całkiem sporo. – Gdzie i kiedy?

Jego uśmiech stał się paskudny, kiedy obnażył kiepskie zęby. Co kazało mi się zastanowić, gdzie Ospała znajdzie kogoś na wakującą po Jednookim posadę dentysty. Staremu głupcowi wzięcie ucznia nawet nie powstało w głowie.

„Kiedy” okazało się: z pierwszym brzaskiem, „gdzie” zaś – niebrukowaną ulicą na tyłach maleńkiego domku Dodża, który dzielił

z wujem Tobo zwanym Tai Dei i kilkoma beżennymi oficerami stąd. Moimi towarzyszami w nieszczęściu okazali się Wierzba Łabędź, bracia Loftus i Kletus, którzy wciąż pozostawali głównymi budowniczymi i inżynierami Kompanii, a także władcy Taglios na wygnaniu, księżę Prabrindrah Drah i jego siostra, księżna Radisza Drah. To nie były imiona, lecz tytuły. Nawet po dziesięcioleciach znajomości nie poznałem ich osobistych imion. A oni nie zdradzali najmniejszej ochoty do przejścia ze mną na ty.

– Gdzie jest twój kumpel, Brzeszczot? – zapytałem Łabędzia. Przez jakiś czas Brzeszczot był *attaché* wojskowym Ospalej przy Szeregu Dziewięciu, jednak słyszałem, że po śmierci Jednookiego został odwołany. Tyle że jakoś nigdzie nie mogłem go spotkać.

– Nasz Brzeszczot ma zbyt dużo spraw na głowie, żeby przejmować się jeszcze jakimiś ćwiczeniami.

Loftus i Kletus zamruczeli coś równocześnie pod nosem, ale nie wyjaśnili, o co chodzi. Również żadnego z nich nie widywałem ostatnimi czasy jakoś szczególnie często. Przypuszczałem, że zapracowują się na śmierć, budując miasto od podstaw. Sjuwrin, który przybył akurat na czas, żeby usłyszeć, co mamrotali, żywo pokiwał głową.

– Ona ma zamiar orać nami, póki nie zostaną z nas tylko mokre plamy. – Nie jestem do końca pewien, co właściwie mam myśleć na temat Sjuwrina. Nie mam wszakże większych kłopotów z wyobrażeniem sobie, jak łązi dookoła, w nieskończoność powtarzając w myślach mantrę: „Każdego dnia, w każdy możliwy sposób staram się być coraz lepszym żołnierzem”.

– Cóż, nasz Brzeszczot nigdy tak naprawdę nie miał wielkich ambicji – odparł Łabędź. – Wyjąwszy chwile, gdy można dać się we znaki kapłanom. – Najwyraźniej wiedział, o czym mówi, nawet jeśli nie było to wcale oczywiste dla mnie.

– Jeśli Sziwetja karmi nas wymyślonymi pierdołami, to kiedy wrócimy, w domu będzie czekać nas zupełnie nowy plon do przesiania – stwierdził Klet.

Prabrindrah Drah i jego siostra przysunęli się bliżej, chciwi najświeższych wieści z domu. Ospala nie zadawała sobie trudu, żeby informować ich na bieżąco. Coś kiepsko było z jej żyłką dyplomatyczną. Lepiej będzie, jeśli jej przypomnę, że życzliwość tych dwojga będzie nam

potrzebna już w chwili, gdy po raz pierwszy postawimy stopę na ziemi po drugiej stronie równiny.

Żadne z tej dwójki nie było szczególnie przystojne. A nadto Radisza bardziej przypominała matkę księcia niżli jego siostrę. On jednak spoczywał razem ze mną pod ziemią, podczas gdy ona gnała na grzbiecie tagliańskiego tygrysa, próbując nie dopuścić, by Duszołap wyrwała jej wodze z ręki. Tutaj starali się nie rzucać szczególnie w oczy: księżę dlatego, że ongiś był naszym aktywnym przeciwnikiem w polu; księżna dlatego, że zwróciła się przeciwko nam w chwili, gdy zwycięstwo nad ostatnim z Władców Cienia mieliśmy już w ręku.

Za to właśnie Ospała ją załatwiła.

Technicznie rzecz biorąc, Radisza była naszym jeńcem. Ospała porwała ją. W scenariuszu naszego powrotu przewidziała dla niej i brata role marionetek Czarnej Kompanii. Nikt nie był temu przeciwny. Podejrzewałem jednak, że para książęca miała na ten temat inne zdanie.

– *Radzadharm* – powiedziałem, kłaniając się lekko. Nie potrafiłem się oprzeć pokusie przypomnienia im, że próba zdradzenia nas skończyła się niewywiązaniem z obowiązków wobec poddanych.

– Wyzwoliciele. – Radisza odpowiedziała mi ukłonem. Przysięgłbym, że z każdym miesiącem ta kobieta stawała się coraz bardziej kurą domową. – Zdaje się, że zdrowiejesz.

– Mam talent do powrotów na scenę. Ale z pewnością nie skaczą już tak szybko i tak wysoko jak kiedyś. Przypuszczam, że to wiek daje się we znaki. Ty również wyglądasz dobrze – skłamałem. – Jak i twój brat. Cóż porabialiście? Nie widziałem was przez czas jakiś.

Prabrindrah Drah nie odpowiedział. Jego oblicze pozostawało nieodgadnione. Od dnia naszego wskrzeszenia był cichy i zamknięty w sobie. Swego czasu stosunki między nami były niezłe, ale ludzie się zmieniają. Żaden z nas nie pozostał tym samym człowiekiem, którym był w epoce wojen z Władcami Cienia.

– Kłamiesz jak brzuch węża – odparła Radisza. – Jestem stara, brzydka i nie potrafię przestać się za siebie wstydzić... Ale głosisz takie kłamstwa, których moje uszy słuchają z radością. Zapomnijmy jednak o *radzadharmie*. Tego rodzaju oskarżenia nic dla mnie nie znaczą. Przynajmniej z ust obcego. Wciąż sama się tym zadreczam. Dokładnie wiem, co zrobiłam. Niemniej w swoim czasie uważałam, że jest to jedyne

wyjście. Protektorka manipulowała mną, odwołując się do mego poczucia *radzadharmy*. Kiedy tylko wrócimy, ujrzysz nas w zupełnie innym świetle.

Radzadharm oznacza powinność rządzącego polegającą na służeniu rządzonemu. Kiedy słowo to rzuca się władcy w twarz, zazwyczaj jest to poważne oskarżenie – zarzuca mu się niewywiązanie się ze zobowiązań.

Radisza jest twardą, upartą kobietką. Na nieszczęście dla niej, jeśli zechce sprostać własnym oczekiwaniom względem siebie, będzie musiała poradzić sobie z twardą, upartą, szaloną i nieomal wszechpotężną czarownicą.

Zerknąłem na jej brata. Wyraz twarzy księcia nie zmienił się, ale wyczułem, iż we własnym mniemaniu znacznie lepiej zdaje sobie sprawę z czekających nas trudności niż siostra.

Wujek Dodź uderzył w coś ćwiczebnym mieczem. Głośny trzask uciął nasze pogaduszki.

– Wasze kije, proszę. W mierzonym tempie zaczynamy Kada Żurawia. – Nie zatroszczył się, żeby wyjaśnić nowemu uczniowi, o co chodzi.

Jakieś dwadzieścia lat temu przyglądałem się ćwiczeniom szermierczym Niueng Bao i przez krótki czas nawet w nich uczestniczyłem. Kronikarzem był wówczas Murgen. Sprowadził do swego mieszkania Gotę, Dodża oraz brata swej żony Sahry, Tai Deia. Dodź spodziewał się więc, że coś tam zapamiętałem.

Jednakże niemal wszystko, co potrafiłem sobie przypomnieć o Kada Żurawia, to tyle, że składało się nań dwanaście najbardziej pierwotnych i najprostszych, wykonywanych w zwolnionym tempie figur, które obejmowały wszystkie sformalizowane kroki i uderzenia szkoły fechtunku Dodża. Stary kapłan prowadził ćwiczenia, stojąc przed nami odwrócony plecami. Choć był zdecydowanie najstarszy z nas wszystkich, poruszał się z precyzją i gracją, graniczącymi z pięknem. Niemniej kiedy później na chwilę dołączyli do nas Tai Dei i Tobo, obaj przyćmili sprawność starego. Trudno było nie przystanąć i nie zagapić się na mistrzowskie wyczyny Tobo.

Chłopak, nawet stojąc bez ruchu, sprawiał, że czułem się niezgrabny i nie na miejscu.

Jemu wszystko przychodziło tak łatwo.

Dysponował wszelkimi umiejętnościami i talentami, jakich tylko mógł potrzebować. Ewentualne niejasności dotyczyły tylko jego charakteru.

Rzesza dobrych ludzi pracowała ciężko nad tym, aby wyrósł na prawego i przyzwoitego człowieka, którym zresztą zdawał się być. Jednak był niczym ostrze, które nie przeszło jeszcze próby ognia. Nikt nigdy nie szeptał mu do uszka o prawdziwych pokusach.

Kompletnie zmyliłem krok, potknąłem się. Wujek Dodź przyłożył mi przez pośladki swoim kijem tak energicznie, jakbym był najwyżej podrostkiem. Jego twarz pozostawała nieodgadniona. Podejrzewałem wszakże, iż miał na to ochotę już od dłuższego czasu. Spróbowałem się skoncentrować.

12

Lśniący kamień: NIEZŁOMNY STRAŻNIK

Istota zasiadająca na wielkim drewnianym tronie w samym sercu fortecy położonej pośrodku kamiennej równiny była tworem sztucznym. Najprawdopodobniej stanowiła dzieło bogów, którzy toczyli tu swe wojny. A może wyszła spod ręki budowniczych, konstruktorów równiny – jeśli oni sami nie byli bogami. W tej kwestii opinie były podzielone. Liczne opowieści przedstawiały wersje odbiegające od siebie. Sam demon Sziwetja nie ma bynajmniej skłonności korzenia się w obliczu faktów, w najlepszym razie przekazuje je w sposób całkowicie niespójny. Najnowszemu kronikarzowi swego żywota podał parę sprzecznych wersji prehistorycznych wydarzeń. Stary Baladitja porzucił już wszelką nadzieję dotarcia do niepodważalnej prawdy. Zamiast tego zajął się zgłębianiem głębszych struktur znaczeniowych leżących u podstaw tego, co demon zdecydował się zdradzić. Uczony zdawał sobie sprawę, że odległa przeszłość nie dość, iż stanowi teren całkowicie obcy, to na dodatek – jak zapisana historia – jest galerią luster, odbijających pragnienia ludzi kroczących w pochodzie terażniejszości. Bezwzględne, nagie fakty służą zaspokojeniu głodu tylko nielicznych dusz, odseparowanych od zbiorowości. Pozostałym doskonale wystarczają symbole oraz wiara.

Kariera Baladitji w Kompanii stanowi lustrzane odbicie jego wcześniejszego życia. Spisuje. Kiedy był kopistą w Bibliotece Królewskiej w Taglios, spisywał. Teraz nominalnie jest jeńcem Czarnej Kompanii. Ale istnieją spore szanse, że zdążył już o tym zapomnieć. W rzeczywistości ma dzisiaj więcej swobody w realizowaniu własnych zainteresowań, niż miał w bibliotece kiedykolwiek.

Stary uczony żyje i pracuje u stóp demona. Miejsce to zapewne jest tak zbliżone do jego osobistej wersji raj, jak tylko mógłby sobie życzyć historyk Gunni. Oczywiście, jeśli historyk ten nie pozostaje zanadto związany religijną doktryną swej wiary.

Przesłanki stojące za odmową przez Sziwetję złożenia kategorycznej deklaracji mogą wyrastać z goryczy, jaką napełnia go jego dola. Wedle własnych słów, spotkał większość bogów twarzą w twarz. Jego wspomnienia na ich temat są jeszcze mniej pochlebne od tych, jakie stanowią pożywkę dla przytłaczającej części mitologii Gunni, w której tylko niewielu bóstwom można przyznać chwalebną rolę wzorów do naśladowania. Bez wyjątku niemal bogowie Gunni są okrutni, samolubni i nie mają śladu niebiańskiego poczucia *radzadharmy*.

W polu światła rzucanego przez lampę Baladitji pojawił się wysoki, czarny mężczyzna.

– Dowiedziałeś się dzisiaj czegoś ekscytującego, dziadku? – Wydatki kopisty na olej do lampy były czystym marnotrawstwem, ale pobłażano mu.

Stary człowiek nie odpowiedział. Był prawie całkowicie głuchy. Słabe ciało eksploatował niemal do granic wytrzymałości. Nawet Brzeszczot nie upierał się już, by żądać odeń wykonywania przydzielonej mu części obozowych obowiązków.

Brzeszczot powtórzył swe pytanie, jednak nos kopisty pozostał przyklejony do zapełnianej właśnie karty. Jego kaligrafia jest szybka i precyzyjna. Brzeszczot nie potrafi odszyfrować skomplikowanego świątynnego alfabetu, wyjąwszy nieliczne znaki, które dzieli z nieco tylko prostszym pismem potocznym.

Przybyły spojrzął w oczy golema. Wydały się wielkie niczym jaja roka. Przymiotnik „ogniste” pasował do nich równie znakomicie. Nawet naiwny stary Baladitja nigdy nie zaproponował, by uwolnić demona z niewygodnej pozycji, usuwając sztylety przykuwające jego członki do tronu. Sam demon także nigdy nikogo do tego nie zachęcał. Wytrzymał tysiące lat. Miał cierpliwość kamienia.

Brzeszczot spróbował z innej strony.

– Przybiegł łącznik z Siedliska Kruków. – Wolał tubylczą nazwę bazy Kompanii. Brzmi znacznie bardziej dramatycznie niż Placówka czy Przedmoście, a Brzeszczot jest człowiekiem pełnym dramatyzmu, znajdującym upodobanie w dramatycznych gestach. – Kapitan donosi, iż

spodziewa się już wkrótce zdobyć potrzebną wiedzę o Bramie Cienia. Coś wydarzy się niedługo w Kang Fi. My tu mamy wypruwać sobie żyły, żeby wydobyć jak najwięcej skarbów na powierzchnię. A ty powinienes powoli kończyć te badania. Ona wkrótce wyruszy.

– Szybko się nudzi, sam wiesz – mruknął kopista.

– Co? – Brzeszczot poczuł zaskoczenie, które po chwili przeszło w gniew. Staruszek nie słyszał ani słowa.

– Nasz gospodarz. – Nawet nie uniósł wzroku znad karty. Ponowne dostosowanie wzroku do czytania zabrałoby mu zbyt wiele czasu. – Łatwo się nudzi. – Baladitji w ogóle nie obchodziły plany Kompanii. On był w raju.

– Można by pomyśleć, że stanowiliśmy wydarzenie, które przyciągnie jego uwagę.

– Śmiertelnicy niepokoiłi go wcześniej już tysiące razy. On wciąż tu jest. Nie ma już natomiast żadnego z tych ludzi, poza tymi, których uwieczniono w kamieniu. – Istniało podejrzenie, iż sama równina, choć starsza i zmieniająca się jeszcze wolniej niż Sziwetja, może również dysponować własnym umysłem. Kamień pamięta. I kamień opłakuje. – Nawet ich imperia zostały już zapomniane. Jak wielkie są szanse, że tym razem stanie się inaczej?

Głos Baladitji był cokolwiek bezbarwny. Nic dziwnego, pomyślał Brzeszczot, skoro przez cały czas spoglądał w przepaść czasu, którą stanowił umysł demona. Gadka o niczym i pogoń za wiatrem!

– On nam pomaga. W mniejszym lub większym stopniu.

– Tylko dlatego, że wierzy, iż jesteśmy ostatnimi jętkami, które przyszło mu oglądać. Wyjąwszy Dzieci Nocy, jeśli uda im się wskrzesić swoją Mroczną Matkę. Jest przekonany, że stanowimy jego ostatnią nadzieję na uwolnienie.

– I wszystko, co nam pozostało do zrobienia, aby uzyskać jego pomoc, to zarznąć paskudną boginię, a potem dać jego dupie odpocząć pośród długiej nocy. – Wzrok demona zdawał się przewiercać go na wylot. – Nic wielkiego. Bułka z masłem, jak zwykł mawiać Goblin. Chociaż w tym powiedzeniu nie ma nawet śladu literalnego sensu. – Brzeszczot przytknął palce do czoła, salutując demonowi. Niedawny płomień w jego oczach zamienił się w ledwie tłący żar.

– Zabijanie bogów. Ta robota powinna ci przypaść do gustu.

Nie miał do końca pewności, czy to Baladitja się odezwał, czy też demon wtargnął do jego umysłu. Nie podobały mu się wnioski płynące z takiej możliwości. Zbyt blisko było temu do echa myśli Ospalej i powodów, dla których jego synekura w Kang Fi dobiegła końca, on zaś musiał rozpocząć tę operację na równinie, porzuciwszy bankiety i puchowe piernaty dla żelaznych racji i łoża z zimnego, milczącego kamienia, dzielonego tylko z nieszczęśliwymi, więdnącymi marzeniami, zwariowanym uczonym, przeróżnymi złodziejaskami oraz szalonym demonem wielkim jak dom i niemal tak starym jak czas.

Przez całe dorosłe życie Brzeszczotem powodowała nienawiść do religii. Szczególną pogardą zaś darzył jej dystrybutorów. Biorąc po uwagę okoliczności i aktualne zajęcie, wydawało się jak najbardziej wskazane powstrzymanie się przed głośnym wyrażaniem swych opinii.

Przysiągłby, że widział, jak przez ulotną chwilę na ustach demona zaigrał uśmiech.

Tego również zdecydował się nie skomentować.

Jest człowiekiem małomównym. Nie bardzo wierzy w pożytek płynący ze słów. Uważa, że golem podsłuchuje jego myśli. Chyba że krótkowieczni znudzili go do tego stopnia, iż nie poświęca im już swej uwagi.

Znowu ten cień rozbawienia. Najwyraźniej spekulacje były nietrafne. Powinien to wiedzieć. Sziwetję interesuje każde tchnienie wydawane przez braci z Czarnej Kompanii. Golem konsekrował tych ludzi jako nosiciele śmierci.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał Brzeszczot starego, przelotnie dotykając dłonią jego ramienia. – Zanim zejdziesz na dół? – Kontakt cielesny między nimi jest całkowicie wymuszony. Jednak Baladitja zupełnie nie dba o sens takich gestów, szczerych czy sztucznych.

Teraz ujął lewą dłonią trzymane wcześniej w prawej pióro, rozprostował palce.

– Sądzę, że powinienem coś zjeść. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz brałem coś na ząb.

– Zadbam, żeby ci coś przyniesiono. – Nie będzie to z pewnością nic innego jak przyprawiony ryż z manną golema. Jeśli Brzeszczot żałował w życiu czegokolwiek, to faktu, że jego większość przyszło mu spędzić w rejonie świata, gdzie religia przeważającej części populacji nakazywała dietę wegetariańską, a reszta zadowalała się w najlepszym razie kurą lub

rybą. W każdej chwili byłby gotów wgrzyźć się z dowolnego końca w prosię upieczone na rożnie i nie poprzestać, póki nie zakończy na drugim.

Jego oddział – złodzieje, szperacze Kompanii – liczył dwudziestu sześciu najbardziej bystrych i godnych zaufania młodych żołnierzy jednostki, a wszyscy wywodzili się z Dzieci Zmarłych. Musieli być równocześnie sprytni i godni zaufania, ponieważ Ospała zaplanowała dla nich eksplorację skarbów znajdujących się w jaskiniach pod równiną, a zajmować mógł się tym tylko ten, kto naprawdę rozumiał, iż równina nie wybaczy błędnego kroku. Sziwetja również ich objął swoimi względami. On widzi wszystko i wie o wszystkim, co dzieje się w granicach jego świata. Jest duszą równiny. Nikt nie może wejść na nią i jej opuścić bez jego aprobaty albo przynajmniej przyzwolenia. A co zupełnie nieprawdopodobne, gdyby Sziwetja nie zareagował na niedozwoloną kradzież, złodziej i tak nie miałby dokąd uciec, wyjąwszy Bramę wychodzącą na Krainę Nierozpoznanych Cieni. Tę jedyną można było kontrolować i tylko ona funkcjonowała w miarę właściwie. Była to też jedyna Brama, która nie niosła złodziejowi pewnej śmierci.

Długo idzie się przez krąg otaczający tron. Podłoga wygładzona została do połysku. Stanowi dokładne odzwierciedlenie w skali jeden do osiemdziesięciu rozciągającej się na zewnątrz równiny, wyjąwszy tylko kolumny pomników, które w wiekach późniejszych dodali ludzie nieposiadający już nawet mitologicznych wspomnień po budowniczych. Setki godzin pracy poszły na usunięcie śmieci i kurzu zgromadzonych na jej powierzchni, aby Sziwetja mógł wyraźniej rozróżniać każdy detal swego królestwa. Tron golema spoczywa na podwyższeniu w kształcie koła, które samo w sobie stanowi osiemdziesięciokrotnie pomniejszoną replikę równiny.

Kilka dziesiątek lat temu Duszołap majstrowała przy mechanizmie i wywołała trzęsienie ziemi, które zrujnowało fortecę i sprawiło, że w jej posadzce rozwarła się szeroka szczelina. Na terytoriach rozciągających się poza równiną katastrofa zrównała z ziemią miasta i zgładziła tysiące mieszkańców. Dzisiaj jedyną pamiątką po niegdysiejszej szczelinie w powierzchni równiny, szczelinie szerokiej na kilkanaście i głębokiej na tysiące metrów, jest czerwona pręga wijąca się obok tronu. A i ona kurczy się z każdym dniem. Podobnie jak Sziwetja, mechanizm kierujący równiną posiada zdolność samoregeneracji.

Wielki, okrągły model równiny wznosi się pół metra ponad resztę posadzki, która znajduje się na poziomie powierzchni samej równiny.

Brzeszczot zeskoczył z krawędzi wielkiego koła. Ruszył w kierunku dziury w posadzce, wejścia na schody wiodące w dół. Ciągnęły się całymi kilometrami, przez jaskinie zarówno naturalne, jak i wykute ludzką ręką. Na najgłębszym poziomie spoczywała we śnie bogini Kina, cierpliwie oczekując Roku Czaszek i początku Cyklu Khadi, który oznaczać będzie zagładę świata. *Zraniona* bogini Kina.

Pod najbliższą ścianą zakłębiły się cienie. Brzeszczot zamarł. Kto to? Niemożliwe, żeby to byli jego ludzie. A może jednak co, nie kto?

Przeszył go strach. Poruszające się cienie często stanowiły zwiastun okrutnej, rozwrzeszczanej śmierci. Jak te stwory znalazły drogę do fortecy? Ich bezlitosne uczyty cechowała groza, której więcej już nie chciał być świadkiem. A w szczególności nie miał ochoty stać się głównym daniem na jednej z nich.

– To Nef – słowa same wyrwały się z jego ust na widok trzech humanoidalnych postaci majaczących w mroku. Rozpoznał ich, mimo że nigdy wcześniej ich nie widział. Podobnie jak większość, jeśli nie liczyć snów. Czy raczej koszmarów. Nef byli nieprawdopodobnie brzydki. Niewykluczone wszak, iż na twarzach nosili maski. Kilka dostępnych opisów zasadniczo nie zgadzało się z sobą, wyjąwszy brzydotę. Przepowiedział sobie imiona: – Łaszan. Łaszen. Łaszon. – Imiona, które Sziwetja podał Ospalej wiele lat temu. O co im mogło chodzić? Czy w ogóle chodziło im o cokolwiek? – Jak się tutaj dostaliście? – Od tej odpowiedzi mogło zależeć wszystko. Zabójcze cienie mogły przecież skorzystać z tego samego przejścia.

Jak mieli w zwyczaju, Nef próbowali coś przekazać. W przeszłości ich wysiłki nieodmiennie spełzały na niczym. Ale tym razem ich apel wydawał się oczywisty. Nie chcieli, aby Brzeszczot schodził po tych schodach.

Ospała i Mistrz Santaraksita, a także pozostali, którzy weszli w kontakt z Sziwetją, uważali, że Nef są wirtualnymi kopiami budowniczych równiny. Golem powołał ich do istnienia, ponieważ tęsknił za obecnością kogoś, kto przynajmniej trochę przypominałby tych, których zręczność stworzyła wielką maszynę i dzięki niej otworzyła ścieżki między światami; ponieważ był samotny.

Sziwetja stracił wolę życia. Jeśli odejdzie, cokolwiek stworzył, zniknie wraz z nim. Nef jednak najwyraźniej wcale nie byli gotowi do odejścia w zapomnienie. Pomimo niekończącej się grozy i umęczenia, jakie niósł żywot na równinie.

Brzeszczot rozłożył dłonie gestem znamionującym bezradność.

– Wy, chłopcy, powinniście nieco odkurzyć swe zdolności komunikacyjne. – Żaden z Nef nie wydał nawet dźwięku, jednak ich irytacja zdawała się być niemal namacalna. Jak zawsze zresztą, od czasu, gdy ktoś wyśnił ich po raz pierwszy.

Wbił w nich spojrzeń. Próbował zrozumieć. Zastanawiał się nad złośliwością losu, która towarzyszyła przygodom Czarnej Kompanii na lśniącej równinie. Sam był ateistą. Jednak u celu podróży czekał nań pełny ekosystem bytów nadprzyrodzonych. A Tobo i Ospała, których pod każdym innym względem uważał za świadków wiarygodnych, twierdzili, że na własne oczy widzieli ponurą boginię Kinę i że ta, zgodnie z mitem, spoczywała uwięziona półtora kilometra pod jego nogami.

Ospała oczywiście przeszła kryzys wiary. Gorliwa monoteistka Vedna, nigdy, przenigdy nie natknęła się na żadne ziemskie świadectwa mogące stanowić oparcie dla jej religii. Z kolei religia Gunni, mimo że i jej podstawy są dość kruche, tylko zatrzęszczała mocno pod ciężarem, który dobyliśmy spod ziemi. Gunni są politeistami, nawykłymi do tego, że ich bogowie przyjmują niezliczone wcielenia, kształty oraz przebrania. Wystarczy wspomnieć, że w niektórych mitach bogowie ci mordują się wzajem i przyprawiają sobie rogi. Gunni dzięki temu potrafią patrzeć z różnych perspektyw na każde odkrycie – jak to uczynił Mistrz Santaraksita – i nie mają kłopotu z uznaniem, że każda nowa wiedza to po prostu ta sama stara boska prawda.

Bóg jest bogiem niezależnie od tego, jakie nadajecie mu imiona. Brzeszczot widział takie inskrypcje na kamiennych płytach ścian rozlicznych budowli Kang Fi.

Za każdym razem, gdy ktokolwiek pobłądzi gdzieś z dala od Sziwetji, ciągnie się za nim kula ziemistobrazowej poświaty. Jej aureola błąka się nad jednym lub drugim ramieniem. Kula nie rzuca zbyt wiele światła, jednak w ciemnościach absolutnych nawet tego wystarczy. To dzieło golema. Sziwetja dysponuje mocami, o których nie pamięta, jak ich używać. Sam

mógłby być uważany za pomniejszego boga, gdyby nie trwał przybity do tego starożytnego tronu.

Brzeczot pokonał niemalże trzysta metrów w dół, zanim napotkał kogoś zmierzającego w przeciwną stronę. Żołnierz niósł ciężki plecak.

– Sierzancie Van.

Tamten mruknął coś niewyraźnie. Już ledwie dyszał. Nikt nie był w stanie odbyć więcej niż jedną taką podróż w ciągu dnia. Brzeczot przekazał Vanowi złe wieści, ponieważ przez dłuższy czas mógł nie natknąć się na niego ponownie.

– Przyszła wiadomość od Kapitana. Musimy się pospieszyć. Ona jest już gotowa do wyruszenia.

Van wymruczał po nosie wszystkie te rzeczy, jakie zazwyczaj żołnierze mają do powiedzenia w takich okolicznościach. Nawet na moment nie przerwał wspinaczki. Brzeczot zastanawiał się, jak też Ospała chce przewieźć góry skarbów, które zgromadzili w fortecy. Z pewnością było tego dosyć na sfinansowanie całkiem niezłej wojny.

Zanim przeszedł następne tysiąc stopni w dół, zdążył powtórzyć tę wiadomość kilkakrotnie. Klatkę schodową opuścił w miejscu nazywanym przez wszystkich grotą starożytnych, przez wzgląd na pomieszczone w niej ciała starców. Zawsze robił sobie tam postój, żeby odwiedzić swego przyjaciela Kordka Mafera. Był to rytuał wyrażający szacunek dla tych, którzy odeszli. Kordek nie żył. Mimo iż większość pozostałych w jaskini wciąż nie umarła, trwali tylko pochwyceni zaklęciem stazy. Jakimś sposobem podczas długiego Zniewolenia Mafer zrzucił z siebie pętające go zaklęcia. Ale to małe zwycięstwo kosztowało go życie. Nie był w stanie znaleźć drogi wyjścia.

Obecność starców w jaskini stanowiła tajemnicę zarówno dla Brzeczota, jak i dla Kompanii. Jedynie Sziwetja wiedział, kim byli oraz dlaczego ich pogrzebano. Z pewnością musieli zdenerwować kogoś, kto dysponował odpowiednią władzą. Kilka ciał należało do braci z Kompanii. Pozostałe – do uwięzionych przedtem, nim Duszołap pogrzebała Kompanię. Śmierć upomniała się o nich najwyraźniej w wyniku tego, że Kordek Mafer spróbował ich obudzić. Dotknięcie Zniewolonego bez zastosowania czarodziejskich środków ostrożności sprowadzało nań śmierć.

Brzeczot zwalczył przemożną ochotę kopnięcia czarownika Długiego Cienia. W Krainie Nierozpoznanych Cieni ten szaleniec był zakładnikiem

o nieocenionej wręcz wartości. Dzięki niemu Kompania urosła w siłę i zdobyła bogactwa. A czasem prosperity najwyraźniej nie było końca.

– Jak się czujesz, Władco Cienia? Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas tu pozostaniesz. – Brzeszczot zakładał, że czarownik nie może go usłyszeć. Nie pamiętał, aby on sam, będąc pod władzą zaklęcia, słyszał cokolwiek. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, czy zachował choć isierkę świadomości, aczkolwiek Murgen twierdził, że bywały chwile, gdy wyglądało na to, że Zniewoleni zdają sobie sprawę ze swego położenia. – Jak dotąd cena licytowana za twoją głowę nie osiągnęła jeszcze odpowiednio wysokiego pułapu. Wzdragam się przed przyznaniem tego, ale jesteś naprawdę popularnym facetem. W szczególny sposób. – Jako że nie był człowiekiem ani szczodrym, ani skłonny do wybaczenia lub bodaj empatii, stał z dłońmi wspartymi na biodrach, wpatrując się zimno w Długiego Cienia. Czarownik przywodził na myśl szkielet, ledwie okryty skórą o chorobliwym odcieniu. Jego twarz zamarła w grymasie krzyku. Brzeszczot powiedział mu na koniec: – Wciąż powiadają: „Wszelkie Zło Umiera Tam Niekończącą Się Śmiercią”. Zwłaszcza kiedy myślą o tobie.

Niedaleko Długiego Cienia znajduje się stanowisko kolejnego wroga Kompanii, szalonego czarownika Wyjca. Pokusa, jaką on nastęcza, jest znacznie większa. Brzeszczot nie dostrzega żadnego sensu w utrzymywaniu Wyjca przy życiu. Ten wypierdek ma za sobą historię zdrad sięgającą daleko, daleko w przeszłość oraz charakter, którego najpewniej niewola nie zmieni nawet o jotę. Przeżył już podobne Zniewolenie wcześniej. Tamto trwało całe wieki.

Lepiej, żeby Tobo nie nabrał wrednych zwyczajów Wyjca. A edukacja Tobo stanowiła jedyny znany Brzeszczotowi powód, dla którego utrzymywano ten mały worek łachów przy życiu.

Nad ciałem Mafera przystanął na dłuższą chwilę. Przez długie lata Kordek był jego przyjacielem. Brzeszczot zawdzięczał mu życie. Bardzo żałował, że spotkał go taki los. Kordek chciał żyć. W przeciwieństwie do niego, który myślał o samym sobie, że trwa tylko siłą bezwładu.

Schodził wciąż głębiej w trzewia ziemi, mijając jaskinie skarbów, które zostały splądrowane, aby opłacić powrót Kompanii do domu. Powrót zamierzony jako spektakularna operacja, którą zapamiętają przyszłe pokolenia.

Brzeszczot nie jest człowiekiem, który łatwo ulega oparom uczuć czy napadom strachu. Ma dostatecznie chłodną głowę, skoro przeżył całe lata jako agent Kompanii w obozie Długiego Cienia. Ale w miarę jak schodził w głąb ziemi, odczuwał coraz silniejsze nerwowe dreszcze, pocił się. Wolniej stawiał kolejne kroki. Minął ostatnią zbadaną jaskinię. Pod nią nie mógł spodziewać się już niczego i nikogo, prócz ostatecznego wroga – Matki Nocy we własnej osobie. Wroga, który być może będzie wciąż trwał, nawet wtedy, gdy wszyscy pozostali, pomniejsi adwersarze zostaną pokonani i zgładzeni.

Dla Kiny Czarna Kompania jest niczym uprzykrzone brzęczenie komara, który zdołał uszczknąć kropelkę lub dwie krwi i któremu nie starczyło zdrowego rozsądku, by zaraz wynieść się w diabły.

Zwolnił jeszcze bardziej. Wędrująca wraz z nim poświata słabła. Niedawno jeszcze był w stanie dostrzec w miarę wyraźnie dwadzieścia stopni przed sobą, teraz było to tylko dziesięć, a cztery najbardziej odległe skrywała niby tężejąca zasłona czarnej mgły. Zalegająca ciemność zdawała się nieomal żywa. Czuło się, jakby znalazła się pod presją, podobnie jak woda, której masa napiera bardziej i bardziej, kiedy wpływasz coraz głębiej pod powierzchnię.

Brzeszczot poczuł, że ma kłopoty z nabraniem powietrza w płuca. Zmusił się do zaczerpnięcia kilku oddechów, głębokich i urywanych, potem poszedł dalej, wbrew podszeptom instynktu. Kilka stopni niżej z mgły wyłoniło się srebrne naczynie. Wysokie może na trzydzieści centymetrów – prosty pucharek ze szlachetnego metalu. Sam go tam umieścił. Wyznaczał najniższy stopień, na który zdołał dotąd zejść.

Teraz każdy krok w dół był niczym przedzieranie się przez płynną smołę. Z każdym stopniem ciemność napierała coraz mocniej. Światło nad głową było już zbyt słabe, by rozjaśnić choć jeden stopień za kielichem.

Często podejmował ten wysiłek. Ćwiczył w ten sposób wolę i odwagę. Każde zejście, podczas którego zdołał dotrzeć do kielicha, zawdzięczał głównie złości na to, że nie może posunąć się dalej.

Tym razem spróbował czegoś innego. Cisnął przed siebie garść monet wyszabrowanych z którejś jaskini skarbów. Wymachowi zabrakło energii, jednak siła ciężkości nadal tu obowiązywała, ciemność nie tłumiała również dźwięków. Monety zabręczały, spadając po stopniach klatki schodowej. Jednak dzwonienie metalu ucichło jakoś zbyt szybko. Przez chwilę monety

wydawały odgłos, jakby toczyły się po równej posadzce. Potem zapanowała cisza. I wtedy cichy głosik zawołał z bardzo daleka:

– Pomocy!

13

Kraina Nierozpoznanych Cieni: PODRÓŻ PRZEZ HSIEN

Topografia Krainy Nierozpoznanych Cieni niezbyt odbiega od tej właściwej naszemu światu. Zasadnicze różnice są dziełem człowieka.

Wszelako moralne i kulturowe topografie pozostają odmienne całkowicie. Nawet Niueng Bao wciąż mają kłopoty z adaptacją – choć przecież ich i Dzieci Zmarłych łączą wspólni przodkowie. Jednak Niueng Bao uciekli przed Mariczą Mantarą Dumrakszą oraz jego pobratymcami całe wieki temu, a potem stali się kulturową wyspą obmywaną przez obce morze.

Właściwe Hsien rozciąga się mniej więcej na tym samym obszarze, który w rodzimym świecie nosił nazwę Ziemi Cienia w czasach, gdy wszystko układało się pomyślnie dla Władców Cienia. Najdalsze krańce Hsien, których żaden z nas dotąd nie odwiedził, są zaludnione znacznie gęściej niżli nasza prowincja. W dawnych czasach każde tutejsze miasteczko szczyciło się tym, że stanowi centrum oporu przeciwko panowaniu Władców Cienia. Niewiele z tych grup partyzanckich komunikowało się ze sobą ze względu na restrykcje dotyczące przemieszczania się wprowadzone przez rządzące plemię. A jednak gdy godzina powstania wybiła, okazało się, że lokalnych przywódców jest dość dla osiągnięcia sukcesu.

Po ucieczce ostatniego Władcy Cienia powstała próżnia władzy. Wodzowie ruchu oporu namaścili sobie samych na jej sukcesorów. W Hsien rządzą zaś obecnie ich spadkobiercy, rozliczni, wadzący się wciąż między sobą wojownicy-władcy, z których niewielu tylko udaje się osiągnąć poważniejszą siłę. Każdego, kto obrasta w widoczną potęgę, sąsiedzi rozszarpują na strzępy.

Szereg Dziewięciu stanowi anonimowe, swobodne zgromadzenie senioratu wojowników-władców, wywodzących się rzekomo z każdej z dziewięciu prowincji Hsien. Nie jest to prawdą i nigdy nie było – chociaż niewielu spoza Dziewięciu się w tym orientuje. Jest to po prostu kolejna fikcja, pozwalająca utrzymać przy życiu aktualny chaotyczny ustrój.

Szereg Dziewięciu powszechnie postrzegany jest jako klika anonimowych władców sprawujących pełną kontrolę. Jego członkowie byliby z pewnością urzeczeni, gdyby tak właśnie było, w rzeczywistości jednak mają stosunkowo niewielkie możliwości. Istniejące *status quo* pozostawia im do dyspozycji nieliczne instrumenty narzucania swej woli. Każdy poważniejszy wysiłek w celu wymuszenia posłuszeństwa równałby się ujawnieniu ich tożsamości. Dlatego też zazwyczaj wydają kolejne bulle, udając, iż przemawiają w imieniu całego Hsien. Czasami ludzie słuchają. A czasami nadstawiają ucha na słowa mnichów z Kang Fi. Albo orzeczenia Trybunału Wszech Czasów. Tak więc każde z tych ciał musi starać się o łaski ludu na własną rękę.

Czarna Kompania wzbudza obawy głównie dlatego, że jest dzokerem w talii wojowników-władców. Nie ma żadnych lokalnych zobowiązań. Może zwrócić się przeciw dowolnej stronie, kierowana własnymi, obcymi motywacjami. Co gorsza, otacza ją sława jej potężnych czarodziejów, wspomaganych przez wyszkolonych żołnierzy, którymi dowodzą kompetentni dowódcy i sierżanci, z których żadnego nie sposób nawet posądzać o słabości wynikające z nadmiaru empatii lub współczucia.

Tę popularność Kompania zawdzięcza głównie temu, że w jej gestii pozostaje doprowadzenie ostatniego z Władców Cienia przed trybunał Hsien. Chłopi natomiast lubią nas, ponieważ w obecności nieprzewidywalnego potwora, przyczajonego i szybko rosnącego im od południa, nerwowi wojownicy-władcy ukrócili znacznie swe wzajemne sprzeczki.

Jednak z pewnością cała szlachta i wszyscy przywódcy Hsien woleliby, żeby Kompania odeszła. Nasza obecność stanowi zbyt wielkie zaburzenie stanu rzeczy istniejącego od zawsze.

Włączyłem się w poczet delegacji wyruszającej do Kang Fi, mimo iż rekonwalescencja nie dobiegła jeszcze końca. Zresztą nigdy już nie odzyskam całkowicie dawnej formy. Na prawe oko nie widzę najlepiej. Dorobiłem się naprawdę paskudnie wyglądających blizn po poparzeniach.

Nigdy też nie będę w pełni władał palcami prawej dłoni. Niemniej byłem przekonany, że mogę się przydać podczas negocjacji dotyczących tajemnicy Bramy Cienia.

Tylko Sahra miała na ten temat podobne zdanie. Ale Sahra jest naszym ministrem spraw zagranicznych. Wyłącznie jej nie brakuje cierpliwości i taktu, aby radzić sobie z tak kłótliwym ciałem jak Szereg Dziewięciu, którego niechętnie nastawienie wobec nas bierze się zresztą po części właśnie stąd, że nasze kobiety nie ograniczają się do gotowania i wylegiwania do góry brzuchem.

Oczywiście, jeśli wziąć pod uwagę Panią, Ospalą, Sahrę oraz Radiszę, podejrzewam, iż jedynie Sahra potrafi zagotować wodę, nie przypalając jej. Zresztą niewykluczone, że i ona już zapomniała, jak to się robi.

Maszerująca Kompania, zmierzająca ku intelektualnemu centrum Hsien, stanowiła widok dostatecznie groźny, by ustępować jej z drogi, przynajmniej tak należało wnosić z reakcji spotykanych chłopów. I to niezależnie od faktu, że nasz oddział włącznie ze strażą liczył tylko dwadzieścia jeden osób. Jeśli o ludziach mowa.

Widmowi przyjaciele Tobo otaczali nas taką chmarą, że niemożliwe było, aby przez cały czas pozostawali niewidzialni. Stare lęki i przesady wybuchały wśród ludzi mieszkających na trasie naszego przejazdu; skrzydlaty strach gnał szybciej, niż my byliśmy w stanie podróżować. Ludzie pierchali na nasz widok, mimo iż nocni kumple Tobo zachowywali się grzecznie. Przesady przeważały całkowicie nad jakimikolwiek namacalnymi dowodami.

Gdybyśmy podróżowali gromadą liczniejszą, nie przepuszczono by nas przez bramy Kang Fi. Nawet tam, pośród tak zwanych intelektualistów, strach przed Nierozpoznanymi Cieniami był tak gęsty, że dało się go kroić nożem.

Już dawno temu Sahra musiała przystać na warunek, zgodnie z którym ani Pani, ani Jednooki, ani Tobo nigdy nie mieli przekroczyć progu Repozytorium Wiedzy. Na samą myśl o czarownikach mnichów ogarniała panika. Dotychczas Ospalej pasowało respektowanie ich życzeń, toteż żadne z tych trojga nie wchodziło w skład oddziału, który przybył pod Niższą Bramę Kang Fi.

Wśród podróżnych znajdowała się jednak obca młoda kobieta. Posługiwała się imieniem Szikandini, w skrócie Sziki. Bez najmniejszego

trudu mogła wzniecić ogień w sercu każdego mężczyzny, który nie wiedział, że ma do czynienia z Tobo w przebraniu. Nikt nie zatroszczył się, by wyjaśnić mi, o co chodzi, jednak Sahra najwyraźniej knuła jakąś intrygę. Tobo był, rzecz jasna, asem, którego pragnęła zachować w rękawie. Co więcej, podejrzewała kilku spośród Dziewięciu o to, że w ich sercach kiełkują niegodziwe ambicje, które wkrótce miały wydać owoce.

Co? Ludzie u władzy knujący coś potajemnie? Nie! To zdaje się niemożliwe.

Kang Fi stanowi ośrodek nauki i duchowości. Jest skarbnicą wiedzy i mądrości. Istnieje od czasów pradawnych. Przetrwało Władców Cienia. Wśród Dzieci Zmarłych cieszy się niekwestionowanym szacunkiem, jak Kraina Nierozpoznanych Cieni długa i szeroka. Stanowi obszar objęty immunitetem, na którym nie obowiązują lenne prawa żadnego z wojowników-władców. Podróżni kierujący się do Kang Fi albo wracający zeń teoretycznie są również nietykalni. Teoria i praktyka czasami pozostają jednak rażąco rozbieżne. Nigdy więc nie pozwalaliśmy Sahrze podróżować bez przedsięwzięcia oczywistych środków ostrożności.

Miasto zbudowano na zboczu góry. Wznosi się w niebo trzystu metrami bieli, kłującej brzuchy wiecznych chmur; szczytów najwyższych budowli nie sposób dojrzeć z samego dołu.

W odpowiednim miejscu naszego świata całkowicie nagie zbocze majaczy nad południowym wejściem na jedyną dobrą przełęcz wiodącą przez góry znane jako Danda Presz.

Życie strawiłem na wojaczce – teraz zacząłem się zastanawiać, czy miejsce to nie rozpoczęło swego istnienia jako forteca. Górowało nad krańcem przełęczy. Niezbędne byłyby jednak pola zdolne wyżywić ewentualną populację. Ale proszę, oto i one – wczepione w zbocza górskie tarasami przypominającymi schody wzniesione przez pijanego giganta. Już najdawniejsi przodkowie obecnych mieszkańców znosili ziemię z odległości wielu, czasem dziesiątek kilometrów, po jednym koszu, pokolenie za pokoleniem. Bez wątplenia i dziś ta praca nie ustała.

Mistrz Santaraksita, Murgen i Tai Dei wyszli nam na spotkanie przed ozdobnie rzeźbiony portal Niższej Bramy. Żadnego z nich nie widziałem już od dawna, chociaż Murgen i Tai Dei uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych Jednookiego oraz Goty. Mnie nie było to dane, bo leżałem wówczas bez przytomności. Stary, gruby Mistrz Santaraksita nie ruszał się

nigdzie. Ten wiekowy uczonek był zadowolony, mogąc dożyć swych dni w Kang Fi. Udawał agenta Kompanii. Tutaj natrafił wreszcie na sobie podobnych. Tutaj czekały go tysiące wyzwania intelektualnych. Spotykał ludzi równie chętnych, by uczyć się od niego, jak on chętnie uczył się od nich. Był człowiekiem, który dotarł do domu.

Ospała powitał z otwartymi ramionami.

– Dorabi! Nareszcie! – Upierał się przy mówieniu do niej „Dorabi”, ponieważ takie imię nosiła, gdy spotkał ją po raz pierwszy. – Skoro już tu jesteś, musisz pozwolić im oprowadzić się po głównej bibliotece! Te żalostne parę książek na krzyż, którymi opiekowaliśmy się w Taglios, wygląda przy niej jak tobolek żebraka. – Przyjrzał się pozostałym. I wesołość go opuściła. Ospala przyprowadziła ze sobą naprawdę paskudnych chłopców. Takich, po których mógł się spodziewać, że zimną nocą bez zmruczenia oka użyją książek na podpałkę. Facetów takich jak ja, z bliznami, brakującymi palcami, brakami w uzębieniu, o skórze, której barwy najchętniej nigdy nie oglądałby już w Krainie Nierozpoznanych Cieni.

– Nie przyjechałam tutaj na wakacje wśród regałów, Sri – poinformowała go Ospala. – Mam zamiar w ten czy inny sposób zdobyć wiedzę na temat Bramy Cienia. Wieści, jakie otrzymuję z tamtej strony, nie napawają optymizmem. Muszę wprowadzić Kompanię do gry, nim będzie za późno.

Santaraksita skinął głową i rozejrzał się dookoła, szukając ewentualnych ciekawskich uszu, zamrugał oczami i znowu skinął głową.

Wierzba Łabędź odrzucił głowę do tyłu, spojrzał w górę, po czym zapytał, zwracając się do mnie:

– Myślisz, że dasz radę wejść?

– Daj mi kilka dni. – Tak naprawdę to jestem teraz w lepszej kondycji niż tamtej fatalnej nocy. Schudłem nieco i wyrobiłem sobie mięśnie. Jednak wciąż łatwo tracię oddech.

– Kłam sobie, jeśli chcesz, starcze – odrzekł. Zsiadł z konia, podał wodze jednemu z młodzieńców, którzy pojawili się dookoła. Wszystko to byli chłopcy między ósmym a dwunastym rokiem życia, cisi, jakby przecięto im struny głosowe. Nosili identyczne bladobrazowe szaty. Rodzice, niezdolni ich wykarmić, ofiarowali dzieci w niemowlęctwie

świątyni. Ci, których do nas dopuszczono, mieli już za sobą pewien etap mnisiej drogi. Nikomu młodszemu nie wolno było się nawet do nas zbliżyć.

Łabędź podniósł kamień o średnicy może pięciu centymetrów.

– Kiedy dojdziemy wreszcie na szczyt, mam zamiar rzucić go w dół. Chcę zobaczyć, jak spada.

Po części Łabędź nigdy nie dorósł. Wciąż puszczał kaczki po powierzchni stawów i jezior. W drodze do Kang Fi próbował nauczyć mnie tej sztuki. Jednak moja dłoń i palce nie potrafią już dostosować się do kształtu odpowiednio płaskiego kamienia. Wielu rzeczy nie potrafię już nimi zrobić. Właściwe uchwycenie pióra podczas pisania stanowi wyzwanie.

Tęsknię za Jednookim.

– Tylko nie walnij w łeb jakiegoś wojownika-władcy. Większość i tak już nas nie lubi.

Obawiali się nas. I nie potrafili znaleźć sposobu, by nami manipulować. Dostarczali nam zapasy i pozwalali zaciągać rekruta w nadziei, że w końcu odejdziemy. Zostawiając im Długiego Cienia. Nie informowaliśmy ich, że uzyskane od nich środki nie są niezbędne, by zmotywować nas do rozpoczęcia kampanii po drugiej stronie równiny.

Po czterystu latach zmieniło się to w aksjomat: wszystkich z zewnątrz należy utrzymywać w stanie lekkiego podenerwowania. I pod żadnym pozorem nie mówić im nic, czego wiedzieć nie muszą.

Długi Cień. Maricza Mantara Dumraksza. Posługiwał się również kilkoma innymi imionami. Z żadnym nie wiązała się dobra sława. Póki byliśmy zdolni dostarczyć go w łańcuchach, wojownicy-władcy zniosą z naszej strony prawie wszystko. Dwadzieścia pokoleń ich przodków wołało o pomstę.

Podejrzewałem, że przypisywane Długiemu Cieniowi okropności rosły, w miarę jak opowieści o nich przechodziły z ust do ust, czyniąc tym samym gigantów z bohaterów, którzy go pokonali.

Chociaż są żołnierzami, wojownicy-władcy nie rozumieją nas. Nie udało im się w pełni pojąć faktu, że sami są żołnierzami innego chowu, skrojonymi na miarę mniejszego przeznaczenia.

14

Kraina Nierozpoznanych Cieni:

KANG FI

Łabędź i ja staliśmy obok siebie, wyglądając przez okno przedsionka sali konferencyjnej, w której miały się odbyć negocjacje z Szeregiem Dziewięciu. Nareszcie. Jakiś czas zajęło jego członkom niepostrzeżone przedostanie się do Kang Fi, a potem zmiana masek, aby ich tożsamość pozostała nieznaną. Pod stopami nie widzieliśmy nic prócz mgły. Łabędź postanowił nie marnować swego kamienia.

– Sądziłem, że odzyskałem już formę. Myliłem się. Boli mnie całe ciało – powiedziałem.

– Powiadają, że niektórzy tutaj spędzają całe swoje życie, przenosząc się najwyżej o piętro czy dwa, kiedy otrzymają swój przydział po zakończeniu nowicjatu – odrzekł.

– Ludzie, którzy przywracają konieczną równowagę w świecie – skomentowałem. Łabędź nie miał za sobą równie długich wędrówek jak ja, ale przy zmianie światów kilka tysięcy kilometrów w tę czy tamtą stronę nie czyni różnicy. Próbowałem dojrzeć kamieniste tereny, które pokonaliśmy w drodze do Kang Fi, ale kiedy patrzyłem w dół, mgła zdawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona.

– Zastanawiasz się nad najszybszą możliwością dostania się na dół? – zapytał Łabędź.

– Nie. Myślę tylko, że taka izolacja może narzucać bardzo ograniczony światopogląd. – Nie wspominając już o ewentualnym wpływie braku kobiet w Kang Fi. Te nieliczne, które można tu spotkać, są przestrzegającymi celibatu zakonnicami, opiekującymi się ofiarowanymi świątyni niemowlętami, i są albo bardzo stare, albo bardzo chore. Reszta populacji składa się z mnichów, którzy co do jednego zostali w dzieciństwie oddani

klasztorowi i którzy również przestrzegają ślubów czystości. Najbardziej fanatyczni z braci dokonują na sobie aktów, które w sposób fizyczny uniemożliwiają ulegnięcie pokusie, co przejmuję dreszczem moich towarzyszy i każe im widzieć w tamtych stwory jeszcze bardziej dziwaczne niżli widmowi przyjaciele Tobo. Żaden z żołnierzy nie przepada za myślą o stracie swego najlepszego przyjaciela i ulubionej zabawki.

– Ograniczony światopogląd może w takim samym stopniu stanowić o słabości, jak i o sile, Wyzwoliciele – odezwał się czyjś głos za naszymi plecami. Odwróciliśmy się. Niepostrzeżenie dołączył do nas przyjaciel Ospalej, Surendranat Santaraksita. Uczony wtopił się w lokalny koloryt, nosił tutejszy strój i obcinał włosy na modłę Kang Fi – co oznaczało w istocie całkowity brak włosów – jednak chyba tylko ślepy i głuchy mógłby wziąć go za tubylca. Jego skóra jest ciemniejsza i nie tak przezroczysta, rysy twarzy w znacznie większym stopniu przypominają oblicze moje lub Łabędzia. – Ta mgła i prowincjonalny punkt widzenia pozwalają mnichom unikać nadmiernego przywiązania do spraw świata. Tym sposobem ich neutralność pozostaje niekwestionowana.

Nie wspomniałem o niegdysiejszej roli, jaką Kang Fi odegrało w kolaboracji z Władcami Cienia i usprawiedliwianiu ich rządów. Ta plama na honorze klasztoru została już wywabiona ługiem czasu i niezmordowanym łgarstwem.

Santaraksita był szczęśliwy. Żył w przekonaniu, że w tym miejscu uczeni mężczyźni nie muszą się prostytuować na rzecz doczesnej władzy, by móc oddawać się swemu powołaniu. Wierzył, że nawet Szereg Dziewięciu chylił czoło przed mądrością najstarszych mnichów. Nie był w stanie dostrzec, że gdyby Szereg zdołał zapewnić sobie większą władzę, jego związki z Kang Fi wkrótce nabrałyby charakteru dominacji. Mistrz Santaraksita jest błyskotliwy, ale naiwny.

– Niby jakim sposobem? – zapytałem go.

– Ci mnisi są tak niewinni w sprawach świata, że nawet nie próbują mu niczego narzucać.

– A jednak Szereg Dziewięciu rości sobie prawo do przemawiania stąd właśnie. – Szereg uwielbia wydawać kolejne bulle, które zresztą zazwyczaj są całkowicie ignorowane przez lud i wojowników-władców.

– Zaiste, i tak ma się to odbywać. Starsi zresztą tego pragną. W nadziei, że uda im się przekazać odrobinę swej mądrości, nim ich władza stanie się

więcej niż tylko symboliczna.

Nie powiedziałem nic, co mogłoby choćby zasugerować chęć przekonywania go. Nie wygłosiłem żadnej uwagi na temat mądrości zmierzającej do wspierania klikii anonimowych władców, wynoszącej się ponad pojedynczego dyktatora lub resztki arystokracji z Trybunału Wszech Czasów.

– Faktycznie wygląda na to, że próbują robić to, co dla Hsien najlepsze – przyznałem. – Jednak nie ufam nikomu, kto stawia całą pulę na chłopaków ukrywających twarze pod maskami. – Nie było potrzeby informować go, że Szereg nie ma przed nami żadnych sekretów. Niewiele z tego, o czym jego członkowie rozmawiają lub co robią, umyka uwagi znajomków Tobo. Tożsamość ani jednego z jego członków nie stanowi dla nas tajemnicy.

Działamy, opierając się na założeniu, że zarówno Szereg, jak i inni wojownicy-władcy umieścili szpiegów wśród naszych rekrutów. Co wyjaśniałoby fakt, dlaczego tak niewielki napotykałyśmy opór, biorąc nowych żołnierzy spośród Dzieci Zmarłych.

Większość szpicli jest nietrudna do zidentyfikowania. Ospała pokazuje im to, co chce, aby widzieli. Ponieważ jest złośliwą, zawziętą wiedźmą, pewien jestem, że przygotowała już plany okrutnego wykorzystania ich w jakimś późniejszym czasie.

Ona mnie niepokoi. Ma do wyrównania rachunki dawnych krzywd, jednak ci, którzy byli ich sprawcami, bezkarnie zeszli już z tego świata. Zawsze jednak istnieje szansa, że może zechcieć sprawić krwawą łaźnię komuś innemu, co ostatecznie ma szansę okazać się sprzeczne z interesami Kompanii.

Zapytałem więc Santaraksitę:

– Czego chcesz?

– Niczego takiego. – Jego twarz przybrała wyraz chłodnej neutralności. Jest przyjacielem Ospałej. W mojej obecności czuje się nieswojo. Czytał moje Kroniki. Pomimo wszystkiego, przez co Ospała kazała mu przejść, nadal nie potrafi uzmysłwić sobie okrutnej prawdy o naszym sposobie życia. Pewien jestem, że nie zamierza wrócić do domu razem z nami. – Miałem nadzieję jeszcze raz spotkać się z Dorabim, zanim zacznie się konferencja. To może okazać się ważne.

– Nie mam pojęcia, co się z nią stało. Sziki również gdzieś się zapodziały. Mieliśmy spotkać się z nimi tutaj. – Lokalna obyczajowość nie

pozwalala kobietom i mężczyznom dzielić kwater. Nawet Sahra i Murgen mieli oddzielne pokoje, chociaż stanowili parę małżeńską. A z obecnością Szikandini Sahra wiązała szczególne nadzieje. Chciała nieco zdekoncentrować świętych mężów, jednak nie w stopniu, który obudzi w nich zwierza, a jedynie na tyle, by zrezygnowali z upierania się przy jednej czy dwóch kwestiach. Aczkolwiek tego rodzaju odwrócenie uwagi nie stanowiło głównego celu misji Sziki.

Mistrz Santaraksita przez chwilę niespokojnie wyłamywał sobie palce, a potem zaplótł ręce na piersiach. Dłonie zniknęły w rękawach szaty. Denerwował się. Przyjrzałem się mu dokładniej. Wiedział coś. Zerknąłem na Łabędzia. Wzruszył ramionami.

Murgen i Tai Dei wpadli zadyszani do pomieszczenia. Murgen zapytał:

– Gdzie oni są?

Tai Dei wyglądał na zmartwionego, ale nie powiedział nic. I nie powie. Ten człowiek odzywał się rzadko kiedy. Szkoda, że siostra nie potrafiła przyswoić sobie tego nawyku.

Tai Dei również coś wiedział.

– Jeszcze się nie pokazali – odparł Łabędź.

– Dziewięciu może się rozzłościć – dodałem. – Czy Ospala i Sahra rozgrywają jakąś swoją grę?

Santaraksita cofnął się nerwowo.

– Nierozpoznanych tutaj również nie ma.

Moi towarzysze stanowili zróżnicowaną gromadkę. Gdyby była wśród nas Ospala, mielibyśmy reprezentację sześciu ras. Sześciu, licząc Santaraksitę jako jednego z naszych. Ospala uważała, że sama różnorodność typów antropologicznych dostatecznie onieśmieli Szereg Dziewięciu.

Ospala piastuje w duszy również inne pomysły, częstokroć bardziej jeszcze osobliwe.

Nie mam pojęcia, dlaczego sądziła, że wprowadzenie ich w stan konsternacji może dać nam cokolwiek. Wszystko, czego potrzebowaliśmy, to pozwolenie na swobodne poszukiwanie wiedzy niezbędnej do naprawienia i korzystania z Bramy Cienia. Mnisi z Kang Fi chcieli podzielić się tą wiedzą. Im silniejsi się stawaliśmy, tym bardziej pragnęli naszego odejścia. Większym przerażeniem napawały ich głoszone przez nas herezje niżli jakiegokolwiek armie, które ewentualnie moglibyśmy sprowadzić z powrotem.

Myśl o takiej grozie nie pozwala wojownikom-władcom spać po nocach. Ale oni również chcą naszego odejścia, ponieważ w im większą obrastamy siłę, tym bardziej realne i bezpośrednie postrzegają w nas zagrożenie. I nie winię ich, że tak myślą. Na ich miejscu sam zakładałbym podobnie. Całość ludzkiego doświadczenia przemawia na korzyść podejrzliwości względem obcych obładowanych bronią.

Pojawiły się kobiety. Wierzba Łabędź rozłożył ramiona i zadeklarował z dramatycznym zadęciem:

– Gdzie żeście się podziewały? – Potem przybrał inną pozę i wygłosił tę samą kwestię w odmienny sposób. A potem jeszcze raz, znowu inaczej. Wygłupiał się.

– Twoja córka przez cały czas flirtowała ze spotykanymi na drodze akolitami – Sahra poinformowała Tai Deia.

Spojrzałem na Sziki, zmarszczyłem czoło. Dziewczyna wydawała sięomalże eteryczna, w niczym nie przypominała wampa. Zamrugalem, ale wrażenie mglistości nie chciało ustąpić. Przypuszczalnie winny był mój nie najlepszy wzrok. Wyglądała bardziej jak jakiś roztargniony duch niż bawiący się swoją rolą chłopak w przebraniu.

Tai Dei uchodził w Hsien za ojca Sziki, ponieważ było rzeczą powszechnie wiadomą, że Sahra miała tylko jednego syna. Jej brata zaś, Tai Deia, cechowała tak dalece posunięta umiejętność trzymania się na uboczu, że nawet w Siedlisku Kruków lokalnych mieszkańców nie zastanawiało, iż rzadko widywana Szikandini musiała urodzić się w czasie, gdy jej ojciec był pogrzebany pod równiną. Nikt również szczególnie nie dociekał, co się stało z matką dziewczyny. Można było zbyć jej osobę kilkoma niejasnymi, pełnymi złości pomrukami.

Sziki uważano za pustogłową pannicę, zawsze pakującą się w drobne kłopoty, która stanowiła zagrożenie wyłącznie dla równowagi umysłowej młodych mężczyzn.

Teraz przybrała bardziej stabilną postać. Wydęła usta.

– Nie flirtowałam, ojcze. Po prostu sobie z nimi rozmawiałam – oznajmiła. Jej słowa powinny zabrzmieć kłótliwie, jednak jakimś sposobem były zupełnie bezbarwne, jakby wyuczone.

– Powiedziano ci, abyś nie rozmawiała z mnichami. Takie obowiązują tutaj prawa.

– Ależ, ojcze...

Kiedy przedstawienie się rozpoczęło, nie sposób było skończyć go od razu. Wszędzie wokół mogli znajdować się obserwatorzy. To jednak było przedstawienie. I to zupełnie niezłe, przynajmniej w oczach tych, którzy nie przywykli do obcowania z młodymi kobietami.

Mistrz Santaraksita wciąż szeptał coś Ospalej do ucha. Najwyraźniej to, co chciała usłyszeć, ponieważ jej twarz rozjaśniła się niczym latarnia. Jednak nie uznała za stosowne podzielić się zdobytymi informacjami z kronikarzem. Wszyscy Kapitanowie są tacy sami. Zawsze trzymają karty przy orderach. Oczywiście, wyjąwszy mnie. W swoim czasie byłem istnym wzorem otwartości.

Tai Dei i jego córka kłócili się do chwili, gdy ojciec uciął spór ostrymi słowami wypowiedzianymi głośno i zapalczywie w Niueng Bao. Po nich dziewczyna zamilkła nadąsana.

Kraina Nierozpoznanych Cieni:
ANONIMOWI WŁADCY

Bardzo stary mnich otworzył drzwi do komnaty posiedzeń. To zadanie było jego doniosłym, codziennym obowiązkiem. Skinął kruchą dłonią.

Była to moja pierwsza wizyta w Kang Fi, niemniej rozpoznałem symbolikę szat – ciemnopomarańczowych, obrzeżonych czernią. Oznaczały, że mamy przed sobą jednego z czterech czy pięciu najstarszych Kang Fi. Jego obecność z kolei stanowiła jednoznaczny sygnał, że mnisi są żywo zainteresowani wynikiem rozmów. W przeciwnym razie przy drzwiach stałby z pewnością jakiś sześćdziesięciolatek średniego szczebla, który potem zostałby na miejscu, by zaopiekować się akolitami przydzielonymi dla wygody tak naszej, jak i Dziewięciu. Mistrz Santaraksita uśmiechnął się. Być może miał coś wspólnego z nadaniem spotkaniu odpowiedniej rangi.

Sahra podeszła do starego człowieka. Skłoniła się, wymruczała kilka słów. Odpowiedział. Znali się najwyraźniej, a jemu nie przyszło do głowy lekceważyć jej tylko przez wzgląd na płeć. Mnisi okazywali się mądrzejsi, niż sądziłem.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że poprosiła o rezygnację z części ceremonii zwyczajowo towarzyszących wszystkim przedsięwzięciom Dzieci Zmarłych. Wymogi formalne przewidywały dla każdej okazji określony rytuał. Ci ludzie nie mogli mieć chyba zbyt wiele konkretnych zajęć pod rządami Władców Cienia.

My, barbarzyńcy, nie mieliśmy pojęcia o właściwym zachowaniu. Dzieci Zmarłych mogły więc zadzierać nosa w naszej obecności – potem jednak wzdychały z ulgą, ponieważ gdy w grę wchodziła Czarna Kompania, niewygodne interesy załatwiała się znacznie szybciej.

Nasz gospodarz obrzucił Szikandini ponurym spojrzeniem. Jednak był stary, zgorzkniały i ograniczony. Wszelako! Proszę bardzo! Nie na tyle stary, zgorzkniały i ograniczony, żeby promienny uśmiech młodej dziewczyny nie wywołał przelotnego błysku w jego oku. Na to nigdy nie jest się za starym.

Od najdawniejszych czasów wrogowie oskarżali nas, że walczymy nieczysto, że uciekamy się do chwytów poniżej pasa i zdrady. I mieli rację. Całkowitą rację. Jesteśmy bezwstydni. A to, że namówiliśmy Tobo, by zwodził tych wiekowych mężczyzn, to była już sztuczka tak nieczysta, jak to tylko możliwe. Ich styczność z kobietami ograniczała się wyłącznie do tego, co znajdowali w księgach. Zwiedzenie ich było łatwiejsze niż strzelanie z łuku do ślepców.

Wszystko potoczyło się tak gładko. Sziki zdawała się pływać w powietrzu, nie całkiem realna, nie zwracając na nikogo uwagi, nie zdradzając śladu rozbawienia, jakiego można by oczekiwać po Tobo. Który mężczyzna w jego wieku potrafiłby się oprzeć przyjemności strojenia sobie żartów z mądrych starców? Wszystko, co wiedziałem o Tobo, skłaniało do przypuszczenia, że jego będzie to bawić bardziej niż innych.

Powoli ogarniała mnie przemożna ciekawość. Co się właściwie dzieje?

Ospała twierdziła, że dzieciak przyjechał z nami, ponieważ chciała mieć pod ręką czarodzieja. Tak na wszelki wypadek. Ustępstwo na rzecz paranoi stanowiącej rezultat wielu żywotów nękanych zewnętrzną zdradą. A wedle prawa Kang Fi Tobo nie miałby wstępu do miasta, gdyby przybył pod swoim imieniem.

Chciała, żebym w to uwierzył.

Chodziło jednak o coś więcej. Dużo więcej. Rozumiałem tę śliską, małą wiedźmę znacznie lepiej, niż podejrzewała. I całkowicie aprobowałem jej poczynania.

– Dalej – powiedziała Ospala. W tym mieście nie czuła się szczególnie swobodnie. Miejsce to aż ocieka groźnymi symbolami obcych religii.

Komnata, do której weszliśmy, kiedy nie odstępowano jej Szeregowi Dziewięciu, z pewnością służyła jakimś poważnym celom ceremonialnym. Przeciwny kraniec, gdzie czekali wojownicy-władcy, był zapewne ołtarzem i rupieciarnią religijnych przedmiotów. Wojownicy-władcy zajęli miejsca na podwyższeniu, przed frontem ewentualnego ołtarza, gdzie na stałe osadzono pięć wielkich kamiennych siedzisk. Obecnych było siedmiu

członków Szeregu Dziewięciu. Dwóm, dla których nie starczyło miejsca – prawdopodobnie młodszym członków kworum – dostawiono fotele. Cała siódemka była przebrana, miała na twarzach maski, co, jak się wydaje, jest typowym zwyczajem anonimowych władców – a tutaj prawdopodobnie stanowi spuściznę Władców Cienia, uznających zasłanianie twarzy i skrywanie ciał za nadzwyczaj gustowne. W tym przypadku wszelako była to strata czasu. Ale oni nie muszą o tym wiedzieć. Przynajmniej nie w tej chwili.

Pani miała talent do wydobywania na jaw prawdziwych imion i tożsamości. Przeszła twardą szkołę. Pokazała Tobo niektóre ze swych sztuczek. On zaś uchylił maski członków Szeregu, wykorzystując swych przyjaciół. Wiedza, z kim mamy do czynienia, może okazać się cenna podczas negocjacji, gdyby zaistniała konieczność zbitcia przeciwników z tropu.

Sahra miała do czynienia z Szeregiem już wcześniej. Przyzwyczajeni byli do jej lekceważącego stosunku do ceremonii. Wszyscy spojrzeli na nią, kiedy wystąpiła naprzód.

Mistrz Santaraksita szedł trzy kroki za nią. Jego rolą było tłumaczenie specjalistycznych szczegółów. Chociaż Dzieci Zmarłych i Niueng Bao w odległej przeszłości mówili tym samym językiem, rozdział oraz odmienne warunki życia spowodowały, że nieporozumienia zdarzały się stosunkowo często. Zadaniem Santaraksity było wskazywać na te sytuacje, kiedy stronnictwa posługujące się tymi samymi słowami miały na myśli co innego.

Ospała dała kilka kroków naprzód, wciąż jednak pozostając bliżej nas niż wojowników-władców.

Zaczęła cicho nucić pod nosem. Była zdecydowana sprawiać wrażenie swobodnej, mimo iż otaczali ją sami zatwardziali kacerze.

Znowu zrobiła parę kroków naprzód.

– Czy Szereg gotów jest usunąć przeszkody uniemożliwiające Kompanii zapoznanie się z wiedzą, której potrzebuje do naprawienia Bram Cienia? – zapytała. – Musieliście przecież pojąć, że bez tego nie opuścimy Hsien. Ze swej strony wyrażamy niezmienną gotowość ekstradycji kryminalisty Dumrakszy. – Oferta, którą przedstawiano Szeregowi przez cały czas. Mimo iż nigdy nie stwierdzili tego jasno, najwyraźniej zależało im na czymś więcej, dopiero wywiad Tobo ujawnił, że mieli nadzieję zdobyć

nasze poparcie dla wzmocnienia własnej pozycji. Nie ośmielili się zaproponować tego wprost, mając wzgląd na świadków, których zawsze należało brać pod uwagę, gdy negocjacje toczyły się w Kang Fi.

Maski zwróciły się w stronę Sahry. Żaden z Nierozpoznanych nie odezwał się. Można było wręcz wyczuć ich irytację. Ostatnimi czasy powoli skłaniali się ku przekonaniu, nie dysponując zresztą żadnymi wiarygodnymi przesłankami, że do pewnego stopnia mają nad nami władzę. Przypuszczalnie wnosili to z faktu, że nie wdaliśmy się jeszcze w żaden rodzaj denerwującej rywalizacji z którymkolwiek z sąsiadów; zresztą konflikt taki obnażyłby rozpaczliwą nierówność sił naszych i ich. Większość lokalnych armii rozgromilibyśmy bez trudu.

Ospała wysunęła się przed Santaraksitę, zajęła miejsce obok Sahry.

– Jestem Kapitanem Czarnej Kompanii. Ja będę mówić – powiedziała w zupełnie znośnym lokalnym dialekcie. Obrzuciła przy tym spojrzeniem wojownika-władcę noszącego maskę zwieńczoną głową żurawia i ciągnęła dalej: – Tran Thi Kim-Thoa, jesteś Ostatnim Przyjętym do Szeregu. – Wojownicy-władcy poruszyli się nerwowo. – Jesteś młody. Przypuszczalnie wśród twych przyjaciół nie ma nikogo, kogo życie i ból odzyska sens, kiedy Maricza Mantara Dumraksza wróci tu, by odpokutować za swe winy. Potrafię to zrozumieć. Młodość jest zawsze niecierpliwa wobec przeszłości starszych... nawet jeśli przeszłość ta w istocie spada na barki młodzieży.

Urwała.

Siedem odzianych w jedwabie tyłków poruszyło się nerwowo, wypełniając przeciągającą się ciszę cichym szelestem szat. Wszyscy ludzie z Kompanii uśmiechnęli się, szczerząc kły. Dokładnie tak jak te małe skalne wokół Placówki, próbujące onieśmielić się wzajem.

Ospała wywołała z imienia nowego członka Dziewięciu. Jego tożsamość nie mogła być tajemnicą dla pozostałej ósemki. Wybrali go, kiedy ostatnim razem w ich kręgu powstała wyrwa. On natomiast mógł nie mieć pojęcia, z kim przyszło mu współzadzić – chyba że któryś ze starszych wojowników-władców zdecydował się prywatnie ujawnić mu ten fakt. Każdy z nich w normalnych okolicznościach znał jedynie tych, którzy zostali wybrani do Szeregu po nim. Wymówiwszy imię Ostatniego Przyjętego, Ospala, z pozoru stawiając w trudnym położeniu tylko jednego z Nierozpoznanych, w istocie formułowała zawoalowaną groźbę wobec wszystkich pozostałych.

Skinęła dłonią.

– Konował. – Dałem krok naprzód. – To jest Konował. Mój poprzednik na stanowisku Kapitana. Był również Dyktatorem Wszystkich Taglian. Konował, oto zasiadają przed nami Tran Huu Dunga i sześciu pozostałych z Szeregu Dziewięciu. – Nie określiła na głos pozycji Trana w Szeregu. Jednak dźwięk jego imienia wywołał kolejne poruszenie.

Skinęła dłonią na Łabędzia.

– To jest Wierzba Łabędź, od bardzo dawna towarzysz Kompanii. Wierzba, przedstawiam ci Tran Huu Nana i pozostałych sześciu z Szeregu Dziewięciu. – Tran stanowi w Hsien popularny patronimik. Wśród Dziewięciu jest paru Tranów, żaden z nich nie jest spokrewniony z innym.

Następnym imieniem, jakie wymieniła po przedstawieniu Wierzbę Łabędzia, było Tran Huu Nang. Zaczynałem się powoli zastanawiać, w jaki sposób potrafią się odróżniać. Może wagowo. Kilku członków Szeregu miało po parę ładnych zbytecznych kilo ciała.

Kiedy Ospała wymieniła imię ostatniego Trana z Szeregu, Trana Lan-Ana, przemawiający w ich imieniu Pierwszy przerwał jej, prosząc o przerwę na naradę. Ospała skłoniła głowę, oszczędzając mu dalszych prowokacji. Wiedzieliśmy, że był to Fam Thi Li z Gu Fi, znakomity generał cieszący się dobrą sławą wśród swych żołnierzy, wyznawca idei zjednoczonego Hsien, ale na tyle stary, żeby utracić już wolę walki. Ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy Ospała dała mu znać, że jego imię również nie jest tajemnicą.

– Kiedy już znajdziemy się na równinie, po cóż mielibyśmy wracać z powrotem do Hsien? – oznajmiła. Jakby był to jakiś cenny sekret, który od zawsze tuliliśmy do serca. Każdy szpieg w naszym obozie mógł donieść, że chcemy po prostu wrócić do domu. – Jak Niueng Bao, którzy uciekli do naszego świata, my również przybyliśmy tutaj, ponieważ nie mieliśmy wyboru. – Dodż nie zgodziłby się z jej oceną historii Niueng Bao, obojętnie jak krótko by ją streścić. W jego oczach przodkowie imigranci stanowili zbieraninę awanturników podobną do niegdysiejszych braci z Czarnej Kompanii, którzy wyruszyli z Khatowaru. – Jesteśmy już silni. Gotowi wracać do domu. Nasi wrogowie zbledną ze strachu, porażeni wieścią o naszym przybyciu.

Nawet przez moment w to nie uwierzyłem. Duszołap będzie uszczęśliwiona na nasz widok. Nic tak nie uwalnia od znużenia codziennym

kołowrotem jak porządna awantura. Bycie wszechmocną władczynią potrafi uczynić życie naprawdę mało zabawnym. U szczytu potęgi swego mrocznego imperium jej siostra również dokonała tego odkrycia. Zarządzanie głupstwami jest beznadziejnie wyczerpujące.

Pani znienawidziła to do tego stopnia, by odejść. Ale teraz tęskni.

– Brakuje nam tylko wiedzy potrzebnej do naprawy Bramy Cienia, aby naszego świata nie zalała Gromada Nieodkupionych Zmarłych – rzekła Ospała.

Nasi rzecznicy nigdy nie zaniedbali podniesienia tej kwestii. Pozostawała ona wiodącym motywem każdej deklaracji naszych celów. Postanowiliśmy zmęczyć Dziewięciu. W końcu ustąpią, aby nie musieć wysłuchiwać tego dłużej. Niemniej paranoicznie reagowali na myśl o najmniejszym nawet ryzyku inwazji z innego świata.

Jeśli byli upartymi dupkami, mogli próbować nas przetrzymać, w nadziei, że zrezygnujemy, wrócimy do domu i pozwolimy Bramie Cienia rozpaść się za naszymi plecami. To oznaczałoby definitywny kres zagrożenia.

Potęga Szeregu zasadza się na anonimowości jego członków. Kiedy jacyś wojownicy-władcy zejdą się razem, aby snuć swe knowania, ich zapędy hamuje możliwość, że wśród nich jest jeden z Dziewięciu. Szereg podaje do publicznej wiadomości każdy spisek, jaki uda mu się wykryć, tym samym rzucając jego członków na pożarcie pozostałym wojownikom-władcom, niedopuszczonym do udziału w nim. Jest to system dosyć niezgrabny, jednak od pokoleń ograniczał konflikty, utrudniając wykuwanie aliansów.

Ospała mogła zdekspirować Szereg. Gdyby jego członkowie zostali zdradzeni, natychmiast nastalby chaos. Niewielu wojownikom-władcom podoba się dławienie ich ambicji, chociaż chętnie narzuciliby wszelkiego rodzaju ograniczenia pozostałym niegodziwcom.

Nieznani nie lubią jednak, gdy się ich szantażuje. Ci, których imiona zostały ujawnione, wkrótce rozżalili się do tego stopnia, że stary mnich musiał wkroczyć między stronnictwa, przypominając, gdzie się znajdujemy.

Jako stary żołnierz przystąpiłem natychmiast do pobieżnego przeglądu naszych zdolności bojowych, na wypadek gdyby któryś z wojowników-władców okazał się na tyle tępy, by czegoś spróbować. Nie spodobało mi się to, co odkryłem. Nasza najcenniejsza broń gdzieś zniknęła.

Dokąd poszła Sziki? Gdzie ona się podziała? Dlaczego?

Powiniennem baczniej obserwować otoczenie. Przeoczenie tak poważne mogło okazać się fatalne w skutkach.

Jeden z zamaskowanych wojowników-władców poderwał się z fotela. Wydał z siebie krótki krzyk i zaczął otrzępywać siedzenie. Zagapiliśmy się na niego. Zapadła cisza. Tamten jakoś zdołał się opanować. W ciszy zadźwięczał przytłumiony, wysoki śmiech. Coś bzyczącego, z diamentowymi skrzydłami skoczyło zbyt szybko, by można było je dostrzec. Wyleciało z pomieszczenia, nim ktokolwiek zdążył zareagować.

Sahra zauważyła:

– Większość istot z Ukrytej Dziedziny podąży za nami, jeśli odejdziemy. Być może wystarczająco wiele, by Hsien przestało być Krainą Nerozpoznanych Cieni.

Mistrz Santaraksita mruzczał jej coś do ucha. To zirytowało wojowników-władców, podobnie jak i starego rozjemcę. Mnich był szczególnie niezadowolony z faktu, iż to właśnie kobiety tkają te aluzyjne groźby. Niemniej zachowywał ostrożność. Kompania najwyraźniej zmieniła taktykę. To było przerażające. Czy obcy zaczęli tracić cierpliwość? Całe Hsien trawi lęk przed tygrysem śpiącym w Siedlisku Kruków. A my podsycanie tych lęków uczyniliśmy swym celem.

Kiedy znowu rozejrzałem się dookoła, Szikandini była już na miejscu. Jak?...

Przyjrzałem się jej, spodziewając się ujrzeć jakieś diabelstwo w postawie lub wyrazie twarzy. Nie znalazłem nic. Dzieciak był niewzruszony niczym kamień.

Sahra gestem nakazała Santaraksicie odejść. Podreptał do Ospalej i potem również jej zamruczał coś do ucha. Ospala skinęła głową, ale nic więcej nie zrobiła. Stary uczoney zaczął wyglądać na bliskiego paniki.

Zniknięcie Sziki i jej ponowne pojawienie się rozproszyło resztki wątpliwości, że coś się dzieje. W każdym razie resztki wątpliwości byłego Kapitana. Byłego Kapitana, którego o niczym wcześniej nie poinformowano.

Panie realizowały właśnie jedną ze swoich intryg. I dlatego chciały zabrać Sziki ze sobą. Ta zaś wprowadzała do rozgrywki przerażającą różnorodność broni. A mnie zdołały przekonać, że po prostu potrzebują możliwości odwołania się do magii, gdyby ktoś nie potrafił opanować

niemiłych odruchów, co zdarzało się aż nazbyt często w naszym towarzystwie.

Radisza i Prabrindrah Drah po dziś dzień oplakują swe zdradzieckie porywy.

– Ten interes był znacznie bardziej zabawny, kiedy to ja knułem intrygi i obnosiłem się z tajemniczą miną – odezwałem się do Łabędzia.

Pierwszy z Szeregu rzekł:

– Czy zrobi nam pani tę grzeczność i wyjdzie na chwilę, Kapitanie? Ambasadorze? Wierzę, że porozumienie może być w zasięgu ręki.

Kiedy czekaliśmy w antykamerze, Łabędź zapytał:

– Dlaczego w ogóle kłopotał się proszeniem nas o opuszczenie komnaty? Po tym, co się stało? Czy on naprawdę myśli, że nie dowiemy się, co zaszło w środku? – Kątem oka mogłem dostrzec rozmaite poruszenia. Pręgi cieni pełzały po ścianach do chwili, gdy próbowałem na nie spojrzeć. Wtedy, rzecz jasna, nie było widać nic.

– Być może nie zrozumiał w pełni wszystkich implikacji. – Podobnie jak faktu, że coś będzie podsłuchiwać każde słowo przezeń wypowiedziane, póki Kompania nie opuści Krainy Nierozpoznanych Cieni. Odtąd każda intryga, którą będzie próbował zrealizować, zmieni się w próżny wysiłek.

– Idziemy – powiedziała Ospą. – Dalej. Konował, Łabędź, przestańcie mieć ozorami i ruszajcie.

– Dokąd mamy ruszać? – zapytałem.

– Na dół. Do domu. Ruszamy.

– Ale... – Nie tego oczekiwałem. Dobra sztuczka Czarnej Kompanii kończy się nawałą ognia i krwawą łaźnią.

Ospą warknęła. To był odgłos czysto zwierzęcy.

– Jeśli już mam być Kapitanem, to będę Kapitanem. Nie pozwolę na żadne pytania, dyskusje ani nie będę prosić starej gwardii o wstępną aprobatę moich decyzji. Idziemy.

Miała rację. Za moich czasów również kilka razy tak się zachowałem. Należało dać przykład.

Poszedłem.

– Powodzenia – rzuciła Ospą na pożegnanie Sahrze. Ruszyła w kierunku najbliższej klatki schodowej. Powędrowałem za nią. Zapewne lepiej wyćwiczeni przez poprzednika Ospą, pozostali już tuptali

grzecznie po tych starożytnych schodach. Na miejscu zostali tylko Sahra i Mistrz Santaraksita, aczkolwiek Sziki jeszcze na moment zabawiła z Sahrą, jakby chciała ją uściskać na do widzenia.

– Ciekawe – zauważyła Ospała. – Jest tak dobrym naśladowcą, że czasami całkowicie utożsamia się z rolą.

Mówiła do siebie, nie do Kapitana-emeryta. Jemu żadne wyjaśnienia nie były potrzebne. Wcześniej widywał już takie rzeczy. Panie zdobędą jednak wszystkie informacje, których nam potrzeba. Santaraksita namierzył je, oznaczył i teraz nasi ludzie właśnie je gromadzili. Tobo był zupełnie gdzie indziej, ciężko pracował. Jeden z jego przyjaciół-duchów udawał Szikandini.

Co w sumie oznaczało, że Ospała była znacznie lepiej przygotowana do kampanii, niżli przypuszczałem.

Tyle się traci, leżąc do góry brzuchem.

Widmowe istoty w kątach poruszały się niestrudzenie. Na krawędzi mego pola widzenia trwała nerwowa krzątanina. I jak zawsze, gdy patrzyłem prosto, niczego nie byłem w stanie dojrzeć.

Niemniej...

Kang Fi zostało zdobyte. Niezwyciężona forteca mądrości padła, a jej obrońcy nawet o tym nie wiedzieli. Być może nigdy się nie dowiedzą – zakładając, że prawdziwa Szikandini z powodzeniem zakończy rzeczywistą misję zleconą Tobo przez Ospałą i Sahrę.

Trudno sobie wyobrazić, że można porządnie się zadyszeć, schodząc na dół. Mnie to się udało. Schody ciągnęły się w nieskończoność, z pozoru znacznie dłuższe niż podczas drogi pod górę, pokonanej w bardziej leniwym tempie. Powoli zaczynały chwytać mnie kurcze. Idące z tyłu Sahra i Ospała od razu zaczęły śmiać się, szydzić i naciskać na mnie, jakby nie były prawie równie wiekowe.

Przez większość czasu zastanawiałem się, co też mnie podkusiło, by tu przybyć. Byłem już za stary na te gierki. Kroniki nie muszą przecież odnotowywać wszystkich najdrobniejszych szczegółów. Mogłem je prowadzić na sposób Jednookiego: „Udali się do Kang Fi i zdobyli tam wszelką wiedzę, której potrzebowaliśmy do naprawienia Bram Cienia”.

Nad nami jakiś dzwon zaśpiewał głębkim głosem. Nikt nie miał dość tchu, żeby to wyjaśnić, ale żadne wyjaśnienia nie były konieczne. Bito na alarm.

Nasz błąd?

A niby czyj? Chociaż nietrudno wyobrazić sobie scenariusz, w którym to Szereg Dziewięciu podjął próbę załatwienia trustu mózgow Kompanii.

Nieważne. Powtarzałem sobie, że w Kang Fi obowiązuje zakaz noszenia broni. Że mnisi nienawidzą przemocy. Że zawsze najpierw ulegali sile, a potem uwodzili ją rozumem i mądrością.

Tak... To musi zabrać trochę czasu.

Jednak nie bardzo odzyskałem ducha. Zbyt długo zadawałem się z takimi facetami jak ja sam.

Powietrze zaczęło szeptać i szeleścić, jakby powiał lekki wiatr w porze spadających liści. Dźwięk ten miał swe źródło w mglistych ciemnościach, daleko pod naszymi stopami. Wznosił się ku nam, potem ogarnął nas i umilkł, zanim na dobre zdołałem się wystraszyć. Odniosłem przelotne wrażenie, jakby mijaly mnie dwuwymiarowe, czarne, przezroczyste kształty, którym towarzyszyło tchnienie chłodu i woń zastarzałej pleśni – a potem jesień odeszła, zmierzając ku przygodom czekającym daleko w górze.

Miejscami schody biegły w zewnętrznym licu Kang Fi. W ścianach ziały otwory okien, a z każdego z nich roztaczał się wspaniały widok na szarą mgłę. W szarości tej poruszały się kształty, zawsze nieokreślone. Niepotrzebny był mi jednak żaden szczególnie wyraźny widok, żebym wiedział, iż nie mam zamiaru zawierać bliższej znajomości z niczym, czemu nie przeszkadza trzysta metrów mokrego powietrza pod łapkami.

Kilka razy widziałem Szikandini dryfującą w dół lub unoszącą się w górę pośród mgły. Raz zobaczyła, że jej się przyglądam. Zatrzymała się, uśmiechnęła i pomachała w delikatnym geście trzema szczupłymi palcami.

Prawdziwemu Tobo nie brakowało żadnych palców.

Kogo jednak nie widziałem podczas naszego zejścia, to bodaj jednego przedstawiciela wspólnoty zamieszkującej Kang Fi. Zapewne kiedy akurat przechodziliśmy, każdy miał coś ważnego do załatwienia.

– Jak daleko jeszcze? – wydyszałem, myśląc, że zrzućcie wagi podczas rekonwalescencji było dobrym pomysłem.

Nikt mi nie odpowiedział. Nikt nie chciał marnować oddechu.

Okazało się, że kres drogi jest znacznie dalej, niż miałem nadzieję. Tak jest zawsze, gdy się ucieka.

Kiedy zataczając się, wybiegliśmy z niestrzeżonej Niższej Bramy, dziesięciopalca Szikandini czekała już na nas przy koniach wraz z resztą ekipy. Zwierzęta i eskorta gotowi byli do drogi. Wszystko, co powinniśmy zrobić, to wsiadać i ruszać.

Tobo nie zrezygnuje z roli Sziki, póki nie dotrzemy do domu. Dzieci Zmarłych nie muszą wiedzieć, kto jest kim.

– Sri Santaraksita nie chciał iść – zwrócił się do matki.

– Nie przypuszczałam, że zechce. W porządku. Wykonał swoje zadanie. Będzie tu szczęśliwszy po naszym odejściu.

Ospała zgodziła się.

– Znalazł swój raj.

– Wybaczcie mi – rzekłem resztką tchu. Potrzebowałem trzech prób i podparcia ze strony pomocnej eskorty, żeby znaleźć się w siodle. – Czego właśnie dokonaliśmy?

– Popełniliśmy kradzież – poinformowała mnie Ospala. – Weszliśmy do środka, udając, że mamy zamiar po raz kolejny zaapelować do Szeregu Dziewięciu. Potem wyprowadziliśmy ich z równowagi, wymieniając imiona kilku, toteż o niczym innym nie potrafili myśleć, kiedy kradliśmy książki zawierające informację potrzebną, by bezpiecznie wrócić do domu.

– Wciąż jeszcze nie wiedzą – powiedział Tobo. – Dalej patrzą w inną stronę. Ale to nie potrwa długo. Sobowtóry, które zostawiłem za nami, wkrótce się rozsypią. One nie potrafią długo skoncentrować się na wyznaczonym zadaniu.

– Przestańcie więc kłapać dziobami i jazda – warknęła Ospala. Przekląłem ją. Ta kobieta była przez piętnaście lat kronikarzem. Powinna mieć większe zrozumienie dla potrzeb historii pisanej.

Otoczająca nas mgła zdawała się poruszać razem z nami, była nienaturalnie gęsta. To prawdopodobnie dzieło Tobo. Gdzieś w niej przemykały kształty, ale najwyraźniej nie zbliżały się. Tak sądziłem, póki nie zerknąłem za siebie.

Kang Fi już zniknęło. Mogło znajdować się w odległości tysiąca kilometrów albo w ogóle nie istnieć. Zastąpiły je istoty, których raczej wolałbym nie widzieć, włączywszy w to kilka Czarnych Ogarów, wielkich niczym kuce, z wysokimi, masywnymi kłębami, nadającymi im sylwetki przywodzące na myśl hieny. Przez moment, kiedy zaczynały tracić barwy, a granice ich kształtów rozpląwały się, dostrzegłem większą jeszcze bestię

z łbem lamparta, ale zieloną, mającą we mgle między nimi. Kocica Sith. Ona również wkrótce rozmyła się poza rzeczywistość, z drzeniem przypominającym niezwykle gwałtowne falowanie rozgrzanego powietrza nad ogniem. Jako ostatni zniknął błysk jej obnażonych kłów.

Z pomocą Tobo my również wyparowaliśmy w przestrzeni krajobrazu.

16

Pustkowiec: DZIECI NOCY

Narajan Singh zwolnił uścisk na *rumel*, potem poświęcił zabójczą szarfę Dusicieli. Jego ręce zmieniły się w dwa obolałe, artretyczne szpony. Łzy wypełniały oczy. Był zadowolony, że panująca ciemność skrywa je przed wzrokiem dziewczyny.

– Nigdy jeszcze nie zabiłem zwierzęcia – szepnął, odsuwając się od stygnącej padliny psa.

Córka Nocy nie odpowiedziała. Musiała być całkowicie skoncentrowana, by przy pomocy niewyćwiczonego talentu zmylić poszukujące ich sowy i nietoperze. Polowanie trwało od miesięcy. Rzesze nawróconych zostały schwytane. Reszta rozproszyła się sposobem uświęconym przez czas. Zbiorą się znowu, kiedy myśliwi stracą ducha do pościgu. Zresztą samym myśliwym już od dawna brakowało motywacji. Tym razem jednak Wiedźma z Taglios najwyraźniej postanowiła założyć kaganiec Córce Nocy i żyjącemu świętemu Oszustów za wszelką cenę.

Dziewczyna rozluźniła się, westchnęła.

– Myślę, że odeszli na południe. – W jej głosie nie znać było wszak najmniejszego triumfu.

– To powinien być ostatni pies. – Narajan również nie czuł się dumny z osiągnięcia. Wyciągnął dłoń, dotknął lekko ramienia dziewczyny. Nie strząsnęła jego ręki. – Nigdy wcześniej nie używali psów. – Był zmęczony. Zmęczony uciekaniem, zmęczony bólem.

– Co się stało, Narajan? Co się zmieniło? Dlaczego moja matka nie zwraca na mnie uwagi? Zrobiłam wszystko jak trzeba. A wciąż nie potrafię wyczuć jej obecności.

Może już nie ma jej wśród nas, podpowiedziała heretycka część umysłu Singha.

– Może nie jest w stanie. Miała wrogów tak pośród bogów, jak i ludzi. Jeden z nich mógł...

Dłoń dziewczyny zamknęła mu usta. Wstrzymał oddech. Niektóre sowy miały słuch dostatecznie czuły, by usłyszeć jego rzeźenie... gdyby przyłapały dziewczynę w chwili nieuwagi.

Dłoń cofnęła się.

– Odleciała. W jaki sposób możemy nawiązać z nią kontakt, Narajan?

– Sam chciałbym wiedzieć, dziecko. Chciałbym wiedzieć. Jestem wykończony. Potrzebuję kogoś, kto powie mi, co robić. Kiedy byłaś mała, myślałem, że mając tyle lat co teraz, będziesz królową świata. Że będziemy mieli już za sobą Rok Czaszek i triumf Kiny, a ja będę korzystał z zapłaty za mą nieugiętą wiarę.

– Nie zaczynaj. Ty również.

– Zaczynaj?

– Chwiał się. Wątpić. Potrzebuję ciebie, jesteś moją opoką. Zawsze, kiedy wszystko rozpadało się w pył w mych dłoniach, pozostawała granitowa opoka taty Narajana.

Choć raz nie miał wrażenia, że nim manipuluje.

Przytulili się do siebie, więźniowie rozpaczy. Noc, niegdyś domena Kiny, teraz należała do Protektorki i jej pachołków. Jednak rozumieli konieczność wędrowania pod osłoną mroku. Za dnia byliby zbyt łatwo rozpoznawalni, ona przez swą najbledszą z bladych karnację, on przez swe cielesne kalectwo. Nagroda za ich schwytanie była wysoka, a wiejska ludność nieodmiennie biedna.

Trasa ich ucieczki prowadziła na południe, w kierunku niezamieszkanego pustkowi rozciągającego się u północnej podstawy Danda Presz. W chwili obecnej zaludnione tereny były dla nich zbyt niebezpieczne. Wszystkich mieli przeciwko sobie. Istniały jednak niewielkie szanse, że pustkowie okażą się bardziej przyjazne – na rozległej przestrzeni myśliwym może być łatwiej ich wysledzić.

– Może powinniśmy udać się na wygnanie, póki Protektorka o nas nie zapomni – myślał głośno Narajan. Całkiem możliwe, że tak by się stało. Targające nią namiętności były wściekle intensywne, ale nigdy nie trwały długo.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Patrzyła w gwiazdy, może szukając znaku. Propozycja była absurdalna i oboje o tym wiedzieli. Zostali namaszczeni przez boginię. Musieli wykonać jej dzieło. Ich los musiał się wypełnić, jakkolwiek nieszczęsna byłaby droga przeznaczenia. Muszą sprowadzić na ziemię Rok Czaszek, niezależnie od cierpień, jakich zaznają sami. Raj znajdował się po drugiej stronie krainy nieszczęścia.

– Narajan, patrz. Niebo na południu.

Stary Oszust uniósł wzrok. Natychmiast dostrzegł, o co jej chodziło. Fragment nieba na południu, bardzo nisko, marszczył się i drżał. Kiedy proces ustał, przez pół minuty lśniły na nim obce konstelacje.

– Pętla – szepnął. – To niemożliwe.

– Co?

– Konstelacja zwana Pętlą. Nie powinniśmy być w stanie jej zobaczyć. – Przynajmniej nie z tego świata. Wiedział o tej konstelacji tylko dlatego, że była ona przedmiotem ożywionych dyskusji w czasie, kiedy był więźniem Czarnej Kompanii. Miała jakiś związek z równiną lśniącego kamienia, pod którą spoczywała uwięziona Kina. – Może to nasz znak. – Był gotów chwycić się każdej brzytwy. Wyprostował swą umęczoną postać, wsunął kulę pod pachę. – A więc na południe. Tam będziemy mogli wędrować za dnia, gdyż nikt nas nie zobaczy.

– Nie mam już siły dłużej wędrować, Narajan – odparła dziewczyna, ale również wstała. I szli dalej, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, ponieważ tylko pozostając w ruchu, mogli uniknąć zła, które sprzyściło się, żeby nie dopełnił się ich święty los.

Z oddali dobiegło wołanie sowy. Singh zignorował je. Po raz tysięczny chyba zastanawiał się nad odmianą losu, która spadła na nich tak nagle, po tym jak przez kilka lat wszystko szło gładko. Cały jego żywot wyglądał tak samo – jeden kaprys losu za drugim. Jeśli tylko wytrwa przy strzępach swej wiary, jeśli się nie podda, wkrótce znowu fortuna się doń uśmiechnie. Był żyjącym świętym. Próby i doświadczenia, jakich mu nie oszczędzono, winny być mierzone stosownie do tej rangi.

Ale był tak zmęczony. I tak bardzo go bolało.

Próbował nie zastanawiać się dłużej, dlaczego w świecie nie da się wyczuć nawet śladu obecności Kiny. Próbował skoncentrować całą swą wolę na pokonaniu następnych bolesnych stu metrów. Odniósłszy to drobne zwycięstwo, mógł skupić się na pokonaniu następnej setki.

Kraina Nierozpoznanych Cieni:
SIEDLISKO KRUKÓW

Dziesięć dni zabrało Tobo nauczenie się wszystkiego, czego potrzebowałeś, by zostać mistrzem majsterkowania przy Bramie Cienia. W naszych oczach te dziesięć dni zdawało się trwać znacznie dłużej, ponieważ Szereg Dziewięciu, sprzeciwiając się wyraźnym życzeniom Starszych z Kang Fi i władców z Trybunału Wszech Czasów, wydał bulę, w której nazwał Czarną Kompanię wrogiem Dzieci Zmarłych. Zachęcała ona wszystkich wojowników-władców do koncentracji sił i wyruszenia przeciwko nam.

To jednak nieprędko miało nastąpić nam jakichkolwiek kłopotów. Wojownicy-władcy, którzy byli naszymi sąsiadami, wiedzieli o nas zbyt wiele, by próbować czegokolwiek. Ci zaś, którzy znajdowali się dalej, woleli poczekać, aż ktoś inny zacznie. Większość nawet nie kłopotowała się ogłoszeniem zaciągu swych wojsk. A nadto, co charakterystyczne dla Hsien, strumień ochotników, pieniędzy i materiałów, czyniących z nas jeszcze większe zagrożenie nie osłabł nawet na chwilę.

Czternaście dni po naszym powrocie z Kang Fi Tobo ukończył pracę przy Bramie Cienia wychodzącej na Hsien. Mimo nadciągających czarnych chmur Ospała nie spieszyła się. Sahra zapewniała ją, że miną miesiące, nim ktokolwiek zdecyduje się wyruszyć przeciw nam – jeśli w ogóle to nastąpi. Utrzymywała, iż niemożliwe jest, aby wojownicy-władcy szybciej osiągnęli porozumienie i zdecydowanie wzięli się do dzieła. Nie ma się co spieszyć. Pośpiech rodzi błędy. A widma błędów powracają nieustannie.

– Zawsze, gdy wykonasz dobrą robotę, możesz być pewny, że przyjdzie ci za nią jeszcze zapłacić – poinformowałem Sjuwrina. Chłopak z Ziemi Cienia właśnie dowiedział się o swym najnowszym zaszczytnym zadaniu:

miał pokonać lśniąca równinę, aby przeprowadzić zwiad i naprawić naszą rodzimą Bramę Cienia. Natychmiast po tym, jak Tobo go wyuczy. Tobo sam nie pojedzie, ponieważ nie chce rozstawać się ze swymi ulubieńcami. Kierowany najniższymi egoistycznymi pobudkami, zapytałem:

– Jak z twoją umiejętnością pisania?

Patrzył na mnie przez kilka sekund oczyma wielkimi, brązowymi i okrągłymi, które wзираły z wielkiej, okrągłej i smagłej twarzy.

– Podoba mi się w Kompanii. Ale nie planuję spędzić w niej całego życia. Jest to pouczające doświadczenie, w sensie szkoleniowym. Nie mam jednak zamiaru zostać księciem najemników.

Zaskoczył mnie, po dwakroć. Nigdy jeszcze nie słyszałem, by ktoś w ten sposób patrzył na czas służby w Kompanii, chociaż wielu od początku zaciągało się z zamiarem dezercji, gdy tylko zostawią za sobą kłopoty leżące u podstaw ich decyzji. Nigdy też nie miałem do czynienia z nikim, kto tak szybko zrozumiałby, co może oznaczać, na dłuższą metę, propozycja zostania czeladnikiem kronikarza.

Służba w charakterze kronikarza może stanowić pierwszy krok na drodze do zostania Kapitanem.

Po większej części naigrawałem się z niego, jednak Ospala dużo myślała o Sjuwrinie. W jej uszach ta propozycja mogła nie zabrzmieć jak żart.

– Baw się dobrze po drugiej stronie. I uważaj. Nigdy dosyć ostrożności, kiedy w grę wchodzi Duszołap. – I tak ciągnąłem przez czas jakiś. Jego cierpliwa, pozbawiona wyrazu twarz i szkliste oczy świadczyły o tym, że już wcześniej to słyszał. Zrezygnowałem. – I usłyszysz to jeszcze tysiąc razy, zanim odjedziesz. Stara prawdopodobnie zapisze ci to wszystko na zwoju pergaminu, zmusi do zabrania ze sobą i odczytywania każdego ranka.

Sjuwrin zmusił się do słabego, nieszczerzego uśmiechu.

– Stara?

– Pomyślałem sobie, że spróbuję, czy się przyjmie. Mam wrażenie, że nie bardzo działa.

– Chyba nie bardzo.

Nie oczekiwałem, że ścieżki moje i Sjuwrina skrzyżują się jeszcze choć raz po tej stronie równiny. Nie miałem racji. Kilka minut po tym, jak się rozstaliśmy, przyszło mi do głowy, że może powinienem uczestniczyć w szkoleniu dotyczącym Bramy Cienia.

Przyszło mi też do głowy, że powinienem zapytać Kapitan o pozwolenie.
Jednak jakoś oparłem się pokusie.

Pani również zdecydowała, że dobrze będzie poszerzyć swą wiedzę.

Kraina Nierozpoznanych Cieni:
NA POŁUDNIE

Na stokach przeciwległych do tych, na których stała Placówka, zapłonęły ogniska. Te paskudne małe skalne wyniosły się. Stada kruków rosły w siłę. Słyszałem gdzieś, jak nazywano je amatorami rzezi. Szereg Dziewięciu sformował jakieś nedorobione wojsko znacznie szybciej, aniżeli nasza skonsternowana minister spraw zagranicznych uważała za możliwe.

– Wreszcie – powiedziałem do Murgena, kiedy zasiedliśmy razem nad niedawno gdzieś wygrzebanym dzbanem mózgojeba. – Za Jednookiego. – Ten towar po prostu nieustannie gdzieś wypływał. Robiliśmy wszystko co w naszej mocy, aby zagwarantować, że nie wpadnie w ręce żołnierzy. Łatwo mógłby spowodować rozluźnienie dyscypliny. – Twoja staruszka mówiła, że zapewne nie spróbują niczego wcześniej niż w przyszłym roku, jeśli w ogóle.

Rzecz jasna, pochód wrogich sił nie stanowił dla nas zaskoczenia. To było niemożliwe w sytuacji, gdy Tobo kierował wywiadem.

– Za Jednookiego. Wiadomo nie od dzisiaj, że zdarza jej się pomylić, Kapitanie. – Język już zaczynał się mu plątać. Nie miał mocnej głowy. – Aczkolwiek nieczęsto.

– Nieczęsto.

Murgen uniósł swój kubek w toaście.

– Za Jednookiego. – Potem pokręcił głową. – Naprawdę kocham tę kobietę, Kapitanie.

– Mhm. – Ho, ho. Miejmy nadzieję, że mi się tu zaraz nie rozklei. Ale rozumiałem, na czym polega jego problem. Postarzała się. My spędziliśmy piętnaście lat w stazie, nie posuwając się w latach. Drobną premia od

bogów za nieprzyjemne niespodzianki w ciągu całego życia. Może. Ale Sahra, która znaczyła dla Murgena więcej niż życie, która była matką ich syna, nie znalazła się wśród Zniewolonych.

Co okazało się dla nas zbawienne, ponieważ poświęciła wszystko, by uwolnić Murgena. I odniosła sukces. Przy okazji uwolniła mnie, Panią oraz resztę. Ale Sahra dojrzała, zmieniła się i postarzała o więcej niż te piętnaście lat. A ich syn dorósł. I nawet teraz, cztery lata po naszym wskrzeszeniu, Murgen wciąż nie potrafił do tego przywyknąć.

– Da się z tym jakoś żyć – poinformowałem go. – Błogosław Jednookiego. Wyrzuc to wszystko z głowy. Żyj chwilą. Nie wspominaj tego, co było kiedyś. Tak robię ja sam. – W kategoriach empirycznych moja żona była starożytnym dziwadłem już całe wieki przedtem, zanim się urodziłem. – Byłeś duchem, który krążył wokół niej i dzielił jej życie, mimo iż nie mógł jej dotknąć. – Ja żyłem w otoczeniu dziesięciu tysięcy duchów z przeszłości mojej żony, z których tylko nieliczne odkrywałem w rozmowie. Ona po prostu nie lubiła gadać o swych złotych czasach.

Murgen chrząknął, wymamrotał coś na temat Jednookiego. Miał kłopoty ze zrozumieniem mych słów, mimo że wyrażałem się z nadzwyczajną precyzją.

– Nigdy nie byłeś wielkim pijakiem, co, Kapitanie? – zapytał.

– Nie. Ale zawsze byłem dobrym żołnierzem. Zawsze robiłem to, co trzeba było zrobić.

– Łapię.

Oczywiście siedzieliśmy na dworze, obserwując spadające gwiazdy i konstelacje ognisk wyznaczające obozowisko wroga. Tych ognisk wydawało się cholernie dużo. Więcej niż wynikałoby z doniesień o liczebności sił. Jakiś geniusz wojowników-władców bawił się z nami.

– Nie odważą się przyjść po nas – powiedział Murgen. – Po prostu będą tam tak siedzieć. To wszystko ma działać na korzyść Dziewięciu. Ot, kuglarski pokaz.

Pobłogosławiłem Jednookiego i pociągnąłem następny łyk, zastanawiając się, czy Murgen powtarza przypuszczenie żony, czy syna. Przekrzywiłem głowę, aby lepiej widzieć lewym okiem. W nocy widzę słabo, nawet gdy jestem trzeźwy.

– Nie sądzę, abyś był w stanie wyobrazić sobie strach, jaki tam teraz panuje – rzekł Murgen. – Chłopak każdej nocy robi coś, by ich dodatkowo

sterroryzować. Jak dotąd uszczerbku nie poniosła nawet jedna wesz na ich głowach, ale nie są głupi. Zrozumieli wiadomość.

Wyobraźmy sobie Czarne Ogary, które każdej nocy biegają po obozie, wyżerają z kotłów, może jeszcze szczają do nich, a oprócz tego dziesiątki mniejszych stworków, wyciągających śledzie z namiotów, wznecających pożary, kradnących buty i skarby, a nietrudno zrozumieć, jakie mogą mieć kłopoty z morale. Żołnierze nie uwierzą w historie, którymi będzie się ich pocieszać, niezależnie od tego, jak inteligentnie byłyby skonstruowane.

– Cała sprawa polega na tym, że jeśli dowództwo zdecyduje, że będzie wojna, to wtedy przyjdą. – Wiedziałem. Byłem z Kompanią od zawsze. Widziałem ludzi walczących w warunkach skrajnie niesprzyjających. Wszakże, muszę przyznać, widywałem też ludzi tracących ducha, mimo iż warunki zdawały się idealne. – Za Jednookiego. On był większą częścią tego kleju, który trzymał nas razem.

– Jednooki. Wiesz, że Czwarty Batalion wyrusza w górę dziś w nocy?

– W górę?

– Na równinę. Prawdopodobnie właśnie odchodzą.

– Niemożliwe, żeby Sjuwrin miał już Bramę gotową.

Murgen wzruszył ramionami.

– Mówię po prostu, co słyszałem. Sahra mówiła to Tobo. Ona dowiedziała się od Ospalej.

I znowu kronikarza nie uwzględniono podczas układania planów i podejmowania decyzji. Kronikarz był zirytowany. W poprzednim życiu zdobyłem sporo doświadczenia w planowaniu kampanii i dowodzeniu wielkimi zgrupowaniami niebezpiecznych ludzi. Kronikarz wciąż mógł się przydać.

W nagłym przebłysku olśnienia zrozumiałem, dlaczego odsunięto mnie na bok. To przez tego stwora, który zabił Jednookiego. Zemsta na nim była dla Ospalej nieistotna. Nie chciała marnować czasu i środków na całą sprawę. Zwłaszcza czasu, który musiałaby poświęcać na wyklócanie się ze mną i tymi, którzy myśleli tak jak ja.

– Może lepiej zrezygnować z pomszczenia Jednookiego – zadumałem się.

Murgenowi nie przeszkodziła niespodziewana zmiana tematu. I tak znacznie uważniej wsłuchiwał się w głos własnej duszy.

– Co ty mówisz? To trzeba zrobić – odrzekł jednak.

A więc zgadzał się ze mną. Przyszło mi do głowy, że przecież znał Jednookiego dłużej niżli ktokolwiek prócz mnie. Czasami wciąż myślałem o nim jak o nowym dzieciaku, ponieważ był jednym z ostatnich, którzy zaciągnęli się do nas, gdy jeszcze służyliśmy u Pani, w tym innym świecie, tak daleko stąd i tak dawno temu, że bywały chwile, kiedy omalże nie rozklejałem się z nostalgii za starymi złymi czasami.

– Jeszcze jeden za Jednookiego. I chcę wiedzieć, kiedy wreszcie na moim koncie zaczną odkładać się jakieś stare dobre czasy.

– Już tam są, Kapitanie. Rozsiane tu i tam. Po prostu nie rzucają się w oczy.

Pamiętałem jedną czy dwie dobre chwile. Ale takie wspomnienia tylko skłaniały mnie do zastanawiania się nad tym, jak mogłoby być. Nad Pierdu Pierdu. A kiedy łączę mocne destylaty z myślami o mojej córce, za każdym razem rozklejam się beznadziejnie. I tych łzawych nastrojów jest coraz więcej, w miarę jak staję się starszy.

– Masz jakieś pojęcie, na czym polega strategia Ospalej? – zapytałem. Z pewnością jakąś ma. Intrygi i planowanie są rzekomo jej najmocniejszą stroną. W końcu dzięki czemuś była w stanie przechytrzyć Radiszę i moją szwagierkę.

– Zielonego. Więcej wiedziałem, gdy byłem duchem.

– Nie opuszczasz już ciała?

– Zostałem uleczony. Przynajmniej w tym świecie.

Niedobrze, jak się należało obawiać. Luźne związki Murgena z ciałem stanowiły od lat najpotężniejszą broń Kompanii. Co zrobimy, kiedy stracimy wiedzę o miejscach, w których nas nie ma?

Tak łatwo jest dać się rozpuścić.

Coś zaświergotało w ciemnościach. Przez chwilę zdawało mi się, że się ze mnie wyśmiewa. Potem jednak noc nad doliną przecięła wielka kula ognista. Niewidzialna istota bawiła się kosztem żołnierzy po drugiej stronie.

– Ten dzban jest już pusty – stwierdziłem z rozczarowaniem, odchylając głowę i wlewając do ust ostatnie krople. – Pójdę zobaczyć, czy w tym samym miejscu nie da się skombinować następnej kolejki.

Lśniący Kamień:
WYŚLIZGNAĆ SIĘ

Dodż lekko skinął głową, kiedy Pani i ja mijaliśmy jego dom. Gdy minutę później zerknąłem przez ramię, był już na ulicy z garstką swych akolitów. Miał przy sobie miecz, Spopielającą Różdżkę. W oddali przed nami kroczył Tai Dei, szwagier i strażnik osobisty Murgena. On również był uzbrojony. Skoro on wyruszał, Murgen pewnie nie postąpi inaczej.

Uważnie obserwowałem teren za sobą. Trzeba było to zrobić, zanim Ospala się zorientuje. Zanim zabroni nam oficjalnie. Nie mogłem przecież sprzeciwić się wyraźnym rozkazom.

Wraz z Sahrą znajdowały się w dolinie. Tran Huu Nhang przybył jako parlamentariusz. Miałem przecucie, że Szereg Dziewięciu postanowił jednak stawić czoło rzeczywistości. Nigdy nie przyznają tego otwarcie, ale ich armia została pokonana, zanim uczyniła choć krok na polu bitwy. Jej szeregi topniały. Prości żołnierze mieli dość nieustannego zainteresowania ze strony Nierozpoznanych Cieni.

Wszystko to mogłoby wydawać się raczej zabawne – chyba że było się jednym z Dziewięciu, zdecydowanym dać świadectwo reputacji Szeregu, albo krukiem pełnym nadziei na nabranie ciała. Zabawne, lecz wygodne. Byłem już zmęczony oczekiwaniem na szansę wyslizgnięcia się. Moje pragnienie wyrównania rachunków z bestią Bomarsz stało się ostatnimi czasy dojmujące, chociaż skrywałem je dobrze. Podobnie jak wiele innych obsesji, z którymi również się nie zdradzałem.

Oficjalnie Jedenasty Batalion miał zluzować strażę przy Bramie Cienia. W rzeczywistości po nastaniu zmroku wyruszy przez Bramę ku fortecy leżącej w sercu równiny. Moja ekipa znajdzie się tam znacznie wcześniej,

poruszając się tak szybko, by Ospała nie miała szans nas złapać. Tobo zatrze nasze ślady.

Dałem znak, mając nadzieję, że zostanie zauważony, i brnąłem dalej. Należało działać szybko. Ospała jest kompetentną wiedźmą. Jeśli istnieje jakikolwiek sposób, by mi przeszkodzić, być może już go odkryła.

Wszystko wskazywało jednak, że w tej sprawie dobrowolnie usunęła się na bok. Jednooki miał więcej przyjaciół po śmierci niż za życia.

Tobo czekał przy Bramie Cienia. A przecież miał nie spuszczać z oka matki oraz z Kapitana. Zanim jednak zdążyłem otworzyć usta, poinformował mnie:

– Nic im nie grozi. Spotkanie jest częścią intrygi Dziewięciu, która pozwoli im zachować twarz. Zrozumieli, że to, co zrobili, było głupie. Będzie mnóstwo ceremonii, ale nikt nie przyzna się do niczego, najpewniej nawet do tego, że sprowadzono tu całą armię w złych zamiarach, a zanim rzecz dobiegnie końca, mama otrzyma bullę gwarantującą Kompanii swobodny dostęp do Bramy Cienia i możliwość wykorzystywania jej sekretów. – Wyszczrzył zęby jak podniecony dzieciak. – Nie sądzę, żeby Dziewięciu sypiało dobrze ostatnimi czasy.

– A co ty tu robisz?

– Mam tu rodzinę, no nie?

Rzeczywiście miał. Musiałem być chyba zupełnie rozkojarzony.

– Ruszamy, ludzie. – Licząc Niueng Bao, starych żołnierzy Kompanii, moją żonę i kogo tam jeszcze, posiadałem ledwie czterdziestu ludzi do towarzysztwa w pościgu. Jak dotąd. Jeśli sprawa się przeciągnie, może nie będę w stanie zatrzymać wszystkich.

– Rozbijcie obóz w pierwszym kręgu. Nawet gdyby wam się zdało, że przed zmierzchem zdołacie pokonać jeszcze spory szmat drogi – rzucił Tobo na pożegnanie. A do Pani powiedział: – To ważne. Pilnuj go. Pierwszy krąg. Żebym mógł was dogonić, kiedy już się wydostanę.

– Hej, Konował, jeśli staniesz dokładnie w tym miejscu i spojrzysz kątem oka, zobaczysz Nef. W samym słońcu! – zawołał Wierzba Łabędź.

Sam znajdował się już po przeciwnej stronie Bramy Cienia Hsien. Jego głos dobiegał jakby z oddali, stłumiony.

Zaprezentowałem mu najlepszą z mych marsowych min.

– Nie zapominaj o prawie równiny. – Sziwetja mógł być naszym sprzymierzeńcem i duszą równiny, ale żyła na niej groza, nad którą nawet

on nie miał kontroli. Nieodkupieni Zmarli byli równie głodni życia jak zawsze. Tylko drogi i kręgi zapewniały bezpieczeństwo. Należało bardzo się pilnować, aby nie naruszyć ochronnych barier. Mistrzowskie zaklęcia w końcu je naprawią, jednak tego, który popełnił błąd, rezultaty już nie ucieszą. Wszystko, co zeń zostanie, to wysuszone truchło; wcześniej będzie umierał pośród wycia.

Ostatnimi czasy aktywność cieni jakby osłabła. Może Sziwetja znalazł sposób, by je kontrolować. Może nawet potrafił je niszczyć. Stanowiły późniejszy dodatek do równiny. Nie były mu potrzebne do niczego – z pewnością chętnie by się ich pozbył.

Byłoby to równie wspaniałe dla tych smutnych, lecz śmiertelnie groźnych potworów, jak i dla nas. W końcu dostąpiłyby wyzwolenia w śmierci. Wyzwolenia, które Sziwetja pojmował aż za dobrze, był to bowiem los, za którym sam tęsknił.

Zacząłem pokrzykiwać na ludzi.

– Biercie ten sprzęt i ruszamy! Gdzie są te muły? Myślałem, że wysłałem je w górę w zeszłym tygodniu. – Kiedy popiera cię chmara ludzi, można po cichu przemieścić spore wyposażenie.

– Uspokój się – powiedział Tobo. I faktycznie się uspokoiłem. Dzieciak mówił coś takiego do weterana. I miał rację. – Chodź tu. Pani, ty również. –

Zszedł z drogi, kierując się do miejsca, gdzie nieporządnie zbita drewniana skrzynka spoczywała ryzykownie na szczycie zwietrzałego głązu.

– Identyczna skała znajduje się po rodzimej stronie – powiedziałem. – Bunkier twojego ojca był dokładnie tam, gdzie rosną te krzaki. Co masz?

Skrzynka zawierała coś, co wyglądało jak cztery czarne, szklane cylindry, wysokie na trzydzieści i szerokie na pięć centymetrów, na jednym końcu wyposażone w metalowe uchwyty.

– To są klucze. Takie same jak Lanca Cierpienia. Będziecie ich potrzebować, żeby wejść i wyjść z równiny. Zrobiłem nowe. Nie jest to wcale takie trudne, jeśli zna się specyfikacje. Brzeszczot ma jeden klucz, Sjuwrin dwa. Kolejny jest na miejscu w tej Bramie. Wyjmiemy go, kiedy stąd odejdziemy. Dwa zabrali dowódcy batalionów, które już poszły na równinę. Wy też weźmiecie dwa ze sobą, tak na wszelki wypadek.

Podał mi jeden cylinder, drugi wręczył Pani. Mój wydawał się cięższy, niżli powinien być przedmiot tych rozmiarów. Uchwyt był ze srebra.

Po prostu wkłada się go w otwór w powierzchni równiny, tak? – zapytałem.

– Dokładnie. Pamiętasz wykłady o naprawach? – Zadając to pytanie, spojrział na Panią. Faktycznie byłem wówczas obecny w sali ciałem, jednak moja żona pojęła znacznie więcej odnośnie do natury samego procesu. Żeby można było liczyć na mnie w kwestii choćby najbardziej odległej związanej z czarami, sytuacja musi stać się naprawdę krytyczna.

Szereg mułów i ludzi przeszedł przez Bramę Cienia. Każdego sprawdzał sierżant, który musiał chyba spędzić lata kluczowe dla kształtowania charakteru w sztabie Ospalej. Najwyraźniej miał zamiar zapisać każdego człowieka, każde zwierzę, każdy miotacz kul ognistych i wszystkie główne elementy uzbrojenia tudzież ekwipunku. Niueng Bao, którzy w istocie nie należeli do Kompanii, byli dlań niegrzeczni. Podszedłem bliżej i też zachowałem się niegrzecznie.

– Sierżancie, przeszkadzacie w pracy. Odejdźcie albo poproszę Tobo, żeby poszczuł na was jednego z Czarnych Ogarów.

Stado znajdowało się niedaleko. Nikt oczywiście nie potrafił go zobaczyć, niemniej robiło mnóstwo hałasu, bo ogary wadziły się między sobą. Nie przerywały nawet na moment.

Moja groźba odniosła pożądany skutek. Miłośnik inwentaryzacji zniknął tak szybko, że powietrzeomal nie zaświstało. Z pewnością złoży oficjalną skargę. Ale ten postępek znajdzie się na poślednim miejscu listy wszystkich mych wykroczeń.

Tobo szedł w ślad za mną. Większość mej ekipy była już po drugiej stronie. Dzieciak uklonił się ojcu z oficjalną grzecznością. On i Murgen mieli wspólny problem. Żaden z nich nie wiedział, w jaki sposób zasypać przepaść, która rozwarła się między nimi, gdy Murgen pozostawał pogrzebany pod równiną przez większą część młodości chłopaka.

– Lepiej będzie, jeśli się pospieszycie. Mama właśnie się dowiedziała. – powiedział chłopak, zwracając się do mnie, ale dostatecznie głośno, by ojciec również usłyszał. – Nie powie ani słowa przez wzgląd na Gotę. Na razie. Ale kiedy usłyszy, że ojciec również bierze w tym udział, wścieknie się i pobiegnie prosto do Kapitana.

Obrzuciłem Murgena paskudnym spojrzeniem. Nie powiedziałaś swej staruszce, że wychodzisz z chłopakami, co? Skąd jednak Tobo wiedział, że Sahra właśnie wszystko odkryła?

Dzieciak pstryknął palcami, wykonał szereg gestów dłońmi, powiedział coś tajemniczego, najwyraźniej kierując swe słowa w pustą przestrzeń.

Para cieni mknęła wskroś stoku, pędząc ukosem z południowego zachodu. Kierowały się prosto na nas. Nie widziałem wokół siebie niczego, czym mógłbym je odpędzić. Po chwili jednak zupełnie niespodzianie poczułem uderzenia trzepoczących skrzydeł na twarzy, ciężar na ramionach i smocze z pozoru pazury próbujące wyrwać mięso z okolic moich obojczyków.

Kruki.

– Wyglądają jak kruki – powiedział Tobo. – Nigdy nie zapominaj, że nimi nie są.

Zadrzałem. Żyłem w otoczeniu tych stworów dekadę za dekadą, jednak z czasem nie stały się dla mnie wcale mniej przerażające.

– Na moją prośbę zgodziły się przyjąć tę postać. Będą twoimi uszami i oczami, kiedy przyjdzie ci obejść się bez mojej pomocy – poinformował mnie chłopak. – Nie posiadają strategicznego zasięgu, do jakiego przywykłeś, mając tatę, lecz potrafią spenetrować parę setek kilometrów bardzo szybko, co zapewni ci poważną przewagę taktyczną. Potrafią też przenosić wiadomości. Musisz upewnić się tylko, że zostały starannie sformułowane, jasno i bez dwuznaczności. Poza tym lepiej, żeby były w miarę krótkie. I musisz podać im dokładny adres oraz dokładne imiona. Musisz być nadto przekonany, że wiedzą, do kogo one należą.

Pokręciłem głową w lewo i w prawo, kątem oka dostrzegłem niewyraźne mgnienia. Było to trochę niepokojące – te dwa wielkie dzioby tak blisko twarzy. Oczy są pierwszą rzeczą, do której dobierają się na polu bitwy amatorzy rzezi.

Jeden ptak był czarny, drugi biały. Były większe od lokalnych gatunków kruków. A ten biały nie do końca potrafił sobie poradzić z wiernością przybranej postaci. Wyglądał tak, jakby jedno z jego rodziców było przestraszonym gołębiem, nie zaś krukiem.

– Jeśli okaże się, że nie dam rady was dogonić, a będziesz chciał nawiązać ze mną kontakt, wówczas łatwo mnie odnajdą.

Z pewnością musiałem wyglądać ponuro.

Tobo uśmiechnął się i dodał:

– Należy sądzić, że będą świetnie pasowały do twego kostiumu. Mama opowiadała mi, że kiedy za dawnych lat stawałeś się Pożeraczem Żywotów,

zawsze miałeś kruki na ramionach.

Westchnąłem.

– To były prawdziwe kruki. I należały do Duszołap. W owych czasach ja i mnie łączył pewien rodzaj nici porozumienia w rodzaju: wróg mojego wroga...

– Ale wzięłeś ze sobą zbroję Pożeracza Żywotów, prawda? I włócznie Jednookiego? Wiesz, że nie będziesz mógł wrócić po nic, czego zapomnisz?

– Tak, tak. Mam ją. – Efekciarska zbroja Pożeracza Żywotów nie była tą samą, którą nosiłem dziesiątki lat temu. Tamta zaginęła podczas wojen kiauluńskich toczonych przez Ospałą i Sahrę. Duszołap prawdopodobnie trzyma ją w swej komnacie trofeów. Obecna zbroja, chociaż zasadniczo pozbawiona bojowego przeznaczenia, pochodziła z najświetniejszych arsenałów Hsien i cechował ją zdecydowanie rodzimy koloryt. Czarna, lakierowana, chitynowa powierzchnia pyszniła się inkrustacją złotych i srebrnych symboli, które Hsien łączyli z czarami, złem i mrokiem. Niektóre stanowiły kopie skomplikowanych liter mocy, przypisywanych alfabetowi Władców Cienia. Pozostałe pochodziły z epoki, w której wymarły obecnie kościół Kiny wysyłał na krucjaty kolejne oddziały Oszustów. Wszystkie te znaki były przerażające, przynajmniej w tym świecie, gdzie ktoś wymyślił je po raz pierwszy.

Zrekonstruowana przez Panią zbroja Stwórcy Wdów była brzydsza od mojej. Wzory na jej powierzchni były mniej przejrzyste i znacznie bardziej zawile, ponieważ upierała się, by osobiście uczestniczyć w jej projektowaniu i tworzeniu. W jej myślach kłębiło się mnóstwo pajaków.

Nie miała żadnych udawanych amatorów rzezi. Wzięła tylko kilka niewielkich, ozdobnych, tekowych pudełek oraz cienki stosik kart dziwnego ryżowego papieru, stanowiącego ulubiony materiał piśmienniczy mnichów z Kang Fi.

– Musisz już jechać. Zadbam, żeby nie wysłały za tobą posłańca z rozkazem powrotu.

Mruknąłem coś niewyraźnie. Oprócz Wujka Dodża, który zatrzymał się, aby jeszcze przez chwilę poszeptać z Tobo, byłem ostatnim z mojej ekipy, który przekroczył Bramę Cienia Hsien. Pani ścisnęła mi dłoń, kiedy dołączyłem do niej po drugiej stronie. Powiedziała:

– Jesteśmy w drodze, kochany. Znowu. – Wyglądała na podnieconą.

– Znowu. – Nie potrafiłem sobie przypomnieć, bym kiedykolwiek odczuwał podniecenie, wyruszając w drogę.

– Chcesz, żeby od razu wznieść sztandar? – spytał Murgen.

– Dopiero kiedy będziemy na właściwej równinie. Tutaj jesteśmy renegatami. Nie możemy tego zrobić Ospałej. – I wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Gdyby udało się znaleźć odpowiedni materiał... moglibyśmy wznieść stary sztandar Kompanii. Z czasów, zanim jeszcze przyjęliśmy za swoją zionącą ogniem czaszkę Duszołap.

– Dobrze – pochwalił pomysł Dodż, przechodząc przez Bramę. – Oto szczypta mądrości.

Zacząłem wspinaczkę ku równinie, cokolwiek ogłuszony świadomością, że jestem jedynym żywym członkiem Kompanii, który pamięta, jak wyglądał nasz pierwotny sztandar. Robił wcale nie mniej ponure wrażenie niż aktualny, ale był bardziej ozdobny. Szkarłatne tło z dziewięcioma wisielcami w czerni i sześcioma żółtymi sztyletami w odpowiednio górnym lewym i dolnym prawym rogu, natomiast w górnym prawym rogu strzaskana czaszka, w dolnym lewym zaś ptak z otwartym dziobem siedzący na odciętej ludzkiej głowie. Mógł to być kruk. Albo orzeł.

W Kronikach nie było najmniejszej nawet wzmianki sugerującej, kiedy i dlaczego Kompania przyjęła taki sztandar.

Lśniący Kamień:
ETERYCZNE DROGI

Gwiazdy są dzisiaj inne – rzekł Wierzba Łabędź, leżąc na plecach i patrząc w niebo.

– Wszystko jest inne – odparł Murgen. – Znajdź mi Chłopczyka albo Oko Smoka.

Nie było księżyca. W Krainie Nierozpoznanych Cieni na niebie zawsze świeci któryś.

Niebo nad równiną jest... zmienne. Nie może pochwalić się tą samą konstelacją dwie noce z rzędu.

Pogoda zazwyczaj bywa łaskawa. Oczywiście jest zimno, jednak rzadko pada deszcz czy śnieg. Nie obawiałem się deszczu ani śniegu. Martwiła mnie pogoda cieni.

Szesnaście Bram Cienia zostało rozmieszczonych symetrycznie wokół obwodu równiny. Od każdej biegnie droga o barwie innej niż reszta powierzchni, ku centrum, gdzie bezimienna forteca wznosi się niby piasta koła wozu. Dotąd poznałem tylko dwie drogi. Jedna była ciemniejsza niż otaczająca równina, druga – nieco jaśniejsza. Wzdłuż szprych koła w blisko dziesięciokilometrowych odstępach znajdują się wielkie kręgi z budulca o stosownym odcieniu. Wykorzystuje się je jako teren pod obozowiska, chociaż pewnie nie taka była pierwotna funkcja. Równina zmieniła się przez wieki. Człowiek niczego nie potrafi zostawić w spokoju. Drogi stanowiły niegdyś eteryczne trasy między światami, teraz zaś po zachodzie słońca były jedynymi bezpiecznymi terenami. Kiedy zapada zmrok, zabójcze cienie opuszczają swe kryjówki. Połykając naprędce przyrządzoną kolację, obserwowaliśmy w kiepskim świetle żarzących się węgli dziesiątki czarnych plam na powierzchni niewidzialnej kopuły chroniącej nasz krąg.

– Pełzacze zagłady – wybełkotał Murgen z ustami pełnymi chleba, machając dłonią do najbliższego cienia. – Brzmi znacznie lepiej niż Gromada Nieodkupionych Zmarłych.

– W tym człowieku zniecka obudziło się poczucie humoru – oznajmił Kletus. – To mnie martwi.

Jego brat Loftus dodał:

– Strzeżcie się, ludzie. Biją na trwogę. Koniec Dni jest bliski.

– Chcesz powiedzieć, że kiepskie żarty mogą sprowadzić na ziemię Rok Czaszek?

– Gdyby miało tak być, bylibyśmy martwi już dwadzieścia lat temu – zauważyłem – a jedyną rzeczą, jaką mógłbyś tu oglądać, byłaby paskudna twarzyczka Kiny.

– Skoro już mowa o paskudztwach... – wtrąciła Pani.

Rozmieściliśmy się tak, by móc obserwować z metr powierzchni kręgu od miejsca, gdzie odchodziła droga zmierzająca do serca równiny. Klucz, który dał mi Tobo, osadziłem w gnieździe w kamieniu na styku kręgu i drogi. Każdy krąg dysponował takim gniazdem. Klucz zamykał drogę. Dzięki niemu cienie, które w innym miejscu zdołały się przedostać przez ochronne bariery, nas nie dopadną.

– Nef – stwierdził Murgen.

Wszyscy mogli dostrzec wyraźnie trzy istoty po drugiej stronie bariery. Były dwunogie, jednak ich głowy stanowiła lita masa brzydoty, o której inny kronikarz napisał, iż ma nadzieję, że są to maski. Potrafiłem pojąć dlaczego – aczkolwiek, widząc je, przeżywałem równocześnie intensywne wrażenie *déjà vu*. Może natknąłem się na nie w snach. Musiałem przecież mieć ich co najmniej kilka, podczas gdy leżałem pogrzebany.

– Ty znasz tych chłopaków, Murgen. Zobacz, może uda ci się z nimi porozmawiać – zaproponowałem.

– No. A jak już sobie pogadam, pofrunę prosto w słońce. – Nikomu jeszcze nie udało się porozumieć z Nef, aczkolwiek było jasne, że istoty te rozpaczliwe próbowały nam coś przekazać. Byliśmy jednak dla siebie tak obcy, że jakakolwiek komunikacja była niemożliwa.

– Musimy zastanowić się nad tym głębiej. Widzimy je na jawie. Nie śpimy, prawda? – Historycznie rzecz biorąc, Nef pojawiali się jedynie w snach. Dopiero w zeszłym roku strażnicy Bramy Cienia donieśli, że

mogą niekiedy dojrzeć ich kątem oka, tak samo, jak gdzie indziej żołnierze widywali ulubieńców Tobo.

Murgen ostrożnie zbliżył się do tamtych. Patrzyłem. Ale równocześnie nie spuszczałem oka z moich kruków. Przed nastaniem nocy trwały omalże pogrążone w letargu, całkowicie obojętne na świat zewnętrzny. Na widok cieni pojawiających się na barierze stały się niespokojne, wręcz agresywne. Syczały, kaszłały i wydawały z siebie szeregi całkowicie niekrucznych odgłosów. Z pewnością jakieś porozumienie musiało mieć miejsce, ponieważ cienie odpowiadały, chociaż najwyraźniej nie mówiły tego, co kruki chciały usłyszeć.

Nierozpoznane Cienie z Hsien łączą z Gromadą Nieodkupionych Zmarłych wspólni przodkowie.

– Wydaje mi się, że naprawdę rozumiem, co chcą mi powiedzieć – zdziwił się Murgen.

– Co jest? – Zauważyłem, że moja żona wpatruje się w Nef z uwagą. Czy ona również ich rozumie? Ale dotąd ani razu nie spotkała wędrowców w krainie snów. Chyba że kiedy my pozostawaliśmy pogrzebani, ona sama stała się kimś w tym rodzaju.

Musiało jednak chodzić o tę trójkę. Badali nas dostatecznie długo, by wyrozumować, jak nawiązać kontakt. Może.

– Nie chcą, żebyśmy zmierzali do centrum równiny. Mamy wybrać inną drogę – oznajmił Murgen.

– Opierając się na zapiskach z Kronik, powiedziałbym, że zawsze, od pierwszego razu, kiedy ktoś ich wyśnił, chcieli nas zmusić do odstąpienia od pierwotnego zamiaru. Po prostu nigdy nie byli w stanie jasno tego przekazać.

– Pewnie to o mnie chodziło – powiedział Murgen. – I, faktycznie, masz rację. Tylko nigdy nie pojąłem, czy po prostu chcą nam oszczędzić kłopotów, czy też mają jakieś własne plany. Najpewniej chodzi o jedno i drugie.

Z dzioba mojego kruka dobył się słabiutki syk. Ostrzeżenie. Obróciłem się. Dwa kroki za Murgenem pojawił się Wujek Dodź w pełnym rynsztunku bojowym; patrzył na Nef. Po minucie obserwacji ruszył w prawą stronę wzdłuż krawędzi kręgu; przystanął po pokonaniu niecałej ćwierci obwodu. Zaszurał nogami trochę w przód, trochę w tył, przykucnął, wyprostował się, wspiął na palce.

Wtedy Pani podeszła do niego. Sama sprawdziła widok pod różnymi kątami.

– Tam jest fantom drogi, Konował. – Wróciła na miejsce, wyciągnęła z juków klucz, który otrzymała od Tobo. Poszedłem z nią. Kiedy nikt nie patrzył, w kamiennej powierzchni pojawiło się gniazdo. Wcześniej z pewnością go nie było. Zanim rozbiliśmy obóz, obszedłem cały obwód, dokonując bardzo dokładnej inspekcji.

– Zgodnie z poleceniem chłopaka mam nie dopuścić, byś marnował czas, próbując go zaoszczędzić – rzekł Dodż.

– Murgen, wiesz coś o skrótach i bocznych drogach na równinie?

– Rzekomo mają istnieć. Ospała je widziała.

Wprawdzie dość niejasno, ale przypominałem sobie teraz co nieco z mojej własnej podróży przez równinę.

Pani chciała włożyć klucz. Odciągnąłem ją do tyłu.

– W porządku. Jeśli nie widzisz przeciwwskazań. Dodż, co myślisz? Jest bezpiecznie? – spytałem. Ze wszystkich naszych ludzi jemu było najbliżej do prawdziwego czarodzieja.

– Nie wyczuwam nic złego.

Nie była to szczególnie entuzjastyczna aprobata. Ale wystarczająca.

Pani włożyła klucz na miejsce. W ciągu paru chwil fantomowa droga stała się bardziej wyraźna, zaczęła promieniować rodzajem złotej poświaty, która jednak zniknęła, gdy wyteżyło się wzrok. Istoty siedzące mi na ramionach nie były szczególnie uszczęśliwione. Syczały, pluły, a w końcu wycofały się w najdalszy kraniec kręgu i wdały w sprzeczkę z czymś wielkim i mrocznym, co rozpląszczyło się na powierzchni ochronnej bariery.

– Myślę, że oni chcą wejść do wnętrza kręgu, Kapitanie. Myślę, że chcą dostać się na drugą stronę – stwierdził Murgen.

– No? – Boczna droga była już lepiej widoczna niż główna. Myślałem głośno: – Moglibyśmy pojechać na przełaj, prosto do pierwszego kręgu tuż pod Bramą Khatovaru. – Odwróciłem się i poszedłem zebrać ekwipunek.

Powstrzymał mnie Dodż.

– Nie przed świtem. Tobo powiedział ci, że mamy tu przeczekać noc.

Rozejrzałem się dookoła. Wyglądało na to, że gdyby nawet udało mi się zmusić kogoś do ruszenia się z miejsca dzisiejszej nocy, zostałbym radykalnie zniechęcany.

Khatovar był tam od wieków. Będzie i wtedy, gdy już wszędzie słońce. Moja sprawa z Lizą Delą Bomarsz sięgała znacznie głębiej w przeszłość niż moje zainteresowanie tym miejscem – mianowicie do miasta zwanego Jałowcem, do czasów, nim jeszcze zaprzyjaźniła się ze Schwytanym o imieniu Zmiennokształtny. Odsunięcie chwili wymierzenia sprawiedliwości o kilka godzin nie zachwieje posadami świata.

Westchnąłem i odłożyłem rzeczy. Wzruszyłem ramionami.

– Wobec tego po śniadaniu.

– Pozwólmy im przejść – powiedziała Pani.

– Nef? Żartujesz chyba?

– Dodż i ja poradzimy sobie z nimi.

Ciekawe, skąd ona bierze tę pewność siebie? Nie wiedziała na temat Nef niczego. Chyba że spotykała ich w swych snach.

Kazałem ludziom trzymać się z dala od potencjalnych kłopotów i dać tamtym wolne przejście.

– Wszyscy gotowi? Wobec tego, Murgen, wyciągnij klucz. – Ciekawe, czy równina mu pozwoli.

Dodż przesunął na przód pochwę ze Spopielającą Różdżką i obnażył ze dwadzieścia centymetrów ostrza.

Klucz wyszedł zgrabnie ze swego gniazda. Murgen aż się zatoczył. Nef wskoczyli w obszar kręgu. I pomknęli prosto ku bocznej drodze. Wpadli na nią, a żaden nawet się nie obejrzał.

– To z pewnością niesamowite – podsumował Wierzba Łabędź. Wędrowcy w krainie snu spieszyli się, jednak nikt nie potrafi zniknąć w oddali tak szybko. Nikt też, w normalnych okolicznościach, odchodząc, nie staje się przezroczysty. – Trafili od razu do krainy snów.

Zamyśliłem się.

– Sugerujesz, że trafiłbym do krainy snów, gdybym poszedł tą drogą? – Sama droga zaczęła też znikać powoli.

Nikt nie zaoponował. Dodż rzekł tylko:

– Tobo powiedział, żeby zostać na miejscu.

Środek nocy. Coś mnie obudziło. Miałem wrażenie lekkiego trzęsienia ziemi. Gwiazdy nad głową zatańczyły. Po kolejnym skoku uspokoiły się. Ale nie były to już te same gwiazdy, które świeciły, gdy udawałem się na spoczynek. Całe niebo było zupełnie inne.

– Tędy! – nalegał Dodż. Był ranek, wstaliśmy już, a on upierał się, żeby wrócić drogą, którą przyszlismy.

– Do fortecy idzie się w tę stronę.

– Nie zamierzamy dotrzeć do fortecy – przypomniała mi Pani. – Wybieramy się do Khatovaru.

– Który nie znajduje się na końcu drogi, którą przybyliśmy... nieprawdaż? – Tobo nie dogonił nas. Nie byłem tym szczególnie uszczęśliwiony.

– Możesz sprawdzić, Konował – zaproponował Wierzba Łabędź. – Nie zabierze to aż tak wiele czasu.

Byłem zmęczony kłótniami, zwłaszcza na oczach tłumu. Nie chciałem, by moje prawo do piastowania stanowiska dowódcy było jeszcze bardziej kwestionowane aniżeli dotąd. Serca nas wszystkich trawi wina. Moje szczególnie, ponieważ utożsamiałem się z mistyką Kompanii bardziej od innych.

– Skorzystam z rady Łabędzia. – Potem wskazywałem to na tego, to na tamtego, wybierając sobie towarzyszy. – Wy, chłopcy, pojedziecie ze mną. Ruszamy.

I tak rozpoczęliśmy wyścig starych przyków.

– Nie potrafię w to uwierzyć. – Nie potrafiłem. Żadną miarą. Moje oczy musiały kłamać.

Leżąc na krawędzi lśniącej równiny, patrzyłem w dół na kolejny pejzaż z topografią identyczną jak w Kiaulune oraz w Siedlisku Kruków. Ale tutaj nie było żadnego tętniącego życiem, odbudowującego się Kiaulune. Nie było ruin zamku Przeoczenie posiadającego ongiś wieże, z których Długi Cień mógł spoglądać na lśniącą równinę albo obserwować, jak się zbliżamy, niosąc mu zagładę. Nie było także białego miasta armii z równymi szeregami pól rozciągającymi się na stokach poniżej. Ta kraina była zdiczczą. Ta kraina była znacznie bardziej przygnębiająca od tamtych. Dzikie krzewy i karłowate drzewa podchodziły aż na kilka metrów pod koślawą Bramę Cienia. Ślady prac przy niej prowadzonych stanowiły jedyne oznaki ludzkiej działalności w zasięgu wzroku, ale i one świadczyły o opuszczeniu i zaniedbaniu.

– Nie wstawaj – doradził Dodż, kiedy już miałem zamiar się podnieść – byłbym doskonale widoczny na tle nieba. Sam wiedziałem, że nie należy wstawać. Ludziom, którzy wszystko wiedzą lepiej, zazwyczaj powinie się noga, gdy ten jeden jedyny raz się zapomną. Dlatego też wbijamy to do głów i wbijamy, i wbijamy. – W dżungli też mogą obserwować nas czyjeś czujne oczy.

– Masz rację. Omal nie zrobiłem głupoty. Ktoś chce zgadywać, jak stary jest ten las na dole? Powiedziałbym, że ma piętnaście, dwadzieścia lat, bliżej dwudziestu.

– A jaka to różnica? – zdziwił się Murgen.

– Forwalaka przekradła się przez tę Bramę Cienia jakieś dziewiętnaście lat temu. Udało jej się. Duszołap była zbyt zajęta grzebaniem naszych tyłków, aby ją ściagać, tylko cienie pognały za nią...

– Och. Tak. Kiedy się wydostała, nie wyszła sama.

– Tak podejrzewam. Cienie poszły za nią i przyniosły zagładę całemu obszarowi, jaki stąd widać.

Murgen mruknął coś pod nosem. Pani pokiwała głową, Dodż powtórzył jej gest. Pojęli.

Khatovar. Mój cel, od wieków. Moja obsesja. Zniszczony, ponieważ nie starczyło nam zdrowego rozsądku, aby poderżnąć gardło młodej kobiecie w innym czasie i w tak bardzo odległym miejscu.

Cnota miłosierdzia napisała dla mnie wielką, ponurą rolę w teatrze mej własnej rozpaczy.

Chociaż prawdą jest, że w owym czasie nie wydawało się to wcale tak istotne, a my sami byliśmy naprawdę zajęci zabieraniem stamtąd własnych tyłków w całości.

21

Taglios: WIELKI GENERAL

Mogaba odchylił głowę, uśmiechnął się.

– Wprost nie potrafię nie życzyć Narajanowi Singhowi dalszego szczęścia. – Rozluźniony, zadowolony, po raz pierwszy od lat cieszył się życiem. Protektorka bawiła na prowincji, folgując swej pasji do religijnych prześladowań. Tym samym nie mogła przebywać w pałacu i uprzykrzać życia tym, którzy aktualnie dzierżyli w dłoniach wodze dosiadanego tygrysa, a równocześnie próbowali podołać doczesnej pracy doglądania spraw rządowych.

Na wzmiankę o żyjącym świętym Aridata Singh drgnął. Nieznacznie, jednak nie umknęło to czujnym oczom Mogaby. I zdało mu się rzeczą dość niezwykłą. Inni Singhowie nie reagowali na to imię inaczej jak obowiązkowym przekleństwem. Należało to wyjaśnić.

– Jakież kłopoty? – zapytał.

– Spokój – odrzekł Aridata. – Kiedy tylko Protektorka wyjeżdża z miasta, a wraz z nią znikają absurdalne wymagania, wszystko zaczyna się układać właściwie. Ludzie są zbyt zajęci krzątaniem wokół własnych spraw, żeby coś innego chodziło im po głowach.

Gopal był nastrojony znacznie mniej optymistycznie. Szarzy każdego dnia patrolowali ulice i alejki.

– Coraz więcej graffiti pojawia się na murach. Głównie napisy: „Woda śpi”.

– I? – zapytał Generał. Jego głos był cichy, lecz pełen napięcia, oczy zwęziły się.

– Oprócz tego zwykle standardowe szyderstwa: „Wszystkie ich dni są policzone”. „Radzadharna”.

– I? – Mogaba wydawał się zmieniać osobowości na sposób Duszołap. Może małpował jej styl.

– I jeszcze to: „Mój brat nieodkupiony”.

Znowu te mocne oskarżenia. Zarzuty, które zawsze budziły z płytkiej drzemki tę część jego duszy, która czuła się winna zdrady Czarnej Kompanii w imię realizacji własnych ambicji. Nic dobrego z tego nie wynikło. Zmienił się w niewolnika dokonanego niegdyś wyboru. Jego kara polegała na tym, że przechodził z rąk jednego łotra w ręce drugiego – zawsze służąc niegodziwości – niczym nierządnicą od jednego mężczyzny do drugiego; był na równi pochyłej.

Aridata Singh, korzystając skwapliwie z okazji skierowania rozmowy na inne tory, jak najbardziej odległe od Narajana Singha i Oszustów, wtrącił:

– Jeden z moich oficerów doniósł, że wczoraj widział coś nowego: „Thi Kim nadchodzi”.

– Thi Kim? A co to miałoby być? Albo kto?

– To chyba w języku Niueng Bao – zauważył Gopal.

– Ostatnio nie widać za bardzo tych ludzi.

– Dokładnie od czasu, kiedy ktoś porwał Radiszę wprost z pałacu... –

Gopal urwał. Twarz Mogaby znowu zasnuł mrok, chociaż wina była po stronie Szarych, nie zaś armii. On w tym czasie przebywał na podbitych terytoriach.

– Cóż więc. Te same stare slogany. A przecież cała Kompania uciekła przez Bramę Cienia. I zginęła za nią, ponieważ nikt nie wrócił.

Gopal wiedział niewiele o świecie rozciągającym się poza wąskimi, brudnymi ulicami.

– Może niektórym się udało, a my po prostu nic na ten temat nie wiemy.

– Nie. Nie wydostali się. Usłyszeliśmy o tym. Protektorka ma tam swoich ludzi, którzy zbierają cienie od czasu, kiedy tamci odeszli. – Ludzi, których zwabiła na swą służbę fałszywymi obietnicami podzielenia się swą wiedzą i uczynienia dowódcami w wielkim, nieujawnianym przedsięwzięciu.

Żaden z tych współpracowników nie żył długo. Cienie były bystre i wytrwałe. Licznym udawało się wymknąć z rąk nowicjuszy na czas wystarczający, by zniszczyć swych dręczycieli, zanim je same spotka zagłada.

Duszołap dbała, by warunki sprzyjające katastrofie trwały nabrzmiałe.

Mogaba zamknął oczy, znowu odchylił głowę, zaplótł czarne palce.

– Miło, kiedy Protektorki nie ma w pobliżu. – Ostrożne sformułowanie takich myśli nie było rzeczą łatwą. Poczul, jak coś ściska go w gardle. Zdawało mu się, że na piersiach czuje wielki ciężar. Bał się. Duszołap go przerażała. I za to jej nienawidził. I za to też gardził samym sobą. Był Mogabą, Wielkim Generałem, najczystszym, najbystrzejszym, najsilniejszym z wojowników Nar, których wydało Gea-Xle. Strach miał być narzędziem, przy pomocy którego kierował słabymi. Nie powinien doświadczać go osobiście.

W głębi ducha powtarzał mantry wojowników, wiedząc, że nawyki wpajane mu od narodzin pozwolą stłumić obawę.

Gopal Singh miał naturę funkcjonariusza. Bardzo dobrze kierował Szarymi, jednak nie nadawał się na konspiratora. Była to jedna z cech, które zdecydowały o jego awansie. Nie wychwycił informacji ukrytej w stwierdzeniu Wielkiego Generała. Aridata natomiast był pod pewnymi względami równie naiwny jak przystojny. Pojął jednak, że Mogaba krąży wokół czegoś, co może się okazać wielkim przełomem w życiu ich wszystkich.

Poprzez jego naiwne rozumienie złożonych motywów powodujących innymi ludźmi oraz jego entuzjastycznego idealizmu Mogaba już wcześniej odwoływał się do godności urzędu Aridaty. Pewien był, że *radzadharm*a okaże się dźwignią, która go poruszy.

Ten rozejrzał się nerwowo dookoła. Znał stare powiedzenie, że w pałacu nawet ściany mają uszy.

Mogaba pochylił się naprzód, zapalił od lampy tanią łożową świeczkę, a potem przeniósł płomyk do kamiennej misy wypełnionej ciemnym płynem. Gopal nie rzekł nic, mimo że produkt pochodzenia zwierzęcego stanowił obrazę dla jego uczuć religijnych.

Zawartość misy okazała się palna, chociaż płonąc, dawała znacznie więcej nieprzyjemnego czarnego dymu niżli płomienia czy światła. Dym zakłębił się pod sufitem, potem powędrował wzdłuż ścian i wydostał się przez drzwi. Jego postępy znaczyły piski, trajkotanie oraz okazjonalne skargi niewidzialnych kruków.

– Na kilka minut, zanim dym się przerzedzi, będziemy musieli pewnie położyć się na podłodze – rzekł Mogaba.

– Naprawdę proponujesz to, co, jak sądzę, proponujesz? – wyszeptał Aridata.

– Mogą nie kierować tobą te same motywy co mną, ale sądzę, że wszyscy mielibyśmy się lepiej, gdyby Protektorka dłużej nie piastowała swego stanowiska – zamruczał w odpowiedzi. – Lepiej żyłoby się zwłaszcza ludowi Taglios. Co sądzicie?

Mogaba oczekiwał łatwej zgody Aridaty. Żołnierz wierzył w swe obowiązki wobec ludzi, którym służył. I rzeczywiście, tamten skinął głową.

Jego główne zmartwienie stanowił natomiast Gopal Singh. Ten nie miał żadnego wyraźnego powodu, by chcieć zmiany. Szarzy byli co do jednego wyznawcami religii Szadar, tradycyjnie pozbawionymi większych wpływów w rządzie. Ich przymierze z Protektorką dało im władzę niewspółmiernie dużą w stosunku do liczebności populacji.

Gopal rozejrzał się dookoła nerwowo, zupełnie nie zdając sobie sprawy z badawczego spojrzenia Mogaby. Potem wybuchnął, aczkolwiek szeptem:

– Ona musi odejść. Szarzy już od dawna tak uważają. Rok Czaszek nie mógłby się chyba okazać wiele straszniejszy niż to, co musieliśmy wycierpieć z rąk tej kobiety. Ale nie mamy pojęcia, jak się jej pozbyć. Jest zbyt potężna. I zbyt sprytna.

Mogaba rozluźnił się. A więc Szarzy jakoś nie byli urzeczeni swoim dobroczyńcą. Ciekawe. Świetnie.

– Ale nie pozbedziemy się jej nigdy. Ona wie, co myślą znajdujący się obok niej. A nigdy nie będziemy w stanie przestać się nad tym zastanawiać, gdyż będziemy zbyt przerażeni. Ona wywęszy wszystko w dziesięć sekund. Jesteśmy już żywymi trupami, tylko dlatego, że rozważaliśmy taką możliwość.

– Wobec tego natychmiast wywieźcie rodziny z miasta – polecił Mogaba. W zwyczaju Duszołap leżała eksterminacja wrogów do siódmego pokolenia. – Dużo nad tym myślałem. Sądzę, że jedyny sposób, żeby się udało, polega na przygotowaniu wszystkiego z góry i uderzeniu, zanim będzie miała szansę rozejrzeć się dookoła i czegokolwiek domyśleć. Możemy całą sprawę ułożyć tak, by dotarła tu wyczerpana. Dzięki temu zdobędziemy przewagę, której nam potrzeba.

Aridata myślał na głos:

– Cokolwiek to będzie, musi być nagłe, zmasowane i całkowicie zaskakujące.

– Zacznie coś podejrzewać – jęknął Gopal. – Zbyt wielu ludzi jest wobec niej lojalnych, ponieważ bez niej ich również czeka koniec. Ostrzegą ją.

– Nie, jeśli się nie zdradzimy. Jeśli tylko nasza trójka będzie wiedziała, co się dzieje. Jesteśmy dowódcami. Możemy wydawać takie rozkazy, jakie nam przyjdą do głowy. Nikt nie będzie ich kwestionować. Na ulicach szerzą się kłopoty i stają coraz gorsze. Ludzie będą oczekiwać, że coś z tym zrobimy. Wielu innych nienawidzi Protektorki. Poczują, że mogą swobodnie się burzyć, póki nie ma jej na miejscu. To stworzy pretekst do podjęcia takich działań, jakie okażą się konieczne. Jeśli będziemy się posługiwać głównie ludźmi, których lojalność wobec Protektorki pozostaje niekwestionowana, każąc im wykonywać większość roboty i przenosić wiadomości, nie ma powodu, by zaczęła coś podejrzewać, póki nie będzie za późno.

Gopal popatrzył na niego, jakby robił dobrą minę do złej gry. Może i tak było.

– Ja otworzyłem swe usta. Wydałem siebie w wasze ręce. I nie mam dokąd uciec – oznajmił Mogaba. To był ich kraj. Mogli zniknąć na podbitych terytoriach. On nie miał gdzie się schować. A od dwudziestu lat powrót do Gea-Xle pozostawał poza dyskusją. Nar w domu wiedzieli o wszystkim, co zrobił.

– Wobec tego każdego dnia musimy wykonywać naszą pracę tak, aby służyła jak najlepiej interesom Protektorki... – oznajmił z namysłem Aridata. – Póki nie zbudujemy pułapki na myszy, którą potem zatrzaśniemy. O tak. – Klasnął w dłonie.

– Będziemy mieć tylko jedną szansę – powiedział Mogaba. – W pięć sekund po niepowodzeniu zaczniemy modlić się o śmierć. – Odczekał chwilę, którą zabrało mu sprawdzenie stanu zasłony dymnej. Jej skuteczność była omalże na wyczerpaniu. – Wchodźcie w to?

Obaj Singhowie pokiwali głowami, jednak żaden nie zdradził szczególnego entuzjazmu. Prawdą było, że mieli niewielkie szanse cało wyjść z tej przygody.

Mogaba siedział w swej kwaterze, podziwiając pełnię księżyca. Zastanawiał się, czy wszystko nie poszło zbyt łatwo. Czy Singhowie naprawdę byli zainteresowani uwolnieniem Taglios od Protektorki? Czy też

tylko udawali, wyczuwając, że w tej konkretnej chwili on stanowi znacznie większe zagrożenie?

Jeśli nie przystąpili do spisku, prawdę pozna dopiero wtedy, kiedy Duszołap zatopi zęby w jego gardle.

Czekały go długie dni życia w niepewności i strachu.

22

Khatovar: INWAZJA

Łabędź zgłosił się na ochotnika, by zejść ze mną do Bramy Cienia. Zaoponowałem.

– Sądziłem, że wezmę moją najdroższą. Niewiele mamy okazji przebywania sam na sam. – Poza tym ona będzie miała dłoń pewniejszą ode mnie, gdy przyjdzie do pracy przy Bramie. Nawet ze szczytu zbrocza widać było, że wymaga naprawy.

Po przyjrzeniu się Bramie z bliższej odległości powiedziałem mej ukochanej:

– Przedzierają się, Bomarsz naprawdę narobiła sporo szkód.

– Cienie deptały jej po piętach. Wedle tego, co zgodnie ze słowami Ospalej, pokazał jej Sziwetja. Nie powiesz mi, że ty byś pamiętał o zasadach dobrego wychowania i nie trzaskał drzwiami, gdyby te stwory cię goniły.

– Nawet nie chcę o tym myśleć. Jesteśmy bezpieczni? Nikt nas nie obserwuje?

– Nie mam pojęcia.

– Co?

– Na równinie prawie nie dysponuję mocą. To najwyżej skromniutka setna część tego, co zwykle. Jednak pomiędzy Bramami Cienia równie dobrze mogłabym być głucha, ślepa i durna. Co najwyżej mogę poudawać.

– A więc Kina żyje?

– Zapewne. O ile nie czerpię z Sziwetji czy jakiejś innej szczątkowej a wszechobecnej mocy. Równina jest miejscem, po którym krąży mnóstwo rodzajów dziwnej energii. Sączą tu z rozmaitych światów.

– Ale wierzysz, że znowu upuszczasz krew Kinie. Nieprawdaż?

– Jeśli tak jest, to nie można powiedzieć, by zwyczajnie drzemała. To jest śpiączka.

– Tam!

– Gdzie tam?

– Wydawało mi się, że widziałem, jak coś się rusza.

– To tylko wiatr poruszał gałęzią.

– Tak sądzisz? Nie mam ochoty niepotrzebnie ryzykować.

Sarkastyczna wiedźma odrzekła:

– Ty będziesz stał na straży. Ja popracuję nad Bramą.

Czy rzeczywiście pracowała, nie potrafiłem powiedzieć. W każdym razie miotła się znacznie mniej, niż zrobiłbym to ja.

Przeszliśmy na drugą stronę. Do Khatowaru. W ogóle nie czułem, że oto znalazłem się w raj. Nie czułem się tak, jakbym właśnie wrócił do domu. Czułem rozczarowanie, którego oczekiwałem niemalże od momentu, gdy zdałem sobie sprawę, że żądę znalezienia Khatowaru narzucono mi z zewnątrz. Brama Khadi stanowiła beznadziejne pustkowie.

Klet i Loftus zaczęli rozbijać obóz na tyle blisko Bramy Cienia, by w razie konieczności móc przeprowadzić szybki odwrót. Ja wciąż przy samej Bramie, przyglądając się światu, który zrodził Czarną Kompanię.

Zdecydowane rozczarowanie. Którego zresztą oczekiwałem. Może większe.

Coś sprawiło, że włosy zjeżyły mi się na głowie. Odwróciłem się. Nie dostrzegłem nic, ale miałem mgliste wrażenie, że coś właśnie przeszło przez Bramę.

Kątem oka pochwyciłem ruch. Coś ciemnego. Kształt równocześnie wielki i paskudny.

Jeden z Czarnych Ogarów.

Wrażenie minęło. A potem powróciło znowu.

Może Tobo mimo wszystko szedł za nami.

Ciemniejszy z moich dwu kruków przysiadł na pobliskim gładzie. Po szeregu syknięć, nieskierowanych pod niczym szczególnie adresem, przekrzywił głowę, łypnął w moją stronę żółtym okiem i powiedział:

– W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie ma żadnych ludzkich siedzib. Ruiny miasta znajdują się pod drzewami u stóp skalnego występu

na północny wschód. Są ślady wskazujące na to, że ludzie od czasu do czasu je odwiedzają.

Zagapiłem się. Ten cholerny ptak był bardziej wymowny niż większość moich towarzyszy. Lecz zanim zdążyłem podjąć konwersację, znowu wzbił się w powietrze.

A więc w tym świecie żyli ludzie. Jednak ich najbliższe siedziby znajdowały się w odległości co najmniej trzech dni drogi.

Wystająca skała, o której wspominał ptak, w naszym świecie stanowiła fundament fortecy Przeoczenia. Ruiny najpewniej znajdowały się na tym samym miejscu co Kiaulune.

Kolejne dreszcze przebiegły mi po grzbiecie. Nierozpoznane Cienie kontynuowały swój przemarsz.

Zszedłem do obozu. Bracia inżynierowie byli dość już wiekowi, ale nadal sprawni. Już dało się w nim mieszkać – przynajmniej póki nie spadnie deszcz. A na deszcz się właśnie zanosilo. Było jasne, że tutaj często pada.

Ogniska płonęły. Ktoś ubił dziką świnie. Obracając się na rożnie, rozsiewała wokół niebiański zapach. Schronienia rosły. Warty wystawiono. Wujek Dodż sam mianował się sierżantem wartowników i teraz dokonywał obchodu czterech posterunków.

Zaczekałem, aż Murgen znajdzie sobie jakieś zajęcie, a potem skinieniem dłoni przywołałem Łabędzia i Panią.

– Zastanówmy się nad tym, co już wiemy. – Spojrzałem mojej żonie głęboko w oczy. Zrozumiała, co chciałem wiedzieć. Pokręciła głową.

W Khatovarze nie było żadnego źródła magicznej mocy, na którym mogłaby pasożytować.

– Nie oczekiwałem perłowych wież i rubinów walających się w złotych rynsztokach – zacząłem narzekać – ale to jest wręcz śmieszne. – Sprawdziłem, gdzie znajdują się Dodż i Murgen. Żadnego jeszcze nie zainteresowało nasze małe zebranie.

– Odarty z marzeń – wykrzywił się Łabędź, przechodząc wprost do kwestii kluczowej. – Tam jest cały świat. Prawie zupełnie pusty, jak się wydaje. Jak chcesz znaleźć w nim jednego szalonego potwora-mordercę?

– Zacząłem się nad tym zastanawiać, kiedy tak stałem i ogłądałem sobie wszystko. Myślałem między innymi o tym. I sądzę, że miałem objawienie zła.

Pani też zajmowała się w swoim czasie prowadzeniem Kronik, a potem starała się śledzić pracę swych następców. Pokręciła głową i powiedziała:

– W tym, co ona napisała, niewiele jest na ten temat.

Łabędź rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było w pobliżu.

– Ona nie zajmowała się pisaniem od czasu, gdy wróciłeś, prawda? – Jego głos stał się cichszy.

– Co to znaczy? – zapytałem w odpowiedzi.

– Przez całe lata Tobo i Sjuwrin oraz różni ich kolesie odwiedzili większość Bram Cienia. Bramę Khatovaru oglądali kilka razy.

– Skąd wiesz?

– Powęszyłem trochę. Słuchałem tam, gdzie nikt nie spodziewał się, że słucham. Wiem, że Sjuwrin i Tobo przybyli tu, kiedy leżałeś ranny. Tylko we dwójkę. A później, kiedy byliśmy w Kang Fi, Sjuwrin znowu tu przyjechał... sam.

– A więc mam rację. Daliśmy się wpuścić w maliny. Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś?

– Miało to związek z Khatovarem. Sądziłem, że stoisz za wszystkim, co się dzieje.

Z gardła Pani wydobył się odgłos przypominający ni to warknięcie, ni chichot – widomy znak, że ona również zrozumiała.

– To diabelska, mała wiedźma. Naprawdę tak myślisz?

– Czego nie rozumiem? – zapytał Łabędź.

Powiedziałem mu:

– Myślę, że dokonujemy tu właśnie najazdu na Khatovar nie dlatego, że jestem tak cholernie sprytny, ale ponieważ Ospała nie chciała, aby stare pierniki plątały się jej pod nogami, kiedy ruszy na nasz ojczysty świat. Założę się, że dokładnie w tej chwili maszerują tam wszystkie przeklęte siły. I żaden z nas nie zadaje jej pytań ani nie udziela rad, nikt też wreszcie nie robi nic na swój własny sposób.

Łabędziowi zabrakło chwili, zanim pojał. Przez następną chwilę przyglądał się ekipie, która wolała sprzeciwić się autorytetowi dowództwa i szukać pomsty na morderczyni Jednookiego. W końcu rzekł:

– Albo ona jest naprawdę sprytną, małą suką, albo my zbyt długo obracamy się w towarzystwie różnych chytrych ludzi i dostrzegamy manipulacje we wszystkim.

– Tobo wiedział – oznajmiłem. Musiał brać w tym udział. Pozwolił swemu ojcu i Wujkowi Dodżowi przyjechać tutaj... – Rozumiesz, jestem takim paranoikiem, że zamierzam wystawić wartę po tamtej stronie Bramy Cienia. I nakarmię ich kłamstwami o tym, że jakiś demon w przebraniu jednego z naszych ludzi może zechcieć sabotować Bramę, abyśmy nie mogli się wydostać z Khatovaru.

Ani Pani, ani Łabędź nie polemizowali.

– Jesteś paranoikiem – zauważył tylko Łabędź. – Sądysz, że Sahra puściłaby Ospałej płazem zostawienie Tai Deia, Murgena i Dodża zamkniętych tu w pułapce?

– Myślę, że to szalony świat. Uważam, że dzieje się w nim właściwie wszystko, co można sobie wyobrazić, nawet to, co najbardziej okrutne, najczarniejsze.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – dociekała Pani.

– Zamierzam zabić forwalakę.

– Murgen zauważył, że coś się dzieje – wtrącił Łabędź. – Idzie tu.

– Mam zamiar zagrać w tę grę. Tobo posłał naszym śladem garstkę swoich zwierzaczków. Zadbajmy o to, żeby nie mogły wyjść, póki im nie pozwolimy. Wykorzystamy je do znalezienia Bomarsz. A potem ją zabijemy.

Lśniący Kamień:
BEZIMIENNA FORTECA

Ospała dotarła do fortecy w sercu równiny tylko dlatego, że konsekwentnie nie pozwalała skierować się na żadną inną drogę. Pomocne skróty podsuwane przez Sziwetję nie odwiodą jej od sprawdzenia fundamentu, na jakim oparła swój plan podboju.

Istnieje jedna doczesna moc silniejsza od największej nawet magii. Chciwość. A Ospala posiadała źródło, z którego wylewało się to, czego chciwi pragną najbardziej: złoto. Nie wspominając już o srebrze, klejnotach i perłach.

Przez tysiące lat uchodźcy z rozmaitych światów kryli swe skarby w jaskiniach pod tronem Sziwetji. Któż wiedział dlaczego? Przypuszczalnie tylko sam golem. Ale on nie odsłaniał historii – chyba że służyło to jego sprawie. Miał umysł i duszę nieśmiertelnego pająka. Nie odczuwał żadnego żalu, żadnego współczucia, znał tylko swe zadanie i własną wolę położenia mu kresu. Był sprzymierzeńcem Kompanii, ale nie przyjacielem. Zniszczyłby ją w jednej sekundzie, gdyby miało to posłużyć ważniejszemu celowi, a on dysponował akurat taką mocą.

Ospała chciała w ten sposób zabezpieczyć sobie tyły.

Podeszła do Baladitji.

– Gdzie jest Brzeszczot?

Z ust uczonego popłynęły raporty z odkryć, których dokonał, odkąd zlecono mu tę misję. Ospala poczuła ukłucie winy. Sama pamiętała jeszcze radość, którą teraz próbował podzielić się Baladitja, ale było to tak dawno temu i tak daleko stąd. Jednak odpowiedzialność za tysiące ludzi, rozkład zajęć, który bardzo mało czasu przewidywał na sen, nie stwarzały wielu

okazji do zakosztowania prostych przyjemności. Przez to czasami pewnie mogła wydawać się oschła i niemła.

– Jest na dole. Ostatnimi czasy w ogóle nie wychodzi.

Zirytowana rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu kogoś dostatecznie młodego, by pogalopować półtora kilometra w głąb ziemi. Zobaczyła kłócących się Sahrę i Tobo. Niby nic szczególnego. Choć ostatnio nie zdarzało się często. Z drugiej jednak strony, sprzeczała się właściwie od czasu, gdy Tobo dojrzał.

Jeden z dzinnów Tobo potrafi dostać się na dół szybciej niżli najmłodsza para nóg.

– Tobo! – Skinęła nań Ospą.

Irytacja wykrzywiła twarz chłopaka. Bez przerwy ktoś czegoś od niego chciał.

Zareagował jednak i nie okazał nawet śladu buntu. Jego spokojna twarz nosząca ślady mieszane pochodzenia przybrała wyraz doskonałej obojętności. Ani postawa, ani nic innego nie zdradzało kryjących się w głowie myśli. Ospą rzadko kiedy miewała do czynienia z kimś równie nieodgadnionym. A on na dodatek był taki młody.

Stał, czekając, aż powie mu, o co chodzi.

– Brzeszczot jest gdzieś na dole. Wyślij jednego ze swoich posłańców, aby powiedział, że czekam na górze.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Nie mam tu nikogo. Wyjaśniałem to już wcześniej. Nierozpoznane Cienie nienawidzą równiny. Bardzo trudno zmusić je choćby do wejścia na nią. Większość, którą uda się namówić, nie chce mieć do czynienia z ludźmi. Ja ze swej strony też nie mam ochoty, by się z nimi zadawały. Za każdym razem wprawia je to w zły nastrój. Masz cały regiment ludzi snujących się dokoła. Któryś z pewnością nie ma nic do roboty.

Złośliwy niewierny. W okolicy fortecy musiało być ze dwustu nudzących się ludzi, którzy czekali, aby odprowadzić karawanę ze skarbami, a tymczasem nie robili nic pożytecznego.

– Zależało mi na kimś trochę szybszym. – Kiedy Kompania znajdowała się na nagiej równinie, nawet pośród pracujących cudów Sziwetji, mieli niewiele czasu do stracenia.

Od Sjuwrina również nie otrzymała dobrych wieści. Tobo powinien był pojechać z nim. Albo Dodż, albo Pani w ostateczności. Ktoś lepiej przygotowany do radzenia sobie z Nierozpoznanymi Cieniami. Powinien jednak przysłać choć słówko o tym, że uchwycił przyczółek.

– A więc lepiej sama zejdź na dół – stwierdził Baladitja. – Nie nadstawi ucha na głos nikogo o mniejszym autorytecie.

– Co? Dlaczego?

– Ponieważ słyszy nawołujące go głosy. Próbował wymyślić, jak udzielić im odpowiedzi.

– Do diaska! – Ospała wypluła z siebie coś, co jak na nią stanowiło stek naprawdę paskudnych przekleństw. – Ten kłótlivy, srutliwy mułojad! Zamierzam...

Tobo i Baladitja uśmiechnęli się. Zamknęła usta. Pamiętała czasy, kiedy towarzysze z Kompanii pozwoliliby jej ciągnąć dalej tylko po to, by przekonać się, jak długo uda się jej unikać zwyczajowych wulgaryzmów.

– Powinnam opisać was, ludzie, takich, jakcy rzeczywiście jesteście – mruknęła. – Nie ciebie, Baladitja. Ty jesteś prawdziwą istotą ludzką. – Popatrzyła gniewnie na Tobo. – W stosunku do ciebie zaczynam nabierać wątpliwości.

– Jak na niewierzącego – dodał uczony, mając na myśli siebie.

– Tak. No cóż. Więcej jest was, straconych dusz, niżli tych, którzy poznali Prawdę. Muszę być Bożym Światłem w Krainie Zgryzoty.

Baladitja zmarszczył brwi, potem zrozumiał. Wyśmiewała się ze swego religijnego nastawienia wobec tych, którzy nie podzielali jej wiary, wszystkich niewiernych, składających się na populację Krainy Zgryzoty, która, w epoce minionej, kiedy Vedna byli liczniejsi i bardziej entuzjastycznie nastawieni do ratowania niewiernych przed potępieniem, nosiła nazwę Domeny Wojny.

Tylko Wierni mieszkali w Domenie Pokoju.

– Tobo, nie próbuj uciekać – sapnęła. – Schodzisz na dół ze mną. Tylko na wypadek, gdyby on rzeczywiście słyszał głosy.

– Brzmi to dla mnie jak naprawdę dobry powód, żeby trzymać się z daleka.

– Tobo.

– Zaraz za tobą, Kapitanie. Żeby nikt nie skoczył ci na plecy.

Ospała warknęła. Nigdy nie przywykła do bezceremonialności i braku szacunku, chociaż stanowiły one trwałe elementy kultury Kompanii na długo przed jej nastaniem.

Żołnierze szydzili ze wszystkiego, klęli resztę. Jednak jakoś dawali radę z robotą.

Śpiesząc w stronę schodów wiodących na dół, zgarnęła jeszcze sześciu towarzyszy broni. Ją samą zdumiewały wyniki nieustannego reżimu szkoleniowego. Wielu tych, którzy zaciągnęli się do Kompanii, stanowiło szumowiny Krainy Nierozpoznanych Cieni – byli to kryminaliści i uciekinierzy spod szubienicy, bandyci i dezercerzy z sił wojowników-władców oraz głupcy, którym się wydawało, że tura odsłużona u Żołnierzy Ciemności będzie świetną przygodą. Schludni, silni i pełni wiary, teraz, po miesiącach intensywnego szkolenia, mieli okazję pokazać, co potrafią. Jednak dopiero szcęk stali tuż przy uchu wprawi ich we właściwy nastrój.

Podczas swej wędrówki Ospała minęła kilkunastu ludzi wciąż jeszcze wnoszących skarby na powierzchnię. Tobo za jej plecami zapytał:

– Pewna jesteś, że grabież grobów to nie grzech? Mamy już tego tyle, by uczynić bogatym cały tłum. – Fakt, którego nie zdradzano niektórym rekrutom o opinii co najmniej niepewnej. Jednak łatwo oprzeć się pokusie, kiedy wie się, że wyłącznie twój Kapitan może wydostać cię z równiny żywego oraz że Nierozpoznane Cienie będą ścigać cię bezlitośnie, jeśli spróbujesz czegokolwiek po tym, jak się oddzielił.

– Nie uda się nam pobić Protektorki przy pomocy ośmiu tysięcy ludzi, Tobo. Potrzebna nam jest tajna broń i środki wsparcia. Złoto zapewni jedno i drugie.

Czasami Tobo był niepokojony przez swego Kapitana. W którymś momencie, mając niezwykle dużo wolnego czasu, znalazła się zbyt blisko biblioteki ześrodkowanej wokół teorii wojskowości. Od czasu do czasu wypływała z siebie pojęcia takie jak: „strategiczny środek ciężkości” albo „środki wsparcia”, z reguły w chwili idealnej, by wywołać u rozmówcy niepokój i zatroskanie.

Chłopak martwił się, ponieważ najwyraźniej starszycy, weterani, Konował, Pani i reszta to aprobowali. Znaczyło to, że on po prostu nie rozumie, o co chodzi.

– Tutaj zatrzymamy się na chwilę – oznajmiła Ospała, gdy dotarli na poziom jaskiń, w których przebywali niegdyś Zniewoleni. – Wy, ludzie –

powiedziała do tych, których zmusiła do pójścia ze sobą: – Chcę, żeby czterej z was wydobyli paru śpiących na powierzchnię. Długiego Cienia i Wyjca. Wyjec pojedzie z nami. Z Tobo. Wydzielony oddział zawiezie Długiego Cienia do Hsien na proces. Pozostali dwaj. Zostajecie z nami.

Lodowe jaskinie wydawały się trwać poza czasem, niezmiennie. Szron prawie natychmiast pokrywał wszelkie ślady zostawione przez odwiedzających. Martwych nie sposób było odróżnić od zaczarowanych inaczej jak tylko drogą uważnych oględzin.

– Wam, ludzie, nie wolno wchodzić tam, póki nie zawołam – ciągnęła dalej Ospała. – Czasami wystarczy, że choćby dmuchniecie na kogoś, a człowiek już nie żyje. – Po dokładniejszym zbadaniu okazywało się, że takie rzeczy miały miejsce już wcześniej. Ciała, włączywszy w to kilku Zniewolonych, jak i garstkę tajemniczych starożytnych, których obecność Sziwetja musiał dopiero wyjaśnić.

Dużo było tego, co demon zatrzymał dla siebie.

Ospała zwróciła się do Tobo:

– Chcemy, żeby ci dwaj dotarli na górę, nie budząc się.

– Muszę rozerwać zaklęcie stazy. W przeciwnym razie umrą, gdy tylko ich dotkniemy.

– Zdaję sobie sprawę. Ale chcę, żeby znajdowali się w stanie niepozwalającym narobić żadnych kłopotów. Jeśli Długi Cień obudzi się po drodze, nie będzie nikogo, kto mógłby go kontrolować.

– Pozwól mi robić swoje.

Przewrażliwiony. Ospała stała między chłopcem a wejściem do jaskini, na wypadek gdyby ciekawość żołnierzy okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek. Dziwiło ją, jak szybko powłoka lodu zdążyła się zrosnąć, jak delikatne były niektóre pajęczce sieci mrozu spowijające starców. W pobliżu ciała Wyjca prawie już zniknęły ślady, które wcześniej zostawiły stopy ludzi uwalniających Zniewolonych. Dalej podłoga jaskini wznosiła się, sam tunel zaś zakręcał i zwężał się, uniemożliwiając wędrówkę w pozycji wyprostowanej. Idąc jeszcze dalej, docierało się do miejsca, gdzie podczas dawnych prześladowań ukryto najświętsze relikwie kultu Oszustów. Kompania zniszczyła je, przykładając się szczególnie do potężnych Ksiąg Zmarłych.

Kiedy ciała dwóch uspionych czarowników zostały już wyniesione na powierzchnię, Ospała stała przez jakiś czas w milczeniu. Potem ona, Tobo i dwóch młodych Kościanych Wojowników podjęli dalszą podróż do wnętrza ziemi. Ospałą nurtowały dwie kwestie. Pierwsza dotyczyła natury źródła bladego, błękitnego poblasku przesączającego się przez lód w jaskini starców, oświetlającego zgromadzonych tu ludzi, druga brzmiała: „Co stanowi środek ciężkości tagliańskiego imperium?” Ta druga interesowała ją znacznie bardziej. Pierwsza była tylko wytworem płóchej ciekawości. Nie miała znaczenia. Może było to światło innego świata.

– Duszołap – odparł Tobo. – Wręcz nie warto się nad tym zastanawiać. Jeśli zabijesz Protektorkę, będziesz miała do czynienia z wielkim węzem pozbawionym głowy. Radisza i Prabrindrah Drah ujawnią się, udowodnią zasadność swych roszczeń i po sprawie. – W jego ustach brzmiało to naprawdę prosto.

– Wyjawszy problem złapania Wielkiego Generała.

– I Narajana Singha. Oraz Córki Nocy. Jednak Protektorka stanowi jedyny problem, z którym nie poradzą sobie Czarne Ogary.

Ospałej nie umknęła pustka, jaka zabrzmiała w jego głosie, gdy wspomniał o Córce Nocy. Spotkała już tę wiedźmę, kiedy tamta była jeńcem Kompanii, przed ucieczką do Krainy Nierozpoznanych Cieni. Doskonale zdawała sobie sprawę z wpływu, jaki dziewczyna wywarła wówczas na jej towarzyszy.

Uwagi Kapitana umykało niewiele rzeczy. Nie zapominała o niczym. I rzadko kiedy się myliła.

Jednak rozegranie sprawy z weteranami tak, żeby sami usunęli się z drogi i nie zaglądali jej przez ramię, okazało się pierwszorzędnym błędem.

Znalazła Brzeczota stojącego sztywno przed frontem ściany czerni; z jego lewej dłoni zwisała lampa. Od razu rzuciło się w oczy, że spędził tu mnóstwo czasu. Puste pojemniki z paliwem wały się na schodach. Ich zawartość była przeznaczona pierwotnie dla Baladitji oraz zwiadowców wydobywających zgromadzone skarby.

Pani Kapitan była podenerwowana.

– Brzeczot? Co?...

Gestem nakazał milczenie.

– Posłuchajcie – szepnął.

– Czego?

– Po prostu posłuchajcie. – A kiedy Ospała nieomal już wyczerpała zapasy cierpliwości, dodał: – Tego.

Wtedy usłyszała wyraźnie, chociaż głos był odległy, słaby, z pogłosem. Wołanie:

– Pomocy!

Tobo również usłyszał. Aż podskoczył:

– Kapitanie...

– Wezwij swoją Kocicę Sith. Albo jednego z Czarnych Ogarów.

– Nie mogę tego zrobić. – Nie miał zamiaru jej powiedzieć, że sprzeciwił się literze rozkazu i wysłał większość Nierozpoznanych Cieni na pomoc Konowałowi oraz Pani.

– Dlaczego nie?

– Odmawiają zejścia tutaj na dół.

– Zmusz je.

– Nie mogę. To są sprzymierzeńcy, nie niewolnicy.

Ospała mruknęła pod nosem coś o przekleństwie i prowadzaniu się z demonami.

– Dalej niż do tego miejsca nie da się pójść – rzekł Brzeczot, odpowiadając na niezadane pytanie. – Próbowałem setki razy. W całej Kompanii nie ma tyle siły woli, żeby dać jeszcze jeden krok w dół. Nie jestem w stanie nawet rzucić tam którymś z tych dzbanów z oliwą.

Ospała zapytała:

– Masz tu jakieś pełne?

– Tam stoją.

Podniosła trzy. Dwa położyła u stóp Brzeczota.

– Odsuń się – nakazała. Przecież oliwy z rozbitych dzbanów z pewnością nie onieśmieli nadprzyrodzona ciemność. – Teraz podpal.

– Co?

– Zapal ją.

Z poważnymi oporami przechylił lampę i ulał kilka kropel płonącego płynu.

Klatka schodowa wybuchnęła płomieniem.

– Cholera! – pisnął Tobo. – Po co to zrobiliście?

– Widzisz teraz? – Ospała dłonią osłaniała oczy przed żarem.

Ciemność nie była w stanie zdławić płomieni.

– Dwa stopnie niżej znajduje się podest – powiedział Tobo. – Wszędzie leżą rozsypane monety.

Ospała opuściła dłoń. Przeszła obok Brzeszczota. Tobo poszedł za nią. Oglupiały Brzeszczot spróbował też dać krok. Zachwiał się. Nie natrafił na żaden opór.

Dlaczego znienacka zniknął?

Był pewien, że gdyby sam podłożył ogień, nie zdołałby uzyskać żadnego efektu.

– Kapitanie, zachowałbym skrajną ostrożność.

Ciemność czekała.

– Pomocy!

Głos był bardziej donośny i natarczywy. I na tyle wyraźny, żeby go rozpoznać.

Tobo powtórzył za Brzeszczotem.

– Kapitanie, naprawdę radziłbym zachować ostrożność. To niemożliwe. On od dawna nie żyje.

– Pomocy!

Skargi Goblina stawały się coraz bardziej natarczywe.

24

Khatovar: ZBEZCZESZCZONE ZIEMIE

Od czterech dni przebywaliśmy w świętej krainie z mych wyobrażeń. Niczego nie udało się osiągnąć. Straciliśmy natomiast ludzi. Nie żył stary towarzysz z Kompanii, Elegant. Podobnie jak Czo Dai Czo, nazywany DžoDžo, Niueng Bao, który był od tak dawna wiernym strażnikiem osobistym Jednookiego.

Cienie dopadły ich pierwszej nocy. Zabójcze cienie, które uciekły z lśniącej równiny po tym, jak forwalaka uszkodził Bramę Cienia Khatowaru. Cienie, które wyludniły tę część krainy.

Kiedy już wiedzieliśmy, że tu się czają, nie mieliśmy szczególnych kłopotów ze zwabieniem ich w pułapkę i zabiciem. Doświadczenia nam nie brakowało. Jednak panika zawsze bywa nieprzyjemna.

Mogło być gorzej. Tutejsze spustoszenia zachęciły wszystkich do podwyższonej gotowości.

Podczas kolejnych nocy wyeliminowaliśmy wszystkiego dziewięć cieni. Miałem nadzieję, że wróży to dobrze reszcie tego świata – to, że są obecnie tak rzadkie.

Czarne Ogary pomagały w polowaniu. Nienawidziły swych nieudomowionych kuzynów z równiny i równocześnie wielce się ich bały. Aczkolwiek te cienie zdawały się znacznie mniej agresywne niżli spotykane przez nas w przeszłości.

Prowadziły również daleki zwiad i nie znalazły żadnych ludzi żyjących na południu Khatowaru w zasięgu równym odległości do Danda Presz. Po forwalace także nie było właściwie śladu. Jednak odkryły trop – był tak wyraźny, że moje kruki skłaniały się ku podejrzeniom, iż pozostawiono go specjalnie.

– Naprawdę masz ochotę znowu pokonywać te góry? – zapytał Łabędź.
– Już wygląda na wyczerpanego, nieprawdaż? – zauważyła Pani. –
A jeszcze nie zrobiliśmy nawet kroku.

– Byłoby świetnie mieć teraz jakiś latający dywan – przyznałem.

– Jest wiele rzeczy, które moglibyśmy z pożytkiem wykorzystać. Kilka tych czarnych ogierów z Uroku bardzo by się przydało. Podobnie jak setka dodatkowych miotaczy kul ognistych. Jednak nie chciałeś ukraść konia Ospalej.

– Cóż, nie bardzo mogłem, prawda? To był ostatni. Zauważyłaby, gdyby zniknął.

– Ale ona nie tęskni ani za mną, ani za tobą, ani za tymi gównami pod grzędą opóźnionych w rozwoju kruków.

– Piękny obrazek – skomentował Łabędź. – Oto nadciągają ptaki prowadzące stado. – Zbliźali się Murgen, Tai Dei i Wujek Dodź. Podobnie jak reszta oddziału, chcieli wiedzieć, co teraz, a ja przecież obiecałem, że powiem im po południu.

– Co teraz, szefie? – zapytał Murgen.

– Pójdziemy ją dorwać. Nie możemy tu zostać. Te cienie wybiły niemalże całą zwierzynę.

Po prostu zabijały. Będą zabijać nawet insekty, kiedy ogarnie je szal. Na większe zwierzęta nie zwracały uwagi tylko wówczas, gdy miały sposobność napić się krwi człowieka.

– Myślisz, że dlatego się stąd wyniosła? – pytał dalej Murgen.

To był jeden z powodów.

– Musi jeść. – Rzut oka na zebranych powiedział mi, że żądza odwetu nie gorzała już tak jasno w ich sercach.

– Ale tu jest jedzenie – stwierdził Dodź. – I wcale nietrudno je znaleźć. Zauważyłem dzikie świnie i jakiś gatunek karłowatego jelenia. Króliki, rozmaite małe gryzonie. Gdyby chciała, mogłaby na nie polować. Powiedziałbym też, że aktywność cieni od dawna nie była tu duża. W przeciwnym razie nie ujrzelibyśmy tych zwierząt. Potwór musiał wrócić do swych sprzymierzeńców, a cienie z pewnością zostały nasłane, aby nas szpiegować.

– Kontynuuj – powiedziałem.

– Przyszło mi do głowy kilka rozmaitych hipotez tłumaczących wszystkie fakty. Być może jednak składają się tylko na powierzchowny

obraz. Napaść oszalałego monstrum. Jednak wydaje mi się, że to byłoby zbyt proste. Czuję, że chodzi o coś więcej. Szaleństwo i zemsta nie wydają się stosownymi motywami. Jeśli wszak współdziała z kimś stąd...

Podjeżdżałem to niemal od chwili, gdy obudziłem się ze śpiączki. Nie miałem jednak dość informacji, by rozwiązać swoje wątpliwości.

Odchrząknąłem.

– Potwór musiał wiedzieć, że będziemy go ścigać. Żołnierze Ciemności cieszą się określoną reputacją. Poza tym już wcześniej próbowano ją zabić, i to ze znacznie błahszego powodu.

– A Goblin również próbował jej pomóc, z tego co pamiętam. Za co odpłaciła mu czarną niewdzięcznością, zanim zdołał osiągnąć cokolwiek.

– Aby dotrzeć do Hsien, musiała pokonać dwie Bramy Cienia – ciągnął dalej Dodż. – Czyli wiedziała, jakimś sposobem, gdzie może znaleźć Jednookiego. Obie, czego miała świadomość, były uszkodzone. Zatem nawet gdyby na drogach pozostawała bezpieczna, przy samych Bramach wystawiała się na atak. Ale jej nic się nie stało. Nadto odległość między Bramami jest spora i droga musiała być wyczerpująca, jeśli nie otrzymała pomocy od Sziwetji. A nie mamy powodu podejrzewać, że jej pomógł. Wygląda na to, iż mamy do czynienia z wyprawą zbyt długą, zbyt niebezpieczną i pozbawioną treści, gdyby jej jedynym celem miało być zabicie Jednookiego i aby spodziewać się, iż nie mogła się jej oprzeć.

Odwróciłem się ku Pani, potem znowu spojrzałem na Dodża. Był równie bystry jak ja.

– Rozumiem. Oczywiście, że nie dałaby sobie rady bez pomocy. Z cieniami, a zwłaszcza ze zdobyciem pożywienia. W Hsien nie miała czasu, by zapolować, ogary szły za nią przez cały czas.

– A więc otrzymała pomoc – wtrąciła Pani – i to od ludzi, którzy z pewnością oczekiwali sowitej zapłaty. Cóż mogłoby nią być?

– Może to samo, co przez cztery lata próbowaliśmy zdobyć w Krainie Nierozpoznanych Cieni? – domniemywał Murgen. – Tajemnice Bram Cienia.

Głowy wszystkich pochyliły się w geście potwierdzenia.

– Skąd mogli wiedzieć? – spytałem – I po co byłoby to im potrzebne? Aby zatkać wyrwę w tej Bramie? Czy Sziwetja nie mówił, że one zawsze same odnawiają się do tego stopnia? Tobo i Sjuwrin nigdy nie znaleźli

żadnej otwartej Bramy, nieprawdaż? – Zakładałem, że Dodż wiedział o przygodach Tobo.

Oczy wszystkich spoczęły na mnie.

– To jest Khatovar. Stąd wyszły Wolne Kompanie – zasugerował Murgen.

– Ale ponad czterysta lat temu, czy raczej już pięćset. Mogą nawet nie pamiętać.

– Prawdopodobnie.

– I muszą przecież dysponować jakąś wiedzą o Bramach Cienia. Zdołali przeprowadzić Bomarsz przez swoją, następnie tam i z powrotem do Hsien, a potem znowu tędy, niczego przy tym nie niszcząc.

– Kolejny wniosek, jaki z tego wypływa – orzekła Pani – jest taki, że ktoś tu potrafi kontrolować cienie.

– Wypływa?

– Niewątpliwie z faktu, że Bomarsz dotarła do Hsien i wróciła. Podobnie jak z tego, iż gdyby jakaś horda cieni wyrwała się na wolność i zniszczyła ten świat po pierwotnym przejściu Bomarsz przez Bramę, powinniśmy mieć tu do czynienia ze znacznie większą ich liczbą. Dodż twierdzi, że jest tu zwierzyna. Gdyby te cienie, które zgładziliśmy, żyły na całkowitej swobodzie, pozabijałyby wszystkie zwierzęta. Te stwory przybyły tu po to, by nas obserwować.

– Cholera! Murgen. Byłeś przez cały ten czas w Kang Fi – warknąłem. – Słyszałeś może plotki o jakimś Władcy Cienia, których nie można by wytłumaczyć przy tej wiedzy, którą posiadamy? Nie wpadniemy tu przypadkiem na dawno zaginioną mamusię Długiego Cienia, co?

– Wiemy o wszystkich. To, co tu widzimy, musi być rodzimego chowu. – Całkiem możliwe. Dwaj z trójki, którą zabiliśmy w naszym świecie, byli dokładnie tacy sami. Ostatnia była jedną z przybocznych Pani, która miała rzekomo zginąć, a jednak udało się jej zbiec.

Przedłużające się dyskusje zrodziły ostatecznie wniosek, że mogliśmy zostać zwabieni do Khatowaru przede wszystkim po to, aby można było pozbawić nas posiadanej wiedzy.

Nawet teraz jeszcze umysł Pani stanowił skarbnicę tajemnych informacji.

Odszedłem na bok, zabierając do towarzystwa tylko kruki. Jednemu kazałem poprowadzić Nierozpoznane Cienie na zwiad tak daleki, jak tylko

okaże się konieczne, by znaleźć jakiegoś tubylca. Drugiego posłałem, by poszukał Tobo. Zabrał dokładny i szczery raport, utrzymany w takim tonie, jakby Ospała po prostu wysłała nas do Khatovaru i oczekiwała regularnych oficjalnych meldunków.

Miałem nadzieję, że Tobo podsunie mi jakieś cenne sugestie. Miałem nadzieję, że wiedział o Khatovarze więcej, niż nam zdradził.

Ani Pani, ani ja nie mogliśmy zasnąć. Odnalezienie ludzi nie zabrało białemu krukowi dużo czasu. W naszą stronę zmierzała cała armia, choć była jeszcze po przeciwnej stronie gór. Forwalaka był z nią: towarzyszył rodzinie czarodziejów, którzy wedle doniesień Tobo stanowili niekwestionowaną władzę najwyższą współczesnego Khatovaru.

Informacje docierały do niego drogą okrężną. Wcześniej konsultował się z uczonym Baladitją, który przekazywał nasze pytania demonowi Sziwetji. Ten zaś milcząco potwierdził w ten sposób posiadane zdolności śledzenia wydarzeń w krainach przylegających do równiny lśniącego kamienia.

Khatovarem władał liczny, hałaśliwy i niespokojny klan czarodziejów znanych jako Vorszk. Miano to było po prostu ich nazwiskiem rodowym. Krew utalentowanego ojca założyciela nie uległa rozcieńczeniu w kolejnych pokoleniach. Obecnie w świecie tym żyło kilkuset członków rodu Vorszk. Ich reżim był okrutny, a jedynym przyświecającym im celem było bogactwo i pomnożenie władzy rodziny. W następstwie katastrofy, jaką spowodowało wtargnięcie forwalaki do Khatovaru, Vorszk nauczyli się kontrolować cienie. Z pewnością jeden z nich wysłał te, które zabiliśmy.

W świecie noszącym miano Bramy Khadi nikt nie czcił już samej Kiny, czyli Khadi. Vorszk dokonali eksterminacji Dzieci Kiny.

Niemniej raz do roku, mniej więcej w tym czasie, gdy Oszuści celebrowali swoje Święto Świąteł, komuś udawało się zadusić członka rodziny i ujść z życiem.

Były spore szanse, że Vorszk znali swą historię wystarczająco dobrze, aby pamiętać, że Wolne Kompanie Khatovaru wyruszyły jako oddziały misjonarzy Matki Nocy. Powinni więc lękać się powrotu Królowej Ciemności.

Moim własnym nadprzyrodzonym sprzymierzeńcom nakazano unikanie zauważenia, wyjąwszy przypadki, kiedy da się złapać cienie Khatovaru, nie ryzykując ujawnienia naszej ukrytej broni.

Leżąc z policzkiem przytulonym do mej piersi, Pani wymruczała:

– Ci Vorszk wyglądają mi na złych ludzi, kochany. Równie złych jak wszyscy, na których zdarzyło ci się trafić wcześniej.

– Włącznie z tobą?

– Nikt nie jest tak zły jak ja. Ale tymi tutaj naprawdę powinieneś się martwić. Jest ich cała rodzina. I jej członkowie nie są skłóceni między sobą. Za bardzo. Każdy z Dziesięciu zawsze próbował wbić drugiemu nóż w plecy, nawet wówczas, kiedy trzymałam ich na najkrótszej ze smyczy.

W jej przekomarzaniu kryła się całkiem poważna sugestia. Przytuliłem ją i powiedziałem:

– Nie będę ryzykował konfrontacji, raczej wycofam się na równinę. Zawsze możemy wślizgnąć się tu kiedy indziej. – Ale nie będę zadowolony, jeśli Bomarsz znowu mi się wymknie.

Osunąłem się w sen, próbując wyobrazić sobie, jak działają umysły Vorszk. Dumając nad tym tajemniczym światem, który tak dawno temu wypłuł z siebie naszych przodków na krucjatę zakończoną klęską. Czy Vorszk byli niczego nieświadomymi pionkami w rękach Kiny? Czy mogli być kolejnym instrumentem, który Mroczna Matka chciała wykorzystać do przyspieszenia nadejścia Roku Czaszek?

– Nie – odrzekła Pani, kiedy sformułowałem na głos swe przypuszczenia. – Wiemy, czyją jest to rola.

– Nie chcę myśleć o Pierdu Pierdu, kochana. Wolę usnąć w spokoju.

Lśniący Kamień:
PRZYBYSZ Z ZAŚWIATÓW

Goblin niczego nie negował.

– Jakimś sposobem utrzymała mnie przy życiu. Zamierzała mnie wykorzystać. Ale nigdy nic mi nie zrobiła. Większość czasu przespałem, śniąc obrzydliwe sny. Pewnie to były jej sny.

Głos małego czarodzieja był ledwie szeptem. Właściwie do złudzenia przypominał szelest zeschniętych liści. Łzy nieustannie nabiegały mu do oczu. Rogata dusza, która czyniła zeń dawnego Goblina, gdzieś się zapodziała.

Na twarzach słuchaczy nie widział ani radości ze spotkania, ani bodaj najdrobniejszego grymasu sugerującego, że go tutaj chcą. W istocie, nikt się nie cieszył i nikt go nie chciał. Spędził cztery lata, śpiąc przy boku Królowej Nocy, Matki Oszustów.

– Ona żyje w najczarniejszym miejscu, jakie tylko można sobie wyobrazić. Sama śmierć i rozkład.

– I szaleństwo – dodała Sahra, nie unosząc wzroku znad naprawianych spodni.

– Gdzie jest Lanca? – zapytał Tobo.

Goblina już o to pytano. Lanca Cierpienia była duszą Kompanii. Podobnie jak Kroniki, łączyła przeszłość z teraźniejszością. Przeszła z Kompanią całą drogę, od samego wymarszu z Khatowaru. Nasycona była mocą – tak symboliczną, jak całkiem realną. Była kluczem do Bramy Cienia. Cios Lancą potrafił sprawić bogini wiele bólu.

– Nie zostało nic prócz grotu – westchnął Goblin. – Wbiłem go w jej bok. A potem ona jakimś sposobem zmusiła go do wędrówki przez swe ciało. Teraz jest w jej łonie.

Pani Kapitan, najwyraźniej skrepowana pogańskimi pogawędkami, odkaszlnęła:

– Czy któryś z was, niewiernych, mógłby to wytłumaczyć? Tobo?

– Nic nie wiem o religii, Kapitanie. Przynajmniej nic o jej wymiarze praktycznym.

– Ktoś inny?

Żaden z niewiernych się nie odezwał.

Ospała natomiast miała kilka pomysłów. Być może Kina wcale nie była prawdziwą boginią, tylko niewiarygodnie potężnym potworem. Wszyscy bogowie i wszystkie boginie Gunni nie są niczym innym jak tylko potężnymi potworami. Jest tylko jeden Bóg... Ciągnęła dalej, popatrując na Goblina, zastanawiając się nad jego wiarygodnością, dumając, czy najlepszym rozwiązaniem nie byłoby pozbycie się go. Milczenie przeciągało się. Goblin czuł się coraz bardziej niezręcznie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę jego ograniczoną zdolność do wyjaśnienia, co się z nim działo.

Nie było mowy, żeby ktokolwiek kiedykolwiek mu zaufał.

– Tobo, mam myśl – rzekła pani Kapitan.

Znowu zapadła cisza. Chłopak czekał, aż ona powie, o co jej chodzi, natomiast ona czekała, aż on zapyta. Głupoty dorosłych.

– Dlaczego nie pošlemy Goblina na pomoc Konowałowi do Khatowaru?
– spytała w końcu Sahra. – Tak czy siak, lepiej mu będzie ze starymi przyjaciółmi.

Ospała obrzuciła ją paskudnym spojrzeniem. Potem Tobo zrobił to samo. Sahra uśmiechnęła się, odgryzła nitkę, odłożyła igłę.

– A więc załatwione.

Z zabiej twarzy Goblina zniknęły resztki barw, które przetrwały czas spędzony pod ziemią. Spojrzenie miał całkowicie puste. Usilnie starał się być całkowicie nieodgadnionym. Tym sposobem niechcący zdradził prawdę – wcale mu się nie uśmiechało dołączenie do khatowarskiej ekspedycji.

Ale może po prostu bał się konieczności ponownego stawienia czoła forwalace.

– Przypuszczam, że to znakomity pomysł – powiedziała pani Kapitan zimno. – Konował przysłał ptaka, skamłąc o pomoc. Idą na niego wszyscy ci nieokreśleni żołnierze i czarownicy. Goblin, wciąż umiesz dać sobie z tym radę, co? Dalej czarujesz? Nie straciłeś ikry?

Smutny, mały czarodziej wolno pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Musiałbym spróbować. Co jeszcze nie znaczy, żebym nawet za najlepszych dni mógł się zmierzyć z kimś obdarzonym prawdziwym talentem. Nigdy nie byłem aż tak dobry.

– A więc postanowione. Ruszysz drogą do Khatovaru. Reszta – tutaj już skończyliśmy. Wyruszamy. Tobo, znajdź braci Czu Ming. Pojadą z Goblinem.

Wieści o rychłym wymarszu szerzyły się szybko. Żołnierze witali je z radością. Zdecydowanie zbyt długo kazano im przebywać w tym niemiłym, przerażającym miejscu, podczas gdy szarże dzieliły włos na czworo. Kończyły się żelazne racje, mimo tylu lat starannych przygotowań.

26

Khatovar: UZIEMIENI

Wróciłem z narady z białym krukiem.

– Pokonali już szczyt przełęczy.

– A więc maszerują szybko – zauważyła Pani.

– Zaczynają się zastanawiać, czy przypadkiem czegoś nie podejrzewamy. Nie wiedzą, dlaczego tak wiele ich cieni-zwiadowców nie powróciło i dlaczego te nieliczne, którym się udało, nawet się do nas nie zbliżyły. A więc na wypadek, gdybyśmy zwąchali kłopoty, zostawili swą piechotę, ciężką kawalerię i artylerię, aby dotrzeć tu, zanim zdołamy się przygotować. Ptak powiada, że przygotowują dla nas jakąś niespodziankę, ale nie potrafił znaleźć się dostatecznie blisko, by stwierdzić, co to ma być.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie usiądą i nie zaczekają na nas – jęknął Łabędź.

– Prawdopodobnie dlatego, że tu nie ma wiele do jedzenia, miejsce znajduje się daleko od centrum wydarzeń, oni zaś nie wiedzą, kiedy przybyliśmy. Ani czy w ogóle przybyliśmy. Na północy czeka na nich imperium, w którym należy utrzymywać dyscyplinę. A gdyby rozbili tutaj obóz, najpewniej w ogóle nie chcielibyśmy zejść z równiny. Ponadto potrafię sobie wyobrazić, że naprawdę sądzili, iż pójdziemy za forwalaką, kiedy zrozumiemy, co się tutaj stało. Tym sposobem wpadlibyśmy w pułapkę na północ od Danda Presz. Na znanym terenie, bliżej domu. W tę pułapkę zapewne zresztą bym się wpakował, gdybym nie miał Czarnych Ogarów i reszty jako zwiadowców.

– Jeden kłopot stanowi dla nich odległość, drugim jest fakt, że ten teren z pewnością otacza mnóstwo przesądów. I jeszcze coś... Niedawno nastąpiła zmiana na stanowisku głowy rodziny Vorszk. Ktoś zwany Starym

niespodziewanie umarł, mniej więcej w czasie, gdy my wchodziliśmy na równinę. Ten, który go zmienił, wydaje się bardziej skory do działania.

– I wszystkiego dowiedziałeś się, rozmawiając z krukami?

– To bystre ptaki, Łabędź. Mądrzejsze od wielu ludzi. Świetni zwiadowcy.

Dodż zapytał:

– Jak wygląda nasza strategia?

– Siedzimy na tyłku. Czekamy. Pozwolimy się zabawić Czarnym Ogarom. One lubią płoszyć konie.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na mnie tym rozdrażnionym wzrokiem, który znałem dobrze z czasów, gdy byłem Kapitanem i nikomu nie pokazywałem kart trzymanyh w rękę. Aż zadrzałem i zmusiłem się do powiedzenia więcej:

– Aby poruszać się szybciej, podzielili siły. Lekka kawaleria idzie przodem. Po zapadnięciu zmroku Nierozpoznane Cienie zaczną dręczyć wierzchowce. Oczywiście subtelnie. Nie chcemy ich stracić. Większe natomiast zajmą się forwałką, pokazując jej ducha Jednookiego. Mam nadzieję, że w szale wysforuje się przed swych przyjaciół. Wtedy ją zabijemy i wyniesiemy się stąd, zanim oni dotrą na miejsce.

Czułem się podle. Miałem wrażenie, że teraz, kiedy już wszystko wygadałem, coś musi pójść źle.

Milczenie. Przeciągające się. Póki Murgen w końcu nie zapytał:

– Uda się?

– Skąd mam wiedzieć? Zapytaj mnie jutro o tej porze.

– Co zrobimy z Goblinem? – dołączyła Pani.

– Nie spuszczać go z oka. Nie pozwólcie mu się nawet zbliżyć do włóczni Jednookiego. – Wszystko to wydawało mi się oczywiste.

Znowu przeciągające się milczenie. Przerwał je Łabędź:

– Mam myśl. Dlaczego nie zostawimy Goblina tutaj, a sami się nie wycofamy?

– Sądziłem, że był twoim przyjacielem – rzekłem ponuro.

– Goblin był. Ale już chyba zdążyliśmy wszyscy zrozumieć, że to nie może być Goblin, którego znaleźliśmy. Racja?

– Niemniej istnieje szansa, że Goblin, którego znaleźliśmy, wciąż tkwi gdzieś w nim i czeka, aż pozwoli mu się wyjść. Jak pozostali z nas, kiedy spoczywaliśmy pogrzebani pod równiną.

– A my, którzy nie zostaliśmy pogrzebani, nie mieliśmy takiej pewności co do ciebie.

– Przyjmijmy, że zmiękło mi serce. Będziemy traktować tego gościa jak Goblina, póki nie zrobi czegoś, co sprawi, że będziemy chcieli go powiesić. I wtedy zadynda. – Musiałem trochę poudawać. Tego ode mnie oczekiwano.

– Kapitan wciąż rozwiązuje swoje osobiste problemy, wysyłając niepewnych ludzi do Khatovaru – zauważył Murgen.

– I to ma być śmieszne? – Zapytałem, gdyż Murgen zaśmiał się.

– Oczywiście, że jest śmieszne. W tym sensie, że ani ty, ani Pani nawet nie braliście pod uwagę podobnej możliwości, kiedy dowodziliście Kompanią.

– W każdym tkwi zjadliwy krytyk społeczny – powiedziałem do Pani. – Postaraj się nie demonstrować, że nie jesteś w stanie kopnąć Goblina tak, iż zatrzyma się dopiero w Hsien. Spróbuję znaleźć mu dość zajęć, aby nie miał czasu wpakować się w kłopoty. Nie od rzeczy będzie również, jeśli on sam zrozumie, że stąpa po cienkiej linii.

– Nie jestem w stanie go przekonać. Nie jest głupi.

– Długo jeszcze będziemy ci potrzebni? – zapytał Łabędź. Wyciągnął już talię kart i zaczął tasować. Murgen i Tai Dei najwyraźniej mieli ochotę włączyć się do gry, która odrodziła się podczas naszego pobytu w Krainie Nierozpoznanych Cieni.

– Nie krępujcie się. Oprócz czekania zostało nam niewiele do roboty. I przypatrzcie się Wujkowi Dodżowi, jak skrada się po okolicy z tymi muszlami ślimaków. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, iż ktoś będzie na tyle czujny, aby je zauważyć. – W ten właśnie sposób Nierozpoznane Cienie pokonały równinę i dotarły tutaj. Któż więc z mojej drużyny spiskował z Tobo oraz panią Kapitan?

Nie mogłem jednak przecież czekać wieczność. Nie miałem też najmniejszego zamiaru walczyć z jakimikolwiek żołnierzami Vorszk. Jedyne sporne z nimi wyrastało dla mnie z ich domniemania, iż Kompania istnieje tylko po to, by posłużyć za jeszcze jedno dziewicze złożo bogactw.

Szczerze ubolewam nad takim podejściem, za każdym razem, gdy je napotykam.

Tej nocy w Khatovarze była pełnia. Poszedłem na przechadzkę przy księżycu. Moje kruki pojawiały się i odlatywały. Przemieszczały się z szybkością błyskawicy, kiedy tylko nie próbowałem przyglądać się, jak to robią.

Nierozpoznane Cienie są tak paskudne i niebezpieczne, jak opisuje to folklor Hsien. Zadanie wywabienia forwalaki spod ochronnego parasola czarowników Vorszk okazało się omal nazbyt łatwe.

Ziemie Cienia:
WYŁOM

Pani Kapitan wślizgnęła się na miejsce obok Sjuwrina i uniosła głowę na tyle tylko, żeby móc dojrzeć Bramę Cienia oddzielającą równinę od domu.

– Znajdujemy się marne pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie się urodziłeś, Sjuwrin. – Od lat już próbowała wymyślić lepszy pseudonim niż „Sjuwrin”, czyli „Junior” w sendzel, jej mowie rodzimej. Nie udało się jej dopasować nic bardziej oryginalnego.

– Mniej. Zastanawiam się, czy ktoś jeszcze mnie pamięta.

Za nimi tysiące czekały niespokojnie. Głodne tysiące. Zbyt wiele czasu zmarnowali na pokonanie równiny. Ospała zdławiła poczucie winy.

– Wielu ich tam jest? – zapytała.

Obóz rozbity był tuż pod Bramą Cienia. Zbudowany na ruinach fundamentów byłych obozów starej Kompanii, wyglądał tak, jakby znajdował się tu już od dłuższego czasu. Schronienia zostały sklecone nieporządnie, ale sprawiały wrażenie siedzib stałych. Jednym słowem, ich żalosną kondycję cechowały dokładnie wszystkie właściwości militarnych przedsięwzięć pod rządami Protektoratu.

– Pięćdziesięciu sześciu ludzi. Włączywszy w to dziewięć kobiet i dwadzieścioro czworo dzieci.

– Trudno to uznać za siły wystarczające do powstrzymania próby wyłomu.

– Nie my jesteśmy powodem ich obecności. Są uzbrojeni, ale to nie żołnierze. Nie zwracają uwagi ani na drogę, ani na Bramę. Za dnia większość z nich po prostu uprawia pola. – Kilka mało imponujących przykładów prymitywnego rolnictwa można było dostrzec rozrzuconych wzdłuż brzegów potoku u stóp wzgórza. – Przyszło mi do głowy, żeby tam

skoczyć, ale stwierdziłem, że lepiej będzie, jeśli zaczekam, aż Tobo się nimi zajmie. Przypuszczam, że tak naprawdę są tutaj przez cienie.

– Po zmroku pošlemy na dół komanda. Ogarną ich, zanim tamci zrozumieją, co się stało. – Kapitan nie był zadowolony z niezdecydowania protegowanego.

– Lepiej niech Tobo najpierw ich sprawdzi – rzekł Sjuwrin. – Poważnie. Zawsze aktywizują się po zmroku.

– Proszę?

– Już powoli zmierzcha. Zostań. Zobaczysz, o czym mówię.

– Tylko nie każ mi czekać całą noc. – Ospała wycofała się. Kiedy była już w miejscu, gdzie mogła się wyprostować, podniosła się i ruszyła w stronę czekającego sztabu. – Na dole mają garnizon. Niewielki. Nie powinno być z tym żadnych kłopotów, ponieważ najwyraźniej tamci niczego się nie spodziewają. Chcę mieć pewność, że żaden się nie wydostanie. Ruszycie drogą. Wszyscy w pełnej gotowości. Całkowita dyscyplina. Powiedźcie im, żeby się najedli. Niech przygotowują broń. Nie używajcie jednak żadnych ogni, żeby nie było ani śladu dymu czy światła. Być może nie wyruszymy przed północą, jednak chcę, żeby wszyscy byli gotowi, kiedy dam znać.

Sztafeta posłańców przekazała wieści wzdłuż kolumny.

– Tam. Patrz. To właśnie miałem na myśli – oznajmił Sjuwrin, wskazując dłonią. Tobo i Kapitan leżeli po obu jego stronach. Poniżej żołnierze garnizonu przystąpili do skrupulatnego sprawdzania terenu pod Bramą Cienia, oświetlając go równocześnie z kilku stron przy użyciu rozmaitych źródeł światła. – Najwyraźniej szukają przecieków. Za chwilę wszystko zrobi się bardziej interesujące.

Wkrótce drużyna złożona z trzech ludzi przyniosła dzban z wypalanej gliny, o cienkiej szyjce i pojemności może galona, na drewnianym stelażu, który następnie przysunęli do samej czarodziejskiej bariery niepozwalającej cieniom, Nieodkupionym Zmarłym, na opuszczenie równiny.

Światło było jasne, jednak nie było go dosyć, by bodaj młode oczy Tobo potrafiły dostrzec, co się dzieje. Niemniej cokolwiek to było, tamci najwyraźniej zachowywali skrajną ostrożność.

– Mam! – powiedział Tobo po mniej więcej dziesięciominutowej obserwacji. – Próbują łapać cienie. W barierze wywiercono maleńką

dziurkę i oni wierzą, że jakiś szczególnie głodny cień wyskoczy przez nią prosto do dzbana.

– Pracują dla Duszołap – dodała Ospała, może tylko po to, by ostudzić entuzjazm chłopaka. Teraz знаła już powody ostrożności Sjuwrina.

– Oczywiście, że tak. Dla kogóż by innego? Musimy przemyśleć sprawę. Jeśli ona ma całe stadko cieni pod kontrolą...

– Już za późno, by się wycofać. – Jakby naprawdę zamierzał zaproponować coś w tym stylu. Ospała przewróciła się na plecy, lewą dłonią potarła czoło. Gwiazdy nad jej głową układały się w konstelacje znane z dzieciństwa. Od tak dawna już ich nie widziała. – Tęskniłam za naszymi gwiazdami.

– Ja również – odparł Sjuwrin. – Wiele czasu spędziłem tutaj, po prostu podziwiając gwiazdy.

– Nie wysłałeś na drugą stronę choćby jednego zwiadowcy?

– Naprawdę nie było możliwości. Nie chciałem przymuszać cię do niczego, biorąc sprawy we własne ręce. W każdym razie i tak najpierw trzeba naprawić Bramę, a na tę robotę miałbym może godzinę każdej nocy.

– Wszystko jest już gotowe, nieprawdaż? Mam tam na górze dwanaście tysięcy ludzi. Nie mów mi, że trzeba będzie jeszcze poczekać.

– Możesz przejść Bramę w każdej chwili.

– Nef – mruknął Tobo.

Ospała przewróciła się na brzuch. Faktycznie, obok tamtych na dole pojawili się wędrowcy w krainie snów. Byli zupełnie przezroczyści. Podskakiwali i wymachiwali rękoma. Pracujący za barierą nie zwracali na nich uwagi.

– Nie widzą ich – powiedział Tobo.

Nef zrezygnowali z wysiłków porozumienia się z łowcami cieni i przemieścili się na górę zbocza, by nękać obserwatorów na krawędzi równiny.

– Co takiego próbują nam powiedzieć? – zapytała Ospała.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Tobo. – Od czasu do czasu słyszę jakiś szept, ale nadal niczego nie rozumiem. Gdyby tato był tutaj... On sam jest prawie takim wędrowcem. Myślę, że potrafiłby zrozumieć ich choć odrobinę.

– Prawdopodobnie możemy spokojnie założyć, że chcą, abyśmy czegoś nie robili. Kiedy się nad tym zastanowić, zawsze tak było. Ale postępując

wedle własnych zamierzeń, nie zawsze przecież pakowaliśmy się w kłopoty. Prawda?

Oczekiwanie przeciągało się. Wreszcie Sjuwrin rzekł:

– Zawsze jest tak samo. – Przewrócił się na plecy. – Dlaczego więc nie pooglądać sobie spadających gwiazd?

– Idę na dół – powiedział Tobo. – Chcę posłuchać, co mówią.

– Pominąwszy już fakt, że cię zobaczą, pozostaje kwestia, gdzieś się nauczył mówić w sendzel? – zapytała Ospała.

– Nauczyłem się kilku słów od Sjuwrina. Musieliśmy czymś się zajmować podczas tych długich podróży po Bramach Cienia. Aczkolwiek nie wydaje mi się, by ci faceci mieli mówić inaczej jak po tagliańsku. Są to z pewnością ludzie cieszący się zaufaniem Protektorki. Zaufanie w tym przypadku oznacza, że w każdej chwili, gdy tylko któryś ją rozczaruje, może zgładzić ich rodziny. Poza tym i tak mnie nie zobaczą.

Dodż wyszkolił go dobrze. Nawet nie uciekając się do magii, pozostawał prawie niewidoczny podczas wędrówki w dół stoku. Łowcy cieni nie spostrzegli niczego. Jednak wędrowcy w krainie snów zareagowali natychmiast. Ogarnęło ich podniecenie. Potem nieliczne, przebywające w pobliżu cienie, które nie kłębiły się razem z pozostałymi przy drodze, czyhając, aż głupi żołnierze przerwą barierę ochronną, zaczęły przemykać chaotycznie od kryjówki do kryjówki. W końcu jeden źle wybrał i przez dziurkę wpadł do glinianego dzbana.

Łowcy cieni pogratulowali sobie nawzajem. W jednej chwili zaszpuntowali i dziurę w barierze, i otwór dzbana – tę pierwszą mikroskopijną bambusową drzazgą. Tobo wyczuł potężne zaklęcia, którymi ją nasyciono. Duszołap nie chciała, żeby silniejsze cienie przedarły się przez ten korek.

Schwywanie pojedynczego cienia najwyraźniej usatysfakcjonowało łowców. Rozpłynęli się w mroku nocy.

– To wszystko? – zapytała Ospała.

– Pierwszy raz widziałem, żeby naprawdę coś schwytali – odparł Sjuwrin. – Myślę, że zdarza się im to nieczęsto.

Kilka chwil po zniknięciu łowców Tobo wyszedł przez Bramę Cienia na świat swych narodzin. Sjuwrin naprawił wszystko jak należy.

Chłopak głęboko wciągnął powietrze. Wsłuchał się w ciche odgłosy wydawane przez komandosów schodzących już z równiny. Kiedy przeszedł

przez Bramę, nie rozległ się żaden alarm, również żaden z idących w ślad za nim żołnierzy nie wywołał niezwyklej reakcji. Najwyraźniej Protektorka nie obawiała się ataku od południa. I choć sama przecież kilkakrotnie przewyciężyła grób, najwyraźniej po swych wrogach nie oczekiwała podobnego uporu.

– Woda śpi – rzucił Tobo w noc i przystąpił do wypowiedzania zaklęcia, które miało pogrążyć załogę łowców cieni w głębokim śnie. Nauczył się tego zaklęcia od Jednookiego, który z kolei ponad sto lat temu wykradł je Goblinowi.

Jakimś sposobem jego myśli wciąż powracały do Goblina.

Kina była Matką Oszustów. Załóżmy, że w istocie nie uczyniła nic małemu czarodziejowi? Nikt w to nie uwierzy. I nikt nigdy już mu nie zaufa. Masa czasu i wysiłku pójdzie na sprawowanie nad nim nadzoru.

O co tu chodziło? Czy Goblin naprawdę był dywersantem? Czy w ogóle istniał sposób, żeby się o tym przekonać?

Oczekiwano od niego, że będzie lśnić twórczym blaskiem młodości. Powinien być w stanie obmyślić coś, co zadziała.

Jeńcy patrzyli oczyma szeroko rozwartymi ze zdumienia, jak batalion za batalionem schodził w dół z równiny. Armii tych rozmiarów nie widziano tu od czasu wojen kiauluńskich. W tamtej rundzie to Duszołap zdobyła laur zwycięstwa, ponieważ Kompanii rozpaczliwie nie dostawało magicznej potęgi.

Radisza Drah i Prabrindrah Drah zajmowali poczesne miejsca w szeregu. Odziani w najwspanialsze stroje imperialne, otoczeni lasem tagliańskich sztandarów, manifestowali swą obecnością fakt polityczny, który Ospała chciała rozpropagować jak najwcześniej i jak najlepiej.

Rzecz jasna, tutaj sens tej manifestacji nieco się gubił, ponieważ żadnemu ze świadków nie będzie dane zanieść wieści wyprzedzających postęp sił inwazyjnych. Jednak Ospała doszła do wniosku, że niezłym pomysłem jest pozwolić księciu i księżnej na ćwiczenie powtórnego wejścia w ich dziejowe role.

Sjuwrin już odjechał. Podobnie jak liczne czujki, zwiadowcy i oddziały rozpoznania. Żołnierzom Ciemności pozwolono na odpoczynek. Biedny Sjuwrin znowu musiał ruszyć przodem, tym razem z zadaniem zamknięcia południowego krańca przełęczą wiodącej przez Danda Presz. Robota, do

której niepotrzebne było żadne specjalistyczne szkolenie. W istocie obejmująca dokładnie ten sam zakres obowiązków, które pełnił, gdy Ospała wzięła go do niewoli, zdążając w stronę nieszczęsnych, starych Zniewolonych.

Zadbawszy o to, by z przełęczą nie mogli skorzystać południowi plotkarze, miał następnie przejechać na drugą stronę i zdobyć fortyfikacje w Czarandapresz. Zważywszy na podejście Duszołap do swych sił zbrojnych, najpewniej nie zastanie tam w ogóle załogi.

Sjuwrin zapoznał się z planem sytuacyjnym na długo przedtem, zanim tam dotarł. Od kiedy droga została otwarta, Tobo dostarczał z równiny worek za workiem starych muszli ślimaków. Niewidzialna powódź zaczęła zalewać obszar znany niegdyś jako Ziemia Cienia. Tobo zostanie poinformowany o wszystkim, o czym dowiedzą się jego stworki. A potem każe im dostarczyć te wieści każdemu, kto powinien je poznać.

Wszyscy żyli w najwyższym napięciu, które zresztą wciąż rosło. Ci, którzy znali Duszołap, wiedzieli, że wcześniej czy później dowie się o inwazji. Jej reakcja z pewnością będzie gwałtowna i widowiskowa, szybka i nieprzewidywalna – z rodzaju tych, jakich nikt nie chciałby odczuć na własnej skórze.

Terytoria Tagliańskie:
ROZPACZ BEZ DNA

Narajan jęknął, kiedy dziewczyna go zbudziła, jednak opanował się natychmiast. Protektorka znajdowała się gdzieś w pobliżu; nigdy jeszcze nie deptała im po piętach tak bardzo jak w ciągu ostatnich dwu dni. Słabe dokonania Córki Nocy, zmuszonej posługiwać się talentem, którego nie rozumiała, ledwie wystarczyły, aby nie dopuścić do ich schwytania. Jednak ich losy ważyły się każdego dnia. Gra mogła skończyć się w mgnieniu oka. Jemu i dziewczynie nie pozostało już nic. Jeśli Protektorka przywiozła ze sobą kilka swoich cieni...

– O co chodzi? – szepnął. Zmagał się z bólem, który ostatnio stale mu towarzyszył.

– Coś się stało. Coś wielkiego. Potrafię to wyczuć. To jest... Nie mam pojęcia, co to jest. Jakby moja matka się obudziła, rozejrzała dookoła, a potem znowu zasnęła.

Narajan nie pojmował, co też oznajmił.

– To była ona. Wiem. Czułam jej dotyk. – Zmieszanie mijало, a dziewczyna szybko odzyskiwała wiarę i pewność siebie. – Chciała mnie zapewnić, że wciąż tam jest. Chciała, żebym wytrzymała. Chciała, żebym wiedziała, iż wkrótce wszystko odmieni się na lepsze.

Narajan, który dobrze znał rodzoną matkę dziewczyny, podejrzewał, iż dziecko podobne jest w znacznie większym stopniu do swej ciotki, Protektorki. Protektorka była kapryśna. Nastroje Córki Nocy też zmieniały się z każdym podmuchem wiatru. Żałował, że brakuje jej choć odrobiny stałości charakteru cechującej matkę. Aczkolwiek, z drugiej strony, Pani potrafiła ulegać prawdziwym obsesjom, na przykład nie umiała zapomnieć o wyrównaniu rachunków z nim i kultem Oszustów. Była w swoim czasie

narzędziem Kiny, ale nie miała w sobie nawet śladu miłości czy bodaj szacunku dla bogini.

– Słyszysz, co mówię, Narajan? Ona tam jest! Już niedługo będzie taka bezsilna.

– Słyszę. I naprawdę jestem równie podekscytowany. Lecz są cuda i cuda. Nadal musimy uciec przed Protektorką. – Dłonią wskazał niebo na zachodzie. W dole wysokiego, porośniętego krzewami zbocza kłębiły się kruki.

Duszołap też miała swe obsesje. Ten pościg trwał już wieczność, a jak dotąd żadna ze stron nie mogła poszczycić się sukcesami. Czy Protektorka nie miała nic innego do roboty? Kto rządził Taglios i terytoriami lennymi? Jej nieobecność na pewno rozbudzi wszelkie zło.

Na początku Singh był pewien, że Duszołap szybko znudzi się i zajmie czymś innym. Zawsze tak było.

Ale nie tym razem. Tym razem się uparła.

Dlaczego?

Z Protektorką nigdy nie wiadomo. Mogła mieć jakąś wizję przyszłości. Mogła nie być w stanie wymyślić sobie bardziej interesującego hobby. Jej motywacje nawet dla niej samej bywały niekiedy zagadką.

Z miejsca, które musiało być stanowiskiem Duszołap, kruki wachlarzem odleciały na północ. Z jakiegoś powodu najwyraźniej zależało im na zbadaniu obszaru mającego kształt kawałka tortu. Szybowały na wietrze, nie spiesząc się, powoli. Narajan i Córka Nocy obserwowali je bez jednego poruszenia. Kruki miały bystry wzrok. Jeśli dwoje najświętszych z żyjących Oszustów potrafi je dostrzec, kruki również będą w stanie dostrzec ich – gdy choć na chwilę zawiedzie niepewny talent dziewczyny.

Pojedynczy ptak spłynął lotem ślizgowym na południowy wschód. Singha uderzyła myśl, iż zachowuje się jak pijany. Wkrótce nigdzie nie było widać nawet skrawka czarnego pióra.

– Ruszajmy zaraz, póki jeszcze się da – powiedział. – Wiesz, sądzę, że ta mgielka na południu to Danda Presz. Za tydzień będziemy już w górach. Tam na pewno nas nie znajdzie.

Pobożne życzenia. I oboje o tym wiedzieli.

Córka Nocy szła przodem. Miała znacznie lepszą kondycję niż Singh. Niecierpliwiła ją jego niezdolność dotrzymywania jej kroku. Czasami

przeklinała go i biła. Podejrzewał, że opuści go, gdy tylko znajdzie kogoś innego na jego miejsce. I choć jej horyzonty myślowe nie wykaczały daleko poza sprawy kultu, zdawała sobie sprawę, że wpływ żyjącego świętego na Oszustów był znacznie silniejszy niżli kiepsko wyszkolonego kobiecego mesjasza, którego status akceptowano dzięki jego poręce.

Tak naprawdę słabość Narajana ich uratowała. Dziewczyna przykucnęła właśnie w krzakach, oglądając się za siebie ze źle skrywaną irytacją.

– Tu jest polana. Duża. Prawie bez osłony. Może powinniśmy poczekać do zapadnięcia zmroku? Czy obejdziemy ją dookoła? – Kiedy znajdowali się na otwartej przestrzeni, maskowanie ich obecności było znacznie trudniejsze.

Czasami zastanawiał się, na kogo dziewczyna by wyrosła, gdyby wychowywała ją rodzona matka. Pewien był, że do tego czasu Pani zdążyłaby już zmienić ją w mroczny postrach. Nie po raz pierwszy, czy bodaj tysięczny żałował, że Kina nie pozwoliła mu poświęcić Pani tego dnia, gdy przyszedł odebrać nowo narodzoną Córkę Nocy. Jego życie byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby tamta kobieta wówczas umarła.

– Daj mi spojrzeć.

Przykucnął. Ból szarpnął jego lewą nogą, jakby ktoś ciął ją tępym nożem. Wyjrzał na kamieniste pustkowie, prawie zupełnie pozbawione życia – wyjąwszy przygarbiony, poskręcany pień drzewa pośrodku, nie wyższy jak na półtora metra. Widok wydał mu się jakoś dziwnie znajomy. Nigdy dotąd nie natknął się na coś takiego, ale miał wrażenie, że powinien wiedzieć, o co chodzi.

– Nie ruszaj się – nakazał Córcie Nocy. – Nawet nie oddychaj zbyt głęboko. Coś jest nie w porządku.

Zamarł. Dziewczyna zamarła. Nigdy nie sprzeciwiała mu się w tych sprawach. Za każdym razem miał rację.

Wreszcie go oświeciło.

– To jest Protektorka – szepnął. – Ten pniak. To ona spowita w iluzję. Już wcześniej używała tej sztuczki. Dowiedziałem się o tym, będąc więźniem Czarnej Kompanii. To jedna z magicznych metod, które stosowała, kiedy ich śledziła. Często napominali się nawzajem, żeby się tego wystrzegać. Przyjrzyj się uważnie miejscu, w którym gałąź skrzyżowana podwójnie i zakończona kępką cienkich gałązek wyrasta z pnia. Widzisz ukrywającego się tam kruka?

– Tak.

– Cofamy się ostrożnie. Powoli. Co?... Stój!

Dziewczyna zamarła. Trwała bez ruchu przez długie minuty, póki Narajan nie zaczął się rozluźniać.

– Co to było? – wymamrotała. Ani pniak, ani kruk nie wykonały żadnego alarmującego ruchu.

– Było coś... – Ale teraz nie był już pewien. Przez chwilę widział to kątem oka, kiedy jednak spojrział wprost, zniknęło. – Za tym wielkim, czerwonym głazem.

– Cii! – Dziewczyna patrzyła w drugą stronę. – Wydaje mi się... Tam. Coś... Nic nie widzę, ale czuję. Wydaje mi się, że obserwuje pniak...

Wrrr!

Oboje wyczuli raczej, niżli usłyszeli warczenie za swoimi plecami.

Jednak lata ucieczki wyrobiły w nich taką samodyscyplinę, że żadne nawet nie drgnęło. Coś wielkiego, ciemnego i nie do końca wyczuwalnego przetruchtało obok. Usta żyjącego świętego były szeroko otwarte, ale nie dobył się z nich najcichszy dźwięk. Dziewczyna przysunęła się bliżej, unikając gwałtownych poruszeń.

Na otwartej przestrzeni pojawiła się, migocząc, czarna sylweta nieznanego zwierzęcia wycięta z czarnego papieru. Nie przypominało ono psa. Miało zbyt wiele kończyn. Jednak na ulotną chwilę zatrzymało się obok pniaka, uniosło tylną nogę i puściło strumień cieczy.

I natychmiast, rzecz jasna, zniknęło. Pojawiła się natomiast Duszołap we własnej osobie. W widoczny wręcz sposób trzęsła się z gniewu.

– Coś się zmieniło – westchnął Narajan, nie zważając na ból.

– Coś więcej niż Matka.

Coś więcej niż Matka Nocy.

Coś, przez co od tej chwili będą czuć się stale tak, jakby byli obserwowani – również wtedy, gdy nie będą w stanie dostrzec wokół siebie nikogo.

Khatovar:
WŁADCY STRATOSFERY

Moje kruki nie odpoczywały nawet przez chwilę. Nim upłynęła godzina, dowiedziałem się, że Ospała uchwyciła przyczółek w naszym świecie oraz że forwalaka prześcignął Vorszk i teraz zmierza w naszą stronę. Natychmiast wydałem rozkazy. Bomarsz prawdopodobnie nie przybędzie przed upływem kilku godzin, chciałem jednak mieć pewność, iż każdy z mych towarzyszy zajmie wyznaczone stanowisko i że wszystkie zasoby mego arsenału można będzie wprowadzić do akcji nieomal natychmiast.

Wierzba Łabędź chodził wszędzie za mną, napominając, że moje wysiłki bynajmniej nie różnią się niczym od niepotrzebnej nadgorliwości Ospałej, za którą jej tak nie lubiłem.

– Chcesz na stałe zamieszkać w Khatovarze, Łabędź?

– Hej, nie zabijaj posłańca przynoszącego złe wieści.

Mruknąłem coś niezadowolony i poszedłem poszukać mej najdroższej.

– Czas, żebyśmy się przebrali. Przygotuj się do przedstawienia.

– Ach! – powiedziała. – Zawsze miałam słabość do mężczyzn w czerni, z ptakami na ramionach.

Przygotowania zostały ukończone. Kilkanaście miotaczy kul ognistych znalazło się na stanowiskach, moim zdaniem tak doskonale usytuowanych, że forwalaka, jeśli mnie zaatakuje, trafi pod ulewę ognia. Jeśli ujdzie z życiem, wówczas trafi na mnie i czarną włócznie Jednookiego. Z radością wyczekiwałem konfrontacji. Dość niezwykle w moim przypadku. Nie byłem jednym z tych ludzi, których bawi zabijanie związane z naszym zawodem.

Kruki śledziły potwora, znajdującego się o godzinę drogi. Ludzie spożywali ostatni posiłek, przed jej przybyciem należało pogasić ogniska. Jedliśmy świnie upolowaną przez Dodza. Zniknęła w mgnieniu oka. W moim oddziale było niewielu wegetarian.

Murgen przyłączył się do Pani i do mnie, kiedy graliśmy z Wierzbą Łabędziem w „kamień, nożyce, papier”.

– Goblin tu jest. Właśnie zszedł z krawędzi równiny. Jest z nim dwóch gości. Nieźle wyglądasz. – Jeszcze nie widział nowej zbroi Pozeracza Żywotów w akcji.

– Pobłogosław panią Kapitan i jej nieskończoną mądrość – mruknąłem.
– Szybko się uwinęli. Nie spuszczać tego małego gówniarza z oka. – Jakby trzeba było to powtarzać. – Powinienem zagnać go do roboty? – spytałem Panią.

– Bezwzględnie. Natychmiast wyślij go na front. Jednooki był jego najlepszym przyjacielem, prawda?

– Murgen, kiedy Goblin zejdzie na dół, po tym jak już z nim pogadasz, chcę, żeby przydzielono mu stanowisko w dole, gdzie umieściłem parę pięciocentymetrówek. Nie mamy pojęcia, czy w którejś zostało jeszcze cokolwiek. Tym dwóm gościom każ osłaniać podejście do Bramy Cienia. Ty i Tai Dei zostaniecie z Goblinem.

Murgen obrzucił mnie spojrzeniem pozbawionym wszelkich emocji.

– Jeśli będzie trzeba, poderżnij mu gardło. Albo walnij go w głowę. Jeśli da ci powód.

– Na przykład jaki?

– Nie mam pojęcia. Jesteś dorosły i inteligentny. Mówisz, że nie potrafisz stwierdzić, kiedy ktoś zasłużył na walnięcie w łeb?

– Nie sądzisz, że po to właśnie przybyli z nim ci goście?

O tym nie pomyślałem. Jednak wydało się to prawdopodobne.

– Może to ludzie, których znamy i którym możemy w pełni zaufać?

– Nie obejrzałem ich dokładnie, zaraz przybiegłem z raportem.

– Wobec tego obowiązują wydane rozkazy.

Uważnie wpatrywałem się w Goblina. Nie widziałem go, odkąd trafiłem pod ziemię. Postarzał się mocno.

– Ostatni raz, gdy o tobie słyszałem, byłeś dezenterem.

– Jestem pewien, że Jednooki wszystko wyjaśnił. – Głos był ten sam, ale w człowieku wyczuwało się jakąś nieuchwytną zmianę, która prawdopodobnie w większym stopniu była dziełem czasu oraz zdradliwej pamięci aniżeli jakiegoś nowego zła, jakie mogło go przeniknąć. W sumie jednak nigdy nie zawiodłem się nadmiernie na swej podejrzliwości.

Wzrost Goblina sytuuje go niedaleko dolnej granicy ludzkiej normy. Utył, mimo iż przez ostatnie lata nie mógł przecież dobrze jadać. Wypadły mu prawie wszystkie włosy. Nie uśmiechał się już tak chętnie. Sprawiał wrażenie nieskończenie zmęczonego, jakby uginał się pod ciężarem znużenia ciężącego na nim od czasów antycznych.

Ale i moja drzemka w jaskini starożytnych też nie była wyłącznie wypoczynkiem.

– Jednooki był notorycznym kłamcą. Z tego, co usłyszałem – zresztą piętnaście lat po fakcie – wynikało, że to był twój pomysł, a on tylko dał się w to wciągnąć.

– Pani Kapitan to wyjaśnienie wystarczyło. – Nie kłócił się i nie roześmiał. To była ostatnia wskazówka, jakiej potrzebowałem. W Goblinie nie pozostał nawet ślad poczucia humoru. Na tym polegała ta wielka zmiana.

– Jej sprawa. Przybyłeś akurat na czas. Forwalaka będzie tu za kilka minut. Tym razem go zabijemy. Nie straciłeś swoich umiejętności podczas uwięzienia, co?

W głębi jego oczu coś drgnęło. Wydawało się zimne i wściekłe, ale mogła to być zwyczajna irytacja, spowodowana tym, że nagle znalazł się pod ostrzałem tyłu par oczu.

– Kapitanie?

To musiał być ktoś ze starej gwardii. Wszyscy pozostali pozbyli się już tego nawyku, aczkolwiek wielu wciąż mówiło do Pani: „Poruczniku”, ponieważ Ospała nigdy oficjalnie nie obsadziła tego stanowiska. Większość związanej z nim roboty wykonywała Sahra, mimo oficjalnego statusu obcej.

Dlaczego przywiązywaliśmy taką wagę do tych drobnych różnic?

– Co?

– Coś się dzieje. Prawdopodobnie Czarne Ogary zaganiają forwalakę, z czego wynikałoby, że potwór blisko.

– Alarm bojowy. Murgen, pokaż Goblinowi jego stanowisko. – Wszystko na mnie szczekało i chrzęściło. Zbroja była głównie paradna,

jednak prawdziwa i ciężka.

– Kapitanie! – Dobiegło z oddali. – Tam! – Człowiek wychylał się zza swej osłony i wskazywał dłonią.

Zagapiłem się.

– Cholera! – wybuchnęła Pani. – Dlaczego, do diabła, twoje kruki nic o tym nie powiedziały? – Rozejrzała się w poszukiwaniu kryjówki.

Od zachodu zmierzały w naszą stronę trzy latające istoty, w szyku klucza. Mój człowiek zobaczył je z daleka, więc mimo iż poruszały się szybko, mieliśmy dość czasu, aby się im przyjrzeć. Ten, kto popisał się takim sokolim okiem, zasłużył sobie na premię.

Lotnicy popełnili błąd, nadlatując na wysokości pozwalającej uniknąć zauważenia przez Nierozpoznane Cienie. Tym samym zupełnie się odslonili – w dniu, kiedy pogoda akurat zrezygnowała ze zwyczajowego zachmurzenia i opadów, ich sylwetki można było dostrzec gołym okiem na tle krystalicznie błękitnego nieba.

– Skup się na zmiennokształtnej, najdroższy – zachnęła się Pani. – To tylko dywersja. Zajmę się tym. – Wykrzyczała rozkazy. Sam dorzuciłem kilka własnych.

Myliła się rzecz jasna. To forwalaka stanowił dywersję dla tych latających Vorszk – chociaż Bomarsz z pewnością upierałaby się, że jest na odwrót. Z nieco mniejszej odległości napowietrzni czarownicy wyglądali niczym falujące bryłki przyłączone do długich słupów palisady. Byli odziani w coś, co musiało być całymi akrami czarnego jedwabiu, powiewającego za plecami.

Musieli mieć powody, by wierzyć, że ich nie zauważymy. Nie podjęli żadnych prób zamaskowania się.

Kiedy zwolnili, natychmiast zacząłem podejrzewać, że chcą skoordynować harmonogram ataku z forwalaką – i miałem rację.

Rozległy się liczne wrzaski, a potem kłęb ciemnego futra eksplodował ledwie sto metrów przed naszymi najbardziej wysuniętymi posterunkami. Nierozpoznane Cienie przypuściły zmasowany atak na forwalakę. Dokładnie tak, jak miały to zrobić, zniemacka i szybko, w tym właśnie miejscu.

W chwili, gdy Bomarsz zatrzymała się, by rozszarpać widma, te zniknęły.

W tym też momencie stanowiła znakomity cel.

Miotacze kul ognistych wkroczyły do akcji.

Na nieszczęście, większość tych, które działały, rzygnęła swym nieprzewidywalnym ogniem w stronę khatovarskich czarowników. Tylko dwie lekkie, bambusowe tuleje pozostawały wycelowane w potwora. A na dodatek jedna z nich wyzionęła ducha, wypluwszy z siebie w pierw jadownicę zieloną kulę, która poruszała się nieskoordynowanymi skokami i rzutami. Mimo to jednak przypaliła na bokach bestii blizny, których ta nabawiła się podczas naszego poprzedniego spotkania. Z drugiego miotacza otrzymała solidne trafienie w kark.

Mogłaby chociaż zawyć.

Nie spuszczałem z niej wzroku. Pani wciąż coś mówiła, podając bieżące informacje. Wedle jej słów, lotnicy zostali całkowicie zaskoczeni. Skłoniło mnie to do podejrzeń, że między Lizą Delą Bomarsz a czarownikami Vorszk niewiele było szczerości.

Powinni wiedzieć. I ona, i oni.

Vorszk nie byli wszak całkowicie nieprzygotowani. Otoczyli się ochronnymi zaklęciami, które odbiły najłżejsze z ognistych kul – zazwyczaj osłona prowadzącego szyk kierowała je ku któremuś z lecących na skrzydłach. Zaklęcia jednak nie potrafiły odbić wszystkich ciosów, poza tym szybko słabły.

Zbierałem się w sobie, przygotowując na szarżę forwalaki, kiedy jeden z lotników przeciął nieboskłon dokładnie na linii mego wzroku i wirując, pomknął ku ziemi w pióropuszu płomieni. Wrzask ucichł gwałtownie, gdy czarownik uderzył w coś po mojej prawej stronie.

Strategia polegała na zagnaniu forwalaki ku mnie, wprost pod włócznie Jednookiego, i pokaleczeniu go po drodze w maksymalnym stopniu. Czarną włócznie przymocowałem do końca trzyipółmetrowej bambusowej tyczki, aby zwiększyć zasięg grotu. Kiedy Bomarsz zostanie przyszpilona, wykończą ją ludzie z miotaczami. Zakładając, że włócznia Jednookiego nie straciła swej mocy wraz z jego śmiercią.

I pod warunkiem, że ludzie z miotaczami pozbędą się wcześniej rozrywki nad nami. Zaryzykowałem spojrzenie w górę. Prowadzący zawracał. Cokolwiek zamierzał pierwotnie, najwyraźniej nic z tego nie wyszło; zmuszono go, by skoncentrował się na obronie. Drugi Vorszk zawisł kilkaset metrów na wschód od nas, tlił się i powoli dryfował wraz

z bryzą, wciąż żywy, choć ledwie. Nim z powrotem zwróciłem spojrzenie na forwalakę, zauważyłem, że tamten jednak powoli wzbijał się w górę.

Na panterolaka sypał się deszcz oszczepów i strzał. Wszystkie strzały zostały zatrute. Na wypadek, gdyby udało im się jakoś przebić skórę.

Dziw nad dziwy! Wbijały się licznie w ciało. Potwora powoli skrywał rodzaj czarnej mgiełki migoczących drzewc, sprawiającej wrażenie, jakby granice między jego kształtem a otaczającym światem poniekąd się zamazywały.

Pani krzyczała. Dużo. Precyzja ognia stanowiła sprawę zasadniczą. Nie będziemy w stanie stworzyć nowych tub bambusowych plujących ogniem, póki nie znajdziemy się bezpieczni w naszym świecie. Połowa tych, z którymi przystąpiliśmy do boju, już została wyłączona z akcji. Chłopcy nie zaznali prawdziwej walki od lat, jednak pamiętali, na czym rzecz polega. Kule ogniste przestały lecieć w górę, zanim moja żona wykrzyczała odpowiednie rozkazy. Paru żołnierzy skorzystało ze sposobności, by wpakować kilka w forwalakę. Biedna Liza nie miała chyba żadnych przyjaciół.

Nie była tak niepodatna na ciosy, jak oczekiwałem. Już zataczała się niczym pijana, choć przecież trucizna nie mogła jeszcze zacząć działać. Wytrzymałość i żądza walki jej gatunku były legendarne, a witalność wedle naszego doświadczenia ustępowała jedynie żywiołowej witalności czarowników należących do kręgu znanego jako Dziesięciu Których Schwytano. Z którego Duszołap i Wyjec byli ostatnimi. Z którego niedługo nie pozostanie już nikt.

Byłem zdecydowany zakończyć całą sprawę. Miałem listę ludzi, którzy bardzo chcieli oświetlać mi drogę do piekła.

Tymczasem potwór znów doszedł do siebie, najwyraźniej otrząsnąwszy się z efektów działania grotów, kul ognistych i chemikaliów. Przygotowywał się do szarży, kombinując, że wpadnie prosto między nas, co uchroni go przed naszą najgroźniejszą bronią, a jemu pozwoli uczynić użytek z kłów i pazurów.

Nie mam pojęcia, co Vorszk sobie wtedy wymyślili. Wiem tylko, że kule ogniste znowu poleciały w górę, a potem ziemia zadrżała, jakby kilka metrów ode mnie ktoś uderzył w nią ważącym cztery i pół tony młotem – forwalaka bowiem ruszył w moją stronę krótkimi ociężałymi skokami.

Tylna łapa wlokła się w pyle. W kilkunastu miejscach jego skóra się tliła. Poprzedzał go odór spalonego mięsa.

Kątem oka dostrzegłem ostatniego Vorszk, który przeciął niebo za sylwetką potwora. Kręcił się wokół własnej osi.

Bomarsz skoczyła na mnie i spróbowała odbić łapą grot zaimprovizowanej piki. Ale ten ruch był słaby i powolny. Grot włóczni Jednookiego przebił skórę i wszedł w ciało za prawym barkiem, który już wcześniej został porządnie poharatany. Poczułem, jak trafia na kość. Wrzasnęła. Siła szarpnięcia wyrwała mi broń z ręki, jednak koniec bambusowej tyczki wciąż tkwił mocno wbity w ziemię.

Impet skoku obrócił jej ciało. Udało jej się jeszcze trafić mnie łapą; przekoziołkowałem parę razy. Dopiero wtedy opadła na ziemię i zajęła się włócznią. Zbroja wytrzymała uderzenie pazurów. Ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, gdzie jest góra, a gdzie dół, niemniej moja głowa wciąż tkwiła na karku.

Odzyskałem bambusową tyczkę, ale już bez włóczni. Forwalaka szaleńczo kręcił się dookoła własnej osi, wrzeszcząc, warcząc i szarpiąc drzewce zębami, podczas gdy moi towarzysze ostrożnie usuwali się z jego drogi. Od czasu do czasu w zwierzę trafiała pojedyncza strzała lub oszczep, ale tylko wtedy, gdy nie było ryzyka chybienia.

Vorszk trzymali się z dala od walki. Jeden płonął na stoku na wschód od nas. Drugi wznosił się coraz wyżej, ciągnąc za sobą prawdziwe pióropusze dymu. Ostatni krążył ostrożnie, czy to szukając wyłomu w obronie, czy też tylko obserwując. Za każdym razem, gdy próbował się włączyć, kilka bambusowych tub zwracało się w jego stronę, gwarantując stosowne powitanie. Podejrzewałem, że większość nie działa. Ale jaka jest prawda, można było przekonać się tylko w najbardziej nieprzyjemny sposób.

Do zbroi Pożeracza Żywotów dołączony był wielki, czarny miecz, przypominający nieco Spopielającą Różdżkę Dodża. Wyciągnąłem go w chwili, gdy forwalaka spróbował mnie dosięgnąć. Mimo przepełniającego mnie podniecenia i strachu czułem sięomalże głupio. Mineły dziesiątki lat, odkąd używałem miecza w okolicznościach innych niż podczas treningów z Wujkiem. Tego nie znałem w ogóle. Może okazać się czymś niewiele więcej wartym niż zwykła ozdoba. Niewykluczone, że pęknie przy pierwszym ciosie.

Zmiennokształtna przeszła chwiejnie kilka kroków. Ktoś trafił ją z boku, ale kula ognista zrykoszetowała. Oszczepty i strzały sypały się nadal. Znowu sięgnęła pyskiem do rany, w której tkwiła włócznia Jednookiego. Ostatecznie wszystkie oszczepty i strzały wyslizgnęły się z jej ciała, została tylko czarna włócznia. Powoli samoistnie wchodziła coraz głębiej.

Wkroczyłem do akcji, uderzyłem. Czubek mojego miecza wbił się na kilkanaście centymetrów w lewy bark wielkiego kota, który ledwie się zachwiał. Rana krwawiła tylko przez kilka sekund, potem zamknęła się, zablizniając na moich oczach.

Uderzyłem znowu, niedaleko tego samego miejsca. Potem jeszcze raz. Nie należy poddawać się rozpacz. Jej witalność nie była dla nas zaskoczeniem, jednak jej rany goiły się w tempie, w jakim powstawały. I tylko włócznia niczym robak wgryzała się coraz głębiej. Bestia powoli chyba traciła serce do walki.

Krzyki!

Ocalały Vorszk kierował się w moją stronę – leciał szybko, jego zaklęcia ochronne odbiły pierwsze kule ogniste, które skoczyły na jego powitanie, ten sam los spotkał strzały i bełty. Ugiąłem nieco nogi w kolanach, przygotowując się do szybkiego uderzenia, czekając tylko, aż zbliży się dostatecznie. Vorszk uniósł dłoń, chcąc cisnąć coś przed siebie, jednak zanim zakończył wymach, jakby znikąd pojawił się mój biały kruk i dziabnął go od tyłu w głowę. Mimowolny odruch wbił mu podbródek w pierś.

Wątpię, by coś mu się stało, jednak na moment o mnie zapomniał. Machnął ręką, odganiając ptaka. Widmowy stwór przysiadł na jego ramieniu niczym na żerdzi i próbował wydziobać mu oczy.

Nawet z tak bliska nie potrafiłem dojrzeć jego twarzy. Była przesłonięta fałdami tej samej materii, która spowijała resztę postaci.

Wyprowadziłem cios, ale źle oceniłem szybkość. Brzeszczot miecza ugrzązł w słupie, którego dosiadał, jakieś trzydzieści centymetrów za jego pośladkami. Pęd Vorszk wyszarpnął mi rękojeść. Ułamek sekundy później tamten uderzył w ziemię. Prawie natychmiast jednak, wyjąc, poderwał się znowu w powietrze i umknął lekko zakrzywionym torem na północ, przez cały czas kręcąc się dziko wokół osi swego latającego słupa. Jego szata czy też peleryna powiewała na niebie. Odrywały się od niej strzępy materii i spokojnie spływały w dół.

Forwalaka słabł coraz bardziej. Kilku żołnierzy opuściło kryjówki i z najwyższą ostrożnością podchodziło bliżej. Pani i Dodż przyłączyli się do mnie. Każde z nich dzierżyło jeden z paralizujących fetyszy wykonanych przez Tobo z ogona i fragmentów skóry, które Bomarsz straciła, zabijając Jednookiego. Pani poinstruowała go, jak należy je zrobić. Fetysze miały szczególną moc, ponieważ Pani i Tobo znali prawdziwe imię Lizy Deli Bomarsz i mogli wpleść je w zaklęcia.

– Łabędź, weź drużynę i sprawdź tego, który tam płonie – nakazałem. – Bądź ostrożny. Murgen, nie spuszczaaj oka z pozostałych dwóch. – Vorszk, który umknął, bezładnie wirując, znowu odzyskał panowanie nad swym wehikułem i teraz powolutku zmierzał w naszą stronę, wzbijając się w górę, równocześnie zbliżając się do tego, który cały czas pozostawał w powietrzu i też wznosił się pomału. Jednocześnie wiatr zaczął znosić tego drugiego i wszystko wskazywało na to, iż zapłonął on prawdziwym ogniem.

– Kochanie, masz może przypadkiem oko na Goblina? – spytałem moją najdroższą. Nasz tajemnie wskrzeszony brat pozostawał skrajnie cichy podczas pierwszej wymiany pozdrowień między rodziną Vorszk a Czarną Kompanią. Chyba że coś mi umknęło, kiedy byłem zajęty.

– W chwili obecnej wycelowane są weń dwie bambusowe tuleje gwarantowanej jakości.

– Świetnie. Zrobisz ich więcej, kiedy wrócimy do domu, prawda? To najlepsza broń ze wszystkich, jakie kiedykolwiek mieliśmy.

– Zrobię parę. Jeśli starczy czasu. Gdy moja siostra dowie się, że wróciliśmy, będziemy bardzo zajęci.

Świat nagle spłynął żółcią. Światło rozbłysku zgasło, zanim zdążyłem spojrzeć w górę, natomiast w miejscu, gdzie wcześniej dryfował tłący się czarownik Vorszk, rósł fantastyczny kwiat eksplozji.

Jedyny ocalały Vorszk skierował się na północ, tym razem ostatecznie. A z nieba, dokładnie na nas, spadał człowiek; szerokie zwoje czarnej materii powiewały za nim, kipiąc dymem. Nie było śladu po ślupie, na którym frunął. Upadek przebiegał osobliwie powoli.

Tymczasem zupełnie niewytracony z równowagi przydzielonym zadaniem Wierzba Łabędź nawoływał ze zbocza. Potrzebne mu były nosze.

– Tamten wciąż żyje – zauważyła Pani.

– Mamy zakładnika. Niech ktoś szturchnie to coś ostrzem. Prawdopodobnie tylko udaje umarlaka. – Forwalaka zaprzestał walki. Leżał

na grzbiecie, lekko wygięty, obie ręce ściskały drzewce włóczni Jednookiego.

– Ręce – powiedział Murgen, kiedy Tai Dei szturchnął potwora końcem jednego z dłuższych miotaczy kul ognistych.

– Ręce – powtórzyłem. Powoli następowała przemiana. Przemiana, o której marzyła, kiedy zamordowaliśmy jej mistrza i kochanka, Zmiennokształtnego, dawno temu, podczas naszego pierwszego szturmu na Dedzagore.

– Ona umiera – oznajmiła Pani. W jej głosie słyhać było konsternację i odrobinę rozczarowania.

Khatovar:
POTEM PODŁÓŻ OGIEŃ

Z góry dobiegł nas krzyk przybierający coraz wyższe tony. Spadający z nieznośną powolnością Vorszk przebił się przez liściasty dach jednej z kryjówek. Wrzask ucichł. Kawałki dachu wyleciały w powietrze.

– Murgen, idź to sprawdź – rozkazałem.

Kiedy znów spojrzałem na forwalakę, okazało się, że dołączył do nas Goblin. Przepchnął się przez tłum i pochylił nad potworem, spoglądając nań. Zdążyła przemienić się już do połowy, nogi i ręce, choć straszliwie poorane bliznami, należały do kobiety. Była na tyle świadoma, że poznała Goblina.

Mały człowieczek o żabiej twarzy powiedział:

– Próbowaliśmy ci pomóc, ale nam nie pozwoliłaś. Mogliśmy cię uratować, ale zwróciłaś się przeciwko nam. Teraz za to płacisz. Zadrzesz z Kompanią, musisz zapłacić. – Wyciągnął dłoń, sięgając po włącznię Jednookiego.

Ludzie podskoczyli ze wszystkich stron. Pół dziesiątki bambusowych tub skierowało się w stronę Goblina. Kusze zeskokczyły z ramion.

Mały czarodziej parę razy otwierał i zamykał usta. Potem wolno cofnął dłoń.

Przypuszczam, że słowo wypowiedziane przez Jednookiego na łożu śmierci szybko się rozniosło.

– Może nie trzeba było mnie ratować – pisnął Goblin.

– To nie my – zareplikowała Pani, ale nie wyrzekła nic więcej. Odciągnęła mnie na bok. – On ma coś wspólnego z tym, że Bomarsz tak szybko umarła.

Zerknąłem za siebie.

- Ona jeszcze żyje.
- Powinna okazać się znacznie twardsza.
- Nawet uwzględniając fetysze i włócznie Jednookiego?
Zastanawiała się chwilę.

– Może masz rację. Kiedy wreszcie umrze, upewnij się, że ta rzecz nie wpadnie w niczyje ręce. Nie podoba mi się wyraz twarzy Goblina, kiedy na nią patrzy.

Wyraz ten jakoś nie chciał zniknąć, trwał niczym przyklejony do jego oblicza, aczkolwiek mały czarodziej nie zdradzał najmniejszej ochoty zrobienia czegokolwiek, co mogłoby wywołać pewną, szybką i gwałtowną reakcję.

Nadchodził Łabędź ze swoimi ludźmi; czterech mężczyzn niosło zaimprovizowane nosze. Truchtając, wydyszał:

– Poczekaj tylko, aż zobaczysz, Konował. Nie uwierzysz własnym oczom.

W tej samej chwili Murgen zawołał o kolejne nosze. A więc drugi Vorszk też przeżył.

Łabędź miał całkowitą rację. Dziewczyna na noszach była zupełnie niewiarygodna. Może szesnaście lat, blondynka, cudowna niczym marzenie wszystkich chłopców.

– Najdroższa, to prawda czy iluzja? – zapytałem moją żonę, do Łabędzia zaś rzekłem: – Dobra robota, Wierzba. – Skrępował i zakneblował dziewczynę, aby uniemożliwić jej wykonanie większości prostszych czarnoksięskich sztuczek.

– Odsuńcie się, ludzie – ogłosiła Pani. Z ubrania dziewczyny niewiele zostało. A na pewno niejedyn z chłopców gotów byłby potraktować ją jako zdobycz wojenną, choćby tylko dlatego, że nas zaatakowała. Niektórzy identyczną kurację zaaplikowaliby pojmanemu mężczyźnie. Być może byli moimi braćmi, ale to nie czyniło ich ludźmi mniej okrutnymi.

– Zabierz Dodża z powrotem na to miejsce i przynieście wszystko, co do niej należało – nakazała Łabędziowi. – Jej ubranie, a zwłaszcza tę rzecz, na której latała. – Do mnie zaś rzekła: – Tak, najdroższy, to jest najczystsza prawda. Wyjawszy odrobinę makijażu. Już jej nienawidzę. Goblin! Chodź tutaj i stań tak, żebym mogła cię widzieć.

Patrzyłem na dziewczynę Vorszk, nie interesowała mnie jednak jej świeżość i bujność kształtów, tylko blond włosy i błądy odcień skóry.

Przeczytałem całe Kroniki aż do pierwszego tomu – aczkolwiek, przyznaję, była to tylko kopia, którą dzieliło od czasów oryginału kilka pokoleń – którego pierwsze części powstały, zanim nasi przodkowie opuścili Khatovar. Ci ludzie nie byli wysocy, biali i nie mieli blond włosów. Może zatem Vorszk stanowili nieszczęście z zewnątrz, jak Władcy Cienia w moim świecie oraz Hsien?

W tym momencie Pani zdjęła swój hełm, aby tym łatwiej piorunować mnie wzrokiem. Ja zaś zdałem sobie sprawę, że odcień jej skóry również jest śnieżnobiały, choć nie była blondynką.

Dlaczego mielibyśmy oczekiwać po ludności Khatovaru, że będzie bardziej homogeniczna rasowo niż ludność w naszym świecie?

Murgen i jego drużyna przybyli biegiem, niosąc kolejne ciało na następnych nieporządnie skleconych noszach. Pierwszej dziewczynie udało się uniknąć poparzeń i skutków uderzenia w ziemię. Druga nie miała tyle szczęścia.

– Następną dziewczyna – zauważyłem. Trudno było ten fakt zignorować. Zresztą w jej przypadku to jeszcze bardziej rzucało się w oczy.

– Młodsza od tamtej.

– Ale równie dobrze zbudowana.

Przynajmniej tak to wyglądało z miejsca, w którym stałem.

– Są siostrami – warknęła Pani. – Macie pojęcie, co to oznacza?

– Przypuszczalnie Vorszk mają dla nas tak mało szacunku, że wysłali jakieś dzieciaki, aby sobie trochę poćwiczyły. Jednak po tym, co nastąpiło, dziadzio i babcia z pewnością zechcą zająć się tym sami. – Dałem znak. –

Proszę bliżej, panowie. – Kiedy wszyscy, którzy nie mieli nic do roboty, zbliżyli się, oznajmiłem: – Nie trzeba będzie długo czekać, aż niebo zaroi się od niemiłego towarzystwa. Chcę, żebyście zabrali się do przygotowań do wymarszu i zaczęli przeprowadzać zwierzęta oraz sprzęt na drugą stronę.

– Myślisz, że trzeciemu uda się dolecieć do armii Vorszk? – zapytała Pani.

– Nie namówisz mnie, żebym stawiał na wariant przeciwny. Wszystkie optymistycznie usposobione dzieci mojej matki nie żyją już od pięćdziesięciu lat. – Zerknąłem na forwałakę. Teraz był już prawie w całości Lizą Bomarsz. Wyjąwszy łeb. – Wygląda jak jakieś mitologiczne stworzenie, nieprawdaż?

Jeszcze żyła. Jej oczy pozostawały otwarte. Nie były to już oczy kota. Błagały. Nie chciała umierać.

– Nie wygląda nawet na odrobinę starszą niż wtedy, gdy ją widziałem po raz ostatni – rzekłem do Pani. Wciąż była młodą i atrakcyjną kobietą, przynajmniej jak na kogoś, kto całe lata spędził w najgorszych slumsach naprawdę paskudnego miasta. – Hej, Żłób. Weź Flejtucha. Chcę, żebyście, chłopcy, zgromadzili tu całe drzewo, jakie mamy na opał, i zbudowali stos wokół tego stwora.

– Pomogę – powiedział Goblin.

– Powiem ci coś, karzełku. Jeśli chcesz mieć robotę, to zbuduj mi parę porządných noszy, żebyśmy mogli zabrać nasze nowe dziewczyny.

– Transport im nie zaszkodzi? – Pani miała wątpliwości.

– Starsza prawdopodobnie byłaby w stanie wstać i pokuśtykać o własnych siłach, gdyby była przytomna. Jednak będę musiał dokładniej zbadać tę drugą i sprawdzić, czy nie ma jakichś wewnętrznych obrażeń.

– Tylko uważaj, gdzie będziesz ją szczypał i ścisnął, staruszk.

– Można by pomyśleć, że w twoim wieku dopracowałaś się subtelniejszego poczucia humoru, staruszk. Nie rozumiesz, że każdy zawód ma swoje korzyści? Lekarz może sobie poszczypać i pościskać.

– Podobnie jak żona.

– Podczas ceremonii ślubnej wiedziałem, że czegoś zapomniałem. Powinienem żem przywieść prawnika. Żłób! Nikt nie dotyka tej włóczni, póki nie rozpalimy ognia. A i potem ja się wszystkim zajmę. Gdzie moje ptaszki? Powinienem wezwać Czarne Ogary. – Nie mogliśmy zostawić ich tutaj. Były decydującą bronią w wojnie z Duszołap. Prawdopodobnie Ospałej już ich rozpaczliwie brakowało.

Łabędź i trzej inni zbliżali się ku nam, niosąc z wysiłkiem słupek, na którym leciała starsza z dziewczyn. Wierzba zadyszał się.

– Ta cholerna rzecz waży chyba z tonę! – Wszyscy czterej już chcieli rzucić go na ziemię.

– Nie! – szczeękła Pani. – Delikatnie! Pamiętajcie, co się stało z drugim? Tam w górze? – Wskazała dłonią. Dym czy pył, czy co to tam było, wciąż zasnuwał niebo. Wewnątrz chmury od czasu do czasu rozlegało się trzaskanie kieszonkowej błyskawicy. – Teraz znacznie lepiej. Goblin! Dodź! Chodźcie i przyjrzyjcie się tej rzeczy.

– Przyjrzyj się temu materiałowi – powiedział Łabędź, podając mi kawałek czarnego łachmana.

Pod palcami był gładki jak jedwab i wydawał się niemalże nieważki. Rozciągał się, kiedy zań szarpałem, ale nie rozdzierał ani nie stawał cieńszy. Przynajmniej z pozoru.

– Teraz popatrz na to. – Łabędź dźgnął materię nożem. Ostrze nie przeszło na drugą stronę. Kiedy spróbował ciąć, również nic nie wskórał.

– Czyż to nie piękna sztuczka? Mieliśmy szczęście, że wzięliśmy ze sobą bambusy – powiedziałem. – Kochanie, przyjrzyj się temu. Pokaż jej, Łabędź. Wy, ludzie, zanieście ten pał na drugą stronę Bramy. Ruszać się, wiara! Ci goście potrafią latać. A następna gromadka, która się pokaże, z pewnością nie będzie przyjaźniej nastawiona. – Tak naprawdę nikt nie potrzebował mojej zachęty. W górę stoku już szła zgrabna kolumna ludzi, zwierząt i sprzętu. Starszą dziewczynę Vorszk przywiązaną do pierwszych noszy Goblina też niesiono w górę.

Kiedy Łabędź skończył pokazywać płótno Pani, powiedziałem doń:

– Postaraj się znaleźć w którymś szałasie taki bal lub słup, który z daleka będzie podobny do tej latającej rzeczy.

Pani i Goblin, jak również Wierzba zagapili się na mnie. Tym razem twardo postanowiłem skorzystać z prerogatyw dowódcy i niczego nie tłumaczyłem. Miałem przecucie, że Vorszk nie będą chcieli zostawić tego słupa... Co moi towarzysze zapewne pojęli, ale gdybym to powiedział, domagaliby się dalszych wyjaśnień.

– Ta druga dziewczyna ma połamane kości, kiepsko wyglądające oparzenia, rany cięte i otarcia oraz prawdopodobnie obrażenia wewnętrzne – dodałem.

– I? – zapytała Pani.

– I sądzę, że za bardzo nam się nie przyda. Prawdopodobnie umrze. A więc zamierzam zrobić rzecz dla niej najlepszą i zostawić ją własnym ludziom.

– Robisz się miękki na starość?

– Jak powiedziałem, przysporzy nam więcej kłopotów, niż jest warta. Nadto jej siostra wkrótce już wstanie i będzie chodzić. Dlatego jeśli z tą postąpię miłosiernie i zostawię tutaj, Vorszk mogą być mniej skłonni do gonięcia za nami i dokuczania nam.

– Co zrobią?

– Nie mam pojęcia. I nie chcę się przekonać. Po prostu biorę pod uwagę fakt, że byli w stanie przeprowadzić Bomarsz na równinę, a potem z powrotem, w jedną i drugą stronę, nie niszcząc żadnej z Bram Cienia. Mam nadzieję, że nie mają tego, co jest niezbędne, by w ten sam sposób przeprowadzić armię.

– Gdyby byli w stanie to zrobić, nie podejmowałiby prób złapania nas. Możliwe, że wyprawa Bomarsz udała się tylko dlatego, że ona jest tym, kim jest, i raz już przez to przeszła.

Spojrzałem na forwalakę. Teraz już nawet jego głowa należała do Lizy Deli Bomarsz. Tej samej Lizy Bomarsz, która zrujnowała Marrona Zalewacza. Jej oczy były zamknięte, ale wciąż oddychała.

Trzeba będzie to załatwić do końca.

– Najpierw musisz odciąć głowę – poinformowała mnie Pani. – Potem podłóż ogień.

31

Khatovar: BRAMA OTWARTA

Vorszk nie próbowali podkraść się chyłkiem. Z północnego zachodu nadleciał wściekły rój żądny zemsty. W pierwszej fali było ich co najmniej dwudziestu pięciu.

W tym czasie wszyscy moi ludzie znaleźli się już po stronie wznoszącej się ponad Bramę Cienia, jednak wielu Nierozpoznanym Cieniom nie udało się wrócić. Rozrzuciłem w lesie muszle ślimaków, aby miały gdzie się schować. Miałem zamiar wydostać je później, gdy sytuacja się uspokoi.

Rój zniżył lot, czarna materia łopotała na niebie. Mimo iż widzieli przecież, że jesteśmy za Bramą, a główny trzon sił dotarł już na równinę, opadli w dół i zaatakowali nasz pusty obóz, obrzucając go masą drobnych przedmiotów, które w jednej chwili zmieniały skrawki gruntu w maleńkie jeziora lawy, roślinność zaś w węgiel. Nie ocalało żadne ze wzniesionych przez nas schronień ani zagrody dla zwierząt. Jednak nic nawet nie musnęło poranionej dziewczyny i stosu pogrzebowego forwalaki.

– Cieszę się, że nie muszę uciekać, a te kropelki nie lecą mi na głowę – powiedziałem. Paru Vorszk uparło się nie oszczędzić mi tego doświadczenia, jednak bariera między Khatovarem a równiną łatwo unieszkodliwiła ich pociski i natychmiast wchłonęła wszelką magię. Nie zadziałały, nawet kiedy opadły na ziemię.

– To też są tylko dzieci – oznajmiła Pani.

Na pozór członkowie roju robili, co komu przyszło do głowy, pędzili każdy w swoją stronę, jednak żaden z nich nie zderzył się z innym. Kiedy ich działania nie przyniosły rezultatów, większość opadła na ziemię wokół rannej dziewczyny.

Przyczajeni za Bramą Cienia wycelowaliśmy bambusy i czekaliśmy.

Drugą falę tworzyło tylko trzech. Pojawili się kilka minut po tamtych.

– To będą przywódcy – powiedziała Pani – ponieważ są odrobinę bardziej ostrożni niż młodzi. – Wokół nich falowało jeszcze więcej czarnej materii.

– Najwyraźniej w wyprawie wzięli udział najwyżsi statusem członkowie rodziny – zgodziłem się. – Musi być tych ludzi od cholery. Biorąc pod uwagę rozmiar armii, jaka im towarzyszy. – Nie licząc samych Vorszk, moi szpiedzy oceniali nadciągające siły na mniej więcej ośmiuset żołnierzy. Idący przodem oddział kawalerii składał się z pięćdziesięciu. Gdyby nie czuwający nad nimi podniebni jeźdźcy na słupach, istniała spora szansa na ich pobicie.

Opuszczając się na ziemię, lotnicy Vorszk ustawiali swoje dziwaczne środki transportu pionowo, niczym sztachety płotu, który nie przewróci się, jeśli nie popchnie go ludzka ręka.

Starsi przed wylądowaniem wykonali parę okrążeń. Czas jakiś zajęło im zbadanie nieprzytomnej dziewczyny i dopiero wówczas zwrócili uwagę na nas.

Zrobiłem dyskretny gest dłonią. Ludzie na zboczu, którzy dotąd czekali beczynn timer i gapili się, podjęli marsz. Wodzowie Vorszk mieli zobaczyć, jak odprowadzamy drugą dziewczynę oraz, być może, również czwórkę żołnierzy niosących latający słup, podczas gdy światłość mego serca i ja pozowaliśmy im za Bramą, odziani w nasze najbardziej zabójcze kostiumy. Czulem szeroki uśmiech błakający się po moich zakrytych hełmem ustach.

W dole, wśród zgromadzonych Vorszk, ignorowany dotąd, ale bynajmniej nie zapomniany, bezgłowy korpus naszego odwiecznego wroga syczał i traskał pośród szalejących płomieni. Żałowałem, że nie mamy już Lancy Cierpienia, aby ją również pokazać tym facetom. Kruki nie były w stanie stwierdzić, czy Vorszk zdają sobie sprawę z tego, kim jesteśmy.

– Historia ma nieznośną tendencję do powtarzania się – powiedziałem i machnąłem dłonią. Potem zwróciłem się do Pani: – Sądzę, że powinniśmy już ruszać. Ewentualna wdzięczność, jaką mogliby poczuć z racji tego, że zajęliśmy się ich dziećmi, z pewnością nie potrwa długo.

– Stercząc tu, prawdopodobnie już nadużyłeś ich cierpliwości. – Ruszyła w górę zbocza. Wyglądała zupełnie nieźle w tej swojej zbroi, poza tym utrzymywała całkiem zwawe tempo, jak na staruszkę.

Wkrótce już wszyscy latający czarownicy patrzyli w górę zbocza, pokazując coś rękoma i gadając jeden przez drugiego. Świadomość, iż słupek wpadł w nasze ręce, wprowadziła ich najwyraźniej w znacznie większe podniecenie niż to, że uprowadziliśmy dziewczynę. Może nie była nikim ważnym. A może uznali, że jest na tyle duża, by sama o siebie zadbać.

Jeden ze starszych usunął się na bok tego roztrzepotanego, czarnego tłumu. W dłoni trzymał niewielką księgę. Przewrócił parę stronic, znalazł tę, której szukał, a potem czytając, wodził palcem wzdłuż wierszy. Drugi pokiwał głową i najwyraźniej po raz kolejny powtórzył, co miał do powiedzenia, podkreślając swe słowa żywą gestykulacją. Po chwili podjął rzecz trzeci, gestykulując podobnie, lecz w innym rytmie niż tamci dwaj.

– Szykuje się powtórka – poinformowałem Panią. Dogoniliśmy już naszych najwolniejszych ludzi. – Ruszać się, przebierać nogami. – Sam też, jak tamci na dole, wykonałem kilka stosownych gestów. – Spróbujecie czegoś, to pożałujecie.

Vorsz jak na komendę odwrócili się do nas plecami.

Błysk był tak jaskrawy, że na moment mnie oślepił. Kiedy odzyskałem wzrok, zobaczyłem kolejną sturamienną rozgwiadę szaro-brązowego dymu. Ale tym razem nie na niebie. W miejscu, gdzie kiedyś była Brama Cienia. Dokładnie tam, gdzie wcześniej ukryłem latający bal pod płachtą rzekomo porzuconego namiotu.

– Ostrzegalem – mruknąłem.
– Skąd wiedziałeś? – zapytała Pani.
– Nie wiedziałem. Przypuszczam, że to przeczucie. Przebłysk intuicji.
– Sprowadzili na siebie zagładę. – W jej głosie dało się usłyszeć nutę omalże współczucia. – Nie dadzą rady powstrzymać powodzi cieni.

Niektórzy z Vorsz już zdawali sobie sprawę z rozmiarów katastrofy, która miała wkrótce nadejść. Czarne, roztrzepotane sylwetki rozbiegły się niczym karaluchy wyciągnięte z nienacka na światło. Latające słupy uniosły się w powietrze i pomknęły na zachód tak szybko, że fragmenty czarnej materii odrywały się, spadając na ziemię niczym szerniające jesienne liście.

Trzej starsi trwali na swym posterunku. Patrzyli w naszą stronę. Ciekawiło mnie, co też dzieje się w ich głowach. Można było spokojnie się założyć, że na pewno nie zdają sobie sprawy, iż katastrofa stanowi wynik arogancji ich samych. Nigdy nie spotkałem nikogo pośród czarowników, kto byłby gotów przyznać się do własnej omyłności, choćby nie wiem co.

Byłem pewien, że czas, który im jeszcze pozostał, spędzą na niezmordowanych kłótniach, kogo obciążyć winą. Natura ludzka w działaniu.

– O czym myślisz? – zapytała Pani.

Zdałem sobie sprawę, że przystanę i obserwuję Vorszk, obserwujących z kolei mnie.

– Zastanawiałem się nad sobą, nad tym, dlaczego nie porusza mnie to tak, jak jeszcze parę lat temu. Dlaczego teraz łatwiej dostrzegam ból, ale nie dotyka mnie on nawet w choćby zbliżonym stopniu.

– Wiesz, co Jednooki zwykł mawiać o tobie? Że za dużo myślisz. Miał rację. Spłaciłeś swe zobowiązania wobec niego. Lepiej wróćmy do naszego świata i zobaczmy, czy nie da się spuścić lania naszej dziewczynce albo przywołać do porządku mojej siostrzyczki. – Ton jej głosu zmienił się jednak radykalnie, dostosowując do rodzącej się w głowie myśli. – Jednej rzeczy będę się domagać. Wciąż. Narajana Singha. Chcę go. Jest mój.

Zamrugalem pod przyłbicą hełmu. Biedny Narajan.

– Została mi jeszcze jedna rzecz do załatwienia – powiedziałem.

– Co? – szczerknęła.

– Kiedy ci trzech znikną, muszę wydostać z powrotem przyjaciół Tobo.

Mruknęła coś i ruszyła. Ona z kolei musiała upewnić się, że za nami da się zamknąć drogę wiodącą przez równinę, abyśmy sami nie padli ofiarą tego wybuchu.

Ziemie Cienia:
PROTEKTORKA WSZYSTKICH TAGLIAN

W ciągu stuleci przebywania pośród ludzi, którzy jej dobry stan zdrowia uważali za osobistą obrazę, instynkt samozachowawczy Duszołap stał się czuły niczym napięta struna. Ze zmiany w świecie zdała sobie sprawę na długo przedtem, nim zrozumiała, na czym może ona polegać, jaki będzie jej charakter – dobry, zły czy obojętny – i całe wieki, nim odważyła się zaryzykować przypuszczenie jej przyczyn.

Z początku było to tylko niejasne wrażenie. Potem, stopniowo, zmieniło się w nacisk tysiąca spojrzeń. Jednak nie potrafiła niczego wykryć. Jej kruki również nie umiały nic znaleźć, prócz okazjonalnych, nieprzewidywalnych, przypadkowych mgnień ściganej zwierzyny – dwojga Oszustów. Ale wszelkie wieści o nich docierały za późno.

Duszołap natychmiast zrezygnowała z polowania. Późniejsze osaczenie Oszustów nie powinno nastroić kłopotów.

Przed nastaniem nocy nie dowiedziała się nic więcej – wyjąwszy fakt, że kruki były nadzwyczaj niespokojne i z każdą chwilą stawały się coraz bardziej nerwowe, coraz trudniejsze do opanowania, coraz skłonniejsze do atakowania cieni. Nie potrafiły wyjaśnić natury swego niepokoju, ponieważ same jej nie rozumiały.

Wszystko zaczęło się wyjaśniać, dopiero gdy mrok zgęstniał. Medytacje Duszołap przerwali posłańcy, przynosząc wieści o kilkunastu krukach, które dopadła nagła choroba.

– Pokażcie mi.

Nie podjęła żadnych wysiłków zamaskowania swej postaci, gdy szła za swoimi ptakami do najbliższego pierzastego truchła. Podniosła je, ostrożnie obracała w dłoniach obleczonych w rękawiczki.

Natychmiast stało się jasne, co zabiło kruka. Bynajmniej nie choroba, lecz morderczy cień. Żadne ciało nie wyglądało tak jak to, z którym skończył cień. Ale to przecież niemożliwe. Dookoła wciąż było zbyt wiele światła. Jej oswojone cienie pozostawały w swych kryjówkach, a nigdzie nie wałęsały się żadne dziczkałe. Poza tym żaden dziki cień nie będzie marnował sił na kruka, skoro okolica obfitowała w ludzką zwierzynę. Usłyszałyby wrzaski Narajana Singha i tej swojej paskudnej siostrzenicy na długo przedtem, nim którykolwiek kruk... Wszelako ptaki zupełnie zamilkły. I żaden z innych, o których wiedziała, że zginęły, umierając, nie dobił głosu z gardła. Ocalałe miały natomiast mnóstwo do powiedzenia. Włączywszy w to zupełnie jednoznaczne stwierdzenie, że nawet na krok nie oddalą się od jej opiekuńczych skrzydeł.

– Jak mam z tym walczyć, skoro nie mam pojęcia, co to jest? Może jednak zechciałybyście zbadać to dla mnie?

Kruki nie dawały się ani zastraszyć, ani skusić. Były geniuszami wśród ptaków. Co oznaczało, że dysponowały dostateczną przenikliwością do stwierdzenia, iż każdy z zabitych był zupełnie sam, kiedy wpadł w ręce zła.

Duszołap skłęta je, potem uspokoiła się i jakoś przekonała najodważniejsze ptaki, że w takich okolicznościach muszą, aż do zapadnięcia zmroku, udawać się na zwiady po trzy, cztery. A wtedy ona będzie miała do dyspozycji nietoperze, sowy oraz własne cienie, które przejmą obowiązki kruków.

Zapanowała ciemność. Jak to słusznie zauważyli Oszuści, ciemność nadchodzi zawsze.

Wraz z nastaniem nocy rozpętała się milcząca, lecz przeraźliwie okrutna wojna, pośród której Duszołap znalazła się niczym w oku cyklonu.

Z początku tylko desperacko broniła się przed nieznanymi napastnikami, do czasu aż jej własne cienie zdołały sprowadzić posiłki. Potem, rozrzutnie szafując siłami cieni, przeszła do ofensywy. A kiedy nadszedł świt, ją zaś krwawy bój nieomal zupełnie pozbawił nadprzyrodzonych sprzymierzeńców, poddała się wyczerpaniu. Wcześniej jednak poznała prawdę, przynajmniej częściowo.

Wrócili. Wróciła Czarna Kompania, prowadząc ze sobą nowe oddziały, nowych sprzymierzeńców, nowe czary. W ich sercach wciąż nie było nawet odrobiny litości. Nie była to Kompania, jaką znała z dawnych lat, jednak

obecni jej członkowie byli duchowymi synami zimnokrwistych zabójców z tamtych czasów. Najwyraźniej ginęli tylko żołnierze. Ideały żyły dalej.

Ha! Nareszcie chwila ucieczki od nudy władania imperium.

Brawura i pełna fanfaronady poza nie stłumiły jednak do końca niewyjaśnionego lęku. Uciekli na równinę. A teraz wrócili. Musiało kryć się w tym coś więcej. Podczas tych wszystkich spokojnych lat trzeba było choć raz przesłuchać cienie żyjące na lśniącem kamieniu. Kiedy jeszcze był czas. Zanim jednak uczyni coś więcej, musi zająć się tym, co zawsze wychodziło jej tak dobrze: przetrwaniem.

Znajdowała się w odległości setek kilometrów od najbliższego wsparcia. Oblegały ją istoty, które nie ulegną jej woli czy czarom i których istnienie była w stanie wykryć, jak się wydawało, tylko dzięki własnym cieniom albo wówczas, gdy atakowały ją bezpośrednio. Były równie zapalczywe jak cienie, ale jednocześnie jakieś dziwne. Wydawały się jeszcze bardziej nie z tego świata niżli jej niewolne duchy i najwyraźniej cechowała je wyższa inteligencja.

Każde osobiste zgładzenie jednego z nich wywoływało w jej duszy zarówno niezmierny smutek, jak i pewność, że walczy tylko z najsłabszymi spośród nich. Nie potrafiła pozbyć się przeczucia, iż nadciągają demony i półbogowie.

Tym, czego jednak nie umiała pojąć, były powody, dla których tak ją to przerażało. Nie było tu nic bardziej śmiertelnościowego, groźnego czy dziwnego od tysiąca niebezpieczeństw, jakim wcześniej stawiała czoło. Nic nawet do pięt nie dorastało czystemu, mrocznemu złu Dominatora u szczytu jego potęgi.

Zdarzały jej się, aczkolwiek nieczęsto, chwile, gdy tęskniła za tą mroczną i odległą przeszłością. Kiedy to Dominator wziął sobie ją i wszystkie jej siostry, z jednej uczynił swą żonę, z drugiej kochankę...

Był silnym, twardym, okrutnym mężczyzną. W jego imperium rządziły przemoc i stal. A Duszołap pławiła się w jego przepychu i mrocznej chwale. I nigdy nie potrafiła zapomnieć, że jej rywalka, ostatnia ocalała z sióstr, wszystko zrujnowała. Niech sobie inni obwiniają Białą Różę za śmierć Dominatora. Duszołap znała prawdę. Dominatora nigdy nie spotkałby tak żaloszny kres, gdyby ta skamląca dziewczyna, którą miał za żonę, nie przyłożyła do tego ręki.

A któż po ich wskrzeszeniu walczył i konspirował tak zawzięcie, by Dominator pozostał pod ziemią? Jego ukochana żoneczka, oto kto!

Wróci z pewnością. Musiała być gdzieś tam, gdziekolwiek Czarna Kompania znalazła kryjówkę. Jeszcze nie dotarła tutaj, ale wkrótce to nastąpi. Pogrzebanie żywcem nie mogło stanowić poważniejszej przeszkody na drodze do nieuchronnego losu – tej nieubłaganej chwili, gdy stojąc twarzą w twarz, rozstrzygną dzielące je różnice zdań.

Mimo stuleci doświadczenia Duszołap pozostawała jednak ślepa na niektóre rzeczy. Nie rozumiała, że fortuna potrafi być równie kapryśna i szalona jak ona sama.

Jej zdolność do regeneracji była niezmierną. Po kilku godzinach odpoczynku wstała i powędrowała na północ, a krok miała równy i pewny. Dzisiejszej nocy zgromadzi wokół siebie armię własnych cieni. Nigdy więcej nie wystawi się na takie niebezpieczeństwo, jakie groziło jej zeszłej nocy.

Przynajmniej tak uspokajała samą siebie.

Późnym popołudniem odzyskała zwykłą pewność siebie, a pojedyncze myśli już wybiegały poza dzisiejszy kryzys ku niepewnym zarysom poddającej się kształtowaniu przyszłości.

Duszołap już dawno temu oswoiła się ze świadomością, że rozmaite potworności będą się jej zdarzać, jednak miała zarazem pewność, iż ze wszystkiego wyjdzie obronną ręką.

33

Khatovar: ODEJŚCIE

Wygląda na to, że jest czysto – powiedział Łabędź. Murgen i Tai Dei mruknęli potwierdzająco. Skinąłem głową Niueng Bao. Jego zdanie w tej kwestii liczyło się. Wzrok miał równie bystry jak piętnastolatek. Ja byłem prawie, cholera, ślepy na jedno oko, nic zaś nie potrafiłem wypatrzeć drugim.

– Dodż, co sądzisz? Uciekli? Czy wycofali się i przyczaili, na wypadek gdybyśmy my wycofali się i przyczaili? – Ponieważ element zaskoczenia nie był już mym sprzymierzeńcem, nie chciałem ponownie trafić na Vorszk, zwłaszcza na tych starych. Z pewnością będą rozżaleni i chętnie zawłoką mnie ze sobą do piekła.

– Odeszli. Odeszli, żeby przygotować się na rzeź. Wiedzą, że trwoga i rozpacz idą za nimi, ale wiedzą również, że są dość silni, by je przetrzymać, jeśli tylko zachowają spokój i wezmą się do roboty.

Przypuszczam, że musiałem zagapić się na niego z otwartymi ustami.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Za sprawą ćwiczeń umysłowych. Weź pod uwagę, co o nich wiemy, o czarownikach jako takich oraz o istotach ludzkich w ogólności, a reszta sama ci się nasunie. Przeszli już przez to wcześniej, na mniejszą skalę. Przygotowali plany, na wypadek gdyby zdarzyło się znowu. Cały ten wyludniony teren, stąd aż do przeciwległych zboczy Danda Presz, posłuży temu samemu celowi tak jak pusty obszar otaczający fortecę przygotowującą się do oblężenia.

– Przekonałeś mnie. Miejmy tylko nadzieję, że nie przygotowali się tak dobrze, by z góry wiedzieć, jak się do nas dobrać zaraz po tym, gdy uporają się z zarazą. – Mając na względzie paskudne uszkodzenia Bramy Cienia

i przylegającego do niej fragmentu bariery, wątpiłem, by kilku najbliższym pokoleniom Vorszk zostało dużo zbędnej energii.

Nagle Łabędź oznajmił:

– Przez chwilę również mnie miał, ale oto argument, który udowodni to, co od zawsze wiedziałem: Wujek Dodż ma głowę pełną trocin.

Z zarośli w dole stoku wychynęło sześć czarnych sylwetek. Szli nadzwyczaj powoli, parami, z rękoma rozłożonymi na boki, ich latające bale pełzły zaś w ślad za nimi na wysokości ich bioder.

– Nie mam pojęcia, o co tu, cholera, chodzi, ale chcę, żeby Goblin i Dodż trwali w gotowości – powiedziałem. – Murgen, ty i Tai Dei zajmiecie flanki, abyśmy mogli uderzyć w nich ognistymi kulami z frontu i obu stron naraz. – Ja i moi kumple mieliśmy jeszcze trzy aktywne tuby, a więc literalnie tyle, ile zostało na wyposażeniu oddziału. Pani twierdziła, że wszystkie trzy razem zdolne były do oddania sześciu skutecznych strzałów. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Jedna ognista kula dla każdego Vorszk.

– Pewien jesteś, że chcesz wyciągnąć te diabły? – zaczął Łabędź. – Życie byłoby znacznie przyjemniejsze...

– Tu i teraz. Ale co zrobimy w domu, kiedy Duszołap będzie szła na nas i wszyscy będą błagać Tobo, by spuścił Czarne Ogary, ale nie będzie żadnych Czarnych Ogarów? A reszta Nierozpoznanych Cieni powie nam: „Nie mam zamiaru nadstawiać karku dla tych gości, którzy nawet nie spróbowali wydostać Ogarów z Khatovaru”.

Łabędź jęknął. Goblin wyszczerzył zęby.

– Odrobina emocji, co, Kapitanie? Sądziłem, że już nic w tobie nie zostało.

– Kiedy będę chciał posłuchać, jak chrzanisz, kurdupłu, to wykopię to z ciebie. Co on powiedział? – Pochód Vorszk sunący w naszą stronę zatrzymał się. Jeden z nich przemówił. I, o dziwo, jego słowa brzmiały cokolwiek zrozumiale. – Powiedz to jeszcze raz, chłopie.

Czarownik chyba zrozumiał. Powtórzył swe słowa, głośniej i powoli, w taki sposób, jak mówi się do głuchych, opóźnionych w rozwoju i obcokrajowców.

– Co to za szemranie? – zapytałem. – Odnoszę wrażenie, że były tam słowa, które powinienem rozpoznać.

– Pamiętasz Jałowiec? – odpowiedział pytaniem Goblin. – Wygląda, jakby próbował przemawiać w sposób, w jaki tam mówiono.

– Jest w tym jakiś sens. Bomarsz pochodziła z Jałowca. A więc słuchaj uważnie. – Goblin również służył z Kompanią w Jałowcu. Bardzo, bardzo już dawno temu. Miałem żyłkę do języków. Czy uda mi się przypomnieć sobie na tyle dużo, aby była z tego jakaś korzyść? Niewiele już dnia zostało.

Powoli coś zaczynało mi się klarować, mimo potwornego akcentu i wręcz odrażającej gramatyki, którą posługiwał się Vorszk. Beznadziejnie mylił końcówki i tryby.

Goblin i ja naradzaliśmy się podczas trwania przemowy. Mały czarodziej nigdy nie mówił dobrze w tym języku, jednak nie miał kłopotów ze zrozumieniem, co doń mówiono.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć Łabędź. Jemu przypadła w udziale któraś z bambusowych tub. Najwyraźniej powoli robiła się ciężka.

– Brzmi to tak, jakby chcieli, żebyśmy ich ze sobą zabrali. Uważają, że zbliża się koniec świata, i nie mają zamiaru brać w nim udziału.

Goblin pokiwał głową na znak zgody.

– Ale nawet przez sekundę bym im nie ufał – dodał jeszcze ku przestrodze. – Trzeba zakładać, że zostali nasłani, by nas szpiegować.

– Nie ma sprawy – rzuciłem. – Nie tylko do nich się to odnosi.

Goblin zignorował zaczepkę.

– Każ im się rozebrać. Do naga. Dodż i ja przeszukamy ich rzeczy, zobaczymy, czy nie mają wszy.

– W porządku. Ale Dodża zabieram ze sobą. Pomoże mi zbierać muszle ślimaków. – Zacząłem wyjaśniać Vorszk, co muszą zrobić, jeżeli rzeczywiście chcą iść z nami. Nie spodobało im się to. Próbowali się kłócić. Nie miałem zamiaru wdawać się z nimi w dyskusje, mimo iż bardzo mi zależało na latającym słupie, który Pani i Tobo mogliby zbadać. Cholera, posiadanie kilku takich byłoby nie od rzeczy.

– Jeśli nie zobaczę zaraz nagich ciał, chcę zobaczyć plecy odchodzących. Kiedy doliczę do pięćdziesięciu, każdy, kto nie rozbierze się lub nie odejdzie, zginie na miejscu – poinformowałem Vorszk. Słowa powracały do mnie dosyć gładko, aczkolwiek moje oświadczenie nie było wystarczająco jasne. Dwójka Vorszk, prawdopodobnie najbystrzejszych, niemal natychmiast zaczęła się rozdziewać. Ukazała się skóra równie blada

i włosy równie jasne jak u dziewczyn, których ciała widzieliśmy wcześniej, ci Vorszk jednak czerwienili się ze wstydu i trzęśli ze złości. Obserwowałem ich uważnie, aczkolwiek nie interesowały mnie ciała. Zdecydowanie, które włożą w tę ponizającą czynność, da mi wskazówkę co do szczerości ich intencji.

Dla jednej młodej kobiety okazało się tego za dużo. Rozebrała się już na tyle, że można było rozpoznać płeć, zanim przekonała się, iż nie potrafi posunąć się dalej.

– Lepiej zmykaj, dziewczyno – powiedziałem. Uciekła. Wskoczyła na swój latający słup i tyle ją widzieliśmy.

Jej dezercja podziałała na jednego z młodych mężczyzn. Zmienił decyzję, mimo iż był już właściwie nagi. Nie popędzałem go, kiedy się ubierał.

To dawało czwórkę, trzech chłopaków i dziewczynę, wszystkich nastoletnich, aczkolwiek nie w jednym wieku.

Machnąłem dłonią ku czekającym powyżej, pewien, że w chwili obecnej Pani musi nas obserwować i zgadnie, czego mi trzeba. Pod tym względem jest naprawdę bystra. I wkrótce już paru facetów schodziło po stoku, targając tobołki rozmaitych lumpów, aby odziać naszych jeńców.

Ci jeszcze nie do końca rozumieli swój obecny status.

Przepuszczałem ich pojedynczo przez Bramę Cienia, przez cały czas uważnie obserwując. Nie podejrzewałem, że czegoś spróbują, ale dożyłem swoich lat, ponieważ miałem we krwi wypatrywanie kłopotów, kiedy zdawały się najmniej prawdopodobne.

– Nie wiecie przypadkiem, czy ten, kto przejdzie przez Bramę Cienia, nie wpakuje się zaraz w jakieś tarapaty? – zapytałem. Dzieciakom Vorszk związano ręce, kiedy tylko się ubrały, aby jeszcze bardziej je poniżyć.

Gość, który słabo mówił w narzeczu Jałowca, protestował przeciwko naruszeniu godności.

– To tylko tymczasowo – zapewniłem go – póki paru z nas pozostaje na zewnątrz: – Przeszedłem na tagliański. – Murgen, Łabędź, Tai Dei, trzymajcie tych ludzi na krótkiej smyczy.

Bambusowe tuby ze świstem przecięły powietrze. Mimo wieku i właściwego dlań cynizmu ci chłopcy potrafili jeszcze zdobyć się na wybuch entuzjazmu. Głównie udawanego.

– Jeżeli coś ci się stanie, nie zostanie z nich nic prócz mokrych plam i paznokci od stóp – obiecał Łabędź.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, Łabędź. Dodź, idziesz pierwszy. – Podstarzały Niueng Bao dobył miecz, Spopielającą Różdżkę, i przeszedł przez uszkodzoną Bramę Cienia na obszar Khatovaru. Zajął pozycję. – Twoja kolej, Goblin – rzekłem. Umówionym gestem poinformowałem Murgena, żeby nie wahał się posłać kuli ognistej w każdy podejrzany cel na zewnątrz.

To, co nastąpiło potem, całkowicie stanowiło prozę życia. Obszedłem z workiem wszystkie miejsca, które zapamiętałem, i zebrałem muszle ślimaków. Te, które służyły za mieszkania, inaczej reagowały na dotyk.

Moje kruki wróciły, zanim skończyłem. Doniosły o gorączkowych przygotowaniach Vorszk do nadejścia nocy. Zdaniem kruków intencje naszych renegatów były szczerze. Panika i trwoga szerzyły się dzięki posłańcom Vorszk.

Dzięki ptakom poszukiwania naszych cienistych towarzyszy przebiegały znacznie szybciej. Z góry wiedziałem, które muszle mogę zostawić i gdzie znaleźć te, które wcześniej pominąłem. Na godzinę przed zachodem słońca byliśmy po drugiej stronie Bramy.

Goblin wciąż badał rzeczy zdjęte z dzieciaków Vorszk. Mały czarodziej aż przemawiał falsetem z podniecenia.

– To jakiś naprawdę niesamowity materiał, Konował. Mam wrażenie, że reaguje na myśli tego, kto go nosi.

– Jest bezpieczny?

– Sądzę, że jest zupełnie nieczynny, póki nie znajdzie się w kontakcie z ciałem, do którego został dostrojony.

– Kolejna zabaweczka dla Tobo, na wolny czas, którego musi mieć pod dostatkiem w ogniu toczącej się wojny. Spakuj go. Wsadź na muła idącego na czele kolumny. Musimy ruszać. – Zmieniłem język i zwróciłem się do nieszczęśliwej młodzieży: – Uwolnię was z więzów. Mam zamiar wypuszczać was pojedynczo, abyście mogli zabrać swe słupy. Jednak nie będzie wam wolno na nich latać. Powędrujecie z tyłu kolumny. – Kiedy stosowali się do moich rozkazów, ciągnąłem dalej, przedstawiając im niebezpieczeństwa równiny. Widoczny na ich twarzach lęk przed cieniami dobrze rokował na przyszłość. Próbowałem wbić im do głowy, że jeśli uciekną na równinie, to zginąć może nie tylko ten, który uciekł, ale cały

oddział, więc kiedy ich zachowanie stanie się nieakceptowalne, nie powinni oczekiwać delikatności po moich ludziach.

Byłem ostatnim żołnierzem Kompanii, który opuścił ziemię Khatovaru. Zanim odszedłem, pozwoliłem sobie na skromną ceremonię pożegnalną; a może były to egzorcyzmy.

Młodzieniec poniekąd zdolny do komunikacji z nami chciał wiedzieć:

– Jakie jest znaczenie tego, co właśnie zrobiłeś?

Spróbowałem mu wyjaśnić. Nie zrozumiał. W swoim czasie odkryłem, że nigdy nie słyszał o Wolnych Kompaniach Khatovaru. Że nie miał zielonego pojęcia o historii swego świata z czasów, nim jego przodkowie przejęli władzę. Oraz że, co więcej, w ogóle go to nie obchodziło.

Wydawał się młodzieńcem bez reszty płytkim. Prawdopodobnie po jego towarzyszach nie należało oczekiwać niczego innego.

Kompania z pewnością okaże się dla nich objawieniem.

Pani i ja czekaliśmy przy krańcu drogi, by się upewnić, że została skutecznie zabezpieczona przed wtargnięciem cieni. Słońce zaszło. W miarę zapadania ciemności pogłębiało się wrażenie bycia obserwowanym, wywoływane przez gromadzące się zabójcze cienie. Wyczuwało się też narastające wśród nich podniecenie, jakby Gromada Nieodkupionych Zmarłych wiedziała, że coś się zmieniło, mimo iż przecież za dnia żaden nie był w stanie wyjść z ukrycia i spenetrować terenu.

Nad Khatovarem niebo nadal było czyste. Tuż przed zmierzchem wzeszedł księżyc; dawanego przezeń blasku było dość, aby oświetlić wstępne sceny inwazji. Strumyczek maleńkich odkrywców stopniowo przesączał się poza strzaskaną barierę. Do naszych uszu dotarł wrzask umierającej świni. Kolejne cienie ześlizgnęły się ze zbocza. Chociaż z pozoru nie komunikowały się ze sobą, jakimś sposobem coraz więcej coraz większych cieni uświadamiało sobie sposobność.

– Spójrz tam – powiedziała Pani. W pobliżu tarczy księżycyca przemknął szyk lotników Vorszk. I już za chwilę drobne kule światła zaczęły rozpryskiwać się wśród gęstych zarośli w dole stoku. – To pewnie coś takiego jak nasze kule ogniste.

Kule ogniste zostały pierwotnie stworzone, aby dać odpór powodzi ciemności, którą koniecznie chcieli zalać nas Władcy Cienia.

– W każdym razie nie poddadzą się bez walki. Spójrz na to. – „To” oznaczało Nef.

– Wędrowcy w krainie snów mają zamiar wyjść na zewnątrz? Ciekawe po co.

– Najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli wygnać na zewnątrz wszystkie cienie, a potem zatrzaskać za nimi Bramę na głucho.

Nawet Sziwetja przystałby na ten pomysł, jak sędzę. Nie bardzo były mu w smak pewne usprawnienia wprowadzone na równinie podczas ostatnich tysiącleci.

– Powinniśmy się już zbierać. Zapewne zechcesz się zastanowić, co zrobimy z naszymi nowymi dziećmi, kiedy dotrzemy już do przeciwległego krańca drogi, a ich zaczną kusić perspektywa ucieczki – skwitowała Pani.

Tak. Nad tym właśnie powinienem się zastanowić. Niepotrzebni nam byli kolejni psychopatyczni czarownicy płaczący się pod nogami.

Ziemie Cienia:
OBOWIĄZKI TOBO

Tobo skończył przesłuchiwać czarnego kruka, który wcale nie był ptakiem, a potem wysłał go co sił w skrzydłach do Konowała. Następnie odszukał matkę, Ospałą i zwykłych towarzyszy jej podróży – akurat studiowali mapę terytoriów na północ od Danda Presz. Próbowali wybrać najlepszą trasę dla sił, które wkrótce zejda z przełęczy. Małe, pokolorowane znaczki wskazywały miejsca, gdzie ostatnio dostrzeżono Protektorkę lub Narajana Singha.

Ospała spytała:

– Jakież wieści od Konowała?

– Skończył sprawę. Jest w drodze. Ale wszystko wyszło inaczej, niż oczekiwał. – Przekazał pełny raport.

– Będziesz musiał wrócić – poinformowała go Ospała. – Nie możemy ryzykować ściągnięcia sobie tu na głowy kolejnej bandy czarowników.

– No, myślę. – Tobo nie potrafił znaleźć w sobie śladu entuzjazmu dla tego zadania.

– Nie podoba mi się to. Dlaczego po prostu ich nie pozabijał, kiedy miał już ich latające rzeczy i te dziwaczne ubrania?

– Ponieważ on nie załatwia spraw w ten sposób. – Nie wspominając już o fakcie, że umarli nie bardzo chcą współpracować, kiedy próbuje się wydobyć posiadaną przez nich za życia wiedzę.

– Nie. Pozwala ludziom odejść w pokoju, a trzydzieści lat później zaczyna ich ścigać. – Dożyła z gardła odgłos przypominający warczenie. – Jak będą wyglądać postępy armii, jeśli ciebie zabraknie?

– Kiedy Konował przejdzie na tę stronę, wszystkie Nierozpoznane Cienie dotrą tu razem z nim. Nawet się nie obejrzysz, jak Czarne Ogary

będą patrolować front. Za dzień lub dwa będziemy wiedzieć, co się dzieje wszędzie, dokąd przyjdzie nam ochota je wysłać. – Ospałej potrzebne było to zapewnienie. Martwiło ją to, czego nie mogła zobaczyć. Przypominanie jej, że większość ludzi, włączywszy w to przeważającą liczbę dowódców, jest przez całe życie bardziej ślepa, niżli ona była kiedykolwiek, nie wpływało na poprawę jej nastroju.

Była kompletnie rozpuszczona. Przez cały okres jej służby w Kompanii w taki czy inny sposób zawsze dysponowaliśmy zdolnością zobaczenia, co dzieje się w oddalonych miejscach. Pozwalasz komuś przez jakiś czas czymś się cieszyć, a wkrótce zaczyna to traktować jak swe przyrodzone prawo. Ospała była znakomitym przykładem potwierdzającym tę regułę.

– Doskonale rozumiem, że chcesz, aby Tobo był na miejscu, nim pozwolisz jeńcom opuścić równinę. Ale dlaczego my nie możemy wyruszyć przodem? Z naszego siedzenia tutaj nic nie wyniknie – skarżył się Goblin.

– Wyniknie to, co chcę, żeby wynikło. A teraz zamknij się, zanim cię zaknebluję.

Sam zacząłem się już niecierpliwić, kiedy wreszcie pojawi się Tobo. Podlegał wszak zwykłym ograniczeniom normalnego podróżowania. Nie mieliśmy już żadnych latających dywanów, chociaż wciąż istniała nadzieja, że Wyjec stworzy jakiś, kiedy się już go obudzi. Jak dotąd nikt nie próbował. A teraz zarysowała się perspektywa pozyskania tajemnicy latających słupów Vorszk.

Tobo dotarł pod Bramę na grzbiecie superkonia, który związał swój los z Ospałą. Z rasy tej, pierwotnie wyhodowanej, aby służyć Pani z Wieży na północy, kilka przybyło na południe z Kompanią. Ten był ostatnim ocalałym egzemplarzem.

– Jak długo żyją te stworzenia, kochanie? – zapytałem Panią, obserwując zbliżającego się Tobo.

– Do czterdziestu lat. Maksymalnie. Ten najwyraźniej ma zamiar pobić rekord.

– Wygląda na dość zwawego. – Mimo sześćdziesięciu pięciu kilometrów w nogach zwierzę prezentowało się świeżo.

– W owych czasach stać mnie było na dobrą robotę.

– A teraz za nimi tęsknisz?

– Tak. – Nie okłamałaby mnie. Tęsknota za tym, kim kiedyś była, nie wpływała na jej miłość do mnie. Na ile jestem to w stanie stwierdzić, ona nigdy nie żałuje tego, co zrobiła, czy było to dobre, czy złe. Szkoda, że też tak nie potrafię.

Tobo zeskoczył z siodła tuż przed Bramą Cienia. Przepuściłem go na naszą stronę. Natychmiast wziął się do roboty, chociaż uśmiechnął się i pomachał do ojca i wujka Dodża.

– Masz pięciu jeńców? I wszyscy są potężnymi czarodziejami?

– O tym nic nie wiem. Jeśli o mnie chodzi, mogą być kompletnymi beztalenciami. Ale naprawdę fruwali sobie na słupach od palisady, mając na sobie rodzaj supermateriału, o którym Goblin twierdzi, że można nim operować za pomocą myśli. Wszystko to sprawia, że coś w mojej głowie mówi: „Lepiej bądź ostrożny, Konowal”.

– Można się z nimi porozumieć?

– Mamy tu dwóch braci, których ojciec badał i trzymał pieczę nad Bomarsz, kiedy przebywała w Khatovarze. Ojciec czasami potrafił zmusić Bomarsz, by na godzinę lub dwie przybrała ludzką postać, ale nie umiał ustabilizować przemiany. Sądził, że problem polega na zapętleniu, jakie Zmiennokształtny wbudował w fundament zaklęcia przemiany postaci. Zmienny jej nie ufał. Zapętlenie uaktywniło się, kiedy Jednooki go zabił. W każdym razie te dzieciaki Vorszk podłapały trochę ojczystego języka Bomarsz, kręcąc się przy niej właściwie od urodzenia. Kiedy Vorszk wysadzili Bramę Cienia, jeden z nich wpadł na błyskotliwy pomysł, że możemy ich zabrać w jakieś bezpieczne miejsce. Zebrał paru równie przestraszonych przyjaciół i przyszedł do nas. Zakładał, że wszyscy mówimy tym samym językiem co forwalaka. Po głowie chodziły mu jakieś durne pomysły, że natychmiast rozpoznamy przyrodzoną wyższość Vorszk i potraktujemy całą gromadkę niczym honorowych gości. Nie potrafił pojąć, by rzecz mogła przedstawiać się inaczej, ponieważ w Khatovarze wszystko odbyłoby się w taki właśnie sposób. Jest próżny, głupi i arogancki. Podobnie jak reszta. A jego brat w znacznie większym stopniu – nie chce nawet rozmawiać.

Tobo uśmiechnął się cokolwiek nieprzyjemnie, być może przypomniawszy sobie podobne nastawienie wojowników-władców Hsien.

– Podejrzewam, że nie ma końca niemiłym niespodziankom.

– Pewne jak cholera. Życie stało się dla tych dzieciaków niewyobrażalnym piekłem. Wciąż muszę im przypominać, że jeszcze żyją.

– Zobaczymy się z nimi, dobra? – Dzieciak wyglądał na podnieconego wyzwaniem.

Kiedy szliśmy w tamtą stronę, ostrzegłem go:

– Wszyscy wyglądają wspaniale, ale nie sądzę, aby za urodą kryły się rozумы. W każdym razie zdradzają wszelkie oznaki uczniowskiej tępoty.

Zatrzymaliśmy się kilka metrów od straconych dzieci Khatovaru. Skupiły się w gromadkę obok drogi, gdy tylko żołnierze Czarnej Kompanii i muły zaczęli przekraczać Bramę. Tylko jedna z dziewcząt miała dość ambicji, by unieść oczy. Ta mała. Ta, którą pojaliśmy.

Patrzyła na Tobo przez jakieś pół minuty. Potem mruknęła coś do swych towarzyszy. Oni również unieśli oczy. Już tylko na twarzy przywódcy i jego brata malowała się wrodzona arogancja. A przecież podróż jak dotąd nie była ani długa, ani wyczerpująca.

Najwyraźniej wyczuwali w Tobo coś, czego ja nie potrafiłem dostrzec. To obudziło w nich nadzieję. Kilku zaczęło paplać w rodzimej mowie.

– Kiedy przestaną klekotać, powiedz im, kim jestem. Jednak nie czuj się zobowiązany do absolutnej szczerości.

– Odrobina przesady nie zaszkodzi?

– To nigdy nie zaszkodzi.

Wywiad trwał znacznie dłużej, niż oczekiwałem. Tobo był niesamowicie cierpliwy jak na chłopaka w jego wieku. Bardzo się starał, by do Vorszk dotarło wreszcie, że nie są już w krainie swych ojców, że tutaj nie ma żadnego znaczenia ani kim są, ani kim byli ich rodzice. W naszym świecie będą musieli zarobić na własną kolację.

Zrobiliśmy przerwę na posiłek. Vorszk i ich strażnicy byli jedynymi ludźmi, którzy zostali za Bramą od strony równiny.

– Podziwiam twą cierpliwość – pochwaliłem Tobo.

– Sam siebie zaskakuję. Od dłuższej chwili miałem ochotę paru z nich dokopać. Tak czy siak, nie chodzi tylko o cierpliwość. Próbuje dowiedzieć się czegoś więcej o nich na podstawie tego, czego nie mówią i co im się mimowolnie wymknie. Masz rację. Nie wydają się szczególnie bystry. Aczkolwiek, jak sądzę, bierze się to w takim samym stopniu z edukacji, którą otrzymali, co z wrodzonej głupoty. Nie mają pojęcia o własnej przeszłości. Zielonego! Nigdy nie słyszeli o Wolnych Kompaniach. Ani

o Lancy Cierpienia. Nie wiedzą, że to paru naprawdę wielkich czarodziejów z Khatovaru wzniosło kamienne kolumny na równinie, cały czas pracując w obliczu nieustannej grozy cieni. Nic im nie mówi nawet nazwa „Khatovar”, choć znają Khadi pod zatartą przez czas postacią demona dawnej epoki, który nikogo już nie interesuje.

– Skąd to wiesz? O tych kamieniach pamięci.

– Baladitja dowiedział się od Sziwetji. Zauważyłeś, że runy na latających słupach są niemal identyczne z tymi, które masz na kolumnach?

– Nie zauważyłem, niestety. Zajęty byłem głównie obserwowaniem Goblina. Ten mały gówniarz mówi trochę w ich języku. Podkradał się do nich i próbował rozmawiać.

Tobo przeżuł kęs, skinął głową i zamyślił się.

– Pytałeś go o to?

– Nie. Nie ufam temu facetowi, Tobo. Jednooki ostrzegł mnie tuż przed śmiercią.

– Jeszcze przez długi czas nikt nie zaufa Goblinowi, Konował. I on zdaje sobie z tego sprawę równie dobrze jak wszyscy pozostali. Będzie ostrożny jak nigdy dotąd. Wręcz nie do poznania.

– Nie może nic poradzić na to, kim jest.

– Wpakował się we wszystko, w co się wpakował, ponieważ szedł jak osioł za Jednookim. Zastanów się nad tym, Konował. Jeśli jakimś sposobem stał się narzędziem Kiny, przydzielone mu zadanie będzie długoterminowe. W rodzaju: „Sprowadź Rok Czaszek”. Nie da się zabić, próbując czegoś głupiego.

Mruknąłem. Na racjonalnym poziomie brzmiało to jak najbardziej sensownie, jednak wciąż pozostawałem nieprzekonany. Goblin był Goblinem. Znałem go od dawna. Rzeczy, które robił, nie zawsze miały sens, nawet dla niego.

– Co zrobimy z Vorszk? – zapytałem.

– Mam zamiar ich uczyć.

Jasna cholera! Nie podobał mi się sposób, w jaki to powiedział.

Moich strażników zastąpili jego kumple, Taglianie dowodzeni przez starszego sierżanta nazywanego Rzekołazem. Wszyscy strażnicy mówili płynnie językiem Hsien i potrafili się swobodnie porozumieć w Niueng Bao, który jest blisko spokrewniony z mową Krainy Nierozpoznanych Cieni.

Tobo poinstruował strażników, a potem więźniów. Przeze mnie. Wyjaśnił im podstawowe fakty.

– Ci ludzie będą waszymi nauczycielami. Dzięki nim poznacie język oraz zdobędziecie wiedzę potrzebną do przetrwania w tym świecie. Opowiedzą wam o naszych religiach i prawach oraz o obyczajach kształtujących stosunki między ludźmi.

Zajmujący się tłumaczeniem chłopiec zaczął protestować.

Rzekołaż przyłożył mu w potylicę dostatecznie mocno, by tamten padł bez czucia.

Tobo kontynuował:

– Musicie zrozumieć, że jesteście naszymi gośćmi. Waszą wiedzą zapłacicie za możliwość opuszczenia Khatovaru, którą wam zapewnił. Zadamy, by wasze życie było tak wygodne, jak tylko się da, pod warunkiem że będziecie współpracować. Ale trwa wojna ze starożytnym i potężnym wrogiem. Nikt, kto nie będzie współpracował, nie powinien oczekiwać od nas cierpliwości. Może się ona wyczerpać szczególnie szybko wobec kogoś, kogo uznamy za bezpośrednie zagrożenie. Zrozumiano?

Tobo poczekał, aż skończę tłumaczyć. Poprosiłem go o dodatkowy czas, żeby upewnić się, iż dzieciaki naprawdę pojęły powagę sytuacji. Młodym jest szczególnie trudno zrozumieć, że okrucieństwo i śmierć mogą zagrozić im osobiście. Zazwyczaj przystaną prawie na wszystko, byle nie musieć dłużej tego wysłuchiwać.

– Przez resztę dzisiejszego dnia i całą noc możecie odpoczywać. Jutro zaczniecie intensywny kurs tagliańskiego – kazał powiedzieć im jeszcze. – W drodze, bo spieszymy się, by dogonić resztę naszej armii. Pojadę z wami i będę pomagał, na ile potrafię.

Chłopak stojący na czele grupki znowu chciał zaprotestować. Najwyraźniej nie słuchał zbyt uważnie tego, co tłumaczył. Rzekołaż znowu go znokautował. Tobo poinformował mnie:

– Ten będzie sprawiał kłopoty.

– Najprawdopodobniej wszyscy będą. Przecież uciekli z domu. – Musieli być wyrzutkami. Zmieniłem język i powiedziałem dzieciakom: – Jeśli zaczniecie sprawiać więcej kłopotów, niż jesteście warci, ci ludzie was zabiją. Teraz chodźcie. Chyba znajdzie się jakiś poczęstunek, byśmy mogli uczcić naszą znajomość.

Jedna z dziewczyn powiedziała coś w rodzimej mowie, ta schwyтана przez nas, nie ta, która przyszła z chłopakami.

Zareagowałem na jej skargę słowami:

– Powiedz jej, że nie może wracać do domu. Na to jest już za późno.

Tymczasem Tobo zauważył:

– Wszyscy tutaj od czegoś uciekają.

– Niektórzy – zastrzegłem. – Jak myślisz, kiedy będziemy mieć okazję usiąść gdzieś spokojnie? Mam mnóstwo do nadgonienia z pisaniem.

Tobo roześmiał się.

– Jeśli marzysz o chwili spokoju, lepiej zaaranżuj zamach stanu. Ospała nie spocznie, póki trupy nie spiętrzą się tak wysoko, by można budować z nich fortyfikacje.

Vorszk wieczorny posiłek najwyraźniej smakował. Byli tak głodni, że wszystko by im smakowało. Zaczęliśmy naukę tagliańskich rzeczowników. Tobo równocześnie obserwował ich i przyglądał się cudom, które przynieśli ze sobą. Znacznie mniejsze wrażenie wywarły na nim latające słupy niżli ubiory, których teraz nie wolno było im nosić.

– Te słupy sprawiają wrażenie wariacji na temat tego samego czaru, który Wyjec wykorzystywał do kierowania latającym dywanem – zwrócił się do mnie. – W końcu pewnie nauczę się na nich latać. Mogę też rzucić parę zaklęć, które sprawią, że ulegną samozniszczeniu, jeśli wpadną w niepowołane ręce.

Powiedziałem mu o dwóch, których eksplozje widziałem na własne oczy.

– A więc będzie to potężne samozniszczenie. Zachowam ostrożność.

– Z dziewczynami też bądź ostrożny. Myślę, że tej małej już wpadłeś w oko.

Kiedy przyszedł ranek, najważniejszego dzieciaka nie można było dobudzić. Żył, ale nikt nie potrafił go ruszyć z miejsca.

– Co zrobiłeś? – zapytałem Tobo szeptem, wyciągnąwszy pochopny wniosek, że chciał usunąć z drogi potencjalnego sprawcę kłopotów, nie pozabawiając się możliwości korzystania z jego słupa i ubioru.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

Po mnie Pani zbadala chłopca.

– To bardzo przypomina śpiączkę, w jaką kiedyś zapadł Kopeć – zawyrokowała w końcu.

Zgodziłem się z diagnozą. Ale za tamtą miała być rzekomo odpowiedzialna Duszołap, a tej żadną miarą nie można było jej przypisać. Nierozpoznane Cienie znały każdy jej krok. I przepędziłyby wszystkie potwory wysłane przeciw nam.

– Może jacyś twoi niewidzialni przyjaciele przebywali zeszłej nocy w pobliżu? I któryś coś widział? – zastanowiłem się głośno.

– Sprawdzę.

Siłą swej srogości zmusiłem brata nieprzytomnego dzieciaka do przyznania, że on również rozumie język, jakim się posługiwaliśmy. Kazałem mu wytłumaczyć pozostałym, że muszą przywiązać tamtego do któregoś ze swych słupów. W przeciwnym razie zostawimy go, ruszając w drogę.

Dzieciaki były przerażone.

– Katastrofa jak najbardziej w porę – zauważyła Pani.

– No. Ale dla kogo?

Taglios:
WIADOMOŚĆ

Mogaba przeklinał. Cicho, ale jadowicie, paskudnie i nieustannie. Od ponad godziny przybywały kruki, a każdy przynosił fragment długiej wiadomości od Protektorki. Obdarzony ptasim mózdzkiem, żaden kruk nie potrafił dostarczyć większej części całości. A ponieważ na każdego czyhał w drodze tysiąc potencjalnych niebezpieczeństw, te same fragmenty powtarzały się w nieskończoność.

Wielki Generał nienawidził rekonstruowania tych układanek, a ta na dodatek była gorsza od wszystkich poprzednich, i to o rząd wielkości. Na świecie nie powinno być aż tyle kruków.

Nad wiadomością pracowało już dwudziestu skrybów.

Niektóre kwestie wszelako wyjaśniły się szybko.

Posłał po Aridatę Singha i Gopala Singha. Wiadomość dotyczyła ich wszystkich.

Zanim tamci przybyli, Mogaba zrozumiał z zagadki dość, by jasna stała się kwestia decydująca, przynajmniej dla niego.

– Oni wrócili.

Aridata aż drgnął, zaskoczony siłą emocji, z jakimi Mogaba wypowiedział te słowa.

– Wrócili? Kto wrócił?

– Czarna Kompania. Protektorka ich zniszczyła. Prawda? Wycięła w pień. Prawda? Ale teraz powiada, że wrócili. W sąsiednim pokoju właśnie składają do kupy wiadomość od niej.

– O czym ty mówisz? – zapytał Gopal.

– Przez cały czas dociera do nas wiadomość od naszej pracodawczyni. Zrezygnowała z pościgu. Spieszy teraz, żeby jak najszybciej dotrzeć do

domu. Ludzie Czarnej Kompanii wylewają się przez Bramę Cienia. Tysiącami. Dobrze uzbrojeni, dobrze odziani, dobrze wyszkoleni. Wiozą ze sobą Radiszę Draha i Prabrindraha Draha oraz ich oficjalne błogosławieństwo. A my na przestrzeni setek kilometrów nie mamy im kogo przeciwstawić. Dlatego musiała zawrócić. Spodziewa się, że wkrótce już nie będzie mogła ich obserwować. Na równinie spotkali jakichś nieznanymi, nadnaturalnymi sprzymierzeńców, podobnych do cieni, tylko groźniejszych, ponieważ bardziej sprytnych.

– Wygląda, że ma niezłe rozeznanie jak na kogoś, kto musi uciekać przed wrogiem znajdującym doskonale jej możliwości – zauważył Aridata. Przystojna twarz Singha nieco pobladła. Mówił ochrypłym głosem.

– Również się nad tym zastanawiałem. Mimo wszystko to jednak Duszołap. Z drugiej wszakże strony, przecież nie zmyśliłaby tego wszystkiego.

Aridata i Gopal pokiwali głowami. Na pozór pozostawali oddanymi sługami Protektorki.

– Skoro wróg orientuje się w zdolnościach Protektorki, to znaczy, że będzie próbował je zneutralizować. Nie mamy pojęcia, kto dowodzi, jednak doktryna wojenna z pewnością obowiązuje – rzekł Mogaba. – Najpierw spróbują ją oślepić, potem pozbawić możliwości komunikacji. Pojawili się w chwili najbardziej dla nich odpowiedniej. Przyłapali ją w drodze donikąd. Nie jest w stanie przekazywać informacji szybciej, niż wędrują plotki. A sami doskonale zdajecie sobie sprawę, że wieści o powrocie Radiszy i jej brata będą się szerzyć niczym zaraza.

– Wobec tego obłożę kwarantanną tę część pałacu – stwierdził Gopal. – Nie chcemy przecież, by tutejsi ludzie natychmiast pobiegli do swych świątyń, czy gdzie tam, i zaczęli paplać, a potem z prawdy ktoś zrobił broń przeciwko nam.

– Zrób tak. – To będzie dobrze wyglądało w oczach niewidzialnych szpiegów Protektorki. Jednak z drugiej strony, może byłoby wskazane, gdyby jakieś wieści dotarły jednak do ludu. Wówczas Taglios pograży się w chaosie. A taki stan może nastęrczać określonych sposobności. Chaos bywa niekiedy bardzo pożyteczny. Chaos tworzy doskonały kamuflaż.

Może kiedy Protektorka znajdzie się bliżej stolicy.

W chwili obecnej trzeba było przygotować się na nadejście Kompanii. To dotyczyło wszystkich.

Skąd oni wzięli tylu ludzi? Albo własne cienie? Jakie jeszcze niespodzianki przygotowali?

Jakieś z pewnością. Taka była ich natura.

– Powinniśmy dopuścić, by część wieści przeciekła, czy nam się to podoba, czy nie. Musimy przygotować się do wojny – orzekł Mogaba. – Czeka nas walka. Chyba że poddamy się bez oporu. Ja w każdym razie nie mam zamiaru – konsekwencje okazałyby się śmiertelnie poważne, w literalnym sensie tego słowa.

Singhowie wymienili spojrzenia. Wielki Generał zdradza poczucie humoru? Doprawdy niezwykle.

– Ludzie boją się Czarnej Kompanii – rzekł Gopal.

– Oczywiście, że się boją. Ale kiedy po raz ostatni tamci wygrali? Podczas wojen kiauluńskich nieustannie brali baty. – W owym czasie Mogaba był dumny z wykonanej pracy: to jego geniusz i zdolności planowania stały za każdym tagliańskim zwycięstwem.

– Lecz nie wybiliśmy ich do nogi. Kłopot z żołnierzami Czarnej Kompanii polega na tym, że jeśli bodaj jeden z nich zostanie przy życiu, nie minie dużo czasu, a już z powrotem ma się ich na karku.

– „Mój brat nieodkupiony”. – Te słowa pojawiały się w koszmarach Mogaby. Dręczyło go poczucie winy.

– Kiedy możemy oczekiwać Protektorki? – zapytał Gopal. – Muszę zająć się odpowiednimi przygotowaniem.

– Maszerowała pieszo, gdy przystąpiła do wysyłania wiadomości, ale w końcu dotrze przecież do stacji kurierskiej – odparł generał. – Wtedy wszystko potoczy się już szybko. Jeżeli naprawdę będzie się spieszyć, nie liczyłbym na więcej niż dwa, trzy dni.

Gopal jęknął żałośnie.

Mogaba pokiwał głową. Nic nie było łatwe, jak zwykle.

– Złapała Oszustów? – spytał Aridata.

Po raz kolejny Nar przyszło do głowy, że tamten okazuje osobliwie przesadne zainteresowanie.

– Nie. Mówiłem ci, że wedle jej raportu przerwała pościg. Dobrze, już wystarczy. Wszyscy doskonale wiemy, co mamy robić. Aridata, jak najszybciej chcę mieć tutaj cały batalion kurierów. Dowódcy garnizonów będą potrzebować instrukcji. Gdyby nadeszły jakieś istotne wieści, natychmiast dam ci znać.

Obserwując, jak nadchodząca wiadomość przybiera ostateczną formę, Wielki Generał dokonał przeglądu swoich dowódców jednostek oraz gotowości i wiarygodności ich oddziałów. Wyniki inspekcji okazały się początkowo niewesołe. Z pozoru w każdej chwili mógł powołać pod broń ludzi z całego imperium. Jednak Protektorka nie zwracała sobie głowy dbałością o swe siły zbrojne, kiedy nie groziło jej bezpośrednio i natychmiastowe niebezpieczeństwo. Trudno było ją nazwać popularną, zresztą wcale jej na tym nie zależało. Wolała rządzić za pomocą nagiej siły.

Powrót Prabrindraha Draha i jego siostry był szczególnie niepokojący. W swojej epoce cieszyli się zaufaniem ludu, a próba czasu zaowocowała już wstępnym procesem kanonizacyjnym. Niektórzy będą ich sławić jako wyzwolicieli. Cholera, jeżeli Konował wciąż żyje, mogą mu zwrócić pierwotny tytuł.

Należało spodziewać się dezercji, zarówno wśród szarzy, jak i prostych żołnierzy. Wojskowi niepokoiili Mogabę znacznie bardziej. Szlachta i hierarchia kapłańska, która zawdzięczała swe pozycje Protektorce, z pewnością będzie wystrzegać się ryzykownych posunięć. Taglios otrzymało kilka bolesnych lekcji – wiadano, jaką cenę trzeba zapłacić za zdradę wobec Protektorki.

W którym miejscu najlepiej byłoby wydać Kompanii walną bitwę? I w jaki sposób wymusić na nich bój, jeśli będą unikać ryzyka rozstrzygającego starcia?

Nie miał wątpliwości, że największe szanse zapewnia mu dążenie do jak najwcześniejszego starcia, zanim posiadane przezeń siły zaczną powoli topnieć.

Depresje Terytoriów Tagliańskich:
PUSTKOWIA

Duszołap wędrowała wzdłuż brzegu strumienia, głębokiego i nieruchomego niczym sztuczny kanał, wypatrując ewentualnej przeprawy. Decyzja przecięcia tych mokradeł i depresji, aby dotrzeć do zniszczonej warowni w Nidzja, okazała się pomyłką. Gdyby trzymała się drogi, oznaczałoby to może dłuższą podróż, ale w tych czasach byłyby na niej jakieś mosty.

Natrafiając na tego rodzaju przeszkody, nie miała innego wyboru, jak zgadywać, w którą stronę skrócić. Nie знаła kraju. Była ślepa. Nie miała nietoperzy ani sów, które mogłaby wysłać na zwiady. Dzisiejszej nocy nie było również cieni. Wszystkim kazała schronić się w bezpiecznych kryjówkach, podobnie jak krukowi. Wiedziała, że sama poradzi sobie ze ścigającymi ją hobgoblinami.

Z wody za nią coś się wynurzyło. Sylwetka przypominała końską. Nad jej uchem zaszepotał głos, namawiający ją, by wsiadła na grzbiet i popłynęła. Ledwie się obejrzała, i to tylko po to, by wyrazić swą pogardę. Te istoty mogły być sprytniejsze od cieni, jednak doprawdy nieznacznie. Za jak głupią ją mieli? Niepotrzebna jej była znajomość folkloru Hsien, żeby pojąć, iż wodny koń pociągnie ją w głębinę.

Zignorowała więc monstrum, nieświadoma, iż był to afank o kształcie bardziej przypominającym centaura aniżeli konia. Pół godziny później podobnie potraktowała jednego z jego kuzynów, który przybrał postać olbrzymiego borsuka. Trzeci z kolei przypominał krokodyla, chociaż strumień znajdował się sześćset pięćdziesiąt kilometrów od miejsca dostatecznie ciepłego, by gigantyczny gad mógł w nim przeżyć. Wszystkie stwory szeptały do niej, niektóre nawet znały jej prawdziwe imię.

Znalazła wreszcie zbitą z desek kładkę, najwyraźniej przerzuconą tutaj przez rzadko widywanych rdzennych mieszkańców pogórza, zajmujących się głównie kradzieżą koni. Gdy wstąpiła na kładkę, coś szepnęło do niej z dołu. Nie zrozumiała słów, ale zawarta w nich groźba była dostatecznie jasna.

– Jeśli nie chcesz, żebym przeszła, to wyłaź na górę i zrób coś z tym. – Głos, który wybrała, należał do małego dziecka, poważnie rozszłoszczonego, ale niemającego powodu do obaw.

I coś wylazło. Było ogromne, ciemne i paskudne, pokryte wypryskami jarzącymi się trędowną, podskórną poświatą. Miało zdecydowanie zbyt wiele zębów. Sterczały z jego pyska pod wszelkimi możliwymi kątami. Z pewnością musiało mieć kłopoty, kiedy przychodziła pora posiłku.

Wszystkie te zębiska i kły rozwarły się z trzaskiem, kiedy potwór zbierał się do skoku.

Przobleczona w rękawiczkę dłoń Duszołap wysunęła się do przodu. Mgiełka iskrzącego się pyłu pomknęła na spotkanie złego ducha.

Istota wrzasnęła.

Duszołap zeskoczyła z mostu w momencie, w którym rozpadł się w drzazgi. Odsunęła się parę kroków, obserwując, jak monstrum zapada się w sobie i rozpływa. Zza jej maski dobył się cichy, słabiutki głosik – wyliczanka małej dziewczynki, której refren brzmiał: „Śmiesznie patrzeć, jak umierasz”.

Terytoria Tagliańskie:
GDZIEŚ NA PÓŁNOC OD CZARANDAPRESZ

Skoro stało się jasne, że Protektorka zrezygnowała z pościgu, w Córkę Nocy najwyraźniej wstąpił nowy duch. Narajan martwił się.

– Ciągle się tylko martwisz i martwisz – strofowała go. Ona była szczęśliwa. W jej głosie pobrzmiwały dźwięczne nuty. Oświetlone światłem ogniska oczy ciskały skry... wtedy, gdy nie połyskiwały czerwienią. – Kiedy ktoś nas ściga, trapisz się, że zostaniemy złapani. Gdy wreszcie jesteśmy bezpieczni, ty zadrezczasz się, że nie stanowią dokładnego odbicia wizerunku Córki Nocy, jaki stworzyłeś sobie w głowie. Narajan, Narajan... Tato Narajanie, czego pragnę najbardziej, to jakoś wszystko urządzić, abyś nie musiał już dłużej tego przechodzić. Od tak dawna byłeś jedyny... Zasłużyłeś sobie, by móc odłożyć to na bok i odpocząć.

Singh wiedział, że to niemożliwe. I że nigdy możliwe nie będzie. Nie spierał się jednak.

– Wobec tego sprowadźmy wreszcie Rok Czaszek. Kiedy nastanie Kina, będziemy mogli próżnować przez resztę naszego życia.

Dziewczyna zadrżała, zbita nagle z tropu. Potem targnął ją gwałtowny skurcz. Zbladła, a Narajan nie mógł się nadziwić, jak to się jej udało, skoro przecież zawsze była blada niczym śmierć. Zapatrzyła się w noc, najwyraźniej czymś przejęta.

Zaczął gasić ogień specjalnie w tym celu zgromadzoną ziemią.

– Za późno – powiedziała dziewczyna.

Obok niej wychynęła z mroku wielka sylwetka, a potem zniknęła, jakby rozwiana przez wiatr.

– Dzieciak ma rację, stary – powiedział głos, którego Singh nie słyszał już od lat i którego wolałby jeszcze długo nie słyszeć.

Na skraju oświetlonego płomieniami ogniska obszaru pojawili się Iqbal i Popłoch Singhowie – żadnego pokrewieństwa z Narajanem. Ich sylwetki drżały, jakby zostały utkane z tężejącej mgły. Za nimi majaczyli kolejni żołnierze, w zbrojach, jakich jeszcze nigdy nie widział. Wśród zbrojnych kręciły się, tocząc ślinę z pysków, bestie z gatunku również całkowicie mu nieznanego.

Singh poczuł, jak serce w jego piersiach zaczyna łomotać po dwakroć szybciej.

– Teraz już wiemy, dlaczego ciotka przestała nas ścigać – zauważyła dziewczyna.

Popłoch Singh przyznał jej rację.

– Teraz już wiecie. Czarna Kompania wróciła. I nie jesteśmy w dobrych humorach. – Popłoch był wielkim, kudłatym Szadar. Same rozmiary jego sylwetki budziły niepokój.

Iqbal Singh uśmiechnął się; doskonałe zęby zalśniły w gęstwie brody.

– Tym razem będziesz miała do czynienia z matką i ojcem. – Iqbal też był kudłaty iomalże tak wielki jak brat, jednak jakimś sposobem nie sprawiał równie przerażającego wrażenia. Dziewczyna pamiętała, że miał żonę i kilkoro dzieci... Czy mówił o jej rodzonej matce? Naturalnym ojcu? Ale przecież oni rzekomo byli martwi.

Poczuła, jak jej kolana miękną. Nigdy w życiu nie widziała swych naturalnych rodziców.

Żyjący święty nie był w stanie się podnieść. Kina znowu wystawiała go na próbę. A jemu nie zostało już dość sił, by walczyć o swą wiarę. Był zbyt stary, zbyt słaby, a jego ufność doznała zbyt wielkich uszczerbków.

Popłoch dał znak. Żołnierze podeszli bliżej. Byli nadzwyczaj ostrożni i zadbali, by nie znaleźć się między jeńcami a wycelowanymi w nich kuszami. Na dłonie dziewczyny nałożyli wypchane wełną worki, potem związali jej nadgarstki za plecami. Zakneblowali ją delikatnie, a na głowę wetknęli jej wełniany worek, świadomi, że mogą im grozić z jej strony jakieś czary.

Narajana posadzili na zapasowego konia, potem przywiązali do siodła. Bynajmniej nie z uprzejmości. Spieszyli się. Gdyby kazali mu iść pieszo,

zbyt spowalniałby ich marsz. Z dziewczyną wprawdzie obchodzili się delikatniej, ale zgotowali jej identyczny los.

Ci, którzy ich schwytali, oszczędzili im zbędnego okrucieństwa, dziewczyna jednak była pewna, że to się zmieni, gdy tylko znajdą wolną chwilę. Dziwni młodzi żołnierze w skrzypiących czarnych zbrojach wydawali się mocno zaintrygowani tym, co dostrzegli z jej bladej urody.

Nie tak wyobrażała to sobie, kiedy rozmyślała o tym, w jaki sposób zostanie kobietą. A jej wyobraźnia krążyła wokół tych spraw bardzo żywo już od szeregu lat.

Terytoria Tagliańskie:
DANDA PRESZ

Więści nadeszły, kiedy znajdowaliśmy się wysoko na przełęczy wiodącej przez Danda Presz. Mordercze zmęczenie, które sprawiało, że ciążyły mi stare kości, zaćmiło również mój umysł. Maszerowałem na czele kolumny. Zatrzymałem się, usunąłem na bok i obserwowałem, jak mijają mnie utrudzone muły i wymęczeni ludzie. Los naszych ludzi i zwierząt zależał od tego, czy główne siły nie ogołociły Czarandapresz z pożywienia i paszy.

Vorszk całkowicie poddali się wyczerpaniu i rozpacz. Tobo podróżował z nimi, rozmawiając cały czas, próbując wciąż ich uczyć mimo ich bólu i apatii. Te dzieciaki nigdy wcześniej nie musiały donikąd wędrować pieszo.

Ich latające słupy podążały w ślad za nimi.

Na koniec pojawiła się Pani. Dołączyłem do niej. Od razu wyczułem, że musiała już słyszeć jakieś plotki, aczkolwiek z pozoru nikt nie miał na tyle sił, by marnować je na rozmowy. Plotka jest fenomenem magicznym, być może nawet nadprzyrodzonym.

Tak czy siak powiedziałem jej.

– Popłoch z Iqbalem złapali Narajana i Pierdu Pierdu. Gdy Duszołap przestała ich ścigać, dalej podążali w naszą stronę.

– Słyszałam.

– Denerwujesz się tak jak ja?

– Pewnie bardziej. – Szliśmy obok siebie przez jakiś czas w milczeniu. Potem ona powiedziała: – Nigdy nie było mi dane zostać matką. Nigdy nie miałam szansy nauczyć się, jak to robić. Gdy Singh ją porwał, zwyczajnie stałam się na powrót dawną sobą.

– Wiem. Wiem. Wciąż muszę siebie napominać, żeby za bardzo nie uwikłać się w to emocjonalnie. Ona nie będzie w nas widzieć mamy i taty.

– Nie chcę, żeby nas nienawidziła. A wiem, że będzie. Jest Córką Nocy, to całe jej życie.

Myślałem o tym przez chwilę. Na koniec powiedziałem jej:

– Dawno, dawno temu byłaś Panią z Uroku, to było całe twoje życie. A teraz jesteś tutaj.

– Jestem tutaj. – Jej brak entuzjazmu mógłby całkowicie załamać człowieka mniejszego ode mnie formatu.

Była – podobnie zresztą jak ja – w wieku, kiedy traci się zbyt wiele czasu na rozważania, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby dokonać kilku wyborów w odmienny sposób.

Ja mogłem żałować wielu rzeczy. Pewien jestem, że ona miała ich znacznie więcej. Znacznie więcej przecież porzuciła.

Wierzba Łabędź, dysząc ciężko, przeszedł obok i rzucił nam w przelocie uwagę na temat staruszków, którzy spowalniają innych.

– Wy, chłopcy, macie oko na Goblina? – zapytałem.

– Nie może nawet kichnąć, żebyśmy o tym nie wiedzieli.

– To się rozumie bez gadania. O tym zaraz wie cała okolica.

– Niczego nie uda mu się zdziałać, Konował.

Nie byłem o tym tak bardzo przekonany. Z Goblina był bystry, mały bękart. Gdybym miał czas, chodziłbym za nim krok w krok.

– Goblin nie zrobił nic podejrzanego – stwierdziła Pani.

– Wiem. Ale robi.

– Właśnie taka postawa jak twoja powoli zapewnia mu coraz więcej sympatii. Uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

– Wiem. Ale nie potrafię zapomnieć o ostrzeżeniu Jednookiego.

– Sam mówiłeś, że Jednooki najchętniej wyciąłby ostatni numer zza grobu.

– Tak. Tak. Spróbuję mniej się tym przejmować.

– Powinniśmy wędrować nieco szybciej. – Ariergarda niemalże nas już doganiała.

– Moglibyśmy zostać z tyłu i wymknąć się na chwilę między skały.

– Chyba nie jesteś zmęczony aż tak, jak twierdzisz, więc ruszaj. – I po chwili dodała: – Wrócimy do tej sprawy wieczorem.

Zawsze to jakaś motywacja do marszu.

Taglios:
WIELKI GENERAL

Jak dotąd Mogabie udawało się odwlekać wybuch tego wielkiego, wrzącego kotła plotek, w który zmieniło się Taglios. Najwięcej pożytku przysparzały mu właściwie wykorzystywane półprawdy. Ludzie działający w jego imię nie zaprzeczali, iż na południu dzieje się coś wielkiego i niebezpiecznego, wszelako jednym tchem sugerowali, że było to powstanie wzniecone przez tych samych prowokatorów z Ziemi Cienia, którzy wspierali Kompanię podczas wojen kiauluńskich. Teraz wykorzystywali swoje powiązania z przeszłości, próbując onieśmielić wrogów i zachęcić przyjaciół. Nie ma natomiast już żadnej Czarnej Kompanii.

Jak dotąd nie mówiono nic o obecności Prabrindraha Draha i jego siostry, jednak na wypadek gdyby i takie plotki zaczęły krążyć, Mogaba miał przygotowane opowieści, w myśl których ludzie ci byli samozwańcami.

– Wszystko idzie lepiej, niż początkowo oczekiwałem – poinformował Wielki Generał Aridatę Singha. – Żaden z dowódców garnizonów nie odmówił przyjęcia rozkazu wymarszu. Jedynie garstka starszych kapłanów i przywódców ludu próbowała udawać neutralność.

– Zastanawiam się, czy będzie tak dalej, jeśli stracimy Protektorkę.

Mogaba od jakiegoś czasu sam próbował odpowiedzieć sobie na to pytanie. Prabrindrah Draha musiał jeszcze spłodzić dziedzica. Jedynym jego żyjącym krewnym była siostra, która faktycznie, jeśli nawet nie nominalnie, rządziła od lat Taglios i jego dominiami. W pewnym momencie nawet proklamowała się spadkobierczynią brata. Chociaż uprzedzenia wobec władczyni były silnie ugruntowane w kulturze, może udzielono by jej

zgody na przejście rządów, gdyby śmierć brata nastąpiła wcześniej. Nikt nie wiedział, co się stanie, jeśli brat i siostra równocześnie zejną z tego świata, a większość ludności wierzyła, iż tak właśnie się stało.

W chwili obecnej pytanie to było czysto teoretyczne. Władza nad Taglios spoczywała nieomal wyłącznie w rękach Protektorki.

Mogaba nigdy nie wychodził w takich rozważaniach poza poziom czysto spekulatywny. Żaden z jego rozmówców nie podejrzewał, że może nimi powodować jakiś głębszy cel. Nikt też na ochotnika nie zgłaszał się do uczestnictwa w dziele eliminacji Protektorki, aczkolwiek nie było tajemnicą, iż większość Taglian wolałaby radzić sobie bez ochrony Duszołap.

Komunikacja z Duszołap uległa zerwaniu. Populacja kruków została dramatycznie zdziesiątkowana, nie wiadomo, czy przez jakąś chorobę, czy w wyniku działań wroga. Ich liczba zresztą malała już od dziesięcioleci, w miarę jak na pustkowiach coraz trudniej było o ciała zabitych. Nietoperze nie były w stanie przynieść ważniejszych informacji. Sowy nie chciały. A w całym Taglios brakowało bodaj jednego człowieka wyszkolonego do kierowania i komunikacji z cieniami. Zaiste tego rodzaju talenty nie rodziły się często, a Czarna Kompania dokonała eksterminacji bractwa, które zajmowało się ich pielęgnowaniem – dawno temu, kiedy jeszcze rządziła wszystkim po swojemu.

Duszołap dawno temu przeczesła wzdłuż i wszerz Ziemię Cienia, z których ludzie ci się wywodzili. Znalazła tylko kilka starych kobiet i bardzo małych dzieci, którym udało się przeżyć wszystkie wojny i czystki. Przekonała się, że wszyscy pochodzą z ludu niespokrewnionego z żadnym innym zamieszkującym południe, ludu nieznanego nikomu przed nastaniem Władców Cienia, strzegącego własnych tradycji ustnych, wedle których przybyli z całkowicie innego świata. Zresztą tamtym staruchom i niemowlętom brakowało bodaj iskierki użytecznej wiedzy czy talentu.

Kiedy obowiązki na to pozwalały, Mogaba spacerował główną drogą łączącą pałac z południowym wejściem do miasta. Jego mury obronne pozostawały w budowie od wielu dziesięcioleci – z wyjątkiem kompleksu Bramy Południowej. On był najważniejszy – ukończony i oddany do użytku całe wieki temu. Kierując cały ruch przez jego wąskie gardło, władze były w stanie opodatkować wszystkich podróżnych przybywających do miasta.

Wielki Generał szukał idealnego miejsca, gdzie dokona się kres Protektoratu. Cztery wyprawy nie przyniosły jak dotąd żadnego rezultatu. Oczywiście miejsca były właśnie takie: oczywiste. Duszołap będzie się strzegła. Zbyt dobrze poznała ludzką naturę, by nie zdawać sobie sprawy, że plotki podsycane kryzysem na południu ożywią opozycję wobec jej rządów.

Powoli dochodził do wniosku, że tego w ogóle nie da się zrobić na ulicy. Niemniej im dłużej będą odwlekać całą sprawę, tym większych podejrzeń ona nabierze wobec swych dowódców. Żadnym sposobem nie uda się im opanować zdenerwowania.

Cała rzecz musiała stać się natychmiast po jej przybyciu do miasta lub bezpośrednio w chwili wejścia do pałacu. Albo nigdy.

Mogli przecież zapomnieć o całej sprawie, wrócić do swej roli wiernych piesków i razem z nią wyczekiwać katastrofy nadciągającej z południa.

Na myśl o Kompanii Mogaba zadrżał i ogarnęła go najsilniejsza ze wszystkich dotychczasowych pokus, by zrezygnować ze spisku wymierzonego przeciw Protektorce. W nadchodzącej wojnie Duszołap zapewne okaże się najsilniejszą bronią.

Brama Południowa. To musiało stać się tutaj. Jej masyw został zaprojektowany z myślą o dokładnie takich scenach, aczkolwiek w większej skali.

Kiedy wrócił do pałacu, Aridata Singh czekał już tam na niego.

– Przybył posłaniec, generale. Protektorka dotarła do Dedżagore. Zatrzymała się tam, by dokonać przeglądu wojsk, aczkolwiek wróg najwyraźniej ma jeszcze długą drogę do przebycia.

Mogaba skrzywił się.

– A więc nie zostało nam dużo czasu. Nasi kurierzy z pewnością nie wyprzedzają jej znacznie. – Kwestią niedopowiedzianą, z której jednak obaj doskonale zdawali sobie sprawę, pozostawał fakt, iż coraz mniej czasu pozostało im na decyzję, od której nie będzie odwrotu.

Potem Mogaba znienacka jęknął. Zdał sobie bowiem sprawę, że Protektorka może pozbawić ich choćby cienia sposobności równie łatwo, jak pstryknąć palcami.

Terytoria Tagliańskie:
NAD JEZIOREM TANDŹI

Dogoniliśmy Ospałą na wzgórzach okalających południowy brzeg jeziora Tandzi. Pani pospieszyła naprzód. Powinna zachowywać większy umiar, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Zwiadowcy Popłocha Singha wciąż byli gdzieś przed awangardą głównych sił. Dostatecznie blisko, żeby można było dostrzec łunę ich ognisk ponad barierą wzgórz, jednak niedawne ulewy sprawiły, iż oddzielające ich od nas strumienie wystąpiły z brzegów, zamieniając wąwozy w rzeki nie do przebycia. Co zresztą stanowiło jedyną przyczynę tak szybkiego dopędzenia Ospałej. Powodzie spowolniły tempo jej marszu.

– To nie potrwa długo – zapewniła nas. – Chyba że jeszcze popada. Te wezbrane wody szybko tutaj opadają.

Wiedziałem o tym. Na tych wzgórzach wiele lat temu walczyłem z Władcami Cienia.

Moją żonę wyprowadziło to z równowagi. Wsiadła na Tobo, który wraz z ojcem próbował na powrót dogadać się z Sahrą.

– Kiedy masz zamiar dowiedzieć się wreszcie o tych przeklętych latających słupach tyle, żeby można je było jakoś wykorzystać? – Niewielka powódź nie zatrzyma nikogo, kto potrafi latać.

Tobo powiedział Pani prawdę, czyli ostatnią rzecz, jaką ta chciała usłyszeć.

– Mogą minąć jeszcze miesiące. Może nawet lata. Jeśli tak nam zależy na większej mobilności, dlaczego nie obudzimy Wyjca i nie zamówimy u niego kilku latających dywanów?

Natychmiast rozgorzał ostry spór, do którego każdy próbował wtrącić swoje trzy grosze. Goblin, Dodż, Pani, Tobo, Sahra, Wierzba Łabędź,

Murgen, znowu Goblin. Nawet Tai Dei sprawiał takie wrażenie, jakby też miał własne zdanie, które jednak postanowił zatrzymać dla siebie.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że Ospała nie powiedziała nic. W rzeczy samej, jej oczy zaszły mgłą. Znajdowała się daleko, naprawdę daleko stąd. Głębia jej zatopienia w sobie była wręcz niepokojąca.

Pozostali milkli jeden po drugim. Powoli wszystkich ogarniał jakiś profetyczny, emocjonalny mrok. Zerknąłem na Nierozpoznane Cienie, ale niczego nie dostrzegłem. Co się działo?

Tobo przemówił pierwszy:

– Kapitanie? O co chodzi? – Z twarzy Ospałej powoli odpływała krew. Wstałem, by poszukać apteczki.

Jakoś jednak doszła do siebie.

– Tobo. – Jej głos był pełen takiego napięcia, że natychmiast zapanowała całkowita cisza. – Pamiętałeś o tym, żeby przebudować Bramę Cienia, tak żeby nie rozpadła się wraz ze śmiercią Długiego Cienia?

Cisza stała się jeszcze głębsza. Nagle wszyscy wstrzymaliśmy oddech. I patrzyliśmy na Tobo. A każdy z nas znał odpowiedź na to pytanie, nawet jeśli żadnego z nas tam nie było i nikt nie chciał, aby ta odpowiedź okazała się prawdziwa.

– W Hsien mają go już mniej więcej od czasu, kiedy my dotarliśmy tu na miejsce – stwierdziła Ospała. – To słaby starzec. Nie pożyje długo.

Tobo bez jednego słowa zaczął się sposobić do drogi. Jęknąłem, z trudem się podniosłem i również wziąłem do zbierania rzeczy. Chłopak mówił już ojcu i Wujkowi Dodżowi, jak radzić sobie z Vorszk.

– Muszą przez cały czas mieć jakieś zajęcie. Najlepiej niech się uczą. Trzymajcie ich z dala od Goblina. Tego chorego trzeba karmić siłą. Nie sądzę, aby miał długo pociągnąć.

Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem tę ostatnią uwagę. Mówił bardzo cicho.

Miał rację. Życie powoli wyciekało z dzieciaka. Nie byłem w stanie nic zrobić.

Spojrzałem ponuro na Panią, która nie zdradzała najmniejszej ochoty, aby zrobić to, co konieczne. Powiedziałem:

– Musisz z nami jechać. Po Tobo jesteś naszym najlepszym mechanikiem od Bram. – Podałem jej dłoń.

Murgen, jak zauważyłem, nie zwracał najmniejszej uwagi na instrukcje syna. Również przygotowywał się do podróży.

Rysy Pani stwardniały. Ujęła moją dłoń. Wstała i spojrzała na północ. Nie było już widać łun ognisk w obozie Popłocha. Skrywała je gruba zasłona deszczu.

Kilku pozostałych, między innymi Wierzba Łabędź, też zaczęło się zbierać do drogi. Nie podano żadnych imion, nie wydano żadnych rozkazów. Ci, którzy musieli jechać, oraz ci, którzy sądzili, że mogą się na coś przydać, zaczęli pakować manatki. Nikt nie narzekał. Nikt bodaj nie odezwał się słowem. Byliśmy zbyt zmęczeni, by marnować siły na cokolwiek, świadomi oczekującego nas zadania.

Nikt również nie wytykał nikogo palcem. Nie potrzeba było geniusza, żeby pojąć, iż Tobo po prostu zagubił się w nawale pracy, ponieważ co chwilę ktoś czegoś odeń chciał. Najbardziej winna była Ospała. Ona powinna była zadbać, żeby wszystko zostało wykonane. Powinna sporządzić sobie odpowiednią listę. Ale jej obsesją stało się parcie naprzód tak szybko, by opór nie zdołał okrzepnąć.

Za co też trudno było ją winić. Jak dotąd Kompania ani razu nie zaznała boju, a już czwartą część tagliańskiego imperium można było uznać za rozbrojoną. Była to najbardziej odległa od centrum i najrzadziej zaludniona część, jednak strategia wydawała się skuteczna.

Bogactwa, które Ospała przywiozła ze sobą z równiny, pozwolą jej na znacznie efektywniejszą eksploatację zajętych przez nas terytoriów. Lepszą od wyzysku, jaki na obszarach, jakie jej zostały, stosuje Duszołap, posługując się wszystkimi swymi zdolnościami do szerzenia terroru.

Oczywiście, jeśli Brama Cienia runie, wszystko to zda się psu na budę. Nasz świat znajdzie się w znacznie większym niebezpieczeństwie niżli Khatovar. W odróżnieniu od Vorszk, nie byliśmy w stanie się obronić.

Tobo nawet nie kłopotał się zabranie tych kilku miotaczy kul ognistych, które jeszcze zostały. Jeśli sytuacja stanie się rozpaczliwa do tego stopnia, aby miały się okazać potrzebne, ta garstka i tak się na nic nie przyda...

Było nas ośmioro. Tobo, jego ojciec, ja, Pani, Wierzba Łabędź i Tai Dei, ponieważ Murgen nie oddalał się nawet na rzut kamieniem od wujka Tobo. Dołączyli jeszcze dwaj raczej podstarzali zabijacy z Hsien, solidni weterani konfliktów wojowników-władców. Na jednego mówiliśmy Człek Panda,

ponieważ jego prawdziwe nazwisko mniej więcej w ten sposób brzmiało. Na drugiego Zjawa. Był Zjawą, ponieważ miał zielone oczy. W Hsien demony i zjawy rzekomo mają patrzeć na świat zielonymi oczyma.

Nierozpoznane Cienie miały na ten temat inne zdanie. Każda zjawa, jaką zdarzyło mi się widzieć na własne oczy, miała znacznie bardziej tradycyjne – czerwone lub żółte – ślepie.

Wiele Nierozpoznanych Cieni poszło z nami. Nocą, w świetle księżyca, który ostatnio wędrował po niebie jakoś nieczęsto i niechętnie, otaczający nas teren zdawał się rozfalowanym morzem. Teraz zwierzątek Tobo nie obchodziło już, czy zostaną dostrzeżone.

Nie minęło dużo czasu, a przyłączyły się do mnie moje dwa kruki. Zniknęły krótko po tym, jak przejechaliśmy przez Bramę Cienia, i odtąd już ich nie widziałem.

– Wysłałem przodem zwiadowców. Teraz ruszam za nimi – poinformował mnie Tobo. Dosiadał superkonia Ospalej. – Pozostali niech jadą za mną najszybciej jak się da.

Pomknął przed siebie. Większość kipiącej ciemności pognęła za nim, chociaż przy nas zostało dość widmowych tropicieli, żebyśmy nie musieli obawiać się niespodziewanego ataku.

– Przykro mi – powiedziałem Pani.

– Tym razem to nie jest twoja wina. – Jednak trudno było nazwać ją zadowoloną.

– Udało ci się wydostać coś od Kiny?

– Nie. Nic, tylko kilka okazjonalnych muśnieć jej obecności, kiedy byliśmy z Ospałą w górach. Były bardzo słabe, prawdopodobnie zawdzięczam je bliskości Pierdu Pierdu.

Cholera.

– Sądzisz, że uda nam się dotrzeć na czas do Bramy?

– Wydaje ci się, że Długi Cień będzie walczył o życie, jeśli wie, że od tego zależy los ludzi, którzy go załatwili i wydali w ręce pradawnych wrogów?

Nie była to odpowiedź, którą chciałem usłyszeć.

Depresje Terytoriów Tagliańskich:
KAPRYSY LOSU

Popłoch i Iqbal jechali powoli na północ, tempem dogodnym dla całego oddziału. Życie nie wydawało się takie złe, oczywiście póki nie dogoni ich Kapitan. Z pewnością będzie wściekła, ponieważ komandosi nie zczekali na nią. Da się im we znaki.

Jeńcom nie stworzono wielu okazji do cieszenia się urokami życia, jednak nie dręczono ich szczególnie. Singhowie nie pozwoliliby na to, nawet wiedząc, że Ospala nie miałaby nic przeciwko.

Nie istniała żadna oficjalna umowa między Singhami a mrocznymi duchami Hsien, jednak Nierozpoznane Cienie zawsze szły w ślad za nimi. Komunikacja wszelako odbywała się tylko na poziomie najbardziej podstawowym. Popłoch zazwyczaj czuł się trochę nieswojo, gdy przychodził czas jego warty. Ze swojej winy. Religijna słabość. Nie wolno mu było kontaktować się z demonami. Jego wrodzona, czysto ludzka skłonność do racjonalizowania wszystkiego jakoś jeszcze nie uwolniła Nierozpoznanych Cieni od piętna pomiotu ciemności.

Popłocha dręczyło właśnie jedno z tych złych przeczuć. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej natrętne. Niepokój Iqbala zdradzał, że jego duch również znajduje się w podobnym stanie. Nawet niektórzy z żołnierzy stali się niespokojni.

Szybkie gesty dłoni. Oddział komandosów zatrzymał się. Wszyscy zsiadli z koni. Zwiadowcy popełzli naprzód, podczas gdy ludzie, którym dzisiaj przypadł ten obowiązek, zaczęli odprowadzać konie do parowu obok drogi.

Wojownicy Hsien potrafili być niezwykle cisi i cierpliwi. Popłoch podziwiał ich umiejętność wykorzystywania naturalnych kryjówek terenu

cechującego się tylko poplątanymi, kolczastymi zaroślami, skałami i mnóstwem małych parowów. Nie potrafił tego, co oni. Oczywiście był po dwakroć większy od najrośniejszego z nich i przynajmniej o dziesięć lat starszy od najstarszego.

Min Bu, jeden z najlepszych, przerwał mu powolny marsz naprzód, wcześniej gestem nakazując absolutną ciszę.

Min odsunął na bok liście i odgarnął nieco ziemi. Palcem wskazującym narysował kontur mapy terenu przed nimi, wskazując w przybliżeniu dobrze wybrane miejsce na zasadzkę.

Popłoch dał znak do ogólnego odwrotu. Rozejrzał się za krukami lub innymi stworami, zwyczajowo towarzyszącymi wrogowi. Nie dostrzegł nic.

– Skąd mogli wiedzieć, że nadchodzimy? – zapytał, kiedy znaleźli się dość daleko, aby już można było szeptać. – Ilu ich tam jest?

Min wzruszył ramionami.

– Nie było sensu liczyć ich dokładnie. W każdym razie jest ich znacznie więcej niż nas. A jeśli chodzi o to, skąd wiedzieli... Ze szczytu wzgórza możesz obserwować całą okolicę, którą przemierzyliśmy w ciągu ostatnich dwu dni. Prawdopodobnie wysłano ich, aby przekonali się, czy Kapitan pójdzie na północ tą właśnie trasą. – Wskazał za siebie, na południe. Lśnienie broni i kurz wzniesany przez główne siły były wyraźnie widoczne.

– Ale dlaczego zasadzka?

– Widzieli, że nie ma nas dużo. Pewnie postanowili skorzystać z szansy złapania języka.

– Mhm. – Popłoch przyjrzał się zbocz. Czy można wykorzystać tę sytuację? Teraz żałował, że nie zaprzyjaźnił się bliżej z Nierozpoznanymi Cieniami. – Iqbal. Powiedz coś.

– Przewaga liczebna jest po stronie tamtych, powinniśmy zawrócić. Nie ma powodu wdawać się w walkę. Ani nawiązywać kontaktu z przeciwnikiem. Musimy chronić ważnych jeńców. A więc trzymamy się od tego z dala i czekamy na Kapitana.

Iqbal był człowiekiem żonatym. Nie lubił poważniejszego ryzyka.

Niemniej miał rację. Odwrót był jedynym manewrem pozbawionym znamion szaleństwa.

– Co by zrobili, gdybyśmy wpadli w ich pułapkę? – spytał Popłoch. Żałował, że nie może schwytać paru tamtych. Kilka odpowiedzi na

właściwie zadane pytania i już wiedzieliby mnóstwo o planach wroga oraz o tym, co dzieje się w jego obozie.

– Wiedzą, że Ospala nadchodzi. Zaraz by się wycofali.

– Dlaczego więc robię się coraz bardziej i bardziej nerwowy? – Popłoch wiedział, że Nierozpoznane Cienie próbują mu coś przekazać, ale on tego nie słyszy.

Na wzgórzach przed nimi zaczęły kwiczeć konie. Mężczyźni klęli. Kilkadziesiąt strzał wyleciało w górę, spadły tam, gdzie, jak sądził wróg, kryją się komandosi. Żadna nie uderzyła w ich pobliżu.

Przeklinając pod nosem, Popłoch znowu dał swoim ludziom znak do odwrotu. Zaczęli wymykać się pojedynczo. Strzały wystrzeliwane na oślep padały na całą powierzchnię zbocza.

– Idioci – mruknął Popłoch. – Rozpoznanie przez ostrzał. – Żołnierze Protektorki zareagowaliby na każdy okrzyk albo jakikolwiek inny wyraźny sygnał. Sami zdawali się ściągać na siebie katastrofę, która tylko czekała na swój czas.

Tagliański żołnierz padł na ziemię nie dalej jak trzy metry od Popłocha, wyjąc z bólu i trzymając się za tyłek. Popłoch zamarł, mając nadzieję, że Taglianin zbyt będzie zajęty sobą, żeby go zauważyć – ale słyszał już innych żołnierzy wroga przeciskających się przez zarośla i w jednej chwili pojął, iż nie uda mu się wymknąć dostatecznie szybko, aby ująć bez szwanku.

Iqbal miał ze sobą miotacz kul ognistych. Przeznaczony wszakże do wykorzystania w charakterze urządzenia alarmowego, nie zaś broni. Sądzono, iż zawiera jeden nabój. Był naprawdę archaiczny. Żadnej gwarancji, że w ogóle zadziała.

Niewidzialny jednak dla człowieka, który właśnie wypatrzył Popłocha, zakręcił korbą spustu przymocowanego do kawałka bambusa.

Wściekle żółta kula przebiła się przez ciało żołnierza Protektorki na wylot, a potem wpadła w krzaki za jego plecami. W ciągu kilku sekund stanęły w płomieniach.

Popłoch i Iqbal uciekli. Nic więcej nie można było zrobić.

Prawie dotarli już do wąwozu, kryjącego zwierzęta i jeńców, kiedy zbłąkana strzała wbiła się w nieosłonięty fragment uda Popłocha. Singh poleciał naprzód, gwałtownie koziołkując. Broda nieco ochroniła twarz,

kiedy zarył w krzewy, jednak kępki włosów zostały na kolcach. Wrzasnął, zdjęty niespodzianym bólem.

Iqbal przystanął, by mu pomóc.

– Wynos się stąd! – warknął Popłoch. – Masz Sjuruwidzę i dzieciaki. – Jednak tamten nie zareagował.

Żołnierze tagliańscy biegli w dół zbocza, bezładnie, zapominając o szyku, bez śladu dyscypliny bądź choćby namysłu. Oficerowie, sierżanci i szeregowi nie mieli żadnego bojowego doświadczenia ani nawet porządnego wykszolenia. Opuścili fortecę Nidźja, ponieważ Duszołap powiedziała im, że mogą odnieść zaskakujące zwycięstwo. Kiedy jednak sytuacja w polu zaczęła zupełnie się rozmijać z ich oczekiwaniami, poczuli się zagubieni.

Potykając się, wlokąc za sobą nogę, w której wciąż tkwiło drzewce strzały, Popłoch wsparł się na Iqbalu. Głosy podnieconych tagliańskich żołnierzy przedzierających się przez krzaki za ich plecami zwiastowały rychły i nieunikniony los.

Komandosi byli żołnierzami wybranymi spośród tych, którzy znali już bój ze służby u wojowników-władców Hsien, rozumieli doktrynę wojenną Kompanii i całkowicie się z nią zgadzali. Sami zastawili zasadzkę. Taglianie weszli w nią, jakby prowadziły ich złośliwe demony.

Skończyło się to krwawą rzezią. Prawdziwy triumf taktyczny Czarnej Kompanii. Jednak nie wszystko poszło gładko. Pod koniec starcia, w ferworze walki, komandosi odstępili od doktryny. Zamiast oderwać się od wroga, póki był w panice, utrzymywali kontakt bojowy, czekając, aż Popłoch i Iqbal uciekną na dobre.

Bracia Singh przeżyli. Ale kiedy przybyła wreszcie lekka kawaleria, pchnięta przez Ospałą zaraz po tym, jak dostrzeżono sygnał kuli ognistej, zastała większość zwiadowców rannych, a pozostałych martwych. Ulegli liczebnej przewadze. Jeźdźcy ścigali uciekających Taglian. Wycięli w pień większość rannych i maruderów wroga.

Smutna sprawa, ale nie udało się powtórnie schwytać Córki Nocy.

Jakiś szczególnie błyskotliwy tagliański oficer rozpoznał, na kogo trafił, i natychmiast odesłał dziewczynę na tyły. Zdradziła ją skóra biała niczym u robaka.

Kiedy zaszło słońce, trzeba było rzucać monetą, aby jakoś ustalić, która strona ma na swoim koncie większą porażkę. Kompania straciła wielki

skarbu i część swych najlepszych ludzi, przynajmniej na jakiś czas. Taglianie mogli poszczycić się wielką masakrą, mając do pokazania zamiast swych poległych tylko jedną, nadętą, cóż z tego, że egzotycznie piękną, bladą, brudną młodą kobietę.

Depresje Terytoriów Tagliańskich:
PO BITWIE

Pani Kapitan we własnej osobie dotarła na miejsce walk godzinę po ich zakończeniu. Obeszła je dookoła. Dręczyła ocalałych pytaniami. Większość komandosów przeżyła, jednak tylko dwóm udało się wyjść z walki bez cięższych ran. Z jeszcze większą troską indagowała jeńców. Kawalerzyści zachowali dość zdrowego rozsądku, żeby złapać kilku Taglian, którzy zdecydowali się poddać, zakładając, że chcąc ocalić skórę, pójdą na współpracę.

Żaden z jeńców nie miał pojęcia, co się stało z Córką Nocy. Żaden nawet nie znał jej imienia.

Wędrownka po polu bitwy doprowadziła Kapitana do Narajana Singha. Kopnęła starego kalekę.

– Pomiecie piekła. – Odwróciła się i zawołała: – Dlaczego nikt z góry nie wiedział o tej zasadzce?

Któraś odważniejsza dusza wyjawiała jej prawdę.

– Nierozpoznane Cienie pewnie wiedziały. Ale nikt ich nie pytał. Tobo jest jedynym, który potrafi z nimi rozmawiać i nakłonić do szpiegowania.

Ospała warknęła. Znowu kopnęła Narajana Singha. Przeszła kilka kroków.

– Co wiemy o tym forcie?

Zgłosił się Brzeszczot. On uratuje pozostałych. Wobec niego Ospala nie będzie tak zajadła. Zazwyczaj tak było. Niektórzy sądzili, że nieco się go obawia. Po prawdzie jednak, to zwyczajnie mu nie ufała, choć przecież dłużej był z Kompanią niż ona. Podobnie jak Łabędź i Sahra, nie złożył przysięgi. Jednak zawsze był w pobliżu i zawsze jakoś się angażował.

– Założył go stary Kapitan. Był stacją zapasowych koni dla pierwszej poczty kurierskiej – rzekł Brzeszczot. – Mury obronne dodano, ponieważ tubylcy wciąż kradli wierzchowce. Ostatecznie podczas wojen kiauluńskich Duszołap rozbudowała fort i wzmocniła załogę, ponieważ chciała silniej zaznaczyć swą obecność w tym miejscu, na wypadek gdyby ktoś próbował prześlizgnąć się tędy na północ. Zakładając, że wszystko odbyło się w taki sam sposób jak gdzie indziej, zapomniała o całej sprawie, gdy tylko walki dobiegły końca. Obsada może liczyć od pięćdziesięciu do dwustu ludzi. Plus dekwownicy.

– Całkiem spora banda jak na te tereny.

– To jest ogromny obszar. Poza tym połowa z nich zapewne nie pracuje już w interesie.

– Jakie są umocnienia?

– Nigdy tam nie byłem. Słyszałem, że ledwie starczą, by zatrzymać koniokradów. Co zapewne nie oznacza wiele. Kamienny mur, ponieważ tego materiału tu wszędzie jest dużo. Słyszałem, że także fosa, której nigdy nie ukończono. Nie przechodziłaś tędy podczas ucieczki na południe? Nie widziałaś na własne oczy?

– My wędrowaliśmy zachodnim szlakiem. Starym traktem handlowym. Unikaliśmy tras kurierów.

– Można by wysłać kawalerię, żeby otoczyła to miejsce, zanim przekażą dziewczynę dalej.

– Przypuszczalnie jest już za późno, by powstrzymać ich przed posłaniem po pomoc – Ospała myślała głośno.

– Nie sądzę, abyś musiała się tym martwić – odparł Brzeszczot. –

W chwili obecnej Duszołap z pewnością ogłosiła już alarm w całym imperium.

Ospała jęknęła. Potem kazała wezwać oficerów kawalerii. A kiedy odeszli z przydzielonymi zadaniami, poszła odwiedzić Popłocha i Iqbala. Ci dwaj byli przyjaciółmi od dziesięcioleci. Zapytała żonę Iqbala, Sjuruwidzę:

– Co mówi lekarz?

– Dojdą do siebie. Są przecież Szadar. To silni mężczyźni. Walczyli dzielnie. Bóg się zlituje.

Ospała zerknęła na Sahrę, która pomagała doglądać rannych. Sahara skinęła głową, co miało oznaczać, że nie są to tylko pobożne życzenia.

– Ja również uwzględnię ich w swoich modlitwach. – Ospała ścisnęła dłoń Sjuruwidzy, dodając jej ducha i myśląc równocześnie, że ta kobieta jest zbyt doskonała, aby mogła istnieć naprawdę. Przynajmniej mając na względzie to, jak mężczyźni traktowali swe żony. Ona jednak również była z Szadar i wierzyła, że religia dokładnie określa rolę każdego członka rodziny.

Poświęciła też chwilę na rozmowę z dziećmi Iqbala. Znosiły wszystko dzielnie. I nic dziwnego, ponieważ z nich również byli dobrzy Szadar, mimo iż przyszło im oglądać dziwne kraje i ludy.

Przebywając w pobliżu dzieci Iqbala, Ospała czasami nawet niejasno żałowała, że sama nie zrealizowała się w roli kobiety. Ale uczucia te nigdy nie trwały dłużej niż parę sekund.

– Brzeszczot. Przekaż wieści. Chcę, żeby cała ekipa dotarła do fortu przed zachodem słońca, jeśli to możliwe. Kiedy zobaczą, ilu nas jest, z pewnością poddadzą się bez walki.

– Wiesz, że niedługo trzeba będzie zrobić dłuższy postój – zwrócił jej uwagę. – Zwierzęta potrzebują czasu na popas i odpoczynek. A za nami ciągnie się ogon maruderów, sięgający chyba do samych Danda Presz.

Ludzie kaleczyli się, chorowali lub po prostu nie potrafili dotrzymać kroku. Drażniło to Ospałą, ale takie było życie. Jej siły zmalały o może i tysiąc żołnierzy. Jeśli wciąż będzie narzucała równie ostre tempo, sytuacja z pewnością ulegnie pogorszeniu.

– Kiedy dotrą wreszcie na miejsce, najbardziej wykończeni będą mogli zostać jako obsada garnizonu. – Była to taktyka równie stara jak wojowanie.

Nie przyznałaby się do tego, ale ona także potrzebowała odpoczynku. Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie miejsca, gdzie byłoby to możliwe.

Tagliańskie Ziemie Cienia:
BRAMA CIENIA

Myślisz, że naprawdę jest sens, abym włókł tam moją zmęczoną dupę? – zapytałem Panią. Światła dnia było jeszcze dość, żeby dostrzec niewyraźny zarys zbocza wiodącego do Bramy Cienia, która jednak wciąż znajdowała się wiele kilometrów od miejsca, gdzie spędziliśmy noc. Ten etap podróży, jak to niekiedy bywa, cechowała niechęć do spoglądania przed siebie, ponieważ za każdym razem zdawało się, iż cel nie zbliżył się nawet o trzy metry. Daleko po naszej lewej stronie została mgiełka zwiewna niby dym, skrywająca Nowe Miasto i dolną część zrujnowanego Przeoczenia. Z każdym z tych miejsc wiązały się nieprzyjemne wspomnienia.

– Co masz na myśli? – Moja najdroższa była podobnie zmęczona i od rana rozdrażniona jak ja. A jej zmęczone kości były znacznie starsze od moich.

– No cóż, ostatniej nocy nie zginęliśmy. To oznacza, że Brama jeszcze stoi. Staruszek Długi Cień wciąż się trzyma.

– Najwyraźniej.

– Czy nie wynika stąd, że Tobo ma wszystko pod kontrolą? Po cóż więc zadreczać się wspinaczką?

Pani uśmiechnęła się do mnie ironicznie. Nie musiała nawet mówić. Wiadomo było, że pokonamy dolinę, ponieważ w ostatecznym rozrachunku i tak musiałem wszystko zobaczyć na własne oczy. Chciałem wszystko zawrzeć w Kronikach, dokładnie tak jak było. Ze sto razy wyśmiewała się ze mnie podczas jazdy na południe, kiedy próbowałem znaleźć sposób, żeby pisać, nie schodząc z końskiego grzbietu. Tyle mógłbym zrobić, gdybym potrafił pracować w trakcie jazdy.

Potem zadławiła się śmiechem:

– Starzejesz się.

– Co?

– Znak postępującego wieku. Zaczynasz mieć obsesję na tle tego, ile jeszcze musisz zrobić w czasie, który ci pozostał.

Słowa już nabrzmiewały mi w gardle, jednak postanowiłem się nie kłócić. Ten rodzaj myślenia był mi znajomy. Podobnie jak niezdolność do zaśnięcia, kiedy śledziłem rytm swego serca, próbując ustalić, czy bije równo.

Można by sądzić, że facet w moim zawodzie już w bardzo wczesnym wieku powinien pogodzić się ze śmiercią.

Pokonując dolinę, na dnie której znalazły schronienie zupełnie przyzwoite farmy i pastwiska, natknęliśmy się na kilku mieszkańców. Żaden nie pozdrowił nas przyjaźnie. Nie dostrzegłem choćby jednego życzliwego uśmiechu. I choć nikt również nie podniósł na nas ręki, nie miałem kłopotów z wyczuciem zaskorupiałej złości umęczonego ludu. Od wielu lat w tej części świata nie toczyły się żadne poważne walki, jednak dorosłą ludność stanowili co do jednego ocalali ze strasznej epoki, niezależnie od tego, czy byli to tubylcy, czy imigranci, którzy przybyli, aby zasiedlić wyludnione ziemie i uciec przed jeszcze większymi okropieństwami innej części świata. Nie chcieli, żeby zło przeszłości powróciło.

Kraina ta pod rządami Władcy Cienia o imieniu Długi Cień bardzo ucierpiała. Po jego obaleniu cierpienia trwały dalej. Wojny kiauluńskie pochłonęły niemal wszystko, co oszczędził Długi Cień i wojny z Władcami Cienia. A teraz powróciła Czarna Kompania. Wyszła z równiny lśniącego kamienia, tego matecznika diabłów. Najwyraźniej nadciągał kolejny czas rozpacz.

– Nie mogę powiedzieć, że bym miał im to za złe – rzekłem do Pani.

– Co?

Wyjaśniłem.

– Ach. – Z całkowitą obojętnością. Niektóre nawyki nigdy nie zanikają. Znacznie dłużej była potężną władczynią niżli kolejnym robaczkiem na podbrzuszu świata. Niemniej współczucie nie było jedną z cech, które ją we mnie pociągały.

Tobo wręcz rozpierała niecierpliwość wywołana naszą opieszałością.

– Jak rozumiem, staruszka wciąż się trzyma – powiedziałem, mając na myśli Bramę Cienia. Pani i ja wyciągnęliśmy swoje klucze i pozwoliliśmy całemu oddziałowi przejść na drugą stronę. Murgen pomknął przodem, aby upewnić się, że jego chłopak wciąż ma wszystkie ręce, nogi i palce na swoim miejscu.

– Trzyma się – wyznał cudowny dzieciak. – Ale przypuszczalnie dlatego, że Długi Cień wciąż jeszcze nie opuścił równiny.

– Co? – Pani była wzburzona. – Przecież obiecaliśmy. Jesteśmy to winni Dzieciom Zmarłych.

– Wszystko to prawda – powiedział Tobo. – Jednak nie mamy pozwolenia na samobójstwo. Sziwetja wiedział, że zapomnieliśmy rozbroić pułapkę Długiego Cienia, tak więc nie dopuścił, by ten wyjechał z równiny.

– Skąd wiesz?

– Wysłałem kurierów. Takie wieści przynieśli z powrotem.

Nastrój Pani nie uległ bynajmniej poprawie.

– W Szeregu Dziewięciu pewnie wrze. Nie chcemy robić sobie z nich wrogów. Być może znowu będziemy musieli uciekać do Krainy Nierozpoznanych Cieni.

– Sziwetja uwolni Długiego Cienia zaraz po tym, jak odrestaurujemy naszą Bramę.

Moi towarzysze wyraźnie robili się nerwowi. Oblicze Wierzy Łabędzia poblądło, pocił się, wręcz podskakiwał z niepokoju, a przede wszystkim milczał, co zupełnie do niego nie pasowało. W rzeczy samej, przez cały dzień nie odezwał się słowem.

Rozmyślanie o cieniach potrafi zrobić coś takiego z człowiekiem, który był choć raz świadkiem ich ataku.

– Jesteście gotowi do roboty? – zapytał Tobo

Pokręciłem głową.

– Chyba żartujesz?

– Nie – odparła Pani.

– Sam tego nie skończę – upierał się Tobo.

– Ale nie skończysz również z pomocnikami tak zmęczonymi, że na pewno będą popełniać błędy – wyjaśniłem. – Mam przeczucie. Długi Cień zostanie do jutra.

Tobo przyznał, że to niewykluczone. Sziwetja już o to zadba. Ale ta deklaracja była wymuszona.

– A więc rozbijemy obóz – podsumowała Pani.

Murgen, Łabędź i pozostali najpewniej tym właśnie powinni się zajmować, zamiast stać tylko i się zamartwiać.

Kiedy pokonaliśmy barierę, Pani zadumała się:

– Dlaczego Tobo tak się spieszy?

Zaśmiałem się szyderczo.

– Sądzę, że to może mieć coś wspólnego z Pierdu Pierdu. Bardzo długo jej nie widział. Ospała mówi, że pewnego razu zupełnie go opętała.

Kiedy mówiłem, wyraz jej twarzy zmieniał się od zaintrygowania do bezbrzeżnej odrazy.

– Mam nadzieję, że żartujesz.

– Są jeszcze dwie całkiem atrakcyjne dziewczyny Vorszk – wtrącił Murgen. – Może chodzi o jedną z nich?

Ziemie Cienia:
NAPRAWA BRAMY

Nocą przyszli wędrowcy w krainie snów. Ich obecność objawiła się tak potężnie, że nawet Łabędź, Człek Panda i Zjawa ich widzieli. Ja słyszałem całkiem wyraźnie ich słowa, aczkolwiek jak zawsze nic nie pojąłem. Pani i Tobo udało się jednak coś z nich wydobyć.

Przy śniadaniu szeptali, pochyliwszy głowy ku sobie. Ostatecznie doszli do wniosku, że Nef próbowali nas przed czymś ostrzec.

– Tak myślisz? – wykrzywiłem się szyderczo. – To zupełnie nowa interpretacja.

– Hej! – skarcił mnie Tobo. – To ma coś wspólnego z Khatovarem.

– Niby co na przykład?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Ty powinieneś wiedzieć lepiej. Ja tam nigdy nie byłem.

– Ostatnim razem, kiedy spotkaliśmy wędrowców w krainie snów, kierowali się do Khatovaru drogą wiodącą wśród wszystkich cieni równiny. Sądysz, że zobaczyli coś, o czym ich zdaniem powinniśmy wiedzieć?

– Dokładnie tak sędzę. Masz pojęcie, o co może chodzić?

– Próbowaleś zmusić swoich przyjaciół spośród Nierozpoznanych Cieni, żeby porozmawiali z Nef? – zapytała Pani.

– Tak. Nic z tego nie wyszło. Ze zwykłymi cieniami Nef również nie rozmawiają.

– Cóż to było wobec tego za zamieszanie wśród Nierozpoznanych Cieni zeszłej nocy? Czarne Ogary tak się wściekały, że kilka razy mnie obudziły.

– Naprawdę? – Tobo wyglądał na skonsternowanego. – Niczego nie zauważyłem.

Ani ja. Jednak ja jestem ślepy i głuchy na większość nadprzyrodzonych głosów. Poza tym choć raz nie wierciłem się na posłaniu, zastanawiając się, kiedy stanie moje serce.

– Bierzmy się do roboty.

– Pierdu Pierdu nigdzie się nie wybiera, chłopcze.

Tobo zmarszczył brwi. Po chwili załapał. Ale nie wyglądał ani na zmieszanego, ani zbitego z tropu.

– Ach? Aha. Nie wiesz? Jej już nie ma. Była bitwa z garnizonem stacjonującym w Nidzja. Żołnierze Popłocha ulegli liczebnej przewadze. Taglianie złapali Córkę Nocy. Ospała właśnie wysłała za nimi kawalerię.

Pokręciłem głową i zacząłem narzekać:

– Na nic jej się to nie zda. Teraz nie starczyłby i milion jeźdźców.

– Nie podchodzisz do rzeczy przypadkiem nazbyt pesymistycznie?

– Ma rację – zawyrokowała Pani. Przeszła na starą mowę Północy, której nie słyszałem od czasów mej młodości i której zresztą nigdy nie opanowałem biegle. Brzmiało to tak, jakby deklamowała jakąś pieśń. Refren brzmiał mniej więcej tak: „Oto, jak sprzysięgły się Losy”.

Znajdowaliśmy się w obrębie Bramy Cienia, traktując ją z należytą powagą. Tobo dokonywał drobnych, eleganckich poprawek w splotach i kolejnych warstwach magii, z których zbudowany był mistyczny portal. Szkolenie, jakie przeszedłem, czyniło ze mnie na poły wykształconego murarza. W porównaniu ze mną Tobo był jak mistrz rzemieślnik, który tworzył panoramiczne arras, splatając je, zamiast tkać. Ja byłem nikim więcej jak facetem od prostej roboty w naszej brygadzie.

Nawet Panią trudno było uznać za kogoś lepszego niż tylko pomocnika donoszącego materiały. Lecz tacy również są potrzebni.

– Dzięki za komplement – rzekł Tobo, gdy zapoznałem go z moją metaforą. – Ale głównie zajmuję się rodzajem haftu i zwykłym, staromodnym wiązaniem pętelek na pękniętych niciach. Fragmenty tej tkaniny są zwyczajnie poprzecierane. Nigdy już nie będzie całkowicie w porządku, nawet jeśli okaże się teraz trwalsza niż wówczas, kiedy ją utkano.

– Niemniej potrafisz wypruć z niej pułapkę Długiego Cienia?

– Przypomina to trochę przecinanie i czyszczenie wrzodu, ale odpowiedź brzmi: tak. W istocie wykonał cholernie nieporządną robotę. Najwyraźniej nie wiedział wiele o Bramach Cienia. Nie miał pojęcia, że w naszym

świecie nie spotka nikogo, kto wie więcej. Czego przede wszystkim nie rozumiał, to faktu, że istnieje wiele kluczy.

– Ależ oczywiście, że o tym wiedział – zaprotestowałem. – Dlatego właśnie posłał Aszjutosza Jakszę, swego ucznia, aby wkradł się w łaski kapłanów Niueng Bao w świątyni Gangeszy.

Tobo popatrzył na mnie z konsternacją, jakby nie znał tej historii.

– Wiedział, że tam przechowuje się klucz, i chciał go mieć. Aby wrócić do Hsien. Jeśli nie znasz tej historii, lepiej zmusz swego wujka, by ci opowiedział. Ponieważ to z jego ust słyszała ją Ospala.

Chłopak uśmiechnął się niewyraźnie.

– Cóż, może i tak. Niewykluczone.

– Co masz na myśli, mówiąc: niewykluczone?

Pani przerwała swą robotę.

– Nie zabawiaj się w gierki Dodża, Tobo. Nikogo nie oszukasz. Byłam tam. W ciele białego kruka. Wiem, co człowiek powiedział.

– Prawdopodobnie o to właśnie chodzi. Dodż opowiedział Ospalej parę historii. Niektóre zapewne prawdziwe, inne raczej wysane z palca. Bajki, o których sądził, że brzmić będą jak prawda, ponieważ wydawały się wiarygodne na podstawie tego, co już wiedział. Mistrz Santaraksita spędził całe lata, przeszukując archiwa Kang Fi. Historia Niueng Bao z naszego świata w niczym nie przypomina tego, co Dodż mógł wam naopowiadać.

– To znaczy? – zadumałem się na głos. – Kłamał czy tylko zmyślał? – Znałem wielu ludzi, którzy nigdy nie przyznaliby się do własnej ignorancji, nawet w obliczu najbardziej przygniatających faktów.

– Mistrz Santaraksita twierdzi, że nasi przodkowie opuścili Hsien jako uchodźcy, wyślizgnęli się niczym węże, wykorzystując w tajemnicy skonstruowany klucz. Próbowali uciec przed terrorem Władców Cienia – powiedział Tobo. – Zgodnie z planem ewakuacja przez równinę miała mieć charakter regularny i stopniowy. Ponieważ byli prześladowanymi wyznawcami Khadi, zbudowali strukturę organizacyjną spotykaną również w innych oddziałach wiernych, ale nie byli najemnikami i nie byli misjonarzami. Nie byli Wolną Kompanią. Nie byli oddziałem Dusicieli. Byli po prostu uciekinierami, których do takiego kroku zmusili Władcy Cienia, upierający się przy likwidacji ich religii. Mistrz Santaraksita jest zdania, że ich kapłani wymyślili prawdopodobnie bardziej dramatyczną historię swego ludu dopiero po jakimś czasie, gdy już osiedli w delcie rzeki,

po wielu latach spędzonych na wędrownie. Zanim przybyli na miejsce, jedynymi ludźmi zamieszkującymi bagna byli tagliańscy banici i kryminaliści oraz naprawdę już nieliczni potomkowie tych Oszustów, których obyczaje próbował zgładzić Radrejnak. Może właśnie na nich nasi Niueng Bao próbowali zrobić wrażenie.

Kiedy Tobo mówił, jego dłonie ani na chwilę nie zaznały spokoju. Jednak ich ruchy nie miały nic wspólnego z wypowiedzianymi słowami. Pracował nad czymś, czego nie można było dostrzec.

– Do jakiego stopnia Dodż nas okłamał? – zdecydowany byłem wydobyć z niego wszystko. Nigdy nie ufałem staremu.

– To jest właśnie najciekawsza część całej sprawy. Nie mam pojęcia. Nie sądzę, by naprawdę wiedział. Wyznał mi tylko, że większość z tego, co pierwotnie wydusiła zeń Ospała, powiedział jej, ponieważ wydawało się to wiarygodne i ponieważ to właśnie chciała usłyszeć. Kiedy jednak poskrobać zewnętrzną powłokę, pominąwszy oczywiście umiejętności władania Spopielającą Różdżką, Wujek Dodż okazuje się większym łgarzem niż przeciętni kapłani. Kapłani zazwyczaj wierzą w to, czego uczą.

– Od razu widać, że spędził dużo czasu, wałęsając się z Brzeszczotem – skwitowała Pani.

– Klucz, którego użyli moi przodkowie, aby pokonać równinę, został potajemnie wykonany w Kang Fi – kontynuował Tobo. – Wrócił do Hsien, aby mogła skorzystać z niego następna grupa uchodźców. Jednak nigdy nie dano im szansy.

– Ale przecież mieli złoty kilof. – Czyli klucz, który Ospała ostatecznie znalazła i wykorzystała dla dostania się na równinę i uwolnienia Zniewolonych pod fortecą Sziwetji.

– To musiał być klucz należący do Oszustów, którzy ukryli Księgi Zmarłych za czasów Radrejnika. To oni schowali kilof pod świątynią Gangeszy. Świątynia ma długą historię. Jej początki sięgają kaplicy Dżanaki. Potem przyszli Gunni i wykorzystywali ją jako pustelnię. Następnie ocalali z pogromu Radrejnika przepędzili Gunni, jednak potem zniknęli bez śladu. W folklorze Niueng Bao znaleźć można mnóstwo odniesień do zażartych walk o czystość doktrynalną za wczesnych dni. Sto lat później święci mężowie Gunni z kultu Gangeszy zaczęli wracać na bagna. Ostatecznie większość Niueng Bao zapomniała o Khadi i przyjęła

Gangeszę. Kilka pokoleń później kilof został odnaleziony podczas prac remontowych przy świątyni. Ktoś zrozumiał, że musi być nadzwyczaj ważną relikwią. Ale dopiero w czasach najnowszych, kiedy Długi Cień, a później Duszołap dowiedzieli się o nim, zdano sobie sprawę z tego, do czego naprawdę służy.

– Co z pielgrzymkami?

– Pierwotnie zakładano, że ludzie z Hsien będą spotykać się z naszym ludem przy Bramie Cienia, dostarczając wieści z domu i kolejnych uchodźców. Jednak Władcy Cienia dowiedzieli się o wszystkim. Nadto moi przodkowie utracili więź z przeszłością. Wbrew legendzie i zupełnie inaczej niż rzeczy mają się dzisiaj, wywierano wówczas na nich niewielkie naciski z zewnątrz. Po prostu wiara w dawne ideały i tradycyjny sposób życia przestały stanowić zwornik tożsamości Niueng Bao.

Niezależnie od tego, co mówi Dodż, większość Niueng Bao nie jest bynajmniej oddana tradycji i zdecydowana strzec starych wartości z całym poświęceniem. Większość o niczym już nie pamięta. Sami byliście tego świadkami podczas naszego pobytu w Hsien. Niueng Bao w niczym nie przypominają ludzi, którzy tam mieszkają.

Pani i ja wymieniliśmy spojrzenia. Żadne z nas nie zakładało, że Tobo mówi nam więcej prawdy, niżli kiedykolwiek powiedział Dodż. Chociaż chłopak wcale nie musiał kłamać świadomie. Zerknąłem na Tai Deia. Z jego twarzy nie dawało się nic wyczytać.

– Zastanawiałem się, dlaczego Dodż nigdy nie odnalazł tam żadnych facetów od Drogi Miecza – powiedziałem.

– To proste. Władcy Cienia poddali ich eksterminacji. Stanowili przecież kastę wojowników. Walczyli, póki nikt nie został przy życiu.

Od wielu lat chciałem wiedzieć, dlaczego kult wyznawców miecza miałyby obejmować część grupy wywodzącej się spośród czcicieli Kiny; grupy, która w moim świecie nie wierzyła w rozlew krwi. Wciąż nie uzyskałem odpowiedzi na moje pytanie. Teraz jednak przekonałem się, że zapewne nikt tego nie wie.

– Jestem zaskoczony, że Ospalej nigdy nie uderzyło to, iż rzekomy kapłan tych Niueng Bao łązi sobie gdzie chce, krojąc ludzi na kotlety – zwróciłem się do Pani.

– Na dodatek jeszcze ludzi Oszustów – dodała. – Mnóstwo ich zarznął pod Czarandapresz.

Tobo jest bystrym młodym człowiekiem. Zrozumiał, że jego wersja historii nie wydaje nam się bardziej przekonująca od tej opowiedzianej przez Dodża.

Wciąż nie miałem pewności, czy wierzy w to, co mówi.

Nie miało to zresztą znaczenia.

Pani szturchnęła mnie w bok.

– Murgen i Wierzba Łabędź zwrócili moją uwagę na ciekawe zjawisko – wyszeptała. – Sam pewnie zechcesz zobaczyć. Tobo, zostaw to, co robisz, i również się przyjrzyj.

W tym momencie zrozumiałem, że mi się to nie spodoba. Tai Dei, Murgen i pozostali już zastanawiali się nad najlepszym miejscem na kryjówkę.

Odwrociłem się. Pani wskazała palcem. Trójka lotników Vorszk, z tej odległości nie większych niż czarne plamki, wisiała nad krawędzią równiny. Byli bardzo wysoko, daleko i trwali bez ruchu.

– Ktoś potrafi mi powiedzieć, jak wyraźnie nas widzą? – zapytałem.

– Mogą stwierdzić, że tu jesteśmy – odrzekła Pani – to wszystko. Chyba że dysponują przyrządem do patrzenia na odległość.

– Co robią?

– Sprawdzają teren, jak sądzę. Teraz, kiedy nie ma już ich Bramy, zdobyli nieograniczony dostęp do równiny. W ciągu dnia są całkowicie bezpieczni, póki trzymają się z dala od ziemi. Zresztą, jeśli potrafią latać wysoko, nawet w nocy nie mają problemów z cieniami. Nigdy nie widzieliśmy, żeby docierały wyżej niż trzy, cztery i pół metra ponad miejsce, gdzie osłona łączy się z ziemią.

– Sądzisz, że to nas szukają? Czy po prostu chcieli się rozejrzeć?

– Zapewne i jedno, i drugie. Pragną zemsty. A może bezpiecznego, nowego świata.

W czasie gdy rozmawialiśmy, Vorszk nawet nie drgnęli. Wyobraziłem sobie podobne trójki oblatujące wszystkie krańce równiny w nadziei, że być może uda im się otworzyć drogę bez nas.

– Tobo, czy mogą wydostać się z równiny?

– Nie mam pojęcia. Tutaj nie zdołają. Przynajmniej bez jednego z moich kluczy. Zainstaluję coś, co ich zabije, jeśli spróbują.

Podziwiałem jego pewność siebie.

– Przypuśćmy, że mają kogoś równie zręcznego jak ty. Co powstrzyma ich przed neutralizacją twoich zaklęć w ten sam sposób, jak ty uczyniłeś z magią Długiego Cienia?

– Brak wyszkolenia. Brak wiedzy, którą udało nam się wynieść z Kang Fi. Musisz co nieco wiedzieć o tych rzeczach, żeby przy nich majstrować.

– Czy mogą przebić się przez Bramę prowadzącą do Hsien? – zaniepokoiła się Pani. Tam była wiedza.

– Nie mam pojęcia. Jakoś przeprowadzili forwalakę. Być może są w stanie przerzucać własnych ludzi, po jednym naraz. Nigdy wcześniej nie próbowali. Ale nigdy dotąd nie znajdowali się też w równie rozpaczliwej sytuacji. A czas nie jest ich sprzymierzeńcem.

– Co z Sziwetją? Jakie jest jego stanowisko w tej sprawie?

– Dowiem się. W tej chwili wysyłam posłańca.

Jeden z żołnierzy z Hsien – chyba Człek Panda – zapytał:

– A co z ludźmi eskortującymi Długiego Cienia, skoro nie został wypuszczony z równiny? Jeden z nich to mój krewny.

Tobo westchnął głęboko.

– Moja robota nigdy nie ma końca.

– Jeśli masz zamiar coś zrobić, lepiej zrób to szybko – rzekła Pani. – Tamci mają klucz. Jest w niebezpieczeństwie.

– Cholera! Masz rację. Kapitanie, zamierzam pożyczyć twoje kruki. Pani, wychył się przez Bramę i zawołaj Wielkie Ucho oraz Kocicę Sith. Usłyszają cię. Powiedz im, że są potrzebni. Sytuacja alarmowa.

– Jedna cholerna sprawa po drugiej – narzekałem. – To się nigdy nie skończy.

– Ale wciąż żyjesz – skomentował Łabędź.

– Uważaj, żebyś nie wywołał wilka z lasu. – Zabawialiśmy się dobrodusznymi docinkami, podczas gdy Tobo pchnął nadprzyrodzonych posłańców do Sziwetji, strażników Bramy Cienia Hsien, opiekunów Długiego Cienia oraz naszych ludzi na Północy.

Podczas tych czynności Murgem zapytał syna:

– Co powstrzymuje tych błaznów w górze przed prostym sfrunięciem z równiny? Pamiętam chwile, kiedy kruki wlatywały i odlatywały bez przeszkód. – Podobnie jak on sam, przez cały ten czas.

– Były w stanie tego dokonać, ponieważ pochodziły z naszego świata. Kruków z innego świata w ogóle byśmy nie widzieli. Nawet gdyby były na

równinie. Tak. Vorszk mogą wylecieć, kiedy im tylko przyjdzie ochota. Ale kiedy tak zrobią, skończą za każdym razem w Khatovarze. Bez wyjątku. Jeśli chcą zejść z równiny do innego świata, muszą wejść na nią przez własną Bramę Cienia i opuścić ją przez inną. Sziwetja tak to wszystko urządził.

Niełatwo się w tym połapać. Podejrzewam, że tak jest zawsze, kiedy rzeczywistości zachodzą na siebie, a pośrodku wszystkiego tkwi nieśmiertelny półbóg, który czuje się zobowiązany do utrudnienia ludziom zrozumienia pełni swych mrocznych możliwości.

45

Nidźja: UPADEK WAROWNI

Murów Nidźji broniło mniej niż pięćdziesięciu żołnierzy, większość już ranna, wszyscy zaś do reszty przerażeni po nocy spędzonej w towarzystwie Nierozpoznanych Cieni.

Obrońcy przystali na warunki, zgodnie z którymi nie poniosą ujmy na żołnierskim honorze i będzie im wolno odmaszerować bez broni, ale zabierając rodziny oraz wszelki dobytek, jaki będą w stanie udźwignąć. Poradzono im również, by na przyszłość schodzili z drogi Czarnej Kompanii.

Gdyby warownia Nidźja poddała się choć odrobinę wcześniej, Ospala bałaby się zasadzki. W takiej zaś sytuacji wysłała naprzód Dodża, żeby się upewnił, czy Duszołap nie zostawiła żadnych drobnych niespodzianek.

Nic takiego nie było.

– Zamknij Narajana gdzieś, gdzie nie będzie działał mi na nerwy – zarządziła Ospala, kiedy upewniono się, że warownia jest bezpieczna. – Za dzień lub dwa zdecyduję, co z nim zrobić. – Wolałaby przekazać go Konowałowi i Pani natychmiast. – Dowódcy batalionów, regimentów i brygad oraz wszyscy wyżsi szarżą członkowie sztabu mają za godzinę zebrać się w pomieszczeniu lokalnego dowództwa.

– Sądzisz, że wystarczy miejsca? – zapytała Sahra. – Naprawdę myślałam, że ta warownia będzie bardziej imponująca.

– Podobnie jak ja. Mimo iż wiedziałyśmy, że to tylko przerośnięta stacja zapasowych koni. Do licha, żałuję, że Tobo tu nie ma.

– Podobnie jak ja. – Sahra nienawidziła chwil, gdy musiała rozstawać się z rodziną. Podczas lat spędzonych w Hsien przywykła do tego, że znowu wszyscy są razem, jak być powinno. – Zastanawiałam się trochę. Czy nie byłoby lepiej, gdybym powstrzymała Tobo i Murgena przed udaniem się w tak niebezpieczne miejsce?

– Niby do Bramy Cienia?

– Właśnie. Czy gdziekolwiek, gdzie jeden zły cios może odebrać mi ich obu naraz.

Ospała rozumiała udrękę Sahry. Zły los zabrał jej wcześniej dwójkę dzieci i męża. Strata męża jednak nie martwiła jej za bardzo. Jego odejście uczyniło jej życie łatwiejszym. Ale rzadko można spotkać matkę, która nie będzie wiecznie ubolewać nad stratą swych pociech.

Wszyscy mają udział w zadziwiająco okrutnym doświadczeniu obłąkania Dżajkuru albo Dedzagore, które wykoślawiło tak wielu członków Kompanii i pozostawiło niegojące się rany oraz obsesje kształtujące ich myśli i dusze.

– To dobry pomysł – stwierdziła Ospala. – Aczkolwiek możesz się spodziewać oporu ze strony mężczyzn. Czy potrafisz sobie wyobrazić, że Popłoch lub Iqbal zechcą pójść dokądkolwiek, jeśli nie dane im będzie maszerować ramię w ramię?

Sahra westchnęła. Powoli pokręciła głową.

– Jeżeli Gunni nie mylą się w kwestii Koła Żywotów, musiałam być kiedyś kimś znacznie bardziej niegodziwym niżli jakikolwiek Władca Cienia. W tym życiu spotykają mnie wyłącznie kolejne kary.

– Znacznie trudniej być Vedna, wierz mi. Nie możesz zwać winy na grzechy wcześniejszych żywotów. Po prostu wariujesz, próbując zrozumieć, dlaczego Bóg jest na ciebie wściekły w tym jednym, jedynym życiu.

Sahra pokiwała głową. Chwila słabości minęła. Znowu odzyskała pełną kontrolę nad sobą.

– Pewnie myślałaś, że udało mi się dojść z życiem do ład, nieprawdaż?

Ospała pomyślała, że udało jej się to na tyle, na ile jest to w ogóle możliwe, ale nic nie powiedziała. Nie chciała z powrotem popychać Sahry na drogę autoanalizy. To szybko stałoby się męczące.

– Czeka nas poważne posiedzenie sztabu. Potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś myślała w jak najszerszej perspektywie. Spróbuję zmodyfikować moją strategię. Odległości okazują się zbyt wielkie, żeby

gnać na łeb na szyję. Szybko słabniemy, podczas gdy nasi wrogowie rosą w siłę. Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia na temat alternatywnych możliwości.

– Wszystko będzie dobrze. Po prostu czasami muszę ulegać tym napadom, żeby jakoś funkcjonować.

46

Nidźja: CIEMNOŚĆ ZAWSZE NADCHODZI

Ciemność spowiła Nidźję. Wraz z nią nadeszłaomalże nadnaturalna cisza. Wewnątrz nierównych ścian wyżsi stopniem dowódcy zgromadzili się wokół Ospalej i Sahry. Na dziedzińcu żołnierze gotowali, oporządzali uprząż i sprzęt, głównie zaś spali ciężkim snem po znojnym dniu. Nocnego odpoczynku nigdy nie było dosyć, żeby odzyskać pełnię sił na marsz dnia kolejnego. Zmęczenie kumulowało się coraz bardziej, w miarę jak armia pokonywała kolejne kilometry w gorączkowym pośpiechu.

Goblin znalazł się bez nadzoru po raz pierwszy od czasu swego uwolnienia, przeoczony, zapomniany. Przez jakiś czas nie ufał pozorom. To byli sprytni ludzie. Najpewniej tylko go sprawdzają.

Wreszcie stało się jasne, że może poruszać się z całkowitą swobodą, nieinwigilowany. Nastąpiło to we wczesnej fazie gry i w miejscu odległym, ale na lepszą sposobność zapewne nie mógł liczyć.

Narajan z trudem poruszył obolałymi członkami, chociaż rozpacz, która go ogarnęła, była tak dojmująca, iż nie potrafił zdobyć się na szczególną troskę o dalszy los swej cielesnej powłoki. Już odseparowano go bardziej – przynajmniej w sensie przestrzennym, jeśli nie czasowym – od Córki Nocy, aniżeli zdarzyło się to kiedykolwiek od chwili jej narodzin. Jeśli ją straci, nie będzie miał powodu dalej tego ciągnąć. Czas wrócić do domu, do Kiny. Nic więcej nie da się zrobić. A prawdopodobieństwo, że otrzyma drugą szansę, było doprawdy niewielkie. Żył tylko dlatego, że ci ludzie przeznaczyli go na zabawkę dla naturalnych rodziców dziewczyny. Znowu.

Jego dni i godziny były policzone, jego wiara została wystawiona na ciężką próbę po raz kolejny.

Usłyszał słaby szmer głosu, który wydał mu się dziwnie znajomy. I tak też być powinno, pomyślał. Serce zaczęło łomotać mu w piersiach. To był znak rozpoznawczy Oszustów, przeznaczony do wykorzystania w ciemnościach takich jak te, kiedy zwyczajowa mowa dłoni nie spełnia swego zadania. Wymamrotał odzew. Wysiłek, jaki musiał podjąć, zaowocował atakiem kaszlu.

Wymiana znaków ciągnęła się do momentu, w którym Narajan uznał, że nie ma wątpliwości, iż oto spotkał współwynawcę. Wtedy zapytał:

– Po co przybyłeś? Nie uda ci się mnie uratować. – Wykorzystał słowa sekretnej gwary Oszustów, co było ostatecznym testem. Przynajmniej dowie się równocześnie, jaka jest pozycja jego gościa. Niewielu świeżych konwertytów było tak zaawansowanych w swych studiach.

– Sama bogini przysłała mnie, abym przekazał jej miłość, szacunek i aprobatę dla twej ofiary. Zobowiązała mnie do zapewnienia, że twoja nagroda będzie wielka. Pragnie, byś zrozumiał, iż moment jej zmartwychwstania jest bliższy, niżli podejrzewają niewierni. Chce, abyś wiedział, że twoje wysiłki i niedole oraz twoja nieugięta wiara naprawdę się przydały. Chce, abyś wiedział, że wrogowie wkrótce zostaną rzućeni na kolana i pożarci. Chce, abyś wiedział, iż strzeże cię i że będziesz stał przy jej boku, kiedy przyjdzie świętować Rok Czaszek. Chce, abyś wiedział, że ze wszystkich, którzy jej służyli, nawet licząc zastępy świętych, w tobie znalazła największe upodobanie.

Brama Cienia:
BRYGADA NAPRAWCZA

Gdy Tobo przygotowywał się do odparcia zagrożenia ze strony Vorszk, obozowisko pod Bramą Cienia zmieniło się w wyspę pośród powodzi Nierozpoznanych Cieni. Szczególnie martwił go los strażników Długiego Cienia, póki Sziwetja nie zapewnił, że pozostają oni niewidzialni dla oczu Vorszk.

– Wierzysz mi? – zapytała Pani. Z nas wszystkich pracujących przy Bramie Cienia ona miała największe, najbardziej naturalne skłonności do paranoi. – Może spróbuje dobić lepszego targu z nimi.

– Jakiego lepszego targu? Przecież obiecaliśmy mu, że dostanie, czego chciał. Nie próbujemy go kontrolować i w sumie niewiele od niego chcemy.

– Założę się, że wobec tego myśli, iż to zbyt dobre, by mogło być prawdziwe. – Zaiste była w podłym nastroju.

Zapytałem więc:

– Co się stało ze złotym kilofem? Kluczem Oszustów do Bram Cienia?

Po krótkiej chwili, podczas której decydował, ile prawdy powinien zdradzić, Tobo odparł:

– Zostawiłem go Sziwetji. Możemy go znowu potrzebować. Kiedy przyjdzie czas, by zabić Kinę. Nie potrafiłem wymyślić żadnego innego miejsca, gdzie byłby lepiej chroniony przed ewentualnymi zakusami jej wyznawców. – Przyglądał się nam po kolei wzrokiem zdradzającym konsternację. Już pewnie uważał, że powinien rzecz całą zatrzymać dla siebie. Złoty kilof był świętą relikwią Dusicieli, którą można było też wykorzystać do uwolnienia Kiny.

Obawiał się, że przynajmniej jedno z nas z pewnością powie komuś o tym, co właśnie usłyszeliśmy.

To była długa noc, a po niej nastał dzień, który zapowiadał się na jeszcze dłuższy.

Na członków naszego oddziału, którzy nie mieli roboty, przyszedł czas próby. Pozostawała im tylko gra w karty i zastanawianie się, czy mieszkańcy Nowego Miasta będą na tyle szaleni, aby nas zaatakować.

Człek Panda i Zjawa głównie przyglądali się grze. Kiedy już siadali do stolika, nie szło im najlepiej. Tonk jest jedną z najprostszych gier, jakie kiedykolwiek wymyślono, oczywiście dla zorientowanych w regułach, jednak główną jego atrakcją są nieformalne rozmowy towarzyszące dobieraniu kart, zrzucaniu się i wykładaniu. Grupa graczy znających się dobrze to coś całkiem odmiennego od zbieraniny ledwie potrafiących porozumieć się w jednym języku. Gdziekolwiek Kompania przystaje choćby na piętnaście minut, zaraz ktoś siada do partyjki tonka. Początki tradycji sięgają wieków przed moim zaciągnięciem się. I przetrwa ona długo po tym, jak mnie już nie będzie.

Nie będzie. Próbowałem sobie wyobrazić, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdybym kiedyś tam opuścił Kompanię. Nie staje mi jednak na tyle wyobraźni. Przyznaję. Nie mam dość siły charakteru, żeby porzucić wszystko, co znam, nawet jeśli to wszystko to tylko kręta, nieszczęsna droga, która zbyt często wiedzie przez zewnętrzne marchie piekła.

Przez większość dnia zachowywałem się jak zombi, targając nosidła dla mojego młodego murarza, podczas gdy większość mych myśli błąkała się gdzie indziej, przeżywając śmiało przygody na manowcach światów wyobraźni.

W pewnej chwili, późnym popołudniem, powiedziałem do Pani:

– Powinienem ci to chyba mówić częściej. Kocham cię i jestem szczęśliwy, że spisek Losów złączył nas razem.

Moje słowa wprowadziły ją w osłupienie. Milczała. Zdałem sobie sprawę, że Łabędź i Murgen gapili się na mnie i przez czas jakiś zastanawiali, czy nie doszedłem do wniosku, iż umieram.

Vorszk nie przeoczyli nas. Ale zachowywali ostrożność. Kilka razy w ciągu dnia pokazali się na krótko. Ich zwyczajowa arogancja zniknęła.

Kiedy już wywiązałem się z wyznaczonych mi obowiązków, zapytałem Tobo:

– Jak myślisz, o co im chodzi? – Rozmawialiśmy już o tym wcześniej, ale nigdy nie zadowolam się prostą, zdroworozsądkową interpretacją motywów przyświecających czarownikom.

– Szukają nadziei. Albo czegoś innego, co da im szansę. Spodziewam się, że w chwili obecnej ich świat bardziej przypomina piekło niż to wszystko, co potrafią wyobrazić sobie dowolni kapłani. Grasuje po nim przecież większość cieni zamieszkujących równinę. Jedna rodzina czarowników, niezależnie jak cudowną dysponująca bronią, po prostu nie ma szans na powstrzymanie tego, co tam się dzieje. Przynajmniej dopóki zniszczenia nie osiągną skali porównywalnej z końcem świata.

Od czasu do czasu na myśl o Vorszk i ludach Khatovaru czułem wyrzuty sumienia. Tym razem jednak, kiedy wejrzałem w głąb mej duszy, znalazłem wyłącznie obojętność.

– Ile jeszcze czasu zajmie ci dokończenie wszystkich modyfikacji? – chciała wiedzieć Pani. Ciągnęło ją na północ. Z niejasnych uwag zorientowałem się, że chce dołączyć do sił głównych, nim spotka je katastrofa. Jakim sposobem jej obecność mogła przyczynić się do jej uniknięcia, tego pojąć nie potrafiłem. Obecnie nie dysponowała nawet taką ilością magii, żeby rozpaść ogień, na dodatek mając krzesiwo i hubkę.

– Najwyżej dziesięć minut – odparł Tobo. – Jeszcze ostatnie misternie splecione pasmo, które domaga się poprawienia, i będziemy mieć, jeśli już nie całkiem mocną Bramę Cienia, to przynajmniej silniejszą od dotychczasowej. Dostatecznie silną, by to, co się zdarzyło z Bramą Khatovaru, tutaj nastąpić nie mogło. W istocie te wszystkie ostatnie usprawnienia są głównie po to. Ten warkocz zaklęć tworzy małą niszę ciemności, niewidzialną z zewnątrz, dzięki której zabójcze cienie będą pełnić funkcję wartowników przy Bramie. Gotowe skoczyć do gardła każdemu, kto będzie chciał przez nią przejść bez upoważnienia od nas lub Sziwetji.

– Zgrabne – powiedziałem. Pani nachmurzyła się. Najwyraźniej postanowiła upierać się przy opinii, że nazbyt ufamy golemowi.

Nie potrafiła zrozumieć, że zaufanie nie było już częścią tego równania.

– Za minutę będziemy mieć towarzystwo – stwierdziła w pewnej chwili.

Uniosłem wzrok. Dwaj czarownicy Vorszk poruszali się w dół stoku starą drogą, pod niewidzialną barierą, która dawałaby im zabezpieczenie

przed cieniami, gdyby nie wysadzili wcześniej własnej Bramy Cienia. Trzeci jeździec trwał w postaci kropki na horyzoncie – odległy świadek.

– Sądziś, że dokonali dalszych zniszczeń, przebijając się przez osłonę na drogę? – spytałem

Zerknąwszy raz, Tobo odpowiedział:

– Nie. Sądzę, że weszli na drogę u jej przeciwległego krańca, a stamtąd dopiero lecieli wzdłuż trasy. Trzeci podążał za nimi w górze.

Podziwu godna głupota, pomyślałem. Dwójka na powierzchni drogi nie miała najmniejszych szans zdążyć z powrotem przed zmrokiem. Czy sądzili, że pozwolimy im schronić się u nas na noc? Jeśli tak, to mieliśmy przed sobą niezłych marzycieli.

Vorszk zsiadł ze swych słupów sto metrów przed nami. Ruszyli dalej pieszo, ale sprawiali wrażenie, jakby poruszanie się na własnych nogach stanowiło doświadczenie całkowicie im obce. Prawo ujeżdżania słupa musiało stanowić poważny symbol statusu w Khatovarze. Tak poważny, że zapewne nigdy nie chadzano pieszo w obecności gorszych od siebie.

– Ile jeszcze zostało? – zapytała Pani, zwracając się do Tobo.

– Piętnaście sekund. Potem jeszcze odrobina myślących zaklęć. I wszyscy wracamy przez Bramę Cienia. Czy ojciec i pozostali zachowują czujność?

Czujność nie była właściwym słowem. W pogotowiu trwała wszelaka różnorodność broni miotającej, w tym jedyny miotacz kul ognistych, którego i tak nikt nie użyje, póki Vorszk nie spróbują opuścić równiny. Kule ogniste poważnie niszczyły osłony. Strzały, bełty kusz i wszystko inne mogło przenikać przez nie i już po kilku chwilach bariera była naprawiona.

Aczkolwiek strzały zapewne nie działałyby wiele, jeśli chodzi o tych przysadzistych starców.

Naprawdę wydawali się grubi. Roztaczali wokół siebie aurę otyłości, promieniującą spod czarnych płaszczy pozostających w nieustannym ruchu.

– Już. Myślę, że to wystarczy – powiedział Tobo.

Myk. Myk. Myk. Oto jak szybko nasza trójka wycofała się przez Bramę Cienia do własnego świata. Tobo zapieczętował przejście. Czekaliśmy.

– Jednym z tych dwóch będzie ojciec naszych buntowników – dodał dzieciak.

Zapewne. Vorszk zdawali się zdecydowani porozmawiać. Wiedzieli, że ktoś po naszej stronie będzie mówić językiem forwalaki.

Mieli szczęście. Ze wszystkich ludzi Czarnej Kompanii, którzy mogli przebywać tu teraz wraz z Tobo, trafili na mnie i Panią.

Jednak nic dobrego z tego dla nich nie wyniknie. Ich pobratymcy zabrali się do mnie od złej strony. Nie miałem zamiaru ułatwiać im niczego.

Brama Cienia:
WOJOWNICY-WŁADCY PRZESTWORZY

Obaj Vorszk, którzy przedstawili się jako Naszun Badacz oraz Pierwszy Ojciec – mówili językiem Jałowca. Naszun opanował go zresztą o niebo lepiej. Żaden jednak nie mógł poszczycić się wyczuciem zasad rządzących w społecznościach ludzkich bodaj na tyle, by wywołać uśmiech na twarzy większości matek. Jasne było, że traktowanie z należnym szacunkiem osób nienależących do rodziny stanowiło ćwiczenie, z którym nie bardzo byli obeznani.

Po wzajemnej prezentacji stwierdziłem rzecz oczywistą:

– Wy, ludzie, najwyraźniej wpakowaliście się w poważne kłopoty.

Można było wyczuć, jak Vorszk otwierają szeroko oczy i wzdychają ciężko w fałdy swej czarnej materii.

– Przeżyjemy – oznajmił najważniejszy z nich. Wyraźnie się starał, żeby w jego głosie nie zabrzmiał gniew czy arogancja. Znacznie gorzej poszło mu z pewnością siebie, co kazało mi się zastanawiać, czy naprawdę powiedział to, co zamierzał.

– Bez wątpienia. To, czego dowiedziałem się o umiejętnościach waszej rodziny, wywarło na mnie spore wrażenie. Ale mówiąc szczerze, zdajecie chyba sobie sprawę, że przetrwanie waszej rodziny będzie wymagało czegoś więcej niż tylko odparcia nawały cieni.

Naszun wykonał lekceważący gest jedną z dłoni spowitych w rękawiczkę.

– Przyszliśmy do was, ponieważ chcemy z powrotem nasze dzieci.

Mówił dostatecznie wolno i wyraźnie, by Pani go zrozumiała.

Z jej gardła dobył się odgłos znamionujący zaskoczenie, który mógł być zresztą stłumionym śmiechem.

– Nie macie szczęścia. Mogą nam się przydać. Dlaczego mielibyśmy je wam oddać?

Chyba łatwo było wzbudzić w nich gniew.

Tobo wyczuł to.

– Ostrzeż ich, że wszelka moc, jakiej użyją do próby przedarcia się, uderzy w nich rykoszetem – oznajmił. – Powiedz im, że im bardziej będą próbować, tym mocniej będzie boleć.

Przetłumaczyłem. Jednak nic z tego, co powiedział chłopak, nie wywarło na naszych gościach najmniejszego wrażenia. Niemniej niczego nie spróbowali. Pamiętali, co zdarzyło się przy ich własnej Bramie Cienia. Badacz ciągnął dalej:

– Gotowi jesteście dokonać wymiany.

– Co macie do zaoferowania?

– Wasi ludzie wciąż są na równinie.

– Spróbuj ich znaleźć. Zostali dobrze ukryci. Kiedy kurz opadnie, będziecie mogli zabrać ciała członków waszej rodziny. – Tego mogłem być pewien. Tobo ufał Sziwetji bez reszty. – Jesteś potężny, lecz głupi jak wół. Nie znasz równiny. Ona żyje. Jest naszym sprzymierzeńcem.

Gotowi byli chyba puszczać dym uszami. Za dawnych czasów Goblin potrafił robić takie sztuczki. Ale ci ludzie nie mieli poczucia humoru.

Ich desperacja okazała się jednak silniejsza od gniewu.

– Wyjaśnij – syknął Naszun.

– Nic nie wiecie o równinie, ale jesteście na tyle aroganccy, aby wierzyć, że wasza moc znowu okaże się tutaj największa. A to jest domena bogów. Najwyraźniej nie znacie nawet historii własnego świata. Ludzie, przed którymi stoicie, którym, jak wam się wydaje, możecie grozić, są duchowymi spadkobiercami żołnierzy wysłanych z Khatovaru pięćset lat temu.

– To, co się wydarzyło przed nastaniem Vorszk, nie ma najmniejszego znaczenia. Wszelako ty również zdradzasz się z własną ignorancją.

– To ma znaczenie. Chcecie czegoś od ostatniej Wolnej Kompanii Khatovaru. A nie macie do zaoferowania nic w zamian. Wyjąwszy własną, nic niewartą historię i odrobinę współczesnej wiedzy.

Żaden nie skomentował moich słów.

– Zapytaj ich, dlaczego tak bardzo zależy im na tych dzieciakach – wtrąciła Pani. – U nas są bezpieczne.

Zapytałem.

– Należą do rodziny – odparł Pierwszy Ojciec.

Jego głos operował w takich rejestrach, że to, co mówił, wydawało się nie tylko wiarygodne, ale nawet i prawdziwe.

– Są daleko stąd. Od czasu przybycia w stałym tempie podróżują na północ – odrzekłem. – Jeden jest śmiertelnie chory.

– Mają swoje *raitgaistiden*. W ciągu kilku godzin mogą dotrzeć na miejsce.

– Myślę, że ten facet mówi poważnie – zwróciłem się do Pani. –

Naprawdę wbił sobie do głowy szaleńczy pomysł, że oddam tym dzieciakom ich zabawki i wypuszczę na wolność, mając tylko jego słowo. Z pewnością w tym Khatovarze nie muszą pracować na swoje utrzymanie.

Badacz wyłapał pojedyncze słowo.

– Wspomniałem o twojej ignorancji. Posłuchaj, Przybyszu z Zewnątrz. Khatovar nie jest naszym światem. Khatovar był ongiś jednym miastem ciemności, w którym potępione dusze czciły boginię Nocy. To miasto zła zostało starte z powierzchni ziemi, zanim nastali Vorszk. Jego mieszkańcy byli bezwzględnie ścigani i zabijani. Pochłonęła ich niepamięć. I w niepamięci pogrzebani pozostaną. Nigdy żaden Żołnierz Ciemności nie otrzyma pozwolenia na powrót.

Dawno, dawno temu, pewnego leniwego dnia, na wieki przed tym, nim stał się narzędziem, jakim był obecnie, Goblin powiedział mi, że nigdy nie dotrę do Khatowaru. Nigdy. On zawsze będzie tuż za horyzontem. Mogę zbliżyć się coraz bardziej i bardziej, ale nigdy nie trafię na miejsce. A więc wyobrażałem sobie wówczas, jak to jest, gdy stawiam stopę na ziemi Khatowaru. W owym czasie żyłem jednak w świecie, w którym Khatovar istniał dawno, dawno temu.

– Sam czas wyrównał rachunki. Ci, których Khatovar wysłał, wrócili. A świat, który zabił Khatovar, umrze.

– Zauważyłeś? – zapytała Pani.

– Hę? Czy co zauważyłem?

– Użył słowa: „zło”. Nieczęsto słyszy się je w tej części świata. Ludzie nie wierzą w nie.

– Ci goście nie są z tej części świata. – Z powrotem przeszedłem na mowę Jałowca. – Jeśli zaoferujecie nam pełne, funkcjonalne projekty konstrukcji i operowania waszymi latającymi słupami oraz materiału,

z którego wykonano waszą odzież, mogę wam zagwarantować, że otrzymacie to, o co prosicie.

Pani dokładała wszelkich starań, by w miarę na bieżąco informować pozostałych o przebiegu rozmowy. Jednak nie zawsze przekład był adekwatny.

Naszun Badacz wręcz nie potrafił uzmysłwić sobie ohydy mego żądania. Trzykrotnie próbował coś powiedzieć; nie udało mu się. W końcu zwrócił się do Pierwszego Ojca z milczącym apelem. Pewien byłem, że jego ukryte oblicze ściągnięte jest rozpaczą.

– Niewykluczone, że mądrze będzie się wycofać z Bramy Cienia – rzuciłem moim ludziom. – Ci ludzie powoli tracą cierpliwość.

Czułem się cudownie wręcz paskudny. Zawsze mi się to przydarza, gdy mam okazję zdeprimować wszechpotężne, z nikim nie liczące się typy, którym wydaje się, że całość bytu stworzono wyłącznie dla ich przyjemności.

– Wkrótce zapadnie zmrok. Wtedy cienie wyjdą na łów – zwróciłem się do Vorszk, a kiedy oni wymieniali spojrzenia, zacytowałem Narajana Singha. – Kiedy macie do czynienia z Czarną Kompanią, lepiej, byście pamiętali: Ciemność zawsze nadchodzi.

Kiedy się jednak odwróciłem, na twarzy Pani dostrzegłem jedną z min znamionujących nie całkiem stuprocentową aprobatę.

– Mogłeś poradzić sobie lepiej.

– Pozwoliłem, aby emocje doszły do głosu. Powinienem wiedzieć lepiej. Ale rozmowy tak czy siak donikąd nas nie zaprowadzą. Zbyt dużo myślą o sobie samych, a zbyt mało o wszystkich pozostałych.

– A więc rezygnujesz wreszcie ze swego marzenia o powrocie do Khatovaru?

Vorszk podjęli właśnie pierwszą wściekłą próbę przebicia się przez Bramę Cienia.

Ostrzegałem ich.

Nie chcieli słuchać.

Było gorzej, niż wyobrażałem sobie, że być może.

Było gorzej, niż przepowiedział Tobo.

Magiczne przeciwuderzenie cisnęło oboma czarownikami aż na górę stoku, do krawędzi równiny, a przez cały czas toczyli się bezładnie

i koziółkowali. Jednak jakimś cudem żaden nie uszkodził bariery chroniącej drogę. Może zadbał o to Sziwetja.

Kiedy znudziło mnie patrzenie, jeden wciąż nie zdradzał oznak życia. Spojrzałem na Tobo.

– Jak rozumiem, czas się stąd wynosić. Być może do tych chłopców wreszcie coś dotarło.

Nie obejrzałem się za siebie. Niedole, w jakie właśnie wpakowali się Vorszk, dodały mi ufności, że nigdy nie zagrozą memu światu.

Kiedy schodziliśmy po zboczu, zapytałem:

– Ktoś podejrzewa istnienie jakichś związków między Władcami Cienia a Vorszk? Najwyraźniej wystartowali dokładnie w tym samym czasie. Również Władcy Cienia próbowali w Hsien zerwać wszelkie związki z przeszłością. Po prostu zadanie okazało się ponad ich siły. Zastanawiam się, czego byśmy się dowiedzieli, gdybyśmy porozmawiali z jakimś zwyczajnym wieśniakiem stamtąd.

– Mogę zapytać Sziwetję – zgodził się Tobo. – Oraz jeńców. – Ale w jego głosie nie znać było szczególnego zapachu.

Nidźja:
MIEJSCE ZBRODNI

Sahra wciąż wołała o kolejne pochodnie. Jakby więcej blasku mogło jakimś sposobem odwrócić katastrofę. Zanim na miejsce przybyła pani Kapitan, to, co przed zdobyciem fortu stanowiło stajnię, rozświetlało już dobre pięćdziesiąt pochodni, lamp i latarni.

– Uduszony? – zapytała Ospała.

– Uduszony.

– Kusi mnie, by użyć słów „ironia losu”, obawiam się jednak, że nie ma w tym bodaj odrobiny ironii. Dodż, znajdź tego białego kruka, z którym prowadzał się Konował. Kręcił się tu mały ludek, niektóre ptaki z pewnością obserwowały Singha. Chcę wiedzieć, co widziały.

Ospała i tak mniej więcej wiedziała, co usłyszy od Nierozpoznanych Cieni. Wariację na temat raportów, które już do niej dotarły. Dodała więc:

– Chcę również wysłać wieści na południe.

W pobliżu Czarnej Kompanii nie mogło zdarzyć się nic, czego świadkiem nie byłby jakiś hobiach. Żołnierze z Hsien wiedzieli o tym doskonale. Dla nich rzecz była sama przez się zrozumiała, starali się więc zachowywać przyzwoicie. Jednak ktoś, kto nie miał za sobą lat spędzonych w Hsien, z pewnością nie traktował Nierozpoznanych Cieni równie poważnie.

Minutę później Ospała zapytała:

– Nikt oczywiście nie widział Goblina, co? I przypuszczalnie nikt też nie pamięta, kto miał go obserwować?

– Jeszcze minutę temu stał dokładnie tam – odparł Rzekołaz.

Ospała spojrzała we wskazane miejsce, zamyśliła się i mruknęła:

– Bez wątpienia do chwili, gdy postanowiłam skonsultować się z Nierozpoznanymi Cieniami w kwestii tego, co widziały. – Do momentu, w którym powinien zdać sobie sprawę, że ostatnie chwile jego życia mogą nie stanowić dla nikogo tajemnicy. Do momentu, w którym zrozumiał, że Ospala właśnie kręci sznur na jego szyję, ponieważ wiedział, co zaraz się okaże.

– Chcesz, żebyśmy go złapali i przyprowadzili? – zapytał Rzekoład. – W jednym kawałku?

– Nie. – Nie teraz. Kiedy najlepszym czarodziejem, jakim dysponowała Kompania, był stary, stary człowiek, o umiejętnościach, jeśli nie liczyć szermierczych, zbyt marnych, aby rzucić bodaj zły urok na człowieka czy zwierzę. – Lecz nie miałabym nic przeciwko temu, żeby dowiedzieć się, gdzie jest. – Z tym Dodż powinien sobie poradzić. Nierozpoznane Cienie rozmawiały z nim. Czasami. Kiedy były w odpowiednim nastroju. – Należy zaraz postawić dodatkowych strażników przy Vorszk. Podczas podróży Goblin jakoś za bardzo się nimi interesował. Nie chcę, żeby stało się im cokolwiek, i nie chcę, żeby gdzieś łazili. – Nie przyszło jej do głowy, żeby wzmocnić oddział Kompanii odpowiedzialny za pogrążonego w śpiączce czarownika Wyjca. Jednak tym razem Fortuna przymknęła oczy.

Jak się okazało, Goblin porwał parę szybkich koni, opuścił Nidżę i ruszył na północ. Wszystko bez przyciągnięcia niczyjej uwagi. Otrzymawszy raport, Ospala omal nie zaczęła folgować sobie przekleństwami. Ktoś próbował przypomnieć, że mały czarodziej zawsze miał do tego żyłkę.

– Wobec tego należało po dwakroć wzmocnić strażę – odwarknęła.

– Nie potrafię go zatrzymać ani w żaden inny sposób kontrolować, jednak mogę uprzykrzyć mu życie – uspokajał ją Wujek Dodż.

– Jak?

– Jego konie. Czarne Ogary będą mieć z nimi sporo zabawy. A kiedy spróbuje zaprowadzić je do wodopoju... – Zachichotał paskudnie.

– Poślij je. – Ospala skinęła na Sahrę. – Podczas posiedzenia próbowałam brać pod uwagę obie możliwości. Czekałam na znak. I właśnie go otrzymałam. Nie będziemy już pędzić tak więcej. Ruszymy naprzód powoli, póki nie dotrzemy do bardziej gościnnej okolicy, i zatrzymamy się w miejscu, gdzie nie będzie kłopotów z wyżywieniem. Poczekamy, aż

pozostali nas dogonią. I wezwij ochotników chętnych wesprzeć Prabrindraha Draha oraz Radiszę. – Jeśli jeszcze ktoś o nich pamiętał.

– Przede wszystkim należy poczekać na mojego syna. Tak. – Sahra była zła i niezadowolona, ale równocześnie zbyt zmęczona, aby wściekać się bardziej. – Teraz, kiedy Murgen nie może przydać się już do niczego.

– Zwłaszcza na Tobo, tak. Dzisiejszej nocy stało się jasne, że bez Tobo trudno będzie nam sobie poradzić.

Sahra nie odrzekła nic więcej. Była już zmęczona tą nieustającą wojną, kiedy nawet mężczyźni, których chciała chronić, nie mieli zamiaru mieć na uwadze jej troski.

Terytoria Tagliańskie:
PAŁAC

Tagliańska armia polowa powoli gromadziła się po obu stronach Drogi Kamiennej na słabo zasiedlonym obszarze kraju między Dedżagore a Ghodża, z ufortyfikowanym brodem przez rzekę Główną. Kolejną, słabszą już grupę uderzeniową, składającą się z oddziałów południowych prowincji, skoncentrowano pod murami Dedżagore. Trzecia armia stacjonowała za murami samego Taglios. Nic nie dawało powodów do obaw, że wojska spod Dedżagore będą miały jakiegokolwiek problemy z obroną miasta przed Czarną Kompanią. Mogaba oczekiwał zresztą, że po zejściu z wyżyn jego wrogowie skręcą na zachód, prawdopodobnie pomaszerują aż do rzeki Nagir, wzdłuż koryta której będą mogli dotrzeć na północ, a potem znowu skręcą ku wschodowi i spróbują pokonać Główną jednym z pomniejszych brodów w jej dolnym biegu. Zamierzał pozwolić im tak maszerować i maszerować – niech tracą siły. Niech robią, co chcą, póki drzwi za nimi się nie zatrzasną. Kiedy już będzie ich miał na północ od Głównej, pierścień okrążenia zacznie powoli się zaciskać.

Wielki Generał znajdował się w nastroju raczej optymistycznym. Taglios było niespokojne, ale nastroje otwarcie buntownicze nie dawały znać o sobie. Nawet dowódcy najbardziej odległych garnizonów nie odmówili wykonania rozkazów i w spodziewanej sile przyprowadzili swych żołnierzy do punktów koncentracji, choć przed końcem miesiąca na dalekim południu miały już rozpocząć się żniwa.

Sezon żniw nieuchronnie powodował wzrost liczby dezercji.

A co najlepsze ze wszystkiego, Protektorka nie miała zamiaru wracać do Taglios. Jej nieustanne interwencje i amatorskie próby ręcznego sterowania

tylko utrudniały mu jego robotę. A później, kiedy poroniony plan rozłaził się w szwach, wszystko było rzecz jasną winą Mogaby.

Wielki Generał zwołał do siebie wyższych oficerów sztabu oraz wewnętrzny krąg zaufanych doradców, w którego skład wchodziło kilkunastu generałów oraz Gopal i Aridata Singhowie i poinformował ich:

– Wszystkie plany najwyraźniej zazębiają się doskonale. Zakładam, że poszturchując delikatnie i wycofując się w odpowiednim czasie, jesteśmy w stanie zwabić ich pod bród Vedna-Bota. Wciąż niestety nie mamy dobrej łączności z Protektorką. A ona nie znajdzie już nigdzie kolejnych kruków. Jakaś plaga dziesiątkuje ich stada. Rzadko kiedy informacje od niej docierają częściej niż raz dziennie. I zazwyczaj dotyczą spraw takich jak prognoza pogody czy epidemia grypy w Prebelbed. – Nigdzie nie spotykało się też żadnych cieni ani pomniejszych szpiegów Protektorki. O tym jednak Mogaba nie wspominał. Taglianie byli urodzonymi konspiratorami. Niech dalej myślą, że czujne oczy przez cały czas patrzą na nich z ciemnych kątów.

Żaden spisek nie miał prawa rozwijać się bez przeszkód. Oprócz jego własnego.

Zadanie izolacji i zniszczenia wroga nie stanowiło głównego przedmiotu zmartwień Wielkiego Generała. Czuł intuicyjnie, że przede wszystkim należy udzielić sobie odpowiedzi na podstawowe pytanie – kto jest głównym nieprzyjacielem Taglios.

W tym wcieleniu Czarnej Kompanii było coś, co zaniepokoiło Duszołap do tego stopnia, że skoncentrowała na niej całą swą uwagę. Coś, co natychmiast poruszyło jakąś strunę w sercu każdego człowieka liczącego się w tagliańskim imperium, chociaż wieści o powrocie Kompanii dopiero się rozchodziły, a raporty naocznych świadków były całkowicie nieosiągalne. Wszelkie tradycyjne wrogości i wewnętrzne tarcia najwyraźniej traciły na znaczeniu, i to w czasie, gdy należałoby oczekiwać, że walki frakcyjne wybuchną ze zdwojoną siłą, a tradycyjni antagoniści będą próbować przechylić szalę na swoją korzyść.

Sam Mogaba przekonywał się z upływem czasu, że coraz mniej myśli poświęca szczegółom planu wyeliminowania Protektorki, a bardziej obsesyjnie zastanawia się nad zniszczeniem Czarnej Kompanii. Nie tylko

nad jej pokonaniem, lecz wycięciem w pień. Do ostatniego żołnierza, kobiety, dziecka, konia, muła, pchły i wszy.

Jednak po wielu dekadach, podczas których los nie szczędził mu kaprysów, Mogaba w naturalny sposób nabawił się podejrzliwości wobec wszystkiego – włączywszy w to własne stany emocjonalne.

Tego dnia, kiedy podjął decyzję o zdradzeniu Duszołap, zaczął prowadzić dziennik osobisty, aby móc śledzić swe uczucia podczas mających nadejść dni pełnych napięcia. Był to dziennik, który otwierał wyłącznie w szczerym blasku słońca. Dziennik, który zniszczy, zanim podejmie jakiegokolwiek działania przeciwko Protektorce, ponieważ zawierał on imiona ludzi, których nie chciał pociągnąć za sobą, jeśli mu się nie powiedzie – oczywiście pod warunkiem, że będzie miał dość szczęścia i umrze, zanim ona go schwyta.

Czytając go ostatnimi czasy, zauważył ewolucję swych poglądów na temat Czarnej Kompanii. Przyspieszoną ewolucję. Przerazającą ewolucję.

Zaczynał powątpiewać we władzę swego rozumu.

Po zakończeniu ogólnego posiedzenia, na którym dyskutowano politykę całego imperium, Wielki Generał spotkał się z ludźmi odpowiedzialnymi za miasto stołeczne.

– Kina znowu się budzi – mruknął Mogaba. Gopal i Aridata uprzejmie się nie odzywali. Mówił o wydarzeniach, w których nie dane było im brać bezpośredniego udziału, jakie znali tylko z opowieści. – Znowu dzieje się to samo. Stopniowa odmiana ludzkich serc.

Popatrzyli na niego spojrzzeniami bez wyrazu.

– Nie jesteście amatorami historii, co? – Mogaba wyjaśnił im więc. – Najdziwniejszą rzeczą w tym wszystkim było to, że nikt nigdy nie zastanawiał się nad źródłem własnego strachu. Ludzie po prostu nie pamiętali, że trzy lata wcześniej nawet nie słyszeli o Czarnej Kompanii.

– Chcesz powiedzieć, że bogini Dusicieli szczególnie boi się Czarnej Kompanii? – zapytał Gopal. – I chce poszczuć na nich cały świat? Nawet jeśli skończyłoby się to rozlewem krwi?

– To naprawdę interesujący dylemat – dodał Aridata. – Jeśli uda się pokonać Czarną Kompanię, wciąż będziemy mieć do czynienia z Protektorką. Jeśli ją również załatwimy, zostaną Dusiciele i Kina, chcący sprowadzić Rok Czaszek. Fala za falą. Bez końca.

– Bez końca – zgodził się Mogaba. – A ja starzeję się coraz bardziej. – Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zrozumiał, że jest manipulowany, w jego głowie zrodził się przedziwny plan. – Jest kilka starych zapisów w archiwach, które chciałbym sprawdzić. Zgłóście się do mnie jutro o tej samej porze.

Odwagi Wielkiemu Generałowi nie brakowało. Następnego wieczoru zaprowadził Gopala i Aridata do jasno oświetlonego pomieszczenia. Przytaczając liczne wyjątki z kopii Kronik Czarnej Kompanii przechowywanych w bibliotece narodowej, zdołał przedstawić im znacznie bardziej przekonujące argumenty na rzecz tezy, iż Kina się budzi.

– Wierzę ci – orzekł Aridata Singh. – Po prostu zastanawiałem się, co takiego mogło ją obudzić.

– Gopal?

– Nie jestem pewien, czy pojmuję. Ale to chyba nie jest konieczne. Aridata rozumie. Ufam jego mądrości.

– Wobec tego porozmawiam z Aridatą. Ale ty słuchaj – zagadał Mogaba.

Aridata wysłuchał streszczenia jego planu oraz wspierającego go rozumowania, przez cały czas marszcząc czoło. Gopal wydawał się wstrząśnięty. Jednak trzymał buzię na kłódkę. Aridata pozostał sam na sam ze swoimi myślami. Po jakimś czasie niechętnie pokiwał głową i oznajmił:

– Mam brata w Dedzagore. Wymyślę jakiś powód, by mu złożyć wizytę. Znam paru ludzi, którzy mogliby wysłuchać tego, co masz do powiedzenia, pod warunkiem że to ja będę mówił.

– Co?

– Pamiętasz, jak parę lat temu Kompania, wciąż będąc w podziemiu, zaczęła porywać ludzi? Wierzbę Łabędzia, Pjurojite i innych? Byłem jednym z tych, których porwano – wyjaśnił.

Gopal chciał wiedzieć dlaczego, Mogaba natomiast zastanawiał się głośno, jak tamtemu udało się uciec.

– Udało mi się uciec, ponieważ pozwolili mi odejść. Uprawdzili mnie tylko dlatego, żeby pokazać komuś, kogo złapali wcześniej. – Aridata wziął głęboki oddech i wyjawiał swój wielki sekret. – Mianowicie mojemu ojcu. Narajanowi Singhowi. Chcieli mu dowieść, jaką dysponują władzą.

– Narajan Singh? Ten Narajan Singh? Ten Dusiciel? – wyrzucił z siebie Gopal.

– Ówże Narajan Singh. Nie miałem o tym pojęcia. Przynajmniej do tego czasu. Matka powiedziała nam, że ojciec nie żyje. Przypuszczam, że sama w to wierzyła. Władcy Cienia wcielili go do jednego ze swych batalionów roboczych podczas pierwszej inwazji, jeszcze zanim Czarna Kompania przybyła z Północy. Byłem najmłodszym dzieckiem. Przypuszczam jednak, że starsi znali prawdę. Mój brat Sugriva przeprowadził się do Dedzagore i mieszka tam pod zmienionym nazwiskiem. Moja siostra Kaaditja również zmieniła swoje. Jej mąż zmarłby ze wstydu, gdyby się dowiedział.

– Nigdy wcześniej o tym nie wspominałeś.

– Przypuszczam, że potraficie zrozumieć dlaczego.

– Och. Oczywiście. To okrutne brzemię. – Mogaba już czuł rodzący się w nim odruch sprzeciwu. Taki sam paranoiczny strach, jaki odczuwali pozostali na samą wzmiankę o ewentualnym związku z Oszustami. To było nie do uniknięcia. Na głos rzekł jednak tylko: – Ciekawe, jak ci ludzie w ogóle potrafią sobie wzajemnie zaufać?

– Podejrzewam, że musisz być taki jak oni, aby to pojąć – odparł Aridata. – Sądzę jednak, że głównie opiera się to na wspólnej wierze w boginię.

Wielki Generał spojrział na Gopala Singha.

– Jeśli Szarzy będą mieć jakieś obiekcje, wolę usłyszeć o nich teraz.

Gopal pokręcił głową.

– Tylko jeden Szary będzie wiedział o wszystkim. Na razie. Pozostali by nie zrozumieli.

– Aridata, masz kogoś zaufanego, komu mógłbyś przekazać dowodzenie na czas swej nieobecności? – Miejskie Bataliony nie miały pojęcia o tym, że stanowią część spisku mającego na celu wyzwolenie Taglios spod władzy Protektoratu. Konieczne wszak było trzymanie ich żelazną ręką.

– Tak. Ale całej prawdy nie zna nikt. Jeśli przyjdą ci do głowy jakieś niezwykle żądania, musisz je usprawiedliwić sytuacją w mieście. – Żołnierze rozumieli, że ich zadaniem jest zaprowadzenie spokoju, jeśli ludność zacznie reagować na interwencje Szarych zbyt burzliwie.

– Czy prowokacji jest dość, by usprawiedliwić takie działania? – dociekał Mogaba.

Gopal pokazał cały garnitur zębów. Szadar byli dumni ze swego zadbanego uzębienia.

– Cała sytuacja jest niemal zabawna. Od kiedy na ulicę przeciekły wieści, że Czarna Kompania wróciła, ilość popierających ją graffiti w istocie zmalała. Jakby jej prawdziwi sympatycy postanowili nie ryzykować ujawnienia, a niezwiązani z nią wandalę, odpowiedzialni za większość tych działań, nagle nie chcieli być łączeni z żadną prawdziwą grozą.

– Grozą?

– Było sporo racji w tym, co mówiłeś wczoraj. W mieście narasta strach przed Kompanią. Podobny do tego z dawnych dni. Nie rozumiem go, ale pomaga w utrzymaniu porządku w czasach, gdy należałoby oczekiwać narastania kłopotów.

– Jeśli potrzebne ci są prowokacje, a żadni niegodziwcy nie mają zamiaru cię wyręczyć, możesz tworzyć do woli własne. Aridata, wiesz, co trzeba zrobić. Zrób to. Tak szybko, jak tylko się da. Zanim wydarzenia potoczą się w tempie, które pozbawi nas wszelkich szans. – Chociaż mogło się to zdarzyć właściwie w każdej chwili, Mogaba porzucił już nadzieję, że uda mu się zaskoczyć Protektorkę przy wjeździe do miasta.

Wszystko wskazywało jednak na to, że nie planuje powrotu do czasu, póki sprawa inwazji Czarnej Kompanii nie zostanie rozwiązana.

Terytoria Tagliańskie:
ZIEMIA POŚRODKU

Duszołap, w pełnej skórze i jeszcze pełniejszej wściekłości, wędrowała po obwodzie obozu rozbitego między Ghodza i Dedzagore. Towarzyszyło jej kilkunastu przestraszonych oficerów; każdy po cichu błagał o zmiłowanie swego ulubionego boga lub bogów. Rozsierdzona Protektorka stanowiła zagrożenie, którego nikt z nich nie chciał doświadczyć na własnej skórze. Jej wybuchy miały tyle sensu co ślepe ciosy tornada.

– Tkwią w miejscu. Minęło już sześć dni, a nie posunęli się nawet o krok. A przecież z początku mknęli na północ niczym tajfun, tak szybko, że musieliśmy gonić resztkami sił, aby zdążyć na czas z koncentracją wojsk. Co oni robią? Co zmieniło się tak nagle? – Jak zawsze, gdy była w stresie, jej monolog zmieniał się w paplaninę polemicznych głosów. To dodatkowo pogłębiało niepokój wlokących się za nią mężczyźni. Przed jej przybyciem do obozu nikomu nie dane było się z nią spotkać. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej przerażająca, niżli głosiły opowieści. Zachowywała się równie okrutnie i kapryśnie jak bóg. Kilka grobów poza granicami obozowiska dobitnie świadczyło o gwałtowności jej charakteru.

Ci pochlebcy nie mogli o tym wiedzieć, jednak każdą śmierć poprzedzało dogłębne i nadnaturalne śledztwo. Żaden z zabitych nie był uczciwym obywatelem Protektoratu. Wszyscy przyznali się do winy. Na dodatek żaden nie był kompetentnym dowódcą, co było jasne tak dla podległych im żołnierzy, jak i kolegów. Osiągnęli swe pozycje drogą nepotyzmu i kumoterstwa, nie zaś dzięki zdolnościom.

Duszołap dobierała w ten sposób swój korpus oficerski. Martwiło ją, że zaistniałe okoliczności nie pozwalają na nic więcej. Oficerowie byli

beznadziejni. Jednak winy nie upatrywała w sobie. Oczywiście.

Jak by to wszystko wyglądało, gdyby nie wysiłki Wielkiego Generała? Prawdopodobnie stan armii byłby zupełnie tragiczny – niczym wulgarny dowcip bez puenty. Tylko poświęceniu i uporowi Mogaby zawdzięczała to, że w ogóle dało się wystawić armię godną tego miana.

Jak jednak ją utrzymać? Poziom dezercji był na razie możliwy do wytrzymania, ale zdradzał oznaki wzrostu. Jaka była strategia wroga? Czekać, póki tagliańskie armie nie stopnieją w obliczu zbliżających się żniw? I wtedy znowu ruszyć na północ? To by pasowało do Czarnej Kompanii. Wedle wszelkich wskazówek, mieli dość bogactw, aby przez dłuższy czas opłacać siły będące w polu.

Z wieści przysłanych przez Mogabę wynikało, że podejrzewa wroga o mniej więcej taką właśnie strategię. Powoli przygotowywał własną operację, której celem było zmuszenie przeciwnika do wyczerpującego marszu i późniejsze zwabienie w pułapkę.

Duszołap nie wierzyła, iż istnieją jakiegokolwiek szanse na złapanie Czarnej Kompanii w pułapkę. Ich magiczny wywiad był zbyt dobry. Natomiast szeregi jej szpiegów topniały w zastraszającym tempie. Wszystkim gatunkom kruków groziło wyginięcie. Myszy, nietoperze, szczury, sowy – żadne z tych stworów nie mogły poszczycić się stosownym zasięgiem. Nie potrafiła nigdzie znaleźć niewyeksplloatowanych jeszcze złóż dobrej jakości kryształów albo wzbogaconej rtęci, z których mogłaby skonstruować czarodziejską kulę lub misę. Cienie pozostające wciąż w jej gestii były nieliczne, słabe i przerażone, nie chciała ryzykować ich utraty na terytorium wroga, głównie dlatego, że za każdym razem kolejnych kilka nie wracało. A w chwili obecnej została zupełnie odcięta od jedyne go źródła uzupełnień.

Zerknęła na północ. Nad linią drzew, ciągnących się jak okiem sięgnąć w lewo i w prawo – tam, gdzie roślinność garnęła się do brzegów płytkiego strumienia – krążyły drapieżne ptaki. Tu właśnie jej siostra odniosła niewielkie zwycięstwo nad Władcami Cienia, całe wieki temu, wkrótce po tym, gdy Czarna Kompania poniosła porażkę, której następstwem było oblężenie Dedżagore.

– Mam zamiar przejść się i zobaczyć, co też zainteresowało tych padlinożerców.

Nikt nie uległ pokusie, by zaprotestować.

Może padlinożercy pożywią się nią.
– Żaden z was nie musi iść ze mną.
Ulga była wręcz namacalna.

Depresje Terytoriów Tagliańskich:
PANI DAŚA SIĘ W GŁOS

Panią przepełniał szalejący gniew. Nie przypomniałem sobie, bym kiedykolwiek widział ją tak bliską utraty panowania nad sobą.

– Jak, cholera, mogli do tego doprowadzić? W każdej sekundzie ktoś miał łączyć za tym małym gówniarzem!

Nikt nie zatroszczył się, by jej odpowiedzieć. Zresztą nie oczekiwała żadnych odpowiedzi. Oczywiście. Chciała, żeby ktoś dostał za swoje.

Tobo dalej rozmawiał bezgłośnie z istotami, które można było zobaczyć, tylko jeśli patrzyło się w inną stronę. Wielkie stwory, małe stworki, istoty człekokształtne i istoty, które wyrwały się z koszmarów szaleńca. Goblina należało znaleźć. Goblina trzeba było śledzić, nękać i kąsać, jeśli okaże się to możliwe, jak dzień długi. Jeśli chodziło o nadprzyrodzone oddziały Kompanii, kwestia Goblina stawała się od dziś misją o najwyższym priorytecie. Należało go ścigać i egzorcyzmować – albo eksterminować – zanim zdąży sprokurować kolejne katastrofy w imię Kiny.

Chociaż dawno już wyszła z wprawy i zdecydowanie nie pasowało to do jej sposobu bycia, Pani rzuciła mordercze zaklęcie na niczemu nie winną karłowatą sosnę. Drzewo zaczęło usychać niemal natychmiast.

– A co to, u diabła, było? – zapytałem. – Sądziłem, że nie potrafisz...

– Cicho bądź. Pozwól mi pomyśleć. – Pani była tak zdumiona, że z miejsca zapomniała o złości na Goblina.

Byłem cicho. Podarowałem jej tyle czasu do namysłu, ile tylko dziewczyna może zapragnąć.

Może była to akurat niteczka srebra w warstwie ciemnych chmur, które ostatnio zebrały się nad naszymi głowami?

Moja aktualnie dość pechowa małżonka zawołała:

– Tobo! W następnej wiadomości, którą wyślesz na Północ, nie zapomnij zapytać, czy ten mały gówniarz nie ukradł któregoś z kluczy do Bramy. Albo jakiegoś innego niezwykłego przedmiotu.

Tobo wykonał nieznaczny gest dłonią i potem odparł:

– Już to sprawdziłem. Nie zabrał ze sobą nic prócz dwóch koni i jednego siodła. Nawet jednej kiełbaski. Prawdopodobnie zre teraz owady. Jediną niezwykłą rzeczą, o której się wspomina, to fakt, że nikt go nie zauważył. Okoliczność z pewnością specjalnie zaaranżowana.

– Ponieważ?

– Ponieważ nawet teraz cholernie trudno go znaleźć. Czarne Ogary nie powinny mieć kłopotów z odszukaniem i śledzeniem go. Ale mają. Wymyka się niczym duch. Niemniej podąży drogą prosto jak w pysk strzełił. Tak więc za każdym razem, kiedy zechcą się z nim spotkać, wystarczy, że po prostu zaczekają.

– Drogą dokąd?

– Na północ. W kierunku skrzyżowania z Drogą Kamienną. Nie odzywa się jednak ani słowem, toteż jego dalsze plany pozostają niejasne.

Nawet w obliczu tego, co się działo, Tobo wciąż potrafił zachować poczucie humoru.

– Jak ci się udało zamordować to drzewo? – zapytałem Panią.

– Dobre pytanie – zadumała się w głos. – Na które jednak nie ma dobrej odpowiedzi. Ani razu nie poczułam wyraźniejszej obecności Kiny.

– Sądzisz, że może mieć to coś wspólnego z Goblinem? Wiemy, iż Kina musiała oblec część siebie w jego ciało, w przeciwnym razie nie przeżyłby.

– Chyba wyczułabym coś wcześniej. Tak mi się wydaje. Tobo, czy czułeś, że z Goblinem dzieje się coś dziwnego?

– Oczywiście. – Chłopak był lakoniczny. Próbował pracować. A starzy mu przeszkadzali. – To już nie był Wujek Goblin. Jednak mocy miał tyle samo co wcześniej.

– Może było to coś, co nie mogło się ujawnić, póki nie zabił Narajana? – zastanawiałem się.

Dyskusja na temat tego, dlaczego go zabił, prowadziła zasadniczo do wniosku, że to stan kalekiego, starego Narajana nie pozwalał na ucieczkę, że zatracił on użyteczność w roli czempiona swej bogini, gdyby natomiast zostawiono go w naszych rękach, zostałby ostatecznie zmuszony do powiedzenia wszystkiego, co wiedział. I chociaż w oczach większości z nas

to morderstwo było zdradą ze strony bogini, z tego, co wiedzieliśmy o doktrynie Oszustów, wynikało, że on sam mógł widzieć w nim łaskę. Uduşony w imię bogini, Narajan powęduje prosto do raju Oszustów, gdzie bez wątpienia czeka go nagroda współmierna do zasług.

Jednak tam, gdzie w grę wchodzi religia, ja skłaniam się ku cynicznemu punktowi widzenia.

Po chwili milczenia trwającej tak długo, że uznałem, iż nie słuchała, moja ukochana udzieliła w końcu odpowiedzi:

– Może naprawdę jesteś bystrzejszy, niż na to wyglądasz. Spodziewała się, że będziemy podejrzliwi, że Goblin nie zrobi nawet kroku bez naszej wiedzy. W związku z tym chciała, żeby wyglądał jak najbardziej normalnie, póki nie nadarzy się sposobność ucieczki. – Zaczęła się przechadzać. –

Biedny Goblin. Zapewne po większej części wciąż był sobą, może nawet naprawdę starał się ostrzec swych starych towarzyszy. I dalej pozostanie Goblinem, tylko uwięzionym we własnym ciele. – Głuche tony brzmiące w jej głosie wskazywały, że ongiś sama musiała przejść przez coś podobnego.

– Ale dalej nie znamy jego celu. Czy też celu Kiny.

– Ona jest w więzieniu. Chce wyjść. Zrozumienie tego nie wymaga szczególnej inteligencji.

– Ale musi mieć jakiś ogólny plan. Staremu Goblinowi nie wyżarto przecież duszy po to, by mógł sobie skakać po stawie świata niczym kamień, którym ktoś puszcza kaczki. Zapewne ma się dokądś udać, zapewne ma coś zrobić, a jeśli wywiąże się z zadania, reszta z nas skończy naprawdę nieprzyjemnie.

Pani odpowiedziała nieartykułowanym pomrukiem. Wciąż była zła.

– Skierował się na północ – ciągnąłem dalej. – Cóż tam jest takiego, co mogłoby interesować Kinę?

Tobo przerwał na chwilę czułe poszeptywania ze swymi zwierzaczkami.

– Pierdu Pierdu. – W jego głosie dźwięczało tyleż bólu, ile ja czułem w sercu. – Zajmie miejsce Narajana przy boku Córki Nocy.

– Tylko że w nim tkwi spory kęs bogini, a więc będzie znacznie niebezpieczniejszy, niż tamten kiedykolwiek był.

Pani toczyła wokół pałającym spojrzeniem, a wyraz jej twarzy skłonił mnie do podejrzeń, że nie ma żadnych kłopotów z dostrzeżeniem przyjaciół Tobo.

– Sądziś, że moja siostra nadstawi ucha na głos któregoś?
Rozległ się taki hałas, jakby na ziemię runął cały stos naczyń kuchennych. Nawet zwierzęta się uspokoiły.

– Coś ci chodzi po głowie? – zapytałem.

– Tak. Poślemy jej wiadomość. Powiemy jej, co się stało z Goblinem. Powstrzymanie go bardziej leży w jej interesie niż w naszym.

– Poza tym będzie miała pobudki osobiste – przypomniał nam Tobo. Zrozumiałem natychmiast, jednak Pani potrzebowała wyjaśnienia.

– To przez Goblina Duszołap kuleje.

– Ach. Oczywiście. Teraz pamiętam.

Powinna. Była tam podczas uprowadzenia Radiszy, przyglądając się wszystkiemu oczyma białego kruka. Tej samej nocy Goblinowi udało się nabrać Duszołap, która weszła na minę-pułapkę. Efektem była poważna kontuzja prawej pięty, której skutki okazały się trwałe.

– Teraz chodzi już zupełnie zgrabnie – rzekł Tobo. – Nosi specjalny but z kłamrami, wspomagany dodatkowo kilkoma wyspecjalizowanymi zaklęciami. Kuleje tylko wówczas, gdy jest naprawdę zmęczona.

– Aha. Wobec tego zdecydowanie będzie chciała sobie pogawędzić z Goblinem. Nigdy nie umiała przegrywać.

– Właśnie przyszło mi coś do głowy – wtrąciłem. – Co się stanie, jeśli Duszołap zmieni Goblina we własną wersję Schwytanego? Zresztą to samo może dotyczyć Pierdu Pierdu. Chodzą plotki, że parę razy zdradziła się z posiadaniem własnych mocy.

– Uczynić niewolnika z bogini? – Pani pozostawała sceptyczna. Uniosłem brwi. Zaprotestowała: – Ja zrobiłam coś zupełnie innego. To było czyste pasożytnictwo. Wgryzłam się w nią niczym robak, tak że nie mogła się mnie pozbyć, nie wyrządzając równocześnie krzywdy samej sobie.

– A teraz powoli to wraca?

– Tyle że wszystko wydaje się odmienione. Tobo, możesz wysłać tę wiadomość do mojej siostry czy nie?

– Mogę spróbować. To znaczy, oczywiście, że mogę wysłać. Bez trudu. Pozostaje pytanie, czy ona będzie chciała słuchać?

– Wysłucha albo skopię jej tyłek.

Jakaś chwilę zabrało nam zrozumienie, że żartuje. Ostatnimi czasy czyniła to tak rzadko.

Tobo zajął się przesłaniem dłuższej wiadomości do Duszołap.

– Rzykujemy – ostrzegłem ponownie.

Pani zbyła mnie jednym ze swych nadających pomruków. Powoli zmieniała się w drażliwą, starą wiedźmę.

Terytoria Tagliańskie:
NAWIEDZONY LAS

Przed wejściem do lasu Duszołap obejrzała się za siebie.

– Gdzież oni się podziali? – A potem twardy, męski głos zapytał: – Co się stało z tymi wszystkimi wazeliniarzami?

I kolejny głos:

– Ktoś powinien starać się zasłużyć na buziaka.

Skonsternowany głos zapytał:

– Zawsze tak robią, czyż nie?

– Zaczynamy przegrywać?

– Nie podoba mi się to.

– To już przestaje być zabawne. – Zirytowany głos rozpieszczonego dziecka.

– Przez większość czasu zajmujemy się rutynowymi działaniami. Nie ma tu żadnych wyzwania.

– A nawet kiedy są, nie sposób przejąć się nimi na tyle, żeby nas to obeszło.

Większość tych głosów brzmiała rzeczowo, ale znać było w nich znudzenie przesytem.

– Trudno przez cały czas posiłkować się tylko pragnieniem zemsty.

– Trudno być samą kropką.

Ta uwaga wywołała przeciągające się milczenie. Duszołap nie dysponowała głosem przeznaczonym do wyrażania kosztów emocjonalnych bycia tym, kim była. Przynajmniej otwarcie. Złośliwe, zwariowane na punkcie zabijania czarownicy nie jęcza dlatego, że nikt ich nie lubi.

Granica roślinności porastającej brzegi strumienia rysowała się ostro. Krajobraz musiał zaznać niegdyś ręki człowieka. Duszołap wyteżyła słuch.

Las, szeroki na niewiele ponad półtora kilometra, zdawał się nadzwyczaj cichy. A przecież powinien rozbrzmiewać odgłosami brygad zbierających chrust na opał oraz ścinających drzewa na potrzeby prac budowlanych w obozie. Nie było jednak nic słychać. A nie przypominała sobie, żeby zarządziła dzień wolny. Coś musiało wystraszyć żołnierzy.

Nie wyczuwała żadnego niebezpieczeństwa.

Po chwili wszakże wykryła jakąś nadprzyrodzoną obecność.

Zerknęła w górę. Padlinożercy wciąż krążyli na niebie. Tylko że teraz niżej. W miejscu, w którym manifestacja owej obecności zdawała się najsilniejsza.

Ostrożnie sięgnęła zmysłami, dalej, głębiej. Kiedy chciało się jej skoncentrować, wyczuloną świadomością potrafiła wyłapać naprawdę wiele.

Ta obecność nie kojarzyła jej się z niczym, co spotkała w życiu. Jakby potężny cień, jednak emanujący wrażeniem inteligencji. Wszelako nie demon ani też żaden byt z tamtego świata. To coś było częścią natury, naznaczoną jednakże delikatnym znamieniem obcości. Jak to możliwe? Nie z tego świata, ale również nie z tamtego?... Coś potężnego, choć niepowodowanego złośliwością. Przynajmniej na razie. Istota ponadczasowa, przywykła do cierpliwości, jednak w chwili obecnej odrobinę rozdrażniona; niczym bystry cień, podobny do myśliwych daleko na południu.

Duszołap maksymalnie wyczuła swe zmysły. Ta istota czekała na nią. Tylko na nią. Przepędziła wszystkich prócz padlinożerców. Należało jednak zachować ostrożność. Dręcząca nuda to nie powód, by zaraz pakować się w śmiertelną pułapkę.

Nie było żadnej pułapki.

Ruszyła naprzód.

W trakcie marszu otoczyła się rojem gwałtownie działających i śmiertelnych zakłęb. Zmrużyła oczy za maską, wypatrując istoty, która chciała się z nią widzieć.

W miarę jak się zbliżała, wrażenie narastało, aczkolwiek jego źródło było coraz trudniejsze do umiejscowienia. Przez chwilę wydawało się, że otacza ją ze wszystkich stron naraz – choć równocześnie znajduje się wciąż przed nią. Kiedy przybyła na miejsce, w którym, jak zapewniały ją zmysły, istota powinna przebywać, nie znalazła nic.

Miejsce okazało się niewielką polaną tuż obok Drogi Kamiennej, po przeciwnej stronie płytkiego strumienia. Zobaczyła jednak tylko kilka głazów nagrobnych Vedna i kilka pomników Gunni ze zniszczonymi przez czas młynkami modlitewnymi na szczytach. Tutaj zapewne jej siostra musiała stoczyć bój z kawalerią Władców Cienia podczas ucieczki spod Dedżagore. W czasach dawno minionych, kiedy wciąż wierzyła, że Narajan Singh będzie jej przyjacielem i czempionem.

Światło słońca przesączało się przez sklepienie liści nad głową. Jaskrawe plamki znaczyły ściółkę polany. Duszołap usiadła na spróchniałej kłodzie sterczącej w miejscu, gdzie kiedyś musiały być fortyfikacje ziemne.

– Jestem. Czekam.

Coś wielkiego poruszyło się na skraju jej pola widzenia. Kątem oka pochwyciła sylwetkę ogromnego kota. Ale kiedy się odwróciła, nie dostrzegła nic.

– A więc tak to ma wyglądać, co?

– Tak to być musi. Zawsze. – Odpowiedź zdawała się dochodzić ze wszystkich stron naraz, nadto nie była pewna, czy usłyszały ją jej uszy, czy też rozległa się w głowie.

– Czego ode mnie chcesz? – Duszołap posłużyła się głębokim, męskim głosem, w którym pobrzmiwała nieskrywana groźba.

Istota była rozbawiona, ale bynajmniej nie onieśmielona.

– Przynoszę wiadomość od twojego starego przyjaciela, Konowała.

Konował nie był przyjacielem. W rzeczy samej drażnił ją wyjątkowo. Najpierw nie chciał współpracować, kiedy próbowała go uwieść, a teraz najwyraźniej nie miał zamiaru pozostać pod ziemią po tym, jak spróbowała go zabić. Jednak z drugiej strony, to dzięki niemu wciąż miała głowę na karku. I prawdopodobnie owa drobna przysługa była powodem, że wiadomość przysłała sygnowana jego imieniem.

– Mów.

Owo coś, czymkolwiek było, zrobiło to, czego sobie zażyczyła. Słuchając, badała je zmysłami, próbując odkryć prawdziwą naturę. I znaleźć jakiś sposób, aby zmienić owo coś we własnego agenta.

Wyczuło, co próbowała osiągnąć. Było rozbawione. Żadnego lęku. Żadnej bodaj konsternacji. Nawet nie chciało mu się zareagować. Po prostu się uśmiechnęło.

Kiedy duch zakończył swą relację, Duszołap powtórzyła sobie w myśli kluczowe kwestie. Wszystko brzmiało jak najbardziej wiarygodnie. Nawet jeśli brakowało pewnych elementów. Jednakowoż dlaczego miałyby oczekiwać, że ci ludzie będą z nią całkowicie szczerzy?

Jakkolwiek się starała, nie potrafiła wykryć żadnej pułapki w usłyszanych słowach. Chyba rzeczywiście byli zaniepokojeni. Wieści wyjaśniły ponadto nagłą zmianę strategii.

Goblin opętany przez Kinę. Narajan Singh nie żyje. Córka Nocy na wolności... Wcale nie na wolności! W rękach jej żołnierzy, na Drodze Kamiennej, gdzieś na południe od Dedżagore; prawdopodobnie dopiero łamie sobie głowę nad sposobem ucieczki.

Goblin może to załatwić.

Zeskoczyła ze spróchniałego pnia; nuda rozwiała się jak dym.

– Powiedz Konowałowi, że może uznać kanał łączności za otwarty. Podejmę określone kroki, by opanować sytuację. Zmykaj! Sio!

Nieznaczone migotanie. Jakby cień przeszedł przez polanę i równocześnie ją opuścił. Został po nim głęboki dreszcz i ostatnie niepewne mgnienie niemożliwie wielkiego, kociopodobnego kształtu, który oddalał się z nieprawdopodobną szybkością.

Z pobliskiej Drogi Kamiennej dobiegł szczepek metalu i tętent kopyt oddziału kierującego się na południe. Chyba mieli ze sobą wielbłądy. To oznaczało cywilów. W jej armii nie było wielbłądów. Nienawidziła wielbłądów. W najlepszych swych chwilach były to tylko brudne zwierzęta o wrednych charakterach.

Przeskoczyła przez strumień i pośpieszyła na skraj lasu, z którego wyszła niecałe trzydzieści metrów od wyłaniającej się równocześnie spośród drzew karawany. I rzeczywiście byli to cywile, jednak przeznaczeniem lwiej części ładunku wozów, wielbłądów i mułów był jej obóz.

Prowadzący karawanę wypatrzyli ją od razu. Byli zaskoczeni. I przerażeni.

Czuła, jak krew znowu żywiej krąży w jej żyłach. Zawsze cieszyło ją wrażenie, jakie wywoływała niespodzianym pojawieniem się.

Kiedy odwróciła się po raz ostatni, aby objąć wzrokiem kołujących padlinożerców, wśród kupców i woźniców mignęła jej znajoma twarz. Aridata Singh? Tutaj? Jak? Dlaczego? Kiedy jednak przyjrzała się

uważniej, nie zobaczyła żadnego Aridaty. Może był to po prostu ktoś podobny do Singha. Może to jej odnowiony zapał przypominał, że minęło już dużo czasu, odkąd zaznała przyjemności z mężczyzną. Aridata Singh miał mnóstwo męskiego powabu. Tylko nieliczne kobiety były nań ślepe, aczkolwiek on zdawał się być całkowicie nieświadom wrażenia wywieranego na płci przeciwnej.

Czasu na myślenie o takich sprawach będzie dosyć, jak już zaalarmuje Dedzagore i wyśle oddział kawalerii, by schwytał siostrzenicę – to uparte i trudne dziecko.

Musi istnieć jakiś sposób przejęcia nad nią kontroli i dołączenia jej talentów do arsenału Protektoratu. Być może uda się jej nawet schwytać Goblina, mimo iż był opętany.

Goblin nigdy nie był szczególnie wielkim czarodziejem.

Jak słodką okazywała się zemsta, którą poprzedzało długie oczekiwanie.

A potem niech przyjdzie ta suka, Ardat, razem ze swoimi psami! Wiele odwiecznych rachunków zostanie wówczas uregulowanych.

Kiedy zbliżała się do fosy otaczającej obóz, znowu obejrzała się, szukając wzrokiem padlinożerców.

Krąg ptasich amatorów padliny rozproszył się, w zasięgu wzroku pozostało tylko kilku. Uparcie krążyły po niebie, szukając czegoś smakowitego i zgniłego.

Duszołap odkryła w sobie głos, którego nie używała od czasów młodości. Tym głosem zaczęła śpiewać piosenkę o wiosnie i młodzińskiej miłości, językiem zapamiętanym z wiosny własnego życia, kiedy miłość wciąż jeszcze żyła na świecie.

Wartownicy byli skrajnie przerażeni.

Terytoria Tagliańskie:
CIAŁO W KŁOACE

Mam pytanie – rzekł Murgen. Warownia Nidźja znajdowała się już w zasięgu wzroku. – Kto ma zamiar powiedzieć Ospalej, że wzięliśmy Protektorkę do łóżka?

Ja odpowiedziałem:

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś musiał. Przynajmniej nie trzeba tego formułować w ten sposób.

– To rozsądna kobieta – zauważyła Pani. – Zrozumie, co zrobiliśmy i dlaczego.

Tobo się roześmiał. Murgen tylko wyszczerzył się słabo. Chłopak czarodziej powiedział:

– Chyba naprawdę nie przyglądałaś się jej z bliska. Albo mylisz Ospałą, którą znam, z kimś innym.

Postarałem się, by moje słowa zabrzmiały przekonująco:

– Jakoś będzie musiała się z tym pogodzić. Duszołap może się już pochwalić sukcesami w polowaniu na Pierdu Pierdu?

– Wystawiła szereg pikiet na południe od Dedżagore. Z każdą chwilą powiększa się obszar patrolowany po obu stronach Drogi Kamiennej. Nie ufa mi na tyle, żeby przekazywać jakieś decydujące informacje. A ja nie zdradzam jej wszystkiego, co wiem, ponieważ nie chcę, żeby zaczęła się zastanawiać, na ile potrafię i ją śledzić. Tak na marginesie – swoim dowódcom nie powiedziała o niczym. Sądzę, że boi się, iż sama wzmianka o Kinie może wywołać lawinę dezercji.

Jaką też byliśmy odważną gromadką. Kiedy Kompania po raz pierwszy przybyła na Terytoria Tagliańskie, zastała tu kulturę, w której silnie zakorzenione było tabu dotyczące wzywania imienia bogini – każde jego

naruszenie mogło oznaczać niepożądane ściągnięcie na siebie jej uwagi. Jeśli zaś już nie dawało się tego uniknąć w żaden sposób, ludzie odwoływali się do jej mocno wyblakłego wcielenia z mitologii Gunni, imieniem Khadi.

Fakt, iż imienia Kiny używa się dziś swobodnie w mowie potocznej, stanowi jeszcze jedną oznakę wpływu, jaki wywarła Kompania na mentalność tutejszych ludzi w ostatnich paru dziesięcioleciach.

Może ci zadomowieni starszycy mieli jednak rację, obawiając się nas. Wstrząsnęliśmy samymi fundamentami ich cywilizacji. A jej przeszłość też nie wyglądała różowo.

Sami się o to prosili. Wszystko, czego my chcieliśmy, to tylko przejechać dalej.

– Przez kilka najbliższych dni nie będziemy mieć do czynienia ze Ospałą – poinformował nas Tobo. – W chwili obecnej schodzi właśnie z wyżyn na równiny południowym brzegiem Viliłasz. Każdego dnia pokonuje nie więcej niż parę kilometrów. Okolice jest na tyle bogata, by spokojnie wyżywić armię. Zaczęła werbunek. W imieniu Prabrindraha Draha. Księżę i jego siostra systematycznie pokazują się ludowi.

Miałem przeczucie, że w tej części świata ich widok nie będzie szczególnie zachętą. Były to bowiem tereny, na które to Czarna Kompania zaniósła sztandar Taglios.

– Co z Pierdu Pierdu?

– Zbliża się już do linii pikiet Protektorki. Wciąż jedzie Drogą Kamienną. Czarne Ogary otrzymały instrukcje, zgodnie z którymi za wszelką cenę ma zostać złapana.

– Sądziłam, że już została złapana – jęknęła Pani. – Że jest jeńcem.

– To prawda. Ale jak dotąd zdaje się to jej odpowiadać. Wnioskuje stąd, że jej strażnicy nawet w połowie nie przykładają się do swych obowiązków tak, jak powinni.

Ponieważ czytałem Kroniki Ospalej, nie byłem bynajmniej zaskoczony. Pierdu Pierdu była najwyraźniej zdolna zupełnie ogłupić znajdujących się w pobliżu mężczyzn.

– A więc moja siostra powinna się o tym dowiedzieć. W przeciwnym razie czeka ją niespodzianka, którą wszyscy będziemy opłakiwać.

Podjeżdżaliśmy do murów obronnych Nidźji. Powiedziałem:

– Jako eksperci powinniście dokładnie sprawdzić to miejsce, żeby się przekonać, czy nasz stary kumpel karzełek nie zostawił jakichś śladów. – Poczęstowano mnie spojrzeniami spod zmarszczonych brwi i nadąsanymi minami. Oto pojawiła się szansa na odpoczynek, a ja kazałem im pracować. Im, nie sobie. Zmieniłem temat i zapytałem Panią: – Powiadasz, że Ospała spaliła Księgi Zmarłych? Prawdziwe? Widziałaś na własne oczy?

– Oczami białego kruka. Spaliła wszystkie trzy. Sziwetja pilnuje popiołów. W jego imieniu Baladitja pozbywa się ich, wręczając szczyptę każdemu, kto podróżuje po równinie.

– Sam rozrzuciłem mnóstwo, kiedy ze Sjuwrinem badaliśmy równinę – wtrącił Tobo. – O co chodzi?

– To tylko naturalna ciekawość starego człowieka. Wszyscy uważają, a Oszuści najwyraźniej zgadzają się z tą opinią, że Córka Nocy... czy ktokolwiek odziedziczy po niej zadanie, jeśli jej się nie powiedzie... musi mieć Księgi Zmarłych, żeby dopełnić rytuału inwokacji Roku Czaszek. Nie ma książek, nie ma zmartwychwstania. Racja?

Nikt mi nie odpowiedział. Najwyraźniej nikt nie potrafił. Po prawdzie, to nikt nic nie wiedział na pewno. Prawdopodobnie nawet moja ogłupiała córeczka czy też stary, biedny Oszust, obecnie martwy niczym głąz, Narajan Singh.

– Stara wiedźma wciąż tam tkwi i próbuje na nowo, nieprawdaż? – podsumowała Pani.

– Prawdaż.

Na stacji kurierskiej Nidźja Pani i Tobo nie znaleźli nic interesującego. Goblin nie zgubił najmniejszego fragmentu skóry, nie rzucił też żadnych tajemnych uroków Oszustów. Po prostu, korzystając ze sposobności, rzucił się do ucieczki w chwili, gdy ktoś zdał sobie sprawę, że to on może być odpowiedzialny za śmierć Narajana.

W Nidźji dołączył do nas Wujek Dodż oraz paru maruderów, którzy się tu zadekowali. Ospała nie powinna mieć większych kłopotów z dezercjami. Ci ludzie nie znali niczego poza Kompanią i nie potrafili powiedzieć ani słowa po tagliańsku czy też w innym lokalnym języku.

Kiedy podjęliśmy na nowo wędrówkę, wraz z maruderami nasz oddział liczył ponad setkę ludzi. Z pierwotnej grupy brakowało tylko Zjawy

i Człeka Pandy, których uhonorowano wątpliwym zaszczytem pełnienia warty pod Bramą Cienia.

Kiedy skończyło się poszukiwanie śladów, Pani przyparła Dodża do muru.

– Gdzie jest ciało?

– He? – Stary mistrz miecza był wyraźnie skonsternowany.

– Narajana Singha. Co zrobiłeś z jego trupem?

Tobo i ja wymieniliśmy spojrzenia. To pytanie żadnemu z nas nie przyszło do głowy. Jednak niezłym pomysłem byłoby po dwakroć się upewnić, kto tak naprawdę umarł. Narajan Singh był przecież autentycznym Księciem Oszustów, ulubieńcem Kiny.

Jeden z rannych, którzy stanowili załogę garnizonu Nidzji, zgłosił się na ochotnika:

– Cisnęli go do starego dołu kloacznego, który potem wypełnili ziemią i kamieniami z nowej latryny, proszę pani. Wykopanej dokładnie według pańskich instrukcji.

Od czasu, gdy zaciągnąłem się do Kompanii, otaczała mnie sława służbisty w tych sprawach. Odkąd jednak kwestie zdrowia, higieny i usuwania odpadków załatwiano na mój sposób, Kompania miała znacznie mniej problemów z epidemiami niżli ci, którzy robili to po swojemu. Ponieważ jednak niektórym ludziom nie sposób przemówić do rozumu, poprzestawałem na wydawaniu rozkazów i ścisłym przestrzeganiu ich wykonania.

– Wykopcie go – zarządziła Pani. A kiedy nikt nie ruszył po łopatę czy oskard, nagle otoczyła ją mroczna poświata – urosła, a z jej ust wychynęły kły.

Ludzie natychmiast rozbiegli się, rozglądając za narzędziami.

– To było naprawdę niezłe – pochwaliłem ją.

– Pracowałam nad tym od czasu, kiedy załatwiłam samą siebie i to drzewo. Nie wymaga wiele wysiłku ani mocy, jednak powinno być przekonujące.

– Zdecydowanie było.

Ekshumacja zadowoliła Panią. Ciało było na miejscu. Z wyglądu podobne do Narajana Singha, włączywszy nawet chromą nogę. Choć

nienaturalnie dobrze zachowane, biorąc pod uwagę miejsce, w którym je pogrzebano.

– No i co? – zapytałem, gdy posunęła się do tego, by rozciąć zwłoki. Nie miałem pojęcia, co spodziewała się znaleźć w środku.

– Wychodzi na to, że to on. Biorąc pod uwagę, komu służył i kto najwyraźniej go ukochał. Byłam nieomal pewna, że ciała nie będzie. Albo że nie będzie to ciało Narajana.

W istocie po prostu chciała, żeby okazało się inaczej. Nie potrafiła dopuścić myśli, że Narajan Singh tak łatwo uniknął jej zemsty.

– Prawdziwe życie drwi sobie z dramatycznych efektów – powiedziałam. – Zachowaj te emocje dla Goblina.

Obrzuciła mnie niedobrym spojrzeniem.

– Chciałem powiedzieć: dla tej istoty, która opętała Goblina. – Prawdziwy na zawsze pozostanie moim najstarszym przyjacielem.

Pocięła zwłoki Narajana na małe kawałki. Przez następnych kilka dni kreśliła nimi krwawy ślad dla robaków i padlinożerców. Ale głowę, serce i dłonie zachowała w dzbanie z wypalanej gliny.

Nie pytałem, dlaczego to zrobiła ani czy stanowi to część większego planu. Ucieczka Singha wprowadziła ją w nastrój tak ponury, że trudno było nawet marzyć o niezobowiązującej pogawędce.

Kilka razy słyszałem, jak przeklina fakt, że na świecie nie ma już żadnego wielkiego nekromanty.

Gotowa była wezwać Narajana z raju bądź piekła i zmusić go, żeby jednak zapłacił za uprowadzenie naszej córki.

Niższa z dziewczyn Vorszk, ta schwytna przez nas, wyszła nam na spotkanie. W całkiem niezłym tagliańskim poinformowała nas:

– Sedvod właśnie umarł. – Przez cały czas wpatrywała się w Tobo.

Poszedłem sprawdzić. Chory chłopak rzeczywiście wyzionął ducha. I wciąż nie miałem pojęcia dlaczego.

Przypuszczalnie winą należało obciążyć istotę, która była Goblinem.

Depresje Terytoriów Tagliańskich:
BRZEGIEM VILIŁASZ

Ospała zaskoczyła nas wszystkich. Była wściekła, usłyszawszy, że zadaliśmy się z Duszołap, ale nie robiła z tego powodu wielkiego zamieszania.

– Ta sytuacja dalece przerasta wszystko, na co jestem przygotowana. Tobo, zakładam, że podjąłeś odpowiednie kroki, aby Protektorka nie dowiedziała się o naszych poczynaniach.

– Wie tylko o tym, o czym chcemy, żeby wiedziała. To znaczy, nie ma pojęcia, co robimy, a informowana jest wyłącznie o poczynaniach wspólnych wrogów.

Czego nie było wiele, przynajmniej jeśli chodzi o Pierdu Pierdu. Mimo wszelkich wysiłków, których dołożyła, by zniknąć pierwszej nocy po tym, jak jej oddział napotkał pikietę Duszołap, wciąż była jeńcem. Za kilka dni trafi w ręce samej Protektorki.

Goblin poruszał się znacznie szybciej niż oddział eskortujący dziewczynę i szybko go doganiał; obecnie, według szacunków Tobo, dzieliło go od nich jedynie jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Zasugerowałem, że może przysporzyć Duszołap więcej kłopotów, aniżeli Pierdu Pierdu kiedykolwiek byłaby w stanie.

– Ciekawe, czy właśnie w ten sposób rodzą się mity – zastanawiałem się głośno.

Ludzie popatrzyli na mnie, jakby nie mieli pewności, o co mi właściwie chodzi.

Wyjaśniłem:

– Oto mamy gromadkę ludzi, którzy odwiedzali dziwne miejsca dla większości na zawsze niedostępne, nawet gdyby zamarzyło im się inaczej.

Mamy spory w rodzinie, której członkowie próbują nawet pozabijać się nawzajem.

– To naprawdę może tak być – powiedział Murgen.

– Podoba mi się – skomentował Tobo. – Za tysiąc lat będą pamiętać mnie jako boga burzy. Czy kogo tam.

– Kogo tam? – zapytał jego ojciec. – Może jako małego bożka umięjącego rozbijać maleńkie kamyczki na jeszcze mniejsze fragmenty?

Wcześniej Tobo przyłapano na tym, jak sprawiał, że kamienie eksplodowały. Robił to dla czystej radości obserwowania pękającej skały i wsłuchiwania się w odgłos rykoszetujących odłamków. Wstydził się strasznie. Ale od czasu do czasu trzeba pozwolić sobie na odrobinę zabawy. W obecnej dobie Kompania nie jest już tak zabawna, jak była za moich czasów.

Zachichotałem szyderczo.

– Każdego dnia przemierzaliśmy sześćdziesiąt pięć kilometrów. Cały czas pod górkę. W śniegu. Kiedy akurat nie trafiliśmy na bagna.

– Co?

– Uznałem, że przyda się odrobina wprawy na czas, kiedy będę już naprawdę stary. Jak zmuszasz kamienie do eksplozji?

– Och. To proste. Trzeba po prostu wyczuć ich wewnętrzną naturę. Znaleźć wodę. Wystarczy ją dostatecznie podgrzać i kamień robi „bum”.

Znajdź wodę. Wewnątrz kamienia. A kamień robi „bum”. Słusznie. Sam się o to prosiłem. Zmieniłem temat:

– Jak się miewają te dzieciaki Vorszk? – Mimo wszystkich ciężących na nim obowiązków, Tobo zawsze jakoś znajdował czas dla naszych jeńców.

Zdumiewające było, ile ten dzieciak potrafi zrobić jednego dnia.

Pamiętałem czasy, kiedy moje życie również układało się w ten sposób. Dawno temu, kiedy maszerowaliśmy pod górkę. Na zlodowaciałych, mokrych nogach.

– Wujek Dodż nauczył ich mówić po tagliańsku tak, jakby się urodzili w delcie i dorastali w cieniu świątyni Gangeszy.

– Świetnie. – Oczywiście stroił sobie żarty.

– Łapią co nieco z języka. Szukrat i Magadan już są w stanie się porozumieć. Arkana ma kłopoty, ale szybko nadrabia zaległości. Żadne z nich nie oplakuje Sedvoda. Gromovol, jego brat, jest uparty. Podoba mu

się rola jedyne go tłumacza. Lubi rządzić. Ale nawet on dokonał pewnych postępów.

– Gromovol jest więc zadrą w dupie? A pozostałe imiona do kogo się odnoszą? Wcześniej nie sły szałem, by któreś się przedstawiało.

– To dlatego, że nie porzucili jeszcze wówczas nadziei, iż rodzina wyciągnie ich, oszczędzając konsekwencji głupiego błędu. W większym jeszcze stopniu niż Gunni wierzą, że można wykorzysta ć ich imiona przeciwko nim. Że mają związek z ich duszami.

– Co oznacza, że Szukrat, Magadan i jak tam jeszcze nie mogą być prawdziwymi imionami.

– To są prawdziwe imiona, tyle że oficjalne. Świat zna ich pod tymi imionami. Niemniej oprócz tego mają jeszcze inne, prawdziwe w głębszym sensie.

– Nigdy nie pojmowałem tej idei, ale jakoś nauczyłem się z tym żyć. Które jest więc które?

– Szukrat to ta najniższa. Ta, która miała wypadek.

– Ta, która pracuje nad tym, żebyś to ty miał wypadek.

Tobo zignorował moje słowa. Zdolność lekceważenia bliźnich rozwija się chyba wraz z talentem do czarów.

– Arkana to królowa śniegu, którego zdecydowanie nie mam zamiaru topić. Magadan to ten cichy gość.

Magadan wedle mej oceny okaże się najniebezpieczniejszy. Jeśli tak zdecyduje. Obserwował wszystko, badał i przygotowywał się. Nie rozsierdzał się i nie groził potęgami innego świata.

– Powiedziałeś im, co się zdarzyło przy Bramie Cienia?

– Z początku nie chcieli mi uwierzyć, ale w końcu musiało to do nich dotrzeć, skoro zdradzili mi swoje imiona. W każdym razie doszli chyba do wniosku, iż najpewniej przez długi czas to właśnie będzie ich świat.

– Zwróciłeś im uwagę, że sami się o to prosili?

– Jasne. Szukrat nawet spróbowała zażartować na ten temat. Ma ogromne poczucie humoru. Jak na dziewczynę, która wcale nie prosiła się, żeby tu trafić.

Biorąc pod uwagę kobiety, z którymi miał do czynienia, nietrudno mi było zrozumieć, dlaczego sądził, że brak poczucia humoru stanowi cechę związaną z płcią. Tylko żona Iqbala Singha czasami śmiała się i żartowała.

A na dodatek Sjuruwidza była najgłupszą z kobiet towarzyszących Kompanii.

– Ale i tak widzisz w niej tylko długie nogi, długie blond włosy, wielkie niebieskie oczy i parę monumentalnych balonów. – Kiedy wreszcie zatrzymamy się gdzieś na dłużej, trzeba znaleźć dzieciakowi kurwę. Dwadzieścia lat, a jeszcze nie miał kobiety.

Z drugiej jednak strony, szkoda byłoby tej całej energii. Nadchodziły dni, w których nie bardzo mogliśmy pozwolić sobie na to, by naszego najbardziej utalentowanego czarodzieja rozpraszał głos natury.

Może powinniśmy mu znaleźć towarzyszkę podróży.

Nie potrafiłem wszak nawet wyobrazić sobie, co powie na to jego matka.

– Za przyszłość – powiedziałem, unosząc dłoń jak do toastu. – Trzeba namówić Łabędzia i Brzeczczota, żeby znowu wystartowali z browarem.

– Także z tego powodu bardzo brak mi Jednookiego – rzekł Murgen.

– Oto myśl. Może Goblin zrobi się tak spragniony, że zrzuci z siebie boginię i ustawi destylarnię.

No i musiałem wspomnieć o Goblinie. To skwasilo wszystkim humor na jakiś czas.

Każdy, kto pamiętał starego Goblina, musiał jakoś sobie radzić z tymi wspomnieniami za każdym razem, gdy padało jego imię. Wspomnienia te mogły okazać się zdradzieckie, jeśli kiedykolwiek przyszłoby nam spotkać samego zmartwychwstałego. Nawet jeżeli ich wynikiem okaże się tylko chwilowe wahanie.

Jeśli mieliśmy naprawdę poważnie wziąć się do Goblina, lepiej zlecić to zadanie ludziom Hsien. Oni nie będą się z nim patyczkować. Znali go wyłącznie z opowieści.

Przy tym nie zależało mi, by dzień ten nadszedł jak najszybciej.

– Tobo, teraz, kiedy przestaliśmy się spieszyć, należy postawić sobie pytanie, co zrobić z Wyjcem? – powiedziałem. Zadaniem strzeżenia śpiącego czarodzieja obarczono całą kompanię piechoty i trwało to od dnia, gdy on i Długi Cień zostali wydobyli spod ziemi. Cała kompania nie miała innych obowiązków, jak transportować i chronić Wyjca. – Coś trzeba będzie zrobić. Jeżeli Ospała nie ma zamiaru go obudzić i zawrzeć z nim jakiejś ugody, lepiej go zabijmy, zanim Duszołap się zorientuje, że go mamy, i wykradnie, aby wykorzystać do własnych celów.

Martwiło mnie, że Ospala nie traktowała Wyjca dostatecznie poważnie. Nie doświadczyła jego ekscesów na własnej skórze. A przynajmniej w stopniu niedostatecznym, by rozumieć, że potrafi być równie niebezpieczny jak Duszołap. A był jeszcze bardziej szalony niż ona.

Wyjec nie był naszym zaprzysięgłym wrogiem, aczkolwiek częściej występował przeciwko nam niżli na odwrót. Natura uczyniła zeń poplecznika. Zawsze ciążył w stronę większej siły. Był tak potężny, że wolałbym raczej widzieć go po swojej stronie. Albo martwego.

– Kwestię należy poważnie przedyskutować. Ospala wolałaby pewnie rzucić jego ścierwo szakalom. Mama również, tyle że przecucia jej nie pozwalają. Wiesz dobrze, jak wielkie znaczenie mają przecucia dla kobiet z rodziny Ki.

– Dzięki jednemu z nich twoja mama i twój tata się zesłi.

– Co się stało, to się nie odstanie – skwitował Wierzba Łabędź. – Może ktoś szepnąłby Ospalej, że jeśli już się nie spieszy, to można by osiąść w jednym miejscu? To naprawdę nieprzyjemne zrywać się rano i pędzić przed siebie, skoro i tak donikąd nie idziemy.

Nasz powolny dryf na północ obfitował w leniwe chwile spędzane przy ognisku. Wykorzystywałem je do pracy nad niniejszymi Kronikami. Pani zaś zamówiła kilka wozów pełnych długich bambusowych tyczek, z których będzie mogła zbudować nową generację miotaczy kul ognistych. Tobo uczył młodzież Vorszk. Od czasu do czasu też w tym uczestniczyłem. Chłopak imieniem Magadan miał chyba dotyk uzdrowiciela. Nie wolno tego zmarnować.

Arkana pozostała królową śniegu. Szukrat czuła się w naszym towarzystwie coraz swobodniej. A Gromovol postanowił, że chce zostać moim kumplem – oczywiście w ramach jakiejś intrygi, którą uknuł sobie w głowie.

Tobo opracował podstawy posługiwania się latającymi słupami Vorszk, aczkolwiek nie rozповідаł o tym wszem i wobec. Przynajmniej jednym latającym słupem. Podejrzewam, że Szukrat mu pomogła. Był to bowiem jej słup; na nim Tobo wymykał się w nocy, folgując pasji przygody właściwej wszystkim młodym ludziom.

Depresje Terytoriów Tagliańskich:
DWÓR W GAROŁNES

Przez dziesięć dni naszego spacerku brzegiem Viliłasz pokonaliśmy ledwie nieco ponad siedemdziesiąt kilometrów. Trzecią część tej odległości podczas jednego dnia, kiedy ku zdumieniu wszystkich stało się jasne, że ludzie na Terytoriach Tagliańskich są naprawdę niechętni, by świętować wyzwolenie spod władzy Protektoratu. Koalicja lokalnej szlachty i kapłanów najpierw próbowała stawić czynny opór, a następnie zasyłała się w ufortyfikowanej posiadłości zwanej Garołnes. Zanim żołnierze otrzymali choć cień szansy, by spuścić im łanie, Tobo z marszu wykorzystał swoje umiejętności do podkopania woli oporu obrońców.

O zmierzchu otoczyliśmy dwór. Rozbłysły płomienie. Zewnętrzny mur otaczający dwór zdawał się kipieć czarną mgłą, kiedy Nierozpoznane Cienie ruszyły do szturmu.

Przez całe godziny wynik starcia pozostawał niepewny. Przyjaciele Tobo preferowali działania niebezpośrednie. I zdecydowanie woleli osłonę ciemności.

Otoczyliśmy całą posiadłość. Płomienie naszych ognisk ciskały nieszkodliwe cienie, które pomykały po ścianach.

– To miejsce wygląda na miłe i wygodne, Kapitanie – odezwałem się do Ospalej. – Nigdzie się nie spieszymy. Możemy zatrzymać się tu na jakiś czas. Na dostatecznie długo, by poznać jego nazwę.

Moja sugestia wprawiła ją w zdumienie.

– Garołnes.

– Wiedziałem, że można na ciebie liczyć.

– Garołnes to nazwa tego miejsca, idioto.

– I jest to najmiłsze miejsce, na jakie dotąd natrafiliśmy. Może powinniśmy ulokować tutaj księcia i jego siostrę. Zacząć z powrotem oswajać ich z przywilejami należnymi królewskiej krwi. – Bogowie jedni wiedzieli, że w towarzystwie nas, dzikusów, wyszli z wprawy. Wlekliśmy ich za sobą w tę i we w tę, niczym tornistry z ekwipunkiem, na wypadek gdyby kiedyś mieli okazać się przydatni.

– Nie masz przypadkiem czegoś do napisania? Albo jakichś wrzodów do przecięcia?

– W tej chwili nie. Jestem cały twój, pełen dobrych rad.

Zanim zdążyła znaleźć stosowną replikę niezawierającą wulgaryzmów, oddział liczący kilku ludzi wymknął się z dworu, prowadząc ze sobą kobiety i dzieci.

Przypuszczam, że nasz obóz wywarł na nich stosowne wrażenie.

Miał wyglądać niczym gotowa do ataku horda.

Tobo zmaterializował się w towarzystwie rodziców.

– Nawiedzanie posuwa się szybciej, niż sądziłem – oznajmił. Wyciągnął rękę wnętrzem dłoni ku górze i wyszeptał kilka słów w języku brzmiącym jak mowa Hsien. Chwilę później z wysokiego okna dworu, gdzie para łuczników przymierzała się do rażenia oblegających, dobył się wrzask wściekłości. Jednemu udało się nawet jakoś wyskoczyć przez wąską szczelinę.

– Niech te stwory zaczną szeptać, że kto podda się przed świtem, będzie mógł zabrać ze sobą swój dobytek – rzekła pani Kapitan. – A nawet wrócić do domu, jeśli złoży wcześniej przysięgę Prabrindrahowi Drahowi. Jeńcy schwytani po wschodzie słońca zostaną wcieleni do batalionów roboczych.

Ostatecznie nie udało nam się wzmocnić batalionów roboczych. Ponieważ jednak stanowiły one trwałe elementy wojny oblężniczej i częsty los jeńców wojennych oraz chłopów, którzy nie potrafili dostatecznie szybko uciekać, nic dziwnego, że groźba była jak najbardziej wiarygodna. A za Czarną Kompanią stała długa tradycja całkowitej obojętności wobec kasty, szlacheckiego urodzenia czy przynależności do hierarchii kapłańskiej.

Kiedy stało się jasne, że osłonimy ostrzałem odstępców, popłynęła prawdziwa powódź. Zazwyczaj zresztą żołnierze, których zadaniem jest powstrzymanie dezertersów przed wykorzystaniem tylnych drzwi, zmykają nimi pierwsi.

Ludzie kierujący oporem najwyraźniej nie okazali się zbyt popularni wśród zwolenników, jakich sobie dobrali.

I choć byli wśród nich tacy, którym zależało na dalszej pomyślności Protektoratu, to ludzi zajmujących się właściwą robotą niezbyt ona interesowała. Tych kilku, z którymi miałem okazję porozmawiać, nie miało żadnych poglądów w tej materii. Osoba władcy czyniła niewielką różnicę w ich życiu. Nadto zbliżały się żniwa.

Jedna z wielkich prawd właśnie wychodziła tu na światło dzienne.

Wczesnym rankiem następnego dnia nasi ludzie weszli do dworu. Ja wciąż jeszcze spałem. Zwierzaczki Tobo narobiły bałaganu. Trzeba było po nich posprzątać. Nikt z naszych ludzi nie zginął. Wszystko skończyło się na może paru poważniejszych ranach. Ospała była w podniosłym nastroju. Większość naszych przeciwników przekazała pod osąd Radiszy i jej brata. Tylko tych, których Tobo zidentyfikował jako beznadziejnych popleczników Protektorki, czekało spotkanie ze sprawiedliwością Kompanii.

– Rozpuść wieści – nakazała Ospała Tobo. – Niech cała rzecz wygląda na poważniejszą, niż faktycznie była.

– Dzisiejszej nocy mały ludek szeptać będzie do uszek wszystkich śpiących w promieniu przynajmniej trzystu kilometrów.

Depresje Terytoriów Tagliańskich:
ZMARTWYCHWSTANIE

W tych odległych prowincjach imperium wyznaje się te same religie, co na pozostałych Terytoriach Tagliańskich – większość mieszkańców stanowią Gunni. Język jest blisko spokrewniony z mową używaną wokół Dedżagore. Przy odrobinie ćwiczeń Ospala mogłaby porozumiewać się w tutejszym dialekcie bez trudu.

Rezydencja, którą wcześniej określiłem mianem dworu, w istocie stanowiła raczej całą wioskę, zamkniętą wewnątrz pojedynczego, zwartego kompleksu. Głównym materiałem budowlanym była niewypalana cegła, starannie otynkowana, żeby nie spłynęła wraz z pierwszym deszczem. Wewnątrz znajdował się odkryty, centralnie usytuowany plac z cysternami na deszczówkę i czynną studnię. Na plac otwierały się ze wszystkich stron stajnie i warsztaty. Pozostała część budowli składała się z labiryntu korytarzy i pokoi, w których najwyraźniej ludzie mieszkali, pracowali, prowadzili sklepy i wiedli życie, jakby miejsce to stanowiło naprawdę rodzaj miasta.

– To kopiec termitów – zauważył Murgen.

– Książę i jego siostrzyczka powinni się czuć tu jak w domu. Jest równie odrażający jak pałac w Taglios, tylko mniejszy.

– Ciekawe, co oni tu jedzą. Smród jest przytłaczający. – W korytarzach unosiła się dławiąca woń przypraw. Ale tak było w każdym tagliańskim mieście i miasteczku. Ten zapach uderzał właściwie tylko obcym zestawieniem.

Dołączył do nas Tai Dei. Wyglądało na to, że naprawdę na parę minut spuścił Murgena z oczu. Może jemu również wiek dawał się we znaki. Przyniósł wiadomość.

– Tobo prosił, żeby wam przekazać, iż Ospała postanowiła zaryzykować obudzenie Wyjca.

Nietrudno było stwierdzić, że Tai Dei jest zdenerwowany, ponieważ była to jedna z najdłuższych wypowiedzi, jakie kiedykolwiek słyszałem z jego ust.

Ospała zaaranżowała budzenie Wyjca z wielką pompą, ceremonią i dramatyзмом. Po wieczornym posiłku zebraliśmy się w miejscu, które stanowiło główną nawę tutejszej świątyni, wypoczęci i dobrze odżywieni, co rzekomo miało nas wprowadzić w dobry nastrój. Sanktuarium było jednak słabo oświetlone i cokolwiek nazbyt zatłoczone wielogłowymi oraz wieloramiennymi idolami, żeby panującą w nim atmosferę określić mianem „zachęcającej”.

Wprawdzie żaden z posągów nie przedstawiał Khadi, ale na widok jakichkolwiek bóstw Gunni zawsze czułem się nieswojo.

Mnie samemu przypadła tu rola półboga. Miałem być przerażającym, uzbrojonym potworem zwanym Pożeraczem Żywotów. Trudno powiedzieć, bym był tym zachwycony.

Odwrotnie niż moja najdroższa żona, która chętnie korzystała z każdej okazji, by przywdziać kostium Stwórcy Wdów. Przez kilka godzin mogła nosić tę wstrętną zbroję i udawać, że wciąż trwają dawne, dobre dni, kiedy była wcieleniem niegodziwości.

Nasz udział w ceremonii sprowadzał się do siedzenia w półmroku, podczas gdy po naszych ciałach pełzało kolorowe robactwo czarów. Mieliśmy wyglądać onieśmielająco – prawdziwą pracą zajęli się inni.

Tobo wyglądał normalnie, jak to Tobo. Do diabła, nawet nie chciało mu się włożyć czystej koszuli i świeżych spodni. Jednak przyprowadził swych uczniów Vorszk.

Resztę publiczności stanowili wyżsi oficerowie oraz lokalni dygnitarze, którzy przybyli głównie po to, aby ocenić Prabrindraha Draha i odkryć, jak się nas pozbyć.

Zdobywcy przychodzą i odchodzą.

Nawa była zatłoczona. Gęstwa ciał wydzielala mnóstwo ciepła. A ja musiałem trwać zakuty w zbroję, siedząc bez ruchu poza główną sceną, ściskając w prawej dłoni włócznię Jednookiego. Na tym miała polegać cała moja rola.

Skupiłem się głównie na tym, by nie zemdleć na oczach zgromadzonych.

Ospała zainscenizowała całą rzecz zupełnie nieźle – przyćmione światła, zręcznie rozpuszczone plotki, z których publiczność miała wyciągnąć wnioski, że osoba Wyjca jest połączeniem toczącego pianę z pyska szaleńca z czarownikiem dorównującym mocą Protektorce.

Biedny Wyjec. Mimo roli, jaką odegrał w wojnach z Władcami Cienia, obecnie został już niemal zapomniany.

Vorszk, jak zauważyłem, ostatecznie usiedli dokładnie na przedzie. Tobo traktował ich jak przyjaciół, zwłaszcza tę przyjemnie krągłą, piegowatą, małą blondynkę. Paplał coś do niej bez przerwy, póki Ospala nie warknęła nań i nie kazała zaczynać.

Nawet ja czułem się trochę rozczarowany przebiegiem rytuału przebudzenia. Tobo całkowicie pominął magiczny bełkot i spektakularną szopkę. Rozumiał, że to, co ma zrobić, nie jest bardziej ekscytujące niżli sprzątanie stajni.

Jednak na głębszych umysłowościach jego wysiłek wywarł stosowne wrażenie. Paru ludzi – być może właściwych ludzi – zrozumiało, że Tobo jest tak dobry, iż skomplikowana czynność wygląda w jego wykonaniu na rutynową.

Doszedłem do wniosku, że takie zachowanie chłopaka sporo mówi na temat jego charakteru. Nie musiał sztucznie podbudowywać swego ego.

Zauważyłem też, że troje z czworga Vorszk natychmiast się w tym zorientowało. Gromovol zresztą również, ale on stanowił poważny przypadek egocentryzmu.

W ciągu kilku minut Tobo uwolnił Wyjca z transu.

Nie znam całej jego historii. Jest to zresztą prawdopodobnie niemożliwe w przypadku takich jak on. Ale wiem, że jest o całe wieki starszy nawet od Pani. Był jednym z tych, którzy pomagali jej pierwszemu mężowi, Dominatorowi, zbudować Dominację, imperium, które zmieniło się w pył Północy mniej więcej w tym czasie, gdy pierwotna Czarna Kompania wyruszyła z Khatovaru. Nieustający ból i zniekształcone ciało Wyjca stanowią pamiątkę po tamtych dniach. Podobnie jak styl myślenia, który kazał Duszołap proklamować się Protektorką.

Tej kobiecie brakowało jednak obsesyjnego skupienia i wytrwałości, potrzebnych do zbudowania prawdziwej repliki tamtego starego imperium ciemności.

Nigdy jeszcze nie widziałem Wyjca bez warstw łachmanów, w które zawsze był okutany, łachmanów niezmiennych od tak dawna, że w granicach określanych przez jego skórę i świat zewnętrzny zdążyło rozwinąć się mikroświatowisko obejmujące liczne bezkręgowce, pleśnie, mszyce oraz różnorodność niewielkich zielonych roślin.

Wyjec jest znacznie mniejszy niż Goblin czy Jednooki, ale Pani twierdzi, że nie zawsze tak było.

Kiedy Tobo skończył, nieomal bezkształtny mały worek łachów wziął głęboki oddech, a potem dobył z siebie jeden z tych wrzasków, którym zawdzięczał swe imię. Okrzyk pełen bólu i rozpacz, zmieszanych w równych proporcjach. Minęło dużo czasu, odkąd słyszałem taki wrzask po raz ostatni. I nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jeszcze trochę poczekać na następny.

Mały czarodziej usiadł.

Zaszczękały miecze. Poruszyły się groty włócznie. Otwory wylotowe kilku spośród sześciu dotychczas skonstruowanych miotaczy kul ognistych nowej generacji łypnęły w stronę Wyjca.

On jednak na tym poprzestał. Był przynajmniej równie zdezorientowany jak wcześniej ci z nas, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji.

Tobo dał znak. Naprzód wystąpił człowiek z dzbanem wody. Wyjec z pewnością był straszliwie spragniony. Przez następnych kilka dni będzie pić bez umiaru. Pierwszych kilkoro z nas, obudzonych cztery lata temu, rozchorowało się od nadmiernych ilości wody.

Potem już ją racjonowaliśmy.

Wyjec również pochłonałby zapewne duszkiem cały galon.

Nie dostał tyle.

Otworzył usta. Wydarł się z nich okropny wrzask. Za nic nie potrafił kontrolować tego przerażającego nawyku.

Powoli jednak trzeźwość umysłu mu wracała; rozglądał się dookoła, najwyraźniej niezadowolony z tego, co widzi. Nie rozpoznał nikogo na pierwszy rzut oka. Zapytał więc:

– Ile czasu minęło? – Posługiwał się językiem Północy, tak starożytnym, że jedynie Pani nim mówiła. Przetłumaczyła więc jego słowa na język Hsien, dodając:

– Wydaje mu się, że został wskrzeszony w zupełnie innej epoce.

– Lepiej od razu złamcie mu serce – zaproponowałem po chwili. – Nie mamy czasu do stracenia.

Wyjec powtarzał swe pytanie w rozmaitych językach, próbując sprowokować zrozumiałą odpowiedź.

Obserwowałem, jak powoli i niechętnie zaczyna się oswajać z myślą, iż spał tak długo, że narody jego świata odeszły w zapomnienie. Ale nie był zupełnie otępiały mentalnie. Szybko rozpoznał zbroje, które Pani i ja mieliśmy na sobie, chociaż różniły się w szczegółach od pierwowzorów. I przypomniał sobie, kto jest kim. Zwrócił się więc do Stwórcy Wdów. Język, którym się posłużył, był równie starożytny – językiem tym rozmawiali ze sobą w innej epoce. Były czasy, kiedy potrafiłem go odczytać, ale teraz mogłem jedynie zgadywać znaczenie wypowiedzianych słów.

W chwili, gdy wszyscy powoli się uspokajali, z jego gardła wydarł się kolejny mrozący krew w żyłach okrzyk.

– Wyjec rozumie ogólną sytuację – oznajmiła Pani. – Kiedy już wyjaśnimy sobie parę rzeczy, sądzę, że będzie skłonny zostać naszym sprzymierzeńcem.

Odpowiedziałem jej w języku Hsien:

– Z Wyjcem miałem do czynienia przez większą część mego życia. I przez cały ten czas jakimś dziwnym sposobem zawsze znajdował się wśród ludzi próbujących mnie zabić. Nie wydaje mi się, abym czuł się dobrze, mając go po swojej stronie.

– Cóż, rezygnacja z niego byłaby głupotą, prawda? Nie musimy mu ufać, kochanie. Nierozpoznane Cienie zadbają o to, by można było na nim polegać.

Oczywiście.

– A ty przecież znasz jego prawdziwe imię. I możesz je zdradzić Tobo.

– Jeśli będę musiała.

Pokiwałem głową, myśląc, że pewnie najlepiej byłoby zrobić to od razu. Ponieważ Wyjec nie należał do ludzi, którzy w sytuacji zagrożenia bodaj na moment wahają się albo zastanawiają nad etyką.

Mały czarodziej wydał z siebie następny straszliwy wrzask.

Ospała zaczynała powoli gotować się w środku, ponieważ nie miała pojęcia, co się dzieje.

Pani rozmawiała z Wyjcem o naszej sytuacji, podczas gdy ja wprowadzałem panią Kapitan w szczegóły.

Wyjec znów wrzasnął. W jego wrzasku była jakaś dziwna pasja. Sytuacja bynajmniej mu się nie podobała. Ale żył na tym świecie nie od dzisiaj, moja najdroższa zaś potrafiła wyjaśnić mu jak mało kto, że ma tylko jeden wybór.

Jednym z powodów, dla których Wyjec stał się Wyjcem, była jego bezmierna awersja wobec śmierci. Nie miał też żadnych powodów, by kochać Duszołap, która przecież pragnęła pogrzebać go na wieczność. I która w przeszłości raz czy dwa razy okrutnie się nim zabawiła.

Mały czarodziej zawył znowu.

Zastanawiałem się na głos w języku Hsien:

– Tobo, czy sądzisz, że Sziwetja dysponuje mocą pozwalającą na uciszenie wrzasków tego gówniarza? – Po jakimś czasie stawały się naprawdę denerwujące.

Tobo wzruszył ramionami.

– Może. – Ale nie bardzo zwracał uwagę na moje słowa. – Mogę zapytać. – Próbował podsłuchać, co Rzekołaz szeptał do ucha Ospalej. Kilka minut wcześniej Rzekołaza odwołano na bok. Teraz wrócił ze Sjuwrinem i oficerem kawalerii imieniem Tei Nung. Żołnierze Nunga pełnili akurat służbę wartowniczą, a więc zapewne na zewnątrz musiało wydarzyć się coś ważnego.

Ospala pokiwała głową, powiedziała coś, najwyraźniej się zgadzając. Rzekołaz, Sjuwrin i Tei Nung zebrali się do wyjścia. Ona sama chciała jeszcze coś dodać, ale cokolwiek przyszło jej do głowy, było już za późno. Zajęła się więc rzeczami, które były pod ręką, jednak najwyraźniej trudno było jej się skupić. Nie mogła usiedzieć spokojnie. Natomiast jakby nieco poweselała.

Pochyliła się, aby poinformować o czymś Sahrę.

Sahra była z początku zaskoczona. Potem uśmiechnęła się tajemniczo, a być może nawet nieco złośliwie.

Kapitan zaś najwyraźniej była zaambarasowana.

Pani zakaszłała znacząco, dając mi znak, że przyszedł czas, aby Pożeracz Żywotów pomówił z naszym dowódcą. Tak też uczyniłem.

– Kapitanie, Wyjec będzie zaszczycony, mogąc służyć Czarnej Kompanii. Zbuduje dla nas latające dywany i wesprze nasz program

zbrojeniowy. Jednak za diabła bym mu nie ufał. I trzymałbym go z dala od Vorszk. – Wszystko to powiedziałem w języku Hsien, tak że mały czarodziej mnie nie zrozumiał.

Młodzi trwali skupieni w niezadowolonej grupkę, próbując coś pojąć. Mała,omalże pucołowata Szukrat orientowała się na tyle w tagliańskim, by mniej więcej na bieżąco przekazywać swoim towarzyszom wszystko, co zostało powiedziane w tym języku.

Rzekołaż i Sjuwrin wrócili. Towarzyszył im wysoki, przystojny mężczyzna. Pokryty kurzem i zdrożony, jednak wciąż czujny. Badawczym wzrokiem przyjrzał się każdemu z nas po kolei. Najwyraźniej rozpoznał wielu ze zgromadzonych. Nawet skłonił się lekko przed Radiszą.

Ospała powstała, żeby go powitać. W jej sposobie bycia była jakaś nieśmiałość, aczkolwiek tak subtelna, że mogła stanowić jedynie grę wyobraźni. Bez wątpienia był to ktoś, kogo znała. Jednakowoż nikt, kogo uznałaby za konieczne przedstawić. Po wymianie ostrożnych uścisków dłoni ona, Sahra, Rzekołaż oraz kilkoro innych włącznie z Radiszą wyślizgnęli się na zewnątrz.

Natychmiast zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie postąpili głupio, sprowadzając tego człowieka do miejsca pełnego ludzi, skoro spotkanie z nim i tak miało się odbyć na osobności. Kiedy jednak rozejrzałem się dookoła, stwierdziłem, że nikogo to nie obeszło. Wyjąwszy kumpli Ospalej z czasów działalności w tagliańskim podziemiu.

Może gościem był jakiś towarzysz z Kompanii, który podczas ewakuacji gdzieś się zapodział? Może dawny sprzymierzeniec?

Kiedy znowu powiodłem wzrokiem po sali, zdało mi się, że bożki Gunni ożyły. Na nich powoli koncentrowała się uwaga zgromadzonych. Twarz Tobo aż zastygła w skupieniu. Jego widmowi sprzymierzeńcy starali się ze wszystkich sił.

Ten przystojny chłopak musi być kimś szczególnym.

Chwilę później Pożeracz Żywotów poruszył się po raz pierwszy od początku ceremonii. Wstał znienacka. Grot jego włóczni opadł nagle, musnął łachmany spowijające Wyjca, któremu udało się jakoś zdławić swe wrzaski i właśnie powoli odpływał w sen.

Wielki, czarny miecz Stwórcy Wdów opadł chwilę później, przesłaniając mu pole widzenia.

Garolnes:
ZDRADZIECKI GENERAL

Była już późna noc, kiedy kulejący Popłoch Singh wyciągnął mnie z łóżka. Z prawdziwego łóżka. Wieki już chyba minęły, odkąd ostatni raz spałem w czymś takim. A w tym na dodatek było się do kogo przytulić. Popłoch nalegał, żeby Pani również wstała. Pani Kapitan chciała widzieć nas oboje.

Kiedy opuszczaliśmy nasz kąt, Pani mruczała coś o konieczności restrukturyzacji hierarchii dowodzenia. Od razu natknęliśmy się na Murgena. Czekał na Tai Deia, któremu nie przypadła w udziale osobista pobudka. Sahry nie było nigdzie widać.

– Kiedy wreszcie ułożycie to jakoś tak, by móc powędrować własnymi drogami? – zapytałem. Tai Dei był jednym z nielicznych już Niueng Bao, który wciąż poważnie traktował swe obowiązki osobistego strażnika.

– Nie sądzę, by miało nastąpić to kiedykolwiek – odparł Murgen. – Po śmierci Narajana nic mu już nie zostało.

– Ach. – Syn Tai Deia został zamordowany przez Dusicieli. Tai Dei był więc następnym zawiedzionym w kolejce po zemstę.

Dla obu zresztą obowiązek chronienia Murgena stał się dogodną wymówką. Już dawno temu powinienem zdać sobie z tego sprawę. Ja, który przecież od tylu lat głosiłem na lewo i prawo cnotę naszego braterstwa.

Tai Dei zaczął nas popędzać. Ruszyliśmy szybko śladem Popłocha.

– Singh, powinienes mi pozwolić zerknąć na tę nogę – rzuciłem. – Coś za wolno się goi.

– Wszystko będzie dobrze, pod warunkiem że pozwolę jej trochę odpocząć, proszę pana. A jak rozumiem, mamy się tu zatrzymać na jakiś czas.

I co to da, jeśli on sam za nic nie skorzysta z okazji do odpoczynku?
Mógłbym nakłonić Tobo, żeby pogрузył go w śpiączce.

Popłoch zaprowadził nas do sali ledwie zdolnej pomieścić kilkunastu ludzi. Ospała, Sjuwrin, Prabrindrah Drah i jego siostra, Tobo oraz Sahra byli już na miejscu. Podobnie jak przystojny obcy.

– Siadajcie – nakazała Ospała. Potem zaraz przeszła do rzeczy: – To jest Aridata Singh. – Nie ja jeden zareagowałem. Pani również zamrugła, rozpoznając imię i myśląc o swych rachunkach krzywd. – Aridata dowodzi Miejskimi Batalionami w Taglios. On, Wielki Generał oraz Gopal Singh, dowódca Szarych, tworzą triumwirat zarządzający wszystkimi sprawami Taglios pod nieobecność Protektorki. Aridata właśnie poinformował mnie, że razem, to znaczy wraz z głównymi poplecznikami Protektorki, zdecydowali, że trzeba się jej pozbyć.

Z boku i nieco z tyłu dobiegło narzekanie Wierzby Łabędzia:

– Gopal Singh jest teraz generałem? Kiedy pracował dla mnie, był tylko cholernym sierżantem.

– Protektorka szczydzi się umiejętnością wyławiania wybitnych talentów – odparł Aridata.

Musiał to być jakiś ich prywatny żart. Chyba nikt, kto nie przeszedł przez to wszystko razem z nimi, nie potrafił żałować, o co chodzi.

Kiedy tak siedzieliśmy z rozdziawionymi ustami, starając się wyglądać inteligentnie, Ospała zwróciła się do obcego:

– Ci ludzie są tu po to, by służyć radą. To jest Konował. Kiedyś, dawno temu, nadaliście mu tytuł Wyzwolicielea. To jest Pani. To Murgen. W swoim czasie wszyscy stanowili sztab Kompanii. Pozostałych poznałeś ostatnim razem, gdy się spotkaliśmy. – Pominęła Tai Deia, co natychmiast spowiło jego osobę w aurę tajemniczości, nie przedstawiła również Prabrindraha Draha.

– Mogaba cię przysłał? – spytałem.

– Zgłosiłem się na ochotnika. Ponieważ wasz Kapitan mnie zna. I ponieważ Kompania nie żywi do mnie osobistej urazy.

Pani drgnęła. Najwyraźniej gotowa była wymyślić coś naprędce.

– Wygląda na to, że istnieją granice, których nawet Mogaba nie odważy się przekroczyć – ciągnęła dalej Ospała. – I Duszołap udało się je osiągnąć.

– Was i Wielkiego Generała dzieli odwieczna waśń. Chcę jednak, abyście wiedzieli, że to nie jest zły człowiek. To człowiek ogarnięty

obsesją, ale i obsesja ta nieco osłabła z wiekiem – rzekł Aridata. – Zrozumiał wreszcie, że historia nie zapisze jego imienia pośród wielkich zdobywców. Czasy się zmieniły. Jeszcze nie do końca potrafi się z tym pogodzić, jednak wie już, że to był jego błąd. W efekcie swej niewczesnej dezercji podczas oblężenia Dedżagore zmuszony został do służby dla szalonych i niekompetentnych panów. Niemniej w chwili obecnej ta kwestia nie ma znaczenia.

Zamilkł na chwilę.

– On, Gopal i ja doszliśmy do wniosku, że Taglios należy oszczędzić dalszych udręk. Protektorka jest niczym śmiertelna zgnilizna. Powoli niszczy wszystko, czego dotknie. Nawet naszą religię i kulturę. A jedyną siłą zdolną położyć temu kres jest Czarna Kompania.

– Wy, chłopcy, powinniście sami spuścić jej lanie – zaproponował Murgen. – Nie jest nieśmiertelna. I ufa wam. Przynajmniej na tyle, na ile ufa komukolwiek. Dzięki temu możecie podejść dość blisko...

– Odpowiedni plan zaczął być wcielany w życie, zanim jeszcze wy, ludzie, wyleźliście spod ziemi. Ale aktualny kryzys trzyma ją z dala od miasta. Wszystkie jej wiadomości dla Wielkiego Generała jednoznacznie stwierdzają, iż ma zamiar ścigać was, póki osobiście każdego nie zabije. Szczególnie wkurzyło ją, że tak wielu ludzi, którzy rzekomo mieli być martwi, nagle zaczęło ożywać.

– Wierz mi, potrafisz zrozumieć, jakie to denerwujące – powiedziała Pani. – Przez dwadzieścia lat ścigałam Oszusta Narajana Singha. Ten człowiek miał więcej żywotów niż kot.

Aridata zauważył, że użyła czasu przeszłego.

– Czyżby żyjącego świętego Oszustów wreszcie spotkała należąca nagroda?

– Uciekł przede mną jedynym wyjściem, jakie mu pozostało. – W głosie Pani brzmiała skrajna gorycz. Jakby uważała, że Narajan Singh pokonał ją drogą bezczelnego oszustwa. Jej nienawiść do niego była chyba silniejsza, niżli podejrzewałem.

– Wobec tego nie musimy się dłużej zajmować akurat tą niedogodnością.

– Wniosek nieprawidłowy – wtrąciła Ospała, odzyskując panowanie nad sytuacją. – Córka Nocy wciąż żyje. Kina nie porzuciła nadziei na sprowadzenie Roku Czaszek. Cokolwiek miałyby jeszcze się stać, Kiną i jej

wyznawcami trzeba będzie się zająć. Wyjaśnij moim towarzyszom, dlaczego w ogóle mają ci wierzyć, Aridata.

– Jestem, jak wiadomo, skazany na życie w cieniu człowieka, którego spotkałem tylko raz, kiedy byłem już dorosłym mężczyzną, a i wówczas jedynie na kilka minut, wiele lat temu i w waszej obecności. Na tym właśnie polega dziedzictwo Oszustów. Kult niszczy zaufanie. Moja odpowiedź natomiast brzmi: wszystkich ludzi powinno się sądzić według jednej normy – na podstawie ich zachowania. Czynów, jakie popełniają. A gest dobrej woli, który wobec was wykonałem, jest, jak mniemam, jednoznaczny.

Ospała wtrąciła znowu:

– Aridata ma brata mieszkającego w Dżajkurze. Pod przybranym nazwiskiem. Ten brat, którego prawdziwe imię brzmi Sugriva, pomoże nam w zdobyciu miasta. Wskaże bramę, którą będziemy mogli sforsować w środku nocy. Przeskoczmy przez nią i opanujemy fortecę, zanim ktokolwiek pomyśli o walce.

Otworzyłem usta, chcąc polemizować, ale zamknąłem je, nim coś głupiego zdążyło się z nich wydostać. Ospała już zdecydowała. Wszystko, co mogłem teraz zrobić, to w miarę możliwości postarać się, żeby sprawy poszły po naszej myśli.

– Armia Duszołap zajmuje pozycje między nami a miastem. Słyszałem, że przewyższa nas liczebnością.

– Ale według Aridaty stanowi przypadkową zbieraninę. Niektórzy z tych biednych żołnierzy uzbrojeni są tylko w młoty, widły, sierpy i podobne narzędzia.

– Człowiek zniknie na parę dziesięcioleci, a już wszystko podupada – powiedziałem. – W swoim czasie uzbroiłem wszystkich mężczyzn, aż po chłopców na tyle dużych, by schwycić matkę za rękę. Co się stało z tą bronią?

– Kiedy Protektorka przejęła władzę, nastaly czasy tak kiepskie, że każdy, kto miał coś do sprzedania, sprzedawał – wyjaśnił Rzekołaz. – Na rynku pojawiła się wówczas ogromna nadwyżka broni. Stał przekuto na narzędzia.

– A Protektorki to nie obchodziło – powiedział Aridata. – Wielki Generał w końcu zrezygnował z prób przekonania jej o sensowności utrzymywania

arsenałów w czasie pokoju. Sądzę, że teraz powoli zaczyna pojmwować, o czym mówił.

Ospała zwróciła się do zebranych:

– Nie musimy ufać ani jemu, ani Mogabie, aby rozpoznać siłę fortyfikacji Dżajkuru. Prawdopodobnie Protektorka spodziewa się, że skęcimy na zachód w stronę rzeki Naghir. Wedle pozorowanego manewru tak właśnie uczynimy. Ale Brzeszczot z lekką kawalerią odbije od głównej kolumny i zawróci na wschód. Ukryty ludek znajdzie trasę, którą jeźdźcy dotrą niezauważenie pod Dżajkur. Tymczasem główne siły również zawrócą i skierują się ku odcinkowi Drogi Kamiennej na północ od miasta. To powinno podziałać jak kij wsadzony w mrowisko. Duszołap zupełnie zapomni o Dżajkurze na kilka dni.

Po co Ospala w ogóle nas wzywała? Wszystko miała już zaplanowane. Zupełnie zresztą rozsądnie, jak należało sądzić z tego, co właśnie usłyszałem.

– W chwili obecnej mamy problem znacznie bardziej niecierpiący zwłoki niżli twoja strategia – rzekł Tobo. – Wprowadziłaś generała Singha w sam środek ceremonii reanimacji. Poza tym widziano go w obozie. Wśród naszych gości z pewnością byli ludzie Duszołap. Któryś z nich mógł go rozpoznać.

– Nie myślałam dość szybko – przyznała Ospala. – Co należy zrobić?

– Już nad tym pracuję. Ale muszę cię ostrzec. Nie sądzę, aby udało mi się zidentyfikować ich wszystkich i zapobiec przekazaniu informacji.

– Wobec tego może lepiej weźmy pod uwagę ostrzeżenie spiskowców w Taglios?

– Gopal i Wielki Generał nie dadzą się zaskoczyć – stwierdził Aridata. – Protektorka nie dysponuje środkami, które umożliwiłyby jej dotarcie na miejsce przed plotkami. Kiedy skieruje się ku Taglios, będą o tym wiedzieć. A jej intencje łatwo będzie można ustalić na podstawie tego, kogo ze sobą przyprowadzi.

Pokiwałem głową. Rozumowanie wydawało się poprawne. Naprawdę trzeba być wielkim krętaczem, żeby przechytryć Mogabę. A w obecnej dobie Duszołap nie była szczególnie subtelna. Przywykła do załatwiania wszystkiego za pomocą brutalnej siły, ponieważ nikt w okolicy nie mógł równać się z nią pod tym względem.

W końcu Ospała zdecydowała się sprawiać wrażenie, że mamy zamiar po prostu siedzieć na miejscu i odpoczywać. Jednak Tobo prowadził szczegółowy rekonesans na terytoriach graniczących z Garolnes od północy, czasami nawet osobiście, kiedy latał z Szukrat.

Tych dwoje łączyła coraz większa zażyłość.

Kiedy nikt nie mógł mnie usłyszeć, zauważyłem:

– To staje się powoli coraz bardziej dziwaczne. Sprzymierzyliśmy się z Duszołap przeciwko naszej córce i Kinie. Zawarliśmy porozumienie ze zdrajcą Mogabą przeciwko twojej siostrze. A na dodatek jesteśmy sojusznikami półboga, który za udzielone nam wsparcie pragnie otrzymywać tylko śmierć z naszej ręki.

Pani zaśmiała się słabo.

– Sam mówiłeś, że całą tę sprawę spowija mityczna otoczka.

– Wiesz co? To mnie zaczyna przerażać.

Zapatrzyła się w pustkę, czekając, aż wyjaśnię swoje słowa.

– Przeraża w sensie ogólnym, a nie tak jak w boju. Przeraża mnie kształt, jaki może przybrać przyszłość. – Miałem złe, naprawdę złe przeczucia. Ponieważ z pozoru wszystko układało się zbyt cudownie dla Czarnej Kompanii.

Z Armią Środek:
PRZYBYWAJĄ GOŚCIE

Istota, która była Goblinem, okazała się trudna do schwytania. Operacja, która winna zająć kilka dni, trwała dwa tygodnie, aż w końcu niezbędna okazała się osobista interwencja Duszołap – ku niemiłemu zaskoczeniu została zmuszona działać pod dyktando widmowego kota, którego nigdy nawet nie potrafiła dokładnie ujrzeć, nie mówiąc już o schwytaniu i wcieleniu w poczet własnej służby.

W tym czasie zabawiała się z dziewczyną.

Córka Nocy pozostawała uwięziona w klatce wewnątrz namiotu Duszołap. Namiot ten był największy i najbardziej ostentacyjny w całym obozie Armii Środek. Dziewczyna została rozebrana do naga, a jej ciało przyozdabiały wyłącznie okowy oraz zaklęcia. Żaden mężczyzna nie miał prawa pełnić przy niej warty albo bodaj się zbliżyć. Protektorka aż za dobrze wiedziała, jak łatwo kobiety z ich rodu potrafią manipulować mężczyznami.

Chociaż dziewczyna z pozoru w ogóle jej nie słuchała, Duszołap powiedziała:

– Po dziś dzień nie jestem do końca pewna, jak ty i ten starzec zdołaliście mi się wymknąć. Ale mam swoje podejrzenia. Z pewnością zaś nie zdarzy się to powtórnie. Zbyt wiele znaczysz dla swej matki, żeby pozwolić ci biegać bez opieki. – Głos, który wybrała, był denerwująco pedantyczny.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Przebywała we własnym świecie. Nie był to dla niej pierwszy raz – uwięzienie przez kogoś, kto pragnął ją wykorzystać. Potrafiła zachować cierpliwość. Jej czas nadejdzie. Ktoś znowu popełni błąd. Zostaną jej przydzieleni strażnicy łatwo ulegający

cudzej woli. Jakoś. Gdzieś, kiedyś nadarzy się sposobność okłamania kogoś na tyle skutecznie, by pokochał ją dość mocno i zapragnął jej wolności.

Uporczywa obojętność dziewczyny podrażniła Duszołap do tego stopnia, że zapragnęła sprawić jej ból wieściami, które wcześniej zdecydowała się zachować dla siebie.

– On nie żyje, wiesz. Twój stary. Narajan Singh. Został uduszony. Cisnęli jego ciało do kloaki.

Cios był celny. Jednak po pierwszym wzdrygnięciu oraz przelotnym, ponurym spojrzeniu Córka Nocy opuściła wzrok i znowu zamarła w pozie cierpliwej obojętności.

Duszołap roześmiała się.

– Twoja pokręcona bogini opuściła cię.

Dziewczyna udzieliła jej pierwszej werbalnej odpowiedzi od czasu, gdy została schwytana.

– Wszystkie ich dni są policzone. – To było niczym policzek. Jeden ze sloganów, którymi od lat dręczyli Protektorkę autorzy graffiti, czerpiący natchnienie z ducha Czarnej Kompanii.

Duszołap strzeliła z bata, ale nie uczynił dziewczynie krzywdy. Nie pozwoliły na to pręty klatki.

Na zewnątrz, przy wejściu do namiotu, ktoś głośno domagał się jej uwagi. Pod tym względem żołnierze byli dobrze wyszkoleni. Nie kłopotali jej trywialnymi kwestiami.

Zareagowawszy, Duszołap przekonała się, że czeka na nią tłumek żołnierzy i martwy człowiek na noszach. Jego ciało było całe poskręcane. Rysy twarzy wykrzywione w straszliwym grymasie. Krople deszczu spływały po zmasakrowanym obliczu niczym łzy.

– Ty – powiedziała, wskazując na jednego z żołnierzy. – Opowiedz. – Kawalerzysta, cały ubłocony, z pewnością wracał wprost z pikiety.

– Ten człowiek przybył z południa. Posługiwał się właściwymi hasłami. Powiedział nam, że przywozi ci ważne wieści na temat zdrady, ale nic więcej nie chciał ujawnić.

– Przybył zdrów? W jaki sposób znalazł się w takim stanie?

– Kiedy już właściwie wjeżdżaliśmy do obozu, stanął w strzemionach i wrzasnął. Koń spłoszył się i go zrzucił. Kiedy spadł na ziemię, szarpał się i ciskał, gulgotał coś, próbując krzyczeć. A potem umarł.

– Zdrajcy? – Zanim wszystko rozegra się do końca, bez wątpienia wielu z nich czeka stosowna zapłata. W takich chwilach wypełzali spod każdego kamienia, wyłazili zza każdego krzaka.

– To wszystko, co powiedział, pani.

– Wnieście go do środka. Być może uda mi się jeszcze co nieco zeń wydobyć. Tylko uważajcie, żeby mi wszystkiego nie ubłocić. – Odsunęła się na bok, nawet przytrzymała żołnierzom płachtę namiotu. Choć z oporami, paru jednak jakoś zdobyło się na odwagę, by wnieść ciało do wnętrza. Żołnierzy Duszołap łączyło niepodważalne przekonanie, że lepiej nie wpaść w oko Protektorce. A więc stąpali ostrożnie, starając się zostawić w środku jak najmniej błota i wody.

Wesołym, młodym głosem zauważyła:

– Wasze matki z pewnością byłyby urzeczone.

Duszołap częściowo zdjęła już odzienie z trupa, rozdzielając materię nitka po nitce, kiedy usłyszała odgłosy kolejnego zamieszania przed namiotem. Rozdrażniona zareagowała natychmiast, mając nadzieję, że nadeszły wieści, których oczekiwała od tak dawna: że w końcu Goblin został schwytany.

Kiedy już miała uchylić klapę, kątem oka pochwyciła poruszenie. Odwróciła się natychmiast. Przez chwilę zdawało jej się, że dostrzega małego człowieczka, wysokiego może na dwadzieścia centymetrów, chowającego się za trupem.

Głosy na zewnątrz stawały się coraz bardziej natarczywe.

To nie były wieści, na które czekała. Zgromadzeni żołnierze – zawsze przychodzili licznie – wypchnęli jednego naprzód.

– Właśnie przybył kurier, pani. Wróg znowu ruszył. Na zachód.

A więc Mogaba trafnie odgadł ich zamiary.

– Kiedy się to zaczęło?

– Kurier będzie za minutę, pani. Z listem. Zanim stanie przed tobą, musiał ulżyć potrzebom cielesnym, których nie sposób było odwlekać. Jednak szef sztabu nalegał, aby wieści przynieść ci natychmiast.

– Mżawka wydaje się ustawać – zauważyła Duszołap niezobowiązującym tonem.

– Tak, pani.

– Niech kurier stawi się tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Tak, pani.

Wedle raportu z południa, odpoczywająca dotąd Czarna Kompania zaiste ruszyła na zachód, jednak nie trasą wcześniej przewidywaną. Część ich marszruty miała wieść tam, gdzie nie mogli korzystać z udogodnień dróg – przez tereny zupełnie dzikie.

– Wygląda na to, że zmierzają najkrótszą drogą do Baliczer. Dlaczego? Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tak szczególnego jest w Baliczer? – dociekała Duszołap. Władzała ogromnym imperium, o którym wszakże niewiele wiedziała.

Dłuższą chwilę trwała całkowita cisza, a potem ktoś niepewnym głosem zasugerował:

– Jest najdalszy port w górze rzeki, do którego mogą dopłynąć cięższe barki. Tam cargo jest przeładowywane na mniejsze albo na wozy.

Ktoś inny przypomniał sobie jeszcze:

– Wszystko przez jakieś problemy ze skałami na rzece. Jak tam na nie mówią... z kataraktami. Wyzwoliciel kiedyś rozkazał wybudować kanał, ale później projekt został zarzucony...

Mówiącemu potrzebnych było kilka porządných szturchnięć pod żebra, zanim sobie uświadomił, kto ponosi pełną odpowiedzialność za całkowity upadek robót publicznych ostatnimi czasy.

Duszołap wszelako nie zareagowała. Skupiła się na kwestii transportu.

Pięć lat temu, po ucieczce z Taglios, spora część Kompanii popłynęła barką w górę rzeki Naghir. Czy ta nowa Kapitan stosowała się niewolniczo do starych zwyczajów? Czy też może wydawało się jej, że może zaskoczyć Taglios od strony rzeki, gdzie nie ma żadnych murów ani innych fortyfikacji, a ludzie zamieszkujący te najbiedniejsze dzielnice wciąż wspominają z nostalgią Prabrindraha Draha, Radiszę, a nawet Wyzwolicieła?

– Czy ktoś wie, ile czasu zabiera przepłynięcie barką do ujścia Naghir, potem przez odnogi delty, wreszcie w górę rzeki do Taglios? – zapytała. Wiedziała, że barki obsadzone przez załogi starych wilków rzecznych posuwały się naprzód dzień i noc, w przeciwieństwie do żołnierzy podróżujących pieszo bądź na końskich grzbietach.

Zanim ktoś udzielił wiarygodnej odpowiedzi, przy wejściu powstało kolejne zamieszanie.

Przekonała się, że mżawka przestała siać. Jednak ludzie domagający się jej uwagi byli całkowicie pokryci błotem. I przynieśli jej prezent.

– Dla mnie? Ale to przecież nie są moje urodziny.

Prezenterem okazał się Goblin, który jednak wyglądał tak, jakby nie mógł się już na nic przydać. Skrępowany i zakneblowany. Głowę i dłonie również ciasno spowijały jakieś łańcuchy. Ci, którzy go schwytali, zdecydowani byli nie ryzykować.

Duszołap poczuła, jak przepełnia ją mściwa satysfakcja.

– Wszedł w jedną z moich pułapek, prawda?

– Tak się stało, pani.

Były ich tam dosłownie setki, pod wszelakimi postaciami. Zaczęła zastawiać sidła, gdy stało się jasne, że nowy, ulepszony Goblin potrafi umknąć jej żołnierzom.

– Wciąż żyje, nieprawdaż? – Gdyby nie żył, jej troska, że specjalnie dał się złapać, spadłaby na odległe miejsce listy zmartwień.

– Rozkazy były całkowicie jasne, pani.

Duszołap zapamiętała sobie twarz mówiącego. Szydził z niej, kryjąc się za maską demonstracyjnej rzetelności. Woląca otwarty sprzeciw. Ten mogła zmiażdżyć bez potrzeby wynajdywania pretekstów.

– Ściągnijcie mu maskę i wyjmijcie knebel. Postawcie go tutaj. – Córka Nocy, jak zauważyła, była dostatecznie zainteresowana, aby zapomnieć o symulowaniu obojętności.

Ale przecież nie może wiedzieć, kim stał się mały czarodziej, czyż nie?

Nie. Niemożliwe. Dziewczyna po prostu robiła to, co zawsze, gdy w namiocie coś się działo. Patrzyła, ponieważ w ten sposób mogła zdobyć jakieś istotne informacje.

Duszołap zaczęła do chwili, gdy uznała, że Goblin został już dostatecznie obnażony. Potem powiedziała:

– Twój był towarzysz naprawdę nie lubią zdrajców, co?

Popatrzył na nią wzrokiem chłodniejszym, głębszym i bardziej jeszcze nieodgadnionym niżli wzrok Córki Nocy. Nie odpowiedział.

Podeszła bliżej. Jej maska znalazła się dosłownie o trzydzieści centymetrów od jego twarzy. Zamruczała jak kot:

– Sami do mnie przyszli, abym pomogła im wyrównać rachunki.

Goblin drgnął, ale nadal milczał. Próbował rozglądać się dookoła.

Uśmiechnął się na widok Córki Nocy.

Duszołap mówiła dalej:

– Powiedzieli mi o wszystkim, malutki. Powiedzieli mi, czym teraz jesteś. Spodziewają się, że cię zabiję z zemsty za moją nogę. Naprawdę nie chcę cię widzieć wśród żywych. – Zatarła dłonie spowite w rękawiczki. – Sądzę jednak, że na tym nie poprzestanę. – Zachichotała.

– Wszystkie ich dni są policzone – szepnął cicho Goblin. Głos, który wypowiedział to szyderstwo, jedynie odlegle przypominał głos człowieka, który zszedł do wnętrza ziemi, by rzucić wyzwanie Mrocznej Matce.

– Niektóre dokładniej niż inne. – Głos Duszołap był stary i wyprany z emocji. Prawa dłoń skoczyła naprzód, przecięła twarz Goblina. Ponadcentymetrowej długości ostrza na końcach jej paznokci zmasakrowały oczy i grzbiet nosa. Wrzasnął, początkowo nie tyle z bólu, ile z zaskoczenia.

Protektorka odwróciła się do ludzi, którzy przyprowadzili więźnia.

– Przynieście mi drugą klatkę, taką samą jak ta, w której trzymam bachora. – Klatka już istniała. Do tego stopnia była pewna, że Goblin w końcu wpadnie w jej ręce.

Kowal dostał zamówienia na budowę trzech kolejnych, odpowiednich, by pomieścić jej siostrę, męża siostry i tego zdrajcę, Wierzbę Łabędzia.

Później, po powrocie do Taglios, miała zamiar popracować trochę z wydymaczem szkła, aby dla każdego stworzył wielką butlę, w której wystawieni zostaną przed wejściem do pałacu. Będą utrzymywani przy życiu i karmieni, póki nie utopiają się we własnych odchodach.

W swoim czasie na taki właśnie los skazywał Dominator swych najznamienitszych wrogów.

Garolnes:
TOBO I VORSZK

Wyjec z pewnością nie mógł narzekać na brak zajęcia. Dwa dni po tym, jak żołnierze wymaszerowali na zachód, ukończył swój pierwszy całkowicie funkcjonalny, czteroosobowy dywan latający. Garolnes wydawało się opustoszałe, chociaż zostało nas w nim dość, by rozbić kilka nosów pewnego ranka, gdy poprzedni właściciel wpadł na pomysł odzyskania swego domu.

Ospała zamówiła kilkanaście dywanów, od jednoosobowych zwiadowczych po potwora, który był w stanie unieść dwudziestu żołnierzy. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, kto jej zdaniem miał na nim latać. Tylko Wyjec i Tobo – oraz, jak można było podejrzewać, Vorszk – dysponowali mocą potrzebną do kierowania tymi wehikułami.

Nalegałem, by pierwszeństwo przyznać dywanom skromniejszych rozmiarów. Ich wykonanie zabrałoby mniej czasu, a rozmiar pozwoliłby użyć właściwie natychmiast. A ponieważ to ja dowodziłem tymi, którzy pozostali na miejscu, oraz szturmem Dedżagore, dostałem, czego chciałem. Cóż... jako się rzekło, na razie dostałem jeden dywan.

Tobo nauczył się kierować latającym słupem. Zarówno Szukrat, jak Arkana wykazywały obecnie chęć współpracy. Jedna lub druga pozwalała Tobo na pożyczenie słupa, kiedy miał ochotę odwiedzić Ospałą, co robił po nocy, żeby nikt nie dostrzegł go z powierzchni ziemi. Nie bardzo w smak były mi te wyprawy. W każdej chwili mogliśmy spodziewać się kłopotów, przetrzymując we dworze tak wielu nieprzyjaznych nam ludzi. Wśród nich wielu zakładników ze znaczniejszych rodzin w regionie.

Natomiast Magadan i Gromovol z każdą chwilą trwali w coraz większym uporze, każdy zresztą z innych przyczyn. Rozmawiając

z Magadanem, powiedziałem:

– Kusi mnie, żeby was dwóch odesłać do domu. Choćby tylko po to, by nie martwić się, co knujecie za moimi plecami. – Tak naprawdę wcale się nie martwiłem. Nadnaturalni przyjaciele Tobo widzieli wszystko.

– Nie mam zamiaru wracać do domu – odparł Magadan. – Dom już nie istnieje. Chcę być wolny.

– Jasne. Wy, Vorszk, pokazaliście, na co was stać, gdy da się wam wolną rękę. Całe swoje życie spędziłem na zabijaniu takich jak wy. To znaczy ludzi, którzy uważają, że w gwiazdach zostało zapisane, iż ja i mnie podobni mają być ich niewolnikami. Właśnie toczę wojnę z jedną z takich. I nie mam najmniejszego zamiaru rozciąć waszych więzów, by pozwolić naprzykrzać się ludziom.

Nic z tego nie było całkowitą prawdą, ale brzmiało dobrze. I Magadan kupił to. Przynajmniej częściowo. Tę część, która była prawdziwa co do joty. Że prędzej go zabiję, niż wypuszczę na świat.

Wtedy właśnie doszedł do wniosku, że mimo wszystko raczej wolałby wrócić do domu. Od tej chwili nawiązywał do tej możliwości za każdym razem, gdy krzyżowały się nasze ścieżki. Ukryty ludek twierdził, że jest najzupełniej szczery. Próbował namówić inne dzieciaki, aby poszły nam na rękę i przehandlowały wszelką posiadaną wiedzę w zamian za eskortę na równinę lśniącego kamienia.

Pani nie wierzyła w ani jedno słowo. Twierdziła, że powinniśmy załatwić i jego, i Gromovola, unikając w ten sposób kłopotów, jakich mogą przysporzyć.

Moja ukochana ma bardzo bezpośrednie podejście do rozwiązywania problemów.

Czasami przekonuję się, że te resztki sumienia, jakie mi jeszcze pozostały, stanowią istne kalectwo.

Natomiast Wyjec z powodzeniem zapracował sobie na miejsce poza pierwszą dziesiątką mej czarnej listy. Na apel Tobo Sziwetja zareagował zapewnieniem, że owszem, potrafi zaradzić wrzaskom i postępującemu kurczeniu ciała Wyjca. Ponieważ zaś golem nie miał reputacji szczególnego kłamcy, więc nawet Wyjec uwierzył jego słowu. Po czym stał się nad podziw skłonny do współpracy.

Chociaż dalej nie mieliśmy żadnego powodu, by ufać jego dalekosiężnym planom. Podobnie zresztą jak on naszym.

Pani wreszcie przyparła Tobo do muru.

– Sytuacja, jaką tu mamy, jest nadzwyczaj niebezpieczna. Przypomina kobrę, z której uczyniono domowe zwierzątko, a która pewnego dnia i tak ukąsi. Musimy coś zrobić.

Chłopak wydawał się zbity z tropu.

– O czym ty mówisz? Co mamy zrobić?

– Ci Vorszk. Nie są ani tak silni, ani bystrzy, jak pierwotnie sądziliśmy, ale ich jest czworo, a ty jeden.

– Ale oni przecież nic nie...

– Wybacz, ale zaraz usłyszysz słowa starego cynika – powiedziałem. – Magadan wciąż mi mówi, za każdym razem ubierając rzecz w inne słowa, że chciałby znaleźć się wszędzie, tylko nie tu z nami. Wynika z tego przynajmniej tyle, że jeśli nie pomożemy mu wrócić do domu, sam podejmie określone działania. A Gromovol też w końcu spowoduje kłopoty, ponieważ sam się o nie doprasza. Jeśli akurat polecisz odwiedzić Ospałą albo po prostu umówisz się na podniebną randkę, reszta utknie tutaj, nie mogą liczyć na niczyją pomoc prócz Wyjca.

– A jeśli już mowa o lataniu – dodała Pani – nigdy, przenigdy nie lataj z obiema dziewczynami naraz. Cicho! Znasz tylko kobiety, przy których się wychowałeś. Powiem ci więc od razu, że Arkana jest dokładnie taka jak Magadan. Ale ona dysponuje bronią, której on nie posiada, i zamierza jej użyć, żeby ci zawrócić w głowie.

– Ale...

– Względem Szukrat nie mam pewności. Istnieją szanse, że jest dokładnie taka, na jaką wygląda.

Zgodziłem się z nią. Tego dzieciaka dawało się lubić. A wedle tego, co mówił Tobo, ukryty ludek miał podobną opinię na jej temat. Nie znaleźli żadnego powodu, by jej nie ufać.

Nawet uważając, że ma rację, chłopak nie potrafił się kłócić z nikim prócz swej matki. Nie chciał myśleć źle o Arkanie, ale nie zależało mu też na wszczynaniu wojny z nami.

Pani dalej obstawała przy swoim:

– Jak więc mamy się upewnić, czy możemy na nich polegać? Musisz coś wymyślić, zanim ruszymy na Dedżagore. Wówczas będziemy skrajnie podatni na ciosy, nasze siły rozproszone, a ludzie zdekoncentrowani.

A ponieważ latasz z dziewczynami, kontaktując się z resztą armii, cała czwórka będzie wiedzieć, co się dzieje. Mogą działać stosownie do tego.

Tobo znowu nie udało się wtrącić nawet słowa, zanim dodałem:

– Sam nie postąpiłbym inaczej.

– Nigdy nie byłeś więźniem – przypomniała mu Pani.

– Teraz to już chyba żartujesz. Urodziłem się jako więzień. Więzień proroctwa starej kobiety, która umarła całe lata wcześniej, zanim przyszedłem na świat. Więzień oczekiwań wszystkich waszych ludzi. Bogowie, jak pragnę, żeby Hong Trej się pomyliła i żebym mógł być normalnym dzieciakiem!

– Nie ma normalnych dzieciaków, Tobo – zapewniłem go. – Tylko takie, które udają lepiej niż reszta z nas.

– I jeszcze to imię: Tobo. Moje dziecięce imię. Dlaczego wszyscy wciąż tak do mnie mówią? Dlaczego nigdy nie odbyła się ceremonia nadania mi dorosłego imienia?

Niueng Bao tak czynią. A Tobo osiągnął właściwy wiek już całe lata temu.

– Tę kwestię musisz już załatwić z Wujkiem Dodżem – zbyła go Pani. – Tymczasem należy zająć się innymi rzeczami. Brzeszczot już wyruszył. Za trzy dni Ospała zawróci na północ i będzie za późno, by cofnąć cokolwiek. Chcę być pewna, że nikt nie wbije nam noża w plecy, gdy sprawy przyjmą interesujący obrót.

Godzinę po tym, jak skończyliśmy go dręczyć, Tobo zaprosił Szukrat na podniebną przejażdżkę. Pożyczył słup Arkany, która nie była zadowolona. Kiedy minęła godzina, poinformowała mnie, że Magadan nie miałby nic przeciwko, gdyby wzięła jego słup i przyłączyła się do Szukrat oraz Tobo.

– Ale ja miałbym – odparłem. – Jeśli chcesz z nim pogadać, poczekaj, aż wróci.

Arkana była najbystrzejszą z Vorszk. Zrozumiała, że sytuacja powoli robi się poważna.

Tobo wrócił, został tylko na tyle długo, by zabrać Magadana. Polecieli w niebo. Magadan oderwał się od ziemi pierwszy raz od chwili, gdy wpadł w nasze ręce. Nie wydawał się szczególnie podniecony, czego poniekąd po nim oczekiwałem.

Wrócili po półgodzinie. Używane rzeczy Magadana, zarekwirowane poprzednim mieszkańcom Garoñes, były poszarpane. Wyglądał, jakby się bił, a przeciwnik skopał mu tyłek. Porządnie i definitywnie.

Tobo wydał instrukcje, żeby Magadana odizolowano, potem odszukał Arkanę i ją wziął na przejażdżkę.

Królowa śniegu, jak zauważyłem, zdążyła zastąpić swoje skonfiskowane szaty tubylczym ubiorem, który znakomicie służył eksponowaniu jej fizycznych walorów.

– Uważaj, chłopcze! – powiedziała Pani.

– Naprawdę dobrze, że nie natknąłem się na nią, póki nie spotkałem ciebie, co?

Czym zarobiłem sobie na nie całkiem pieszczotliwe klepięcie?

Arkana wróciła na ziemię w jeszcze gorszym stanie niż Magadan. Już się nie uśmiechała.

Tobo zamknął Arkanę razem z Magadanem. I wziął na górę Gromovola.

Gromovol nie był zainteresowany udawaniem się dokądkolwiek w towarzystwie Tobo, ale ten nalegał. Nie trwało to długo. Kiedy wrócili, Tobo kazał Vorszk udać się do ich kwater. Zebrał ich latające słupy w głównej sali. Pani i ja przyłączyliśmy się do niego.

– O co w tym wszystkim chodziło? – zapytałem.

– Wziąłem ich na górę i stoczyłem z nimi pojedynek. Wyłączywszy Szukrat.

Powstrzymałem Panią, zanim wdała się w wyjaśnienia, jak niemądre to było – najpewniej byłyby niezwykle obrazowe. Czasami potrafi być równie zręczliwa jak Sahra.

– Jestem pewien, że chłopak miał powody – stwierdziłem.

– Chciałem się przekonać, na ile są groźni.

– I?

– To oszuści. Jedyna prawdziwa moc, jaką dysponują, pochodzi ze słupów i ubiorów. Bez nich nawet Szukrat nie jest równie silna co Jednooki w ostatnich dniach życia. Gromovol dorównuje mniej więcej Wujkowi Dodżowi. Pani, nawet tak słaba jak teraz jesteś, dotrzymasz pola każdemu z nich prócz Szukrat.

Parsknąłem.

– Sądzę, że to wyjaśnia, dlaczego tatusiowi Gromovola tak bardzo zależało na odzyskaniu dzieciaków. Może większość Vorszk jest równie

ograniczona? Wtedy musieliby polegać na najsilniejszych członkach klanu.

– Przypuszczam, że chyba o to chodzi. Wynika stąd jednak prosty wniosek, że bardziej powinniśmy obawiać się ciosu nożem w plecy niż ich magii. – Popatrzył na nas, dziwiąc się, że nie bardzo jesteśmy skłonni zaakceptować jego teorię. – Nie uważacie, że gdyby dysponowali prawdziwą mocą, użyliby jej do ucieczki?

Zdałem sobie sprawę, że chłopak jest zdenerwowany. Wierzył wcześniej, że ma w Vorszk przyjaciół. Nasze podejrzenia skłoniły go do sprawdzenia ich i przekonał się, że przyjaciele ci nie są tak szczerzy, jak przypuszczał.

– Chcesz powiedzieć, że nie musimy ich zabijać, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo? – zapytała Pani.

– To też.

– Masz Nierozpoznane Cienie i do dziś dzień niczego się nie dowiedziałeś? – Pani we wszystkim potrafiła się dopatrzeć czegoś podejrzanego. Już dawno zaproponowałbym, abyśmy się wycofali i osiedli w jakimś miłym, spokojnym miejscu; nie uczyniłem tego, ponieważ ona i tak szukałaby w mojej propozycji ukrytych motywów.

– Od dawna się nad tym zastanawiałem – przyznał ponuro. – Ale ukryty ludek nie może donieść o rzeczach, które nie trafią do jego uszu. A Vorszk nie rozmawiają o swoich słabościach. Zresztą w istocie prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiają. Ponieważ w obecnej sytuacji jedno nie bardzo przepada za drugim.

– Tak czy siak, na razie nie mam zamiaru ich zabijać – podsumowałem. – Może miło byłoby trochę przyłożyć Gromovolowi od czasu do czasu, ale...

– A więc sprawa załatwiona. Do diaska, jeśli chcesz, możesz ich wypuścić na wolność. Kiedy pooglądają sobie prawdziwy świat, sami wrócą. Tymczasem pozwól mi popracować nad tymi słupami.

– Odkryłeś wreszcie ich tajemnicę? Potrafisz je robić? – zapytała Pani.

– Nauczyłem się, jak zmieniać to, w kim rozpoznają pana. Żadne z Vorszk nie ma pojęcia, jak słupy zrobiono. Nie są nawet pewni teorii, która stoi za ich konstrukcją. Wiem więcej od nich, dlatego że zbadałem te słupy. Jednak nie rozumiem jeszcze, jak gromadzą magiczną moc. Ale w sumie nie mam również pojęcia, jak sam to robię. Któregoś dnia będę wiedział. Tyle że odkrywanie tego będzie długim, powolnym, niebezpiecznym procesem. One są zaminowane.

– Życie jest również zaminowane – oświeciłem go.

Kiedy opuszczaliśmy komnatę, Pani zastanawiała się nad tym, czy pierwotni Vorszk stworzyli swą magię, czy też po prostu ukradli ją genialnym, lecz nieostrożnym poprzednikom. Nie dbałem o to, dopóki żaden nie będzie utrudniał mi życia w stopniu większym, niż miało to miejsce dotychczas.

Terytoria Tagliańskie:
NOCNI LOTNICY W DEDŻAGORE

Trzy latające słupy tworzyły szyk klucza. Tobo w szpicy, Wierzba Łabędź na jego tylnym siedzeniu. Łabędzia dotknął ciężki przypadek nawrotu sentymentów religijnych, mrucał nieustannie pod nosem wielosylabową modlitwę składającą się z jednego słowa. Znając jego stosunek do przebywania na wysokościach, chłopak z pewnością będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli uniknie licznych siniaków od kurczowych uścisków swego pasażera. Powieki zaś Wierzba zaciskał z pewnością na tyle mocno, że po zakończonym locie będzie miał kurcze we wszystkich mięśniach.

Na pozostałych słupach leciały Pani i Szukrat. Za plecami Pani siedział Aridata Singh. Szukrat wiozła Wujka Dodża.

Ja, Murgen oraz Tai Dei znajdowaliśmy się na latającym dywanie Wyjca, którego krzyki tłumilo coś w rodzaju dużego szklanego kołpaka. Pani przykryła mu nim głowę. Działał dostatecznie sprawnie, by uchronić nas przed zaalarmowaniem tych, którzy nie mieli pojęcia, że przybywamy.

Murgen i Tai Dei weszli w skład wyprawy tylko dlatego, że trzeba było poczynić ustępstwa na rzecz Sahry. Nie miała najmniejszej ochoty, by jej dziecinka podążała sama w objęcia nieszczęścia. Wszystkim to poważnie pomieszało szyki, ponieważ przed rozpoczęciem ataku ojca i wujka chłopaka trzeba będzie najpierw odwieźć z powrotem do Garolnes. Ale Sahra uparła się i robiła tyle hałasu, że Ospala wolała ustąpić, niż stracić przyjaciółkę.

Wspomnienia, jakie Sahra wyniosła z Dedżagore, oraz lęki, które się z nimi wiązały, nie osłabły ani na jotę i dalej dyktowały jej postępowanie.

Miałem nadzieję, że Murgen i Tai Dei lepiej sobie z tym radzą, aczkolwiek w chwili startu Murgen był spocony, blady, trząsł się

niewowstrzymanie, wyglądał, jakby się dławił. Natomiast Tai Dei zdawał się jeszcze bardziej zatopiony w sobie niż zwykle.

Rozmawiałem z każdym oddzielnie, próbując przekazać, że liczę, iż będzie miał baczenie na drugiego i zaopiekuje się nim, jeśli napięcie emocjonalne stanie się nieznośne. Przekonałem się dawno temu, że tego rodzaju odpowiedzialność za drugiego potrafi zmobilizować moich braci w chwilach poważnych stresów emocjonalnych.

Wyjec utrzymywał swój dywan pod osłoną formacji. Mknęliśmy na północ tak szybko, że wzbudzony pędem zimny wiatr wyciskał mi łzy z oczu. Murgen i ja siedzieliśmy w tylnych rogach dywanu.

– Zapomniałem już, jak bardzo tego nie cierpię. Dlaczego nie posłałem kogoś z tych młodych byczków z Hsien?

– Ponieważ jesteś taki sam jak wszyscy Kapitanowie dowodzący ostatnio Kompanią. Musisz wetknąć swój sterczący nochal dokładnie w sam środek wszystkiego, żeby się upewnić, iż sprawy idą po twojej myśli.

W górze przed nami Tobo uniósł przesłonej czerwonej latarni. Kilka razy błysnął światłem. Na ziemi odpowiedziano sygnałem, jednak całe kilometry w bok od trasy i znacznie bardziej z przodu, niżli oczekiwałem.

Kawaleria Brzeszczota podążała szybko naprzód i już znajdowała się w pierścieniu wzgórz otaczających Dedżagore. Za godzinę miał wzejść księżyc. W jego poświacie będą w stanie pokonać grzbiet i zejść po wewnętrznym stoku.

Minęliśmy pierścień i przed nami zaśniły rzadko rozsiane światła miasta. Zwolniliśmy; prawie pełzaliśmy. Latające słupy zbliżyły się do siebie. Aridata próbował wytłumaczyć Tobo, dokąd powinniśmy się udać.

– Powinieneś polecieć razem z Tobo. Znasz Dedżagore lepiej niż ktokolwiek inny – powiedziałem do Murgena:

– Może, ale Dedżagore sprzed dwudziestu lat. Teraz to zupełnie inne miejsce. Aridata jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Minęło parę tygodni, odkąd był tu ostatni raz.

W blasku gwiazd niełatwo było wyłapać szczegóły, jednak kiedy podlecieliśmy bliżej, mury obronne i główne budynki nałożyły się na kształty z moich wspomnień z niemal idealną precyzją.

Słupy ustawiły się szeregiem za wehikułem Pani i Aridaty. Wyjec zajął miejsce na końcu. Znowu ruszyliśmy.

Dziesięć minut później już byliśmy na ziemi. Pięć minut po lądowaniu Aridata zaganiał nas do sklepu brata.

Sugriva Singh wyglądał jak niższa i starsza wersja Aridaty. Powodziło mu się nieźle. Cały dół budynku przeznaczony na sklep, wyższe partie zaś zajmowała jego rodzina, której członków wszelako próżno by wypatrywać.

Los, jaki sprzyjał Sugrivi ostatnimi czasy, z pewnością nie nastrojał go życzliwie wobec naszej inwazji. A teraz znienacka pośród jego warzyw pojawiło się dziesięcioro bandytów, spośród których tylko jego brat i rozkoszna blondynka nie sprawiali wrażenia, że dla żartu są gotowi upiec go na wolnym ogniu. Miał naprawdę dużo do stracenia. Lecz być może jeszcze więcej, jeśli nie będzie współpracował. W Dedżagore kult Dusicieli był skrajnie niepopularny. Jeden szept o jego pokrewieństwie z żyjącym świętym Oszustów mógł oznaczać koniec i jego, i każdego, z kim w życiu zamienił bodaj słowo.

Jego brat podarował sobie grzecznościowe wstępy. Sugriva nie musiał wiedzieć, kim są jego goście. I tak niewykluczone, że paru z nas rozpoznał.

– Nasz ojciec nie żyje – oznajmił Aridata krewniakowi. – Został zamordowany parę tygodni temu. Uduszony.

Sugriva był dziesięć lat starszy. Pamiętał jeszcze Narajana Singha sprzed inwazji Władców Cienia, Narajana, który handlował warzywami i głaskał po główkach swoje dzieci. Był w takim samym stopniu wstrząśnięty, w jakim Aridaty cała rzecz właściwie nie obeszła.

– I nie ma czemu się dziwić, nieprawdaż? To chciałeś mi przekazać? – wykrztusił Sugriva przez łyżę, wywołane prawdopodobnie tyleż gniewem, co bólem.

Minęło kilka chwil, zanim wziął się w garść.

Trzeba mu to oddać – Sugriva Singh nie buntował się przeciwko nieuchronnemu losowi. Zdawał sobie sprawę, że postawiliśmy go w sytuacji bez wyjścia, i choć wydarzenia nie toczyły się dokładnie tak, jak Aridata obiecywał podczas swej poprzedniej wizyty, zdecydował się na współpracę. Chciał jak najszybciej mieć wszystko za sobą, dopiero potem ewentualnie będzie się modlił o to, by nowe rządy traktowały go z taką samą obojętnością, z jaką on traktował aktualną władzę.

Jednak sprawy nie szły również po myśli Aridaty.

– Nie najlepszą noc wybraliście sobie na wasze przedsięwzięcie – rzekł Sugriva. – Księżyc świeci tak mocno, że każdy podchodzący pod mury na

pewno zostanie zauważony.

Tobo zachichotał.

– Uważaj, bo się zdziwisz. Noc jest naszym sprzymierzeńcem, bracie Sugriva.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że te słowa byłyby stosowne raczej w ustach mego ojca, młody człowieku?

A może odnosiło się to również do syna? Sugriva był niezadowolony, wręcz wściekły, kiedy się pojawiliśmy, jednak nie bardzo zaskoczony. A któryż handlarz warzywami nie byłby zaskoczony, gdyby go obudzić w środku nocy? W mieście, które z fanatyczną skrupulatnością zamykało swe bramy, gdy tylko dolny łuk tarczy słońca musnął wierzchołki rosnących na zachodzie drzew?

Czy to możliwe, że starszy braciszek Singh nie był tym, za kogo się podawał?

Aridata przeszedł do rzeczy:

– Niepokoiimy cię tylko dlatego, że nie wiemy nic o wartach przy bramie.

– Wspominałeś o tym wcześniej. Zająłem się tą sprawą. Każda brama obsadzona jest kompanią wartowników. Najściślej strzeżona jest zachodnia, ponieważ ruch jest tam większy niż we wszystkich trzech pozostałych razem wziętych. – Jedną z osobliwości Dedżagore był fakt, że większość wychodzących zeń dróg zbiegała się poza miastem, łącząc w jedną prowadzącą na zachód, nic dziwnego więc, że całość ruchu odbywała się w jednym kierunku. Z południowej i północnej bramy korzystali wyłącznie ludzie związani z rolnictwem i produkcją płodów ziemi.

– Wschodnia brama sprawia wrażenie najłatwiejszej do zdobycia i utrzymania – powiedział Sugriva. Z niej wychodziła prawdziwa droga, jednak w tym kierunku nie było nic prócz bardzo odległych wiosek. – Wartownicy to nic niewarci symulanci, niezależnie od stopnia. Żaden z nich nie pochodzi z tych stron. Żaden nie ma tylu lat, by pamiętać, kiedy ostatni raz Dżajkur przeżył szturm. – Sugriva przyswoił sobie lokalny akcent, kiedy zaś mówił o Dedżagore, posługiwał się lokalną nazwą.

Problem ze wschodnią bramą był taki, że Brzeszczot znajdował się na zachód od miasta. Jednak przybył na miejsce przed wyznaczonym terminem. Jeśli się pospieszy, zdąży przed wschodem słońca.

– Pani, może polecisz i powiesz Brzeszczotowi, że to ma być wschodnia brama? – zaproponował Tobo.

– Nie, ponieważ muszę się przebrać.

Stwórca Wdów i Pożeracz Żywotów byli zaproszeni na przyjęcie. Doprawdy dawno już ich nie widziano.

Pół minuty później Szukrat oznajmiła:

– Sądzę, że nadeszła odpowiednia chwila, aby się przekonać, czy naprawdę potrafisz mi zaufać, Tobo.

Wtrąciłem się, zanim chłopak zdążył odpowiedzieć:

– Też tak sądę. Powiedz Brzeszczotowi, żeby nie marnował czasu. Musimy skorzystać z osłony, jaką zapewnia noc. A kiedy już wszystko się zacznie, nie pozostaniemy niezauważeni zbyt długo. Powiedz mu, że będziemy na niego czekać, kiedy dotrze do bramy.

Na piegowatej,omalże pulchnej twarzy Szukrat zaigrał uśmiech. Aż podskoczyła, a potem pocałowała Tobo w policzek. Śmiałe, bardzo śmiałe zachowanie, jeśli mierzyć je standardami tego świata. Jednak pewnie Vorszk inaczej załatwiali te sprawy.

Odbiegła w podskokach. Chłopak był kompletnie zbity z tropu. Szczerzyłem się, póki Pani nie dała mi szturchańca pod zębra. Najwyraźniej to podskakiwanie spodobało mi się za bardzo.

– Proponuję, żebyśmy wzięli się do roboty, ludzie – zakomunikował Murgen. – Nie chcę siedzieć za tymi murami ani minuty dłużej, niż muszę. – Jakoś się trzymał, ale wyraźnie znać było po nim wewnętrzne napięcie.

Tai Dei najwyraźniej również miał dość – z wielu powodów. Oblężenie pochłonęło liczne żywoty bardzo mu bliskich ludzi. Nieważne jak bardzo mężczyzna stara się okazać twardy; taka strata zżera mu duszę. Chyba że w ogóle nie jest człowiekiem.

– Ma rację – powiedziałem. – Zaczynicie się przygotowywać.

Pani i ja mieliśmy najwięcej do roboty. Czekaliśmy na wielkie przedstawienie. Wymknęliśmy się do oddzielnego pokoju, chłodniejszego niż główne pomieszczenie sklepu. Kiedy z wysiłkiem przedzierzgał się w postaci z nocnych koszmarów, zapytałem:

– Kochanie, naprawdę udało ci się rozszyfrować tę zabawę z jazdą na słupie?

– To nie takie trudne. Najważniejsze, żeby nie spaść. Każdy idiota to potrafi. Są tam takie małe czarne dźwignie i przesuwane guziki, którymi się

operuje. Lecisz wyżej, niżej, szybciej albo wolniej, w zależności od ich położenia. Dlaczego?

– Przyszło mi do głowy, że pewnie lepiej będzie i dla nas, i dla niego, jeśli dostarczymy Aridatę z powrotem do Taglios. Jego nieobecność trwa już długo. Mogaba będzie go pewnie potrzebował, żeby móc wszystkim pokazać, zanim rozejdą się wieści o dzisiejszym przedsięwzięciu.

Nie przestała wdziawać stroju Stwórcy Wdów, jednak spojrzała na mnie wzrokiem, który rzadko widywałem u innych ludzi. Jakby prześwieślała wszystkie skryte kącki mej duszy. Czasami bywało to dość przerażające.

– W porządku. Musimy jednak działać szybko, skoro przed wschodem słońca chcesz się znaleźć w powietrzu.

– Słup doleci tak daleko? – Nie mając pojęcia, jak słupy działają, nie wiedziałem też, jakiego ewentualnie wymagają zasilania. Zdawały się działać na innej zasadzie niż latające dywany Wyjca, którym w roli napędu potrzebny był potężny czarodziej o silnej woli. Przez cały czas pobytu w powietrzu wymagały całkowitej koncentracji uwagi.

– Jestem pewna, że tak. Chcesz, żebym coś powiedziała Mogabie?

Natychmiast przyszły mi do głowy odwieczne przekleństwa: „Mój brat nieodkupiony” oraz „Wszystkie ich dni są policzone”. Jednak nie była to odpowiednia chwila.

Dedżagore:
OKUPACJA

Pierwotnie zamierzałem uczynić z naszej inwazji wielkie przedstawienie. Naprawdę nie ma to jak stosowna dramatyczna oprawa. Błyskawice. Grzmoty. Fajerwerki. Z pierwszym aktem czekałem jednak do chwili, póki nie otworzymy bramy.

Echa sporadycznych alarmów od południowego muru, podnoszonych, kiedy przelewała się obok niego fala ciemności i szeptów, zaczęły dobiegać stosunkowo wcześnie. Jednak żaden z wartowników nie dojrzał bodaj pojedynczego żołnierza. Przed ich oczyma majaczyły tylko niewyraźne sylwetki, które wzbudzały w ich duszach ukryte strachy przed istotami znacznie mroczniejszymi i bardziej okrutnymi od jakichkolwiek najeźdźców.

Miasto było niespokojne i zdjęte niejasną grozą, jednak wciąż nieświadome naszej obecności. Wszelako wyczuwało nadchodzące zmiany.

Czas na grzmoty i błyskawice nadszedł, gdy żołnierze Brzeszczota wkroczyli w bramy miasta – sześciuset ludzi w obcych zbrojach Hsien, którym nakazano, by pod żadnym pozorem nie zdradzali swego człowieczeństwa, póki miasto nie padnie. Większość Dedżagoran stanowili Gunni. Ci zaś wierzyli w demony potrafiące przybrać ludzką postać i wypowiedzieć wojnę człowiekowi. A ponadto wszyscy już właściwie mieszkańcy zewnętrznych Terytoriów Tagliańskich zdążyli usłyszeć plotki, że Kompania zawarła pakt z duchami i diabłami.

Nad głową każdego żołnierza powiewał proporzec przymocowany do bambusowej tyczki. Barwa proporca określała przynależność do danej jednostki, natomiast litery na nim wymalowane głosiły jej bitewne zawołanie. Stwórca Wdów i Pożeracz Żywotów jechali na czele kolumny

szturmującej miasto. Stwórca dzierżył w dłoni płonący miecz. Pożeracz uzbrojony był we włócznię Jednookiego, po której pełzały robaczki światła. Na jego ramionach przycupnęły przerośnięte kruki w kolorach kawy i mleka.

A większość miasta wciąż spała.

Odrażające płomieniste larwy wiły się na naszych szkaradnych zbrojach. Chorąży maszerowali przed nami, wymachując wielkimi sztandarami, na których umieszczono nasze rzekome osobiste insygnia.

Świadkowie, których na miejsce ściągnęły błyskawice, łomot grzmotów i stukot końskich kopyt, wspominali stare opowieści i uciekali z płaczem.

Mimo to większość miasta nadal spała.

Dodż, Murgen, Tai Dei i Łabędź zostali przy bramie, pilnując jeńców, których tam wzięliśmy. Aridata trzymał się z dala od ludzkich oczu, ukryty w domu brata. Wyjec, Tobo i Szukrat krążyli wysoko nad ziemią. Szklany hełm dalej skutecznie tłumił wrzaski tego pierwszego. Mieliśmy nadzieję, że jego obecność pozostanie tajemnicą jeszcze przez jakiś czas.

Prawdziwe fajerwerki zaczęły się, kiedy dotarliśmy do cytadeli, gdzie wciąż jeszcze zaspany gubernator Protektorki wmówił sobie jakoś, że sytuacja wcale nie jest beznadziejna i może zdoła utrzymać fortecę.

Poleciały kule ogniste. Brama cytadeli eksplodowała. W murach obronnych rozwarły się dziury. Obrońcy zaczęli krzyczeć.

W każdym zacienionym miejscu ulicy coś się kłębiło. Setki istot, wiele o kształtach poniekąd znajomych w chwilach, kiedy można było je dojrzeć nieco wyraźniej.

Mroczna powódź wlała się przez rozbitą bramę cytadeli. Pojedyncze cienie przemknęły szczelinami w murach. Kilka chwil później ich śladem ruszyli Stwórca Wdów i Pożeracz Żywotów.

Przerażeni obrońcy twierdzy zrezygnowali z najmniejszych prób oporu. Jedyne straty po naszej stronie sprowadzały się do złamanej ręki jakiegoś durnia, który potknął się o swoje wielkie stopy i spadł ze schodów.

Pani i ja staliśmy na szczycie cytadeli. Ludzie w dole chyba wciąż nie zdawali sobie sprawy z tego, że miasto zostało zdobyte.

– Dzisiejszej nocy dotarcie tu kosztowało nas znacznie mniej niż ostatnim razem – powiedziałem.

– Tamtej nocy poczęliśmy Pierdu Pierdu.

– Co okazało się w efekcie dość bolesne.

- Niezbyt śmieszne.
- Tamtej nocy Jednooki zrobił sobie wroga, który ścigał nas przez dwadzieścia lat.
- Tym razem również narobimy sobie wrogów. Muszę już iść, jeśli mamy zachować choćby najmniejsze szanse przemylenia Aridaty z powrotem do Taglios.
- Nie przypuszczam, żeby udało ci się tego dokonać jeszcze dzisiaj. Chyba że polecisz tak szybko, że wiatr zedrze ci skórę z twarzy.
- Zobaczę, może Tobo coś zaradzi.
- Pożegnalny pocałunek sprawił nam pewne trudności. Wciąż mieliśmy na sobie te kostiumowe zbroje.

Terytoria Tagliańskie:
ARMIA ŚRODEK

Oddziały rozpoznania Protektorki ostrzegły ją, że szykuje się coś niezwykłego. Ostrzeżenie potwierdziło tylko jej wcześniejsze podejrzenia. Nieludzcy szpiedzy prawie nie potrafili wytropić wroga. Co oznaczało, że przeciwnik ze wszystkich sił stara się pozostać niewidzialny.

Duszołap ogłosiła stan alarmowy i przyspieszyła szkolenie swych żołnierzy. Zdwoiła również tempo własnych, osobistych przygotowań.

Kiedy dotarły do niej wieści o katastrofie w Dedżagore – jeden, jedyny jeździec zdołał przedrzeć się z informacją – już od czternastu godzin wiedziała, że główne siły Kompanii zeszły z wiodącego na zachód szlaku i pośpiesznie podążają marszrutą, która pozwoli im odciąć Armię Środek od stacjonujących pod miastem, właśnie osieroconych sił.

Zakładała, że w ciągu kilku dni ich los zostanie przypieczętowany. Wielu żołnierzy wchodzących w ich skład pochodziło z samego Dedżagore – wśród nich oficerowie stanowili niewspółmiernie wysoki odsetek – natomiast pozostali z pewnością wkrótce usłyszą znacznie wyraźniej zew zbliżających się żniw.

Co, u diabła, stało się tam, na Południu? Posłańcy nie dysponowali żadnymi właściwie szczegółami, wiedzieli tylko, że miasto obudziło się rano i odkryło obecność obcych sił okupacyjnych. Najeźdźcy byli szybcy i dokładni. Najwyraźniej dysponowali nadzwyczaj skutecznym wywiadem. Być może wspartym potężnymi czarami.

– Następną bitwą nie będzie już tak jednostronna – obiecała swoim oficerom. – Kolejnym razem będą mieli do czynienia ze mną. Ze mną, jakiej nie widzieli już od bardzo dawna. – Była wściekła, całkowicie przytomna, najłżejsze tchnienie nudy nie paraliżowało już jej woli

w najmniejszym bodaj stopniu. Czuła się bardziej pełna życia, nienawiści i złości, aniżeli zdarzyło się to od pokoleń.

Nie minęło wiele godzin, a jej nowy nastrój zelektryzował otoczenie.

Oficerowie, których nie zelektryzował w stopniu dostatecznym, wkrótce na dobre pożegnali się ze stanowiskami.

Dedzagore:
OSIEROCONA ARMIA

Po stracie bazy w Dedzagore generałowie topniejącej w oczach, załamanej armii próbowali nieudolnie oblegać miasto w sposób, który nie byłby równoznaczny z natychmiastową katastrofą ekonomiczną. Wreszcie, sześć dni po szturmie, dotarły do nich wieści o zbliżających się szybko głównych siłach wroga.

Trwały potyczki z kawalerią sił okupujących Dedzagore. Ich rezultaty rzadko okazywały się pomyślne dla tubylców. A teraz zdali sobie sprawę, że wkrótce runie na nich dziesięciokrotnie liczniejsza, równie zdyscyplinowana i doskonale uzbrojona armia zawodowych zabójców.

Następnej nocy po tym, jak nadeszły wieści, trzecia część armii pod osłoną ciemności udała się do domów. Nad pozostałymi niemal bez ustanku psychicznie znęcały się istoty, których nie sposób było nawet dojrzeć.

Mordercza armia z Południa ostatecznie nigdy nie dotarła na miejsce. Nie było to konieczne. Wszyscy dedzagorańscy żołnierze zdezerterowali z wojsk Taglios. Kawaleria sił okupacyjnych rozbiła nieprzejednany tron bez niczyjej pomocy.

Taglios:
PAŁAC

Od chwili powrotu Aridaty poczucie psychicznego dyskomfortu dręczące Mogabę – nawet przed samym sobą nie odważyłby się użyć słowa „strach” – znacznie się nasiliło. Przychodziło im grać o coraz wyższe stawki. Ryzyko rosło. Służba pałacowa widziała Panią. Jak dotąd większość wierzyła, że była to Protektorka, w trakcie jednej z tajnych i niezapowiedzianych wizyt w Taglios. Jednak któregoś dnia Duszołap mogła usłyszeć te plotki, a wtedy natychmiast zrozumie, że nie mogła być w dwóch miejscach naraz. Nie uwierzy również z pewnością, że jej widok stanowił manifestację widm, obecnie regularnie spotykanych w labiryntach korytarzy, z których pałac słynął.

Mogaba zwrócił się do Gopala i Aridaty:

– Kusi mnie, żeby zostawić wszystko i uciekać.

– Tak? A dokąd chciałbyś uciec? – spytał Gopal. W całej sprawie mogło nie być nic osobistego, jeśli jednak Czarnej Kompanii uda się zdobyć Taglios i przywrócić władzę rządzącej wcześniej rodziny, jego los okaże się przesądzony, podobnie jak los Mogaby. Wówczas z pewnością życie każdego Szadar, który służył w Szarych, nie będzie usłane różami.

– O to właśnie chodzi – Mogaba przesunął dłonią po czaszce. Golenie jej sprawiało ostatnimi czasy coraz mniej kłopotów. – Dlatego też wciąż powtarzam sobie, na czym polegają wymogi honoru.

Aridata nie miał wiele do powiedzenia. Milczał prawie cały czas od chwili powrotu. Mogaba rozumiał go. Singh widział rzeczy, w które nie potrafił uwierzyć. Poznał wysokość stawek i wiedza ta sparaliżowała go. Zdawało mu się, że gdziekolwiek spojrzy, znikąd światelka w tunelu. Tylko kolejna ściana litej ciemności.

Dla Aridaty najważniejszą sprawą było, aby własne działania mógł ocenić jako słuszne.

Wizyta u brata rozbudziła w Singhu postanowienie przynajmniej częściowego naprawienia zła, które wyrządził jego ojciec.

Przez wiarę, w której się wychował, Aridata był Gunni, jednak charakter predestynował go wyraźnie do wyznawania religii Vedna. Uważał, że wszelkie winy należy zrekompensować jeszcze w tym życiu.

– Wieści z Południa są jednoznacznie katastrofalne. Pochód Czarnej Kompanii natrafia jedynie na śladowy opór – rzekł Mogaba. – Dysponują potężniejszymi czarami, lepszą bronią, lepszymi żołnierzami, wyposażeniem i kadrą dowódczą. Nie wspominając już o wywiadzie tak dobrym, że próbując utrzymać coś w tajemnicy, marnujemy tylko nasz czas. Tak więc wychodzi na to, że nasz los zależy wyłącznie od tego, jak szybko ci ludzie tu dotrą. Protektorka ich nie powstrzyma. Będą pociągać za sznurki jej ego, drażnić jej dumę, a w chwili, gdy uzna, że jest już gotowa do druzgoczącego uderzenia, zadadzą jej cios w plecy głownią młota, którego ruchu nawet nie dostrzeże. Trzeba czegoś więcej niż tylko potęgi, żeby dać sobie radę z tymi ludźmi. Trzeba czegoś więcej niż przenikliwości i gotowości na każdą zdradę. Trzeba być szalonym.

– Wobec tego dlaczego nie pojedziemy na Południe i nie przejmemy dowodzenia? – Gopal uśmiechnął się ironicznie.

– To wcale nie jest śmieszne. A powody są dwa. Po pierwsze, ona tego nie chce. Wciąż sądzi, że zdoła schwytać ich w potrzask między naszymi siłami. Nie mam pojęcia, jak miałoby się to udać. Poza tym, co znacznie ważniejsze, jeśli znajdę się blisko niej, nie będzie sposobu, abym potrafił ukryć swoje zamiary; nie będzie też żadnej sposobności ich realizacji, zanim zdąży skutecznie się zabezpieczyć. Jeśli chodzi o was dwóch, możecie mieć więcej szczęścia.

– Mimo docierających wieści miasto jest zdumiewająco spokojne – zauważył Gopal.

Echa upadku Dedżagore wciąż tłukły się o brzegi ludzkiej świadomości, jednak prawie nikt nie rozumiał, iż sama Protektorka znalazła się również w niebezpieczeństwie. Nie dochodziło do żadnych poważnych zakłóceń porządku. Jednakże coraz częściej na murach pojawiały się graffiti. Głównie te same stare przekleństwa, chociaż ostatnio przeważała wśród nich *radzadharm*. Ale były też zupełnie nowe: „Spoczniecie w popiele na

dziesięć tysięcy lat, jedząc tylko wiatr”. Jak również niewidziane od dawna: „Ti Kim nadchodzi”.

Nikt dokładnie nie wiedział, co też to ostatnie może oznaczać. Niewykluczone, że nawet jego autorzy tego nie wiedzieli. Niektórzy sądzili, że „Ti Kim” pochodzi z języka Niueng Bao. Wówczas imię to tłumaczyłoby się jako „Krocząca Śmierć”.

Jeśli zaś nazwa nie pochodziła z Niueng Bao, cała rzecz miała jeszcze mniej sensu. Albo w ogóle sensu nie miała.

– Jeśli nie zrobimy nic, żeby ją wesprzeć, a ona zostanie pokonana, jak mamy sami się obronić? – spytał Aridata.

– Powiem wprost: ty nie będziesz miał większych problemów, chyba że Protektorka zwycięży – odparł Mogaba. – Kompania i para książęca nic do ciebie nie mają. Wykonałeś dobrą robotę, dowodząc Batalionami Miejskimi. Jeśli będziesz siedział z założonymi rękami, prawdopodobnie odziedziczysz moje stanowisko.

Aridata wzruszył ramionami.

– Musiałeś z nią rozmawiać o tych rzeczach, kiedy tu była.

– O, tak. Powiedziała, że nikt nie będzie mnie ścigał szczególnie wytrwale, jeśli starczy mi rozumu, by uciec, zanim zajmą miasto.

– Są tak pewni siebie, że mogą sobie pozwolić na odrzucenie twojej pomocy? – włączył się Gopal. – A co ze mną?

– Ona jest tak pewna siebie. Niewykluczone, że zbyt pewna siebie. O tobie nic nie mówiła. Nie ma pojęcia o twoim istnieniu. Zasugerowała, że jeśli któryś z was uzna, iż ma powody obawiać się powrotu pary książęcej, zanim ucieknie, może przyłączyć się do mnie w łupieniu skarbów.

– Szadar nie łamię przysiąg.

Aridata, który nie musiał szczególnie obawiać się tych zmian, zaproponował:

– Róbnmy po prostu naszą robotę, jak to czyniliśmy zawsze. I zobaczymy, jakie sposobności fortuna złoży w nasze ręce.

– Oczywiście. Może skończyć się na tym, że Czarna Kompania i Protektorka pozabijają się nawzajem. Jak para baranów, którym splątały się poroża – sarkastycznie zareplikował Gopal.

Uwaga ta sprawiła, że wszyscy trzej zamyślili się, zwłaszcza zaś Mogaba dumiał, czy los rzeczywiście zdolny byłby splatać im figła, podkreślonego równie nieoczekiwaną puentą.

Terytoria Tagliańskie:
W PÓŁ DROGI POMIĘDZY

Och, wyglądaliśmy naprawdę nieźle, w sile dziesięciu tysięcy, wszyscy uszeregowani niczym na paradę. Każdy miał na sobie zbroję. Nad głową każdego lekki wiatr poruszał proporcem. Każdy batalion w zbroi swych własnych barw. Broń doskonale oporzadzana i wypolerowana. Konie wyszczotkowane i przystrojone niczym na przegląd wojsk. Sztandary na swoich miejscach, chwalebne i bez skazy. Stanowiliśmy treść erotycznego snu generała, śliczni, a zarazem niebezpieczni.

Stojąca naprzeciw banda, choć przewyższała nas liczebnością w stosunku trzech do jednego, wyglądała, jakby nie mogła stanowić poważniejszego wyzwania. Ludzie po drugiej stronie frontu wciąż próbowali znaleźć przydzielone im miejsca w szeregach.

Niezależnie jednak od tego, jak dobrze wszystko wyglądało z pozoru, wciąż miałem wątpliwości, czy mądrze postąpiliśmy, wydając walną bitwę, i wątpliwości tych nie potrafił rozproszyc budujący widok naszych chłopców oraz jego przeciwieństwo po drugiej stronie. Jednak Ospała chciała zmiażdżyć tamtych szybko, by potem pogonić Duszołap z powrotem do Taglios, gdzie ze względu na nagłą sytuację może stracić czujność i wpaść w pułapkę zastawioną przez Mogabę oraz jego spiskowców.

Zbyt wiele opierało się na założeniach, że sprawy pójną dokładnie po naszej myśli. A przecież zwłaszcza wówczas, kiedy wszystko idzie dobrze, należy oglądać się za siebie.

Ale nie ja byłem Kapitanem. Mogłem jedynie służyć radą, a potem, gdy decyzje już zapadną, odegrać swoją rolę w przedstawieniu.

Tobo był jeszcze bardziej pewny siebie niż Ospała. Wierzył, że wystarczy lekko pchnąć wroga, by ten sam się przewrócił. Jeden paskudny wstrząs i tamci się załamią. Gwarantował to swoim słowem.

Odrąbiono gotowość. Odezwały się bębny, odliczając krok miarową kadencją. Tysiąc żołnierzy pozostawiliśmy w odwodzie. Daleko z tyłu za nimi stacjonowali rekruci, którzy zaciągnęli się ostatnio. Otaczali Radiszę i jej brata, stanowiąc nominalnie gwardię królewską. Do boju zostaną pchnięci tylko w ostateczności.

Głos trąb obwieścił sygnał do natarcia. Szeregi ruszyły naprzód, doskonale równą linią, idealnie odmierzoną krokiem. Zajmujący pozycje na czele obu skrzydeł Pożeracz Żywotów i Stwórca Wdów poderwali się z towarzyszeniem oślepiających błysków i również ruszyli naprzód. Zatrzymali się jednak, nim dotarli w obszar rażenia pocisków.

Z tak bliskiego dystansu mogłem dostrzec, że Duszołap ustawiła swe wojska w szyku trzech kolejnych ugrupowań, znajdujących się w odległości stu metrów od siebie. Jednostka frontowa była najliczniejsza, jednak wyglądała na najgorzej przygotowaną. Druga formacja sprawiała wrażenie znacznie bardziej godnej zaufania.

Była to strategia, którą pojmowałem, ponieważ sam posługiwałem się nią w rozmaitych odmianach. Trzeba jednak być pewnym, że prawdziwi wojownicy nie dadzą się ogarnąć panice sił rezerwowych, gdy te zaczną uciekać.

Za trzecią linią obrony Duszołap coś się działo, jednak znajdowałem się zbyt daleko, by widzieć to wyraźnie.

Potem szeregi atakujących żołnierzy znacznie utrudniły obserwację. Mnie zaś otoczyły uroki następnego etapu, ukrywając przed oczyma wroga, ale równocześnie uniemożliwiając dostrzeżenie tego, co dzieje się wokół.

Terytoria Tagliańskie:
W ARMII ŚRODEK

Rzecz będzie nieco ryzykowna – przypomniała Duszołap oficerom swojego sztabu, którzy musieli brać jej geniusz na wiarę. Wcześniejsze jego demonstracje miały miejsce podczas wojen kiauluńskich, na długo przedtem, nim się zaciągnęli.

Trąby wroga wydały sygnał gotowości. Bębny zaczęły warczeć.

– Kiedy odtrąbią atak, będą zbyt zajęci, żeby obserwować, co robimy – rzekła Protektorka.

Zatrąbiono.

– Chcę, żeby drugiej linii przekazano, iż załamanie się pierwszej stanowi część mego planu. Powiedzcie im, że to wkalkulowany odwrót. Nie chcę, żeby panika pierwszej linii ogarnęła wszystkich. Powiedzcie im, że każdy, kto ucieknie, stanie się karmą dla robaków. Potem powiedzcie to samo trzeciemu szeregowi o pierwszym i drugim. Niech wierzą, że zwabiam wroga w pułapkę, by zniszczyć go moimi czarami. Odwody mają wycofać się na skraj lasu. Zaraz.

– Ale to oznacza...

– Zapomnijcie o obozie. Jeśli nie zwyciężymy w tym boju, obóz i tak nie będzie już potrzebny. Odwody mają zostać rozstawione wzdłuż skraju lasu, dzięki czemu będą mogły wyłapywać uciekinierów i wprowadzać ład w ich szeregi. Zanim jednak przystąpią do tego zadania, muszą odprowadzić moich gości na północny brzeg strumienia.

Odpowiedziały jej puste spojrzenia.

W głos Duszołap powoli zaczynały wkradać się nuty gniewu. Gniewu, jaki już znali, gniewu zapowiadającego pojawienie się kolejnych ciał na cmentarzu za granicami obozu. Kiedy była dostatecznie wściekła, nie

pozwalala nawet Gunni spalic, a tym samym oczyścić, ciał tych, których przed chwilą pomordowała.

– Kaźcie im zająć pozycje wzdłuż skraju lasu! Niech przygotowują się do zabicia każdego tchórza! – A potem spokojnym,omalże pełnym uświęconej szczęśliwości głosem dodała: – Jeśli odwodom nie uda się poderwać żołnierzy i cisnąć ich z powrotem na wroga, ich generałowie nie przeżyją porażki o zbyt długo. – Była zdecydowana doprowadzić do tego, by walka przebiegała tak, jak sobie umyśliła. – Po prawdzie, mądry generał nie zastanawiałby się, jak przeżyć swego chorążego. Dzięki temu jego śmierć byłaby znacznie mniej bolesna.

Przygotowania zajęły jej wiele dni. Ale w rękę dzierżyła kiepską broń. Tym bardziej należało więc powodować nią w najlepszy możliwy sposób.

– Do roboty! – Minęła krąg swych oficerów, wyszła z namiotu i wspięła się na punkt obserwacyjny, z którego będzie mogła oglądać przebieg bitwy. W chwili, gdy zajęła stanowisko, wróg zderzył się z jej pierwszym szeregiem z precyzją doskonale wyszkolonej armii.

Rzeź była znacznie mniej spektakularna, niżli oczekiwała. Przeciwnik zdawał się usatysfakcjonowany rozbijaniem kolejnych formacji. Nie ścigano uciekinierów. Wrogowie zatrzymali się, pozwolili wynieść rannych z pola, ponownie zwarli szeregi i oporządzili broń. Trwało to dosyć długo. Co uszczęśliwiło Protektorę. Oznaczało więcej czasu na to, by jej rozbite kompanie zwarły szyki na skraju lasu.

Duszołap obejrzała się za siebie – ludzie wynosili klatki jeńców z namiotu. Goblin, którego oczy zdążyły się już zregenerować, pozdrowił ją szyderczym salutem. Dziewczyna patrzyła prosto na nią i uśmiechała się.

Jeszcze raz to zrobi, a rzuci tego bachora żołnierzom choćby na kilka godzin. To oduczy go bezczelności.

Żołnierze dozorujący klatki zachowywali spokój, choć do obozu zaczęli już docierać pierwsi przerażeni uciekinierzy.

Duszołap zła była na siebie, że przeoczyła możliwość, iż tamci mogą wcale nie uciekać do lasu. Powinna zburzyć palisadę otaczającą obóz.

Nieważne. Tylko kilku zdecydowało się schronić za nią.

Wydała rozkaz zamknięcia bram.

Wróg ponowił natarcie.

Druga linia spisała się nieco lepiej, jednak ostateczny rezultat był identyczny. Oddziały poszły w rozsypkę, nie zadając przeciwnikowi

większych strat.

Tym razem żadnemu z uciekających żołnierzy nie udało się dostać do obozu.

I znowu wróg zatrzymał się, aby zająć się rannymi, przeformować szyki i zreperować broń. Kawaleria oskrzydłająca jego flanki miała kłopoty z utrzymaniem się. Duszołap podejrzewała, że dyscyplina załamie się, gdy tylko trzecia linia wojsk tagliańskich pójdzie w rozsypkę.

Lepiej, żeby ci idioci w lesie byli naprawdę gotowi.

Duszołap opuściła swój punkt obserwacyjny, gdy przeciwnik znów zatrąbił do ataku.

– Bardzo sprawny ten nowy Kapitan. Ciekawe jednak, czy potrafi myśleć w marszu?

Bardzo sprawnie przebiegł też osobisty odwrót Protektorki do lasu, gdzie zaraz wywarczała swoim oficerom nowe rozkazy, a potem wycofała się do wielkiego namiotu, który dawno temu kazała tam rozbić w charakterze rzekomego leśnego ustronia. W istocie stanowił on miejsce spotkań z wysłannikami sprzymierzeńców, którzy teraz próbowali ją zarżnąć. Tam właśnie umieszczono Goblina i Córkę Nocy.

Oboje więźniów jej widok najwyraźniej rozbawił. Zachowywali się tak, jakby tuż przed jej przyjściem opowiedzieli sobie jakiś historyczny żart, którego przedmiotem była ona sama.

Duszołap zignorowała ich. Znacznie bardziej przejmowała się tym, jak jej siostra zareaguje na całkowitą nieobecność czarów na polu bitwy. Jeśli przez najbliższych piętnaście minut nikt nie nabierze podejrzeń...

Terytoria Tagliańskie:
OGIEŃ NA ZIEMI POMIĘDZY

Skryty za zasłoną błyszczącej mgły maskującej Pozeracza Żywotów zsiadłem z konia, a potem niezgrabnie wgramoliłem się na latający słupek Vorszk, który dzieliłem z moim byłym zastępcą, Murgeniem. Na słupie wymalowane było imię Magadana w jego rodzimym alfabecie. Po lewej stronie Stwórcy Wdów również szykował się do wzlotu w górę, w towarzystwie znanego miłośnika podniebnych wyczynów, Wierzby Łabędzia. Wszystkie latające słupki gotowe były do startu, każdy obudowany absurdalną konstrukcją z wikliny i bambusa, do której dodatkowo podczepiano liczną, naprędce zaimprovizowaną broń.

Gdzieś za moimi plecami, w miejscu, którego nie byłem w stanie dojrzeć, Tobo i Wyjec przygotowywali do poderwania z ziemi latający dywan, który aż trzeszczał pod ciężarem rozmaitych nieprzyjemnie wyglądających środków bojowych. Wrzeszczący czarodziej wciąż gniewnie mamrotał coś pod nosem, ponieważ zmuszono go, by wyjawiał Tobo swoje lotnicze sekrety.

Cała masa gotowej do użycia ohydy miała wzbić się w powietrze, aby opaść w dół na Duszołap, gdy ta zdradzi miejsce swego pobytu, lub wprost na żołnierzy wroga, jeśli nasz atak zacznie się załamywać.

Ta ostatnia rzecz była niepodobieństwem. Rozsypka tagliańskiego frontu postępowała niczym spełniające się marzenie. Druga linia wytrzymała niewiele dłużej od pierwszej. Trzecia, złożona najwyraźniej z najlepszych i najbardziej zmotywowanych żołnierzy Protektorki, okazała się bardziej uparta. Ponieważ sam musiałem ongiś spędzić w towarzystwie Duszołap stanowczo zbyt dużo czasu, potrafiłem chyba zrozumieć, skąd trzecia

formacja mogła zaczerpnąć tę odrobinę dodatkowej zachęty. Ona nie była rozumiejącym, wybaczącym dowódcą.

Jedno wszakże trzeba jej oddać. Nie oczekiwała również miłości i wybaczenia od nikogo, kto ją pokonał. W świecie, w którym dojrzewała, takie postępowanie stanowiło normę. Świat ten – świat Dominacji – wymagał od każdego bezwzględności i okrucieństwa. Nie tolerował ani życzliwości, ani współczucia.

Upór trzeciej linii nie potrafił sprostać sprawności i pewności siebie naszych żołnierzy. Pierwsi podszyeci tchórzem już zaczęli wymykać się z szeregów i uciekać w kierunku odległej linii drzew, gdzie najwyraźniej ktoś próbował poderwać do boju ocalałych.

Odwrót ledwie się rozpoczął, kiedy daleko z przodu gwałtownie rozbłysła łuna purpurowego światła. Zgasła w ciągu kilku sekund. Niezgrabnie próbowałem zyskać wysokość, a wtedy kolejna łuna, tym razem karminowa, pojawiła się i zniknęła po mojej lewej ręce.

Nastąpiło kilka kolejnych rozbłysków, każdy w innym odcieniu czerwieni, nim znalazłem się dość wysoko, by zaryzykować odwrócenie uwagi od przyrządów kontrolujących lot i zobaczyć, o czym też Murgen paplał przez cały czas naszego wznoszenia się.

Rozwijający się czar z pozoru skrył ziemię płaszczem jednolitej czerni. Na tej powierzchni niewidzialna dłoń malowała czerwone kwiaty, które w okamgnieniu rozchylały płatki, niemal czarne w środku, na skraju barwy płomienistej żółci, kiedy osiągały może z jedenaście metrów średnicy. Z wysokości nie widać było nic prócz nagłych, zupełnie przypadkowo ułożonych czerwonych chryzantem. Pole bitwy wyglądało niczym pusta plansza do gry, na której wciąż rozkwitał i więdł ogród śmiertelnego kwiecia.

Cokolwiek się działo, miało charakter całkowicie bierny. Nic nie zmierzało w naszą stronę. Czar już wcześniej znajdował się na miejscu, do życia powołały go postępy naszych żołnierzy. Wśród których jednak zbierał zamierzone, śmiertelne żniwo.

Nie sposób było wywnioskować, gdzie znajduje się Duszołap.

Po mojej lewej stronie Pani i Wierzba zniknęli w chmurach dymu odrzutowego z przymocowanych do ich słupa bambusowych miotaczy kul ognistych, które ostrzeliwały obóz tagliański. Zapaliło się już w nim

kilkanaście ognisk, jednak wśród naszych żołnierzy wciąż rozkwitały czerwone kręgi.

Pchnąłem mój słup jakieś półtora kilometra naprzód.

– Strzelaj w las. Ona musi tam być – poinformowałem Murgena. – Gdzie, do cholery, podziały się moje kruki? Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebne. – Zniknęły w czasie, gdy skoncentrowany byłem bez reszty na osiągnięciu wyższego pułapu. Może nie lubiły zanadto oddalać się od powierzchni ziemi.

Nigdzie nie było nawet śladu po Nierozpoznanych Cieniach. Ale nie oczekiwałem też, że cokolwiek dostrzegę. Zeszłego wieczoru Tobo odesłał dla bezpieczeństwa większość ukrytego ludu.

W chwilach napięcia zwraca się uwagę na najdziwniejsze rzeczy. Mnie w oczy rzuciła się nieobecność kruków wokół pola bitwy. Raczej osobliwy brak, którego nigdy wcześniej nie dane mi było być świadkiem. Jednak nad lasem powoli zaczęli kołować inni padlinożercy.

Murgen krzyknął coś, z czego wynikało, iż nasi wrogowie najwyraźniej odzyskują ducha:

– Wobec tego połącz ogień miotaczy na skraj lasu – nakazałem. Co w istocie było moim zadaniem, ponieważ to ja powinienem ustawić słup Vorszk w kierunku, w którym chciałem, by poleciały ogniste kule.

Młoda Szukrat, znacznie lepiej wyszkolona w posługiwaniu się słupem, nadleciała ze wschodu, nisko nad ziemią, i położyła ogień na front tagliański. Nie zmarnowała bodaj jednej kuli ognistej.

Nasze siły lądowe zatrzymały się. Ospala nie wydała rozkazów do odwrotu, ale nie miała też zamiaru narażać żołnierzy na skutki działania kolejnych zabójczych czarów.

Nie będę wiedział, jak wielkie ponieśliśmy straty, póki nie znajdę się na ziemi. Co zresztą nastąpi już wkrótce, ponieważ Murgen i ja wyczerpaliśmy zapas kul ognistych i nie było powodu, by nadal przebywać w powietrzu.

Nie miałem wielkich kłopotów z wyobrazeniem sobie, jak gdzieś w tym lesie Duszołap śmieje się do rozpuku, myśląc o szkodach, jakie nam wyrządziła.

Taglianie wyprowadzili jeden nieskoordynowany, nieskuteczny kontratak, który zmienił się w prawdziwą jatkę, kiedy nie wytrzymali i znowu rzucili się do ucieczki. Czary Protektorki nie rozróżniały przyjaciół i wrogów, tylko kierunek, w jakim poruszali się żołnierze.

Wylądowaliśmy na dalekich tyłach. Dosiadłem znów konia i ruszyłem naprzód. Skutki magii Duszołap okazały się straszliwe. Miejsca, w których rozkwitały paki światła, jarzyły się czerwienią tak głęboką, że omal wpadającą w czern. Natomiast otaczająca kręgi czern tła powoli zanikała, a spod niej wyłaniała się stratowana trawa niczym kielkujące źdźbła pszenicy ozimej. Jednak wewnątrz kręgów bardziej osobliwe powschodziły plony.

Ludzie. Pochłonięci przez ziemię, jedni tylko po kostki, inni na wysokość bioder albo jeszcze wyżej. Zamarli w natarciu, we wciąż nienaruszonym szyku. Ale w żadnej z tak odmiennych zbroi nie tliła się choćby iskierka życia.

Ktoś już spróbował zdjąć kilka. Wewnątrz nie znalazł nic prócz zwęglonego ciała i kości. Wedle pobieżnego rachunku groza, która nastąpiła omal zbyt szybko, by w ogóle zrozumieć, co się stało, mogła pochłonąć od czterystu do pięciuset żołnierzy.

– Coś tu jest nie w porządku – powiedziałem. – Duszołap chyba zrezygnowała.

– Co? – zapytał Murgen. Niezwykle ostrożnie badał jeden ze śmiertelnych kręgów. Odkrył, iż jest już zupełnie zimny, a grubość jego powierzchni nie sięga nawet na palec. – Co to jest? – Później, kiedy zebraliśmy już ciała poległych, przekonaliśmy się, że tak naprawdę wcale nie pochłoneła ich ziemia. Części ciał z pozoru zapadłe pod powierzchnię w istocie nie istniały. Prawdopodobnie zupełnie się rozpląnęły.

– Duszołap przestała się z nami bawić. Jakimś sposobem musiała przecież kontrolować te kręgi. W przeciwnym razie pozabijałyby również ich żołnierzy podczas pierwszego odwrotu. Ale ten efekt już nie działa. Co się zmieniło? Co się stało?

Nagle padlinożercy kołujący nad lasem gwałtownie sfrunęli w dół, spiralą, jakby chcieli coś zaatakować.

– Zobaczmy, co u Ospałej – stwierdziłem.

Ospała słała zwiadowców, aby zbadali rozmiary katastrofy. Jak dotąd żaden śmiertcionośny kwiat nie rozwinął się na naszych najbardziej odległych flankach.

Ptaki zatrzymały się, kołując ponad samymi szczytami drzew, jednak ich zachowanie wciąż przypominało raczej taktykę drapieżców niżli padlinożerców. Jeden uległ pokusie i opuścił się odrobinę niżej.

W górę, jak język gigantycznej ropuchy, skoczyła złoto-brązowa niczym mocz pręga. Ptaka otoczył rozbryzg światła. Przez chwilę widać było zarys sylwetki jakby wyciętej z czarnego papieru. Potem rozsypała się ona na setkę kawałków. Spłynęły w dół jak liście spadające z drzew.

Reszta ptaków postanowiła poszukać szczęścia gdzie indziej.

Oprócz mnie nikt nie dostrzegł, co się stało.

Gdzie były te moje cholerne kruki? Mogłem wysłać je, by sprawdziły, co jest grane, równocześnie nie narażając w najmniejszym stopniu mojej kochanej dupy. Jaki jest sens udawania postaci mitologicznej, skoro nie jestem zdolny do żadnych mitycznych czynów?

Kilka chwil później Tobo i Wyjec byli już ponad lasem, obrzucając siły tagliańskie prowizorycznie skleconymi bombami.

Pani dołączyła do nas, zanim jeszcze zwiadowcy Ospałej odkryli, czy możemy bezpiecznie przemieszczać się skrajem strefy śmierci. Przyniosła ze sobą mapę, którą przedstawiła pani Kapitan. Jeden rzut oka upewnił mnie, iż moja ukochana nie marnowała czasu spędzonego w górze. Dokładnie naniosła na mapę śmiertelne kręgi. Wzór natychmiast stał się widoczny. Stanowiska wciąż jeszcze aktywnych pułapek oczywiste. Chyba że Duszołap zdawała sobie sprawę z naszych napowietrznych zdolności. Wówczas kręgi śmierci zamierzone zostały z pewnością tak, by pchnąć nas w pułapkę jeszcze bardziej okrutną i ponurą.

Ospała natychmiast wezwała do siebie dowódców batalionów.

W pół drogi pomiędzy:
NIEPRZEWIDZIANE

Żołnierze Duszołap walczyli uparcie, broniąc przez jakiś czas frontu na linii drzew, jednak już wcześniej zostali poharatani zbyt mocno, by stawić przyzwoity opór zawodowym rzeźnikom.

Większości Taglian nie zależało bynajmniej na tym, by ich żony i dzieci musiały opłakiwać utratę mężów i ojców. Ospała wydała rozkazy, aby pozwolono odejść każdemu, kto złoży broń.

Oszczędzona jej rzeź kwiatu młodzieży imperium z pewnością nie zaszkodzi gospodarce tagliańskiej, którą przyjdzie odziedziczyć Prabrindrahowi Drahowi. W istocie kraj dopiero dochodził powoli do siebie po przerażających stratach, jakimi zaowocowały wojny z Władcami Cienia i wojny kiauluńskie.

– W najmniejszym stopniu nie przypomina to tak spektakularnego zwycięstwa, na jakie miałam nadzieję. Ale jakoś to zniesiemy – powiedziała Ospała. – Mimo poniesionych strat. Tę wojnę można było wygrać już dzisiaj.

Tymi słowami zasłużyła sobie na szereg zdumionych bądź niedowierzających spojrzeń. Duszołap wciąż gdzieś tam była, a jej nastrój z pewnością jawił się paskudny. Należało oczekiwać kolejnych niemiłych niespodzianek.

– Jeśli jednak będziemy naciskać na nią zdecydowanie, do Taglios dotrze rozkojarzona.

Plan Mogaby należało uznać z pewnością za ryzykowny. Tyle też powiedziałem.

– A jakiegokolwiek czułe słówka szeptało mu do ucha sumienie kilka miesięcy temu, kiedy jego wrogowie naprawdę zastukają do drzwi,

z pewnością znacznie bardziej będzie się martwił o ratowanie własnej skóry.

Ospała zaczęła już coś mówić na temat Aridaty Singha, jednak ugryzła się w język.

Na zabójczej ziemi rozbłysło karminowe światło. Posługując się mapą Pani, Tobo zaczął niszczyć miny-pułapki, bombardując je z latającego dywanu Wyjca.

Ospała zwróciła się do Popłocha Singha:

– Kiedy Tobo już skończy, chcę, żebyś przegonił w tę i z powrotem wziętych do niewoli jeńców. Żaden z tych kręgów nie ma prawa się ostać. Jakiś dzieciak mógłby się na nie natknąć i dać się zabić. – Jakby okolica wręcz roiała się od głupiej dzieciarni.

– Znacznie lepiej byłoby, gdyby dało się przejąć kilka tych kręgów i ewentualnie wykorzystać – wtrąciłem. – Gdyby Mogaba miał coś takiego, dysponowałby większą szansą zabicia Duszołap.

Pani zniszczyła całą radość płynącą z tej myśli.

– Wyczułaby. Sama je stworzyła. Z pewnością dodała bezpieczniki uniemożliwiające użycie ich przeciwko niej.

W lesie podniosły się liczne okrzyki. Tobo i Szukrat skoczyli w tamtą stronę, na wypadek gdyby żołnierze potrzebowali pomocy. Kilka chwil później ujrzelśmy dywan Wyjca mknący ku nam.

Tobo nawet nie kłopotał się, by zsiąść na ziemię. Oznajmił tylko:

– Znaleźli Córkę Nocy. Zamkniętą w klatce. Duszołap uciekła, zostawiając ją.

Pani i ja wymieniliśmy spojrzenia. To wydawało się kompletnie nieprawdopodobne. Chyba że dziewczyna była przynętą w jakiejś naprawdę paskudnej pułapce. Całkiem możliwe. Duszka obsiała przecież pole śmierci, które pochłonęło naszych żołnierzy, a Nierozpoznane Cienie nic o tym nie wiedziały.

W pół drogi pomiędzy:
POJMANIE

Klatka znajdowała się w namiocie o zapadniętych ścianach. Kilka kul ognistych przebiło płachtę, jednak jakimś sposobem żadna nie zaproszyła ognia.

– Zachowujcie skrajną ostrożność – oznajmiłem wszystkim zebranych. – Jeśli można sobie wyobrazić chwilę najlepszą na to, by Duszołap czegoś spróbowała, to właśnie ona nadeszła.

Ospała rozkazała swym adiutantom, by rozproszyli ciekawskich żołnierzy. Już znajdowaliśmy się bliżej namiotu, aniżeli radziła Pani. Miało to widać tyleż samo wspólnego z osobą tej, którą spodziewaliśmy się w nim zastać, co z obawą przed ewentualną pułapką śmiertelnej magii.

Jak dotąd nikt jeszcze nie znalazł żadnej pułapki na tej linii oporu.

Pani zwróciła się do Tobo:

– Obejdź wszystko trzy razy. A potem sprawdź jeszcze raz. Wyjec, ty również poszukaj. – Potem zapytała, kierując swe słowa do wszystkich obecnych: – Gdzie Goblin? – Kiedy odpowiedź nie padła, podeszła do trzech żołnierzy, którzy znaleźli namiot i którym najwyraźniej nic się nie stało, mimo iż przed doniesieniem o odkryciu spędzili w nim jakiś czas na poszukiwaniu pamiątek. – Gdzie jest ten mały? Ten, który uciekł z warowni Nidźja.

Wzruszenia ramion. Mogli zresztą nie wiedzieć, o kim ona mówi. W końcu jednak któryś zebrał się na odwagę i rzekł:

– W środku jest jeszcze druga klatka. Przewrócona i zniszczona. Może udało mu się uciec.

Pani i ja wymieniliśmy spojrzenia. Dlaczego Goblin miałby uciec bez dziewczyny?

Nie zrobiłby tego.

– Nie ma niebezpieczeństwa – zawołał Tobo.

Wyjec próbował mu zawtórować, jednak jego głos natychmiast przeszedł w stłumiony krzyk.

– Coś tu się zdecydowanie nie zgadza – oceniłem. – Tobo, wyślij swoich niewidzialnych kumpli, żeby rozejrzeli się po okolicy. Chcemy wiedzieć przede wszystkim, co się stało z Goblinem i Duszołap. Najszybciej, jak to możliwe. Trzeba ruszać za nimi.

Ospała wyraziła zgodę nerwowym skinieniem głowy.

Pani i ja ostrożnie podeszliśmy do namiotu.

Miny-pułapki występują w rozmaitych postaciach.

Zgodnie z tym, co nam powiedziano, jedna zniszczona klatka była pusta. Druga również leżała na boku, drzwiczkami w dół. W jej wnętrzu, z bezwładnie rozrzuconymi członkami, spoczywała przystojna kobieta, niemająca na sobie nawet skrawka odzieży.

Pani zdumiała mnie zupełnie, podbiegając do klatki natychmiast i mamrocząc coś o biednej dziecinie. Schwyciłem ją za ramię.

– Spokojnie. – Ciało leżącej wyglądało na upozowane. Gdybyśmy wpadli w śmiertelną pułapkę przez nasze dziecko, które nie miało dla nas więcej uczuć niż dla koni, była czy czego tam jeszcze, co bez śladu przewijało się przez jej życie, poprawiłoby to pewnie humor Duszołap na całe dziesięciolecie.

Pani przystanęła, jednak na dłużej nie starczyło jej cierpliwości.

– Co?

– To nie jest Pierdu Pierdu. Nie wydaje mi się. – Ale przecież to nagie ciało nie mogło być złudzeniem, nieprawdaż? Goblin wprawdzie potrafił robić takie rzeczy... Tobo zapewniał jednak, że w środku nie ma żadnej magii.

Przykucnąłem, jęknąwszy, gdy zatrzeszczało mi w kolanach, sięgnąłem ręką przez pręty klatki i odsunąłem z karku kobiety skrywające go czarne włosy.

Potem pociągnąłem Panią w dół. Kiedy kucała, w kolanach zatrzeszczało jej równie paskudnie jak mnie.

– Spójrz tutaj. Niezłą potrafię wykonać robotę, co? Ledwie widać blizny. – Przesadzałem. Blizny wyglądały paskudnie. Ale nie sposób było po nich wnosić, że znajdowały się na karku kogoś, kto kazał przyszyć sobie głowę.

– Sprawdź stopę. Którą sobie okaleczyła? Prawą, zgadza się?

Odśloniłem prawą stopę kobiety. Natychmiast ujawniły się ślady obrażeń spowodowanych przez minę-pułapkę Goblina – oraz efekty amatorskiej chirurgii Duszołap.

– Nienawidzę jej jeszcze bardziej niż dotąd – powiedziała Pani. – Ponieważ wyjąwszy tę piętę i blizny na karku, wciąż wygląda tak samo jak w swoje dziewiętnaste urodziny. Co jej jest?

Odparłem:

– Na razie nie mogę powiedzieć. Ale nie zbliżę się do niej bardziej, póki nie będę wiedział, że to bezpieczne. Gdzie się podziali Tobo i Wyjec? Sprowadź ich tu zaraz. – Nawet bez magii sytuacja w każdej chwili groziła wybuchem. Kiedy odzyska świadomość, Duszołap będzie w paskudnym nastroju.

– To dziecko musi być naprawdę kiepskiego zdania o naszej inteligencji, jeśli sądziło, że nas to zwiedzie – zadumała się Pani.

To wcale nie było takie oczywiste. Może po prostu pojawiliśmy się, zanim pułapka została przygotowana do końca.

Tobo wrócił i poinformował nas:

– Kocica Sith właśnie wysłedziła Duszołap na północnym skraju lasu. Prowadzi Goblina na smyczy. Zebrała wokół siebie żołnierzy i zapędziła do budowy ziemnych fortyfikacji. – Ale jeden rzut oka na moją szwagierkę sprawił, że jego rzeczowość gdzieś zniknęła.

No proszę, czyż sytuacja nie rozwijała się ciekawie?

– Córka Nocy udaje, że jest Protektorką? – parsknęła Ospała.

Toboomalże się nie zachwiał, gdy dotarło doń, że patrzy z pożądaniem na kobietę starszą odeń o pięćset lat.

Pani, jak wówczas, kiedy dowodziła, zwolenniczka szybkiego i zdecydowanego działania, nalegała:

– Musimy na nią naciskać. Kimkolwiek jest. Każda chwila, jaką uda jej się zyskać, oznacza większe straty w ludziach i więcej kłopotów w późniejszym terminie.

Ospała wydawała się myśleć tak samo. Trudno było polemizować z nagą prawdą. Poszła więc przywrócić porządek i zorganizować dalszy atak. Zdawało się jednak dziwne, że Taglianie, po dwakroć już rozbici i ani dobrze wyszkoleni, ani szczególnie umotywowani, potrafili zdobyć się na poważniejszy opór. Tobo upierał się wszakże, iż tak właśnie jest, a przecież

chłopak nigdy nie pozwalał sobie na próżne fantazje. Przynajmniej tego rodzaju.

Nieprawdopodobne wydawało się nam, by Taglianie mogli być dobrze uzbrojeni. Większość ich żołnierzy porzuciła swoją broń podczas pierwszej ucieczki z pola bitwy.

Pani przelotnie schwyciła moją dłoń.

– Myślisz, że jeszcze kiedyś ją zobaczymy?

– Zaczynasz się powoli zastanawiać, czy ona przypadkiem nie jest równie daleko, czy nie jest wręcz równie nierealna jak Khatovar?

W podskokach nadbiegł Wierzba Łabędź.

– To prawda? Znowu złapaliśmy Duszołap?

– Wieści rozchodzą się szybko – odparłem. – Tak. To ona. Jestem raczej przekonany. Możesz się do mnie przyłączyć, kiedy będę ją badał. W ten sposób zyskamy dodatkową pewność. – Zdarzyło mu się być z nią bliżej, niżli ja kiedykolwiek miałem okazję, jako jej jednorazowy lekarz i chirurg. Będzie miał większe szanse odkrycia jakichś fizycznych znaków świadczących, że mamy do czynienia z kolejną chytrą sztuczką Duszołap. Jeśli po pięciu latach w ogóle pamiętał cokolwiek.

Osobiście nie sądziłem, że to sztuczka. Z siostrzyczką mojej ukochanej najwyraźniej nie było najlepiej. Czułem to, jeszcze zanim przyjrzałem się jej bliżej.

Łabędź zbadał jej ciało i jęknął. Sposób, w jaki Duszołap wykorzystywała go przed laty, nie zostawił mu miłych wspomnień. Ale też nie chował w sercu szczególnej nienawiści.

– Pod żadnym pozorem nie zapominaj, co ta kobieta ci zrobiła, Łabędź – rzekła Ospała. – Nie chcę, żeby coś podobnego zdarzyło się znowu. Jeśli zacznę cokolwiek podejrzewać, możesz być pewien, że trafisz w kajdany, zanim zdążysz o czymkolwiek pomyśleć.

Łabędź wyraźnie chciał protestować, oburzać się, że nie, nie ma mowy, by ta wiedźma znowu wlażała mu do głowy. Powstrzymał się jednak. Wiedział, że jest tylko ciałem i że ciało to niezdolne jest do śladu racjonalnego myślenia, znajdując się w pobliżu którejkolwiek z kobiet o krwi z tej samej, co Duszołap.

Historia jego życia mówiła sama za siebie.

– Dlaczego po prostu jej nie zabijemy? – zapytał. Zraniona duma gorzała pod zewnętrznym opanowaniem. – Tu. I teraz. Póki mamy najlepszą jak

dotąd szansę. Skończmy z tym raz na zawsze.

– Nie zrobimy tego, ponieważ nie mamy pojęcia, co uczynili jej Goblin i Pierdu Pierdu – warknąłem wściekły, ponieważ Pani jakoś dziwnie wahała się nad rozwianiem nadziei faceta, którego obiektem namiętności stała się niegdyś sama. Chyba nie zrobiła się na starość sentymentalna, co? Ani nie odkryła w sobie rodzinnych uczuć? Ona i jej siostra miały w sobie wrogów najstarszych spośród żyjących. – Poza tym, choć Duszka wprawdzie nie pomoże nam bardziej, niż absolutnie będzie musiała, jednak jakiejś pomocy udzieli. Chwilowo.

Pani pokiwała głową. Jej siostra była szalona, ale szaleństwem pragmatycznym.

Sama siostrzyczka Duszołap nie zdradzała tymczasem najłżejszych oznak dochodzenia do siebie.

Nie powiedziałem tego, ale mój wybuch wziął się poniekąd z bezradności. W coraz większym stopniu pewien byłem, że z Duszołap jest coś poważnie nie w porządku. Obawiałem się, że może umiera. Na to samo, na co umarł Sedvod. Ale nikt inny tego nie dostrzegał.

Fakt, iż jest teraz na naszej łasce, napawał pozostałych zbyt wielkim uniesieniem.

W pól drogi pomiędzy:
NIEPRZYJEMNA PRAWDA

Od dłuższego już czasu Pani i Łabędź próbowali doprowadzić Duszołap do stanu, w którym będzie dostatecznie przytomna i świadoma, by zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazła, oraz jej ponure konsekwencje. W międzyczasie przyłączyli się do nich Murgen, Tai Dei, Sahra i Wujek Dodż. W swoim czasie zamierzali zmusić ją, by udzieliła nam pomocy, tymczasem jednak pragnęli ponapawać się triumfem nad pokonaną.

Duszołap nie zamierzała współpracować. Pozostawała uparcie nieświadoma, dokładnie tak samo jak wcześniej Sedvod.

Wrzawa potyczki podnosiła się i cichła w oddali, nigdy nie przybierając poważniejszych rozmiarów. Nasi chłopcy najwyraźniej nie mieli więcej ambicji niż wrogowie. Trudno było ich winić za to, że nie chcieli dać się zabić, skoro wynik bitwy został już rozstrzygnięty.

Nadbiegł Rzekołaz.

– Kapitan przesyła wyrazy uszanowania, pytając równocześnie, czy nie mógłbyś przyjść i służyć pomocą? Zaistniała specyficzna sytuacja. Chętnie skorzystałaby z porady.

– Niech mnie cholera – powiedziałem. – A już sądziłem, że nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć.

– Jaka sytuacja? – zapytał Murgen. Na nim obecność Duszołap nie wywierała większego wrażenia. Rozumiał natomiast, że kiedy słowo „sytuacja” zostało użyte w tym kontekście, oznacza to, że wkrótce jego syn zostanie poproszony o zajęcie się czymś szczególnie niebezpiecznym.

– Mamy kłopoty z rozwiązaniem sprawy niedobitków wroga.

– Dlaczego nie zostawić ich w spokoju, do diabła? – zasugerowałem. – Wycofują się przecież.

Rzekołaż zignorował me słowa.

– Mniej więcej w odległości stu metrów od pozycji obronnych tamtych żołnierze tracą zainteresowanie walką. Nieliczni, którym udało się podejść na pięćdziesiąt metrów, mówią, że zaczynały znienacka nawiedzać ich myśli, jak głupio czynią, wtrącając się w jej sprawy, i że powinni pomóc wypełnić jej święte przeznaczenie. Nie bardzo potrafili powiedzieć, do kogo to się odnosi, ale zakładali, że myśli te dotyczą Protektorki, ponieważ ona jest diabłem, którego znają i którego mają ścigać.

Pani skinęła na mnie, a potem mruknęła:

– Ja się tym zajmę. Ty unieś dywan i słupy w powietrze, a następnie zbombardujcie stanowisko dowodzenia spoza zasięgu zaklęcia.

– Kule ogniste prawie się skończyły.

– A więc zrzućcie na nich głązy. Albo płonące gałęzie. Czy coś innego, co zmusi ją do zatroszczenia się przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Za każdym razem, gdy będzie chronić własną osobę, kilku jej żołnierzy wyłamie się spod władzy uroku. A wtedy natychmiast zmądrzeją i wybiorą drogę ucieczki.

Spokojna ufność przepełniająca jej słowa dawała do zrozumienia, że taktykę tę zna już od dawna.

Zwróciłem się do zebranych:

– Przede wszystkim należy zabrać sporo strzał. Zrzucimy je w dół z wysokości, do której nie będzie w stanie sięgnąć. Spadając ze stu pięćdziesięciu metrów, nabiorą dość pędu, by zadać spore straty. – Poczujęm, jak żołądek skręca mi się w ciasny supeł. Mówiłem o bombardowaniu istoty poczętej z mego ciała i krwi.

Jakaś część mnie wiedziała jednak, że dziewczynie nic się nie stanie. Inna zaś doskonale zdawała sobie sprawę, iż konfrontacja ta była nieunikniona od chwili, gdy Narajan Singh porwał nasze nowo narodzone dziecko z ramion Pani.

Wszystko poszło jak należy. Dziewczyna odziana w kostium swej ciotki została zmuszona do umykania przed pociskami; Goblin podążał w ślad za nią. Wystrzeliliśmy ostatnie kule ogniste i zrzuciliśmy ostatnie bomby zapalające. Nieunikniony w takich okolicznościach brak celności rozbudził we mnie na powrót cyniczną postawę wobec naszych szans na rychłe zaczerpnięcie oddechu.

Tamtych dwoje próbowało bronić się aktywnie. Kiedy któryś z lotników opuszczał się poniżej określonej wysokości, w górę leciała pręga światła o barwie uryny. Jednak dostarczałem im zbyt wielu zajęć, by mogli w pełni dowieść swego magicznego mistrzostwa. Nie potrafiłem wszelako stwierdzić, które z nich jest źródłem zabójczego światła.

Nie umknęło także mojej uwagi, iż dziewczyna zdawała się całkowicie nieświadoma, że ten odziany w paskudny kostium facet w górze to jej kochający tatuś.

Nasi żołnierze szybko zorientowali się w sytuacji i skorzystali ze zmiany perymetru wokół sił tagliańskich.

Córka Nocy nie miała żołnierskiego doświadczenia, lecz uczyła się szybko. Łatwo podejmowała decyzje, a nadto dysponowała cennym doradcą w postaci człowieka, który spędził na wojaczce ponad wiek.

Goblin najwyraźniej kazał jej przejść do ataku, aby jak najwięcej wydusić z żołnierzy wciąż pozostających we władzy uroku. Zaatakowała więc. Szła prosto na Ospałą, nie zwracając uwagi na zasypujące ją pociski. Nasi ludzie nie mieli innego wyboru, jak wycofać się, równocześnie nękając ją ze skrajnie dalekiego zasięgu. Każdy, kto znalazł się zbyt blisko, przechodził raptowną wewnętrzną przemianę i niepomny tego, co się stało, ruszał do boju w imię mesjasza Oszustów.

Ponieważ Pierdu Pierdu była całkowicie obojętna na straty wśród własnych żołnierzy, mogła prowadzić atak we wszystkich kierunkach naraz, niszczyć punkty oporu, zanim na dobre zdążyły się zorganizować, zdobywać jednego nowego rekruta na każdych dwóch, trzech straconych. Dodatkowo pomagał jej fakt, iż nasi łucznicy mieli emocjonalne opory przed rażeniem żołnierzy, którzy jeszcze nie tak dawno byli ich towarzyszami broni. Dziewczynie o mały włos nie udało się nawet odbić Duszołap.

I wtedy Tobo spieprzył sprawę.

Założył, że jego siła w połączeniu z magią Wyjca wystarczy do pokonania niewyszkolonej dziewczyny, jeśli tylko runą na nią zniecka, z całkowicie nieoczekiwanej strony. I być może miał rację. Zapomniał jednak, że jej towarzyszem nie jest ten Goblin, którego znał od dzieciństwa. Tylko Goblin zarazony niegodziwą boskością.

Błyskawiczny cios światła barwy uryny uderzył w latający dywan na moment przedtem, nim Tobo i Wyjec wyprowadzili cios całą posiadaną

mocą. Korpus dywanu rozsypał się w trzepocie czarnych odłamków. Oni sami wraz z resztą załogi polecili na łeb na szyję, chronieni przed mocą zaklęcia, ale nie przed brutalnym przyjęciem przez gałęzie drzew, w korony których wpadli. Wyjec dobył z siebie kilka niezbyt przekonujących wrzasków.

Bicz światła w kolorze uryny okazał się magicznym ekwiwalentem ciosu w mistyczny splot słoneczny, podziałał z równą skutecznością tak na starego, jak i młodego czarownika. Jednak ich zaklęcia spowodowały znaczne straty wśród obrońców Pierdu Pierdu. Udało im się nawet ogłuszyć dziewczynę i Goblina. Ponieważ jednak twórcy zaklęć, zamiast uderzyć powtórnie, obijali się o gałęzie drzew, pozostałym nie dane było skorzystać z sytuacji.

W pół drogi pomiędzy:
NA ODSIECZ

Sytuacja stała się poniekąd patowa. My nie potrafiliśmy dostać Goblina i Córki Nocy w chwili, gdy byli najbardziej odsłonięci. Ich zbiry natomiast nie miały pojęcia, że straciliśmy właśnie najpotężniejszą z naszych broni, przynajmniej na jakiś czas. Moje kruki, które bezczelnie wróciły do mnie dopiero po to, by przekazać słowa Tobo, poinformowały mnie, że obaj czarodzieje ocaleli, ale odnieśli rany. Ukrywali się w krzakach, kilkanaście metrów od miejsca, gdzie znajdowali się Goblin i Córka Nocy, zresztą również ledwie żywi.

Próbowałem niepostrzeżenie przekazać wieści Ospalej, Sahra była jednak zbyt czujna. W ciągu kilku chwil wprawiła się w taki stan, że nawet Murgen nie potrafił jej nic przetłumaczyć.

- Musicie coś zrobić! – wrzeszczała.
- Córka Nocy cię usłyszy – warknął Murgen.
- Musicie go stamtąd wydostać!
- Cicho bądź!

Zgadzałem się z nią. Ktoś powinien coś zrobić. A tym kimś równie dobrze mogłem być ja. Jednak prawdziwej pomocy oczekiwać mogłem tylko od moich kruczycy asystentów. Na przemian donosili o tym, że Tobo jest nieprzytomny lub całkowicie oszołomiony. Nie potrafili wydobyć odeń żadnych sensownych rozkazów. Nie zwracali na mnie uwagi, kiedy próbowałem przekazać przez nich instrukcje pozostałym Nierozpoznanym Cieniom. A te powoli gromadziły się w całej sile, tak że nie sposób było nie zauważyć ich kątem oka, kiedy człowiek poruszał się lub odwracał niespodzianie.

– Nie uda się nam dotrzeć do niego – Murgen przekonywał Sahrę. Wreszcie potrząsnął nią. Nie słuchała. Gdyby nadstawiła ucha, musiałaby dopuścić do siebie przerażającą prawdę.

Szukrat wystąpiła naprzód.

– Ja mogę go ściągnąć – oznajmiła.

Sahra umilkła. Nawet Ospala przerwała wydawanie rozkazów mających na celu wycofanie naszej armii i popatrzyła na nią przez moment.

– Potrzebuję moje rzeczy z powrotem – poinformowała nas Szukrat. Mówiła już z nieznacznie obcym akcentem. – Jeśli będzie mnie chronić własna odzież, zakłęcie nie będzie miało do mnie dostępu. – Tagliańskim posługiwała się już ze swobodą pozwalającą na normalną rozmowę.

Histeria Sahry rozwiązała się w okamgnieniu. Nigdy nie zrozumieję tej kobiety. Byłbym gotów się założyć, że taka propozycja tylko pogorszy sprawę.

Pozostali wymienili spojrzenia. Bez Tobo nie uratujemy się. A przynajmniej nie będziemy mieli czego szukać w tym świecie, mając takich wrogów. Trzeba było go wydostać, zanim Córka Nocy zda sobie sprawę ze sposobności, którą los rzucił do jej stóp.

– Kiedyś i tak musicie mi zaufać – ciągnęła dalej Szukrat. – To może być najlepsza chwila na podjęcie takiego ryzyka.

Może nie była taka głupia, za jaką chciała uchodzić.

Tobo jej ufał.

Spojrzałem ponad jej głową w kierunku miejsca, gdzie Ospala znowu zapalczywie kłóciła się z Iqbalem Singhiem i jakimś oficerem w poszczerbionej zbroi z Hsien. Słyszała. Machnęła tylko dłonią i skinęła głową na znak, że pozostawia decyzję mnie. Znałem przecież dzieciaki Vorszk znacznie lepiej niż ona.

– W porządku – powiedziałem Szukrat. – Ale lecę z tobą.

– Jak?

– Włożę rzeczy Gromovola...

Była bardziej rozbawiona niżli przestraszona, aczkolwiek znać było też po niej zdenerwowanie. Martwiła się o Tobo.

Ponieważ pozwalałam, by dręczyły mnie obsesje na tle lojalności, braterstwa i dochowania wierności czasom minionym, często trudno mi uwierzyć, że inni ludzie potrafią tak elastycznie dostosować się do sytuacji,

jak to rzeczywiście ma często miejsce. Nie potrafiłbym równie łatwo jak Szukrat pogodzić się z tak dramatyczną odmianą losu.

– To się nie uda, co? – zapytałem.

– Nie. Te ubiory wykonano specjalnie dla każdego z nas. Dopasowując do osoby. – Mówiła z naprawdę nieznacznym akcentem, wcale nie silniejszym od mojego, ale słownictwo miała jeszcze ubogie. Dlatego posługiwała się prostszymi zdaniami, niżby chciała. – Chociaż można je dopasować, jeśli krawiec będzie dostatecznie zręczny. Jednak zdobycie takich umiejętności wymaga dwudziestu lat nauki.

– W porządku. Gdzie są te rzeczy? W wozie Tobo? – Dzieciak miał ze sobą tyle śmieci, że potrzebował własnego wozu i woźniców, którzy się nim zajmowali. Na wozie znajdowały się rzeczy zaiste przeróżne, od zabawek po wszelkie cuda. Przez całe życie pobłażano mu, więc z niczego nie chciał rezygnować. – Idziemy.

Miałem nadzieję, że wozu nie chronią żadne zaklęcia, które uniemożliwią nam uratowanie jego pryszczatej młodej dupy.

W pół drogi pomiędzy:
ODSIECZ

Porządnie odziana w swój rodzinny kostium, Szukrat sprawiała znacznie groźniejsze wrażenie niż ta milutka pieguska, która kręciła się przy Tobo. Jej ubiór natychmiast ożył, jakby podniecony perspektywą spotkania. Czarna materia falowała bezustannie wokół jej ciała. Ona sama wyglądała niczym Nerozpoznany Cień, który pozwolił się zobaczyć w pełnej krasie. W błękitnych oczach lśniły iskierki. Podejrzywałem, że cała sytuacja naprawdę trochę ją bawi.

– Ojciec Tobo i ja pójdziemy z tobą tak daleko, jak się da – poinformowałem ją, aczkolwiek z pozoru wcale nie potrzebowała naszego wsparcia. Rozumiała jednak, że wraz z Murgeniem pójdzie również Tai Dei. A Tai Dei nie ufał jej nawet na jotę.

Skomplikowana niekiedy sieć naszych osobistych zależności Szukrat nie interesowała. Oczywiście nigdy nawet nie rozmawiałaby o takich sprawach ze starym pierdzielem.

Nie pamiętała, że miała na sobie ten sam ubiór w dniu, gdy wpadła w nasze ręce. Kiedy bynajmniej nie była sama. Zapomniała, że nie jest niewyciężona.

Czarownikom nigdy nie brakuje pewności siebie. Zwłaszcza młodym czarownikom.

Ci, których pewność siebie jest uzasadniona, dożywają późnego wieku.

Pluton elitarnych żołnierzy niepostrzeżenie podąży naszym śladem, trzymając się dostatecznie daleko, by nie drażnić dumy dziewczyny, jednak dostatecznie blisko, by uratować jej miły, zgrabny tyłeczek, jeśli jej wiara we własne siły okaże się przesadzona.

Przez wzgląd na Tobo, ja również, przynajmniej dzisiaj, postaram się zadbać, by dane jej było zostać doświadczoną czarownicą.

Murgen zwędził gdzieś miotacze kul ognistych dla siebie i Tai Deia. Jakby znikąd pojawił się Wujek Dodż i wraz ze Spopielającą Różdżką wprosił się do składu wyprawy. Mógł sobie być stary jak świat, ale wciąż miał więcej energii ode mnie. Wraz ze swymi adeptami przemykał przez przetrzebiony las w ciszy tak absolutnej, że momentami sądziłem, iż straciłem słuch. Moje stare kości zdradzały znacznie mniej ochoty do współpracy, a więc skończyłem w ariergardzie. Dzisiaj całe ciało z uporem przypominało mi, że nie tak dawno temu odniosłem poważne rany. Aczkolwiek z drugiej strony bez tego rzadko mijał dzień.

Wciąż miałem na sobie zbroję Pozeracza Żywotów. Chociaż jej hsieńska kopia była znacznie cichsza niż metalowy oryginał roboty Duszołap, dalej zdawało mi się, że wszyscy muszą słyszeć skrzypienie i trzeszczenie.

Wbrew radzie Pani wzięłem ze sobą włócznie Jednookiego.

Latający słupek Szukrat podążał w ślad za nią. Siedziały na nim moje kruki, jeden wskazywał kierunek, drugi gotów był w każdej chwili zanieść na tyły wieści o nieoczekiwanych świątecznych pozdrowieniach.

Zaiste gdzieś w świecie byłoby to święto. Los ofiarował mi także mgnienie postaci Goblina w oddali, najwyraźniej nieprzytomnego, dokładnie tak samo, jak to bywało onegdaj, kiedy korzystał z wymówki święta, by upić się do nieprzytomności. Ścisnąłem mocniej czarną włócznie.

Również dziewczynę zobaczyłem przelotnie. Poruszała się, ale z wysiłkiem, niczym pijak na krawędzi zamroczenia. Przypomniał mi się pewien dzień, dawno temu, kiedy wraz z bratem o imieniu Kruk, w imię Duszołap zastawiliśmy pułapkę na czarownicę zwaną Szept. Zmienne są koleje losu. W owym czasie szalona kobieta była naszym pracodawcą. Teraz pracowała dla nas. A przynajmniej otrzyma sposobność pracy dla nas, jeśli uda mi się utrzymać ją przy życiu. To może się okazać niełatwym zadaniem.

Widok dziewczyny i starego przyjaciela bardzo zabolął. Pożałowałem, że mam przy sobie broń, której mogę użyć, aby z nimi skończyć, tu i teraz.

Włócznia Jednookiego zdawała się poruszać w mojej dłoni.

Wskazałem tamtych Murgenowi i Tai Deiowi.

– W drodze powrotnej. Kiedy będziemy już mieli Tobo i Wyjca – wydyszałem i wykonałem gest w kierunku ich bambusowych tub.

Murgen z trudem zachował niewzruszone oblicze. Tai Dei nie miał takich problemów. Na ile mogłem się zorientować, pojawił się na świecie niewyposażony w mimikę twarzy. Wujek Dodż skinął głową. Ten już dawno temu musiał zaprzyjaźnić się z niemiłą koniecznością.

– Ja to zrobię, jeśli uważasz, że nie dasz rady – powiedziałem do Murgena. Czasami trzeba swe serce otoczyć grubym murem.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków i natknęliśmy się na zjawisko emocjonalne, o którym donosili żołnierze. Jednak przy obecnym stanie dziewczyny czar stracił władzę nad rozumem. Wystarczyło się po prostu skoncentrować na niechęci do pokochania Córki Nocy.

Zastanawiałem się, jak wszystko mogło wyglądać, kiedy pozostawała w pełni władz umysłowych.

Tobo znaleźliśmy bez żadnych problemów. Wyjec leżał w odległości trzech metrów, cudownie cichy. Bogowie potrafią zabawiać się w zdumiewające gierki.

Zbadałem chłopaka, zanim pozwoliłem go choćby ruszyć. Puls miał silny i regularny, jednak całe ciało pokrywały skaleczenia i siniaki. Z pewnością połamał też liczne kości. Przez dłuższy czas nie będzie zeń żadnego pożytku.

– Nic by mu się nie stało, gdyby miał na sobie to. – wyszeptała Szukrat i wskazała swe szaty. Faktycznie wydawały się odporne na czary. Zgodnie z tym, co przewidywała, nie czuła żadnych efektów emanacji Córki Nocy.

Potem jednak, w miarę jak Pierdu Pierdu dochodziła do siebie, zaczęło się robić coraz trudniej, działaliśmy z coraz większym wysiłkiem.

Umieściliśmy Tobo na niezgrabnych noszach, które przymocowaliśmy pod latającym słupem. Wyjca ułożyliśmy na samym drzewcu. Mocno związanego. Cieleśnie nie ucierpiał znacząco, lecz nie odzyskiwał przytomności. Łachmany posłużyły mu lepiej niż jakakolwiek zbroja.

Teraz jednak będzie musiał znaleźć sobie jakiś śmietnik w zaułku i wyszperać nowe szmaty. Rozpaczliwie potrzebował nowego ubranka. To, co miał na sobie, nie zasługiwało już nawet na miano łachmanów.

Kazałem Tai Deiowi i Murgenowi zebrać tak dużo szczątków latającego dywanu, ile się tylko da bez przyciągania uwagi Taglian. Nie wiadomo, czego będzie można z nich się dowiedzieć. Nie chcieliśmy przecież, by

Goblin i Pierdu Pierdu wpadli na jakieś błyskotliwe pomysły w kwestii usprawnienia własnej mobilności.

Tę właśnie chwilę Wyjec wybrał na to, by się obudzić, przeciągnąć i pozdrowić świat porządnym wrzaskiem. Przycisnąłem uzbrojoną dłoń do ust małego bękarta, ale spóźniłem się o mgnienie oka.

Wokół zaroilo się od ludzi Córki Nocy. Goblin otrząsnął się z otępienia i rozejrzał dookoła, jednak dalej nieco nieprzytomnym wzrokiem. Ktoś desperacko żądnym stanął między niebezpieczeństwem a dziewczyną wpadł na nią tak gwałtownie, że zbił ją z nóg i w rezultacie tylko pogłębił jeszcze jej oszołomienie.

Zakłęcie „kochaj mnie” osłabło wyraźnie.

Wokół nas zmaterializowało się sześciu tagliańskich żołnierzy. Pierwsi dwaj stanęli jak wryci na widok mnie i Szukrat. Idący z tyłu wpadli na nich.

Dodż skoczył niczym człowiek niemający nawet trzeciej części swych lat. Spopielająca Różdzka zalsniła w tańcu śmierci.

Pojawiło się więcej żołnierzy. Znacznie więcej. Murgen i Tai Dei opróżnili swoje miotacze kul ognistych, a potem wyciągnęli miecze i dołączyli do Dodża, tkając stalową draperię.

– Idziemy – powiedziała Szukrat. – Już! Wystarczy, że popchniesz *raitgaistide*. Polecisz przed tobą. – Ale tylko w linii prostej, o czym natychmiast się przekonałem. Zmiana kierunku wymagałaby chyba udziału kilku ludzi, którzy musieliby mocno się postarać, by pchnąć go w inną stronę, a i wtedy dalej ruszyłby idealnie po prostej.

Ja jednak nie miałem nikogo do pomocy. Krewni Tobo zajęci byli przerabianiem tagliańskiej armii na kruczą karmę o rozmiarach pojedynczych kąsków. Szukrat zabawiała się w chowanego z oddziałem tagliańskich łuczników.

Kiedy strzały już miały ją trafić, kontury jej sylwetki jakby zamazały się na chwilę. Płaszcz zawirował, otaczając ją niby chmura. Żaden grot nie sięgnął celu.

Po chwili wokół Szukrat zalsnił obłok tysiąca obsydianowych płatków. Mimo iż wiatr dał nam w twarz, obłok skierował się ku Taglianom. Nie minęła chwila, a żołnierze już klęli, otrzepywali mundury, zapominając całkowicie o niedawnych wojowniczych zamiarach względem mnie.

Jeszcze lepiej.

Przez całe lata przyglądałem się, jak Jednooki i Goblin tworzyli identyczne żądła, zazwyczaj jednak mające kształt pszczoł lub szerszeni. Pewnego razu jeden z nich poderwał armię mrówek i kazał jej zaatakować drugiego. Większość sił twórczych poświęcali przez większość swego życia na dręczenie się wzajemnie.

Tęskniłem za tymi wypierdkami, za kłopotami, jakie sprawiali, i całą resztą.

Nie był to czas szczególnie dobrej zabawy dla tagliańskich wyznawców mesjasza Oszustów, nieważne już czy spontanicznych, czy przymuszonych. Rodzina Tobo urządziła im prawdziwą rzeź.

I wtedy ten przeklęty Goblin pojawił się niczym wygłodniały wampir wyskakujący z grobu. Wylądował wśród własnych żołnierzy. Powalił trzech lub czterech. Dodża, Tai Deia i Murgena rozrzucił jak piórka. Ich miecze z pozoru nie mogły go dosięgnąć. Najsilniejsze ciosy, docierając do celu, wywoływały taki odgłos, jakby zapadały się w nasiąknięty wodą pień drzewa. I czyniły tyleż szkód, ile można by oczekiwać po rąbaniu mieczem potężnej, starej, ciężkiej od wilgoci kłody.

Przed oczyma stanęły mi ostatnie godziny życia Jednookiego. Ale równocześnie poczułem, że moje ciało porusza się, jakby prowadzone własną wolą. Drzewce czarnej włóczni szarpnęło mi się w prawej dłoni, jej grot otoczyła poświata.

Istota, która była Goblinem, odtrąciła cios wystarczająco szybkim gestem, by uniknąć przebicia. Zarobiła jednak cięcie, które wymagałoby zycia, gdyby dalej pozostawała prawdziwym Goblinem.

Jednak skóra tego stwora była twardsza chyba niż długo wędzona szynka.

Na jego twarzy pojawił się wyraz całkowitego zdumienia, który przeszedł w grymas okropnego bólu. Włócznia ciskała skry i dymiła w mojej dłoni. Potwór wrzasnął. Przez chwilę ujrzałem prawdziwego Goblina, wyglądającego zza zdjętych udreńką oczu.

Z trudem odzyskałem równowagę i spróbowałem zadać poważniejsze pchnięcie.

W ogóle go nie dosięgnąłem. Uciekł, całkowicie przerażony moją bronią. Rana wyglądała tak, jakby już wdała się gangrena.

Wszystko to trwało dosłownie chwilę. Żołnierze, którym kazałem podążać za nami, nie marnowali czasu. Leżąca wciąż na ziemi Pierdu

Pierdu nie potrafiła emanować dostatecznie silnym „kochaj mnie”, żeby pozbawić ich zdolności bojowej. Otoczyli nas i zaczęli ewakuować z pola walki.

– Mogę iść sam! – warknąłem. Chociaż sił już mi prawie nie stawało. Schwyciłem latający słupek i zacząłem go prowadzić.

Żołnierze musieli nieść Dodza i Tai Deia. Murgen wspierał się na ramieniu kolejnego, któremu tymczasem udało się zarobić ranę.

Nie wyglądało to dobrze dla rodziny Ki.

Pojawiali się kolejni nasi ludzie.

Pochyliłem się nad słupek, starając się zachować spokój. Za moimi plecami nasilał się zgielek potyczki. Z obu stron ruszali do boju kolejni żołnierze. Losy walki zmieniały się, w miarę jak dziewczyna na przemian słabła i odzyskiwała siły. Najwyraźniej miłosne zaklęcie szybko ją wyczerpywało.

– Nienawidzę takiej walki – poinformowałem Ospałą, kiedy przyszła zobaczyć, jak miewają się ocalali. Starła się zawsze stawać plecami do szeregów ciał poległych.

Wyjec był już na nogach, gotów do działania. Zapędziłem całą drużynę do opieki nad Tobo. Rokowania Murgena wyglądały nieźle. Po prostu potrzebował czasu. Jednak czas Wujka Dodza i Tai Deia dopełniał się. Żołnierze żyją.

Również dla Duszołap starałem się zrobić co w mojej mocy, głównie wówczas, gdy moja żona patrzyła w inną stronę.

– Czasami można stracić wielu ludzi i nic nie osiągnąć. – Powiedziałem to w charakterze subtelnej sugestii.

– Zdali sobie sprawę, że nie zwyciężą. Ruszyli na Północ. Zanim zamknęliśmy pierścień okrążenia. – W jej głosie nie usłyszałem najłżejszych nawet tonów rozczarowania. – Z Tobo bardzo źle?

– Nie tak źle jak z jego wujem oraz z Dodzem.

– Konował!

– Przepraszam. Wypadliśmy z interesu. Może nawet na długo. Jeśli w ciele Tobo została choć jedna niezłamana kość, to ja jej nie znalazłem. – Przesadzałem, ale tylko odrobinę. Chłopak miał złamaną nogę, złamany palec u stopy, złamane ramię (w dwu miejscach), uraz kręgosłupa

i mnóstwo strzaskanych lub popękanych żeber. – Chyba że chcesz stawić czoło Mogabie bez niego.

– W obliczu przewagi liczebnej przeciwnika, dowodzonego przez jedynego inteligentnego dowódcę, z jakim pewnie przyjdzie nam się spotkać? – Miała na myśli generała, z którym walczyła podczas wojen kiauluńskich i którego nigdy nie pobiła. Zmierzyła wzrokiem Duszołap. – Nawet licząc, że Wyjec da z siebie wszystko? Myślę, że chyba nie.

– Wobec tego najlepiej będzie, jak się wycofamy do Dedzagore i tam rozgościmy. Albo ufortyfikujemy pod Ghodza.

– Ghodza – zdecydowała w jednej chwili. – Musimy zachować kontrolę nad tym brodem. I naturalną przeszkodą, jaką stanowi rzeka.

– Mogaba najprawdopodobniej nie ruszy na nas od razu. Będzie chciał rozpoznać sytuację, zanim podejmie określone decyzje co do dalszych działań. Do diabła, może w ogóle nie wyruszyć, jeśli poinformujemy go dokładnie, co stało się z Córką Nocy.

Zgodziła się.

– Jeśli powiemy mu wszystko, może znajdzie sposób działania korzystnego dla nas wszystkich. Zadbaj o to, by dotarła doń stosowna informacja.

Jak niby miałem to zrobić?

Nie zapytałem.

Przykląknęłam obok Duszołap. Jej oddech był nierówny. Wydawała się coraz słabsza. Zapytałam:

– Co z Sahrą?

– Wszystko będzie dobrze. Już od wielu lat musiała oswajać się z tą myślą. Wie, że nikt nie wychodzi stąd żywy. Nawet jeśli nie nosi jednej z tych srebrnych odznak. Dam ci znać, co postanowiła odnośnie do ceremonii pogrzebowych.

Mruknąłem coś nieartykułowanego.

Odeszła z pożegnalnym ostrzeżeniem:

– Tylko nie daj chłopakowi umrzeć. Wtedy może zrobić się niemiło.

W pół drogi pomiędzy:
PRÓBA UCIECZKI

Gdzieś w trakcie tego zamieszania dzieciaki Vorszk zdecydowały się na ucieczkę. Zanim jednak przystąpiły do wcielania zamiaru w czyn, musiały się posprzeczać, jak całą rzecz zorganizować i kto będzie dowodził, jeśli im się powiedzie. Wreszcie sprzeczką przeszła w awanturę, przez którą stracili większość czasu, gdy my byliśmy zaangażowani w walkę, najpierw z Duszołap, później z Pierdu Pierdu.

Ostatecznie niczego nie zdecydowali. Po zmierzchu zaskoczyli strażników słabiutkimi zakłęciami dezorientującymi. Gromovol zabił kilku żołnierzy, głównie dlatego że Magadan ostrzegął go, by tego nie robił. Gdy tylko wydostali się na wolność, Gromovol zaczął szukać swego latającego słupa. Arkana i Magadan uważali, że lepiej najpierw znaleźć ubiory. Bez nich byli prawie bezbronni. Spisali więc Gromovola na straty. Zbyt dobrze poznali Czarną Kompanię, by nie wiedzieć, że lepiej znajdować się jak najdalej od ponurego przeznaczenia, mającego w jego bliskiej przyszłości.

Arkana zwróciła się do Magadana:

– Musimy zdobyć również jeden z ich kluczy do Bram Cienia. W przeciwnym razie nie wydostaniemy się z tego świata.

– Jeśli nadarzy się okazja, proszę bardzo. Ale przede wszystkim trzeba znaleźć się jak najdalej od tych szaleńców. – Po tych kilku miesiącach Magadan wciąż nie pojmował, co się dzieje w naszym świecie. Był mu zbyt obcy. Nic nie miało sensu.

Odeszli nie dalej niż dwieście metrów, kiedy Gromovol zrobił coś głupiego i zdradził swoją obecność, próbując ukraść latający słupek.

Odrąbiono alarm. W ciągu kilku minut obóz ogarnął szal. Odkryto ciała pomordowanych strażników.

Arkana zakłęła.

– Ten idiota! Lepiej od razu poddajmy się komuś ważnemu. Jeśli będziemy uciekać dalej, żołnierze, którzy nas złapią, nie będą słuchać żadnych wyjaśnień.

– Szukrat...

– Szukrat się zasymilowała. Zdecydowała, że w żaden sposób nie da się wrócić do domu, a więc równie dobrze może zrobić wszystko, by się jakoś tu zadomowić. Pewnie wszystko przez jej matkę.

– Co?

– Jej matkę. Szukrat zupełnie zdziwaczała, kiedy Pierwszy Ojciec zostawił jej matkę dla innej kobiety, tej Saltirevy. Poza tym zakochała się w Tobo.

– On jest wspaniały, nieprawdaż?

– Magadan! No, cóż. Tak. W każdym razie egzotyczny.

– Słyszałem, że jego matka była za młodu jedną z największych piękności tego świata. Jednak jego ojciec dorastał, nie jedząc nic prócz wodnistych zupek. – Podczas rozmowy Magadan kierował ich jak najdalej od odgłosów wrzawy. Nie powodował nim żaden określony plan, lecz nie miał zamiaru tego zdradzać. Druga taka szansa się nie powtórzy.

– Szukrat nic nie będzie – orzekła Arkana.

– Co?

– Przypuśćmy, że tak naprawdę wcale się nie zasymilowała? Przypuśćmy, że po prostu chce zdobyć ich zaufanie? Może któregoś dnia po prostu odejdzie sobie z jednym z ich kluczy i opuści ten świat.

– Cholera.

– Szukrat tego nie robi. Ale my moglibyśmy tak postąpić. – Nie aż tak znowu dużo czasu zabrało jej odzyskanie słupa i ubioru. Stawała się istotnym elementem Czarnej Kompanii. Już.

– Dlaczego sami o tym nie pomyśleliśmy? – narzekał Magadan.

– Ponieważ jesteśmy prawie tak głupi jak Gromovol – odparła Arkana. –

I ślepi na wszystko, co jest inne niż w domu. Szukrat wcale nie jest taka bystra. Ale rozumie, że to nie dom i nigdy nim nie będzie. Ja wracam. Wy róbcie, co chcecie. Kiedy skończą się te wrzaski, znajdą mnie tam, gdzie

mnie zostawili. Nie chciałam uciekać. To wszystko jest winą tego idioty, Gromovola.

Ależ, moja droga lodowa księżniczko, czyżbyś nie wiedziała, że cokolwiek robisz, nigdy nie jesteś sama?

Vorszk nigdy nie pojęli w pełni faktu, że Nierozpoznane Cienie towarzyszą nam bez przerwy. Gdyby Tobo zechciał, mógłby mieć pełny zapis z każdego ich oddechu. Ukryty ludek lubi igrzać z emocjami. Nauczył się rozumieć, co zostało powiedziane, znacznie szybciej nawet niż osoby urodzone z żyłką do języków, jak ja. Vorszk już dawno nie mieli przed nami tajemnic.

Czasami zły los lubi wtrącić się do gry.

– Idź przodem. Bądź miła. Flirtuj z nimi – mówił Magadan do Arkany. – Postępuj tak, jak Szukrat. Kiedy zdobędziesz swój klucz, wrócisz i znajdziesz mnie. Ja odprowadzę cię do domu.

– Wróć ze mną.

– Nie mogę. Będą mnie obwiniać za to, co zrobił Gromovol.

O wilku mowa. Gromovol pojawił się znienacka, biegnąc prosto w ich stronę, światła ognisk przesadnie podkreślały strach wykrzywający jego twarz. Spodziewał się, że uchyli drzwi wiodące na wolność, ale okazało się, iż były to wrota piekła, a po drugiej stronie nikt nie dbał o to, kim on jest.

Zanim wszystko wróciło do ładu, a żołnierze się uspokoili, Magadan został zabity, Gromovol odniósł paskudną ranę, Arkanę zaś wielokrotnie zgwałcono. Również trafiła pod moją opiekę ze złamaną nogą i kilkoma pękniętymi żebrami. W swoim czasie wszystkie prawdziwe szczegóły tej historii poznałem dzięki moim krukowi, które pod nieobecność Tobo zrobiły się naraz znacznie bardziej komunikatywne.

Żołnierze, którym pomordowano przyjaciół, nie mają powodów do szczególnie przyjaznego zachowania. W Kompanii, w której nie byłoby Pani i Kapitana, nie wyciągnięto by żadnych konsekwencji dyscyplinarnych. Jednak w obecnej sytuacji kary były lekkie i ponieśli je tylko ci, którzy molestowali seksualnie Arkanę. Na to nie można było przymknąć oka.

Taglios:
PAŁAC

Mogaba nie miał jeszcze pojęcia o katastrofie, która spotkała Armię Środek, kiedy wróciwszy na swą kwaterę, zastał tam dwie kobiety. Panią rozpoznał. Młodej blondynki nie widział w życiu na oczy. Zakładał wszelako, że ona jest również czarownicą. Strach ścisnął mu żołądek. Puls przyspieszył chyba po dwakroć. Niemniej nie dał nic poznać po sobie.

Przez dziesięciolecia uczył się maskować swe uczucia w obecności wariatów i wariatek. Wariaci już nie żyli. Przy odrobinie szczęścia wariatki podążą ich śladem. A on zostanie.

Uklonił się lekko.

– Pani. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Katastrofie. Rzecz jasna.

Wielki Generał zerknął na młodą kobietę. Jej uroda była całkowicie egzotyczna, takiej kobiety w życiu nie spotkał. Chociaż bladej karnacji i blondynka, pod żadnym innym względem nie przypominała Wierzby Łabędzia. Roztaczała wokół siebie atmosferę obcości.

Musi pochodzić z miejsca, w którym Czarna Kompania ukrywała się przez ostatnich kilka lat.

– Jestem pewien, że nie przebyłaś całej tej drogi tylko po to, by pojawić się u mnie i zachowywać tajemniczo – powiedział.

– Córka Nocy oraz istota ukryta we wnętrzu człowieka, który kiedyś był Goblinem, jakimś sposobem pokonali Protektorę. Dziewczyna przywdziała skórę Duszołap. Teraz ją udaje. Zgubiła dziewięćdziesiąt pięć procent twojej Armii Środek. Zmierzają w tę stronę. Stan naszych wojsk nie pozwala nam jej ścigać. Mój mąż uznał, że powinieneś o tym wiedzieć. Chciał też, żebym przypomniała ci, iż jedynym celem życia Córki Nocy jest

sprowadzenie Roku Czaszek. Ja z kolei chcę, abyś wiedział, że Kina naprawdę żyje. Możesz dalej wątpić w istnienie dowolnych bogów, jacy przyjdą ci do głowy, prócz tej jednej bogini. Jest jak najbardziej realna. Widzieliśmy ją. A jeśli wyrwie się na wolność, wszystkie nasze spory stracą jakiegokolwiek znaczenie.

Mogabie nie trzeba było przypominać, że Rok Czaszek będzie równoznaczny z okropieństwem na skalę znacznie większą niżli przypadkowe okrucieństwa Duszołap. Duszołap była zwykłym Chaosem. Kina oznaczała Zagładę.

– Przygotowaliśmy plan zgładzenia Protektorki. Powinien sprawdzić się równie dobrze wobec osoby udającej Protektorkę. A może nawet lepiej. – Nie zapytał o los Duszołap. Poprzestał na milczącej nadziei, że ten etap swego życia ma za sobą.

– Dziewczyna nie dysponuje tak subtelnie wykształconą mocą jak Duszołap, ale ma mnóstwo surowego talentu. Jakimś sposobem udało się jej wytworzyć wokół siebie aureę, która skłania każdego, kto znajdzie się bliżej niż trzydzieści metrów, do natychmiastowej miłości i oddania. Ten urok manifestował się już wcześniej, choć w sposób nie tak znaczący. Obawiam się więc, że w miarę jak będzie go coraz lepiej rozumieć i rozwijać, efekt będzie się potęgował.

– To niedobrze. Bardzo niedobrze. To utrudni atak z zasadzki. Można to jakoś obejść?

Po wzdrygnięciu się dziewczyny Mogaba domyślił się, że odpowiedź Pani: „Jeszcze go nie odkryliśmy” daleka jest od szczerości. Na jej miejscu on jednak również zostawiłby sobie coś w rezerwie. Poza tym ich sposób był najwyraźniej daleki od absolutnej skuteczności. W przeciwnym razie sami by się doń odwołali.

Wielki Generał powiedział więc tylko:

– Dziękuję za ostrzeżenie. Coś jeszcze? – W najskrytszej głębi serca pieścił iskierkę nadziei, że może będzie to propozycja pojednania. Nadziei, o której wiedział, że jest zupełnie pozbawiona podstaw. Jednak każdy przecież pozwala sobie czasami na marzenia o niemożliwym. Nawet bogowie uganiają się za tym, co niemożliwe.

Mogaba przedstawił fakty tak, jak mu je zrelacjonowano. Ostatnią kwestię uwydatnił szczególnie.

– Nie jesteśmy ich przyjaciółmi. Po prostu chcą, by ktoś inny wziął na siebie część kosztów eliminacji wrogów, których muszą pokonać, zanim dobiorą się nam do skóry.

– Na ile wiarygodne są złożone meldunki? – zapytał Gopal Singh. – Może po prostu starają się nakłonić nas do zaatakowania Protektorki? Jeśli ścigana przez nich wpadnie w zasadzkę, a na dodatek nam się nie uda, dotrą pod bramy pogrążonego w chaosie Taglios.

– To *my* poszliśmy do *nich*, Gopal – mruknął Aridata. – Pamiętasz, jak gnałem przez pół świata tylko po to, by powiedzieć im, że mamy zamiar pozbyć się Protektorki? Pamiętasz, jak na znak wzajemnego zaufania pomogłem im zdobyć Dedzagore?

– Okoliczności się zmieniły.

Mogaba musiał się wtrącić.

– Gopal, długo nad tym myślałem. Sądzę, że to wszystko prawda. Protektorka wypadła z gry. Niewykluczone, że tylko na chwilę. Do diabła, to nawet bardzo prawdopodobne. Już wcześniej zdarzały jej się niemożliwe powroty na scenę. Wszelako moje uczucia ani fakt, że ci ludzie najwyraźniej nie widzą w nas poważniejszego przeciwnika.

– Co zapewne nie jest takie znowu pozbawione racji, jeśli się nad tym beznamytnie zastanowić – mruknął Aridata.

– Jesteś w równym stopniu przekonany, że Armia Środek została rozbita? – dociekał dalej Gopal. Nawet wtajemniczeni członkowie wojskowych sztabów nie przełknęli jeszcze wieści o stracie Dedzagore i Armii Południe, która obwarowała się pod jego murami. Mnóstwo ludzi wciąż z nadzieją wyczekiwało informacji o reakcjach Dedzagore na zmianę władzy.

Postać tych reakcji miałyby reperkusje jak imperium tagliańskie długie i szerokie.

Czy świętowano powrót rodziny królewskiej? Czy też patrzono nań niechętnie? Reakcja Dedzagoran najprawdopodobniej ustanowi wzorzec dla wszystkich miast i wiosek, które trafią pod rządy Kompanii.

– Jestem – zapewnił Gopala Mogaba. – Natomiast nie mam równej pewności, jeśli chodzi o stan sił najeźdźców po bitwie. Odniosłem niejasne wrażenie, że pokonanie Armii Środek nie było łatwe.

– Powinniśmy postarać się o lepszy wywiad – zauważył Aridata.

Mogaba postarał się, by w jego głosie nie pobrzmiwały sarkastyczne nutki.

– Jestem otwarty na pomysły. Jakiegokolwiek pomysły.

Żadne pomysły się nie pojawiły.

Aridata zmienił temat:

– Zawsze możemy zrobić coś, co będzie miało wymiar mityczny. Na przykład poświęcić się i sprowadzić do miasta sprzymierzeńca gorszego od naszych wrogów. Takiego, który pozre nas, gdy skończy robić to, po co go wezwaliśmy.

Mogaba i Gopal docenili wysiłek, ale nie uchwycili sensu żartu Aridaty.

– To iluzja. Albo parabola. Czy co tam chcecie – wyjaśnił Aridata. – Jak te wszystkie opowieści o Kinie. Panowie Światła stworzyli ją albo poprosili o pomoc w wojnie z demonami na równinie. I przypuszczalnie ostatecznie byłoby dla nich lepiej, gdyby to rakszasowie zwyciężyli.

Mogaba miał poczucie humoru. Po prostu dziś wieczorem jakoś o nim zapominał.

– Przypuszczam, że aby to wiedzieć, trzeba było tam być. W każdym razie nie ma nikogo, kogo moglibyśmy poprosić o pomoc. Jesteśmy zdani na siebie. A więc tym bardziej przydadzą się wszelkie sugestie. Zwłaszcza mile widziane będą takie, które mają wymiar praktyczny. – Było coś takiego w naturze tamtego żartu, co rozbudziło w nim iskierkę humoru, o której sądził, że już dawno zgasła.

– Wszystko, co możemy zrobić, to wysłać więcej szpiegów i założyć więcej stacji kurierskich, dzięki którym ich informacje dotrą do nas szybciej – oznajmił Gopal.

– A mamy tylko jeden batalion kurierów. – Mogaba siedział w milczeniu przez pół minuty. Potem zapytał: – Jak wygląda poparcie dla nas wśród kapłanów i mieszczaństwa? Mieli już dość czasu, by przemyśleć sobie kwestię powrotu rodzeństwa władców. Zamierzają nas opuścić?

– Jesteśmy diabłem, którego znają – odparł Gopal. – Protektorka była ich dobroczyńcą. A jedynie paru najbardziej śliskich pochlebców może marzyć o korzyściach, jeśli zostaniemy utraceni. Od czasu, kiedy nie sposób było już dłużej ukrywać faktu, że księżna zniknęła, a nie tylko ukrywa się z żalości nad sobą, pracowaliśmy wytrwale nad eliminacją popleczników Radiszy.

Wielki Generał zaproponował:

– Spróbujmy tej samej strategii. Niech wierzą, że wcale nie straciliśmy Protektorki. Aridata. O czym myślisz?

– Myślę o tej dziewczynie. O Córce Nocy.

– I?

– Widziałem ją raz. Pięć lat temu. Jest w niej coś... Co sprawia, że zaraz chce się ją obalić na ziemię. A równocześnie oddawać jej boską cześć. Człowiek czuje się tak, jakby gotów był zrobić wszystko, byle tylko ją zadowolić. A potem, kiedy już się opamięta, rzecz wydaje się z lekka przerażająca.

– Pod tym względem dziewczyna zdecydowanie już dojrzała. – Mogaba przekazał im to, co Pani powiedziała mu o wydarzeniach na Południu. – Posłała na śmierć setki ludzi. Musimy zabić ją jakoś na odległość. Zobaczmy, czy nie da się wymyślić do tego jakiejś maszyny.

– Mam pytanie – wtrącił Gopal.

– Mów.

– Czym jest ta rzecz, którą wciąż obracasz w palcach? Bawisz się nią cały czas, od kiedy przyszedłeś.

– Och. Jakaś muszla ślimaka. Są wszędzie w pałacu. Nikt nie wie, skąd się wzięły. Nikt też nie widział nigdzie żadnego ślimaka. Obracanie ich w palcach uspokaja.

Obaj Singhowie popatrzyli na Wielkiego Generała w taki sposób, jakby uznali jego nowy nawyk za zdecydowanie dziwaczny.

– W sprawie Córki Nocy. Możemy wziąć pod uwagę truciznę – rzekł Gopal. – W Czor Bejgen – na rynku złodziei – da się znaleźć utalentowanych trucicieli.

Minione lata zmieniły Mogabę. Nie odrzucił od razu tej sugestii jako niegodnej człowieka honoru.

Terytoria Tagliańskie:
KOLEJNY MIT O POCZĄTKU

A może broń dalekiego zasięgu, odpalana spoza promienia jej wpływu? – zaproponowałem. – Do diabła, gdybyśmy wzniesli się na słupach i dywanach dostatecznie wysoko, moglibyśmy tak długo ciskać w dół głazy, póki któryś nie trafi do celu. – Były to optymistyczne szacunki. Od czasu, gdy Pierdu Pierdu straciła Tobo i Wyjca, nie dysponowaliśmy nawet jednym dywanem. Mieliśmy tylko kawałki materii i fragmenty szkieletów kilkunastu dywanów, nad którymi Wyjec pracował w wolnym czasie.

Pani popatrzyła na mnie z takim żarem, że zacząłem się zastanawiać, kiedy zacznę się topić.

Śmierć Pierdu Pierdu nie znalazła się jeszcze na jej liście dopuszczalnych możliwości. Była zaangażowana emocjonalnie w całą sprawę znacznie bardziej niż ja, chociaż i dla mnie problem dziewczyny stanowił prawdziwą udrękę.

Jednak źródłem mojego zaabsorbowania tą sprawą była bardziej sama idea posiadania dziecka niżli tej właśnie, konkretnej córki.

Najwyraźniej Pani chciała wmówić sobie, że istnieje jakiś sposób na odkupienie Pierdu Pierdu.

– Marnujemy czas – powiedział Prabrindrah Drah. Zagłada Armii Środek Duszołap wlała weń nowe życie. Nagle zaczął wierzyć, że restauracja jest tylko kwestią pomaszerowania na Taglios z okrzykiem: „Wróciłem!” On też wpadł w pułapkę samooszukańczych iluzji.

Ostatnio wielu to się zdarzało.

Murgen wszedł do sali konferencyjnej akurat w momencie, gdy księżę zaczął sprzeczać się z Ospałą na temat najbliższych planów, co z pewnością nie mogło potrwać długo. Ona w końcu pokaże mu, czyj to cyrk.

– Skończyłem właśnie czytać naprawdę długą wiadomość od Baladitji – oznajmił Murgen. – Ma się dobrze i cieszy każdą chwilą swego nowego życia. O czym nie zapomniał nadmienić przynajmniej kilkakrotnie.

– Twój nowy przydział polega na korespondencji z tym starym świrem? – zapytałem.

– Nie pisał wcale do mnie. Nie zna mnie. Wiadomość była przeznaczona dla Tobo.

Ospała, która ostatnio stawała się coraz bardziej nieznośna, ponieważ nic nie szło po jej myśli, warknęła:

– Jestem pewna, że masz zamiar podzielić się z nami każdym ekscytującym szczegółem, nawet jeśli wszystko, czego nam teraz trzeba, to choć odrobina snu.

– Ponieważ nalegasz. – Murgen wyszczerzył się. Na czas rekonwalescencji nie obarczono go żadnym przydziałem, więc mógł robić, co przyszło mu do głowy. – List dotyczył głównie jeńców pozostających na górze pod pieczę Sziwetji – Pierwszego Ojca i tatusia Gromovola – których przejął głównie dlatego, by ich ochronić przed cieniami. Z drugiej strony, ich samych również zostało już niewiele. One i Vorszk wybiły się niemal do nogi. Przykro mi. – Poklepał Szukrat po ramieniu. Ten gest nie umknął niczyjej uwadze. Murgen zaaprobował dziewczynę Tobo. Jeśli nią była.

Zastanawiałem się, co też przyszło mu do głowy, żeby przyprowadzić Szukrat na posiedzenie sztabu.

Sahra oczywiście najeżyła się. W promieniu ponad trzystu kilometrów nie było żadnej stosownej dziewczyny Niueng Bao, a choć wprawdzie ona wyszła za obcego, za Murgena, z miłości i wbrew woli większości rodziny, to cóż miało to wspólnego z dniem dzisiejszym?

Ostatnimi czasy Sahra potrafiła jakoś panować nad sobą. Przynajmniej w miejscu publicznym. Kiedy Murgen był w pobliżu i przypominał jej, że Tobo dawno już skończył cztery lata. Jednak teraz na wszystko nakładało się dodatkowe napięcie, związane z tym, że większość członków jej rodziny została zabita lub poraniona. Nie doszła do siebie jeszcze nawet na tyle, by podjąć decyzje odnośnie do charakteru ceremonii pogrzebowej brata i Wujka Dodża.

Teraz również udało mu się ją powstrzymać jednym delikatnym dotknięciem.

– Chcesz coś powiedzieć? – zapytała Ospala. – Czy mogę już wracać do roboty i zająć się myśleniem, jak wypłatać nas z tej kabały, nie doprowadzając do katastrofy?

Łabędź mruknął, że komuś potrzebny jest chyba mężczyzna dla odrobiny relaksu. Ospala warknęła. Łabędź jęknął:

– Czy zgłosiłem się na ochotnika? Nie wydaje mi się. Przynajmniej ostatnio. A więc mnie nie wkurzaj.

Murgen pośpiesznie wtrącił:

– Ludziska, Sziwetja zapoznał się z nowym cyklem legend dotyczącym początków Kiny. Usłyszał go od jednego z Vorszk. Najwyraźniej nie mają nic przeciwko rozmowom o historii, kiedy im się nudzi. W tej wersji to mąż Kiny ułożył ją do snu. A to dlatego, że źle się prowadziła, gdyż po zwycięstwie w wojnie na równinie toczony w imię bogów z demonami, wyssała krew z nich wszystkich. W tej wersji bogini ma dziesięć ramion zamiast czterech. Jej mąż, w świecie Vorszk znany pod imieniem Czevil, ma cztery ręce i w znacznej mierze przypomina tę Kinę, którą znamy. Czasami nazywa się go również Niszczycielem. Niekiedy jednak można wkraść się w jego łaski i skusić go do miłszego zachowania. Do Kiny się to nie odnosi.

Wśród słuchaczy podniósł się szmer. W niektórych opowieściach Khadi, jedno z łagodniejszych wcieleń Kiny, również posiadało męża, Bhimę, nazywanego także, poza licznymi innymi imionami, Niszczycielem.

Wszyscy bogowie Gunni występują pod licznymi imionami. Obcemu trochę trudno się w tym połapać, ponieważ kiedy zmieniają imiona, zmianie ulegają również ich przymioty. Szczególnie myląca bywa sytuacja, kiedy dwa wcielenia tego samego boga biorą się za łby ze sobą.

– A co ten Czevil ma wspólnego z pochodzeniem Kiny? – dopytywała się Ospala.

– Och, on właśnie zrobił jej te wszystkie podłe rzeczy, czyli porąbał na kawałki i rozrzucił po całym świecie. Jednak ona z kolei zabiła jego. A potem przywróciła do życia.

– Murgen. Zastanawiam się właśnie nad posłaniem cię do Taglian dla wprowadzenia kilku korekt.

– W porządku. Czevil miał więcej niż jedną żonę. Ale obie były jedną i tą samą osobą. Chodzi o Kamundamari, naturalnie występującą również

pod wieloma innymi imionami. Kamundamari miała skórę niezwykle ciemnego koloru. Inni bogowie szydzili z niej, nazywając ją Czarnuszką.

Ciekawe. Zarówno Khadi, jak Kina w części tagliańskiej frazeologii mogą oznaczać czerń, aczkolwiek bardziej powszechnie używane jest słowo *sjam*.

– Kiedy sam Czevil również zaczął się z niej wyśmiewać, wpadła w wielki gniew, zdarła z siebie skórę i zmieniła się w Gołri, Mlecznoskórą – ciągnął dalej Murgen. – Zdarta skóra stała się Kalikausiki, ciało swe biorąc z krwi wyspanych na pustyni demonów i przeobrażając się w Khatoi, Czarnoskórą.

– Kina jest skórozdziercą! – krzyknął Sjuwrin, zaskakując wszystkich. Skórozdzierycy byli demonami zła, słabo znanymi poza jego ojczystą krainą. Skórozdzieryca zabijał człowieka, wysysał krew, pożerał ciało i kości, a potem przywdziewał jego skórę i wiódł dalej jego życie. Dokładne szczegóły były zaiste odrażające. Ignoranci tłumaczyli w ten sposób gwałtowne i niezrozumiałe zmiany osobowości. Przemiany, które ja przypisywałem kiepsko poznanym chorobom. Albo może postępowi wieku.

Murgen był wyraźnie zaskoczony wybuchem Sjuwrina. Który w moich oczach również stanowił reakcję nieco przesadzoną.

– Nie jest skórozdziercą w tym sensie, o jakim myślisz – powiedział Murgen.

Czyżby Sjuwrin przeżył jakieś przykre doświadczenia tego rodzaju?

Sama idea potwora zdolnego skraść komuś tożsamość w taki sposób jest szczególnie groteskowa. Widziałem wiele dziwnych i wstrętnych rzeczy. Ukryty ludek Tobo jest ostatnim na długiej liście. Jednak skórozdzierycy stanowią twory z pozoru zbyt przerażające, aby mogły być prawdziwe.

Podobnie jak w przypadku samych bogów, ostatnimi czasy również skórozdzierycy nie pojawiali się przed oczyma wiarygodnych świadków. Dziś wieczorem rozmawialiśmy o starożytnych legendach. Sjuwrin wspominał po prostu o najbardziej tajemniczej z nich.

– Uwierz mi, jeśli nawet spotkałeś na drodze swego życia prawdziwego skórozdzierycę, możesz być pewien, że i tak Władcy Cienia wykorzeniliby ich i wykorzystali – powiedziałem mu. – Cóż by to była za broń, nie?

– Pewnie tak – zgodził się. Niechętnie.

– To cudownie – narzekała Ospała. – Ale czas opowieści o duchach dobiegł końca, chłopcy. Teraz pozwolimy Murgenowi przejść do puenty.

Zaraz przecież nastąpi puenta, nieprawdaż? Ponieważ ja chcę wrócić do kwestii stanowiących główną materię tej narady. – Groźnie pokiwała palcem. – I niech ci nawet przez myśl nie przejdzie kolejny obsceniczny żarcik, Wierzba.

Łabędź skrzywił się. Zostało mu jeszcze mnóstwo dobrej amunicji i żadnego celu w zasięgu wzroku. Potem na jego twarz wypełził uśmiech. Jeszcze przyjdzie czas.

– Murgen? – zagailem.

– Wiele więcej nie zostało. Baladitja pisze jeszcze, że poza tym wszystkie główne motywy mitologiczne się zgadzają. W świecie Vorszk natura bogini obejmuje więcej cech przypisywanych śmierci. Na przykład zawsze wspomina się, że żyje na cmentarzu.

– I tak jest naprawdę, czyż nie? – zapytałem. – Kiedy Ospała, Pani i ty, zwłaszcza ty, piszecie o swoich koszmarach, o miejscu, dokąd się udajecie, gdzie są te wszystkie kości? To może być cmentarz obrządku Gunni.

Gunni palą swoich zmarłych dla oczyszczenia, zanim ich dusze trafią do kolejki po kolejny żywot. Jednak żar stosu nigdy nie jest na tyle gorący, by strawić najgrubsze kości. Jeśli miejsce kremacji znajduje się w pobliżu większej rzeki, szczątki zasadniczo trafiają w jej nurt. Większość takich miejsc leży jednak z dala od większych rzek. A niektóre nawet z dala od zapasów drewna na opał. I rodziny nierzadko bywają zbyt biedne, by zakupić drzewo dostępne na rynku.

Kości się piętrzą.

Miejsca, gdzie są przechowywane, rzadko kiedy widuje ktokolwiek, prócz dbających o nie kapłanów, ludzi w żółtych szatach, czczących Madzajamę, lecz wciąż oglądających się przez ramię, ponieważ pod stosami kości ma rzekomo zamieszkiwać Kina i towarzyszące jej stado oswojonych demonów. Mimo iż przecież z drugiej strony doskonale wiadomo, że Kina spętana łańcuchami czeka pod lśniącą równiną na Rok Czaszek.

– Ostatnimi czasy miałem sporo rzeczy do przemyślenia – powiedziałem. – Jedna z nich to pytanie, dlaczego istnieje tak wiele rozmaitych opowieści o Kinie? I wydaje mi się, że doszedłem do tego, czemu tak jest.

Moje ego zostało nieźle polechtane. Nawet Ospała wydawała się zainteresowana, choć najwyraźniej wbrew sobie. Moja żona, zdjęta czarem

mych słów przypuszczalnie w znacznie mniejszym stopniu, zaproponowała tonem, z którego jasno wynikało, że wie, iż i tak nie da się mnie powstrzymać.

– No dalej.

– W owym czasie Kompania...

– Konował!

– Przepraszam. Tylko sprawdziłem, czy słuchacie. Wskazówką, która mnie zainspirowała, był fakt, że nie istnieje żadna jednolita doktryna Gunni. Nie sposób też doszukać się wyraźniej hierarchii wśród kapłanów, wyjąwszy jej lokalne manifestacje. Nie ma także oficjum rozsądzającego, co stanowi możliwy do zaakceptowania dogmat, a co herezję. Nie tylko Kina jest bohaterką setek sprzecznych ze sobą mitów. Dotyczy to całego panteonu. Wybierzcie dowolnego boga. Podróżując z wioski do wioski, zobaczycie, jak nosi za każdym razem coraz to inne imię, odgrywa role w innych mitach, zlewa się z innymi bogami i tak dalej, i tak dalej. My zdajemy sobie sprawę z tego poplątania, ponieważ jesteśmy podróżnikami. Ale aż do czasu wojen z Władcami Cienia praktycznie rzecz biorąc, nikt w tej części świata nie zmieniał miejsca swego pobytu. Pokolenie za pokoleniem, stulecie za stuleciem, ludzie rodzili się, żyli i umierali na przestrzeni tych samych kilku kilometrów. Wszyscy prócz nielicznych handlarzy klejnotami i włóczących się po prowincji band Dusicieli. Niemniej wraz z nimi nie podróżowały idee. Tak więc każdy mit stopniowo mutował pod wpływem lokalnych doświadczeń i przesądów. A teraz najpierw Władcy Cienia i potem my trafiamy w sam środek tego wszystkiego...

My? Rzut oka po zgromadzonych ukazał mi tylko troje ludzi, którzy nie wyrosli w tej części świata. Przez chwilę poczułem ciężar przeżytych lat, nieusuwalne wrażenie obcości wobec tych ziem i przekonałem się, że machinalnie cytuję wyjątek z wiersza, który streszczał mniej więcej takie wrażenia:

– Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego. – Czy oznaczało to, że jestem jedynym, ze wszystkich tych, którzy maszerowali w szeregach Kompanii za czasów mej młodości, jedynym, który wciąż żyje i wierzga? Nie zasłużyłem na to w stopniu większym niż którykolwiek z tamtych. Może w znacznie mniejszym niż niektórzy.

Kiedy myśli się o takich sprawach, zawsze ogarnia człowieka poczucie winy. I odrobina zadowolenia, że trafiło na kogoś innego.

– O to właśnie chodzi. Jesteśmy wędrowcami. Dlatego też wszystko wydaje nam się obce i pełne wewnętrznych sprzeczności. Gdziekolwiek byśmy się znaleźli, większość z nas jest obca. Nawet jeśli będzie wyznawać religię dominującą. – Rzut oka dookoła przekonał mnie, że żaden z moich słuchaczy także nie zalicza się do wiernych Gunni. – Cóż, to właśnie chciałem powiedzieć.

– Dobrze więc – oznajmiła Ospała. – Wróćmy do kwestii praktycznych. Jak mamy sobie poradzić z Córką Nocy i z goblinim stworem?

– On jest praktycznie rzecz biorąc tym samym co skórozdzierca – wtrącił Sjuwrin. – Kina przywdziała go niczym komplet ubrań. – Najwyraźniej skórozdzierca nie mógł dziś wieczorem wyjść mu z głowy.

– Córka Nocy! – warknęła Ospała. – Chcę słuchać tylko o Córce Nocy. Nie o Kinie. Nie o skórozdziercach. Nie o starych czarownikach Vorszk ani starych bibliotekarzach, ani nikim innym. I jeszcze: Pani, jeśli naprawdę nie chcesz, żeby dziewczyna została zabita, wymyśl jakiś sposób na to, by ją rozbroić, sposób lepszy niż eliminacja. Ponieważ jesteś jedyną z zebranych, która pozwala, by w tej sprawie kierowały nią emocje.

Na północ od Ghodża:
POSZUKUJĄC JEDNEGO BEZPIECZNEGO MIEJSCA

Goblin i dziewczyna jechali konno, nie bacząc na to, że zwierzęta były przerażone i cały czas się płoszyły, póki wreszcie mały czarodziej nie nałożył im kłapek na oczy, dzięki czemu nie mogły dojrzeć jeźdźców. Żadnemu ze zwierząt nie pozwalano oglądać się za siebie. Sam Goblin zresztą również obwiązał jakąś szmatą okaleczone, choć już prawie zagojone oczy.

Garstka żołnierzy, którzy towarzyszyli im w odwrocie z ziemi niczyjej, topniała w oczach. Ożywiani zaklęciem miłosnym dali z siebie dosłownie wszystko, jednak ostatecznie wydostawali się po kolei poza zasięg działania uroku, a wtedy szukaj wiatru w polu.

Bród Ghodża przekroczyła tylko dwójka naznaczona dotykami Kiny. Wydostali się na południowy brzeg w chwili, gdy jutrzienka zaczynała barwić niebo na wschodzie. Był dopiero następny poranek po katastrofie tagliańskiej Armii Środek. Zajeździli kilka zmian koni kurierskich, ale i tak plotki o losie ugrupowania zdołały ich wyprzedzić.

– Nasi wrogowie dotarli tu przed nami – powiedział stwór siedzący w Goblinie. Chciał, żeby zwracać się doń imieniem Khadidas, Niewolnik Khadi. Dziewczyna jednak zwyczajnie ignorowała przybrane miano. – Ludzie zostali ostrzeżeni i nastraszeni, ale i tak nikt nie podniesie na ciebie ręki, choćby ze względu na to, za kogo cię uważają. – Nie przez wzgląd na to, kim rzeczywiście była.

Córka Nocy odgrywała rolę Protektorki z dozą arogancji i małostkowości, w niczym nieprzypominających cech charakteru ciotki, jednak w oczach dowódców garnizonu najwyraźniej okazała się dostatecznie przekonująca. Tyle że każda sekunda tej zabawy pogłębiała

tylko rozczarowanie, ponieważ stawało się jasne, że ci niewierni nigdy nie pójdą w służbę Mrocznej Matki. Wiedziała, że gdyby tylko nabrali podejrzeń, że nie mają do czynienia z Duszołap, natychmiast podjęliby próbę jej zgładzenia. Świat zaiste zasłużył sobie na Rok Czaszek.

Aura, którą dziewczyna roztaczała wokół siebie, z powodzeniem przeprowadziła ją przez krótko trwające konfrontacje.

– Jestem całkowicie wyczerpana – poskarżyła się Goblinowi. – Po prostu nie nawykłam do jazdy konnej.

– Nie możemy się tu zatrzymać.

– Nie mogę jechać dalej.

– Pojedziesz. Póki nie dotrzemy w bezpieczne miejsce. – Głos Khadidasa nie zostawiał śladu wątpliwości, kto w jego opinii tu dowodzi. – Kilkadziesiąt kilometrów stąd znajduje się święte miejsce. Tam się udamy.

– Gaj Zagłady. – W odpowiedzi dziewczyny nie było śladu entuzjazmu. – Nie chcę tam jechać. Nie lubię tego miejsca.

– Tam będziemy silniejsi.

– W tym miejscu najpierw zaczną nas szukać. Jeśli już nie kazali żołnierzom czekać w zasadzce. – Dobrze wiedziała, że to niemożliwe. Ci ludzie nie byli jeszcze gotowi, by powiedzieć swym żołnierzom, iż kobieta odziana w czarne skóry nie jest już Protektorką. Należało wszak pamiętać, iż dysponowali zdolnością przesuwania swych pionków z oddali. Naprzykrzali się bogini z pozoru wedle swej woli.

– Wiedzą, co mamy zamiar zrobić. Ponieważ właśnie o tym mówiliśmy – oznajmiła.

– Jedziemy do Gaju. Tam będę znacznie silniejszy – rzekł tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Ferwor religijnego oddania Córki Nocy swej duchowej matce bynajmniej nie osłabł, lecz nie podobała jej się ta istota, w której wnętrzu tkwiły odpryski Kiny. Trudno było jej się przyznać do tego nawet przed samą sobą, ale tęskniła za Narajanem. Tęskniła za nim, ponieważ on ją kochał. Ona zaś, na swój egocentryczny sposób, również odpłacała mu miłością, przynajmniej w stopniu wystarczającym, by teraz jej życie zdawało się tylko nieskończonym szlakiem samotności i wewnętrznej pustki... Dokąd wiódł ten szlak? Ten, który był nowym ramieniem bogini, zdawał się niezdolny do żadnych emocji prócz gniewu. I beznamiętnie wzbraniał się przed pobłazaniem jej albo bodaj uznaniem w niej człowieka.

Była narzędziem. Fakt, że prócz tego była żywą istotą, posiadającą własne pragnienia i uczucia, stanowił jedynie niedogodność, kłopot. W konstatacji takiej kryła się niewypowiedziana sugestia, iż lepiej postąpiłaby, przyzwyczajając się jak najszybciej do odrzucenia tych zbędnych naleciałości. W przeciwnym razie...

– Potrzebujemy miejsca, w którym będziemy bezpieczni, a nasza moc wzrośnie – rzekł Goblin. – Ponieważ czeka nas wiele roboty, nim dopełnimy prawdziwego rytuału rezurekcji.

Córka Nocy domyśliła się, że chodzi mu o sprowadzenie na ziemię Roku Czaszek.

Mimo nabrzmiewających w niej buntowniczych skłonności nadstawiła bacznie ucha. Wychodziło na to, że Khadidas w końcu podzielił się z nią jakąś istotną informacją. Jak dotąd opętany karzełek nie zrobił nic prócz przedstawienia swoich uwierzytelnień, a potem przystąpił do wydawania rozkazów. Minęło dopiero kilka dni od czasu, jak się spotkali, a on pozostawał zupełnie obojętny wobec niej.

Zapytała więc:

– Jakim sposobem mielibyśmy przybliżyć Rok Czaszek? Kult uległ zniszczeniu. Wątpię, czy w całym tym świecie znajdzie się bodaj setka wiernych wyznawców.

– Znajdą się dłonie, które podejmą święte dzieło. W ostatnich latach swego życia Narajan Singh radził sobie zupełnie nieźle. Zanim jednak wezwiemy wiernych, musimy pierwszej zrekonstruować Księgi Zmarłych.

Córka Nocy musiała wreszcie wyznać okrutną prawdę, która stanowiła źródło jej nieustającej udręki przez cały czas pobytu w niewoli u Czarnej Kompanii.

– Księgi Zmarłych już nie istnieją. Kobieta, która dowodzi naszymi najzacieklejszymi wrogami, spaliła je osobiście. Nie przetrwał nawet strzęp zapisanego materiału. Potwór, który mieszka na równinie lśniącego kamienia, ten, który pilnuje, by matka nie zmartwychwstała, kazał rozsypać popioły po wszystkich krainach sąsiadujących z równiną demonów.

– To prawda. – Usta Khadidasa wykrzywił zły uśmiech. – Ale księgi to wiedza. Wiedza zawarta w Księgach Zmarłych nie została utracona. Wiedza ta bowiem mieszka w samej bogini. A cokolwiek obejmuje jej umysł i co świat ten winien poznać, umieściła w mej głowie, zanim mnie posłała.

– Znasz na pamięć Księgi Zmarłych?

– Znam. Dlatego właśnie musimy znaleźć to jedno bezpieczne miejsce. Święte pisma nie zdadzą się na nic, póki pozostaną w mej głowie. Muszą ujrzeć świat, muszą zostać spisane, aby odkryć swą pełną moc. Muszą przybrać postać odpowiednią, by kantor mógł je wysławiać przez cały czas trwania rezurekcji. Chodź. Musimy się spieszyć.

Córka Nocy pognęła konia – ogłuszające wieści, które właśnie usłyszała, na krótką chwilę przytłumiły wyczerpanie.

Święte księgi nie zostały utracone!

Teraz było jej wstyd, że poddała się choćby cieniowi zwątpienia.

W pół drogi pomiędzy:
ZŁE WIEŚCI

Ludzi ogarnął nerwowy pośpiech, graniczący prawie z paniką. Znałem te symptomy. Nadeszły wieści i nie były pomyślne. Podejrzywałem, że to oddział kawalerii, wysłany na rozpoznanie środków obrony pod Ghodza, spotkało jakieś poważne nieszczęście.

Niewezwany skierowałem się do namiotu Ospalej. Zanim dotarłem na miejsce, już usłyszałem co najmniej kilka rozmaitych plotek, a żadna z nich nie rokowała dobrze.

Wymyślanie plotek to rzecz, która najbardziej nawet niekompetentnym siłom zbrojnym wychodzi nad podziw dobrze.

Pochylona nad stołem Ospala konferowała ze Sjuwrinem, Popłochem, Rzekołazem i kilkoma dowódcami brygad ze Hsien. Tobo też był na miejscu, ale ogłupiały od środków przeciwbólowych. Wyjca i Szukrat nie było. Tobo wyglądał na nieco zirytowanego. Podejrzywałem, iż to on przywiózł złe wieści, a potem, wyczerpany, nie potrafił na tyle wziąć się w garść, by cokolwiek jeszcze wymyślić dla zaradzenia kłopotom.

Zrezygnowałem z prób okiełznania go. Jeśli miał ochotę szaleć po niebie, próbując wykonywać trudne zadania, mimo iż cały był w bandażach i łubkach, z górną połową ciała unieruchomioną w gorsecie, nie miałem zamiaru przywoływać go więcej do porządku. Od tego była jego mamusia, półwariatka.

Ospala zerknęła w moją stronę – na chwilę w jej oczach rozblęśła skrajna irytacja. Która natychmiast przerodziła się w rezygnację, gdy zobaczyła innych byłych Kapitanów tłoczących się za moimi plecami. Nawet Wierzba Łabędź wprosił się na naradę.

Rzeczywiście musiała stawiać czoło bezprecedensowemu wyzwaniu. Żaden inny Kapitan w całej historii Kompanii nie miał do czynienia z sabatem byłych Kapitanów zagląających mu przez ramię. Mimo iż żadne z nas nie wtrącało się w jej działania, a nawet nie narzucało z niechcianą radą, właściwy Ospalej brak poczucia bezpieczeństwa czynił ją szczególnie podatną na rzekomy osąd z naszej strony. Zwłaszcza w chwilach, gdy musiała w obecności wszystkich wypełniać obowiązki dowódcy. I oczywiście tak też było, jednak jak przystało na dobrze wychowane starsze panie, gadaliśmy tylko za jej plecami.

– Ponieważ wszyscy prócz stajennych i kucharzy są na miejscu, przypuszczam, że możemy kontynuować... Nie. Tobo jest tutaj. On może przedstawić wszystko lepiej niż ja. – Zrobiło jej się żal dzieciaka, gdy tylko na niego spojrzała. Popatrzyłem na nią z wściekłością. Nie powinna kazać mu przechodzić przez...

Tobo popatrzył nieco przytomniej. Zacisnął powieki, nabrał uspokajający oddech i zaczął mówić:

– Ukryty ludek śledził Goblina i Pierdu Pierdu najlepiej, jak tylko potrafił, chociaż było to niełatwe, nawet znając trasę, którą podążali. – Naprawdę mogło zrobić się przykro na jego widok, przywiązanego do latającego słupa Vorszk, do tego stopnia pokrytego bandażami i gipsem, że był w stanie poruszać tylko jedną ręką. – Podróżują za zasłoną czegoś, co z braku lepszego słowa nazwę boską ciemnością dezorientacji. Jednak dzięki temu, że znam ich trasę, mogłem kazać Czarnym Ogarom obsiać ją muszlami ślimaków... Miałem szczęście. Jeden z ukrytego ludu podsłuchiwał kłótnię między Goblinem a dziewczyną. – Słowa wylewały się z jego ust cichym, szybkim potokiem, zmuszającym słuchaczy do nachylenia głów i całkowitej ciszy.

Urwał. Dla wzmocnienia efektu, jak podejrzewałbym w normalnych okolicznościach. Dzieciak miał wyczucie dramatyzmu.

W następnej chwili jednak oznajmił ponuro:

– Istota zamieszkująca ciało Goblina zna na pamięć Księgi Zmarłych. Kiedy tylko Córka Nocy skończy ich transkrypcję, natychmiast mają przystąpić do rytuału inicjującego nadejście Roku Czaszek.

Lis w kurniku, och, tylko nie to!

Uspokojenie zebranych zabrało Ospalej kilka minut. Tobo skorzystał z przerwy, aby się trochę rozluźnić. Kiedy znów zapanował jako taki

spokój, oznajmił:

– W istocie nie wygląda to tak źle, jak można by z pozoru podejrzewać. Pamiętajcie, że mamy do czynienia tylko z dwójką ludzi. Jeśli zabijemy jedno z nich, cały projekt zmartwychwstania upada. Na sto lat albo i więcej. A nadto, o czym poinformuje was w wyczerpujący sposób każdy, kto zajmował się prowadzeniem Kronik, napisanie książki zabiera naprawdę dużo czasu. Nawet jeśli chodzi tylko o jej skopiowanie. Widziałem Księgi Zmarłych za własne oczy, zanim Ospała je zniszczyła. Były zdecydowanie opasłe. Na dodatek Córka Nocy nie może pozwolić sobie na zrobienie bodaj jednego błędu. Zatem kryzys nie znamionuje bezpośredniego zagrożenia, aczkolwiek stanowi kłopot, którego nie oczekiwaliśmy.

Wszedłem mu w słowo.

– Jeśli jeden z twoich stworów zdołał podejść na tyle blisko, by to odkryć, musisz pewnie wiedzieć, gdzie oni w tej chwili są. Moglibyśmy urządzić zasadzki. – Pani i Wyjec mieli przetrząsać zarośnięte pajęczynami piwnice swych umysłów w poszukiwaniu jakiegoś starożytnego instrumentu, który pozwoliłby na zdekoncentrowanie, zabicie z tropu, zneutralizowanie i zgładzenie Goblina oraz dziewczyny. Albo bodaj zwyczajne wytrącenie im z rąk najcenniejszej broni, jeśli brać pod uwagę moją damę. Pani, tak racjonalna i pragmatyczna jak mało kto, wciąż nie potrafiła pozbyć się iskierki samooszukańczej iluzji nawrócenia Pierdu Pierdu. Chociaż, rzecz jasna, nigdy by się do tego nie przyznała.

– W porządku, Mistrzu Strategii i Architekcie Zagłady Zła Władców Cienia, powiedz mi, w jaki sposób zastawić zasadzkę na kogoś, w kim zakochujesz się wcześniej, nim podejdziesz doń na odległość strzału z kuszy? – spytał Tobo.

– Dzieciak ma rację – zgodziła się Pani, spoglądając na mnie wyczekująco.

– Twój stwór czający się w muszlach ślimaków jakoś się w niej nie zakochał, nieprawdaż? Po prostu przyczał się tam i podsłuchiwał, póki nie zdecydował, że czas pognać do ciebie z plotkami.

– No i?

– Wynika stąd, że Nierozpoznane Cienie nie ulegają wpływowi Córki Nocy. Czy odwrotność jest również prawdziwa?

– Nie mogą jej wyrządzić poważniejszej krzywdy cielesnej.

– Skrajker? Czarna Plewa? Ten wielki potwór w kształcie podskakującej kaczki? Robisz mnie w balona.

– Nie, naprawdę.

– Cóż, tak naprawdę to wcale nie będą musiały, nieprawdaż? Wystarczy, że po prostu będą ją nawiedzać. Przeszkadzać w spaniu. Doprowadzać do szaleństwa. Trącać w ramię, gdy zasiądzie do pisania. To wszystko, o co ludzie obwiniają je w Hsien. Mogą szczać do jej kałamarza. Chować pióra. Zalewać to, co właśnie zdołała napisać. Mogą sprawić, że jedzenie popsuje się, a mleko skwaśnieje.

– Mogą sprawić, że jej mąż nie będzie w stanie wywiązać się z małżeńskich obowiązków w noc poślubną – warknęła Ospała. – Wybiegasz za daleko w przyszłość, Konował. I prawdopodobnie zasadzasz się na niewłaściwą ofiarę. Przecież to w szalonym łbie tego goblinopodobnego stwora kryją się Księgi Zmarłych. Niewykluczone, że poradziłby sobie jakoś bez Córki Nocy. Natomiast nie wydaje mi się, aby ona była w stanie dokonać czegokolwiek bez niego.

Kwestia warta rozważenia.

– Oboje są tylko narzędziami, które po wykorzystaniu można odrzucić – oznajmiła Sahra głuchym głosem wyroczni. – Żadne nie jest niezastąpione. Póki trwa sama Kina, żyje groza lśniącej równiny.

Natychmiast zrobiło się ponuro jak w grobie.

Wszyscy popatrzyli na matkę Tobo, włączywszy samego rannego. Otaczała ją jakaś przerażająca aura, jakby jakiś duch przejął nad nią władzę i mówił jej ustami.

Murgen powiedział później, że wyglądała i przemawiała dokładnie jak jej babka, Hong Trej, kiedy wygłaszała swe proroctwa, wiele dziesiątek lat temu.

Obaj, Tobo i Murgen, o mały włos nie narobili w gacie. Resztki zapachu, jakie im pozostały, wykorzystali na przekonywanie Ospałej, że kwestia Goblina i Córki Nocy może jeszcze poczekać.

Terytoria Tagliańskie:
W RUCHU

Ospała potwierdziła swój zamiar wymarszu na północ. Pod Ghodza nie spotkaliśmy się z żadnym poważniejszym oporem, choć siły lojalne wobec Protektorki zniszczyły główne przęsła wielkiego mostu na Głównej. Naprawy zabrały inżynierom ponad tydzień. Przez ten tydzień Prabrindrah Drah i jego siostra przemawiali do ludu oraz żołnierzy w Ghodza. Udało im się zdobyć serca i lojalność większości.

Książę radził sobie z ludźmi zupełnie nieźle, kiedy tylko zostawiliśmy mu wolną rękę. Z ewangeliczną pasją słaawił przyszłą restaurację swej władzy. Szczególnie żywe uczucia potrafił wzbudzić w ludziach starszych, tęskniących za spokojną niezmiennością świata ich młodości – przed nastaniem Władców Cienia i Czarnej Kompanii.

Wyjawszy niewielkie poletko pamięci, znajdujące się w miejscu, gdzie walki były najbardziej krwawe, całe pole bitwy na północnym brzegu, świadek pierwszego triumfu Kompanii w czasach tak odległych, zostało szczelnie pokryte zabudową. W tamtych pamiętnych dniach znajdowało się tu tylko sioło i wieża obserwacyjna na południowym brzegu, obok brodu dostępnego tylko przez pół roku. Obecnie Ghodza powoli zmieniał się w miasto. Most, którego budowę zgodnie z moim zaleceniem rozpoczęto całe wieki temu, stanowił skarb strategiczny, zarówno w sensie wojskowym, jak handlowym. Po obu brzegach rzeki znajdowały się już silne forty i bogate rynki.

Dziewczyna i goblinia istota mogli dokonać naprawdę znacznie więcej, by utrudnić nam przekroczenie rzeki.

Obóz rozbiliśmy dwadzieścia kilometrów na północ od mostu, w dzikim, nagim terenie, wciąż nietkniętym ręką rolnika. Wątpiłem zresztą, by mógł

przydać się na coś więcej prócz pastwiska. Co z kolei w kulturze wegetariańskiej kwalifikowało go jako nieużytek. Jednak nawet gdyby ziemia była lepsza, nie sądziłem, aby wielu rolników zechciało się na niej osiedlić. Znajdowała się zbyt blisko świętej ziemi Oszustów, Gaju Zagłady.

Zostawiliśmy księcia i jego siostrę w Ghodza, w towarzystwie rzesz pozyskanych lokalnych zwolenników. Ospała uznała, że nadszedł czas, aby władcy zakosztowali nieco niezależności. Była przekonana, że nigdy już nie będą spiskować przeciwko Kompanii. Dostatecznie często uczestniczyli w naszych naradach, by wiedzieć, że ukryty lud Tobo zawsze będzie w pobliżu.

Dziesięć godzin po tym, jak prace nad rozbijaniem obozu dobiegły końca, w samym środku nocy, Ospała zmieniła zamiary. Zdecydowała się na dalszy marsz w kierunku Taglios, aby zająć pozycję między miastem a Gajem Zagłady.

Gdy Rzekołaz przyniósł wieści, nie spałem jeszcze, pisałem w świetle lampy, doglądając równocześnie rannych. Niektórym podróż zdecydowanie nie wyszła na dobre. Martwiłem się zwłaszcza o stan Duszołap.

Zmiana planów nie zirytowała mnie jednak tak bardzo, jak miało to miejsce w przypadku Pani. Z początku prawie nie mogłem jej dobudzić. A potem tak się na mnie wściekała, grożąc najgorszym złem, że nie mogłem się nie zastanawiać, czy przypadkiem znowu nie miała tych swoich koszmarów.

Rzekołaz wymruczał coś, potem wyszeptał:

– Muszę ruszać przodem.

– Zmykaj, Rzeka, zmykaj. Przyda ci się każdy metr, który zyskasz.

Pani obdarzyła mnie spojrzeniem, które kazało mi rozważyć, czy przypadkiem nie zatrzymać go jeszcze na chwilę.

Nowy obóz rozbiliśmy w pobliżu gęstego zagajnika, który, jak odkryłem, otaczał i skrywał rozległe cmentarzysko wojskowe, pozostałe po pierwszej inwazji Władców Cienia na Terytoria Tagliańskie. Jeszcze przed przybyciem Czarnej Kompanii. Prawie nikt nie miał pojęcia o tym, że się tu znajduje. Przynajmniej ja nie miałem, choć wojowałem na tych terenach. Z całej armii jedynie Sjuwrin wykazał odrobinę zainteresowania. Doszedł do wniosku, że jeden czy dwóch jego krewnych mogło tu znaleźć miejsce wiecznego spoczynku.

Będzie miał mnóstwo sposobności odwiedzenia grobów. Ospała zaplanowała dłuższy postój, uzupełnienie stanu liczebnego armii, szkolenia i zbrojne wycieczki na skraj Gaju Zagłady, dając tym samym Tobo i innym rannym czas na nabranie sił. Jednak problem z cmentarzem był taki, że czas zatarł większość prowizorycznych napisów na grobowcach ludzi z Ziemi Cienia.

Goblinopodobny stwór oraz Córka Nocy również dali sobie chwilę wytchnienia – nie robili nic, tylko siedzieli na miejscu. Nie przystąpili nawet do transkrypcji Ksiąg Zmarłych, ponieważ brakowało im materiałów piśmienniczych. Nie naradzali się także z Oszustami, pielgrzymującymi do świętego gaju. Ludzi tych zostawialiśmy w spokoju, aczkolwiek wszystkie ich dalsze kroki skrupulatnie śledziły Nierozpoznane Cienie, podążając za nimi całą powrotną drogę do domów. Niewielu Dusicieli zostało przy życiu w tych czasach. Dzięki temu mogliśmy odkryć, kim są.

Perspektywa dysponowania pełnią wiedzy zawsze kusi, niezależnie od tego, czy ta wiedza jest przydatna.

Gaj Zagłady zawsze stanowił okrutne i paskudne miejsce, w którym zalegał pradawny mrok. Ukryty ludek nienawidził go, jednak przez wzgląd na Tobo potrafił się zmusić do wejścia na jego teren.

Jeśli się poważniej nad tym zastanowić, ich oddanie chłopakowi było nieco przerażające.

Gromovol i Arkana zdrowieli w tempie porównywalnym z tym, w jakim chłopak dochodził do siebie, co było zdumiewające, ale bynajmniej nie magiczne. Nieszczęścia, które spotkały Gromovola, w niczym nie wpłynęły na osłabienie jego arogancji. Arkana, co całkowicie zrozumiała, zamknęła się w sobie.

Głównym przedmiotem mych zmartwień była jednak Duszołap. Nie tylko jej stan nie ulegał poprawie, ale zdawała się słabnąć z dnia na dzień. Najwyraźniej podążała prosto przed siebie, ponurym szlakiem przetartym przez Sedvoda.

Zgodnie z powszechnie panującymi nastrojami powinienem pozwolić jej zgasnąć, to samo pewnie odnosiło się do Gromovola, którego śmierć we śnie nikogo by nie zmartwiła. Postanowienia co do losu Arkany jeszcze nie zapadły, chociaż ukryty lud uwolnił ją od wszelkich win, wyjąwszy chytre rachuby i manipulacje. Czasami, ale naprawdę bardzo rzadko, było mi żal dziewczyny.

Pamiętałem jeszcze, jak smakuje samotność.

Byłem jedynym oprócz Gromovola, który w ogóle chciał z nią rozmawiać. A kiedy tamten podejmował próby nawiązania konwersacji, odwracała się doń plecami. Podczas naszych opornych rozmów próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o jej ojczystym świecie, a zwłaszcza o Khatovarze. Nie miała jednak zbyt wiele do powiedzenia. Nic nie wiedziała. Cechowała ją typowa młodzieńcza obojętność wobec przeszłości.

Szukrat całkowicie ignorowała Arkanę.

Jej wysiłki, żeby jak najszybciej się przystosować, czasami sprawiałyomalże żałosne wrażenie. Szukrat naprawdę chciała zostać jedną z nas. Miałem wrażenie, że zanim nas spotkała, dręczyła ją kompletna samotność. Podobnie zresztą mogło być z Arkaną, co wyjaśniałoby aktualną pogardę Szukrat wobec niej.

Terytoria Tagliańskie:
W OBOZIE

Życie w niczym nie przypomina zastalej wody w sztucznym kanale, która toczy się prosto i powoli. Już raczej górski strumień, kręty, erodujący wszystko na swej drodze, czasami rozplywający się w prawie nieruchome rozlewiska, a czasami zaskakujący nieoczekiwaną gwałtownością spiętrzonego nurtu.

Mówiłem właśnie coś w tym stylu do Pani i Szukrat, równocześnie badając Tobo, by sprawdzić, czy może już poważniej obciążać zrastającą się nogę. Sam chłopak twierdził, że czuje się znacznie lepiej, w rzeczywistości najwyraźniej trudno mu było usiedzieć na miejscu, co stanowiło nieomylny znak, iż stan pacjenta faktycznie się polepsza, aczkolwiek na pewno nie na tyle, na ile zdawało się jemu samemu. Znajdowaliśmy się w moim szpitalu dla wielkich szyszek. Duszołap i Arkana również tu były. Szukrat robiła wielkie przedstawienie, krzątając się wokół Tobo, zachowując równocześnie demonstracyjną obojętność wobec Arkany. Pani klęczała przy sienniku siostry, całkowicie nieruchoma, z dłońmi wspartymi na kolanach. Trwała już tak niemal od godziny. Początkowo sądziłem, że może medytuje. Albo wpadła w jakiś rodzaj transu. Teraz powoli zaczynałem się martwić.

Obie kobiety bardziej przypominały matkę i córkę niż siostry. Biedna Pani. Żadnemu człowiekowi nie dane jest zwyciężyć potęgi czasu. A zwłaszcza że ostatnio upływ lat dał się szczególnie we znaki mojej ukochanej.

Teraz, kiedy osiedliśmy na miejscu i nie mieliśmy wiele do roboty, mogliśmy tylko czekać, aż ludzie dojdą do siebie. Pani każdego dnia

spędzała przy Duszołap wiele czasu. Sama nie potrafiła sobie tego wyjaśnić.

Wreszcie wyszła z transu, spojrzała przytomniej i zadała pytanie, które ją przez cały czas nurtowało:

– Ona umiera, prawda?

– Wszystko na to wskazuje – przyznałem. – I nie mam pojęcia dlaczego. Wygląda na to, że z tych samych przyczyn, które zabiły dzieciaka Vorszk. Stąd wniosek, że nie potrafię nic z tym zrobić. Wyjec również nie wie, co jej jest. – Chociaż z drugiej strony wrzeszczący czarodziej nigdy nie sływał z umiejętności uzdrowiciela.

– Goblin musiał coś jej zrobić, ale tu nie chodzi o czary. – Po chwili dodałem: – Przynajmniej komukolwiek znane. Nie jest to też żadna z chorób, z jakimi zetknąłem się w mojej praktyce. – W większości armii więcej żołnierzy umiera na dyzenterię niż z ręki wroga. Dumny jestem z tego, że w mojej armii nic takiego nigdy nie miało miejsca.

Pani pokiwała głową. Znowu popatrzyła na siostrę.

– Zastanawiam się, o co może chodzić? Coś, co zrobił Goblin. Powinniśmy ją obudzić, a wtedy może sama powiedziałaaby, co? – A za moment dodała jeszcze: – Ten mały bękart był również na miejscu, kiedy zachorował Sedvod, prawda?

– Obawiam się, że tak. – Przekazałem Tobo pod opiekę Szukrat. – Ostrożnie z nim, dziewczyno. Albo będziemy musieli zamknąć was w oddzielnych namiotach.

Chłopak zarumienił się, a Szukrat uśmiechnęła szeroko. Zwróciłem się do Arkany:

– Sądzisz, że już jesteś gotowa do dalszej kariery tancerki?

– Czy ty nigdy nie potrafisz zachować powagi?

Wzięła mnie z zaskoczenia. Frywolność nie była zbrodnią, o którą obwiniano mnie często.

– Nie ma na to rady. Nikt z nas nie wyjdzie z tego żywy, więc dlaczego nie pośmiać się trochę, kiedy jeszcze jest okazja? – Jednooki zwykł tak mawiać. – W złym humorze od rana? – Pochyliłem się bliżej i wyszeptalem: – Nic dziwnego. Połamane kości to nie powód do śmiechu. Wiem. Samemu zdarzyło mi się to parę razy. Ale drwij sobie z tego. W każdym razie najgorsze masz już za sobą.

Nachmurzyła się, jak umiała najlepiej. Najgorsze wciąż jeszcze było w jej głowie. Być może nigdy nie odzyska pełni emocjonalnej równowagi. Wychowano ją w otoczeniu, w którym jej pozycja gwarantowała, że tak potworne rzeczy były nie do pomyślenia.

– Spójrz na to w ten sposób, dziecko. Niezależnie od tego, jak zła wydaje się w twoich oczach aktualna sytuacja, zawsze może być jeszcze gorzej. Od bardzo dawna zajmuję się żołnierską robotą i mogę cię zapewnić, że to jest jak prawo przyrody.

– Jak może być jeszcze gorzej, niż jest?

– Zastanów się. Mogłaś zostać w domu. Obecnie byłabyś już martwa. A najpierw musiałabyś przejść przez piekło. Albo mogłabyś być więźniem, zamiast moim gościem. Co oznaczałoby, że każdy twój dzień wyglądałby tak samo jak ten najgorszy. Naokoło jest mnóstwo chłopaków, którzy sądzą, że zbyt łatwo się wykręciłaś. Co przywodzi mi na myśl kolejne prawo przyrody. Kiedy opuścisz krąg ludzi, którzy traktują cię w sposób wyjątkowy, stajesz się kolejnym ludzkim ciałem. A dla kobiety rzadko kiedy jest to sytuacja pomyślna. Tak naprawdę to masz tu właściwie lepiej, niż miałabyś gdziekolwiek indziej, ponieważ to kobiety dowodzą tym bałaganem.

Arkana wycofała się w głąb siebie, najwyraźniej odbierając moje słowa jako pogroźkę. To nie było tak. Po prostu myślałem na głos. Narzekałem. Jak to jest w zwyczaju starców.

– Jeśli musisz na kogoś zwalić winę, umieść imię Gromovola na czele listy – podsunąłem jej.

– Ona jest jedyną osobą, która łączy mnie z dziewięćdziesięcioma procentami mojego życia. Jedyną rodziną, jaką posiadam – oznajmiła Pani.

Strumień właśnie skręcił w niewytłumaczalny sposób.

– Dołożysz wszystkich starań, aby ją uratować, a pierwszą rzeczą, którą zrobi, będzie oberżnięcie ci nóg w kolanach i zmuszanie do tańca na kikutach.

Tobo próbował coś powiedzieć. Pogroziłem mu palcem. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Jego opinię wypaczała żądza krwawej zemsty.

– Wiem. Wiem. Jednak za każdym razem, gdy obracam się za siebie, wychodzi na to, że znowu kogoś zabrakło, a mnie ogarnia coraz większe poczucie obcości...

– Rozumiem. Kiedy Jednooki odszedł, przez jakiś czas czułem się zupełnie zagubiony. Z mojej przeszłości nie zostało już prawie nic. – Najbliższy był mi bodaj Murgen, który i tak pojawił się późno. Pani i ja wybraliśmy swoją drogę, a teraz byliśmy uchodźcami bez własnego miejsca i czasu. Jednak dlaczego miałbym poniewczasie odczuwać zaskoczenie? Przecież Kompania zawsze była czymś takim: zbieraniną bezdomnych, pozbawionych nadziei, uciekinierów i wyrzutków.

Westchnąłem. Czy miałem zacząć konfabulować nieistniejącą przeszłość w charakterze emocjonalnej protezy?

Ukląknęłam obok Pani.

– Nie przypuszczam, by miała dożyć końca przyszłego tygodnia. Mam spore kłopoty ze zmuszeniem jej do przyjmowania jedzenia. A jeszcze większe z niedopuszczeniem do wymiotów. Wymyśliłem jednak sposób, żeby opóźnić zgon. A może nawet postawić wreszcie trafną diagnozę.

Pani zwróciła w moją stronę spojrzenie tak intensywne, że aż zadrzałem, a przed oczyma stanęły mi dawne czasy, kiedy byłem jeńcem u Pani w Wieży w Uroku i nadszedł czas spojrzenia w Oko Prawdy.

– Słucham.

Zauważyłem, że nawet w obecnej sytuacji ani razu nie dotknęła swej siostry. Jej emocje miały podłoże silnie egoistyczne. Chciała uratować tę szaloną diabolicę, kierując się wyłącznie pobudkami osobistymi.

– Możemy ją przekazać Sziwetji. Wiemy, że potrafi uleczyć Wyjca...

– Twierdzi, że potrafi. Mówi nam to, co chcemy usłyszeć.

To, co Wyjec chciał usłyszeć. Mnie wcale nie zależało na pomyślności tego karzełka. Byłem przekonany, że świat tylko by zyskał, gdyby go zabrakło.

Ton Pani pozostawał w niezgodzie z treścią jej słów. Najwyraźniej w jej duszy rozbłysła iskierka nadziei.

– Każmy Wyjcowi złożyć następny dywan, a potem wymkniemy się na lśniąca równinę, poddamy go terapii i przekonamy się, co Sziwetja może zrobić dla Duszołap – zaproponowałem. – Nawet jeśli nic nie będzie w stanie zaradzić, możemy ją pogrzebać w lodowej jaskini, póki nie odkryjemy, co z nią jest. To może być rodzaj prawdziwego wyzwania dla Tobo.

Taki bieg zdarzeń zdecydowanie mi odpowiadał. Wymyśliłem sobie, że kiedy już umieścimy Duszołap w grocie starożytnych, Pani w końcu

przestanie się nią przejmować. Ostateczny efekt dla losów świata będzie identyczny, jakbyśmy zabili ją od razu, natomiast sama Pani trzymać będzie w ręku nić wiążącą ją z przeszłością, mogąc się pocieszać przekonaniem, że w niedalekiej przyszłości wróci i wskrzesi swą siostrę.

– Podoba mi się ten pomysł – orzekła Pani. – Dowiem się, kiedy Wyjec może mieć gotowy sprawny dywan.

– W porządku. – Odsunąłem jedną z powiek Duszołap. Widok nie był obiecujący. Odniosłem wrażenie, że jej dusza opuściła ciało i błąka się gdzieś, zagubiona. Jeśli naprawdę tak było, Murgen mógłby rzec, że to stosowna odpłata.

Kiedy tylko Pani wyszła z namiotu, Tobo rzekł:

– Knujesz coś jeszcze oprócz tego, co jej powiedziałaś, prawda?

– Ja? – Wzruszyłem ramionami. – Mam parę pomysłów. Niektóre z nich pewnie będą musiał uzgodnić wcześniej z panią Kapitan.

Wtedy Szukrat powiedziała coś takiego, co zupełnie zrujnowało w moich oczach jej wizerunek blondynki-idiotki:

– Znasz powód, dla którego Duszołap szła za wami całą tę drogę z Północy i dla którego Pani teraz chce ją uratować? Gotowa jestem się założyć, że gdyby naprawdę chciała, mogła was wszystkich pozabijać właściwie w każdej chwili.

Zagapiłem się na nią. Potem przeniosłem wzrok na Tobo. I tak trwałem z głupią miną.

Szukrat zaczerwieniła się.

– Żadna z nich dwu nigdy nie nauczyła się mówić: „Kocham cię” – mruknęła.

Zrozumiałem. To było to samo, przez co Goblin i Jednooki przechodzili przez te wszystkie lata, czasami omalże się nie pozabijawszy. Kiedy byli trzeźwi. To była ta sama rzecz, jaką przez cały czas obserwowałem wśród moich braci, którzy nie potrafili, albo przynajmniej nie śmieli, wyrazić swoich prawdziwych odczuć. Dodałem tylko:

– Tyle że one dwie nawet nie zdają sobie sprawy, że chciałyby to rzec.

Cmentarz wojskowy żołnierzy z Ziemi Cienia:
ZŁOŻENI NA SPOCZYNEK

Wierzba Łabędź wsadził głowę do wnętrza namiotu.

– Konował. Murgen. Wszyscy zainteresowani. Sahra jest już gotowa zająć się Tai Deiem i Wujkiem Dodżem.

Rychło w czas, cholera, pomyślałem, ale nic nie rzekłem. Ostatnimi czasy zdarzały się chwile, gdy miałem ochotę ustawić szeregiem całą tę przeklętą Wspólnotę Niueng Bao i porządnie wychłostać. Targali ze sobą dwa ciała przez prawie dwieście czterdzieści kilometrów, kłócąc się zapalczywie, co z nimi począć. Jakoś udało mi się pohamować język, jednak przez cały czas miałem ochotę krzyczeć:

– Przecież im na tym nie zależy! Zróbcie coś! Śmierdzą już. Paskudnie!

Nie jest to oczywiście właściwy sposób traktowania pogrążonych w żałobie krewnych. Chyba że akurat przyjdzie komuś do głowy, iż cierpi na niedostatek wrogów.

Niueng Bao przygotowali dwa stosy pogrzebowe, na poczesnym miejscu, w pobliżu centrum wojskowego cmentarza żołnierzy z Ziemi Cienia. Chociaż towarzyszyło nam już tylko dosłownie paru przedstawicieli ludu bagien, ocalała resztką podzieliła się na zwalczające klikę, które wiodły dyskusję, jak najlepiej uhonorować zmarłych.

Któż potrafiłby sobie wyobrazić, że temat pogrzebu może stać się tematem tak politycznym? Ale ludzie potrafią uczynić kwestię sporną z najgłupszej rzeczy.

Pożegnanie Tai Deia wzbudzało rzecz jasna mniej kontrowersji. On sam nie wierzył właściwie w nic, prócz własnego honoru. Rytualne przejście przez ogień wojownika, który nigdy nie uległ, niepokoiło jedynie kilku

konserwatywnych starców, którym ceremonia wydawała się nazbyt cudzoziemska. Wszakże dopiero kwestia pogrzebu Wujka Dodża okazała się prawdziwą kością niezgody.

Zwolennicy spalenia ciała nie mogli porozumieć się z rzecznikami pozostawienia go na wysokiej platformie, by natura sama oczyściła kości.

Rzekomo tak miał wyglądać właściwy pochówek wielkiego kapłana Ścieżki Miecza – chociaż nikt nie umiał wyjaśnić, jak, dlaczego i skąd wziął się ten pomysł. Żaden z mieszkańców Hsien, wśród których paru dorastało w klasztorach praktykujących sztukę walki, nie słyszał nigdy wcześniej o takiej ścieżce. Lud Hsien palił swych zmarłych. Uczniowie Dodża upierali się jednak, że jego poprzednicy chowani byli dokładnie według ceremonii, jaką dlań przygotowali – wystawieni na działanie przyrody.

Kiedy mijaliśmy stosy, na których znajdowały się już wiązki ziół i zwinięte zwoje papieru z modlitwą, którą ogień miał ponieść wraz z umarłym, Sjuwrin zasugerował:

– Mogli przyswoić sobie ten zwyczaj, kiedy po raz pierwszy wędrowali przez te ziemie. Ludzie w moim ojczystym kraju niekiedy tak postępowali, zwłaszcza gdy zachodziła obawa, że zmarli zostali opętani przez skórozdzierców.

Znowu skórozdziercy. Jedne z tych potworów, których, jak wilkołaków czy wampirów, nikt nigdy nie widział na oczy. Dlaczego tak wielu ludzi kłopotce się wymyślaniami istot, których istnienia nie potwierdzają żadne wiarygodne świadectwa, podczas gdy dookoła pełno jest najzupełniej rzeczywistych monstrów, jakże często spotykanych, z towarzyszeniem dotkliwych konsekwencji wszelkiego typu?

– Ogień nie wystarczał?

– Nie wolno było ich palić. Nawet dzisiaj jeszcze stos jest niedopuszczalny, choć tak wielu mieszkańców Północy przeszło na drugą stronę Danda Presz.

Mruknąłem coś niewyraźnie. Rzecz dotyczyła religii, a z religii rzadko kiedy potrafiłem wyłowić jakiś sens.

– Pospólstwo, biedota, wszyscy ci, którzy nie zwracają na siebie uwagi skórozdzierców, mają normalny pochówek. Taki jak ten. – Wskazał na rozpościerające się dookoła groby. – Ludzie, którzy mogli paść ofiarą skórozdziercy, zostają wystawieni na działanie sił przyrody, aby nie została

po nich skóra, którą tamten mógłby skraść. – Machnął ręką w drugą stronę. – Spójrz na te groby nad ziemią. Muszą w nich spoczywać kapłani i dowódcy, zostawieni tak do czasu, aż będzie można ich pochować nad ziemią w sposób właściwy. Ich armia musiała znajdować się doprawdy w żalosnej potrzebie. Nigdy nie wrócili, by zadbać o swoich poległych.

Tak naprawdę to potrafiłem wypatrzeć mnóstwo przewróconych słupów, strzępy łachmanów i kawałki kości pod konstrukcjami, które dawno temu musiały stanowić platformy grzebalne.

– Wygląda jednak na to, że skórozdziery nigdy nie dotarli tutaj, aby skorzystać ze sposobności.

Obrzucił mnie ponurym spojrzeniem.

Tak do końca to nie miałem pojęcia, dlaczego Sjuwrin został faworytem Ospałej oraz prawdopodobnym kandydatem na jej spadkobiercę. Jednak nigdy nie rozumiałem, dlaczego Murgen wybrał akurat Ospałą. Niemniej wybrał dobrze. Przeprowadziła Kompanię przez wojny kiauluńskie i okres Zniewolenia. Poza tym sam widziałem sporo uniesionych brwi, gdy wybrałem Murgena do roli kronikarza. A Murgen poradził sobie, mimo iż do końca nie mógł ufać zdrowiu swoich zmysłów.

Ospała musiała coś w nim dostrzec.

Sjuwrin jednak miał na ten temat inne zdanie. Upierał się, że chce nas opuścić. Nie dało się wszak nie zauważyć, że zmarnował dotąd niejedną dobrą okazję.

Zgodnie z prawem przysługującym jej jako najbliższej żyjącej krewnej Tai Deia, Sahra poprosiła Murgena i Tobo, by podłożyli ogień pochodni pod stos wraz z nią. Jak najbardziej stosownie, osądziłem, aczkolwiek starzy znowu narzekali. Murgen i Tai Dei od bardzo dawna byli nierozłącznymi bracia.

O tę samą posługę wobec Wujka Dodża Sahra nie poprosiła nikogo prócz Tobo.

Nawet ja oddałem cześć poległemu mistrzowi miecza, chociaż przez całe życie mu nie zaufałem.

Pani wsparła się na moim lewym ramieniu.

– Przypuszczam, że teraz już musisz przyznać, że jednak był godzien zaufania.

Telepatia.

– Niczego nie muszę przyznawać. Po prostu odwalił kitę, zanim zdołał przerobić nas na cacy.

– Nie masz głupca nad starego głupca.

Nie miałem zamiaru się kłócić. Zwyciężyłaby w każdej dyskusji, zwyczajnie żyjąc dłużej. Zmieniłem temat.

– Wciąż czujesz napływ sił? – Od bardzo już dawna nie była zdolna do zaczerpnięcia od Kiny bodaj iskierki nadprzyrodzonej mocy. Jednak jeszcze dawniej potrafiła ukraść jej dość, by dorównać Duszołap. Sądziła, że to przez atak Goblina na boginię zapas mocy uległ wyczerpaniu.

Wydawało mi się całkiem rozsądne, że powrót Goblina w charakterze narzędzia Kiny powinien oznaczać otwarcie nowych zasobów mocy, to jednak tak nie działało. Przynajmniej póki Goblin i Córka Nocy nie dotarli do Gaju Zagłady.

– Powoli, tak. Kropla po kropli. – W jej głosie brzmiało coś na kształt niecierpliwości. – Jestem już w stanie wykonać kilka jarmarcznych sztuczek. – Znając jej sposób myślenia, mogło chodzić o zrównanie wioski z ziemią jednym mrugnięciem oka. – Muszę dotrzeć bliżej, aby przekonać się, co pomaga.

Nie nadążałem za nią. Jednak wyczuwałem jej podniecenie. Ukrywała je dobrze, jeśli jednak pozwolę jej ciągnąć dalej, doprowadzi mnie do szachu, mówiąc o rzeczach zupełnie dla mnie niepojmowalnych.

Ja ze swojej strony również potrafiłem tak na nią działać, albo wówczas, gdy przedstawiałem teorie dotyczące rozmaitych chorób, albo gdy rozwodziłem się na dziejami Kompanii.

Zdecydowanie małżeństwo skojarzone w niebie.

Powiedziałem więc tylko:

– Kiedy już złożymy wyrazy szacunku, może poszłabyś odwiedzić Wyjca? Sprawdzić, czy mój pomysł skłonił go do szybszej pracy nad dywanami?

– Jeśli teraz dasz mu to, czego chce, nie będzie miał powodów zostawać dłużej z nami.

– A dokąd niby miałyby uciec?

– Znajdzie sobie jakieś miejsce. Zawsze tak było.

I jakimś dziwnym sposobem miejsce to zawsze znajdowało się na szlaku naszej wędrówki.

– Wobec tego tym bardziej należy zmusić go, żeby dał nam te dwa, trzy dywany. A ty w tym czasie możesz kręcić się wokół niego, udając pilną uczennicę, siostrzyczko Szukrat.

– Fe! Nie ma mowy! On jest straszny. I śmierdzi. Poza tym ma więcej rąk do pomocy niż niektórzy z tych czwororęcznych bogów Gunni.

– Jest malutki – zawołał Tobo z krzesła, które przyniesiono mu, aby mógł wypocząć między kolejnymi ceremoniami. – Spuść mu lanie.

– Prawdopodobnie tego właśnie chce.

– Załatw kogoś, kto będzie mnie nosił, a ci pomogę – obiecał Tobo dziewczynie. – W mojej obecności Wyjec nie będzie taki pewny siebie. Konował, jak będziemy na niego mówić, jeśli Sziwetja wyleczy go z tego wycia?

– Śmierdziuszek będzie niezłe. Albo Śmierdziel, żeby brzmiało bardziej oficjalnie.

Płomienie otaczające stosy pogrzebowe skoczyły ku górze. Tobo nie zwracał już na mnie uwagi. Ja również porzuciłem temat. Czas powiedzieć „do widzenia, staruszk”. Nigdy wprawdzie nie złożyli przysięgi, ale i Tai Dei, i Dodż byli naszymi braćmi duchowymi. Ich historie ciasno wplotły się w materię dziejów Kompanii, jak wątek i osnowa.

Z Kompanią:
W DRODZE NA POŁUDNIE

W nieróbstwie Ospala zawsze widziała próżnię domagającą się natychmiastowego wypełnienia. Nie miała zamiaru dopuścić, by dziesięć tysięcy ludzi siedziało sobie beczynnie, poświęcając każdego dnia co najwyżej godzinę lub dwie na ćwiczenia. I to tylko wówczas, gdy odczuwali szczególnie gwałtowny przyływ ambicji.

W odległości kilku kilometrów rósł prześlicznie zaniedbany las, wręcz proszący się o uporządkowanie.

Jeśli zapędzi się do roboty całą gromadę ludzi, każe im zacząć od zewnątrz i systematycznie zmierzać ku centrum, pilnując, by po drodze zebrali nawet najdrobniejszą gałązkę i drzazgę, można mieć pewność, że zapłoną naprawdę piękne ogniska. Wieczorem drugiego dnia cały horyzont jednej ze stron świata skrywały już kłęby dymu.

Ospala *provokowała* Goblina i dziewczynę, aby wyszli i pokazali nam, co potrafią.

Wątpiłem w mądrość takiego postępowania. Fakt, że Goblin był wypchany kawałkami Kiny, najwyraźniej nie wywierał na Ospalej stosownego wrażenia. A paskudna reputacja bogini była jak najbardziej zasłużona.

Lecz to nie ja byłem szefem. Mogłem udzielać rad, ale nie byłem w stanie zmusić nikogo do ich słuchania. Moje wyrażone na głos wątpliwości Ospala zbyła jednym ze swoich enigmatycznych uśmiechów.

- Gotów do lotu? – zapytała Pani. – Wyjec skończył dywan.
- Śpieszy ci się?
- Sam mówiłeś, że dajesz Silet najwyżej tydzień. To było trzy dni temu.
- Tak mówiłem? Jak duży jest ten dywan?

– Wystarczy.
– Pytam poważnie, kochanie. Musi pomieścić sześćcioro ludzi.
Zagapiła się na mnie. Po kilku chwilach powiedziała:
– Chyba nawet nie chce mi się pytać. Może najwyżej o to, kto poleci?
– Ty i Duszka. Wyjec. Gromovol. Arkana, jeśli zechce.
– Wciąż rozgrywasz swoje gierki, kochany?
– Żadne gierki. Idę z duchem czasu. Kiedy Magadan został zabity, straciliśmy najbardziej obiecującego z tych dzieciaków. To była jego naprawdę kiepsko przemyślana życiowa decyzja. Gromovol jest równie bezużyteczny jak cycki na byku. O mało co sam go nie zabiłem. Jeśli jednak oddamy dzieciaki tym dwu demonom Vorszk, które Sziwetja trzyma w niewoli, może zarobimy parę punktów.

Zmarszczyła brwi.

– I pomyśleć, że byłaś mistrzynią manipulacji największego imperium...
– Uniosła palec. Poczułem, jak niewidzialna igła zszywa moje usta. Jej moce naprawdę wracały. – Zaraz wszystko wyjaśnię, tylko daj mi dojść do słowa.

– Oto mężczyzna, za którego wyszłam.

Bzdury. Ale nie miałem zamiaru się kłócić.

– Na równinie mamy w pętach dwóch najważniejszych Vorszk. O ile mi wiadomo, ich dom już nie istnieje. Przynajmniej Sziwetja każe w to wszystkim wierzyć. Nie mają przed sobą żadnej przyszłości. Nie mają dokąd pójść. Tak więc w akcie zwykłej uprzejmości mogą wzmocnić nasze szeregi dwójką zawodników wagi ciężkiej, akurat na czas, kiedy będzie nam to najbardziej potrzebne.

– Jesteś zły do szpiku kości.

– Próbuję. Pozwól mi tylko poszeptać trochę do uszka Arkany.

– Zrób to, a następnego dnia obudzisz się, zastanawiając, kiedy będziesz miał pierwszą miesiączkę.

Dobra, dobra. Może w ten sposób dałoby się wyjaśnić ostatnie wahania nastrojów. Jej. Moje spowodowane były przez okutą żelazem, tępą niczym głaz głupotę ludzi, którzy z uporem podkładali mi nogi. To był całkiem inny kawał małego mięsa.

Poszedłem szepnąć Arkanie parę słów do uszka. Ale skończyło się na słowach.

– Z Gromovolem nie będę nawet rozmawiał – poinformowałem Arkanę.
– Dostarczając go na miejsce, mam pewną szansę zawarcia pokoju z jego staruszką. I to wszystko, na co może się przydać ten idiota. Jeśli zostawię go tutaj, narobi jeszcze większych głupot niż wcześniej. Mówiłem ci już, że param się tym procederem od wielu lat. Kiedy trafiasz na kłopot rozmiarów Gromovola, zastanawiasz się, jak można go wykorzystać. Albo zabijasz od razu. W jesieni mego życia stałem się miękki.

Sceptyczny wyraz jej twarzy świadczył jednoznacznie o tym, na ile kupiła tę bajeczkę.

– Ale ty, ty możesz oczekiwać wyjątkowego traktowania. Wybieraj. Jeśli chcesz, możesz wrócić do domu. Albo odbędziesz wizytę, a potem wyjdiesz z nami. Wreszcie, po prostu zostaniesz tutaj i nigdzie nie będziesz się ruszać.

– Ach, ależ pojadę. Nie można inaczej. Kiedy znajdziemy się na miejscu, zdecyduję, co powinnam zrobić.

Wzbiliśmy się w powietrze nocą, przy świetle księżyca. Nowy dywan Wyjca niósł Panią, Duszołap, Gromovola i Arkanę. Tobo, Szukrat, Murgen i ja, niczym czarownice na sabat, ciągnęliśmy w ślad za nimi na latających słupach. Mimo obiekcji Ospalej oraz nie najlepszego samopoczucia Tobo upierał się, żeby też wyruszyć, pewnie dlatego, że robiła to także Szukrat. Towarzyszył nam też Murgen, gdyż Sahra odmówiła wszelkiego latania. Za to młodzież pomykała wokół nas bez śladu strachu, tworząc coś, co wyglądało jak rytuał godowy smoków.

Murgen i ja zrobiliśmy sobie krótki przystanek w Dedżagore. Ospala nalegała, żebyśmy sprawdzili, jak się powodzi siłom okupacyjnym Brzeszczota.

Kiedy spływaliśmy w dół ku cytadeli Dedżagore, zapytałem:

– Sądzisz, że Sahra mogła mieć jakieś widzenie?

– Hę? – Murgen najwyraźniej bujał w obłokach.

– To wariactwo na punkcie bycia matką. Przysięgnęłbym, że cały czas się pogłębia. Pomyślałem sobie, że zauważyłeś jej historyczne napady. Czy jak to tam nazwać.

– Ona o niczym nie chce ze mną mówić. Jeśli masz rację.

– A ty jak myślisz?

– Sądzę, że gdyby nawet jeszcze do tego nie doszło, to zdecydowanie należy się tego obawiać.

– No i?

– Kiedy byliśmy młodzi, bała się, że stanie się taka jak jej matka.

– Czasami potrafi być cholernie zrzędliva.

– Jednak wciąż daleko jej do Goty Trollicy. Ciało nie dokucza jej w takim stopniu. A teraz boi się, że stanie się Hong Trej. Swoją babką.

– I?

– I może rzeczywiście tak będzie. Powoli zaczyna przypominać z wyglądu tamtą starą. Kiedy jednak zaczyna narzekać, przypominam jej, jak spokojna i cierpliwa była zawsze Hong Trej. Niczym kamień pośrodku bezładnego nurtu.

– I to nie działa, co?

– Ani na moment. No cóż. Ktoś musiał się zorientować, że nadlatujemy.

Zanim jeszcze wylądowaliśmy na szczycie wieży cytadeli, Brzeszczot ze swoimi starszymi zastępcami już czekał.

– Oczekiwaliśmy Tobo, wnioskując po poruszeniu wśród cieni – zawołał.

– Macie szczęście. Chłopak jest ranny, zamiast tego przysłano wam starych pierdzieli. Pani Kapitan chciała sprawdzić, jak wam się wiedzie. A więc jeśli poczęstujecie nas paroma porządnyymi drinkami, to powiemy jej, że wykonujecie cholernie dobrą robotę i nie musi w ogóle o was myśleć, chłopcy.

– Sądzę, że da się to załatwić.

Taglios:
DECYZJA

Nawet najbystrzejszego szpiega można zmylić i wprowadzić w błąd, jeśli jest się świadomym jego obecności. Ponieważ niegdyś był żołnierzem Kompanii, niejedną zaś raz padł jej ofiarą, Wielki Generał doskonale rozumiał obowiązującą w jej doktrynie politykę dezinformacji. Wiedza ta znakomicie posłużyła mu podczas wojen kiauluńskich, kiedy to rzadko dawał się wywieść w pole.

Ze szczytu murów obronnych fortecy na wzgórzu niedaleko Taglios, od południowej strony, on i Aridata Singh obserwowali zakrojone na szeroką skalę ćwiczenia walki w szyku. Ostatnimi czasy żołnierze naprawdę zaczęli się przykładać do doskonalenia swych zdolności bojowych. Perspektywa nadciągającej potężnej armii potrafiła zdziałać cuda.

Wielki Generał zapytał:

– Wszyscy poleciecieli?

– W ciągu ostatniej godziny otrzymałem raporty z dwóch niezależnych źródeł. Odlecieli zaraz po wschodzie księżycy. Latający dywan i trzy latające słupy. Skierowali się na południe. Przelecieli tak blisko drzewa, gdzie siedział Haband, że mógł zidentyfikować Wyjca, Panią, Konowała, Murgena, chłopaka czarodzieja oraz trójkę tych białych czarodziejskich dzieciaków, których widziałem, kiedy u nich byłem. Nie przejmują się nami.

– Byli jeszcze inni.

– Pewien jestem, że plotka mówi prawdę. Sprawdzałem ją wiele razy. Tamci nie żyją.

Gdy w grę wchodził ci ludzie. Wielki Generał nie brał na wiarę niczego.

– Dokąd mogli polecieć?

– Może coś się stało w Dedzagore. Albo jeszcze dalej na południu.

„Dalej na południu” musiało oznaczać – po drugiej stronie Danda Presz. Poparcie dla Protektorki na tych terenach, pozostających wciąż w nominalnej gestii Wielkiego Generała, na ile byli w stanie stwierdzić jego agenci, wyparowało całkowicie. Aczkolwiek doniesienia nie wskazywały na szczególne wybuchy entuzjazmu wobec powrotu władców. W imperium zapanowała obojętność; wyjątek stanowili ludzie, którzy po takim czy innym obrocie spraw mogli oczekiwać osobistych korzyści.

Tak samo jak zawsze, pomyślał Mogaba.

Rozmawiając, wciąż bawił się muszlą ślimaka. Ostatnimi czasy nawyk ten zmienił się, praktycznie rzecz biorąc, w nerwowy tik. Jednak zaskoczył Aridata, kiedy nagle odrzucił ramię do tyłu i cisnął muszlą z całej siły przed siebie.

– Czas na pełnowymiarowe manewry w polu. Przekonajmy się, jak dobry jest ich wywiad, kiedy zabrakło cudownego dziecka.

Aridata zadał kilka pośpiesznych pytań. Przypadło mu dowództwo jednostki, która zajmie prawą flankę armii Mogaby. Wsparta zostanie w odwodzie jego Batalionami Miejskimi.

– Przygotuj wszystko tak, jakbyśmy mieli naprawdę ruszać do boju – odparł Wielki Generał. – Wydaj stosowne racje żywnościowe. Ale prowadź przygotowania bez egzekwowania surowej dyscypliny. Chcemy po prostu sprawdzić stopień gotowości naszych żołnierzy. Abyśmy wiedzieli, nad czym jeszcze należy popracować. Nie pozwól na żadne pytania. Odtąd chcę osobiście mieć do czynienia z naszymi szpiegami, kiedy przywiozą informacje.

Aridata odszedł, zastanawiając się, co też tak naprawdę chodzi Wielkiemu Generałowi po głowie.

Ten natomiast posłał po resztę swoich dowódców i członków sztabu. W promieniach jaskrawego, południowego słońca naradzał się wyjątkowo długo z kapitanami kawalerii.

Przy cmentarzu:
ZAMIESZANIE

Wierzba Łabędź wsadził głowę do wnętrza chatki Ospalej, którą wzniesiono dla niej z najlepszych bali ściętych w Gaju Zagłady.

– Kolejny kontakt bojowy z kawalerią Mogaby. Pięć kilometrów na zachód od Drogi Kamiennej.

Zdarzało się to od czasu do czasu. W ten sposób, między innymi, Wielki Generał identyfikował pozycje swych wrogów. Potyczki przybierały na intensywności, kiedy Mogaba chciał sprowokować poważniejszą reakcję. Ospala mruknęła coś pod nosem, nie widząc powodów do niepokoju.

– Trochę mnie to martwi – kontynuował Łabędź. – Tym razem naciskają mocniej. Ponieważ nie jesteśmy w stanie nic wydobyć z ukrytego ludku – zresztą większość i tak poszła za Tobo – nie mamy pojęcia o poczynaniach Mogaby. Jesteśmy równie ślepi jak on.

– Czy jego główne siły manewrują pod osłoną kawalerii?

– Odniosłem takie wrażenie.

– Wobec tego znowu próbuje zasiać panikę w naszych szeregach. –

Zdarzyło się już dwukrotnie, że siły tagliańskie ruszały na południe, zmierzając pozornie do konfrontacji, póki Ospala nie zareagowała – a wtedy wycofywały się szybko. Mogaba próbował dodać trochę pewności siebie swoim niedoświadczonym żołnierzom, wystawiając ich na przedbitewny stres. Bez wątplenia tym razem podprowadzi ich jeszcze bliżej. – Poślij jedną brygadę w ślad za pikietami i każ im robić mnóstwo hałasu. Druga brygada niech zostanie w obozie. Wszyscy pozostali mają zajmować się swymi zwykłymi obowiązkami. Sądzę, że już wkrótce możemy oczekiwać jakiegoś działania Córki Nocy.

Jej kampania przeciwko mesjaszowi Oszustów i goblinopodobnemu do złudzenia przypominała działania Wielkiego Generała przeciwko niej.

– Obecnie znamy już oficjalne tytuły przysługujące im obojgu w hierarchii kultu Oszustów – wypowiedział Łabędź. Ktoś z ukrytego ludku tuż przed odlotem Tobo odkrył je w dalekim Aszaranie. Jakby nie było innych miejsc. Aszaran był maleńkim, sennym miasteczkiem daleko na południu, wyróżniającym się spośród wielu jemu podobnych chyba tylko posiadaniem własnego oddziału Dusicieli. – Khadidas. Khadidas.

Niewolnicy Khadi. Albo Kiny.

– Mówisz o jednym z nich czy o obojgu?

– To jest męska i żeńska forma tego samego słowa. Po jednej dla każdego.

– Wierzba, tej dziewczyny nikt nie będzie nazywał niewolnikiem. W jej żyłach płynie ta sama krew, co w żyłach jej ciotki i matki. Miano „Córka Nocy” pasuje do niej doskonale.

Łabędź wzruszył ramionami, a potem wyszedł. Tobo twierdził, że między dziewczyną a Khadidasem zostało już niewiele miłości. I że, w istocie, coraz częściej się kłóca. A nadto Córka Nocy wygląda tak, jakby powoli traciła złudzenia.

Kawaleria Wielkiego Generała nieustannie nękała zwiadowców i pikiety Ospalej. Nagle wszędzie zaczęły wybuchać potyczki. Handel na Drodze Kamiennej zamarł. Armia konna weszła w kontakt bojowy z brygadą osłaniającą siły Kompanii. W jej skład wchodziłi głównie Vedna. Spośród nich tradycyjnie wywodzili się najlepsi kawalerzyści. I szło im całkiem niezłe w spotkaniach z zawodową piechotą Hsien. Ospala nie miała innego wyjścia, jak wyprowadzić drugą brygadę z obozu, rolę odwodów zaś powierzyć rodzimym rekrutom.

– Powoli zaczynam się martwić – rzekł do niej Łabędź.

– Mamy do czynienia z eskalacją. Wcześniej się nie przejmowałeś.

– Dokładnie to chcę powiedzieć. Dlaczego Mogaba tak usilnie się stara przekonać nas, że to są przygotowania do ataku? Dlaczego próbuje wymusić na nas poważniejszą reakcję?

– Ponieważ chce przekonać się, co zrobimy. Chyba że ma to odwrócić naszą uwagę. Są jakieś szanse, że dobił targu z Oszustami?

– Syn Narajana Singha jest jednym z jego najbliższych towarzyszy.

Potrącił czułą strunę.

– Aridata Singh nie jest żadnym Oszustem! Ani też pachółkiem Oszustów.

– W porządku. Nie denerwuj się.

Kilka chwil później okazało się wszelako, że jak najbardziej istnieją powody do zdenerwowania. Zaszło nieoczekiwane a śmiertelnie groźne wydarzenie.

Kawaleria Mogaby gdzieś zniknęła. Jej miejsce zajęła piechota Drugiej Dywizji Lokalnej Mogaby, równie licznej jak cała armia Ospalej. Tagłanie uderzyli prosto na siły obrońców, odrzucając je, a równocześnie wokół skrzydeł frontu przeciwnika zaczęła przenikać konnica.

Zanim stało się ostatecznie jasne, że tym razem Mogaba nie żartuje, Ospala już pchnęła posłańców i kazała dąć w rogi. Warknęła na Łabędzia:

– Nie możemy mu pozwolić wtargnąć do obozu. Nieważne, ile będzie nas to kosztować.

– Zajmę się tym – odparł Łabędź, chociaż nie przydzielono mu żadnego oficjalnego stanowiska w hierarchii dowodzenia. – Wezmę rekrutów. Ty ogarnij wszystkich, którzy wpadną ci w ręce. – Wybiegł pędem. Jeśli Mogaba zdobędzie obóz, przejmie skarb pochodzący z lśniącej równiny. Już choćby dzięki temu natychmiast stanie się zwycięzcą w tej wojnie.

Szybko zdołał zlokalizować sierżantów z Hsien, którzy odpowiadali za szkolenie rekrutów, i natychmiast zabrał się do zaprowadzania ładu w obozie. Przede wszystkim ogłosił, że wróg pchnął naprzód tylko siły rozpoznania. I część z nich próbuje przedostać się na teren obozu.

Kiedy tylko uformował szyk rekrutów czołem do linii wroga, posłał zaufanych ludzi, aby przenieśli skarb na teren starego wojskowego cmentarzyska żołnierzy z Ziem Cienia. I dobrze postąpił. Atak Mogaby okazał się znacznie bardziej energiczny, niż oczekiwano pierwotnie. Kiedy pierwsza linia dotarła do obozu, rekruci nie utrzymali się długo. Pozwolili jednostkom przeciwnika wejść na teren obozu.

Jednak nie wszystko potoczyło się po myśli Wielkiego Generała. Wkrótce po tym, jak jego własna dywizja związała wroga walką, druga miała ruszyć na wschód po Drodze Kamiennej, aby przeciąć trasę ucieczki żołnierzom wycofującym się z Gaju Zagłady i zdążającym na pomoc Ospalej. Jednakże dowódca tych sił, obawiając się, że sam wpadnie w chytrze zastawioną pułapkę, wahał się, póki jego atak nie stracił szans

powodzenia. Wkrótce już będzie mógł szukać sobie nowej pracy. Wielu młodszych oficerów podzieli jego los.

Na wysuniętym lewym skrzydle Aridata Singh zgodnie z planem przeszedł do ataku. Jego bezpośrednim celem było zajęcie Gaju Zagłady. Potem miał rozszerzyć front na południe oraz zachód i odciąć wrogowi drogę ucieczki. Zanim jednak jego siły na dobre przystąpiły do tego manewru, otrzymał rozkaz od Mogaby, wzywający do odwrotu. Wróg zdołał zaprowadzić ład w swych szeregach. Wkrótce należało oczekiwać kontrataku. Wielki Generał obawiał się, że gdy Ospała odkryje położenie wojsk Aridaty, spróbuje je okrążyć i wyciąć w pień. Singh był nowicjuszem w żołnierskim rzemiośle.

Gaj Zagłady:
WIELKA NIESPODZIANKA

Córce Nocy chciało się wyc, gdy myślała o nudzie i udręce psychicznej, nieodmiennie towarzyszących jej w Gaju Zagłady. Życie u boku Narajana nie było doskonałe, jednak rozumiała rządzące nim zasady. Życie z Khadidasem okazywało się nie do wytrzymania. Opętany mały człowieczek zachowywał się nieznośnie. Każdego dnia udzielał jej lekcji. Prawie zawsze dotyczyły rzeczy, które dobrze znała. Chyba że akurat były to rozmaite filozoficzne dywagacje na temat konieczności całkowitego oddania się Kinie. Tamten nieubłaganie perorował o tym, jak powinna pozbyć się najmniejszych nawet strzępów własnej osobowości i zmienić w naczynie Kiny – być już nie Córką Nocy, ale wyłącznie Khadidasą.

Khadidas bezustannie zarzucał ją argumentami, podczas gdy ona siedziała na stopniach świątyni Oszustów, obejmując ramionami podkurczone nogi, z głową wspartą na kolanach. Pielgrzymi odwiedzający świątynię wchodzili i wychodzili, sprzątając sanktuarium. Nie zwracała na nich uwagi. Wspominała chwile, kiedy przebywała tu z tatą Narajanem. Z obecnej perspektywy tamte dni przypominałyomalże normalne życie rodzinne.

Zaczęła powtarzać sobie poglądy z czasów minionych, kiedy nagle stała się niespokojna. Zdumiała się, dlaczego? Nie myślała o ludziach w ten sposób od dnia, kiedy usłyszała o śmierci Narajana.

Ktoś wyszedł ze świątyni, minął ją bez słowa. Z wysiłkiem próbował postawić na ziemi kubek brudnej wody. Wiadro wydało głuchy łomot. Człowiek z kubkiem pisnął zaskoczony i przechylił się do tyłu. Upadł na stopnie obok dziewczyny, potem uniósł spojrzenie zdumionych oczu na swego mesjasza. Obserwowała, jak gaśnie w nich ostatnia iskierka życia.

Z jego piersi sterczało drzewce strzały. Ugodziła go prosto w serce. Dziewczyna nie zwróciła uwagi na barwy znaczące drzewce, z których można było wywnioskować nie tylko jednostkę łucznika, ale nawet jego imię. Rozejrzała się dookoła. Usłyszała docierający zewsząd zgiełk i krzyki. Strzały ze świstem przeleciały obok niej i z cichymi kłaśnięciami wbiły się w ciało jej nowego towarzysza. Sięgnęła w głąb swej duszy, by uwolnić czar „kochaj mnie”. I wtedy strzała ze stępionym grotem trafiła ją centralnie między piersi. Po chwili druga w brzuch. Złożyła się wpół, jakby chciała wymiotować wnętrzności.

Pierwszych kilka grotów, które weń trafiły, najwyraźniej nie wywarło na Khadidasie żadnego wrażenia. Jednak pociski sypały się dalej. I jeszcze. A potem dookoła zaroilo się od tagliańskich żołnierzy. Głos któregoś z wyższych oficerów zawołał:

– Odetnijcie im głowy. Zabierzemy je ze sobą. Zostawcie ciała na cmentarzysku. Kruki się nimi pożywią.

Inny oficer szedł szybko w kierunku Córki Nocy. Pozostali Taglianie najwyraźniej ustępowali mu rangą. Pierwszą reakcją dziewczyny była myśl, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu. Potem przypomniała sobie, że spotkała go już wcześniej, kiedy pozostawała w niewoli u Czarnej Kompanii. Przyprawiono go, by odwiedził Narajana.

– Mój bracie, Aridato – zdołała szepnąć. – Wydaje się moim przeznaczeniem dożyć lat w niewoli. – Wciąż trzymała się za brzuch. Potężny żołnierz Szadar stał obok, gotów w każdej chwili, przy najlżejszym podejrzanym ruchu, zdzielić ją pałką w głowę.

Oficer tagliański zareagował zaskoczeniem, które jednak natychmiast się rozwiało. Zrozumiał, o co chodzi w tym zwrocie.

– Ty jesteś Córką Nocy. Moim zadaniem jest zadbać, byś nie wypełniła swego przeznaczenia. – Zmierzył wzrokiem istotę leżącą obok niej, nieruchomą, ale wciąż żywą. W zwykłym sensie słowa. Goblina również widział tamtej nocy.

– Teraz to jest Khadidas – powiedziała dziewczyna. – Nie ten mały czarodziej. I żyje. Ponieważ nie jesteście w stanie go zabić. Ma w sobie boginię.

Taglianin wykonał kilka szybkich gestów. Żołnierze skrępowali istotę, która była niegdyś Goblinem, potem wepchnęli ją do konopnego worka –

najpierw wyciągnąwszy groty z ciała.

– Nie stawiałbym na to.

– Kina jest w nim.

– Załóżmy, Pierdu Pierdu, że posiekam go na drobne kawałki. A potem każę moim ludziom spalić każdy oddzielnie, w miejscach oddalonych od siebie o setki kilometrów. Nie znałem mojego ojca i z pewnością nie szanuję tego, czym się stał. Ale, mimo to, on go zamordował.

– Jak do mnie mówisz?

– Co? Chodzi ci o Pierdu Pierdu?

– Tak. O to. Dlaczego tak do mnie mówisz? – Zmusiła się, by odwrócić wzrok od scen mąk zadawanych Oszustom, równocześnie wypierając ze swych myśli oskarżenie ciśnięte w twarz Khadidasowi.

– Twoja matka i twój ojciec, jak również wszyscy pozostali w Kompanii, których w ogóle obchodzisz, nazywają cię „Pierdu Pierdu”. Ponieważ to znacznie mniej pompatyczne niż „Córka Nocy”. Idziemy. Wstawaj. Muszę wycofać stąd tych ludzi. Ale żadnych sztuczek. Jeśli zrobisz jeden niewłaściwy krok, pożałujesz. Ci żołnierze naprawdę się ciebie boją.

Dziewczyna poczuła, jak przenika ją dreszcz zaskoczenia. Troszczyli się o nią na tyle, by obdarzyć ją szczególnym imieniem? Narajan nie posunął się tak daleko, chociaż wiedziała, że był jej bardzo oddany.

Mimo ostrzeżenia Aridaty próbowała wyzwolić efekt czaru „kochaj mnie”. Nie udało się. Nie potrafiła jednak stwierdzić, czy to dlatego, że została tak rozbita, czy przez Khadidasa. Goblinopodobny stwór dowiódł już wcześniej wielokrotnie, że potrafi nad nią zapanować; zazwyczaj działał się tak wówczas, gdy nie miała ochoty ulec narzucanym regułom.

Przez chwilę naprawdę pragnęła, by ci, którzy ją pojмали, rzeczywiście porąbali ciało Khadidasa i zmienili jego szczątki w kupki popiołu oddalone od siebie o setki kilometrów. Potem odsunęła od siebie względy osobiste. Nie było na to czasu. Należało natomiast skupić się na przetrwaniu do chwili, gdy ona i Khadidas będą mogli rozpocząć swe zbrojne dzieło.

Nie wątpiła, że taka szansa zostanie im ofiarowana. Kina znajdzie sposób. Kina zawsze sobie poradzi. Ponieważ Kina była ciemnością. A ciemność zawsze nadchodzi.

Na razie dziewczyna zachowywała się z pokorą i okazywała demonstracyjną chęć do współpracy. Jednak nic nie potrafiła poradzić na podniecenie, które ją ogarniało, ilekroć przystojny generał pojawiał się

w polu widzenia. On sam był wszak zbyt zajęty, żeby zwracać na nią uwagę. Otrzymał rozkazy odwołujące wcześniejsze ustalenia.

Obok cmentarza:
WIĘKSZE ZAMIESZANIE

Niedaleko stąd, gdzieś na wschód od Drogi Kamiennej, znajduje się kolejna dywizja – poinformował Ospałą oraz członków jej sztabu Łabędź. – Mam wrażenie, że otrzymali rozkazy przebicia się i okrążenia nas. Jednak znieścacka zawrócili na północ. Ponieważ nie wzięliśmy żadnych jeńców i nie dysponujemy pomocą ukrytego ludu, nie dowiemy się, co nastąpiło.

Nierozpoznane Cienie stały się kwestią wiodącą wszystkich narad. Dookoła wciąż kręciło się parę, jednak nie sposób było zmusić je do współpracy. Tobo zapomniał przykazać im przed odlotem, by współdziałały z ludźmi.

Dyskusja nijak nie wpłynęła na poprawę nastrojów. Wszyscy byli zmęczeni, rozdrażnieni i rozbici. Zwłaszcza Ospała. Nie mając jeszcze żadnych wiarygodnych danych, już doszła do wniosku, że Mogaba znowu ją pokonał. Ale przecież do końca było jeszcze daleko.

Wielki Generał nie zerwał kontaktu bojowego. Najwyraźniej zdecydowany był potykać się w nieskończoność.

– Myślę, że poszło nam nieźle – poinformował Łabędź wszystkich zebranych. – Przynajmniej stosunek strat przemawia na naszą korzyść.

– Ale strategicznie rzecz biorąc, Mogaba już pewnie świętuje zwycięstwo. Zadowolony z tego, co udało mu się osiągnąć – zachnęła się Ospała.

Oczywiście nie mogła tego wiedzieć. Przepęłniało ją niezadowolenie. Mogaba znowu ją zaskoczył.

Przeoczyła fakt, że przecież kiedy już przyszło co do czego, udało się jej odeprzeć siły znacznie przewyższające liczebnie i że Mogaba prawdopodobnie się przeliczył.

Wierzba Łabędź doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Powiedział więc:

– Mogaba może wrócić. Kiedy zrozumie, że nas zaskoczył i mógł rozbić w puch, gdyby tylko zaatakował porządnie, zamiast głupio manewrować.

Zebrani unieśli oczy. Któryś z dowódców brygad zauważył, że na miejscu przeciwnika zaatakowałyby ponownie, nawet wiedząc, iż wrogowie go oczekują. Zrobiliby to choćby po to, by zobaczyć, co się stanie. I ugruntować w umysłach obrońców przekonanie, że muszą zachowywać nieustającą czujność. Po kilkunastu dniach ciągłego oczekiwania na atak morale upadnie.

Do środka weszła Sahra. Spóźniona i niezainteresowana tematem dyskusji.

– Zaczęło padać – oznajmiła, kierując swe słowa w przestrzeń.

Ponieważ była to istotna informacja, mogąca wywrzeć niebagatelny wpływ na dalsze działania, Łabędź wyszedł na zewnątrz, by zobaczyć na własne oczy.

Niebo skrywała powłoka chmur. W powietrzu wisiała woń zwiastująca deszcz. Ale jeszcze nie padało i nie wyglądało, że zacznie wcześniej niż dobrze po północy, do której wszak nie było daleko. Łabędź wrócił do chatki, kręcąc głową.

To, że Sahra mogła mówić wprost lub w przenośni, stało się jasne chwilę później, kiedy patrol przyniósł wieści, że Gaj Zagłady został oczyszczony z Oszustów.

– Zabrali nawet Córkę Nocy i gobliniego stwora? – dopytywała się Ospała.

– Nie znaleźliśmy ich ciał, Kapitanie. A ciał było tam mnóstwo. Wszystkim obcięto głowy. Może tym dwojgu udało się uciec.

– Może. Chciałabym, żeby Tobo przywłókł wreszcie swoją dupę z powrotem. Szczerze nienawidzę tej ślepoty.

– Zostałaś kompletnie rozpuszczona – powiedział jej Łabędź.

– I czule wspominam każdą tamtą chwilę. Tso Lien. Kolejna robota dla twoich ludzi z rozpoznania. Sprawdź, co się stało. I dowiedz się, czy możemy złapać języka. Pamiętaj, że Mogaba nie posiadałaby się z radości, zwabiwszy nas w śmiertelną pułapkę.

– Także się stanie, mój Kapitanie.

Łabędź skrzywił się, słysząc kwiecistą odpowiedź Tso Lien. Tamten urodził się na prowincji, gdzie styl wypowiedzi był równie istotny jak jej treść. Należał do tych zapalczywie kompetentnych zawodowych oficerów, którzy chcieli zrzucić feudalne okowy Hsien w nadziei zbitcia własnej fortuny.

Łabędź zastanawiał się, czy w obecnej sytuacji żołnierze z Krainy Nierozpoznanych Cieni nie zaczną przypadkiem dbać w większym stopniu o pozostanie przy życiu niż o zwycięstwo w wojnie. Ich przyszłe majątki znajdowały się aktualnie w rękach Kompanii, pogrzebane na pobliskim cmentarzu.

Lśniący kamień:
BEZIMIENNA FORTECA

Ach, jakże czujnie patrzyli na nas, kiedy Pani i ja otwieraliśmy Bramę Cienia. Dla efektu czysto teatralnego i by zwiększyć ich poczucie bezradności, wykonałem kilka zupełnie niepotrzebnych kroków. Potem ruszyliśmy znów bezładną gromadką po osłoniętej barierą drodze ku wielkiej, oziębłej twierdzy Sziwetji.

Cała równina sprawiała wrażenie szare, zimne, wrogie; wszelkie lśnienie gdzieś zniknęło. Stojące kolumny zdawały się stare i zmęczone, jakby nie interesowało ich już głoszenie chwały czasów minionych wszem wobec. Nie udało mi się wypatrzeć żadnej nowej. Wiatr ani przez moment nie stał się cieplejszy niż serce lichwiarza. Przed naszymi oczyma rozciągały się łąchy śniegu i lodowe pola.

Tobo wyraził przypuszczenie, że pogoda nad równiną pochodzi z jakiegoś miejsca, gdzie pory roku są znacznie surowsze niż nasze.

– Tak sądzisz? – zapytałem. – Mimo iż nie istnieje Brama wiodąca do Khatovaru? – Równina nie promieniowała już złowieszczą atmosferą. Czyżby cienie stały się aż tak nieliczne?

– Tylko że w domu jest teraz pełnia lata – odpowiedziała Szukrat.

Mruknąłem coś nieartykułowanie. Pognałem mój latający słupek. Dzieciaki nie miały żadnych kłopotów z dotrzymaniem mi tempa. Dywan Wyjca natomiast szybko został z tyłu, tak że ledwie usłyszałem dobiegające zza pleców stłumione przekleństwo Pani. Wyjec nie mógł się spieszyć, ponieważ jego wehikuł ledwie mieścił się w prześwicie chronionego obszaru. Musiał zachować ostrożność.

Kiedy zbliżaliśmy się do fortecy Sziwetji, Tobo wykrzyknął:

– Teraz już można w górę! – A potem on i Szukrat wystrzelili w stronę słońca. Czy też w kierunku, gdzie wisiałaby tarcza słońca, gdyby nie wredna pogoda.

– Ani mi się waż! – warknął Murgen.

– Za późno, chłopie. Trzymaj się. – Już się wznosiliśmy, chociaż nie tak brawurowo, jak pewne swej nieśmiertelności nastolatki. Kiedy z gardła Murgena wydarł się trwożliwy pisk, stwierdziłem: – Jeśli nie podoba ci się przejażdżka, zsiadaj i idź pieszo.

Już po kilku chwilach mogliśmy spojrzeć na równinę lśniącego kamienia z boskiej perspektywy.

Widok okazał się nieporównywalny z żadnym, jaki dane było mym oczom oglądać; wcześniej przeczytane opisy bynajmniej nie oddawały mu sprawiedliwości. Z wysokości blisko kilometra równina przypominała posadzkę w głównej sali fortecy. Ale to mnie nie zaskoczyło. Dech w piersiach zaparł mi widok krain otaczających równinę.

Wszystkie szesnaście wycinków koła wychodziło na jakąś z Bram Cienia. W każdym panowała inna pogoda, inna pora roku, inna godzina, wszystkie poniekąd zamazywały się i zlewały w pół drogi pomiędzy Bramami Cienia.

– To jak oglądanie reszty wszechświata z wnętrza kryształowej kuli – powiedział Murgen.

– Dlaczego ani razu nie napisałeś, że tak to wygląda?

– Ponieważ nigdy nie widziałem tego w ten sposób. Może z płaszczyzny duchowej nie da się zobaczyć.

Z góry to miejsce nabierało kolorów. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu barw na równinie lśniącego kamienia.

Tobo i Szukrat przemknęli obok nas i skierowali się w dół, zanosząc głośnym śmiechem. Krzyknąłem w ich stronę:

– Koniec zabawy. – Pojawił się dywan Wyjca, pełznący wzdłuż linii drogi, od strony naszej Bramy Cienia.

Do fortecy wlecieliśmy przez dziurę w dachu. Wyglądało na to, że to jedyne uszkodzenie niemające zamiaru naprawić się samo. Może demoniczny strażnik bardziej potrzebował dziury niż suchej posadzki. Z pewnością nie dbał o pogodę.

Chociaż na zewnątrz trwał dzień, nasz człowiek na miejscu, staruteńki Baladitja, drzemał. Ostatnimi czasy prawdopodobnie spędzał więcej czasu

we śnie niż na jawie.

Zanim Murgen i ja wylądowaliśmy, Szukrat zdążyła już wdać się w zapalczywą kłótnię z Naszunem Badaczem oraz Pierwszym Ojcem. Rzecz jasna, ona i czarownicy Vorszk posługiwali się swoją rodzimą mową, ale literalny sens słów nie miał tu znaczenia. Istota sporu była stara jak sama ludzkość – stęchłogłowa starość przeciwko wszechwiedzącej młodości.

– Śmierdzi tutaj – zauważył Murgen.

Śmierdziało w pełnym tego słowa znaczeniu. Najwyraźniej Vorszk czekali, aż służba po nich posprząta.

– Zakładam, że Sziwetja nie dysponuje szczególnie czułym węchem. Na jego miejscu przestałbym ich karmić, póki nie nauczyliby się higieny. – Baladitja, jak zauważyłem, jakoś potrafił zakrzętnąć się wokół siebie, mimo skłonności do roztargnienia i całkowitego zatopienia w pracy.

Wrzawa wzniecona przez Szukrat i jej krewnych w końcu przerwała drzemkę kopisty.

Baladitja wyglądał niczym kudłaty, stary strach na wróble, któremu rozpaczliwie przydałaby się zmiana odzieży. Jego złachmaniony ubiór był chyba jedynym, jaki wedle mej wiedzy kiedykolwiek posiadał. Wyglądał omalże równie źle jak strój Wyjca, tyle że spowijał go mniej ściśle.

Przydałoby mu się również bliskie spotkanie z nożyczkami, grzebieniem i białą ciepłą wodą. Pozlepiane strąki cienkich, siwych włosów sterczały wokół twarzy i głowy na wszystkie strony. Wyglądało to tak, jakby pod najłżejszym podmuchem wiatru mogły odlecieć niczym nasiona dmuchawca.

Wnętrze fortecy mogło przyprawić o drzenie. Nigdy nie potrafiłem zaznać tu spokoju. Drażniło mnie w ten sam sposób, co niegdyś obecność Wujka Dodza. Coś było tu nie tak. Podejrzenie nie tak. W cichy, nienarzucający się sposób. Żadną miarą nie potrafiłem przestać się denerwować. Baladitja natychmiast przyczepił się do Murgena, chcąc wiedzieć, jak powodzi się Ospalej, jego staremu przyjacielowi, Mistrzowi Santaraksicie, a wreszcie Tobo. Miał żyłkę kronikarza. Dlatego, pomimo iż wybrał sobie życie tutaj, pełne przygód intelektualnych, tęsknił za ludźmi.

Podejrzałem, że Vorszk nie byli najlepszym towarzystwem. Prawdopodobnie bezustannie uskarżali się w języku, którego nie rozumiał,

nie podejmując innych prób komunikacji niżli przemawianie coraz to głośniejsze i wolniej.

Zerknąłem w górę, zastanawiając się, kiedy pozostali dotrą na miejsce. Potem odszedłem parę kroków na bok, stając poza krawędzią docierającego znikąd światła, które oświetlało miejsce pracy Baladitji. Przyjrzałem się ogromnej, majaczącej w mroku sylwetce Sziwetji.

Ciemność spowijająca demona była znacznie gęstsza niż w moich wspomnieniach, jak również w relacjach tych, którzy ją opisywali. Wielki, drewniany tron pozostawał równie kiepsko widoczny. Humanoidalny korpus przyszpilony do siedziska ostrzami srebrnych sztyletów wydawał się znacznie mniej cielesny. Przyszło mi do głowy, że może to konieczność materialnego zaopatrywania gości sprawiła, że golem nabrał bardziej eterycznego charakteru.

Goście muszą jeść. Sziwetja karmił swych gości i sprzymierzeńców, każąc ziemi wydzielać podobne grzybom wielkie purchawki manny. Pamiętałem, że smakują trochę słodko i korzennie, ale w taki sposób, że nie sposób dojść, co to za przyprawa. Wystarczyło kilka kęsów, by poczuć napływ energii i znaczny wzrost wiary we własne siły. Nikt jednak nie tył na tej potrawie. W rzeczy samej, jest z lekka odstręczająca i nie weźmie się jej do ust, jeśli nie czuje się naprawdę silnego głodu albo bólu.

Rzecz jasna, sam Sziwetja również nie zamierzał być krągły przez całą wieczność.

Zdałem sobie sprawę, że patrzę na mnie wielkie, czerwone oczy. Golem przyglądał mi się z większym jeszcze zainteresowaniem niż ja jemu.

Nigdy nie odzywał się na głos. Sądziłem, że jest niemową. Kiedy chciał coś przekazać, mówił wprost do umysłu. Dla niektórych doświadczenie to nie było niczym nadzwyczajnym. Ja osobiście nigdy nie zaznałem tej duchowej komunii, przynajmniej na ile wiedziałem, więc nie potrafiłem jej opisać. A czy kiedykolwiek nawiedził moje myśli podczas kilkunastu lat, gdy spoczywałem zaczarowany w znajdujących się poniżej jaskiniach, tego również nie potrafiłem sobie przypomnieć. Cały ten czas nie pozostawił w mej głowie najmniejszego bodaj wspomnienia.

Murgen i Pani jednak pamiętali. Przynajmniej część. Nie chcieli wszelako o tym rozmawiać. Woleli, by to, co zawarli w Kronikach, mówiło samo za siebie.

Zapewne były to niemiłe wspomnienia.

W plątaniu cieni Sziwetja wyglądał, jakby miał łeb psa lub szakala, co wywołało we mnie przelotne wspomnienia wizerunków bogów z krainy mego dzieciństwa. Przypuszczam, że jego naprawdę można było określić mianem boga podziemi. Tylko po prostu nie bardzo starał się o wyznawców.

Jedno ogromne oko zamknęło się, potem otworzyło na powrót. Demon lśniącej równiny okazywał w ten sposób swe poczucie humoru. Pamięć o tym mrugnieniu miała przesładować mnie przez wiele dni.

Poczułem czyjąś dłoń zaciskającą się na mym ramieniu. Spojrzałem w bok. Moja najdroższa przybyła. A w tym półmroku wyglądała na znacznie młodszą i szczęśliwszą.

– W końcu dotarliście, ludzie – szepnąłem.

– Wyjec powoli zmienia się w nieśmiałego staruszka. Uwierzył, że ma przed sobą jakąś przyszłość.

– Może przejdziemy się około kilometra w tę stronę i zagubimy na pół godzinki?

– Cóż. To z pewnością kusząca propozycja. Zastanawiam się jednak, co w ciebie wstąpiło?

Uszczypnąłem jej tyłeczek. Pisnęła i odtrąciła moje ramię.

– Auć! – krzyknąłem.

Oczy Sziwetji były już zwrócone na nas.

– Ma doskonałe wycucie chwili, nieprawdaż? – stwierdziła Pani.

Zaiste. Podobnie jak inni właściciele licznych par oczu, które obserwowały nas z miejsca, gdzie zgromadził się niewielki tłumek. Zwłaszcza młodzi byli wyraźnie pełni niesmaku.

– No, cóż. Życie to dziwka.

Bezimienna forteca:
PASJA WERBOWNIKA

Rodzinne sprzeczki Vorszk ciągnęły się bez końca, rzadko cichnąc na dłużej. Podejrzywałem, że ci dwaj starcy wielokrotnie próbowali dać się nam we znaki, ale za każdym razem Sziwetja ich powstrzymywał. Tobo nie zwracał na nich uwagi. Przez cały czas pozostawał pochłonięty rozmowami z Baladitją lub golemem. Ten drugi najwyraźniej wciąż miał czym wzbogacić i tak już okazał magiczny arsenał chłopaka.

Kiedy tego wszystkiego było już nazbyt wiele, Arkana i Szukrat wycofywały się, umykając akurat tam, gdzie przebywałem. Zazwyczaj kończyło się to tym, że siadały na posadzce, plecami do swej rodziny.

– Boją się ciebie – wyjaśniła Arkana. – Uważają cię za prawdziwego potwora, Tobo ma być tylko dla zamydlenia oczu. Sądzą, że to ty zniszczyłeś nasz świat.

– Niczego nie zniszczyłem. – Ciekawe. Kiedy potrzebowała ochrony, jej obcy akcent słabł zdecydowanie.

– Ja o tym wiem. Ty o tym wiesz. Nawet oni najprawdopodobniej wiedzą. Lecz za nic nie chcą, by była to ich wina. W głębi duszy są prawie równie źli jak Gromovol czy Sedvod. Od kilkuset lat bycie Vorszk oznaczało doskonałość w każdym szczególe. Bez skazy.

– Skąd więc te wszystkie kłótnie?

– Ponieważ Szukrat chce zostać z wami. Ponieważ Sedvod umarł i został pochowany bez właściwych rytuałów. Ponieważ nie potrafią uwierzyć, że Gromovol zrobił tak wiele głupstw, włączywszy w to doprowadzenie do śmierci Magadana. Kiedy te wieści dotrą do domu, spowodują naprawdę ogromne kłopoty w polityce wewnętrznej rodziny. Ojciec Magadana jest

bratem Pierwszego Ojca, a obaj naprawdę szczerze się nawzajem nienawidzą.

Najwyraźniej Vorszk ocaleni przez demona zdecydowali się udawać, że ich rodzina wciąż włada światem niezniszczonym przez zabójcze cienie.

– A dlaczego krzyczą na ciebie?

Arkana westchnęła. Schowała głowę między kolana, tak że nie mogłem dostrzec wyrazu jej twarzy.

– Przypuszczam, że dlatego, gdyż naprawdę grzecznie poinformowałam ich, iż również nie chcę wracać do domu.

Arkana naprawdę często używała słowa „naprawdę”.

– Pomimo tego, co się stało?

– Oni jeszcze o tym nie wiedzą. I nie muszą o tym wiedzieć.

– Ja nie powiem im na pewno. Ale Gromovol może...

– Nawet Gromovol nie jest na tyle głupi, by o tym gadać. Nie ma sposobu, żeby przekonał kogokolwiek, iż to nie jego wina. Zgodnie z regułami rządzącymi naszym ludem. Gdyby to się wydało, nawet własny ojciec się go wyprze.

W naszą stronę zmierzała Szukrat, z cokolwiek oszołomionym wyrazem twarzy. Arkana odsunęła się dwa, trzy metry, ale żadnym innym gestem nie dała po sobie poznać, że tamtą w ogóle zauważyła. Podobnie Szukrat odnosiła się do Arkany. Usiadła na kamiennej posadzce, zaplotła dłonie wokół kolan, o które wsparła podbródek. Na jej policzkach widniały ślady zaschłych łez.

– No i? – zagailem. – Czy muszę zrobić parę kroków i spuścić lanie temu, kto był niegrzeczny dla moich dziewczynek?

Szukrat zaśmiała się słabo.

– Musiałbyś chyba walić ich po głowach. Z dziesięć tysięcy razy. Kowalskim młotem.

– I może wtedy raczyliby zwrócić na ciebie uwagę – dodała Arkana. Kiedy tak siedziały obok siebie, podobieństwo rodzinne stawało się uderzające. Dopiero gdy uwidaczniał się ich charakter, dochodziły do głosu wszystkie różnice.

Jednakowoż dziewczyny miały rację. Nawet zagłada całego świata nie potrafiła poruszyć tych wrośniętych w ziemię głązów i wyciągnąć z suchego koryta skrzepniętych kanonów myślowych.

– Arkana, doszłaś już do siebie? Możesz tłumaczyć moje słowa? – zapytałem. Oczywiście rozmowa mogła przebiegać w mowie Jałowca, jednak dzięki temu poczuje się przydatna.

Zastanawiała się przez chwilę. Wymieniła spojrzenia z Szukrat. Potem obie popatrzyły na mnie.

– Najwyżej trochę ich postraszę – obiecałem.

Starszy Vorszk ciosał kołki na głowie Gromovola. Gdyby dzieciak nie spieszył sprawy tak paskudnie, nawet byłoby mi go żal. Teraz drzwi do naszego świata były dla niego zamknięte. Będzie musiał zgodzić się na wszystko, co ci dwaj dla niego wymyślą.

– Byliście niedobrzy dla moich dziewczynek – poinformowałem Pierwszego Ojca. – Czas z tym skończyć. Chyba że któryś zechce skoczyć i zobaczyć, jak wygląda sytuacja w waszym świecie?

Żadnej reakcji. Tylko wredne spojrzenia.

– A więc tak naprawdę nie macie pojęcia, jak wygląda sytuacja... –

I w tym momencie mnie oświeciło. – Arkana, złotko. Oni uciekli. Chęć odzyskania dzieci stanowiła tylko wymówkę. A kiedy wymówka się zużyła, i tak nie mogli już wrócić. Założę się, że Sziwetja wcale nie musiał zmuszać ich do pozostania. – Przypomniałem sobie, że z początku było ich trzech. Któryś musiał odlecieć. Przypuszczalnie nie przeżył, żeby przynieść wieści z powrotem.

Ci starcy byli tchórzami? Wszystko pasowało.

Po raz pierwszy od wielu pokoleń Vorszk musieli stawić czoło czemuś, z czym ich Rodzina nie potrafiła poradzić sobie równie łatwo jak z rozdeptaniem myszy. I jedyny sposób, na jaki wpadli ci dwaj, to uciec.

Obaj nie chcieli wracać właśnie dlatego, że ktoś mógł ocaleć.

– Zaraz będę z powrotem – rzuciłem i pobiegłem do miejsca, gdzie siedział Tobo, przerwałem mu rozmowę, streściłem, czego się dowiedziałem. – Jak dużo czasu ci to jeszcze zajmie? Starczy mi czasu na wycieczkę z tymi dwoma staruchami za Bramę Khatovaru, żeby się przekonać, jakie naprawdę spustoszenie cienie tam poczyniły?

Chłopak popatrzył na mnie spojrzeniem bez wyrazu.

Kiedy byłem już gotów go uderzyć, aby zwrócić jego uwagę, powiedział:

– Sziwetja mówi, że to może oznaczać wielkie ryzyko. Sziwetja mówi, że masz rację odnośnie do Vorszk. Faktycznie uciekli. Sziwetja mówi, że

odważniejsi członkowie klanu wciąż jeszcze walczą. Działalność cieni również jest bardzo wyraźna. Sziwetja mówi, że Brama powoli zarasta. I niemalże wszystkie ocalałe cienie znajdują się po drugiej stronie. Sziwetja mówi, że możesz realizować swój plan. Sziwetja mówi, żebyś się nie przejmował Khatovarem. Nie dotrzesz do niego. Próbując, stracisz życie. A kiedy wszystko dobiegnie końca, on dalej będzie na miejscu.

Czy to Tobo mówił, czy też demon korzystał z jego ust?

– Sziwetja, obawiam się, jest wypełniony okropną masą śmierdzącej, brązowej substancji. Jak na kogoś, kto nigdy nie jada.

– Wydaje ci się nierozsądne, że jest trochę egoistyczny w kwestii kolejności realizacji dalszych działań? Wziąwszy pod uwagę rozmiary jego wkładu?

– Nonsens.

Podreptałem ciężko z powrotem do Arkany. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek byłby w stanie zamordować boginię i przeżyć to, by pchnąć pilnującego jej strażnika tą samą mroczną ścieżką zaraz za nią.

– Słodziutka, powiedz tym starym pierdzielom, że chcę, aby polecili ze mną na wycieczkę do ich starego świata. Że chcę zobaczyć, co tam się dzieje. I że naprawdę mam zamiar poznać los Khatovaru.

Arkana zrobiła kilka kroków, dzięki czemu stanęła przodem do mnie, a plecami do Naszuna i Pierwszego Ojca.

– Naprawdę tego chcesz?

Najciszej jak potrafiłem, ponieważ ten głupek Gromovol najwyraźniej zainteresował się naszą rozmową, odparłem:

– Naprawdę, a przynajmniej oni nic więcej nie muszą wiedzieć.

Dwaj starcy nie bardzo starali się znaleźć jakąś przekonującą wymówkę, aby nie uczestniczyć w wyprawie mającej na celu ustalenie faktów. Po prostu stwierdzili, że nie ma mowy.

– Co macie zamiar zrobić ze swoim życiem? – zapytałem. – Sziwetja nie będzie was karmił przez wieczność.

Przyszło im do głowy, że będę chciał ich w coś wciągnąć. I mieli rację.

– W Kompanii zawsze znajdzie się miejsce dla paru niezłych gości – dodałem. Albo nawet i kiepskich, jak w ich przypadku. Nie byłem pewien, czy odnosi się to również do wyjątkowych tchórzy, niemniej perspektywa posiadania dodatkowych czarodziejów czyniła rzecz wartą wysiłku.

Nawet jeśli uda mi się ich skusić, kłopot polegał na tym, jak później nad nimi zapanować?

Było to zadanie w sam raz dla Pani. Zanim wybrała żywot w obecnym kształcie, musiała borykać się z tego rodzaju problemami.

Niemalże mogłem dosłyszeć mozolne przesuwanie trybików pod czaszkami Vorszk. Tok ich rozważań wydawał się oczywisty. Coś trzeba Konowałowi odpowiedzieć. Najlepiej to, co chce usłyszeć. Wydostać się wreszcie z tej okrutnej i przerażającej równiny. Uciec. Znaleźć miejsce, gdzie nikt jeszcze nie słyszał o żadnych Vorszk, gdzie nie mają żadnych własnych potężnych czarodziejów. Tam otworzyć sklepik i zmontować sobie nowe imperium.

Dokładnie tak, jak przed nimi uczynili Władcy Cienia.

– Powiedz im, że daję im dzień lub dwa do namysłu, a potem wrócę po odpowiedź.

Kiedy oddalałem się razem z Arkaną, dziewczyna powiedziała:

– Jeśli zgodzą się przyłączyć do ciebie, będziesz miał z nimi więcej kłopotów niż z Gromovolem.

– Naprawdę? – odparłem tonem, z którego powinna wywnioskować, że nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. – Wobec tego, jak sądzisz, co należy zrobić, żeby tak się nie stało?

Miała kilka pomysłów.

– Zrób z nimi to, co nam zrobiłeś. Niech się rozbiorą do naga. Zabierz im ich *raitgaistiden* oraz *szefsepoken*. Niech cały czas chodzą po ziemi, gdzie będą stosunkowo bezradni. Ale obiecaj równocześnie, że otrzymają wszystko z powrotem, kiedy tylko udowodnią, iż można im ufać. A potem dalej ich okłamuj.

– Chyba cię adoptuję. Byłabyś świetną córką. Hej, pełna zła córko numer dwa. Słyszałaś, co Arkana zaproponowała. Jak myślisz?

Szukrat niechętnie zgodziła się z tamtą:

– Sądzę, że ma rację.

– Świetnie! Zapytajmy jeszcze o zdanie waszą niegodziwą przysłą matkę.

Panią zastaliśmy przy lekturze materiałów, na spisanie których Baladitja poświęcił ostatnie lata swego życia, a które stanowiły w mniejszym lub większym stopniu biografię Sziwetji.

– Kochanie, postanowiłem, że powinniśmy adoptować dwójkę tych wspaniałych dzieci. Powoli okazuje się, że serduszka mają równie czarne jak nasza nieodżałowana Pierdu Pierdu.

Pani posłała mi podejrzliwe spojrzenie, w końcu jednak doszła do wniosku, że wprawdzie się wygłupiam, ale równocześnie mówię jak najzupełniej poważnie. Mniej więcej.

– Opowiedz mi.

– Wasza kolej, dziewczyny – powiedziałem.

Obok cmentarza:
WIĘKSZE ZAMIESZANIE

Ospała zdawała sobie doskonale sprawę, że nie może poprzestać na domniemaniu, iż Wielki Generał planuje kolejny atak. Musiała go przechytryć. Ten jeden raz Mogaba jej nie nabierze.

Zdecydowała się na planowanie równoległe, ustanawiając dwa odrębne sztaby. W skład pierwszego weszli Iqbal i Popłoch Singhowie, Rzekołaz, Sahra, Wierzba Łabędź oraz pozostali, którzy brali udział w wojnach kiauluńskich. Odwołała nawet Brzeszczota z Dżajkuru, ponieważ ten znał Mogabę osobiście, a w swoim czasie był nawet z nim dość blisko.

W skład drugiego sztabu generalnego weszli wyłącznie oficerowie z Hsien. Dla tych ludzi Mogaba był tylko legendą, postacią często przewijającą się w rozmowach innych. I poza tym, czego dowiedzieli się z map, nie mieli pojęcia o terenach rozciągających się za frontem jego wojsk.

Ospała miała nadzieję odkryć coś pożytecznego w różnicach opinii obu sztabów.

Kawaleria pozostawała wciąż aktywna, patrolując teren, szarpiąc zwiadowców Mogaby, potykając się z czujkami wroga, próbując zlokalizować miejsce pobytu głównych sił Wielkiego Generała.

Tamten robił to samo.

Obie strony prowadziły intensywne śledztwo wśród cywilów przekraczających teren walk. Ruch na Drodze Kamiennej wyraźnie osłabł, ale nie ustał do końca.

Każdy z dwóch sztabów przedstawił kilka wizji tego, jak może wyglądać dalsza kampania wroga. Ospała kazała im ułożyć plany stosownego

przeciwdziałania. Ostatecznie jednak, po dwóch bezsennych prawie nocach, nie czuła się wcale mądrzejsza niż na początku.

Zdecydowała się posłuchać podszeptu intuicji. To ona w końcu posłużyła jej najlepiej podczas wcześniejszych tańców z Wielkim Generałem.

Przy cmentarzu:
NADAL SPORE ZAMIESZANIE

Wielki Generał zwrócił się do swych dowódców:

– Coraz bardziej martwi mnie fakt, że całe to manewrowanie lepiej służy im niżli nam. Jasne jest, że zostali pozbawieni nadnaturalnego wsparcia. Ale każda godzina zwłoki przybliży chwilę, gdy odzyskają je na powrót.

– Czy bezpośrednie starcie nie postawi nas na straconej pozycji? – zapytał Aridata Singh.

– Jeśli chodzi o walkę żołnierza przeciwko żołnierzowi, to pewnie tak. Jednak dysponujemy trzykrotną przewagą liczebną. A oni muszą bronić frontu rozciągającego się między Gajem Zagłady a obozem przy cmentarzu. Zbyt długi odcinek, by utrzymać go z pomocą dziesięciu tysięcy ludzi.

Nie było dalszych pytań. Żadnych propozycji. Wielki Generał domagał się ich zresztą nadzwyczaj rzadko. Kiedy zwoływał swoich dowódców, czynił to tylko po to, by wydać im rozkazy. Ich zadanie polegało na dopilnowaniu ich wykonania.

– Wracamy zatem do pierwotnego planu. Ja ruszę do bezpośredniego ataku, prowadząc w centrum Drugą Lokalną. Wejdę w kontakt bojowy z wrogiem i nie odpuszczę. Singh, ty podążysz pierwotnie ustaloną trasą, realizując zadanie identyczne jak wcześniej. Kiedy już znajdziesz się na tyłach, uformujesz tyralierę i ruszysz po Drodze Kamiennej. Jeśli reszta zrealizuje swe zadania, pozostanie ci tylko wyłapywanie uciekinierów.

Mogaba położył dłoń na ramieniu młodego oficera imieniem Narenda Nat Saraswati, potomka arystokratycznej rodziny, od trzech pokoleń – to znaczy od pierwszych potyczek wojen z Władcami Cienia – dostarczającej żołnierzy armii imperialnej. Dwa dni wcześniej Saraswati był szefem sztabu armii o agresywnym usposobieniu. A ponieważ Wielki Generał był

rozczarowany bojaźliwym działaniem jego dywizji, jego bojowa natura domagała się nowej szansy na zabłyśnięcie.

– Narenda, zaraz po tym, jak nawiążę kontakt bojowy z wrogiem, chcę, żebyś pchnął całą swoją siłę na wąski odcinek frontu, wzdłuż skraju tego lasu – powiedział. Po pierwszej bitwie ta dywizja została przesunięta na prawe skrzydło. – Zdobądź ich obóz. To nie powinno być trudne. Najwyraźniej bronią go zupełnie surowi rekruci. Kiedy już oczyścisz obóz, przeformujesz szyk i uderzysz na lewe skrzydło wroga, jego odwody i rezerwy. Ale pod żadnym pozorem nie zaczynaj ataku, zanim nie zwiążę ich porządnie walką. Jeszcze jedna rzecz. Chcę, żebyście obaj zostawili swoje sztandary przy mnie. Jeśli wrogowie je zauważą, może pomyślą, że skoncentrowałem wszystkie siły w jednym miejscu.

Urwał. Nie było pytań. Wszystko zostało zaplanowane zresztą już wcześniej. Teraz potrzebny był tylko świeży zapal.

– Wyruszę późnym rankiem. Śladem zwiadowców i harcowników. Upewnijcie się, że ludziom wydano racje żywnościowe i broń. Osobiście uduszę każdego oficera, który nie zadba o swoich żołnierzy.

Postawa Wielkiego Generała była doskonale znana jego oficerom, nawet jeśli w oczach wielu nie zyskiwała aprobaty. Tagliańska kultura tak głęboko nasiąkła korupcją, że nawet po upływie wielu lat kulturowego kolonializmu oraz okazjonalnych krwawych czystek wciąż byli tacy, którzy nie potrafili pojąć, że okradanie swoich żołnierzy stanowiło niedopuszczalny sposób powiększania swych dochodów.

Niezależnie od dzielących ich różnic, Czarna Kompania, Protektorka, Wielki Generał oraz wszyscy ludzie z Północy, którym przyszło sprawować władzę, usiłowali podnieść skuteczność swych reżimów, wykorzeniając łapówkarstwo i korupcję. I te właśnie starania, bardziej niż cokolwiek innego, prowadziły do ich wyobcowania na tle miejscowej ludności.

– Aridata, zaczekaj. Coś przyszło mi do głowy. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, najprawdopodobniej Saraswati przełamie front wroga, zanim osiągniesz pozycje na ich tyłach.

– Rozważałem pomysł, by wyruszyć w nocy i zatrzymać się w Gaju Zagłady.

– Świetnie. Ja jednak myślałem o tym, że mógłbyś rozciągnąć swe wojska w szeroką tyralierę, aby wyłapać większość uciekających na południe. Interesuje mnie zwłaszcza neutralizacja tych wszystkich, którzy

zejdą potem do podziemia i po pięciu latach pojawią się na czele nowej armii.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Mogaba jęknął. Takich obietnic nienawidził szczególnie. Brzmiały bowiem jak usprawiedliwienia wygłaszane z góry. Choć z drugiej strony, Aridata nigdy nie usprawiedliwiał własnych niedociągnięć na siłę. Należał do ludzi starających się raczej znaleźć powody tłumaczące niepowodzenia innych.

Przy cmentarzu:
JESZCZE WIĘKSZE ZAMIESZANIE

To nastąpi dzisiaj – Ospała poinformowała swoich dowódców. – Czuję to przez skórę. – Potem przez chwilę pomstowała na Konowała, Tobo i resztę ich grupy, której nie było tyle czasu. Wreszcie przeszła do konkretnych rozkazów. Natychmiast spotkała się z nawałą kontrargumentów. Zachnęła się: – Mogaba znowu podzieli swe siły. Będzie musiał za to zapłacić. Jeśli chcecie się ze mną kłócić, mogę od razu przyjąć waszą rezygnację. Jest tu dużo oficerów, którzy zrobią, co im się każe, i będą trzymać usta zamknięte na kłódkę.

Parę godzin później Wielki Generał pojawił się prawie dokładnie w miejscu, w którym go oczekiwała. Rozciągnął szerzej front, nad punktem dowodzenia powiewały liczne sztandary. Przez chwilę obawiała się, że źle zgadła i Mogaba ma zamiar po prostu cisnąć do ataku wszystkie swe siły, które przetoczą się po niej. Ale zaatakował mało energicznie, by tak mogło być w rzeczywistości.

Ospała natomiast ze swej strony nie naciskała. Przynajmniej nie od razu. Nie chciała się zdradzić, że również nie dokonała koncentracji sił. Angażowała się w potyczki i szarpaninę, ale wycofywała, kiedy tylko Mogaba rzucał do boju większe siły. Jego armia szła naprzód zarówno dlatego, że musiała utrzymywać kontakt bojowy, jak i dlatego, że Ospała powoli wciągała go w drugą część swej pułapki. Najwyraźniej mu to odpowiadało.

Kiedy dywizja na wysuniętej prawej flance wyszła z ukrycia za niskim grzbietem wzgórza, jej szyk poszedł w rozsypkę. Żołnierze mieli do pokonania ponad półtora kilometra terenu. Ich dowódca bardziej

zainteresowany był rozwinięciem ataku, zanim przeciwnik zdoła zareagować, niżli zgrabnym jego kształtem.

Natomiast ludzie w barwnych zbrojach, którzy wyszli z ukrytego cmentarza, maszerowali w doskonałym ordynku. Niektórzy dzierżyli świeżo wyprodukowane miotacze kul ognistych. Rzeź bezładnej hałastry zaczęła się na długo przedtem, zanim większość Taglian zdała sobie sprawę, że Fortuna oszachrowała ich już przy rozdaniu. Wytrwali tak długo tylko dlatego, że było ich po prostu dostatecznie wielu.

Przy cmentarzu:
ZAMIESZANIE SIĘ POGŁĘBIA

Umocnili swe pozycje na prawym skrzydle – oznajmił jeden z adiutantów Mogaby. – Ale lewe zaczyna się załamywać.

- Coś jest nie tak – ogłosił Mogaba. – Powinno być ich więcej.
- Dlaczego ich nie pogonimy?
- Kaźcie trąbić do zmasowanego ataku. Ale w wolnym tempie.

Dopiero kilka chwil później nadeszły pierwsze niepokojące wieści. Dywizja Narendy Nath Saraswatiego uciekała w popłochu. Sam Saraswati poległ. Większość oficerów jednostki została zabita lub wzięta do niewoli.

Zanim zdołał rozeznać się w sytuacji, Mogaba usłyszał po prawej stronie wycie rogów i zobaczył nacierające różnokolorowe czworoboki piechoty; nad głową każdego żołnierza powiewał proporzec. Zagony kawalerii ogarniały maruderów, uciekinierów i dławiły punkty bezsensownego oporu na drodze nacierającej piechoty.

Wielki Generał potrzebował sekundy, by zrozumieć, że Ospala wymierzyła druzgoczący cios Drugiej Lokalnej całą swą siłą.

– Do ataku! – zarządził. – Szybsze tempo natarcia. – Jeśli uda mu się pchnąć żołnierzy naprzód, zanim zdadzą sobie sprawę z zagrożenia, może zdusić wroga samą przewagą liczebną. – Ta mała wiedźma w końcu mnie dostała. – Ale wciąż jeszcze miał siły Aridaty, przemieszczające się na tyłach wroga. Jeszcze zobaczymy, kto kogo dostanie.

Mogaba ruszył prosto ku obozowi wroga. Jeśli uda mu się zająć palisadę...

Skraj Gaju Zagłady:
ZAMIESZANIE NARASTA

Aridata dowiedział się o grożącej katastrofie od kawalerzystów Vedna, którzy zostali zmuszeni do ucieczki w jego stronę wokół wschodniego skrzydła pola bitwy, ponieważ harcownicy wroga zablokowali już drogę na północ. Na podstawie całkowicie bezładnych raportów jakoś zrekonstruował stan faktyczny.

Rozkazał swej dywizji uformować szyk bitewny.

Jego siły wzmocnione Batalionami Miejskimi były dobrze wyszkolone, nawet jeśli nie składały się z weteranów. Po dwóch godzinach Singh wszedł w kontakt wzrokowy z wrogiem. Najeźdźcy i ich zdradzieccy lokalni sprzymierzeńcy zaangażowali się w potężną, krwawą rzeź z udziałem oddziałów tagliańskich, które Mogaba jakoś potrafił utrzymać razem albo które po prostu nie widziały przed sobą żadnej drogi ucieczki. Najwyraźniej najeźdźcy zapomnieli o dywizji Singha.

Pojawienie się Aridaty stanowiło niemałą niespodziankę. Jeśli zaś chodzi o skuteczność... Jego żołnierze nie mieli żadnego doświadczenia bojowego. Rozumieli tylko, że ich bracia z drugiej dywizji zdążyli już przegrać bitwę i teraz tylko umierali w pocie czoła.

O zmierzchu szeregi wyczerpanych armii rozwarły się. Żołnierze po obu stronach zdążyli doświadczyć takiej grozy, że stopniowo spontanicznie rezygnowali z nękania wroga, który też wyraźnie chciał już tylko się wycofać, nie sprawiając więcej kłopotów.

Ale kto zwyciężył?

Tego dnia można było dowodzić zwycięstwa każdej ze stron. Ostateczny werdykt i tak spoczywa w rękach historyków, którzy dokładnie zbadają

wpływ, jaki bitwa wywarła na społeczeństwo tagliańskie i jego kulturę. W zależności od tego, jakie przypiszą jej konsekwencje i jaka będzie reakcja ludności imperium, bitwę uzna się za początek fali zmian albo kolejną nieistotną potyczkę.

Obok cmentarza:
NAGROMADZONY SMUTEK

Nawet Ospalej nie zostało dość psychicznej ani fizycznej energii, by przedsięwziąć cokolwiek więcej. Ciężko wsparła się o siodło padłego konia, pozwalając, by ogarnęły ją zmierzch i wyczerpanie. Nie czuła śladu uniesienia, choć przecież udało jej się złamać kręgosłup ostatniej armii tagliańskiej i po raz pierwszy w swym życiu to ona została na polu bitwy, gdy walki dobiegły końca. Mogaba, jeśli przeżył, tym razem musiał podać tyły.

Jej nastrój w znacznym stopniu kształtował fakt, iż to osiągnięcie, w takim kształcie, było w równej mierze dziełem jej, jak i Sjuwrina. Tylko on jeden nie zapomniał do końca o trzeciej dywizji tagliańskiej. Potrafił poderwać swą brygadę do kontrnatarcia, choć wypadło ono blado, kiedy pojawiły się odwody wroga. Gdyby nie zimna krew Sjuwrina, to Mogaba byłby na jej miejscu, panując nad polem bitwy. Znowu. Chociaż liczba zabitych i umierających najprawdopodobniej byłaby taka sama.

Sjuwrin rozsiadł się obok niej. Przez dłuższy czas się nie odzywał. Ona również milczała. Po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci Ospala miała ochotę do kogoś się przytulić; chciała, aby ktoś ją uściskał. Nie dała posłuchu tym podszeptom.

W końcu Sjuwrin przemówił:

- Wierzba Łabędź nie żyje. Jakiś czas temu widziałem jego ciało.
- Mam wrażenie, że kiedy przyjdzie do liczenia ciał poległych, będziemy opłakiwać wielu przyjaciół – mruknęła Ospala. – Widziałam, jak padali Iqbal i Rzekołaz.
- Nie. Tylko nie Iqbal. Kto się zajmie Sjurowidzą? – żona Singha nie miała szczególnie lotnego umysłu.

– Kompania, Sjuwrin. Póki nie zdecyduje się odejść. – Albo Popłoch, jeśli udało mu się przeżyć. Był do tego zobowiązany, mocą religijnego prawa Szadar. – Ona jest jedną z nas. Zawsze dbaliśmy o swoich. Mamy jeszcze kogoś zdolnego stanąć na czatach?

Sjuwrin odpowiedział pytającym chrząknięciem.

– Mamy do czynienia z Wielkim Generałem. Mogabą, Człowiekiem z Żelaza. Jeśli została mu choć odrobina sił i będzie w stanie zmusić swych żołnierzy do nocnego ataku, to wróci. Może nawet wówczas, gdyby miał to zrobić w pojedynkę.

Sjuwrin odetchnął kilka razy, głęboko, namyślając się.

– Mamy sporo rekrutów, którzy nic nie robili, tylko chowali się na cmentarzu. Już ukazałem im ich hańbę, kazać znosić rannych i ciała z pola bitwy.

– Nie ma znaczenia, czy uciekną, tak długo, jak uciekają do nas.

– Mhm.

– Wierzba? Nigdy nie zdołał... Nigdy nie ziścił swego marzenia.

– Zawsze widziałem w nim wzorzec waszego przeciętnego żołnierza. Po prostu dryfował tam, gdzie poniosła go fala życia. Od czasu do czasu potrafił zadziwić nieoczekiwanym przebłyskiem, ale nigdy nie zebrał się do kupy i nie wziął wodzy w swoje ręce. Być może po prostu był beznadziejnym romantykiem. Przynajmniej tak by wynikało z Kronik. Durzył się kiedyś w Pani. A potem w Protektorce, z którą miał więcej szczęścia, ale potem przez resztę życia tego żałował. Przypuszczam, że nawet przez jakiś czas kochał się w tobie.

– Byliśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi. Tylko.

Sjuwrin nie kłócił się. Jednak w głosie Ospalej usłyszał drzenie, które kazało mu się zastanowić, czy naprawdę, bodaj raz albo dwa razy, nie zdarzyło się coś, co nadałoby plotkom choćby cień wiarygodności.

Ale to nie była jego sprawa.

– Powinnam unikać tego bałaganu. Poczekać na powrót Tobo i pozostałych.

– Mogaba by ci nie pozwolił – zauważył Sjuwrin. – A więc przestań się obwiniać. Ścigałby cię bez chwili wytchnienia, próbując wykorzystać fakt, że odlecieli.

Ospała wiedziała, że to prawda, ale nawet to nie mogło wpłynąć na jej stan ducha. Wielu poległo. Wielu z nich było starymi towarzyszami broni.

Jej zadaniem było ich chronić, nie marnować. Zawiodła.

A pełny, ponury wymiar tragedii dopiero miał wyjść na jaw.

Bezimienna forteca:
GŁĘBOKO W DOLE

Wygląda tak niewinnie. – Głos Pani zabrzmiał specyficznie. Staliśmy nad ciałem jej siostry w grocie starożytnych. Duszołap znalazła się dokładnie na tym samym miejscu, gdzie wcześniej, podczas Zniewolenia, spoczywała Pani.

Zajął mi chwilę, zanim zrozumiałem, że ironizuje, przywołując frazesy wygłaszane na pogrzebach. Była pewna, że Duszołap jest po części świadoma tego, co dzieje się wokół. Nie umiała porozumiewać się z siostrą w żaden inny, bardziej osobisty sposób.

– Załatwiliśmy wszystko, po co tu przylecieliśmy. Musimy zastanowić się nad powrotem do Kompanii – stwierdziłem, chociaż wciąż kusiło mnie, aby zaryzykować wypad za Bramę Khatovaru, zanim proces jej regeneracji dobiegnie końca.

Chodziła mi również po głowie mętna myśl, żeby rzucić okiem na mroczną istotę, która igrała z naszymi żywotami i losami, zanim jeszcze poznaliśmy bodaj jedno z jej imion.

– Tak – zgodziła się Pani. – Nie wiadomo, jaką psotę mogli spłatać Ospalej Pierdu Pierdu, Khadidas albo Mogaba, kiedy zabrakło nianiek w osobach Tobo i Wyjca.

– Jeśli Mogaba zda sobie sprawę, że Ospala nie ma czarodziejów, wlezie na nią jak wąż na gównu – powiedziałem.

– To było barwne porównanie, choć zupełnie bez sensu. – Zauważyłem, że nie wymieniła samej siebie razem z Tobo i Wyjcem. Jednak nie rozproszyło to moich podejrzeń, że obecnie potrafiła ssać moc Kiny niczym królowa wampirów. Czasami zastanawiałem się, jak to wróży na dzień, kiedy przyjdzie spłacić dług Sziwetji. Naprawdę nienawidziła myśli, że

zmieni się w starą, zgryźliwą, szarą kobietę, przypominającą swoją matkę, ledwie mającą w jej pamięci.

– Myślałem po prostu o pewnym sierżancie Kompanii, jeszcze sprzed twoich czasów. O człowieku, którego nazywaliśmy Elmo. On również posługiwał się dziwnymi porównaniami.

– Starzejesz się.

– Całe moje życie spędziłem w przeszłości, kochanie. Do siodeł. – Długie schody prowadzące do groty starożytnych pokonaliśmy na latających słupach Vorszk. Cóż za doskonały sposób uniknięcia udręki wędrówki po kolejnych stopniach, kiedy nie ma się już dwudziestu lat.

Pani chciała już poklepać swoją siostrę po ramieniu; zwyczajny, drobny gest.

– Nie! – warknąłem tak głośno, że w głębi jaskini od stropu oderwało się kilka małych stalaktytów.

– Och. Zamyśliłam się.

Pod obiema ścianami jaskini siedzieli rzędem starcy pochwyceni w pajęczyny lodu. Nikt nie znał ich historii. Może tylko jeden Baladitja. Większość wciąż żyła. Podobnie jak Duszołap, uciekli przed losem, który gotowała im jakaś bezduszna potęga. Niemniej w paru z nich, włączywszy w to aż nazbyt licznych braci z Kompanii, zgasła ostatnia iskierka życia. A wszystko, czego trzeba było, aby ich zabić, to bezmyślnego, przyjacielskiego muśnięcia dłonią.

Pani minęła mnie. Szedłem wolno, przyglądając się tu obecnym. Jak zawsze wydawało mi się, że ich otwarte oczy śledzą każdy mój ruch. Spojrzałem w martwe oczy Duszołap. Z nie całkiem zrozumiałego dla mnie powodu mrugnąłem do niej. Byliśmy starymi konspiratorami. Przeszliśmy razem długą drogę. Poznałem ją wcześniej niż jej siostrę, w pradawnej epoce terroru.

Mogła to być gra światła lub igraszka mojej wyobraźni, ale wydawało mi się, że w jej oczach dostrzegłem porozumiewawczy błysk.

Kiedy wróciliśmy na powierzchnię, pozostali zaczęli już zbierać się do opuszczenia równiny. Wyjec pysznił się efektami skutecznej terapii na głos przed wszystkimi i każdym z osobna. Wydawał się nieomal wdzięczny. Jako stary cynik miałem jednak swoje zdanie w kwestii ludzkiej

wdzięczności. To waluta, której wartość spada systematycznie z każdą kolejną godziną.

Choć zupełnie zbici z tropu biegiem wydarzeń, obaj czarodzieje Vorszk również sposobili się do drogi. To oznaczało, że kiedy Pani i ja przebywaliśmy pod ziemią, musieli ulec w końcu namowom Tobo. Woleli oddać swoje latające słupy i niezwykle odzienie, niż zostać wygnani do rodzinnego świata.

Wyglądali tak, jakby otrzymali naprawdę nieprzyjemne wieści.

– Rozumiesz, co to znaczy? – zapytałem Tobo.

– Hę? – Dzieciak odprężył się, flirtując z Szukrat. Odniosłem wrażenie, że oboje są już na etapie wymykania się w ciemne kąty. Patrzyli na siebie tym maślanym wzrokiem i nie potrafili rozstać się na dłużej.

To z pewnością nie ucieszy Sahry.

– Oznacza to, że Gromovola musimy również zmagazynować na dole. Albo go zabijemy. Co nie byłoby politycznie mądre. Z pewnością nie zamierzam pozwolić mu wrócić i dać następnej okazji do sprowadzenia na nas nieszczęścia.

– Porozmawiam z Naszunem i Pierwszym Ojcem. – Odwrócił się do Szukrat. – Chodźmy, kochanie.

Ha. Kochanie!

Procesja latających słupów spłynęła do groty starożytnych. Och, to naprawdę było znacznie prostsze niż ciągłe wędrówki w górę i w dół na własnych nogach. Starsi Vorszk jechali, odpowiednio, za Tobo i Szukrat w pożyczonych łachmanach. Gromovol zajmował miejsce za Arkaną. Zrozumiałem, że w ten sposób dziewczyna wyrównuje z nim rachunki. Niedawne przejścia nie wpłynęły na jej posługiwanie się wehikułem. Wkrótce dojdzie do siebie.

Gromovol jęczał i błagał, aż w końcu wszyscy poczuli niesmak.

Mogłem twierdzić wszem i wobec, że nie mam litości, ale nie byłoby to prawdą. Gdybym był stosownie bezlitosny, kawałki ciała Gromovola rozleciałyby się po całym świecie zaraz po tym, jak zapoznałby się z kilkoma *ciętymi* uwagami na temat swego charakteru i złego zachowania.

Czułem się jak jeden z Vorszk. Nawet wyglądałem jak jeden z Vorszk. Podobnie moja ukochana. Umowa ze starcami obejmowała dostrojenie ich cudownych czarnych szat do naszych osób.

Będą stanowić doskonałe uzupełnienie naszych kostiumów Stwórcy Wdów i Pożeracza Żywotów.

Tobo i Szukrat również mogli się poszczycić czarnym, nieokreślonym wyglądem. Tobo zdołał dostosować sobie ubiór Gromovola.

Złożenie Gromovola zabrało tylko kilka chwil. Umieściliśmy go niedaleko od zamarzniętych ciał kilku ludzi, którzy byli moimi przyjaciółmi. Grota wciąż rozbrzmiewała echem jego ostatnich błagań, gdy powiedziałem do Pani:

– Mam zamiar zejść na samo dno tej dziury. Chcę popatrzeć na tę starą sukę, która zatruwa nam życie przez ostatnie pięćdziesiąt lat.

– Oszalałeś? – krzyknął Tobo. – Ja bym tam nie wchodził. Już będąc tak blisko, staję się nerwowy.

– Wobec tego wracajcie z powrotem na górę. Szukrat, odpowiedz mi, proszę, na kilka pytań technicznych, zanim odleciecie, dobrze?

Bariera mroku, która napawała Brzeczota taką frustracją, znajdowała się z powrotem na miejscu. Wywierając straszliwy nacisk na mój umysł. Jednak latający słupek w ogóle jej nie zauważył. Leciał dalej. Kostium Vorszk, który miałem na sobie, zadygotał lekko, otaczając mnie ochronnym uściskiem.

Chociaż obecnie znałem właściwe nazwy, dalej nie miałem ochoty nazywać słupa i kostiumu niezgrabnymi, trudnymi do wymówienia słowami z języka Vorszk.

Przeleciałem przez barierę. Pani, kiedy wleciała za mną w mrok, śmiesznie westchnęła, jak wówczas, kiedy uprawialiśmy miłość.

Sceneria przypominała do złudzenia widok opisywany przez pozostałych. Ogromna, otwarta jaskinia, nieograniczona, wydawałoby się, żadnymi ścianami, rozjaśniona światłem docierającym nie wiadomo skąd, ledwie jednak pełgającym. Wyraźnie można było dostrzec tylko wielki, paskudny polec mięsa lśniący niczym skórka wypolerowanego bakłażana. Nie poruszał się, nawet nie oddychał.

Kina wyglądała niczym starsza rodzona siostra Sziwetji. Ale równocześnie jak ucieleśnienie wszelkich mrocznych atrybutów, które przypisywano jej pod wszystkimi imionami, a o których słyszałem od czasu, gdy po raz pierwszy uświadomiono mi jej istnienie. Kina wyglądała jak wiele mrocznych istot w jednej.

Moje wspomnienia z następnych kilku minut nie są do końca wiarygodne.

Niemalże natychmiast wielka, bezwłosa głowa zwróciła się w naszą stronę. Usta Kiny były otwarte, ukazywały wstrętne, czarne kły. Mlasnęła językiem, jaszczurczym, wężowym. Nie przypominałem sobie, by któryś ze sprzecznych mitów wspominał o tym atrybucie cielesnego wyglądu, chociaż napomykały, że jej język jest długi, by mogła chłeptać krew demonów.

Powieki bogini zaczęły się rozchyłać.

Bezgraniczna potęga jej woli smagnęła mnie niczym grzywacz fali przyływu. Światło zgasło. Nic więcej nie pamiętam.

– Wychodzi na to, że mieliście tym razem szczęście – poinformował mnie Tobo. – Wasz słup wyniósł was stamtąd.

Chciałem mu powiedzieć, że szczęście nie miało z tym nic wspólnego. Zaplanowałem to od samego początku. I zorganizowałem rzecz całą przy pomocy mojej dziewczyny. Jednak ledwie byłem w stanie zaczerpnąć powietrza.

Udało mi się w końcu westchnąć:

– Pani? – Musiałem wiedzieć, co z moją najdroższą.

– Jest w lepszym stanie niż ty. Teraz śpi. Kazała ci powiedzieć, że masz odpoczywać. Zjedz trochę manny Sziwetji. Da ci porządnego kopa. Jeśli będziesz w stanie ją przełknąć.

Udało mi się odwrócić głowę na tyle, że ujrzałem demona.

Spoglądał prosto na mnie. Biały kruk przysiadł na jego ramieniu, dumnie prężąc pierś. Nie był to mój biały kruk. Demon błysnął kilkoma zębami w grymasie przypominającym uśmiech. Dziwne. Nie przypominałem sobie, by poruszył się kiedykolwiek wcześniej.

Musiał chyba zaglądać wprost do mojej głowy. Musiał wiedzieć, że wpadłem na pomysł, jak dobrać się do Kiny.

Miałem tylko nadzieję, że sama bogini nie potrafi czytać w moich myślach.

Któregoś dnia. Przy okazji. Jeśli uda mi się zgromadzić razem wszystkie konieczne elementy.

Biały kruk wykrzywił się szyderczo. Zawsze wierzyłem, że te ptaki są do tego zdolne.

Tobo pojał, że coś się dzieje, ale nie łapał co. Doszedłem do wniosku, że moje nowe córki zrozumiały to lepiej od niego.

Brama Cienia:
BARDZO ZŁE WIEŚCI

Stałem przed Bramą Cienia, plotkując z Człkiem Pandą i Zjawą, którzy opowiadali właśnie, że pilnowanie Bramy jest najlepszym przydziałem, jaki kiedykolwiek w życiu otrzymali. Praca łatwa, tubylcy przyjaźnie nastawieni. I gdyby tylko te cholerne, paskudne duchy z równiny zechciały dać spokój...

Tobo i Szukrat przelecieli przez Bramę.

Niemalże od razu z ust Tobo wyrwał się krzyk rozpaczny.

– Bili się! – wrzasnął. Zaraz potem wystrzelił w górę i skierował na północ, czarna materia powiewała za jego plecami. Chwilę później Szukrat pognała za nim, zmniejszając powoli dzielącą ich odległość.

– Czy to znaczy, że są powody do zmartwień? – zapytała Pani, dysząc ciężko.

– Na to wskazuje. Ten mały gówniarz musiał coś usłyszeć od ukrytego ludu.

– I wieści były tak złe, że pognał jak oszalały. – Na jej twarzy odbiło się zmartwienie, które i ja czułem.

Żadna bitwa nie mogła się skończyć niczym dobrym pod naszą nieobecność.

– Nie masz zamiaru gonić, by jak najszybciej dowiedzieć się, co zaszło? – spytała.

– Nie widzę sensu. – Wskazałem kciukiem na dywan uginający się i trzeszczący pod ciężarem ludzi, którym nie ufaliśmy. – Tak czy siak na nic się nie przydam. Spójrz na to. – Coś jakby zmarszczka krajobrazu, fałda w naturze rzeczywistości gnała po powierzchni ziemi w ślad za Tobo i Szukrat. – Ukryty ludek podąża za swoim herosem.

- Co one tu robiły?
- Czekały na Tobo.
- Ale przecież powinny być z Ospałą. Nam nie były do niczego potrzebne, kręcą się przy Bramie Cienia, podczas gdy... och. Nic ich nie obchodzimy.
- Dokładnie. Je obchodzi tylko Tobo. Wszystko, co dla nas robią, robią w istocie po to, by zadowolić jego. Dlatego właśnie przez dwie trzecie czasu kruki, mające stanowić trwałe ozdoby moich ramion. posłańców i dalekosiężne oczy, gdzieś się zapodziejają. Zapominają, że mają się trzymać blisko mnie. Odchodzą, aby poszukać dzieciaka. Mogę się jednak założyć, że pojawią się, zanim dotrzemy do Ospałej.
- Brzmi to jak propozycja wyjątkowo podłego zakładu.

Po pokonaniu Danda Presz wybrałem trasę identyczną z tą, którą Ospała podążała na północ. Kiedy Pani zapytała, dlaczego nie polecimy prosto jak strzełił, tak szybko, na ile pozwoli nam dywan, odparłem:

– Ponieważ wydawało mi się, że widziałem coś, czego podczas drogi w tamtą stronę nie było. Trzeba sprawdzić. Mam nadzieję, że to tylko moja wyobraźnia. – Ale z krótkiej rozmowy ze strażnikami przy Bramie Cienia wynikało, że koszmara może okazać się jak najbardziej rzeczywisty.

Dręczyła ją ciekawość, ale nie indagowała mnie dalej. Przy szybkości, jaką rozwijaliśmy w powietrzu, odrobina nadłożonej drogi nie czyniła większej różnicy.

Na to, czego szukałem, natrafiłem przy trasie, którą Ospała obrała po opuszczeniu Garołnes, niemalże dokładnie w miejscu, w którym skręciła, aby obejść Dedżagore. Wówczas jednak moi towarzysze byli już nie na żarty rozdrażnieni.

– Tam! – powiedziałem do Pani, zobaczywszy tylko przelotne mgnienie w gaju karłowatych dębów.

– Co tam? – Nie widziała.

– Nef.

– Nef? Nef są w świecie Vorszk. Uwięzieni.

– Nie zgadza się to z tym, co mówili Zjawa i Człek Panda. Powiedzieli, że Nef pojawiają się każdej nocy.

– W porządku. Ale jakim sposobem przeszli przez Bramę Cienia?

– Nie mam pojęcia. – Krążyłem w kółko, powoli tracąc wysokość. Kiedy już znalazłem się nad koronami drzew, zacząłem przemierzać tam i z powrotem przestrzeń ponad zagajnikiem, ale nie znalazłem po nich nawet śladu. Obniżyłem zatem lot jeszcze bardziej i lawirowałem między pniami drzew.

Rezultaty poszukiwań okazały się zerowe. Bodaj najlżejszego mgnienia.

Ludzie zaczęli na mnie pokrzykiwać.

W porządku. Mieli rację. Daleko stąd, na północy, czekała na nas robota.

Obok cmentarza:
POŚRÓD MARTWYCH

Minął już ponad dzień, a chirurdzy wciąż mieli mnóstwo roboty. Ludzie leżeli w rzędach, jęcząc, krzycząc, niektórzy dręczeni maligną, czekając, aż ktoś się nimi zajmie. Wielu było martwych. Oddział grabarzy wędrował wzdłuż szeregu, wybierając tych, którzy odeszli. Zbyt wielu umarło w otoczeniu setek ciał, nie zaznawszy ostatniej pociechy.

Wspaniałość wojny.

Największy strach. Przynajmniej mój.

Szybko sprawdziłem, czy wszyscy przestrzegają moich zaleceń odnośnie do zachowania czystości i antyseptyki. Kilku rannych mogło mieć większe szanse, gdyby lekarze oraz ich pomocnicy pozostali wierni zasadom. Nawet gdy byli skrajnie wyczerpani, jak teraz, a pokusa pójścia na łatwiznę przemożna.

Obok naszych rannych leżeli żołnierze armii Mogaby. Najpewniej nie otrzymali żadnej pomocy, oprócz tej, której sami mogli sobie udzielić. Byłem pewny, że zapasów leków i bandaży nie dostaje nam w stopniu równym brakom personelu medycznego. Wszystko wskazywało na to, że bitwa była poważniejsza, niż początkowo sądziłem. A przynajmniej znacznie bardziej zażarta i krwawa, niżli można by oczekiwać po tak krótkim starciu.

Popłoch Singh, kuśtykając o kulach, zaprowadził mnie do Ospalej.

Wyglądała na zdezorientowaną. Dobrze znałem to spojrzenie; sam byłem kiedyś na jej miejscu. Znajdowała się na skraju załamania. Od pierwszego kontaktu z wrogiem nie spała pewnie wcale, nie licząc przelotnych drzemek.

– Nie jesteś w stanie zająć się wszystkim sama, Kapitanie. Będiesz działać znacznie efektywniej, kiedy nam zaufasz, a sama trochę odpoczniesz. Jeśli Mogaba zdecyduje się na atak, nie dasz rady myśleć ani dość szybko, ani dostatecznie jasno, by przydać się na cokolwiek.

Spojrzała na mnie ze złością, zbyt wyczerpana, żeby się spierać.

– Zakładam, że nie szedłeś obok poległych.

– Szedłem przez teren szpitala. – Wiedziała, że tak zrobię. Kiedy skończymy rozmowę, najprawdopodobniej wrócę tam, by zaoferować wszelką pomoc, jakiej może udzielić stary człowiek z częściowo niewładną ręką i osłabionym wzrokiem.

– Wobec tego jeszcze nie wiesz, że nie został nikt, komu mogłabym zaufać na czas mojej drzemki. Łabędź nie żyje, Konował. Brzeszczot nie żyje. Iqbal Singh nie żyje. Rzekołaz nie żyje. Dodaj do tej listy Fam Huj Klia, Li Wana, obaj braci Czun oraz twoich starych inżynierów, Kletusa i Loftusa. A lista ta w każdej chwili może się wydłużyć. Wymień imię. Niemalże wszyscy martwi lub ranni. Do diabła, nawet Sahra być może nie żyje. Jeszcze jej nie znaleźliśmy.

– Jesteśmy z powrotem – oznajmiłem. To powinno zdjąć jej ciężar z serca. Żywi, mógłbym dodać. – Co ze Sjuwrinem?

– Sjuwrinowi się udało. Sjuwrin nas uratował. Sjuwrin i ja umówiliśmy się, że będziemy czuwać na zmianę, kiedy tylko uzyskaliśmy pewność, że Mogaba nie zaatakuje znowu. Teraz na zmianę próbujemy wszystko zebrać na powrót do kupy.

Opierając się na tym, co dotąd widziałem i słyszałem, Wielki Generał raczej szybko nie zaatakuje – chyba że w pojedynkę. Jego żołnierze mieli dość.

Mogaba wróciłby zresztą z pewnością, gdyby zostały mu jakiegokolwiek oddziały zdolne do walki. Ostrożność i niezdecydowanie nie były grzechami, którymi można by go obciążyć.

Usłyszałem na zewnątrz stłumiony głos Tobo. Przemawiał do mieszkańców ukrytej dziedziny. Nie minie dużo czasu, a będziemy wiedzieć wszystko co trzeba o aktualnej sytuacji Mogaby. Za moment tysiące widmowych istot udadzą się na poszukiwanie Sahry – i reszty uznanych za zaginionych.

Dzieciak przejmował komendę.

– Nie powinnam wydawać mu bitwy, póki Tobo nie wrócił – wymamrotała Ospała.

Zupełnie nieświadomie powtórzyłem słowa Sjuwrina:

– Mogaba nie dałby ci wyboru. Nie dysponował porównywalnymi źródłami wywiadowczymi, ale wykorzystywał wszystkie narzędzia, jakie posiadał. To nasza wina, że o tym zapomnieliśmy. Powinniśmy zadbać przynajmniej o pozory obecności czarownika w obozie.

Ospała pokiwała głową.

– Co się stało, to się nie odstanie. Będę ci wdzięczna, jeśli przypomnisz mi o tym za każdym razem, gdy zacznę się nad sobą uzalać i rugać, obwiniając, że mogłam wszystko zrobić inaczej.

– Jesteś dziwną ptaszyną, Dziewczyńko.

– Co?

– Przepraszam. Ostatnio dużo myślę o Jednookim. – Nie wdawałem się w dalsze wyjaśnienia. Póki mój geniusz tkwił zamknięty wewnątrz mojej głowy, były spore szanse, że Kina nie dowie się niczego, o czym wiedzieć nie powinna. Zapytałem tylko: – Co z Goblinem i dziewczyną? Skoro biliście się w Gaju Zagłady...

– Jeszcze nie wiemy. Zakładam, że Tobo się dowie. Wierzę, że teraz, kiedy jest z nami, wszystko pójdzie jak po maśle. – Próbowała być sarkastyczna, ale nie bardzo jej wychodziło. Nie miała dość siły, by wydobyć z siebie coś więcej jak tylko monotonne, bezbarwne mamrotanie.

– Pani i Murgen będą tu za parę minut. Pozwól im zająć się tym głównym, a sama odpocznij.

Przeszedłem się wśród nieoprzezobanych jeszcze zmarłych, chcąc pożegnać się z niektórymi. Leżeli w rzędach, czekając na pochówek. Było zimno i wilgotno, tak więc ciała nie psuły się szybko, jednak w powietrzu wisiał odór krwi i rozprutych wnętrzności. Much latało mało, pora roku nie była odpowiednia. Kruki stanowiły rzadkość. Sępy krążyły nad głowami, jednak nie miały śmiałości sfrunąć niżej, gdyż każdorazowe powitanie, jakie czekało ich ze strony ocalałych, było zdecydowanie zniechęcające.

Kiedy kolejne ciało zostało przez kogoś zidentyfikowane, tagliańscy jeńcy przenosili je do grupy wyspecjalizowanej w określonym stylu pochówku. Rekruci i kolejni jeńcy pracowali ciężko, wznosząc stosy, paląc

ciała, kopiąc i wypełniając groby albo wznosząc platformy dla tych nielicznych, którym przyszło opuścić ziemski padół w taki sposób.

Wielu powędrowało już na wieczny spoczynek, jednak zdawałem sobie sprawę, że mimo pory roku jesteśmy skazani na kopanie masowych grobów dla tagliańskich poległych. Po prostu nie starczy czasu dla zapewnienia każdemu przyzwoitego pogrzebu. Aczkolwiek cywile, których krewni służyli u Mogaby, zaczęli pojawiać się już powoli w nadziei na wydanie im ciał poległych.

Zastanawiałem się, czy na lśniącej równinie w jakiś nadnaturalny sposób zmaterializowały się nowe kolumny, których powierzchnie złączają się upamiętniającymi czcionkami.

Podszedł do mnie młodszy oficer z Krainy Nierozpoznanych Cieni. Było widać wyraźnie, że nie w smak mu przydział do roboty przy poległych. Musiał nabreptać sobie podczas walk. Nieprzyjemne obowiązki stanowiły jego nagrodę za to.

– Proszę pana – powiedział, salutując energicznie, jakby w ten sposób mógł unieważnić swą hańbę. – Byłoby bardzo pomocne, gdyby potrafił mnie pan poinformować o zwyczajach pogrzebowych pańskich towarzyszy. – W jego skądinąd całkowicie rzeczowym głosie pobrzmiwał ton odrażającej służalczości.

Zaprowadził mnie do miejsca, gdzie spoczywali wszyscy niewywodzący się z Taglios, których ojczyzną nie było także Hsien. Na niewielkim skrawku gruntu spoczywali moi zastępcy i kilku Niueng Bao.

– Żołnierze żyją – mruknąłem. Ze wszystkich, którzy pokonali Morze Udręk, teraz zostali już tylko Murgen i Pani. – Pogrzebicie Łabędzia i braci inżynierów. Na tym tam cmentarzu. Zadbajcie, by ich groby zostały wyraźnie oznakowane. Potem się nimi zajmę i postawię stosowny pomnik. Zasłużyli na coś więcej niż tylko przelotne wzmianki w Kronikach. – Zastanawiałem się, czy Łabędź kiedykolwiek podejrzewał, iż przyjdzie mu spocząć obok tych wszystkich ludzi z Ziemi Cienia. On, Brzeszczot i Kordek Mafer pomogli się tu znaleźć wielu spośród nich.

Nie miałem pojęcia, jakie obrządkie pogrzebowe obowiązują wśród ludu Brzeszczota. Ani ja, ani nikt inny nigdy nie dowiedział się, skąd pochodził.

– Pochowajcie czarnego człowieka w grobie obok Łabędzia. Może na tamtym świecie będą dalej kumplami. Może w końcu uda im się założyć ten browar, o którym zawsze marzyli.

Młodszy oficer był skonsternowany, ale nic nie powiedział. Żołnierze z Krainy Nierozpoznanych Cieni przywykali do religijnych absurdów nowego świata. Poszedłem dalej, przemierzając ziemię zasłaną ciałami ludzi, których Ospała zwerbowała podczas Zniewolenia. Ich liczba przyprawiała o szaleństwo. Nie minie dużo czasu, a stanie się tak samo wyobcowana na tle swego pokolenia, jak ja byłem pośród mego.

Na tej zimnej, twardej glebie leżało mnóstwo znakomitych żołnierzy z Krainy Nierozpoznanych Cieni. I, co nie stanowiło zaskoczenia, prawie równie wielu tych, którzy zaciągnęli się ostatnimi czasy, już na miejscu. Najgorzej wyszkoleni, mieli najmniejsze szanse w boju.

Przyglądałem się tej śmierci i miałem nadzieję, że Ospała zdołała jednak doprowadzić do przełomu, że odtąd będzie uciekać się do rozwiązań niewymagających zażartej walki twarzą w twarz, póki któraś ze stron nie załamie się i nie padnie z wyczerpania. Oczywiście nie była to jej wina. Opierając się na dostępnych informacjach, nikogo nie mogłem winić za podjęte decyzje. A Ospała i tak była znacznie lepszym taktykiem niż ja kiedykolwiek.

Na północ od cmentarza:
MOGABA WYRAŻA ZGODĘ

Dwadzieścia sześć godzin po tym, jak wydał rozkaz do odwrotu, Mogaba porzucił wszelką nadzieję na kolejny atak, za którym wszelako zdecydowanie przemawiały rozpacz i nieład w siłach wroga. Jego ludzie ucierpieli wszak zbyt mocno, by móc ot, tak przejść do porządku nad swą własną rozpaczą i nieładem. Tylko dywizja Aridaty Singha nie poszła w rozsypkę. W nagrodę musiała osłaniać odwrót wycofującej się armii, w której skład wchodziły głównie niedobitki Drugiej Lokalnej. Z sił stanowiących wcześniej prawe skrzydło Saraswatiego można było doliczyć się co dziesiątego człowieka.

Kawaleria wroga nie zaprzestała pościgu. Pani Kapitan najwyraźniej nie miała ochoty ryzykować kontrnatarcia.

Nisko nad jego głową przemknęła para rozedrganych czarnych sylwetek. Promieniowały przeraźliwym psychicznym wrzaskiem. Wtedy Mogaba instynktownie wyczuł, że znowu jest obserwowany przez coś, czego nie da się zobaczyć, jak by nie wyteżać wzroku. Pojął, że najlepsza sposobność minęła. Wezwał swego nowego adiutanta, awansowanego dopiero przed paroma godzinami. Żaden z jego licznych poprzedników nie wrócił z pola bitwy.

– Przeprowadź do mnie jeńców. Tych Oszustów.

– Generale?

– Jeńców, których generał Singh wziął do niewoli w Gaju Zagłady. Chcę ich zobaczyć. – Doszedł do wniosku, że da się zawrzeć z nimi ugodę. Dziewczyna jakiś czas mogła udawać Protektorkę. A jeśli Protektorka wkrótce pokaże się ludowi, wpłynie to dodatnio na nastroje w Taglios.

– Jeńcy ci zostali wysłani na północ, generale. Pod specjalnym nadzorem, ze względu na zagrożenie, jakie według generała Singha przedstawiają.

– Słusznie. Tak należało postąpić. Nie chcemy przecież, żeby wpadli w ręce wroga. – Oficjalnie Mogaba przedstawiał ostatnią bitwę jako zwycięstwo. Oczekiwał, że jego oficerowie będą zachowywać się tak samo.

Przez jakiś czas rozważał rysujące się przed nim możliwości. Jedną chwilę zabrało mu zrozumienie, że odwrót do Taglios okaże się najlepszym wyjściem.

Ach, ależ nienawidził tej myśli! Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, plotka nazwie to porażką i ucieczką. Koszty polityczne będą spore.

Wielki Generał przyjrzał się swemu adiutantowi. Nie znał tego człowieka na tyle dobrze, aby orientować się w jego pochodzeniu społecznym.

– Ton-Dżon, nieprawdaż?

– Tan Dżan, generale. Mój odległy przodek po mieczu miał pochodzić z Niueng Bao. Moja rodzina wyznaje religię Vedna.

– Świetnie. Może będziesz w stanie wymienić kilka religijnych anegdot z panią Kapitan wroga.

– Generale? – W głosie tamtego zabrzmiały równocześnie konsternacja i uraza.

– Poślę cię na południe pod flagą parlamentariusza, abyś uzgodnił warunki rozejmu. Musimy zebrać ciała naszych poległych. – Jeśli którymkolwiek ze swych czynów Wielki Generał zaskarbił sobie sympatię ludu Taglios, to z pewnością należały do nich każdorazowe wysiłki w celu sprowadzenia do miasta ciał poległych, których można było następnie pochować wedle wszystkich wymaganych obrządków.

Tym razem ludzie będą sarkać. Nie było sposobu odzyskania wszystkich ciał.

– Znajdź mi kapłanów. Wszystkich, jakich tylko się da. – Potrzebował porady, co zrobić w takiej sytuacji.

Kompania – czego Mogaba był pewien – po prostu zwali wszystkie ciała żołnierzy Taglios do jednego dołu, zasypie ziemią i zapomni o nich.

Przy cmentarzu wojskowym:
ZAGINIENI

Tobo był zupełnie jak oszalały. Podobnie Murgen. Chodził, nic nie widząc, wpadał na różne przedmioty, całkowicie zatracony w wewnętrznym świecie. Nie widziałem go w takim stanie od czasów, gdy – jeszcze jako kronikarza – dręczyły go te zapaści.

Sahra zniknęła bez śladu; nawet Nierozpoznane Cienie nie potrafiły jej odszukać. Jak dotąd Tobo ustalił tylko, że nie wpadła w ręce wroga. Przynajmniej nic w zachowaniu Taglian na to nie wskazywało. A ponieważ mieli dość powodów, by żywić do niej urazę, cała rzecz z pewnością wyszłaby na jaw.

Sahra zawsze miała talent do schodzenia ludziom z oczu.

– Nie żyje – zawyrokowała Pani. – Odniosła ranę, wpełzła do jakiejś kryjówki i tam umarła. – Co było jak najbardziej prawdopodobne. Kilka ciał odkryto już w okolicznościach pasujących do tego scenariusza. I nie tylko Sahra została uznana za zaginioną. W całej armii żadna z kompanii nie potrafiła doliczyć się pełnego stanu osobowego. Większość żołnierzy prawdopodobnie zdezerterowała albo wpadła w ręce wroga. Jednak ukryty ludek wciąż znajdował poległych w miejscach, dokąd zajrzeć nie przyszło do głowy nikomu.

Miałem nadzieję, że proste wyjaśnienie Pani jest trafne. Obawiałem się możliwości, że Sahra została pojmana przez kogoś, kto ją wykorzysta do manipulowania Tobo.

Przeciwko tej możliwości przemawiała doprawdy skromna lista potencjalnych sprawców. Mogaba tego nie zrobił. Duszołap pogrzebana. Pierdu Pierdu i Khadidas zostali zamknięci w lochach wielkiej fortecy strzegącej podejścia do Taglios od południa, za drzwiami, których nie

otwierał żaden znajdujący się w jej murach klucz. Pozostali, po których można by oczekiwać jakiegoś podstępu – powiedzmy Wyjec czy Vorszk – dysponowali żelaznym alibi.

A więc wychodziło na to, że Sahra zginęła, a jej ciało gdzieś się zapodziało, albo zgubiła się i teraz błąka się bez celu, pogrążona w szoku tak głębokim, iż nie pamięta, kim jest ani gdzie się znajduje.

Ospała wyznaczyła sowitą nagrodę za „schwytnie starszej kobiety Niueng Bao, poszukiwanej w celu przesłuchania odnośnie do ewentualnego szpiegostwa przeciwko sojusznikom Prabrindraha Draha”. Murgen dołączył opis, który obejmował kształt i umiejscowienie pieprzyków na skórze oraz znamion, których nie mógł znać nikt inny.

– To nie ma wielkiego sensu, nieprawdaż? – szepnęła do mnie moja najdroższa. – Ludzie giną w najdziwniejszych momentach i z najdziwniejszych przyczyn.

– Żołnierze żyją – odmruknąłem.

– To powoli zmienia ci się w mantrę.

– Wszystko z poczucia winy. Zaczynasz się zastanawiać, dlaczego on, a nie ja, a potem odczuwasz zadowolenie, że to był on, a nie ty, wreszcie przychodzi poczucie winy. Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego.

– Pewien żołnierz żyje, ponieważ bogowie wiedzą, że jeszcze nie otrzymał należnej mu porcji miłości. Odłóż to pióro i chodź tutaj.

– Na starość zrobiłaś się strasznie wyuzdanym babskiem.

– Tak? Żałuj, że nie znałeś mnie czterysta lat temu.

– Mogaba kazał przenieść Khadidasa i Córkę Nocy do pałacu – ogłosił Tobo. – Co zaskakująco się zgadza z raportami, wedle których kilka godzin później po raz pierwszy od wielu miesięcy widziano publicznie Protektorę. Była skrajnie wściekła i na głowy Taglian posypały się gromy.

– Wyszczrzył zęby. – Najprawdopodobniej miało to coś wspólnego z graffiti, jakie znowu zaczęły się pojawiać. Wszystkie stare, dobre hasła. „Woda śpi”. „Mój brat nieodkupiony”. A nawet takie, które nie są moim dziełem. „Spoczniecie w popiele na dziesięć tysięcy lat, jedząc tylko wiatr”. To mi się nawet podoba.

Słowa te zwróciły moją uwagę. Słyszałem je już kiedyś. Ale w sumie wszystko już kiedyś słyszałem.

– *Radzadharm* jest wszędzie. Każdy, kto potrafi pisać, najwyraźniej musi sobie pofolgować. Potem jeszcze *Maduprlia*, co oznacza „Przyjaciół wina” i jest popularnym szyderczym przydomkiem Gopala Singha. Wychodzi na to, że pan i władca Szarych jest amatorem sfermentowanej winorośli. Potem jeszcze coś, czego nie rozumiem, a co najwyraźniej skrajnie drażni Szarych, bardziej nawet niż *Maduprlia*: „Ti Kim nadchodzi”. To nie ma sensu. Wszyscy zakładają, że stanowi to dzieło Niueng Bao, ponieważ wyrażenie „Ti Kim” ma sens tylko w mowie Niueng Bao. Oznacza „przemarsz śmierci”. Wyjąwszy fakt, że tu występuje w pisowni sugerującej imię własne.

– Jeśli jest używane jako imię albo tytuł, poprawne tłumaczenie brzmi: „Zabójczy Wędrowiec” lub wręcz „Przechadzka Śmierci”. Nieprawdaż? – wtrąciłem. – W dawnych czasach Zabójczy Wędrowiec miał rzekomo roznosić zarazę.

– Goblin – powiedziała Pani. – To jest proroctwo Oszustów, zwiastujące nadejście Khadidasa. Martwy człowiek, który wciąż żyje na ziemi. Z łaski czy z przekleństwa Kiny. Oraz rozsądnik zarazy, jeśli patrzeć na rzecz od strony religijnej.

– Może. – Tobo nie wydawał się przekonany. Nie winiłem go. Sam miałem przecucie, że chodzi o coś jeszcze bardziej złowieszczonego. Przekonanie na niczym nieoparte, ponieważ sugestia Pani musiała być trafna.

Skinąłem głową mniej więcej w tę stronę, gdzie powinna znajdować się Ospała.

– Zdradziła, jakie ma plany?

– Nic nie powiedziała, jeśli nie liczyć skarg na zatargi z naszymi przyjaciółmi z Krainy Nierozpoznanych Cieni. Każdy dowódca brygady domaga się uzupełnień. Jednak żaden nie chce lokalnych rekrutów, głównie zresztą przez wzgląd na problemy z porozumieniem, a nie niedostatki broni czy wyszkolenia. Żaden nie chce również, aby żołnierzy z jego oddziałów wcielano do innych jednostek.

Nie było wszak wyboru i każdy musiał zdawać sobie z tego sprawę. Rozwiązanie było oczywiste. I Ospała znalazła je bez konsultacji ze mną.

Zamiast zlikwidować jednostkę, która poniosła największe straty, wzięła jedną mniej rozbitą i rozdzieliła ludzi wśród pozostałych brygad, zachowując integralność całych pododdziałów. Dla żołnierzy rzeczą

decydującą są towarzysze broni, których znają i którym ufają. Tam, gdzie było to możliwe, zadbała, by oficerowie otrzymali awanse. Pozbawiony dowództwa brygadier został jej szefem sztabu i został zapewniony, że otrzyma z powrotem jednostkę sformowaną ze wszystkich tubylczych rekrutów, niezależnie od tego, jak wielka będzie ich liczba.

Maksimum rezultatów przy minimum podrażnionych ambicji. Tych, którzy czuli się rozczarowani, można było policzyć na palcach jednej ręki.

Życie zmieniło się w zarządzanie biurokratycznymi detalami.

Czy dzieje się tak zawsze, kiedy się starzejemy? Bardziej martwimy się o ludzi i ich wzajemne związki niż o dramat ich życia, gwałty i paskudne czyny, jakich się dopuszczają?

Oto my: Czarna Kompania. Wszystkie popełnione niegodziwości niewarte funta kłaków. Ale, do cholery! Lepiej bulcie, kiedy przychodzi dzień zapłaty. W przeciwnym razie, jeśli będzie trzeba, wyleziemy z samego grobu i wyrównamy rachunki.

Pewnego popołudnia wyraziłem taką mniej więcej myśl na głos. Tobo skomentował:

– Jesteś szalony, starcze.

– Jak kapelusznik. – Potem przyszło mi coś do głowy. – Jeśli już o tym mowa. Wiesz może, co stało się ze starym kapeluszem Jednookiego? – Wkrótce ta odrażająca pchła farma będzie mi potrzebna. Rozpaczliwe potrzebna. Jednooki zresztą próbował mi to powiedzieć, ale nie słuchałem dostatecznie uważnie. Słuchałem i rozumiałem, że jego cudowna włócznia może zostać użyta w sposób, który mały czarodziej określił dokładnie, kiedy jeszcze dopisywało mu zdrowie. Ale ten kapelusz był czymś tak zwyczajnym, codziennym i paskudnym, że jakoś nie zagrzał miejsca w mojej głowie.

– Może jest w moim wozie ze śmieciami – odparł Tobo. – Jeśli nie, to będzie wśród rzeczy matki. – Zamrugął. O Sahrze wciąż nie było nic wiadomo. – Kiedy opuszczaliśmy Hsien, wzięliśmy wszystkie rzeczy i jego, i babci Goty.

– Muszę go znaleźć. Jak najszybciej.

Tobo na pewno ciekawiło, dlaczego tak mi na tym zależy, ale nie zapytał. Co za grzeczny chłopak. Powiedział jednak:

– Gdybym był tobą, powoli zaczynałbym się zbierać, gotów do wymarszu. – Za tego kronikarza z wszystkich tych śmieci i papieru, i piór,

i atramentów, i notatek, i czego tam jeszcze, można było tworzyć stosy grożące przysypaniem. – Ospała pewnie wolałaby zostać tutaj i przeznaczyć część skarbu na dalszy werbunek, szkolenie i odbudowę siły armii, ale przekonałem ją, że to się nie uda. Sprawy dookoła nie zwolnią nagle biegu. Właśnie teraz dysponujemy większą mocą magiczną niżli kiedykolwiek w dziejach Kompanii.

– Osobiście powiedziałem to samo. – Więcej niż raz, wygłaszając tyrady na temat polegania w zbyt wielkim stopniu na potęgach i umiejętnościach nienależących do tradycyjnego arsenału Kompanii.

– Tak, mówiłeś. Ale nie powiedziałeś, że w każdej chwili może go zabraknąć.

– Oczywiście, że mówiłem.

– Po prostu chcesz się go pozbyć. I tak się stanie. Ponieważ nie jest to nacja z rodzaju chętnych zadowolić się robieniem tego, co im każemy. A więc powinniśmy ich wykorzystać, póki istnieje sposobność.

– To znaczy?

– Musimy ruszyć na Taglios, póki dysponujemy mocą zadawania poważnych szkód.

Czy ten dzieciak nie stawał się przypadkiem trochę nazbyt pewny siebie? Mądrzejszy od Kapitana? Niewykluczone zresztą, że teraz, gdy zabrakło jego matki, miał zamiar kłócić się z Ospałą.

Lepiej nie spuszczać oka z naszego chłopczyka. Już dawno powinien wyrosnąć z takiej dziecinady.

– Niewykluczone, że jednak masz rację – stwierdziłem.

Taglios: PAŁAC

Raport Gopala Singha nie był szczególnie uspokajający.

– Graffiti są wszędzie, jednak nie złapaliśmy nikogo na gorącym uczynku. Obecna sytuacja jest znacznie gorsza niż przed pięciu laty. Ludzie są zasadniczo po naszej stronie i można by zakładać, że ktoś dostarczy choćby najdrobniejszej wskazówki. A wszystko, co słyszymy, to bełkot na temat duchów, demonów i stworów, jakie można zobaczyć tylko wtedy, kiedy patrzy się na nie kątem oka.

Mogaba wsparł podbródek na splecionych palcach dłoni.

– Sprawa polega na tym, Gopal, że ja sam widziałem na własne oczy i demony, i duchy. Niedługo po tym, jak wstąpiłem do Kompanii. Jeden z jej czarodziejów miał oswojonego demona. Później okazało się, że służył naszemu wrogowi, ale to bez znaczenia. Był to demon. A podczas oblężenia Dedżagore duchy często przychodziły i odchodziły. Wszyscy je widzieliśmy, chociaż rzadko kiedy ktokolwiek o nich wspominał.

– Większość ludzi obwinia o to Niueng Bao.

– Kwestia istnienia duchów i demonów nijak się ma do sytuacji bieżącej – zauważył Aridata Singh. – Niezależnie od tego, czy to jakieś widma, czy też sprytni agitatorzy rozpowszechniają te hasła, są one jak najbardziej realne. A wystarczająca liczba osób jest w stanie je przeczytać, by całość populacji miasta dowiedziała się, co było na murze.

– Co byś z tym zrobił? – zapytał Mogaba.

– Obserwowałbym wandalów, ale oprócz tego nie podejmował żadnych działań. Jeśli ludzie uwierzą, że jesteśmy niewrażliwi na krytykę, sami również nie będą brać jej poważnie.

– Sam chciałem to zaproponować – powiedział Gopal. – Ponieważ ludzie na ulicy nie lepiej od nas wiedzą, kto to maluje. Co sprawia, że robią się równie nerwowi jak my.

Mogaba skrzywił się.

– Wobec tego zgoda. Z jednym zastrzeżeniem. Niektóre z tych haseł nie pasują do tradycyjnych wzorców. „Ti Kim nadchodzi”. Wciąż nie mamy pojęcia, co to oznacza.

– Krocząca Śmierć nadchodzi – odparł Gopal. – Można by sądzić, że chodzi o towarzysza Córki Nocy.

– Sądzisz więc, że to robota Oszustów?

– Tak przypuszczam.

– Ale „Ti Kim” pochodzi z Niueng Bao. Nigdy dotąd nie słyszałem o Oszustach Niueng Bao.

Gopal odchrząknął. Na to nie znalazł kontrargumentu.

Aridata spróbował obrócić wszystko w żart.

– Będziemy wiedzieć, kiedy przyjdzie. Ludzie zaczną umierać.

– Ha, i jeszcze raz z litości: ha – odparł Mogaba. – Tymczasem musimy podjąć decyzję, co zrobić z naszymi gośćmi. Niełatwo będzie zapanować nad nimi. Zwłaszcza gdy chodzi o czarodzieja. Goblina. Tego, co każe się do siebie zwracać imieniem Khadidas. Pomógł zastraszyć tłum, kiedy dziewczyna udawała Protektorkę. Ale nasza sprawa jest mu obca. Pożre nas w chwili, gdy uzna, że przestaliśmy służyć jego sprawie, którą jest jak najszybszy koniec świata.

Żaden z Singhów nie odpowiedział. Obaj rozumieli, że w słowach Wielkiego Generała kryje się więcej, niż można wnioskować z samej ich treści. Zresztą fakt, że spotkanie poświęcone będzie szczególnie delikatnej kwestii, był jasny już w momencie, gdy okazało się, że nie zaproszono na nie nikogo innego.

– Uważam, że powinniśmy się go pozbyć. Natychmiast. Zanim zdomowi się na dobre i nabierze pewności siebie.

– A co z Córką Nocy? – zapytał Aridata.

– Sama z siebie nie stanowi poważniejszego zagrożenia. – Co oznaczało, że Córkę Nocy można oszczędzić. Jeśli tego właśnie Aridata chciał. – Chociaż wedle mego osądu, zbyt nasiąkła swoim sposobem życia, by jej nawrócenie było możliwe.

Bładość skóry Aridaty jednoznacznie zdradzała przepełniającą go konfuzję.

– Nie o to mi chodziło.

Gopał pośpieszył mu na pomoc. Jak zwykle nie połapał się w niewypowiedzianych treściach.

– Jakim sposobem mielibyśmy się zbliżyć na tyle, by cokolwiek zdziałać? Zmusi nas, byśmy ją pokochali do tego stopnia, że z radością oberżniemy sobie palce.

– Musi być jakiś sposób obejścia tego problemu.

– Z zadowoleniem wysłucham waszych propozycji.

– Cóż, jasne jest, że nie może tego robić przez cały czas wedle swej woli, inaczej Aridata by jej nie pojął.

– Może chciała zostać schwytana?

Mogaba obawiał się, że w sugestii tej może być sporo racji.

– Ale moc tego zaklęcia nie działa na broń. Ani na truciznę.

– Można uciec się do czarów – zaproponował Gopał. – Sądzicie, że ktoś zna prawdziwe imię czarodzieja lub dziewczyny?

Mogaba pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, aby nawet nasi wrogowie mogli tu wiele zdziałać. Dziewczyna nie ma żadnego innego imienia niż Córka Nocy. Goblini stworzyli to dwie istoty w jednej, przy czym ta część, która jest Kiną, rządzi. Człowiek, który znał różne sekrety Goblina, nie żyje. A więc od razu możemy przejść do omawiania kwestii zdrady i trucizny.

– Nie chciałbym się powtarzać – rzekł Aridata – ale pragnę wszystkim przypomnieć, że rodzice dziewczyny znajdują się niedaleko stąd. A w chwili obecnej nasze widoki na przyszłość nie są najlepsze.

Mogaba podejrzewał, że jest to subtelne zaproszenie, by zdradził swoje plany. Nie skorzystał z niego.

Nie skorzystał, ponieważ w tych dniach nie miał już żadnych ogólnych planów. Wierzył, że jego dni są policzone, jak głosiły graffiti. „Wszystkie ich dni są policzone”. Jednak wszelkie cechy charakteru, dzięki którym stał się tym, kim był – i dobre, i złe – zmuszały go do dalszej walki.

Obok cmentarza: PLANY

Od czasu naszej wizyty w fortecy Sziwetji Pani była zajęta. Bardziej niż zwykle. Kilka razy zaskoczyłem ją na praktykowaniu poważnych czarów. O nic nie pytałem. Odpowiedź była oczywista. Magia Kiny wróciła do niej z całą siłą, dokładnie w momencie, gdy Khadidas ujawnił się w ciele Goblina.

Pani zamknęła się w sobie, ściśle kontrolując swe uczucia. Ponieważ to ja przez całe lata o niej pisałem, doskonale wiedziałem, że walczy z nadzieją.

Była uzależniona od mocy.

Zrezygnowała z niej, nie do końca z własnej woli, aby powstrzymać przed ponownym przyjściem na świat starożytną grozę, swego pierwszego męża, Dominatora. Potem odeszła ze mną, wiedząc, że nie ma innej drogi ocalenia, bezbronna w świecie, który sama stworzyła. Nigdy nie zapomniała czasów, gdy była Panią. A w miarę upływu lat tęskniła za tym coraz bardziej. I jak podejrzewałem, tęsknota owa stawała się szczególnie dojmująca, kiedy złośliwy los stawiał ją przed lustrem.

Dedżagorański młodzieniec o ujmującej osobowości, którego znaleźmy pod imieniem Milos Sedona, obszedł wszystkich, zwołując posiedzenie sztabu z udziałem Tobo i pani Kapitan. Dzieciak miał dopiero szesnaście lat, a już dzięki swemu wdziękowi został osobistym chłopcem na posyłki Ospalej. Miły uśmiech i przyjemna osobowość warte są zazwyczaj więcej niż geniusz skryty za ponurym grymasem.

Sam miałem dobre zdanie na temat Sedony. Pamiętał, żeby mnie również zaprosić na przyjęcie.

W obozie panowało zamieszanie. Ospala zarządziła przygotowania do marszu na Taglios. Ci, którzy dysponowali niezbędnymi umiejętnościami, pracowali nad częściami machin artyleryjskich i oblężniczych, jakie zostaną złożone w całość, kiedy wejdziemy w strefę walk. Ci, którzy nimi nie dysponowali, zajmowali się robotą wymagającą jedynie siły mięśni. Zastanawiałem się, dlaczego Ospala wydała takie zarządzenia, skoro jeszcze nie wiedzieliśmy, czy ten sprzęt w ogóle będzie nam potrzebny. Podejrzywałem, iż chciała, aby każdy miał coś do roboty.

Czy ptak może się krzywić lub uśmiechać? Biały kruk przyglądał mi się, siedząc na ramieniu niekompletnego, ruchomego trebusza. Moim zdaniem robił obie te rzeczy naraz.

– Daleki lot, co? Właśnie dotarłeś?

Ptak podskoczył, ale nie odfrunął.

– Zachowuj się przyzwoicie – nakazałem mu. – Wiem, kim jesteś, i wiem, gdzie mieszkasz.

Kruczy śmiech, nieco wymuszony. Żołnierze pamiętający czasy, gdy kruki były liczne i groźne, zatrzymali się, by popatrzeć.

Mój kruk umknął w stronę cmentarza.

– Od razu widać, że nasz stary kumpel Sziwetja się asekuruje – mruknąłem.

Dzień był chłodny, ale niebo pozostawało bezchmurne. Pani Kapitan doszła chyba do wniosku, że wszystkim dobrze zrobi narada na świeżym powietrzu. Stół ustawiono z tyłu za namiotem głównej kwatery.

Tobo przemawiał jako pierwszy:

– Mimo niekorzystnej sytuacji Wielki Generał i jego porucznicy zdecydowali się kontynuować walkę. Obaj generałowie Singhowie uważają, że lepiej byłoby uznać Prabrindraha Draha i oszczędzić Taglios zniszczeń. Jednak lojalność jest dla nich kwestią dumy i honoru, a Wielki Generał to nie Protektorka. Uważają go za swego przyjaciela. Obawiam się więc, że póki będzie stawiał opór, pozostaną przy nim.

Żadnej niespodzianki. Nie wspominając już o tym, że Gopal Singh i tak nie miał wielkiego wyboru. Jako dowódca Szarych nie posiadał żadnych przyjaciół poza kręgami aktualnie rządzącymi. Swą lojalność złożył w ręce Protektorki, nie zaś Taglios.

Natomiast Aridata, mimo udziału w ostatnich walkach, dalej mógł się uważać za apolitycznego i w całości oddanego sprawie Taglios. Pracy, którą

aktualnie wykonywał, domagałby się odeń każdy, kto byłby akurat przy władzy.

W tej kwestii panowała powszechna zgoda. Może po prostu szukaliśmy jakiejś wymówki. Każdy, kto poznał tego faceta, lubił go i życzył mu wszystkiego dobrego.

– Dość tego – warknęła Ospała. – Ten człowiek to ideał. Z rodzaju tych, z którymi chcielibyśmy wszyscy pożenić nasze córki. Świetnie. Tobo, proszę, mów dalej.

– Ostatniej nocy generałowie podjęli decyzję o zgładzeniu Khadidasa. On i Córka Nocy wprawdzie nie potrafią czytać w myślach, ale wyczuli zagrożenie. Uciekli ze swych cel. Co oznacza, że jedno z nich dysponuje mocą większą, niż się dotąd wszystkim wydawało. Ukrywają się gdzieś w opuszczonej części pałacu. Szarzy i Gwardia Pałacowa jeszcze ich nie znaleźli. Khadidas zrobił coś, co odkształca otaczającą ich rzeczywistość. Nawet ukryty lud ich zgubił i nie potrafił odnaleźć ponownie. Niedługo po ich zniknięciu ktoś dokonał najazdu na kuchnię. Ukradziono mnóstwo jedzenia. Potem ktoś włamał się do biur Generalnego Inspektora Archiwów i doprowadził stamtąd od cholery papieru oraz atramentu.

– Zamierzają zrekonstruować Księgi Zmarłych! – wybuchnął Murgen. Pozwolił sobie na wybuch emocji po raz pierwszy od zniknięcia Sahry.

– Najwyraźniej – zgodziła się Ospała. – Ale choć z pewnością potrwa to długo, to jednak wcześniej czy później skończą, jeśli im nie przeszkodzimy. A mamy zamiar im przeszkodzić. Dziś w nocy wszyscy polecicie do Taglios. Macie wykonać ten sam numer, który zrobiliście w Dżajkurze. Wykorzystując wszelkie dostępne środki. Chcę, żebyście schwytali Gopala Singha i Wielkiego Generała. Złapcie też dziewczynę i Goblina. Aridatę Singha weźmiecie pod straż. Potem się przyczaicie. Armia wymaszeruje jutro. Kiedy tylko przejdziemy przez bramy miasta, poślę po Prabrindraha Draha.

Rozejrzałem się po zgromadzonych. Nikt nie patrzył mi w oczy. Wszyscy byli zbici z tropu. Jakby jednomyślnie uznali, że Ospała postradała zmysły, tylko nikt nie potrafił jej tego powiedzieć.

Można by się założyć, że podobna atmosfera panowała w otoczeniu Mogaby. I w większym jeszcze stopniu wokół Duszołap, tuż przed jej odejściem na emeryturę.

– Trzeba to zrobić – stwierdził nowy szef sztabu Ospalej. Chociaż mówił po tagliańsku, sama treść formuły pochodziła z Krainy Nierozpoznanych Cieni.

Tęskniłem za Jednookim. Jednooki – albo Goblin w swoim czasie – wyczarowałiby temu nadętemu małemu dupkowi płonące buciki. Z miejsca. Albo zafundowali silny przypadek zapchlenia insektami wielkości skarabeuszy.

To były czasy. Pominąwszy fakt, że ci chłopcy nie zawsze wiedzieli, kiedy przestać. Mnie też dołożyli skutecznie niejeden raz.

Nastąpiła krótka dyskusja na temat tego, czy należy włączyć Vorszk w skład komanda, czy wręcz przeciwnie. W domyśle – czy Tobo będzie w stanie mieć oko na tak wielu ludzi o wątpliwej lojalności. Arkana wydawała się jedną z nas, ale nie wiedzieliśmy tego z całą pewnością. Podpowiedziała przecież Magadanowi, by wszczął działania, które skończyły się... Na Wyjca również już nic nie mieliśmy. Nadto mały czarodziej, od kiedy przestał głosić swą obecność ciągłymi wrzaskami, stał się niemal niewidzialny. Starsi Vorszk byli godni zaufania, ale rzecz jasna dopóki nie wymyślą skutecznego sposobu dania się nam we znaki. O ile go wymyślą. Nie wydawali się wiele inteligentniejsi od Gromovola.

– Niech was nie rozpiesza nadmierna pewność siebie tylko dlatego, że jak dotąd wszystko szło po naszej myśli – powiedziałem tylko i wszystkie twarze zwróciły się w moją stronę z wyrazem wystudiowanej obojętności. – Wciąż mamy przed sobą mnóstwo okazji do potknięcia.

Oczekiwałem jakiejś polemiki, jednak faktycznie byłem przekonany, iż ostatnio wiedzie nam się coś dziwnie gładko i śpiewająco. Niewykluczone, że tylko godziny dzieliły nas od ostatecznego rozrachunku ze zdrajcą Mogabą, a tylko minuty od złapania Pierdu Pierdu i zgładzenia ostatniej nadziei Oszustów. Niemalże od czasu pierwszych blizn zarobionych w Krainie Nierozpoznanych Cieni wydarzenia układały się jakby napędzane wewnętrzną koniecznością.

– Co? – Ale pytanie zaskoczonej Ospalej skierowane było do Tobo, nie do mnie.

– Nie możemy odlecieć przed północą. Pani ma mi zademonstrować rytuał przywoływania umarłych. Może w ten sposób dowiemy się, co się stało z mamą.

Ospała chciała protestować, jednak od razu zrozumiała, że w tej bitwie nie zwycięży. Toba zrobi wszystko na swój własny sposób, z błogosławieństwem Murgena. A sprzeczki w obecności żołnierzy podważały autorytet dowódców.

– Tylko niech wam to nie zabierze całej nocy.

Pałac: WNIKLIWSZE PORZĄDKI

Wielki Generał wziął do ręki muszlę, uniósł ją do oczu.

– Z każdą chwilą więcej tego wszędzie dookoła. Ale nikt jakoś nie widział żywego ślimaka.

– Gdyby to był mój dom, zapędziłbym do roboty służbę – odparł Gopal.

Odległy łomot odbił się echem po korytarzach. Szarzy i Gwardia na ślepo demolowali ściany, próbując wypłoszyć Oszustów z ich kryjówek. A na obszarach, które uznano za sprawdzone, mularze pieczętowali drzwi i odgradzali ścianami całe korytarze. Do polowania przyłączyły się też rzesze samozwańczych mediów i łowców duchów.

– Pewnie masz rację – rzekł Mogaba. Skinął na jednego z kilku idących za nimi młodych ludzi. Tamten uklonił się pośpiesznie i zniknął. Nie minęło dużo czasu, a już cała służba pałacu brała udział w zmasowanej kampanii sprzątnięcia. Mogaba zauważył: – Nie możemy przecież pozwolić, by nasi wrogowie zobaczyli taki chlew, kiedy już tu przyjdą.

Pojawił się zdyszany i spocony posłaniec. Podczas poszukiwań natrafiono na kilka ciał. Z dawnych czasów. Trzech mężczyzn odzianych tylko w przepaski biodrowe. Najwyraźniej zagubili się w labiryncie korytarzy, jednak śmierć spowodowały rany odniesione wcześniej. Niepokój wśród poszukiwaczy spowodował fakt, że ciała były nietknięte przez robaki i normalne procesy rozkładu.

– Nic nie róbcie – rozkazał Mogaba. – Nawet ich nie dotykajcie. Po prostu zamurujcie miejsce, gdzie je znaleźliście. – Zwrócił się do Gopala: – To muszą być pewnie ci Oszuści, którzy próbowali zgładzić Wyzwolicieła i Radiszę w czasach, gdy jeszcze nosiłeś pieluszki. – Westchnął. – Niezależnie od tego, jak byśmy się starali, poszukiwania zajmą całe wieki.

– Muszą coś jeść.

– Pewnie tak. Warta pilnuje kuchni przez cały czas. – A także, jak stwierdził głośno, nie kierując swych słów do nikogo konkretnego, gdyż w tych dniach bezpieczniej było komunikować się wymieniając notatki, każde jedzenie łatwo dostępne podczas spokojnych godzin nocy, będzie zatrutowane.

– Rób tak dalej, Gopal. Dzień i noc. Przy pomocy wszystkich ludzi, jakich tylko masz do dyspozycji. – Wielki Generał oczekiwał, że wrogowie niedługo po niego przyjdą, w związku z czym podjął wszelkie przygotowania stosowne na ich powitanie.

Mogaba wycofał się do swoich kwater. Tam spędził godzinę, oddając się jednemu ze swoich hobby, a potem przeniósł do pokojów Protektorki, gdzie uciął sobie drzemkę. Obecnie korzystał z jej apartamentów, ponieważ nikt do nich nie wchodził. Prócz Wielkiego Generała nikt by się nie ośmielił. Prócz Wielkiego Generała nikt nie potrafiłby pokonać ochronnych zakłęb, które Protektorka zostawiła na miejscu, wyjeżdżając.

Miejsce to stało się jego sanktuarium.

Szpiedzy i zwiadowcy Mogaby donosili, że Konował z resztą jego czeready dołączyli do Kompanii, powróciwszy, dokądkolwiek się udali, przywożąc ze sobą więcej narzędzi do wyrządzania zła.

Kryzysu można się było spodziewać w każdej chwili.

Obok cmentarza:
POSZUKIWANIE ZAGUBIONEJ DUSZY

Już wcześniej zdarzyło mi się być świadkiem działalności nekromantów oraz uczestniczyć w rozmaitych przedsięwzięciach obejmujących wysoce skomplikowane inwokacje, nigdy jednak tak blisko jak tej nocy. I nie zamierzam zbliżyć się już tak nigdy więcej. Gdy moja ukochana zechce mieć pod ręką kogoś, kto miałby uratować jej słodki tyłeczek, kiedy zaczną się kłopoty, przywiążę długą linę do jej kostki, a drugi jej koniec do konia. Jeśli coś się skisi, klepnę w koński zad.

Ten seans spirytystyczny nie przebiegał dobrze. A zanim dotarł do końca, przyszło mi poznać wizję miejsca kości o wiele ohydniejszą od tych, które wpraszały się do snów Murgena i mojej najdroższej.

Woń zalegała nad nim paskudna, jednak nie to było najgorsze. Nigdy w życiu nie wyobrażałem sobie nawet takiego chłodu. Po zakończeniu rytuału przywołania przez całe godziny próbowałem rozgrzać się przy ognisku, lecz ziemskie płomienie nie potrafiły rozproszyć zajadłego zimna. Przeżycie okazało się makabryczne do tego stopnia, że tej nocy nie byliśmy w stanie wyruszyć na operację wymyśloną przez Kapitana. Podobnie nocy następnej, a kiedy to wreszcie nastąpiło, główną przyczyną był fakt, iż Jej Wysokość zaczęła zarzucać nam publicznie, że uchylamy się od obowiązków pod pretekstem oczekiwania na lato.

Z osób postronnych tylko Murgen, Ospala i ja byliśmy obecni podczas przywołania. Nikogo innego nie zaproszono, nawet Szukrat, Sjuwrina czy któregoś z przyjaciół Sahry. I niemalże od początku wszystko zaczęło iść źle. Prawie natychmiast Pani uniosła dłoń, chcąc rozmasować prawą skroń. Wkrótce potem przed moimi oczyma zaczęły przesuwać się ulotne, bezładne obrazy rzeczy nieistniejących. Najpierw pojawił się chłód, potem

smród. Zanim cokolwiek ujrzałem wyraźnie, przeżyłem kilka chwil, podczas których moja równowaga pozostawała pod znakiem zapytania.

Pani denerwowała się coraz bardziej, w miarę jak wydarzenia nie toczyły się po jej myśli. Rozpoczęła rytuał dwukrotnie. A kiedy wreszcie ruszyła z kopyta, nie trafiła do miejsca, do którego chciała. W końcu musiała zrezygnować. Wcześniej jednak wszyscy zgromadzeni zaznali aż nazbyt wyczerpującego tchnienia snów Kiny z domu umarłych.

– Przepraszam – Pani zwróciła się do Tobo. – Kina próbuje mnie dosięgnąć przez łączącą nas więź. Im więcej czerpię z niej mocy, tym łatwiej jej tego dokonać.

Niedobrze. Pani mogła stać się w każdej chwili cholernie potężna, a równocześnie zmienić w niewolnicę bogini.

Czytała chyba w moich myślach. Obrzuciła mnie wrednym spojrzeniem.

– Ta suka nigdy nie zapanuje nade mną.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie przypomnieć jej, o kim właściwie mówimy. O Matce Oszustów. Kina nie musiała nikogo ściśle kontrolować, by nim manipulować. A potrafiła manipulować całymi narodami. Przez sen. Zamiast tego jednak zapytałem:

– Dowiedziałaś się czegoś o losie Sahry?

Nastrój Pani nie poprawił się.

– Z pewnością nie tyle, ile dowiedziałabym się, gdyby ta diabelska locha nie zrujnowała naszego przedsięwzięcia. – Jej umysł musiał zostać poniekąd porażony podczas tych prób. Zachowywała się niczym pijana. – Nie byłam w stanie przywołać Sahry. Nawet jej nie odnalazłam. Co zasadniczą kwestię pozostawia wciąż nierozstrzygniętą. – Mówiła niewyraźnie, słowa zlewały się, jednak z uporem używała trudnych słów. – Sądzę jednak, że nie żyje. Gdyby było inaczej, Tobo i ukryty lud już by ją znaleźli. Nic nie ukryje się na długo przed Czarnymi Ogarami.

– Żołnierze żyją – wyszeptałem. – To nie w porządku, że takie rzeczy się zdarzają. – Jednak Fortuna jest obojętna na nasze wysiłki. Chyba że akurat śmieje się z ludzkiego bólu. – Tak mało sensu...

– Tak późną nocą próbujesz nam serwować mistyczny bełkot, Konował? – warknęła Ospała. – Przecież sam mówiłeś zawsze, że jedyny sens zewnętrznemu światu nadajemy my sami.

– Pewne jak jasna cholera, że mogłem tak powiedzieć, no nie? Rozładujmy naszą frustrację, dobierając się do starożytnej dupy Mogaby.

Ospała przyjrzała się nam pobieżnie i zrezygnowała z wysłania nas, póki byliśmy w takim stanie. Jeszcze ściągniemy na siebie jakieś nieszczęście.

Później jednak jej cierpliwość się wyczerpała. Wciąż jakoś nie potrafiliśmy dojść do siebie. Żadne z nas. Na koniec zdecydowała się przejść nad tym do porządku i wydała rozkaz wyruszenia.

Wyjec skończył wielki dywan, zdolny unieść dwudziestu pasażerów. Dziś wieczorem wsiadło nań szesnastu, plus ładunek. Wśród tej szesnastki byli obaj starsi Vorszk, kilku wyszkolonych komandosów z Hsien oraz Murgen. Od czasu nieudanej nekromancji Pani Murgen zachowywał się niczym zombi. Słyszał, jak twierdziła z całym przekonaniem, że Sahra nie żyje.

Próbowałem go przekonać, żeby został, ale się uparł.

Powinienem wówczas postawić na swoim. Nie na wiele mógł się przydać, będzie tylko zawadzać.

Tobo był w znacznie lepszym stanie. Romans z Szukrat pochłaniał go zbyt głęboko, żeby zaginięcie matki mogło przerodzić się w obsesję. Dalej jednak nie wolno było spuszczać z niego oka.

Pani i ja odzialiśmy się w nasze pełne kostiumy, przykrywając zbroje Stwórcy Wdów i Pożeracza Żywotów szatami Vorszk. Oba moje kruki zabrały się z nami. Arkana również poleciała, nadal jednak bardziej na próbę. Z czego w pełni zdawała sobie sprawę.

Nisko w dole podążały za nami mroczne istoty. Od chwili, gdy zapadł zmierzch.

Taglios nie zasypia nigdy. Dzisiejszej nocy ci, którzy musieli pozostać na ulicy po zmierzchu, będą mieć mnóstwo powodów do strachu przed tym, co czyha pośród cieni. Hej, Mogaba! Obejrzyj się za siebie! Ciemność zawsze nadchodzi.

Zanim jeszcze obóz zniknął nam z oczu na dobre, zająłem pozycję obok Pani. Lecieliśmy ramię w ramię, nasze szaty Vorszk powiewały na wietrze dwadzieścia metrów za plecami. Najpierw zastanawialiśmy się, którzy z naszych towarzyszy potrzebują szczególnej uwagi, potem omawialiśmy nieudaną próbę nawiązania kontaktu z duchem Sahry. Po raz dwudziesty chyba Pani powtórzyła:

– Odniosłam wrażenie, że ona tam jest, równie rozpaczliwie próbując skontaktować się z nami, jak my z nią. Jednak paskudna bogini

zdecydowała się nam przeszkodzić.

– Czy Kina się budzi?

– Jej sen jest znacznie płytszy, niżli to miało miejsce od bardzo już dawna. Może nawet płytszy niż wówczas, gdy wyczuła nasze nadejście i wszczęła wojnę z nami, zanim bodaj dotarliśmy do tego kraju. To zaczęło się, kiedy Goblin wylazł na świat.

Zanim nawet tu dotarliśmy? Och.

– Zmieńmy temat. Mam pytanie. Dręczy mnie już od dawna, ale jakoś nie potrafiłem ująć go w słowa.

– Literat.

– Narkomanka magii.

– Jakie masz pytanie, o Archaiczny?

– Co się stało z cieniami Duszołap?

Pani spojrzała na mnie pustym wzrokiem.

– Daj spokój. Ten stary mózg wciąż jeszcze funkcjonuje. Była przecież utalentowaną władczynią cieni. Niewiele ich jej zostało, ponieważ zwierzaczki Tobo systematycznie je wyławiały. W końcu musiała zrezygnować z rzucania ich przeciwko nam. Ale przecież parę zostawiła sobie gdzieś w rezerwie. Na czarną godzinę.

– Najczarniejszą godzinę ma już za sobą – warknęła Pani, ale nie kłóciła się. Jej myśli krążyły wokół zadanego pytania. – Jeśli miałabym zaryzykować hipotezę, to moim zdaniem Nierozpoznane Cienie pozabijały wszystkie. Nie zostały żadne zabójcze cienie. Gdyby było inaczej, wciąż docierałyby do nas raporty o niewytłumaczalnych zgonach.

– Może. – Najprawdopodobniej. Gdyby faktycznie grasowały na swobodzie, podniecenie towarzyszące ich atakom byłoby jak zawsze nieproporcjonalnie wielkie do faktycznych szkód. Ludzie na terytoriach imperium tagliańskiego mieli za sobą długą historię udręk doznawanych od zabójczych cieni.

Mimo to wzniosłem się wysoko, a potem przez chwilę leciałem obok Tobo, co Szukrat uznała w końcu za niesmaczne i gdzieś się zapodziała. Typowa arogancja młodości, uznałem.

– Nie mam zamiaru udzielać ci żadnych rad życiowych. – Potem wyjaśniłem chłopakowi powód moich trosk.

Najwyraźniej był podobnego zdania jak ja.

– Postaram się odkryć, jak się sprawy mają.

Obniżałem lot, póki nie zrównałem się z Panią.

– Co powiedział? – zapytała.

– Sprawdzi.

– Nie wydajesz się szczególnie zadowolony.

– Powiedział to takim tonem, jakim zawsze zbywa się kogoś, kto marnuje twój czas i rozwodzi się nad mało interesującymi rzeczami.

Taglios:

WIDOK Z OKNA PROTEKTORKI

Mogaba czuł, jak powieki ciężą mu coraz bardziej. Dwukrotnie już osuwał się w sen, by przebudzić się z gwałtownym drgnieniem – raz na dalekie echo jakiegoś zamieszania w mieście, drugi raz na odgłos krzyków w głębi pałacu, sugerujących, że wartownicy mogli zauważyć Khadidasą. Były najwcześniejsze godziny poranka, kiedy zwalnia nawet puls świata.

Dziś już z pewnością się nie pojawią. Zeszłej nocy nic się nie wydarzyło, poprzedniej również nie. Może czekali, aż wzejdzie księżyc.

Coś ciemnego zamajaczyło za szybą okna, przez które, z miejsca, gdzie siedział, Wielki Generał mógł widzieć własne kwatery i większe partie północnej pierzei pałacu. Tam były główne bramy. Zamarł.

Nierozpoznane Cienie nie potrafiły przedostać się przez szybę i stałe osłony Protektorki. Mogaba wypuścił długo wstrzymywane powietrze. Powoli, niewidzialny w ciemnościach panujących w pomieszczeniu, powstał i podkradł się do okna, skąd miał lepszy widok.

Przybyli. Nie w chwili, gdy oczekiwał, ale dokładnie na miejsce, gdzie się ich spodziewał. Tam za każdym razem przybywali ich posłańcy. Szczyt wieżyczki. Tej samej co zawsze.

Nie poczuł właściwie żadnych emocji. Jeśli już, to tylko odrobinę smutku. Całe życie, i jego, i ich, sprowadzało się wyłącznie do tego. Przez moment zbudziła się w nim pokusa, by wykrzyknąć ostrzeżenie. Zawołać z całych sił, że ten pełen pychy głupiec, który dokonał idiotycznego wyboru w Dedżagore, tyle już lat temu, nie chce, żeby tak się to skończyło. Ale nie. Było za późno. Los rzucił kości. Okrutną grę należało rozegrać do samego końca, niezależnie od woli uczestniczących w niej stron.

Pałac:

APARTAMENTY WIELKIEGO GENERAŁA

Pani prowadziła, ponura jak zawsze, gdy wchodziła w rolę Stwórcy Wdów. Nie podobało mi się to. Pierwszy po schodach powinien zejść ktoś dysponujący znacznie większą mocą. Ale Tobo musiał iść ostatni. W przeciwnym razie Wyjec i Vorszk mogą nagle stracić ochotę na udział w operacji. A Wyjec nie mógł ruszyć pierwszy, ponieważ ktoś musiał panować nad latającym dywanem, póki wszyscy nie zsiadli.

Na schodach panował tłok. Nikt nie chciał wejść w tę nieprzebytą ciemność, chociaż tylko Pani, Murgen i ja pamiętaliśmy czasy, gdy ciemność była naszym najgorszym wrogiem. Próbowałem podążyć tuż za Panią, wymyśliwszy sobie głupio, że potrafię ją ochronić.

Żart na skalę iście kosmiczną.

Na dół dotarliśmy bez żadnych przeszkód. I mimo iż robiliśmy potworny wręcz hałas, nie przyciągnęliśmy niczyjej uwagi.

– Mogaba pewnie śpi snem sprawiedliwego – mruknęła Pani. – Cały ten łomot poderwałby z grobu umarłego.

– Hm?

– Jego kwatery jest wprost przed nami.

Doskonale o tym wiedziałem. Zanim wyruszyliśmy, kilkakrotnie przećwiczyliśmy całą operację. Jednak bez szczególnego zapachu. Czyli zdecydowanie za mało dokładnie, jak na mój gust.

– On ma mocny sen – powiedziałem. Przed dezercją była to jedna z naprawdę nielicznych jego wad. To oraz głębia targających nim namiętności, które nawet jego bracia Nar odbierali jako deprimujące. Mówiłem już jednak tylko w mroczną przestrzeń. Pani poszła przodem.

Ktoś wyczarował światło, słaby płomyk, który kołysał się nad naszymi głowami. Promieniował obcością, podejrzewałem więc, że stanowi dzieło jednego z Vorszk. W miarę jak robiło się coraz jaśniej, rosło również poczucie pewności, spokoju.

Może przynajmniej jeden z tych zdziwaczałych starców nie był tak głupi, jakiego udawał.

– Światłość jest moim sprzymierzeńcem – mruknął ktoś w jednym z dialektów Hsien. Fraza wypowiedziana została w kadencji rytualnej intonacji. Później dowiedziałem się, że była to część inkantacji zamierzonych dla odstraszenia Nierozpoznanych Cieni, których nie lubił nikt prócz Tobo.

Stwory niewidzialnego świata kłębiły się wszędzie wokół nas. Ich niepokój był tak wyraźny, że nawet ja go czułem.

– Coś tu jest bardzo nie w porządku – wyszeptał Tobo. – Wcześniej umieściłem w pałacu całe setki istot ukrytego ludku. Ale żadna z nich jak dotąd nie pojawiła się z raportem. Jakby ich tutaj nie było. – Nadal przemawiał szeptem do otaczającej nas, strasznej ciemności. Niewidzialne stworzenia kłębiły się wokół nas, potracając od strony, w którą nie patrzyliśmy. Część ogłupiającego mnie napięcia gdzieś się ulotniła.

Pani skinęła na żołnierzy. Nadeszła chwila, by wtargnąć do apartamentów Mogaby. Chociaż do akcji rzucano zbyt wielkie siły. Drzwi nie były zamknięte. Jeśli wierzyć Pani, nigdy ich nie zamykał.

Ona i Szukrat ruszyły przodem. Znały rozkład pomieszczeń. Chyba że sprytny Mogaba zmienił położenie mebli w pokoju.

Żołnierze ruszyli za nimi. Vorszk i Wyjec ostrożnie weszli do środka. Murgen za nimi. Pani i Szukrat zaczęły kłócić się szeptem, która ma poszukać lampy. Ktoś wpadł na kogoś. Ktoś upadł. I znowu ktoś zderzył się z kimś. I wtedy czyjś głos stwierdził kategorycznie:

– O cholera!

Idąca tuż przede mną Arkana właśnie wchodziła do pomieszczenia, kiedy stojący za moimi plecami Tobo również zrozumiał, co się dzieje. Gwałtownie zaczął się przeciskać obok.

– Z drogi, do diabła!

Brząk tłuczonej ceramiki. Nie wiedziałem, że Mogaba był kolekcjonerem, chociaż zaiste w tej części świata zdarzali się uzdolnieni mistrzowie...

Wrzask.

Zanim ucichł, dołączyły do niego kolejne. Kule ogniste wyskoczyły z małych miotaczy. I natychmiast zrozumiałem, dlaczego tylu ludzi krzyczy i dlaczego wpadli w taką panikę, że gotowi byli strzelać do siebie nawzajem.

Cienie.

Stary diabeł. Zabójcze cienie.

Śmiercionośne cienie z lśniącą równiny. Cienie, którym Władcy Cienia zawdzięczali swe miano. Cienie stanowiące prawdziwą podstawę władzy Protektoratu Duszołap, póki nie nadeszli sprzymierzeńcy Tobo z Krainy Nierozpoznanych Cieni.

Otrzymałem odpowiedź na pytanie, które zadawałem Pani i Tobo.

Ludzie wpadli w panikę. Kule ogniste latały na wszystkie strony, powodując więcej strat niż zwykle, wygłodniałe, szalone cienie. Jedna z nich przebiła poły mego płaszcza Vorszk. Ubiór jęknął nieomal słyszalnie, ale otulił mnie jeszcze ściślej. Potem zaatakował mnie cień. Mój ubiór odparł jego atak, czego nie omieszkałem zauważyć, mimo narastającego wokół chaosu. Odbił również następną kulę ognistą, która trafiła we mnie.

Widziałem, jak Pani została trafiona kilkakrotnie, raz za razem. Widziałem, jak jeden z Vorszk padł, zżerany przez cienie.

Próbowałem krzyczeć ponad tym całym szaleństwem, uspokoić wszystkich, ale we wszechogarniającej panice mój głos ginął. Nawet Wyjec i Pani jej się poddali.

Tylko Szukrat zachowała przytomność umysłu. Przykucnęła w kącie, tworząc ze swego płaszcza osłonę niedostępną zarówno dla kul ognistych, jak dla cieni.

Ludzie próbowali wydostać się rozpaczliwie przez drzwi. Wyjec uwolnił zakłęcie tak jaskrawe, że oślepiło wszystkich niechronionych osłoną płaszczy Vorszk, włączywszy w to samego małego czarodzieja. Jego wysiłek na nic się nie przydał. Za chwilę wrzeszczał bardziej donośnie niżli kiedykolwiek przed kuracją.

– Dajcie mi przejść! – krzyczał Tobo. Odepchnął mnie na bok. W pokoju był przecież jego ojciec.

Zanim zdołałem się podnieść, cała wieża zatrzęszczała pod psychicznym naporem fali niewidzialnych przyjaciół Tobo. Ich bitwa z niewidzialnymi zabójcami była krótka, a jej wynik łatwy do przewidzenia. Zresztą te

starania były niepotrzebne, ponieważ kule ogniste pożerały cienie żywcem. Zarówno Nierozpoznane Cienie, jak tradycyjnych mrocznych myśliwych.

Nie byłem do końca pewien, czy dobrze robię, wstając z posadzki. W drugim pokoju zapanowała całkowita cisza, przerywana jedynie szlochem Arkany. Ale musiałem się podnieść. Należało ruszać. Cisza pałacu gdzieś pierzchła. Odtrąbiono alarm. Wkrótce mogliśmy spodziewać się ludzi z ostrymi utensyliami.

Nie sposób było stwierdzić, kto zginął, kto umiera, a kto jest tylko lekko ranny. Przez jakiś czas było zbyt ciemno.

Kazałem Tobo sprokurować nowe światło. Potem zacząłem wynosić ciała z powrotem na dach wieżyczki. Arkana, Szukrat i niewidzialni sprzymierzeńcy Tobo stawiali opór Gwardii Pałacowej. Póki targałem ciała, nie dopuszczałem do siebie żadnych emocji. Nie mogłem sobie na to pozwolić.

– Jak mamy wydostać stąd wszystkie te słupy i latający dywan? – zapytałem. Pani, obaj starsi Vorszk, Wyjec i Murgen byli wyłączeni z akcji. Podobnie jak większość komandosów.

– Szukrat i ja damy sobie radę z dywanem. Ty i Arkana będziecie musieli holować słupy.

– Słyszysz, nowa córko? – Kilka chwil wcześniej musiałem ją uderzyć, żeby wyrwać z szoku. Lecz była ulepiona z mocnego materiału. Teraz pomagała mi przy transporcie zabitych i rannych, zachowując więcej spokoju niż pozostali.

– Rozumiem. Potrzebuję czegoś, z czego mogłabym zrobić hol.

– Poszukaj jak najszybciej. Ja zajmę się ciałami.

Bełt z kuszy przemknął obok, nie czyniąc nikomu krzywdy. Chwilę później fragment ściany, zza którego został wystrzelony, zmienił się w kupę gruzu i szalejącego płomienia.

Tobo nie był tolerancyjnie nastawiony.

– Natychmiast bierz te wszystkie słupy. Zostaw tylko mój – powiedziałem Arkanie. Znalazła jakąś linę na latającym dywanie.

Arkana jako grzeczna dziewczynka zaraz wzięła się do roboty. Podobnie jak Szukrat, potrafiła się całkowicie skoncentrować na zadaniu niecierpiącym zwłoki.

To śmieszne, pomyślałem, jak Kompania przyciąga do siebie wartościowe kobiety.

Na alarm zareagowała Gwardia Pałacowa oraz zaskakującą liczbą Szarych. I gwałtowność reakcji Tobo oraz jego na poły niewidzialnych przyjaciół nie wywierała na nich jakoś szczególnego wrażenia. Byli dzielnymi ludźmi. Wśród naszych wrogów zawsze zdarzają się dzielni i honorowi ludzie. W powietrzu zaroilo się od pocisków. Kilka trafiło w cele.

Zaczynałem się zastanawiać, czy przypadkiem nie nadszedł czas przemyślenia na nowo zasady, by nigdy nie zostawiać w polu żołnierzy Kompanii.

Nie mogłem jednakże odlecieć bez mej żony. I potrzebowałem starych Vorszk. Nawet martwych.

Pałac:
WIDOK Z WYSOKA

Mogaba nie czuł żadnej radości, obserwując postępy katastrofy. W rzeczy samej, pogłębiała się tylko jego troska. Powinien przewidzieć, że nie wszyscy zginą. Ci ludzie byli dość silni, by powstrzymać ataki Gwardii i Szarych, póki nie skończą ewakuować swych rannych. Oznaczało to, że – o ile nie nastąpi jakaś gargantuiczna odmiana losu albo pociski nie pozabijają wszystkich, zanim się wycofają – ostateczną bitwę miał wciąż przed sobą.

W rękawie nie zostały mu już żadne asy.

Cienie najwyraźniej nie okazały się dostatecznie skuteczne. Co tylko dowodziło faktu, który już od jakiegoś czasu podejrzewał. Wróg miał do swej dyspozycji podobną siłę. I siła ta zdążyła zareagować na czas, by uratować część komanda.

Obserwował, jak bełty z kusz, strzały, a nawet oszczepy odbijają się od istot odzianych w falujące czarne szaty. Tylko jeden z tak chronionych odniósł ranę.

Blasku kuli ognistej, która poleciała, gdy wielki dywan wznosił się ponad parapet wieży, było akurat dość, by Mogaba zobaczył zbroję Stwórcy Wdów.

– Pani – mruknął zdjęty grozą.

Ten sam rozbłysk musiał odbić się w bieli jego zębów lub zalśnić w oczach, zdradzając go. Ponieważ gdy przeniósł wzrok na jeźdźców słupów, zobaczył, że jeden z nich, w zbroi Pożeracza Żywotów, pędzi wprost na niego, a poły jego czarnej peleryny rozwiewają się, przesłaniając niebo.

Taglios:
ŻOŁNIERZE ŻYJĄ

Zobaczyłem Mogabę za szybą. Krew zalała mi oczy. Ruszyłem wprost na niego, nabierając pędu. I tylko resztką rozsądku kazała mi się zastanawiać, czy błysk, który widziałem, był realny, a nie stanowił tylko igraszki wyobraźni, żadnej, by ktoś zapłacił za to, co się stało.

Jeśli Mogaba, którego dostrzegłem, stanowił produkt mej fantazji, i tak zniknął, zanim uderzyłem w szybę.

Szkoło nie pękło. Nawet się nie ugięło pod impetem uderzenia. Mój latający słup zatrzymał się jak wryty. Mnie to nie dotyczyło. Słup odbił się od przeszkody. Ja poleciałem naprzód. Potem również odbiłem się od szyby. I spadłem w dół. Zdołałem wydać z siebie jeden dziki wrzask, zanim wiążąca mnie lina rozwinęła się do końca i zawisłem trzy metry pod latającym wehikułem.

Słup wciąż leciał w kierunku, w którym odepchnęło go zderzenie z szybą. Próbowałem wspiąć się nań, ale z jedną tylko władną dłonią, nie potrafiłem nic osiągnąć. Poruszenia słupa sprawiały, że kołysałem się pod nim niczym ciężarek wahadła. W najdalszym punkcie każdego wychylenia uderzałem mocno w ścianę pałacu.

Płaszcz Vorszk chronił mnie, jednak w końcu straciłem świadomość.

Kiedy odzyskałem zmysły, wciąż się kołysałem. Ziemia znajdowała się w odległości kilku metrów, przesuwaną powoli przed moimi oczyma. Najwyraźniej leciałem nad powierzchnią Drogi Kamiennej, ledwie mijając głowy podróżujących po niej ludzi. Próbowałem skrócić się tak, by móc spojrzeć w górę, ale nie starczyło mi sił. Węzeł uprząży znajdował się za

plecami, tuż ponad pasem. Nie potrafiłem nawet okręcić się wokół własnej osi.

Gdy tak się zmagalem z absurdalną pozycją, poczułem narastający ból. Znowu straciłem świadomość.

Kiedy obudziłem się po raz drugi, znajdowałem się w położeniu typowym dla ludzkości, to znaczy na ziemi. Ostry kawałek skały próbował wywiercić dziurę w mych plecach. Ktoś powiedział coś w jednym z dialektów Hsien, a potem powtórzył pytanie w kiepskim tagliańskim. Nade mną zmaterializowała się Arkana, jej oblicze było poważne.

– Będziesz żył, tato?

– Mimo że boli mnie jak cholera, pewnie będę. Co się stało?

– Zrobiłeś coś głupiego.

– Wielka nowość – skomentował drugi głos. Obok oblicza Arkany pojawiła się twarz Ospalej. – Kiedy wreszcie wstaniesz i będziesz mógł pracować przynajmniej na pół etatu? Potrzebuję pomocy. Katastrofa, którą sprokurowaliście, omal nas wszystkich nie usunęła z interesu.

– Służę pomocą, szefowo. Kiedy tylko rozplączę kości piszczelowe i przyszyję sobie z powrotem stopy do kostek.

Spróbowałem wstać. Musiałem się dowiedzieć, co z moją żoną. I wtedy znowu ogarnęła mnie ciemność.

Następnym razem obudziły mnie krople deszczu na twarzy. Targający ciałem ból przeszedł w tępe pulsowanie. Musieli mi coś podać. Dokonałem myślowego oglądu ciała i doszedłem do wniosku, że mam mnóstwo stłuczeń, jednak niczego nie zламаłem.

Dokładnie w momencie, gdy podjąłem próbę podniesienia się, poczułem, że lecę w przód. Dopiero po sekundzie paniki zrozumiałem, że znajduję się na noszach transportujących mnie w jakieś suche miejsce. Obudziła mnie szarpanina tragarzy, a nie te pierwsze drobne krople deszczu.

Tym razem trzymałem się lepiej. Kiedy znów pojawiła się Ospala, zachowywałem całkowitą przytomność.

– Co z moją żoną? – zapytałem lekko tylko drżącym głosem.

– Żyje. Ale jej stan jest poważny. Chociaż oczywiście byłoby znacznie gorzej, gdyby nie miała na sobie tego ubioru Vorszk. Przypuszczam, że

dojdzie do siebie. Jeśli będziemy w stanie zmusić Tobo do poświęcenia jej dostatecznej ilości uwagi.

W jej słowach wyczytałem nieokreśloną ofertę przydziału pracy.

– Co z dzieciakiem?

– Jego ojciec zginął. Gdzie ty byłeś, że nie wiesz?

Mruknąłem coś niezrozumiale.

– Tego właśnie się obawiałem. – Moze próbowałem nie dopuścić do siebie tej myśli i związanego z nią bólu.

Ospała uważała najwyraźniej, że nie mamy czasu na nurzanie się w boleści.

Zaczynałem powoli ufać jej intuicji.

– Słusznie to ująłeś, Konował. Żołnierze żyją. Tylko trójka wyszła bez szwanku z tego bałaganu. Tobo, Arkana i mający bardzo dużo szczęścia żołnierz imieniem Tarn Do Lin. Wyjec, Pierwszy Ojciec, Naszun Badacz, Murgen i wszyscy pozostali żołnierze nie żyją. Inni są porządnie poharatani. Tobo dręczy poczucie winy. Uważa, że mógł zrobić więcej. Sądzi, że powinien domyślić się pułapki.

– Rozumiem. Co z Szukrat?

– Sińce, oparzenia, zaburzenia emocjonalne. Odzież Vorszk uratowała ją. Ten płaszcz znał ją znacznie lepiej i mógł reagować szybciej niż w wypadku Pani. Tyle z tego zrozumiałam.

– Murgen również mógł skorzystać z jego osłony. – Ale się nie zgodził. Niech go cholera.

Od czasu zniknięcia Sahry pozostało w nim niewiele woli życia.

– Chcę, żebyś przede wszystkim wpłynął na Tobo. Potrzebujemy go. Potrzebujemy Nierozpoznanych Cieni. Gdybym była na miejscu Mogaby, kolejny atak szedłby już w naszą stronę.

– Nie wydaje mi się.

– Ten człowiek się nie zastanawia, Konował. Jego ewangelia głosi: przejmij inicjatywę.

Mogłem tylko wyjść na osła, dyskutując z kobietą, która walczyła z Wielkim Generałem dłużej, niż ja w ogóle go znałem. Która mieszkała w Taglios tak długo jak ja, nadto w epoce znacznie współczesniejszej. Najwyraźniej byłem w jej oczach kolejnym roztrzęsionym starcem, który robi dużo szumu, próbując zwrócić na siebie uwagę. Wyjąwszy sytuację, kiedy czegoś ode mnie potrzebowała.

– Wobec tego ułożmy lepiej wszystko tak, żeby ściągnął sobie dodatkowe niebezpieczeństwo na głowę, jeśli któremuś z nas stanie się krzywda.

Zanim jeszcze skończyłem mówić, pojąłem głupotę tej propozycji. Istniały małe szanse, by Mogaba przejmował się kolejnymi niebezpieczeństwami w sytuacji, gdy tyle już nad nim wisi.

Zapomniałem o podstawowej lekcji. Próbuje myśleć tak jak wróg. Studiuj go, póki nie będziesz potrafił myśleć tak jak on. Póki nie staniesz się nim.

– Musisz wyznaczyć swojego następcę – odparła Ospała. – Jeśli dalej masz zamiar szukać śmierci. – „W twoim wieku”, tak chyba miała brzmieć niewypowiedziana sugestia. I zaraz dodała: – Jesteś już zbyt starym wyjadaczem, żebyś musiał być wszędzie tam, gdzie coś się dzieje. Czas trochę przyhamować i zacząć dzielić się swoimi sekretami.

Odeszła, zostawiając mnie z moimi myślami. Kogo niby miałem wyznaczyć? Skłaniałem się do wybrania jej akolity, Milosa Sedony, ale ten dzieciak miał jedną poważną wadę. Był kompletnym analfabetą. A ja nie miałem najmniejszej ochoty tracić niezliczonych godzin, koniecznych by go wyciągnąć ze stanu ciemnoty.

Potem jednak z własnej woli zgłosił się do mnie człowiek, o którym powinienem pomyśleć w pierwszej kolejności.

– Sjuwrin? Co w ciebie, u diabła, wstąpiło? Przecież lada dzień miałeś nas opuścić?

– Może po prostu mnie olśniło. Może uznałem, że najpierw muszę nauczyć się wszystkiego o Kronikach, zanim stanę twarzą w twarz z własnym przeznaczeniem.

– A może to lekki wiaterek przyniósł w nasze nozdrza woń krowiego gówna? – Jako stary cynik doszedłem do wniosku, że uznał, iż w ten sposób łatwiej wlezie do łóżka Ospałej. Ale nic nie powiedziałem. Wraziłem zgodę, a potem jęknąłem, gdy się okazało, że znakomicie wyedukowany faworyt pani Kapitan nigdy jeszcze nie napisał ani nie przeczytał bodaj słowa po tagliańsku, w języku, którym spisywano te Kroniki przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Ostatnim tomem napisanym w innym języku była Księga Pani. Ale potem Murgen przetłumaczył ją i zredagował, wraz z kilkoma moimi tomami. Które tak naprawdę wcale nie wymagały żadnych poprawek.

– Sądzisz, że jesteś w stanie nauczyć się czytać i pisać po tagliańsku? – zapytałem. – Być może nigdy ci się to do niczego nie przyda...

– Chyba że zechcę przeczytać Kroniki. Święte pisma Czarnej Kompanii.

– Jeśli się zdecydujesz, będziesz zdany na siebie, póki Ospala nie znajdzie czasu albo Pani nie dojdzie do siebie. – Opamiętałem się już na tyle, żeby udawać obojętność. Ale nie zdołałem oszukać nikogo.

Sjuwrin patrzył na mnie, czekając na puentę.

Tak naprawdę nie było żadnej, wyjąwszy fakt, że powinien dołożyć wszelkich wysiłków, abym cieszył się dobrym zdrowiem, póki on nie zdobędzie potrzebnych umiejętności.

Dwa dni po tym, jak Sjuwrin został moim uczniem, Ospala zorganizowała oficjalną ceremonię awansowania go na Porucznika Czarnej Kompanii i swego oficjalnego zastępcę.

Znajdowaliśmy się pod tą wielką, bezimienną warownią na wzgórzu, która strzeże podejścia do Taglios od strony Drogi Kamiennej. Powierzchnię jej szerokiego przedpola wyrównano, czyniąc z niej miejsce, gdzie żołnierze mogli obozować lub ćwiczyć zespołowe manewry niezbędne, by w ogóle marzyć o powodzeniu w bitwie. Jak również teren, na którym siły broniące miasta mogły stawić czoło nadciągającemu wrogowi.

Nikt jednak nas nie niepokoił, prócz nielicznych oddziałów kawalerii złożonych z młodzieńców Vedna, którzy chcieli zademonstrować swą odwagę. Niemniej zdecydowanie odradzałem Ospalej i Sjuwrinowi zostawienie niezdobytej fortecy za plecami.

Ospalą moje rady interesowały w stopniu nie większym niż wcześniej, jednak teraz przynajmniej udawała, że słucha. Wymyślony przez nią plan zdobycia miasta okazał się katastrofą, której rozmiary ograniczył jedynie fakt, że nie wszyscy zginęliśmy.

Taglios:
GOŚĆ U BRAM

Po zastanowieniu, widząc, jak bezlitośnie pobiliśmy zbrojną wycieczkę z miasta, komendant fortecy zdecydował się poddać ją na określonych warunkach. Chciał parolu dla siebie i chyba dla wszystkich, którzy kiedykolwiek wzięli broń do ręki na obszarze trzech sąsiadujących okręgów. Co nie było takie głupie, uznałem, biorąc pod uwagę, że i tak mieliśmy przekazać ich wszystkim Prabrindrahowi Drahowi, gdy tylko wojna dobiegnie końca, a ksiązę przywlecze swój tyłek spod Ghodża.

Nawet po tych wszystkich latach spędzonych w prawdziwym świecie Ospala wciąż uparcie wierzyła w pewne pomysły Vedna odnośnie do zła i dobra, pomysły, które nie miały nic wspólnego z praktycznymi potrzebami chwili.

– Nawet jeśli ten Lal Mindrat jest największym ludzkim potworem od czasów samych Władców Cienia, musisz brać pod uwagę, ile nam wszystkim przyjdzie zapłacić za twoje poczucie moralnego komfortu – przekonywałem Ospalę. Najwyraźniej Lal Mindrat zdradził jakichś naszych sprzymierzeńców podczas wojen kiauluńskich. Póki Ospala nie zaczęła kręcić nosem, nigdy wcześniej o nim nie słyszałem, więc nie mogło chodzić o żadną większą sprawę.

Bardzo wielu przyjaciół Kompanii zostało w tamtych czasach skuszonych przez Protektorę. Duszołap dysponowała i władzą, i pieniędzmi.

– Bądź elastyczna – doradziłem. – Ale zdradziecka, kiedy to absolutnie konieczne.

Zrozumiała. Przy pomocy niezbyt entuzjastycznej pomocy Tobo i jego przyjaciół oraz stosownych gwarancji nietykalności oraz swobodnego

przemarszu pani Kapitan nakłoniła wroga do opuszczenia fortecy. Obyło się bez aktów przemocy, poza jednym, który miał miejsce, gdy Lal Mindrat wraz ze swą strażą przyboczną wyszedł poza bramę.

Takim to sposobem Kapitan wyrównała rachunki z pomniejszym zdrajcą z własnej epoki. Z jednym na razie.

Mogaba zmienił nasz atak w piekło, przynajmniej jeśli mowa o tych, którzy zajmowali się rozpoznaniem, pikietami i postęпами awangardy. Kawaleria nawet na chwilę nie przestała nękać naszej szpicy. Dziewczyny Vorszk i ja ruszaliśmy w bój, kiedy przeciwnik stawał się szczególnie nieznośny.

W końcu jednak dotarliśmy do Bramy Południowej Taglios, budowli, która w moich czasach w ogóle nie istniała. Dziś za to naprawdę masywne mury ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Żołnierze na parapetach wydawali się z dołu bardzo mali. Mur piętrzył się niczym szerokie zbocze wapienia.

– Oho! – zwróciłem się do Ospalej. – Poważne zmiany. – Wejście do miasta samo stało się fortecą, wysuniętą przed mury obronne, ale stanowiącą część ich konstrukcji. Z poziomu gruntu nie potrafiłem stwierdzić tego z całą pewnością, ale wyglądało na to, że równie imponująca budowla strzeże przejścia od wewnątrz.

– Minęło trochę czasu, odkąd tu byłem ostatni raz – odmruknęła Ospala. – Wypada pogratulować Wielkiemu Generałowi, że jakimś cudem zdołał wymusić na Protektorze przydział odpowiednich funduszy. Mury podwyższono przynajmniej o kilka metrów. A ten kompleks barbakanu... – Wzruszyła ramionami.

Z tego, co pamiętałem na temat polityki miasta, roboty publiczne stanowiły inwestycje szczególnie trapione przez łapówkarstwo i korupcję.

– Ktoś w urzędzie skarbu musiał szczególnie słodko szeptać do ucha Protektorki.

Znowu coś mruknęła, niezainteresowana moim zdaniem. Obserwowała, jak Sjuwrin ustawia wojska w szyku, przodem do miasta. Było to zaproszenie do bitwy. Oczywiście nie spodziewaliśmy się żadnej reakcji. I żadnej reakcji nie było.

– Przynajmniej nie muszą przejmować się losem niczyich posiadłości – powiedziałem. Znacznie większe wrażenie niżli potęga samych murów wywarł na mnie widok trzystumetrowego, pustego terenu rozciągającego

się u ich podnóża. Czegóż musiało wymagać wysiedlenie stąd wszystkich tych ludzi? Jakim sposobem władza trzymała ich z daleka?

– Za kilka miesięcy jak okiem sięgnąć będą tu pola i ogrody warzywne. Ta płatanina ścieżek kreśli granice poletek. Zaczęli je uprawiać zaraz po tym, jak Sahara i ja wróciliśmy do miasta.

– Tobo będzie miał dużo roboty.

Ospała przyjrzała się naszym siłom rozciągającym się po lewej i prawej stronie. Nie wyglądały szczególnie groźnie na tle murów obronnych. Znajdujący się na ich szczycie żołnierze również nie sprawiali wrażenia przejętych.

– Zaiste. Oczekuję, że zaraz na samym początku wraz z dziewczynami uderzy z całej siły, wszystkim, co mają do dyspozycji, aby ci ludzie stracili nieco serce do walki. Da radę?

– Nie mogę ci zagwarantować, że porządnie się przyłoży.

– A co z tobą? Przyłożysz się porządnie?

Westchnąłem ciężko.

– Jak ona się czuje? – zapytała Ospala.

Kolejne głębokie westchnienie.

– Szczerze? Martwię się. Leży bez świadomości, balansując na krawędzi między życiem a śmiercią. Jej stan się nie poprawia, ani nie pogarsza. Zaczynam się zastanawiać, czy połączenie z Kiną nie odgrywa tu jakiejś roli.

Wypowiedzenie tych słów wymagało ode mnie sporego wysiłku. Ze względu na to, co Kapitan może sobie pomyśleć, jeśli w pełni zrozumie ich konsekwencje. A już coś zaczynało jej świtać.

– Jeśli uda mi się jakoś wyrwać Tobo z rozpaczy, pewnie będzie w stanie stwierdzić, czy Kina przejęła nad nią kontrolę – pociągnąłem dalej. Obawiałem się możliwości, że Mroczna Matka szykuje dla mojej żony rolę alternatywnej wybawicielki ze swego starożytnego więzienia. Potrafiłem sobie wyobrazić scenariusz, w którym ugodzę śpiącą boginię i uwolnię Sziwetję tylko po to, by ujrzeć, jak ciemność powraca pod postacią kobiety, którą kochałem.

Oczywiście scenariusz taki mógł spełnić się bez udziału Matki Nocy. Pani była w pełni otwarta na podsycanie zarzewia własnego mroku.

Czyż nie jak my wszyscy?

– Nie usłyszałam wyraźnej odpowiedzi – powiedziała pani Kapitan. – Czy mogę liczyć na ciebie w pełni, gdy posypią się strzały?

Przyszła mi do głowy stara, bardzo stara formuła, z czasów, gdy naprawdę byłem młody.

– Jestem żołnierzem – powiedziałem, początkowo w języku, którym wówczas mówiłem, a dopiero potem przetłumaczyłem te słowa Ospałej na jej wersję dialektu dedżagorańskiego. – Już wcześniej zdarzało mi się czuć taką rozpacz. Dotąd żyję.

– No tak, żołnierze żyją. Można pomylić się tylko raz, Konował.

– Ucz swego ojca dzieci robić. – To było marnotrawstwo przerośni. To wyrażenie nie miało sensu wśród jej ludu.

– Co to jest? – zapytała Ospała, wskazując ponad miasto.

– Wygląda na latawiec. Wielki jak cholera.

Taglios:

ŻADNYCH WYMÓWEK NIE PRZYJMUJE

Niech to cholera! Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy tego chcieli. Mogaba nie miał zamiaru zachować się głupio. Oto grozi nam plaga napowietrznych czarodziejów? Skorzystajmy z wiatrów wiejących o tej porze roku bez ustanku. Wypuśćmy w niebo dziesięć tysięcy gigantycznych latawców skrzynekowych z ostrymi, zatrutymi przedmiotami zwisającymi im z ogonów splecionych z włókienomalże zbyt grubych, by je przeciąć.

Nie będzie przemykania nad Taglios z młodzieńczą brawurą. Zwłaszcza po zmroku. Te latawce nie mogły wyrządzić większej szkody naszym ubiorom Vorszk, jednak mogliśmy zaplątać się w nie i spaść z latających słupów. W takiej sytuacji będzie potrzebna pomoc drugiej osoby, która poleci i przyciągnie nieszczęśnika z powrotem. Chyba że...

Szukrat raz przywiązała mnie do słupa, który leciał sam, mimo iż lotnik nad nim nie panował.

Wydałem stosowny rozkaz.

Kilka godzin później latający słup Szukrat przywiózł dziewczynę z powrotem. Niczym bandaże mumię spowijały ją śmiertelne ostrza, których usunięcie zabrało kilka godzin. Jednak zniszczyła po drodze niezliczone latawce.

Zapędziłem Tobo do roboty przy niej. Miałem poważny problem z tym, jak obudzić w nim wolę życia. Wydawało się jednak, że Szukrat coś dla niego znaczy.

Z pewnością miała na ten temat własne zdanie. Kiedy wreszcie uporał się z jej uwolnieniem, uderzyła go w czoło dłonią.

– Może chociaż będziesz udawał odrobinę zainteresowania, Tobo? –
A parę chwil później: – Powoli zaczynam się zastanawiać, gdzie ja miałam

rozum.

Tobo był normalnym, młodym mężczyzną. Zaczął protestować. Próbowałem ostrzec go, kręcąc głową. Nie miał szans. Szukrat przerwała mu, nie chcąc słuchać żadnych wymówek. Wtedy przestałem śledzić dalszy tok wymiany zdań.

Myślałem o tym, jak Szukrat błyskawicznie, omal bez wysiłku nauczyła się tagliańskiego. Obecnie mówiła już prawie bez akcentu. Najwyraźniej równie łatwo przyswajała sobie obce obyczaje.

Arkana miała z tym więcej kłopotów, w sumie jednak też szło jej świetnie.

Dałem dziewczynie dość czasu, by wyłuszczyła, o co jej chodzi, a potem podszedłem do chłopaka.

– Tobo, musimy wiedzieć, co się dzieje za murami.

Nie sprawiał wrażenia, jakby obchodziło go to jakoś szczególnie.

Szukrat wymierzyła mu kuksańca.

– Musisz tam polecieć – powiedziałem mu.

Obrzucił mnie paskudnym spojrzeniem.

– Musisz przestać się zamartwiać. To nie była twoja wina.

Wątpiłem, by takie gadanie przydało się na cokolwiek. Rozsądne wyjaśnienia nie miały tu nic do rzeczy. Myśli potrafią gnać po zupełnie irracjonalnych ścieżkach, nawet gdy doskonale wiadomo, jaka jest prawda. Jeśli Tobo zamierzał pielęgnować poczucie winy w związku z losem, jaki spotkał jego rodziców, wówczas niezależnie od wszelkich argumentów, decydujących świadectw i całego zdrowego rozsądku tego świata znajdzie na to sposób. Wiedziałem o tym. Kilka razy w życiu sam przechodziłem przez tego rodzaju martwy sezon.

Coś podobnego przeżywałem obecnie z powodu mojej żony.

– Wielki Generał to zrobił, Tobo – powiedziała Szukrat. – Naczelnny dowódca sił tagliańskich. A on kryje się za tymi murami.

Tylko tak dalej, dziewczyno. Odwołuj się do wewnętrznego mroku, do zapasów złości i nienawiści. Naprawdę potrzebowaliśmy tych emocji, gotujących się w kotle umysłu największego czarodzieja w tej części świata.

Taglios:
PECH ZA PECEM

Nierozpoznane Cienie doniosły Tobo, że Mogaba i jego przyjaciele przyczaili się, czekając na nasz ruch. Uznali, że wcześniej czy później, mimo bogactwa, nasze siły zaczną topnieć.

Może mieli rację. Chociaż Ospalej zostało jeszcze mnóstwo skarbów, wielu żołnierzy z Hsien zaciągnęło się tylko na rok służby w polu. Nie wątpię, że większość zostanie, dopóki będą otrzymywać żołd na czas, ale nie wątpię również, iż tęsknota za domem systematycznie będzie uszczuplać nasze siły.

Latawce strącaliśmy z nieba szybciej, niż Mogaba był w stanie wypuszczać nowe. Każdej nocy dokonywaliśmy kilku przelotów na dużej wysokości. Zrzucaliśmy bomby zapalające na siedziby znanych popleczników Protektorki, Wielkiego Generała i Szarych. Jednak ogień jest okrutnym i kapryśnym sprzymierzeńcem. Pożary, które roznieciliśmy, rozprzestrzeniały się daleko poza wyznaczone cele. Miasto zasnuwała kurtyna dymu grubsza niż zwykle.

Druga tura nocnych lotów nad mieszkalną częścią pałacu zaowocowała zdecydowanie nieprzyjemnym odkryciem. Okazało się, że operacja Mogaby, mająca na celu zdobycie naszego obozu przy cmentarzu żołnierzy z Ziemi Cienia, chociaż taktycznie katastrofalna w skutkach, nie spełzła zupełnie na niczym.

Szef sztabu Ospalej postanowił, że musi przyjrzeć się pałacowi na własne oczy. Dla lepszego zaplanowania operacji. Był człowiekiem nad wyraz skrupulatnym. Na rozkaz Kapitana on i jeszcze jeden wybrany przezeń facet zaczęli ćwiczyć posługiwanie się latającymi słupami Vorszk.

Dysponowaliśmy siedmioma, przy czym dwa pozostawały bez przydziału. A nadto Pani nie korzystała ze swojego. Ospała zaś, jak to Ospała, nienawidziła posiadania niewykorzystywanych zasobów.

Szef sztabu wybrał sobie na towarzysza Milosa Sedonę. Milos był najbardziej kompetentnym z okazjonalnych lotników, poleciał jednak głównie dlatego, że pani Kapitan go lubiła i zależało jej na jego obserwacjach. Żadną miarą nie chciała lecieć sama.

Zabrałem się z nimi, aby mieli kogoś, kto ewentualnie wyciągnie ich z kłopotów. Im również kazałem wdziać ubiory Vorszk. Jeśli zostaniemy dostrzeżeni, możemy spodziewać się zmasowanego ostrzału. Ludzie Mogaby nigdy nie rezygnowali.

Wszystko, czego nam trzeba, to jeden uśmiech losu.

Milos Sedona nie zdążył jeszcze zrozumieć, że nie jest nieśmiertelny. Podleciał zbyt blisko do wroga. Wtedy właśnie dowiedzieliśmy się, co Mogaba wyniósł z tamtej porażki.

Ciemność przecięła kula ognista. Chłopak umknął najgorszemu, skręcając ostro. Jednak ciosu rykoszetującej kuli ognistej było dość, aby strącić go z jego słupa.

Generał Czu zignorował moje krzyki i pomknął za Sedoną. I faktycznie udało mu się dolecieć dostatecznie blisko, by wziąć jego słup na hol, mimo iż kule ogniste sypały się nań przynajmniej z kilkunastu stanowisk.

Jedna trafiła słup Czu naprawdę celnie.

Eksplozja była na tyle potężna, by zainicjować podobną reakcję w drugim słupie. A efektem połączonego wybuchu obu było całkowite zniszczenie akra przestrzeni pałacu, w sposób przywodzący na myśl jakiegoś niewidzialnego olbrzyma, który nastąpił na skorupkę jajka.

Wkrótce wokół miejsca trafienia zaczęły zapadać się kolejne partie pałacu.

Fala uderzeniowa wybuchu cisnęła mną niczym ulotnym pyłkiem dmuchawca. Po raz drugi straciłem równowagę i wypadłem z siodła. Kiedy tak wisiałem, udało mi się jeszcze zobaczyć wirujące obrazy płomieni wypełzających przez szczeliny w ruinach i pierwsze objawy paniki ogarniającej żołnierzy na dachu pałacu.

Taglios:
LOT OSPALEJ

Chyba będziemy musieli przypinać cię pasami, tato – poinformowała mnie Arkana, holując do obozu. Kiedy nastąpiła eksplozja, przebywała akurat na rutynowym patrolu, strącając z powietrza latawce. Gdy spieszyła, aby zobaczyć rezultaty katastrofy, omal nie została strącona z nieba przez śmiałka zwisającego pod swoim latającym słupem.

– Po prostu sprowadź mnie na ziemię. Szybko. O ile to możliwe, przed samym wejściem do namiotu pani Kapitan. – Ospała musiała się dowiedzieć. Zaraz. Należało też obserwować pałac. Jeśli to architektoniczne monstrum się zapadnie... Jeśli Mogaba i jego porucznicy będą w środku... Jeśli Khadidas i Córka Nocy uciekną, korzystając z zamieszania...

Już szalał tam porządny pożar. Jasna luna obrysowywała sylwetę murów obronnych na tle nieba.

Musiałem powtarzać swoje wyjaśnienia po kolei, w miarę jak następni starsi oficerowie docierali do kapitańskiego namiotu. I wciąż namawiałem Ospałą, by od razu wykonała zaplanowany ruch. Nigdy więcej szeregi przeciwnika nie będą ogarnięte taką paniką ani tak zdezorganizowane jak teraz. Zgodziła się, ale równocześnie słusznie zauważyła, że nasza mała gromadka też nie jest gotowa do boju.

Poradziła sobie w sposób, o który nigdy bym jej nie podejrzewał. Oddelegowawszy Sjuwrina, aby zajął się przygotowaniem do ataku, powiedziała:

- Zabierz mnie tam. Pokaż mi, co się stało.
- Ciebie?

– Mnie. Będę trzymała oczy zamknięte, póki nie każesz mi ich otworzyć. A przed startem podłożę sobie koc, żeby ci całkiem nie pomoczyć słupa.

Pokręciłem głową, niepokieszony.

– Żałuję, że nie ma już Łabędzia. To replika, która nie powinna się zmarnować. Lecimy.

– Czekaj, Sjuwrin. – Wydała kolejne rozkazy. Aby miał co robić w wolnych chwilach.

Jej nieobecność nie spowolni toku przygotowań.

– Dobrze się przywiąż – poradziłem Ospalej. – Jak już będziemy w górze, może spróbuję zrobić kilka pętli.

Warknęła niczym całe stado głodnych wilków. Z czego zrozumiałem tylko tyle, że jeśli spadnie, mogę sobie po prostu polecieć dalej.

– W porządku. Ale powrót do domu w charakterze karpia na haczyku jest znacznie lepszy niżli upadek z wysoka.

– Jeśli nie dbasz o utratę autorytetu.

– Nie dbam w najmniejszym stopniu, o ile uda mi się ocalić głowę, a wraz z nią twarz, która może się zarumienić. – Rzecz, której człowiek uczy się wraz z wiekiem. Albo przynajmniej powinien.

Przelatywaliśmy nad kompleksem bramy, kiedy przypomniałem sobie, że nawet nie poszedłem sprawdzić, co z moją żoną.

Czy nie byłem przypadkiem już za stary, żeby ciągle dręczyło mnie poczucie winy? W najbliższym czasie na pewno nigdzie się nie wybierała.

Do pałacu nie można się było zbliżyć nawet na odległość, która groziłaby bezpośrednim atakiem ze strony obrońców. Szalejący pożar nabrał naprawdę imponującego charakteru. Żar dawał się nam we znaki mimo ochronnego ubioru Vorszk. A im wyżej lecieliśmy, tym silniejsze były turbulencje. Nigdzie w pobliżu nie było już żadnych latawców.

Zresztą Mogaba wcześniej już zaczął się powoli wycofywać z tego pomysłu. Latawce nie czyniły nam żadnej szkody.

Ospala trzymała się słupa tak mocno, aż pobielaly jej kłykcie. Przyszło mi do głowy, że może będziemy potrzebować dłuta, by rozewrzeć jej palce po powrocie na ziemię. Jednak jakoś udawało jej się mówić normalnym głosem:

– Cóż, na niebiosy, tak tam płonie? Przecież to miejsce stanowi tylko kupę zwietrzałych kamieni.

W chwili obecnej pożar wydostał się już poza obręb pałacu. Kilkanaście ognisk jarzyło się w pobliżu. Na całym obszarze kłębił się tłum. W większości złożony z gapiów, którzy przeszkadzali żołnierzom, urzędnikom i ochotnikom naprawdę próbującym coś zrobić.

– Ktoś tam wciąż myśli – powiedziałem do Ospałej. – Ustawili wokół pałacu żołnierzy. – Opuściłem się niżej i podleciałem do miejsca, gdzie Aridata Singh formował płytki dwuszereg. Jedna linia, ustawiona twarzami na zewnątrz, utrzymująca tłum z dala, druga, silniejsza, zwrócona w kierunku pożaru. Ten drugi szereg składał się ze znacznie lepiej uzbrojonych żołnierzy. Każdy, kto zechce opuścić pałac, może liczyć na co najmniej twarde spojrzenie. – Mam nadzieję, że ci goście zdążyli zająć swe pozycje, zanim Khadidas i dziewczyna uciekli.

– Wracamy pod bramę. Jeśli mam kiedykolwiek zaatakować miasto, to właśnie nadszedł czas.

– Zdobyłaś już dość łodzi?

Zesztywniała. Przez chwilę nie odpowiadała.

– Domyśliłeś się.

– Logika podpowiada, że nie ma sensu szturmować tych murów, mając tak niewielu ludzi. Zwłaszcza kiedy Taglios od strony rzeki jest właściwie bezbronny. – Rzecz, która przyszła do głowy także Wielkiemu Generałowi.

– Tam też nie będzie łatwo – poinformowała mnie Ospała. – Po prostu linie defensywne od strony rzeki są mniej widoczne. – Wdała się następnie w wyjaśnienia na temat zapór i łańcuchów regulujących ruch rzeczny, zmieniających kanał w wąski przesmyk, nad którym panowała bez reszty artyleria brzegowa. Wyładowaną żołnierzami barkę potrafiłaby w ciągu kilku minut roznieść w drzazgi i strzępy, które stałyby się karmą dla ryb.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – oznajmiłem.

– Naprawdę? Mam zaatakować za dnia czy w nocy?

– Teraz jest ciemno, jednak zanim zdążysz przeprowadzić wszystkich na miejsce, robi się już dzień.

– Zabierz mnie z powrotem. Trzeba ich pogonić.

Taglios:
W OBŁĘŻENIU

Gopal Singh wyglądał strasznie. Znalazł się na tyle blisko ognia, że przysmażył sobie brodę. Twarz i dłonie pokrywały pęcherze oparzelin. Turban gdzieś zniknął. Ubiór wisiał w strzępach, rozsiewając woń spalenizny.

– Nie masz szans podczas przeglądu – powiedział mu Mogaba.

Poczucie humoru Singha pozostało niezmienione.

– Wewnątrz kompleksu pożar już opanowaliśmy. Niedługo sam zgaśnie. Natomiast w mieście... Módl się o nagły deszcz.

– Szczęście nie zawsze dopisuje, nieprawdaż?

– Nikt nie mógł wiedzieć, co się stanie, gdy kula ognista trafi jedną z tych latających rzeczy – przyznał Singh niechętnie.

– Nie. Oczywiście, że nie. Oto nadchodzi Aridata. Niczym złowieszczy kruk. Pewnie kolejne niedobre wieści. – Mogaba zerknął na wschód. Dlaczego ta noc trwa tak długo? – Masz plamkę popiołu na prawej nogawce, Aridata.

Dowódca Batalionów Miejskich naprawdę zatrzymał się, żeby temu zaradzić, zanim pojął, iż Wielki Generał z niego żartuje. W mniejszym lub większym stopniu.

– Próbują wykorzystać zamieszanie. Otrzymuję raporty o duchach i innej grozie, szerzącej się przy Południowej Bramie oraz na terenie fortów rzecznych – rzekł przybyły.

– Naprawdę atakują? – Gopal Singh nie potrafił uwierzyć, że wróg może napaść na Taglios, dysponując tylko tyłoma żołnierzami. Oczekiwał, że będą siedzieć na tyłkach, w nadziei, iż uda im się nawiązać sojusze z wywrotowymi elementami wewnątrz murów. – Które?

– Od strony rzeki – zawyrokował Mogaba. – Mieli czas, żeby rozeznąć się w sytuacji. Tam jesteśmy najslabsi.

– Może chcą, żebyśmy myśleli...

– Jakiś czas minie, nim uda im się przeprowadzić na miejsce znacznie silniejsze. Kiedy zaatakują z powietrza, będziemy wiedzieć, że ruszyli do szturm, i poznamy miejsce, w którym uznali, że się przebiją.

Kilka chwil później nadeszła wiadomość, że komanda wroga dokonała desantu na mury, jakieś półtora kilometra na zachód od Południowej Bramy; dostarczył je tam latający dywan. Błyskawicznie otrzymały wzmocnienie. Ani Bataliony Miejskie, ani Szarzy nie dysponowali w tym regionie znacznie silniejszymi siłami. Trzon Drugiej Lokalnej znajdował się na nabrzeżu. Garnizon barbakanu radził sobie z zagrożeniem na miarę swych sił.

Mogaba zerknął na wschód. Kiedy wszędzie słońce, wróg straci przewagę w postaci niewidzialnych sojuszników. Wtedy obrońcy miasta będą mogli skorzystać z liczebnej przewagi.

Dziesięć minut później nadeszły wieści, że nurkowie wroga uzbrojeni w niewielkie miotacze kul ognistych przecięli łańcuchy i zerwali przegrody z bali w górze nurtu. Na maszyny artyleryjskie sypały się bomby zapalające.

– Miałeś rację – powiedział Gopal. – To będzie nad rzeką.

– Może. Gdzie są ich czarodzieje? – To Mogaba musiał wiedzieć przede wszystkim. Domyślił się już, że jeźdźcom słupów nie jest niezbędny magiczny talent. – Dopóki nie zobaczymy w akcji czarodziejów, musimy zachować sceptycyzm wobec każdej próby szturm. Wszystko, o czym dotąd doniesiono, to tylko dywersja.

– Czy nie powinniśmy się tam udać? – zapytał Aridata.

– Gdzie? Masz ochotę się założyć, że wkrótce nie doniosą nam o nowym ataku, w jakimś innym miejscu? To jest najlepsze stanowisko. Znajdujemy się w centrum. – Przyszło mu do głowy, że może być obserwowany. Że plany Kapitan zależą od jego zachowania. Bezpośrednią konsekwencją każdej jego decyzji mogło być skierowanie sił wroga w miejsce, gdzie go akurat nie będzie. Dysponując takim wywiadem, sam by tak postąpił. – Znajdujemy się w centrum. Otoczmy ciaśniej kordonem partie pałacu, w których może przebywać dziewczyna. Dzięki temu będziemy mieć więcej wolnych ludzi.

Już setki przydzielono do zadań pilniejszych, ponieważ w miarę jak szerzyły się pożary poza pałacem, tłum gapiów zaczął topnieć. Kiedy tylko okaże się, który dokładnie punkt oporu trzeba wzmocnić, Mogaba będzie mógł posłać posiłki.

Nadeszły wieści o ząartym ataku powietrznym na kompleks Południowej Bramy. Zmasowane salwy kul ognistych rzeźbiły w kamieniach tysiące dziur. Tak rozrzutne szafowanie ogniem zdumiewało wszystkich.

– Na tym to właśnie polega, zrozumcie – powiedział Mogaba. – Ta Kapitan znacznie bardziej kocha walkę niż jej poprzednicy, a kiedy już do niej przystępuje, winduje poziom przemocy tak wysoko, jak tylko się da. Chce przestraszyć wrogów, aby w oęłupieniu czekali, aż po nich przyjdzie. – Rzut oka dookoła przekonał Mogabę, że taka taktyka najwyraźniej skutkuje. I ani jeden, ani drugi generał Singh nie miał ochoty na wykład z psychologii walki.

Zatem Mogaba zauważył tylko:

– I nasza sytuacja pozostanie niekorzystna, póki nie będziemy wiedzieć, który z próbných szturmów zmieni się w prawdziwy atak.

A o tym, jak podejrzewał, druga strona jeszcze również nie miała pojęcia. Zapewne Kapitan po prostu dalej próbował odkryć, w którym miejscu inwestycja sił przyniesie największe zyski. Kapitanowie Kompanii nigdy nie lubili marnować ludzi.

– Niech dowódcy odcinków radzą sobie, jak potrafią. Posiłki pošemy im dopiero wówczas, gdy trzeba będzie zapobiec katastrofie. Czego oczekuję od was dwóch, to dokładne rozeznanie w nastrojach tłumy. Jak dotąd nikogo chyba nic nie obchodzi, jednak nie chcę żadnych niemiłych niespodzianek.

– Zaryzykowałbym stwierdzenie, że masy są po naszej stronie – zasugerował Gopal. – To nie my wznieciliśmy te pożary.

Mogaba zerknął na wschód. Niebo lekko się rozjaśniło, jednak widok ten nie przyniósł mu zadowolenia. Gopal przypomniał mu o przerażającej ilości pracy, jaka ich czeka, gdy już odeprą atak wroga. Pożary pozbawią dachu nad głową i środków do życia dziesiątki tysięcy ludzi w mieście, w którym trzecia część populacji już miała nieszczęście wieść taki żywot.

Może jednak powinien się ulotnić i zostawić te problemy na głowie Ospalej.

Taglios:
SZTURM

Domyśliłem się, że Ospala chce zdobyć Południową Bramę. Posyłała ludzi i zasoby w rozmaite miejsca równocześnie, wykorzystując bezlitośnie wszystkich zdolnych do lotu, jednak kiedy uważniej się nad tym zastanowić, ponad połowa działań bojowych obejmowała obszar w promieniu ośmiuset metrów od barbakanu. On sam straszliwie ucierpiał od ataku z powietrza. Niektóre jego partie przypominały warstwę żużlu porożytą tysiącami dziur.

Dysponowałem lepszymi informacjami niż Mogaba. Wiedziałem jednak, że Wielki Generał wkrótce się połapie. We wszystkich kwestiach militarnych wykazywał superczuły instynkt.

Jak elastyczne były plany pani Kapitan? Czy była w stanie dość szybko zmienić cel ataku, kiedy Mogaba już pojmie, o co jej chodzi? Nie miałem pojęcia. Jakkolwiek skomplikowany był plan, nie zaproszono mnie, gdy go układano. Pewnie tylko Sjuwrin dysponował całościową wiedzą. Ale nie założyłbym się, że tak jest. Ospala była równie skryta jak niegdyś ja sam.

Widocznie to przychodzi wraz z szarżą. Moi poprzednicy zachowywali się w identyczny sposób. Pewnego dnia zwróci się to przeciwko nam.

Minęło już południe. Przeprowadziwszy zdecydowany szturm ze wszystkich stron, przy maksymalnym wsparciu z powietrza oraz ze strony Tobo, nasze siły wdarły się do kompleksu barbakanu. Los obrońców został przypieczętowany, kiedy grupie uderzeniowej udało się dostać do środka i otworzyć zewnętrzne bramy.

Mogaba nie reagował. Ulice wokół kompleksu opustoszały; cywile najwyraźniej doszli do wniosku, że nadeszła najlepsza chwila, by zniknąć.

Poszarpane oddziały Taglian wycofały się w głąb miasta. Wciąż nie pojawił się nikt dla wsparcia czy zluzowania obrońców barbakanu. Żołnierze z Drugiej Lokalnej Mogaby zaczęli opowiadać jakieś niestworzone rzeczy o swoim szefie.

Coś było zdecydowanie nie w porządku. Wielki Generał zachowywał się nazbyt biernie. Przecież wiedział, że musi coś zrobić, zanim znowu nastanie noc, a Kompania zostanie wsparta przez Nierozpoznane Cienie.

Jakimś zrzędzeniem losu robiliśmy dokładnie to, czego Mogaba od nas chciał, skoro nie czynił nic, aby nam to uniemożliwić.

No tak. Można doprowadzić się do szaleństwa, próbując przemyśleć absolutnie wszystkie tego rodzaju możliwości.

Ospała posłała wszystkich prócz Tobo, by wzmocnić atak na nabrzeża w górze nurtu. Najwyraźniej udało nam się w miarę łatwo uchwycić przyzwoity przyczółek i pani Kapitan chciała zdyskontować ten drobny triumf.

Zaczynałem powoli podejrzewać, że Ospala naprawdę nie dysponowała żadnym z góry ustalonym planem ataku. Innym niż przejęcie tego, co Mogaba zechce jej oddać.

Godzinę później, kiedy oddziały lojalistów zareagowały wreszcie na zagrożenie od strony nabrzeża, nasz atak ponownie skoncentrował się na Południowej Bramie.

Miałem nadzieję, że wkrótce zapadnie ostateczna decyzja. Byłem już zmęczony. A do końca dnia pozostało wciąż jeszcze wiele godzin.

Za pierwszym razem odgąłem trafnie. Wybrała bramę.

Kiedy ludzie na murach zdołali w końcu ją zdobyć, w górę poleciała flara, alarmująca Kapitana i Porucznika. Brama składała się z dwu fortów i należało wziąć oba. Drugi okazał się znacznie trudniejszy do zdobycia. Tymczasem wszyscy ludzie, którzy nie byli zaangażowani w bój gdzie indziej, zebrali się na zewnątrz, gotowi do szturm.

Przed chwilą Ospala dała znak. Oficerowie wcześniej otrzymali rozkazy przedarcia się przez barbakan i marszu na centrum miasta. Mieli przewodników, którzy pokażą im drogę. Pani Kapitan chciała jak najszybciej zdobyć pałac. Wierzyła, że reszta Taglios nie będzie stawiać większego oporu, gdy ten symbol władzy padnie. Rozpuszczała wieści, że

Prabrindrah Draah jest już w drodze, gotów do odzyskania należnych mu dominiów.

Gdybym to ja miał decydować, schowałbym księcia w kieszeni, gotów w każdej chwili pokazać go tłuszczy. Kazałbym mu dowodzić szturmem. Ale nie miałem już na nic wpływu.

Taglios:
ZŁE WIEŚCI, BIAŁY KRUK

Mogaba wysłuchał wieści na temat zdobycia Południowej Bramy w milczeniu, z ponurą, pozbawioną wyrazu twarzą. Nie zadawał żadnych pytań, po prostu popatrzył na zachód, żeby sprawdzić, ile jeszcze zostało do końca dnia. Odwrócił się do Aridaty i Gopala. Ten ostatni nieznacznie skinął głową.

Kiedy posłaniec odszedł, Wielki Generał zapytał:

- Wciąż atakują nabrzeże?
- Wedle ostatnich meldunków: ze zdwojoną siłą – odparł Aridata.
- Poślij tam jeszcze jedną kompanię. Ich główne siły skierują się prosto na pałac. Przy wsparciu całej magii, jaką dysponują. Kontratak z nabrzeża będzie miał duże szanse powodzenia.
- Co zdecydowałeś w sprawie najeźdźców? – zapytał Aridata.
- Wszystko ustaliliśmy już wiele miesięcy temu. Wykonaj plan. Przekonamy się, jakie przyniesie efekty.

Aridata pokiwał głową, najwyraźniej żałując, że nie ma sposobu na ograniczenie rozlewu krwi. Przewidywał wynik konfliktu znacznie mniej pesymistycznie niż Wielki Generał. Obawiał się jednak, że cena będzie boleśnie wysoka, że zwycięstwo okaże się większym złem dla miasta jako całości.

Mogaba rozkazał mu:

- Chcę, żebyś natychmiast wrócił do swojej kwatery głównej. Stamtąd będziesz dowodził oddziałami.
- Ale...
- Jeśli się nie uda i zastaną cię tutaj ze mną, zapłacisz niepotrzebną cenę. Rób jak mówię. Gopal, przejmujesz dowodzenie w miejscu. Nikt nie ma

prawa wejść do pałacu. Nikt nie wychodzi. Jeśli wróg dotrze tak daleko, postaraj się, żeby mu powiedziano o Khadidasie i Córce Nocy. Oczekuję, że sam nie będziesz stawiał im oporu. Najlepiej przekazać tę informację dwójce w ognistych zbrojach. Stwórcy Wdów i Pożeraczowi Żywotów. Oni cię wysłuchają. Są biologicznymi rodzicami dziewczyny. Aridata, dlaczego wciąż tu sterczysz? Masz swoje rozkazy.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Gopal.

– Przygotuję kilka kontrataków, które sprawią, że ci dziwni obcy żołnierze pożąłają, iż kiedykolwiek opuścili swą ojczystą krainę. – Wielki Generał promieniował bezgraniczną pewnością siebie.

Jednak w głębi jego duszy nie było po niej śladu.

Mimo to opuścił teren pałacu krokiem aroganckiego zdobywcy, a w ślad za nim pospieszył tłumek łączników i adiutantów. Idąc, Mogaba wydawał kolejne rozkazy.

Mogaba wypatrzył białego kruką przypatrującego się mu z kamiennego gzymsu. Skinął na niego.

– Chodź tutaj. – Poklepał własne ramię.

Ptak skorzystał z zaproszenia, zaskakując członków orszaku.

Wielki Generał zapytał:

– Jesteś tym, kim sądzę, że jesteś?

Taglios:

ODDZIAŁ DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Istnieją zadania zbyt doniosłe, by je powierzyć komukolwiek innemu niż członkom rodziny. Dowódców odpowiedzialnych za Południową Bramę zawsze wyznaczano spośród krewnych Gopala Singha, chociaż formalnie wchodzili w skład Batalionów Miejskich. Myśl o niedochowaniu lojalności nawet nie powstałaby tym ludziom w głowie, ponieważ zbyt mocno związali swój los z Szarymi, Wielkim Generałem i Protektoratem.

Byli również żołnierzami na tyle zdyscyplinowanymi, by wycofać się, nie popadając w panikę. Żołnierzami, którzy przez cały czas przygotowywali siebie i swych podkomendnych na taki właśnie dzień. Chociaż pierwotnie zakładali, że to Protektorka we własnej osobie wkroczy w strefę śmierci.

Taglios:
MAKABRYCZNY LOS

Przejsie przez barbakan od strony wnętrza przypominało istny labirynt, chociaż w istocie zakrętów nie było więcej niż sześć. Z powietrza nie wyglądało to nawet tak źle. Póki ogromne kamienne bloki nie zaczęły sypać się ze ścian, zamykając w środku panią Kapitan, jej sztab i kilkunastu innych ludzi.

Upadek kamiennych bloków automatycznie zainicjował szereg dalszych procesów. Najpierw na uwięzionych runęła ulewa zatrutych strzałek. Konie kwiczały, ludzie krzyczeli. A kiedy zniżyłem lot mego słupa, zastanawiając się, jak wydostać Kapitana z pułapki, z otworów w ścianach trysnęła wrząca oliwa.

A więc w ten sposób chcieli się pozbyć Duszołap.

Żar sprawił, że musiałem się wycofać. Czarny ubiór Vorszk nie bardzo sobie z nim radził.

Ospała zajmowała miejsce w środku atakującej kolumny. Co oznaczało, że nasze siły zostały rozbite dokładnie na dwie połowy.

Z pewnością wkrótce nastąpi zmasowany kontratak.

Wepchnąłem się na miejsce obok Arkany, którą groza sytuacji wręcz sparaliżowała.

– Weź się w garść! Chcę, żebyś znalazła Sjuwrina. Powiedz mu, że ja będę dowodził oddziałami w mieście. Może zbudować jakieś stopnie, żeby przeprowadzić resztę żołnierzy górą przez ten bałagan. Niech wykorzysta drewno z machin oblężniczych. Ruszaj! Szybko!

I tym razem nawet nie musiałem jej uderzyć, żeby wyrwać ją z osłupienia.

Znowu to Mogaba rozdał karty. Jednak teraz szanse ocalenia nie wyglądały dobrze.

Powinniśmy być na to przygotowani. Przecież powiedział nam, że odpowiednie kroki zostały już podjęte.

Czasami pozostaje się głuchym nawet na to, co zostało powiedziane głośno.

Zanim wylądowałem, spojrzałem na słońce.

Będziemy musieli utrzymać się stosunkowo niedługo, co stanowiło jedyny powód do umiarkowanego optymizmu.

– To nie potrwa długo – oznajmiłem dowódcom sił naziemnych. – Musimy zająć stanowiska, które pozwolą nam przetrwać do zapadnięcia zmroku. Kiedy nadejdzie ciemność...

– Nierozpoznane Cienie.

– Ukryte Królestwo.

Krzyki. Deszcz strzał.

– Sformujcie szyk kompanii pod tą ścianą – poinstruowałem ich. – Musimy panować nad tymi schodami, kiedy pozostali do nas dołączą. – Musiałem demonstrować optymizm, którego nie czułem. Jedyna nadzieja w tym, że Sjuwrin wywiąże się ze swej części zadania.

Nikt nie mógł podawać w wątpliwość odwagi żołnierzy z Hsien. Porządnie poszarпали Bataliony Miejskie. Poharatali posiłki Drugiej Lokalnej. Na nieszczęście, obie te formacje spuściły im również niezłe lanie. Nie minęło dużo czasu, a wszystko powoli zaczynało wskazywać na to, że Ospała zdecydowała się ugryźć może zbyt wielki kęs. Wielki Generał dysponował nieograniczonymi z pozoru rezerwami, chociaż szafował nimi nadzwyczaj oszczędnie.

Tylko energicznemu wsparciu Arkany, Szukrat i Tobo zawdzięczaliśmy to, że jeszcze żyjemy.

Kiedy Tobo doszedł do siebie na tyle, że zaczął myśleć, a nie tylko mechanicznie reagować na rozwój wydarzeń, fala przypływu przystanąła. Wreszcie przypomniał sobie, że nadaje się do czegoś więcej niż tylko ciskanie z góry kamieni i bomb zapalających. Kiedy dołączył swe czarodziejskie umiejętności do znacznie słabszych talentów obu dziewczyn, pojawiły się żądłące owady, bolesne robaki ognia, cytrynowej i limonowej barwy płatki śniegu, które trawiły zbroję oraz ciało.

Niemniej wróg nie pozwolił nam ruszyć się z miejsca, dopóki nie nadeszła ciemność.

Ale ciemność zawsze nadchodzi.

Taglios:
NOC I MIASTO

Wielki Generał osobiście objął dowodzenie na nabrzeżnym froncie. Kiedy przybył na miejsce, prowadząc rezerwy Drugiej Lokalnej, morale nie mogło być już chyba niższe. Pamiętający długą historię militarnych katastrof żołnierze podejrzewali, że ostateczna porażka jest nieuchronna i tylko marnuje się ich żywoty, każąc walczyć za przegraną sprawę.

Ich przywódca osobiście pchnął swą straż przyboczną do kontrataku przeprowadzonego z taką furią i finezją, że wróg rychło stracił wszystkie przyczółki, które zdobył po dniu wyczerpujących bojów.

Najeźdźcom brakowało wsparcia z powietrza. Wielki Generał wywnioskował z tego, że ich sytuacja pod Południową Bramą musi być rozpaczliwa.

Komunikacja między podzielonymi siłami właściwie nie istniała. Nikt nie wiedział, jaki naprawdę jest los pozostałych. Najlepsza rzecz, jaką można było uczynić, to stosować się ściśle do ułożonych planów i zachować nadzieję, że wrogowi pochód nie przychodzi zbyt łatwo.

Przeciwnicy Mogaby spróbowali pchnąć do boju świeżych rekrutów. Na niewiele im się to zdało. Tamci byli zbyt nieliczni, żeby wywrzeć decydujący wpływ na losy starcia.

Ostatni atakujący uciekli na barkach, z których przeprowadzili pierwszy desant. Barki dryfowały bezwładnie z nurtem, ponieważ żołnierzy nie zostało dość, by wiosłować pod prąd. Na dodatek wszystkie były przeładowane, jedna do tego stopnia, że nabierała wody przy najmniejszym przechyle. Nie utrzymała się długo na powierzchni.

Mogaba zafundował sobie dłuższą przerwę. Przegnał z głowy wszystkie myśli, przymknął powieki, pozwolił, by owiał go chłodny, zimowy wiatr.

Dopiero kiedy się uspokoił i zaczął oddychać w normalnym rytmie, poczuł, iż jest gotów na powrót zając się sprawami chwili.

Jeszcze mógł tryumfować. Jeśli tylko zdoła przeprowadzić ludzi pod Południową Bramę, zmusić do porządnego wysiłku, wtedy być może zada wrogowi wystarczająco poważne straty i stworzy szansę przeczekania nocy. Wówczas zwycięstwo będzie jego. Nie dotrzymają pola siłom, które nazajutrz będzie w stanie cisnąć przeciwko nim.

Otworzył oczy.

Biały kruk przyglądał mu się z grędy zaimprovizowanej z fragmentu pękniętego koła wozu, siedząc nie dalej niż o trzydzieści centymetrów od jego twarzy.

Zaczął mówić.

Ptak okazał się znacznie lepszym łącznikiem i szpiegiem niżli kruki znane mu z dawnych czasów.

Wielki Generał słuchał przez dłuższy czas. I zastanawiał się, czy umysł w mózgu ptaka był świadom jego nielojalności.

On sam na pewno pierwszy nie podejmie tej kwestii.

Podniósł się, nie zwracając uwagi na protesty obolałych mięśni.

– Sierzancie Magłart, proszę zanieść rozkaz. Do wszystkich oficerów. Niech poderwą każdego żołnierza zdolnego do marszu. Idziemy na pomoc Południowej Bramie.

Wywiad powietrzny wroga doniósł o istnieniu pułapki, zanim zdążyła się zatrzasnąć. Mogaba zostawił swych żołnierzy ich dziełu i pośpieszył do pałacu. Przybył na miejsce w chwili, gdy zmierzch zaczął znaczyć cienie czernią. Widok z wysoka ukazywał kilka wciąż szalejących pożarów. Dym i pojedyncze płomyki snuły się jeszcze po zawalonej części pałacu.

Czekały na niego wieści, wedle których wróg zlikwidował większość punktów oporu w dole rzeki. Walczące tam oddziały otrzymały nieoczekiwane wsparcie od żołnierzy dryfujących z prądem. Ci obcy byli naprawdę nieustępliwymi wojownikami.

– Wysłać posiłki? – zapytał Gopal.

Mogaba zastanawiał się przez chwilę. Tamci pewnie osiągnęli już granice swych możliwości.

– Tak, istotnie. Wszyscy ci ludzie tutaj, wokół pałacu, są twoi, prawda?

– Sądziłem, że tak będzie najlepiej. Mogę ufać im bezgranicznie.

– Niech żołnierze Aridaty ich zluzują. Swoich pošlij na nabrzeże. I zbierz po drodze wszystkich braci i kuzynów, którzy jeszcze żyją. I kaź im przyjść tutaj.

– Co?...

– Zrób to. Szybko. Szybko. I chcę mieć też zdobyczne miotacze kul ognistych.

– Wydaje mi się, że większość zużyliśmy.

– To znaczy, że jeszcze jakieś zostały. Chcę wszystkie.

Ciemność nadeszła. A wkrótce po zmroku do Wielkiego Generała dotarły wieści, że wrogowie na obu swych przyczółkach postanowili przeczekać noc, zamiast ruszyć do ataku, wykorzystując przewagę swoich widmowych sojuszników.

Wielki Generał nie pozwolił nocy odebrać mu ducha. Swoim przykładem natchnął otaczających go żołnierzy. I faktycznie wszystko wskazywało na to, że duchy wroga nie miały zamiaru robić nic więcej, niż tylko krzyczeć: „Buu!”

Wielki Generał zreorganizował obronę miasta, przekazując całą niemalże oficjalną odpowiedzialność w ręce Aridaty Singha. Potem poprowadził Gopala Singha i jego uzbrojonych w miotacze kul ognistych krewnych w kierunku frontu na nabrzeżu.

– Co my właściwie robimy? – spytał Gopal.

– To jest pozorny spokój – odparł Mogaba. – Tego popołudnia stracili swojego Kapitana. Pułapka w bramie spisała się na medal. Zginęli w niej również prawie wszyscy oficerowie sztabu. – Nie wyjaśnił, skąd to wie. – Będą potrzebować czasu, żeby ustalić, kto dowodzi i co powinni teraz zrobić. Być może nawet zdecydują się odstąpić. – Zadrzał, ale powiedział sobie, że to tylko chłód powietrza.

Wiedział jednak, że Konował nie zginął. Wiedział, że Kompania nie odstąpi. Wiedział, że dowodzenie przejmie nowy Kapitan, który podejmie dzieło starego.

Taglios:
NOWE DOWÓDZTWO

Nie jestem gotów do objęcia dowództwa – bronił się Sjuwrin.

– Ja jestem na to zbyt stary – odparowałem. – A jedyna oprócz mnie odpowiednio wykwalifikowana osoba leży pogrążona w śpiączce. – Pani nie znajdowała się w śpiączce w ścisłym sensie tego słowa, ale praktycznie rzecz biorąc, efekt był ten sam. Na nic nie mogła się przydać.

Sjuwrin mruknął coś pod nosem.

– Ospąła cię wybrała. Uznała, że sobie poradzisz. Cały czas podsuwała ci okazje do zapoznania się z robotą.

Ospąła stanowiła istotną część problemu. Jej śmierć, tak nagła i okrutna, poraziła wszystkich. Większość wciąż nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego.

– Tracimy tylko czas – powiedziałem. – Wkrótce Dzieci Zmarłych zaczną się zastanawiać. A nie chcemy przecież, żeby przyszło im do głowy liczyć straty osobowe po tej stronie lśniącej równiny.

Poczułem przelotne ukłucie pogardy dla samego siebie. Właśnie takiego stylu myślenia nienawidziłem u pracodawców Kompanii.

Sjuwrin na moment się opamiętał.

– Nie mamy czasu na żałobę, co? Trzeba ciągnąć to dalej. Albo odwołać całą sprawę.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Musimy walczyć. Próbowałem przesłać wiadomość do Aridaty Singha. Wydaje się dobrym człowiekiem, zdolnym postawić interes Taglios na pierwszym miejscu. Z pewnością chciałby oszczędzić miastu dalszego rozlewu krwi.

– Jeśli uda ci się go przekonać, że Mogaba jutro nie pożre nas żywcem. Z raportów Tobo wynika, że Wielki Generał nie ma powodów do

zmartwień.

– Będzie miał. Kiedy już na dobre uchwycimy przyczółki, mogę posłać dziewczyny na polowanie.

Na okrągłej twarzy Sjuwrina wciąż widniał ten nadęty, trochę dziecinny wyraz, który zwykle na niej gościł. Powinien zaraz czymś się zająć, a wtedy zacznie wyglądać twardo, rzeczowo jak każdy Kapitan.

W końcu uległ skrywanym pragnieniom.

– W porządku. Zostanę Kapitanem. Ale zachowuję sobie prawo do rezygnacji.

– Świetnie. Poinformuję wszystkich, a potem pogonimy Mogabie kota. – Jednak moja nienawiść do Wielkiego Generała nie była już tak jadowita jak niegdyś. Ostatnimi czasy przypominała raczej niezdrowy nawyk.

– Jestem więc teraz Kapitanem, tak? Z pełnymi prerogatywami?

– Tak. – Mój ton był podejrziwy.

– Wobec tego moim pierwszym rozkazem jako Kapitana jest polecenie, żebyś przestał wystawiać się na niebezpieczeństwo.

– Hę? Co? Ale...

– Konował, jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi prowadzić Kroniki. Jesteś jedynym, który jest w stanie przeczytać większość z nich. Nie skończyłeś mnie uczyć i nie masz innego następcy. Przede wszystkim nie wolno nam stracić więzi z dziedzictwem. Przynajmniej na tym etapie. Wynika z tego, że nie pójdziesz nigdzie, gdzie ryzyko będzie zbyt wielkie.

– Ty sukinsynu. Zrobiłeś mnie w konia. Nie masz prawa.

– Jestem Kapitanem. Oczywiście, że mam prawo. Właśnie z niego skorzystałem. Każę cię ubezwłasnowolnić, jeśli będzie trzeba.

– Nie będziesz musiał. – Ponieważ kupowałem całą mistykę Kompanii niczym religię. Ponieważ nie mogłem odmówić wykonania rozkazu, tylko dlatego że mi się nie podobał. Ha, ha. Ile czasu zajmie mi takie jego zinterpretowanie, abym mógł jakoś go obejść w przypadku zaistnienia prawdziwej potrzeby? – Ale chcę dostać Mogabę.

– My go dla ciebie złapiemy. A potem będziesz mógł go obedrzeć ze skóry w dowolny sposób, jaki przyjdzie ci do głowy.

Poszedłem więc, żeby oznajmić wszystkim, iż mamy nowego Kapitana, który natychmiast wzywa do siebie oficerów. Potem rozejrzałem się za Arkaną, która pewnie gdzieś się wylegiwała, marnując swój cenny czas na sen.

Kiedy tak wałęsałem się dookoła, drżąc na całym ciele, ponieważ noc aż tętniła od obecności niewidzialnych istot, zdałem sobie sprawę, że Sjuwrin, zupełnie niechcący, wydał mi rozkazy o decydującym znaczeniu. Jeśli będę biegał w tę i we w tę, wszędzie wtykając nos, i zostanę zabity, nie tylko Kroniki umrą ze mną. Podobny los czeka ten skromniutki plan, który wymyśliłem, aby wywiązać się z naszej umowy z Sziwetją.

Jeszcze z nikim nim się nie podzieliłem i nie zrobię tego do chwili, gdy będę pewny, że umieram.

Uspiona bogini nie mogła podsłuchać słów niewypowiedzianych na głos.

Taglios:
POSŁANIEC

Prowadzona i osłaniana przez ludek ukrytego królestwa, Arkana niepostrzeżenie przedostała się na teren apartamentów Aridaty Singha, razem z latającym słupem – a w istocie mogłaby wnieść wszystko, co by jej przyszło do głowy. Generał był sam. Godzinę wcześniej wyczerpanie sprawiło, że zwałił się bez zmysłów. Troskliwi podwładni położyli go do łóżka. Potem postawili warty przy drzwiach, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

Arkana wleciała do środka przez otwarte okno, przyciskając się na płask do swego słupa. Nie denerwowała się szczególnie. Była przekonana, że potrafi sobie poradzić z ewentualnymi problemami, przynajmniej na czas dostatecznie długi, by zdążyć uciec.

Otrzymała rozkaz zmykania na pierwszy znak, że szykują się kłopoty. Wierzyła w te instrukcje z zapalem neofitki.

Kiedy już znalazła się wewnątrz, zsiadła ze słupa i odwróciła go przodem do okna, szykując do bezzwłocznego odwrotu. Wciąż pozostawała przywiązana do niego, a więc ucieczka była możliwa, nawet jeśli nie będzie siedzieć w siodle. Nawet jeśli straci świadomość. Może nawet wówczas, gdy ktoś rzuci się na nią, próbując schwytać.

Znalazła lampę, zapaliła ją. Potem obudziła Aridatę Singha.

Generał miał problemy z powrotem do świata jawy. Ale obudził się w miarę cicho i ostrożnie, rozumiejąc, że sytuacja jest krytyczna. Może chodziło o Nierozpoznane Cienie. Poczucie ich obecności było silne. Było ich pełno wszędzie dookoła.

Usiadł, krzyżując nogi. Poruszał się powoli, trzymając dłonie na widoku. Wyraz twarzy wystarczył za wszystkie pytania.

Arkana próbowała nie zwracać uwagi na jego wygląd. Została ostrzeżona... Nie była taką idiotką jak Gromovol.

– Kapitan chce wiedzieć, czy otrzymałeś wiadomość od kronikarza. Kapitan pyta, czy jesteś gotów oszczędzić Taglios krwawych kosztów dalszej walki. – Słowa wymawiała pieczołowicie, nie chcąc zostać źle zrozumiana.

– Oczywiście, że tak. Ale jakim sposobem mam was, ludzie, przekonać, żebyście sobie poszli? – Nie bardzo potrafił rozpoznać swego gościa, ukrytego pod grubymi fałdami ubioru Vorszk.

– Oto pomysł. Możesz kazać swym żołnierzom złożyć broń. – Jako jednej z Vorszk złożenie tego rodzaju propozycji obcemu przyszłoby bez najmniejszego trudu. Jednak tutaj, dziś w nocy, była tylko kolejnym zbiegiem, osobą pozbawioną korzeni. A nadto młodą dziewczyną, nie do końca pewną własnych sił. Może jednak zaufanie Konowała zostało źle ulokowane.

Chytry staruch. Wystawił ją, wiedząc, że raczej zaryzykuje swoją wolność, niż go rozczaruje.

To było typowe dla starych ludzi. Przynajmniej tych starych ludzi, jakich znała.

– Niewiele jest rzeczy, których pragnąłbym bardziej niż zakończenia tych walk, zanim jeszcze choć jednej osobie stanie się krzywda – odparł Aridata. – Lecz to nie ja decyduję, kiedy przychodzi do wyboru między wojną a pokojem. Wziąłem na siebie określone zobowiązania. Dałem słowo. Obecnie Taglios znajduje się pod władzą Wielkiego Generała. Jeśli on wyda rozkaz zawieszenia broni, posłucham go natychmiast.

Nic więcej nie dodał. Wyraził się tak jasno, jak tylko potrafił. Tego jednak było dość, by wzbudzić w nim poczucie winy.

– Taka jest więc twoja ostateczna odpowiedź? – Pewność siebie Arkany zaczęła rosnać.

– Nie widzę przed sobą innego wyjścia. Wasz Kapitan zrozumie.

– Twój honor zaprowadzi cię do grobu. I nikt nie będzie wyśpiewywał twej chwały. – Arkana opuściła pokoje, zanim Singh zdołał pojąć, co chciała powiedzieć. Uznał w końcu, że był to jakiś idiom obcego języka, który nie został właściwie przetłumaczony.

W chwili obecnej Aridata czuł wyczerpanie niewiele mniejsze niż godzinę temu. Niemniej przez pewien czas nie potrafił zasnąć i to nie tylko

dlatego, że sypialnię wciąż wypełniała gęsta atmosfera obcej obecności. W uszach wciąż brzmiały mu ostatnie słowa gościa; myślał o ojcu. Narajanie Singhu. Człowieku nadzwyczaj honorowym, przynajmniej wedle reguł świata, w którym żył. A teraz nawet jedna dusza nie wyśpiewa jego chwały. Chyba że ukochana bogini nuci mu teraz kołysanki, śniąc przerażające sny.

Morderca Narajana wciąż ukrywał się gdzieś w ruinach pałacu.

Taglios:
TI KIM ZAWSZE TU BYŁ

Mogaba nie brał już tak aktywnego udziału w walce.

– Duch chętny, ale ciało zbyt już, cholera, stare i zmęczone. Po prostu posiedzę sobie tutaj i będę ci mówił, co masz robić – tłumaczył Gopalowi. Głównie jednak gawędził z białym krukiem, który cały czas, mimo obecności nieprzyjaznych duchów, prowadził dlań robotę wywiadowczą. Ptak potrafił dostrzec te widma całkiem wyraźnie, ponieważ ostrzegał go regularnie, kiedy należało trzymać usta zamknięte na kłódkę.

Kiedy Mogaba sformułował przypuszczenie, iż niewidzialne istoty nie na wiele przydają się najeźdźcom, kruk poinformowała go, że ludek ukrytego królestwa oddany jest tylko swemu panu. Ich udział w boju zależał wyłącznie od woli ich mesjasza, Tobo, którego darzyły czcią omalże boską jako Ti Kima, co w kanonicznej mowie kapłanów, którzy stworzyli Nierozpoznane Cienie, oznaczało: Ten Który Chadza ze Zmarłymi.

Wielki Generał, zaskoczony, zapytał:

– Chcesz mi powiedzieć, że „Ti Kim” nie pochodzi z Niueng Bao?

Tytuł wywodził się z języka blisko spokrewnionego z mową, jaką Niueng Bao posługiwali się cztery stulecia temu.

– A więc Zabójczy Wędrowiec jest dzieciakiem półkrwi?

– Nie Zabójczy Wędrowiec. Ten Który Chadza ze Zmarłymi.

Mogaba był zbyt zmęczony, by głębiej zastanawiać się nad tą różnicą.

– Leć, znajdź Aridatę Singha – powiedział. – Chcę wiedzieć, co porabia.

Ptakowi nie podobało się, że musi słuchać rozkazów. Ale poleciał.

Mogaba natychmiast wezwał do siebie Gopala.

– Ile dla ciebie znaczy to miasto? – zapytał. Wiedział, ale chciał to usłyszeć od tamtego.

Gopal wzruszył ramionami.

– Może nie do końca wiem, o co ci chodzi. Jak każdy, kto w nim żyje, kocham je i nienawidzę równocześnie.

– Nasi wrogowie zreorganizowali swoją hierarchię dowodzenia. Teraz odpoczywają. Ale podejmą dalszy szturm, kiedy ciemność będzie jeszcze na tyle głęboka, by skryć ich niewidzialnych sprzymierzeńców. Jestem pewien, że nasze siły przetrwają tę noc, zachowując dość energii na jutrzejszy kontratak. Myślę, że nazajutrz będziemy w stanie zadać im poważne straty, jednak ich przekłęci czarownicy znowu ich ocalą, a kiedy przyjdzie noc, magiczni sprzymierzeńcy skończą z nami. – Wielki Generał powiedział to wszystko, wciąż nie dysponując żadnym dowodem, że Nierozpoznane Cienie są zdolne do morderczych czynów. –

A przypuszczam, że zniszczenia, jakie w tym czasie poniesie Taglios, będą naprawdę spore. Wierzę, że ostatecznie obie strony wykrwawią się do tego stopnia, iż niezależnie od tego, kto zwycięży, nie będzie zdolny do opanowania frakcji religijnych ani nałożenia kagańca szefom gangów, kapłanom czy komu tam jeszcze, kto zechce skorzystać na panującym chaosie. Możemy nawet być świadkami zamieszek na tle religijnym.

Gopal w ciemnościach pokiwał głową, Mogaba nie widział jego twarzy. Jako dowódca Szarych przypadało mu zadanie tłumienia aspiracji nieuznawanych oficjalnie. Ze szczególną zawziętością zwalczał gangi kryminalistów. Mogaba nie dociekał szczegółów, ale zdawał sobie sprawę, że coś w przeszłości uczyniło Gopala nieprzejednanym wrogiem nielegalnej działalności.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał Gopal.

– Próbuję ci dać do zrozumienia, że jeśli będziemy dalej toczyć tę wojnę w dotychczasowy sposób, możemy zwyciężyć... jest to nawet bardzo prawdopodobne... ale równocześnie zniszczymy Taglios. A z drugiej strony, jeśli nawet przegramy, i tak efektem będzie anarchia oraz zniszczenie.

– I?

– Naszych wrogów to nie obchodzi. Nie przybyli tu po to, aby przejmować się dobrem miasta. Przybyli dopaść ciebie i mnie. Oraz Khadidasa i dziewczynę. Zwłaszcza Córkę Nocy.

Mogaba wyczuwał narastającą podejrzliwość Gopala.

Biały kruk pewnie już niedługo wróci.

– Sądzę, że powinniśmy oddać pole, Gopal. I oszczędzić Taglios dalszej udręki. Garnizony wschodnich prowincji są wobec nas lojalne. Stamtąd będziemy mogli kontynuować swą walkę.

Gopal nie dał się zwieść. Nie podniósł również oczywistej obiekcji, że wobec wroga usadowionego w stolicy, wspartego oddziałem czarodziejów i dysponującego bogatą szkatułą będą mieć niewielkie szanse.

Singh dobrze poznał swego dowódcę. Wielki Generał był nieubłaganym księciem wojny, praktycznie rzecz biorąc, wyzbytym słabości. Chyba że była nią ukryta miłość do miasta, które go adoptowało, jakiej kilkakrotnie ostatnio dawał wyraz. Przekonał się, że nie ma większych kłopotów z wyobrazeniem sobie, iż Wielki Generał wybierze raczej odwrót, niż pozwoli, by w imię jego próżności Taglios zostało obrócone w perzynę. Dzisiejszy Mogaba nie był już tym aroganckim młodzieńcem, który bronił Dedżagore przeciw wszystkim koszmarom, jakie ciskali nań Władcy Cienia.

– Dokąd pójdziemy?

– Do Agry. Albo może do Mukry w Adżistanie.

– Obie stanowią fortece Vedna. Banda heretyków Szadar nie bardzo może liczyć tam na ciepłe powitanie. Zwłaszcza jeśli efektem tej wojny będzie osłabienie zasady religijnej tolerancji.

– To może się zdarzyć – przyznał Mogaba. – Ale nie musi.

– Nie wspomniałeś nic o rodzinach. – Dla Szadar rodzina liczyła się ponad wszystko. – Ja mam tylko braci i kuzynów. Jednak większość mych braci i kuzynów ma żony i dzieci.

– Przypuszczam, że mogą tu zostać – odparł Mogaba. – Obciąć brody i udawać ludzi, którzy od dawna nie oglądali słońca. Posłuchaj, Gopal. To, co teraz powiem, będzie całkowicie nie w porządku. Mam zamiar złożyć wszystko na twoje barki. Zostać i walczyć? Czy odejść i ocalić miasto?

Jakby dla zaakcentowania jego ostatniej uwagi nad centrum miasta wznosił się ku niebu grzyb dymu. Przez chwilę przypominał gigantyczny, rozjarzony mózg. Na jego tle przemknęły czarne sylwetki.

Mogaba powiedział:

– Rozejm dobiegł końca.

Taglios:
ŚPIĄCA KRÓLEWNA

Powoli dostawałem szau, zmuszony do dekowania się na tyłach, obserwując powietrzny atak na zespół budynków, na których opierał się front oddziałów uparcie blokujących nasz pochód w kierunku pałacu. Przynieśliśmy na ten kraniec świata wiedzę o wojnie, a nasi uczniowie dobrze ją sobie przyswoili. Ci Taglianie nie chcieli się wycofać nawet w obliczu potęgi czarów i grozy Nierozpoznanych Cieni.

Ktoś zauważył, że w skład Batalionów Miejskich wchodzi głównie Vedna i Szadar. Obie religie gwarantowały mężczyznom poległym w boju natychmiastowy dostęp do rzek wina i całych akrów chętnych dziewcz. Choć w pierwotnym zamyśle chodziło tylko o wojowników, którzy oddadzą życie w imię Boga.

Zastanawiałem się, jak wygląda raj Vedna w wersji Ospalej.

Jak dotąd nie zdołaliśmy jeszcze zidentyfikować jej ciała. Zwłoki w przejściu zostały przeraźliwie spalone.

– Dlaczego nie obejdziemy tych facetów dookoła? – zastanawiałem się na głos. A odpowiedź brzmiała: dlatego że nam nie pozwolą. Wzajemnie zakleszczone szyki były wręcz podręcznikowe. Jedyna droga wiodła przez nich. Lub po nich.

Mogliśmy też nad nimi przelecieć.

I przelecieliśmy – po dwudziestu szaleńczo odważnych Dzieci Zmarłych naraz, z Tobo tak zmęczonym, że podczas wznoszenia ledwie widział na oczy.

Nierozpoznane Cienie wspomagały swego kumpla w każdy dostępny sposób, niekiedy tak otwarcie, że mogłem widzieć je wyraźnie z miejsca, gdzie się przyczałem, nie robiąc nic pożytecznego dla sprawy.

W obozie za murami miasta miałem żonę. Minęło już trochę czasu, od kiedy po raz ostatni sprawdzałem, jak się czuje. W ten sposób przynajmniej mogłem udawać, że coś robię

A więc zostawiłem mych towarzyszy broni i poszedłem odwiedzić żonę. Podczas gdy walki wciąż trwały. Walki, które bez wątpienia należały do najbardziej niezwykłych, jakie toczyliśmy w dziejach, wręcz domagające się, by ktoś był na miejscu, zanotował każdy unikatowy niuans ich przebiegu i zmiennych kolei.

Stan Pani nie zmienił się. Balansowała na krawędzi życia i śmierci. Wciąż mówiła przez sen. Jej widok nie wzbudził we mnie nawet iskierki nadziei. To, co usłyszałem, tylko pogłębiło poczucie bezradności. Głównie niespójne mamrotanie. Oderwane zrozumiałe słowa nie układały się w sensowną całość.

Po kilku minutach zrozumiałem, dlaczego zawsze ociągałem się z odwiedzinami u niej – trzeba było czasu, aby umilkła rozpacz wywołana poprzednią wizytą.

Taglios:
NIEROZPOZNANE CIENIE

Tylko dwaj nieżonaci kuzyni Gopala zdecydowali się opuścić miasto w towarzystwie Wielkiego Generała i dowódcy Szarych. Reszta, obciążona rodzinami, postanowiła szukać szczęścia pod władzą najeźdźców.

Mogaba potrafił ich zrozumieć. W nadciągającym zamęcie czystek przeprowadzonych przez zwycięzców liczni spośród jego dotychczasowych sojuszników będą starać się przybrać inny wygląd, wtopić się w nie swoją rasę. Wielu cudownym sposobem zapomni, że w ogóle kiedykolwiek słyszało o Szarych, a co dopiero mówić o udziale w zbrodniczych aktach tych służb.

– Tutaj – powiedział Mogaba, wchodząc jako pierwszy w stare, rozchybotane drzwi. – Powinna wystarczyć. – Wskazał pięcioipółmetrową łódź, którą, jeśli wnioskować po zapachu, przywożono do miasta ryby gdzieś od początku zeszłego stulecia.

Wsiadł na pokład. Gopal i pozostali ostrożnie podążyli za nim. Szadar mieli do wielkich akwenów wodnych stosunek mniej więcej podobny, jak kot do pełnej balii.

– Odwiążcie cumy – nakazał Mogaba. – Wiecie, jak się wiosłuje?

Singh stwierdził, że potrafi. Niemniej zaraz mruknął:

– Ale w zawodach nie miałbym szans.

Ku zdumieniu Wielkiego Generała, udało im się zdobyć łódź bez kłopotów. Nie potrafił pojąć, dlaczego tak wielka łódź nie była zamieszkana. Przynajmniej jedna rodzina mogła znaleźć na niej schronienie. Jednak dzisiejszej nocy całe nabrzeże spowijała atmosfera opuszczenia i ciszy, jakby noce nad rzeką stały się zbyt straszne, by tu żyć.

Bój, który Mogaba toczył sam ze sobą, powoli przycichał. Wciąż jednak musiał sobie przypominać, że w momencie podjęcia decyzji klamka zapadła, że za późno już, by zmienić zdanie i ulec dumnej, aroganckiej stronie swej osobowości. Owocem folgowania tym słabościom był koszmar ostatnich dni. Jakże inaczej wyglądałoby jego życie i świat w ogóle, gdyby był zdolny poskromić swe demony podczas oblężenia Dedzagore.

Za nic nie chciał dożyć swych dni jako znieawidzony, samotny starzec, któremu nie zostałyby nic prócz wspomnień o wiernej i dobrej służbie u szeregu panów godnych najwyższej pogardy.

Biały kruk znalazł ich, kiedy próbowali wykombinować, w jaki sposób podnieść łaćński żagiel. Wiatr dął już całkiem przyzwoicie, chętny ponieść ich po rzece znacznie szybciej niż niezdarne wymachy wiosłami.

Ptak przysiadł na olinowaniu.

– Co robisz? Nie pozwoliłam ci zrezygnować. Dlaczego uciekasz? Bitwa nie jest jeszcze przegrana.

Szadar zagapili się na to widowisko. Mogaba uderzył się w piersi.

– Nie. Bitwa właśnie została wygrana. Tutaj. W końcu. Teraz udam się tam, gdzie nikomu nie będę mógł już wyrządzić krzywdy.

Gopal patrzył to na niego, to na ptaka, powoli zaczynając rozumieć, o co chodzi. Równocześnie stawał się coraz bardziej podniecony i przestraszony.

Ptak potrafił mówić wieloma głosami, choć był przecież tylko nawiedzonym krukiem.

– Zawróć tę łódź na brzeg. Zaraz. Nie będę tolerować dalszego nieposłuszeństwa.

– Już się ciebie nie boję, stara jędzo – odparł Mogaba. – Nie masz nade mną władzy. Nie będę dłużej twoją zabawką, twoim narzędziem, ani dziś wieczorem, ani nigdy.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo tego pożałujesz. Nie pozostanę uwięziona na zawsze. Kiedy wrócę, będziesz pierwszy na mej liście. Gopal Singh, natychmiast zawróć tę obrzydliwą balię... auu!

Gopal uderzył ptaka piórem wiosła. Trzepocząc skrzydłami, gubiąc lotki i wrzeszcząc, kruk zsunął się z olinowania i wpadł do śmierdzącej, mulistej rzeki. Emerytowany komendant Szarych zauważył:

– Słyszeliście kiedyś, żeby ptak tak lał wodę? – Wyszczrzył się. Potem zaczął grzebać w torbie, którą przyniósł na pokład. Naprawdę musiał się

napić. Jego kuzyni zmarszczyli czoła. – Co tak patrzycie, skąpiradła? Teraz jestem już wolnym człowiekiem!

Tenor nieustającej paplaniny ptaka zmienił się nagle, przechodząc w najczystsze krucze przerażenie. W panice zatrzepotał skrzydłami, a tymczasem powierzchnia rzeki uniosła się gwałtownie.

Powstała fala niebezpiecznie przechyliła łódź. Butelka wyślizgnęła się Gopalowi z rąk. Jeden z jego kuzynów zamachnął się mocno wiosłem, uderzył, wybijając może galon wody z materializującej się na ich oczach istoty. Ostatecznie jednak na nic się to zdało.

– Jasna dupa! – stwierdził Singh, leżąc płasko na plecach. – Co to jest, u diabła? – patrzył ponad ramieniem Mogaby.

Na tle łuny pożarów majaczyła *istota*. Istota przypominająca ogromną kaczkę, jednak kaczkę, której uśmiech ukazywał paszczę pełną paskudnych, lśniących zębów. Na dodatek nie była sama.

– Ożeż – westchnął jeden z kuzynów. – Są wszędzie wokół nas. Co jest grane?

Mogaba również westchnął. Nie wyjaśnił jednak, że te potwory zapewne należą do istot, o których nikt nic nie wie, ponieważ nikomu nie dane było przeżyć spotkania z nimi, by je potem opisać.

Taglios:
KRUCZE GADANIE

Aridata Singh właśnie na powrót zasypiał, kiedy obudził go przenikliwy ból, zdający się przewiercać na wylot prawą dłoń. Podskoczył i odruchowo machnął ręką. W sennym zamroczeniu ubzdurał sobie, że to lampa jakimś sposobem uroniła płonącą oliwę; wystraszył się, że posłanie może płonąć. Jednak w pomieszczeniu było ciemno.

Zatem nie ogień. Wobec tego coś musiało go ugryźć. Albo drapnąć szponami. A on to coś machinalnie cisnął na drugą stronę pomieszczenia, gdzie teraz szarpało się słabo, wydając kurczące popiskiwanie. Ci ludzie postanowili go wreszcie bezpośrednio zaatakować? Krzyknął na wartowników.

Kiedy pokój zalało światło, zobaczył, że odwiedził go kruk albinos. Jeden z ludzi szybko narzucił na ptaka koc i go weń owinął. Drugi zbadał rękę Aridaty.

– To tylko mały, obszarpany zwierzak, generale. Powinieneś jednak pozwolić, żeby lekarz obejrzał ranę. Ptaszysko może przenosić jakieś choróbska.

– Poślijcie po mydło i gorącą wodę... Skóra chyba nie jest mocno uszkodzona... Co to jest?

Spod koca owijającego ptaka dobyły się słowa.

– To mówi – powiedział żołnierz, tak zdumiony, że nie stać go było na nic więcej jak stwierdzenie oczywistości.

– Zamknij okno. Zamknij drzwi. Przyłóżcie mu, jeśli zacznie uciekać. – Przypomniał sobie teraz, że jeden z dowódców Kompanii czasami nosił kruki na ramionach. I jeden z nich był biały.

Ptakowi zamknięto wszystkie drogi ucieczki.

– Wypuście go – zarządził Aridata.

Kruk wyglądał, jakby ktoś niedawno próbował go utopić, a potem rozmyślił się i postanowił oskubać. Był w strasznym stanie.

Obszarpany stwór przekrzywił głowę w prawo i w lewo, rozglądając się po pomieszczeniu. Potem podjął wyraźny wysiłek stłumienia swego gniewu, w jego miejsce przywołując dumę i godność.

Aridata doszedł do wniosku, że nie jest to chyba kruk, który towarzyszył facetowi, na którego mówili Konował. Ten wydawał się mniejszy, aczkolwiek równocześnie bardziej namacalny.

Ptak przyjrzał się Singhowi najpierw jednym, potem drugim okiem. Wreszcie spojrział na wartowników. Najwyraźniej na coś czekał.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, mów – zaproponował Aridata.

– Odeślij ich.

– Raczej nie. – Gestem kazał żołnierzom zająć pozycję odpowiednią, by w każdej chwili mogli poskromić ptaka.

– Nie jestem przyzwyczajona do...

– A ja nie jestem przyzwyczajony do tego, by ptak bezczelnie mi pyskował. Zakładam, że przynosisz wiadomość. Przekaż ją. Albo ukreć ci kark i zajmę się swoimi sprawami.

– Obawiam się, że jeśli pożyjesz dłużej, to srodze tego pożałujesz, Aridato Singh.

W tej chwili, gdy głos ptaka się zmienił, Singh zrozumiał, że przemawia przezeń Protektorka. Ale przecież wrogowie pogrzebali ją pod lśniącą równiną. Czyż nie?

– Czekam na twoją wiadomość. Jeśli usłyszę groźbę, każę Vasudzie nadepnąć ci na głowę.

– Bardzo dobrze. Jeszcze popamiętasz, Aridato Singh. Aridato Singh, jesteś obecnie moim wicekrólem w Taglios. Mogaby i Gopala już nie ma. Poinstruuję cię, jakie kroki należy podjąć...

– Przepraszam. Wielki Generał i generał Singh nie żyją?

– Próbowali zrobić coś głupiego. W nagrodę za ich starania widmowe stwory wroga ich pozabijały. Co czyni z ciebie...

Aridata odwrócił się do kruka plecami.

– Džitendra, powiadom wszystkich. Chcę, żeby kompanie natychmiast zerwały kontakt bojowy z nieprzyjacielem. Jedynym wyjątkiem jest

sytuacja, gdy wróg im na to nie pozwoli. I przekaz na drugą stronę frontu, że jestem gotów omówić warunki rozejmu.

Biały kruk zaniósł się stekiem przekleństw.

– Narzuć znowu koc na tego stwora, Vashuda. Może później przyda się nam do czegoś, teraz jednak nie mam ochoty wysłuchiwać jego zrzędzenia.

– Gdybyś chciał słuchać zrzędzenia, generale, zawsze mógłbyś wziąć sobie żonę.

Taglios:
PIASZCZYSTA ŁACHA

Po mieście już krążyły opowieści o tym, jak Wielki Generał po-święcił siebie, aby anulować wszystkie klątwy i przysięgi wiążące jego oraz jego sprzymierzeńców. Ponieważ chciał oszczędzić miastu dalszych zniszczeń z ręki atakujących buntowników i obcych najeźdźców. Zdumiewające. Ledwie zaczęliśmy przejmować władzę, a ludzie już tęsknili za dobrymi, starymi czasami Protektoratu.

Trudno ich za to winić. Minęło pokolenie od czasu, kiedy Prabrindrah Drah po raz ostatni widział stołeczne miasto na oczy.

Zresztą niech czują, co chcą. Byle tylko nie wchodzili mi w drogę.

Tobo i ja szybowaliśmy ponad pałacem, przyglądając się ruinom. Z kupy głązów wciąż sączyły się ku niebu pasemka dymu. Co kilka godzin zapadał się kolejny fragment budowli. Jedną trzecią całego kompleksu stanowiły już tylko gruzy. Ta jedna trzecia obejmowała niemalże cały obecnie zamieszkiwany sektor. Może opuszczone partie zbudowano z bardziej wytrzymałego materiału. Przetrwały w końcu całe dziesięciolecia zaniedbania.

Nawet podczas najgorszych starć ochotnicy z Batalionów Miejskich Aridaty przeszukiwali ruiny, ratując z nich ocalałych i wydobywając ciała, które potem przekazywano zrozpaczonemu krewnym. Teraz praca ta trwała dalej, z tym że już z udziałem jednostek wcześniej zaangażowanych w walki. Ponadto wszędzie dookoła całe bataliony gasiły najbardziej uparte pożary, miast mierzyć się z ogniem najeźdźców.

– Naprawdę sądzisz, że wciąż tam jeszcze są? – zapytałem Tobo. Miałem na myśli Pierdu Pierdu i Goblina.

– Jestem pewien. Ukryty ludek ich widział. Po prostu nie potrafili zapamiętać miejsca, gdzie się przyczaili.

– Jakkolwiek może to wydać się dziwne, potrzebuję ich oboje żywych. Bez nich nie będę w stanie wywiązać się z obietnicy danej Sziwetji.

Tobo mruknął coś pod nosem. Nie wtajemniczyłem go w swoje plany. Tak naprawdę, to krąg tych, którzy je znali, ograniczał się do jednoosobowego konsylium. Złożonego ze mnie. I tak miało pozostać. Gdzie nic nie zostało powiedziane głośno, nikt niczego nie zdradzi.

– Myślę, że Arkana się zakochała. – Dojrzeliliśmy, że dziewczyna Vorszk najwyraźniej znalazła kolejny pretekst, by poradzić się Aridaty Singha.

Tobo znowu coś mruknął. Był już w lepszym stanie niż poprzednio, ale zwycięstwo nie przyniosło mu satysfakcji. Dużo czasu minie, zanim pogodzi się z utratą mamy i taty.

– Natrafiłeś na jakiś ślad Mogaby albo Gopala Singha? – spytałem ponownie. Aridata mówił, że nie żyją. Twierdził, że dowiedział się tego od białego kruka, którego jednak trudno było uznać za świadka szczególnie wiarygodnego.

Chłopak przyglądał mi się przez chwilę, nim odpowiedział:

– Utonęli. Próbując uciec w górę rzeki. Łodzią. Najwyraźniej przewróciła się do góry dnem.

– Rozumiem.

Ton, jakim wypowiedziałem te słowa, sprawił, że spojrzał na mnie uważniej. Oczywiście nie mogłem dostrzec wyrazu jego twarzy. Pozostawała skryta w fałdach ubioru Vorszk. Podobnie jak moje oblicze. Wciąż musieliśmy przywdziewać te płaszcze, ponieważ spora część populacji nie zaakceptowała naszej władzy. Mnożyły się incydenty.

Jednak przeważająca rzesza mieszkańców Taglios wydała zbiorowe westchnienie ulgi i zajęła się na powrót życiowymi sprawami. Jak dotąd prawie żadne represje nie spotkały pachołków obalonego reżimu. Większość ludzi przychyliła się do opinii, że Szarzy zrobili więcej dobrego niż złego, ponieważ zwalczali kryminalną zbrodnię z zaciekleścią większą od tej, jaką okazywali wrogom Wielkiego Generała i Protektorki.

Ogólnie rzecz biorąc, ludzkim masom było całkowicie obojętne, kto rządzi Taglios oraz terytoriami powierniczymi. Osoby aktorów sceny politycznej rzadko wywierały bezpośredni wpływ na ich żywoty, o ile w ogóle.

Ludzka rasa chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Założyłbym się, że moich bliźnich choć odrobinę zainteresuje, co się wokół nich dzieje. Lecz z bliska nic nigdy nie wygląda tak samo jak z daleka.

Graffiti z *radzadharmą* wciąż się pojawiały. Zawsze są tacy, których nie sposób zadowolić. Na murach można było również przeczytać: „Ti Kim jest tutaj”. Nie naciskałem dzieciaka. Nie chciał o tym rozmawiać.

Gotów byłem przejść nad tym do porządku dziennego, mimo iż ta zagadka wciąż mnie niepokoiła. W jego związku z Nierozpoznanymi Cieniami musiało być coś więcej, niżli się z pozoru zdawało.

Zostawiłem chłopaka i okrążyłem pałac. Na zewnętrznym perymetrze nasi ludzie zastąpili żołnierzy Batalionów Miejskich. Stali barwnym szeregiem. Lokalne oddziały uprzątały gruz, zwłaszcza na obszarach, z których przyjaciele Tobo donosili o zasypanych. Wielu wciąż żyło, uwięzionych w pomieszczeniach, które nie uległy zniszczeniu. Teraz ich głównym wrogiem było pragnienie.

Wszystko toczyło się tak, jak powinno. Przynajmniej z pozoru. Jednak czułem niedosyt. Miałem wrażenie, że gdzieś czai się zło. Czysta intuicja. Oparta na podświadomych przesłankach.

Postanowiłem opuścić napowietrzny teren pałacu. Po drodze pomachałem do Szukrat, która po dostarczeniu wiadomości Prabrindrahowi Drahowi i Radiszy natychmiast musiała się zobaczyć z Tobo. Kiedy dzieciaki zniknęły mi z oczu, nabrałem szybkości i ruszyłem ku rzece.

Zacząłem od nabrzeża w dole nurtu. Powoli ruszyłem w górę rzeki. Łodzie nie wypłynęły na rzekę. Jakby walki wciąż trwały. Zadałem kilka pytań przerażonym rybakom, nie do końca pewny, czego właściwie szukam. Minęło dość czasu, by prąd zaniósł ciała i wrak aż na bagna delty.

Albo nie.

Tuż za łukiem północnego brzegu rozciąga się łącha piasku długa na półtora kilometra. Rzeka utworzyła ją tak dawno temu, że zdążyła już zamienić się w wyspę, z trawą porastającą brzegi, krzakami i drzewami w najwyższych partiach. Przesmyk po jej północnej stronie jest wąski, płytki i zatkany błotem. Przewrócona dnem do góry łódź spoczywała u jego wylotu. Obok niej leżało ciało mężczyzny zanurzone do połowy w mule. Kilkunastu Taglian odzianych tylko w biodrowe przepaski próbowało ustawić łódź we właściwej pozycji, przygotowując ją do ściągnięcia z łąchy.

Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na zwłoki. Przecież należały do Szadar, oni zaś byli Gunni.

Szabrownikom zdecydowanie nie w smak była spływająca z nieba sylwetka w rozwianych czarnych szatach. Kilku skoczyło w przesmyk i popłynęło na północny brzeg. Pozostali pospieszyli ku zaroślom na wyspie. Inni jeszcze spróbowali wrócić do łodzi, którą przy płynęli. Stała przycumowana do wyspy sto metrów dalej.

Martwy Szadar był chyba oficerem Szarych. Pod kadłubem łodzi odkryłem kolejne ciało, również należące do żołnierza Szadar. W gałęziach i nad koronami pobliskich drzew dały się kruki, rzecz ciekawa, ponieważ ostatnimi czasy rzadko je widywano.

Przeleciałem kilka razy powoli nad łachą, przepędziłem ptaki, a potem ostrożnie opuściłem się między gałęzie.

Mogabę rozpoznałem tylko po niezwyklej dla tych stron barwie fragmentów skóry, które jeszcze trzymały się ciała. Tożsamości zwłok Gopala Singha mogłem wyłącznie się domyślać. Torturowano ich. Ze skrajnym okrucieństwem, długo. Mogabę pewnie nawet wiele dni. Jego ciało nie nosiło widocznych oznak posuniętego rozkładu.

Poleciałem w dół strumienia, skręciłem za wyspą i w końcu dołączyłem do moich ludzi. Znalazłem Arkanę.

– Musimy porozmawiać, adoptowana córko. – Uniosłem kciuk. Gdzieś w górze, pod jaskrawym południowym słońcem.

Od razu zorientowała się w powadze sytuacji. Poleciała trzysta metrów w górę, kierując się na południe, jakbyśmy naprawdę mieli zamiar na własne oczy obejrzeć postępy oddziału Prabrindraha Draha. W rzeczy samej, na południu dawało się już dostrzec obłok kurzu znacznych rozmiarów.

– O co chodzi? – zapytała.

– Podejrzewam, że Tobo mógł wyrwać się spod kontroli. Przynajmniej częściowo, co zresztą na jedno wychodzi. Jeśli nie będziemy uważać, pożałujemy, że nie ma już matki, która złażałaby go porządnie. Albo chociaż że Ospała czy Murgen nie żyją. Fizycznie może być już dojrzałym mężczyzną, jednak psychicznie wciąż nie radzi sobie z dorosłością. – Opowiedziałem jej, co odkryłem na piasku.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Nigdy nikogo do niczego nie dopuszczasz, tato.

– Ponieważ widziałem, jak oczy świecą ci się do generała Singha. A on był towarzyszem broni Wielkiego Generała i Gopala Singha. Jeśli Tobo rzeczywiście przewróciło się w głowie, w następnej kolejności może wziąć się do Aridaty.

– Dlaczego winisz Tobo?

Przedstawiłem jej swoje rozumowanie, głównie oparte zresztą na ocenie charakteru Wielkiego Generała.

– Mogaba wiedział, że Aridata będzie chciał oszczędzić Taglios skutków dalszych walk. On sam również tego chciał. Jednak nie mógł się poddać. A poczucie honoru Aridaty nie pozwalało mu opuścić Mogaby. A więc Mogaba zaaranżował całą rzecz w taki sposób, by nie został on niczym obciążony. A potem Tobo go dopadł.

– Nie wytłumaczyłeś, dlaczego winisz Tobo.

– Ponieważ tylko Tobo mógł wiedzieć, co Mogaba ma zamiar zrobić i gdzie to nastąpi. Tej nocy na rzece działy się paskudnie złe rzeczy. Wszyscy ludzie z nabrzeża uciekli i schowali się w mieście.

– W porządku. Załóżmy, że to prawda. Co masz zamiar zrobić?

– Właśnie zrobiłem. Powiedziałem ci, żebyś uważała. A teraz mam zamiar się przekonać, czy moja żona nie czuje się lepiej z rana.

Wiedziałem, że nic takiego nie nastąpi. Powoli zaczynałem tracić nadzieję.

Taglios:
WOLNE POPOŁUDNIE

Wziąłem Panią na piknik. Przy drobnej pomocy moich adoptowanych córek. W próżnej nadziei, że odrobina słońca i świeżego powietrza poskutkuje tam, gdzie nawet największe wysiłki Tobo zawodziły. Chłopak czarodziej twierdził, że powinienem się uważać za szczęściarza. Gdyby nie była Panią, lecz jakąś zwyczajną osobą, zginęłaby na miejscu. Zapewniał mnie nadto, że nie mamy do czynienia z tym samym zaklęciem, które zabiło Sedvoda i wciąż trzymało w objęciach Duszołap. Ja osobiście nie potrafiłem dostrzec żadnej wyraźnej różnicy – prócz tego, że Pani wciąż żyła.

Mógł mi jedynie doradzić, żeby zapytać sprawcę, kiedy już go znajdziemy.

Dziewczyny zostawiły mnie sam na sam z moją najdroższą. Trzymałem ją za rękę i rozwodziłem się nad tysiącem rozmaitych rzeczy: wspomnieniami, sprawami bieżącymi, nadziejami. Podzieliłem się również moimi troskami i podejrzeniami odnośnie do Tobo, co w istocie mogło nie być takie znowu bezpieczne, ponieważ nie wiedziałem, kto słucha.

Nic, co zrobiłem, nie pomogło jej nawet odrobinę, mnie również nie zrobiło się ani trochę lżej. Toczyłem naprawdę wyczerpujący bój z rozpaczą.

Z towarzyszeniem chrzęstu świeżo wypolerowanej zbroi przytruchtał czyściutki kapral z Hsien.

– Kapitan przesyła wyrazy uszanowania, prosi pana, i prosi o przybycie do pałacu. Chyba zlokalizowali miejsce pobytu Khadidasa i Córki Nocy.

– Cholera! Tak. Będę tam najszybciej jak się da. Powiedz im, żeby niczego nie robili. Powiedz, by zachowali skrajną ostrożność. Ci dwoje są

zabójczo niebezpieczni.

Oczywiście zdawali sobie z tego sprawę. Poza tym Tobo będzie na miejscu, żeby im przypomnieć. Jednak powtarzać nigdy nie zawadzi. Zwłaszcza kiedy pomaga to przetrwać w niebezpiecznych czasach.

Nadbiegły Szukrat i Arkana.

– Co jest? – zapytała Szukrat.

Kiedy wyjaśniłem, zdałem sobie sprawę, że między dziewczynami układa się obecnie chyba znacznie lepiej. Najwyraźniej potrafiły zapomnieć o sporach, dzielących je, nim trafiły w ręce Czarnej Kompanii.

Kiedy we trójkę odwoziliśmy Panią do namiotu, zapytałem Arkanę:

– Masz zamiar wrócić kiedyś do domu?

– Co?

– Dom. Miejsce, gdzie się urodziłaś. Świat, który ja określam mianem Khatovaru. Chcesz kiedyś wrócić? Myślę, że mógłbym ci to załatwić.

– Ale tam wszystko zostało zniszczone.

– Wcale nie. Tak powiedzieli Pierwszy Ojciec i Naszun Badacz, ale stanowiło to tylko usprawiedliwienie dla ich tchórzostwa.

– Nie wiem, czy mogę w to wierzyć.

– Dobrze. Świetnie. Tak właśnie chciałbym wychować swe dzieciaki. Sceptycyzm. Niewiara. Wedle Sziwetji to prawda. Ale ja sam też nie jestem na sto procent pewien naszego demonicznego przyjaciela.

– Dlaczego mnie nie zapytałeś, czy chcę wrócić? – domagała się wyjaśnienia Szukrat.

– Ponieważ ty nie chcesz. Chcesz być tam, gdzie jest Tobo.

– To nie żadna tajemnica. Ani przestępstwo. Jednak nie straciłam jeszcze całkiem głowy. Nie jestem z tych, którzy „umierają z miłości”. Jeśli będziecie mieli zamiar polecieć, zawiadomcie mnie wcześniej. Wtedy postanowię, co chcę zrobić.

Taglios:
POWRÓT RODZINY KRÓLEWSKIEJ

Nie dotarłem do pałacu. Zanim w ogóle wyruszyłem, Szukrat zdążyła już wrócić z poleceniem stawienia się przed Południową Bramą. Prabrindrah Drah właśnie wjeżdżał do miasta i Sjuwrin chciał, żeby zorganizować powitanie człowieka, w którym kazaliśmy mieszkańcom upatrywać prawowitego władcy miasta.

Wziąłem garstkę żołnierzy z Batalionów Miejskich oraz paru ich oficerów i poszedłem, narzekając przez całą drogę. Obawiałem się, że przyjazd księcia stanowić będzie wielkie rozczarowanie, zarówno dla niego, jak i jego siostry.

Nie obchodzili Taglios.

Zmobilizowałem jakichś ludzi, kazałem im zawiadomić, kogo się da, spróbować coś zorganizować.

Efekty nie były szczególnie okazałe. Przy trasie za bramą stał rzadki tłumek widzów, spośród nich tylko ludzi naprawdę już wiekowych stać było na słabutki wiwaty.

Nienawidzę marnować dobrych okazji do urządzenia pompy i widowiska. Ale z drugiej strony nikomu jakoś szczególnie na tym nie zależało. Aridata przysłał swoją orkiestrę wojskową, nieco za późno. Lepiej byłoby, gdyby nie zrobił tego w ogóle. Moim zdaniem wypadli strasznie. I nie tylko dlatego, że to, co się w tej części świata uważa za muzykę, jest mi tak obce. W końcu spędziłem tu pół życia.

– Ci goście dużo ćwiczą? – spytałem Singha.

– Byli zbyt zajęci wojowaniem.

Spodobała mi się postawa Aridaty. Każdy z jego ludzi miał być najpierw żołnierzem, a dopiero potem czymkolwiek innym.

– Niestety muszę ci powiedzieć, że ksiązę nie sprawia szczególnie korzystnego wrażenia – zauważył. – Mam nadzieję, że okaże się lepszym władcą niż showmenem.

Sam również zaczynałem wątpić, czy sprowadzenie księcia okaże się dla Taglios pomyslnie. W mieście zaszły wielkie zmiany, on sam też się zmienił. Może się okazać, że nic go już z nim nie łączy.

Wzruszyłem ramionami.

– Jest stary. Jeśli nie potrafi zaoferować Taglios tego, co mu potrzebne, miasto nie będzie musiało długo znosić jego rządów.

Za dawnych lat między księciem a mną układało się niezłe. Póki nas nie zdradził. Podczas służby w charakterze oficera mojej armii cechował go głód nauki i pragnienie robienia wszystkiego w najlepszy możliwy sposób. Tak więc kiedy spotkaliśmy się pod Południową Bramą, powiedziałem mu prosto z mostu, że pierwszym rozporządzeniem nowej władzy, która obecnie spoczywa w jego rękach, musi być ustalenie powszechnie akceptowanej linii sukcesji. W przeciwnym razie po jego śmierci zapanuje chaos.

– *Radzadharna*, stary kumplu. Wykonaj swoją robotę.

Swoją uwagę zasłużyłem sobie na zmęczone spojrzenie i niewiele więcej. Ksiązę wydawał się zużyty, wykończony. Jego siostra miała w sobie więcej życia, pomimo większej liczby lat na karku, gdyż nie dzieliła stazy Zniewolenia z bratem. Zapewne wcześniej odejdzie z tego świata, choć urodziła się znacznie później.

W każdym razie i tak nie mogła zostać władczynią tytularną. Sprawując rządy przez te wszystkie lata, zawsze występowała jako regentka do czasu, póki prawowity władca nie powróci. Ponieważ wedle wersji oficjalnej Prabrindrah Draha wciąż gdzieś tam żył. W tych stronach ani obyczaj, ani prawo nie pozwalały kobietom na suwerenne panowanie.

Arkana wyszła mi na spotkanie.

– Naprawdę znaleźli Khadidasa i Córkę Nocy, tato. – Odgrywała obecnie coraz aktywniejszą rolę w naszym teatryku, chętnie biorąc na siebie obowiązki mojej osobistej asystentki. Gdybym tylko potrafił zmusić ją do nauki pisania po tagliańsku... Podejrzywałem jednak, że u podstaw wszystkiego spoczywają moje częste spotkania z Aridatą Singhem. Zauważyłem zresztą, że Singhowi też nie umknęło, jak smakowity kąsek

stanowi moja dziewczynka, chociaż ochronne ubiory Vorszk bynajmniej nie uwydatniały walorów sylwetki.

Tobo okazał dość cierpliwości, by poczekać, aż dotrę do pałacu. Podejrzewam, że tylko z czystej grzeczności, przez wzgląd na to, iż mieliśmy do czynienia z moją rodzoną córką i byłym przyjacielem.

Moja rodzona córka. Dorosła kobieta, której nie widziałem nigdy na oczy. Poznana niecały rok temu Arkana była mi bardziej dzieckiem. A Narajan Singh w znacznie większym stopniu był ojcem Pierdu Pierdu.

Aridata znajdował się na miejscu, żywo zainteresowany. Ciekawe dlaczego? Potem przypomniałem sobie, że kilkakrotnie zdarzyło mu się spotkać Pierdu Pierdu, a kobiety z jej rodziny potrafiły dobrać się do skóry każdemu bez większego wysiłku.

Być może jednak znacznie bardziej niepokoił go Khadidas.

Z początku książę posmutniał, kiedy znienacka wszyscy przestali nań zwracać uwagę... a potem dokładniej przyjrzał się temu, co zostało z pałacu.

Jęknął w głos – podręcznikowy okrzyk zawodu. Potem dramatycznie zazgrzytał zębami.

Sjuwrin wkroczył do akcji. Mały tłuscioszek, jeśli tylko chciał, potrafił w kontaktach z ludźmi być śliski niczym łasica. Co może zresztą idealnie przysłużyć mu się w nadchodzących czasach. Odwróciłem się do Arkany, wydałem jej od dawna umówiony rozkaz. Pofrunęła do moich pokoi w budynku przeznaczonym na kwaterę główną. Kiedyś były tam baraki Szarych.

Większość Szarych gdzieś się zapodziała. Wszyscy udawaliśmy, że nie dostrzegamy, iż w Batalionach Miejskich służy nieproporcjonalnie wielka liczba Szadar w porównaniu, powiedzmy, do czasów, gdy naparzialiśmy się z nimi na ulicach.

Aridata postanowił wziąć ich pod swe skrzydła. Chociaż i tak nastroje odwetowe były znacznie słabsze, niż oczekiwałem. A jeśli już, to skupiały się głównie na jednostkach.

Na widok stanu, w jakim znajdował się pałac, również Radisza Drah wydała przepełniony rozpaczą okrzyk. I ona, i jej brat przez kilka chwil nie potrafili wykrztusić słowa. Potem ona przerwała milczenie, ale tylko po to, by po raz kolejny głośno jęknąć.

– Mam nadzieję, że nie dojdą do wniosku, iż wszystko jest naszą winą – zwróciłem się do Sjuwrina – i nie postanowią wyrównać rachunków. – Nie podejrzewałem, by mogli okazać się równie głupi, po tym co przeszli, odkąd zwrócili się przeciwko nam, jednak z panującymi nigdy nie wiadomo. Myślą inaczej niż normalni ludzie. Realia prawdziwego świata wydają się nie mieć do nich dostępu.

Tu i tam znad ruin wciąż unosiły się smużki dymu. W czasie, gdy im się przyglądałem, kupa gruzów osypała się niewielką lawiną.

– Podczas trzęsienia ziemi konstrukcja musiała ucierpieć bardziej, niż nam się wydawało – stwierdził książę.

– He? – Zdarzyło się to tak dawno temu, że zupełnie o tym zapomniałem. – Prawdopodobnie masz rację. Poza tym Protektorka przez cały czas swego panowania nie wydała nawet miedziaka na remonty. –

Podszedłem do Tobo, który niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. – Gdzie moje skarby?

Zanim pytanie przebrzmiało, Arkana spłynęła w dół; fałdy czarnej materii jej okrycia łopotały i trzaskały na wietrze. Miała czarną włócznię i paskudny kapelusz Jednookiego. Nakrycie głowy wciąż roznosiło wokół siebie odrażającą woń starucha, który był jego właścicielem.

– Przy czerwonej fladze.

Tyczki z kolorowymi proporcami oznaczały miejsca, gdzie Nierozpoznane Cienie wykryły znajdujących się pod gruzami ludzi. Czerwone były tylko dwa. Wszędzie indziej straszyla czerń. Tam nie trzeba było się spieszyć z kopaniem. Wokół drugiej czerwonej szarfy trwała gorączkowa krzątanina.

– Kto tam jest? – zapytałem.

– Dziesięciu, dwunastu ludzi zamkniętych w jednym ze wzmocnionych pomieszczeń skarbcza. Przez bambusowe rury podajemy im wodę i żywność. Wszystko będzie dobrze.

– Mhm. – Potrafiłem sobie wyobrazić koszmary nocne, jakie będą nawiedzać ich przez resztę życia. – Nie spuszczaaj oka z tych rzeczy – nakazałem Arkanie. Przyjrzałem się kamieniom u podstawy tyczki oznaczonej na czerwono. – Tobo, myślisz, że są przytomni?

– Nie wydaje mi się.

– Ciarki przechodzą mnie na myśl, że tam siedzą i kombinują coś paskudnego na chwilę, gdy ich wykopujemy.

– Nie możemy ich tam zostawić – odparł chłopak. – Bez wody umrą.
– Jest to jakieś rozwiązanie. – Ale nie o to mi chodziło. W istocie cierpiałyby tylko Pierdu Pierdu. – Sjuwrin, mogę? – Kiedy skinął głową, dałem znak ludziom oczekującym z boku na polecenia. Jeśli dziewczyna była przytomna, z pewnością wkrótce mogliśmy oczekiwać tych gierek z „kochaj mnie”. Co oznaczało, że końcówkę prac odkrywkowych mogli prowadzić tylko chronieni kostiumami Vorszk.

Kiedy pałac runął, Khadidas i Córka Nocy wpełzli w kątek swej kryjówki. Ściany jakoś wytrzymały. Jednak woda i jedzenie skończyły się im wcześniej.

Moje dziecko niestety dysponowało lampą i odpowiednimi materiałami, podjęło więc próżny wysiłek dalszej transkrypcji Ksiąg Zmarłych, być może w nadziei, że dzięki temu Kina zdąży urosnąć w siłę i ją wybawić. W przeciwnym razie jej widoki rysowały się marnie.

Często zastanawiałem się nad tym, co Pierdu Pierdu musiała przejść w ciągu swego trwającego blisko ćwierć wieku życia. O tym, co jej zrobiono, i o tym, czym się stała we własnym mniemaniu. Zdolna do miłości część mej duszy podpowiadała mi, iż oszczędzenie jej okrucieństwa przebudzenia byłoby aktem najwyższego miłosierdzia.

Jednak nigdy nie wyszedłem poza sam pomysł. Żaden argument, jaki mógłbym wytoczyć, i tak nie przekona Pani o dopuszczalności takiego postępu. Tak bardzo zależało jej na posiadaniu małej Pani.

Obok siebie ujrzałem Radiszę. Zdumiewające, jak bardzo się postarzała. Korzystała z laski.

– To jednak była prawda – poinformowała mnie zmęczonym głosem.
– Co mianowicie? – Chociaż wiedziałem, co chce powiedzieć.
– Nadejście Czarnej Kompanii oznaczało koniec Taglios. Po prostu nastąpił w sposób, którego sobie nie wyobrażaliśmy.

– Wszystko, czego chcieliśmy, to tylko spokojnie przejechać.
Pokiwała głową, starając się ukryć gorycz.
– Uważasz, że potraktowaliśmy Taglios bezlitośnie? Zastanów się, co muszą czuć Władcy Cienia.

– Ale z Taglios jeszcze nie skończyliście – zauważył Prabrindrah Drah, przyłączając się do nas. – Właśnie się dowiedziałem o Pani. Co z nią jest?

– Stan stabilny. – Następny mężczyzna, który w swoim czasie podkochiwał się w mojej żonie. – Ale w tej drugiej kwestii masz rację. Do

pewnego stopnia. Tak długo, jak różni ludzie będą próbowali zrobić nas w konia, komuś będzie dziać się krzywda. Jednakże to nie musiało trwać tak długo. Byliśmy blisko miejsca, do którego zmierzaliśmy. – Zrobiłem parę kroków naprzód i przemówiłem do kopiących, najpierw w mowie Dzieci Zmarłych, potem po tagliańsku. – Jesteśmy coraz bliżej. Przestańcie pracować, dopóki nie pojawią się ludzie dysponujący ochroną. Tobo! Dziewczęta. Prawie skończyliśmy.

Niedaleko od nas cała ceglana ściana uległa powabowi grawitacji.

Taglios:
OTO MOJA CÓRKA

Żołnierze otworzyli niepewne przejście, przez które można się już było precyzyjnie. Poprosiłem o lampę, chcąc pierwszy wejść w ciemność. Kiedy jednak ją przyniesiono, Tobo wyrwał mi ją z ręki. Nie sprzeciwiałem się. Był lepiej wyposażony ode mnie.

Kilka chwil po tym, jak chłopak pochylony zaczął gramolić się do środka, z otworu wychynął jezor płomienia o barwie uryny. Odbił się od sylwetki Tobo, liznął blok kamienia, rozproszył. To było potężne uderzenie. Kamień stopniał. A odprysk rykoszetu sięgnął Prabrindraha Draha.

Efekt był paskudny. Natychmiastowy zgon.

– To już koniec – zawołał Tobo, nieświadom katastrofy. – Niczym więcej nie dysponuje. Przegrał. Konował, pomóż mi ich wyciągnąć.

Radisza zaniósł się szlochem.

Chłopak natychmiast zrozumiał rozmiary katastrofy. W jednej chwili imperium tagliańskie zostało pozbawione sternika. I nie było nikogo, kto byłby uprawniony do zajęcia jego miejsca.

– Mogą poczekać jeszcze chwilę – powiedziałem. – Książę oberwał. Chciałbym udzielić mu natychmiast pomocy medycznej. – Może po raz kolejny da się odegrać szopkę i stworzyć wrażenie, że najwyższe władze mają się świetnie, tylko nie chcą pokazywać się ludowi na oczy. Duszołap jakoś się to udawało. Wielkiemu Generałowi się udawało. Dlaczego nie miałyby się udać mojej bandzie oportunistów?

Tym razem jednak świadków było chyba zbyt wielu, choć Sjuwrin i Aridata natychmiast podchwycili zamysł, a po kilku chwilach nawet sama Radisza przyłączyła się do przedstawienia. Posunęła się nawet do tego, że groziła mi poważnymi nieprzyjemnościami, jeśli jej brat umrze.

Zdając sobie już sprawę z grożącej politycznej katastrofy, Tobo wykonał kilka teatralnych sztuczek dla odwrócenia uwagi. Które jakoś mi umknęły, ponieważ starałem się jak najszybciej usunąć księcia z widoku publicznego. Za moimi plecami pojawiło się mnóstwo rozbłyków, wśród ruin zamigotały zmienne barwy. Obsunął się spory fragment budowli. A Szukrat pomagała Tobo wydobyć Khadidasa spod ziemi.

Ludzie Aridaty odnieśli na bok nosze z księciem.

Kiedy już usunęliśmy jego ciało, wraz z Arkaną zacząłem przeciskać się przez gruzy w kierunku otworu. Skinąłem na kolejnych noszowych. Istota, którą wydobyto na światło dnia, nie wydawała się groźna. Przypominała starszą, umęczoną wersję tego Goblina, którego nie było już wśród nas.

– Chcesz teraz te rzeczy? – zapytała Arkana.

– Poczekaj jeszcze chwilę. Dajcie go tutaj, chłopcy. Na nosze. Spokojnie. Spokojnie! Tobo, możesz go obudzić? Tylko na moment! Wystarczający, żeby mnie rozpoznał i zobaczył, co robię?

– Mogę. Jeśli nie obawiasz się ryzyka. – Chłopak mówił głosem nieco zdławionym. Spojrzał na włócznie i wstrętny kapelusz, najwyraźniej z całej siły próbując uwierzyć, że naprawdę dysponuję sposobem osiągnięcia Goblina zamkniętego we wnętrzu Khadidasa. Goblina, który zawsze był mu niczym wujek.

– O cholera! – powiedziałem. – Czeka! Czeka!

– Co?

– Właśnie przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl. Czy Kina może coś zrobić za pośrednictwem Pani, kiedy wypędzimy diabła z Goblina?

Tobo wziął głęboki wdech, potem powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób. Po co jednak ryzykować? Ona jest Matką Oszustów. Szuk, kochanie, zrób mi przysługę. Znajdź w moim pokoju mały dywan. Zwiń go i przynieś tutaj. Przetransportujemy ich za jego pomocą.

Szukrat wskoczyła na swój słup i zniknęła nam z oczu. Czekać na nią, Tobo wznosił zaimprovizowany baldachim dla ochrony Goblina przed ewentualnym deszczem, potem znowu zniknął w otworze. Nie poprosił o pomoc, więc stałem z boku w towarzystwie Aridaty i Arkany, aż skręcając się w środku na myśl o pierwszym spotkaniu z Pierdu Pierdu.

– Pod gruzami wciąż się pali? – zapytałem Singha. – Co, u diabła, może jeszcze tam płonąć?

– Akta z ostatnich pięciuset lat. Należące do Generalnego Inspektora Archiwów. Kiedy już przystąpimy do odbudowy, będzie mnóstwo zabawy z zebraniem tych wszystkich informacji do kupy.

Szukrat, nasze słodkie kochanie, najwyraźniej nie miała kłopotów z rozeznaniem się w kwaterach Tobo. Zanim dzieciak zdążył wyściubić nos z otworu, była już z powrotem, ściskając pod pachą zwój latającego dywanu. Z pomocą Arkany złożyła ramę i naciągnęła ściśle materię.

Arkana wreszcie zebrała się na odwagę, by przemówić bezpośrednio do Aridaty w kwestii innej niż zawodowa.

– Myślisz, że będzie padać?

Widać było, że w środku kurczy się jak ślimak posypany solą. Cała ta wewnętrzna walka, żeby się odezwać, a wszystko, na co było ją stać, to najgorszy banał. Pierwsze krople deszczu zaczęły nieregularnie kapać na ziemię już dobrą minutę temu.

Była tylko dzieckiem.

Khadidas zajął miejsce na latającym dywanie. A ją dwóch żołnierzy, jeden z Taglios i jeden z Hsien, wyciągnęło za kostki na światło dnia.

– Wszystko w porządku, tato? – zapytała Arkana, ujmując mnie pod lewe ramię.

– Wygląda tak samo jak Pani, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. –

W czasach grozy. Tutaj też panowała groza, jednak zupełnie innego rodzaju.

– Wobec tego za swych młodych lat twoja żona musiała naprawdę mieć paskudne obyczaje, jeśli chodzi o higienę osobistą.

– No, ale szybko się uczyła. Tobo, możesz zrobić tak, żeby Pierdu Pierdu się nie obudziła, póki nie będzie mi potrzebna? – Nie miałem ochoty paść ofiarą jej czarów. – I odtąd tę dwójkę należy trzymać jak najdalej od siebie. Nie chcemy przecież, żeby znowu coś wymyślili.

– Zdecydowanie nie chcemy – mruknął ktoś. Szukrat, jak po chwili zdałem sobie sprawę. Wyraźnie nie podobał się jej sposób, w jaki Tobo przewiercał wzrokiem Córkę Nocy.

Druga połowa mego adoptowanego potomstwa również nieszczególnie aprobowwała przeciągłe spojrzenia Aridaty Singha w tym samym kierunku.

– Konował, może zechcesz się obudzić? Choćby na moment? – zawołał Tobo. – Aby ją zbadać. Może jej czego brakuje albo coś złamała.

Jeden z żołnierzy miasta powiedział do drugiego, że jego zdaniem wygląda, jakby wszystko miała na swoim miejscu. Odrobina mydła i jakieś czyste ubranie...

W życiu nie sądziłem, że jako ojciec będę musiał puszczać tego rodzaju uwagi mimo uszu.

Facet miał jednak rację. Była ślicznym dzieckiem. Podobna do matki jak dwie krople wody. I tak jak w przypadku Pani, jej piękno wręcz narzucało się patrzącemu. Musiałem napominać siebie samego, żeby nie ulec ułudzie tego, co oglądałem, ani tego, co chciałem czuć. Nie mogłem ufać swoim emocjom. Może wcale nie zrodziły się w mojej duszy. Matka Oszustów jeszcze nie poddała tej rozgrywki.

Ukląknęłam przy mojej córce. Faktycznie, uczucia aż we mnie kipiały. Czułem się tak, jakbym miał tysiąc lat, a równocześnie był zupełnie bezbronny. Ogromnego wysiłku woli wymagało, by jej bodaj dotknąć.

Miała zimną skórę.

– Ma mnóstwo stłuczeń i obtarć, ale żadnych poważniejszych obrażeń. Przynajmniej trwałych uszkodzeń ciała. Jest odwodniona – ogłosiłem po chwili. Drżała za każdym razem, gdy jej dotykałem, jakbym przesuwiał po jej ciele soplem lodu. – Pod opieką dojdzie do siebie. Połóżcie ją obok Pani.

– Będzie potrzebny ktoś, kto by przy niej czuwał – rzekł Tobo. – Żeby czegoś nie zrobiła.

– Ja będę.

– Ja też.

Szukrat i Arkana zgłosiły się na ochotnika.

Cóż. Czyżby obawiały się konkurencji ze strony obtłuczonej, nieprzytomnej kobiety, która nie wiedziała o mężczyznach absolutnie nic?

Założę się, że Tobo chichotał w duchu, mówiąc:

– W porządku, moje panie. Ustalcie sobie jakiś rozkład dyżurów. Konował, co chcesz zrobić z Goblinem?

Sjuwrin wydawał się nieco podrażniony. Wydarzenia toczyły się naprzód bez konsultacji z nowym Kapitanem Czarnej Kompanii. W rzeczy samej w sprawach dotyczących Pierdu Pierdu oraz Khadidasa nie był zbyt biegły.

– Schowaj go gdzieś. Zanim zabiorę się do niego, muszę najpierw porządnie wypocząć. Póki co będziemy potrzebować kogoś, kto wpełźnie do tej nory i wyciągnie wszystko, co Pierdu Pierdu zdążyła napisać. Najlepiej, żeby był z Hsien. Jakiś analfabeta. Nie możemy ryzykować, że

ktokolwiek to przeczyta. Potem ja się nimi zajmę. Teraz jednak mam zamiar się przespać. Jestem kompletnie wyczerpany.

Taglios:
NASTĘPNY WIELKI GENERAŁ

Martwiłem się. Przeszłowałem z nogi na nogę niczym malutki chłopczyk podczas ceremonii ślubnej, któremu strasznie chce się siusiu. Był już następny dzień, a ja wciąż nie mogłem zacząć z Pierdu Pierdu i Khadidasem. A darowanie im i ich bogini zbyt dużo czasu oznaczało dopraszanie się kłopotów.

Tymczasem jednak czekały na mnie bardziej naglące obowiązki. Wojna dobiegła końca. Trzeba było zająć się posługą wobec zmarłych. I nałożyć kaganiec ogromnemu miastu, które oplakiwało swoich poległych. Jednym z pierwszych efektów niedawnej katastrofy będzie wzmożona aktywność spiskowców i konspiratorów.

Dzieci Zmarłych wiedziały, jak powinno się chować poległych towarzyszy. Bębny zawodziły i mruczały głębokim basem. Rogi wyczarowywały nastrój ponurego, zimnego i deszczowego poranka, kontrastujący z jasnym, bezchmurnym niebem. Żołnierze maszerowali w orgii jaskrawych kolorów, z tysiącem proporców powiewających nad głowami. Na mieszkańcach miasta wywarło to odpowiednie wrażenie. Odprowadzaliśmy Ospałą w stylu, o którym za życia na pewno nawet nie marzyła. Żegnaliśmy wielu, wielu ludzi.

A potem odstąpiliśmy i oddaliśmy stosowne honory równie wielkiemu, nawet jeśli nie tak teatralnemu konduktowi, odprowadzającemu tych, którzy padli w obronie Protektoratu. A kiedy ceremonia dobiegła końca, razem z tagliańskimi żołnierzami pochowaliśmy Prabrindraha Draha.

Jego pogrzeb był największym, w jakim zdarzyło mi się kiedykolwiek uczestniczyć. Odnosiłem jednak przemożne wrażenie, że wszyscy ważniejsi ludzie miasta, którzy się nań wybrali, raczej popatrywali na siebie

podejrzliwie, zamiast opłakiwać władcę, niewidzianego przecież od czasów wczesnej młodości.

Aridata Singh cieszył się sporą popularnością wśród tych ludzi, ponieważ zdołał zapewnić sobie lojalność niedobitków 2. Dywizji Lokalnej, Szarych oraz dowódców prowincjonalnych garnizonów w pobliżu miasta. Tym samym stał się najpotężniejszym człowiekiem na Terytoriach Tagliańskich, mimo iż w istocie wcale o tę władzę nie zabiegał – był po prostu kompetentnym i miłym facetem.

Powiadają, że potrzeba rodzi człowieka. Czasami zrzędzeniem losu kompetentny, uczciwy człowiek znajdzie się we właściwym czasie na właściwym miejscu. W ciąguomalże jednej nocy autorzy graffiti przyznali Aridacie stary tytuł Mogaby – tytuł Wielkiego Generała.

Teraz musiał tylko uniknąć rozdrażnienia okupantów.

Próbowałem nie spuszczać Tobo z oka, ale w przypadku dzieciaka tak utalentowanego było to niełatwe zadanie.

Taglios:

OTWARTY GRÓB, OTWARTE OCZY

Przewlekła ceremonia dała mi się mocno we znaki. Jedyne, czego chciałem, to dłuższej drzemki. Jednak nie miałem zamiaru podarować Królowej Ciemności ani chwili więcej.

– Tu je masz – poinformowała mnie Arkana kiepskim, doskonale kolokwialnym tagliańskim, wskazując osiem maleńkich baryłek. – Ośmiu różnych ludzi po kolei wpełzało na dół i każdy wpychał wszystkie papiery... co mu wpadło w ręce... do baryłki. A kiedy ostatni wyszedł, kazałam je zapieczętować. Bednarzowi analfabecie.

– Jesteś prawdziwym skarbem, droga córko. Panowie, zróbmy sobie ognisko. – Przyprowadziłem kilka wozów załadowanych drewnem kupionym od handlarza dostarczającego opał na stosy pogrzebowe. Mając na względzie niedawne wydarzenia, byłem zaskoczony, że znalazłem jeszcze cokolwiek.

Wszyscy panowie słuchający mych słów wywodzili się z Hsien. Wiedzieli tylko tyle, że osiem baryłeczek zawiera nadzieje życia potwora o sercu czarniejszym niżli legendarni Władcy Cienia, którzy zostawili po sobie umęczoną Krainę Nierozpoznanych Cieni. I nic więcej wiedzieć nie powinni.

Stos urósł szybko, baryłki rozmieszczono równomiernie w całej jego objętości. Samotna, błakająca się w mej głowie myśl oplakiwała los najnowszej inkarnacji Ksiąg Zmarłych. Wstrętem napawała mnie sama idea palenia książek. Jednakowoż nie uczyniłem najmniejszego gestu, kiedy stos oblano oliwą, a potem skoczyły ku niemu kule ogniste.

Moje zastrzeżenia mogły być efektem manipulacji Kiny.

Patrzyłem, póki się nie upewniłem, że dzieło życia mej rodzonej córki płomienie strawiły bez reszty.

W niektórych mitach Hagna, bóg ognia, jest śmiertelnym wrogiem Kiny. W innych, zwłaszcza gdy pojawia się ona pod postacią Niszczycielki, jest jej sprzymierzeńcem.

Im dłużej zapoznawałem się z panteonem Gunni, tym większy odczuwałem zamęt.

– Do czego zabrać się teraz? – zastanawiałem się na głos.

Wszyscy prócz Arkany i kilku ciekawskich ulicznych dzieciaków – prawie zupełnie tutaj zdziczałych, zwanych *dżengali* – zdążyli już odejść. Obszarpany, zamyślony biały kruk również kręcił się dookoła, ale nie miał nic do powiedzenia. Ostatnimi czasy nie opuszczał nas nawet na krok, pilnując jednak swego dzioba.

– Czas kogoś obudzić, tato. Twoją żonę, córkę lub Khadidasa.

Przyjrzałem się robotnikom usuwającym gruz. Obecnie większość z nich stanowili cywile pracujący pod nadzorem żołnierzy, pilnujących, by nikt nie ukradł wykopanych spod ziemi skarbów.

Ściany pałacu przestały się zapadać. Pożary wygasły. W powszechnej świadomości utrwalalo się powoli przekonanie, że na miejscu dawnego wzniesiony zostanie całkowicie nowy pałac, najpierw jednak trzeba uprzątnąć resztki starej budowli.

Nie potrafiłem nawet sobie wyobrazić, jakie też skarby i niespodzianki ujrzą światło dzienne, jeśli zapadnie decyzja zburzenia i usunięcia gruzów tego rozkraczanego potwora. Nikt nigdy nie poznał pałacu dokładnie. Nikt prócz dawno już nieżyjącego czarodzieja imieniem Kopeć.

Stos pogrzebowy Książ Zmarłych zwabił kolejnych *dżengali*, którzy chcieli skorzystać z odrobiny ciepła.

Szukrat zmierzyła Arkane wściekłym wzrokiem. Najwyraźniej tamta nie bardzo się wywiązywała z obowiązku czuwania przy Pierdu Pierdu. Ale Arkana nie dbała o to, czy Szukrat się zdenerwuje.

Dostrzegłem zmianę w stanie zdrowia Pani. Nie wydawała się już pogrążona w śpiączce. Bardziej przypominało to normalny, głęboki sen. Otwarłem szeroko okna. Byłem zdecydowanym wyznawcą dobroczynnego wpływu świeżego powietrza. Niemalże natychmiast pojawił się biały kruk.

– Ile to już czasu minęło? – zapytałem. Skinąłem głową w stronę Pierdu Pierdu. Umyta, uczesana i odziana w przyzwoite ubranie, do złudzenia przypominała Śpiącą Królową. Unikałem dłuższego przyglądania się jej. Ten widok wciąż rozdzierał mi serce.

– Co? – zapytała Szukrat. Przed chwilą pokazała język Arkanie.

– Pani chrapie. Przedtem nie chrapała. – To znaczy odkąd dostała się pod władzę zaklęcia. Wcześniej regularnie chrapała każdej nocy, przynajmniej od kiedy zacząłem z nią sypiać. Ale nie wierzyła, kiedy jej o tym mówiłem.

– Zaczęła niedługo po tym, jak przynieśliśmy Córkę Nocy – oznajmiła Szukrat. – Ale nie zwróciłam na to szczególnej uwagi.

– Nie miałaś powodów.

Arkana pokiwała głową.

– Cały czas chrapała.

Biały kruk zachichotał z okiennego parapetu.

– Chrapała już, gdy była dziewczynką? – spytałem go.

Zakrakał. Dziewczęta popatrzyły na mnie, potem na ptaka. Ponieważ nie były idiotkami, zrozumiały od razu, że nie jest to zwyczajne, białe, pierzaste zwierzę o niemiłym sposobie bycia. A ponieważ dysponowały prawdziwym talentem, szybko zorientowały się, że jest to całkowicie realny kruk, w odróżnieniu od rozmaitych stworów, które zwyczajowo wędrowały po świecie bez konkretnego kształtu, trzymając się poza zasięgiem wzroku.

– Zakładając nawet, że tylko śpi, leży tu przecież od dawna. Można by sądzić, że powinna się już obudzić. – Delikatnie dotknąłem ramienia mej żony. Nie zareagowała. Potrząsnąłem nią, już znacznie mniej delikatnie. Jęknęła, wymamrotała coś, przewróciła się na drugi bok, skuliła.

– Nie rób mi tego – powiedziałem. – Czas wstawać.

Dziewczyny uśmiechnęły się. Wyczuły moją ulgę.

Naprawdę tylko spała, nawet jeśli trwało to już od długiego czasu i mogło potrwać jeszcze trochę.

– Daj spokój, kobieto! Mamy robotę do wykonania. Wyspałaś się za dziesięciu.

– Z pewnością wyspała się za mnie.

Pani uchyliła powiekę. Równocześnie wymamrotała coś niezrozumiałego, co jednak brzmiało jak któraś z jej zwykłych, porannych gróźb.

– Długi wypoczynek w niczym nie wpłynął na poprawę jej nastroju – stwierdziłem. – Kiedy następnym razem będzie się uskarżała, przypomnę jej, że to przez brak snu jest taka zła.

– Chcesz, żebym przyniosła kubek zimnej wody? – zapytała Arkana. Była bezczelną, małą wiedźmą.

– Z pewnością kąpiel jej się przyda.

Pani warknęła coś znowu, ale tym razem w nieporadnym wysiłku obrócenia wszystkiego w żart.

– Nawet nie próbuj być miła – oznajmiłem. Ludzkie ciało jest tak skonstruowane, że powrót ze śpiączki w dobrym humorze stanowi fizyczną niemożliwość.

Gardło miała suche i ściśnięte. Kiedy już temu zaradziliśmy, zapytała:

– Gdzie jesteśmy? Jak długo tym razem spałam?

Straciłem rachubę.

– Piętnaście dni? Co najmniej. Pewnie więcej – odparła Szukrat. – Wyspałeś się za nas wszystkich. Byliśmy zbyt zajęci, żeby znaleźć czas na sen.

Pani rozejrzała się wokół. Wiedziała, że obudziła się w innym miejscu. Ale ze swego posłania nie mogła ujrzeć Pierdu Pierdu.

Wprowadziłem ją w aktualne wydarzenia:

– Wojna się skończyła. Zwyciężyliśmy. W pewnym sensie. Aridata Singh się poddał. Zaproponowaliśmy mu dobre warunki kapitulacji.

Pani mruknęła; jej umysł pracował wciąż jeszcze wolno.

– Mogaba pozwolił mu na to?

– Wielkiego Generała nie ma już wśród nas.

– Muszę z tobą na ten temat porozmawiać, tato – wtrąciła Szukrat. – Poleciałam na tę łachę.

Dłonią dałem jej znak, by umilkła. Ktoś z ukrytego ludku mógł czaić się gdzieś w pobliżu. Mówiłem dalej do Pani:

– Wielu ludzi nie ma już wśród żywych. Włączywszy w to niemal wszystkich, którzy polecili z nami do miasta tamtej nocy, gdy oberwałaś. Ospałą również straciliśmy, tylko później. W zasadzce. Sjuwrin teraz dowodzi. Poradzi sobie. Dorośnie do tego. Póki co będziemy mu pomagać.

– Nie zapomnij o księciu i generale Czu – dodała Arkana. – Oraz Milosie. Tęsknię za nim.

– Ponieważ biegał za tobą z wywieszonym ozorem niczym podniecony piesek – wykrzywiła się Szukrat. – A ty mu na to spokojnie pozwalałaś.

– A kto specjalnie na niego wpadał, żeby patrzeć, jak podskakuje i potyka się na sam jej widok?

– Dziewczęta...

– Co?

– Robię się zazdrosny. Gdzie byliście, kiedy miałem tyle lat co Milos?

– O czym jeszcze powinnam się dowiedzieć? – wtrąciła się Pani.

– Pałac zburzony. Okupujemy miasto. Obecnie rządzi nim Aridata Singh, a na jego widok Arkana podskakuje i się potyka. Jeszcze nie wiadomo, jak będzie przebiegać sukcesja władzy. Schwytaliśmy Pierdu Pierdu i Khadidasa. Zniszczyliśmy Księgi Zmarłych. Znowu. Pierdu Pierdu leży obok ciebie. Na wypadek gdybyś miała ochotę ją zobaczyć. – Wyciągnąłem dłoń, by pomóc jej wstać. Jeśli zechce. – Jest śliczna.

– Chcę ją zobaczyć. Ale nie wstanę o własnych siłach. Nie wydaje mi się, abym była w stanie usiedzieć dłużej bez pomocy.

Kruk zarechotał złośliwie.

Pani obdarzyła ptaka przeciągłym, twardym spojrzeniem. Potem mnie poczęstowała jego bliźniaczą wersją.

– Jak twoje połączenie z Kiną? – zapytałem.

– Co masz na myśli?

– Dalej jest niepewne? Wciąż istnieje? Jest silniejsze? Słabsze?

– Dlaczego?

– Ponieważ chcę wiedzieć. Dlaczego mi nie odpowiesz?

Dziewczyny były najwyraźniej zaskoczone. Wyglądały, jakby nagle wołały być wszędzie, tylko nie tutaj. Odsunęły się trochę od nas.

– Nie przejęła nade mną władzy w czasie snu, jeśli o to ci chodzi. Jednak miałam straszliwe koszmary. Było tak, jakbym przez całą epokę musiała wędrować po krajobrazach jej wyobraźni. Niemniej nie zwracała na mnie uwagi. Coś zaprzętało jej głowę. – Każdego słowa omal nie akcentowała zgrzytnięciem zębami. Nie lubiła otwierać się do tego stopnia. – Koszmary jednak minęły już dawno.

Potrafiłem ją zrozumieć. Sam, jeśli już gotów byłbym odsłonić się bodaj odrobinę, to tylko wówczas, gdyby nikt właściwie nie zwrócił na to uwagi.

– Jak z twoim wyczuciem czasu? Dobrze byłoby wiedzieć, czy to wydarzenie na jawie wpłynęło na zmianę charakteru twoich snów.

– Wycucie czasu? To trwało wieczność. A równocześnie nawet nie chwilę. Kina nie przeżywa czasu tak jak my. Przynajmniej tak sądzę. Z pewnością zaś nie ulega jego władzy. Dajmy sobie z tym spokój. Pokaż mi moje dziecko. Zanim zemdleję. – Usiłowała usiąść.

Szukrat i Arkana wzięły ją z obu stron pod ręce i pomogły się podnieść.

– Zawsze jest tak wściekła, kiedy się budzi, tato? – zapytała Arkana.

– Skoro macie stać się częścią rodziny, musicie do tego przywyknąć. Łatwiej wam pójdzie, jeśli nie będziecie brały tego na poważnie. – Zachichotałem, gdy Pani spytała mnie, co ja na to, żeby ona przestała brać mnie na poważnie. – Dzisiaj jeszcze nie jest tak źle.

Kruk zasyczał. Najwyraźniej nie obchodziło go, czy Pani się domyśli. Z tego syku dawało się wyłowić słowa:

– Siostró, siostró. – Co stanowiło szyderstwo, które Pani wymyśliła całe lata temu, kiedy oglądała świat oczyma innego kruka.

Ciekawa sprawa, te białe kruki. Od oblężenia Dedzagore jakiś wciąż kręcił się koło nas, na zmianę pojawiając się i znikając. Na samym początku to Murgen siedział w jego głowie. Przez większość czasu. Najwyraźniej. Ale czy za wszystkimi umysłami powodującymi białym krukiem nie stała przypadkiem wola Sziwetji? Może golem miał jednak dość mocy, aby wpływać na wydarzenia poza obszarem lśniącej równiny?

To by wiele wyjaśniało. Może nawet wcześniejsze trudności Murgena z odnalezieniem swojego miejsca w czasie. Ale z tego wynikałoby dalej, że Duszołap nie była odpowiedzialna za część zbrodni, które jej przypisywaliśmy. Nie byłem do końca pewien, czy mi się to podoba.

Ptak zaśmiał się szyderczo. Jakby potrafił czytać w moich myślach.

Duszka zawsze miała talent do odgadywania, co chodzi mi po głowie.

– Murgena również straciliśmy – powiedziałem, kiedy stanęliśmy po obu stronach śpiącej dziewczyny.

– Domyśliłam się. Ze sposobu, w jaki powiedziałeś mi o wszystkich, którzy zginęli. Nie udało się nikomu, kto nie miał na sobie płaszcz Vorszk. Racja?

Oprócz jednego cholernego szczęściarza z Hsien, który stał akurat za właściwą osobą w odpowiednim czasie. Szczęściarz – tak brzmi odtąd oficjalny przydomek Tarn Do.

– To musi chyba być jakieś przekleństwo ciężące na naszej krwi – mruknęła Pani, zmuszając się, by spojrzeć na dziewczynę. – Kobiety mego

rodu skazane są na spędzanie większości swego życia w pułapce snu. – Częściowo oparła się na leżącej dziewczynie, wyciągnęła dłoń, by dotknąć policzka Pierdu Pierdu. Przeszła na język Miast Klejnotów. – Moją matkę widziałam tylko w stanie uśpienia, jak ją teraz. Jej historia stanowiła asumpt do pierwszych bajek o Śpiącej Królownie. Jednak księżę nigdy się nie pojawił. Zamiast niego trafił się mój ojciec. Całkowicie odpowiadał mu stan, w jakim się znajdowała.

W tej lakonicznej historii było coś, co wzbudzało niejasną, acz przeraźliwą grozę: świadomość, że jej matka nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, iż poczęła dziecko.

A my jęczymy, że dzisiaj świat bywa okrutny.

W dawnych czasach żyli na ziemi prawdziwi giganci.

Za pięćset lat od dziś sami będziemy gigantami.

– A więc to jest nasze dziecko. – Zapatrzyła się. – Poczęte na polu bitwy. – Uczucia wyraźnie odbijały się na jej twarzy. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak bezbronnej.

– To jest nasze dziecko.

– Powinniśmy ją obudzić?

– Nie sędzę. Przynajmniej nie do razu. Życie jest już dość szalone, by dopraszać się o następne kłopoty.

Nie wyszło mi to zręcznie. Wcale, ale to wcale. Pani potrzebowała kontaktu emocjonalnego z istotą zrodzoną przez siebie. Jeśli zaś o mnie chodzi, przekonałem się, iż obecnie, kiedy patrzyłem na nią, chaos uczuć gdzieś zniknął. Przypuszczam, że udało mi się uwolnić od wszystkich „mogłoby-być-inaczej” albo „szkoda-że-tak-to-się-potoczyło”.

Po chwili wahania Pani musiała przyznać, że budzenie Pierdu Pierdu pod nieobecność Tobo nie jest najlepszym pomysłem.

Nie zrobiła nic niestosownego, jednak dziewczyna przez jakiś czas oddychała bardziej niespokojnie.

Taglios: KHADIDAS

Tobo był na miejscu, kiedy obudziłem mojego starego przyjaciela Goblina, który mimo woli stał się naczyniem Khadidasa.

Gdy tylko chłopak zniósł zaklęcia kontrolujące tamtego, reszta poszła łatwo. Potrząsnął nim za ramię, ja zaś stałem z boku. A kiedy tylko mały gówniarz zaczął się budzić, Tobo odsunął się, mnie zaś zniecka zdjęła groza.

Powieki karzełka odchyliły się gwałtownie. Jednak oczy, które zza nich spojrzały, nie należały do ostrożnego małego czarodzieja. Patrzyłem prosto w dwa wielkie okruchy ciemności, która chciała wessać mnie do środka.

Usta Khadidasa otworzyły się, najwyraźniej chcąc wypluć jakieś przekleństwo czy bluźnierstwo. Wyciągnąłem przed siebie złachmaniony kapelusz Jednookiego. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Ciało Goblina przeszył konwulsyjny dreszcz, jakbym zdzielił go rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Pochyliłem się i z całej siły wcisnąłem kapelusz na głowę niewolnika Kiny.

– Podnieś go – nakazałem Tobo, który stał przy wezglowiu posłania, poza zasięgiem wzroku Khadidasa. Trzymałem kapelusz na miejscu, podczas gdy on unosił ciało starego czarodzieja do pozycji siedzącej. – To działa. Lepiej, niż oczekiwałem.

– Również nie podejrzewałem, że pójdzie tak łatwo.

– Jednooki zawsze robił się nadzwyczaj skromny, kiedy coś mu naprawdę wyszło. – W oczach Goblina zgasły iskierki paskudnego światła. Zagościła w nich pustka. Ale nie taka jak wówczas, gdy błądzi się daleko myślami. Wyglądało to tak, jakby w jego głowie nie było niczego.

– Teraz włócznia.

Podąłem Goblinowi włócznię. Ale kiedy przyszło złożyć groźną broń w ręce diabła, naprawdę niełatwo było mi zaufać mądrości dawno zmarłego człowieka.

Włócznia stała przed nim. Koniec opierał się o podłogę między jego nogami. Ująłem jego dłonie i oparłem na czarnym drzewcu. Potem jeszcze głębiej wcisnąłem antyczne nakrycie głowy Jednookiego mu na uszy. W końcu zaś znowu pochwyciłem jego ręce, zaciskając ich palce na czarnym drewnie i srebrnych inkrustacjach.

W oczach Goblina pojawiło się życie.

– Nie jest to tak dramatyczne jak obserwowanie narodzin dziecka, ale coś w tym jest – zwróciłem się do Tobo. Nawet takiemu ignorantowi w sprawach magii jak ja nie trzeba było wszystkiego rozrysować, żeby rozumiał, iż wyczarowujemy prawdziwego Goblina.

Goblina zdjętego taką boleścią, zdałem sobie natychmiast sprawę, iż pewnie tylko Pani mogła pojąć jej bezmiar.

Usiadłem na zydlu. Tobo podprowadził staruszka do krzesła z wysokim oparciem, a potem sam usiadł na skraju posłania. Goblin popatrywał to na jednego z nas, to na drugiego. Łzy płynęły mu z oczu strumieniami, ale jakkolwiek się starał, nie potrafił wypowiedzieć słowa. Wyciągnął dłoń ku Tobo, błagając milcząco o cielesny kontakt.

– Trzeba uważać na ten kapelusz – powiedziałem. – Przyszło mi już nawet do głowy, żeby przybić mu go do czaszki. – Myślałem również o tym, jak wspaniałym przyjacielem okazał się Jednooki. Ponieważ przewidział taką możliwość i poświęcił ostatnie lata swego życia, aby przeciwdziałać jej konsekwencjom.

Poczułem przelotne dławienie w gardle na myśl o tym, że nigdy nie miałem przyjaciela, który dla mnie posunąłby się tak daleko. Potem jednak przypomniałem sobie, że przecież Ospała pracowała przez piętnaście lat nad uwolnieniem Zniewolonych. I cóż... Nie minęło nawet pięć lat, a wszyscy ci ludzie, prócz Pani i mnie, już odeszli – leżąc na wznak, z dymem stosów. Koniec.

Żołnierze żyją.

Ospała ani razu nie dała nikomu do zrozumienia, że uważa, iż zmarnowała życie. Jestem jednak pewien, że czasami tak myślała. Przynajmniej mając na względzie niektórych.

– Przynajmniej jedną ręką musisz wciąż trzymać włócznie, Goblin – powiedziałem.

W istocie nie wypędziliśmy Khadidasa z jego wnętrza. Potwór wycofał się do ciemnej jamy, w której czyhał do momentu, gdy wychynął, aby przejąć władzę nad ciałem; teraz jednak uniemożliwiła mu to słaba magiczna osłona. Potwór był znacznie silniejszy od Goblina. Nieustanna walka z nim będzie wymagać wielu starań.

– I cóż my mamy z tobą począć? – zapytałem. Czując ukłucie winy. Ponieważ ja już wiedziałem. Miałem dla niego przygotowane miejsce w swoich planach. Planach, które mogły zmienić świat.

– Co sądzisz, Goblin? Pomożesz nam sobie pomóc?

Powoli odzyskiwał kontrolę nad ciałem. Udało mu się wydać z siebie słabe:

– No – a równocześnie skinął głową.

– Mam zamiar wszystko zostawić w waszych rękach, panowie – powiedział Sjuwrin. Skinął głową Goblinowi. – Prawie nie znałem tego człowieka. A jeśli tak, to głównie z perspektywy ofiary żartów, które robili sobie razem z Jednookim moim kosztem. Co oczywiście znaczy, że tak do końca nie mogłem pozostawać obojętny, jak bym się nie starał. Spod tej rzeczy na głowie coś mu się wylewa.

– Klej. A ta rzecz to jest kapelusz. Żałuj, że nie widziałeś go na Jednookim. Stary pierdziel obłożył go mnóstwem zaklęć, przygotowując do czegoś takiego jak to, co się właśnie zdarzyło.

– Mówiłeś mi.

– W porządku. Klej jest po to, żeby kapelusz nie zsunął mu się z głowy. Nawet na chwilę. Gdybyśmy potrafili wymyślić sposób, żeby mógł sam jeść i drapać się po tyłku, przykleilibyśmy również jego ręce do włóczni.

Jest coś takiego w byciu Kapitanem, że człowiek traci poczucie humoru. Sjuwrinowi już to się przydarzyło. Nawet się nie uśmiechnął. Zapytał tylko:

– Wyciągnęliście coś z niego? Jeszcze nie? Więc kiedy?

– Nie mam pojęcia. Powoli dochodzi do siebie. Naprawdę powoli. Pamiętaj, że praktycznie rzecz biorąc, był martwy przez ostatnich sześć lat. Ma kłopoty z przypomnieniem sobie, jak używać swego ciała. Zwłaszcza narządów mowy. Tymczasem Khadidas wciąż w nim siedzi, próbując znowu przejąć kontrolę.

– A Pani?

Bardziej troszczyłem się o moją żonę niż o Goblina. Zachowywała się dziwnie. Nie poznawałem jej. Nękały mnie wszystkie moje wcześniejsze lęki związane z jej zależnością od Kiny. Bogini była mistrzynią manipulacji i dalekosiężnych planów. W jej głowie leżały się knowania sięgające całe wieki naprzód i mające wiele poziomów komplikacji.

Ale Kina nie potrafiła szybko reagować. Wszystko, co robiła, trwało nieznośnie długo. Dlatego właśnie jej najtroskliwiej wypieszczone plany przynosiły owoce dopiero po latach. Nie potrafiła poradzić sobie z raptowną odmianą losu.

– Pani stanowi dla mnie obecnie zagadkę – wyznałem. – Ale nie podejrzewam nic prawdziwie złego.

Goblin coś wybełkotał. Khadidas starał się ze wszystkich sił uniemożliwić mu komunikację.

– Orientujesz się może w głównych postaciach tagliańskiej polityki? – spytał Sjuwrin.

– Nie mam pojęcia o ludziach. Ale ogólne zasady chyba się nie zmieniły. Przede wszystkim pamiętaj, żeby żadnego z nich nie spuszczać z oka. Możesz pogadać z Popłochem Singhiem. Jeśli przeżył ostatnią fazę walk. – Miałem niejasne wrażenie, że wpadł w tamtą zasadzkę razem z Ospałą. – Albo możesz po prostu poprosić Aridatę, by wypożyczył ci kilku doradców.

Jak na Kapitana Kompanii Sjuwrin wydawał się zadziwiająco otwarty na sugestie innych.

– Musimy wznowić nasze lekcje – poinformował mnie. – Chcę poznać Kroniki.

– Na to będzie nam potrzebny dłuższy pokój. Może nawet i kilkuletni – odparłem. – Jeśli już o tym mowa, moglibyśmy stworzyć nową Kompanię.

Goblin znowu coś zabełkotał, żywo kiwając głową.

Ten karzełek był pod pewnymi względami niczym szczeniak.

– Muszę porozmawiać z Goblinem na osobności – powiedziałem Sjuwrinowi. – A kiedy nasz pełen wątpliwości nowy dowódca wyszedł, dodałem: – Trzeba coś zrobić z tym Khadidasem.

Skinienie głową.

– I przypuszczam, że tak to właśnie załatwimy. Chyba że jest w stanie panować nie tylko nad twoją mową. – Spojrzałem na małego czarodzieja.

Nie zareagował. Zdałem sobie sprawę, że pytanie nie pozwalało na odpowiedź „tak” lub „nie”. – Jest w stanie?

Nie.

– Dobra. Najważniejsze pytanie ze wszystkich. Czy Khadidas pozostaje w bezpośrednim kontakcie z boginią?

Nie. Tak. I wzruszenie ramion. Zatem dalej graliśmy w tysiąc pytań, a ja wciąż kończyłem w ślepym zaułku, niezależnie od tego, w którą stronę się kierowałem, Goblin zaś nieustannie gulgotał zawiedziony. Jednak mimo największych wysiłków rzadko udawało mu się wydobyć z gardła coś więcej niż pojedynczą zrozumiałą sylabę.

W końcu mimo mojej wrodzonej tępoty udało mi się rozwikłać zagadkę. Khadidas potrafił się komunikować z boginią, ale tylko wówczas, gdy panował nad ciałem Goblina. Kiedy było jak teraz, kontakt był niemożliwy.

Miało to sens. Poniekąd. Chociaż musiałem pamiętać, iż Goblin, z którym rozmawiałem, tak naprawdę był duchem, niezdolnym po śmierci do opuszczenia swego ciała, ożywionym tchnieniem bogini.

– To naprawdę ważne wieści, Goblin. Mam plan. – Niełatwo mi to przyszło, ale jakoś zdołałem wydobyć jego zarys na światło dzienne z tajnego zakamarka pamięci, w nadziei, że bogini nie może mnie podsłuchać. Zależał on w całości od tego, czy właściwie zrozumiałem tego Goblina, którego znałem od tak dawna. I od tego, czy ów nie zmienił się szczególnie podczas ostatnich dwudziestu lat. Wszak w tak długim okresie człowiekowi mogą przytrafić się różne rzeczy, zwłaszcza jeśli jego część spędził martwy, zniewolony przez Matkę Oszustów.

Staruszek zaakceptował mój plan, przynajmniej sądząc z pozorów. Chciał wziąć udział w jego realizacji. Wydawał się nawet rozentuzjasmowany perspektywą zatopienia włóczni Jednookiego w najczarniejszym z serc.

– Nie chcę marnować nawet jednej chwili, jeśli nie ma potrzeby. Rozumiesz? – oznajmiłem na koniec.

Skinienie głową. A nawet bełkotliwe:

– Tak! – Z entuzjazmem. Z widoczną skwapliwością.

– Niedługo wrócę. – Czułem się niemal paskudnie, nie mówiąc martwemu człowiekowi całej prawdy.

Wokół Taglios:
POWIETRZNY ZWIAD

Znalazłem Arkanę i spytałem, czy nie miałyby ochoty na podniebną przejażdżkę, równocześnie znaczącym skinieniem głowy dając do zrozumienia, że właśnie tego jej potrzeba. Na użytek ciekawskich uszu wspomniałem, że chcę sprawdzić pogłoski o marszu na miasto jednostek lojalnych wobec Protektorki. Jeden oddział pokonał Główną pod Vedna-Bota. Drugi koncentrował swe siły na wschodzie, w pobliżu Mukry w Adzistanie – Mogaba cieszył się znaczną popularnością wśród tamtejszych plemion. Ponieważ docierające plotki sprawiały, iż wielu ludzi robiło się nerwowych, nikogo nie zaskoczyło, że chcę przyjrzeć się wszystkiemu z bliska.

Zresztą tym również mieliśmy zamiar się zająć, ponieważ była to robota, którą należało wykonać. Po drodze jednak mogłem swobodnie porozmawiać z Arkaną.

– Twój plan ma jedno poważne „ale” – odparła. – Co się stanie z równiną i Bramami Cienia? Zapytałeś mnie kiedyś, czy chcę wrócić do domu. Doszłam do wniosku, że chciałabym, że muszę. Choćby po to, by ujrzeć, co tam się stało. Pogrzebać moich zmarłych, pewnie byś powiedział. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak miałyby mi się to udać, żeby wszystkiego równocześnie nie skomplikować, skoro później najprawdopodobniej stanie się to już niemożliwe.

– Masz rację. Niemniej muszę zrobić to, co konieczne, najszybciej jak tylko się da. Zanim Kina się połapie. – Jeśli już wcześniej nie przewidziała takiej możliwości. Albo nie dowiedziała się o niej od Goblina. Czy Sziwetji. Lub od Pani, która przecież była dość bystra, by domyślić się, co

chodzi mi po głowie. Przynajmniej czasami. – A zwłaszcza zanim zorientuje się moja żona. Albo zacznie myśleć, że ją z kimś zdradzam.

Zbliżaliśmy się do rzeki Głównej, kierując ku Vedna-Bota. Na północ od brodu, daleko od osad rozrzuconych na tym obszarze, w niebo wzbijały się kolumny dymu. Były stosunkowo nieliczne.

– Niewielka coś ta armia – skwitowała Arkana.

– Wygląda też na to, że bynajmniej nie śpieszy się jej do kłopotów. Przed nią jeszcze długi marsz.

Wcale im się nie spieszyło. Donikąd. Kiedy zniżyliśmy lot dla bliższego przyjrzenia się im, żołnierze rozbiegli się niczym spłoszone karaluchy.

– Komuś chodzi tylko o ochronę własnej dupy – powiedziałem. – Robią przedstawienie, chcąc pokazać, jak to rzekomo wiernie wypełniają obowiązki. Ta gromadka nigdy nie dotrze do Taglios.

Polecieliśmy z powrotem w górę. Rozmawialiśmy nie tylko o tym, co trzeba było zrobić. Arkana wydawała się obecnie rozluźniona. Chyba doszła do ładu ze złymi wspomnieniami. Niektórym udaje się to nad podziw łatwo. Inni przez resztę życia borykają się z wewnętrznymi okaleczeniami. Ale ci raczej nie zostają w służbie. Zmieniają się w ekszołnierzy, a potem zaprzyjaźniają z winem lub makiem.

Zapytałem o jej nogę.

Zaśmiała się.

– Teraz można mnie zaliczać do grona starych ludzi. Potrafię dzięki niej przepowiadać pogodę.

– Reszta w porządku?

– Tak.

– Dobry jestem.

– Lata praktyki.

– W tym interesie nie da się tego uniknąć.

Polecieliśmy z powrotem do Taglios, rozmawiając niezobowiązująco; ja myślałem o tym, że tak właśnie wszystko by wyglądało, gdyby Pierdu Pierdu wychowała się z rodzonymi rodzicami. Łudziłem się. Okłamywałem. Żadne dziecko nie byłoby tak normalne jak Arkana, gdyby miało Panią za matkę i mnie za ojca.

Może znalazłem właściwy sposób? Należy je adoptować dopiero wówczas, gdy lata ważne dla kształtowania charakteru będą mieć już za sobą.

Mijaliśmy Taglios, zamierzając teraz skontrolować siły stacjonujące w Adżistanie, kiedy Arkana wypatrzyła mknącą ku nam postać w rozwianych czarnych szatach.

– To Szukrat.

– Pogodziłyście się? Naprawdę?

– Mniej więcej. Głównie dlatego, że mamy tu tylko siebie. Tylko my pamiętamy dom. Gdyby nie to, pewnie nawet byśmy ze sobą nie rozmawiali. Po części ma to związek ze sprawami rodzinnymi. Z rzeczami, które nasi rodzice robili sobie nawzajem. A po części dotyczy nas. Ona jest zbyt miłutka, urocza i głupia niczym wór kamieni. Ale wszystko, co musiała kiedykolwiek robić, to słodkie oczy, parę razy zakręcić tyłkiem i wyglądać na wzruszająco bezbronną.

– A ty byłaś tą sprytną. Zawsze musiałaś sprawdzić wszystko na własną rękę.

– Tak.

– Cóż, pewnie będziesz również i ładniejsza. Ona wkrótce zmieni się w piegowatą wiedźmę.

Zwolniliśmy, żeby Szukrat mogła nas dogonić. Pojawiła się po mojej lewej stronie.

– Co jest, druga córko? – zapytałem.

– Konował, chciałabym z tobą pogadać o tych ludziach na wyspie. To mnie przeraża. Jak diabli. Naprawdę lubię Tobo. Bardzo. – Pewien byłem, że skryte za fałdami czarnej materii oblicze jest całkiem czerwone. Łatwo się rumieniła. – Ale nie sądzę, żebym chciała się zaangażować w związek z kimś, kto jest zdolny do takich rzeczy.

– Wszyscy jesteśmy zdolni do takich rzeczy, Szukrat. Wystarczy właściwe miejsce, właściwy czas i odpowiedni motyw. Tylko otaczający ludzie nas przed tym powstrzymują.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że Tobo zależy na tobie. Prawdopodobnie bardziej, niż gotów jest przyznać. Dzieciak łatwo ulega namiętnościom. A ponieważ jest tym, kim jest, perspektywa wielkiego zła zawsze pozostanie dlań otwarta, Szukrat. Sama rozumiesz, nikt nie rodzi się łajdakiem. Nawet Władcy Cienia. Ani moja żona bądź jej siostra. Czy wreszcie Vorszk. Jednak potęga może zmienić cię w łotra. Ponieważ wtedy nic nie powstrzymuje cię przed zrobieniem tego, co zechcesz. Wyjąwszy wewnętrzne ograniczenia. Dla

Tobo przez długi czas była to miłość i szacunek dla rodziców. Klócił się z Sahrą każdego dnia, ale nie zrobiłby nic, co mogłoby ją rozczarować. Póki żyła. Po jej zniknięciu zaporę dla mrocznych popędów jego duszy stanowił ojciec. Jednak Murgen też zginął. A więc została tylko jedna osoba, na której opinii zależy mu w wystarczającym stopniu, by nie pofolgować sobie całkowicie.

Szukrat musiała sobie to przemyśleć. Nie była nawet w połowie tak głupia, jak twierdziła Arkana, jednak bywały chwile, gdy jej umysł potrzebował nieco czasu na analizę bardziej skomplikowanej kwestii.

– Chcesz powiedzieć, że tylko ja powstrzymuję go przed zrobieniem czegoś takiego znowu?

– Tak. Tak sądzę. Jednak równocześnie uważam, że musisz dać mu do zrozumienia, że wiesz o wszystkim i że nie będziesz tolerowała takiego postępowania. Nie narzekaj. Nie dąsaj się. Postaw sprawę jasno i zdecydowanie, a potem się zamknij. Nie dyskutuj. Musisz nakreślić absolutną granicę, która będzie dla niego nieprzekraczalna. A potem wytrwaj przy swoim. Sama też będziesz musiała pamiętać, co zostało wtedy powiedziane.

Pokiwała głową.

Czekając, aż zrozumie, powiedziałem do Arkany:

– Może się okazać, że jestem zupełnie niezły, jeśli chodzi o udzielanie ojcowskich porad.

– Z pewnością twoje rady są okropnie przegadane.

– Wielkie dzięki.

– Żeby nie było nieporozumień, uważam, że miałeś rację, mówiąc jej to.

– Zdajesz sobie sprawę, o czym ona mówiła?

– Ostrzegła mnie. Na wypadek, gdyby trzeba było przypilnować generała Singha. Wkrótce po tym, jak ty mi to powiedziałeś. Musiałam polecieć i zobaczyć, o co to całe zamieszanie, nieprawdaż?

Z każdym cholernym dniem dziewczyna coraz bardziej zyskiwała w moich oczach.

Siły gromadzące się w Mukrze stanowiły zagrożenie znacznie większe niż te spod Vedna-Bota. Dla Aridaty oznaczało to poważne kłopoty, chyba że nowy Wielki Generał będzie w stanie przekonać wiernych sprzymierzeńców Mogaby do zawarcia pokoju.

Taglios:
ŻONA I DZIECKO

Pani znowu siedziała obok Pierdu Pierdu. Albo pewnie raczej nadal. Przystawiłem sobie stołek z drugiej strony.

– Może chcesz, żebym ja teraz z nią pobyl? Będiesz mogła zająć się czymś innym, rozprostować trochę nogi. Kompania spod Sztandaru Zielonego Smoka przygotowuje odlotowy gulasz z jagnięciny. Nawet mnie nie pytaj, gdzie znaleźli owcę w tym domu wariatów.

Uniosła wzrok. Na policzkach zastygły ślady łez.

– Pomóż mi, Konował. Nie mogę przestać myśleć, ile straciłam, kiedy Narajan Singh ją porwał. W jakim stopniu to jedno wydarzenie zmieniło całe moje życie.

Zmieniło życie nas wszystkich. Miało wpływ na losy całych ludów na tym krańcu świata i setek tysięcy z przynajmniej dwóch innych. Ale ona w tej chwili potrafiła myśleć wyłącznie o sobie.

– Wstawaj i wynocha stąd – nakazałem. – Idź poszukać sobie czegoś do jedzenia. Polataj trochę. Jest piękny, miły dzień. Już można sobie nawet wyobrazić, jak wszystko wkrótce się zazieleni. Idź, ciesz tym oczy. Chcę, żebyś całkowicie panowała nad sobą, zanim odlecę. Nie mam ochoty zostawiać cię tutaj w takim stanie.

– Zanim odleczysz? Dokąd się wybierasz?

– Niedługo nadejdzie czas, by zwolnić ze służby pierwszy kontyngent Dzieci Zmarłych. Kilku z nas poleci przodem na południe, żeby przygotować drogę przez lśniącą równinę. Chłopcy przy Bramie Cienia muszą zacząć gromadzić zapasy. Może polecisz ze mną? Oderwiesz się na chwilę od tego wszystkiego.

– Nie. Nie mogłabym. Nie ma tu nikogo, kto potrafiłby się nią zająć.

Cholera! Teraz pojąłem, jaki jest jej słaby punkt. Ujrzałem drzwi, którymi może wejść ciemność. O ile już tego nie zrobiła.

Jakiż ja jednak jestem bystry. Wiedziałem, jak zamknąć te drzwi. Na zawsze. I w tym momencie zdecydowałem się bezzwłocznie tego dokonać.

– Idź, zjedz trochę gulaszu. Pospaceruj sobie. Niech żołnierze zazdroszczą mi, że ciebie mam. – Były czasy, kiedy odnosiło się to do wszystkich. Kiedy każdy mężczyzna reagował na Panią w taki sposób, jak kobiety na Aridatę Singha. Ale te dni już przeminęły. Podobnie jak ci mężczyźni. Wszyscy prócz mnie.

Zerknąłem na Pierdu Pierdu, potem na milczącego białego kruka stojącego na parapecie okna. To z pewnością musiało być coś we krwi.

Biały kruk kręcił się przy nas cały czas, ale nic nie mówił. Jak dotąd nie zdarzyło mi się zapomnieć rozejrzeć dookoła, kiedy powiedziałem coś nieprzeznaczonego dla uszu postronnych. Na przyszłość jednak nie pozostawało nic innego, jak tylko zaciskać kciuki.

Pani zadrżała.

– Jeśli zaraz się stąd nie wyniesiesz, zawołam paru chłopców i każę im cię wywlec – oznajmiłem – a w trakcie otrzymasz lanie.

Na chwilę ta Pani, którą kochałem, wyjrzała z mrocznej jamy. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Obiecujesz? To może być nawet zabawne.

Kiedy wyszła, ująłem dłoń Pierdu Pierdu i pogrążyłem się w rozpacz, wynikającej poniekąd z tych samych powodów, aczkolwiek z pewnością nie tak przemożnej. Palce dziewczyny były zimne jak śmierć. Jednak oddychała.

Białemu krukowi wydało się to bez reszty zabawne.

– Stajesz się człowiekiem obrzydliwie rodzinnym, mój kochanku.

Odwarknąłem coś.

– Ach, wiem. Byłeś taki uparty, kiedy cię miałam w swej mocy. Ale pomyślałam sobie, że będzie zabawnie, jeśli po tych wszystkich latach ktoś zarzuci ci niewierność.

Jęknąłem.

– No cóż, może dla ciebie to nie jest zabawne. – A po chwili, innym, smutnym, omalże dziewczęcym głosem: – Mogło wyjść z tego coś niesamowitego.

Bez wątpienia. I zapewne uwieńczonego śmiertelnym finałem.

Lśniący kamień:
NIEBEZPIECZNA GRA

Tylko czworo z nas poleciało na Południe. Pięcioro, jeśli liczyć leniwego białego kruka z obszarpanym ogonem, który przysiadł na czubku latającego słupa Goblina. Malec leciał zupełnie sam, jednak swobodę jego ruchów ograniczały konopna lina i uprząż bezpieczeństwa, łączące go z towarzyszami lotu. Powiedzieliśmy mu, że to dla jego bezpieczeństwa, na czas, póki nie nauczy się kierować słupem, jednak nawet martwy był dość bystry, żeby nas przejrzeć. Nie chcieliśmy, by uciekł, gdyby Khadidas znowu przejął nad nim kontrolę.

Goblin był obecnie znacznie silniejszy. Potrafił już sam o siebie zadbać, jak również wypełniać proste obowiązki. Dysponował słownikiem złożonym może z trzydziestu słów. Mógł nawet na kilka minut odłożyć włócznie Jednookiego, nie ryzykując przebudzenia drzemiącego w nim demona.

Mknęliśmy przez niebieski przestwór, a płaszcze łopotały trzydzieści metrów za naszymi plecami. Lecieliśmy na pułapie dostatecznie niskim, by płoszyć zwierzęta domowe i dzieci, które natychmiast biegły powiadzić o nas zdumionym rodzicom. Dziewczyny krzyczały i zanosiły się śmiechem, najwyraźniej bawiąc się doskonale. Jak każdy, kiedy nie przypadała nań kolej pilnowania Goblina.

Wszystko wokół zwiastowało wiosnę. Dla tych dzieciaków z pewnością oznaczać będzie porę przygód.

Wraz z wiosną przyjdzie jednak również pora deszczów. Mnóstwo wilgoci i zmienna pogoda.

Kilkakrotnie zboczyłem nieco z prostej trasy. Raz po to, by przyjrzeć się Dedżagore, gdzie życie powoli wracało do normy i nikt nie oplakiwał

odejścia najślawniejszej córki miasta. Prawdopodobnie zresztą, poza żołnierzami garnizonu, nawet jeden na tysiąc mieszkańców nie miał pojęcia, że Ospała nazywała Dedżagore domem.

Pozostałe wycieczki podejmowałem głównie po to, by znaleźć ślady Nef w miejscach, gdzie, jak mi się wydawało, widywałem ich wcześniej. Nie znalazłem niczego.

Ponieważ poza niewyraźnymi mgnieniami nie istniały żadne wiarygodne świadectwa obecności tych duchów lśniącej równiny w świetle, byłem pewien, że to, co widziałem, to nie były oryginały.

Tobo wyraził przypuszczenie, iż jeśli nie stanowili czystej gry mej wyobraźni, może dostrzegałem po prostu jego ukryty lud, próbujący przybierać nowe kształty.

Wierzył, że niektóre z jego stworów z pewnością się o to pokuszą, choćby dla zwykłej zabawy. Folklor Krainy Nierozpoznanych Cieni zdawał się potwierdzać jego przekonania. W rzeczy samej, był to jeden z ich ulubionych żartów.

A zatem najpewniej Nef stanowili znacznie mniejszy problem, niżli sądziłem pierwotnie. Mimo to problem istniał. Chyba że naprawdę zostali schwytani w pułapkę świata Vorszk.

Przy Bramie Cienia Człek Panda pozbawił mnie tych próżnych nadziei.

– Pojawiają się tu każdej nocy, błagając i zawodząc, Kapitanie.

– Wygląda na to, że wy, chłopcy, nieźle się tu zadomowiliście. – Zbudowali sobie maleńkie sioło, mieli w nim sporo kobiet i zwierząt; jedne i drugie zdradzały wyraźne oznaki zaawansowanej ciąży.

– To najlepszy przydział, jaki kiedykolwiek mieliśmy, Kapitanie.

– No cóż, teraz będzie trochę roboty. – Wydałem kilka rozkazów. Potem ja i moje córki, mój kumpel biały kruk i mój martwy przyjaciel przelecieliśmy przez Bramę. Chociaż nic nie widziałem, wydawało mi się, że wyczuwam obecność Nef.

Na równinie zalegały łąty brudnego śniegu. Nawiane wiatrem, stare zasy zgrupowały się od zachodniej strony kamiennych kolumn. W powietrzu wisiał kłujący chłód. Pogoda tu panująca musiała wywodzić się z zupełnie innego miejsca niżli mój ojczysty świat. Wręcz namacalnie czuło się aurę zaniedbania. Jakby mieszkańcy przestali troszczyć się o porządk i konieczne naprawy.

W bezimiennej fortecy było nieco milej. Zniknął smród ludzkich odchodów. Najwyraźniej Baladitja posprzątał po poprzednich gościach Sziwetji. Wnętrze wypełniała za to woń rozkładającego się ciała.

– Będziemy potrzebować światła – poinformowałem dziewczyny. Wciąż konkurując ze sobą w ten czy inny sposób, pospieszyły stworzyć te swoje małe błędne ogniki; to chyba pierwsza sztuczka, jakiej uczą się czarodzieje.

Natychmiast się wyjaśniło, skąd bierze się ten smród. Baladitja zasnął przy pracy i już się nie obudził. Chłodne, suche powietrze spowolniło gnienie ciała.

Było mi smutno, ale nie byłem zdziwiony. Uczony musiał być już stary, kiedy przyszedłem na świat.

Arkana i Szukrat wyraziły swe współczucie stosownymi gestami.

– To niedobrze – mruknąłem, patrząc na szczątki kopisty. – Liczyłem, że pomoże mi porozumieć się z Sziwetją.

Z jakiegoś miejsca w ciemnościach odezwał się biały kruk:

– Hej tam, żołnierzu. Masz ochotę się zabawić?

– Ach, tak. Ty. Jeszcze nie wszystko stracone. Ale dalej nie ma żadnej gwarancji – odparłem, szukając oliwy, którą mógłbym napełnić opróżnione lampy Baladitji.

– Co? – Ten głos był niczym wysoki pisk. Zastanawiałem się, jak udaje się jej przemawiać tyloma głosami, mimo iż ma do dyspozycji tylko ptasi dziób.

– Zaufanie. – Pamiętałem jeszcze czasy, gdy każde jej słowo potrafiło mnie śmiertelnie przerazić. Przypuszczam, że wraz z pogłębianiem się znajomości przychodzi... co innego. Teraz czułem się w jej obecności prawie swobodnie. – Dlaczego, na niebiosa, oczekujesz, że będę ufać twym słowom?

Na mą odwagę spory wpływ miała świadomość, że spoczywa głęboko pod ziemią, uwięziona w swego rodzaju śpiączce nieśmiertelności.

– Sziwetja nie pozwoliłby mi skłamać.

Racja. Nazwijcie mnie cynikiem, ale powoli narastało we mnie wrażenie, że przez te wszystkie lata golem obserwował nas znacznie uważniej niż Kina. Wrażenie, iż nie sposób rozplątać nici, za pomocą których manipulowali nami: ona i on. Podejrzanie, że kiedy szło o manewry mające na celu zgnębienie tego świata, golem był tak samo podstępny.

– Dobra. Mamy twoje słowo, tak? Mnie to wystarczy. Zaczynamy. Czy bogini wie, że tu jesteśmy? Czy wie, o co mi chodzi?

– Jej uwagę zaprzęta coś innego.

Dziewczęta zajęły się napełnieniem i zapaleniem lamp. Grzeczne dzieci. Nauczyły się, jak o siebie zadbać. I z szacunkiem oraz podziwem obserwowały swego tatę przy pracy. A po prawdzie, to pewnie zastanawiały się, co też właściwie robię, rozmawiając z krukiem, który wygląda jak dotknięty plagą. I konwersuje ze swobodą pozwalającą podejrzewać prawdziwą inteligencję drzemiącą w tym ptasim mózdzku.

– Gdybyś potrafiła czytać i pisać po tagliańsku, wiedziałabyś, co się tu dzieje, ponieważ wszystko jest w Kronikach – rzekłem Arkanie.

– Nie, dzięki, tato. Nawet nie mam zamiaru próbować. Wczoraj powiedziałam „nie” i mówię „nie” dzisiaj, a wszystko, co usłyszysz jutro, to znowu będzie „nie”. Nie mam zamiaru głębiej wnikać w te wasze sprawy, aniżeli to już się stało.

Sjuwrin przez cały czas nic innego nie powtarzał. Sjuwrin, który zaczął jako jeniec wojenny.

– O mnie możesz z góry zapomnieć – zapowiedziała Szukrat.

O niej nigdy nawet nie pomyślałem. I nie pomyślałbym. Niemniej sądziłem, że Arkana może się jeszcze zdecydować. Jeśli tylko da szansę tej myśli. Miała charakter odpowiedni, by stać się jedną z naszej bandy.

– Pora werbunku dobiegła końca? – zapytał kruk.

– Jak na razie. – Zerknąłem w ciemność, próbując wypatrzyć więcej szczegółów sylwetki golema. Światła było jednak za mało. Demon chyba spał.

Albo przynajmniej zachowywał obojętność. Co mnie zdziwiło, bo przecież przyszedłem tutaj, aby go uwolnić.

Wzruszyłem ramionami. Jego obojętność nie miała znaczenia dla moich planów.

Poszedłem po Goblina. Potem odprowadziłem go na bok, dobrze w głąb posadzki ogromnej sali Sziwetji, z dala od obcych uszu. Gdybym zabrał ze sobą lampę, mógłbym podziwiać cudowny sposób, w jaki szczegóły posadzki odwzorowują cechy samej równiny.

Streściłem karzełkowi całą rzecz.

– Kina myśli bardzo wolno. Musimy zrobić wszystko, zanim się zorientuje, że już tu jesteśmy, że mamy zamiar uderzyć, że dysponujemy bronią dostatecznie potężną, aby jej zaszkodzić. – Przez cały czas naszego pobytu w tym miejscu włócznia Jednookiego lśniła. Płomyki ognia przebiegały wzdłuż drzewca, kreśląc nieprzewidywalne wzory. Krawędzie grotu jęczały, tnąc powietrze. Broń zdawała się wyczuwać, co ją czeka.

Nikt nie mógł wątpić, że włócznia ta stanowi arcydzieło, aczkolwiek sztuki szczególnego rodzaju. Nikt nie zaprzeczy, że tworząc swój majstersztyk, Jednooki wspiał się na wyżyny natchnienia nieczęste w jego długim, lecz raczej żalonym życiu.

Wiele arcydzieł należy do tej samej kategorii: pojedynczego triumfu geniuszu ich twórcy.

– Kiedy dotrzemy do bariery mroku na schodach, zacznie podejrzewać, że grozi jej niebezpieczeństwo. Będziesz musiał działać szybko. Rozpędź się, na ile to tylko będzie możliwe, żeby wbić włócznię jak najgłębiej. Lanca Cierpienia nie okazała się dosyć potężna. Wszelako nie wykonano jej z myślą o zabiciu boga. Natomiast włócznię Jednookiego tak. Możesz nazwać ją Zabójcą Bogów. Sam wiesz. Byłeś przy nim przez większość lat, kiedy ją tworzył. Po przybyciu do Hsien nie zajmował się właściwie niczym innym.

Goblin przy tym był. Ale tamten Goblin, żywy, nie zaś tylko duch schwyty w ciało umęczone długim życiem. Natomiast obecny Goblin był przecież od dawna agentem potwora, którego miał aktualnie zabić. Lub przynajmniej okaleczyć. A może tylko rozdrażnić.

Podczas gdy wątpliwości opadały mnie niczym przyjaciele Tobo z ukrytego królestwa, nie przestawałem mówić, wyjaśniając mu po raz kolejny, dlaczego z nas wszystkich tylko on może przeprowadzić ostateczny atak. I moje argumenty zdawały się go naprawdę przekonywać. A może po prostu podjął już niewzruszoną decyzję, a nadzieje oraz pragnienia innych już się dlań nie liczyły.

Goblinia istota dosiadła latającego słupa.

Przyciągnąłem bliżej swój, abym mógł porównać oznaczenia i po raz kolejny upewnić się, że wiem, na którym będzie jechał.

– Zatem lećmy na dół – powiedziałem. – Będę zaraz za tobą. Twój słup jest zaczarowany tak, żeby wrócił sam, jeśli stracisz świadomość. – Wiedział. Był na miejscu, kiedy Szukrat o to zadbała. – Jeśli to nie zadziała,

wlecę, schwyćę cię i wyciągnę twój tyłek. Wziąłem dodatkowe sto metrów liny, którą mogę przyczepić do twojej uprząży. Albo obwiązać cię nią w pasie.

Mały człowieczek spojrzał na mnie tak, jakby uznał, że zwariowałem. Przygotował się do samobójczej misji, przekonany, że całkowita zagłada ciała stanowi jedyny sposób, w jaki może pozbyć się pasożyta i znaleźć w końcu wieczne odpocznienie.

Cały ten przekręt rozgrywałem wyłącznie na wyczucie. Tak naprawdę nie miałem pojęcia, czego Goblin chciał albo co miał zamiar osiągnąć w fałszywym życiu, które mu dano. Kiedy jeszcze był normalnym człowiekiem, również niewiele byłem w stanie o nim powiedzieć. Jedyna rzecz, której byłem pewien, to fakt, iż zmienił się w chodzącego kalekę. Życie bez Jednookiego było dlań jak egzystowanie bez jednej z kończyn.

I naprawdę chciał zaszkodzić Kinie. W to nie wątpiłem nawet na moment.

Długa, trudna dyskusja skończyła się, gdy z rozdrażnieniem zdałem sobie w końcu sprawę, że Goblin wcale nie dba o to, czy go wyciągnę, kiedy sprawy źle się potoczą. Zależało mu tylko na odwodach, które zadbają o dokończenie dzieła, gdyby on zawiódł.

Nie mam pojęcia, dlaczego tyle trudności przysporzyło mi zrozumienie i akceptacja zamiarów staruszka. Przypuszczalnie za bardzo koncentrowałem się na tym, by sprawy szły dokładnie po mojej myśli. Gdybym zastanowił się nad tym dokładniej, wiedziałbym, że już wcześniej Goblin opowiedział mi wszystko. Po trochu.

Jako że całkowicie obca jest mi chęć poświęcenia własnego życia, miałem kłopoty z ignorowaniem głosu mej cynicznej natury – zwłaszcza w odniesieniu do kogoś, kto tak jak on żył od tak dawna życiem opartym na całkowitym pobbłażaniu sobie.

Tymczasem schwycił włócznie Jednookiego i powiedział coś, co już dawno powinienem zaproponować, a czego jednak nie zrobiłem.

– Czas na dół, Konował. – Ujął wszystko w jednej sentencji, czystej niczym głos belcanta.

Poklepałem się po kieszeniach. Ostatni sprawdzian. Wciąż nie byłem pewny, czy rzeczywiście jestem gotów.

Taglios:

KAŻDEMU TO, CO MU SIĘ NALEŻY

Tobo nie pilnował nikt prócz Pani, która jakoś nie potrafiła przyłożyć się do tego zadania. O Panią z kolei miał zadbać tylko ten cudowny chłopiec. On również miał inne sprawy na głowie. I zdecydowanie zbyt wiele z nich znaczyło piętno ciemności.

Ani Szukrat, ani Konował, ani Pani od dawna nie zwracali na niego uwagi. Miejskie noce straciły swój tradycyjny urbanistyczny czar. Niektórzy ludzie porównywali nową epokę z czasami, kiedy Protektorka spuszczała na miasto swe mordercze cienie, z przyczyn nie bardziej jasnych niż te, które stały za aktualnie szalejącą grozą.

Fakt, że zgony były obecnie w istocie nieliczne, jakoś umykał powszechnej uwagi.

Nierozpoznane Cienie miały świetną zabawę, dręcząc mieszkańców do woli. Podobnie jak Tobo, który właśnie odkrył, że może robić, co chce.

Sny stanowiły wyjątek.

W snach nawiedzała go kobieta. Piękna kobieta Niueng Bao, zdająca się być ucieleśnieniem smutku. W głębi serca doskonale zdawał sobie sprawę, że to jego matka – taka, jaką była w młodości, zanim spotkała ojca. Zazwyczaj nie pojawiała się sama. Czasami towarzyszyła jej młoda, jeszcze niezgięta pod ciężarem wieku babcia Gota. A niekiedy jeszcze inna kobieta, zawsze delikatna, zawsze z uśmiechem na twarzy, ale wykuta ze stali mocniejszej niż miecz Wujka Dodża, Spopielająca Różdżka. Musiała to być jego prababka, Hong Trej. Nigdy się nie odzywała, ale pełnym dezaprobaty spojrzeniem potrafiła przekazać więcej niż Sahra za pomocą setek słów.

Dla tych kobiet, dzięki którym istniał, które go ukształtowały, jego zemsta była nie do zaakceptowania.

Tobo nie potrafił stwierdzić, czy to duchy przodków poruszyły jakąś jego czułą strunę – możliwość jak najbardziej dopuszczalna w wierzeniach Niueng Bao – czy też wizje kobiet stanowiły twór wyobraźni rozbudzonej wyrzutami sumienia. Ciemność, którą w sobie nosił, okrzepła już na tyle, że nie miał najmniejszej ochoty słuchać tych głosów.

Żadna z kobiet nie chciała być pomszczona.

– Nie chodzi tylko o to, że wyrządzisz sobie krzywdę. Jeśli tak dalej pójdzie, wpadniesz w pułapkę bez wyjścia – ostrzegął duch Sahry. – Nie pozwól więc, by ból tobą rządził. Przypomnij sobie, na czym polega twe prawdziwe przeznaczenie, i pozwól, by wyniosło cię ponad chwilowe nieszczęście.

Hong Trej przypatrywała mu się oczyma niczym chłodne kawałki marmuru, najwyraźniej również przekonana, iż oto dotarł do rozstaju dróg. Że stanął przed wyborem, który ukształtuje resztę jego życia.

Wiedział rzecz jasna, że słowa widmowych kobiet oraz same ich duchy muszą stanowić rodzaj metafory.

Dopiero kiedy się budził, sumienie milkło. A więc próbował unikać snu.

Brak snu upośledził jego zdolność trzeźwego osądu w jeszcze większym stopniu.

Doniesienia ukrytego ludu brzmiały zawsze tak samo: Aridata Singh nie opuszczał swego biura. Pracował dzień i noc, rzadko pozwalając sobie na więcej niż krótką drzemkę, jakby samą siłą swej woli próbował utrzymać jedność tagliańskiego świata. Harówka ponad siły z pewnością dała mu się we znaki, zaćmiła ostrość widzenia. Większość ludzi na jego miejscu już dawno zaczęłaby podrzynać gardła, by przyspieszyć proces odbudowy albo chociaż dać ujście swej frustracji. Aridata jednak tylko chłostał ludzi racjonalnymi argumentami i głosem opinii publicznej. Z nikim nie układał się w sekrecie. Pilnował, by świat dowiedział się, kiedy ktoś przedkładał interes własny nad dobro miasta.

Imiona oportunistów podawano do powszechnej wiadomości. Ludność, wytrącona z równowagi wojną i pożarami, miała niewiele tolerancji dla tradycyjnych walk frakcyjnych.

Zdarzyło się to, co przedtem byłoby nie do pomyślenia. Kilkunastu ludzi z najwyższej kasty zostało okrutnie pobitych. W tłumie widziano Szadar,

którzy zagrzewali do gwałtu. Nikt jednak się nie dziwił, a Aridata Singh z pozoru nie miał o niczym pojęcia.

Było już późno w nocy, jednak ludzie wciąż wchodzili i wychodzili z koszar Batalionów Miejskich, gdzie mieściła się kwatera główna Aridaty. Tymczasem wokół powoli zaczynała gromadzić się ciemna mgła. Wszystkich ogarnęła senność. W pojedynczych mgnieniach, tu i tam, dałoby się dostrzec postacie małych ludzików albo zwierzątek – gdyby ktoś nie spał.

Na to wszystko wkroczył Tobo, tak śpiący, że dwoiło mu się w oczach, tak pewny siebie, że nie wziął latającego słupa ani nawet nie odział się w strój Vorszk. Zadufany w sobie do tego stopnia, że nie sprawdził po dwakroć doniesień Nierozpoznanych Cieni.

Myślał, że wejdzie do wnętrza, dopełni swej zemsty, a potem zniknie i nikt niczego się nie dowie. Los Aridaty Singha pozostanie na zawsze wielką, niewyjaśnioną tajemnicą.

Ukryty ludek nie potrafił mu jednak powiedzieć nic o sytuacji w biurze Aridaty. Nie sposób było dostać się do wnętrza. Pomieszczenie dokładnie uszczelniono. Jednak wartownicy przed drzwiami chrapali.

Tobo uchylił drzwi. Skrzydło poddało się niechętnie, otwierając do środka. Wszedł, wstrzymał oddech. Pod przeciwną ścianą pomieszczenia trzech mężczyźni spoczywali bezwładnie w krzesłach, złożony głowy na stołach.

– Niedobrze – mruknął Tobo, niezbyt uszczęśliwiony obecnością potencjalnych świadków.

– Naprawdę niedobrze – powiedział Aridata, unosząc głowę znad blatu.

Chłopak miał jeszcze tylko tyle czasu, aby usłyszeć świst powietrza za plecami, a potem poczuł, jak coś uderzyło go w podstawę czaszki z siłą wystarczającą, by strzaskać kość. Osunął się w ciemność, myśląc tylko o tym, że został zdradzony, że wszedł w pułapkę. Nierozpoznane Cienie rozproszyły się na wszystkie strony, zupełnie oszalałe, by zmienić Taglios w miasto koszmarów.

Sahra, Gota i Hong Trej oczekiwały na Tobo po przeciwnej stronie snu. Od wszystkich trzech usłyszał, że sam ściągnął na siebie nieszczęście. Bez trudu mógł go uniknąć, postępując właściwie.

Wcześniej już go ostrzegano. Nie słuchał.

Smutek na twarzy Sahry był głębszy, niż Tobo widział kiedykolwiek dotąd.

Taglios:
CZAS SZALEŃSTWA

Przez kilka dni po wyjeździe Konowała Pani bez trudu radziła sobie z pokusą. Powtarzała sobie, że trzeba tylko wytrzymać, póki on nie wróci. Wtedy Córka Nocy nie będzie już mesjaszem Oszustów. Będzie zwyczajną Pierdu Pierdu.

Rozsądek podpowiadał Pani, by zachowała cierpliwość. Jednak emocjom cierpliwość jest obca. Mimo tylu wieków doświadczeń, emocje w końcu wzięły górę.

Załamana się już po upływie czterech dni.

Pani ukradkiem wyjrzała na korytarz, aby upewnić się, iż nikt jej nie przeszkodzi, potem usiadła na stołku przy łóżku córki. Schwyciła za końce kosmyków zaklęć usypiających i pętających dziewczynę. Pracowała szybko i zręcznie. Przez cztery ostatnie dni dokładnie przyjrzała się więzom Pierdu Pierdu.

Sploty czarów rozwijały się, jakby spowodowane własną wolą.

Posuwała się naprzód z niezwykłą dla niej, naiwną gorączkowością. Ta część jej umysłu, którą świat uczynił twardą i zgorzkniałą, kpiła z jej dziecinnych rojeń. Taki jest świat. Jej świat. Prawdziwy świat. Nie ma powodów, by oczekiwać, że zdarzy się cud.

Powieki Pierdu Pierdu uchyliły się jednym raptownym ruchem, jakby pociągane na sznurkach. Barwa się zgadzała, ale oprócz tego w niczym nie przypominały oczu, jakie miały kobiety w jej rodzinie. Nie były to też oczy Konowała. Były to oczy bardziej zimne niż oczy Pani w jej najokrutniejszej

godzinie. Były to oczy gada, nagi albo bóstwa. Pani zamarła na moment, niczym ptak schwytyany magicznym wejrzeniem węża. Potem powiedziała:

– Jestem jednak niepoprawną romantyczką. Istota romantyczności polega na wierze, że następnym razem będzie inaczej. – Próbowała zapanować nad dziewczyną, póki ta była jeszcze zbyt słaba, żeby coś przedsięwziąć.

Ale otaczająca Córkę Nocy aura, w której streszczało się owo „kochaj mnie”, już zdążyła musnąć Panią, tak subtelnie, że ta nie zdawała sobie z tego sprawy, póki nie było za późno.

Nie miała na sobie kostiumu Vorszk. Nic nie chroniło jej przed nadciągającą nawałą.

Poczuła drżenia narastające w głębi jej ciała powolne niczym ruch lodowca. Stawały się coraz silniejsze, a tymczasem moc bogini wypełniała Córkę Nocy. Ogarniające Panią odurzenie niosło w sobie ślad radości. Zrozumiała, że jej macierzyńskie uczucia, o których tak mało wiedziała, zostały odkryte i użyte do manipulacji nią, subtelnie, przez tak długi czas. Tak delikatnie, że nie podejrzewała niczego. Gorzej, w sposób tak wyrafinowany, że w istocie nie przygotowała się na żadną katastrofę.

Niemniej była przecież kobietą o niewiarygodnie silnej woli – miała całe wieki na jej praktykę i doskonalenie.

Zostało jej jedno wyjście.

W okamgnieniu podjęła najokrutniejszą decyzję swego życia. Wiedziała, że będzie jej żałować zawsze, ale ten wybór na dłuższą metę okaże się mniej bolesny.

Pani z Uroku miała za sobą stulecia praktyki w szybkim podejmowaniu strasznych decyzji i równie wiele lat na oswojenie się, jak żyć z ich konsekwencjami.

Zza pasa wydobyla pamiątkę po krótkim okresie swego dowodzenia Czarną Kompanią. Gałka na rękojeści sztyletu była srebrną czaszką z pojedynczym rubinowym okiem. Rubin zawsze zdawał się jak żywy. Pani powoli uniosła ostrze, spojrzenia jej i Córki Nocy się spotkały. Poczucie obecności Kiny nasiliło się.

– Kocham cię – powiedziała Pani, odpowiadając na niezadane pytanie, które istniało tylko w sercu dziewczyny. – Zawsze będę cię kochać. Zawsze. Ale nie pozwolę, byś zrobiła to memu światu.

Pomimo wszystko była w stanie tego dokonać. Zabiła już wcześniej kogoś równie sobie drogiego, kiedy nie miała jeszcze nawet tylu lat co dziewczyna leżąca pod jej nożem. I ze znacznie bardziej błahego powodu.

Poczuła, jak nabrzmiwa w niej szaleństwo. Spróbowała się skoncentrować.

Była w stanie zabić, ponieważ wierzyła bez zastrzeżeń, że nic lepszego zrobić nie może.

Kina i Córka Nocy wspólnie próbowały skruszyć straszliwą wolę Pani. Jednak czubek ostrza opadał ku piersi dziewczyny i nic nie mogło go zatrzymać. W jednej chwili to Córka Nocy stała się zahipnotyzowaną ofiarą, niezdolną uwierzyć, że sztylet Pani dosięgnie jednak jej serca.

Czubek ostrza rozciął tkaninę. Przeniknął przez nią, wszedł w ciało, potem znalazł żebro. Pani przesunęła się, aby łatwiej przepchnąć stal między kośćmi.

Nawet nie poczuła, jak to nadchodzi. Cios, najwyraźniej wymierzony w prawą skroń, był dostatecznie silny, by odrzucić ją na kilka metrów, pod ścianę. W jednej chwili ogarnęła ją ciemność. Chwilę jeszcze przed jej oczyma przesuwały się obrazy wizji, w której chciała udusić swe dziecko, miał je zakłuć.

Kiedy jej niedoszła zabójczyni poleciała na ścianę, Córka Nocy poczuła płomień bólu rozdzierający jej piersi. Krzyknęła. Jednak rozdzierająca udręka, która nią szarpnęła, nie pochodziła z rany. W jej głowie eksplodowała czerń, nagłą falą ostrych niczym nóż odłamków, tysiącem mrocznych snów, wrzasku bardziej tnącego niżli dziesięć tysięcy mieczy obracanych na ośłkach, wściekłością tak bezmierną i krwawą, że zaiste zasłużyła sobie na miano Pożeracza Światów.

Cios był na tyle potężny, by ją poderwać do góry i cisnąć w bok. Upadła bezwładnie na rozciągnięte ciało swej rodzonej matki. Jednak nie miała o tym pojęcia. Straciła przytomność znacznie wcześniej, niż siła ciężkości dokonała swego dzieła.

W powietrzu unosiła się woń zastarzałej śmierci i grobowej pleśni.

Bezimienna forteca:
POLOWANIE NA BOGA

Goblinowi coś nazbyt się spieszyło. Dwukrotnie musiałem krzyknąć za nim, by zwolnił. Mknął w dół mrocznej klatki schodowej w tempie, któremu nie potrafiłem sprostać. Nawet w szacie Vorszk bolesne zderzenia ze ścianami były ponad moje nerwy.

Nie dotarliśmy nawet na poziom lodowej jaskini, w której spoczywała Duszołap, kiedy wykrzyknąłem rozkaz zatrzymania się. Dziw nad dziwy, tym razem Goblin jednak mnie dosłyszał. I posłuchał. Nawet zareagował, gdy kazałem mu zawrócić.

– Co? – Zmienił to proste słowo w jednosylabowy szept, dobiegający z wnętrza starego grobowca.

– Nie uda nam się tego zrobić w ciemnościach. Stracimy świadomość, zanim dotrzemy na dół. A w najlepszym wypadku staniemy się zbyt ogłupiali, by jasno myśleć.

Z jego gardła wydobył się odgłos oznaczający niechętną zgodę. Sam również przeżył kilka nieprzyjemnych kolizji ze ścianą.

– Musimy wrócić po światło. – Dlaczego przeoczyłem coś równie oczywistego? Ponieważ, jak przypuszczam, byłem cholernie zajęty analizowaniem wszystkich subtelności i doszukiwaniem się drugiego dna.

Przestrzeń klatki schodowej była zdecydowanie zbyt wąska, aby zawrócić latające słupy. Musieliśmy wrócić tyłem. Operacja okazała się powolna, poniżająca, czasami bolesna. A kiedy dotarliśmy wreszcie na górę, naszym poniżeniom nie było bynajmniej końca.

Dziewczyny czekały na nas w towarzystwie białego kruka. Do tego stopnia przepełnione poczuciem własnej wyższości, że nie miałem

najmniejszych kłopotów z wyobrazeniem sobie wyrazów ich twarzy, mimo iż odziane były do akcji. Arkana wymachiwała lampą.

Przez chwilę poczułem ukłucie zupełnie bezprzedmiotowego niepokoju, ponieważ nie włożyłem mojego kostiumu Pożeracza Żywotów. Wydawał się stosowny na tę okazję. Ale absolutnie niekonieczny.

Ta zbroja nigdy nie była niczym więcej jak kostiumem.

Teraz również Szukrat zaczęła wymachiwać trzymaną w dłoni lampą. I śmiała się w głos.

– Ani słowa – ostrzegłem.

– Czy coś mówiłam?

– Myślałaś, droga córeczko.

Uniosła lampę wyżej, aby przyjrzeć mi się lepiej. Mój ubiór powoli, ale niestrudzenie pełzał po moim ciele, naprawiając poważne uszkodzenia.

– Ode mnie nie usłyszysz ani słowa, o starożytny. Znasz przecież swoją Szukrat. Szacunek dla starców aż do przesady. Teraz jednak będę się śmiać. I proszę, abyś nie wyciągał pochopnych wniosków i nie sądził, że śmieję się z ciebie.

Arkana roześmiała się jeszcze donośniej.

Goblin wydał z siebie szereg odgłosów, niemalże natychmiast wyczerpując zasób swego słownictwa.

– On ma rację. Dajcie nam te latarnie. Musimy dokończyć, coś-my zaczęli. – Miałem nadzieję, że mój idiotyczny błąd nie okaże się tym drobiazgiem, który przesądzi o porażce. I że nie była to ostatnia rzecz, o której w mej tępotcie zdarzyło mi się zapomnieć.

Goblin wziął lampę od Szukrat i zaraz ruszył w głąb ziemi. Tym razem jednak nie spieszył się już tak bardzo. Zapewne ochłodziła jego głowa, rozpalona wcześniej żądzą zemsty.

Schwyciłem lampę Arkany. Biały kruk przeleciał na czubek mego latającego słupa, trzepocząc skrzydłami. Zanim bodaj skończyłem mu tłumaczyć, że podróż w moim towarzystwie może nie być dobrym pomysłem, Szukrat już trzymała w dłoni następną lampę i pomagała Arkanie rozpalić kolejną.

Dziewczyny najwyraźniej chciały zabrać się z nami.

Kłóciłem się z nimi przez całą drogę do lodowych jaskiń. One śmiały się ze mnie. Zamknęły uszy na moje ostrzeżenia.

Biały kruk stwierdził, iż grota starożytnych będzie znakomitym miejscem na pożegnanie.

– Niczego tam nie dotykaj! A zwłaszcza samej siebie – krzyknąłem za nim, po czym dokończyłem, mrużąc po nosem: – Czy ja nigdy się nie nauczę trzymać mego cholernego jęzora na wodzy? – Byłby to przykład wielkiej i wspaniałej ironii, gdyby dotknięcie ptaka przyniosło śmierć Duszołap po tych wszystkich latach dopisującego jej nieustannie szczęścia.

Goblin znowu zaczął się spieszyć. Kiedy próbowałem go powściągnąć, powiedział:

– Z Kiną coś się dzieje! Rzuca się przez sen.

– Cholera!

Dotrzymywanie mu tempa okazało się niemożliwe, póki nie dotarliśmy do czarnej bariery. Tam zawiodły go nerwy. Przystanął, wspominając grozę lat spędzonych po drugiej stronie.

– Goblin. Jesteśmy prawie na miejscu. Musimy to zrobić. I musimy zrobić to zaraz. – Nawet człowiek równie niewrażliwy na nadprzyrodzone wpływy jak ja mógł wyczuć bliskość Kiny i jej coraz bardziej przytomnych myśli. Co z pewnością nie było naszą winą. Jej uwaga kierowała się ku czemuś innemu.

– Już! – powiedziałem bardziej stanowczo.

Za nami dziewczyny szeptały coś, najwyraźniej przejęte. Wyczuwały znacznie więcej, niż ja kiedykolwiek byłbym w stanie.

– Wy dwie macie natychmiast wracać na górę – nakazałem im. –

Gwarantuję, że będziecie mi wdzięczne. Zwłaszcza jeśli nam się nie powiedzie. Goblin.

Zebrał się na odwagę. Albo może odwołał do pokładów swej nienawiści. Rysy jego twarzy stwardniały. Ruszył naprzód.

– Nie pędź tak – syknąłem scenicznym szeptem, kiedy mijał czarną barierę. – Dziewczęta – powiedziałem. – Ruszajcie. Ktoś przecież musi ocaleć. – Przeniknąłem śladem Goblina przez okropną barierę,omalże nie ulegając panice. Mimo słów, jakie usłyszał ode mnie mały czarodziej, nie było czasu na ociąganie się czy zwłokę. Od momentu, gdy przedarliśmy się przez barierę. Kina wiedziała, że przybywamy. Odtąd jedynym naszym sprzymierzeńcem miał być jej bezwład.

Kiedy pokonałem barierę, ruszyłem zaraz w kierunku przestrzeni stanowiącej przedpokój więzienia Kiny. Goblin już gotował się do szarży.

Musiałem robić kilka rzeczy jednocześnie: dodawać mu odwagi, samemu przygotować się na to, co miało nastąpić, oraz wykonać przypadającą na mnie najbardziej niewdzięczną część przedsięwzięcia, która była jednak decydująca dla dzieła teocydii.

Musiałem kontrolować cały przebieg sytuacji. Musiałem zadbać, by wszystko zostało wykonane we właściwym czasie, we właściwym porządku, dokładnie tak, jak ułożyłem to sobie w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Kiedy Goblin pomknął naprzód, zająłem pozycję w miejscu, gdzie po lewej stronie posadzka łączyła się ze ścianą, potem przylgnąłem do tej ściany i modliłem się, by ubiór Vorszk zdołał ochronić i ją, i mnie. Wreszcie, przy świetle niemal zbyt słabym, by dostrzec cokolwiek, znalazłem odpowiednią stronę notatników Pierwszego Ojca. W warstwie ochronnej odzieży zrobiłem szczelinę na tyle tylko szeroką, żeby móc obserwować, jak Goblin pędzi wprost na Kinę i ku mojemu zaskoczeniu, wbija włócznię Jednookiego w jej skroń. Pierwotnie spodziewałem się, że będzie mierzył w serce.

Dokończyłem inkantacji, która miała doprowadzić do eksplozji latającego słupa Goblina, a potem wraz ze swym słupem schowałem się pod płaszczem. Dopiero potem pozwoliłem sobie poczuć się niczym najpodlejsze szczurze gównno.

Od wielu miesięcy próbowałem usprawiedliwić we własnych oczach to, co właśnie zrobiłem. I jakoś mi się udawało. Jednak teraz wszystko działa się naprawdę. A kiedy już dobiegnie końca, będę musiał żyć z konsekwencjami mej decyzji.

Cały wszechświat zatrzęsł się w posadach. Jaskinia, w której spoczywała Kina, była wielka, a jednak przecież ograniczona. Przestrzeń klatki schodowej stanowiła jedyne ujście dla produktów gwałtownej eksplozji. Fala energii uderzyła w moją osłonę.

Przylgnąłem ściśle do kamiennej ściany, skryty za licznymi warstwami materii Vorszk, podczas gdy wszechświat wył i dygotał. Przysięgłem, że jeśli Kina okaże się na tyle potężna, aby wyjść z tego bez szwanku, sam nawrócę się na wiarę w boginię, ponieważ jedynymi istotami mocniejszymi od niej okazałyby się wówczas faceci, którzy ją uwięzili. A po nich wszelki ślad zagażał już tysiące lat temu.

Łoskot cichł powoli. Ale ledwie zdawałem sobie z tego sprawę. Na jakiś czas zupełnie ogłuchłem od tego wycia.

Miałem nadzieję, że dziewczęta wróciły na górę, jak im kazałem.

Miałem nadzieję, że skutki eksplozji nie dadzą się odczuć w innych miejscach. Było to jednak mało prawdopodobne. Wcześniej przecież potężne trzęsienie ziemi rozdarło powierzchnię równiny, nie niszcząc ani lodowych jaskiń, ani niczego innego na dole.

Uchyliłem odrobinę płaszcz Vorszk, by móc dostrzec cokolwiek. Jeśli okaże się, że Kina ocalała i jest tylko ranna, mogę cisnąć w jej stronę mój słup i również go wysadzić. A jeśli przetrzyma drugi wybuch, doprawdy nie będzie potrzeby martwić się, czy nie czeka mnie przypadkiem atak serca lub śmierć głodowa podczas wędrówki w górę schodów.

Oślanająca mnie materia była tak umęczona, że reakcja na moją myśl zabrała jej dziesięć minut. Tylko skręcała się, drżała i pełgała, zajęta pracowitym samouzdrawianiem.

Kiedy już dysponowałem dziurą, przez którą mógłbym coś zobaczyć, przekonałem się, że i tak nic nie widać. W celi Kiny wciąż płonęło intensywne jaskrawe światło. Być może nieco przyblakło, ale działa się to zbyt wolno, żebym mógł to stwierdzić.

Minęło kolejne pół godziny, zanim mogłem dostrzec jakieś szczegóły, nie okupując tego bólem oczu. I bardzo dobrze. Tyle czasu zabrało mojemu ochronnemu ubiorowi naprawienie szkód i uspokojenie w stopniu dostatecznym, żeby pozwolić mi odkleić się od ściany.

Te ubiory wykonano naprawdę sprytnie. Dojście do siebie zabiera im tyle czasu, że człowiek nie jest w stanie zrobić żadnej głupoty.

Wsiadłem na mój słup i ruszyłem naprzód, wiedząc, że osłona nie wytrzyma kolejnego wybuchu.

Z początku niczego nie mogłem znaleźć. Później, kiedy światło osłabło jeszcze bardziej, zacząłem odkrywać fragmenty czegoś, co mogło być zębem lub kością, powbijane w rozmaite powierzchnie. Po ciałach – czy to Goblina, czy bogini – nie zostało nawet śladu.

W istocie wątpiłem, by którykolwiek z tych zębów lub kości mógł należeć do zwykłego śmiertelnika. Eksplozja była zbyt potężna. Znacznie gwałtowniejsza nawet od tej, która zniszczyła Bramę Cienia Vorszk albo zainicjowała ruinę pałacu.

Śmierć Kiny jakimś sposobem przyczyniła się do wzmocnienia efektów eksplozji.

Mój latający słupek nie chciał reagować na polecenia do końca właściwie. Działał z opóźnieniem, a nadto szarpał się w locie. Mimo wysiłków, jakie poczyniłem w celu jego ochrony, musiał zostać uszkodzony.

Kiedy światło osłabło w krypcie bogini dostatecznie, w miejscu gdzie wcześniej znajdowało się marmurowe łóżko Kiny, ujrzałem coś, co przypominało długiego, czarnego węża. Oprócz mnie była to jedyna rzecz barwy innej niż biała w całym pomieszczeniu.

Zbliżyłem się ostrożnie. Podejrzywałem, że to ta kość ciemności, którą Kina nosiła pod sercem. Nadto byłem przygotowany na to, iż wszystko, co zobaczę albo czego doświadczę w tym miejscu, może okazać się złudzeniem.

Kina była Matką Oszustów.

Jedną z najsilniejszych broni Oszustów jest umiejętność przekonania człowieka, żeby zwątpił we wszystko i nikomu nie ufał.

Czarny przedmiot nie był żadnym wężem. Były to zdeformowane szczątki włóczni Jednookiego. Przeszła przez te wszystkie gwałtowne zmagania w zadziwiająco dobrym stanie. Była nieco poskręcana i powyginana, lekko nadpalona na powierzchni. Intensywny żar nieznacznie zniekształcił metalowe inkrustacje.

Ludzie, Jednooki musiał obłożyć tę broń naprawdę mistrzowskimi zaklęciami ochronnymi!

Zebrałem to, co zostało z włóczni, zawróciłem, a potem upewniłem się, że jestem bezpiecznie przymocowany do mego latającego słupka – dopiero wtedy wydałem rozkaz zanieśienia mnie z powrotem do punktu wyjścia.

Taglios:
MELANCHOLIJNA ŻONA

Spłynęliśmy z niebios niczym rodzina sparszywiałych sępów. Mój ubiór Vorszk jeszcze nie doszedł do siebie. Dziewczęta były bardziej nawet poszarpane niż ja. Podmuch eksplozji dogonił je, zanim zdążyły opuścić klatkę schodową. Ich ciała pokrywały niezliczone sińce.

Prawdziwym cudem natomiast okazał się fakt, że wszystkie latające słupy ocalały z przygody, chociaż żaden nie całkiem bez szwanku.

Gaj Zagłady wyłonił się przed nami, witając nas, niczym matka pozdrawiająca swe zaginione dzieci.

Przez moją głowę przelatywały ostatnio dziwne myśli i obrazy. Niepokoiły mnie. Kazały mi się zastanawiać, czy Kina rzeczywiście zginęła, czy tylko gdzieś się przyczaiła.

Szukrat żartem zauważyła, że teraz powinienem martwić się tylko o ojca i męża Kiny, którzy pewnie zechcą wyrównać rachunki. Nie śmiałem się. W moich oczach ta możliwość wydawała się znacznie bardziej realna i ponura.

W Gaju Zagłady było pusto. Przynajmniej jeśli mowa o ludziach. Jednak zdążyły się już zadomowić w nim jakieś ptaki, a w poszyciu harcowały nieliczne małe zwierzątka.

Jak dym rozwiała się ponura atmosfera panująca niegdyś w tym miejscu.

– Udało się nam – westchnąłem. – W końcu. Naprawdę. Nie ma już Kiny, dręczycielki świata.

Dziewczyny zdradzały znacznie mniejsze podniecenie, ale one nigdy nie musiały żyć w cieniu Roku Czaszek.

Biały kruk przysiadł na pobliskiej gałęzi i wyskubał sobie z ogona brudne pióro.

– Jesteś pewien? – Bestia miała mnóstwo zabawy, podsycając moje strachy. Zapowiadało się, że ją i mnie czeka długi, przykry związek... chyba że wywiążę się z obietnicy złożonej Sziwetji.

– Gdybyśmy mieli wskazać w tym świecie jakieś miejsce, które objawi nam, czy Kina przetrwała, to właśnie tutaj – oznajmiłem. – Od zarania kultu ten las stanowił prawie część jej samej. Niewykluczone zresztą, że właśnie w nim wszystko się zaczęło. Nie sądzę, by potrafiła się odeń uwolnić, nawet gdyby chciała.

– Wobec tego lećmy dalej – powiedziała Szukrat.

Arkana zaśmiała się szyderczo:

– Nie może się doczekać widoku Tobo. – Nie chciała być złośliwa. Ale Szukrat natychmiast zrewanżowała się, wspominając o śmiesznie nieśmiałym zachowaniu Arkany w obecności Aridaty Singha. Co z kolei sprawiło, że Arkana spoważniała.

– Hej, tato. Jak sądzisz, co zgon Kiny może oznaczać dla Córki Nocy? – Było to stąpanie po kruchym lodzie. Jednak strapiona spojrzieniami, jakie Singh jej rzucał, nie do końca potrafiła uwierzyć, że po prostu każdy mężczyzna tak na nią reagował. – Będzie z powrotem normalna?

Szukrat zniemacka również zainteresowała się tą kwestią.

– Nie mam pojęcia, moja laleczko. Martwię się jednak. Od momentu poczęcia była już związana z Kiną. Przypuszczalnie śmierć bogini będzie dla niej tym samym, czym byłoby dla któregoś z nas wyrwanie wątroby.

Znacznie bardziej martwiłem się losem mojej żony. Utrata połączenia z Kiną może być dla niej druzgocząca. Całość własnego wizerunku, który piastowała w głębi serca, opierała się na zdolności do odgrywania roli straszliwej czarownicy. Bez Kiny, z której czerpała, stanie się tylko kolejną kobietą w średnim wieku, obrastającą tłuszczem i szarzejącą.

Przez całą drogę od Bramy Cienia pogoda była kapryśna. Musieliśmy uciekać bez przerwy przed ulewami i burzowymi frontami. Tym sposobem straciliśmy dzień.

Wreszcie, nieco tylko ponad trzydzieści kilometrów od celu, nie dało się już uniknąć srogiej nawałnicy. Chyba żebyśmy polecieeli bardzo wysoko. Byłoby jednak straszliwie zimno i prawie nie moglibyśmy oddychać, a potem musielibyśmy spłynąć w dół, zygzakiem między masywami chmur,

przez cały czas szarpani turbulencjami. Szukrat i Arkana upierały się przy unikaniu burz z piorunami.

– Pomyśl, co może się wydarzyć, jeśli trafi cię piorun – podsunęła mi Arkana.

Nie musiałem długo myśleć. Do niczyjego widoku nie spieszyło mi się tak bardzo, bym chciał ryzykować eksplozję słupa między nogami. Skierowałem się ku ziemi. Schronienia poszukaliśmy w wiosce rolniczej Gunni, której mieszkańcy przyjęli nas z takim samym trwoźnym respektem, jaki okazaliby trójce nagów, nacji złych węży zamieszkującej wedle mitów Gunni głęboko pod ziemią. Wychodzą one na powierzchnię tylko po to, by nękać ludzkość przy rozlicznych okazjach – zawsze ze dwie, trzy wioski z dala od miejsca, gdzie zrodziła się opowieść.

Nie ukradliśmy im ani jednego dziecka czy dziewicy, żadnych świętych krów lub bodaj jednej owcy. Zainteresował mnie natomiast fakt, że ludzie ci byli w dostatecznym stopniu elastyczni religijnie, by hodować owce, a potem sprzedawać je Vedna, wiedząc, że ci natychmiast je zarzną.

Niedługo po północy burza się skończyła. Zostawiliśmy naszym gospodarzom dość monet, by zegnali nas błogosławieństwem. Którego bynajmniej się nie domagaliśmy.

Burza minęła, ale zastąpiła ją uporczywa mżawka. Kostiumy Vorszk pomagały, jednak w niewielkim stopniu. Było mi zimno i paskudnie, a mój oswojony kruk – siedzący tuż przede mną, aby w ten sposób korzystać choć z częściowej ochrony płaszcza – tak dalece pograżył się w rozpacz, że nie miał nawet siły się uskarżać.

Koszary Kompanii wydawały się niezwykle ciche i równocześnie czujne. Wszędzie widać było uzbrojonych wartowników.

– Wygląda to tak, jakby Sjuwrin obawiał się ataku.

– Coś musiało się stać.

Zawisłem nieruchomo w powietrzu.

– Czujecie coś, dziewczyny?

– Zdecydowanie coś jest nie w porządku – powiedziała Arkana. – Nie mam jednak pojęcia co.

– Lepiej będzie, jak się dowiemy. – Nie minęły nawet dwa tygodnie, a już wszystko poszło w diabły?

Sjuwrin wyjaśnił mi. Udało mi się nad sobą zapanować i nie pobiegłem do Pani, póki nie wysłuchałem całej historii.

– Generał Singh trzyma Tobo w celi tak dokładnie odizolowanej, że Nierozpoznane Cienie nie potrafią doń dotrzeć – rzekł na koniec. – Nikomu nie pozwala go odwiedzać. Wiemy jednak, że dzieciak jest poważnie ranny.

– Najwyraźniej. Inaczej nie pozwoliłby na takie traktowanie. Spróbował zrobić coś głupiego?

– Och, tak. A ja nie mam żadnych koni, którymi można by go wydostać.

– Już masz. Jeśli zechcesz zauważyć. Co z Panią?

– Nawet nie wiemy, co się stało. Nikogo nie było na miejscu. Ostatnie raporty donoszą, że odzyskała świadomość, lecz dalej pozostaje ponura i otepiała. Z dziewczyną jest gorzej. Udało ci się?

– Poszło jak po maśle. Tym prawdopodobnie należy tłumaczyć stan Pani i Pierdu Pierdu. – Nie rozwodziłem się nad tym dłużej. – Trochę tu strasznie.

– Z nocy na noc jest gorzej. Przyjaciele Tobo nie są zadowoleni. I z każdą godziną wściekają się coraz bardziej. Jednak Aridata nic sobie z tego nie robi.

– Cóż, przekonamy się, co można zrobić. Ale najpierw chcę zobaczyć się z żoną. – Albo z kobietą, która kiedyś była moją żoną.

Wziąłem ze sobą Arkanę. Na wszelki wypadek.

– Nic nie mów. Trzymaj się z boku i osłaniaj mnie – nakazałem jej.

Przed moimi kwaterami stał wartownik, ale najwyraźniej nie po to, by nikt ich nie opuścił. Chyba nawet nie miał odstraszać nieproszonych gości. Był dla Sjuwrina systemem wczesnego ostrzegania. Skinęliśmy sobie głowami. Złamał Arkanie serce, najwyraźniej nie zauważywszy, że ma przed sobą atrakcyjną młodą kobietę. Moim zdaniem, pomimo ubioru Vorszk powinno być to oczywiste dla każdego.

Pani siedziała przy niewielkim stoliku. Patrzyła w przestrzeń. Najwyraźniej próbowała układać pasjansa, ale dawno temu straciła zainteresowanie tym zajęciem. W lampie stojącej na blacie oliwa już się dopalała. Kłębił się nad nią czarny dym, nikt nie zadbał o przycięcie knotu.

Na czymkolwiek spoczywał jej wzrok, pewne było, że widzi przed sobą tylko rozpacz.

Zupełnie przestała dbać o wygląd.

Położyłem dłoń na jej ramieniu.

– Kochana. Wróciłem.

Nie zareagowała od razu. Kiedy rozpoznała mój głos, szarpnęła się odruchowo.

– Ty to zrobiłeś – powiedziała, bardziej myśląc na głos, niż zwracając się do mnie. – Ty coś zrobiłeś Kinie. – Tylko słowo „ty” naładowane było ludzkimi emocjami.

Zerknąłem przez ramię na Arkanę, żeby sprawdzić, czy uważa. Chwila była krytyczna.

– Zabiłem ją. Zgodnie z tym, co przewidywała umowa. – Jeśli wciąż miała w sobie cząstkę bogini, powinna zareagować.

I zareagowała, jednak nie rzuciła się na mnie, dysząc pragnieniem zemsty, co bym wolał. Chyba.

Po prostu zaczęła płakać.

Nie przypomniałem jej, że przecież musiała wiedzieć, iż ten dzień nadejdzie. Zapytałem tylko:

– Co z Pierdu Pierdu? Jak ona to znosi?

– Nie mam pojęcia. Nie widziałam jej.

– Co? Zanim odleciałem, nie sposób było cię od niej oderwać na dość długo, byś coś zjadła.

Tama pękła. Po policzkach popłynęły łzy. Oto miałem przed sobą kobietę, której nigdy nie widziałem, emocjonalnie popękaną niczym skórka przejrzałego owocu.

– Próbowałam ją zabić.

– Co?

Mówiła bardzo cicho.

– Próbowałam ją zabić, Konował! Próbowałam zamordować własną córkę! Staralam się z całych sił zatopić sztylet w jej sercu! I udałoby mi się, gdyby ktoś mnie nie znokautował.

– Znam cię. A więc wiem, że musiałaś mieć powód inny niż tylko przeświadczenie, że będzie to zabawne. Co się stało?

Zacząła bełkotać. Całe lata duszenia wszystkiego w sobie dały o sobie znać. Wewnętrzna tama pękła, słowa przelewały się nad nią.

Czas zgadzał się z momentem mego ataku na Kinę. Gwałtowna reakcja, jaką Pierdu Pierdu wzbudziła w Pani, mogła być efektem strachu

przesączaającego się w jej duszę z umysłu bogini. Zachowanie Pierdu Pierdu mogły kształtować te same czynniki.

Pani płakała przez długi czas. Tulilem ją w ramionach. Bałem się o nią. Upadła tak nisko. A przez całą drogę w dół byłem dla niej tylko ciężarem.

Naprawdę wszystko miało być moją winą? A może to tylko iskra i pasja młodzięńczych lat ustępowały miejsca martwemu sezonowi starczej rozpacz?

Arkana okazała się dobrą córką. Wytrzymała cierpliwie całą tę emocjonalną burzę. To dla mnie została na miejscu w czarnej godzinie życia mej żony. Kiedy wyszliśmy, podziękowałem jej z całego serca.

– Wciąż sądzisz, że jakoś weźmie się w garść? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, jak ją przekonać, że warto. Gdyby się udało, nie martwiłbym się w ogóle. Ona ma żelazną wolę, tylko coś musi ją najpierw natchnąć. W obecnej sytuacji mogę jedynie próbować dalej ją kochać i żywić nadzieję, że zdarzy się coś, co rozbudzi w niej pragnienie życia.

– Nie mam pojęcia, czy sama byłabym w stanie znieść całkowitą bezbronność. Pewnie bym się zabiła.

– Z każdego tysiąca ludzi dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu przeżywa swe żywoty, nie dysponując nawet jedną milionową twej mocy. I jakoś sobie radzą.

– Tylko dlatego, że zupełnie nie wiedzą, co tracą. Nikt nie żałuje czegoś, czego nigdy nie posiadał.

Tu mnie miała.

Pełni głębi melancholii Pani nie poznam tak naprawdę nigdy, ponieważ nie doświadczyłem takiego życia, jakie było jej udziałem. Podczas gdy ona znała moje aż za dobrze.

To również mogło stanowić istotny składnik jej rozpacz.

Taglios:
UTRACONE DZIECKO

Pierdu Pierdu była w znacznie gorszym stanie niż Pani. Całkowicie zatopiła się w sobie. Strażnicy naprawdę musieli jej pilnować. Donieśli, że od chwili odzyskania przytomności przez cały czas nie robiła nic prócz wpatrywania się w pustkę. Ani razu nie odczuli pokusy, by jej służyć czy bodaj ją zgwałcić.

Jednym ze strażników był Szadar, który towarzyszył Ospalej od czasów wojen kiauluńskich.

– Sjuruwidża Singh i jej dzieci dbają o nią – powiedział.

Poczułem lekkie ukłucie winy. Wdowa po Iqbalu Singh, mająca przychylność Ospalej. Nie zdawałem sobie sprawy, że jej rodzina przeżyła walki na południu od miasta. Zbyt pochłaniały mnie wysiłki dbania o innych ludzi zależnych od Kompanii.

Córka Nocy była umyta, wyczesana i starannie odziana. Siedziała w fotelu na biegunach, stanowiącym naprawdę dziwny widok w tej części świata. Nie zdawała sobie sprawy z niczego, co działo się poza granicami jej duszy. Na biały materiał sari, nieco jaśniejszy niż jej skóra, ściekała, z otwartych ust strużka śliny. Pod szyją ktoś zawiązał jej gałganek w charakterze śliniaczka.

Jeśli już mowa o albinosach, biały kruk dotarł na miejsce przede mną. Ale ostatnio bardzo uważał, żeby mnie nie wkurzyć.

Podszłuchał dość, tu i tam, aby podejrzewać, że moje decyzje mogą mieć niebagatelny wpływ na jego przyszłość.

Sziwetja udzielił nam ogromnej pomocy w zamian za obietnicę, że położymy kres jego rządowi nad lśniącą równiną. Miałem zamiar tej obietnicy dotrzymać. Próbuję zawsze wywiązywać się ze wszystkich

obietnic złożonych przez Kompanię. Dotrzymywanie danego słowa różni nas od ludzi takich jak Radisza, którzy w niewygodnych sytuacjach woleli raczej wyrolować partnera.

Dwukrotnie obszedłem Pierdu Pierdu. Nie dała najmniejszego znaku, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Uklęknąłem przed nią. Jej oczy były otwarte. Żrenice niczym główki szpilek. Mimo iż poruszałem jej palcem przed nosem, nie reagowały.

Odszedłem na bok, rozważając dostępne możliwości. Wreszcie wyprowadziłem Arkana na korytarz, powiedziałem, czego chcę spróbować i jak mogłaby mi pomóc.

Na powrót dołączyliśmy do Pierdu Pierdu i ptaka. Żadne z tej dwójki chyba nawet nie drgnęło podczas naszej nieobecności.

Arkana i ja rozdzieliliśmy się, każde poruszało się powoli, jakbyśmy chcieli minąć Pierdu Pierdu, unikając zauważenia. Kiedy dotarliśmy na swoje miejsca, znieruchomieliśmy. Czekaliśmy. I czekaliśmy.

Trudno zachować cierpliwość, kiedy jest się w wieku Arkany. W końcu zaczęła niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Co sprawiło, że powietrze poruszyło się nieznacznie; zrozumiawszy to, przestała na moment oddychać.

Po czasie tak długim, że nawet ja zacząłem robić się niespokojny, dałem znak dziewczynie. Najlepiej jak potrafiła, zachowując całkowitą ciszę, przyklęknęła na jednym kolanie przy prawym biegunie fotela Pierdu Pierdu, tak aby dziewczyna nie mogła jej zauważyć. Blisko – tamta musiała być w stanie wyczuć ciepło jej ciała. Ja postąpiłem tak samo, tyle że po drugiej stronie. Żadne z nas nie poruszyło się do chwili, gdy ból w kolanachomalże mnie nie zabił. Zachowywaliśmy się tak ostrożnie, że dziewczyna nie mogła poczuć bodaj naszych oddechów.

Skinąłem głową.

– Sza, sza – wyszeptała Arkana tak cicho, że ja jej nie dosłyszałem. Tak cicho, że nawet ktoś, kto posłyszałby te słowa szeptane prosto do ucha, nie byłby w stanie ich zrozumieć.

Nie miałem pojęcia, dlaczego to właśnie powiedziała. Pochyliłem się, aby ciepło mojego ciała uczyniło przekaz bardziej oczywistym. Znowu skinąłem głową.

– Sza, sza. – Nie głośniej niż przedtem.

Skóra na karku Pierdu Pierdu zdrzała.

Uśmiechnąłem się do Arkany, mrugnąłem.

Podstępem można wiele zdziałać.

– Sza, sza.

Powoli dziewczyna zaczęła odwracać głowę w kierunku Arkany, niczym dziecko niezdolne powściągnąć swej ciekawości.

Nie chodziło o to, że udaje. Po prostu żadne konwencjonalne bodźce nie były w stanie przeniknąć przez mur jej rozpacz.

Podniosłem się i usunąłem na bok, aby nie mogła mnie ujrzeć, nie podejmując dodatkowego wysiłku.

Arkana obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym łatwo można było wyczytać zdziwienie. Skąd wiedziałem, iż do Pierdu Pierdu można dotrzeć? Wzruszyłem ramionami. Przypuszczam, że to po prostu intuicja. Przekonanie, że jej ciekawość da się obudzić, jeśli podrażnić ją dostatecznie subtelnym bodźcem.

Ale co dalej? Jak przykuć jej uwagę, by znowu nie zapadła się w siebie?

Wkrótce dziewczyna widziała i słyszała nas całkiem nieźle. Wciąż jednak nie reagowała. Dalej nie chciała odpowiadać na pytania.

Opuściła ją wola życia. Potrafiłem zrozumieć dlaczego. W całej jej egzystencji nie było nic prócz Kiny oraz walki o uwolnienie bogini. Nic prócz misji sprowadzenia na ziemię Roku Czaszek.

Pojawiła się Sjuruwidza. Nie znałem jej w czasach, gdy jej mąż zaciągnął się do Kompanii. Może wówczas była prawdziwą piękną, choć mocno w to wątpiłem. W miarę upływu lat również nią się nie stała. Widok jej dzieci nie wzbudzał spontanicznej ochoty, by natychmiast je przytulić. Jednak byli to ludzie dobrzy, nawet jeśli smutni.

– Udało ci się ją obudzić! – powiedziała. – To świetnie.

– Teraz musimy tylko utrzymać ją w tym stanie. Jakies pomysły?

– Dlaczego?

Wszyscy odwróciliśmy się ku dziewczynie.

– Co? – zapytałem.

– Dlaczego zakłóacie mój spokój? Uwolnijcie mnie. Nie mam powodów, by żyć. Nie istnieje dla mnie żadna przyszłość. Nie będzie już zbawienia ani zmartwychwstania. Nie nadejdzie epoka cudownego odrodzenia.

Była już całkowicie świadoma, ale wciąż przygnębiona, pogrążona w depresji. Ukląknę przed nią, ująłem jej dłonie, próbując podtrzymać ten

gniew na otaczający świat.

– Co to znaczy? To, co przed chwilą powiedziałaś.

Pytanie chyba zbiło ją z tropu. Przez kilka minut udawałem całkowitą ignorancję w kwestiach jej wiary. Miałem nadzieję, że zmuszając do wdawania się w wyjaśnienia, jakoś ją ożywię.

Nie spotkałem jeszcze prawdziwie wierzącego, który potrafiłby oprzeć się pokusie dowiedzenia słuszności właśnie jego prawdy. Pierdu Pierdu nie okazała się wyjątkiem, chociaż z początku szło jej ślamazarnie.

Nie przeszkadzałem jej, póki prawie nie skończyła. Jak dotąd nie zdążyła wspomnieć o niczym, czego wcześniej już nie słyszałem, gdzieś, w jakiejś interpretacji.

– Wybacz mi – powiedziałem. – Wydaje mi się, że czegoś nie zrozumiałem. Rok Czaszek nie miał oznaczać końca świata?

Najstarszy chłopak Sjuruidży przyniósł jedzenie i napoje. Zadbałem o to, by Pierdu Pierdu została obsłużona jako pierwsza. Wypiła duszkiem chyba z pół litra wody, zanim mi odpowiedziała:

– To miał być koniec świata. Tego świata, który istnieje obecnie. To miało być oczyszczenie. Czas, kiedy zło i zepsucie zostaną usunięte, a jedynie dusze mające prawdziwą szansę odkupienia pozostaną w Kole Życia.

Poczułem zmieszanie. Poczułem się zagubiony. Niczego nie pojmowałem. Wiedziałem, że Oszuści chcieli przyspieszyć nadejście Roku Czaszek. Że wokół tego motywu zbudowano całą ich religię. Wiedziałem również, że większość Gunni chce czegoś zupełnie odmiennego, ale wierzy, że nadejście Roku Czaszek jest nieuniknione. Któregoś dnia. Miał stanowić przecież jedną z Epok Stworzenia, Czwartą Erę, przewidzianą u zarania czasu. Jednak dopiero teraz po raz pierwszy usłyszałem, że cokolwiek ma nastąpić po niej. Zwłaszcza coś najwyraźniej przyjemnego.

– Wszelkie zło umiera tam niekończącą się śmiercią – mruknąłem pod nosem, a potem zapytałem: – Chcesz mi powiedzieć, że głównym celem Kiny było usunięcie wszystkich ludzkich odpadków, aby tylko dobrzy i prawi ludzie mogli wejść do rajy?

Zniecierpliwiona moją tępotą, gwałtownie pokręciła głową, potem spróbowała wyjaśnić.

– Każ im sprowadzić moją żonę – wyszeptałem do Arkany.

Nie jestem tak głupi, jak tego wieczoru udawałem przed moją córką, ale muszę przyznać, że nie pojąłem tego, co próbowała mi wyjaśnić. Wszelako zdałem sobie sprawę, że naprawdę wierzyła, iż zgładziwszy Kinę, odebrałem światu ostatnią szansę wyjścia z obecnej epoki grzechu oraz zepsucia i wkroczenia w wiek oświecenia.

Jak mi się wydaje, dla Kiny znowu przewidziano zadanie pożarcia wszystkich demonów, tylko tym razem miały to być demony rasy ludzkiej, które zmieniają życie i dzieje w salę tortur.

Od początku stali za tym Panowie Światła, rozwijając nową intrygę ogólnoświatowego odkupienia. Zakładając, że nadal gdzieś tam byli.

Przybyła Pani, w towarzystwie Bidzara. Stopniała w chwili, gdy zobaczyła, że Pierdu Pierdu jest przytomna.

Obserwowałem zupełnie ogłupiały, jak zajęła moje miejsce na kolanach przed Córką Nocy. To była moja żona? Ta rozedrgana galareta łzawej sentymentalności, to była Pani, zdolna natchnąć ongiś całe imperium grozą swego imienia?

Nie słuchałem dalej. Muszę przyznać, że jej zachowanie wydało mi się żenujące. Ponieważ nie zdawałem sobie sprawy, ile rzewnych uczuć nagromadziło się w niej. W mojej obecności Pani zawsze trwała przy okrucach dawnego wizerunku... kiedy tylko nie gubiła się w wewnętrznych labiryntach żalu nad sobą.

Cała scena wyraźnie bawiła Córkę Nocy. Nie wiedziała, jak to wszystko rozumieć.

Sjuruwidza również chyba poczuła zażenowanie. Wygnała swoją rodzinę z pomieszczenia. Chłopcy poszli bez słowa, niezdolni wytrzymać widoku takiej ckliwości. Ona sama obrzuciła mnie jeszcze współczującym spojrzeniem, a dopiero potem zamknęła drzwi.

Zapomniałem jej powiedzieć, że chce mi się pić. Moje gardło było zupełnie wyschnięte. Poszedłem za nią. Przechodząc przez pokój, potknąłem się. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Prawdziwym powodem wyrzutów sumienia, jakie miałem odczuwać później, była tylko moja mentalna niezgrabność.

Wyszedłem na korytarz i zawołałem za Sjuruwidzą:

– Przynieś, proszę, nam jeszcze wody. Wszystkim bardzo chce się pić.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Znowu najwyraźniej zażenowana, tym razem dlatego, że przebywała sam na sam z mężczyzną, który nie był

jej mężem. Chciałem powiedzieć coś, żeby rozproszyć jej obawy, ale wtedy zawołała mnie Arkana.

Tylko moment zabrało mi znalezienie się w środku.

Pierdu Pierdu zadzierzgnęła *rumel*, dusicielską szarfę Oszustów, wokół szyi swej matki. Jej oczy wypełniał mrok resztek ducha Kiny. Jej siła była najwyraźniej nadnaturalna. Arkana nie potrafiła rozerwać jej uchwytu. A ta drobna blondyneczka wcale nie należała do słabiutkich.

Nie musiałem umierać, żeby trafić do piekła. W jednej chwili stanęły mi przed oczyma wszelkie udręki, jakie będę musiał wycierpieć przez resztę mego życia.

Uderzyłem Pierdu Pierdu moją słabszą ręką. Nie poddała się. Wyprowadziłem porządny cios. Poleciała na plecy. Z jej nosa popłynęła krew. Jednak nie puściła żółtego jedwabiu. Wyciągnąłem więc sztylet, który zawsze przy sobie noszę, ale którego normalnie używam do krojenia jedzenia. Dobyłem ostrza i nakłułem skórę tuż pod jej lewym okiem.

A ona wciąż nie ustępowała.

– Oto zemsta Kiny, Konował – powiedział biały kruk.

Ki diabeł?

Pani już prawie umierała.

Dźgnąłem dziewczynę w rękę.

Ledwie krwawiła.

Dźgnąłem znowu, starając się trafić w staw łokcia.

Nic.

Próbowałem przeciąć ścięgna na jej nadgarstkach.

Przez cały ten czas Arkana usiłowała rozerwać uścisk dziewczyny na żółtym jedwabiu, przeciąć go albo przeszkodzić jej jakoś inaczej.

Wyprowadziłem cios tak silny, na jaki tylko było mnie stać. Kiedy on również nie przyniósł efektów, prócz tego, że głowa dziewczyny odskoczyła do tyłu, straciłem nad sobą panowanie. Jak mówi stare powiedzenie, zrobiło mi się ciemno przed oczyma.

Do momentu, kiedy Arkana zdołała mnie wreszcie powstrzymać, zadałem własnemu dziecku ponad dwadzieścia ciosów nożem. Jednak nie zabiłem jej. Przynajmniej nie do końca. W końcu musiała zwolnić uchwyt.

Najprawdopodobniej zbyt późno. Pani rzeźbiła i próbowała złapać dech, ale wciąż się krztusiła. Pochyliłem się nad nią i próbowałem oczyścić drogi oddechowe. Niestety, miała chyba uszkodzoną krtań.

Arkana zachowała spokój. Wezwała pomoc.

– Skąd Pierdu Pierdu wzięła szarfę Dusicieli? – zapytałem. – Nie miała jej przed naszym odlotem na Południe. – Została przecież rozebrana do naga, wyszorowana i odziana w świeże rzeczy. Potem umieszczono ją w tym pokoju. A więc ktoś musiał przynieść jej *rumel*. Utajony Oszust. – Musimy dowiedzieć się, kto ją odwiedzał. – Nie chciałem, żeby się okazało, iż winna jest Sjuruwidza, chociaż patrząc logicznie, była pierwszą podejrzaną. Wyjąwszy fakt, iż była kobietą. Jak dotąd moja żona i córka stanowiły jedyne kobiety dopuszczone do udziału w tajnym bractwie, o których wiedzieliśmy.

Jednak przecież były to czasy wielkich przemian. Smutek i ociążałość myślowa Sjuruwidzy mogły stanowić tylko pozory.

Przecież nie bez powodu nazywają ich Oszustami.

Taglios:
WIELKI GENERAL

Łotr w końcu mimo wszystko nie okazał się Oszustem. Nawet nie miał pojęcia, kim oni są. Był to syn Sjuruwidży, Bidżar, którego Pierdu Pierdu tknęła swym zaklęciem „kochaj mnie”, naginając do swej woli, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Posłała go do zakonspirowanego członka bractwa Dusicieli. Zdobył szarfę. Wszystko zdarzyło się, gdy pozostawaliśmy w powietrzu, wracając z lśniącej równiny.

Chłopaka spotkała tylko taka kara, jaką matka uznała za wskazaną. Jednak Oszust, który dostarczył *rumel*, wkrótce udał się na spotkanie ze swą boginią. Wraz z paroma przyjaciółmi. Nie będzie litości dla Dusicieli, póki ostatni nie opuści tego świata.

Kiedy pozostali prowadzili śledztwo, na mnie spoczęło zadanie opieki nad Panią i Pierdu Pierdu. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że moje umiejętności nie uratują żadnej z nich. Wezwałem najlepszych lekarzy z Krainy Nierozpoznanych Cieni. Jak jeden mąż powiedzieli mi to, czego wcale nie chciałem usłyszeć.

Dla obu kobiet czary pozostawały jedynym ratunkiem. A Tobo był jedynym człowiekiem, który dysponował odpowiednią mocą. Arkana i Szukrat nie na wiele mogły się przydać. Zbyt mało wiedziały o sztuce uzdrawiania.

– Niezależnie od osobistych powodów, chłopak jest jednym z nas – powiedziałem, zwracając się do Sjuwrina. – Nie możemy dopuścić, by gnił w tagliańskiej celi.

Kapitan miał w sobie trochę nazbyt wiele z polityka. Zbyt łatwo godził się ze stratą jednostki, by tylko zbiorowość mogła spać spokojnie. Za wszelką cenę chciał uniknąć konfrontacji z Aridatą Singhem.

– Naprawdę powinieneś wgłębić się w Kroniki – ciągnąłem dalej. – Musisz bez reszty pojąć, co znaczy być towarzyszem broni Czarnej Kompanii.

– Może. Lecz póki tego nie zrobię, będę o wszystkim decydował po swojemu.

Nie kłóciłem się. Nie oczekiwałem innej odpowiedzi. Na zewnątrz czekała Szukrat. Spojrzała na mnie, pokręciłem głową. Rzuciła zaklęcie sprowadzające sen na ludzi, których Sjuwrin wysłał za mną. Zadziałało wręcz idealnie.

Szukrat i ja poszliśmy poszukać Wielkiego Generała.

Arkana uprzejmie zgodziła się osłaniać nas z powietrza.

Mieliśmy zamiar uwolnić Tobo.

Jedyną wadą całego planu była nieznajomość miejsca, w którym go przetrzymują.

Musieliśmy więc zapytać o to Aridatę. Zachowując wszelako znacznie dalej posuniętą ostrożność niżli Tobo, gdy dokonał ataku na kwatery Wielkiego Generała. Szukrat przygotowała teren swoim zaklęciem nasennym. Wszystko szło tak gładko, że niełatwo przyszło mi nie zacząć zaraz krakać i węszyć wszędzie pułapki.

Bezwładne ciało rosnącego Singha niełatwo było ruszyć. Przynajmniej przysporzyło to sporo trudności staremu, kulawemu człowiekowi i drobnej nastolatce. Niemniej zanim ktokolwiek za Singhem zatęsknił, udało się nam umieścić go na moim latającym słupie, a potem unieść wysoko, poprzez chmury, w blask księżyca.

Kazałem Szukrat go obudzić.

– Musimy pogadać, Aridata. A kiedy będę mówił, ty masz milczeć. Ponieważ do ziemi jest ponad półtora kilometra.

Singh był człowiekiem opanowanym. Wziął się w garść.

– Czego chcesz?

– Tobo. Gdzie on jest? Pytam, licząc, że wciąż zależy ci na losie Taglios. I zdajesz sobie sprawę, jakie nieszczęścia mogą sprowadzić na miasto nowe walki.

Singh nic nie odpowiedział.

Kontynuowałem więc:

– Jak dotąd jazda na tym tygrysie wychodzi ci nieźle. Ale jeśli twoja dupa spadnie z wysokości półtora kilometra na ziemię, z pewnością dziki duch wstąpi w niego na powrót.

Przez chwilę zastanawiał się, podejrzewając, iż może wcale nie blefuję.

– W ten sposób możesz wywołać nową wojnę.

– To ty możesz wywołać nową wojnę.

– On próbował mnie zamordować.

– Nie zrobi tego po raz drugi – zapewniła go Szukrat. – Tobo i ja będziemy musieli sobie parę rzeczy wyjaśnić. Kiedy już skończymy, Tobo raz na zawsze przestanie robić głupie rzeczy. – W jej głosie nie było słycać nawet śladu wątpliwości. Wszystko wskazywało na to, że chłopaka naprawdę czekała niespodzianka.

– Żeby do końca rozproszyć twoje wątpliwości... naprawdę nie obchodzi mnie, czy znowu zaczniemy walczyć z twoimi ludźmi – rzekłem.

– Nie bardzo mam już po co żyć. Mogę bez skrupułów zrównać Taglios z powierzchnią ziemi. W przeciwieństwie do niektórych, wcale nie kocham tego miasta. Nie zrobiło nic, by zdobyć sobie me serce.

– Jeśli on cię zabije, nie zostanie nikt, kto mógłby zająć się Radiszą – dodała Arkana. Wbrew sile tradycji księżna została jednak regentką, ponieważ Aridata nalegał. Uparł się. A nikt jakoś nie miał ochoty kłócić się z Wielkim Generałem. Nawet w odległych prowincjach opór wobec nowej władzy wyraźnie słabł, jakby ludziom nie chciało się już dłużej wadzić o przestarzałe polityczne sprawy, skoro wszędzie indziej wszystko szło świetnie.

Arkany nic nie obchodziło dobro Radiszy. Chciała tylko, żeby Aridata wyszedł cało z tej przygody.

– Powiedz nam tylko, gdzie jest Tobo – powiedziałem. – Szukrat i ja go wyciągniemy. – Wolno, wolniutko przechylałem mój latający słup naprzód. Jakby szczęśliwym zrzędzeniem losu w chmurach poniżej rozwarła się szczelina, przez którą można było dostrzec blask księżycowej poświaty igrającej na powierzchni rzeki. A kiedy Aridata naprawdę pojął, jak wysoko się znajduje, przeżył na naszych oczach gwałtowny atak lęku wysokości. Okazał się on jednym z tych strachów, nad którymi rozum nie ma władzy.

Postawiliśmy go na północnym brzegu rzeki. Arkana została przy nim. Zastanawiałem się, czy starczy jej nerwów, by mimo wszystko zdradzić

uczucia, jakie wobec niego żywiła.

Taglios:

OPERACJA NA OTWARTYM MÓZGU

Zanim Tobo pomoże mi uratować moje kobiety, ja, z pomocą najlepszych lekarzy i chirurgów Dzieci Zmarłych, musiałem uleczyć jego kontuzję głowy. Tagliańscy łapacze nie zrobili dlań nic. Przebył już dwie trzecie drogi do samotnego grobu.

Kompanii nie towarzyszyli już żadni Niueng Bao. Garstka, jaka dotarła do Taglios, wkrótce potem wykradła się na swe rodzime bagna.

W przypadku Tobo konieczna była precyzyjna operacja chirurgiczna, która pozwoli oczyścić powierzchnię jego mózgu z delikatnych odprysków kości. Większość roboty wykonałem własnoręcznie, pozostali chirurdzy zastępowali mi brakującą dłoń. Operacja trwała dwanaście godzin. Szukrat towarzyszyła nam w każdej sekundzie. Czasami zdawało mi się, że duch matki chłopaka zagląda mi przez ramię.

Kiedy już skończyliśmy, zemdlałem, wyczerpawszy wcześniej wszystkie rezerwy fizyczne i emocjonalne. Jakaś pocziwa dusza zadbała, by zapakowano mnie do łóżka.

Taglios:
SPRAWY RODZINNE

Musiało być już popołudnie. Typowa dla tej pory roku burza przetoczyła się nad koszarami Szarych. Donośny łomot ulewy pochłonął wszystkie inne dźwięki. Powietrze było rześkie, wręcz zimne. Przypominałem sobie, żeby cieszyć się chłodem, póki jeszcze można. Gdy przeminą deszcze, upał powróci. A powietrze stanie się tak wilgotne, że można będzie gotować w nim warzywa.

Po chwili porywisty wiatr zaczął napierać i szarpać baraki koszar, towarzyszył mu całkiem inny, głęboki huk. Z nieba runął grad. Gęsty i ciężki. Wkrótce ulice wypełnią się tagliańskimi dziećmi zbierającymi lód. Któreś z pewnością zostanie poważnie poranione przez padające z nieba kule. Często tak się działo.

Szukrat weszła do środka. Nie wyglądała na uszczęśliwioną. Sjuruwidza szła w ślad za nią, niosąc jedzenie i picie.

– Jest źle, tak? Wdała się infekcja? – zapytałem.

Szukrat przez chwilę nie potrafiła zrozumieć, o co mi chodzi.

– Aha. Nie. Z Tobo wszystko dobrze. Jakiś czas temu nawet na chwilę odzyskał przytomność.

A więc to tak. Ze sposobu, w jaki omijała drażliwy temat, wywnioskowałem łatwo, co stanowi prawdziwy problem.

Kiedy podskoczyłem na posłaniu, w pośpiechuomalże się nie nadwerężając, warknęła:

– Spokojnie! Taka gorączkowość na nic się nie przyda. – A kiedy jakoś nie potrafiłem się uspokoić na tyle, by ją usatysfakcjonować, dodała: – Nikomu nie będziesz w stanie pomóc, jeśli będziesz zbyt roztrzęsiony.

Miała rację. Taki stary facet jak ja, do tego parający się takim zawodem, miał mnóstwo okazji, by pojąć tę prawdę. Nie tylko strach, ale również większość pozostałych emocji zabija rozum. Robimy głupie rzeczy, kiedy pozwalamy emocjom przejąć nad sobą władzę. A potem przez resztę naszych dni musimy żyć z ich konsekwencjami.

Wzięłem parę głębokich oddechów, napiłem się zimnej wody. Przypomniałem sobie, że potrafię znieść nawet najgorsze wieści, ponieważ przez całe życie miałem do czynienia tylko z takimi.

– Prowadź – nakazałem Szukrat.

Żołnierze żyją. Złe wieści stanowią część życia.

Kiedy przybyłem na miejsce, Arkana oraz biały kruk byli z Panią i Pierdu Pierdu. Sjuruwidza wyprzedziła mnie. Natychmiast jednak wysłizgnęła się z pokoju, poczęstowawszy mnie przedtem wymruczanymi wyrazami wdzięczności za oszczędzenie jej synowi najgorszych konsekwencji głupich postępów.

Pod względem fizycznym też nie był to dla mnie dobry dzień. Powinienem chyba skorzystać z laski.

Obie kobiety leżały na wznak, całkowicie nieruchomo. Natychmiast zacząłem podejrzewać, na czym może polegać kryzys. Kruk przechadzał się w tę i w tę po półce nad posłaniem Pani. Arkana przysiadła na krześle obok mej córki.

Najpierw podszedłem do żony.

Pani oddychała. Słabo. I najwyraźniej każdy oddech przychodził jej z wysiłkiem, rzeźbiła i walczyła o każde tchnienie. Jęknąłem.

– Być może będę musiał otworzyć jej tchawicę poniżej zatoru. – Zabieg może uratować jej życie, ale na srogą próbę wystawi jej próżność. Efekt końcowy nigdy nie jest szczególnie piękny.

Przystępując do oględzin dziewczyny, czułem ulgę. A równocześnie ukłucie winy, ponieważ tej ulgi było aż tyle.

Żołnierze żyją.

Pierdu Pierdu odeszła. Nastąpiło to właściwie przed chwilą.

Poczułem się tak, jakbym otrzymał cios w głowę.

– Cały czas ktoś z nią był, tato – powiedziała Arkana. – Po prostu chyba nie chciała żyć dalej. – Podsunęła mi krzesło.

– Och, tyle zrozumiałem. Nie widziała powodów, żeby ciągnąć to dalej. Odebraliśmy jej wszystko, co miało dla niej sens. Ale mieć tutaj wiedzę o tym, że ona chce umrzeć – postukałem się w skroń – w niczym nie umniejsza krwawienia tutaj. – Uderzyłem się w pierś. Wziąłem długi oddech, potem głośno wypuściłem powietrze z płuc. – Powiedzcie Sjuruwidzy, że może wrócić.

Kiedy drobna kobieta Szadar znalazła się w pomieszczeniu, odezwałem się do niej:

– Kup tyle lodu, ile tylko znajdziesz. Chcę przechować w nim ciało mojej córki. – Dotknąłem dłoni Pierdu Pierdu. Wciąż była znacznie cieplejsza niż otoczenie.

– Co jest? – zapytała Szukrat. – Co chcesz zrobić?

– Zamierzam ją pochować w lodowych jaskiniach. – Musieliśmy wrócić na równinę, aby przeprowadzić Dzieci Zmarłych z powrotem i wywiązać się z obietnicy danej Sziwetji. Może lepiej zrobić to wcześniej niż później.

Biały kruk wydał cichy odgłos, chcąc zwrócić moją uwagę.

– Ona zajmuje pierwsze miejsce w moim sercu – powiedziałem. – Jeśli tego będzie trzeba, aby ją uratować, położę ją z tobą na dole.

Sjuruwidza odeszła. Miałem nadzieję, że nie spotkają jej żadne przykrości podczas kupowania lodu. Jeśli nie wydadzą jej pieniędzy ze szkatuły, skończy się tym, że połamię parę kości.

Nawet nie zastanowiłem się nad tym, jak będąc jeszcze Kapitanem, zareagowałbym na podwładnego zachowującego się w ten sposób. Nieśmiertelne słowa brzmią: wtedy było zupełnie inaczej.

Pierwsza porcja lodu przybyła wkrótce. Pierdu Pierdu wybrała sobie na śmierć idealną chwilę i porę roku. Opakowaliśmy ją w ćwierć tony gradowych kul i grube koce, które zaszyliśmy szczelnie. Latający słup Pani, wzięty na hol przez Arkanę, akurat był w stanie unieść ciężar.

Gryzłem się. Z jednej strony bardzo chciałem umieścić dziewczynę w bezpiecznej jaskini, nim natura dokona swego dzieła. Z drugiej jednak nie chciałem spuszczać oka z Tobo i mojej żony, to bowiem oznaczałoby kuszenie losu.

Szukrat zapewniła mnie:

– Jestem pewna, że z Tobo wszystko będzie w porządku. Kiedy tylko trochę dojdzie do siebie, każę mu zająć się Panią. Jeśli do tego czasu nie wrócisz. Teraz leć. Zrób, co musisz zrobić.

– Lećmy, tato – powiedziała Arkana. – Kiedy znajdziemy się wysoko, lód będzie się topić znacznie wolniej.

– No, tak. Szukrat, jeśli coś się stanie... kup więcej lodu. Przywieź ją na równinę. Może Sziwetja będzie w stanie coś zaradzić.

Zanim wylecieliśmy, odwiedziłem Sjuwrina, aby wiedział, co się dzieje i co robić, jeśli tym razem zrzędzeniem losu Konował nie powróci.

Nawet gdy leci się z wiatrem, droga z Taglios do bezimiennej fortecy zajmuje sporo czasu. Wydaje się on wiecznością, kiedy za towarzysza podróży ma się niepokój. Biały kruk nie przydawał się na nic, prócz tego tylko, że mógł stanowić żelazną rację żywnościową. Arkana, jako posłuszna córka, starała się jak mogła, była jednak po prostu zbyt młoda. Większość poglądów wyrażanych przez nią w rozmowach, w które chętnie się wdawała, brzmiała w moich uszach nazbyt naiwnie czy wręcz tak głupawo, że naprawdę trudno mi było przypomnieć sobie czasy, gdy byłem w jej wieku, wciąż idealistycznie nastawiony, biorący się z życiem za bary, wierzący, że prawda i sprawiedliwość muszą w końcu zatriumfować.

Niemniej zachowałem swą opinię dla siebie. Po wszystkim, co dotąd przeszła, nie zasłużyła sobie na to, by jej odrodzony optymizm został zdławiony przez nowy napływ gorzkiego cynizmu.

Być może młodzieńcza płycizna emocjonalna stanowi użyteczną tarczę ochronną. Dzięki niej mogła strząsnąć z siebie efekty traumy. Znałem już wcześniej takich ludzi, ludzi żyjących tylko chwilą obecną.

Lśniący kamień:
GORZKI DESER

Wkrótce po tym, jak umieściliśmy Pierdu Pierdu w grocie starożytnych, ledwie kilka metrów od jej ciotki, naszły mnie przerażające myśli.

Przede wszystkim zdenerwowało mnie wrażenie, że kiedy wnosiliśmy i sadowiliśmy dziewczynę, a Arkana pod dyktando białego kruka rzucała zaklęcia stazy, wzrok uwięzionej Duszołap wodził za mną wszędzie.

Wpadałem w paranoję.

Duszołap panowała nad ptakiem i znała na wylot czary konieczne do zamknięcia kogoś w lodowej jaskini – albo do uwolnienia więźnia. Więc mogła uwolnić samą siebie.

Kiedy myśl ta mnie uderzyła, ptaka nie było akurat w pobliżu. W przeciwnym razie pewnie zorientowałaby się, że zdałem sobie sprawę z tej możliwości. Zanim jednak kruk wrócił, zdołałem się opanować.

Stałem w słabym, bladym, zimnym świetle, które wydawało się docierać zewsząd równocześnie, i patrzyłem przez długi czas, tak naprawdę nic nie widząc. Moje dziecko. Trudno uwierzyć.

– Nigdy nie było mi dane poznać cię, kochanie. – Łza spłynęła mi po policzku. Myślałem o tych wszystkich zimnych, twardych mężczyznach, których znałem w życiu, i zastanawiałem się, co by sobie o mnie pomyśleli teraz, widząc, jak zmieniłem się w sentymentalnego starca.

Pewnie by zazdrościli, że udało mi się przeżyć dość długo, by się zestarzeć.

Biały kruk przyleciał, trzepocząc skrzydłami, z miejsca, w którym był. Wylądował na moim ramieniu. Pióra uderzyły mnie w twarz, boleśnie.

– Cholera jasna! – Przedtem sobie na to nie pozwalał.

Nie mam pojęcia, jak długo nurzałem się w żalu nad sobą, póki ptak mnie nie ocucił. Znacznie dłużej, niż mi się wówczas zdawało. Kruk sprowadził mnie z powrotem do świata prawdziwych wyzwań i głębokiego bólu.

– Arkana. Lepiej będzie, jak od razu wrócimy. – Zanim dotrzemy do Taglios, rozłąka z żoną wydłuży się do ponad tygodnia.

Miała jednak potrwać znacznie dłużej.

Arkana nie odpowiedziała.

– Arkana?

Arkany nigdzie nie było.

Latających słupów również nie było.

Emocje zabijają rozum.

Zamartwiając się o moje kobiety, zapomniałem, że moja adoptowana córka była jedyną z Vorszk, która potrafiła myśleć. Tą, która sama powiedziała o sobie, że zyska na czasie i wybierze właściwą chwilę.

Jak się wydawało, chwila nadeszła i przeminęła. W jaskini na dole nie było nikogo prócz mnie i złachmanionego białego ptaka.

Nie była tak bez reszty okrutna. Wzięła klucz do Bramy Cienia, aby kulawy starzec nie mógł się wydostać z równiny, jednak nie widziała potrzeby, by zmuszać go do pokonania całej drogi na górę. Latający słup zostawiła dostatecznie daleko, by dać sobie kilka godzin przewagi. Żeby nie miał szans jej dogonić.

Manna Sziwetji stanowi dietę dość męczącą niezależnie od tego, jak dobrze człowiek czułby się przez kilka pierwszych godzin po jej spożyciu. Litość nad sobą i samooskarżenia można traktować jako gorzki deser. A kruk, opętany przez ducha najstarszego i najdroższego wroga, nie bardzo stanowi materiał na idealnego towarzysza odosobnienia.

Kiedy gniew mi minął, a jego miejsce zajęła desperacja, obsłużyłem się materiałami piśmienniczymi Baladitji i zasiadłem do aktualizacji Kronik.

Miejsce to poniekąd znajdowało się poza czasem, tak więc nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Z pozoru znacznie dłużej, niżli naprawdę było. Zaczynałem się martwić, ponieważ nikt nie przybył sprawdzić, co się z nami stało. Bałem się, iż należy z tego wnosić, że nikogo takiego nie ma już wśród żywych. Najbardziej prawdopodobne osoby, które mógł obchodzić nasz los, to Tobo i Pani.

Ale Szukrat przecież była zdrowa. Dlaczego ona się nie pokazała?

Nie mając nikogo innego pod ręką, częściej rozmawiałem z białym krukiem. A w miarę upływu czasu w coraz większym stopniu czyniłem to po to, by zagłuszyć wzbierającą rozpacz.

Sziwetja obserwował mnie ze swego wielkiego drewnianego tronu, najwyraźniej ubawiony moją niedolą. Podczas gdy mnie bawiła sytuacja Duszołap.

Dysponowała wiedzą potrzebną do wydostania się z lodowej jaskini. Po prostu brakowało jej sprawnych rąk. Pomyślałem, że to doprawdy rozkoszne.

Spałem po raz piąty czy szósty od początku mego odosobnienia, kiedy wrócili Nef, najpierw pojawiając się w snach.

Bezimienna forteca:
SYPIAJĄC Z DEMONEM

Duszołap przypominała mi wciąż, że pozostaje w kontakcie z demonem. Że tak naprawdę, póki jest związana z białym krukiem, stanowi tylko narzędzie Sziwetji. Z początku informacja ta nie wydawała mi się godna uwagi czy bodaj szczególnie istotna, póki nie przeżyłem wizyty Łaszana, Łaszana i Łaszona.

W przeszłości nie bywałem szczególnie wrażliwy na ich obecność. Lepiej znałem ich z opisów niż z bezpośredniego doświadczenia. Czas spędzony z nimi teraz przyniósł wyjaśnienie, dlaczego tak się działo.

Ich brzydota nawiedzała moje sny, ale towarzyszyło jej poczucie obecności nie większe niż w przypadku Nierozpoznanych Cieni. Złote błyski odrażających masek, ukształtowanych w pyski bestii w kąciku sennego oka oraz pojedyncze, rozproszone sylaby usiłowań komunikacyjnych stanowiły wszystko, co pamiętałem po przebudzeniu – spocony, drżący i pełen nieokreślonej grozy.

Utkwione we mnie spojrzenie Sziwetji wydawało się jeszcze bardziej rozbawione niż dotąd.

Wkrótce się przekonałem, że istnieją granice jego rozbawienia.

Złożyłem mu obietnicę. Potrafił zajrzeć do wnętrza mej duszy i stwierdzić, iż zamierzałem jej dotrzymać. Ale widział również, że zamierzałem zwlekać, póki nie uporządkuję własnego życia.

Zachowywał cierpliwość przez dziesięć tysięcy lat. A teraz, znienacka, cierpliwość jego zaczęła się wyczerpywać.

Najpierw zdałem sobie z tego sprawę we śnie. Nocą, podczas której Nefomalże nie przedostali się na stronę jawy, moje sny wypełniło wrażenie obecności, która wcisnęła się w nie niczym wieloryb w stado delfinów.

Wielka, niewidzialna istota podeszła do mnie jak ciemność we własnej osobie. Nie towarzyszyło jej jednak nawet najlżejsze wrażenie zła. Tylko poczucie ogromu, powolności.

Wiedziałem, o co chodzi, i rozumiałem, że próbuje nawiązać ze mną bezpośredni kontakt umysłowy, jak wcześniej z innymi. Moje myśli otaczała jednakże gruba skorupa. Idee przenikały przez nią z trudem.

Dobrze, że Goblina i Jednookiego nie ma już z nami. Przez całe godziny śmialiby się z puenty takiej jak ta.

Wystarczyło jednak, że kilka razy jeszcze przespałem się w jego obecności, a mój umysł zaczął przypominać sito. Sziwetja i ja żartowaliśmy ze sobą serdecznie niczym starzy kumple. Biały kruk został odsunięty na bok, ponieważ nie musiał dłużej służyć jako tłumacz. Przypuszczam, że demonowi dostawało dość czystej siły mentalnej, by z każdym nawiązać kontakt.

Uczyłem się od golema w ten sam sposób, jak Baladitja przede mną. Uczyłem się, stając częścią żywych snów demona, w których przeszłość była niemal nieodróżnialna od terażniejszości. Gdzie cudowny orszak scen z historii równiny oraz dziejów połączonych z nią światów został przechowany przez pamięć w całości, z taką dokładnością, na jakiej Sziwetji onegdaj zależało. Dużo było tam o Czarnej Kompanii. Wybrał Kompanię jako narzędzie swego wyzwolenia już bardzo dawno temu, na długo zanim Kina zdecydowała się uczynić z Pani agenta w szeregach wroga oraz naczynie do poczęcia Córką Nocy, by zwieńczyć dzieło swego uwolnienia. Na długo przedtem, nim ktokolwiek z nas w najbardziej nawet odległy sposób zdawał sobie sprawę z pułapek czyhających na nas po drodze do Khatowaru. Jednak Sziwetja wybrał lepiej od Kiny. Bogini nie przyjrzała się nazbyt dokładnie charakterowi Pani. Pani była zbyt egoistyczna i uparta, aby stać się czyimkolwiek narzędziem na dłużej.

Kiedy coś kazało mi podjąć decyzję powrotu historyczną trasą Kompanii, została nas wówczas tylko siódemka. A teraz z tej siódemki ostałem się tylko ja.

Żołnierze żyją.

Los Czarnej Kompanii spoczywa obecnie w rękach Sjuwrina. Kompanii, jaką stała się obecnie. Kieruje się teraz na południe, syta zemsty, planując pokonanie lśniącej równiny i powrót do Krainy Nierozpoznanych Cieni.

Służę w niej obecnie tylko garstka Taglian, Dedżagoran i Sendżelisi, którzy będą tęsknić za naszym światem. Kompania stanie się nowym tworem w nowym świecie. A pulchny Sjuwrin będzie kowalem jej losu.

Nigdy wcześniej nie służył w Kompanii nikt, kto przeżyłby dość długo, by zobaczyć, jak ogromne zmiany przytrafiają się nawet oddziałowi zdecydowanemu za wszelką cenę nie utracić kontaktu z przeszłością.

Kiedy myślami zbaczałem na te ponure manowce, w mojej głowie rozsypywały się iskierki rozbawienia Sziwetji. A to dlatego, że zmiany te były prawie niezauważalne, kiedy porównać je z tym, czego on był świadkiem podczas swego żywota. Widział, jak imperia, cywilizacje, całe rasy pojawiały się i odchodziły. Pamiętał samych bogów, odrażających budowniczych równiny, oraz wszystkie potęgi, jakie przejmowały nad nią władzę, a potem zmieniały ją, by wreszcie również przeminąć. Pamiętał nawet czasy, kiedy nie był samotny w bezimiennej fortecy; czasy, kiedy jego oddanie obowiązkom nakazało towarzyszom przykuć go do tronu, gdyż był to jedyny sposób, by mogli odejść, nie obawiając się sprzeciwu z jego strony.

W końcu zacząłem powoli pojmować, co też przytrafiło się Murgenowi tak dawno temu, kiedy zaczął mieć kłopoty z odnalezieniem swego miejsca w czasie. Stał się poniekąd szalony, Duszołap też maczała w tym palce – były to czasy, kiedy nauczyła się, jak przenikać na równinę. Ponadto Murgen nawet przez chwilę nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, jednak to Sziwetja stał za wszystkim, pieczołowicie przygotowując sobie sposób odejścia na emeryturę. I, rzecz jasna, golem nie postrzegał czasu tak jak większość z nas. Jeśli akurat nikt z nas nie domagał się skupienia jego uwagi na teraźniejszości, wędrował myślami gdzie indziej, kiedy indziej, raczej przeżywając na powrót wskrzeszoną rzeczywistość, niż zwyczajnie wspominając.

Bogowie, jak ja mu zazdrościłem! Dysponował wiedzą o całych dziejach szesnastu światów. Nie musiał badać źródeł historycznych i tworzyć interpretacji, lecz zwyczajnie mógł przeżywać chwile, ku którym pchnął go kaprys.

Miałem pytanie. Pytanie nadzwyczajnej wagi, jeśli chciałem myśleć o uwolnieniu demona. Jeśli pragnie, żebym się wywiązał ze swojej części umowy, musi odpowiedzieć na nie w sposób, który mnie zadowoli.

Co się stanie ze lśniącą równiną, kiedy jego zabraknie?

Bezimienna forteca:
OPOWIEŚĆ ARKANY

Sziwetja nigdy nie był tak potężny jak Kina, ale znacznie mocniej stał na swych mentalnych nogach. Śpiącej bogini wpłynięcie na świat zewnętrzny w stopniu wystarczającym, by wywołać poważną paranoję na tle Czarnej Kompanii, zabrało całe lata. Golem potrzebował na to tylko kilku tygodni. Nie potrwaloby to nawet tak długo, gdyby nie zdecydował się sięgnąć po osobę o skorupie umysłowej grubszej nawet niż moja – mianowicie po Szukrat.

Demon jakoś nie miał ochoty kontaktować się z Tobo. Chłopak był wcześniej jego dobrym kumplem, ale jego zachowanie ostatnimi czasy wskazywało na potencjalnie niebezpieczne cechy charakteru.

Do Szukrat zaczęło w końcu docierać, że przedłużająca się nieobecność Arkany i jej ukochanego przybranego ojca może oznaczać problemy. Ale mimo iż zaczęła się o nas martwić, nie chciała opuszczać Tobo. Wśród Dzieci Zmarłych był on znacznie mniej popularny niż pośród Nierozpoznanych Cieni. Żołnierze z Hsien być może wcale nie zechcą dać z siebie wszystkiego, żeby pomóc mu wrócić do zdrowia.

Stan zdrowia chłopaka na przemian to polepszał się, to pogarszał. Marsz armii nie wychodził mu na dobre.

Sziwetja był w stanie ukazać mi postępy pochodu Kompanii na południe. I czynił to regularnie. Nie chciałem jednak przyglądać się Pani. Było z nią znacznie gorzej niż z Tobo. A ponieważ bezsilność doprowadzała mnie do szaleństwa, zwyczajnie unikałem widoku, który sprawiał mi tyle bólu. Czasami naprawdę jest tak, że co z oczu, to z serca.

Pozostawała jeszcze Arkana.

Ucieczka drobnej blondyneczki pozostawała w całkowitej zgodzie z jej jasno wyłożoną filozofią życiową. Do domu, do świata Vorszk. Skorzystała z klucza, który przywieźliśmy, aby wydostać się z równiny. Ponieważ Sziwetja szczególnie o to zadbał, zniszczona niegdyś Brama Cienia prowadząca do świata Vorszk obecnie była już niemal całkowicie sprawna.

W rodzimym świecie Arkany trwała wojna z cieniami, ale obecnie przybrała charakter sporadycznych konfliktów. Cienie zostały zdziesiątkowane. Vorszk ponieśli podobne straty. Ich świat uległ prawie całkowitej zagładzie. Nawet jeden na stu wieśniaków nie ocalał po inwazji prowadzonej z takim entuzjazmem, że dziś na równinie nie sposób było właściwie spotkać cienia.

Cienie zabijają. Wołają ludzi, ale mogą żerować na wszystkich istotach żywych. Nawet tych, które mieszkają pod kamieniami. Ludzie są dostatecznie sprytni, by wymyślić sposoby przetrwania nocy. Zwierzęta nie bardzo to potrafią.

Nieliczni ocalali w świecie Vorszk głodowali. Stracili tyle zwierząt pociągowych, że uprawa roli stawała się powoli niemożliwa. Zwierzęta domowe właściwie wyginęły – jeśli nie zabiły ich cienie, dokonali tego sami mieszkańcy. Przedstawiciele klasy rządzącej nie mieli bowiem zamiaru dzielić ze swym ludem jego niedoli.

Arkana poleciała tam, przyjrzała się wszystkiemu, zmieniła decyzję. Nie tego chciała. Ale zwlekała zbyt długo.

Dostrzeżono ją. Rodzina natychmiast rzuciła się w pogoń. Dopadli ją, a potem pozbawili latającego słupa oraz ubioru. Stała się więźniem swych krewnych, którzy natychmiast znaleźli dla niej miejsce w szeroko zakrojonych planach rozrodczych.

Po katastrofie Bramy Cienia Vorszk pozostały nieliczne tylko kobiety w wieku rozrodczym.

Arkanę wybrano na królową całej nowej rasy.

Aby przeżyć, musiała się zgodzić. Po raz kolejny trzeba było grać na zwłokę. Jej wujowie skonfiskowali klucz do Bram Cienia, ale nie zdawali sobie sprawy, czym on jest. Ona zaś nie mówiła. Byli to przecież ludzie, którzy chętnie opuszczają świat, na który sprowadzili katastrofę, i natychmiast wyruszają na poszukiwanie nowych perspektyw podboju. To znacznie łatwiejsze niż odbudowa.

Miło było przekonać się, że Sziwetja dysponował mocą wystarczającą do zmuszenia zniszczonej Bramy Cienia do naprawy. Miało to jednak swoje konsekwencje: w myśl tej logiki nieczynne Bramy stanowiły owoc świadomego zaniedbania. W rzeczy samej, mając na względzie to, co Tobo i Sjuwrin wynieśli ze swoich wypraw, wszystkie Bramy Cienia były w jakiś sposób uszkodzone.

W dzisiejszych czasach Sziwetja za nikim szczególnie nie przepadał.

Pozwoliłem, by się dowiedział:

– Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. – Ponieważ mój umysł nie stanowił już dlań tajemnicy, wiedział o tym z góry. I zostało mu jeszcze trochę cierpliwości.

Bardzo pobłażliwy współnik, ten stary diabeł.

Lśniący kamień:
I WTEDY PRZYBYŁA SZUKRAT

Szukrat przybyła, kiedy spałem, wleciała do środka przez dziurę w dachu. Moje myśli były tak splątane z umysłem Sziwetji, że zdawałem sobie sprawę z jej obecności, aczkolwiek nie bardzo potrafiłem się nią przejąć. Mój przyjaciel, biały kruk, przyleciał i zajął się nieprzyjemnym obowiązkiem budzenia. Usiadłem, częstując ptaka jedną czy dwiema stosownymi inwektywami.

– Po prostu starałam się na coś przydać. Ostatnimi czasy strasznie mnie zaniedbujesz.

– Zabawne, jak uwięzienie ogranicza dostępne możliwości, nieprawdaż? Kółko się zamyka i te rzeczy, co? Ale wciąż możemy być przyjaciółmi, no nie? Cześć, bystra córeczko. W końcu tu dotarłaś.

Szukrat była wyczerpana, ale dziarska.

– A więc co się stało, tato? Gdzie jest Arkana?

– No cóż. Arkana się znarowiła, uciekła do domu i teraz siedzi po kolana w gównie – wyjaśniłem.

Jej reakcja było następująca:

– Fúj!

– Hej, sama możesz tam zostać najładniejszą z całej wsi, jeśli tylko dasz im szansę.

– Niech tylko spróbują, a pożałują. Nie cały czas spędzony z Tobo zmarnowałam na zabawy. Ale skąd wiesz o tym wszystkim, skoro ona zabrała twój klucz i nie mogłeś przecież zobaczyć tego na własne oczy?

– Sziwetja i ja poznaliśmy się bliżej. Niewiele więcej jest tu do roboty, kiedy tak siedzisz, czekając, aż twoja wolniejsza w pomyślunku córeczka

zacznie się zastanawiać, czy przypadkiem jej tatuś nie popadł w jakieś kłopoty.

– Widzę, że sporo napisałeś.

– Powoli zaczyna mi brakować czasu, córeczko – powiedziałem, zdradzając jej sekret, którym nigdy nie podzieliłem się z żoną. – I tak miałem dotąd dużo szczęścia, że prawo średniej statystycznej jakoś o mnie zapomniało. Każdy dzień mogę uważać za podarowany. Pozostało tylko jedno ryzyko, które gotów jestem podjąć. A więc zanim coś mi się przydarzy, chcę uporządkować to wszystko. Mam zamiar wykitować, wiedząc, że zrobiłem to, czego mogła chcieć ode mnie Kompania, i jeszcze coś. – Lęk, że nie zostało mi już dużo czasu, w coraz większym stopniu opadał mnie od czasu naszego powrotu z Krainy Nierozpoznanych Cieni. Po powrocie do bezimiennej fortecy zmienił się w prawdziwą obsesję.

Podczas gdy rozmawialiśmy, Szukrat nie przerywała zwykłych u końca podróży czynności, rozpakowując swój latający słupek. Cisnęła na ziemię spory konopny worek, który zachrzęścił, potem powiedziała:

– Pozwól mi najpierw trochę odpocząć, a potem polecimy uratować Zużyta Dupcię. Nie dlatego, żeby mnie obchodziło, co oni z nią zrobią, rozumiesz. Po prostu w charakterze przysługi dla kochanego tatusia.

– Rozumiem. I doceniam. Może ona któregoś dnia zrewanżuje ci się tym samym.

– O tak, ale byłoby fajnie.

– Co jest w worku?

Z początku pewnie zamierzała zachowywać się tajemniczo, szybko jednak zrozumiała, że nie ma na to czasu.

– Muszle ślimaków. Tobo nie chciał, bym poleciała bez ochrony. Martwi się o mnie.

– Co z nim?

– Miewa dobre i złe dni. Więcej tych drugich. Zarówno jeśli mowa o stanie zdrowia, jak i duszy. Trochę mnie to przeraża. Nikt nie potrafi mi powiedzieć, czy wyjdzie z tego. Albo czy będzie równie normalny jak przedtem. Obawiam się, że wszystko może zależeć od jego matki.

– Co? Sahra się odnalazła?

– Nie. Ona jest nieodwołalnie martwa. Tak myślę. Ale jej duch oraz duch jej matki i jej babki wciąż wędrują za nim wszędzie. Widzi je za każdym razem, gdy męczy go gorączka. Mówią do niego. Karcą go, jak

twierdzi. Nie podoba mu się to. Ale, moim zdaniem, powinien ich słuchać jak cholera. Ponieważ ma te maligny za każdym razem, gdy próbuje zrobić coś, co nie podobałoby się jego matce, kiedy jeszcze żyła. Nawet jeśli zapomni tylko o umyciu zębów.

– Naprawdę wierzysz, że nawiedzają go jego przodkinie?

– Nie ma znaczenia, w co ja wierzę, tato. On wierzy. Nawet kiedy nie ma gorączki i jest całkowicie przytomny, opowiada, że matka zostanie z nim do czasu, póki już dłużej nie będzie mu potrzebna. Dopiero wtedy odejdzie wolna, mogąc połączyć się z Murgenem. Tobo naprawdę nie cierpi myśli o własnej niedojrzałości i o tym, że to przez niego ona nie może dołączyć do pozostałych. A Sahra najwyraźniej równie nie cierpi jego niedojrzałości, gdyż wolałaby znaleźć się gdzie indziej, a nie opiekować się dorosłym skądinąd mężczyzną.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że chodzi tu o coś więcej?

– Ponieważ masz rację. Jest coś więcej. On sądzi, że ich cierpliwość może się wreszcie skończyć. I że zawłoką go ze sobą.

– To znaczy zabiją go?

– Nie! Przecież chodzi o jego matkę, tato. Nie zabije go. Zabierze ze sobą. Pozbawiwszy ciała. Tak, jak wedle tego co mówią, przydarzało się jego ojcu. Tyle że one nie pozwolą mu wrócić. Jeśli tak się stanie, ciało w końcu umrze. Ale zanim zaczniesz się upierać, że Sahra nie dopuści, by jej chłopiec umarł, musisz pamiętać, że duch nie jest już tą Sahrą, którą znałeś. Przez jakiś czas przebywała po drugiej stronie, prowadząc się z duchami, które były tam dłużej niż ona. A jeden z nich zdolny był dostrzec potencjał Tobo dużo wcześniej, niż Murgen i Sahra w ogóle się spotkali.

Brzmiało to w moich uszach, jakby naprawdę Szukrat uwierzyła we wszystko, co powiedział jej Tobo.

– W porządku. Odpocznij, dziewczyno. Ja tymczasem wymyślę jakiś plan.

Oto ja. Pełen siły mężczyzna. Starszy niż ziemia, kulejący, niedowidzący na jedno oko, pozbawiony sprawności w ręce, na dodatek potrafiący czytać i pisać, ale mimo to bez reszty męski.

Świat Vorszk:
WAROWNIA RUKNAVR

Bramy Cienia Vorszk strzeżono z drugiej strony. Wujkowie Szukrat mieli nadzieję, że ona również odnajdzie drogę do domu, i najwyraźniej zależało im na kolejnym materiale rozplodowym.

Nie bardzo staraliśmy się unikać dostrzeżenia przez wartowników. Jednak na miejsce dotarliśmy nocą, a Szukrat puściła przodem swoich najbardziej niezwykłych pomocników, żeby odwrócili ich uwagę.

Tobo był hojny, kiedy przydzielał jej Nierozpoznane Cienie do towarzystwa w dalekiej podróży. Zupełnie inaczej postąpił ze mną, gdy dał mi te niewydarzone kruki, których nigdy nie było w pobliżu i których nie widziałem już od miesiący. Przydzielił jej kilka największych, najmroczniejszych, najbystrzejszych cieni. Pozostaną przy niej i zrobią, co im każe.

Czarne Ogary tak zadreczyły dwóch obserwatorów, że nie unieśli się w powietrze, póki Szukrat i ja nie pokonaliśmy Bramy i nie opanowaliśmy sytuacji. Szukrat udało się usnąć oboje, mimo niezwykłego podniecenia, w jakie wprawiły ich Nierozpoznane Cienie.

Nie minęło dużo czasu, a zrozumieliśmy przyczyny.

– To jeszcze dzieci! – powiedziałem, rozdziewając jedno. – Ten nie może mieć więcej niż jedenaście czy dwanaście lat.

Ten, którego rozebrała Szukrat, był jeszcze młodszy.

– To są najmłodszy bracia Tologeva. Ktoś musi być naprawdę w rozpaczliwej sytuacji, jeśli posyła tak młode dzieciaki, kiedy cienie wciąż włączają się dookoła.

Uznałem, że to świetnie. Z im mniejszą liczbą Vorszk mieliśmy mieć do czynienia, tym lepiej.

Dwóch chłopców zostawiliśmy własnemu losowi, wcześniej jednak lokując ich w koronach drzew. Skonfiskowaliśmy ich słupę i ubiory.

To był długi lot. Za dnia staraliśmy się nie rzucać w oczy. Po drodze Szukrat pokazywała mi ruiny Khatovaru. Jakoś brakowało mi ochoty na ich zwiedzanie. Zresztą nie było czasu. Moje ciało dyktowało własne warunki. Musiałem wziąć się w garść, póki nie uwolnimy Arkany.

Biały kruk szydził ze mnie, wciąż oskarżając o zdradę Pani. Nie potrafił uwierzyć, że nigdy tego nie zrobiłem. Wreszcie przestałem się z nim kłócić. Wciąż był zły, że nie udało się odbić mnie siostrze.

Arkanę przetrzymywano w pomniejszej fortecy Vorszk zwanej Rhuknavr. Na niskim pułapie podlecieliśmy do warowni na półtora kilometra, a potem odczekaliśmy do północy, wisząc w powietrzu pośród koron drzew, które były już stare, gdy Khatovar upadł. Zastawiliśmy kilkanaście pułapek na cienie, które Szukrat wykonała wedle instrukcji Sziwetji. Jednak kiedy uwolniła Nierozpoznane Cienie, pułapki okazały się niepotrzebne.

Stosując się do moich nalegań, dwa razy upewniła się, że cienie jasno pojęły, iż będziemy wojować z ludźmi, którzy mają spore doświadczenie w zwalczaniu stworów mroku. Ich przewaga nad zabójczymi cieniami polegała na tym, iż nie były tylko strzępami głodu i nienawiści. Były chytre i paskudne, zdolne do myślenia, aczkolwiek zupełnie pozbawione zmysłu współpracy.

– Sądysz, że za dnia, kiedy za murami osłabnie dyscyplina, nie mielibyśmy więcej szans? – zapytałem Szukrat.

– Aż tacy czujni być nie mogą. Od dawna już nic się nie zdarzyło.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Obecnie znajduję się dość blisko, by ich wyczuć. – Co zapewne oznaczało, że już nie chciała się ze mną dzielić tym, co Nierozpoznane Cienie szeptały jej do ucha.

– Hm? Znajdujesz się dostatecznie blisko, żeby oni wyczuli również ciebie?

– Nie. Ponieważ jestem sama. I ponieważ jestem odziana. I ponieważ nie wiedzą o mej obecności.

– Rozumiem. – Jeśli nie chodziło o naszych niewidzialnych przyjaciół, to pewnie działało mniej więcej w ten sposób, w jaki ja kontaktowałem się

z Sziwetją. – Ptak. Uwaga. – Nie było moim zwyczajem marnowanie jakichkolwiek dostępnych zasobów. Biały kruk mógł się na niejedno przydać. – A więc gdzie jest moja druga córeczka, Szukrat? Postaraj się określić to jak najprecyzyjniej, ponieważ nasz skrzydlaty przyjaciel musi się tam dostać, uprzedzić ją o wizycie i pozwolić przygotować się do drogi.

Kruk zakrakał, jakby właśnie dostrzegł węża wpełzającego do swego gniazda. Protest był tak zapalczywy, że otaczająca nas noc zamilkła przestraszona.

– Masz szczęście, że nikt na tych terenach nie rozumie po tagliańsku. O co chodzi z tymi wrzaskami? Do ilu już miejsc potrafiłeś się zakraść?

Kruk nie przestawał narzekać. Sprowadzały się one do tego, że wtedy było inaczej. Różnica polegała pewnie na tym, od kogo wyszedł pomysł. Rozumiał, że między mną a Sziwetją powoli robi się nieprzyjemnie, a golem mógł mieć wiele do powiedzenia na temat tego, czy kiedykolwiek opuści grotę starożytnych. Jednak kiedy już dał upust swej złości, był gotów do lotu.

Kazałem Szukrat opisać wnętrze Rhuknavr najlepiej jak potrafi. Z czego nie było wiele pożytku. Nie była tu od dziesięciu lat. Kruk będzie musiał zlokalizować miejsce pobytu Arkany, kierując się własnym sprytem. Szukrat nie potrafiła jej namierzyć.

– Przekaż jej tylko, że przybywamy i że powinna być gotowa – powiedziałem. – I jeszcze, jeśli jej się uda, niech rzuci zaklęcie sprowadzające sen na każdego, kto znajdzie się w jej pobliżu.

Kruk odleciał. My czekaliśmy. Popatrzyłem na niebo. Stanowiło znacznie dziwniejszy widok niż to nad Krainą Nierozpoznanych Cieni. Najwyraźniej ten świat nie miał żadnego większego księżyca. A przynajmniej żaden nie świecił na niebie ani dziś, ani żadnej z poprzednich nocy, jakie tu spędziłem. Niemniej było tu mnóstwo małych księżyców, największy być może rozmiarów piątej części naszego. Wszystkie zdawały się strasznie spieszyć, mknąc tu i tam po niebie. Kiedy wspomniałem o tym Szukrat, zaczęła opowiadać mi o zupełnie unikatowej astrologii, która rządziła ich światem i opierała się na ruchach tych księżyców. Nawet po całych stuleciach obserwacji potrafiły czasem sprawić niespodziankę.

– Kiedy byłam mała, dwa z nich zderzyły się ze sobą. Odtąd żaden już nie poruszał się tym samym torem. A odłamki przez całe lata spadały w dół.

Niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów stąd jest miejsce, gdzie uderzył naprawdę wielki. Przebywałam akurat w Džankldesag, które znajduje się jeszcze sto trzydzieści kilometrów dalej, a i tak było to straszne. Trzęsienia ziemi i łoskot, jakby zbliżał się koniec świata. Na niebie płonął ogień, który zgasł dopiero następnej nocy. Było tak, jakby eksplodował jeden z *raitgaistiden*, tylko że milion razy gorzej. W ziemi powstała wielka dziura. Teraz jest w niej jezioro.

Biały kruk sfrunął z mroków nocy.

– Załatwione.

– Poszło łatwiej, niż myślałeś, co?

Ptaka mruknął coś niechętnie.

– Prowadź więc, nieustraszony pierzasty odkrywco.

Następna faza operacji była całkowicie wyzuta z dramatycznych efektów. W Rhuknavr znajdowało się jedynie trzech lub czterech prawdziwych Vorszk. Zachowując się tak po ludzku, że nie mam pojęcia, czemu tego nie przewidziałem, niewielka grupa ocalałych ukrywała przed resztą powrót Arkany. Dla tej nieznaczej przewagi, jaką dawało posiadanie zdolnej do rozrodu kobiety.

Latające słupy zostawiliśmy przytulone do muru fortecy obok nieoszlonego okna na końcu korytarza. Jego wnętrze było zbyt ciasne, żeby w nim latać. Kruk pokazał nam drogę do apartamentów Arkany. Nigdzie nie było krat, jednak dostrzegliśmy śpiącego wartownika – nie z Vorszk – który bezwładnie rozkraczył się na stołku w korytarzu. Wciąż zachowywano pozory, że Arkana jest tylko gościem.

Dziewczyna rzuciła mi się w ramiona, gdy tylko weszliśmy do pokoju.

– Wiedziałam, że mnie nie zostawisz.

– Naprawdę?

– Miałam nadzieję. W porządku? Przepraszam. Zachowałam się głupio. Chciałam tylko... musiałam... Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

– Dlaczego nie zostawić rozmów na czas, kiedy już stąd odlecimy? Specjalnie wysłałam ptaka przodem, żebyś była gotowa. – Stwór, o którym mowa, wyleciał z pomieszczenia przez małe okienko.

Schwyciła swoje różności. Niewiele ich było.

– Nie mam pojęcia, gdzie schowali mój *raitgaistide* oraz *szefsepoke*.

– Coś dla ciebie przywieźliśmy. Idziemy.

Wszystko szło dobrze do czasu, aż nie zaczęliśmy wyślizgiwać się przez okno. Wtedy jakieś dziecko, wciąż jeszcze przecierając zaspane oczy, wyszło na korytarz, zapewne zbudzone hałasem. Dziewczynka. Patrzyła na nas przez moment, potem osunęła się na posadzkę, tknięta zaklęciem jednej z dziewczyn.

Nic się nie stało. Jednak z czasem dziewczynka powie komuś. Chyba że jest lunaticzką.

Byliśmy już bezpiecznie wysoko, zmierzając na południe, kiedy zapytałem Arkanę:

– Jesteś w ciąży?

Nie obraziła się.

– Nie. Jeszcze nie uzgodnili, kto ma być pierwszy. Chociaż za każdym razem, gdy odwracałam wzrok, ktoś próbował wślizgnąć mi się do łóżka. Jakby uważali, że nie potrafię im odmówić. Rozdałam tyle siniaków, że nawet Gromovol potrafiłby pojąć, że komuś może stać się krzywda... ale ci chłopcy byli prawdziwymi optymistami.

Dostatecznie długo trzymała się z chłopakami, którzy wiedzieli, jak zniechęcić gościa, który sądził, że dziewczyna jest łatwą zdobyczą.

– Sądzę, że możemy podziękować któremuś bogu za tę drobną łaskę – orzekłem.

– Możesz podziękować Arkanie, że nie miała zamiaru się w to bawić.

– Oto mój delikatny kwiatusek.

Wkrótce po wschodzie słońca Szukrat dostrzegła siedem lub osiem migotliwych czarnych punktów, podskakujących w powietrzu daleko za naszymi plecami.

– Ścigają nas, tato.

Sprawdziłem.

– Wznieśmy się na nieco wyższy pułap, wówczas będziemy w stanie zachować bezpieczną odległość.

Dziewczęta zgodziły się, ale Arkana dodała:

– W Rhuknavr nie było tylu członków Rodziny. Musieli posłać po pomoc do Džankldesag albo do Drasivrad. Przy życiu nie pozostało nas więcej niż piętnaścioro czy szesnaścioro.

– Tak na wypadek, gdyby zaczęli nas doganiać, czy macie coś przeciwko dalszym ofiarom? – spytałem.

Arkana obrzuciła mnie nieszczęśliwym spojrzeniem. Mimo wielu godzin spędzonych w powietrzu jeszcze nie do końca skrywał ją ubiór zabrany jednemu z chłopców czuwających przy bramie. Trudno ubrać się przyzwoicie, jeśli pędzi się na jednym z tych słupów i na dodatek, próbując uniknąć zauważenia, lawiruje między koronami drzew. Nie wspominając już o tym, że zanim go wdziała, musiała przekonać ubiór, iż należy teraz do niej, nie zaś do tamtego.

– Jak mógłbyś tego dokonać, tato? – W jej głosie brzmiała podejrzliwość. I słusznie.

– W ten sam sposób, w jaki dostałem Kinę. Ale to wy będziecie musiały podać mi imiona. – Miałem ze sobą księgę Pierwszego Ojca. Nauczyłem się już na tyle języka Vorszk, by zastosować kody, które zmiotą tych gości z nieboskłonu. Tylko musiałem wiedzieć, kogo zmienię w chmurę pyłu.

– Nie rób tego. Przynajmniej dopóki nie będziesz musiał.

Zastanawiałem się przez chwilę. Potem powiedziałem:

– Jeśli wy potraficie im wybaczyć, to ja również mogę.

– W końcu nic mi nie zrobili.

Zrobiliby, ale nie wgłębiałem się w tę kwestię. Oba te dzieciaki były zbyt skłonne do wybaczenia i rozumienia, żeby miało to wyjść im na dobre. Ci goście za naszymi plecami zrobiliby im obu wiele bardzo przykrych rzeczy, gdyby tylko dać im szansę. Znałem takich. Byłem jednym z nich.

Tylko dla osobistej przyjemności, kiedy dziewczęta nie zwracały na mnie uwagi, wypowiedziałem kody, które zniszczą latający słup Arkany. Znajdowaliśmy się zbyt daleko od Rhuknavr, żebym mógł powiedzieć, czy coś z tego wyszło. Potem jednak zrobiło mi się przykro. Ponieważ przypomniałem sobie tę zaspaną dziewczynkę w korytarzu.

Jej obraz będzie nawiedzać mnie przez jakiś czas.

Pościg znajdował się bliżej niż powinien, jeśli mieliśmy myśleć o przedostaniu się przez Bramę bez kłopotów. Myśl o tamtym kluczu napawała mnie pewnym niepokojem, przypuszczalnie dlatego, że tak bardzo się spieszyłem.

– Teraz co? – zapytała Szukrat, kiedy byliśmy już bezpiecznie daleko od ludzi i nagich chłopców przeklinających nas z drugiej strony bariery.

– Przypuszczam, że wy dwie powinnyście dołączyć do armii – odparłem.

– Ja zostanę tutaj. Na równinie. Z Sziwetją. Mam robotę do wykonania. Obietnicę, której muszę dotrzymać.

Żadne z nas nie odezwało się słowem, dopóki nie dotarliśmy do bezimiennej fortecy. Potem Szukrat zapytała:

– Co z Panią?

– Jeśli będzie w odpowiednim stanie, możecie ją do mnie przywieźć i zrobię wszystko, żeby jej pomóc. Jeśli nie, zostawcie ją. Jej głównym problemem jest to, że nikt nie może jej pomóc.

Obie dziewczyny spojrzały na mnie, jakby ich oczom ukazał się naprawdę śmierzący potwór, wyłaniający się pośrodku króliczej farmy i rozrywający futerko na delikatnych gardziółkach.

– Posłuchajcie, kocham moją żonę jak jasna cholera. Nie potrafię wam tego wyjaśnić. Ale prawda jest taka, że pozostało mi tylko to uczucie. Ona jest szalona. Wedle wszystkich norm, wyjąwszy jej własne. I nie potrafię nic zrobić, żeby to zmienić. Gdybyście znały Kroniki, wiedziałybyście, o czym mówię.

Arkana wykrzywiła się.

– Nigdy się nie poddajesz, co?

Tym razem przyłapała mnie.

– Tak naprawdę to nie o to chodzi. Nie myślałem w tej chwili, żeby zwerbować kogoś na stanowisko kronikarza. Próbowałem wyjaśnić naturę związków z moją żoną.

Ale czy naprawdę sam wiedziałem, o co chodziło? Nawet po tych wszystkich latach? A zwłaszcza, czy ona wiedziała?

Wszystko to zdawało się tracić na znaczeniu, w miarę jak zbliżaliśmy się do bezimiennej fortecy.

Bezimienna forteca:
ODKŁADAM PIÓRO

Stałem przed golemem Sziwetją, nurzając się w jego lekkim zniecierpliwieniu. Sam również czułem się podobnie. Jednak sprawy świata wciąż zaprzętały mój umysł.

Te partie dogmatyki Gunni posiadają solidne podstawy empiryczne. Przed osiągnięciem bodaj najniższego poziomu duchowej koncentracji trzeba się nauczyć, jak odsuwać od siebie pokusy świata. Wszelkie pokusy. Od razu. Nieważne, o co chodzi. W przeciwnym razie zawsze będzie się mieć do czynienia z tą jedną najważniejszą rzeczą, z którą należy się uporać, zanim można będzie ruszyć naprzód.

Moim najważniejszym problemem była Pani. Moja żona. Której życie wciąż chwiało się na skraju przepaści, nigdy nie ześlizgując się w otchłań. Było dla mnie oczywiste, że jedynym brakującym panaceum była jej wola życia. A biały kruk zgadzał się ze mną całkowicie.

– Pozwól mi nad nią popracować – zadeklarował ptak. – Dziesięć minut i wkurzę ją do tego stopnia, że zacznie góry przesuwac, by tylko mnie dopaść i spuścić mi lanie.

– Bez wątpienia. Ale wolę, by rzeczy toczyły się swoim torem. Chyba że miałoby to potrwać naprawdę za długo.

Wydawało się, że droga na południe zajmie Sjuwrinowi wieczność. Jakkolwiek połykał kolejne kilometry prędko, zanim my byliśmy gotowi wyruszyć na północ. Nikt nie próbował go spowalniać.

Zabijałem czas, wędrując po niezmiierzonych przestrzeniach cudów pamięci Sziwetji – jednak unikałem wszystkiego, co miało związek z Khatovarem. Zostawiłem go sobie na deser, kiedy już nic nie będzie mnie

rozpraszać. Khatovar był daniem specjalnym, przeznaczonym do skosztowania w chwili, gdy będzie można docenić pełnię jego smaku.

W końcu uległem nieuchronnemu i posłałem dziewczyny, żeby przywiozły Panią. Może mój wielki kumpel na drewnianym tronie podrzuci mi parę wskazówek, jak skłonić ją, by na powrót zechciała żyć.

Nef pojawili się niemal w tej samej chwili, gdy dziewczyny przemknęły przez otwór w dachu. Byli w ponurych nastrojach, skorzy do kłótni, a ponieważ nie potrafiłem się z nimi dogadać, niemalże natychmiast opanowały mnie równie mroczne uczucia. Pobiegłem po włącznię Jednookiego. Jeśli dała sobie radę z boginią, powinna wystarczyć przeciwko trzem nieprzyjemnym, złośliwym widmom.

Sziwetja powstrzymał mnie. On potrafił porozumieć się z Nef. Przekonał mnie, że sobie z nimi poradzi, po prostu tłumacząc, co tutaj robimy. Jego wyzwolenie nie będzie oznaczać ich zagłady. W rzeczy samej, czekał ich nowy etap istnienia. Mieli zająć się zarządzaniem lśniącą równiną. Czekają ich sprzątanie i mnóstwo zadań wymagających bezpośredniego nadzoru.

Golem i ja byliśmy złączeni już tak blisko, że obecnie niemalże do woli mogłem przyglądać się jego oczami mentalnemu wizerunkowi równiny oraz reszty świata. Przez chwilę obserwowałem, jak dziewczyny lecą na północ, od czasu do czasu pozwalając sobie na przyjemność podniebnych ewolucji.

Przespałem kilka godzin. A może tydzień. Kiedy się obudziłem, podniosłem lampę i podszedłem do tronu. W drugą rękę, tę słabszą, wziąłem włącznię Jednookiego. Potem Sziwetja i ja patrzyliśmy sobie długo w oczy.

– Już czas? – zapytałem. A po sekundzie: – Sądysz, że jesteśmy w stanie poradzić sobie już bez sztyletów? Tak? Wobec tego jeszcze jedna rzecz. Muszę zostawić kartkę dla moich dziewczyn.

Wyszedł mi z tego cały list. Nigdy nie ufajcie kronikarzowi.

Bardzo wyraźna myśl:

„Skończyłeś już? Pewien jesteś, że skończyłeś?”

– Już czas.

Moi druzbowie, Nef, wychynęli z ciemności. Wydawali się znacznie bardziej materialni niż kiedykolwiek wcześniej. Obecnie już mnie lubią.

Odkładam pióro.

Lśniąca równina:
I CÓRKI CZASU

Z daleka zobaczyłyśmy światła. O co chodzi? Na lśniącej równinie nie ma żadnych świateł. Wspięłyśmy się na wysokość trzystu metrów. Wtedy światła zgasły, wyjąwszy snop jasności wylewający się przez dziurę w kopule skrywającej tron demona. Zanim jednak dotarliśmy na miejsce, on również zniknął.

Potem byłyśmy zbyt zajęte holowaniem Pani i Tobo przez dziurę, żeby czymkolwiek jeszcze się przejmować. *Raitgaistiden* naprawdę potrafią sprawić mnóstwo kłopotów, kiedy ich pasażerowie nie współpracują.

Wylądowawszy na posadzce, znalazłyśmy tylko jedną palącą się lampę, przy biurku starego – to znaczy tego uczonego z Taglios. Konował zostawił nam kartkę. Bystry stary pierdziel spisał ją w naszym języku. Może nie do końca płynnym, ale wystarczająco sprawnie użytym, żeby pojąć wszystko.

Przypuszczam, że naprawdę miał tę żyłkę do języków, którą zawsze się chwalił.

Arkana podniosła lampę i zapaliła od niej parę następnych. Poszłyśmy poszukać Konowała.

– Wiesz, zawsze sobie z nas kpił, ale po jakimś czasie naprawdę zaczęłam odnosić wrażenie, że jest moim ojcem – stwierdziła Arkana. Nigdy nie rozmawiałyśmy o naszych rodzonych ojcach. Między nami a nimi nigdy się nie układało.

– No. Dbał o ciebie. Może bardziej, niż ci się wydaje.

– O ciebie też.

Znalazłyśmy Konowała siedzącego obok drewnianego tronu.

– Hej. Wciąż oddycha.

– Nie sędzę... Cholera. Patrz. Te wszystkie noże wyszły z ciała demona.
– Zaiste, leżały rozrzucone po całej posadzce.

I dopiero wtedy, gdy powieki demona odemknęły się, a równocześnie otworzyły się oczy Konowała i w obu parach widać było kompletne ogłupienie, dopiero wtedy tak naprawdę zrozumiałam, co Konował próbował nam powiedzieć w swoim liście. Nie było to jakieś mętne religijne pożegnanie, po prostu nie starczyło mu właściwych słów, by przekazać, że w myśl umowy z demonem mieli się zamienić miejscami. Tak więc Sziwetja będzie żył, póki nie umrze ciało Konowała, Konował zaś zmieni się w wielkiego, starego, mądrego węża morskiego, nurkującego w głębinach oceanu dziejów. Tym sposobem obaj trafią do nieba. I Nef będą zadowoleni. Równina będzie dalej funkcjonować. A biały kruk nie przestanie się wściekać, jak teraz, siedząc na ramieniu Konowała. Potem jednak Arkana i ja wdałyśmy się natychmiast w kłótnię, której z nas przypadnie dzieło kontynuacji Kronik, ponieważ obie ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej nienawidzimy pisania.

Przyszło więc nam robić to na zmianę. Przynajmniej wtedy, kiedy ta mała wiedźma zdołała się na tyle oderwać od Tobo, by wziąć pióro do ręki i wywiązać się ze swej części obowiązków.

Kwestia, o której zapomniała napisać, przypuszczalnie dlatego, że jest zbyt tępa, by zdać sobie z niej sprawę, to fakt, iż Pani dochodzi do siebie. Niedawno widziałam, jak czarowała maleńkie płomyki. Przypuszczam, że gdyby istniał jakiś sposób uprawiania miłości z tym wielkim monstrem, robiłaby to trzy razy dziennie. Ponieważ z niego właśnie czerpie swą moc. Jest to z pewnością największy i najbardziej upragniony dar, jaki kiedykolwiek jej ofiarował, dzięki niemu będzie tym wszystkim, czym chciała zawsze być. Może nawet na powrót zmieni się w młodą, piękną i romantycznie smutną dawną Panią z Uroku.

Wtedy jednak on z pewnością będzie musiał uwolnić Duszołap, choćby tylko po to, by przywrócić równowagę w świecie.

Zastanawiam się, czy przypadkiem nie miał racji, kiedy twierdził, że za sto lat od dzisiaj w ludzkiej pamięci będziemy bogami.

I zastanawiam się, co w końcu zrobi ze swoją córką. Rodzoną córką. Osobiście uważam, że dla niej nie ma nadziei, ponieważ w niej nie ma

nadziei. Myślę jednak równocześnie, że jeśli da się znaleźć jej najdrobniejszą iskierkę, tato ją znajdzie.

Sjuwrin powoli zaczyna się niecierpliwić. Chciałby, żeby zawieźć go już pod Bramę Cienia Hsien. Nie jest wprawdzie Aridatą Singhiem, ale może jakoś ujdzie.

Przypuszczam, że już najwyższy czas, aby przyjrzeć się naszemu nowemu światu. Siedlisko Kruków. Kraina Nierozpoznanych Cieni. Szukrat mówi, że słowa te trącają w jej duszy jakąś strunę. Że brzmią niczym nazwa domu.

Ja uważam, że dom nosi się w sercu. Jestem jak ślimak wywrócony na nice.

A teraz już kolej cholernej Szukrat, żeby pisać dalej. Tej małej, śliskiej, leniwej wiedźmy.

Nieustający wiatr omiata równinę. Mruczy na szarym kamieniu. Niesie pył z odległych krain, wiecznie kłuszący upamiętniające kolumny. Jest tam wciąż kilka cieni, ale są one słabe, zalęknione i beznadziejnie zagubione.

To pewnego rodzaju nieśmiertelność.

Pamięć jest pewnego rodzaju nieśmiertelnością.

Nocą, kiedy wiatr ustaje i cisza włada równiną lśniącego kamienia, pamiętam. A oni wszyscy znów żyją.

Żołnierze żyją. I zastanawiają się dlaczego.

Spis treści

Cykl CZARNA KOMPANIA

WODA ŚPI

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

ŻOŁNIERZE ŻYJĄ

Dedykacja

KIEDY NIKT NIE ZGINAŁ

KIEDY ZAŚPIEWAŁ BAOBHAS

DZIEŁO MIŁOŚCI

NOCNE PIEŚNI

KWATERA GŁÓWNA

WIEŚCI OD SJUWRINA

NOCNY GOŚĆ

SZYKUJĄ SIĘ KŁOPOTY

INWALIDA

REKONWALESCENCJA

SESJA ĆWICZEŃ

NIEZŁOMNY STRAŻNIK

PODRÓŻ PRZEZ HSIEN

KANG FI

ANONIMOWI WŁADCY
DZIECI NOCY
SIEDLISSKO KRUKÓW
NA POŁUDNIE
WYŚLIZGNAĆ SIĘ
ETERYCZNE DROGI
WIELKI GENERAL
INWAZJA
BEZIMIENNA FORTECA
ZBEZCZESZCZONE ZIEMIE
PRZYBYSZ Z ZAŚWIATÓW
UZIEMIENI
WYŁOM
ROZPACZ BEZ DNA
WŁADCY STRATOSFERY
POTEM PODŁÓŻ OGIEŃ
BRAMA OTWARTA
PROTEKTORKA WSZYSTKICH TAGLIAN
ODEJŚCIE
OBOWIĄZKI TOBO
WIADOMOŚĆ
PUSTKOWIA
GDZIEŚ NA PÓŁNOC OD CZARANDAPRESZ
DANDA PRESZ

WIELKI GENERAL
NAD JEZIOREM TANDZI
KAPRYSY LOSU
PO BITWIE
BRAMA CIENIA
NAPRAWA BRAMY
UPADEK WAROWNI
CIEMNOŚĆ ZAWSZE NADCHODZI
BRYGADA NAPRAWCZA
WOJOWNICY-WŁADCY PRZESTWORZY
MIEJSCE ZBRODNI
PAŁAC
ZIEMIA POŚRODKU
PANI DĄSA SIĘ W GŁOS
NAWIEDZONY LAS
CIAŁO W KLOACE
BRZEGIEM VILIŁASZ
DWÓR W GAROŁNES
ZMARTWYCHWSTANIE
ZDRADZIECKI GENERAL
PRZYBYWAJĄ GOŚCIE
TOBO I VORSZK
NOCNI LOTNICY W DEDŻAGORE
OKUPACJA

ARMIA ŚRODEK

OSIEROCONA ARMIA

PAŁAC

W PÓŁ DROGI POMIĘDZY

W ARMII ŚRODEK

OGIEŃ NA ZIEMI POMIĘDZY

NIEPRZEWIDZIANE

POJMANIE

NIEPRZYJEMNA PRAWDA

NA ODSIECZ

ODSIECZ

PRÓBA UCIECZKI

PAŁAC

KOLEJNY MIT O POCZĄTKU

POSZUKUJĄC JEDNEGO BEZPIECZNEGO MIEJSCA

ZŁE WIEŚCI

W RUCHU

W OBOZIE

ZŁOŻENI NA SPOCZYNEK

W DRODZE NA POŁUDNIE

DECYZJA

ZAMIESZANIE

WIELKA NIESPODZIANKA

WIĘKSZE ZAMIESZANIE

BEZIMIENNA FORTECA
PASJA WERBOWNIKA
WIĘKSZE ZAMIESZANIE
NADAL SPORE ZAMIESZANIE
JESZCZE WIĘKSZE ZAMIESZANIE
ZAMIESZANIE SIĘ POGŁĘBIA
ZAMIESZANIE NARASTA
NAGROMADZONY SMUTEK
GŁĘBOKO W DOLE
BARDZO ZŁE WIEŚCI
POŚRÓD MARTWYCH
MOGABA WYRAŻA ZGODĘ
ZAGINIENI
PAŁAC
PLANY
WNIKLIWSZE PORZĄDKI
POSZUKIWANIE ZAGUBIONEJ DUSZY
WIDOK Z OKNA PROTEKTORKI
APARTAMENTY WIELKIEGO GENERAŁA
WIDOK Z WYSOKA
ŻOŁNIERZE ŻYJĄ
GOŚĆ U BRAM
ŻADNYCH WYMÓWEK NIE PRZYJMUJE
PECH ZA PECEM

LOT OSPALEJ
W OBLĘŻENIU
SZTURM
ZŁE WIEŚCI, BIAŁY KRUK
ODDZIAŁ DO ZADAŃ SPECJALNYCH
MAKABRYCZNY LOS
NOC I MIASTO
NOWE DOWÓDZTWO
POSŁANIEC
TI KIM ZAWSZE TU BYŁ
ŚPIĄCA KRÓLEWNA
NIEROZPOZNANE CIENIE
KRUCZE GADANIE
PIASZCZYSTA ŁACHA
WOLNE POPOŁUDNIE
POWRÓT RODZINY KRÓLEWSKIEJ
OTO MOJA CÓRKA
NASTĘPNY WIELKI GENERAL
OTWARTY GRÓB, OTWARTE OCZY
KHADIDAS
POWIETRZNY ZWIAD
ŻONA I DZIECKO
NIEBEZPIECZNA GRA
KAŻDEMU TO, CO MU SIĘ NALEŻY

CZAS SZALEŃSTWA
POLOWANIE NA BOGA
MELANCHOLIJNA ŻONA
UTRACONE DZIECKO
WIELKI GENERAL
OPERACJA NA OTWARTYM MÓZGU
SPRAWY RODZINNE
GORZKI DESER
SYPIAJĄC Z DEMONEM
OPOWIEŚĆ ARKANY
I WTEDY PRZYBYŁA SZUKRAT
WAROWNIA RUKNAVR
ODKŁADAM PIÓRO
I CÓRKI CZASU

Tytuł oryginału: *The Many Deaths of the Black Company*

Omnibus copyright © 2009 by Glen Cook
Water Sleeps copyright © 1999 by Glen Cook
Soldiers Live copyright © 2000 by Glen Cook
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011,
2014, 2019

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor serii: Tomasz Nowak

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: Raymond Swanland

Przy projektowaniu tła wykorzystano zdjęcie © iStockphoto.com/billnoll

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Zagłada Czarnej Kompanii*, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-657-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**